

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1873.

Tom drugi.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA I WOLFFA.

1873.

Доволсно Цензурою

Варшава. 17 Марта 1873 года.

R Y S

STATYSTYCZNY PRZEMYSŁU

KRÓLESTWA POLSKIEGO.

PRZEZ

Dominika Bociarskiego.

Wobec dzisiejszego rozwoju bogactwa publicznego i potęgi wytworzonych jego czynników, skromne tylko zajmuje miejsce społeczne nasze gospodarstwo. Nie mniej przeto rzeczą jest wielkiej wagi i doniosłości, znać rzeczywisty jego stan, tudzież pierwiastki składowe w ich wzajemnym ustosunkowaniu: na téj bowiem podstawie materialnej stoi najpierw byt społeczny i z tego gruntu czerpie soki żywot duchowy i cały rozkwit cywilizacji.

Wiek pozytywizmu, przemysłu i techniki, łoży nie mało usiłowań dla wykrycia praw ogólnych, rządzących wytworem, spożyciem i podziałem bogactwa; również gorliwie i skrzętnie znosi potrzebny do téj budowy materyał: gromadzi fakta, podaje wypadki z gałęzi pojedynczych wytworu, układa wreszcie bilanse ogólne całej wytworczej działalności danego kraju. Wprawdzie wieloramienna, pod nieskończenie rozmaitemi postaciami objawiająca się działalność ta nie łatwo daje się ująć ze ścisłością matematyczną; to téż bilansowy ten rachunek, jak i w ogóle wszelkie odnośne wykazy statystyczne dotąd muszą być tylko przypuszczalnemi i mniej więcej do rzeczywistości zbliżonemi. Naturalnie im są doskonalsze procedery wytworu i oświecześnie narzędzia, któremi statystyka się posługuje, tém gatunkowo lepszy i pewniejszy jój materyał; jawność jednak bezwzględna w téj mierze i bezwarunkowa prawdziwość dat, zapewne, długo i długo jeszcze nie stanie się rzeczywistością. A przeciw obecny rozwój nauki gospodarstwa społecznego, niemniej téż

praktyka sama, dopominają się usilnie o ten, acz zbliżony tylko do rzeczywistości, rachunek, jako niezbędny dla wyrozumienia i świadomości położenia ekonomicznego oraz zasobów kraju.

Dzisiaj wszakże, nawet społeczeństwu przodującym w oświacie i rozwoju ekonomicznym, dużo jeszcze brakuje żywiołów do odmalowania dokładnego w szczegółach obrazu wielkich i głównych czynników wytworu. Ztąd powszechnie statystyka rolnicza, przemysłowa, handlowa, a bardziej jeszcze statystyka usług osobistych nie materialnych nie zaleca się ani dojrzałością metody, ani też bogactwem i zupełną pewnością uzbieranych faktów. Tu niewątpliwie sama istota przedmiotu, oporna liczbowemu ujęciu, wiele utrudnia zadanie, nawet dla umiejętnie skierowanych usiłowań. Dopiero jakże o wiele zadanie to stanie się trudniejszym, gdy je przeniesiemy na nasz grunt. Ubogi pod ilościowym i jakościowym względem materiał statystyczny, tu nie da się uporządkować i za pomocą krytyki wyklarować, gdyż braknie środków do naprawienia i wypełnienia widocznych niekiedy jego ułomności i luk dostrzeżonych. I nic w tym nie masz dziwnego: dla zbadania oddzielnych gałęzi przemysłu nie funkcjonują u nas od czasu do czasu wyznaczane kommissyje, których prace gdzieindziej prowadzone z wielkim zasobem kompetencyi i środków, tyle wszechstronnego rzucają światła na przedmiot badany; niema też specjalnego ogniska uprawiającego statystykę wedle zasad nauki i dobrej metody; usiłowania zaś jednostek wszędzie i zawsze nie są w stanie sprostać wielkości i trudności takiego zadania.

Przed kilkunastu laty Kalendarz Obserwatorium Astronomicznego, podawał szacowne fakta i podług możności kompletne i uporządkowane materiały, dotyczące statystyki krajowej; dziś oderwane tylko wiadomości dają się spotykać niekiedy w szpaltach pism peryodycznych. Baczna zwracając uwagę na te luźne wiadomości, mianowicie o naszym przemyśle, jak również i na sumaryczne wykazy rozrzucone po pismach, przekonaliśmy się, że wieloliczne sprzeczności tu się natrafiające, wcale nie dają się pogodzić i do jednego mianownika sprowadzić. A niema też odpowiednich warunków dla zrobienia wyboru i oddania pierwszeństwa jednemu źródłu przed innemi. Oczywiście wykazy takowe, pochodzeniem i datą różnorodne, podawane były z zupełną świadomością o sprzeczności objętych niemi liczb. Utrzymując to wszakże, nie mamy zgoła na myśli stawienia komukolwiek bądź zarzutu, owszem widzimy w tym tylko stwierdzenie naglącej potrzeby poznania faktów dotyczących statystyki naszego przemysłu, a zarazem i braku środków do należytego ich zbioru i uporządkowania. Dopiero co przytoczone dwa wzgledy podajemy też na usprawiedliwienie zamiaru i wykonania pracy niniejszej.

Zabierając się do przedstawienia w krótkim statystycznym zarysie przemysłu fabrycznego Królestwa, przyjęliśmy za podstawę źródła urzędowe z r. 1870. Co się zaś tyczy przemysłu gubernii Warszawskiej, z wyjątkiem m. Warszawy, mieliśmy pod ręką także źródła, tylko o wiele

zupełniejsze i obejmujące wypadki z ostatniego pięciolecia. Wiadomo że źródła takowe powstają ze skupienia wiadomości dostarczonych przez samych przemysłowców, a to stosownie do udzielonych im szematów. Nie taimy wcale ułomności osiągniętego w ten sposób materiału. Przyznajemy owszem, że za ścisłą jego wiarogodność w wielu wypadkach ręczyć niepodobna, że niekiedy nawet dostrzedz się daje jawna obraza prawdopodobieństwa. Lecz trudna rada. Dopóki niema innej drogi dla zdobycia wiadomości, jak tylko odwołanie się do dobrej woli właścicieli zakładów, dopóty statystyka lepszego materiału mieć nie może. Wkażdyn razie posiada on przynajmniej zaletę jednolitości w stosunku do czasu zbioru i do stałego planu.

Niezależnie téż od gatunkowej wartości posiadanego przez nas materiału, wiele zarówno pozostaje do życzenia pod względem jego wszechstronnej zupełności. Dla téj to właśnie przyczyny, musieliśmy ograniczyć nasze zadanie li tylko do przemysłu fabrycznego, pomijając rzemiosła, które obecnie tak się z fabrykami wiążą, że ścisłe rozgraniczenie dwóch tych sfer jest prawie niepodobieństwem. Lecz i sam przemysł fabryczny mógł być rozważanym li ze względów na: *a*) wartość produkcji, szacowanej podług ceny fabrycznej wyrobów, *b*) ilość zakładów fabrycznych, *c*) ilość zatrudnionych robotników. A więc produkcya wyrobów nie mogła być wyrażoną stosunkiem do miary i wagi, jak również nie mogła być podaną ilość i wartość użytego do fabrykacyi surowego materiału; ani wysokość płacy robotników, ani klasyfikacya tychże podług płci, wieku, narodowości; ani téż na ostatek, doniosłość samych zakładów fabrycznych ze względu na mechanizm i siłę motorów.

Długim tedy jest szereg nader uciążliwych warunków, jakie nam stawia sam materiał. Przyjąć i poddać się takowym jest to niewątpliwie skazać z góry usiłowania swoje na ułomność i niedostateczność. Jeżeli wszakże samo poniższe zestawienie faktów rzucić zdoła choć odrobinię światła na stan przemysłu krajowego, cel zamierzony osiągniętym będzie w zupełności.

I. Przemysł tkacki.

1. Wyroby bawełniane.

Tkactwo, czyniąc zadosyć pierwszym potrzebom zdrowia i życia, swoim początkiem sięga kolebki społeczeństw i pierwotnych związków ekonomicznego bytu. Strzecha wiejska przechowała do dziś dnia odwieczne sposoby przedzenia i tkania ręcznego, dziedzictwo epoki patryarchów. Wynalazczy geniusz nowoczesny przekształcił to skromne domowe rękodzieło na przemysłowego olbrzyma o bajecznej potędze i sile. Właśnie na nasze czasy przypada stuletni jubileusz urodzin wiekopomnej *Jenny*. Mówię o machinie do przedzenia bawełny. Cieśla angielski

James Hargreaves, t \acute{e} m imieniem w \acute{l} asnej żony ochrzcił w r. 1767 dziecie swojego wielkiego pomysłu. Udoskonalenie Jenny dokonane w 1769 zjednało nieśmiertelną chwałę mechanikowi Arkwright. W r. zaś 1775 dalej jeszcze posunięciem zostało przez Samuela Crompton. W owym czasie pracował już James Watt nad stosowaniami siły pary. Dwa te wynalazki w szczęśliw \acute{e} m zespoleniu dla rozwoju przemysłowego bogactwa Europy stanowią now \acute{e} j ery początek. Owoż najw \acute{a} lniejszym czynnikiem tego rozwoju jest niew \acute{a} tpliwie przemysł bawełniany. W przeciągu stulecia sypie on hojnie niezliczone skarby na szczęśliwą swoją ojczyznę. Ów mi \acute{e} kki puszek bawełny nie pomału zapewne się przyczynił do skruszenia granitowej potęgi Napol \acute{e} na I-go, z tego bowiem źródła płynącym skarbow Anglia g \acute{l} ównie zawdzięczała możność zasilania w ci \acute{a} gu ćwierci wieku koalicij europejskich.

Dzisiaj fabryki angielskie przerabiają bawełny przeszło 500 mil. kilogr., a wartośc ich wyrobów wynosi olbrzymią summę 3 miliardy franków.

Fabryki zaś francuzkie z 90 mil. kil. bawełny wyrabiają za summę około 500 mil. franków.

W naszym kraju początek przemysłu bawełnianego należy do t \acute{e} j epoki Królestwa kongressowego, w któr \acute{e} j czynnie i wszechstronnie krzątać się zaczęto około zaszczepienia nowoczesnej działalności przemysłowej (1820—1830). Jest to epoka powstania przemysłowego ogniska Łodzi wraz z poblizkimi miastami fabrycznymi, jak: Zgierz, Pabianice, Zduńska Wola, Ozorków, w czteromilowym w oko \acute{l} o tego ogniska okręgu położeńmi. Mianowicie na rok 1824 przypada pierwszy zawi \acute{a} zek t \acute{e} j ga \acute{l} ęzi przemysłu.

Już w latach czterdziestych, produkcya j \acute{e} j wynosiła oko \acute{l} o p \acute{o} ł-trzecia miliona rubli wartośc \acute{e} i ¹⁾.

W r. 1857 wartośc całej produkcyi podług dat urzędowych ²⁾ podaną jest na summę 4,682,355 rubli przy 14,387 zatrudnionych robotnikach, 157 fabrykach znaczniejszych (pomniejszych warsztatów i tkaczy 2,437, przędzalni ¹⁵⁾).

W r. 1865 wartośc rocznej produkcyi 5,010,456 rubli, robotników 12,725 ³⁾.

¹⁾ Miaskowski Feliks. Bibl. Warsz. 1845. Rzut oka na wystawę p $\acute{o$ dw \acute{o} w przemysłu krajowego.

²⁾ Ludwik Wołski. G \acute{l} ówniejsze wiadomości statystyczne o Król. Polsk. na zasadzie akt urzędowych. Kalendarz obserwatorium astronomicznego r. 1858 i inne.

³⁾ Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego. Cz \acute{e} śc II, Przemysł i zakłady przemysł p $\acute{o$ silkuj \acute{a} ce. T. I, 1866.

W roku 1870:

Gubernie i miasta	wartość rocz. prod. na ruble	ilość robotników	ilość zakład. fabryczn.	
Piotrkowska	9,338,780	12,179	337	
Kaliska	866,371	1,393	35	
M. Warszawa	11,950	21	14	
Warszawska	1,950	4	3	
Kielecka	1,850	8	4	
Razem...	10,220,901	13,605	393	
Z tego przypadku na:				
Piotrkowska	miasto Łódź	5,795,910	5,633	261
	powiat Łódzki	963,880	1,554	13
	miasto Pabianice	1,067,960	1,355	5
	„ Zgierz	1,051,690	928	49
	powiat Bendziński	210,800	167	1
Kaliska	miasto Zduńska Wola	448,871	924	28
	„ Ozorków	336,000	322	2
	„ Kalisz	50,000	105	1
	„ Turek	24,000	30	1

W Łodzi najznaczniejsze zakłady należą do pana Scheiblera, w Ozorkowie do pana Henryka Schlössera (przędzalnia). Tak więc cały nasz przemysł bawełniany ześrodkowany prawie wyłącznie w okręgu Łódzkim; Ozorków bowiem i Zduńska Wola, chociaż z podziału administracyjnego zaliczone do gubernii Kaliskiej, właściwie jednak należą do tegoż przemysłowego cyklu.

Nie byliśmy przytém w stanie z ogólnej summy wyróżnić, dla stosownego potrącenia, wypadków produkcyi tych przędzalni, co istnieją jako zakłady fabryczne niezależne; powstała więc w ten sposób pomniejszana i w części podwójna rachuba. Przędzalnie tego rodzaju pełnią

czynność przygotowawczą, wypadek tej czynności stanowi składową część wartości materiału, użytego do fabrykacji przez zakłady tkackie i ostatecznie musi się zawierać w podanym szacunku wyrobionych tkanin. Jakoż fabryki tkackie, posiadające własne przędzalnie, z praktyki wiedzą, że doniosłość ich produkcji wyraża tylko cena wykończonego ostatecznie wyrobu. Usiłowaliśmy przeto inną drogą rzecz tę wyświecić, dlategośmy zajrzeli do bilansu handlu zewnętrznego Cesarstwa i Królestwa ¹⁾, w którym przywóz bawełny przez koinory Aleksandrowską i Sosnowicką ²⁾ podano:

	r. 1870	r. 1871
bawełny surowej	162,968 pud.	207,818 pud.
przędzy bawełnianej	48,622 „	71,498 „

Nie znamy dokładnie stosunku jaki zachodzi u nas pomiędzy ceną materiału, a ceną wyrobu z bawełny. Jeżeli ten jednak zbliżonym jest nieco do zachodzącego we Francji, a wykazanego badaniami statysty Moreau de Jonnés ³⁾ to jest jak 1—3½ v. 1—4, (przyjmując przytém cenę za pud bawełny surowej rsr. 12, za pud przędzy 24 rsr., wartość zatem surowego materiału na 3 przeszło miliony rubli), to rzeczywista doniosłość naszej bawełnianej produkcji w roku 1870 nie będzie mniejszą od podanej w wykazie. A przytoczone powyżej daty przywozu bawełny dla r. 1871 wskazują, jak olbrzymiemi krokami ten przemysł się rozwija; w obecnej zatem dobie istotna wartość produkcji o wiele przynosi sumę wykazem oznaczoną, i sięga kilkunastu milionów rubli.

W Cesarstwie podług pana Buschen ⁴⁾ w roku 1865 przemysł bawełniany liczył: 766 zakładów fabrycznych; 80,000 stałych robotników (prócz 350,000 ludności wiejskiej czasowo tęp się trudniące); wartość produkcji przypuszczalnie od 80—90 milionów rubli. Przypadłoby zatem na 1 osobę wyprodukowanych tkanin bawełnianych za 1 rs. i kop. 18. U nas podług wykazu 1870 roku za 1 rs. i kop. 78. Dodać winniśmy, że produkcya Cesarstwa od tego czasu znacznie bardzo zwiększyła się.

Mamy tedy prawo wnioskować, że terazniejsza nasza produkcya bawełniana nie tylko równoważy, lecz nawet przynosi potrzeby miejsc-

¹⁾ Ekonomista r. 1872, czerwiec, str. 452 i 453.

²⁾ Przez Wierzbolowską bowiem przywóz bawełny iść może tylko dla Cesarstwa, a w części i przez Warszawską.

³⁾ Statistique de l'industrie de la France. Paris, 1856.

⁴⁾ Aperçu statistique des forces productives de la Russie par. M. de Buschen membre du comité central de statistique de Saint Petersburg. Paris, 1867. W dalszym ciągu naszej pracy, powołując się będziemy na to dzieło, dodajemy więc, że daty przez p. Buschen zebrane, odnoszą się do 1864 lub 1865 r.

wego spożycia; szala się więc chyli na stronę wywozu. Wywóz ten idzie do Cesarstwa. Potrzebowanie zatem naszych wyrobów w Cesarstwie, warunkuje dalszy rozwój tej gałęzi przemysłu. Dopiero właśnie w bieżącym roku fabrykacya Łódzka doznała pewnego wstrząśnienia, skutkiem mniejszego tam zapotrzebowania wyrobów bawełnianych oraz z wełny czesanój.

Tak więc, pod opieką protekcyi celnej, w prędkim czasie urosł ten przemysł tu i w Cesarstwie do tego stopnia, że produkcya własna może całkowicie zadość czynić potrzebom kraju. Obecnie zaś przywóz tego artykułu z zagranicy zaspakaja tylko wymagania zbytku i mody.

2. Wyroby wełniane.

Historya świadczy, że w odległej przeszłości nie tylko znanym był u nas, ale nawet stosunkowo znacznym wyrób sukna. Sukna Krakowskie „znajdowały znakomity odbył w Wielkim Nowogrodzie“ r. 1395 ¹⁾. W epoce Zygmuntofskiej „powstawały coraz lepiej wydoskonalone, coraz więcej pielęgnowane fabryki sukienne, nad którymi król rozciągnął czułą opiekę ²⁾.“

Wielkie wynalazki ostatniego stulecia przeobraziły całkowicie odwieczne sposoby fabrykacyi wyrobów wełnianych. W epoce Królestwa kongressowego przeniesiono je i do nas. Kiedy małoznacząca do owego czasu i niewielka osada Łódź zdobywać zaczęła stanowisko miasta fabrycznego, pierwszym znaczniejszym tam przemysłem, był przemysł wyrobów wełnianych i sukien zawiązany w roku 1821. Następnie o 10 lat później, sukienictwo w tej miejscowości zupełnie upadło wobec wyłącznego zapanowania przemysłu bawełnianego, któremu to głównie Łódź zawdzięcza dalszy swój wzrost. Zaszczepiona jednak w innych miejscowościach kraju: Kaliskim, Zgierzu, Łęczycy, Tomaszowie i Ozorkowie, fabrykacya sukien rozwijała się i doskonalila, znajdując znaczny odbył w Cesarstwie. Gdy jednak nałożono tam clo na sukna przywozowe, dużo mniejszych naszych fabryk upadło, ostały się tylko znakomitsze firmy, celujące doskonałością wyrobu: Fiedlera, Rephana, Wilhelma Zacherta, K. A. Moesa, co pierwszy fabrykacyą kortów do nas wprowadził.

Cała wyżej pomieniona fabrykacya używa wełny gręplowanój; dopiero około czterdziestych lat przedzalnia p. Edwarda Frydrychs pod Rawa, dała początkowanie wyrobom z wełny czesanój, (kamloty, muśli-

¹⁾ Maciejowski W. A. Zarysy dawnój statystyki polskiej. Ekonomia 1866 r. ozerwico str. 298 i 299.

²⁾ Tenże, opierając się na Raczyń. Codex Major. Polon.

ny i t. p.). Fabrykacja zaś tego rodzaju obecnie głównie się mieści w okręgu Łódzkim.

W r. 1857 fabryk tkanin wełnianych było: 59 (oprócz pomniejszych rękodzielni i pojedynczych tkaczy w ilości 2,143) przędzalni wełny 60, łącznie zatem 119 zakładów, produkujących za sumę 2,976,545 rub. za pomocą 8,257 robotników.

W roku 1865 wartość produkcji dla tej gałęzi przemysłu podana jest w Zbiorze przepisów Administr. Król. na 6,318,713, przytem 8,290 robotników.

W roku 1870:

Gubernie i miasta	wartość produkcji rocznej	ilość zatrud. robot.	ilość zakład. fabryczn.
Piotrkowska	2,496,430	2,259	27
Kaliska	782,072	1,174	32
Kielecka	516,990	566	25
Warszawska	101,690	75	7
Miasto Warszawa . . .	19,400	19	3
Radomska	12,474	9	4
Płocka	6,600	50	2
Razem...	3,935,656	4,152	100

Głównóm siedliskiem fabryk wyrobów wełnianych są: miasto Tomaszów, położone w gub. Piotrkowskiej z produkcją roczną wynoszącą około 1 mil. rub. i prawie tysiącem zatrudnionych w tym zawodzie robotników; Łódź łącznie z powiatem produkuje prawie za 900,000 rub.; Zgierz za 355,000; w Kaliskim sukienne fabryki Rephaua i w Opatówku Nitzsche (dawniej Fiedlera); w Kieleckiej fabryka sukien i kortów sukcesorów K. A. Moësa w Pilicy. W Warszawskiej przędzalnia wełny p. Długoszewskiego w Soplu.

Z porównawczego zestawienia powyższych dat okazuje się, że w stosunku do 1857 roku, pod względem wysokości produkcji jesteśmy mniej więcej w porządku, bośmy się posunęli naprzód o cały prawie milion rub.; lecz w stosunku do roku 1865, jeżeli wierzyć mamy datom urzędowym, spadliśmy z produkcją wyrobów wełnianych prawie o 2,400,000 rub.; a przytem w obu powyższych datach w rażącej zоста-

jemy sprzeczności co do ilości zatrudnionych w tej gałęzi robotników. Być może że po ciężkiem przesileniu jakiego podówczas doświadczył był przemysł bawełniany skutkiem wojny amerykańskiej, produkcya krajowa tkacka wyjątkowo jeszcze zwróconą była do przerobu wełny, jako materiału miejscowego, nie tyle podlegającego zawichrzeniom zewnętrznych rynków. W części téż daje się to tłumaczyć, jak również i wskazana różnica zatrudnionych robotników, tém mianowicie, że do ówczesnego szacunku zaliczoną była produkcya pojedynczych sukienników tkaczy, wyrabiających sukno domowe, przez włóścian używane, produkcya wcale nie objęta ostatnim wykazem. Jakkolwiek takowa produkcya nie małego jest znaczenia i wielką summę potrzeb krajowych zaopatruje, atoli nader trudno wprowadzić ją do statystyki, chyba tylko w bardzo niepewnéj i przypuszczalnój liczbie, dla sformowania którój braknie nam na teraz niezbędnych wskazówek.

Czy w tej gałęzi przemysłu produkcya, przedstawiająca wartość około 4 mil. rub., w połączeniu z wyrobami włóściańskimi, (których szacunek ogólny nie wiadomy) równoważy miejscowe potrzeby? Na to trudna odpowiedź, gdyż w dosyć znacznej części wyroby nasze idą do Cesarstwa, natomiast zaś bilans handlu zewnętrznego mieści w przywozie wysoką dosyć cyfrę dla wyrobów wełnianych. Nadto znajdujemy w bilansie tym charakterystyczny bardzo rys naszego przemysłu wełnianego, mianowicie: że w przywozie zagranicznym mamy przedzę wełnianą w daleko większym jeszcze od wyrobów stosunku. A zatém w znacznej części używamy do fabrykacyi zagranicznego materiału.

W Cesarstwie p. Buschen całkowitą produkcją z roku 1864 szacuje na 45 mil. licząc 100,000 robot. i 633 zakładów fabrycznych.

Cały przemysł wyrobów wełnianych Królestwa nie przewyższa przemysłu tego rodzaju ościennéj gubernii Grodzieńskiej. Wedle wykazu bowiem p. Buschen, ułożonego na podstawie źródeł urzędowych, produkcya tylko z wełny gręplowanej wynosiła tam w 1864 summę wartości 3,360,000 rub., przytóm 4,350 robotników i 76 fabryk. Doliczając niewyszczególnioną w tym wykazie dla gub. Grodzieńskiej produkcją z wełny czesanej, rachować można ogólną summę produkcji do wysokości dla Królestwa podanej.

3. Wyroby lniane i konopne.

Najznakomitszym, ale téż dotąd jedynym w naszym kraju przedstawicielem fabrycznego o udoskonalonym ustroju mechanicznym płóciennictwa jest zakład Żyrardowski wraz z filią w Błędowie. Oprócz tej istnieje jeszcze kilkanaście małych fabryk, zwłaszcza w Kaliskim i jedna w Suwalskiej gub., w Dobrowoli około m. Wejwery, założona w r. 1840 przez p. Dąbrowicza. Lecz zakłady pomniejszych wobec dzisiejszych u nas warunków tej fabrykacyi nie mogą kwitnąć ani rozwijać się. Obok fa-

bryk, wyrób domowy, rękodzielny mniej więcej zaspakaja potrzeby i skromne wymagania ziemiańskiego bytu.

Do tej samej epoki, z której bierze początek dzisiejszy nasz przemysł wełniany i bawełniany należą usiłowania skierowane do zaprowadzenia w kraju mechanicznych sposobów przędzenia lnu i fabrycznego wyrobu płócien. Przyjaźnym losu zrządzeniem podówczas zamieszkał był u nas właśnie sam wynalazca przędzalni mechanicznej lnu, Filip de Girard. Zdawało się tedy, że dla kraju obdarzonego łatwością posiadania surowego materiału w wielkiej obfitości i wyborowym gatunku, przy rozbudzonym nadto i rozumnie kierowanym zwrocie do przemysłu, tyle szczęśliwy zbieg okoliczności zwiastuje wielki rozwój dla wyrobów lnianych i wytworzy tu specjalność przemysłową o doniosłości europejskiej. Następstwa jednak wskazały, że dla zużytkowania wynalazków i pomyslnych nawet naturalnych warunków potrzeba gruntu należycie przysposobionego. To też wielkiego wynalazku Girarda w należytej mierze zużytkować nie mogła ani pierwotna, ani też przybrana jego ojczyzna.

Rząd Królestwa Polskiego w 1825 r. zawarł układ z Girardem celem urządzenia w kraju przędzalni mechanicznej. Uskutecznienie jednak tego układu z powodu trudności nabycia machin nie nastąpiło zbyt prędko. Girard tymczasem kierował górnictwem. W roku 1831 zawiązało się Towarzystwo wyrobów lnianych pod firmą Karol Scholtz i S-ka, które kierując się wskazówkami Girarda, urządziło w Marymoncie przędzalnię mechaniczną lnu i tkalnię, przeniesioną w 1833 r. do osady nazwanej Żyrardowem. W owym właśnie roku przemysłowcy francuzcy przenieśli do siebie pierwotny swój własny (Girarda) wynalazek z angielskiego miasta Leeds, który tam był już sprawił w przemyśle lnianym przewrót olbrzymi.

Zakład Żyrardowski posiadał maszynę parową o sile 40 koni, wprowadzającą w ruch 28 machin przędzalnych, wyrabiał przędzy wartości 60,000 rub. i zatrudniał około 300 tkaczy. Przędza, płótna, bielizna stołowa wkrótce po jego założeniu odznaczały się dobrocią, miały prętem odbyty łatwy i ustalony. Mimo to jednak, mimo zasiłku rządowego i pożyczek z Banku Polskiego, zakład powolnie dosyć i z trudnością się rozwijał. Nareszcie spółka się rozchwiała i Bank Polski w roku 1847 nabył fabrykę na własność i prowadził ją aż do roku 1856, w którym odprzedał pp. Hille i Dietrich. Bank stracił na Żyrardowie 134,663 rub. Wszędzie i zawsze kierownictwo i administracja z urzędu przedsiębiorstwa fabrycznego jest arcy-trudnym zadaniem. Dopiero w silnych i umiejętnych rękach dzisiejszych właścicieli zakład Żyrardowski doskonałością urządzenia, tak również i wyrobów, tudzież doniosłością produkcji zdobył sobie zaszczytne stanowisko.

W roku 1870 wyrobiono tam za 1,100,000 rubli płótna webowego, kopowego, prześcieradłowego, rewanłuchowego, bielizny stołowej, rękawników, chustek do nosa, nici i rozmaitego rodzaju wyrobów lnianych, oraz dzianych. Zakład posiadał 8,920 wrzecion przędzalnych, 520 warsztatów tkackich mechanicznych, 50 ręcznych, 30 pończoszniczych,

poruszanych maszyną parową o sile 250 koni i kołem wodnym siły 20 koni. Ilość robotników zatrudnionych wynosiła 2,000, w tej liczbie 400 cudzoziemców; wartość zaś użytego do fabrykacji materiału około 500,000 rubli. Filia w Błędowie na 60 warsztatach ręcznych wyrabiała worki, płócienniki i drelichy za sumę 45,000 rubli, zatrudniając 75 robotników.

Dla przemysłu płócienniczego w ogólności, mamy z r. 1870 następujące dane:

Gubernie	wartość produkcji rocznej	ilość robotników	ilość zakł. fabrycznych
Warszawska	1,147,991	2,080	4
Kaliska	87,754	287	10
Lubelska	9,044	53	6
Suwalska	7,000	15	1
Razem...	1,251,789	2,435	21

Zaledwo zatem na 100,000 r. szacowaną jest wartość produkcji wszystkich pomniejszych zakładów tkactwa lnianego, resztę zaś przedstawia Żyrardów z Błędowem. Rachunkiem powyższym nie obejmujemy wyrobu pojedynczych tkaczy i krosien włóściańskich, gdyż obliczenia w tej mierze wydają się nam aż do nieprawdopodobieństwa fantastycznymi.

W roku 1865 w Zbiorze przepisów administracyjnych K. P., wartość wyrobów lnianych i konopnych podaną jest na 941,915 rubli z ilością robotników 5,534. Ilość takowa robotników wskazuje, że tym wykazem objęta została pewna część wyrobów pojedynczych tkaczy.

Dla r. 1857 w kalendarzu obserwatorium astronomicznego, wartość produkcji wyrażoną została w niemożliwej cyfrze 230,222 rubli przy wyrobie płótna rozmaitych gatunków, bielizny stołowej, drólichów i włóściańskiego wynoszącym aż 4,037,642 arszynów. Bardziej więc odpowiedni stosunek zachowany w artykule: Przemysł płócienniczy w Królestwie Polskiem¹⁾, gdzie przy takiejże prawie ilości arszynów wyrobu oznaczoną jest wartość około 900,000 rubli, przytęm ilość robotników 7,032. Bezwątpienia, tak wyżej przytoczone daty statystyczne jak również z lat: 1854, 1855, 1856 i 1857 (Kalendarz astronomiczny

¹⁾ Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza 1872 r. Nr, 10 (z Dz. W.).

ny) a szacujące produkcją mniej niż 1 mil. rub. nie wyrażają całej summy wartości wyrobów lnianych i konopnych i zgoła nie dają wyobrażenia o znaczeniu istotnym i doniosłości produkcji tego we wszystkich warstwach ludności rozpowszechnionego artykułu.

Badania historyczno-statystyczne Moreau de Jonnés ¹⁾ wskazują, że od roku 1788 w rozmaitych epokach, niezależnie od rozwoju nowych sposobów fabrykacji, wartość wyrobów tej gałęzi przemysłu wynosiła stale we Francji po 10 franków na osobę.

Dla Cesarstwa w roku 1864 pan Buschen szacuje produkcją zakładów fabrycznych (około 9 mil. rub.) łącznie z wyrobem domowym na 150 milionów rubli, co dałoby wyrobów przeszło za 2 ruble na osobę. Wyznajemy, że szacunek ten, osnuty nie na danych urzędowych, lecz przeważnie na żywiole przypuszczalnym, wydaje nam się przesadzonym; témbardziej, że w wielkim środkowym, najbardziej zamożnym i przemysłowym pasie Cesarstwa ludność wiejska używa przeważnie bielizny bawełnianej. Mniemamy, że wcale nie przesadzimy, wyznaczając na spożycie jednej osoby u nas za 1 r. 50 kop. wyrobów lnianych i konopnych. Na zasadzie więc takiego przypuszczenia, ogólna wartość produkcji tej gałęzi wyniosłaby 7 i pół miliona rub., za potrąceniem 1 miliona rubli na przywóz.

Wracając jednak do dat urzędowych, widzimy, że, dzięki produkcji Żyrardowa, za wyłączeniem nawet produkcji tkaczy i włóścian, jest postęp w rozwoju tego przemysłu w stosunku do lat 1865 i 1857.

Wzrastający jednakże przywóz wyrobów lnianych przekonywa, że rozwijająca się coraz bardziej działalność Żyrardowa, nie jest w stanie sprostać potrzebom miejscowego spożycia i wywozu do Cesarstwa. W r. 1870 w komorach: Warszawskiej, Aleksandrowskiej i Sosnowickiej, przywóz ten wynosił za sumę 557.612 rubli, w 1871 za 771,886. Sądziemy więc, że nowopowstające fabryki tego rodzaju znajdują jeszcze pole do działalności dla krajowego przemysłu użytecznej, a dla siebie zyskowej, mając zwłaszcza na względzie odbyt do Cesarstwa. Zwiększanie się zresztą potrzeb krajowych w miarę wzrostu oświaty, dobrobytu i taniości wyrobu obiecuje dla przemysłowych zdobywcy rozległą jeszcze i bogatą krainę. Dlatego w chwili kiedy to piszemy, dowiadujemy się z prawdziwem zadowoleniem, że jeden z projektów urządzenia na wielką skalę fabryki płócien, o których kiedyś wzmiankowały pisma, rychło już ma się w czyn zamienić, że w tym właśnie czasie zawiązuje się towarzystwo z ludzi zamożnych i dobrej woli złożone. Witając ten nowy związek i przybywający czynnik krajowego przemysłu z najwyższą życzliwością, nie możemy powstrzymać się od powtórzenia znanego zresztą powszechnie pownika, że dzisiaj tylko możliwość produkowania, a zatem i sprzedawania w warunkach stosunkowo najtańszych jest najbezpieczniejszą, a zarazem najpewniejszą drogą do powodzenia i trwałości przedsięwzięcia. Całą zatem staranność i pomysłowość od pierwszej chwili skierować należy do osiągnięcia tyle pożądaną możliwość.

¹⁾ Statistique de l'industrie de la France.

4. Wyroby jedwabne i półjedwabne.

Na zamknięcie przemysłu tkackiego pozostały jeszcze wyroby jedwabne i półjedwabne, o których to chyba da się powiedzieć, że w kraju naszym prawie nie istnieją. Wykaz bowiem statystyczny z r. 1870 podaje: dla gub. Piotrkowskiej 1 zakł. z produkcją wartości 9,400 rub. o 10 robotnikach i dla miasta Warszawy 5 zakł., 5,000 rub. wartość produkcji i 5 robot. Razem tedy 6 zakł. 14,400 wart. prod., 15 robotników. Owe zakłady w Warszawie są to właściwie niewielkie pracownie, wyrabiające wazkie wstążeczki i taśmy. Jaką ilość przędzy jedwabnej zużywają nasze fabryki wełniane i bawełniane i wiele mieszanych z jedwabiem materii produkują, nie jesteśmy w stanie oznaczyć.

Do 1869 w Lipkowie pod Warszawą, a obecnie w samej Warszawie istnieje znaczniejszy nieco zakład p. Józefa Worowskiego, wyrabiający adamaszek i ryps jedwabny, materyą powozową obok rypsów i ksamitu wełnianego, włosienic na meble i drewniaków deseniowanych, z ogólną produkcją nie przenoszącą wartości dwudziestu kilku tysięcy rub.; lecz wykaz z 1870 r. zakładu tego nie obejmuje.

Okazuje się że wyrób materii jedwabnych i półjedwabnych nie dał się u nas zaszcześcić, pomimo chwalebnych usiłowań p. Worowskiego, od lat 30 wytrwale na tém polu pracującego. Mniemamy, że takowa fabrykacja wtedy tylko mieć mogłaby podstawę bytu i jaki taki rozwój, gdyby powstał w kraju wytwór surowego jedwabiu. Żałować należy, że istniejąca spółka jedwabnicza nie doczekała się dotąd silniejszego ze strony ogółu i ludzi specjalnych poparcia.

Dla 1865 r. oznaczoną jest produkcja tych wyrobów na 74,655 rub., ilość zaś robotników 93.

W r. 1857 wartość produkcji 53,645, przytém 13 zakładów zatrudniających 88 robotników.

W Cesarstwie przemysł ten, dzięki miejscowej uprawie jedwabnictwa (przeważnie na Kaukazie), ma znaczenie poważne. P. Buschen w sumarycznym przypuszczalnym rachunku ocenia wartość produkcji dla r. 1865 od 14 do 15 mil. rub.

Najwyższy zaś rozwój tego przemysłu przedstawia Francya, gdzie wartość produkcji obliczają obecnie na sumę od 600 do 700 mil. frank., gdy w Anglii od 330—340 mil. franków.

W ogóle cały dział tkactwa w zestawieniu porównawczém z latami 1857 i 1865 (do których posiadamy szczegółowsze daty) dostarcza cyfr następujących:

	w 1870	1865 ¹⁾	1857 ²⁾
Wyprodukowano wartości najedną osobę za . . .	2 r. 66 k.	2 r. 46 k	1 r. 81 k.
Jeden robotnik przyczynił się do wytworu w stos. .	763 „	—	463 „
Jeden zakł. produkował za	29,659 „	—	—
Ilość przecięciowa robotni- ka na 1 zakład 38,85.			289

II. Przetwory płodów roślinnych.

5. Cukrownictwo.

Ta nowoczesna gałąź przemysłu doszła u nas do wysokiego stosunkowo rozwoju tak pod względem doskonałości technicznej procedury, jak również i wielkości produkcji. Jakkolwiek ta ostatnia pod względem wartości nie dosięga cyfry podanej dla gorzelnictwa i przemysłu bawełnianego, mimo to jednak inne przeważne względy zapewniają cukrownictwu pierwszorzędne stanowisko w ustroju naszego gospodarstwa przemysłowego. Mianowicie, doniosłość ekonomiczna przemysłu cukrowego polega na tém: że ten zużywa surowy materiał, którego uprawa daje zasilek i zamożność rolnictwu krajowemu; że w zupełności zadość czyniąc potrzebom miejscowego spożycia, dostarcza nadto ważnego artykułu handlu wywozowego nie tylko do ościennych gubernij Cesarstwa, lecz na główne nawet jego targowiska: Petersburg i Moskwę; że ludność krajowa w charakterze właścicieli i wyrobników ma tu większy udział niż w przemyśle tkackim, że rozpowszechnienie spożycia cukru jest skalą wzrastającego dobrobytu i pewnego niejako uobyczajenia, gdy przeciwnie rozpowszechnienie spożycia wytworu gorzelnianego jest srogą klęską dla ekonomii i moralności: nareszcie że ostatniemi czasy cukrownictwo jest na drodze szybkiego wzrostu, gdy produkcya gorzelnianego w odpowiednim prawie stosunku zmniejsza się i upada.

Tak więc, młody ten przemysł przeszczepiony z Francji dosyć pomysłnie i szczęśliwie u nas się zaaklimatyzował. Mówimy młody, gdyż

¹⁾ Przyjmując ludność dla 1865 r. w okrągłej cyfrze 5 mil. Według p. Wierzechlejskiego w 1862 r. ludność wynosiła 4,972,193 (Ekonomista 1867 r. luty).

²⁾ Ludność 4,733,760. (Kalend. astronomi).

fabrykacya cukru burakowego byt swój zawdzięcza dopiero epoce i polityce kontynentalnej Napoleona I. W Królestwie zaś pierwszy początek przypada około r. 1828. Powstały wówczas dwa zakłady: Hr. Henryka Łubieńskiego w Guzowie i barona Gallichet w Izdebnie. Fabryka Guzowska dzięki usiłowaniom założyciela, wkrótce, szczególnie od r. 1833, stała się dla kraju szkołą i krzewicielką tego rodzaju przemysłu. Już w latach trzydziestych liczba cukrowni w Królestwie znacznie wzrosła; a pomiędzy niemi w r. 1839 naczelne zajęła miejsce rafinerya w Hermanowie, urządzona znacznym kapitałem nakładowym, podług udoskonalonych sposobów fabrykacyi, pod firmą Hermann Epstein i S-ka.

W kampanii 1844/45 roku ogół produkcyi w Królestwie z 26 cukrowni (z których dwie były ustały zupełnie, a kilka nieczynnych) wynosił około 20,000 centnarów, z tój ilości połowa była rafinowanego cukru. W stosunku więc do ludności (4,600,000) produkcyja wydawała po 14 łutów na osobę. Ilość zaś sprowadzonego z zagranicy cukru, wynosiła rocznie około 23,000 cent.: łącznie zatem z produkcyą krajową na spożycie wypadnie 30 łutów na jedną osobę. Ówczesna cena cukru dla hurtowego handlu 45 gr. za 1 f.; zwyczajna handlowa gr. 50.

Hermanów szacował swoją produkcyą na 1½ mil. złotych, czyli 225,000 rub., w roku zaś 1870 na 469,200 rub.

Z historycznej kolei cukrownictwa weźmy późniejszą jeszcze dobę, mianowicie kampanią 1856/57 roku.

Wytwór tój kampanii wynosił:

Cukru w głowach	170,321½ cent.
Mączki.	151,040½ „
Razem	321,362 „

W stosunku do ludności (4,733,760) na 1 osobę przypadnie funt. 6,8 czyli funt. 6 i łutów 23½, albo tóż kilogramów 2,75; podczas gdy w Anglii (w r. 1849) spożycie wynosiło kilogramów 10 na jedną osobę; w Belgii 7,5; Francyi 3,1.

Cukrowni czynnych było 44, a w 8 produkcyja wstrzymana. Przy tём w zawodzie cukrowniczym było stale zatrudnionych ludzi: 1,748; czasowo zaś przybieranych 5,902.

Przejdźmy teraz do obecnego stanu cukrownictwa i rozpatrzmy rozgałczenie tego przemysłu w rozmaitych miejscowościach Królestwa, a to ze względu na doniosłość produkcyi, ilość zakładów fabrycznych i użytych do fabrykacyi robotników.

Bierzemy daty urzędowe z 1870 r.:

Gubernie	wartość prod. rocznej na ruble	ilość robotników	ilość zakładów fabrycznych
Warszawska	6653403	8101	20
Piotrkowska	530000	1056	3
Kaliska	393950	1107	5
Radomska	344650	575	3
Siedlecka	283434	400	1
Lubelska	132824	334	2
Kielecka	80000	120	1
Łomżyńska	75400	150	2
Płocka	43200	500	2
Suwalska	—	—	—
Razem ,	8536861	12343	39

Spotykaliśmy wprawdzie w niektórych pismach podawaną wartość produkcji cukrowni całego Królestwa w okrągłej cyfrze 6 mil. rub.; że jednak cyfra naszego wykazu (8½ mil. rub.), będąca wynikiem wiadomości przez samych producentów dostarczonych, nie jest zawysoką, mieliśmy zrzeczność przekonać się z innego jeszcze źródła. Dla oznaczenia bowiem produkcji cukrownictwa, istnieje sprawdzian mniej więcej dokładny, a tym jest urząd akcyzy. Według danych z tego źródła produkcya cukru w następujących trzech guberniach wynosiła:

	w r. 1868	1869	1870
w Warszawskiej	540,943 pud.	824,665 pud.	946,022 pud.
„ Kaliskiej	80,830 „	88,411 „	134,596 „
„ Piotrkowskiej	27,706 „	49,984 „	101,429 „
	649,479 „	963,060 „	1,182,047 „

Ostatni szereg poziomy wymownie świadczy jak jest szybkim i stanowczym wzrost fabrykacyi cukru w trzech oznaczonych guberniach, t. j. w głównem siedlisku tego przemysłu.

Zestawiając dwa powyższe wykazy dostrzegamy, że szacunek pieniężny produkcji dla gub. Kaliskiej jest niezmiernie i niemożliwie niskim, za pud bowiem wypada 2 rub. i 93 niespełna kopiejki. Istotna zatem wartość produkcji dla tej gubernii powinna być prawie podwójną. Dla Piotrkowskiej mamy wartość odpowiednią 5 rub. 27 kop. za pud. Dla Warszawskiej, nie zważając na wyborowe gatunki rafinady, tu głównie produkowane, wypada stosunek za wysoki, bo 7 rub. kop. 3 za pud. Oczywiście tak niski szacunek dla gub. Kaliskiej w pierwszym wykazie jest rzeczą pomyłki lub niedokładności obliczenia, stwierdza to i sama ilość robotników, większa niż w gub. Piotrkowskiej. Co się tyczy zbyt wygórowanego, jak się wydaje, szacunku dla gub. Warszawskiej, jest on

zapewne skutkiem tego, że przy najbardziej tu udoskonalonych procedurach fabrykacji, produkcya rzeczywista o wiele przenosić musi przewidywania kontroli akcyznej, pilnującej się oznaczonych norm wydajności. Co wszystko przemawia za większą jeszcze cyfrą na oznaczenie wartości produkcji cukrowniczej krajowej, od podanej w wykazie.

Pomimo tych niedokładności, gdy weźmiemy jednak ogólny szacunek produkcji z pomienionych trzech gubernij: 7,577,353 rub. i podzielimy przez podaną ilość pudów 1,182,047, otrzymamy iloraz 6 rub. 41 kop., t. j. cenę fabryczną jednego puda, czyli funta kop. 16, cenę jak na fabryczną, nieco zawysoką, bardzo wszakże do rzeczywistości zbliżoną.

Zachowując otrzymany tym sposobem stosunek do ogólnej summy wartości produkcji cukrowniczej w roku 1870: 8,536,861 rub.; możemy wyrazić takową produkcją przez 1,331,803 pudy czyli 532,721 cetnar. a 53,272,100 funtów.

Przyjmując ogół ludności dla Królestwa w roku 1870 5,780,369 ¹⁾, produkcya cukru wyniesie na jedną osobę 9 funtów i 1 ¹/₃ łuta.

Oznaczyć niepodobna jaka ilość z tego przypada na spożycie miejscowe, jaka zaś na wywóz poza obręb Królestwa.

Jeszcze jedną rażąca niestosowność dostrzegamy w 1-y m wykazie mianowicie: dla gub. Płockiej podano 500 robotników obok produkcji wartości 43,200 rubli. Która z dwóch tych pozycij grubym jest błędem? nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć.

Obecnie pierwsze miejsce pod względem doniosłości produkcji zajmuje cukrownia Ostrów, założona w 1853 roku w powiecie Kutnowskim, a należąca do p. L. Kronenberga i s-ki. Produkcya tego zakładu szacowaną jest przeszło na półtora mil. rubli.

Dla lepszego jeszcze uwatdnienia stanowiska i warunków przemysłu cukrowego, podajemy z ostatniego pięciolecia szczegółowsze daty, dotyczące guberni Warszawskiej, tego głównego siedliska cukrownictwa krajowego:

	1867 r.	1868 r.	1869 r.	1870 r.	1871 r.
Ilość zakładów	21	22	21	20	20
Wartość produkcji rocz. rs.	4340344	3781029	4537325	6653403	5817803
Ilość robotników	7398	7548	7827	8101	7904
— z téj liczby cudzoziem.	1880	1745	1772	1390	1275
Płaca robotników	768630	687173	852833	957920	853974
Wartość surowego mater. .	2037846	1781762	2102762	2885173	2610813

¹⁾ Ze Skorowidza do Dziennika Praw, wydanego w połowie 1870 r.

Widzimy też ztąd rozwój przemysłu stanowczy i postępowy, chociaż dostrzegać się daje niekiedy chwiejność warunkowana nieurodzajem buraków. Mamy nadto pocieszającą wskazówkę, że w tym przemyśle żywioł cudzoziemski nietylko stosunkowo, lecz i bezwzględnie rok rocznie się zmniejsza.

Krótki ten statystyczny rys przekonywa o dosyć kwitnącym u nas stanie cukrownictwa i o szybkich jego postępach. Nowo obowiązujące podniesienie akcyzy od wyrobu, czyli oznaczenie wyższej skali dla wydajności, nie zatamuje, sądzimy, dalszego rozwoju produkcji, gdyż podwyżka bardzo jest ostrożną i stopniowaną, naturalnie przeto przez konsumenta będzie zapłaconą.

Jest wszakże granica dla postępu i dalszego rozwoju produkcji cukrowej, a tę zakreśla właśnie stan gospodarstwa rolnego, t. j. możliwość uprawy buraków w korzystnych warunkach. Dziś trudno oznaczyć i przeprowadzić ową graniczną linię, zwłaszcza że ta znacznie daje się posuwać wraz z postępem samego rolnictwa.

Zapewne nie od rzeczy będzie przedstawić tu w krótkości stan cukrownictwa w Cesarstwie.

W roku 1825 tylko 7 było cukrowni

„ 1844 „ 206 „

„ 1858 „ 425 „

„ 1865 „ 273 z produkcją:

3,333,573 pud. wartującą 22 mil. rub. (robotników 61,672). W stosunku do ludności (71,908,453) wypadnie cukru wyprodukowanego na jedną osobę: 1 f. i 27 $\frac{1}{2}$ łuta. P. Buschen wszakże urzędowy wykaz produkcji uważa za nader niski i na przypuszczeniu opierając się podnosi do 4,500,000 pud. W tym stosunku przypadłoby na osobę 2 f. 17 $\frac{1}{2}$ ł.

W kampanii zaś 1869/70 r. ¹⁾ w Cesarstwie ilość cukrowni wynosiła: 230; produkcya 3,480,000 pud. podług normalnego obliczenia; miała zaś niby wynosić 10,960,000 pud. podług rzeczywistej wydajności. W pierwszym razie przypadłoby na osobę (przyjmując ludność Cesarstwa oprócz Królestwa w r. 1870 około 75 mil.) 1 f. i 27 $\frac{1}{2}$ łuta, w drugim zaś 5 f. i 27 łuta na osobę.

Z porównawczego zestawienia jedna jeszcze nastęrcza się uwaga, mianowicie że, przy ogromnym wzroście produkcji, ilość cukrowni ostatnimi czasy powszechnie (u nas, w Cesarstwie, we Francyi) się zmniejsza; a więc przedsiębiorstwo cukrowe wymaga coraz większych zakładów a zatem i znacniejszego kapitału. U nas zaś jeden zakład produkował wartości za 218893 rub.; liczył 316 robotników, z których każdy przyczynił się do wytworu w stosunku 691 rub.

¹⁾ Ekonomista 1871. Listopad (z Dz. W.).

6. Gorzelnictwo.

Gorzelnictwo od czasów dawnych ma u nas cechę rolniczo-ziemiańską. Służy rolnictwu, przerabiając ziemiopłody nie wytrzymujące dalekiego transportu z powodu kosztownej a trudnej komunikacji, przytém nie znajdujące w miejscu korzystnych nabywców dla braku ognisk przemysłowych; służy mu jeszcze bardziej, zasilając rolę nawozem otrzymywanym z wywarów.

Przemysł ten jako posiłkowy czynnik gospodarstwa rolnego i ściśle z nié m zespolony, doszedł u nas do znacznego rozpowszechnienia, nie osiągnąwszy wszakże doskonałości technicznej.

Przy niewysokim stosunkowo opodatkowaniu wyrobu okowity aż do r. 1866 i wyraźnej protekcji w tój mierze udzielanej gorzelniom małym, aparatom mniej doskonałym, gorzelnictwo w swym pierwotnym kształcie mogło istnieć i rozwijać się; lecz nowa ustawa akcyzy zaprowadzona w r. 1866 postawiła dla gorzelnictwa krajowego odmienną rację bytu i nowe zadania. Dając określone normy wydajności z każdego produktu i bez względu na rzeczywistą wydajność, stosując wysokie opłaty, ustawa z 1866 r. prowadzi gorzelnictwo na tor samoistnego fabrycznego przemysłu, którego naczelném zadaniem być powinna jak największa wydajność, a przeto najwyższa superata okowity. W obec takich warunków przemysł ten wymaga znacznego nakładowego kapitału, dokładnej znajomości techniki i udoskonalonych aparatów, a to pod karą strat niezawodnych i ruiny.

Tak więc ustawa prędko i stanowczo nowe dla gorzelnictwa wytworzyła warunki, lecz w praktyce przemysłowej, jak w ogóle w świecie zjawisk ekonomicznych, dawne podstawy istnienia nie łatwo zastąpić się dają nowymi, a proces przeobrażania się przemysłu jest zawsze powolny i trudny. Dopiero koleją czasu i bolesnego częstokroć doświadczenia zdobywa się wyrozumienie nowego położenia i przysporzenie środków niezbędnych dla zadośćuczynienia nowym potrzebom i wymaganiom nowym.

Sądzi my, że gorzelnictwo nasze nie było jeszcze wyszło z okresu przesilenia stworzonego ustawą 1866, gdy tymczasem szybki pochód ustawodawstwa przywiósł mu w r. 1872 nowe jeszcze warunki, redukując korzyści z superaty na rzecz producenta pomiędzy 6^o/_o a 12^o/_o.

Otóż przepisy obowiązujące od r. 1872 z większą jeszcze mocą i stanowczością wpłyną na usunięcie się z widowni pomniejszych gorzelni i nadanie tym, co się ostać zdołają charakteru wyłącznie fabrycznego.

W czasie teraźniejszym, jak w każdym zresztą przesileniu, stan przemysłu gorzelanego nie jest kwitnącym. Chociaż dokonał się znaczny postęp pod technicznym względem, mimo to dla znakomitej większości producentów fabrykacya okowity nie przynosi zysku. To pewna jednak że każdy przemysł z ustrojem ekonomicznym ściśle związany, trwa i stoi przez pewien czas samą swoją mocą, zachowawczą, wytrzymując

nawet straty bądź w nadziei zwalczania trudności, bądź też dla braku ścisłości rachunkowej, zwłaszcza w procederze do tyła z gospodarstwem wiejskiem zespolonym. Nadto zachodzi tu jeszcze jeden wzgląd, nakazujący fabrykacyą z pewnemi nawet stratami, a względem tym są konieczne wymagania gospodarstwa rolnego, opierającego się przeważnie na gorzelnii, t. j. konieczność produkcyi paszy czyli nawozu: mówię o gospodarstwach, które łąk naturalnych nie posiadają.

Owoż cała ta summa trudnych dla gorzelnictwa warunków, obok innych ważnych przyczyn, wpływa widocznie na zmniejszanie się nietylko ilości gorzelnii, co jest wynikiem nowych przepisów, lecz i na zmniejszanie się samej produkcyi okowity. Praktyka pokaże, czy na skutek przepisów 1872 r. upadek ten nie pójdzie znacznie jeszcze dalej.

Przejdźmy teraz do wykazania stanu gorzelnictwa w Królestwie na podstawie dat statystyki urzędowej z r. 1870.

Gubernie	wartość prod. rocznej na ruble	ilość robotników	ilość gorzelnii
Kaliska	2098299	930	194
Piotrkowska	1796770	804	180
Lubelska	1463308	621	133
Warszawska	1391394	761	156
Kielecka	1373678	554	123
Siedlecka	1045163	600	110
Radomska	884305	448	87
Płocka	580484	253	27
Suwalska	459591	296	82
Łomżyńska	371815	282	52
Razem	11464807	5549	1144

W stosunku do ludności przypadnie zatem rocznie na jedną osobę okowity za 1 rs. i 98 kop. podług ceny tylko fabrycznej. Jedna gorzelnia na 5,052 mieszkańców; produkcyja zaś roczna jednej gorzelnii przecięciowo wyniesie 10,000 rs.

Mamy przytém możność zestawienia podanego wykazu z datami, uzbieranemi inną drogą, drogą urzędu akcyzy dla trzech gubernij, mianowicie :

GUBERNIE	r. 1868/9	1869/70	1870/71	1871/72	
Kaliska	819506	771715	675434	645244	Wyprodukowano wiader spirytusu 100%
Piotrkowska	660704	597825	529106	448998	
Warszawska	603543	517082	594351	485430	
Razem .	2083753	1886622	1798891	1619672	

Zestawiając pierwszy wykaz z pozycją drugiego 1869/70, otrzymamy szacunek produkcji na rub. dla trzech tych gubernij 5,286,463; dzieląc takowy przez ilość wiader 1,886,622, iloraz 2 rs. 80 kop. wyraża cenę fabryczną wiadra czystego 100% spirytusu. Przyjmując tę ostatnią jako podstawę dla wynalezienia ilości wyprodukowanych wiader spirytusu w całym Królestwie, otrzymamy 4,094,573 wiader spirytusu czyli 0,70 wiad. na jedną osobę. Podług tego obliczenia akcyza pobrana w Królestwie miałaby wynosić 16,378,292 rs. mniej o wolną od akcyzy superatę, której stosunku nie jesteśmy w stanie oznaczyć. Zdaje się jednak, że ta ostatnia pozycya mniej więcej zrównoważoną być może opłatami patentowemi na sprzedaż okowity. Biorąc tylko 16 mil. rs., w stosunku do ludności wypadnie na osobę 2 rs. i 76 kop. A zatem wedle przypuszczalnej rachuby jeden mieszkaniec w przecięciu płaci rocznie za wódkę:

producentowi 1 rs. 98 kop.
 podatków 2 „ 76 „
 Łącznie . 4 rs. 74 kop.

Wykaz produkcji okowity dla trzech gubernij za ostatnie cztery lata wyświadcza, że produkcya okowity idzie w odwrotnym do produkcji cukru stosunku: o ile ta wzrasta, o tyle tamta również stanowczo i szybko zmniejsza się i upada. To się potwierdza też szczegółowym wykazem dla gubernii warszawskiej z ostatniego pięciolecia:

	1867 r.	1868 r.	1869 r.	1870 r.	1871 r.
Ilość gorzelnii	161	156	158	156	131
Wartość produkcji rocznej.	1677354	1796637	1613329	1391394	1301499
Ilość robotników	774	801	756	761	626
Płaca tychże	100277	96083	94846	86615	79704
Wartość surowego mater. .	981161	921893	730767	670456	619883

W r. zaś 1844/5 ilość gorzelnii czynnych i nieczynnych wynosiła 3,086 z produkcją roczną 3,864,851 wiader okowity.

W r. 1856/7 2,656 gorzelnii z produkcją 4,476,070 wiader. W stosunku do ludności (4,773,760) przypadnie na osobę 0,93 wiadra okowity.

Weźmy dla zestawienia produkcją gorzelną w Cesarstwie. Podług p. Buschen w r. 1865 produkcya czystego spirytusu w 3,579 gorzelniach wynosiła 22,405,572 wiader. Ponieważ ilość podana spirytusu zmieszana z wodą dają dla zwyczajnego spożycia około 60 mil. wiader wódki, targowa zaś cena wiadra wynosi rs. 5, zatem p. Buschen wartość produkcji tej gałęzi przemysłu podaje dla Cesarstwa w okrągłej cyfrze 300 mil. rub. Niepodobna jednak przystać na taki sposób szacowania. Pominięta bowiem opłata akcyzy: 5 kop. od stopnia czyli 5 rub. za wiadro czystego spirytusu, zatem więc na sam podatek akcyzy, ów składowy pierwiastek ceny targowej, przypadłaby summa 112,027,860 rs., która żadną miarą na rzecz produkcji nie powinna być zaliczoną.

Ludność Cesarstwa tym wykazem produkcji objęta (za wyjątkiem Finlandyi i Kaukazu) wynosiła w 1863 r. 65,951,622.

Produkcya zatem czystego spirytusu w stosunku do ludności przypada 0,34 wiadra na jedną osobę ¹⁾; wódki zaś 0,91 wiadra. W charakterze zaś konsumenta osoba każda miałaby płacić za wódkę 4 rs. 54 kop. Gorzelnia jedna przypada na 18,427 mieszkańców.

Zapewne mogą się znaleźć pewne niedokładności w podanych danych, dotyczących przemysłu gorzelniczego Królestwa; wnosząc atoli z należytą ostrożnością, na podstawie tychże dostrzedz się daje nadmierny rozwój produkcji w stosunku do ludności i do warunków ekonomiczno-handlowych kraju. Przytoczone szeregi liczb, wykazujące stopniowe a ustawiczne zmniejszanie się produkcji okowity, zdają się to potwierdzać. Toż samo stwierdza i owa stała tendencya ceny targowej na okowitę do regulowania się niżej od ceny fabrycznej, czyli że fabrykacya prowadzoną bywa na stratę.

Jeżeli wierzyć mamy statystyce, toć u nas w r. 1870 wyprodukowano czystego spirytusu na osobę (0,70 wiadra) dwa razy więcej niżeli w Cesarstwie w r. 1865 (0,34 wiad.). Bylibysmy więc stosunkowo jednym z główniejszych w świecie producentów a zatem i konsumentów upajającego żywiołu, przez ludzi wszech wieków i krajów wynajdywanego dla pozbycia się rozumu, jak mówi poważny statysta Moreau de Jonnés. Dodałem i konsumentem, gdyż okowita nasza nie jest prawie przedmiotem handlu

¹⁾ Zdaje się że wykazana produkcya jest przynajmniej o tyle od rzeczywistości niższą, o ile anmaryczny szacunek uprzednio wskazany przynosi prawidłowy w tej mierze rachunek.

wywózowego. Za granicę mało iść może z powodu zbyt skomplikowanych formalności wywozu i udoskonalonych tam procederów wytworu; do dalszych zaś miejscowości Cesarstwa z powodu kosztów transportu i tańszej tam, na skutek niskich cen zboża i opału, produkcji. Tę trochę odbytu jaki mieć może okowita do ościennych gubernij Cesarstwa równoważy przywóz przemycanej na dłuższej granicznej linii z Austryą i Prusami; wygórowana bowiem cena będąca skutkiem wysokiej akcyzy, jest na zbyt silną podniętą i wystarczającą assekuracją dla przemysłników. Z drugiej znowu strony przemycanie oddziaływa w pewnej mierze na obniżenie ceny fabrycznej.

Sądzimy więc, że nie sama ustawa akcyzy, lecz głównie i przeważnie nadmiar produkcji spowodował w ostatnich latach zmniejszanie się tego rodzaju fabrykacji. Nietylko bowiem podatek akcyzy, lecz wszelkie uciążliwości i krępujące przepisy dozoru w ekonomicznie prawidłowych warunkach spaść muszą na konsumenta. Ten zaś brak równowagi wyniknął ztąd, że nasze gospodarstwo rolne z dawien dawna nauczyło się i przyzwyczało zasilać się głównie gorzelnią jako fabryką nawozu. Skoro zatem warunki ustawy akcyznej nakazały udoskonalenie procederu fabrycznego i zwiększenie wydajności, powstał nadmiar, dla odwrócenia którego nie posiadamy rynków zbytu. A więc istota rzeczy i prawo ekonomicznej równowagi kieruje redukcją, zanim się ustali właściwa w tej mierze granica, a skutkiem tego ułożą się prawidłowe dla fabrykacji okowity warunki.

7. Dystylarnie.

Z całkowitej produkcji krajowej rozmaitych wódek, likworów i araku, na Warszawę przypada połowa t. j. za sumę około 1 mil. rs.

Wszakże w głównym materiale statystycznym, na podstawie którego stawiamy daty dla r. 1870, świeci tuszczerba, którejśmy nie zdołali wypełnić, co jeszcze bardziej zobowiązuje do liczbowego przedstawienia wyników z tej gałęzi wytworu. Otóż w szczegółowych wykazach gubernii: Lubelskiej, Siedleckiej i Płockiej pominięte zostały całkowicie istniejące tam bez najmniejszej wątpliwości dystylarnie. W pozostałych zaś stan produkcji w r. 1870 tak się przedstawia:

Gubernie i miasta	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakładów
Warszawa	968409	67	15
Piotrkowska	253710	58	10
Kaliska	237280	42	8
Radomska	179920	17	5
Warszawska	66620	20	8
Łomżyńska	50600	13	3
Kielecka	50000	18	6
Suwalska	29009	17	3
Razem .	1835548	252	58

Uwzględniając produkcją pominiętych gubernij, całkowitą jej wartość dla Królestwa śmiało przyjąć można przeszło za 2 mil. rs.

W r. 1857 dystylarni 25 wyprodukowało araku i likworów za 207,776 rs., zatrudniając 159 robotników.

W dziele p. Buschen, którym posługujemy się dla porównawczego zestawienia produkcji przemysłowej Cesarstwa, dla tej gałęzi niema rubryki oddzielnej, wartość zaś jej produkcji obejmuje summa ogólna powyżej przez nas dla gorzelnictwa podana.

8. Browary i 9. Warzelnie miodu.

Śród różności znanych dzisiaj z użycia trunków, bez zaprzeczenia do najbardziej rodowitych u nas należą: piwo i miód.

Rodowód ich gubi się jeszcze w słowiańskim społeczeństwie naszej spowiciu i zapewne starożytniejszym być musi od prastarego ofiarnego rogu Światowida, niegdyś podobno napojami temi napelnianego.

Już w brzasku dziejów, na ucztach Piasta, ukazują się legendowe postacie jego gości cudownie przymnażające piwa. A najdawniejsze dyplomata wzmiankują o wyrobie piwa podwójnego ¹⁾. W taksie stanowionej dla Krakowa przez wojewodę Firleja w roku 1573 znajdujemy drobiazgową reglamentacją piwowarstwa, obejmującą między innymi przepisami i zakaz warzenia piwa z jęczmiennego siodu lub innego zboża, ma ono być tylko z czystej pszenicy ²⁾.

¹⁾ Dyploma fundacyi kościoła w Górze 1067. (Zbiór Pamiętników historycz. o dawniej Pol. T. I.)

²⁾ Tenże Zbiór T. III.

Nie mamy tu ani możności, ani zamiaru badać koleje historyczne warzenia i sycenia tych napoi; nawiasowo tylko podnosząc tę godną uznania ich rodowitość w obec spanoszonego nowszych czasów dorobkowiecza, jakim jest okowita, przechodzimy do obecnego stanu produkcyi.

Gubernie	P i w o:			M i ó d:		
	wartość prod. rocznej na ruble	ilość robotników	ilość zakładów	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakładów
Miasto Warszawa.	494,100	155	12	5,000	3	1
Piotrkowska	245,758	160	40	4,740	11	6
Warszawska	187,748	173	50	600	2	1
Kaliska	111,359	146	47	3,415	16	12
Lubelska	97,005	150	49	2,604	8	4
Łomżyńska	93,164	125	41	2,020	13	7
Siedlecka	77,582	178	61	860	7	4
Radomska	73,724	114	35	1,770	6	3
Płocka	70,778	93	30	—	—	—
Kielecka	29,550	66	22	300	1	1
Suwalska	17,607	65	40	—	—	—
Razem...	1,498,375	1,425	427	21,309	67	39

Warzenie więc miodu w obecnych czasach jest małoznaczne, a łącznie z warzeniem piwa, wartość produkcyi wynosi przeszło półtora miliona rubli, czyli na osobę za 26 kop.

W roku 1857 produkcyja portera, piwa zbytkowego i wina szampańskiego, podaną jest na rubli 620,360, przytem browarów 36, robotników 443.

Dla Cesarstwa pań Buschen, łącząc wypadki produkcji fabrycznej i domowej, szacuje wartość ogólną około 15 milionów rubli. W tym stosunku wypada na osobę za kop. 20.

10. Młyny, tartaki i piekarnie parowe, młyny amerykańskie oraz wodne i wiatraki.

Mamy tu do czynienia z nader ważną gałęzią przemysłowej działalności, ona bowiem przerabia całą prawie zbożową produkcją rolnictwa, przeznaczoną w rozmaitej postaci na krajowe spożycie. Przetwarzając zaś taką olbrzymią masę surowego materiału, wartość swęj produkcji wyrazić powinna w kolosalnej cyfrze, o wiele przenoszącej podane dla każdej z oddzielnych gałęzi fabrycznego wytworu. Gdyby była możność dokładnego obliczenia, możeby cyfra takowa u nas równoważyła wartość produkcji wszystkich innych gałęzi przemysłu fabrycznego. Wyznajemy jednak, że zgromadzone przez nas daty, dotyczące tej gałęzi, nie odznaczają się ani zupełnością ani dokładnością pożądaną. Niektóre z wykazów gubernij wyszczególniają wypadki dla każdego rodzaju zakładów z osobna; inne podają je łącznie dla wszystkich zakładów całego działu; inne znowu, obejmując zakłady parowe, pomijają młyny zwyczajne; a są i takie (z gubernii Siedleckiej i Suwalskiej) co zakładów tego rodzaju zgoła nie zamieściły ¹⁾.

Uważaliśmy za najwłaściwsze wprowadzić do naszego wykazu tylko zakłady parowe i amerykańskie, a to témbardziej, że oznaczenie wartości produkcji pomniejszych młynów wydaje nam się dowolnym i od ścisłości dalekiem; musieliśmy wszakże odstąpić od pierwotnego zamiaru z powodu, żeśmy nie posiadali źródeł, co by dały możność wyróżnienia w niektórych guberniach, z ogólnie podanej masy młynów, części przypadającej na zakłady parowe i amerykańskie.

Nie opierając zatem żadnego z naszej strony wnioskania na tyle kruchój podstawie, podajemy tylko sam wykaz:

¹⁾ Wiadomo jednak, że w gub. Siedleckiej i Suwalskiej istnieją młyny parowe.

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakładów
Piotrkowska	2,621,500	1,186	809 ¹⁾
Warszawska	2,557,672	1,205	863 ²⁾
Miasto Warszawa. . .	1,437,702	255	48 ³⁾
Kielecka	629,224	486	270 ⁴⁾
Łomżyńska	369,000	26	3 ⁵⁾
Lubelska	335,323	79	14 ⁶⁾
Kaliska	232,596	72	14 ⁷⁾
Radomska	224,751	48	18 ⁸⁾
Płocka	38,850	19	4 ⁹⁾
Siedlecka	nie podana		
Suwalska			
Razem...	8,446,618	3,376	2,043

¹⁾ Łącznie dla wszelakiego rodzaju młynów.

²⁾ W tej liczbie młynów i tartaków parowych oraz młynów amerykańskich 15 z produkcją wartości 679,529 r., robot. 97. Nadto w Słodowcu (pow. warszaw.) i Błoniu (kutnowski) przy młynach piekarnie parowe.

³⁾ W tej liczbie 3 mł. parowe, prod. war. 1,291,802, rob. 207; wiatraków 40 war. prod. 88,900 r., rob. 40; konnych 4 wart. prod. 12,000, robot 4; 1 piekarnia parowa wart. prod. 45,000 r., rob. 4.

⁴⁾ 2 mł. parowe w. p. 225,756 r., rob. 60; ameryk. 11, w. p. 214,800 r., rob. 55; wiatraki i wodne 201, w. p. 150,095 r., rob. 266; tartak par. 1, w. p. 10,500 r., rob. 12; tartaków wod. 55, w. p. 28,073 r., rob. 93.

⁵⁾ 2 młyny par. w. pr. 368,100, rob. 23; tartak 1 w. pr. 900 r., rob. 3.

⁶⁾ Mł. parowych 7, w. pr. 287,618 r., rob. 51; tartaków par. 7 w. pr. 47,705, rob. 28.

⁷⁾ Mł. parowych 11, w. pr. 212,316 r., rob. 46; tartaków parowych 3, w. pr. 20,280 r., rob. 26.

⁸⁾ Mł. par. i ameryk. 7, war. pr. 215,494 r., rob. 32; tartaków 11 w. pr. 9,257, rob. 16.

⁹⁾ Mł. par. 3, w. pr. 22,850 r., rob. 15; tartak. par. 1, war. pr. 16,000 r., rob. 4.

Nie mamy podstawy dla porównawczego zestawienia wypadków produkcji z roku 1857, gdyż w wykazie ówczesnym znajdujemy z tego działu tylko 5 młynów parowych, zatrudniających 145 robotników i produkujących za 287,513 rubli.

Podług pana Buschen daty urzędowe z roku 1864 wskazują wartość produkcji młynarskiej w Cesarstwie około 10 milionów rubli, przytém tysiąc przeszło zakładów zatrudniających 6,400 robotników, za wyjątkiem naturalnie zwyczajnych wiatraków i młynów wodnych.

Ze stanowiska statystyki przemysłowej, nader ważném jest oznaczenie stosunku zachodzącego pomiędzy wartością materiału a wyrobem w tój mianowicie fabrykacyi, w której ta wartość surowego materiału tak dalece przeważa. Stosunek ten bowiem jedynie może wskazać jaka część ogólnej wartości produkcji przypada na czynnik przemysłowy, określa zatem istotne produkcyjne znaczenie tego czynnika w systemacie gospodarstwa krajowego.

By jako tako wyświetlić pomieniony stosunek, podajemy daty p. Moreau de Jonnés dla Francyi z 1850 roku.

Ilość młynów 34,079, poświęcających się młynarstwu robotników 78,510.

Wartość materiału użytego do przerobienia 1,024,042,000 fr.

Wartość wyrobów 1,178,813,000 „

Zatem na czynność fabryczną przypada summa 154,771,000 franków, czyli $\frac{1}{8}$ prawie część ogólnej wartości produkcji.

Biorąc stosunek powyższy produkcji młynarskiej do ludności (36 milionów) i przenosząc takowy do naszego kraju, otrzymalibyśmy wypadek około 48 mil. rub., na samą zatem czynność fabryczną około 6 mil. rub.

Kilkudziesięcioletnia praca autora na polu statystyki rolniczej i przemysłowej, poparta współdziałaniem władz, powinaby zdaje się dać rękojmnię możliwej dokładności dla cyfr powyżej przytoczonych. A przecież, rozpatrując się w dziele znakomitego ekonomisty francuzkiego Leoncyusza de Lavergne ¹⁾, doszliśmy do przekonania, że podana wartość zboża we Francyi, do przerobienia użytego, szacowaną jest za nisko. Pan Lavergne w podziale produktów z roli otrzymanych na każdego mieszkańca Francyi, wyznacza po 2 hektolitry pszenicy, oraz $1\frac{1}{2}$ hektol. żyta i innego ziarna ²⁾. Na spożycie zatem całej ludności przypadłoby 72 mil. hekt. pszenicy i 54 mil. innego ziarna. Otóż, licząc według ceny bardzo niskiej, bo hektolitr ³⁾ pszenicy tylko 15 fr., innego ziarna $7\frac{1}{2}$, wypadnie na samą pszenicę do spożycia, a więc do

¹⁾ Obraz gospodarstwa wiejskiego w Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Tłumaczenie z francuzkiego. Warszawa 1861.

²⁾ W pol. tłumaczeniu str. 170.

³⁾ Hektolitr = 0,78 korca.

przerobienia przeznaczoną, 1,080,000,000 franków: jest to więcej, niż cyfra ogólna wykazu pana Moreau de Jonnés; gdy zaś dodamy inne zboże, summa wyniesie 1½ miliarda franków.

Z szacownych zaś przypisów polskiego tłumacza dzieła pana Lavergne wysnuć możemy odnośny do naszego kraju stosunek.

Otóż według obliczeń z roku 1858 w Królestwie wypada dla pożywienia ludzkiego na jedną głowę:

pszenicy		9½	garncy
żyta	1 korz.	12	„
jęczmienia	„	16	„
grochu	„	6	„
gryki i prosa	„	4	„

Stosując do roku 1870 bardzo umiarkowane ceny (korzec pszenicy 6 r. 50 kop., żyta 3 r. 50 kop., jęczmienia 2,80, grochu 3,20, gryki i prosa 2,30) otrzymamy wartość wyszczególnionych produktów roślinnych, służących do pożywienia jednej osoby, 9 rubli, czyli w stosunku do ludności, dla całego Królestwa 52 miliony rubli, to jest summę materiału do fabrykacji młynarskiej wchodzącego; przymnożenie zaś wartości drogą fabrykacji osiągnięte około 8 milionów rubli (zachowujemy stosunek z wykazu Moreau de Jonnés). Tym sposobem w przypuszczeniu, że wytwór rolny w roku 1870 nie zmienił swojego do ludności stosunku, summa całkowitej naszej młynarskiej produkcji miałaby wynosić około 60 milionów rubli, na czynnik zatem przemysłowo-fabryczny przypadłoby około 8 milionów rubli.

11. Wyroby tabaczne.

Ogniskiem tego przemysłu jest Warszawa, gdzie produkcya tabaczna w rozmaitych kształtach wynosiła w roku 1870 przeszło dwa miliony rubli wartości, obliczonej podług cen fabrycznych. Za doliczeniem zaś opłaty banderoli i rabatów handlowych, czyli wartość w stosunku do ceny targowej, sądzimy, byłaby conajmniej podwójną. Oprócz Warszawy 5 tylko istnieje tego rodzaju zakładów fabrycznych: 1 w gub. Warszawskiej (Krośniewice), 3 w gub. Lubelskiej i 1 w Płockiej.

Podajemy wykaz szczegółowy:

Gubernie	wartość prod. rocznej na ruble	ilość robotników	ilość zakład. fabrycznych
Miasto Warszawa . .	2,048;056	1418	13
Warszawska	190,000	40	1
Lubelska	124,392	133	3
Płocka	71,702	84	1
Razem	2,434,150	1675	18

Wartość zatem produkcyi téj gałęzi przemysłu, dochodzi prawie do półtrzecia miliona rubli, w stosunku do ceny fabrycznej, czyli za 42 kopiejki na osobę; w charakterze zaś konsumenta jedna osoba płaci za krajowy wyrób tabacznym przeszło 80 kop. Bezwątpienia produkcya o wiele jeszcze nie wystarcza potrzebom miejscowym i przywóz wyrobów tabacznym z Cesarstwa, szczególnie tytoniu z fabryk petersburskich i cygar z fabryk rygskich odbywa się na znaczną dosyć summę. Przytém dwie główne fabryki tabaczne, należące do spółek: „Union“ i „Lafarme“ coraz więcej rozszerzają zakres działalności produkcyjnej. Skoro zaś to ma miejsce w tym właśnie roku to jest po zniesieniu istniejącej co do tego artykułu granicy celnej pomiędzy Królestwem i Cesarstwem, wnioskować więc można, że fabrykacja krajowa wytrzymać zdoła współzawodnictwo z fabrykacją Cesarstwa. Oprócz wymienionych dwóch firm, do znaczniejszym należą fabryki: Braci Polakiewicz, istniejąca od roku 1862, oraz Jawitz i S-ka założona w 1861 r.

Dla wyrobów tabacznym z r. 1857 i innych nie znaleźliśmy dat statystycznych.

W stosunku do potrzeb spożycia i fabrykacyi za mało rozwinięta u nas uprawa tytoniu, który w znacznej ilości sprowadzać musimy z Cesarstwa, a wyższe gatunki z zagranicy. Nie wiem czy warunki klimatu i roli nie dosyć sprzyjałyby u nas uprawie tytoniu, to pewna atoli, że w Cesarstwie uprawa ta pomyślnie się udaje i najbardziej upowszechniona w guberniach: Samarskiej, Czernihowskiej i Połtawskiej.

W roku 1864 było tam fabryk tabacznym 301 z wartością produkcyi około 14,500,000 rsr., czyli za 20 kop. na osobę.

12. Wyrób papieru i obić.

Najdawniejszym przedstawicielem przemysłu papierniczego u nas jest zakład w Jeziornie, sto lat przeszło istnienia liczący. Lecz dopiero od r. 1835, dzięki usiłowaniom Banku Polskiego ówczesnego właściciela Jeziorny, zaczyna się prawdziwy rozwój i udoskonalenie produkcyi papieru. Zaprowadzono odpowiednim postępowi techniki maszyny do wyrabiania papieru ciągłego i uzdolnionych fabrykantów, skutkiem czego doskonałość wyrobu podniosła się prawie do równi z zagranicą. Jako przedsięwzięcie jednak nie dawało Bankowi odpowiednich korzyści, więc zakłady w Jeziornie sprzedane zostały w r. 1869 p. Karolowi Roesler.

W roku 1842 przez bankiera p. Jana Epsteina założoną została papiernia w Soczewce, z zastosowaniem się do ostatnich udoskonaleni, doniosłością produkcyi i wzorowem urządzeniem przewyższająca pierwszą. W tym zakładzie od roku 1871 wprowadzono do fabrykacyi papieru użycie masy drzewnej.

W roku 1855 właściciel Pilicy (gubernia Kielecka, pow. olkuski) i położonej tam fabryki sukien i kortów, p. Moes założył téż papiernię na większą skalę ze znacznym nakładem.

Ostatnim nareszcie wielkim tego rodzaju zakładem jest papiernia w Mirkowie (gub. Kaliska, pow. Wieluński), z wielkim kosztem przez p. Banascha w r. 1868 urządzona. Lecz niedługo potem czynność jej ustała, tak, że z tego powodu produkcja jej nie została objęta wykazem 1870 roku. Niedawno przeszła ona na własność pp. Leopolda Kronenberga i Natansonów, a więc rychło zapewne zajmie pierwszorzędnę stanowisko w zawodzie papierniczym.

Oprócz wyszczególnionych, istnieją drobne tylko zakłady, wyrabiające niższe gatunki papieru i bibuły na summy nieznaczne.

Z fabryk obić najstarszą jest p. Vettera i S-ki w Warszawie, której wyroby już w r. 1845 na wystawie płodów krajowego przemysłu zyskały zaszczytne uznanie. Jednakże ostatniego rodzaju fabrykacja podobną dat urzędowych bardzo się zmniejszyła.

W roku 1857, 38 papierni wyprodukowało za 358,563 rsr., zatrudniając przytem 1068 rob., trzy zaś fabryki obić i papieru kolorowego za 135,200 rsr., czyli łącznie produkcja wynosiła około pół mil. rubli.

W roku 1870:

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakład. fabrycznych
Warszawska	345,500	595	3
Kielecka	252,700	281	5
Miasto Warszawa . .	59,100	56	4 ¹⁾
Piotrkowska	52,700	95	14
Lubelska	12,943	36	3
Radomska	3,330	12	4
Kaliska	700	6	2
Razem	726,973	1,081	35

Wyrobionego papieru według tego przypada na osobę prawie za 13 k.

Dostrzegamy, że w wykazach pominięte zostały niektóre drobne papiernie, lecz nie sądzimy, by to znaczny mogło mieć wpływ na wypadek ogólnej produkcji.

W Suwalskiej np. pominięto zakład do p. Szulca należący, położony około miasteczka Pren, a podający swoją produkcją około 200 rs. rocznie.

¹⁾ Pozycja ta zawiera całą produkcją krajową obić i papieru kolorowego.

W Cesarstwie istniały w r. 1864: 184 papiernie, produkujące za 6 m. rs. i 13,000 rob. zatrudniające. Na osobę przypada prawie za 8½ k. pap.

Ogólnie, w całym dziale niniejszym w r. 1870, wyprodukowano wartości na jedną osobę za 6 rs. 23 k; 1 robot. przyczynił się do wytworu w stosunku 1,302 r.; 1 zakład produk. w przecięciu za 8,041 r.; ilość przecięciowa robotnika na jeden zakład 6,13.

Dla uzupełnienia niniejszego działu produkcji przemysłowej podajemy wykaz szczegółowy pomniejszych gałęzi fabrykacji, przetwarzającej płody roślinne.

	13. Olejarnie	14. Wyroby cykory	15. Wyrób krochmalu
I. Wartość prod. rocznej.			
gub. Piotrkowska	28,466	—	—
„ Warszawska	25,846	63,840	6,240
miasto Warszawa	53,520	53,850	20,770
gub. Kaliska	52,130	3,210	—
„ Radomska	8,505	—	3,060
„ Kielecka	8,050	—	—
„ Lubelska	—	—	—
„ Siedlecka	—	—	—
„ Łomżyńska	17,696	—	—
„ Płocka	—	—	—
„ Suwalska	—	—	—
Razem...	194,213	120,900	39,070
2. Ilość robotników.			
gub. Piotrkowska	112	—	—
„ Warszawska	79	62	18
miasto Warszawa	7	30	10
gub. Kaliska	176	9	—
„ Radomska	22	—	1
„ Kielecka	32	—	—
„ Lubelska	—	—	—
„ Siedlecka	—	—	—
„ Łomżyńska	45	—	—
„ Płocka	—	—	—
„ Suwalska	—	—	—
Razem...	473	101	29
3. Ilość zakł. fabrycznych.			
gub. Piotrkowska	60	—	—
„ Warszawska	45	5	2
miasto Warszawa	2	3	3
gub. Kaliska	94	4	—
„ Radomska	16	—	1
„ Kielecka	11	—	—
„ Lubelska	—	—	—
„ Siedlecka	—	—	—
„ Łomżyńska	26	—	—
„ Płocka	—	—	—
„ Suwalska	—	—	—
Razem...	254	12	6

III. Przetwory płodów zwierzęcych.

21. Garbarstwo i białoskórnicstwo.

Warszawa jest ogniskiem tego przemysłu, nie tylko ze względu na wielkość produkcji, lecz bardziej jeszcze ze względu na ulepszone sposoby fabrykacji i doskonałość wyrobów.

16. Wyrób m-sztardy i octu	17. Zakłady fabr. stol. i i. z drzewa wyr.: ram złoconych, korków etc.	18. Zakł. wyrabiające terpent., smołę i dziegieć	19. Fabryki powozów	20. Fabryki fortepianów i organów
—	158,970	27,573	—	—
14,320	—	2,361	—	—
24,280	68,100	—	135,470	64,754
16,140	—	2,265	4,710	5,000
750	9,000	1,605	—	—
800	—	7,500	—	—
—	—	—	—	—
—	—	—	—	—
3,705	—	43,618	—	—
2,337	—	2,350	—	—
—	—	—	—	—
62,332	236,070	87,272	140,180	69,754
—	284	178	—	—
13	—	10	—	—
5	115	—	225	52
46	—	12	21	9
1	4	14	—	—
3	—	97	—	—
—	—	—	—	—
—	—	—	—	—
14	—	93	—	—
3	—	10	—	—
—	—	—	—	—
85	403	414	246	61
—	75	140	—	—
10	—	5	—	—
3	9	—	13	4
23	—	4	3	1
1	1	5	1	—
2	—	48	—	—
—	—	—	—	—
—	—	—	—	—
11	—	28	—	—
2	—	2	—	—
—	—	—	—	—
52	85	232	16	5

To też na wszystkich wystawach przemysłowych ostatniego dwudziestolecia, skóry nasze znajdują zaszczytne uznanie.

Obecnie na czele tego przemysłu stoi firma K. A. Temler i L. Szwe-de. Zakład ich jeden z najdawniejszych, istniejący bowiem od r. 1787, rozwijając się i coraz bardziej rozszerzając swoje działalność, w r. 1859 wznosił nowe zabudowania fabryczne w części miasta niezaludnionej z godną uznania dbałością i względnością tak na potrzeby materyalne, jako i duchowe pracującej ludności. Kosztem właścicieli urządzoną została szkoła i czytelnia. W r. 1865 wartość rocznej produkcji osiągała cyfry 600,000 rub.; z tego za 120,000 rub. wyrobu szło na wywóz do Cesarstwa, 10—15 tysięcy do Niemiec i Anglii; fabryka zatrudniała od 200—250 robotników.

Oprócz innych nagród i medali z rozmaitych wystaw, zakładowi temu na moskiewskiej 1865 r. przysądzoną była najwyższa nagroda: herb państwa.

Dawną też i zasłużoną jest firma J. H. Liedtkie, istniejąca od roku 1838 i celująca też dobrocią wyrobów, które jednając zawsze dla siebie opinię sędziów wystawowych, zdobywają złote medale, jak to miało miejsce temi czasy i na ostatniej politechnicznej w Moskwie: wielki medal złoty; a nadto zakład miał patent na machinę do szpaltowania skór wielkich własnego systemu. W roku 1866 wartość jego produkcji podana na 125,000 rub. i przeszło stu robotników. Połowa wyrobu przeznaczoną była na odbyty krajowy, $\frac{1}{4}$ do Cesarstwa i $\frac{1}{4}$ do Prus i Anglii.

Z prowincjonalnych najbardziej renomowaną jest garbarnia w Radomiu, przeniesiona z Warszawy w 1856 r. a należąca do p. Frölich. Tej produkcya wynosiła około 60,000 rub. przy 30 rob.; a wyroby cieszą się szerszym odbytem: idą do Warszawy i Cesarstwa.

Podajemy tu dla przemysłu garbarskiego i białoskórniczego Królestwa, wykaz z 1870 roku:

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakł. fabrycznych
Miasto Warszawa . .	1,490,304	546	27
gubernia Radomska . .	204,724	141	32
„ Kaliska . . .	178,373	181	65
„ Piotrkowska . .	123,540	154	105
„ Warszawska . .	83,396	97	40
„ Siedlecka . . .	79,195	126	59
„ Lubelska . . .	50,185	65	21
„ Łomżyńska . .	42,524	102	41
„ Kielecka . . .	39,050	82	32
„ Płocka	21,000	26	10
„ Suwalska . .	nie podana		
Razem . .	2,312,291	1,520	432

Mniemamy jednak, że cyfry wykazu są za niskie; tak np. dla Warszawy oznaczoną jest wartość produkcyi na półtora mil. tymczasem same tylko zakłady pp. Temlera i Szwede już w roku 1866 produkowały za 600 tysięcy. Wiadomo atoli, że od tego czasu coraz szerszy odbył do Cesarstwa i za granicę, oraz wzorowe prowadzenie przedsiębiorstwa, zakres produkcyjnej działalności tych zakładów znakomicie zwiększyły, jeżeli nie zdwoiły. Oprócz zaś pomienionej, istnieje tu jeszcze kilka firm bardzo znacznych i zamożnych.

W roku 1857, 711 garbarni zatrudniając 3,361 robot. wyprodukowały za 890,556 rubli. Daty więc stwierdzają znakomity postęp tej gałęzi przemysłu, w ciągu bowiem lat 13-tu, produkcyja prawie się potroiła. A nadto, jak dalece posuniętemi zostały sposoby fabrykacyi wskazuje stosunek wartości produkcyi do ilości robotników; gdy w roku 1857 jeden robotnik w tym zawodzie produkował wartości tylko za 261 rubli przecięciowo; w 1870 r. zaś, za 1521 rub., a w samej Warszawie za 2729 r.

W ogólności przemysł garbarski ma u nas naturalną podstawę dla wzrostu, gdyż obecnie, nawet pomimo jego rozwoju, znaczna dość ilość skór niewyprawnych z Królestwa i Cesarstwa idzie za granicę, w latach 1870 i 1871 przez trzy komory około 16 tysięcy pudów, nie licząc Wierbołowskiej, gdzie wywóz sięgał 25 tysięcy pudów.

Owóż zadaniem jest przemysłu krajowego w rubryce wywozu zastąpić pozycyę surowego materiału produktem obrobionym.

Cesarstwo posiada niezmierną obfitość surowego materiału, który przy należytem użytkowaniu stanie się niepospolitem źródłem bogactwa. A i obecnie, według p. Buschen, doniosłość tego przemysłu jest znaczną: dla 1864 r. podaje on 2473 garbarni, 13,000 robotników; wartość produkcyi 34,650,000.

Dodać jednak winniśmy, że ostatnia pozycya jest wynikiem przybliżonego szacowania, opierającego się głównie na ilości pozostającego w kraju materiału surowego. Do tej gałęzi zalicza się nadto: a) wyrób kozuchów 18 mil. rub. sięgający. b) Wyrób skór reniferowych, kozich, safianów, skór lakierowanych za 4 mil.; tak, że ogółem produkcyja całej gałęzi ma wynosić potężną sumę 56 mil. rubli.

22. Fabryki świec, mydła, oraz topielnie łoju.

Najznaczniesze tego rodzaju zakłady położone są w Warszawie i jej okolicach, a najcelniejszym ich wyrobem są świece stearynowe. Produkt to jeszcze nowoczesny, zaledwie od pół wieku światu znany, a rozpowszechniony dopiero w dwudziestopięcioleciu ostatniem.

W kraju naszym dosyć wcześnie powstała i rozwinęła się ta gałąź fabrykacyi, mianowicie około roku 1838 urządzoną została w Warszawie fabryka p. Karola Scholtze, a w roku 1842 pp. Adama Epsteina

i Lewy. Ostatnia przodowała pod względem obszerności i urządzenia. Już na wystawie płodów przemysłu krajowego 1845 r., wyroby pomienionych fabryk zyskały pochwały znawców i przychylnie uznanie przyjaciół przemysłu krajowego. W owym czasie fabryki te nietylko zadość czyniły potrzebom miejscowego spożycia, ale nadto część ich wyrobów odbyła do ościennych gubernij Cesarstwa, a nawet Berlina. Tak więc fabrykacya stearyny w pierwszej dobie istnienia zapowiadała świetny rozwój.

Zakład p. Scholtze, jako fabryka świec i mydła, liczy sto lat przeszło istnienia. Właściciel onego, poznawszy za granicą mało jeszcze upowszechnioną wówczas fabrykacyą świec stearynowych, w 1838 roku wprowadził ją do swego zakładu. W roku 1840 zakład przeniesionym został do wsi Szopy Niemieckie i znacznie rozszerzonym. W roku 1866 wartość produkcji wynosiła 240,000 rub. przy 80 robot. Zakład zaś pp. Epsteina i Lewy wyrabiał świece, oleinę, mydło, kwasy siarczane i produkta chemiczne za sumę około 300,000 rub., zatrudniając 150 robot.

Oprócz pomienionych dawnych przedstawicieli tego przemysłu w roku 1852 przybył jeden jeszcze na znaczną urządzony skalę, nie ustępujący prawie pod względem doniosłości produkcji dwóm poprzednim. Jest to zakład p. Hoeha w Grochowie. W roku 1866 wartość jego produkcji (świec stearynowych i mydła oleinowego) przynosiła 200,000 rubli.

W roku 1870 fabryki świec stearynowych i łojowych, mydła oraz topielnie łoju:

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakł. fabrycznych
Warszawska	575,748	164	17 ¹⁾
m. Warszawa	485,200	110	7 ²⁾
Lubelska	114,844	27	9
Kaliska	91,485	62	21
Piotrkowska	73,280	44	14
Płocka	35,347	6	2
Radomska	15,642	14	6
Siedlecka	12,027	40	23
Kielecka	9,833	16	6
Łomżyńska	4,725	11	7
Suwalska	nie podana		
Razem	1,418,131	494	112

¹⁾ W tej liczbie jedna topielnia łoju we wsi Młociny (pow. Warszawski) z produkcją 94,500 rub. i 5 robotnikami.

²⁾ W tej liczbie 2 zakłady mydła toaletowego i pachnidła z produkcją 45,000 rub. i 22 robotnikami.

W roku 1857 fabryki świec stearynowych, woskowych w liczbie 41 zatrudniały 418 robotników i wyprodukowały za 1,021,646 rs. Z zestawienia powyższych wypadków mamy prawo wnioskować, że w tym przemyśle stosunek dla obecnego czasu mniej jest korzystnym. Chociaż bowiem summa wartości wyrobu w roku 1870 jest nieco większą, wcale atoli nie w odpowiednim do zwiększonych potrzeb i do rozwoju innych gałęzi stosunku. Wywóz wyrobu po za granice kraju, dzisiaj zdaje się zgoła nie mieć miejsca, albo też bardzo jest ograniczonym; gdy tymczasem świece stearynowe fabryk Cesarstwa, a szczególnie Petersburskiej, Newskiej, coraz bardziej współzawodniczą z wyrobami naszymi, nawet tu w Warszawie, w samym ognisku produkcji. Bez zaprzeczenia fabryki Cesarstwa z wielu względów w korzystniejszym zostają położeniu. Na olbrzymich południowo-wschodnich stepowych pastwiskach, Cesarstwo w wielkiej obfitości a w warunkach najtańszych produkuje łój. Bogaty zaś naturalny systemat wodnej komunikacji ułatwia dostarczenie takowego aż do miejsca fabrykacji za opłatą najtańszego stosunkowo frachtu. Nasze zaś fabryki, w części zaopatrując się z tamtąd w łój, oprócz kosztów pośrednictwa, dopłacać jeszcze muszą znaczną różnicę ceny frachtowej.

W obec takich zatem warunków walka współzawodnictwa zapewne dosyć trudną się staje i wytworzyć może groźne dla miejscowego przemysłu następstwa. Takie jednak krytyczne chwile, chwile przesileni, podniecają niekiedy ducha do wysiłku, budzą wynalazczość i dążność do ulepszeń w samym procederze wytworu. Miejmy tedy nadzieję, że i nasze fabryki godnie wytrzymają toczącą się obecnie walkę współzawodnictwa przez wyszukanie i zastosowanie do fabrykacji tańszych sposobów, a zatem przez znakomite obniżenie ceny wyrobów. Jest to najzaszytniejsze i najtrwalsze dla przemysłowców zwycięstwo, bo zarazem jest ono tryumfem interesu ogólnego.

Tymczasem w interesie przemysłu i samych przemysłowców pozwalamy sobie jeszcze zwrócić uwagę na potrzebę usunięcia ustalonego tutaj w tym zawodzie, a rzucającego najgorsze pozory, zwyczaju: mówię o przygotowywaniu dla handlu paczek świec stearynowych, mających ni by jeden funt wagi przedstawiać, a w rzeczywistości zawierających o kilka lutów mniej. Nie znam wprawdzie historii tego zwyczaju i przyczyn jego powstania; nie wiem tedy czy zwyczaj takowy stanął w obec konsumenta z dobrą wiarą, otwarcie i jawnie, czy też przecisnął się stopniowo i podstępnie aż nim został poznany. W każdym atoli razie, dzisiaj nawet jeszcze rzuca jakiś cień niepotrzebny na tyle konieczny stosunek nauki, jaki istnieć powinien pomiędzy producentem a konsumentem, dając przytępionemu współzawodnictwu gotową broń do ręki i rację uzasadnioną do reklamy i rekomendowania produktu pełnej wagi.

W Cesarstwie 695 topielni łoju zatrudniało od 6 do 7 tysięcy robotników, przerabiając na sumę około 24 mil. rub. Więcej niż połowę, t. j. około 5 mil. pudów topionego łoju, zużywa fabrykacja krajowa, mianowicie:

575	fabr.	świec	z 2,500	robot.
312	„	mydła	„ 1,400	„
13	„	stearyny	„ 2,019	„

Fabrykacja stearyny i świec stearynowych daje od 600 do 700 tysięcy pudów, wartości od 6 do 7 mil. rub. Fabrykacja zaś świec łożowych daje rocznie około 1 mil. pudów, wartości od 6 do 7 mil. rub. Wartość wyrobionego mydła wedle źródeł urzędowych wynosiła 3 mil. rub.; lecz na zasadzie wiadomych p. Buschen dokładniejszych danych podaje on takową na 6 mil. rubli.

Wartość zatem produkcji, wypływającej ze samej fabrykacji, wynosi, podług p. Buschen, około 20 mil. rub.

Do tego działu należy jeszcze zaliczyć:

23. Fabryki kleju i wypalania kości.

Znaczniejszy zakład do palenia kości istnieje od roku 1864 w Sosnowicach (Gubernia Piotrkowska) i należy do p. Teodora Schörnera i S-ki; wartość produkcji w r. 1870 wynosiła 81,850, ilość robotników 46. Połowa wyrobu przeznaczoną była na wywóz do Szlązka Pruskiego.

W mieście Warszawie zaś są zakłady z produkcją wynoszącą 11,550 rub. i ilością 19 robotników.

Ogółem zatem 4 zakłady, wartość produkcji 93,400 rub., ilość robotników 65 ¹⁾.

IV. Przetwory chemiczne.

24. Fabryki wyrobów chemicznych i farb olejnych.

W tej gałęzi pierwsze miejsce należy się zakładom istniejącym w Warszawie pod firmą Hirschmann, Kijewski i Scholtze. Fabryka przetworów chemicznych założona w r. 1820. W r. zaś 1865 fabryka sody z kryolitu grenlandzkiego. Na wystawie 1870 roku w Petersburgu dla wyrobów tych zakładów przyznano medal złoty i oprócz miejscowego, mają one odbyć w Cesarstwie.

Oprócz zakładu świec stearynowych pp. Epsteina i Lewy, wyra-
biającego tóż i produkta chemiczno, dla którego wypadki produkcji powyżej łącznie podane były w wykazie świec, fabrykacja tego rodzaju w roku 1870 tak się przedstawia:

¹⁾ Wyrób kleju w zakładach garbarskich, objęty jest wykazem dla tych zakładów podanym.

Miasto Warszawa	wart. prod. rocz.	192,980	ilość rob.	94	ilość zak.	2
Gub. Warszawska	„	23,340	„	12	„	2
Razem. . . .	„	216,320	„	106	„	4

25. Wyrób wód mineralnych sztucznych.

M. Warszawa	wart. prod. rocz.	67,955	ilość rob.	69	ilość zakł.	7
Gub. Kaliska	„	2,210	„	10	„	4
Razem...	„	70,165	„	79	„	11

26. Farbiarnie.

Gub. Łomżyńska	wart. prod. rocz.	1770	ilość rob.	8	ilość zakł.	5
„ Warszawska	„	—	„	7	„	1
Razem. . .	„	1770	„	15	„	6

Właśnie w roku 1870 założoną została w Grochowie w pobliżu Warszawy farbiarnia i pralnia parowa p. Bernarda Weschkie, i dla tego nie mogła być podaną wartość produkcji zakładu z tego roku.

Działalność farbiarni warszawskich oraz innych miast, nie objęta wykazami przemysłu fabrycznego, zaliczoną być musi zapewne do wytworu z rzemiosł powstającego.

27. Fabryki zapalek.

Gub. Radomska	wart. prod. rocz.	12,000	ilość rob.	45	ilość zakł.	1
„ Kaliska	„	4,065	„	14	„	2
Razem. . .	„	16,065	„	59	„	3

Zbierając wszystkie cyfry działów III i IV (przetwory płodów zwierzęcych i chemicznych) widzimy, że w 1870 r.:

Wyprodukowano wartości na osobę 71 kop. Jeden robotnik przyczynił się do wytworu w stosunku 1765 rub. Jeden zakład produkował za 7217, rub. ilość przecięciowa robotnika na jeden zakład 4,09.

• V. Przemysł kopalny, kruszcowy i ziemny.

28. Górnictwo i hutnictwo: żelazo (surowizna, lane, kute oraz wszelkie odlewy), węgiel kamienny, galman, ołów.

Wiek nasz, wielki pogromca przywilejów, zdiera urok potęgi i bogactwa, jakim mniemanie powszechne otaczać zwykło wyłącznie tyl-

ko szlachetne metale. Dziś najszacowniejszym przedstawicielem królestwa kopalnego oraz najhojniejszym szafarzem istotnego bogactwa ludów jest żelazo. Cały świat potrzeb życia, świat produkcji materialnej, od najskromniejszego rękodziela, aż do olbrzymiej fabryki; świat stosunków międzynarodowych, czyto przyjaźnych, czy wrogich; sam nawet obieg idei: zostają pod panowaniem żelaza.

A jednak pomimo odwiecznej, przedhistorycznej świadomości użycia tego kruszcu, do tyle rozległe jego stosowanie i upowszechnienie jest własnością naszej dopiero epoki. Zaledwo od lat stu poznano sposoby, za pomocą których robią żelazo miękkim, rozplaszczalnem i nadającym się całkowicie do naszej woli i potrzeb. Wynalazczy i przedsiębiorczy duch Anglosasów dzwignął przemysł żelazny na dzisiejsze, wysokie stanowisko, walnego narzędzia i zarazem czynnika cywilizacji. Prawda, że w łonie Wielko-Brytańskiej ziemi złożone były niezmiernie bogactwa rudy żelaznej i węgla kamiennego, że wszechświatowy handel dał tam środki niezbędne do należytej uprawy tych bogactw. To też uprawa sama godną była, rzeklibyśmy, dorównała wielkości pomysłów Watta i Fultona: w tak prędkim czasie dostarczyła wątku na pokrycie kuli ziemskiej siecią żelaznych szlaków.

Zaiste w naszych czasach stosunkowe spożycie żelaza służyć może za miarę rozwoju ekonomicznego i bogactwa narodów.

W obec tak wielkiej doniosłości żelaza, gruntowne zbadanie jego wytworu i spożycia u nas rzuciłoby niewątpliwie dużo światła na stan ogólny gospodarstwa społecznego, Atoli do podjęcia takiego zadania nie posiadamy odpowiednich środków. A więc pokrótce tylko przypominamy czytelnikom, że według kompetentnego zdania ludzi dokładnie z miejscowością obeznanych, kraj nasz posiada znakomite bogactwa kopalne w rudzie żelaznej, cynkowej i węgla kamiennym. Już dosyć dawno uczony Hieronim Łabęcki wskazywał na bogactwa kopalne Dąbrowy Górniczej, a kopalnią węgla Ksawery pod Bendzinem, najpotężniejszy u nas pokład, złożony z kilkunastu ławic, dających warstwę 50 stóp grubą, uważał za mającą zaledwo kilka równych sobie w innych krajach ¹⁾. Dzisiaj podług p. Choroszewskiego inżyniera Okręgu Zachodniego ²⁾, formacja zagłębia węglowego dąbrowskiego zajmuje przestrzeń 490 wiorst kwadratowych. W niektórych miejscach grubość pokładu dochodzi do 9 sażeni; a pewne dane naukowe i praktyczne pozwalają wnosić, że na całej tej przestrzeni niema ani piędzi ziemi, pod którąby nie było węgla. Biorąc zaś przecięciowo pokład 2 sażeni gruby, cały zapas zawartego tu węgla oblicza się na 190 miliardów pudów; jest to ilość dająca podstawę do eksploatacyi prowadzonej na wielką skalę w ciągu wieków całych. Nadto badania dokonano ostatniemi czasy przez p. Kosińskiego

¹⁾ Gornictwo krajowe przez Hieronima Łabęckiego, (Kalendarz Obser. Astronomicznego r. 1859.).

²⁾ Wystawa politechniczna Moskiewska w 1872 r. (Przyroda i przemysł N. 41 1872 r.).

przekonywają o ogromnym zapasie rud żelaznych w Okręgu Dąbrowskim. Następnie cytowany powyżej p. Choroszewski dochodzi do wniosku, że niewyczerpane źródła galmanów w okolicach miast Olkusza i Sławkowa „przedstawiają tak dogodne warunki bytu dla obszernego hutnictwa cynkowego w tej okolicy, że ono może znacznie wyprzedzić sławny dziś przemysł cynkowy Szlązka Pruskiego, posiłkujący się obecnie tylko w znacznej już części wyczerpanymi kopalniami galmanu.“

Przytém obok wskazanej obfitości, gatunki naszego węgla, cynku, żelaza (szczególnie w okręgu wschodnim) są wyborne. Mimo to jednak, hutnictwo krajowe nader mało jeszcze rozwinięte, fabrykacja zaś żelaza pod względem ilości i jakości produktu, wcale niedostateczna. Węgla kamiennego rok rocznie sprowadzamy ze Szlązka ilość równą całej naszej produkcji, jak o tém przekonywają przytoczone poniżej daty, wyjęte z artykułu p. D-ra K. Tabeńskiego ¹⁾.

„Produkcya nasza wynosiła razem w wprywatnych i rządowych kopalniach w r. 1870 1,685,379 korcy pol., a na Szlązku 50,180,667. W roku zaś 1871 u nas 2,127,918; na Szlązku 55,989,667. Zażądaliśmy od Szlązka w r. 1870 1,490,378 korcy, a w 1871 r. 2,203,882.“

Tak więc skarby wnętrza tej ziemi w znacznej części dla nas są jeszcze skarbami zakłętymi. By zdjąć owo zakłęcie, potrzeba śmiałego ducha przedsiębiorstwa, potrzeba technicznego uzdolnienia, a nadewszystko bardzo znacznych kapitałów. Społeczeństwa szczęśliwiej pod tymi względami uposażone: Francya, Belgia, Prussy, zdążając za przykładem Anglii, w niewielkich odstępach czasu zwiększały swoją produkcyą o 20 razy.

A jednak dosyć wczesnie i u nas oceniono ważność dla kraju tej gałęzi przemysłu. Baczną na jej podźwignienie zwracał uwagę nasz wielki statysta Staszyc; następnie ks. Lubecki, a po przejściu górnictwa rządowego w administracyą Banku Polskiego, hr. Henryk Łubiński usiłował je podnieść i przyczynił się głównie do zaprowadzenia machin parowych i wielu udoskonaleń. Od tego czasu przemysł ten postępuje i wzrasta. Przedsiębiorstwo prywatne z większemi zasobami coraz skuteczniej przyczynia się do dalszego jego rozwoju. Główniejsi przedstawiciele tej gałęzi biorą udział w wystawach powszechnych i Cesarstwa. Na ostatniej politechnicznej w Moskwie, oprócz okręgów zachodniego i wschodniego, górnictwo prywatne zaszczytnie reprezentowanem było przez zakłady pana Krygiera właściciela zakładów górniczych Rzucowskich, przez Chlewiskie hr. Soltyka, Starachowicko-Ostrowieckie barona Fraenkla i S-ki, oraz zakłady Sosnowiec, Wańczyków, Niwka p. v. Kramsty.

Ow jednak rozwój idzie dosyć powolnie i nieodpowiednio do potrzeb. Pomimo okazów wystawowych, fabrykanci trudniący się wyrobami żelaznemi, wciąż są jeszcze nie ufni dla żelaza krajowego, narzekają na złe jego obrobienie i wygórowane ceny. Przyznać trzeba, że produkcya krajowa ma nader potężnego współzawodnika: żelazo angielskie.

¹⁾ Okopalnictwo węgla kamion. u nas (Przyr. i Przem. N. 32, r. 1872).

skie. Otóż by stawić mu czoło i zadosyćczynić słusznym wymaganiom przemysłu fabrycznego, potrzeba zakładów na tak wielką urządzonych skalę, jak w Anglii i ze wszelkimi praktykowanymi tam ulepszeniami. Dlategośmy nadmienili, że gałąź ta wymaga ogromnych kapitałów. A i w takim razie walczy przeciwko nam jeden jeszcze warunek, a tym jest brak komunikacji wodnej, żelazo bowiem z trudnością wytrzymuje fracht kolejowy.

Przystępując do wykazu statystycznego tej gałęzi wytworu, winniśmy uprzedzić, że niemamy środka dla przedstawienia oddzielnie wypadków produkcji kopalnej od hutniczej, węgla od galmanu i żelaza, ani też wyróżnienia czynności fryszerowania, walcowania żelaza od dalszej onego fabrykacji, jak: odlewy, wyrób gwoździ, drzwiczek hermetycznych, kratek, tafli żelaznych, osi i haków do kolei i t. p., fabrykacji dokonywanej szczególnie w zakładach pozostających w związku z zakładami wytworu samego żelaza. Dlatego załączający się tu wykaz z r. 1870 obejmuje wypadki produkcji kopalnej, hutniczej i będącej z nią w związku dalszej fabrykacji żelaznej.

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakł. fabrycznych
Radomska	1539601	2052	68
Piotrkowska	1196303	2636	52 ¹⁾
Kielecka	445835	1133	39
Lubelska	165000	347	1 ²⁾
Płocka	108250	87	6 ³⁾
Kaliska	41700	166	14 ⁴⁾
Suwalska	19000	22	2 ⁵⁾
Razem	3515689	6443	182

Wykaz ten nie obejmuje produkcji zakładów rządowych guberni Piotrkowskiej, t. j. Okręgu zachodniego górnictwa w Królestwie Polskiem, nie wiemy jaka jest doniosłość takowej, sądzymy wszakże, że musi ona przenosić sumę pół mil. rs. A zatem produkcya krajowa w tej gałęzi wypadłaby przeszło na 4 mil. rs.

1) a) kopalnie i huty prywatne węgla, otowiu i galmanu—wart. prod. 716,206, il. rob. 1770, il. zak. 19

b) rudy żelaznej prywatne: 480,097 „ 866 „ 83

2) Zakład Irena należący dawniej do Banku pol., obecnie zaś do barona Fraenkla.

3) Zakłady lania żelaznego.

4) Zakłady wyrabiające torf.

5) Lania żelazne.

Wyznajemy, że tym sposobem osiągnięte daty nie wiele nas mogą objaśnić o rzeczywistym stanie tego przemysłu, gdyż niewiadomo w jakiej ilości otrzymujemy rudę z kopalni, jaką ma wartość dalej produkcyja hutnicza i następnie dalsze obrobienie.

Dla r. 1856 Hieronim Łabęcki, w cytowanej już przez nas pracy, podaje wykaz szczegółowy produkcyi górniczej i hutniczej, którego głównejsze pozycye przytaczamy. 1) *Węgla* kamiennego wydobyto w zakładach rządowych 545,000 korcy, prywatnych 300,000, razem 845,000 korcy. Ludność pracująca pierwszych wynosiła 600, drugich 300, razem 900. Z zestawienia zatem z r. 1870 widzimy, że produkcyja węgla zaledwie się podwoiła!

2) ŻELAZO.

	Zakł. rząd.	prywat.	Ogół.	Ludność.	Ogół
a) rudy żelaznej badij	88000	290000	378000	} 168—3200	} 4840
b) surowizny pudów	298000	842000	1140000		
c) żelaza kutego	57800	248700	306500		
„ walcowanego	180200	253300	433500		
łącznie	238000	502000	740000		
d) blachy żelaznej	21400	27800	49200		

3) CYNK.

a) gal. brylas. i płók. badij.	59300	18000	77300	} 460—400	} 860
b) cynku pudów	34400	63200	97600		
c) blachy cynkowej	13500	—	13500		
		W zakł. rząd.	prywat.	Ogółem.	
Ludność zatem górń. stała wynosiła		2740	3900	6640	
oprócz tej zarobkująca czasowo		1360	2000	3360	
Razem		4100	5900	10000	

Jednę tylko pozycyę mamy do zestawienia z wykazem 1870 r., mianowicie ilość robotników, i w tej przypuszczając tenże stosunek dla czasowo przybieranej ludności, zaznacza się bardzo nie wielki postęp. Cyfra bowiem naszego wykazu mniejsza od podanej tu (6,640) znacznie powiększoną być musi nie objętą wykazem ludnością górniczą Okręgu Zachodniego.

Przywóz do nas z zagranicy żelaza surowego w sztabach i kawałkach, na kotły, stali, blachy, railsów przez komory Warszawską, Aleksandrowską i Sosnowicką wynosił:

w r. 1870 1,042,937 pudów

„ 1871 3,197,386 „

Cesarstwo posiada ogromne i różnorodne bogactwa kopalne, których eksploatacyja może dojść z czasem do potężnego rozwoju, zwłaszcza

jeżeli w miejscowościach w rudę żelazną obfitujących wykryte zostaną pokłady węgla kamiennego, a przytem miejscowości te przypadną na wielkich liniach wodnej komunikacyi.

Podajemy stan tej gałęzi wytworu w r. 1863.

	ilość zakł.	ilość rob.	ilość produkecyi.	Wartośćej.
1) Złoto	745 (płóczkarni)	57957	1459 pud. 8 f.	19307000 rs.
2) Srebro	—	—	1078 „ 25 „	8500000 „
3) Ołów	—	—	—	145000 „
4) Miedź	136 kopalni)	11000	286000 „	2600000 „
5) Żelazo	—	—	14904364 (lane)	10433000 „
6) Węgiel około	—	—	10000000 „	500000 „
7) Sól	—	—	28000000 „	4200000 „
Razem				38035000 rs.

Nadto około 30 pudów platyny.

Przywóz żelaza z zagraniny do Cesarstwa wynosił za sumę około 4 mil. rs. Wywóz około $\frac{1}{2}$ mil. rs. Wyborowe bowiem gatunki żelaza na węglu drzewnym przygotowane, poszukiwane są nawet w Anglii i wywóz głównie tam się kieruje.

Przywóz wyrobów z żelaza (machin, narzędzi rolniczych i rozmaitych) wynosił za sumę około 16 mil. rs.

29. Wyrób machin parowych, oraz narzędzi rolniczych, mechanicznych i chirurgicznych.

Dział ten obejmuje tylko czynność fabryk istniejących samodzielnie i niezależnie od zakładów górniczych i hutniczych.

Warszawa jest stolicą tej fabrykacyi, a najznakomitszym przedstawicielem firma Lilpop, Rau i S-ka. Wyroby zakładów tej firmy cieszą się ustaloną sławą i uznaniem na wszystkich wystawach lat ostatnich. Na wszechrossyjskiej 1870 w Petersburgu za maszyny i wagony przyznana została najwyższa nagroda: Herb Państwa; ostatnio na politechnicznej w Moskwie 1872 medal złoty. Fabryka pomieniona, założona w r. 1818 przez braci Ewans, znaną była u nas od dawna z dobrego urządzenia i doskonałego wyrobu machin rolniczych, z zaprowadzenia w nich licznych ulepszeń do potrzeb krajowych zastosowanych. Dopiero wszakże pod zarządem dzisiejszych właścicieli, jako fabryka machin i wagonów, doszła do wysokiego stopnia rozwoju pod względem doskonałości wyrobów i ogromu produkcji. Jak szybkim jest i nieustającym ten rozwój wnosić możemy ztąd, że w r. 1866 wartość produkcji zakładów wynosiła tylko 360,000 r., ilość zatrudnionych w nich robotników 450. Dla określenia zaś obecnego stanu, pozycye powyższe wypadłoby podwoić, jeżeli nie potroić. Wyrób w znacznej części idzie do Cesarstwa w postaci machin, mostów żelaznych kolejowych i wagonów; obstalunek zaś tych ostatnich sięgał ogromnej ilości aż kilka tysięcy sztuk.

Oprócz pomienionej istnieje w Warszawie kilka jeszcze znacznie-
szych tego rodzaju fabryk: pp. Rephana i Scholtze; Cukierwara założona
w r. 1820, wyrabiająca aparaty mechaniczne, przyrządy cukrownicze,
piece lakiernicze i ciepłikowe, haki do rełsów, nity do kotłów i t. p.; dalej
p. Ostrowskiego fabryka narzędzi rolniczych, machin, kass ogniotrwa-
łych i t. d. Zakład p. Ostrowskiego, jak wyczytujemy w ostatnich nu-
merach pism, przechodzi na własność spółki złożonej z przedstawicieli
znakomitych domów handlowych tutejszych: pp. S. A. Fraenkla, G. Sim-
mlera, Bruna i in. Spodziewać się zatem należy, że urządzenie jego
i działalność fabryczna wkrótce osiągną znakomitego rozwoju.

Poza Warszawą niema znacznych tego rodzaju zakładów, są
tylko niewielkie i niezbyt liczne fabryki machin i narzędzi przeważnie
rolniczych. Najwięcej ich liczy gubernia Piotrkowska.

Podajemy wykaz dla r. 1870:

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robot- ników	ilość zakła- dów fabrycz- nych
Miasto Warszawa	1502729	1688	17
Piotrkowska	265170	318	12
Kaliska	36650	90	6
Radomska	21000	86	5
Kielecka	19750	25	2
Lubelska	18747	43	3
Warszawska	14498	39	3
Suwalska	7200	23	3
Łomżyńska	2140	11	4
Razem	1887884	2323	55

P. Buschen dla braku dat opierając się na przypuszczeniu, wartość wszel-
kich wyrobów z żelaza: machin, narzędzi rozmaitych, wyrobów ślusar-
skich i t. p. oznacza dla Cesarstwa na 53 mil. rs. Za podstawę do obli-
czenia bierze potrójenie wartości surowego materiału na miejscowe spo-
życie przypadającego.

30. Wyroby platerowane.

Ten rodzaj fabrykacji sięga u nas r. 1824. Ówczesny minister
spraw wewnętrznych Mostowski, dbając o rozwój krajowego przemysłu,
sprowadził z zagranicy między innymi p. J. Fraget i pożyczył mu 3,600 r. na
urządzenie zakładu z warunkiem spłaty ratami. Była to skromna pier-

wotnie pracownia, rychło jednak wytrzymałość i uzdolnienie założyciela dźwignęły ją na zakład piéwszego rzędu, którego produkcya w r. 1866 wynosiła około 200 tysięcy rs. wartości, a wyroby przez cały szereg wystaw krajowych i zamiejscowych zyskiwały przychylną ocenę. O wiele później wstąpił z powodzeniem na to samo pole fabrykacyi p. Norblin.

Wyroby téj gałęzi oprócz miejscowego, ustalony mają odbyć do Cesarstwa, fabrykacya zaś ma miejsce tylko w Warszawie.

W r. 1870: 7 zakładów wyprodukowało za sumę 430,989, zatrudniając przytém 481 robotników. Do téj gałęzi zaliczamy podane w Warszawie dwie fabryki wyrobów złotych i srebrnych z produkcyą roczną 12,470 r. i 10 robot., co wyniesie razem: zakł. 9 wart. prod. 443,459, ilość robot. 491. Oczywiście zakłady jubilerskie nie są zaliczone do przemysłu fabrycznego.

W r. 1857: 5 zakł. do wyrobów platerowanych wyprodukowało za 268,500 r., robotników zaś w tym zawodzie było 319.

31. Wyroby z miedzi.

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakładów fabrycznych
Miasto Warszawa	175679	181	5
Warszawska	8500	8	2
Łomżyńska	6458	6	2
Radomska	5200	19	2
Suwalska	3000	8	3
Razem	198837	222	14

32. Inne pomniejsze wyroby metalowe; (instrumenta muzyczne dęte, dzwony, czcionki, podlewanie luster, lampy, broń, drut, szrot i t. p.).

	Wartość prod. rocz.	ilość rob.	ilość zak. fabr.
Miasto Warszawa	262953	109	17
Gubernia warszawska	8800	6	2
Razem	271753	115	19

33. Fabryka gazu.

Jeden zakład w Warszawie produkuje za 202,893 r., zatrudnia 140 robotników.

34. Warzelnia soli.

Wartość produkcji istniejącej w Ciechocinku gub. warszawskiej warzelni podaną jest w 1870 r. na sumę 90,644 rs., przytém robotników 200.

35. Wyroby z marmuru i gipsu, oraz mielenie gipsu.

Wyroby takowe podane są w Warsz: 2 zakł. war. prod.	5000	rs.,	11	rob.
W gubernii kieleckiej.	8	„	1830	„ 20 „
Razem	10	„	6830	„ 31 „

36. Wyroby szklane, fajansowe, garncarskie i zduńskie.

Wyroby szklane w Królestwie Polskiem aż do r. 1822 bardzo były nie zadawalniające tak pod względem oczyszczenia szkła, jak i kształtów. Przywóz zagraniczny głównie zaspakajał potrzeby. W owym właśnie czasie p. Ignacy Hordliczka zamienił na czyn powziętą przez siebie ideę wytworzenia w kraju tej gałęzi przemysłu. Stała fabryka we wsi Barcząca (gub. warszawskiej), zaopatrzona w potrzebne narzędzia i uzdolnionych robotników sprowadzonych z zagranicy. Pierwsze wyroby tej fabryki: szkła i kryształy już na wystawie przemysłu krajowego 1823 r. otrzymały medal złoty. Fabryka zatrudniała 39 majstrów i czeladników, oraz 15 uczni. W samym prawie zawiązku założyciel zakładu pomyślał o urządzeniu szkółki dla dzieci robotników, szkoły niedzielnej dla uczni, kassy oszczędności, kassy wsparcia dla wdów i sierot, oraz pomocy lekarskiej, a nadto dla wypoczynku i rozrywki, ogrodu i sali zebrań. Wszystkie te urządzenia ściśle się zespoliły i związały z rozwojem samego zakładu, a do dziś dnia swoim jędrnym i pięknym owocem świadczą wymownie o praktyczno-ekonomicznej doniosłości rozumnej filantropii. Tym zaś owocem są: dobrobyt i przynioły moralne robotnika, oraz wytworzenie się w tej osadzie fabrycznej z potomstwa pierwszych robotników zagranicznych i młodzieży krajowej w szkole zakładu kształconej, jednej wielkiej łącznej i spójnej rodziny, do swego zajęcia i do zakładu przywiązanej.

Dalszy jednak rozwój zakładu dokonał się w innej już miejscowości, w pierwotnej bowiem dał się uczuć brak lasów stanowiących podstawę tego rodzaju fabrykacji. To też założyciel wybrał wieś Trąbki w pobliżu m. Garwolina położoną. W r. 1836 powstała tam istniejąca dotychczas fabryka Czechy. Ze śmiercią założyciela 1854 r. fabryka przechodząc na rzecz synowców jego i współpracowników B-ci Wilhelma i Edwarda Hordliczków, zachowuje ten sam wzorowy ustrój wewnętrzny, ten sam kierunek do postępu fabrykacji zmierzający. Wszystkie wystawy przy-

znawały zaszczytne nagrody. Herb Państwa na Moskiewskiej 1864 r. Właśnie kiedy to piszemy, Gazeta Warszawska donosi, że w tych dniach p. Wilhelm i Edward Hordliczkowie otrzymali przy stosownym dyplomie medal złoty od paryżkiej akademii rolnictwa, przemysłu i rękodzieł, za wyrób naczyń szklanych i kryształowych.

W r. 1866 wartość produkcyi tego zakładu wynosiła około 100,000 rs., ilość robotników zatrudnionych w rozmaitych wydziałach przeszło 200; stała zaś ludność osady Czechy 1200 osób.

Najznacniejsze fabryki fajansu mieszczą się w Kole gub. Kaliskiej. Są to zakłady pp. Józefa Freudenreicha, Jakóba Teuchfelda i M. L. Rocha. Z materyałów z Prus sprowadzanych wyrabiają naczynia stołowe i kredensowe. Do znaczniejszych liczy się także fabryka p. Lewina Sunderlanda w Hży (gub. Radomska), wyrabiająca talerze, półniski, wazy, słoje apteczne i wazon, tudzież p. Augusta Krygera w Nowym dworze (pow. Warszawski).

Dla wyrobów kamionkowych istnieje zakład w Chmielowie (gub. Radomska, pow. Opatowski) będący własnością ks. Druckiego-Lubeckiego, dzierżawiony zaś obecnie przez p. Kazimierza Cybulskiego. Zakład ten dostarcza wybornych tego rodzaju wyrobów, które na wystawie w Petersburgu 1870 otrzymały uznanie.

Garncarstwo pospolite nie posiada w kraju znaczniejszych zakładów fabrycznych. Stanowi głównie zatrudnienie pojedynczych garnarczów w miejscowościach uposażonych w dobrą glinę: w Siewierzu (Piotrkowskiej gub.) Hży, Denkowie, Cmielowie (gub. Radomskiej), Bolimowie (Warszawskiej).

Jest kilka znaczniejszych zakładów zduńskich, głównie w Warszawie, wyrabiających kafle, a należących do pp. Jegra, Stalewskich, Dietricha; działalność ich atoli nie jest wykazem objęta.

Podajemy wykaz dla tój całej gałęzi przemysłu z r. 1870.

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakładów
Kaliska	150654	254	7
Siedlecka	127300	481	5
Warszawska	48760	84	4
Piotrkowska	42660	96	6
Radomska	41529	150	9
Lubelska	25390	69	4
Kielecka	24640	115	56
Łomżyńska	16627	61	2
Płocka	15000	20	1
M. Warszawa	4300	9	1
Suwalska	nie podana		
Razem	496860	1339	95

W r. 1857 43 zakł. zatrudniały 1538 robot. i produkowały za 301,587 rs.

W Cesarstwie same fabryki wyrobów szklanych i kryształów w ilości 227 przy 11,000 rob. wyprodukowały za 4,950,000 rs. według dat urzędowych, podług zaś przypuszczenia p. Buschen za 7 mil.

Garncarstwo, fajans, porcelana w 1864 liczyły 289 fabr., 4250 rob. z produkcją wartości około 3 mil. rs.

37. Wyrób cementu i wapna.

Do wyrobu cementu istnieją dwa znaczne zakłady fabryczne, należące do p. Ciechanowskiego, położone w gub. Piotrkowskiej na pograniczu Górnego Szlązka. Jeden z nich założony w r. 1853 pod miastem Sławkowem wyrabia cement naturalny zwany Roman. Druga fabryka założona w r. 1857 w dobrach Grodziec wyrabia cement sztuczny na sposób angielskiego Portland. Fabryki pomienione razem z kopalnią węgla zatrudniały od 200 do 250 robotników. Cement z tych fabryk przejdaje się w kraju do dróg żelaznych i robót fortecznych, oraz do budowy zwyczajnych i wodnych prywatnych; a za granicę do pobliskiego Szlązka Górnego, do Galicyi i do budowy podziemnej w salinach Wieliczki. O doskonałości produkowanego tu cementu świadczą wieloliczne nagrody z wystaw; między innymi na wystawie Powszechniej londyńskiej przyznano wielki medal, na Petersburskiej 1870 r. Herb Państwa. Do wydoskonalenia wyrobu cementu fabryki Grodzieckiej głównie się przyczynił p. Emil Konaszewski inżynier z instytutu francuzkiego dróg i mostów.

Opęcz tych zakładów wchodzi do wykazu drobne tylko wapniarnie o małoznacznej produkcji.

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakł. fabrycznych
Piotrkowska	161080	390	18
Kielecka	4960	37	18
Radomska	4260	11	6
Kaliska	920	4	2
Razem .	171220	442	44

W r. 1857: 219 wapniarni zatrudniały 945 ludzi, wartość produkcji podana na 149,950 rs.

W Cesarstwie 102 zakłady zatrudniające 950 rob., wyprodukowały wapna za 500,000 rs.

38. Cegielnie.

Wyrób cegieł i dachówek, jako proceder nazbyt prosty, z natury swej miejscowy i w koniecznym pozostający związku z rozwojem krajowego budownictwa, z dawien dawna był u nas rozpowszechniony. A że rozwój tego rodzaju potrzeb wczesnym był i znacznym, dowodzi powszechnie znana ocena działalności naszego wielkiego organizatora—ekonomisty, króla Kazimierza, co „Polskę drewnianą znalazł, a mурowaną zostawił.“

Dzisiaj też po wsiach i miastach kraju istnieje mnóstwo większych i mniejszych cegielni, bądź stałe, bądź czasowo odpowiednio do pewnej potrzeby zakładanych. Istnieją w kształcie większych zakładów fabrycznych około miast, gdzie wyroby ich znajdować mogą rozległy i ustalony odbył. Wykaz poniżej przedstawiony obejmuje tylko zakłady stałe i znaczniejsze, pomijając, że się tak wyrazimy, wyrób domowy.

Największe summy produkcji przypadają na gubernię Piotrkowską i Warszawską razem z miastem. Produkcya pierwszej przeważa, nie zważając nawet na Warszawę, która jako wielkie miasto na swe potrzeby dużo zużywać musi budowlanego materiału. Taki wypadek zestawienia zdaje się potwierdzać z jednej strony panującą tu od pewnego czasu stagnacyą pod względem wznoszenia się nowych gmachów, z drugiej zaś niezmierny wzrost fabrycznego ogniska Łodzi łącznie ze Zgierzem, Tomaszowem, Pabianicami.

Do znakomitszych cegielni w kraju należy zakład w Ząbkach pod Warszawą, własność hr. M. Starzeńskiego. Fabryka ta rozwinięta jest na wielką skalę i posługuje się najnowszemi machinami w tym przemyśle używanemi. Wartość jój produkcji rocznej wynosi dwadzieścia kilka tysięcy rub. Do znaczniejszych i ulepszonych zaliczyć trzeba też cegielnię budowniczego p. Teodora Witkowskiego położoną w Mokotowie.

Oto jest wykaz fabrykacyi cegły w r. 1870:

Gubernie	wartość prod. rocznej	ilość robotników	ilość zakł. fabrycznych
Piotrkowska	328020	390	67
Siedlecka	268533	260	88
Warszawska	256440	428	105
Kaliska	194130	342	106
M. Warszawa	35000	82	3
Łomżyńska	34095	158	50
Kielecka	31816	156	48
Lubelska	30567	130	43
Radomska	12260	52	12
Płocka	9820	23	4
Suwalska	nie podana		
Razem	1200681	2021	526

Działy i gałęzie przemysłu	wartość produkcji rocznej na ruble	ilość robotników	ilość zakładów fabrycznych
I. Przemysł tkacki.			
1. Wyroby bawełniane	10220901	13605	393
2. Wyroby wełniane	3935656	4152	100
3. Wyroby lniane i konopne	1251789	2435	21
4. Wyroby jedwabne i półjedwabne	14400	15	6
	15422746	20207	520
II. Przetwory produktów roślinnych.			
5. Cukrownictwo	8536861	12343	39
6. Gorzelnictwo	11464807	5549	1144
7. Dystylarnie	1835548	252	58
8. Browary	1498375	1425	427
9. Warzelnie miodu	21309	67	39
10. Młyny, tart. i piek. par., oraz mł. am., wodne i wiatraki	8446618	3376	2043
11. Wyroby tabaczne	2434150	1675	18
12. Wyrób papieru i obió.	726973	1081	35
13. Olejarnie	194213	473	254
14. Wyrób cykoryi	120900	101	12
15. Wyrób krochlinalu	30070	29	6
16. Wyrób musztardy i octu.	62332	85	52
17. Zakłady fabr. stolar. i in. wyr. z drz..	236070	403	85
18. Zakł. wyrab. terpen., smołę i dziegieć.	87272	414	232
19. Fabryki powozów.	140180	246	16
20. Fabryki fortepianów i organów	69754	61	5
	35905432	27580	4465
III. Przetwory produktów zwierzęcych.			
21. Garbarstwo i białoskórnicstwo	2312291	1520	432
22. Fabr. świec, mydła, oraz topiel. łożu..	1418131	494	112
23. Fabryki kleju i wypalania kości.	93400	65	4
	3823822	2079	548
IV. Przetwory chemiczne.			
24. Fabr. wyrob. chemicznych i farb olejn.	216320	106	4
25. Wyrób wód mineralnych sztucznych..	70165	79	11
26. Farbiarnie	1770	15	6
27. Fabryki zapalek	16065	59	3
	304320	259	24
V. Przemysł kopalny, kruszcowy i ziemny.			
28. Górnictwo i hutnictwo: żelazo, węgiel kamienny, galmu, ołów	3515689	6443	182
29. Wyrób machin par. oraz narzędzi roln. mechanicznych i chirurgicznych	1887884	2323	55
30. Wyroby platerowane	443459	491	9
31. Wyroby z miedzi	198837	222	14
32. Inne pomniejsze wyroby metalowe	271753	115	19
33. Fabryka gazu	202893	140	1
34. Warzelnia soli	90644	200	1
35. Wyroby z marmuru i gipsu	6830	31	10
36. Wyr. szklane, fajans. garn. i zduńskie.	496860	1339	95
37. Wyrób cementu i wapna.	171220	442	44
38. Cegielnie	1200681	2021	526
	8486750	13767	956
Razem.....	63943070	63892	6513

W r. 1857: 554 cegielni wyprodukowały za 842,157 r., przyczem zajętych robotników było 3,162.

W Cesarstwie 1584 zakł. liczyły 13,000 rob., a wartość produkcji 2,800,000 rs.

Ogół cyfr z tego (V) działu dostarcza wniosków następujących:

W 1870 r. wyprodukowano wartości na osobę za 1 r. 46 k. Jeden robotnik przyczynił się do wytworu w stos. 616 r. Jeden zakład produkował za 8,877 r., ilość przecięciowa robotnika na jeden zakład 14,40.

Zbierając w jedną całość wypadki poszczególnie dla każdej gałęzi wytworu podane, otrzymamy następujący wykaz przemysłu fabrycznego Królestwa w r. 1870: (Obacz tabel. str. 51).

Przemysł fabryczny w następującym zostaje stosunku do gubernij:

Gubernie	wartość prod. rocznej na ruble	ilość robotników	ilość zakład fabrycznych
Piotrkowska	19,836,700	22,466	1,977
Warszawska	13,867,301	14,283	1,360
Miasto Warszawa . .	10,349,463	5,992	253
Kaliska	5,597,438	6,569	715
Radomska	3,604,060	3,841	324
Kielecka	3,528,356	3,816	727
Lubelska	2,582,176	2,095	295
Siedlecka	1,894,094	2,092	351
Łomżyńska	1,135,357	1,118	284
Płocka	1,005,718	1,174	93
Suwalska	542,407	446	134
Razem...	63,943,070	63,892	6,513

W rozważaniu rzeczy i summaryczném zestawieniu, zachowaliśmy klasyfikacją urzędowych wykazów statystycznych i drobne podziały na gałęzie, dlatego mianowicie, żeby czytelnik widział z jakich żywiołów powstały wypadki i łatwiej sprostować mógł odnośnie do miejscowości lub gałęzi usterki, oraz uzupełnić braki.

Z zestawienia wartości całej produkcji przemysłu fabrycznego z cyfrą ludności Królestwa w 1870 (5,780,369) wypada wartości wyprodukowanej na osobę za rubli 11 i kop 6.

Jeden robotnik przyczynił się do wytworu w stosunku 1,000 rsr. 80 kop.

Jeden zakład produkował przecięciowo za sumnę 9,817 rsr. 76 kop.

Przeciętna ilość robotnika w jednym zakładzie 9,80.

W krótkim streszczeniu zamykamy nasz pogląd na stan przemysłu krajowego:

I. Tkactwo.

Mamy dosyć wysoko posunięty przemysł tkacki: wyborne sukna i dobre korty, których produkcja zostawałaby w równowadze z potrzebami naszego spożycia, gdyby nie wywóz do Cesarstwa; mamy następnie bardzo dobre wyroby bawełniane, w obfitości przenoszącej potrzeby miejscowe, o ustalonym do Cesarstwa odbyciu; mamy nareszcie wyborne, a rozmaite gatunki płócien, chociaż wielkość produkcji nie dorównywa potrzebom miejscowym, gdy tymczasem i tej część znaczną udzielać musimy na wywóz do Cesarstwa. W dziale więc tkactwa braknie nam tylko wyrobu materyj zbytkowych: jedwabnych.

II. Przetwory płodów roślinnych.

Na całkowite zaspokojenie naszych potrzeb, mamy własny i bardzo dobry cukier, nadto jeszcze część jego znaczną wywozimy do Cesarstwa; mamy nadmierną produkcję okowity, niemogącej dla siebie znaleźć zamiejskowego odbytu, chyba by bardziej ułatwiający przepisy otworzyły jej drogę za granicę; mamy piwo bawarskie własnego warzenia w wymaganej przez lubowników jego obfitości; a także papier i powozy krajowe, w odpowiednim do potrzeb stosunku; mamy nakoniec wyroby tabaczne doprowadzone do wysokich gatunków, lecz niewystarczające dla spożycia, skutkiem czego w tej gałęzi figuruje przywóz znaczny z Cesarstwa.

III. Przetwory płodów zwierzęcych.

Mamy garbarstwo i białoskórnicstwo wysoko dosyć posunięte pod względem gatunku i obfitości wytworu, tak że i dla tej gałęzi istnieje, sądzimy, równowaga pomiędzy wytworem a spożyciem; nasz zaś wyrób świeżo stearynowych obecnie ma do wytrzymania groźne współzawodnicstwo fabryk Cesarstwa, produkujących w tańszych warunkach, na skutek czego przywóz ztamtąd tego artykułu coraz się powiększa.

IV. Przetwory chemiczne.

Ta gałąź wytworu mało u nas rozwinięta w stosunku do różnorodnych potrzeb przemysłu fabrycznego, a które zagranicą w większej części zaspakaja.

V. Przemysł kopalny, kruszcowy i ziemny.

Górnictwo, hutnictwo krajowe, oraz fabrykacja żelaza nie zajęły jeszcze stanowiska odpowiedniego do posiadanych przez nas zasobów rudy i węgla, ani też do potrzeb krajowych. A więc obok własnego, spożywamy może w równej ilości, żelazo angielskie, tak też w równej, węgiel szlązki. Aczkolwiek wyrób machin i wagonów ostatnimi czasy znacznie się rozwinął, to jednak i w te wyroby głównie zaopatruje nas zagranica.

Nasza fabrykacja wyrobów platerowanych, czyniąc zadosyć potrzebom miejscowym, przeznaczą jeszcze część pewną i na wywóz do Cesarstwa. Wyrób szkła i kryształów dosyć świetnie jest u nas reprezentowany, lecz wyłącznie tylko przez jeden zakład, ztąd ilościowa doniosłość produkcji nie stoi, mniemamy, na równi z potrzebami kraju. Wazelnia soli w Ciechocinku zupełnie prawie czynność swą, zresztą i dawniej niezbyt znaczną, zawiesiła, całe zatem potrzebowanie tego ważnego artykułu zaspakajac musi przywóz zagraniczny.

Ogólny zatem bilans krajowego przemysłu wypada dosyć pomyślnie i zadawalniająco, szczególnie w porównaniu z rolnictwem i rzemiosłami. W niektórych ważnych gałęziach fabrycznego wytworu występowaliśmy jako członkowie czynni na wielką arenę popisową przemysłu wszechświata, otrzymując wieniec uznania. Obecnie właśnie jesteśmy znowu w przededniu takiego wystąpienia. Już wkrótce na Praterze wiedeńskim zajmą miejsce owoce pracy i dążenia do doskonałości 200 naszych wystawców. I jeżeli nie złożymy przeto jeszcze świetnój hekatombi geniuszowi wynalazków, areopag przemysłu nie odmówi nam zapewne świadectwa pilnego i starannego stosowania postępów techniki.

Niech przytem wolno będzie wynurzyć życzenie, ażeby przedmioty wystawowo, wracające z tego opisu, przez pewien czas tu w miejscu mogły być jeszcze oglądane i rozpatrywane.

Urządzając taką wystawę celniejszych wyrobów krajowych, komitet wystawy wiedeńskiej wyświadczyłby przemysłowi miejscowemu i publiczności rzetelną usługę. Tym bowiem sposobem massa publiczności miałaby możność bliższego zapoznania się z okazami naszój fabrykacji, a takie zapoznanie się nie byłoby bez korzyści dla samego nawet przemysłu; niewielka zaś opłata pobierana od zwiedzających, pokryłaby kosztu urządzenia czasowój wystawy.

Rozważając tedy kolejno główne gałęzie naszego wytworu fabrycznego, dostrzegliśmy pewną zupełność i dążność ich harmonijną do zaspokojenia wielolicznych potrzeb życia.

Owóz wszystkie te prawie gałęzie swoim początkiem sięgają czasów Królestwa kongresowego: powstały dzięki usiłowaniom ówczesnych ministrów i czynnemu poparciu Banku Polskiego. Była to wprawdzie w dziejach przemysłu epoka wielka i płodna, epoka przeobrażeń i po-

wszecznego stosowania olbrzymich wynalazków mechaniki, postępów chemii i metalurgii. Wówczas z rozrastającego się bujnie na gruncie europejskim przemysłu, zostały do nas przeniesione drobne jego gałązki, wymagające osłony i troskliwej opieki rządowej. Owa zaś pielęgnująca osłona daje przemysłowi tylko byt sztuczny, niejako szkoły praktycznej, przeznaczonej do krzewienia i uprawy w kraju tego rodzaju działalności. Ze stanowiska nauki gospodarstwa społecznego życzyć musimy, ażeby to kształcące zadanie naszego przemysłu jak najlepiej i jak najprędzej wypełnionem zostało, ażeby inteligencja miejscowa i ludność coraz szerszy i szerszy brały udział w rzeczach praktyki przemysłowej, która przechowała dotąd swą cechę pierwotną, obcego pochodzenia. Nadto jeszcze, każdy prawdziwy przyjaciel przemysłu krajowego gorąco pragnąć musi, by przemysł nasz conajrychlej stać mógł o własnych siłach: wywdziąć się przeto społeczeństwu tanią wyrobów za udzielaną długo protekcją, dla siebie zaś zdobyć niezachwianą podstawę bytu wraz z możliwością stawienia czoła wszelkiemu współzawodnictwu.

Tylko zapomocą nauki i odpowiedniego wykształcenia możemy nadać przemysłowi charakter swojski i samodzielny, tak również przyczynić się w czémkolwiek do dalszego jego rozwoju i udoskonalen.

Poważny zatem zwrot umysłów i dążność do osiągnięcia powyżej wskazanego celu jest nagłą i żywotną potrzebą kraju. A więc tu, w dziedzinie techniki, na polu rozległej pracy wytwórczej, wszyscy zapewne, radośnie powitamy powiewający sztandar wiedzy pozytywnej.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

III.

— Jaby tu prędzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

— W domu waszym?—powtórzył zdumiony duchowny—jakto? więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający. Duchowny spojrział na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonymi powiekami, złożył ręce jakby z rozpacz i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się odżywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakimś wielkiem wyrastać: stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niej oniesmieloną, małą, dziecinniałą, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakimś natchnieniem wewnętr-

ném. Nagle, oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód...

— Dlaczegoż ty, którą Wszechmogący stworzył dla chwaly swój, jako piękne cnoty naczynie, ty pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrząsniesz pyłu z nóg twych skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz rozdarłszy szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? — zawołał jakby nagle rozogniony miłosierdziem. Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? kto cię weń wrzucił? kto był tym niegodziwym co tak piękne dziecko Boże cisnął w ten świat plugawy?? Czemu nie uciekasz? dlaczego stoisz niestrwożona a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała słuchając go, lecz głos starego takie na nię czynił wrażenie, iż uczuła się, może pierwszy raz w życiu podbitą i onieśmieloną. Oburzał ją ten ton duchownego a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta.. on mówił dalej:

— A wieszże ty gdzie jesteś? a wiesz, że ta ziemia na której stoisz chwieje się pod stopami twemi? że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

— Cóż zaprzestraszające obrazy, kreślisz, mój Ojczy — odezwiała się wreszcie Hoymowa — i dlaczego mnie niemi chcesz zatrwodzić?

— Bo z czystego czoła i oczu twych, dziecko moje — rzekł duchowny — widzę żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

— Od kilku godzin — uśmiechając się odpowiedziała Hoymowa...

— I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość twoją, bobyś tak nie wyglądała — uśmiechnął się boleśnie stary — nieprawdaż?

— Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie... od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi... ledwie widziałam Drezno...

— A nie chyba nie słyszała o niem... — dodał stary i wstrząsł się.

Wszystko co mi mówisz, przeczytałem na czole twém, w wejrzeniu — rzekł smutnie. — Bóg mi czasem daje zajrzeć głę-

boko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałem zdjęty widząc cię, piękna pani; zdało mi się że patrzę na lilię białą, rozkwitłą w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwitnąć gdzieś wzrosła i wonieć pustyni a Bogu..

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła przejęta kilka kroków ku niemu... w jej oczach i postawie widać było wzruszenie.

— Ojczy mój—rzekła—ty kto jesteś??

Stary zdawał się niesłyszec, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

— Kto ja jestem?—rzekł—kto ja jestem? nędzna istota grzeszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy lub się z niej wszyscy śmieją. Jam głos wołającego na puszczy... jam ten który przepowiadam upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem? naczynie w ręku Bożem, przez które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmieli? Jam ten za którego czarną suknią biegają ulicznicy rzucając na nią błotem, ten którego prorocत्व nikt nie słucha... nędzarz wśród bogaczy... ale praw i czysty, przed Panem..

I zamilkł ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym... spuścił głowę.

— Dziwne zrządzenie—odezwała się Anna nie odstępując od niego—po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrożę i oznajmienie... Nie jesteście to palec Boży?

Wstrząsła się i dreszcz przebiegł ją całą.

— Zaprawdę dziwne! —powtórzyła.

— Opatrzne—rzekł stary...—a biada tym co litościwój Bożej nie słuchają przestrogi... Chcesz wiedzieć kto ja jestem? nikt! ubogi kaznodzieja od kościoła, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga... Zowie się Schramm... hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto jak się tu dziś znalazłem... Ale kto was tu sprowadził? kto wam tu przybyć dozwolił?

— Własny mąż!—rzekła Anna...

— Proś go niech cię uwolni—szepnął oglądając się trwożliwie duchowny. Widziałem piękności tego dworu, bo je tu

ludowi na ulicach pokazują jak lalki... tyś nad nie wszystkie piękniejsza stokroć... Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz... okolą cię siecią intryg, osnują jadowitemi pajęczynami, uspią, upoją... zawrócą głowę melodyą pieśni, ukołyszają serce bajaniem... złudzą oczy bezwstydem... oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spojona, znużona, osłabła... polecisz w przepaść...

Anna Hoym zmarszczyła brwi.

— Nie—zawołała—nie jestem tak słabą jak sądzicie, ani tak zasadzek nieświadomą, ani tak spragnioną życia... Nie, świat ten mi się nie uśmiecha, patrzę nań z góry... niżej on odemnie...

— Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć widziała—odparł Schramm—nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła... Królewskie w niem posągi popaliły się na węgiel i obrukały sadzami... Idź ztąd... idź, idź, szkoda ciebie i białej niewinnej duszy twojej...

To mówiąc ręce wyciągał jakby ją chciał wygnąć i przyspieszyć odejście; ale Anna stała niezatrwożona, szyderski razem i litości pełen uśmiech błąkał się po jej ustach.

— A gdzież ucieknę?—zawołała—los mój połączony jest z losem tego człowieka... oderwać go odeń nie w mocy mojej... Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się co mi wyznaczono... tylko nie śpiącą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale ja chyba im panować będę...

Schramm strwożony spojrzął, stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca...

W téj chwili otwały się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczorajszego nie korzystnie się już wydawał; dziś po białym dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu wyglądał gorzej jeszcze... Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlachetnego nie nadawało mu wdzięku, twarz pospolita odznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami konwulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą najsprzecznieszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały ogniem tryskając, usta śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało,

jakby potajemna władza targała we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniały... I w tej chwili, ujrawszy żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzeczniejszych jakichś uczuć. Usmiechnął się jej i w chwilę jakby gniewem chciał buchnąć nasrożyć... ale się zwyciężył i zawahawszy wsunął żywo do gabinetu!

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz...

— Szaleńcze, fanatyku, komedyancie przebrzydły — zawołał nie witając się nawet z żoną — znowuś nabroił, znowu do mnie przychodzisz abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? wiem wszystko, pójdziesz precz od kościoła... na wieś, tam, na pustynie, do prostaczków... w góry...

Wskazał ręką.

— Ja ani chcę, ani myślę cię bronić? — dodał zapalając się — podziękuj Bogu jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gdzie do kąta, bo tuby cię dalej, co gorszego spotkać jeszcze mogło...

— Ha! myślicie! — ciągnął dalej, zapalając się minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kołnierz — myślicie że tu, na dworze wolno wszystko, i że to co wy nazywacie słowem Bożem, nieocukrowane, możecie podawać ustom do słodyczy nawykłym? że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów nawracających pogan...

Schramm... mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocale... gubisz się sam...

Duchowny niezachwiany bynajmniej, spokojny stał patrząc ministrowi w oczy.

— Ale ja jestem kapłanem Bożym — rzekł — jam poprzysięgał dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niej.. niech się stanie...

— Męczennikiem! — rozśmiał się Hoym — toby było za wiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i oplwawszy wyświecą.

— Więc pójdę — odezwał się Schramm — ale dopókim tu jest, ust nie zamknę...

— I kazać będziesz głuchym! — szydersko dodał minister... ruszając ramiony. — No, dosyć tego, rób co chcesz... ratować cię nie mogę i nie myślę; tu dobrze gdy każdy ocali się —

bie... Jam ci to przepowiadał Schramm... milczéć trzeba umiéć, umiéć pechlebiać lub ginąć podeptanym... Cóż chcesz, przyszedły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu pokłonił się Schramm, popatrzał na żonę Hoyma z politowaniem, na niego z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzął, oderwał wzrok ku niemu...

— Żal mi cię—burknął krótko—idź, zrobię co mogę, ale zatop się w biblii i trzymaj język za zębami: ostatni raz ci to radzę...

Schramm prawie nie słuchając wyszedł. . małżonkowie zostali z sobą sam na sam...

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, oddawna źle z sobą byli; widocznie nie wiedział, od czego począć rozmowę... zakłopotany stał i zły... Chwycił rękami dwa końce peruki swój i targał...

— Pocóżś hrabia kazał mi tu przybyć tak nagle?—zapytała Anna z wymówką i dumą.

— Poco?—podnosząc oczy zawołał Hoym, zaczynając wzdłuż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany—poco? bom był szalony! bo mnie ci niegodziwcy spoliłi, bo nie wiedziałem com robił! bom głupi... bom nieszczęśliwy!... bom waryat!

Tak! waryat! —powtórzył.

— Więc mogę nazad powrócić?—spytała Anna...

— Z piekła się nie powraca!—zaśmiał się Hoym,—a waćpani z łaski mojej w piekle jesteś: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła i padł na krzesło...

— A! tak! istotnie oszaleć przyjdzie, — mruknął — lecz z królem niema wojny...

— Jakto? król?

— Król! Fürstemberg! wszyscy! wszyscy! nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie... Dowiedzieli się żeś ty piękna, żem ja głupi i kazali mi panią pokazać!

— Któż im o mnie powiedział?—zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nią, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta, zgrzytnął zębami, tułnął nogami i zerwał się z krzeselka... Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu usposobieniu, pobladł, stał się zimnym i szyderskim.

— Dość tego,—rzekł cicho zniżając głos—mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię... Wezwałem panią, bom musiał ją tu ściągnąć, król chciał, a Jowisz piorunuje tych co mu się śmiały sprzeciwiać... Dla jego zabawki musi służyć wszystko... królewskimi stopy depcze skarby cudze i rzuca je w śmieciisko...—Zniżył głos i umilkł jakby słuchał czy się kto nie odezwie.

I począł znowu zwolna chodzić po pokoju.

— Założyłem się z ks. Fürstbergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesyi pięknych role grają. Nieprawdaż żeś był głupi? Pozwalam byś mi to pani powiedziała... Najjaśniejszy nasz pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów...

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzdargą, odwracając się od niego.

— Nikczemny waćpan jesteś, panie hrabio—krzyknęła w gniewie.—Jakto? wy! wy coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skąpiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie mnie teraz jak komedyantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami? to najwyższa podłość!

— Nie szczędź pani wyrazów, mów co chcesz,—rzekł Hoym z boleścią—wart jestem, zasłużyłem... Wszystkiego za mało na potępienie mnie! Miałem najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy... szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić...

Załamął ręce: Anna zamilkła i patrzała.

— Ja jadę do domu—rzekła—ja tu nie pozostanę, wstydziałabym się sama siebie... Koni! powóz!

Rzuciła się ku drzwiom: Hoym stał uśmiechając się gorzko...

— Koni! powozu!—powtórzył—ale waćpani nie wiesz chyba gdzie jesteś i co cię otacza? Jesteś niewolnicą, nie możesz

stąpić kroku; nie ręczę żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieliła się wymknąć, dragoni pójda złapać cię i odprowadzić... nikt nie odważy się wieść... nikt nie uzuchwali ratować... Waćpani nie wiesz gdzie jesteś?

Hrabina załamała ręce z rozpaczą, Hoym patrzył na nią z jakimś uczuciem niewystowionej zazdrości, żalu, bólu, sztyderstwa i niepokoju.

— Nie—rzekł dotykając z lekka jęj ręki—posłuchaj mnie pani; nie jest jeszcze może tak źle jak ja mówię, jak przeczuję: mówmy z flegmą i rozsądnie... Gina tu ci co chcą być zgubieni... Pani możesz nie być piękną gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną... możesz dla ocalenia mnie i siebie... przybrać postawę odrażającą...

Tu zniżył głos...

— Znasz pani historią naszego najmiłościwszego pana a króla Augusta?—zapytał się z dziwnym uśmiechem.—Pan to wspaniały, hojny... sypiący złotem, które moja akcyza ze spleśniałego chleba ubogich wyciska... Niema drugiego tak wspaniałomyślnego monarchy.., niema któryby potrzebował bawić się drożęj, nieustanniej i dziwaczniej. Łamie podkowy i kobiety i rzuca je na ziemię; kanclerzy, których ściszał wczoraj, zamyka na Koenigsteinie... Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodził... Serce ma najlitościwsze, tylko mu się sprzeciwiać nie trzeba...

Mówił coraz ciszej, a trwożliwemi oczyma biegał dokoła...

— Znasz pani historią jego! a! ciekawa bardzo—szeptał dalej—lubi kobiety coraz świeże... co raz świeże jak smok ów w bajce, żyje dziewicami, które mu przerażeni mieszkańcy do jego jaskini wiodą... a on je pożera... Któż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszałaś ich imiona... ale obok znajomych, trzykroć tyle zapomnianych... Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w atlasach, a gdy mu się one znudzą, gotów na łachmany polować... Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewój ręki, jabym ich naliczył dwadzieścia... Königsmarck jest jeszcze piękną, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach... ale już wszystkie go znudziły. Szuka kogoby pożar!

Dobry pan! łaskawy pan!—dodał śmiejąc się—wszakże zabawić się musi, wszak dla tego na świat przyszedł aby mu

służyło wszystko; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Satyr... a straszny jak Jupiter...

— Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz,—wybuchnęła oburzona Anna—maszże mnie za tak nizko upadłą, bym na skinięcie pańskie dała się sprowadzić z drogi honoru! Waćpan mnie nie znasz! to obelga!!

Hoym patrzył z politowaniem na nią.

— Znam moją Annę,—rzekł z uśmiechem—lecz znam dwór, pana, ludzi co nas otaczają i urok jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie byłbym spokojnym...

— Alem przysięgała wam, to dosyć—odezwała się z dumą kobieta—nie pozyskałeś serca, ale masz słowo. Takie kobiety jak ja nie łamią przysięgi...

— Łamały i takie dla blasku korony—rzekł Hoym—księżna Teschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

— Mogę być żoną, nie chcę być kochanką—zawołała—sromu na czole nosić nie umiem.

— Srom!—rzekł Hoym—a! to piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki...

— Waćpan jesteś obrzydliwy,—przerwała kobieta z gniewem.—Sprowadzasz mnie tutaj sam... i karmisz takiemi groźbami...

Wzruszenie nie dozwoliło jój mówić dłużej. Hoym się zbliżył z pokorą:

— Daruj mi—odezwał się—głowę straciłem, nie wiem co czynię i co mówię... to dzikie domysły i strachy... Jutro jest bal na dworze... Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowej. Mnie się zdaje—z cicha począł spuszczać oczy—waćpani możesz co zechcesz, nawet nie być piękną... Ja chętnie zakład przegram... Będzie ci łatwo stać się śmieszną... niezgrabną. U króla wiele waży elegancya, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego jak okazać się zaniedbaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic jeszcze... Drewno pełne jest pięknych kucharek... August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele... Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwém postępując ku oknu.

— Kazesz mi więc grać komedią dla ocalenia swojego honoru!—zawołała z uśmiechem ironicznym—ale ja nie cierpię fałszu. Waćpana honorowi nic nie grozi... Anna Konstancya Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet co się na łaskę pańską biorą i dają spodlic dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać... bądź spokojnym... Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę...

Hoym zamilkł i pobladł.

— Pani na balu tym być musisz;—rzekł głosem stłumionym:—tu nie idzie już o żadne dziecinne niebezpieczeństwo ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją... Król kazał...

— A ja nie chcę!—odparła Anna.

— Sprzeciwisz się jemul!—spytał Hoym.

— Dłaczegóż nie, panem jest wszystkiego oprócz domu i rodziny, które do Boga należą... Cóż mi uczyni?

— A! wam nic—rzekł niespokojnie minister—nadto dla pięknych pań jest grzeczny; ale ja pójdę na Koenigstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci: nędza, śmierć.

Zakrył sobie oczy rękami.

— Wy go nie znacie—szeptał cicho—on się uśmiecha i jaśniej jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu kto śmiał zwątpić że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu, lub ja zginę...

— A sądzisz pan, hrabio Hoym—odparła Anna—iż ta groźba waszój zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna...

Hoym posunął się za nią blady.

— Na miłość Bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może.. zaklinam was.

Kończył te słowa gdy do drzwi zapukano żywo i służący wpadł zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i narozłożył się.

— Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnąwszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmówną, gdy op za

nim postrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabinę, a po za nią żywo szpiegujące go oczy siostry.

Zdawało mu się że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego, nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechném. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmięszany nad wyraz, dał znak słudze który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabinę, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic przerażającego, przecież na widok jej blada już twarz Hoyma, zdawała się blednąć jeszcze: zmięszął się, jakby w niej groźbę zobaczył..

Siostra jego, pani Vitzthum towarzysząca hr. Reuss, mogła to łatwo dostrzedz w oczach brata. Na obu jednak kobiecych twarzach wykwitły tylko wzamian dwa uprzejme uśmiechy.

— Hoym! doprawdy mogłabym się gniewać na ciebie—ozwała się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hr. Reuss—jakże to być może! Żona twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nic nie wiem... a ja przypadkiem od Hülchen dopiero dowiaduję się o tém.

— Jakto?—krzyknął minister nieposiadając się ze zniecierpliwienia—i Hülchen już wie o tém.

— A!—zawołała wchodząc pani Reuss—i ona i cały świat i wszyscy o tém tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami więdnąć nie dasz.

To mówiąc posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w niej, jak znawca pięknych koni patrzyłby na zwierzę na targ wyprowadzone.

— Jak się masz droga hrabino—rzekła wyciągając ku niej obie ręce.—Jakżem rada że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwsza się tu zjawiam, ale wierz mi że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej... pustelnico moja

śliczna... przybywasz dziś, nie znasz Drezna... każe mi sobie pomódz. Ja i Vitzthum niepokoiłyśmy się zawczasu o ciebie... Biedna ty nasza strwożona ptaszyno...

W czasie tego przemówienia, ta którą hr. Reuss nazwała spłoszoną ptaszką, stała tak dumna i jaśniejąca siłą, wcale nie zatrwożona, jakby tu panowała oddawna.

— Dziękuję wam pięknie—odezwała się spokojnie—właśnie mąż mi powiedział że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością, czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka!

— Nie życzyłam ci tego pretekstu używać—odpowiedziała hr. Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu podawszy jej rękę przeprowadzał właśnie do ponurzej sali audyencyonalnej—nikt nie uwierzy w chorobę popatrzwszy na ciebie, co wyglądasz jak Juno pełna blasku zdrowia i siły, nikt nie da wiary przestrachowi, boś nieulekniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i korzystając z tego że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła na ucho:

—Kochana Anno! niemasz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać; raz przecie wyjdiesz z tej niewoli, którą dla ciebie opłakiwałam. Zobaczysz dwór! króla... świetność naszą, której równiej nie ma w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonana że los najszczęśliwszy cię czeka...

— Jam tak do mojego więzienia i ciszy nawykła—ci cho rzekła Anna—iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

— Hoym mój—dodała Vitzthumowa—spali się z za-zdrości!

I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie którym towarzyszył pomieszany minister, stały w śród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła pochylając się ku pięknej gospodyni.

— Droga moja—szepnęła—bardzom rada że pierwsza cię witam rozpoczynając życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co... Hoym niechcący podstawił ci pod nogi podnózek, po którym wynijść możesz wysoko... Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilczała chwilę.

— Sądząc zęb ambitną, mylisz się kochana hrabino— odezwała się zimno— płoche lata przeżyłam, wilem myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko aby do niej i do méj Biblii powrócić.

Reuss się rozśmiała.

— Wszystko to się zmieni— rzekła wdzięcząc się do goposi. Nateraz myślmy o jutrzejszém ubraniu. Vitzthum patrz i złożmy walną radę jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa się zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

— Jakkolwiek się ubierze— odezwała się Vitzthumowa— zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiędła. Na całym dworze nie ma żadnej, coby nie zgasa przy Annie. Muie się zdaje że jak najskromniejszy ubiór będzie jój jak najlepiej do twarzy... niech inne się sadzą na róż, bielidło i fioki... jój dość, choćby dziewiczej sukienki...

Rozmowa o gałgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mięszała się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiast, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy...

Hr. Reuss z niezmierną bacnością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jój z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usłyszeć, nad to co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jój wiekowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wielką łatwością słówkami iskrzącymi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przeczuciach. Pani Reuss przyklaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła zwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewiczą zachował potęgę.

— Cudowna Anna nasza! zachwycająca! niezrównana!— wołała. Jutro wieczorem cały dwór u kolan jój leżeć będzie.

Hoym wcześniej powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znowu, ona co tak jest skłonna do mdłości odkrywających jój wdzięki!

Vitzthumowa śmiała się... Reuss opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła króla serce omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było rozkoszne... bo August klęczał u nóg jój, gdy po raz pierwszy otwarła oczy...

— Niestety!—dodała Reuss—dziś gdyby nawet napadły ją mdłości, królby się może raczej przestraszył niż uradował niemi. Przeszły pierwsze zapaly. Na jarmarku lipskim Najjaśniejszy Pan puścił sobie cugle i dokazywał z francuzkami aktorkami. Co gorzej, mówią że się szalenie zakochał w księżnie Anhalt-Dessau... od której tylko doznał nielitościwój oziębłości... Fürstemberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i gotówby jakiej piękności uczynić z niego ofiarę.

— Spodziewam się—rzekła obrażona nieco Anna—iż mnie kochana hrabino nie posądzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuzkami aktorkami, choćby po drugiej stronie księżne się znalazły... Serce królewskie wcale nie wesołym jest darem, a moje coś więcej warto niż resztki po księżnie Teschen...

Reuss zarumieniła się mocno.

— Cicho! cicho! dziecko jakies—odezwała się oglądając—któż ci mówi o tém. Papplemy o wszystkiém... dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowaną.

Vitzthum i ja przyślemy ci kupców naszych i szwaczki... jeśliś swoich brylantów nie wzięła z domu, albo ci ich braknie, Meyer pożyczycy w największym sekrecie jakich tylko zapragniesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny... To mówiąc wstały obie i poczęły ścisnąć Annę, która je milcząc do drzwi salonu przeprowadziła... Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akcyzy.

U wschodów na dole stała kareta hr. Reuss, do której wsiadły obie. Jakiś czas milczały zamyślane. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie:

— Co pani wróżysz?—spytała.

— To nieuchronne — szepnęła hrabina — to konieczne: Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumną jest... będzie się szczęściu opierać długo, ale nie króla więcej nie drażni nad taki opór z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwną: wszystko to przymioty które nie tylko ciągną ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiej nim pochwyci w ręce wodze, potem byłoby zapóźno... Ja ciebie, ty mnie pomagaj: dajmy sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tej nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nie zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne: królowała nam zadługo. Schodzi z pola, król się nudzi, a jeśli kiedy, to teraz gdy jest tak nieszczęśliwym, pociechy potrzebuje i rozrywki.

Fürstemberg, ja i ty potrafimy to nareszcie że ją obalim. Dość mamy wszyscy tej cudzoziemki. Trzeba tylko całą intrygę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumną.

— Biędny Hoym! — zaśmiała się Vitzthumowa — jeśli będzie miał rozum...

— Zyszcze na tém: niekochał jęj od dawna rozpustnik — przerwała hr. Reuss — choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

— Posądzam Fürstemberga!

Hr. Reuss zmierzyła ją bystrém, przelotném wejrzeniem i w oczach jęj błysnęło na chwilę, coś, jakby iskierka szyderstwa: ruszyła ramionami.

— A są osoby predestynowane! — rzekła z ironią.

Nagle, po kobiecemu jakoś zaśmiała się głośno. — Wiész — dokończyła — powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecienną świeżość, będzie jęj cudnie do twarzy. Uważałaś jaki to ogień w tych oczach.

— I jaka duma! niestety! — dodała Vitzthumowa.

— Niechno króla zobaczy! — zakończyła pierwsza — niech August zapragnie się jęj podobać, ręczę ci i głowę i dumę straci.

IV.

Przy Pirnajskiej ulicy, naówczas jednej z najparadniejszych małego, murami obwiedzonego i ściśniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza a dziś więźnia stanu na Koenigsteinie. Księżna Lubomirska z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe; w nagrodę zapewne iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwytali dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaniałą swą umieściła rezydencyą. Jeżeli nie odpoczywała w darrowanych jój także dobrach Hoyerswerda i innych majątnościach na Łużycach, siedziała naówczas w pałacyku na Pirnajskiej ulicy lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Frydrychstadzie. Owe pierwsze lata gorącej miłości i rycerskiej zalotności, gdy piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiej Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała niecierpliwa na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem swych lat dwudziestu... owe lata szczęśliwe przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, prześpiewane na wspaniałych balach Drezdeńskich i Lipskich, zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia Karolina, karcąc zalotność Augusta II, który do znajdującej się w jój orszaku księżnej Anhalt-Desau zwrócił swe zapęły, sprowadziła razem pod oczy bałamućnego Don-Żuana trzy jego dymissyjonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hr. Esterle i panią Haugwitz... aby króla razem i księżnę Teschen Lubomirską wprawić w kłopot i zawstydzić, od tego balu co się najczulszemi później ukończył zapewnieniami stałego przywiązania; księżna Teschen, jakby po straszнім *memento mori*, nieustannie miała na myśli jedno: że może, że musi być jak inne zdradzoną przez niestałego a znudzonego Augustynka... (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości, i „*mein lieber Augustin*“ piosenka popularna, do niego się stosowała...). Król wprawdzie, mimo pokątnych bałamućstw bez

liku, zawsze okazywał księżnie Teschen, wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała nim władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych, ale czuła w duszy że król lada chwila miał się od niej oderwać na zawsze...

Zwierciadło pokazywało jój jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starannie pielęgnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz czegoś świeżego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go rozmowa pięknej księżnej, jój zręczność w zabiegach dworskich, jój polityka pokryta gazą płochości kobiecój, jój perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą korzyść umiała. August przyjeżdżał do niej jeszcze na parę godzin, ale dziś już, gdyby ją jak niegdyś zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałaby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko na powrót wyjedzie. Mgłą smutku powlekały się jój śliczne ławne oczy niebieskie, pełne melaucholii i łudzące charakterem łagodnym, gdy w istocie księżna żelazną miała wytrwałość w postanowieniach i zabiegach... Z każdym dniem większa opanowywała ją trwoga, ażali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wiekuistego z królem rozdziału.

Nic się napozór nie zmieniło, nic jój nie brakło, szanowano ją jeszcze jako panią na dworze, a w oczach dworaków czytała blizki swój upadek; łapała szyderskie ich półuśmiechy i ukradkowe złośliwe spojrzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco, ale naówczas sądziła, że dla niej usatkuje się płochy, że kiedyś może być królową; złudzenia te dziś się rozchwiały i uszły. Los wszystkich ulubienic pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność gdy królowi podobać się chciała; później zamknięta w domu, płakała pocichu kryjomo, i zemstą zawczasu już, pierś się jój podnosiła... Coraz częstsze bywały teraz listy do prymasa Radziejewskiego... Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia siebie siostrzenicy pierwszego dostojnika Rzeczypospolitéj i wysilał się na przekonanie jój o swém stałym

przywiązaniu. Tymczasem szpiegowano księżnę pilnie... Król nim zasłużył na pomstę, już się jęj lękał...

Miłość ze strony Augusta II zmieniała się w czczą galanterya, czuć ją było lodem i chłodem... Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowej u dworu, ale w sercu stała na równi z królową, była obojętną.

Marzenia o Koloandrowych miłościach przeciągnęły jak wiosenne obłoki,—duma po nich obrażona została.

Gdy Stolnikówna litewska rzucała rodzinną ziemię, marzyła o tronie, tron rozsypał się w próchna... pozostawał wstyd chybionej rachuby i sromotne położenie kobiety bez męża i domu... Zapłaconej za chwilę szału bogatemi podarki tytułów, ziemi i złota.. chwila tryumfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuisty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał strącić z wyżyny, na której się chwiała, myślała o sobie... Nudziła się też... a chłopię które jęj kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecię królewskie, przychodziło w uścisku pić gorące łzy, z któremi się matka tała... Księżna Teschen nim miała prawo nazwać się nieszczęśliwą, już się nią czuła... Dziecię jęj miało zapewnioną przyszłość, ona żadnej...

Pałac przy Pirnajskiej ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał co dzień tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nie tylko nie wzbraniać, ale ułatwiać przystęp. Możeby był rad aby który z nich pozyskał sobie serce, już mu ciężące przywiązaniem zbyt łzawém...

Niecierpliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze we łzach i tam gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna jeszcze pozornie w łaskach, miała szczerych czy nie, przyjaciół i donosicieli, wiedziała codziennie o każdym króla kroku, uśmiechu i słowie... szpiegowała go zazdrośnie. Z owęj uczyty nocnej, gdy wyciągnięto u Hoyma przyznanie się do pięknej żony, gdy go na zakład wyzwano, gdy posłano do Laubegast po piękną Annę, księżna Teschen miała sprą-

wozdanie dosłowne... Niespokojna, w gorączce chodziła myśląc, czy ma się na balu u królowej znajdować, stanąć do pojedynku tego, lub pogardliwie rzuconą rękawicę niepodniesioną zostawić.

Rano około jedénastój doniesiono o przybyciu pani Hoy-mowej. Nikt jój nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną, wiadano że urodzona w roku 1680 była rówieśnicą Lubomir-skiej, ale rodzaju i niebezpieczeństwa téj piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyan nielitościwy miał się odezwać:

— Nie pytajcie czy piękna, byle do ostatniej nie była podobną...

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe...

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnej był mniejszy niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po mieście nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono że król, jak zwykle gdy mu szło o świetność zabawy, sam jak najstaranniej balowy program oznaczył... i niecierpliwiał się już o zakład Fürstemberga i Hoyma. Mówiono że panna Hülshen i hr. Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymowę w swe sieci uwikłać i łaski jój sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jój bratowa zagasi wszystkie urodą...

Księżna słała w miasto, odbierała raporta swych wiernych, rozpaczała i płakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącego zerwać, zatrzymać; teraz zdawała się nadchodzić godzina stanowcza... Łamała ręce, nagle myśl dziwna jój przyszła... spojrziała na zegar... Dom Hoyma nie bardzo był daleko od jój pałacu... Szepnęła coś służącej... zarzuciła gęstą czarną zasłonę na oczy od łez czerwone, i cicho zbiegła po wschodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drążnicy... rzuciła się w jedną z nich... Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą, poszli tyłem, ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wązką i pustą, na którą wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy

otworzył ją dla wyskakującej z lektyki księżny, która obejrzawszy się wbiegła wprost na górę do Hoyma pałacu... W sieniach czekał już na nią młody mężczyzna, który jój wschody wskazał...

Przez ciemny korytarz zakwefiona i niemogąca się dać poznać, choćby ją kto napotkał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała...

Nierychło je otwarto. Zdaje się że sługa, która ostrożnie uchylała drzwi, chciała tylko zobaczyć kto przyszedł i nie byłaby wpuściła nadbiegającej, ale ks. Teschen jedną rączką wpuściła jój w dłoń kilka dukatów, drugą popchnęła z lekka, obejrzała się, w które drzwi iść dalej i pobięła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla niej urządzać miano, gdy nieznaną postać zakwefiona ukazała się na progu... Zdumiona temi niespodziewanemi odwiedzinami cofnęła się marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kwef, stanęła i oczy wlepiła ciekawie, słowa nie mówiąc z Hoymową, zdyszana, przejęta patrzyła... wargi jój ścinały się i drżały, bladość okrywała lica... obejrzała się lekliwie dokoła i szukając podpory, na blizką kanapkę zemdlona upadła...

Anna podbiegła ku niej, przybyła i służąca... obie podniosły omdloną...

Oslabienie jój trwało tylko chwilę, porwała się jak obłąkana, oczy znów wlepiła w rywalkę i milcząc wskazała na służbę, aby odeszła ..

Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych następująca, niepokojem napełniła przybyłą i tak już strwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla niej gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno.

Lubomirska wyciągnęła ku niej bladą, zimną rączkę drżąca.

— Daruj mi, — rzekła głosem słabym — chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzedz. Pędził mnie tu głos obowiązku... sumienia...

Anna milczała ciekawie się w nią wpatrując.

— Patrz na mnie — dodała — rozpoczynasz dziś to życie, które ja kończę. Byłam jak ty niewinną, szczęśliwą, spokojną, szanowaną, w zgodzie z sumieniem i Bogiem... Miałam tytuł księżęcy męża i lepiej niż to, imię niepokalane ojca i rodziny... Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę kładł u nóg moich, oddawał serce...

Poszłam za nim... spójrz na mnie... Ja dziś nie mam nic, imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie niema dla mnie nikogo... Krewni się nie przyznają do mnie, ci co się czołgali u nóg mych jutro znać nie będą. On! on!.. odepchnie jak obcą...

Anna słuchając zarumieniła się.

— Pani — zawołała głosem przerywanym — dlaczegoż widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę? Ja cię nie rozumiem... Kto pani jesteś?

— Wczoraj królowa, dziś nie wiem kto — odparła Teschen.

— Ale ja nigdy żadnej korony nie miałam pragnienia, każda skroń pali — zawołała Anna — dlaczegoż spotykać mnie mają te groźby?

— Przestrogi — przerwała Lubomirska — daruj mi, twój skroni przystała korona, ludzie zawczasie ci ją dają, jam chciała odsłonić złoty jej wieniec i wewnątrz pokazać cierniowy...

— Mylisz się pani — rzekła spokojnie Hoymowa — nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumną. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny, albo jej nie dotknę nigdy... Uspokój się pani...

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jej obudziło litość w Annie, zbliżyła się z ciekawością i współczuciem...

— Wszystko co mnie tu od rana spotyka jest niezrozumiałem — odezwała się z cicha; — chciałabym się wyrwać ztąd jak najrychlej, Któż pani jesteś?

— Teschen, — odparła przybyła cicho, podnosząc oczy — słyszałaś o mnie, domyśl się dlaczego cię tu ściągnięto... Świeżej twarzy potrzeba znużonemu panu...

Anna krzyknęła z oburzeniem.

— Podli! frymarczą więc nami jak niewolnicami... a my...

— Ofiarami ich jesteśmy...

— Nie! ja nie będę, ja nie chcę być ofiarą—przerwała Hoymowa—uspokój się pani, jam tak dumna, że nędzę raczěj zniosę niż upokorzenie...

Teschen spojrzała na nią, popatrzała długo i westchnęła.

— Nie będziesz ty, będzie druga: godzina moja wybiła... lecz choć ty, choć jedna jeśli masz siłę, zaklinam pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzdardą w oczy. To woła o pomstę do Boga... Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu.— Jesteś ostrzeżoną, broń się...— Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa stała jeszcze słowa wyrzecz niemożąc... Zjawisko znikło.

Na wschodach czekał na nią ten co ją wprowadził. Szybko posunęła się ku lektyce, gdy zapuszczając zasłonę w oknie tój, ujrzała bladą twarz młodego wojskowego, który drżący i niespokojny w nią się wpatrywał.

Twarcz młodego oficera była piękną i arystokratyczną, pełną wyrazu, męztwa i energii; lecz w tój chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom swoim nie wierzyć... Mimo dwóch tragarzów, którzy już lektykę podnosić mieli od ziemi, zbliżył się do okna.

— Księżna Urszulo—zawołał wzruszony—mamże oczom mym wierzyć, jestże to podobna? Wasze to widzę ukradkiem wrywającą się na jakąś schadzkę zapewne... Mówcie, zaklinam, całą prawdę mi powiedzcie, abym natychmiast siadł na koń i więcěj nie wrócił, księżno! pani! Ja szaleję z miłości dla was... a wy...

Zakrył oczy...

— Wy szalejecie, to prawda!—popędliwie przerwała księżna,— szalejecie tak żeście ślepi, bo mogliście widzieć, że wychodzę od Hoyma, w którym się przecie zakochać nie mogłam.

Pochwyciła go za rękę.

— Chodź przy mnie, chodź ze mną, nie puszcę cię aż się wytłumaczę; nie chcę abyś i książe mnie w tój chwili opuścił i obwinił... toby już było nadto! tegobym już przeżyć nie mogła.

Piękne, załzawione oczy księżnej zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniała.

Pobiegł więc posłuszny za lektyką aż do pałacu, u wschodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszącemu jój, aby siadł przy niej.

— Widzisz mnie książę w gniewie i oburzeniu! wracam od téj... od téj, którą tu sprowadzili szkaradni nieprzyjaciele moi, aby króla zając czemś nowém, aby mnie wygnać, aby mój wpływ obalić. Słyszałeś już o Hoymowój?

— Nie słyszałem,— odparł młody książę (którym był Ludwik Württembergski) — nie słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony...

— Tak, umiano obudzić ciekawość w Augustcie, osnuto intrygę,— poczęła księżna ozywiając się coraz bardziej. — Widziałam ją, jest piękną... jest niebezpieczną, może być dwa dni królową..

— A! tém lepiej! tém lepiej!— porywając się z siedzenia zawołał książę Ludwik — pani będziesz wolną...

Teschen rzuciła nań okiem badawczém, młody chłopak zarumienił się, nastąpiła chwila milczenia. Podała mu rękę, którą on pochwycił i ucałował z zapalem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym.., wpadła klaszcząc w ręce osóbką mała, nie piękna, nieco do księżnej podobna, chociaż o wiele od niej brzydsza...

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać, mogła zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dziesięć więcej. Znać z niej było że nigdy świeżą nie była i mogła się tóż do późna nie zestarzeć. Nosila jedną z tych twarzy, co są staremi w dzieciństwie i niby młodemi w starości. Szare jój oczki, złe, szpiegujące, ostre, kręciły się i biegały, usta miała pełne szyderstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą gorączkową kwoczkę i nieczną intrygantkę. Strój nadzwyczaj staranny i pstry, obmyślany był tak aby jedyną pięknosć jój podnosił: figurkę zgrabną i w pasie przeciętą, nóżkę malenką i kibić zręczną. Żwawo okręciła się

na trzewiczku ku księżnie, klaskając w dłonie w chwili gdy zastydzony książę Württembergski usta od ręki odrywał.

— Bravi! bravissimi, ale niechże ja nie przeszkadzam — krzyknęła ostrym głosem Baronowa Glasenapp — *nous sommes en famille*, niema się co mnie wstydzić. Siostrunia, bardzo słusznie rejteradę sobie zabezpiecza wojskową osłoną... bo... bo podobno zbliżamy się do chwili, w której przyjdzie rejterować z serca króla i dworu!! Dobry wódz zawsze sobie zapewnia drogę do odwrotu...

Mała ta zwinna pani, niecierpiana od całego dworu, który roznoszonemi plotkami starała się kłócić i różnić, była Stolonikówna litewska, panna Bokunówna, rodzona siostra Lubomirskiej, żona (natenczas) barona Glasenapp'a, ale tylko z imienia, gdyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schulenburgiem.

— Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawno nie widziały, — rzekła papląc pospiesznie — ale w chwili niebezpieczeństwa zjawiam się zawsze, tak i teraz... Słyszałaś Teschen, — dodała śmiejąc się złośliwie, — sprowadzili Hoymowę... Ja ją widziałam raz... wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreźnie i przepowiedziałam naówczas, że jak Helena trojańska komuś będzie nieszczęścia przyczyną... Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek jak Teschen, zawsze najniebezpieczniejsze... żywa, dowcipna, zła, dumna... a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone...

Rozśmiała się głośno...

— Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczęście, — poczęła nie dając nikomu przemówić słowa. — No! ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Württembergskiego...

Młody chłopak stał zarumieniony i gniewny, Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

— Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

— Jeśli chcesz ja ci jego imię na ucho powiem, — przerwała zrywając się i biegnąc do siostry baronowa. Przyłożyła obie dłonie do ust i rzuciła jój w ucho:

— Książę Aleksander Sobieski, nie prawdaż? ale ten się nie ożeni! a Ludwiczek gotów, staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która przeglądając się w zwierciadłach, biegła już po pokoju.., oczyma śledząc dwie istoty, którym rozmowę z taką złośliwością podsłuchaną, przerwała.

— Jeśli Teschen będzie miała rozum — rzekła — może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięzko. Hoymowa prostytutka zrazi króla... spodoba mu się z twarzy, ale dumą go odpechnie; po niej Teschen znowu wyda się miłą i dobrą... Cóż robić, fantazyom króla trzeba umieć przebaczać! Ci ludzie mają troski nadludzkie i nadludzkie przywileje... Przykro mi tylko — mówiła ciągle nieprzystając — że cię tak wszyscy już wzięli na zęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary, że Fürstemberg, a nawet szwagierek Vitzthum akcyzie gotowi złote rogi przyprawić... Biedny Hoym!! jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabym za niego aby mu osłodzić wdowieństwo... Ale rozpustnik stary ani mnie, ani żadnej nie zechce...

W tém miejscu nieutamowanej gadaniny baronowej Glasenapp, książę Ludwik pożegnał się, a uścisk ręki jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczów baczących Glasenappowej, która mu dygnęła z daleka.

Dwie siostry zostały sam na sam, milczenie trwało chwilę.

— Nie powinnaś tego brać tak tragicznie — poczęła Glasenappowa, ruszając ramionami — rzecz była doskonale przewidziana oddawna... Król się znudził blondynką... ty masz księstwo, masz Hoyerswerde, masz miliony, brylanty, pałac po Beichlingu, wyposażenie dla syna... masz twą piękność, masz resztkę młodości... i księcia Ludwika, który się z tobą gotów ożenić... Przyznam ci się że jeszczebym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulemburga w dodatku.

— Ale ja go kochałam — płacząc znowu przerwała Teschen.

— I to już przeszło... wiem! — odparła baronowa Glasenapp — kochaliście się wzajemnie ja sędzę najmnij pół roku, wśród którego on cię z dziesięć razy zdradził pocichu, a ty jego!!

— Siostro!! — zawołała z oburzeniem Teschen.

— No, ani razu!! A jednak, patrzcie, wśród téj miłości dla niego umiałaś sobie na zapas w odwodzie postawić Wür-

temberga i dziś gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną, jabym tego nie potrafiła... Ja, dopiero gdy się do podrapania skłóciła z Glasenappem, wyszukałam sobie Schulemburga. Mnie bo się nic nie wiedzie... i wszyscy mnie niecierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

— Słuchaj Lubomirska—ozwała się po chwili—królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych dyamentów... ostrzegam cię więc, byś swoje w bezpiecznym złożyła miejscu...

Spojrzała na siostrę, która się jej zdawała nie słuchać.

— Będiesz dziś na balu!—dodała...

Wyraz bal, wstrząsnął Lubomirską która powstała nagle...

— Na balu!.. tak!—poczęła zamyślona—potrzeba być na balu... tak! pójdę, cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubiej sukni... to by było... uderzające;.. lecz—powiedz Tereniu... będzie mi żałoba do twarzy?—Glasenapp rozśmiała się.

— Niezawodnie... żałoba jest wszystkim do twarzy, lecz jeśli myślisz że tém rozczulisz Augusta i dworaków poruszysz, mylisz się mocno... Śmiać się będą! Oni tragedyi nie lubią...

— Bądź co bądź! w żałobie! pójdę w żałobie, powtórzyła Teschen... ale pójdę... stanę przed nim jak widmo milczące...

— A że Hoymowa będzie rumianą, wesołą i świeżą, znikniesz jak widmo niepostrzeżona.. Wierz mi.. przeszłości powrócić niepodobna...

Spojrzała na zegar...

— A! jak późno! żegnam cię... do balu! Ja także będę na nim... ale na drugiun planie, jako widz, który aktorom przykłaśnie... Bądź zdrowa!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SZÓSTY MIĘDZYNARODOWY KONGRES

Antropologii przedhistorycznej,

w Bruxelli 1872 r.

PRZEZ

J. Hodi.

Kongrestrwał dni ośm, od 22 do 30 sierpnia. Otwarty w obecności króla przez barona Omaliusa d'Halloy, prezesa wybranego na poprzednim kongresie w Bolonii, posiedzenia odbywał w dawnym pałacu książąt Oranii, przeznaczonym dziś na muzeum. Oprócz uczonych belgijskich, znajdowali się na nim najznakomitsi antropologowie wszystkich niemal krajów. Z francuzów: Quatrefages, Broca, Mortillet, generał Faidherbe, Hebert, Opert, księża Bourgeois, Delaunoy, pani Klemencya Royer, sławna komentatorka Darwina, etc.; z włochów: Capellini, Conestabile, Botti, Chierici etc.; z niemców: Virchow, Fraas, Schaffhausen; z Austrii: hr. Wurmbrand; z duńczyków: Worsae, Steenstrup, Engelhard, Schmidt; ze szwedów: Nilsson, Hildebrand, Lagerberg, Olivecrona; ze szwajcarów: Desor; z portugalczyków Da Sylva; z anglików Franks; z Niderlandczyków Boot i Dirks.

Po kilku słowach wstępnych przewodniczącego, sekretarz generalny kongresu Dupont, skreślił w ogólnych zarysach historię antropologii od pierwszych jej początków, to jest od roku 1829, kiedy trzech francuzcy geologowie: Christol, Tournal i Emilian Dumas wygłosili zadziwiającą podówczas propozycję, że człowiek zamieszkiwał ziemię jednocześnie z gatunkami zwierząt dziś już wyginionemi,—aż do ostatnich wyników poszukiwań na tój drodze w Belgii. Oddawszy należny hołd pamięci nieboszczyka Boucher de Perthes (francuza), Thomsena (uczony skandynawski) i Schmerlinga (belgijczyk), Dupont szczegółowo przedstawił wszystkie odkrycia zrobione w Belgii w ostatnich latach. Odnoszą się one głównie do okresu *kamiennego*. Krzemień ciosany ręką ludzką, należący do epoki czwartorzędnej, czyli przedostatniej w formacji skorupy

ziemnej, znaleziono w najmniej sześćdziesięciu jaskiniach prowincji Namur, w Mesvin około Mons, jakoteż pod starymi fortyfikacyami Pont-de-Bonn i Hastedon. Okresy brązu i żelaza mniejsze wydały rezultaty.

Kamienne te odkrycia kongres zwiedził w dwóch wycieczkach: 26 sierpnia ku pokładom krzemiennym w Mesvin i Spiennes; 28 do starożytnego obozu Hastedon około Namur.

Trzy ceremonie zamknęły prace kongresu: rozdanie pamiątkowych medali członkom; dekoracya dwóch robotników pp. Collard i Goffin, których gorliwość w pomocniczych archeologicznych pracach kongres oceniwszy, do nagrody królewskiej przedstawił; i odsłonięcie popiersia Omaliusa d'Halloy, wykonanego przez p. Geefs.

Na ostatku przystąpiono do wyboru miejsca dla następnego kongresu, mającego się odbyć w roku 1874. Była to tylko prosta formalność, wiedzano bowiem jeszcze w wigilią zamknięcia o zaproszeniu rządu szwedzkiego. Kongres więc postanowił: stosując się do życzenia szwedzkiego ministra spraw wewnętrznych, wyrażonego w telegramie do pana Hildebrand, odbyć przyszyły, siódmy z kolei kongres, w Sztokholmie. Na prezydenta, przez aklamacyę, zaproszono J. Kr. W. księcia Oskara szwedzkiego. Do komitetu organizacyjnego powołano panów B. E. Hildebranda, dyrektora muzeum królewskiego w Sztokholmie; prof. Nilssona, prof. barona Dübena, Dra Hans Hildebranda, Dra O. Monteliusa i dyrektora muzeum w Gothenburgu, Lagerberga.

Dla łatwiejszego zrozumienia kwestyj poruszonych lub zdyskutowanych na kongresie bruxelskim, trzeba nam rzucić kilka wstępnych uwag.

Antropologia przedhistoryczna zajmuje się wykryciem śladów pozostałych po człowieku *pierwotnym*, o którym dzieje pisane milczą, a ustno zaś podania, krążące między ludem (jak np. podania o olbrzymach), odnoszone były, czas długi, do rzędu bajecznych wymysłów. Że człowiek ów istniał przed ostatnią rewolucyą geologiczną, która dawniejszą powierzchnię ziemi zmieniła na tegoczesną, o tem dziś już wątpić nie można. Obecnie cała kwestya polega na wywiedzeniu się, do jakiej mianowicie *głębokości* sięgają ślady egzystencyi ludzkiej na kuli ziemskiej.

Geologowie naznaczają pięć epok rozwojowi skorupy ziemnej. Dwie pierwsze nie wchodzą do nauki antropologii. Nikomu dotąd nie przyszło do głowy szukać w nich pozostałości po człowieku. Epoka piąta także, lubo w pewnej tylko mierze, wychodzi z zakresu badań ściśle przedhistorycznych; jest to epoka dzisiejsza, obejmująca głównie dwa późniejsze archeologiczne okresy: okres brązu i okres żelaza. Pozostają zatem do badania antropologów dwie geologiczne epoki: trzeciorzędna i czwartorzędna. Ze stanowiska archeologii obie te epoki wraz z dobrym kawałkiem epoki nowożytniej, stanowią jeden okres: kamienny — jeżeli tylko zostanie dowiedzionem, iż epoka trzeciorzędna w rzeczy samej zawiera w sobie szczątki przemysłu ludzkiej, co jeszcze należy do punktów spornych.

Dodajmy dla ostrzeżenia czytelnika, że wszystkie te epoki, a więc i dwie przedostatnie, mają chronologią nie dzisiejszą, nie historyczną. Nie mierzą się ani latami, ani setkami lat, ani nawet tysiącami. Dziesiątki tysięcy lat zaledwie tu wystarczają.

Epoka trzeciorzędna (*terciarna*) dzieli się na trzy geologiczne peryody: eoceniczny, mioceniczny i plioceniczny; epoka czwartorzędna także na trzy, których nazwy dotąd nieustalone w archeologii. Będziemy o nich mówili niżej.

Granica między epoką trzeciorzędną a epoką czwartorzędną, zaznaczyła się w dziejach kuli ziemskiej zjawiskiem olbrzymiej mocy. Przyczyny onego nie są dokładnie znane. P. Broca tak je opisuje: „W epoce trzeciorzędnej, północna połowa naszego planety stopniowo pochołdniała. Niezmierne masy lodów, osuwając się ze spadków gór pokryły większą część Europy, Azji i Ameryki Północnej, i temperatura naszej strefy dotąd gorąca, stała się zimną, podbiegunową. Peryod ten ochładzania się, zwany *peryodem lodowatym*, trwał nieskończenie długo. Lodniki, to jest owe osuwające się morza śniegu i lodu, osiągnąwszy maximum swojego rozplywu, zwężyły się nieco, później znowu się rozszerzyły, jakkolwiek ostatnim razem nie dotarły do granic piérwszych swych zaborów. Była to ostatnia faza epoki trzeciorzędnej. Ocieplone powoli powietrze sprowadziło ową straszną katastrofę, na którą, jak chcą niektórzy, wskazuje Biblia pod nazwą powszechnego potopu.

Potop ów przedziela epokę trzeciorzędną, czyli ostatni jej peryod plioceniczny, od pierwszego peryodu epoki czwartorzędnej. Lodniki, potężne owe gromady śniegu zakonserwowanego szeregiem stuleć epoki trzeciorzędnej, topniejąc, wydały ze swego łona potoki nieobjętych wód, unoszących potężnymi swymi pędami obrywki skalne; zalewających równiny, wydrążających szerokie przejścia i zostawiających po sobie ogromne składy piasku, gliny i kamieni. Od tej to pory datują obecne nasze rzeki; w dzisiejszych atoli swych rozmiarach, nie dają one żadnego wyobrażenia o tém, czém były wówczas. W zwężonych i prawie ustalonych korytach, niosą one już tylko wodę z dnia na dzień spadającą dżdżem z obłoków; wiosenne zaś ich wylewy, pochodzące z topnienia śniegów zimowych, drobnostkami są w obec tych monstrualnych powodzi, jakimi niegdyś darzyły ziemię słoneczne upały lata, stapiające zrazem i śnieg zimowy i śniegi starożytnych lodników.

Nadzwyczajna ta potęga biegu wód, dała się przedewszystkiem we znaki w piérwszych czasach epoki czwartorzędnej; zmniejszała się następnie z jednego tysiąclecia na drugi; epoka atoli wielkich powodzi, epoka czwartorzędna zamknięta została dopiero wtedy, gdy lodniki w skutek rok rocznych ubytków, zredukowały się do dzisiejszych granic, gdy temperatura zniżyła do stanu, za który ją obecnie błogosławić możemy. Wtedy to nastąpił przedśionek epoki nowój, tegoczesnej. Potoki nie przestały ciągnąć za sobą mniej lub więcej ciężkich kawalków skał, obrywków górnych kamieni i zwirowych osępów; głównie atoli zadaniem rzek, będzie od tej pory formowanie głęby osadowej, złożonej z drobnych

cząsteczek ziemnych, piaszczystych, błotnych etc. (*alluwionu*). Cały okres czasu ubiegłego od końca epoki czwartorzędnej, aż do pierwszego świtu podań dziejowych, nosi nazwę epoki tegoczesnej; grunta zaś sformowane w tym czasie, nazywają się gruntami *świeżemi*. Są one świeże w rzeczy samej względnie do chronologii paleontologicznej, w porównaniu np. do gruntów utworzonych w epoce czwartorzędnej; z chronologią historyczną są więcj niż arcy-starożytne, gdyż niektóre z nich, dla sformowania się, potrzebowały kilkunastu setek stuleci.

Reassumując cośmy dotąd powiedzieli w sprawie elementarnych zasad antropologii przedhistorycznej, otrzymamy następującym szeregiem po sobie idące epoki i peryody paleontologiczne (kopalne czyli skamieniałe), zaczynając od najdawniejszych i najstarożytniejszych.

- | | | | | | | |
|----------------------|---|---|---|--|---|---|
| Okres kamienny | } | A. <i>Epoka</i> trzeciorzędna i w niej peryody: | } | nazwy peryod. geologiczne. | | |
| | | 1. eoceniczny (sporno-domyślnie zaludniony) | | | | |
| | | 2. mioceniczny | | | | |
| | | | | 3. plioceniczny (sporno-faktycznie zaludn.) | | |
| | | | | B. <i>Epoka</i> czwartorzędna, czyli po-łodnikowa; w niej peryody: | | |
| | | | | 4. mammuta | } | bezsponnie zaludnione (nazwy peryodów paleontologiczne) |
| | | | | 5. mammuta i rena | | |
| | | 6. rena | | | | |
| | | C. <i>Epoka</i> nowoczesna; w niej okresy: | | | | |
| Okres brązu i żelaza | } | 7. kamienia gładzonego | } | niewątpliwie zaludnione (nazwy peryodów archeologiczne) | | |
| | | 8. brązu | | | | |
| | | 9. żelaza | | | | |

Ograniczając sprawozdanie nasze okresem kamiennym, bo nim wyłącznie niemal zajmował się kongres bruxelski, rozstrzygniemy najprzód kwestyę potopową. Jakaśmy nadmienili wyżej, straszna owa powódź pochodząca ze stopienia lodników, dała początek epoce czwartorzędnej, w historii człowieka pierwotnego, najważniejszej. Co się zaś tyczy trzeciorzędnej, czyli raczej ostatnich dwu jej peryodów, spór o paleontologiczne ich znaczenie, wygląda niekiedy jako teologiczna dysputa. O cóż tu bowiem chodzi? O nic innego, zdaje się, jak o dowiedzenie, że przed potopem koniecznie istniało plemie ludzkie. W przeciwnym razie, jak mniemają niektórzy uczeni, zachwianaby została powaga Biblii, według której pierwszy człowiek przed epoką czwartorzędną zesłany był na ziemię. Kwestyę tę twierdząco popierają najgorliwiej dwaj duchowni francuzcy: księża Desnoyers i Bourgeois. Uczeni świeccy z niedowierzaniem takowej dotykają. W ostatnich czasach Quatrefages tak się o niej wyrażał w jednej z lekcyj w paryżkiem muzeum historii naturalnej: „Egzystencya człowieka w epoce czwartorzędnej jest dowiedziona; liczne wykopaliska kamienne z pokładów niewątpliwie czwartorzędnych, wykopaliska na których praca człowieka wyraziła się w kształtach nieraz delikatnych i sztucznych; kilka kościotrupów i kilkanaście

czaszek ludzkich znalezionych w towarzystwie kości zwierząt dziś zaginionych, jak mammut, pozwalają nie tylko na wszelką w tym względzie pewność co do istnienia, lecz też i na prawdopodobne określenia rodzaju życia i stopnia cywilizacji ludzkości w tej epoce. Jestże to samo odnośne do epoki trzeciorzędnej? Gdym po raz pierwszy rozpatrywał tę sprawę na faktach przedstawionych przez księży Desnoyers i Bourgeois, oprócz wątpliwości badanie to nic mi nie przyniosło. Uważałem wszakże za możliwą egzystencję człowieka w peryodzie pliocenicznym i dalej nie siedłem. Od tego czasu zmienić nieco musiałem pierwotny mój sąd, dowody się gromadziły i ks. Bourgeois przedstawił nawet krzemienie ciosane należące mające do peryodu miocenicznego: z drugiej strony, zapewniają że w pokładach trzeciorzędnej epoki znaleziono całą ludzką czaszkę. Z czaszki tej będziemy może niebawem mieli odlewki. Tymczasem, rozpatrzywszy krzemień, ciosany ręką ludzką, jak utrzymuje ks. Bourgeois, a pochodzący tym razem z pokładów miocenicznych w Thenay i Pouancé, do niczego stanowczego dojść nie mogłem. Ślady bowiem ciosania czy też łupania krzemienia są nie jasne, nie pewne; jestto niejako granica między odłamkowością naturalną, czyli przypadkową a obróbką sztuczną.

Zaraz nazajutrz po otwarciu kongresu brukselskiego, to jest 23 sierpnia, ks. Bourgeois, łamiąc porządek dzienny, wystąpił ze swoimi okazami, przedstawiając jako jeszcze w roku 1867, na kongresie paryżkim prosił uczonych, o zastanowienie się nad wyrobami *niewątpliwie* ludzkiego przemysłu, znalezionymi przez nich w pokładach wapiennych prowincji Beauce. Niektórzy z obecnych uznali ślady ręki ludzkiej na tych krzemieniach, drudzy nie uznali. Od tego czasu ks. Bourgeois zasięgał zdania najznakomitszych antropologów, i zawsze z jednakiem niepowodzeniem, gdyż zdania były niezgodne. Obecnie więc uprasza kongres o wyznaczenie specjalnej komisji do stanowczego oznaczenia czy krzemień znajdujący się w pokładach miocenicznych w Thenay, w pobliżu Pont Levoy (Loir et Cher), zasługuje na nazwę ciosowego czy nie? „Są to — mówił szanowny kapłan, wysypując kamienie na stół — są to według mego zdania strożyte siekiery, młotki, strzały... Słyszałem niektórych z panów mówiących, że narzędzia te są zbyt drobne, aby mogły przydać się na cokolwiek człowiekowi... Ba! są w mojej kolekcji takie kawały, że ich do Brukseli niepodobna było przywieźć.“ Poczóm ks. Bourgeois opisał wszystkie pokłady, przez które od dzisiejszej powierzchni trza było dobierać się do miocenu, żeby w nim ów ciosany jego krzemień otrzymać. Oto są te słoje:

1. Pokłady nowoczesne, mniej lub więcej dawne, z krzemieniem gładzonym czyli polerowanym.
2. Alluwion epoki czwartorzędnej, z krzemieniem ciosanym (typ toporków z Saint-Acheul).
- Pokładu pliocenicznego brak.
3. *Miocene*; pokład muszlowy epoki trzeciorzędnej, peryod drugi i pokład morski z krzemieniem ciosanym.

4. Piaski napływowe, zwane orleańskimi. Kości zwierząt: *Dinotherium Cuvieri*, *Mastodon angustidens*, *Mastodon tapiroides*.

5. Pokłady wapienne, twarde z wierzchu, ilowate (margiel) niżej; brak krzemienia ciosanego u góry, nie wiele u dołu: kości.

Acerotherium,

6. Margiel, z narostami wapiennymi i krzemieniem ciosanym.

7. Gлина żółta lub zielonkawa. Główny pokład kamieni ciosanych.

8. Mięszanina marglu i gliny. Kilka kamieni ciosanych.

9. Gлина z krzemieniem, bez krzemieni ciosanych.

Kongres przychylając się do żądania ks. Bourgeois, wybrał komisję specjalną dla zbadania azali ów tak zwany krzemień ciosany, ciosanym jest w istocie.

Na posiedzeniu 27 sierpnia, pod przewodnictwem Capelliniego, komisja ta rozpatrzyła 32 ważniejsze próbki złożone przez szanownego kapłana. Każdy z jej członków sformułował swe zdanie. Przytaczamy wszystkie w dosłownym przekładzie raportu: „P. Worsae uznaje że kilka krzemieni noszą ślady pracy człowieka. P. Van Beneden oświadcza że się wstrzymuje z ocenieniem. P. Desor nie przyznaje żeby te krzemienie nosiły ślady pracy ludzkiej. P. Engelhardt przyjmuje niektóre za ciosane. P. Valdemer Schmidt uznaje kilka przedmiotów ręką ludzką oznaczonych. P. de Vibraye sądzi, że w sprawie téj kwestya geologiczna potrzebuje dokładniejszych i szczegółowszych badań. P. Franks spuszcza się co do pokładów na dobrą wiarę ks. Bourgeois; co do krzemieni, jednemu tylko przyznaje ślad pracy ludzkiej. P. Steenstrup nie może przypuścić, ażeby przedmioty te nosiły na sobie widoczne ślady pracy ludzkiej. P. Virchow podziela zdanie p. Steenstrup. P. Neyrinck nie uważa także za widoczne ślady ręki ludzkiej. P. Quatrefages przyjmuje kilka krzemieni jako odłupane przez człowieka. P. Cartailhac także się zgadza na kilka przedmiotów. P. Capellini akceptuje parę kamieni, ale życzyłby wybrania nowej komisji do zbadania na miejscu pokładów. P. Fraas nie widzi najmniejszego śladu pracy lub dotknięcia ręki ludzkiej.“ Gdy raport odczytano na pełnym posiedzeniu kongresu, ks. Bourgeois, który przy obradach komisji obecnym nie był, uczynił kilka jeszcze uwag, odnoszących się do wiarygodności pokładów w Thenay: „Zresztą—odezwał się czcigodny kapłan—jeden z członków komisji zwiedził te moje pokłady w Thenay; ja upraszam go, aby raczył wyrazić swe zdanie co do tego przedmiotu. P. Valdemar Schmidt oświadczył wówczas, że w Shenay był, pokłady oglądał i że we względzie ich autentyczności miocenicznój nie może być żadnej wątpliwości.

Po czóm p. baron von Dücker ze swego stanowiska oświadczył, że egzystencya człowieka w epoce trzeciorzędnej nie powinna ulegać zaprzeczeniu (?), w ostatniej bowiem wycieczce do Grecyi oponent widział w tym kraju mnóstwo rzeczy ludzkich odnoszących się do tego okresu, a mianowicie: gromady konch połamanych na wyspie Salaminie; przesliczny zbiór siekier z krzemienia polerowanego do epoki *nowoczesnej* (sic) na-

leżących, a posiadanych przez p. Finlay, oraz skamieniałe kości zebrane w Pikermi, niezaprzeczenie do peryodu pliocenicznego należące, gdyż są połamane (sic), zkąd czcigodny baron wnosi iż człowiek pierwotny miał spryt dobierania się do ich szpiku. Capellini i de Mortillet okazali p. Dückerowi, że się grubo mylił co do owych kości z Pikermi: pochodzą one rzeczywiście z epoki trzeciorzędnej, ale śladu ludzkiej ręki ani szukać na nich; połamały się zaś w sposób najnaturalniejszy w świecie. Sikiery polerowane istnieją niewątpliwie u p. Finlay i istotnie odnieść je trzeba do epoki nowocześniejszej, a tu właśnie mowa o trzeciorzędnej. O pokruszonych muszlach nikt już oczywiście i nie wspominał. Baron Dücker nie replikował.

Nareszcie, Quatrefages podniósł sprawę owęj czaszki człowieka trzeciorzędnego znalezionej w Kalifornii, z którą chwalono się jeszcze na kongresie paryzkim. Co się z nią stało?—pytał. Desor odpowiedział, że przeprowadził w tym przedmiocie korespondencję z p. Withney, który dokładny opis człowieka przedpotopowego, osnuty na ciekawym i rzeczywistym tym okazie, zamieści w 2-im tomie swojej *Geologii Kalifornińskiej*. Jeden z uczonych p. Pourtalés, wyprawiony do sądowania głębin morskich w tamte strony, widział czaszkę i uznaje ją za ludzką, a pokład w którym została znaleziona, odnosi do trzeciorzędnych.

Na tém dziś stanęła sprawa człowieka przedpotopowego. Trzeba atoli dodać, że niepewność pochodząca z niemożności ścisłego wyznaczenia peryodu, w którym człowiek się na ziemi zjawił, wzrasta jeszcze wskutek niedokładności klasyfikacyjnych. Podaliśmy wyżej układ epok i peryodów, uczyniony według skazówek antropologa Broca, streszczonych w jego prelekcji na kongresie stowarzyszenia naukowej pomocy w Bordeaux. Owóż układ zaproponowany na kongresie antropologicznym w Bruxelli przez dyrektora muzeum starożytności w S-t. Germain-en-Laye, p. de Mortillet, układ odnoszący się *jedynie do epoki czwartorzędnej*, jakkolwiek nie narusza klasyfikacyjnych ram Broca, jakkolwiek trzem peryodom (mammuta, mammuta i rena i rena), naznacza mniej więcej te same co i Broca granice, inne atoli klimatyczne nadaje znaczenie całej epoce czwartorzędnej. Epoka lodowa przechodzi u niego aż na pierwszy (mammutowy) okres epoki czwartorzędnej. Kiedyż nastąpiła owa straszna powódź, opisana u Broca? W klasyfikacji p. de Mortillet wcale jój nie widać. Powiada on: „Resztki przemysłowej ludzkiej znajdowane w pierwszym peryodzie epoki czwartorzędnej są wszystkie z kamienia ciosanego według typu Saint-Acheul, (toporki krzemienne w formie migdała): szczątki zaś zwierząt towarzyszące tym toporkom pokazują że jednocześnie z człowiekiem żyły w owym czasie następujące gatunki: mammut, *Elephas antiquus*, i hippopotam. *Są to zwierzęta przeznaczone do zamieszkiwania stref gorących; współczesny im człowiek istniał więc przed peryodem wielkich lodników.*“ Jak zaś widzieliśmy, p. Broca całą epokę czwartorzędną mieści po peryodzie lodników. Co większa, według p. Mortillet mammut żyć może tylko w strefie gorącej; według Broca, tylko w strefie chłodnej... Czy to nauka?

My w przeglądzie epoki czwartorzędnej, i początków epoki nowocześniejszej trzymamy się układu p. Broca, dlatego tymczasem, że świeższy i dokładniej przeprowadzony.

Dla wyznaczenia przeto dat i peryodów okresu kamiennego, w którym istnienie człowieka przedhistorycznego jest niewątpliwym, podajemy tablicę podziałową, jak ją p. Broca skreślił.

Okres kamienny.

Epoki	Daty stratygraficzno-geologiczne	Daty paleontologiczne	Daty archeologiczne
Czwartorzędna	1. Pokłady najniższe dolin nienaruszonych.	Okres mammuta	Toporek cios. typu Saint-Acheul
	2. Pokłady średnie	Okres przejściowy (mammuta i rena)	Ostrze typu Moustier
	3. Pokłady wyższe	Okres rena	Ostrze typ. Solutró
Nowożytna	4. Grunt nowocześniejszy.	Państwo zwierzęce dzisiejsze	Toporki krzemienne polerowane

Przyjrzyjmy się kolejno każdemu z trzech tych rodzajów dat, zaczynając od stratygrafii, czyli pokładografii.

Daty geologiczno-pokładowe wyraziły się najdobitniej w dolinach i równinach, kędy wielkie potoki wód epoki czwartorzędnej zostawiły po sobie mniej lub więcej grube, mniej lub więcej regularne słoje osadowe. Hlekoć zewnętrzny i późniejszy jaki przypadek nie przemieszał tych słojeń, następują one po sobie porządkiem starszeństwa z dołu ku górze. Najdawniejsze położone są najniżej; na nich opierają się pokłady późniejsze, zwane średnimi, które z kolei podtrzymują pokład trzeci, w epoce czwartorzędnej najświeższy i najbliższy od obecnej powierzchni ziemi położonej. Nareszcie, słoje z epoki nowożytniej, składający się z alluwionu, torfisk i ziemi roślinnej pokrywa epokę czwartorzędną z jej trzema geologicznymi pokładami. Trzy te pokłady nie wszędzie atoli znajdują się w komplecie; w jednóm miejscu brakuje słoju średniego, w drugiem najniższego etc. Widzieliśmy np. że w pokładach Thenay, opisanych przez ks. Bourgeois, przy przejściu z epoki czwartorzędnej do trzeciorzędnej, za alluwionem szły zaraz pokłady mioceniczne; pliocenicznych zaś nie znalaziono. Natura też pierwiastków, z których się słoje składają różni się stosownie do miejsc. W każdym razie nauka pokładografii odgrywa ważną rolę w badaniach paleontologicznych, i według jej danych wyznaczamy stopień starożytności zwierzętom, których szczątki znajdujemy w ziemi i jak nawzajem, kości zwierząt kopalnych dają nieraz poznać wiek pokładu, w którym je znalezione.

Co do dat paleontologicznych, określających się obecnością lub nieobecnością pewnych gatunków zwierząt, w pewnych pokładach zie-

mi geologicznych, jest ich w epoce czwartorzędnej trzy, a czwarta stanowi epokę nowoczesną. Ze zwierząt żyjących w pierwszych czasach epoki czwartorzędnej, jedne jak mammut, znajdują się dziś tylko w stanie skamieniałym (fossile) czyli kopalnym: są to gatunki *wyginione*; inne jak renifer, znikły w naszej strefie, lecz żyją gdzieindziej: są to gatunki *wychodźcze*; trzecie nareszcie jak koń, utrzymały się po dziś dzień: są to gatunki *tegoczesne*. Zwierzęta wyginione zapępniały pierwszy peryod epoki czwartorzędnej, odpowiadającej najniższemu geologicznemu pokładowi tejże epoki. Do ich rzędu należą: wielki niedźwiedź jaskiniowy (*ursus spelaeus*), wielki lew jaskiniowy (*felis spelaea*), hipopotam-amfibia (*hipamphibius*), słoń starożytny (*Elephas antiquus*), i nareszcie król tego zwierzęcego państwa mammut (*Elephas primigenius*). Renifer i wiele innych gatunków wychodźczych znajdowały się także w tym peryodzie, lubo w ilościach podrzędnych; to samo ze zwierzętami tegoczesnymi. Od mammuta okres ten otrzymał paleontologiczną swą nazwę. Zabezpieczony od chłódów gęstym i ciepłym futrem; uzbrojony potężnymi środkami napaści i obrony przeciwko nieprzyjaciołom, pierwotny ów słoń prosperował i mnożył się śród warunków mniej przyjaznych dla gatunków ubogo w odzież lub powagę opatrzonych. Zbiegiem atoli czasów ocieplało się powietrze, i renifer wraz z innymi gatunkami jeleni, oraz koń, wół i żubr, poczęły ociężałemu mammutowi zabierać z przed nosa roślinne jadlo. Władca peryodu pierwszego nie prędko wszakże ustąpił z pola. W peryodzie więc przejściowym, odpowiadającym pokładowi średnim epoki czwartorzędnej, gościnnie podzielił się pastwiskami z reniferem (*cervus tarandus*); i dlatego to paleontologicznie, okres ten nazwany mammuta i rena. W pokładach onego znajdujemy w równych niejako proporcjach kości mammutowe z kościami renifera. Ale i środkowy okres mijał ustępując miejsca trzeciemu i ostatniemu w epoce czwartorzędnej. Gdy geologiczne pokłady epoki onój poczęły się przystrajać w najwyższą swą warstwę, gatunki zwane wyginionymi czyli względnie do naszych czasów kopalnymi, już prawie nie istniały. Ostatni mammut wybierał się na Sybir, ostatni jeleni północny (*megaceros hibernicus*) biegł ku Irlandyi, a wielki lew jaskiniowy, dogorywał na miejscu. Natomiast renifer rozpostarł się po ziemi w sposób nadzwyczajny; stanowił on główną podstawę wyżywienia człowieka. Od niego też bierze nazwę trzeci paleontologiczny okres epoki czwartorzędnej, z jego również śmiercią, czyli raczej wynosinami ku północy, zamyka się i cała ta epoka, ustępująca przed epoką nowoczesną. Ta ostatnia, nie ma już wcale okresów paleontologicznych, charakteryzujących się skamieniałościami kości zwierząt wyginionych lub wypchniętych; wszystkie bowiem onój gatunki są żyjącymi obecnie, przechowały się aż do naszych czasów, wyjąwszy może żubra (*Bison europaeus*), zapędzonego na Kaukaz lub kryjącego się w głębi puszczy litewskich z powodów więcej cywilizacyjnych niż klimatycznych.

Dwa powyższe rodzaje dat wykreśla stratygrafia i paleontologia. Nauki te atoli nie mogą nam złożyć żadnego jeszcze świadectwa co do

obecności człowieka przedhistorycznego w epoce czwartorzędnej. Ilekroć jest niewątpliwem, że pewien odłam naszego rodzaju żył w *jakiś* okresie poprzedzającym świadectwo dziejowe, tylekroć stratygrafia, paleontografia ważne oddają badaczowi usługi, pokazując mniej więcej ściśle chronologiczny okres onego życia. Dopiero archeologiczny szereg zjawisk dostarcza podstawę nauce antropologii przedhistorycznej, jakkolwiek z drugiej strony łatwo będzie spostrzedz, że najautentyczniejszy archeologiczny zabytek nic sam przez się bez stratygrafii lub paleontologii nie mówi, albowiem dziś jeszcze napotykamy ludy używające narzędzi kamiennych, jakie wyrabianemi były przez Troglodytów, plemię od kilkuset tysięcy lat nie istniejące.

Po czemże odróżniamy daty archeologiczne i na czém one polegają?

Znajomość metalów jest całkiem świeżą; jest, rzecby można wczorajsza. Człowiek jednak zanim je pozyskał i do swoich potrzeb zastosował, nie był bezbronnym. Dla wyrabiania oręża i rzeczy niezbędnych przy najniższym nawet stopniu cywilizacyi, jak noże, siekiery lub igły, używał rozmaitych ciał twardych, kości, rogów, a zwłaszcza *kamieni*, między któremi krzemień pierwsze zajmuje miejsce. Ztąd poszło, że całemu okresowi historii człowieka, w którym metale nie były znane, dano nazwę okresu kamiennego. Owoż sposób wyrabiania instrumentów, ich forma i rozmiary, koniecznie musiały się zmieniać ze zmianą rodzaju i życia, z postępem towarzyskości ludów, wyrobami tymi się posługujących. Jeżeli zaś obok tego zważymy, że kamień zachowywać się może w ziemi przez czas nieograniczony, łatwo nam będzie pojąć jak ważnemi dokumentami są pozostałości pierwotnej tej przemysłowości w historii początków rozwoju człowieczeństwa. Daty ustanowione na mocy tych zabytków nazywają się archeologicznemi. Nie mają one owej koniecznej i naturalnej ścisłości, jaka prędzej czy później czeka klasyfikacye stratygraficzne i paleontologiczne. Wszelakoż zapatrując się na kwestyę ze stanowiska ogólniejszego, zdołano i tym sztucznym podziałem archeologicznym nadać jak największą możebną powagę naukową. Idąc za przykładem p. de Mortillet, rozłożono epokę czwartorzędną, również na trzy peryody archeologiczne mniej lub więcej wiernie *zchodzące* się z peryodami stratygraficznemi i paleontologicznemi. Za typ pierwszego peryodu wzięto toporek. a raczej klin zwany z *Saint-Acheul*. Jestto krzemień objętości zmiennej, w każdym atoli razie dość spory, podługowaty migdałowego kształtu, ostry z jednego końca, tęp i osadzisty z drugiego (dla objęcia dłonią). Charakterystyczną jego cechą stanowi to, iż obie jego wypukłości powstały w skutek *ociosania* zmierzonego ku otrzymaniu zaostrenia. Typ ten najobficiej rozsiany w *Saint-Acheul* około Amiens, w dolinie rzeki Sommy. Znajduje się atoli i w innych pokładach mamutowego peryodu; bardzo rzadko w późniejszych. Drugi archeologiczny okres epoki czwartorzędnej zaznacza się ostrzem z *Moutier* (jaskinia nad rzeką Verère w pobliżu siół Tursac i Tayac w Perigord, na południu Francyi). Ostrze owo różni się od toporka z *Saint-Acheul* wykwintniejszą nieco robotą, a głównie tém, iż jedna jego strona jest ściętą równo;

całość wygląda jako połowa rozdwojonego migdała. Ciosany ten krzemień znajduje się niekiedy w pokładach peryodu mammutowego, jako też w pokładach reniferskich; stale atoli używanym był w peryodzie przejściowym i służył podobno za ostrze do grubych lanc, przywiązywany u ich końców. Charakterystyczną trzeciego archeologicznego peryodu odpowiadającego okresowi reniferskiemu, jest tak zwane ostrze z Solutré (w Mâconnais), różniące się od ostrza z Moustier wykwintniejszém obrobieniem, jako też i tym szczegółem, że oba onego zakończenia są zaostrome. Nareszcie z końcem epoki czwartorzędnej i trzeciego jej peryodu, a na wstępie do epoki nowoczesnej zjawia się ostatnie ulepszenie fabrykacji narzędzi kamiennych. Jestto krzemień *polerowany*, czyli wygładzony, kształtów rozmaitych, tém się atoli odznaczających od kształtów kamieni peryodów poprzednich, że są równiejsze i wysmuklejsze.

Zbiór peryodów poprzedzających zjawienia się kamienia polerowanego, zwie się w archeologii przedhistorycznej okresem *paleolitycznym*; peryod zaś krzemienia polerowanego, nosi nazwę okresu *neolitycznego*.

Rozmaite fazy okresu kamienia ciosanego, czyli okresu paleolitycznego następowały po sobie stopniowo i przejściami prawie nieznacznymi, tak samo jak i peryody geologiczne i paleontologiczne tym fazom odpowiadające i przeciwnie, okres kamienia polerowanego czyli neolityczny, wyróżnia się od poprzednich wyraźnym i prawie nagłym przeskokiem. Początek tego ostatniego okresu zbiega się ściśle ze zniknięciem rena, to jest z końcem czasów paleontologicznych (kopalnych), oraz z całkowitą zmianą towarzyskiego życia człowieka, z przyswojeniem niektórych zwierząt ze świtem pasterskiej i rolnej uprawy. Długi szereg stuleć przesunął się od tój chwili aż do zjawienia się bronzu, który położył koniec wiekowi kamienia. Peryod więc krzemienia polerowanego trwał czasy niezmiernie i w obec niego peryod dziejowy, terażniejszy, drobnotką się wydaje, a jednakże okres ów kamienia polerowanego porównany do okresów poprzedzających (paleolitycznych czyli kamienia ciosanego) wygląda jako rok przy stuleciu...

Taką jest w ogólnych zarysach klasyfikacja przyjęta dla antropologii przedhistorycznej przez uczonych Francyi, Anglii, Włoch, Hiszpanii. Że na nią atoli niema powszechnej zgody, dowiódł międzynarodowy kongres w Brukselli; Niemcy, dotąd uczniowie szkoły francuzkiej zanieśli przeciwko niej protest zaraz na jedném z pierwszych posiedzeń. „Mówicie panowie—powiadał p. Fraas—o peryodach mammuta, etc. Bardzo być może żeście to wszystko widzieli i znaleźli we Francyi. U nas w Niemczech rzecz się ma całkiem inaczej. My nic nie wiemy o żadnych tego rodzaju podziałach. Mammut, niedźwiedź, renifer żyły według nas w jednym i tym samym okresie i razem służyły za pokarm człowiekowi. W grocie Hohlefels np. pozostałości tych zwierząt zmieszane są bez szczególnych wyróżnień mogących upoważnić do jakichkolwiek rozkładów na peryody. W grocie tój jednej tylko rzeczy braknie: śladów życia tegożczesnego. Oto wszystko co w tym przedmiocie może dziś nauka nasza powiedzieć... Powołujecie się też panowie na krzemień czwarto-

rzędny... Cóż to jest takiego? Nie mieszajmy geologii z archeologią. Widzimy oto w Belgii wyroby *garncarskie*, *gliniane* jednocześnie z resztkami mammuta i renifera. Krzemień więc żadnej charakterystyki stanowić nie może, tórn bardziej że to co jest w Belgii, to samo ma miejsce i w naszym kraju. *A jak jest w Niemczech, tak być musi i we Francji*—dodał w końcu złośliwy p. Fraas.

— Było i będzie całkiem przeciwnie—odparł mu na to p. Hebert ze znaczącym uśmiechem i naciskiem. I jał coraz Niemcom wykladać *ab ovo* cały kurs elementarnych zasad paleontologii, stratygrafii i archeologii. Odpowiedź była tak gorącą, dzielną i przekonywającą, że opozycja p. Fraasa czuła się być zmuszoną do ustąpienia tym razem. Ustąpiła też w rzeczy samej przyrzekłszy sobie wystąpić nazajutrz z większém powodzeniem, lecz już z powodu innej kwestyi. Trzeba się nam z nią zapoznać; była ona bowiem głównym przedmiotem rozpraw na kongresie: jestto kwestya rass przedhistorycznych.

Na posiedzeniu 29 sierpnia p. Dupont rozwijając temat postawiony przy oglądaniu pokładów pod obozem w Hastedon, uczynił wniosek że w dawniej Europie istniały dwie różne, niczem z sobą nie powiązane rassy. Jedna zamieszkująca jaskinie i kraje górzyste, używająca narzędzi z kamienia ciosanego i z kości; nieznaną naczyń glinianych, chowająca umarłych w grotach, czyli w takichże samych jak i mieszkalne jaskiniach, rozpościerała się w zachodniej Europie. Są to *Troglodyci*. Druga dla której p. Dupont proponuje nazwę *Podionomitów*, rozsiadła po równinach, nad brzegami rzek, nad którymi kleciła sobie chałupy; grzebiąca zmarłych w *dolmenach*, czyli w sztucznych budowlach z płyt kamiennych; znająca się na garncarstwie, posiadająca zwierzęta domowe i znająca się na sztuce polerowania kamieni, zamieszkiwała wschód Europy.

Konsekwencye tego wniosku nastęrczały się same. Podyonomici zjawiają się na scenę przeddziejową w okresie neolitycznym, czyli w epoce tegoczesnej; Troglodyci zaś należą do epoki paleolitycznej czyli czwartorzędnej, starożytniejszej. Gdy zaś z drugiej strony wiadomém jest antropologom, że Troglodyci znikli nagle z powierzchni ziemi akurat w czasie kiedy Podyonomici nadeszli, stosunek drugich do pierwszych byłby takim jaki zachodzi między zaborcami a zabranym. Ci co używali kamienia ciosanego wyginęli pod ciosami tamtych, którzy kamień umieli wygładzać, polerować. P. Broca opisuje Troglodytów jako naród dziki wprawdzie, lecz o ile to sądzić można z czaszek znalezionych w Moustier, Eyzies i Cramagnon, wcale inteligentny i do postępu uzdolniony, a skory. Przeciwnie Podyonomici lubo potrafili przyswoić psa, garnek ulepić i kamień ogładzić, skupiali w sobie pomimo tego wszystkie śmiertelne grzechy ludzkości. Z twarzy i czaszki przypominali dzisiejszy typ fiński. Pruneroy Bawarczyk rodem, Francuz naturalizowany (za co też p. Virchow renegatem go nazywa), w każdym zaś razie badacz starożytności znakomity, dla Podyonomitów owych wynalazł nawet osobny antropologiczny termin. Czerepy ich zwie *mongoloidalnymi*. Resztki téj rassy wypartéj

ze środkowej Europy już w czasach historycznych przez plemiona indo-europejskie (Aryów), według wywodów p. Quatrefages, miałyby się przechować podziśdzień po łąkach naszego łądu, przyparte ku podnódom gór jak Baski pirynejjskie, lub ku wybrzeżom północnego oceanu, jak Finny. W całym tym wywodzie nie byłoby nic jeszcze drażliwego dla pp. Fransa i Virchowa, gdyby p. Quatrefages chciał był ograniczyć swoje poszukiwania do Finnów i Basków. Ale szanowny profesor muzeum paryzkiego przekroczywszy na mocy atawizmu granicę przedhistoryczne, mongoloidalny pierwiastek zobaczył także w dzisiejszej rassic pruskiej. Z czego rozumie się, wywiązała się zaraz kwestya niemieckiego honoru... Na kongresie wszystko to przykryte było parlamentarną i naukową przyzwoitością, jakkolwiek spór szedł żywo i zacięcie.

Dopiero gdy się uczeni mężowie rozjechali każdy w swą stronę, rzecz przybrała charakter ostry i nie koniecznie przyzwoity. P. Virchow w prelekcjach berlińskich nazywa p. Quatrefages *chauvinem*, a metodę francuzką swawolną; p. Quatrefages słusnie oburzony otwartą tą napaścią, odpięra, że p. Virchow jest człowiekiem źle wychowanym, a ze stanowiska antropologii przedhistorycznej niukiem.

Takiż sam nagauny antagonizm objawił się na kongresie z powodu głosu Faidherba w rzeczy dolmenów algijskich. Według uczonego tego generała, który równie jest mocny w archeologii, jak w strategii dolnysą mogiłami i niczém więcej. Sądzi on, że pomniki te zawdzięczamy jednemu wyłącznie ludowi, który wyszedłszy z północy Europy, wędrował ku południowi aż ku piaskom Sahary i zostawiał po drodze śród plemion o które potraczał ślady swojego pobytu. W Afryce dolmeny noszą nazwę grobów bałwochalców. Są bardzo liczne; sam generał zwiedził ich od pięciu do sześciu tysięcy. Twierdzi że mają ten sam charakter co i dolmeny ciągnące się od pomorza bałtyckiego, do pomorza śródziemnego. Jeżeli Belgia ich nie posiada, to dlatego, że ludność w tym kraju od wieków wiecznych tak była zgęszczoną, iż starożytne pomniki rujnować musiano dla chleba powszedniego pod uprawę rolną, Postrzeżenia generała Faidherbe nad wzrostem ludu dolmonowego, dały średnią miarę 1 metr 69 centymetrów dla obojga płci, a 1m,74 gdy do rachunku wciągnięto same tylko szkielety męskie. Była to więc rassa wyniosła, gdyż jak zauważył generał, wzrost karabinierów francuzkich sięga zaledwo 1m,65.

Dyskusyę w tak interesującej kwestyi podtrzymywali tylko Szwedzi i Duńczykowie. Rozdąsani Niemcy milczeli upornie, lubo wiadomém było, że dział ten z prawa i starszeństwa do nich należy.

Okresem bronzu i żelaza, jak już napomknęliśmy, zajmowano się mało. Nadmienimy wszakże, że p. Oppert starał się zachwiać powszechne w tój mierze przekonanie, jako bronz i żelazo wszędzie ustatpily dopiero po wieku kamiennym. Mówca utrzymywał, że jeżeli piérwszeństwo kamienia dowiedzionóm jest dla Europy, w Azji, sprawa stoi nieco inaczej. Kamień, bronz i żelazo znanemi tam były od najdawniejszych czasów. Przyczém żelazo zdaje się być starożytniejszém od bron-

zu. Przyszło do tego, iż uczeni antropologowie wzięli się do obliczania ile razy w Iliadzie użyto wyrazu żelazo, a ile bronz.

O starożytnościach słowiańskich jedną tylko wzmiankę spotka-
liśmy w sprawozdaniach francuzkich, z końca posiedzenia 27 sierpnia.
Brzmi takowa nader lakonicznie: „P. hrabia Wesiersky zakomunikował
przedhistoryczny rys W. X. Poznańskiego.“

ORDYNACJA OSTROGSKA.

PRZEZ

S. K.

„Dziś gdy już wstyd i przyszło opamię-
tanie, dowiedziéby się coś chciało, a nie-
ma zkąd; pękł sznur tradycyi i zostali-
śmy na rozdrożu osamotnieni, dorabia-
ją się nowego życia ze szczątków roz-
sypanych przeszłości i materyałów zu-
pełnie obcych. Co się z tego urobi,
Bóg jeden wie tylko.“

(*Dziś i lat temu trzysta J. I. Kraszewski*).

Za panowania w Polsce Władysława Hermana 1100 roku, pomiędzy książętami ruskimi nastąpił nowy podział, przez który książę Daniel Ihorowicz otrzymał na Wołyniu miasto Ostrog, Dubno, Czartorysk, Busk i corocznie pobierał od każdego z braci dwieście grzywien srebra, jak Naruszewicz poświadcza.

Z tego rodu w prostéj linii od Włodzimierza W. księcia ruskiego, zmarłego 1015 roku, i od Anny cesarzówny wschodniéj, był Konstantyn Bazyli książę ostrogski wojewoda kijowski, który ożeniony z Tarnowską, miał syna Janusza urodzonego w r. 1554 ¹⁾.

¹⁾ Temu pochodzeniu książąt Ostrogskich od Włodzimierza W. księcia ruskiego, zaprzeczają późniejsi po Naruszewiczu badaczo dziejów. (Encyklop. pow. tom XX, kar. 155).

Janusz książę Ostrogski był kasztelanem krakowskim, a włodzimierskim, perecaławskim, białocerkiewskim, czerkawskim, kaniowskim i bohusławskim starostą. On za zmianę wschodniego na rzymskie wyznanie, doznał gniewu ojca aż do zamachu na swoje życie. On w roku 1593 wielce się przyczynił do zwycięstwa jakie ojciec jego nad Kosińskim hetmanem Kozaków odniósł pod *Piątkiem*. On Tarnów i Ostrog obwarował i ozdobił. Najmożniejszy w swoim czasie pan, ordynacyę ostrogską za zezwoleniem sejmujących stanów roku 1609 założył, a umarł 1620 roku.

Fundator ordynacyi Janusz książę Ostrogski kasztelan krakowski, postanowił ją na znaczny majątku swego części, obejmującej około tysiąca wsi, miast i miasteczek, a to bez krzywdy młodszych potomków i bez krzywdy płci żeńskiej, dla których zostawała większa połowa mienia na prawie pospolitém dóbr ziemskich. Spełniając polecenie przez konstytucyę 1609 roku zastrzeżone, ku powszechnéj wiadomości, przyznał postanowienie swej ordynacyi przed aktami trybunału lubelskiego w roku 1618. Tam w punktach swojej ustawy zastrzegł, aby wiecznemi czasy, z wyłączeniem zupełném płci żeńskiej, najstarszy z jego sukcesorów majątek ordynacki posiadał; aby go długami nie obarczał, ani téż nie sprzedawał bądź częściami, bądź ryczałtem; a nadto, korzystając z pozwolenia otrzymanego w konstytucyi 1609 roku, która mu dozwoliła w ciągu jego życia czynić przemiany i poprawy w swéj ustawie, dodał w przyznaniu jéj przed trybunałem lubelskim, aby ordynat na Ostrogu, kosztem dóbr ordynackich, utrzymywał trzystu pieszych i trzystu konnych żołnierzy ku obronie Rzeczypospolitéj polskiej od napadu Turków i Tatarów. Niemając zaś potomka płci męzkiej własnego imienia, przeniósł tę ordynacyę, jako jéj założyciel, na swych wnuków zrodzonych z córki jego Eufrozyny, wydanéj za księcia Aleksandra Zasławskiego wojewodę braclawskiego, który pochodził z tego rodu książąt niegdyś ruskich, mianując najstarszego z jego synów księcia Franciszka Zasławskiego ordynatem ostrogskim. Toż prawo do ordynacyi nadał bratu jego Karolowi księciu Zasławskiemu, gdyby Franciszek bezpotomnie zeszedł, a to z równém prawem dla najmłodszego z nich Dominika, gdyby tamci dwaj byli bezpotomni. Na wypadek wygaśnięcia w płci męzkiej domu książąt Zasławskich, postanowił aby ordynacya ostrogska przeszła w posiadanie jego siostrzeńca, syna siostry jego i księcia na Birzacz, Dubince i Słucku, podczaszego W. księstwa litewskiego małżonków Radziwiłłów, z prawem spadku na starszego po tym ich synie potomka, z wyłączeniem zawsze płci żeńskiej. Jeśliby zaś w sukcesorach tych dwóch domów, wygasła rodzina płci męzkiej, na taki wypadek objawił wolę swoją, aby Rzeczpospolita polska obrała ordynata z kawalerów maltańskich, Polaka rzymsko-katolickiego wyznania, rodem bądź z Polski, bądź z Litwy albo z prowincyj ruskich,

z t6m zawsze zastrzeżeniem, aby 6w obrany na ordynata, dostarczał z d6br ordynackich sześciuset żołnierzy dla obrony Polski.

Franciszek i Karol książęta Zasławscy, zesłli bezpotomnie. Dominik książę Zasławski, brat ich najm6lodszy wojewoda krakowski, objął ordynacę, która po jego śmierci przeszła porządkiem przez ustawę oznaczonym, na syna jego Aleksandra księcia Zasławskiego. Ogromne zaś dobra dziedziczne po książętach Ostrogskich, dostały się w dożywotnie posiadanie jego matki, Katarzyny z Sobieskich księżnój Zasławskiej wojewodziny krakowskiej.

Zeszedł bezpotomnie ostatni z tego rodu Aleksander książę Zasławski 1673 roku. Wygaśli pi6rwiej jeszcze potomkowie siostry księcia Janusza Ostrogskiego z t6j linii książąt Radziwiłł6w; a ordynacę ostrogską, przeciw j6j ustawie wśród niepokoj6w krajowych, objęła siostra zmarłego księcia Aleksandra Zasławskiego, Teofila księżniczka Zasławska wydana za Dymitra księcia Wiszniowieckiego wojewodę bełzkiego, hetmana W. koron., która przez powt6rny związek wyszedłszy za J6zefa księcia Lubomirskiego marszałka nadwornego koronnego, lubo dwie c6rki swoje, jednę Teresę za Karolem księciem Nejburskim, a drugą Maryę za Pawłem księciem Sanguszką marszałkiem w6wczas nadwornym litewskim, wielkimi wyposażyła summami, przecieź dobra ordynackie zostawiła synowi swemu Aleksandrowi-Dominikowi księciu Lubomirskiemu staroście sandomierskiemu, żadnym nie obarczone długiem.

Zeszedł bezpotomnie i ten niewłaściwy ordynat, a dobra ordynacyi ostrogskiej, jakoby wedle praw pospolitych dziedziczne, przeszły w posiadanie siostry jego, Maryi z Lubomirskich, księcia Pawła Sanguszka małżonki ¹⁾. Po j6j śmierci, za życia j6j męza księcia Pawła, objął dobra ordynackie ich syn jedyny książę Janusz Sanguszko marszałek nadworny litewski. Ten lubo istotnie był tylko administratorem ordynacyi, jak się to niżej okaże, a pisał się niewłaściwie ordynatem na Ostrogu, przecieź obok tego nie pomny na zastrzeżenia ustawą t6j ordynacyi objęte, obarczał dobra ordynackie długami, zastawą, i nakoniec po śmierci ojca swego, przez tranzakcye w Kolbuszowie roku 1753 spisane, rozprzedał je nie-

¹⁾ Paweł książę Sanguszko, wedle dawniejszych dziejopis6w potomek Gedymina panującego niegdys nad W. księztwem litewskim, zmarły 1750 roku, był ożeniony najprz6d z Bronisławą Pieniążkówną, wdową po jego bracie; powt6re, z Maryą księżniczką Lubomirską, a poraz trzeci, z Barbarą Duninówną. Z pierwszego związku miał syna J6zefa, który ożeniony z Cetnerówną, zostawił syna Romana; ten w m6lodzięczych latach, wśród pi6knych o nim nadzioi, żyć przestał. Z powt6rznego związku z księżniczką Lubomirską jedynym ich potomkiem był Janusz ks. Sanguszko, który rozprzedał ordynacę ostrogską; a z trzeciego związku z Barbarą Duninówną, zostawił ks. Hieronima Sanguszka ostatniego wojewodę wołyńskiego, który był ojcem generała wojsk

prawnie rozmaitym chciwym korzyści osobom, a w części rozdarował dobrze u siebie zasłużonym dworzanom swoim.

Po przedstawieniu praw czyli zasad ordynacyi ostrogskiej i po wzmiance o jej upadku, przejdźmy szczegóły czynności w tym przedmiocie naszych niegdyś sejmów, z których jeden mianowicie roku 1766, dobra téj ordynacyi uznał za spadkowe na prawie pospolitém dóbr ziemskich, i rozprzedanie ich przez potomka z płci żeńskiej ksiąząt Zasławskich dopełnione, potwierdził.

Może kto pochwali to rozszarpanie na cząstki wielkiej posiadłości, ku zwaleniu przeważnej arystokracji jednego z domów magnackich? Ależ po istotnych na tém mieniu ordynatach, zabrakło już w ich potomkach płci męskiej jeszcze w roku 1673, i już od téj daty ów cały obszar posiadłości zależał od zgromadzonych stanów. Może kto zrobi uwagę, że rozdrobienie majątków, większą dla kraju przynosi korzyść, niż ich ogrom w jedném ręku? Tę uwagę zostawmy na boku, a przedewszystkiem starajmy się wyjaśnić prawdę i przekonać się: czy dobra po wygastém imieniu istotnych ordynatów, ulegające wedle brzmienia ustawy ordynackiej samemu tylko rozporządzeniu sejmowemu, godziwie były rozszarpane samowolną prywatną sprzedażą?

Rozważmy po kolei wszelkie w tym przedmiocie postanowienia sejmów, aby dojść naprzód: czy ordynacja ostrogska otrzymała sankcyę narodową? Powtóre: czy była akceptowaną przez rządowe jakiebądź postanowienia? I nakoniec: czy kiedykolwiek dobra téj ordynacyi uważane były przed sejmem 1766 roku, bądź przez władzę krajową bądź przez naród, jako majątek oparty na powszechném prawie dóbr ziemskich co do spadkobierstwa?

Roku 1609, za panowania Zygmunta III króla polskiego, konstytucya sejmowa w tomie II Volum. leg. (wydanie J. Ohryzki) na karcie 466 w par. 16, pod tytułem: „Ordynacja J. W. Janusza księcia Ostrogskiego kasztelana krakowskiego“ w tych jest wyrazach:

„Dla starożytnych i zacnych zasług J. W. Janusza księcia Ostrogskiego kasztelana krakowskiego, za radą P. P. Rad, i pozwoleniem posłów ziemskich, tak koronnych jako i W. księstwa litew-

skich księcia Eustachego, a dziadom żyjącego dziś księcia Romana i s. p. Władysława Sanguszków. Drugim synem księcia Pawła z Duninówny urodzonym, był Janusz książę Sauguszko strażnik koronny, po którym potomkowie wygasli. Córki księcia Pawła wydane w zamęzoio, zostawiły potomków kilku rodzin, jako to: Czackich, Bielińskich i innych, którzy korzystnie zakończyli rozpoczęty o sukcesyę proces przez dobrowolno układy o dobra biało-ruskie z księciem Eustachym Sanguszką po bezpotomném zejściu hrabiny Małachowskiej, córki księcia strażnika. Z tego rodu, niegdyś hetman polny litewski Roman książę Sauguszko, wstawił się roku 1567 ozynami wojennymi.

skiego i ziem do tego należących, pozwalamy sejmowi niniejszemu *prawem wieczystem, nigdy w przyszłości niezłomnem* ¹⁾ (jako już od kilku sejmów przez wszystkie stany pozwolono jest), iż mu wolno będzie uczynić ordynacyę *na przyszłość* ²⁾ w dobrach swych nieruchomościach i ruchomych gdziekolwiek leżących, które teraz ma i mieć może, kto i jako miałby mu sukcedować tak z potomstwa *jego płci męzkiej* ³⁾, jako w *jój braku spadkobierstwem jakiego bądź stopnia* ⁴⁾ z dalszych osób: która to ordynacya wiecznemi czasy ma trwać, *bez względu na żadne przedawnienia i wypadki, choćby posiadacze nie następowali jeden po drugim* ⁵⁾. Tym sposobem, aby wedle téj ordynacyi te dobra, *bądź w całości bądź w części jako postanowił* ⁶⁾, niemogły być *przez spadkobierców (nawet własnych jego potomków) i sukcesorów zbywane. Tak wszakże aby we wszystkich innych warunkach* ⁷⁾, ordynacya ta, *prawom i ciężarom ziemskim ulegała* ⁸⁾. A ta ordynacya aby do wszech wiadomości przeszła, ma do akt trybunalskich w Lublinie *lub do innych jakichkolwiek prawo wieczystości mających* ⁹⁾ podana być *z mocą odmiany, poprawy jemu tylko samemu zostawioną w ciągu jego życia* ¹⁰⁾.

Owoż pomysł założenia ordynacyi ostrogięj, jak z przytoczonych wyrazów konstytucyi widzimy, był już wiadomy Rzeczypospolitej polskiej z kilku poprzedniczych zezwalających na to sejmów; a w roku 1609, nietylko temu zamiarowi nikt się nie sprzeciwił, ale nadto zgromadzone stany sankcyonowały tę ordynacyę zgodnem jój zatwierdzeniem, dodając warunek, aby dla powszechnéj wiadomości ta fundacya podaną była do akt trybunalskich. Ujrzymy zaraz, że Janusz książę Ostrogski dopełnił to zastrzeżenie; a razem korzystając z nadanego mu pozwolenia czynić w swéj ustawie odmiany i poprawy, dodał postanowienie sześciuset żołnierzy ku obronie kraju i kto ma być ordynatem po wygaśnieniu wskazanych na to jego rodzin w płci męzkiej.

Roku 1618, nazajutrz po święcie narodzenia Ś-go Jana Chrzciciela, Janusz książę Ostrogski, stanąwszy przed aktami trybunału lubelskiego, przyznał swoję fundacyę ordynacyi, (a to w treści wyżej tu opisanéj co do mianowania osób mających prawo do objęcia po nim dóbr ordynackich z wyraźnem wyłączeniem płci żeńskiej).

1) *Legge perpetua, nunquam in posterum abroganda.* 2) *In futurum.*

3) *Masculinus sexus.* 4) *Eo deficiente, quocunque gradu succedentium.*

5) *Non obstante ulla praescriptione et fatalibus, et si admissio possessionis non subsequeretur.* 6) *Vel in toto vel in parte prout ordinaverit.* 7) *Per heredes (etiam de lumbis ejus et successores alienowane. Ita tamen ut in aliis omnibus conditionibus.* 8) *Juribus et oneribus terrestribus subjaceat.*

9) *Vel ad alia quaevis vim perpetuitatis habentia.* 10) *cum facultate immutandi, emendandi, ipsi duntaxat durante vita ipsius reservata.*

Zastrzegł w niej utrzymywanie kosztem ordynata sześciuset żołnierzy ku obronie Polski od napadu Turków i Tatarów, a na wypadek wygaśnięcia potomków po mieczu w dwóch pokrewnych jemu domach książąt Zasławskich i książąt Radziwiłłów, ponieważ kawalerowie maltańscy z powołania swojego wojowali przeciw wyznawcom muzułmańskiej wiary; przeto nadał prawo stanom Rzeczypospolitej polskiej, obrać na ordynata kawalera maltańskiego rodem Polaka, bądź z prowincyi polskich bądź z litewskich lub też ruskich, stanowiących Rzeczpospolitą polską, z tém: aby ten ordynat był rzymsko-katolickiego wyznania.

Roku 1620, umarł założyciel tej ordynacyi Janusz książę Ostrogski kasztelan krakowski, nie zostawiwszy po sobie potomka po mieczu. Od tej daty, stosownie do ustawy ordynackiej, księżka Zasławscy potomkowie córki zmarłego księcia Janusza Ostrońskiego, Eufrozyny z książąt Ostrońskich i Aleksandra wojewody bractawskiego małżonków książąt Zasławskich synowie, z zachowaniem praw starszeństwa, dobra tej ordynacyi w swoje po kolei obejmowali posiadanie. A od roku 1618, to jest od daty przyznania w trybunale lubelskim aktu księcia Ostrońskiego, na żadnym sejmie po rok 1766, nie było zarzutu nie tylko jakoby ta ordynacya nie otrzymała zatwierdzenia, lecz przeciwnie zgromadzone stany, mianując zawsze w konstytucyach swoich dobra ostrońskie ordynackimi, utwierdzały ją w jej mocy przez rozmaite postanowienia, jak z następujących dat przekonać się można.

Roku 1624, za panowania Zygmunta III króla polskiego, konstytucya sejmowa w tomie III Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki) na kar. 222 w par. 2 pod tytułem, „Suplement wojska kwarcianego“ w ciągu innych rozporządzeń, stanowi:

„...Do téjże obrony należéc mają ludzi sześćset ordynacyi nieboszczyka księcia Ostrońskiego kasztelana krakowskiego naznaczeni, w czem pewni jesteśmy, że potomek i opiekunowie, którym jego dozór należy, przestrzegać tego będą, jakoby porządnie ci ludzie wyprawieni służbę odprawowali.“

Roku 1627, za panowania Zygmunta III króla polskiego, konstytucya w tomie III Vol. leg. (tegoż wydania) na karcie 260 w par. 7 p. t. „Obrona Ukrainy od pogan“, w tych jest wyrazach:

„Iż zawsze *niestateczną wiarę* ¹⁾ pogaństwa i niepewną przyjaźń poznawamy, chcąc jako najlepiej *obwarować* ²⁾ bezpieczeństwo państw naszych, *mocą niniejszego postanowienia* ³⁾ warujemy, aby kwarta zwyczajna, nie gdzieindziej jedno na żołnierza który Ukrainy od pogan strzedz będzie, obrócona była, pod winami w starych

¹⁾ Lubricam fidem. ²⁾ Providere. ³⁾ Authoritate praesentis conventus.

prawach opisanemi. Wielmożny też wojewoda sandomierski hetman nasz, ludzie z ordynacyi J. W. kasztelana krakowskiego i wybrańce wszystkie mało-polskie tamże obrócić ma, więc i starszy wojska naszego zaporowskiego z postanowioną liczbą Kozaków, odpór poganństwu dawać powinien będzie“.

Roku 1628, za tegoż Zygmunta III króla polskiego, ustawa sejmowa w tomie III Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki) na karcie 278, w par. 7 p. t. „Obrona Ukrainy od pogan“, nastąpiła w tych słowach:

„Aby od inkursyi pogan, których jużesziny nieraz *niestatecznej wiary* ¹⁾ doznali, i tamta państw naszych ściana, obwarowana była, *mocą niniejszego prawa* ²⁾ postanawiamy, aby kwarciany żołnierz który na ten czas na posłudze naszej Rzeczypospolitej jest, ztamtąd według dawnego prawa nie zjeżdżał, do którego przy suplemencie na tym sejmie naznaczonym, wielmożny wojewoda sandomierski hetman polny, ludzie z ordynacyi J. W. kasztelana krakowskiego i wybrańce mało-polskie, także i starostów ukraińnych ludzie którzy służbę Rzeczypospolitej powinni, obrócić ma“.

Z przywiedzionych tu trzech ustaw sejmowych widzimy, że oddział wojska kosztem ordynacyi utrzymywany, wedle postanowienia księcia Janusza Ostrogskiego, bywał za wolą sejmów użyty ku obronie kraju od napadu Turków i Tatarów. Te ustawy nieodparty stanowią dowód, że skoro stany Rzeczypospolitej rozrządzały ku potrzebie krajowej owym hufcem zbrojnym, tém samém stwierdzały uczyniony przez księcia Ostrogskiego w jego postanowieniu przyznaném w trybunale 1618 roku dodatek, oparty na sejmie 1609 roku, który pozwolił mu czynić odmiany i poprawy. Dla przekonania zaś że byt i niezachwiane trwanie ordynacyi ostrogskiej w wieku XVII były powszechnie wiadome, i że w małości ordynata, dobra stanowiące ordynację ostrogską rząd polski nie uważał za własność pospolitą, lecz osobiwą zaszczycał je opieką, przywodziemy dwie następne konstytucye:

Roku 1667, za panowania Jana-Kazimierza króla polskiego, postanowienie sejmowe w tomie IV Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki) na kar. 449, w par. 97, pod tyt. „Pozwolenie rezygnacyi niżej opisanéj“ brzmi w wyrazach następnych:

„Za zgodą wszech stanów, pozwalamy WW. Janowi z Sobieszyna Sobieskiemu marszałkowi W. i hetmanowi koronnemu, Stanisławowi Jabłonowskiemu ruskiemu, Stanisławowi-Kazimierzowi Bieniewskiemu czenichowskiemu wojewodom, wielmożnego Aleksandra-Janusza księcia Ostrogskiego i Zasławskiego hrabi na Tar-

1) Lubricam fidem. 2) autoritate conventus praesentis.

nowie opiekunom, rezygnować *wieczystém prawém ziemskiem* ¹⁾ grunt pewny ordynacyi podległy, z poddanymi tegoż wielmożnego księcia Ostrońskiego i Zasławskiego dziedziczny, urodzonemu Teodorowi Denhoffowi podkomorzemu koronnemu, to jest grunt za pałacem naszym w Warszawie będący, za słuszną za ten grunt rekompensę, którą rezygnacyą jako prędko będzie uczyniona, w całości ²⁾ onę *prawem niniejszém* ³⁾ approbujemy, nie derogując nic komisyi i rozgraniczeniu między gruntami i strukturami pałacu naszego i gruntami pomienionego księżęcia *pod datą w sobotę w Wigilię Święta S-go Jakóba Apostola* ⁴⁾ roku 1661, uczynionemu, którą komisyę i rozgraniczenie, tudzież pozwolenie sprzedaży, *po nastąpieniu powszechnego zezwolenia we wszystkich warunkach i paragrafach* ⁵⁾ approbujemy“.

Roku 1673, za panowania Michała Korybuta króla polskiego, konstytucya sejmowa w tomie V Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki) na karcie 74, w par. 62, pod tyt. „Approbacya rezygnacyi niżej opisanej“, w tych wyrazach:

Ponieważ rezygnacya gruntu pewnego ordynacyi podległego za pałacem Najjaśniejszego s. p. króla Jegomości Jana-Kazimierza antecesorą naszego, w Warszawie będącego, Wielmożnym opiekunom urodzonego Aleksandra-Janusza księżęcia na Ostrogu i Zasławiu na ten czas *w małoletności* ⁶⁾ zostającego, *przez konstytucyę* ⁷⁾ 1667 roku pozwolona *na osobę* ⁸⁾ urodzonego Teodora Denhoffa podkomorzego koronnego jest uczyniona, którą samże pomieniony książę Ostroński i Zasławski do lat doskonałych przyszedłszy, donacyę osobliwą *przed aktami Naszymi* ⁹⁾ tu w grodzie warszawskim *za obejrzeniem na gruncie* ¹⁰⁾ utwierdził, w co *się włączać* ¹¹⁾ nie mają place te, na których bez osobliwego *zezwozenia samego właściciela* ¹²⁾ przerzeczonego księżęcia na Ostrogu i Zasławiu przy tymże pałacu króla Jegomości przeszłego, stajnie i inne budynki są pobudowane. Tedy takową urodzonego księcia Aleksandra-Janusza na Ostrogu i Zasławiu dobrowolną dyspozycyę w obec *wszęch stanów uczynioną* ¹³⁾, co do tój cirkumstancyi gruntów urodzonemu podkomorzemu koronnemu nadanych *ściągu się, wedle opisów donacyi przed aktami grodzkimi, w moc i zezwozenie przychylających się do tego wszęch stanów* ¹⁴⁾ approbujemy“.

1) Jure perpetuo. 2) In toto. 3) Praesenti lege. 4) De data Sabathi in Vigilia S. Jacobi Apostoli. 5) Consensu omnium accedente in omnibus clausulis et paragraphis.

6) In minorennitate. 7) Constitutione. 8) In personam. 9) Cum actis Nostris. 10) Cum circumspectione fundi. 11) Inkludować. 12) Sine speciali consensu directi domini. 13) In facie omnium ordinum factam. 14) Spectat juxta obloquentiam donationis castrensium, autoritate et consensu omnium ordinum accedente.

Wiadomo że do sprzedaży własności partykularnych, nie zasięmano zezwolenia sejmów, a przeto powyższe dwa postanowienia zgromadzonych stanów z wyrażeniami o *gruncie ordynacyi uległym* dają przekonanie, że rząd owoczesny czuwał nad całością dóbr tój ordynacyi jako ewentualnie pod rozporządzeniem Rzeczypospolitej będących, a tém samém, ustawa ostrogskiej ordynacyi dozwolona przez sejm 1609 roku z mocą zostawioną samemu jój fundatorowi czynienia w niej przemian i poprawy, a z temiż przemianami wniesiona do akt trybunalskich w roku 1618, była niezachwianie podtrzymywaną przez następne sejmy.

Roku 1673 umarł ostatni z płci męzkiej rodu swego Aleksander książę na Ostrogu i Zasławiu, istotny ordynat ostatni, Dominika wojewody krakowskiego i Katarzyny z Sobieskich (siostry Jana III) małżonków książąt Zasławskich syn.

Po śmierci ostatniego z książąt Zasławskich, nastąpiło znieważenie ustawy ordynackiej: objęcie przeciw tój ustawie wszystkich dóbr ostrogskich przez potomków płci po nich żeńskiej. Lecz nie-obojętném patrzył na to okiem oskarżyciel publiczny, jako to:

Roku 1673 dnia 19 lipca, manifest instygatora koronnego do akt grodzkich warszawskich zanesiony, a do akt metryki koronnej wpisany, poświadcza, że Rzeczpospolita nie wyrzekła się była praw nadanych sobie przez fundatora ordynacyi ostrogskiej do rozrządzenia jój dobrami w myśl jój założyciela na wypadek zejścia bezpotomnie ostatniego z płci męzkiej imienia książąt Zasławskich. Ów manifest zapowiada, że nieprawi posiadacze dóbr pomienionych mają być pociągani do odpowiedzialności.

Ocknął się téż i stan rycerski o prawo służące Rzeczypospolitej:

Roku 1673, w poniedziałek bliższy po święcie narodzenia N. P. Maryi, w Proszowicach, przy obiorze deputatów na zjeździe rycerstwa, dygnitarzy i urzędników województwa krakowskiego, dopełniono elekcyę na ordynata ostrogskiego, jak świadczy Uchwała pod wspomnianą datą do akt metryki koronnej wpisana, gdzie postanowiono: „Przedstawić najbliższemu sejmowi Hieronima-Augustyna hrabiego na Wiśniczu i Jarosławiu księcia Lubomirskiego kawalera maltańskiego, opactwa tynieckiego administratora, który położył zasługi w ojczyźnie, żadnej od lat pięciu nie opuszczając ekspedycyi: chorągiew pancerną trzymał w wojsku koronném; chorągiew dragonii własnym kosztem w każdej stawiął potrzebie, a trudy i niewczasy ponosząc, zdrowia za ojczyznę i kościół Boży, ochotnie przeciw poganom nie żałował; aby Rzeczpospolita, pomna tych jego zasług, uznała go najgodniejszym do objęcia dóbr ostrogskiej ordynacyi“.

Roku 1676, na sejmie koronacyjnym Jana III i na sejmie następnym roku 1677, książę Hieronim Lubomirski kawaler maltański, gorliwe czynił staranie o nadanie mu ordynacyi ostrogskiej. Ale

bądź rzeczywiście dyplomatyczne a ważne wówczas zajęcia, bądź uwaga stanów zgromadzonych i wzgląd pewny na stosunki pokrewieństwa dworu z nieprawnymi posiadaczami dóbr ordynackich, były na przeszkodzie. Siostra bowiem Jana III, jakto wyżej nadmieniono, Katarzyna Sobieska księcia Dominika Zasławskiego małżonka, była matką tak ostatniego ordynata, jako też Teofili księżniczki Zasławskiej, w powtórnyj jęj związku małżonki księcia Józefa Lubomirskiego, któręj córka Marya Lubomirska, przez związek małżeński z Pawłem księciem Sanguszką, późnięj w dom księżąt Sanguszków nie legalnie wniosła ordynacyę ostrogską. Tęj początkowęj nielegalności w pierwszych jęj latach były przedstawienia na sejmie; przecięj sprawa poszła w odwłokę, jak to następnie widzimy:

Roku 1677, za Jana III, króla polskiego, konstytucya w tomie V Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki), na kar. 226, w par. 19, pod tytułem: „Reces ordynacyi ostrogskięj“, w tych jest wyrazach:

„Ponieważ ordynacya ostrogska dla nagłych spraw Rzeczypospolitęj, determinacyi swojęj i uspokojenia na terażniejszym sejmie wziąć niemogła, tedy onę za konsensem całej Rzeczypospolitęj, do przyszłego sejm u wraces puszczaamy i uspokoić obiecujemy“.

Z tēm wszystkiem od owęj daty, w całym ciągu panowania Jana Sobieskiego, który umarł w roku 1696, niema śladu w księgach prawa, aby kiedykolwiek ponawiano zarzut nieprawnego owładania tęg ordynacyi przez potomków z płci żeńskięj. Okoliczność w oczy bijąca! Za czasów burzliwych Jana-Kazimierza, w ciągu grożących niepokojęw wewnętrzných i z ościennymi państwa, kiedy szło o nabycie przez podkomorzego koronnego Denhoffa kawałka tylko ziemi ordynackięj w Warszawie, zgromadzone stany roku 1667 mając do rozwiązania wielkięj wagi przedmioty, odznaczyły się opiekuńczą troskliwością o całość dóbr ordynackich, jakby chciały okazać, że w tēm sprzedaniu kawałka gruntu, odróżnia się własność ordynacyi od jakięjbądź własności partykularnęj. Tu zaś przez tak długi przeciąg czasu, pokryto milczeniem objęcie niewłaściwe dóbr licznych, obszaru znaczniejszego niż niektóre z udzielnych księstw owoczesnęj Rzeszy niemieckięj, dóbr już od roku 1673 uległych rozporządzeniu samęj tylko władzy krajowęj. Był to, zda się, wzgląd wyraźny postów sejmowych na pokrewieństwo potomków ordynackich po kądzieli, z bohaterem z pod Chocimia, z pod Żurawny, a późnięj z pod Wiednia. W rzeczy prywatnęj dziesięcioletnio milczenie uprawnia choćby nielegalną posiadłość. Lecz ustawa ordynacyi ostrogskięj, jakby przewidując zdarzony wypadek zastrzegła: że warunki w nięj opisane, a przez konstytucyę 1609 roku zatwierdzone, żadnemu przedawnieniu ulegać nie mają. Jakoż po długiém tęg ustawy zaniedbaniu:

Roku 1720, dnia 16 grudnia, „August II król polski elektor saski zapobiegając ubliżeniu praw swoich i Rzeczypospolitęj około

dóbr ordynacyi ostrogskiej, oddał je w dwuletnią administracyę Janowi Tarle wojewodzie lubelskiemu, księciu Pawłowi Sanguszcze marszałkowi nadwornemu litewskiemu i jenerałowi Stanisławowi Poniatowskiemu (ojcu późniejszego króla), z mocą rządzenia i upominania się prawnym porządkiem o wszelkie krzywdy owym dobrom przez kogo bądź naniesione“.

W tymże roku, ponowiły się starania kawalerów maltańskich, jakoto:

Roku 1720, nazajutrz po święcie Ś-go Tomasza Apostoła, książę August Aleksander na Klewaniu Czartoryski naówczas kawaler maltański, jako plenipotencyaryusz zakonu Ś-go Jana Jerolimskiego, zaniósł protest do akt grodzkich warszawskich przeciw Pawłowi Lubartowiczowi marszałkowi nadwornemu litewskiemu i Maryi z książąt Lubomirskich małżonkom księżętom Sanguszkom i innym nieprawym posiadaczom i przywłaszczycielom dóbr ostrogskich w tém: „Że wiadome założenie ostrogskiej ordynacyi stanowi, jako po wygaśnieniu imienia książąt Zastawskich w płci męskiej, wszystkie téj ordynacyi dobra należć mają do zakonu maltańskiego ku obronie Polski od napadu Turków i Tatarów, i że potomkowie książąt Zastawskich w płci żeńskiej wyraźnie są wyłączeni od prawa sukcesyi. Przeto on książę August Czartoryski, jako członek zakonu maltańskiego, obwinia owoczesnych ordynacyi wyżej mianowanych posiadaczy Pawła i Maryę z Lubomirskich małżonków książąt Sanguszków, że z tytułu sukcesyi w płci żeńskiej, nieprawnie majątek ordynacki uważają za własny z ujmą dobra Rzeczypospolitej“.

Następnie, utwierdzała się w imieniu Pawła i syna jego Janusza książąt Sanguszków sama tylko administracya nad dobrami ordynacyi ostrogskiej, aż do nielegalnej tych dóbr sprzedaży w 1753 roku, jakoto:

Roku 1721 dnia 7 lipca, „bez żadnej narady ze stanami Rzeczypospolitej, za upodobaniem tylko i ufnością króla Augusta II, nastąpiła kombinacya w Wąborkowie pomiędzy Janem Tarłą wojewodą lubelskim, jenerałem Stanisławem Poniatowskim i Pawłem księciem Sanguszką marszałkiem nadwornym litewskim, mocą której dla spokojności publicznej, za wpływem przyjaciół i pośredników, jakoto: Konstantego Szaniawskiego biskupa krakowskiego, Stanisława Choinętowskiego wojewody mazowieckiego, Janusza księcia Korybuta Wiszniowieckiego wojewody krakowskiego i Józefa Mniszcha marszałka W. koronnego, wojewoda Tarło i jenerał Poniatowski odstąpili na osobę samego Pawła księcia Sanguszki administracyę ordynacyi ostrogskiej“.

Później: „Książę Paweł Sanguszko wyjednał u króla przeniesienie téj administracyi na imię syna swego Janusza księcia Sanguszki z księżniczki Maryi Lubomirskiej urodzonego. Ale dostrzegłszy wielki w dobrach nierząd i obarczanie ich zastawami,

postarał się u króla o zwrócenie téj administracyi znowu na własne imię“.

W tém niezbity jest dowód, że książęta Sanguszkowie, tak Paweł, jak syn jego Janusz z księżniczki Lubomirskiej urodzony, rządzi ostrogskimi dobrami, nie z prawa ordynacyi jakoby im służącego, ani z prawa sukcesyi, lecz jedynie jako do pewnego czasu administratorowie za wiedzą krajowój władzy postanowieni.

Roku 1750, umarł książę Paweł Sanguszko marszałek W. litewski, a dobra ordynackie, syn jego książę Janusz Sanguszko począł uważać za własność, jakoby prawem spadku dziedziczną. Od lat przecież stu kilkudziesiąt trwał niezachwiany ślad ordynacyi, ślad jój uznania przez naród, a to w ciągłym utrzymywaniu z dochodów jój dóbr od roku 1618, pod niezmiennym tytułem *regimentu ordynacyi ostrogskiej*. Marnotrawny przywłaszczyciel obarczył po dawnemu ten ogrom majątkowy długami; a nakoniec za ośmieleniem wierzycieli mających wpływ silny na obrady stanów, a ztąd wśród nieustannego zrywania sejmów bez żadnej przeszkody, z głośną hojnością rozprzedał dobra ordynackie przez tranzakcyje w Kolbuszowie roku 1753 spisane, które w księdze praw owoczesnych, dlatego że wniesione były do Sandomierskich akt grodzkich, mianują się tranzakcyami sandomierskimi.

Sprzedaż dóbr ordynackich, sprawiła po całym kraju wielkie wrażenie a nawet zatargi. Z jednéj strony, byli najzyczliwsi dobru publicznemu, jakoto: Jan-Klemens ostatni herbu Gryf Branicki hetman W. koronny, Wacław Rzewuski wojewoda krakowski hetman polny koronny i t. p., którzy ściśle trzymając się zasad ordynacyi ostrogskiej, uznawali bezprawie w zmarnowaniu jój dóbr uległych rozporządzeniu Rzeczypospolitej; a z przeciwnéj strony stawała rzesza cieszących się obłowem, którzy za zbyt niską cenę tych dóbr stali się nabywcami. Nastąpiły zatem protesta, skargi i odpowiedzi, głośne po kraju spory i zajazdy.

Manifest księcia Janusza Sanguszki w obronie jego przedstawia, że: „ponieważ Turcyja przez traktat Karłowicki 1699 roku zapewniła Polskę od napadu Tatarów i wieczysty z nią pokój zawarła; przeto dalsze podtrzymywanie ordynacyi ostrogskiej dla zlania jój na kawalera maltańskiego, w myśl jój fundatora ku wojowaniu z Turcyją, stało się od téj daty nieprzydatném, i mogłoby tylko Portę ottomańską obrazić, a tém samém zakłócić spokojność Rzeczypospolitej. Dlatego on, mając na celu dobro kraju, rozporządził majątkiem ordynackim jako spadkową własnością po przodkach swéj matki, Maryi z Lubomirskich Sanguszkowéj“.

Dziwna przebija w téj obronie śmiałość! Wiadomo z powyższego wywodu, że ostatnim rzeczywistym ordynatem ostrogskim był książę Aleksander Zastawski zmarły roku 1673; wiadomo że ustawa ordynacyi, zatwierdzona przez konstytucyę 1609 roku, wyłącza płęć żeńską od prawa spadku do ordynacyi; że stosunki fa-

milijne króla Jana III z domem książąt Zastawskich, a później niepokoje w kraju i ciągłe zrywania sejmów nie dozwoliły zgromadzonym stanom rozporządzić temi dobrami w myśl fundatora ordynacyi; że owe dobra nieprawnie owdągnęła płeć żeńska, o czém poświadcza zaniesiona po śmierci ostatniego ordynata skarga instygatora koronnego; że ani siostra tegoż ordynata Teofila z Zastawskich Lubomirska, ani jej córka Marya z Lubomirskich księżna Pawłowa Sanguszkowa, nie mogły być ordynatkami; że ztąd, ani Józef książę Lubomirski ze spadku po matce Teofili Zastawskiej, ani książę Janusz Sanguszko z takiegoż spadku po swój matce Maryi Lubomirskiej, nie byli ordynatami. Nadanie przez króla Augusta II administracyi nad dobrami ostrogskimi wprzód księciu Pawłowi Sanguszcze, później jego synowi i następnie, odebranie jej od syna dla zwrócenia ojcu jego przekonywa, że władza krajowa uważała księcia Janusza Sanguszko czasowym tylko administratorem nad dobrami tej ordynacyi. Ztąd książę Janusz Sanguszko nietylko nie miał prawa rozporządzać ostatecznie owemi dobrami jakby pospolitą ze spadku własnością ziemską, ale nawet jako administrator winien był zdawać przed sejmem rachunki z dochodów olbrzymiego majątku, a przecież...!

Po niepokojach mianowicie w województwie wołyńskiem z tej sprawy doznanych, po zarzutach od wysokich w kraju dygnitarzy i rozmaitych odporach prawnych, jakie wiekują w ostrych manifestach i remanifestach drukiem roku 1754 ogłoszonych, a składających arkuszową księgę, (z której po tę datę wiele dało się poznać szczegółów tu przywiedzionych), nastąpiła nakoniec:

Roku 1766, za panowania Stanisława-Augusta króla polskiego, konstytucya umieszczona w tomie VII Vol. leg. (wydanie J. Ohryzki) na karcie 215, pod tytułem: „Rozwiązanie recesu roku 1677 w interesie dóbr ostrogskich uczynionego“, w tych wyrazach:

„Niegdy Jaśnie Wielmożny książę Janusz Ostrogski kasztelan krakowski w roku 1609, otrzymawszy pozwolenie sejmowe na samych tylko sukcesorów swoich uczynienia ordynacyi dóbr swoich dziedzicznych, gdy w téjże ordynacyi kilkokrotnie powtórzoną, kawalerów maltańskich od zagranicznój władzy dependujących, sukcesorami położył, a przeto, nie zyskawszy approbacyi Rzeczypospolitej na takową dyspozycyę, też dobra po zejściu jego, prawem naturalnego spadku przez sukcesorów krwizymane i rządzone, dla zaszytych takowych tranzakcyi i recesu sejmu roku 1677 dotąd nierozwolwonych, przyczyną były znacznych sporów i niechęci między obywatelami królestwa tego. Przeto oddalając wszelkie okazy któreby domową spokojność naruszyć mogły, przy niniejszej rezolucyi pomienionego recesu, tak dyspozycyę wspomnionego księcia Ostrogskiego kasztelana krakowskiego, co do spadku dóbr uczynioną, z prawem pozwolenia niezgadzącą się, jako wszelkie inne bądź od Predecessorów naszych, bądź w którychkolwiek subseliach

i od kogózkowiek na ubliżenie prawa naturalnej sukcesji do-
brom ziemskim służącego, akta i transakcye nastąpione uchylamy
i znosimy. A z mocy tegoż naturalnego prawa, transakcye w gro-
dzie sandomirskim w roku 1753 przez księcia Janusza Sanguszka
przeszłego marszałka nadwornego W. księstwa litewskiego, jako
bezpotomnego sukcesora i dziedzica na też dobra dla wszystkich
bez ekscepcji uczynione, oraz wszelkie późniejsze dyspozycye,
transakcye, zapisy, asekuracye, około dóbr przez recesa niektórych
donataryuszów do niegoż powróconych, zeznane i nastąpione, tu-
dzież nabycia dóbr dziedzictwem od tychże juryskweytorów, nie-
mniej dożywocia, summy posesorów aktualnych przed rezygnacją
dóbr przez niego podpisane, za ważne i nieporuszone mieć chcemy.
Ile zaś do chwalebnej ofiary przez tegoż niegdy JW. księcia
Janusza Ostrogskiego sześciuset żołnierzy przeciwko wojującej
natenczas Porcie Ottomańskiej, dla Rzeczypospolitej polskiej uczy-
nionej, ponieważ donataryusze księcia Sanguszka, czyniąc wieczny
fundusz posiłku ku Rzeczypospolitej potrzebie, sumę trzykroć-
stotysięcy złotych polskich na uformowanie kilkuset ludzi i sub-
stancją ich corocznie z dóbr nabytych płacić deklarują; przeto tę
ich deklarację wdzięcznie przyjmując, do rozdyspartymentowania
tej summy, komissarzów (*tu rozmaite pomianowano osoby*), nazna-
czamy; którzy to komissarze, byle ich czterech było, na dzień 1 maja
w roku następnym 1767 do dóbr Dubna zjechawszy, z inwentarzów,
które pod przysięgą ich rzetelności dziedzice lub ich dyspozytorowie
wiary godni pod utratą majątków komportować mają, zważając na
proporcję, sumę 300,000 złp. do rocznego wypłacania, na miasta
i wsie rozłożywszy, wyznaczają, a corocznie dwoma ratami zaczy-
nając pierwszą od dnia 1 września roku 1767, 150,000 wynoszącą,
taryfą opiszą, do grodów poblizszych pieniądze za kwitami składać
naznaczają, akt swój dwoma egzemplarzami do grodów Żytomierskiego
i Łuckiego podadzą. A my król do uformowania proporcjonalnego
takowej summy korpusu, zdatną osobę stanu szlacheckiego paten-
tem naszym wyznaczymy, która do władzy komissyi wojskowej
należeć i wszystkich ekspens przed tą rachunek czynić powinna
będzie“.

(Dalej następują utwierdzenia wszelkich praw przez księcia
Sanguszka nadanych z pomianowaniem nabywców).

Z tej konstytucyi łatwo dostrzegać się daje, że dla trudności
zaradzenia złemu, które niepowrotnie już dokonano, duch prawdy
jakby opuścił sejmujące stany. Byle uspokoić zatargi, nie miano
względem na ważność poprzedniczych postanowień pod rokiem 1624,
1627, 1628 i 1667, z których wynikły rozporządzenia regimentem
ordynacji ostrogskiej w myśl jej fundatora i gdzie odznaczała się
osobliwa Rzeczypospolitej opieka nad ziemią, także ordynacji uległą.
Wypuszczono z uwagi, że aż do wygaśnięcia domu książąt Zasław-
skich po mieczu, ordynacja ta trwała pod ich imieniem, stosownie

do ustawy jój założyciela, bez udziału w najmniejszej części z jój dóbr dla spadkobierców płci żeńskiej. Nakoniec któż nie dostrzeża, że najlegalniej w roku 1618 dyspozycya księcia Ostrońskiego dodana co do spadku dóbr na wypadek wygaśnięcia płci męskiej w dwóch pokrewnych jemu rodzinach, bez żadnej zasady uznana została za niezgodną z pozwoleniem Rzeczypospolitej, skoro jak widzieliśmy, konstytucya 1609 roku dozwoliła mu w ciągu jego życia czynić w swój ustawie odmiany i poprawy bez żadnych, co do spadku dóbr, sejmowych zastrzeżeń i bez obowiązku przedstawienia sejmowi owych przemian ku ich potwierdzeniu; a nadto, gdy owa dyspozycya dostatecznie uprawniona została późniejszymi sejmami, protestem iustygatora koronnego pod rokiem 1673 i upomnieniem się stanu rycerskiego pod tąż datą. Wypuścić ten sejm z uwagi, że ustanowienie administracyi nad dobrami ostrońskimi za Augusta II silnie przekonywa, iż sami sukcesorowie książąt Zasławskich z płci po nich żeńskiej, nie rościli prawa do spadkobierstwa po ordynacie ostatnim, skoro poprzestawali na obowiązku tymczasowego zarządzania jego niegdyś dobrami.

Przyznać należy, iż sejmujące stany 1766 były zmuszone upatrywać jakibądź pozór do zniesienia ordynacyi ostrońskiej, bo miały przed sobą niezwalczoną trudność utrzymania praw nadanych Rzeczypospolitej przez księcia Ostrońskiego na wypadek wygaśnięcia domu książąt Zasławskich. Sejm bowiem nie mógł już rozporządzić dobrami, które od lat kilkunastu rozprzedane zostały. Owa data ich rozszarpania była epoką najczynniejszego nadużycia wolności szlacheckiej, kiedy ciągłe zrywanie sejmów, odejmowało sposobność zapobieżenia bezprawiu. Dobra już przechodziły z rąk do rąk. Ostatni nabywcy z drugiej lub trzeciej ręki polegali na ziemskim pospolitém prawie. Byłoby więc oburżającą niesprawiedliwością karać niewinnych, to jest unieważniać owe nabycia po latach tylu od czasu przyznania w aktach dopełnionej nieprawnie przez księcia Sanguszka sprzedaży. W czasie tylko właściwym, w czasie uprzedzającym pierwszą tych dóbr w roku 1753 sprzedaż, krok stanowczy Rzeczypospolitej mógł być w widokach użytku publicznego nadać kierunek milionom rocznego dochodu z dóbr ordynackich, kiedy już przymierze z Turcją zabezpieczało od potrzeby kawalerów maltańskich. Lecz za Augusta III był na to jeden tylko sejm, nazwany *Uspokojeniem*, pod laską Wacława Rzewuskiego, wówczas pisarza polnego koronnego, a ów sejm 1736 roku miał istotnie pilne zajęcia aby wewnętrznie usmierzyć niepokoje ciągnące się od powtórnej elekcyi Stanisława Leszczyńskiego; z téj bowiem niefortunnej elekcyi, zawiązaną była przez jego licznych a prawych stronników roku 1734 w Dzikowie konfederacya, którą podpisali marszałkowie: Adam Tarło starosta jasielski, Marcyan Ogiński wojewoda witebski, Jan Wojakowski sekretarz związku i kilkunastu senatorów, dygnitarzów, znaczna liczba posłów i urzęd-

dników. Kiedy więc na tym sejmie *pacyfikacyi*, szło o zapewnienie wewnętrznej spokojności przez powszechną amnestyę, kiedy razem szło o wyjście z kraju wojsk obcych, nie wazono się nalegać, jak dawniej, o jakieś postanowienie względem ordynacyi ostrogskiej, bo przez zgubne dla Rzeczypospolitej *liberum veto*, czyli *nie pozwalam*, i ten w ciągu lat trzydziestu panowania Augusta III sejm jedyny, byłby niezawodnie upadł.

Nieszczęsném było przeznaczeniem szlachejnych i wspaniałych zamiarów księcia Janusza Ostrogskiego, aby jedyną ich pamiętką, pozostał wiekiś podatek zwany i dziś w kwitach *Ordynacya ostrogska*, ustanowiony przez powyższą konstytucyę 1766 roku na fundusz uformowania odpowiedniego korpusu, w zamian za dostarczanych kosztem dóbr ordynackich sześciuset żołnierzy ku potrzebie kraju. Nadano temu podatkowi chlubny tytuł ofiary ze strony chciwych nabywców majątku ordynackiego. Ale trudno pogodzić dobrowolność ofiary z groźbą konstytucyi, aby rzetelne inwentarze złożono w Dubnie pod utratą majątków.

Rzeczywistą a wielką ofiarę dopełnił na tym sejmie naród przez reprezentantów swoich, ofiarę z prawa nadanego sobie ustawą księcia Ostrogskiego: miał bowiem na celu spokojność publiczną, dopuszczając szlachejnie aby raczej kilkudziesiąt wykroczenie zostało bezkarném, niż choćby jeden niewinny miał cierpieć.

Nikt też zaprzeczyć nie może, iż powodowany tą zasadą sejm pod łaską Czapllica, użył legalnie praw służących sobie.

List księcia Romana syna Eustachego Sanguszki z uwagami nad powyższą rozprawą o ordynacyi ostrogskiej:

Prawdziwie wdzięczny jestem panu, tak zacnemu i zasłużonemu archeologowi Wołynia, za udzielenie mi artykułu o ordynacyi ostrogskiej. Tak wielka i głośna w całym kraju niegdyś, interesuje ona dziś tylko połowę dziedzictw naszych prowincyj, z niej początek biorących i dotąd opłacających podatek ordynacki, jako jedyny pozostały po niej ślad, wraz z ruinami zamków w Ostrogu i Dubnie.

Praca pana jest interesującą, jako treść wszystkich zarzutów robionych ostatniemu ordynatowi w wielu protestacyach, broszurach i licznych mowach, zaczawszy od panowania Augusta III.

Wyświecenie krytyczne faktu, choćby tylko formą prywatną, dotykającego historyi krajowej, lecz w samej rzeczy mającego znaczenie interesu publicznego, jest koniecznym dla pokazania, że ordynacya była więcej w celu krajowym i ojczyzny, niż w prywatnym; że była obroną tej części ojczyzny i chrześcijaństwa, które nie prze-

stawały żadnego dnia być wystawionemi na niebezpieczeństwo piorunowych napadów niewygodnego sąsiedztwa. Konstytucye tak częste, przez które ordynacya ostrogska praw swoich nabrała, dały jój niezawodnie charakter instytucyi narodowej.

Spadek ordynatów samą erekcyą ustanowiony był tak jasno, że nie zostawiał miejsca dla żadnych kwestyj, dopoki linia wychodząca z samego fundatora i z książąt Zastawskich w płci męzkiej trwała. Gdy się przerwała w ostatnim ordynacie, wtedy podniosła się kwestya o spadku.

Pozwalam sobie zrobić poboczną uwagę, że Rzeczpospolita i opinia krajowa, mając pod ręką ordynacyę tak silnie ukonstytuowaną, dały dowody zgubnej obojętności, gdy nie korzystały z niej i przez lat 130 blisko, nie zrobiły nic dla stopniowego i postępowego rozwinięcia instytucyi, mogącej być tak przeważną jak być mogła ordynacya ostrogska na zasadach przez fundatora jój położonych!

Kraj przepadał, bo do życia i pracy materyalnej był nieochoczy, a zostanie się w tyle od rozwinięcia swojego wieku, nieszczęśliwie go zgubiło! W kraju, w którym pokolenia nie zdawały pokoleniom kapitału pracy materyalnej, który nie rozwinął miast i w którym ludność bez łączności i związku, nie była na zasadach moralnych; najpięknniejsze cele i zaprowadzenia indywidualne, nikną marnie i nie zdołają się oprzeć niszczeniu czasu i obojętności, podobnie jak budowy choćby z opoki wystawione, bez stałego utrzymania wieków nie przeżyją.

Myśl Erektora ordynacyi księcia Janusza Ostrogskiego, stosowała się wyniośle do czasów i miejsc, oraz do obowiązków do jakich się poczuwał tak znamienity pan. Książę Janusz, należący do rodziny oddanej dobru krajowemu o tyle, o ile w owym czasie w Polsce i na Rusi je pojmowano, do rodziny tyle już zasług mającej, stały w tym familijnym kierunku, pojął że jego ród, od początku swojego był naturalnym obrońcą kraju. Wschód Europy odludny, ginął pustynią i nieszczęściami w skutek nieustających walk z pogaństwem. Prawdziwie, nie miały te walki żadnego politycznego celu, a były to tylko rabusiowskie napady, ostatki przeszłości właściwe wszystkim pierwotnym społeczeństwom. Chciał więc książę ratować kraj i zapewnić środki i zaszczyt tego patryotycznego obowiązku dla swojego rodu, zostawując je w swoim potomstwie i na głowach płci męzkiej swojej krwi; a gdyby téj nie stało, uniesiony swoim celem i oddając cześć, na jaką w owych jeszcze czasach zasługiwał zakon religijno-wojujący dla obrony wiary chrześcijańskiej, nie mógł nikogo wybrać więcej odpowiadającego celowi i swojej myśli zasadniczej, po wygaśnięciu swego rodu, jak Zakon rycerzy maltańskich. Nie było w owych czasach wyrobionych nauką i pracą umysłową doświadczeń czerpanych z historii świata, nauczających jak mało budować można na instytucjach ludzkich, a osobliwie, jak się potrzeby zmieniają. Wojny i napady zmieniły się stopniowo,

a Zakon maltański rozproszony po dworach Europy, był tylko obłudą i czczeniem nazwaniem. Obwiniać nie możemy za to, bo historyków ledwie wiek terażniejszy rozwinął; pierwsze czasy miały kronikarzy tylko: historycy przyszli później, i nie każda literatura może się szczycić że ich ma.

Fundator ordynacyi, książę Janusz Ostrogski miał syna księcia Janusza-Włodzimierza z matki księżnej Teofili de Szczekarzowice ¹⁾. Bóg nie dał go zachować, i ten syn zmarł przed swoim ojcem. Akt erekcyi w przewidzeniu tego nominował księcia Aleksandra na Zastawiu syna Eufrozyny, córki księcia fundatora. Przez to ordynacya odrazu przeszła ze śmiercią księcia Janusza Ostrogskiego, do książąt Zastawskich ²⁾.

Ten fakt winien tłumaczyć myśl legalną erekcyi w spadkach i uniewinnia późniejsze przejścia następstwa książąt ordynatów. Osobny wyrok Boga nie dozwolił księciu fundatorowi zostawić potomka swojego imienia i zamiar wielkiego pana, jeśli go miał dla swego imienia, nie urzeczywistnił się już w pierwszym pokoleniu. Ordynacya wyszła z imienia, jeśli go chciała dumnie podtrzymać. Zresztą, nigdzie nie mamy dowodu, aby myśl fundatora przywiązywała się mianowicie do imienia; stosowała ona następstwo do rodu, nie do imienia, a w rodzie do pćci męzkiej, zapewne dlatego, że tylko męzczyzna może walczyć i że kobieta nie zdołałaby spełniać obowiązków obrony kraju. Pierwsze więc przejście ordynacyi do innego imienia, do książąt Zastawskich, na księcia Aleksandra na Zastawiu wnuka księcia fundatora, zrobione było już przez niego samego i umieszczone w akcie erekcyi.

Dopiero później, gdy ród męzki książąt Zastawskich (r. 1673) zgasł na księciu Aleksandrze, noszącym jak pierwszy to imię, nie wyjaśnionem jest dość dobitnie przez osoby które pisały o ordynacyi, jak według myśli erekcyi poszedł spadek ordynacki z książąt Zastawskich na księcia Aleksandra Lubomirskiego, gdy akt fundamentalny usuwał kobiety. Ordynacya nie przeszła, zdaje się, na księżnę Lubomirską żonę księcia Józefa, Teofilę z książąt Zastawskich, a siostrę ostatniego księcia ordynata. Tego zgwałcenia prawa

¹⁾ Niewiadomo kto się myli. Encyklopedia powsz. w tom. XX na str. 162 poświadczają, że Janusz ks. Ostrogski miał z dwóch żon, Zuzanny Sorodzianki, bogatęj Węgierki i Teofili Tarłówny tylko dwie córki; syn Tarłówny Janusz-Włodzimierz umarł dzieckiem. Sk.

²⁾ Ordynacya przeszła do książąt Zastawskich w skutek jęj zmiany 1618 roku w trybunale lubelskim przyznanęj; początkowie zaś, jak konstytucya 1609 roku naucza, książę Ostrogski miał dopięro mianować ordynata bądź ze swego potomstwa płoi męzkiej, bądź w jęj braku spadkobiercę jakiegobądź stopnia z dalszych osób. Sk.

fundamentalnego być nie mogło, bo nie ona została ordynatem księżna Teofila, ani jój mąż ks. Józef, ale syn jój książę Aleksander Lubomirski, potomek w linii prostój rodu przyznanego jako ordynatów, i mający warunek posiadania ordynacyi żądany, to jest płęć męzką. Było to powtórzenie tego, co sam książę fundator zrobił i umieścić w akcie erekcyi.

To zdaje się nam być silnym dowodem jak szedł spadek ordynacyi, że ani księżna Teofila, ani jój mąż nigdy nie nosili tytułu ordynatów, a tylko spadek pomijając ich, poszedł na płęć męzką od księżny Teofili idącą.

Również w kilka lat, gdy ordynat książę Lubomirski bezdzietnie umarł, taki sam przykład spadku rodowego powtórzył się. Siostra jego była księżną Sanguszkową, żoną księcia Pawła M. N. L. Wyszukanie dat, musi to przejście tłumaczyć. Jeśli syn książę Janusz-Aleksander Sanguszko już był przy życiu, gdy ordynacya przeszła z głowy księcia Lubomirskiego na głowę księcia Sanguszki, syna siostry pierwszego; to spadek szedł czysto i legalnie, stosując się do warunków fundamentalnych i powtarzając przykład spadku przez księcia fundatora ustanowiony. Ordynacya nie poszła na kobietę, bo ani księżna marszałkowa Sanguszkowa, ani małżonek jój książę Paweł, nie brali tytułu ordynatów. Administratorem dla małoletniego syna miał prawo być ojciec.

Ślady te nie wykazują aby ordynacya uzurpowaną była przez książąt Lubomirskich i Sanguszków. Pokazują one owszem bieg naturalny na płęć męzką w rodzie, omijając kobiety; i gdy następowały spadki, nie podnosiły się żadne nadzwyczajne sprzeciwienia. Plamę uzurpacyi zarzucaną tym dwom rodzinom, znieść można i wypada; i artykuł historyczny o ordynacyi ostrogskiej będzie zupełny tylko wtenczas, gdy wytłumaczy lub dowiedzie słuszność oskarżenia. Jeśli zaś artykuł wyżej wspomniany ma być ogłoszony drukiem, słusznie należy wydrukować przy nim moje niniejsze uwagi.

Książę Janusz-Aleksander Sanguszko, doszedłszy do lat w których dzieci mieć nie spodziewał się, wzbudził interes ogólny kraju, gdy w przewidzeniu bezdzietnej śmierci jego i po zgaśnięciu poprzednio jeszcze kollateralnej linii rodu księcia Janusza Ostrogskiego fundatora od siostry jego, księżny Radziwiłłowej, wszystkie gradacye spadkowe znalazły się wyczerpane, i następstwo wchodziło w ostateczną kolój naznaczoną przez erekcyę, na zakon maltański, najprzód w osobie wybranego kawalera Polaka, Litwina lub Rusina, byle tylko rzymsko-katolickiej religii, a następnie na komandoryę tegoż Zakonu, i oddawało tym sposobem ogromne przestrzenie kraju polskiego i bogactwa w nim niezrównane w posiadanie cudzoziemców. Wzruszyło to opinię, słusznie straszło ojczyznę. Nastąpiła więc ostatnia phasis dla ordynacyi: rozbiór jój, nakazany przez opinię publiczną, rozsądnie wymagany jako konieczność, bo

ordynacya iść dalej według erekcyi już nie mogła przez *racyę stanu*. Tém więcéj, że czasy się zmieniły, kraj obrony, jak dawniéj, nie potrzebował, a ojczyzna nie mogła rezykować się, pomimo prawa literalnego, na wprowadzenie w łono swoje cudzoziemców bogaciéj uposażonych niżeli Polacy, i na narażenie się przez-to na niebezpieczeństwo wszelkich intryg politycznych. Tém bardziéj słuszném to było, że w owych czasach, oprócz synów wielkich familii noszących tylko mundur kawalerów maltańskich, zakon ten był w ręku awanturników. Tak silnie nakazany rozbiór nie był czynem prostéj i występnej alienacyi ostatniego ordynata.

Nie mogła trwać dłużej ordynacya na warunkach grożących niebezpieczeństwem Rzeczypospolitéj, i nie dochodząc półtora wieku od swójéj erekcyi, przestała być praktyczną, bo w stopniowém rozwinieniu swójém była zupełnie zaniedbaną. Opinia publiczna zrozumiała to, i znajdując winy cząstkowe ciążące na księciu ordynacie Sanguszk, że alienował ziemie do ordynacyi należące, obrzuciła się i oskarżyła księcia ordynata o to nieprawne postępowanie. Następnie wymogła na krewnych otaczających księcia, aby rozdał ordynacyę pomiędzy Polaków na wieczne czasy i wyratował tém takie obszary kraju polskiego od przejścia w ręce cudzoziemców. Książę łagodny, posłuszny opinii, sam czując słusność obawy, nie mając braci, którzy narodzili się późniéj, i do rodu ordynackiego nie należeli, jako idący z innéj matki ¹⁾ poddał się i zrobił sławny akt alienacyi, nazwany tranzakcyą kolbuszowską w roku 1753. Ten akt, pomimo nieprawności swójéj, odpowiadał tak ogólnemu przekonaniu, że został uprawniony, otrzymał potwierdzenie sejmu i zamknięty był stanowczo sankcyą króla.

Taki był koniec ordynacyi ostrogskiéj!

Niech teraz historya osądzi, kto prawdziwie rozburzył gmach wzniesiony uroczyscie, uposażony wiecznie? Wina przeciwko formie ciąży na ordynacie, ale nie jego wina przeciwko rzeczy saméj. Nie było możebném oprzéc się własnemu przekonaniu, strachowi przyszłości i naciskowi opinii. Urodzony z Lubomirskiéj, otoczony rodziną ks. Lubomirskich w owych czasach już niezbyt silnie w bogactwa uposażonych, ks. ordynat Sanguszko, sam własnym charakterem ani silny, ani zdolny, ugiął się pod naciskiem wujów swoich i spełnił rozbiór ordynacyi, prawie wyłącznie na korzyść imienia książąt Lubomir-

¹⁾ Bracia księcia Janusza Sanguszka z innéj matki, z Barbary Duninowéj urodzeni, mogli byli w roku 1753 być małoletnimi, ale już żyli, kiedy przecież książę Hieronim późniéj wojewodu wołyński Sanguszko, w roku 1764 był posłem z województwa wołyńskiego na sejm konwokacyjny, jak poświadcza tom VII Voluminów legum. S. K.

skich. Obwinić tu wypada tych ostatnich, że familijnie napadli na słabego siostrzeńca i ze wściekłością osobistego interesu, prawie wszystkie ziemie i majątki ordynacyi zagarnęli, tak, że ów wielki pan bogaty ordynat, ledwie miał o czém dożyć do śmierci. Nieszczęśliwy ten książę, ostatni ordynat ostrogski, padł ofiarą konieczności składu rzeczy i czasu. Spełnił akt, który musi wiecznie za winę mu być rachowany. Nie umiejąc znaleźć innej kombinaty ratunku, uległ pod nawalną pressą naciskającą zewsząd na niego. Musiał się on urodzić między 1711, a 1715 rokiem, zatem liczył około czterdziestu lat wieku, gdy własnoręcznym podpisem, dowolnej formy aktem, wywłaszczył się z olbrzymich majątków swoich własnych i ordynacyi. Żył po dokonaniu tego jeszcze lat 22, zapewne nie bez uczucia wyrzutów sumienia i nie bez trudności materialnych do życia. Zdaje się że nie musiał pojąć dostatecznie co zrobił.

Robią zarzut księciu ordynatowi, że gdy już alienował ordynację samowolnym aktem, powinien jój być użyć na cele publiczne i dla dobra ojczyzny, w miejscu udobrodziejstwowania indywiduów prywatnych i niewdzięcznych wujów. Bez wątpienia wypadało to zrobić i oddać ordynację w ręce Rzeczypospolitej dla dalszego dopełnienia nadanych jój przez erekcyę celów, i przedłużyć jój byt dla dobra kraju. Mamy tylko przekonanie, że toby się nie było utrzymało przy przejściach przez jakie przeszedł kraj. Tak przepadły bez śladu tylokrotnie zrobione wieczne zapisy rodzin i indywiduów! Tak samo daremnie obróciły się starania moralne i próby przemysłowe, które nie szły na podstawie wolnego postępu cywilizacyi i stopniowego dojrzania!

Uważam za kwestyę poboczną dla samėj historyi ordynacyi ostrogskiej podniesienie pytania, czy było użytecznym dla kraju pod względem ekonomii politycznej, znieść przeważny dom arystokratyczny, aby jego olbrzymi majątek rozdrobić po rękach. W kraju tak jeszcze dalekim od stanu ucywilizowanego, nie szło o zasadę ekonomiczną, gdy ta przez lat 111, w niczem się nie rozwinęła do naszego czasu, ani w udoskonaleniu rolnictwa, ani w cenach produktów, ani w potrzebach miejscowej konsumpcyi, którój prawie dotąd nie ma. W krainie położonėj na skraisku świata używającego choć w części europejskiej cywilizacyi, opartėj o sąsiady, którzy jój nie mieli, musieli być zachowani silni posiadacze ziem, aby opanować puste okolice, wprowadzać je w rozwinięcie materialne, natchnąć wolą i własną energią i obronić od peryodycznych napadów barbarzyńskiego sąsiedztwa. Rząd Rzeczypospolitej silniejszy jak był, musiałby rozwinąć systematyczną obronę kraju; ponieważ tego nie zrobił, musiał podtrzymywać silnych wassalów, którzyby tego nie zrobili, musiał podtrzymywać w obronie kraju zastąpili.

W kolbuszowskiej tranzakcyi tekst dając spis miast i wsi oddanych przez księcia ordynata wyraża, że daje „konotacyę do-

nacyi... poczynionéj“; więc nie sprzedaży; i tak zdaje się rzeczywiście było; bo nie ma śladów aby książę ordynat lub ktoś za niego, za te majątki co otrzymał.

Rozdanych było miast 21, wsi 592 oprócz stepów i futorów, które się wsiami dziś zrobiły. Z téj ilości wzięli książęta Lubomirscy miast 14, wsi 449. Była to donacya wymuszona zapewne przekonaniem konieczności zrobienia rozbioru. Schwycona w tak przeważnej części przez wujów księcia ordynata, nie była ona rozszarpaniem majątku przez dziedzica w skutek rozpusty lub nieporządku. Wola Boska przeznaczyła tego nieszczęśliwego księcia na tak fatalny koniec ordynacyi.

Ośmielam się dodać, co do podatku „Ordynackiego“: Cel jego wiadomy jest ze wszystkich początkowych i kończących aktów. Nie ma co o tém powtarzać. Dziwić się tylko potrzeba, że tak był mało pojętym, iż przy spełnieniu równem z całym krajem ciężarów w naturze, co do służby wojennej, zachowany został bez ulgi i zmiany.

Prosząc o pozwolenie zachowania kopii komunikowanego mi szanownego artykułu pana, kończę pismo moje upewnieniem, że będę rachować się za zbyt zaszczyconego, jeśli te moje uwagi znajdują wartość u pana, i jeśli obudzą nowy pogląd na historię ordynacyi ostrogskiej.

Zostaję z najgłębszym szacunkiem

Roman książę Sanguszko.

Dnia 26 marca 1864 roku.

FILOZOFIA
ZASADY BEZWIEDNÉJ

(Nowy filozoficzny pesymizm).

PRZEDSTAWIŁ

Dr. fil. *Henr. Goldberg.*

(Dokończenie).

IV.

Mówiąc o *materji*, niepodobna nie mówić o *sile* i *prawach*. Trzy te pojęcia stoją w jak najściślejszym z sobą związku. Nie ma siły bez materji i bez stałych praw rządzących działaniem jój. Co się tyczy pojęcia prawa, to jasna jest, że oznacza ono tylko pewien stały sposób działania siły, że nie ma zatém realnego, samodzielnego bytu, lecz że jest tylko abstrakcją. Stosunek dwóch pozostałych pojęć: materji i siły nie jest tak jasny. Powszechnie przypisują materji i sile, każdą oddzielnie, byt realny, samodzielny, jakkolwiek jedna bez drugiej nie istnieje. Filozofia Zasady Bezwiednej wychodzi z téj zasady, że dla wyświeatlenia wzajemnego stosunku dwóch tych pojęć, dla wykazania właściwego znaczenia każdej z nich, nie należy ich dialektycznie rekonstruować, lecz zająć się analizą tych pojęć, przyjmując za punkt wyjścia ten pogląd, jaki panuje w naukach przyrodzonych. Tym tylko bowiem sposobem możemy mieć pewność, że mówiąc o materji i sile, do wyrazów tych przywiązujemy to samo znaczenie, jak i nauki przyrodzone, a nadto tylko tą drogą można dojść do porozumienia z naukami przyrodzonymi.

Według rozumienia obecnych nauk przyrodzonych ostatecznymi materyalnemi pierwiastkami są atomy. Rozdzielają się one na atomy cielesne i atomy eteru. Atomy cielesne *przyciągają się wzajemnie* w stosunku odwrotnym do kwadratów z odległości. Atomy eteru *odpychają się* w stosunku odwrotnym do potęg wyższych jak druga z odległości. Atomy cielesne i atomy eteru odpychają się. Według pojęć nauk przyrodzonych zatem atomy cielesne raz odpychają raz przyciągają. Te sprzeczne własności atomów cielesnych już dawno obudzały wątpliwość co do prawdziwości atomistyki nauk przyrodzonych. Ponieważ wszakże atomistyka nie jest wyrazem faktów dostrzeganych przez zmysłowe doświadczenie, lecz teorią objaśniającą zjawiska natury, przeto należałoby się postarać o oczyszczenie jęj z wyżej wymienionj sprzeczności, zatrzymując wszakże zasadnicze pojęcia atomów i elementarnych sił przyciągania i odpychania, które w istocie tak wielką doniosłość mają w rozjaśnieniu przyrody i w zastosowaniu rachunku do objaśnienia jęj zjawisk. Uczynić to nie trudno. Podług przytoczonj tylko co teorii nauk przyrodzonych, atomy eteru odpychają wszystkie inne, tak atomy eteru jak i cielesne. Natura zatem siły atomu odpychanego przez atom eteru nie wpływa wcale na siłę tego ostatniego. Jeśli zatem atom eteru odpycha atom cielesny, to mamy w tym wypadku prawo przypisać atomowi cielesnemu albo również siłę odpychania, albo też w ogóle żadnej, albo nareszcie siłę przyciągania. Żadne z tych przypuszczeń ani w niczém nie zmieni natury siły atomu eteru, ani też nie stoi w sprzeczności z prawem, że siła wzajemnego odpychania atomu cielesnego i atomu eteru równa się summie sił obu atomów. Ze względu więc na to, że atomy cielesne wzajemnie się przyciągają, atomy eteru zaś przeciwnie wzajemnie się odpychają, i ze względu, że *principia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*, wypada przyjąć jako zasadnicze prawo, że atomy cielesne tylko przyciągają, atomy zaś eteru tylko odpychają. Dwie te zasadnicze siły: siła odpychania i siła przyciągania, są podług pojęć nauk przyrodzonych przywiązane do materji, atomy bowiem, mają to być cząstki materyalne. Pytanie więc zachodzi jakież to pojęcie oznacza słowo materya. Najprostsza i najogólniejsza odpowiedź na to pytanie brzmi: materya jest to zewnętrzna przyczyna naszych zmysłowych dostrzeżeń. Pierwotnie mniemano, że przyczyna ta jest bezpośrednim przedmiotem naszego dostrzegania; rychło wszakże przekonano się, że materji nie widzimy, że jęj nie słyszymy, że jęj nawet nie dotykamy się, lecz że materya jest tylko instynktywną hipotezą, tłumaczącą nam źródło naszych zmysłowych dostrzeżeń. Dziś nauki puzyrodzone wiedzą, że owemi zewnętrznemi przyczynami całego naszego zmysłowego świata są najprzeróżniejsze ruchy: to co słyszymy jest falowaniem wzrokowi jest tylko falowaniem eteru, to co czujemy jest falowaniem powietrza, to co czujemy i smakujemy jest falowaniem chemiczném; tak więc w całym świecie zmysłowym nigdzie nie widzimy *materyj* tylko *ruch*. W celu wyjaśnienia tego ostatniego, nauki przyrodzone

przyjmują przeróżne siły, które ze swój strony są tylko objawem elementarnych sił molekularnych i atomistycznych. I zasadnicza własność materji, ta właśnie, która materji najwięcej przydaje uroku *nieprzenikliwość*, jest według dzisiejszego rozumienia nauk przyrodzonych tylko rezultatem *siły* odpychania, która na nieskończenie małej odległości rośnie do nieskończenie wielkiej potęgi. Wszystkie zatem teorye nauk przyrodzonych opierają się tylko na przyjęciu siły. „Materia zaś, mówi Filozofia Zasady Bezwiednej (str. 432) tuła się tylko gdzieś w głębi, jak beczynnie czyhające straszycło, które wszakże tylko w *ciemnych* miejscach, dokąd światło poznańia *jeszcze nie* przeniknęło utrzymać się może.“ Tak więc nauki przyrodzone tylko pojęciem *siły* w rzeczy samej się posiłkują, *materia* zaś znaczy dla nich tylko *system sił atomistycznych*, „niezbędny znak summy ich lub też formułkę dla tych systemów sił“ (Ph. d. U. str. 433). To też obrońcy materji, jakkolwiek odwołują się do nauk przyrodzonych i do doświadczenia, w rzeczywistości ani na pierwszych ani na drugim się nie opierają, lecz na najzupełniej apriorystycznym twierdzeniu, że „nie można sobie wyobrazić siły niepołączonej z materją, że nie ma siły bez *substratu* i *przedmiotu* na któryby działała, i że ten substrat, ten przedmiot jest właśnie materją; siła bez materji jest nonsensem.“

Twierdzenia tego wszakże dotychczas nikt nie udowodnił i udowodnić nie może. Opiera się ono bowiem na przypuszczeniu, że pojęcie siły nie da się w *myśli* połączyć z pojęciem samodzielnego istnienia; przypuszczenie to jednak jest zupełnie pozbawione uzasadnienia, gdyż siła i samodzielne istnienie nie są bynajmniej pojęcia z sobą sprzeczne, wyłączające się nawzajem, a przecież tylko takich pojęć połączyć z sobą nie można. Przeciwnie pojęcia siły nie można łączyć z pojęciem materji, gdyż jak wykazano, *materia* oznacza tylko system sił albo jest wyrazem bez żadnego znaczenia. Tym sposobem pierwsza część dogmatu materialistów: „nie ma siły bez materji“ jest zupełnie nieuzasadniona. Druga część tego dogmatu, że siła musi mieć obiekt, na któryby działać mogła, jest prawdziwa, ale wniosek z niej, że obiektem tym właśnie jest *materia* jest znów nieuzasadniony; bo dlaczegóż nie można przypuścić, że siła działa na siłę a nie na materję? przecież doświadczenie wskazuje nam w duchowem naszym życiu także wzajemne działanie różnych sił na siebie. Wszakże jest jeszcze jeden ważny powód wzbraniający zgodzić się na hipotezę, że atomy są nie tylko siłami ale i materją, a mianowicie ten, że twierdzenie to w gruncie rzeczy opiera się na hipotezie, że atomy są tylko siłami. I tak jeśli siła atomu *A* działa na materję atomu *B* i przyciąga takowy, to wypadła zład, że albo siła atomu *B* pozostaje na dawnym miejscu a tylko *materia* jego się zbliża, albo też *materia* atomu *B* (zmuszona zmienić swe miejsce wskutek działania siły atomu *A*) oddziaływa ze swój strony na siłę z nią połączoną i oboje razem zbliżają się ku atomowi *A*. Na pierwsze przypuszczenie zwolennicy materji zgodzić się nie mogą, bo „siła nie może istnieć bez materji.“ Ale też i za drugim obstać

nie mogą, bo musieliby przypuścić, że materya, która podług ich pojęć jest czémś zupełnie bierném naraz staje się czynną, a tём samém wniczém się nie różni od siły. Do takiego samego rezultatu dochodzimy, jeśli mamy odpowiedzieć na pytanie o sposobie połączenia siły atomu z jego materyą. Tu bowiem dwa tylko mogą być przypuszczenia, a mianowicie: albo siła danego atomu spoczywa w centrum jego, albo téż jest przwiązaną do wszystkich jego części. W pierwszym razie siła atomu znajduje się w jednym *matematycznym* punkcie, nie więc wspólnego z materyą nie ma, i ostatnia do istnienia atomu „potrzebna jest jak piąte koło u wozu.“ W drugim zaś razie siła atomu nie w jednym, lecz w nieskończonej ilości punktów *matematycznych* spoczywa a więc nie w materyi, albowiem punkta matematyczne nie są materyalne, summa więc ich równieź materyalną być nie może. Tak więc i nauki przyrodzone i dowody apriorystyczne wykazują, że materyi nie ma, że to co nazywamy materyą jest w gruncie rzeczy tylko kombinacją *sił atomistycznych*. Lecz jeśli zasadnicze pierwiastki materyi, atomy są tylko elementarnymi siłami przyciągania i odpychania, to materya ostatecznie niczém inném nie jest tylko bezwiedną wolą i bezwiedném wyobrażeniem; łatwo bowiem wykazać, że i siła jest tylko wolą, której treść stanowi pewne bezwiedne wyobrażenie. Każdy atom przyciąga lub odpycha drugi. Zanim wszakże jedno lub drugie nastąpiło, siła atomistyczna jest tylko *dążeniem* do odpychania lub przyciągania; w każdej zatem sile atomistycznej należy rozróżnić dwie rzeczy: dążenie i cel, który się stara urzeczywistnić. Cel w samej sile nie istnieje *realnie*, gdyż w takim razie byłby już urzeczywistniony i siła nie miałaby do czego dążyć, a tём samém zaprzestałaby istnieć, albowiem siła nie dążąca do czegoś jest nonsensem. Ale z drugiej strony cel pewnej siły musi w niej leżeć, w przeciwnym razie siła byłaby pozbawiona kierunku i w ogóle wszelkiej treści swego działania i byłaby tylko zupełnie *abstrakcyjnym formalnym* tylko dążeniem t. j. czémś co w naszej myśli może istnieć, ale co nie jest rzeczywistém. Ponieważ więc cel, do urzeczywistnienia którego pewna siła dąży, musi w niej się zawierać, a jednakże nie może w niej istnieć realnie, przeto może być w niej tylko w formie *bytu idealnego* t. j. jako *wyobrażenie*; „nie wiem bowiem, mówi *Hartmann* (Ph. d. U. str. 443) co mogłoby być warunkiem idealnego bytu, jeśli nie to, że jest *tym samym* co i byt realny tylko bez *realności*.“ Porównawszy to co się tu o istocie siły powiedziało z tём co przedtém ¹⁾ analiza woli wykazała, widzimy, że między wolą i siłą nie ma zgoła żadnej różnicy: jedna i druga jest dążeniem do urzeczywistnienia spoczywającego w niém wyobrażenia. Każdy akt woli, jak wiadomo, jest sam w sobie zawsze bezwiedny, tylko wyobrażenie jego może stać się przedmiotem świadomości; ponieważ zaś wyo-

¹⁾ Cf. Bibl. Warsz. r. 1873, zeszyt 3, T. I, str. 399.

brażenie stanowiące treść siły materialnej zawsze pozostaje w stanie bezwiednym, przeto siła jest *wolą* i *wyobrażeniem bezwiednym*. Na zasadzie wykazanej identyczności siły i woli, możnaby w miejsce pojęcia woli wszędzie używać pojęcia siły; wszakże ponieważ pojęcie siły przez konwencyonalny zwyczaj zostało w nauce ograniczone głównie do sił pochodnych, jak magnetyzm, elektryczność i t. d. i ponieważ wola jest dla nas pojęciem daleko jaśniejszém jak siła, przeto słuszniej jest elementarne atomistyczne czynności nazwać aktami *woli*. Tak więc ostatecznie: *materya* jako system atomów jest *bezwiednym wyobrażeniem* i *bezwiedną wolą*. Wszystko zatem co światem nazywamy: materya, życie cielesne, życie duchowe jest tylko objawem jednej i téj saméj *zasady bezwiednej*.

V.

Teraz można już zrobić sobie dokładne wyobrażenie o naturze *zasady bezwiednej*. Przedewszystkiém *zasada bezwiedna* jest bezwiedną wolą i bezwiednym wyobrażeniem; dalej *zasada bezwiedna* działa zawsze *celowo*, a więc z *najwyższą doskonałością*; *zasada bezwiedna* nie próbuje, nie doświadcza, nie *rozważa* co jéj czynić wypada, gdyż nie myśli w formie *dyskursywnego* łączenia wyobrażeń lecz w formie *intuicyjnego jasnowidzenia*, tak że myśl o działaniu i samo działanie jest dla *zasady bezwiednej* *jednym* tylko aktem. Pozostaje tylko, dla uzupełnienia pojęcia o zasadzie bezwiednej, rozważyć, czy *zasada bezwiedna* rozpryskuje się na tyle oddzielnych zasad ile jest stworzeń i atomów, czy téż *zasada* ta jest tylko *jedną*; t. j. czy rozwinięty tu pogląd prowadzi do *pluralizmu* czy téż do *monizmu*. W tym celu należy zastanowić się nad tém co jest *indywiduum*.

Indywiduum jest jednością niepodzielną t. j. taką, której dzielić nie można jeśli ma pozostać tém, czém jest. Wszakże chociaż każde indywiduum musi być jednością, przecież nie każda jedność jest indywiduum. Jedność jest pojęciem daleko obszerniejszém niż indywiduum. Rozpatrzywszy się we wszystkich możliwych rodzajach jedności, łatwo dojrzeć, że takowych jest pięć: 1) jedność *przestrzenna*, kształt, 2) jedność *czasu*, ciągłość trwania, 3) jedność polegająca na wspólnej *przyczynie*, 4) jedność polegająca na wspólnym *celu* i 5) jedność polegająca na takim *związku* pojedynczych części, że każda z nich jest niezbędnym warunkiem istnienia drugiej (Wechselwirkung). Więcej form jedności być nie może, gdyż te wyczerpują zupełnie trzy subiektywno-objektywne formy istnienia: czas, przestrzeń, przyczynowość. Indywiduum, jak to każdy z doświadczenia wie, nie jest żadną z tych jedności, ale wszystkie razem są warunkiem *sine qua non* indywiduum. Gdzie rzecz jaka przedstawia sumę tych 5 jedności, tam jest indywiduum, gdzie zaś choćby tylko jednéj z tych jedności niedostawało,

tam indywiduum nie ma. Jest wszakże jeden rodzaj indywiduum, które na zupełnie odrębnej jedności polega; jestto indywiduum duchowe: *osoba*. Podstawą tego indywiduum jest *jedność świadomości*, wyrażająca się w „*ja*.” Tylko tam o świadomym indywiduum o *osobie* mówimy, gdzie wszystkie czynności świadome odnoszą się do jednego subjektu. Tém się wszakże jeszcze nie wyczerpuje natura indywiduum. Najcharakterystyczniejszym bowiem znamieniem indywiduum jest to, że pomimo pozornie odrębnej i zamkniętej jedności, jaką się nam przedstawia, indywiduum w istocie nie jest czémś absolutnie zamkniętém; przeciwnie, zakres jego jest zupełnie względnym, tak że rzecz jakaś z jednej strony może być kompletném indywiduum, z drugiej zaś tylko częścią innego indywiduum. Wypada nam zatem rozróżnić indywidua wyższego i niższego rzędu. To rozróżnienie tyczy się zarówno materialnych jak i duchowych indywiduów. Można zatem tak w jednych jak i drugich ustanowić szereg wznoszący się od najprostszyc do coraz więcej złożonych i obszerniejszych. I tak za najprostsze i najniższe indywiduum materialne należałoby uważać komórkę; ztąd wznoszą się coraz wyższe indywidua aż do najbardziej skomplikowanych organizmów, a te są znów tylko składowemi częściami świata, w którym żyją; te znów stosunkowo najwyższe indywidua stanowią składowe części absolutnie najwyższego *wszczęświata*. Indywidua świadome nie dadzą się podciągnąć pod takie jedno absolutnie najwyższe, gdyż najważniejszy warunek indywidualnej świadomości *jedność* jój tam tylko ma miejsce, gdzie między oddzielnemi świadomemi indywiduami niższego rzędu istnieje materialny łącznik (np. nerwy), umożliwiający połączenie ich w jedną wyższą świadomość. Takie najwyższe duchowe indywiduum przedstawia się nam w świadomości mózgu; w stosunku podrzędności do niego pozostaje świadomość oddzielnych podrzędnych centrów np. systemu zwojowego. Jeśliby kiedyś udało się wykazać iż atomy dochodzą do świadomości, to za najniższe indywiduum świadome wypadłoby przyjąć atom.

Przyjmując takie rozumienie o naturze i istocie indywiduum i zapatrując się z tego stanowiska na *zasadę bezwiedną*, trzeba przyznać, iż czyni ona zadość wszystkim warunkom indywidualności. Między jój częściami składowemi: bezwiedną wolą i bezwiednym wyobrażeniem panuje jak *najściślejszy związek*; pierwsze waruje istnienie drugiego i na odwrót; dalej, wszystkie czynności *zasady bezwiednej* wiążą się z sobą harmonijnie ku rzeczywistnieniu jednego *wspólnego celu*; *zasada bezwiedna* jest wspólną *przyczyną* wszystkich swych czynności, w działaniu jój panuje ciągłość trwania a więc *jedność czasu*, nareszcie jakkolwiek sama nie jest przestrzenią, objawy jój wszakże mają *jedność kształtu* a więc *przestrzeni*. Jednym słowem *zasada bezwiedna* jest *indywiduum*. To wszakże nie rozstrzyga jeszcze kwestyi o którą tu głównie chodzi, a mianowicie *czy zasada bezwiedna* jest jedną tylko, czy też *zasad* takich jest wiele. Z tém wszystkiém jeden ważny krok w celu rozwiązania tego zadania już zrobiono. Pokazało

się bowiem, że wszystkie indywidua są tylko częściami jednego absolutnego indywiduum. Nic więc słusniejszego, jak za takie absolutne indywiduum uważać właśnie *zasadę bezwiedną*; odpowiada ona bowiem wszystkim warunkom indywidualności i stanowiąc istotę wszech rzeczy, jest zarazem, w stosunku do wszystkich innych indywiduów, indywiduum najwyższego rzędu. Dwie tylko okoliczności zdają się przeczyć temu, że wszystko co istnieje, co się cieszy indywidualnym życiem, jest tylko składową częścią *jednego* indywiduum. Okoliczności te są: *odrębności przestrzeniowe*, zapewniające, jak się to naszej zmysłowości przedstawia, każdemu indywiduum byt odrębny samodzielny i istnienie *świadomych duchowych indywiduów* mających samowiedzę, t. j. wiedzących o tém, że są przecież zupełnie oddzielnymi istotami, że każde ma swoje „ja,” że to „ja” żadną miarą nie jest „ja” drugiego indywiduum. Bez wątpienia dwie te okoliczności jako *bezpośrednio* nam świadome, jako nie polegające na świadomej refleksyi, zdają się mieć tyle pierwszeństwa przed twierdzeniem, że wszystko jest tylko *jedną* istotą, ile ma pierwszeństwa *fakt* przed niezgodną z nim *teoryą*. Wiemy wszakże, że już często to, cośmy za *faktyczną prawdę* uważali, po dokładnym zbadaniu rzeczy, pokazało się nam zmysłowym złudzeniem i że wiele złudzeń takich tak silnie w umyśle naszym zakorzeniło się, że teorie o których prawdziwości jak najzupełniej jesteśmy przekonani, zniweczyć ich nie zdołaty; dość np. wspomnieć wschód i zachód słońca, pozorną różnicę wielkości księżyca na horyzoncie i w zenicie i t. d. Otóż mniej więcej podobnie jak z *faktem* wschodu słońca i różnaitością wielkości księżyca, ma się rzecz i z odrębnościami przestrzeniowymi pojedynczych indywiduów i z samowiedzą. Oba te fakta odnoszą się do sfery zjawiskowej, nie mogą i nie powinny mieć zatém żadnego wpływu na twierdzenie o samej zasadzie bytu. I tak, samowiedza jest pewnym rodzajem świadomości, polega więc na tych samych warunkach co i ta ostatnia. Ponieważ zaś świadomość jest tylko pewnym objawem czynności *zasady bezwiednej* a więc zjawiskiem, przeto i samowiedza, stanowiąca najwyższy stopień rozwoju świadomości, należy również tylko do świata zjawiskowego. Wielość zatém samowiedz, odnosząc się tylko do sfery świadomości, nie stoi bynajmniej w sprzeczności z *monizmem* tego, co leży *poza* wszelką świadomością t. j. z *monizmem zasady bezwiednej*. „Dopiero kiedy poznamy, mówi *Hartmann* (Ph. d. U. str. 476), że świadomość nie jest czémś *istotnym* lecz że jest *zjawiskiem*, że zatém wielość świadomości jest tylko *wielością przejawów jednej istoty*, dopiero wtedy możemy oswobodzić się od panowania *praktycznego instynktu*, który wciąż „ja, ja” woła i pojąć, że wszystkie cielesne i duchowe indywidua są tylko jedną istotą.” Co się tyczy odrębności przestrzeniowych, to i one nie stoją w sprzeczności z poglądem, że *zasada bezwiedna* jest jedną. Jeśli bowiem przestrzeń ma tylko byt *idealny*, t. j. jeśli istnieje tylko w wyobrażeniu, to rozumie się samo przez się, że nie może być warunkiem istnienia wyobrażenia; jeśli zaś przestrzeń ma byt realny,

to stanowiąc formę materji, jest wraz z materją produktem *zasady bezwiednej*; w każdym zatem razie *zasada bezwiedna* jest „*extensione prior*“ (Ph. d. U. str. 446). *Zasada bezwiedna* nie jest zatem ani tu ani nigdzie, gdyż własności przestrzeniowe jako pochodne nie mogą się jęj tyczyć. Wszystkie odrębności przestrzeniowe, jakie się nam w świecie przedstawiają, polegają tylko na rozmaitości działania *zasady bezwiednej*. Rozmaitość zaś ta, jak wiadomo, wywołana jest tylko rozmaitością wyobrażeń, wola bowiem, urzeczywistniająca te wyobrażenia jest zawsze jedną i tą samą; że zaś rozmaitość wyobrażenia nie pociąga wcale za sobą i rozmaitości istot wyobrażających, przeto odrębności przestrzeniowe, na których polega zmysłowe rozróżnienie indywiduów, nie mogą służyć za dowód wielości *zasad bezwiednych*.

Tak więc całe bogactwo tego świata, cała ta jego rozmaitość i wielość jest tylko zjawiskiem, istota jego jest jedną. Wszakże świat ten nie jest zjawiskiem tylko subiektywném, tak jak to rozumiełi: Kant, Fichte i Schopenhauer, lecz jest zjawiskiem obiektywném t. j. rzeczywistością przez *zasadę bezwiedną* stworzoném; wszystko bowiem co istnieje jest kombinacją różnych aktów woli i wyobrażenia *zasady bezwiednej*: zarówno świat zewnętrzny jak i nasze świadome duchowe życie. „Niech *zasada bezwiedna*, mówi Hartmann (Ph. d. U. str. 486), zmieni kombinację tych czynności lub aktów woli, z których *ja* się składam, a zostałem innym; niech *zasada bezwiedna* zaprzestanie tych czynności a i *ja* zaprzestałem istnieć. *Ja* jestem zjawiskiem jak tęcza w obłokach; jak ona tak i *ja* zrodziłem się ze zbiegu okoliczności, staję się każdój chwili innym, ponieważ i okoliczności te co chwila są inne i nareszcie rozplynę się, jak tylko i te okoliczności się rozbiegną; co we mnie jest *istotą*, tém *ja* nie jestem. W tém samém miejscu może być znów kiedyś inna tęcza do piérwszej zupełnie podobna, a przecież tą samą nie będzie, ponieważ między jedną i drugą niéma ciągłości trwania, tak to i zamiast mnie może być inne do mnie zupełnie podobne *ja*, a jednak już to nie *ja* będę; tylko *słońce* ciągle błyszczący a światło jego i w tym obłoku wywołuje grę kolorów, tylko *zasada bezwiedna* ciągle trwa a promienie jego i w mym załamują się mózgu.“ Z takiego *monistycznego* poglądu wynika, że stworzenie i utrzymanie świata jest jednym i tym samym aktem *zasady bezwiednej*; niéma między niemi istotnej różnicy: każdy nowy twór jest tylko nową kombinacją aktów woli a życie tego tworu trwaniem téj kombinacji. Jeśli zaś *Darwin* uczy nas, że wielość gatunków istot żyjących nie jest bynajmniej dziełem tyluż aktów stworzenia, lecz, że jedne gatunki powstają z drugich drogą zupełnie mechaniczną wskutek akkomodacyi istot żyjących do zmian jakie zachodzą w ich otoczeniu: to teoria ta nie stoi wcale w sprzeczności z poglądem że wszystko jestto dziełem *zasady bezwiednej*. Teoria *Darwina* bowiem (jak to wykazał *Nägeli* ¹⁾)

¹⁾ Entstehung und Begriff der naturhistorischen Art. r. 1865.

tłumaczy tylko zmiany fizjologiczne w organizmach i połączone z niemi małe odmiany morfologiczne w *granicach jednego typu* ale niedostateczną jest, dla wyjaśnienia *przejścia jednego typu w drugi*. Te małe odmiany morfologiczne, spowodowane naturalną hodowlą, (wyborem) mogą tylko ułatwić powstanie jednego gatunku z drugiego i *zasada bezwiedna* posiłkuje się niemi jako środkiem mechanicznym, w celu stworzenia najdoskonalszego organizmu; tym sposobem *zasada bezwiedna* oszczędza sobie zbytecznego natężenia woli, jakiego niewątpliwie wymagałoby stworzenie każdego nowego gatunku drogą samoródtwa (*generatio spontanea*). Ta zasada oszczędzenia siły woli *zasady bezwiednej* przeprowadzoną jest również i w życiu cielesnym każdego stworzenia. I tu *zasada bezwiedna* posiłkuje się w celach fizjologicznych pewnemi stałemi mechanizmami i tylko tam bezpośrednio sama bierze udział w sprawach życiowych, gdzie działalność tych mechanizmów nie wystarcza. Okoliczność, że *zasada bezwiedna* w czynnościach swych ucieka się do pomocy mechanizmów, nie robi bynajmniej jój żadnej ujemy; przeciwnie, musimy o inteligencji jój o tyle mieć wyższe wyobrażenie, o ile więcej cenimy człowieka, który przez użycie różnych przyrządów sił swych oszczędza, jak tego który daremnie na to siły swe traci, aby wszystkiego dokonać własnemi rękoma. Z takiego stosunku *zasady bezwiednej* do świata wynika, że ona jest ową absolutną istotą, którą w religii nazywamy Bogiem; wszystkie bowiem cechy stanowiące pojęcie *zasady bezwiednej* są te same, które przypisujemy pojęciu Boga z tą jedyną różnicą, że w pojmowaniu religii chrześcijańskiej Bóg jest indywiduum świadomem a więc osobą, gdy tymczasem *zasada bezwiedna* jest indywiduum nie posiadającym świadomości. To wszakże podnosi tylko godność Istoty Najwyższej i w gruncie rzeczy dopiero nadaje jój cechę nieograniczoności, świadomość bowiem a wraz z nią i osobistość jest tylko cechą istot skończonych, które nie będąc obdarzone absolutem intuicyą, skazane są na to, aby do wiedzy i poznania dochodzić tylko drogą świadomej refleksyi. „Upředzenie chrześcijańskie, mówi Hartmann (Ph. d. U. str. 486), narzucania Bogu własnej osobistej świadomości poza indywiduami, jest takim samym antropopatycznym błędem, jaki popełnia i żydowski Testament, kiedy Mu przypisuje gniew, mściwość i inne przymioty w nas samych dostrzeżone“¹⁾.

¹⁾ Według Hartmanna w Istocie Najwyższej (Bogu) tkwi nie *samowiedza* (ludzka) ale *Wszzechwiedza*. Dodać też trzeba iż *Das Unbewusste* Hartmanna jest to właściwie pierwiastek bezwiedny czyli nieświadomość, która jest nieświadomością tylko dla przedmiotu, w którym zostaje, nie zaś nieświadomością w sobie; stąd też autor zowie ją nieraz *Allwissende, denkende Unbewusste*.

VI.

Zdawaćby się mogło, że ostateczną konsekwencją Fil. zas. bezw. powinien być najzupełniejszy *optymizm*. Wszystko jest tylko objawem i dziełem *zasady bezwiednej*, działającej wszędzie i zawsze nietylko z największą celowością, ale i nigdy nie *rozważającą*, lecz *intuicyjnie* znającej potrzeby tak daną chwilę jak i najodleglejszego w przyszłości czasu. Nigdzie więc zatém w świecie nie może być nic takiego, co by wskutek pobłędzenia *zasady bezwiednej*, lub wskutek chwilowego ustania jęj działalności, było niezgodne z jego celem. Jednym słowem konsekwencją Fil. zas. bezw. jest doskonałość tego świata. Z tém wszystkiém doskonałość świata nie pociąga bynajmniej za sobą *optymizmu*. Filozoficzne poglądy, gruntujące *optymizm* na powszechnej celowości świata, na jego doskonałości, popełniają błąd w określeniu znaczenia pojęcia doskonałości. Identyfikują bowiem zupełnie nie-słusznie doskonałość z pojęciem absolutnego dobra, gdy tymczasem pojęcie doskonałości nie oznacza nic absolutnego, lecz ma zawsze znaczenie względne. Doskonały znaczy tylko najlepszy w swym rodzaju, nie zaś dobry bezwzględnie. Jeśli więc świat ten musimy uznać za doskonały, to z tego bynajmniej nie wynika, żeby był absolutnie dobry,—to upoważnia nas tylko do wniosku że jest najlepszym ze wszystkich możliwych światów. Na tém właśnie pomieszeniu pojęcia doskonałości z pojęciem absolutnego dobra polega *optymizm Leibniza*. Filozof ten utrzymując, że świat jest absolutnie dobry, musiał się o to starać, aby ten swój *optymistyczny* pogląd pogodzić z doświadczeniem, które niestety na każdym kroku przekonywa nas o tém, że świat bynajmniej nie jest pozbawiony złych stron. W tym celu dowodził *Leibnitz*, że zło rzeczywiście nie istnieje, że jest tylko niższym stopniem dobra. Teorya ta jest najzupełniej fałszywą, gdyż w takim razie wyżej powinniśmy cenić tę przyjemność, która jest połączoną z pewną nieprzyjemnością, niż samą przyjemność bez żadnej ujemnej przymieszki; najwyższém zaś głupstwem podług tęj teoryi byłoby rzec się jakiegoś dobra, byleby uniknąć jakiego wielkiego zła. Niepodobna przypuścić, żeby *Leibnitz* nie dostrzegł do jakich sprzeczności wiedzy powyższa teorya, jak również żeby nie wiedział, że świat doskonały i świat absolutnie dobry nie są bynajmniej rzeczy indentyczne. Wszakże dwa te błędy były konieczne w celu „ *usprawiedliwienia Stwórcy za stworzenie świata*“ (Ph. d. U. str. 562). Jeśli bowiem pokazałoby się, że w świecie nietylko tu i owdzie tkwi zło, lecz że świat w ogóle jest zły, to Stwórca absolutnie rozumny i świadomy swych czynności, popełniłby przez stworzenie świata największe głupstwo. Dla uniknięcia możliwości takiej konsekwencji musiał *Leibnitz* przyjąć, że zło jest tylko niższym stopniem dobra, a wskutek tego świat doskonały stał się mu absolutnie dobry. Fil. zas. bezw. nie po-

trzeba krępować się takimi względami. Fil. zas. bezw. wie, że ostateczna zasada wszechbytu nie jest tylko absolutną intelligencją (wyobrażeniem) lecz, że jest oprócz tego i wola; jeśliby więc się wykazało, że świat jest zupełnie zły, to, nie popełniając żadnej niekonsekwencji, Fil. zas. bezw. miałaby prawo stworzenie takiego świata przypisać tylko woli bez współudziału intelligencji a więc uznać je za akt bezrozumny; co więcej wiedząc, że realne istnienie jest dziełem woli tylko, Fil. zas. bezw. „a priori *dzwiżyćby się temu właśnie musiała, gdyby istnienie to jako takie nie było nierozumnem* (Ph. d. U. str. 563). Leibnitz wyjścia takiego nie miał, ponieważ w Najwyższej Istocie nie przyjmował wielości atrybutów. Przypuszczenie że świat mimo to że jest doskonały, może być „serdecznie zły“ nie jest bynajmniej bezzasadne. Doskonały znaczy przecież tylko najlepszy w swoim rodzaju, jeśli więc rzeczywistość wszelka już przez to tylko, że istnieje musi być pozbawioną wszelkiej wewnętrznej wartości, przeto i najlepsza a więc doskonała rzeczywistość zawsze pozostanie złą. Chociaż zatem Fil. zas. bezw. doszła do przekonania że świat jest doskonały, to pogląd ten nie wyłącza bynajmniej przypuszczenia, że lepiejby było gdyby w ogóle świat wcale nie był stworzony. Zachodzi tu wszakże jeszcze pytanie, czy niedostatki świata, czy te złe jego strony, których przecież zaprzeczyć niepodobna, nie stoją już a priori w sprzeczności z doskonałością jego a zatem i z wszechmądrością Stwórcy. Wypadek ten miałby bez wątpienia wtedy miejsce, gdyby się pokazało, że zapomocą owego zła świata osiągają się cele niegodne, złe, albo też gdyby to zło miało służyć jako środek dla urzeczywistnienia celów dobrych. W pierwszym bowiem razie wytknięcie niegodnych celów, w drugim zastosowanie nieodpowiednich środków byłoby sprzeczne z wszechmądrością Stwórcy. Jedno i drugie przypuszczenie opierają się znów na nowém przypuszczeniu, a mianowicie na tém, że celem doskonałego świata jest ustalenie sprawiedliwości, moralności i powszechnej szczęśliwości. Co się tyczy wszakże moralności i sprawiedliwości, to one mogą mieć tylko znaczenie dla świata zjawiskowego i jako takie nie mogą obowiązywać jego istoty. Moralność i sprawiedliwość są to tylko abstrakcyjne idee, wyrażające pewne stosunki między indywiduami. Bez wielości indywidów nie możliwą jest ani moralność, ani sprawiedliwość, ale z drugiej strony oddzielne indywidua istnieją tylko wskutek wrodzonego im instynktu *egoizmu*; egoizm stanowi warunek *sine qua non* wielości indywiduów. Zład wynika, że w świecie zamieszkałym przez wiele indywiduów musi być miejsce i dla niesprawiedliwości i dla niemoralności, ponieważ tak jedna jak i druga są konieczną konsekwencją jego indywidualizacji. Ponieważ zaś wielość indywiduów jest tylko zjawiskową, przeto i wszelkie stosunki między indywiduami o tyle mogą mieć teleologiczne znaczenie dla istoty świata, t. j. o tyle mają udział w osiągnięciu celu, do którego świat w swym rozwoju dąży, o ile one na samą istotę świata oddziałują. Wartość zatem teleologiczna sprawiedliwości i niesprawiedli-

wości nie leży w nich samych jako takich, lecz w summie szczęścia i nieszczęścia, w summie przyjemności i nieprzyjemności, jakich indywidua przez te stosunki doznają, albowiem istotnym subjektem wszystkich indywiduów, jak wykazano, jest *zasada bezwiedna*. Innemi słowy: *celem* rozwoju świata nie może być sprawiedliwość i moralność lecz tylko szczęśliwość; sprawiedliwość zaś i moralność o tyle tylko w rozwoju świata mają znaczenie celowe, o ile są *środkami* do ustalenia i podwyższenia szczęśliwości. Przyjmując takim sposobem najwyższą, naturalnie w granicach możliwości, szczęśliwość jako jedyny rozumny cel świata, niepodobna jednak nie dostrzedz, że wiele faktów świata wprost są sprzeczne z tym celem; istnienie zatem ich w doskonałym świecie tylko tém się da wytłumaczyć, że służą one jako środki dla osiągnięcia innych celów, jak np. stworzenia oddzielnych indywiduów lub wydoskonalenia świadomości. Gdy wszakże niepodobna pojąć, żeby dla *zasady bezwiednej* coś innego mogło stanowić ważniejszy cel jak osiągnięcie szczęśliwości, przeto przypuścić należy, że jeśli *zasada bezwiedna* ponosi pewne *ofszary* ze swój szczęśliwości, to jedynie w celu osiągnięcia przez to wyższego jój stopnia w inném stadyum rozwoju świata. Wypada zatem zastanowić się nad tém, czy w świecie przeważa szła szczęścia czy nieszczęścia i które z nich ostatecznie w rozwoju świata może się ustalić. Jeśliby bilans ten szczęścia i nieszczęścia w teraźniejszym stanie świata jak i w ostatniém stadyum jego rozwoju wykazał, że osiągnięcie szczęśliwości jest niemożliwem, to musielibyśmy istnienie świata uważać za nierozumne i przyjść do przekonania, że lepiejby było, iżby świat wcale nie był stworzony.

O stosunku summy szczęścia do nieszczęścia w świecie, ludzkość już nieraz objawiła swe zdanie, i wyrok jój wypadł po największej części na niekorzyść szczęścia. Dość wspomnieć *Chrystusa*, *Platona*, *Kanta*, *Fichtego*, *Schellinga* i nakoniec *Schopenhauera*, aby przekonać się o prawdziwości powyższego zdania. Najdalej zaszedł w tym względzie *Schopenhauer*, utrzymując, że szczęście, przyjemność, w istocie nie jest niczém pozytywnem lecz, że jest tylko brakiem nieszczęścia. Jakkolwiek na to odpowiedzieć mu można, że podobnie jak przyjemność jest brakiem nieprzyjemności, tak i nieprzyjemność jest brakiem przyjemności, jakkolwiek doświadczenie wykazuje nam, że są przyjemności, których doznajemy wprost bez poprzedniej nieprzyjemności: to mimo to apriorystyczna teoria *Schopenhauera* zbliża się bardzo do prawdy. Są bowiem okoliczności, które zgóry już w znacznym stopniu obciążają szalę nieszczęścia. I tak: 1) Długie i jednostajne trwanie uczucia przyjemności jak i nieprzyjemności wywołują potrzebę położenia tamy tak jednemu jak i drugiemu. Wskutek tego uczucie przyjemności wywołując nareszcie odrazę przeciwko sobie samemu, nietylko zmniejsza stopień jego, ale nawet niweczy je i przechodzi w uczucie nieprzyjemności; gdy tymczasem to ostatecznie przeciwnie powiększa się tylko jeszcze niechęcią, jaką przeciwko niemu pała indywiduum znoszące je, i niechęć ta tém

bardziej wzrasta, im dłużej trwa uczucie nieprzyjemności. 2) Wiadomo już z rozbioru uczucia, że tylko nieprzyjemność dochodzi bezpośrednio do naszej świadomości, że przyjemność przeciwnie staje się dopiero przedmiotem świadomości wskutek poznania téj massy zewnętrznych stosunków i okoliczności, które stają na zawadzie swo-
 bodnemu rozwojowi życia. Z tego wynika, że wszystkie te istoty, których świadomość nie stoi na téj wysokości, żeby mogły wiedzieć o swéj zależności od świata zewnętrznego—a wiadomo, że ilość ich jest daleko większą od tych, które są obdarzone wyższą świadomością—uczucia przyjemności nigdy doznać nie mogą, gdy tymczasem i najmniejsza nieprzyjemność świadomości ich się narzuca. Wynika z tego dalej, że i człowiek każdą nieprzyjemność w całym jéj rozmiarze od-
 czuwa. Inaczej rzecz się ma z przyjemnościami; z tych bowiem tylko niezwykle tak co do swego stopnia jak i rodzaju dochodzą do naszej świadomości. 3) Te uczucia przyjemności, które powstają wskutek zniesienia uczuć nieprzyjemności, o wiele są *niższe* od tych ostatnich. Prawda, że i uczucie nieprzyjemności następujące po zatamowaniu uczucia przyjemności, jest niższe od tego ostatniego, ale to nie wpływa bynajmniej na powiększenie summy jego; w ostatnim bowiem wypadku summa nieprzyjemności się nie zmniejsza, przeciwnie powiększa, w pierwszym zaś przyjemność nie równoważy téj nieprzyjemności, po ustąpieniu której powstała. 4) Każde uczucie nieprzyjemności a przynajmniej największa ich część trwa bez porównania dłużej niż uczucia przyjemności. Ostatnie bowiem, jak wyżej wykazano ¹⁾, polega na zaspokojeniu woli, co równoznaczne jest ze zniesieniem woli, będącój źródłem wszelkiego uczucia, pierwsze zaś to jest uczucie nieprzyjemności trwa tak długo jak i sam akt woli. 5) Nakoniec co się tyczy stosunku, jaki zachodzi między uczuciami przyjemności i nieprzyjemności ze względu na ich natężenie, to w rzadkich tylko wypadkach przyjemność równoważy odpowiednią sobie nieprzyjemność. Uczy nas tego dostatecznie doświadczenie i już *Petrarka* wy-
 rzekł, że tysiąc przyjemności nie wynagrodzi jednego cierpienia. Przytoczonych pięć okoliczności tak znacznie obciążają konto nie-
 szczęścia, że zgóry można wydać wyrok, iż życie nasze nic a przy-
 najmniej nic wiele, warto. Jeśli zaś wielu cieszy się z tego życia, jeśli je cenią, to tylko dlatego, że mało jest obdarzonych tak bystrą pamięcią i wyobraźnią, żeby w chwili doznawania przyjemności mogli dokładnie ocenić smutne i przykre chwile które już przebyli i obliczyć te, które ich jeszcze czekają. Jeszcze jest drugi bardzo ważny po-
 wód, dla którego życie w świetniejszych przedstawia nam się barwach, niż jest w rzeczywistości. Jestto wpływ bezwiednej woli na nasz sąd o życiu. Mówimy że kochamy życie, ale zapominamy przytém,

¹⁾ Cf. *Bibl. Warsz.* r. 1873, zeszyt 3, T. I, str. 396.

że nie kochamy go dla jego wartości, lecz, że w gruncie rzeczy miłość ta jest tylko wynikiem popędu zachowawczego, domagającego się jak każdy akt woli zaspokojenia, wskutek czego trudno wyrobić sobie prawdziwy sąd o tém, ile szczęścia a ile nieszczęścia doznajemy, poddając się temu i innym popędom. Tu leży źródło bardzo wielu naszych iluzji o wartości życia a w pierwszym rzędzie illuzya, że indywiduum w terażniejszym swém życiu może osiągnąć szczęśliwość. Poddawszy bowiem rozbirowi wszystkie kierunki naszego życia, wykazuje się że tylko naukowa i artystyczna praca dostarczyć może więcej przyjemności jak nieprzyjemności; wszakże jeśli zwróci się na to uwagę, jak nieskończenie małej tylko cząstce ludzkości to źródło szczęścia jest otwarte, jak wielu w istocie nie w nauce i nie w sztuce szuka zadowolenia ale w tych korzyściach, które one zapewnić mogą, jak nareszcie i prawdziwym kapłanom nauki i sztuki z dwóch tych kierunków życia ludzkiego tylko po wielu trudach i mokołach tryska promień szczęścia: to przyznać należy, że to szczęście nie może stanowić wcale o wartości życia. Co się zaś tyczy innych źródeł, z których spodziewamy się zaczerpnąć szczęścia w tém życiu, to jedne z nich nie dają żadnego pozytywnego zadowolenia nam, lecz zabezpieczają nas tylko od pewnych dolegliwości, doprowadzają zatem tylko do punktu obojętności w naszym życiu uczucia: takimi są np. młodość, zdrowie, wygody, odpowiednie materyalne uposażenie i t. d.; z innych znów źródeł płynie daleko więcej nieszczęścia niż szczęścia, np. z pożycia małżeńskiego („jedna tylko co najwyżej jest w świecie tym zła żona, żal wszakże że każdy o swój sądzi, że to właśnie ona“; mówi *Lessing*), z posiadania dzieci, litości, żądzy panowania i t. d.; dalej znów są takie sprawy życiowe, które zgoła tylko przykrości nam przysparzają, ale które dlatego z własnej inicjatywy na się bierzemy, żeby tym sposobem uniknąć większych nieprzyjemności, i tak: pracujemy żeby nie znosić straszniejszych jeszcze od pracy nudów, wchodzimy w stosunki płciowe, żeby nie znosić tortur celibatu (*χαλεπόν το μη φιλησαι, χαλεπόν δε και φιλησαι*); nakoniec są illuzyjne źródła szczęścia a więc takie, które przy coraz wyższym i coraz bardziej rozszerzającym się wykształceniu umysłowém nareszcie wyschnąć muszą; do tych illuzji szczęścia należą: miłość ¹⁾, próżność, żądza sławy i to co jest identyczne z illuzją — nadzieja. I gdzież więc jest to szczęście, za którym w tém życiu tak namiętnie gonimy? Nigdzie; gdyż z wyjątkiem minimalnej dozy jego w dziedzinie sztuk i nauk wszędzie zagłusza je zielsko nieszczęścia. Ze stanowiska indywidualnej eudämonologii życie nasze gorsze od nieżycia, i kto raz miał dość odwagi śmiało spojrzeć w obrachunek szczęścia i nieszczęścia, ten wnet i z życiem się obrachuje.

Do świadomości tego smutnego rezultatu przychodzi tylko mała stosunkowo liczba indywiduów. Organizmy mniej czułe niż człowiek mniej wprawdzie odczuwają szczęścia niż on, ale zato o tyle

¹⁾ Cf. *Bibl. Warsz.* r. 1873, zosz. 3, T. I, str. 392 i nast.

mniej doznają i dolegliwości, o ile te ostatnie przewyższają szczęście. Za najniezwyklejszych trzeba zatém poczytywać ludzi, mniej niezadowolonymi są zwierzęta wyższych rzędów, niżéj znów od nich na téj drabinie nieszczęścia stoją zwierzęta niższych rzędów; tak schodząc coraz niżej dojdziemy nareszcie do granicy, poza którą ustaje wszelka świadomość a z nią i nieszczęście. Czułość organizacyi nie jest wszakże jedynym czynnikiem potęgującym nieszczęście; jest jeszcze i drugi czynnik i to daleko straszniejszy, a mianowicie: wydoskonalenie świadomości, polegające na wykształceniu umysłu. Ono bowiem pozbawia wszystkich illuzyj, które za obecne nieszczęścia przynajmniej wynagradzają nadzieją lepszej przyszłości, ono niemilosierdną ręką zdiera dobroczynną zastonę z wielu życiowych spraw, ono nareszcie do indywidualnego nieszczęścia dołącza jeszcze i to smutne przeświadczenie, że w tém życiu nigdy o szczęśliwości i mowy być nie może, i że im dalej świat ten się rozwija, tém więcej wzmaga się nieszczęście i tém szersze zatacza koło. To pierwsze stadyum illuzyi jest udziałem wieku młodzieńczego, i każdy z nas przebył je mniej więcej. To stadyum ma wszakże znaczenie nie tylko indywidualne, lecz ogólnie ludzkie: wiadomo bowiem z historii, iż cały świat żydowski i grecko-rzymski szczęśliwość w tém życiu spodziewał się osiągnąć. Peryod ten życia ludzkości wszakże dawno już przebrzmiał. Świat starożytny przeżył się aż do przesytu, i tym sposobem utworzył wrota idei chrześcijańskiej głoszącej znikomość tego świata, i obiecującej ludzkości życie pozaświatowe, życie niebiańskiej szczęśliwości. Tak powstało drugie stadyum illuzyi.

Shczęśliwość, którą nam obiecuje chrześcjanizm, jest w saméj rzeczy tylko illuzją. Idea indywidualnej nieśmiertelności, na której się nauka Chrystusa opiera, nie ma żadnych podstaw naukowych i coraz więcej upada jój kredyt. Indywiduum, jak wykazano, jest tylko zjawiskiem; śmierć przecina jego istnienie i pozostaje tylko *zasada bezwiedna*. A cóż może zyskać *zasada bezwiedna* w życiu pozaświatowém? Nic; nie mając bowiem świadomości i pamięci, nie może téż wynieść żadnej korzyści z przestwóróg, jakie jój świat ten daje. Pozostaje zatém *zasada bezwiedna* w życiu pozaświatowém tém, czém była i przed stworzeniem świata. Co więcéj, życie pozaświatowe jest najzupełniejszą *nirwaną* (Nic). Gdyby bowiem *zasada bezwiedna* zatrzymała wolę, to wraz z nią byłby i czyn, byłoby i realne istnienie a więc znów świat; jeśli zaś *zasada bezwiedna* w życiu pozaświatowém nie może mieć woli, to z tego wynika, że nie może mieć i wyobrażenia, gdyż to ostatnie w stanie bezwiednym nie ma życia samodzielnego ¹⁾, lecz istnieje tylko w połączeniu z wolą. Jedném słowem z *zasady bezwiednej* w życiu pozaświatowém *Nic* nie pozostaje. Tak więc ani ze stanowiska indywidualnego, ani ze stanowiska zasady wszech rzeczy w życiu pozaświatowém szczęśliwości spodziewać się nie można; „i niezadługo, mówi *Hartmann* (Ph. d. U.

¹⁾ Cf. Bibl. Warsz. r. 1873, zeszyt 3, T. I, str. 399 i nast.

str. 645), chrześcijaństwo będzie tylko cieniem w porównaniu do swęj średniowiecznej potęgi, będzie znów tēm, czēm był w chwili swego powstania—ostatnią pociechą żebraków i nędzarzy“. Wszakże nauka Chrystusa ma albo raczej miała wielkie znaczenie w rozwoju świata, stanowiąc niezbędne przejście od pierwszego stadyum illuzji do trzeciego. Rozczarowanie bowiem, do jakiego doprowadza pierwsze stadyum, nie jest w stanie złamać zupełnie instynktu praktycznego, nie jest w stanie zniweczyć egoizmu, ponieważ pozostawia mu jeszcze *jedną* egoistyczną nadzieję osiągnięcia indywidualnej szczęśliwości w życiu pozaświatowém. Dopiero gdy i ta nadzieja runie, gdy tym sposobem wszystkie drogi zostaną odcięte, na których instynkt praktyczny szukał swego zaspokojenia, dopiero wtedy ustaną i zachcianki indywidualnego szczęścia; indywiduum dojdzie do zaparcia się siebie samego, pozna i uczy się że w istocie jest tylko znikomą częścią wszechświata, że ma zatem obowiązek wypełnić swe zadanie w tym świecie, aby przyspieszyć jego rozwój i tym sposobem zgotować szczęście już nie dla siebie ale dla przyszłych pokoleń. Ta nadzieja znalezienia szczęścia w przyszłości świata jest trzeciem stadyum illuzji. W stadyum ta ludzkość już weszła. Pracujemy powiększyć części już nie dla szczęścia indywidualnego tu na ziemi, nie dla życia pozaświatowego ale dla przyszłych pokoleń. Egoizm jest złamany; zaczyna się ustalać świadomość, że wszyscy jesteśmy częścią jednęj wielkiej całości, że zatem co robimy dla tęj całości, robimy i dla siebie; ządto pochodzi ów na nowo w tak wysokim stopniu rozbudzony interes dla życia, owa praca gorączkowa, byle tylko prędzēj a prędzēj stanąć u celu, to jest zgotować szczęście dla przyszłych pokoleń. To nowe stadyum rozwoju świata jest koniecznym wynikiem dwóch pierwszych. Na pierwszy rzut oka zdawaćby się mogło, że przeświadczenie o niemożliwości osiągnięcia indywidualnego szczęścia prowadzić musi do samobójstwa a co najmnij do najzupełniejszego ascetyzmu. Rzeczywiście rzeczby tak się miała, gdyby jednocześnie z rozwianiem się wszystkich naszych illuzji nie wzrastała i świadomość, że nasze „Ja“ nie jest niczēm istotnēm, że rzeczywistym subjektem, odczuwającym naszą indywidualną nędzę, jest *zasada bezwiedna*, że jęj zatem indywiduum przez samobójstwo szczęścia nie przysporzy, że przeciwnie rozwój jęj i osiągnięcie celu do którego dąży, tylko przez to opóźni; każde bowiem indywiduum, stanowiąc część wszechświata, ma w nim pewne stałe zadania do wypełnienia, a więc przedczesne usunięcie się jęgo z tego świata zmusiłoby niepotrzebnie *zasadę bezwiedną*, do zastąpienia go przez inne nowe indywiduum. Nie *samobójstwo* zatem, ale *oddanie się zupełnie temu życiu* może być jedynęm wyjściem z tego stanu rozpaczny, do któręj pierwsze i drugie stadyum illuzji musi koniecznie doprowadzić indywiduum. A jakiz koniec czeka ludzkość w tēm trzeciem stadyum jęj rozwoju? Nie lepszy od tego, któręgo się indywiduum doczekało w pierwszym i drugim—ruina i tęj ostatniej nadziei osiągnięcia szczęśliwości! Nie potrzeba się długo rozwodzić, żeby tego dowieść.

Dosyć przypomnieć sobie wyżej przytoczone warunki, à priori zwiększające nieszczęście i ograniczające szczęście. Warunki te, jakto już wzmiankowano, z postępem czasu bynajmniej nie ustępują, leżą one bowiem w naturze uczucia przyjemności i nieprzyjemności, bilans zatem szczęścia i nieszczęścia w przyszłości nie może się zmienić na korzyść pierwszego; przeciwnie im dalej się świat rozwija, tém bardziej musi wzrastać się i nieszczęście, gdyż tém bardziej wydoskonala i rozszerza się świadomość, wskutek czego coraz więcej i w coraz większym zakresie giną iluzye, a nadto coraz większa liczba indywidualów dochodzi do poznania nędzy tego istnienia. „Z dziecinną naiwnością, mówi *Hartmann* (Ph. d. U. str. 661), wnosi *Rousseau* z okoliczności coraz bardziej wzrastającego nieszczęścia, że ludzkość powinna wrócić do wieku swego niemowlęstwa. Jakby i w wieku niemowlęstwa ludzkości nie było nędzy! Nie, jeśli mamy wracać, to dalej coraz dalej aż do czasu przed stworzeniem świata! Ależ to nie leży w naszej mocy; musimy iść *naprzód*, choćbyśmy i nie chcieli. Ale nie złoty wiek czeka nas lecz żelazny a marzenia o złotym wieku przyszłości są jeszcze bardziej błahe niż o złotym wieku przeszłości. Jak ciężar témbardziej przygniata podróżnego, im dłużej go dzwiga, tak i męczarnie ludzkości i świadomość własnej nędzy rośnie i rośnie, póki siły do ich zniesienia wystarczą“. Tym sposobem ludzkość podobnie jak każde pojedyncze indywidualum, znosząc coraz dłużej brzemień życia, wejdzie nareszcie w wiek starości, pozbawiony wszelkich iluzyj i nadziei osiągnięcia *pozytywnej* szczęśliwości. Jak *indywiduum*, przebywszy pierwsze i drugie stadyum iluzyi, tęskni już nie za szczęściem lecz za spokojem, tak wskutek rozwoju świata *cała ludzkość* zatęskni nareszcie za ową chwilą, gdzie jej nie dolegać nie będzie a więc za owym stanem zupełnej próżni za *nirwaną*, gdzie *nie* nie ma i *nie* nie będzie!

Przyrzeczenie zatem, że szczęśliwość jest celem, do którego *zasada bezwiedna* w rozwoju świata dąży, okazało się fałszywem. Nigdy bowiem cel ten osiągnięty być nie może. Sprzeczném zaś jest z wszechmądrością *zasady bezwiednej*, żeby dążyła do tego, co się nigdy osiągnąć nie da. Cóż więc jest celem rozwoju tego świata? Oczywiście tylko to, co w istocie przez rozwój ten coraz więcej się wydoskonala, a więc *świadomość*. Jeśli bowiem zwrócimy uwagę na rozwój fizyczny tego świata jak i na jego rozwój duchowy, to wszędzie dostrzeżemy widoczny postęp tylko w dziedzinie świadomości lub postęp tych stron fizycznej organizacji, które są niezbędnym warunkiem stworzenia i wydoskonalenia świadomości. Wszakże niepodobna przypuścić, żeby świadomość miała być celem rozwoju świata. Cóż bowiem za wartość może mieć dla *zasady bezwiednej* odzwierciedlenie tego świata to podwojenie jego, zwłaszcza kiedy, jak wykazano, świat ten jest tylko nędzą i nieszczęściem? Stworzenie więc i wydoskonalenie świadomości może zatem być tylko *środkiem* dla innego wyższego celu. Celem zaś takim, któryby miał absolutną wartość dla istoty świata, to jest takim, dla wytłumaczenia którego nie potrzeba-

by przypuszczać znów wyższego celu, może być tylko szczęśliwość. Jeśli zaś szczęśliwości pozytywnej osiągnąć nie można, jeśli najwyższy jój stopień może być tylko najzupełniejsza nieczułość, przeto należy przyjąć, że *zasada bezwiedna* posiłkuje się właśnie *świadomością*, w celu wywołania tego stanu zupełnej *nicości* a więc w celu *zniweczenia* tego, co jest źródłem wszelkiego realnego istnienia, to jest *woli*. Cel ten świadomości nie jest bynajmniej przypadkowy; przeciwnie wynika on z natury świadomości. Wykazało się bowiem przedtém, że świadomość jest oswobodzeniem się wyobrażenia (pierwiastku rozumowego) od więzów woli, i że tylko w skutek opozycyi woli istnieć może ¹⁾; w samym więc zarodku świadomości przygotowaną jest walka dwu tych pierwiastków: *rozumnego* (wyobrażenia) i *bezrozumnego* (woli). Dalej wykazało się przez rozbiór illuzyi szczęścia, że im więcej się rozwija świadomość, tém więcej pozbawia wolą wpływu na żądzę istnienia, aż nareszcie doprowadza ją do *niechcenia* bytu a więc do zniweczenia tego świata. Jednym słowem, celem rozwoju tego świata jest zmusić *wolę* do tego, żeby sama się zniósła. Ponieważ zaś wola jakotako sama przez się skutecznie tego nie może, przeto *zasada bezwiedna*, przez wyswobodzenie wyobrażenia z jój więzów czyli przez stworzenie świadomości, nadaje ślepej woli taką treść, iż ona własną działalność przeciwko samej sobie zwraca, i tém sposobem dochodzi do stanu zupełnej nieczynności, obracając tém samym wszelkie realne istnienie w nicość. Walka ta świadomości z wolą nie może być wieczną, gdyż w takim razie przypuścićby należało, że i rozwój świata trwa bez końca. Przypuszczenie to jest wszakże z tego względu niemożliwe, że szereg zjawisk w którym nie przyczynowość lecz celowość absolutnie panuje, musi być skończony. Kiedy i jakim sposobem to zbawienie świata nastąpi, odpowiedzieć obecnie niepodobna. W każdym razie nie przedźję, aż kiedy rozwój jego dojdzie do tego stopnia, że istoty, w istnieniu których większa część woli *zasady bezwiednej* się skupia, *jednocześnie* zachce nie istnieć i tym sposobem wola ich i ten ostatek woli zniesie, który jest podstawą istnienia pozostałej reszty świata. Kto dopełni tego wielkiego czynu czy ród ludzki czy też jakie inne wyższe istoty, tego wiedzieć niepodobna. Widoczném jest wszakże, że ascetyzm i samobójstwo pojedynczych indywiduów niczém do osiągnięcia wyżej określonego celu świata przyłożyć się nie mogą, albowiem zamiast przyspieszyć mogą opóźnić tylko jego rozwój. Przeciwnie zupełne *oddanie się życiu* jest jedynym środkiem prędszego wybawienia się od mąk tego świata. Tak *pessimizm* łączy się nieodzownie z *optymizmem*.

¹⁾ Cf. Bibl. WRAZ, r. 1873, zeszyt 3, T. I. str. 400.

W powyższem przedstawiliśmy całą treść i cały rozwój myśli filozofii zasady bezwiednej; wypada nam tylko dla zakończenia tój pracy wypowiedzieć kilka uwag krytycznych, w celu oznaczenia w jakim stosunku nowa ta filozofia pozostaje do innych, na czem jój oryginalność polega i jaka jest jój doniosłość naukowa.

Zasadnicza myśl Filozofii zasady bezwiednej jest następująca: wszystko jest tylko pewnym objawem *jednego* pierwiastku; pierwiastek ten jest jednocześnie bezwiedną wolą i bezwiednem wyobrażeniem; pierwsza jest źródłem *realnego istnienia* tego świata, drugie zaś źródłem—jego *treści*; gdyby ostateczna zasada wszechbytu była tylko wyobrażeniem, to świat ten mógłby być tylko idealną myślą bez rzeczywistości, i naodwrot: świat ten byłby tylko gołą rzeczywistością bez żadnej treści, gdyby jego ostateczna zasada była tylko wolą. Wyobrażenie jest rozumnym *logicznym* pierwiastkiem świata, wola zaś pierwiastkiem *alogicznym*; wola chce istnienia rzeczywistego, wyobrażenie je potępia. Ponieważ wszakże wyobrażenie w stanie bezwiedności nie ma władzy nad rzeczywistością, i, znajdując się w zupełnej zależności od woli, tylko taką treść wytwarza, jakiej się to ostatnie domaga, przeto *zasada bezwiedna*, zapomocą stworzenia świadomości, wyswabadza wyobrażenie z więzów woli i tym sposobem zyskuje możność nadania woli takiej treści, jakiej wymaga wyobrażenie to jest zaniechania realnego istnienia. Cały świat w swym rozwoju niczém inném nie jest jak tylko stopniowém przygotowaniem coraz wyższych środków, dla osiągnięcia tego ostatecznego celu. Rozwój więc świata nie jest przypadkowy, nie odbywa się wskutek jakiegoś pierwotnego uderzenia działającego w swych skutkach *a tergo*; przeciwnie, rozwój ten kieruje się stosownie do celu, *a priori* wytkniętego przez *zasadę bezwiedną*, jest zatem we wszystkich swych momentach najzupełniej celowym a więc *logicznym*. Ztąd wynika, że *celowość*, *przyczynowość* i *logiczna konieczność* są tylko różnemi stronami jednego i tego samego procesu.

Z powyższego widać, iż filozofia *Hartmann'a* w zasadzie swój jest połączeniem filozofii *Hegla* i *Schopenhauera*. *Hegel* utrzymywał, że świat jest produktem logicznego rozwoju absolutnej idei; *Schopenhauer* przeciwnie, widział w świecie objaw nierozumnej woli. Ztąd w mniemaniu pierwszego wszystko było najzupełniej rozumnym, a więc i absolutnie doskonałym, gdy tymczasem w mniemaniu drugiego wszystko było nierozumnym, pozbawioném wszelkiej wewnętrznej wartości a ztąd i świat rzeczywisty najgorszy ze wszystkich możliwych światów. Filozofia *Schopenhauera* była zatem z jednej strony, jakby się *Hegel* wyraził, przeciwstawnością jego własnej filozofii, z drugiej zaś stanowiła jój dopełnienie; *Hegel* bowiem chciał cały świat wyprąść z logicznej myśli, zapominając, że logiczne kategorie nie mają żadnej władzy nad rzeczywistością; *Schopenhauer* zaś, przyznawszy rzeczywistości byt niezależny od myśli, wyrugował z niej zupełnie pierwiastek rozumowy. Tym sposobem popadli obaj w dwie

najzupełniej z sobą sprzeczne ostateczności: każdy z nich przyjął to za podstawę swego poglądu i za zasadę wszechrzeczy, co drugi odrzucił. Tymczasem prawda jak zwykle tak i w tym wypadku leżała w środku. Rzeczywistość nie wyczerpuje się w logicznych kategoriach, i rozwój jój nie jest rozwojem logicznej myśli; ale z drugiej strony w rzeczywistości téj panuje rozumowy porządek, a rozwojem jój rządzą rozumowe prawa. Błąd popełniony przez *Hegla* rychło został dostrzeżony, starano się téż go naprawić. Zdawałoby się, iż najłatwiej można było to osiągnąć, przez organiczne połączenie systemu *Hegla* z systemem *Schopenhauera*. Tymczasem filozofia *Schopenhauera* nie znalazła jakoś łaski w oczach filozofów z rzemiosła i nie zadano sobie trudu rozważania, o ile zasada jój uprawniona jest w porównaniu z zasadą filozofii *Hegla*. Dopiero bardzo niedawno zajęto się filozofią *Schopenhauera* i to nam tłumaczy, dlaczego połączenie dwu tych nawzajem dopełniających się systemów, teraz dopiero uskutecznione zostało, chociaż w gruncie rzeczy cały ruch filozoficzny w Niemczech od czasów *Hegla* i *Schopenhauera* aż do dziś był skierowany ku pojednaniu zasadniczych myśli obu tych mistrzów. Wszystkie bowiem filozoficzne poglądy, które w najnowszych czasach wystąpiły do walki z *absolutnym idealizmem*, w zasadzie swój chciały jedynie podobnie jak *Schopenhauer* uratować byt realny, rzeczywistość, które bez śladu utonęły w logicznych kategoriach systemu *Hegla*. Takie to dążenie wywołało z jednej strony obstawanie za wyłączną empiryą, jako jedyną prawdziwą drogą poznania i za materią, w której cała rzeczywistość skupić się miała, z drugiej zaś, takie przekształcenie systemu *Hegla*, żeby i w nim można było ocalić samodzielność realnego bytu. Pierwszy kierunek opozycji przeciwko *Heglowi* zrodził *materyalizm*, drugi *idealny realizm*. Materyalizm, odrzucając logiczną dedukcyę z jednej zasady i przyjmując empiryą za jedyną drogę do prawdy, już z zasady swój nie mógł stworzyć zamkniętego w sobie systemu. Idealny realizm zaś pierwotnie zbliżony do systemu *Hegla* przez przyjęcie jego metody dyalektycznej ¹⁾, przekonawszy się o niemożności pogodzenia téj metody z zasadą przyznającą niezależność bytu realnego od logicznej myśli, tracił również coraz bardziej formę skończonego systemu. Tymczasem nauki empiryczne, zaprowadziwszy w swym zakresie jak najbardziej szczegółowy rozdział pracy, coraz więcej bogaciły wiedzę ludzką. Za ich przykładem poszła i filozofia. Zaprzestano uganiać się za systemami, a zajęto się natomiast specjalizowaniem zadań filozoficznych. Na drodze téj i filozofia osiągnęła niezaprzeczone korzyści ale za to zapomniała o bardzo ważnym zadaniu: zorientować umysł ludzki wśród téj masy oddzielnych wiadomości i dać mu konsekwentny i skończony pogląd na świat. Filozofia zasady bezwiednej stara się uczynić zadość téj

¹⁾ Cf. *J. H. Fichte: Grundrugesz. Syst. d. Phil. 1836—1847.*

potrzebie i to w takiej formie i na takich podstawach, jakich społeczne pojęcia wymagają. Daje ona skończony i zamknięty w sobie pogląd na świat ale nie obleka go w zdyskredytowaną formę systemu; opiera swój pogląd na *jednej zasadzie*, gdyż to jest pierwszym warunkiem jego jednolitości, ale zasadzie tej przypisuje takie własności, że z niej i rozumowy porządek świata i niezależność realnego bytu od logicznej myśli wypływa, wciąga w swój zakres wszystkie zdobycze nauk empirycznych, wszakże nie pozwala się im rozstrzelić na wszystkie strony, ale układa z nich szeroki fundament, na którym się wznosi tron nieograniczonej władczyni świata: *zasady bezwiednej*. Tym sposobem filozofia zasady bezwiednej jedną nogą stoi w świecie wielkich filozoficznych systemów, które się rozwinęły z krytycyzmu *Kanta*, drugą zaś opiera na dzisiejszych poglądach i dzisiejszej wiedzy. Gdy bowiem z jednej strony zamyka peryod *jednostronnej* filozofii pokantowskiej, godząc dwa wprost z sobą sprzeczne lecz razem i dopełniające się systemy: *Hegla* i *Schopenhauera*, na których rozwój jęj na chwilę się zatrzymał, to z drugiej znów pojednania tego stara się dokonać przy pomocy całego zasobu dzisiejszej nauki i w zgodzie z jęj zasadniczymi poglądami. Na takim to właśnie stosunku filozofii zasady bezwiednej do jęj poprzedniczek i do współczesnej wiedzy polega jęj znaczenie i jęj popularność. Ale jakaż jest naukowa doniosłość tej filozofii; czyż udało jęj się w rzeczysamęj pogodzić tyle sprzecznych poglądów na podstawie jednej zasady, i jest-li ta zasada owym czarodziejskim talizmanem, któryby nam nareszcie odślonił tajniki bytu, za poznaniem których ludzkość tak długo nadaremnie się uganiała?

Hartmann operuje w swojej filozofii *trzema* zasadniczymi pojęciami a mianowicie: *bezwiednem wyobrażeniem*, *bezwiedną wolą* i *zasadą bezwiedną*. Trzy te pojęcia stanowią podwalinę całej jego filozofii. Zastanówmy się więc nad znaczeniem i zastosowaniem tych pojęć.

Pojęcie *bezwiednego wyobrażenia* ma w filozofii zasady bezwiednej dwojakie znaczenie: 1) absolutnej intelligencji jako atrybutu ostatecznej zasady wszechrzeczy i 2) owęj nam nieznanęj natury każdejj rzeczy, którejj się poza objawami takowęj domyślamy. „Rzecz sama w sobie“ (das Ding an sich) *Kanta*, którą w najnowszych czasach filozofia nieco zaniedbała, stała się w filozofii zasady bezwiednej na nowo przedmiotem badania i niepodobna zaprzeczyć, że pomysł *Hartmanna* dotarcia do nięj zapomocą metody induktywnej i nazwania jęj wyobrażeniem, był bardzo szczęśliwy; tym sposobem bowiem wywody swe oparł on na gruncie *faktycznym* i „rzecz samą w sobie“ napełnił taką treścią, iż stała się nam więcj zrozumiałą niż w owęj formie, w jakiej występowała u jednostronnych idealistów, u *Herbarta* a nawet i u materyalistów. „Absolutna idea“, bowiem, „realnostka“, „duch“, „materya“ są to pojęcia zupełnie abstrakcyjne, oznaczające jedynie *formę* istnienia rzeczy, ale nie stanowiące nic o jęj treści jęj życiu;

„rzecz sama w sobie“ przez takie orzeczenia nie wychodziła nigdy po za sferę ogólnych metafizycznych kategorii i w gruncie rzeczy pozostała tém samém mysterium jakim była i dla *Kanta*. „Rzecz zaś sama w sobie“, która jest wyobrażeniem, przedewszystkiem nie jest już tylko abstrakcyjną myślą ale bytem realnym, żyjącym bogatą treścią; a nadto byt jój jest tego rodzaju, że jest dla nas zupełnie zrozumiałym i jasnym, gdyż na każdym kroku *wewnętrznego* doświadczenia napotykamy wyobrażenie. Oprócz téj korzyści osiąga *Hartmann*, przez swe orzeczenie „rzeczy samój w sobie“, jeszcze drugą równie ważną jak i pierwszą a mianowicie, że świat zjawisk stoi w najściślejszym związku ze swém utajoném źródłem, że między istotą rzeczy i jój zjawiskiem nie ma różnicy, któraby odnosiła się do ich *treści* lecz jedynie do *formy* ich istnienia. Istota rzeczy jest bowiem, podług teorii *Hartmanna*, zupełnie tém samém co i jój zjawisko tylko, że to, co jój treść stanowi, nie istnieje realnie lecz idealnie w formie wyobrażenia; i na odwrót: zjawisko nie jest niczém inném jak tylko swą istotą, która ze sfery bytu idealnego, wyobrażenia, przeszła w byt realny. Tym sposobem, mimo rozróżnienia istoty zjawiska, świat nie rozpada się w *Fil. zas. bezw.*, jak to ma miejsce u *Kanta*, na dwie najzupełniej różne połowy, rozdzielone między sobą nieprzebytą przepaścią. Widzimy z tego, jak ważne konsekwencye dla poznania płyną z poglądu *Hartmanna* na zasadę wszechrzeczy albo raczej, jak ważne konsekwencye płynęłyby, gdyby pogład ten można przyjąć bezwarunkowo. Wszakże na nieszczęście wszystkie te dobre strony *Fil. zas. bezw.*, okazują się po bliższém rozpatrzeniu pojęcia „wyobrażenia bezwiednego“ najzupełniejszą illuzją. *Hartmann* bowiem nazywa „rzecz samą w sobie“ wyobrażeniem ale tylko—*nazywa*. Pojęcie to zasadnicze, mające nam wyjaśnić to, co po za zjawiskami się ukrywa, przez odjęcie mu najważniejszej jego cechy — *świadomości*, traci najzupełniej swą wartość dla poznania metafizycznego to jest takiego, które się odnosi do poza zjawiskowej strony świata. „Wyobrażenie bezwiedne“ bowiem nie jest bynajmniej tym stanem, tą czynnością duchową, która nam jest znana z wewnętrznego doświadczenia lecz *abstrakcją*, pojęciem pomocniczém, które dotychczas bardzo szczęśliwe znajduje zastosowanie w psychologii, gdyż oznacza w niej pewną *realną* siłę ale, przeniesione na grunt metafizyki, musi bezwarunkowo przemienić się w ogólną metafizyczną kategorię, której „rzecz sama w sobie“ *Kanta* w niczém a niczém nie ustępuje. I w rzeczy samój, ponieważ „bezwiedne wyobrażenie“ *Hartmanna* jako metafizyczna zasada oznacza rzecz przed jój urzeczywistnieniem, przeto niczém inném nie jest, jak starą arystotelesowską kategorią *możliwości*. „Wyobrażenie bezwiedne“ w gruncie rzeczy wprowadza napowrót do filozofii zastarzałe pojęcie istnienia *in potentia* z tą tylko modyfikacją, że nie ma bytu samodzielnego lecz, że istnieje przez wolę. Ostatecznie zatem przez pojęcie „wyobrażenia bezwiednego“ nie mamy prawa nie innego rozumieć jak tylko ową dla nas nieznaną naturę każdój rzeczy,

sprawiającą, że ona tak a nie inaczej nam się przedstawia; co na to samo wychodzi, jak gdybyśmy nic o metafizycznej przyczynie świata zjawisk nie wiedzieli.

Pojmuje to *Hartmann* bardzo dobrze, że wyobrażenie samo nie może być źródłem rzeczywistości i dlatego oprócz wyobrażenia przyjmuje nadto wolę jako czynnik urzeczywistniający idealną treść pierwszego. Rzecz to najzupełniej konsekwentna; jeśli bowiem metafizyczna treść rzeczy zawarta jest w wyobrażeniu, to czynnikiem, nadającym realny byt takiej, może być tylko wola i to „bezwiedna wola“, albowiem i wyobrażenie jest bezwiedne.

Z tego wszakże, cośmy o znaczeniu pojęcia „bezwiednego wyobrażenia“ powiedzieli, już z góry wynika, że i owa „bezwiedna wola“ może w filozofii *Hartmanna* grać rolę tylko ogólnej metafizycznej kategorii a mianowicie téj, która oznacza kryjący się poza zjawiskami i urzeczywistniający je czynnik, a tém jest—*siła*. I w rzeczy samej bezwiedna wola, to jest taka, o której działający subjekt nic nie wie, która w ogóle bez inicjatywy ze strony subjektu jest czynną, nie jest wolą lecz siłą. Jeśli zaś do tego dodamy i to jeszcze, że ta „bezwiedna wola“ podług teorii *Hartmanna* treść swą to jest sposób i kierunek swego działania otrzymuje od wyobrażenia, sama zaś jest tylko ogólną formą dążenia, to zasadniczy ten czynnik nie mamy nawet prawa uważać za pewną *realną* siłę, ale tylko za zupełnie *abstrakcyjne* pojęcie, które, samo nie mając żadnego realnego bytu, tém mniej jeszcze może być źródłem wszelkiej rzeczywistości. *Hartmann* utrzymuje, że pojęcie siły ma zakres ciaśniejszy aniżeli pojęcie woli, że zatem gdzie chodzi o zasadnicze pierwiastki wszechbytu, tam słuszniej jest stosować pojęcie woli niż pojęcie siły, tém bardziej, że wola jest dla nas daleko jaśniejszą niż siła (Cf. Ph. d. U. str. 444). Na pogląd ten żadną miarą zgodzić się nie można. Wola w zwykłym rozumieniu oznacza zawsze tylko pewien rodzaj siły, jest zatem pojęciem stojącym względem ostatniej w stosunku podrzędności. Prawda, że wola jest dla nas bardziej zrozumiałą niż siła, jak w ogóle wszystkie wyobrażenia, które nam dostarcza wewnętrzne doświadczenie, są dla nas jaśniejsze niż abstrakcja, ale to nas nie może upoważniać, abyśmy na miejsce *ogólnej metafizycznej kategorii* siły stawiali *wyobrażenie woli*. Zresztą korzyści, jakie dla metafizycznego poznania mogą płynąć z zastosowania pojęcia woli do zasady wszechrzeczy, przez oparcie poznania tego na wyobrażeniu znanym nam z bezpośredniego wewnętrznego doświadczenia, *Hartmann* sam niweczy, utrzymując, że wola zawsze jest bezwiedną i że nie może być bezpośrednim przedmiotem świadomości, gdyż jest pojęciem rekonstruowanym dopiero na podstawie pojęcia przyczyny ¹⁾.

¹⁾ Cf. Bibl. Warsz. r. 1873, zeszyt 3, T. I. str. 398.

Tak więc ani „bezwiedne wyobrażenie“ ani „bezwiedna wola“ nie wzbogacają wcale naszej metafizycznej wiedzy, gdyż będąc w gruncie rzeczy tylko znacznymi już oddawna pojęciami możliwości i siły, nie są w stanie rzucić nowego światła na kwestye metafizyczne. Podobnie rzecz się ma i z „zasadą bezwiedną“.

Pojęcie to, któremu filozofia *Hartmana* przypisuje znaczenie subiekty „wyobrażenia bezwiednego“ i „woli bezwiednej“ dziwną gra rolę w jego filozofii. *Pomijamy* już te sprzeczności, że ta ostateczna zasada wszechbytu mimo swój bezwiedności ma być wszechwiedną, i że mimo swój wszechmocy wszędzie musi walczyć ze swymi własnymi produktami i często nawet z walki tej nie wychodzi zwycięzko, pomijamy nareszcie i to, że tej absolutnie *bezwiednej zasadzie Hartmann* przypisuje pozaświatową (vorweltliche) świadomość (Ph. d. U. str. 706), ale nie możemy przemilczeć tej bardzo ważnej okoliczności, że *zasada bezwiedna* jest w filozofii *Hartmanna* najzupełniej zbyteczną hipotezą. We wszystkich swych wywodach bowiem dochodzi *Hartmann* tylko do „bezwiednego wyobrażenia“ i „bezwiednej woli“ i nigdzie nie zjawia się potrzeba połączenia dwu tych czynników w jeden. Chociaż bowiem wszystko jest produktem „bezwiednego wyobrażenia“ i „bezwiednej woli“, z tém wszystkiém nigdzie dopatrzeć się nie można, żeby dwa te czynniki były tylko dwoma atrybutami jednego iudywiduum. Przeciwnie, „bezwiedne wyobrażenie“ i „bezwiedna wola“ działają wszędzie jako dwie odrębne siły i to z dążnościami tak sprzecznymi, że cały rozwój świata według poglądu *Hartmanna* jest tylko ciągłą ich walką, w której nareszcie „bezwiedna wola“ ma być pokonaną. Z chwilą zaś gdy „bezwiedne wyobrażenie“ zmusi „bezwiedną wolę“ do zanegowania samej siebie, zniknie téż wszelka rzeczywistość. Jedném słowem i powstanie i rozwój i nareszcie zniweczenie świata jest dziełem tylko „bezwiednego wyobrażenia“ i „bezwiednej woli. Wprawdzie utrzymuje *Hartmann*, że wyobrażenie tylko w stanie świadomości ma być samodzielny ¹⁾, gdy tymczasem w dziedzinie bezwiednej zależy od *zasady bezwiednej* i od celu do którego ona dąży (zniesienie woli), tak iż w sferze tej niema innych wyobrażeń jak tylko te, któremi *zasada bezwiedna* napenia „bezwiedną wolę“, z tém wszystkiém teoria ta ani nie znosi dualizmu, ani téż nie ocala *zasady bezwiednej*. Piérwotny bowiem dualizm wyobrażenia i woli wraca tu tylko w zmienionej formie; zamiast „bezwiednego wyobrażenia“ staje do walki z „bezwiedną wolą“ *bezwiedna zasada*, która w takim stanie rzeczy niczém inném być nie może jak znowu tylko „bezwiednym wyobrażeniem.“ Walka bowiem nie może się odbywać między substancją i jego atrybutem, lecz tylko między dwiema niezależnymi od siebie substancjami, tak że działanie *bezwiednej zasady* nie może być zarazem „bezwiedną wolą“ i „bezwiednym wyobra-

¹⁾ Cf. Bibl. Warsz. r. 1873, zeszyt 3, T. I, str. 399.

zeniem“ lecz *wyłącznie* tylko tém ostatniém. Ztąd wypada, że *bezwiedna zasada* i „bezwiedne wyobrażenie“ są pojęciami identycznymi i hipoteza *bezwiednej zasady* najzupełniej zbyteczną.

Jeżeli jednak *Hartmann* mimo to „bezwiednemu wyobrażeniu“ i „bezwiednej woli“ przypisuje znaczenie tylko *atrybutów* jednego indywiduum, to czyni to jedynie w chęci uniknięcia sprzeczności, w jakie każdy dualistyczny pogląd bezwarunkowo popaść musi. Cóż wszakże tym sposobem osiąga? oto: popiérwsze popada w sprzeczność z całą swą filozofią, która w gruncie rzeczy jest najzupełniejszym dualizmem opartym na dwóch wprost sprzecznych pierwiastkach, walczących z sobą jak *Ariman* i *Ormuzd* o przewagę; powtóre zaś dochodzi do monstrualnej prawdziwie hipotezy, że ostateczną zasadę wszechbytu rozdierają dwa zawzięte na siebie żywyły. Gdybyśmy więc nawet i zgodzili się na to, że filozofia *Hartmanna* nie jest dualistyczną, że „bezwiedna wola“ i „bezwiedne wyobrażenie“ są atrybutami jednej substancji a nie odrębnymi substancjami, gdyż w takim razie wzajemne ich oddziaływanie na siebie byłoby niemożliwe (Ph. d. U. str. 713), tobyśmy albo musieli znieść antagonizm, jaki podług *Hartmanna* między tymi dwoma atrybutami ostatecznej zasady wszech bytu istnieje, albo téż uznać pojęcie *zasady bezwiednej* za sprzeczne samo w sobie. Tylko zatem kosztem całej swój filozofii może *Hartmann* wydobyć się z dualizmu w który się zaplątał.

Trzy tylko co rozebrane pojęcia: „bezwiednego wyobrażenia, bezwiednej woli i bezwiednej zasady“ są zasadniczemi w Filozofii *zasady bezwiednej*; moglibyśmy zatem na analizie tych pojęć zakończyć jej krytykę. Wszakże z całą rozstrząsaną powyżej teorią *Hartmanna* pojęcie *celowości* stoi w tak ścisłym związku, że nie wolno krytyce pominąć téj strony Filozofii *zasady bezwiednej*. Pojęcie celu, które kiedyś w nauce t. j. w teoretycznym rozważaniu rzeczy miało wielkie znaczenie, musiało w kolei czasu coraz więcej ustępować pojęciu przyznanemu, tak iż nareszcie badania teoretyczne zwrócone zostały ku odszukaniu związku przyczynowego między rzeczami a nie jak przedtém związku celowego. Tylko nauki, badające naturę organiczną odwołują się jeszcze kiedy niekiedy do pojęcia celu jako zasady poznania, chociaż i w tym państwie celowość traci widocznie swe powszechne znaczenie. *Hartmann* podniósł na nowo pojęcie celu do godności ogólniej zasady poznania i otoczył je taką glorią, że cała jego Filozofia *zasady bezwiednej* jest tylko wielką już nie apologią, ale apoteozą celowości. Przyznając za zasadę wszechrzeczy wolę i wyobrażenie równoznaczne z absolutnym rozumem, *Hartmann* musiał konsekwentnie przyjąć i powszechne panowanie *rozumnego celu* w świecie. Ponieważ zaś rozumny ten cel nie jest jeszcze urzeczywistniony, przeto przyjmuje *Hartmann*, że świat od pierwszych chwil swego istnienia wciąż do owego celu dąży, coraz więcej się do niego zbliżając. Każdy zatem moment w tym rozwoju świata jest środkiem ku osiągnięciu ostatecznego celu, ale i każda już urzeczywistniona konstelacya tego świata jest znów ze

swój strony celem, do którego poprzednia dążyła, gdyż tylko przez takie stopniowe urzeczywistnianie pośrednich celów może być osiągnięty cel ostateczny. Będąc tedy przekonany, że w świecie panuje powszechna celowość i przyjąwszy za metodę swego badania indukcyą, musiał *Hartmann* we wszystkich dziedzinach tego świata wykazać *faktyczne* panowanie celu za pomocą dowodów, wspierających się na konkretnych zjawiskach, t. j. musiał dowieść, że żadna dziedzina tego świata nie da się objaśnić, nie przybiegając do pojęcia celu jako ostatecznej zasady poznania. Nie ulega kwestyi, że gdybyśmy mogli w badaniach naszych oprzeć się na prawie celowości zamiast na prawie przyczynowości, a więc gdybyśmy byli w stanie przez odkrycie celu świata wyprowadzić i związki przyczynowe między rzeczami, poznanie nasze osiągnęłoby swój ideał. Tym sposobem bowiem na mocy znajomości ostatecznego celu świata moglibyśmy wyjaśnić konieczność praw przyczynowych rządzących światem, t. j. moglibyśmy dowieść *dlaczego takie a nie inne prawa rządzą w świecie*; jednem słowem, przez takie poznanie wyrugowalibyśmy wszelką cechę przypadkowości ze świata a to jest ideałem wiedzy. Wszakże dla osiągnięcia takiego ideału wiedzy, należałoby: popierwsze, tak określić ostateczny cel tego świata, iżbyśmy zaraz mogli wywnioskować, jakich to środków wypada użyć, żeby go urzeczywistnić; powtórze, należałoby dowieść, że panowanie tego celu sięga we wszystkie zakątki świata; i nakoniec wypadałoby tylko to przyjąć za ostateczny cel świata, co w skutek swój absolutnej wewnętrznej wartości w świecie, w którym panuje rozumowy porządek, *powinno* być urzeczywistnione: taki jedynie bowiem cel dałby nam rękojmię, że jest rzeczywistym a nie tylko przez nas wymarżonym, a zarazem że jest w samej rzeczy *celem*, do którego wszelka czynność tego świata dąży, a nie *skutkiem* jój. Poznanie nasze trzem tym warunkom, niezbędnym dla urzeczywistnienia wiedzy opartej na powszechniej celowości, a zwłaszcza ostatniemu nigdy zadość uczynić nie zdoła. Nasze stanowisko w świecie stoi temu na zawadzie. Nie stoimy bowiem *poza* światem, lecz *wśród* niego, rozwijamy się z nim razem i stojemy tam, gdzie nas fala rozwoju świata zanosła; ztąd też nie możemy wzrokiem naszym ogarnąć całego rozwoju i dostrzedz jego rzeczywistego kierunku. Nawet gdybyśmy mieli prawo uważać nasze poznanie za zupełnie obiektywne, t. j. za takie, które rzeczywistość zupełnie wiernie odzwierciedla, i w takim razie jeszcze nie moglibyśmy sobie zdać jasno sprawy o celu, do którego świat w swym rozwoju zmierza. Wiedza nasza bowiem ogarnia tak małą tylko częśćkę wszechświata, a nawet i w tych ciasnych granicach tyle w niej braków, że nie mamy dosyć danych, żebyśmy byli w stanie na mocy indukcyi cośkolwiek o ostatecznym celu świata wywnioskować. Wiedza nasza w tym względzie może się obracać tylko w granicach najogólniejszych pojęć a mianowicie tych, które ogólnym wymaganiem naszego rozumu odpowiadają. Kierując się takimi postulatami rozumu, o celu świata, czy to już przez *samo istnienie* świata urzeczywistnionym, czy też do-

piéro przez *rozwój* świata mającym się urzeczywistnić, to tylko powiedzieć jesteśmy w stanie, że takowym może być jedynie absolutne dobro. Dałoby się z łatwością wykazać, że wszystkie poglądy przyjmujące celowość w świecie, w gruncie rzeczy nie innego za ostateczny cel świata nie uważają jak absolutne dobro, chociaż każdy inaczej je określa; nawet i *Hartmann*, ów pesymista w niczem prawie nie ustępujący *Schopenhauerowi*, do tego każe światu w swym rozwoju zmierzać, co podług jego pojęć jest absolutnym dobrem. Rozmaitość, jaka panuje w określeniu absolutnego dobra, najlepiej wskazuje, jak ogólnem jest to pojęcie, i jak najrozmaitsza treść w niem się zmieścić może. A gdzież mamy kryterium dla osądzenia, która z przeróżnych definicyi tego pojęcia wyczerpuje wszystkie jego momenta. Apriory kryterjum takiego nie posiadamy, gdyż w takim razie samo to kryterjum musiało by być ową prawdziwą definicyą absolutnego dobra, o którą właśnie nam chodzi. A tylko apriorystyczne kryterjum, tylko apriorystyczna definicya absolutnego dobra jako ostatecznego celu może być rękonią celowości świata; gdyż choćby nam nawet i udało się wykazać, że w processach tego świata panuje taka powszechna zgoda, że wszystkie nareszcie muszą się złożyć lub też już się składają na urzeczywistnienie pewnego faktu o wysokości wewnętrznej wartości, to jeszcze niemilibyśmy racyi utrzymywać, że światem rządzi prawo celowości; albowiem ów ostateczny rezultat processów odbywających się w świecie może być zarówno ich *celem* jak też tylko ich *skutkiem*. Ze rzeczywiście szeregi processów odbywających się w sposób zupełnie mechaniczny mogą się układać tak zgodnie, iż zdają się być kierowane jednym wspólnym celem, a mimo to rezultat tych processów nie jest *celem*. do którego dążyły, lecz *skutkiem*, o tém przekonywa nas najnowsza fizyologia i teoria *Darwina*. Ale jeśli już nawet zjawiska organiczne nie dadzą się wytłumaczyć z punktu widzenia celowości, przedstawiając wiele stron w swym ustroju najzupełniej bezcelowych, tém mnieję cały obszar wiedzy naszej da się oprzeć na pojęciu celu jako ostatecznej zasadzie poznania. Zamiast bowiem owęj zgody w kierunkach processów mechanicznych świata, spostrzegamy raczej wzajemną ich walkę. Dla tego też wiedza nasza tylko tu i owdzie ma możność oprzeć się na pojęciu celu jako zasadzie poznania, gdy tymczasem bez pojęcia przyczyny nigdzie obejść się nie może. Ztąd też celowości brak tego powszechnego zastosowania, jakie jest udziałem przyczynowości, a z tego powodu nie może ona służyć za ostateczną zasadę poznania. Przeciwnie, z powodu téj tylko wyjątkowej możności swego zastosowania, pojęcie celu stoi wprost sprzeczności z interesami nauki, która nie dopuszcza, nie zna cudów, a cudem właśnie jest taki cel, który tylko tu i owdzie miesza się do porządku świata, żeby rozwój jego według swych wymagań nakierować.

W Filozofii zasady bezwiednej można właściwie rozróżnić dwa cele świata: jeden z nich urzeczywistnia się w świecie, drugi dopiero poza światem; pierwszym jest *świadomość*, wydoskonalenie jęj i roz-

przestrzennienie, drugim—*nic*. Pierwszy, jakkolwiek jest ostatecznym w świecie, w granicach jego, jest przecież ze swój strony znowu tylko środkiem dla osiągnięcia drugiego, pozaświatowego. Nie ulega kwestyi, że świadomość jest takim faktem, do którego wszystkie procesy świata zdają się jak do swego celu zmierzać: świat nieorganiczny jest fundamentem i materiałem dla świata organicznego, a ten znowu w stopniowym swym rozwoju, w którym każdy niższy typ służy interesom wyższego, wytwarza nareszcie najdoskonalsze narzędzie świadomości: mózg ludzki. Mimo to niepodobna nam uważać świadomości za cel rozwoju świata. Po pierwsze, bowiem *powszechnéj* celowości, która jest nieodzowną cechą świata, rządzonego przez jakiś ostateczny cel, *Hartmann* nie wykazał; gdyż pominiąwszy już tę wielość, bezcelowych objawów świata organizowanego, które sam przyznać musiał, świat materii nieorganizowanej rządzi się według jego teorii, *wyłącznie* prawem *przyczynowości*; powtóre zaś, nigdzie *Hartmann* nie dał dowodu na to, że świadomość tylko w tych warunkach jakie ten świat przedstawia, powstać i rozwijać się może i że w innych jest niemożliwą, a taki dowód nawet i w świecie najzupełniej celowym, byłby niezbędnym dla ustalenia przekonania, że świadomość jest w samej rzeczy *celem* a nie *skutkiem* jego procesów mechanicznych. Jak świadomość ma być, według teorii, *Hartmanna*, owym faktem, który nam objaśnia istnienie takiego a nie innego świata, tak znowu ów pozaświatowy cel ma nam objaśnić niezbędnosć świadomości. Celem tym jest zniweczenie całej rzeczywistości, powrócenie do tego co było przed stworzeniem świata, t. j. do pierwotnego stanu nicości. Takie pojęcie ostatecznego celu świata znosi najzupełniej wszelką celowość w świecie, stoi zatem w sprzeczności z całą filozofią *Hartmanna*. Czyż podobna bowiem przypuścić, żeby celem jakiegokolwiek bądź procesu było *nic*? *Nic* jest najzupełniejszą negacją; jeżeli więc *nic* ma być celem rozwoju świata, to możemy przez to tylko to rozumieć, że świat nie ma żadnego celu, że w nim *nic* nie odbywa się celowo.

Tych kilka krytycznych uwag o Filozofii zasady bezwiednej sądzę, że wystarczy dla przekonania czytelnika, iż jéj doniosłość naukowa nie leży w ogólnym poglądzie na świat, o ustalenie którego jéj chodzi. Wielką zato wartość naukową mają badania *Hartmanna* odnoszące się do niektórych konkretnych zjawisk świata, a zwłaszcza jego analiza naszego świadomego życia psychicznego, nad którą wszakże niepodobna było bliżej zastanawiać się w pracy, mającej na celu obznajmić czytelnika z ogólnemi zarysami Filozofii zasady bezwiednej. Sprzeczności jakieśiny wykazali w zasadniczych pojęciach i ogólnym poglądzie téj filozofii, zdają się stać w sprzeczności z jéj popularnością, popularnością tak wielką, iż w chwili, w której pracę tę kończymy, drukuje się piąte wydanie Filozofii zasady bezwiednej. I w samej rzeczy dzieło to nie przez swe ogólne metafizyczne zasady stało się tak pożyteczne ale przez to, że jak wykazano, czyni zadość na nowo rozbudzonej potrzebie ułożenia najnowszych zdobyczy nauki w jednolity pogląd, że wprowadza do filozofii w jak najobszerniejszym zakresie metodę in-

dukcyi i nareszcie, że jest wierném odbiciem dzisiejszego życia, które z jednej strony przesiąknięte jest najzupełniejszym pesymizmem, a z drugiej z taką gwałtownością pulsuje, jakby nie mogło doczekać się przyszłości.

W Niemczech prawie wszystkie czasopisma literackie i znaczna część poświęconych specjalnym umiejętnościom zajmowały i zajmują się jeszcze dotąd rozbiorem Filozofii zasady bezwiednej. I zagranicą Niemiec dzieło to już dawno zwróciło na siebie uwagę uczonych, a zwłaszcza angielskich; ruska literatura posiada również pracę odnoszącą się do tego przedmiotu, a mianowicie bardzo obszerny i gruntowny artykuł profesora Struve, pomieszczony w tegorocznym styczniowym zeszytach gazety „Ruski Wiestnik“ p. t. „Философия безвѣдущаго повѣйшее произведение философскаго пессимизма въ Германіи.“ Odzielne broszury i dzieła więkšej objętości mające za przedmiot krytykę Filozofii zasady bezwiednej, lub téż rozwinięcie zasadniczych jej poglądów są następujące: M. Schneidewin: Ueber die neue „Philosophie des Unbewussten“ 1871. G. Stiebeling: Naturwissenschaft gegen Philosophie. New-York. Philosophie gegen naturwissenschaftliche Ueberhebung von A. T. 1872. I. C. Fischer: Hartmann's Philosophie des Unbewussten. Ein Schmerzensschrei des gesunden Menschenverstandes. 1872. Karl Freicherr du Prel: Der gesunde Menschenverstand von den Problemen der Wissenschaft. 1872. Julius Bahnsen: Zur Philosophie der Geschichte. 1872. Das Unb. von Standpunkt der Physiologie und Descendenztheorie. 1872. I. B. Meyer: Weltelend und Weltschmerz.

Umieszczając powyższy artykuł o systemie Hartmanna, ze względu tak na głośność tego systemu jakoteż trafność w przedstawieniu przez sprawozdawcę jego formalnej strony, Redakcyja uznaje jednak za właściwe objaśnić i dodać: iż założenia i wnioski Hartmanna nie są ani tak stanowcze, ani tak odsakujące od powszechnychznań ludzkości, jak z powyższego przedstawienia możnaby wnosić. Hartmann przez swe *Unbewusste* właściwie rozumie pierwiastek, który jest nieświadomym tylko dla przedmiotu w którym spoczywa, nie zaś któryby był nieświadomością w sobie, i zowie go owszem nieraz *allwissende* i *denkende Unbewusste*, t. j. myślącą i wszechwiedną nieświadomością. Wyraża on istotnie iż to jego *Unbewusste* może odpowiadać Stwórcy chrześcijańskiemu, i że samowiedza nie może być przymiotem Stwórcy; wszakże objaśnia następnie, iż twierdzi to dlatego, iż co innego jest *wszechwiedza* Boża, a co innego refleksyjna samowiedza umyśłów ludzkich. Za cel ostateczny processu świata, Hartmann właściwie poczytuje nie zniknięcie woli, ale zniknięcie żądz. Celem dzisiejszych ludzi „jako pracowników w Winnicy Pańskiej,” jest sądzi: stopniowe umniejszanie tych mąk bytu, na które skazany jest człowiek i przyniesienie kiedyś wieku wybawienia,—a środkiem ku temu jest coraz świetniej i świetniej rozwijany rozum, który zatrzymuje w końcu nad nierozumem ślepych żądz i celo nieświadomości na cele swęj świadomości zamieni. Zasady te mniej może jasne i nieraz dwuznaczne w dziele o którym mowa, rozjaśnione są mianowicie przez inne pisma Hartmanna.

Przyp. Red.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystości narodowe w Szwajcaryi.—Obchód zwycięstwa nad Burgundami, w dniu 3 marca. — Cztery cykle literatury ludowej: 1 Epopea głodu, 2 Cykl Wilhelma Tella; 3 Tryumf nad Karolem Zuchwałym; 4 Ostatnie zapasy ze Szwabami. — Jubileusz Toruński. — Dramat *Copernicus* D-ra Prove. — Dzieło Emila Montaign: *Impressions de Voyage et d'art*. — Opactwo Kluniackie. — Grób Władysława Białego w Dijonie. — Żalnie pani Georges Sand o Napoleonie III. — Prace naukowo-literackie zmarłego Cesarza. — Przedmowa Wiktora Hugo do ostatniego wydania *Marion de Lorme*. — Układy Aleksandra Dumasa z Dyrektorem teatrów berlińskiego i wiedeńskiego, o dramacie *Żona Klaudyusza*. — Konferencya akademika Legouvé na poranku dramatycznym, przy odegraniu sztuki: *Henryk IV na łowach*. — Zmarły członek Akademii Francuzkiej, generał hr. Segur. — *Les sièges Héroïques* przez Paul Foucher.

W chwili kiedy piszemy kronikę naszą, w dniu 3 marca, huk dział nad jeziorem zurichskim nagle wytrącił nam pióro z ręki. Ten huk zapowiadał początek jednej z licznych narodowych uroczystości ludu szwajcarskiego: pamiątkę zwycięstwa nad Karolem Zuchwałym. Pośpieszyliśmy czempnąć na miejsce przedstawienia, aby zobaczyć, jak też dzisiejszy lud szwajcarski pojmuje i uwydatnia chwilę wielkiego tryumfu swych praocjów.

Obszerny to teatr, zajmuje bowiem przestrzeń mili naszej. Nie szczęściem deszcz sparaliżował uroczystość, ale przez to samo tém lepiej zbliżył ją do prawdy historycznej: wiadomo bowiem z kronik, że główna bitwa która złamała Burgundów, bitwa pod Graudson, odbyła się podczas ulewnego deszczu. Niepogoda nie ostudziła zapału i dzisiejszych zapaśników; i Burgundy, i Szwajcarzy i Lotaryngi przedstawiali się dzielnie w malowniczych zbrojach i pióropuszcach XV-go wieku. Jazda zreszcie wykonywała obroty, co nas niepomatu zdziwiło, gdyż Szwajcaryja z samego położenia swego nie jest polem popisu dla kawaleryi. Ztąd też Burgundowie tylko, jako przybysze z płaszczyzu przedstawiali się konno.

Wielki dramat wojenny składał się z trzech aktów, przedstawiających trzy główne zwycięstwa szwajcarsko-lotaryngskie nad Burgundami. Rozpoczęła rzecz bitwa pod Grandson, dalej nastąpił świetny tryumf po nad jeziorem Morat, wreszcie ostateczna klęska Burgundów pod Nancy, zakończona śmiercią Karola Zuchwałego. Owe sceny rycerskie przeplatane były dyalogami głównych bohaterów dramatu.

Patrząc na tę wielką cześć ludu szwajcarskiego dla swój przeszłości historycznej, cześć objawiającą się w najuboższej nawet wiosce, mimowoli nasuwa się pytanie, z kąd pochodzą te skargi na Szwajcarów, że są zimni, pozytywni, ogołoceni z wszelkiego zmysłu poetycznego? Odpowiedź na to łatwa. Turyści pochopni do sążdenia z pozoru, znają w Szwajcaryi głównie hotelistów, korzystających chętnie z ich marnotrawstwa. Nie widzą oni, że nawet ów hotelista, który przyjmuje ich tak pokornie przed progiem swego domu jest częstokroć kapitanem wojsk rzeczypośpolitej, lub członkiem najwyższej rady państwa, że ponosi najchętniej wielkie ofiary dla utrzymania honoru narodowego. W oczach turystów lud szwajcarski we wszystkich warstwach społecznych przedstawia się prostaczko i nieogładnie; ale pod tą pozorną nieogładą ileż dostrzeżemy najszlachetniejszych uczuć, jaki nieprzebrany zasób prawdziwej poezyi. Nie nazwaćże poematami tych kilkudziesięciu uroczystości narodowych które Szwajcarya obchodzi ze czcią jakoby religijną? Ale panowie turyści patrzą z pogardą na te zabawy gwinnęj, jak ją zowią gawiedzi! Co do nas innem okiem poglądamy na tę gawiedź, i szczerze radzimy podróżnym, aby karmiąc oczy pysznemi widokami gór, dolin i jezior alpejskich, zbliżyli się także i do tego ludu, który z dzikich i pustych skał tutejszych olbrzymią pracą wiekową, przechodzącą z pokolenia w pokolenie, uczynił te pustki kwitującym i bogatym ogrodem.

Aby przekonać się o poetyczności ludu szwajcarskiego, dosyć przejrzyć niezliczone dziejowe tradycje. Nie udowadniaż tego sam cykl Wilhelma Tella? Dzisiejsi pozytywiści naprożno usiłują przekonać, że Wilhelm Tell jest prostém zmyśleniem, że on nigdy nie istniał. Nie jestże wielkim poetą lud, który tworzy podobne myty. Równęj potęgi geniuszu potrzeba narodowi, aby wydał Wilhelma Tella lub stworzył w ideale jego typ bohaterński, typ, który wyciska łzy wdzięczności z oczu tylu pokoleń!

Ludowa poezya szwajcarska składa się z kilku osobnych cykli historycznych: przebiegniemy je po kolei.

Pierwszy cykl sięga odległych bardzo czasów, kiedy garstka ludu wygnana głodem z lasów północnych, zabłąkała się między urwiste skały Helweyey. Starodawna epopea (*Ostfriesenlied*), którą można nazwać epopeją głodu, wybornie maluje olbrzymie usiłowania pierwszych przybyszów, co zaludnili te pustkowia.

Wiele wieków odtąd upłynęło, jak na biedny lud spadła okropna plaga głodu. Starszyzna postanowiła, że dziesiąta część ludności musi porzucić ojczystą ziemię. Wyciągnięto losy. W miesiąc potem, ci których los wskazał na tułactwo, wyruszyli z rodziną. Posłuchajmy, jak ballada opowiada oną wędrowkę:

Ten bogaty, ów ubogi,
 Jeden wyrok na nich pada:
 Trzeba rzucić ojców progi,
 W świat ma wielka iść gromada.
 Czas pożegnać drogie ściany,
 Z miłą rozstać się zagrodą,
 Iść, gdzie oczy ich powiodą,
 W świat daleki, w świat nieznany.
 Póki głodna śmierć nie zmoże,
 Ratuń, prowadź mocny Boże!

Pęka z bólu serce matek:
 Ta przyrządy w drogę czyni,
 Zmiata w torbę krup ostatek
 Obejrzała gospodyni.
 Tamtęj lica posiniały,
 Oczy biednej we łzach toną;
 Wiedzie nagich dziątek grono:
 Płaczą nad nią martwe skały.

Bez ogniska i bez dachu,
 Ból wygnańców duszę targa;
 Słabe serca mrą z przestachu,
 Z ust ku niebu zbieży skarga:
 „Ty co władniesz tam wysoko,
 „Twa nam wola ścieżki znaczy;
 „Zwróć o Boże Twoje oko
 „Na sieroty, na tułaczy!“

Było ich sześć tysięcy. Dnia jednego poprzysięgli sobie, jako nigdy się nie rozłączą. Pierwsza to przysięga tego ludu, pierwsza jego federacya, pierwszy związek. Szwajcaryca przyszła na świat. Ci nieszczęśliwi — mówi ballada — więcej głodni byli niż spragnieni, przebyli bowiem niezliczoną moc potoków i gór pokrytych białym śniegiem.

Dnia jednego to wędrowne pokolenie napotkało w pochodzie Franków; pobiło ich, zabrało im łup wielki. Wkrótce przybyli nad Ren, puścili się w górę pod prąd wody, spoczęli chwilę na lodowiskach Aaru.

Odtąd tradycya staje się pewniejszą i jaśniejszą. Pierwszy ich wódz nosi imię Szwajcernus. Imię to zostało nazwą całego narodu.

Emigranci zwrócili się ku Brünig, wysokiej górze, której wierzchołek przynęcał im oczy z daleka.

Z sercem pełnem krzepkiej wiary,
Przez alpejskie lodowiska
Zeszli na dół, gdzie wytryska
Z pod granitu strumień Aary.
Tu pracują dniem i nocą,
Zakładają domów belki:
Ciężki móżół, trud był wielki.
Czoła nieraz się zapocą!
Czegóż wola nie pokona?
Pracą człowiek wszystko zmoże:
Acz nierychło z ziemi łona
Wybujało wreszcie zboże.

Po długich latach najcięższego wysiłku, lud odetchnął i używał owoców pracy własnej.

Na tém kończy się epopea głodu. Po niej następuje drugi cykl równie ważny dla Szwajcaryi, *cykl Wilhelma Tella* i długoletnich zapasów z rakuskiemi książętami.

Bracia pamiętni dokonanej niegdyś przysięgi utrzymywali wzajemne stosunki między sobą. Podanie mówi jak mieszkańcy z Früttingen co rok odwiedzali przyjaciół z Hastli. Dnia jednego złączyli się z nimi i stali jednym ludem.

Jak u Normandów tak samo u Szwajcarów, woda, rzeka, jezioro, to źródła wszelkich fantazyj poetycznych. U brzegu wielkiego jeziora dopełniły się zmiany społeczne w Szwajcaryi, ztąd wyszedł narody bohater.

Trzy są główne pieśni o Tellu: pierwsza wysławia związek kantonów; w drugiej powtórzona rozmowa ojca z synem przed pamiętnym strzałem z łuku do jabłka; trzecia jest po prostu zrymowanym ustępem żywego podania.

Oto piosnka z kantonu Uri.

„Modlitwa moja niebiosa wzruszy,
Już łuk naciągam z boleścią w duszy,
Ojcowskie serce z żalu mi pęka,
Łzy zemiły oczy, zadrżała ręka:
Strzała do celu dobieży; przecie
Bóg sam ocalił biédne me dziecko,
Wyszło z przygody cało i zdrowo,
Tylko mu jabłko zbiłem nad głową.“

Olbrzymi mur najeżon basztami opasywał cały kraj od Arthu podnoża Rigi aż do Rothenthum. Troje tylko bram łączyło Szwaj-

caryą z resztą świata: kanał Stanz, Brünig obrosły w czarne lasy i dolina Sattel. Pierwsze walki o niepodległość toczyły się u tych bram.

Potężny związek dzielnie się sprzęga;
 Obce najazdy już go nie straszą;
 Wrogów nam wielka grozi potęga,
 Lecz my odeprzem ich piersią naszą.
 Związek ich dzielnie wali i siecze,
 Wróg z pola bitwy żyw nie uciecze!
 Pod Morgartenem ziemia szeroko
 Zwalona trupem, zлана posoką.

Siedemdziesiąt lat upłynęło od zwycięstwa pod Morgartenem. Pierwsze rzeczypospolite szwajcarskie wzrosły w siłę. Nowa pieśń przenosi nas w końcu XIVgo wieku (1386 r.) na wschodni brzeg jeziora Sempach. Nieprzyjaciel zbliża się; Szwajcarzy sypią wały; gotują zasieki: złomami skał zawalają parowy i wąwozy. Rakuszanie przystępują z wielką siłą. Widząc to zfederowani zachodzą im drogę w gęstym lesie przypartym do niedostępnej góry. Rozpoczyna się bitwa. Wówczas Arnold Winkielried rzuca się naprzód; kilkadziesiąt włóczni gołzi w piórś jego: pada oblaną krwią, ale po trupie bohatera wdzierają się bracia w szeregi nieprzyjaciół.

Pieśń o Sempach dzieli się na trzy części: są to obrazy walki i hymny tryumfu.

Do Willisau kmiotek przybieży.
 „Bracia wy moi!—co tchu zawoła:
 Z barci rój pszczołek wyleciał świeży,
 Szerokie lipy obsiał dokoła;
 Trzebaż to widzieć jak się po lesie
 Rozbiegły pszczołek brzęczące chmary,
 Kiedy rakuski książę znów niesie
 Pożogę wojny między Szwajcary.

I cóż to znaczy... wicież wy, wicie?
 Gdzie te pszczoł lecą spłoszone roje?
 Bo w Willisau widzieli kniecie
 W płomieniach stare zamczysko swoje;
 Bo straszny okrzyk rozbrzmiał doliną:
 „Niechaj przepada imię Szwajcara,
 Niechaj po kraju krwi rzeki spłyną,
 Nicch się z krwią młodą złączy krew stara!“

Nieprzyjaciel podchodzi coraz to bliżej przyodzian w bogate zbroice:

Broi tu chłopstwa czerń rozhukana,
Przychodzim, mówią, nadać im pana!

I postrach pada na lud: kto żyw ubiega w wąwozy, góry i lasy;
jęki znieważonych niewiast wołają o pomstę do Boga. Wysłuchało
ich niebo.

Piękni rycerzel po co wam, po co
Z dolin w te czarne drzecz się parowy?
U was na słońcu kłosa migocą,
Tu mało zboża, tu chleb niezdrowy.
Myślcie o duszy piękni rycerze,
Radzę kapłana przyzwać z daleka
I grzechy wasze wyznać mu szczerze,
Bo w Oberlandzie biada was czeka.

Jest-li w tym kraju gdzie sługa Boży?
W Schwytzu on mieszka, gotów z posługą;
Progi wieczności on wam otworzy:
Zada pokutę ciężką i długą,
W oczy wam spojrzysz z mściwą pogardą.
Patrzcie rycerzel! oto się zbliża,
Pędzi jak wichur; wnet halabardą
Na waszém czole skreśli znak krzyża!
— Jeśli pokutna chłosta nie minie,
Jeśli krwią ściekną cieniste jary,
Kędy się ukryć w tej złej godzinie,
Gdy nam na karki spadną Szwajcary?

Nadeszło lato, dzwonią już kłosa,
Skory do żniwa rakuski książę,
Setki parobków spędza do kosy:
Niech rznie gromada, niech snopy wiąże.
Falują żytem Sempachu łany,
Strugają pot żeńcom pocieka z czoła:
— Żwawo, śniadanie dajcie mieszczany!
Jeden z drużyny groźnie zawoła.
— Smaczne gotujęm dla was śniadanie,
Szwajcar odpowiedź rzuci mu woczy,
— Krwawą polewkę na pierwsze danie:
A niech wam łyżka z rąk nie wyskoczy.

W drugiej pieśni poeta ukazuje sprzeczność dwóch obozów:
z jednej strony przechwałki, nierozwaga; z drugiej modlitwa, milcze-
nie, bohaterska gotowość do czynu.

Rycerze rakuscy posiadali z biegunów; ciury obozowi pilnują koni i taboru: wówczas Szwajcarzy uderzają na uich z pieśnią pobożną w ustach. Rycerze wytrzymali pierwsze natarcie.

Rakuscy męże zwarci ramiony,
 Żywěj obręczy przebić niełatwo.
 Patrzy Winkielried nieustraszony:
 — „Bracia! czuwajcież nad moją dźwiatwą,
 Udzielcie wdowie opieki bratniej
 Niech im nie braknie cześci, ni chleba;
 Ja was dobędę—rzeczę—z tej matni;
 Ten mur żelazny przebić potrzeba:
 Wnet go wyszczerbię móm własném ciałem!“
 I spiał biegun a i ponknął cwałem.
 Sto włóczni godzi w pierś bohatera,
 Padł, krew mu z serca strugą się toczy;
 Naprzód Szwajcarom drogę otwiera;
 Po trupie wodza drużyna skoczy;
 Zwarte szeregi dzielnie roztrąca:
 Jeden bohater zbawcą tysiąca!

Tu następuje komiczny ustęp poematu. Rycerz rakuski de Grie zbiegły z pola bitwy błaga przewoźnika Hanza Roth, aby go przeprowadził łódką na drugi brzeg jeziora: przyrzeka mu za to wielką sumę. Ugoda stanęła; łódź porze wody w kierunku Nodwyl na zachód. Niebezpieczeństwo zmniejsza się z każdą chwilą. Rycerz de Grie daje znak giermkowi, aby w zapłatę posługi zatopił sztylet w piersi przewoźnika. Ale Hanz nie dość że dzielne ma ramię, niemniej zręcznie zgaduje on złe zamysły w myśli człowieka, jak rały ukryte pod wodą. W mgnieniu oka uderza wiosłem, przewraca łódkę dnem do góry. Dopada brzegu, staje przed urzędem i oznajmia, że wykonał cudowny połów. Jezioro Sempach nadzwyczaj rybne, żaden przecież rybak nie ułowił podobnego potworu. Zdobycz jego tak wielka, że potrzeba kilku ludzi aby ją przywleć. Oddaje rybę w nagrodę, żąda jedynie łaski.

I wydobyto z wody rycerza z giermkim i ciężką skrzynią.

W skrzyni znaleziono dwie czaszy srebrne: otrzymał je Hanz Roth i powiózł wesoło do Lucerny: tam złożył je na wieczną pamiętkę.

Po zwycięstwie łzy i żaloba. W czwartej pieśni żalósni gońce roznoszą wieść o klęskach rycerstwa rakuskiego.

O krwawej klęsce wieść się rozbieży,
 Wzdłuż winorodnych Renu wybrzeży;

Jękły ponuro stare zameczyska,
 Wielkim burgrafom żal serce ściska.
 Legł arcyksiążę w nieszczęsnej wojnie,
 Tam gdzie praocje mieli swe gniazdo;
 Gdyby w Rakuszy siedział spokojnie,
 Mrokby nad jego nie zapadł gwiazdą.

Po cóż mu było wozic przy sobie,
 Na kark Szwajcarów konopne troki?
 Gdyby mu tryumf Bóg dał w tej dobie,
 Gdyby w mogile nie spał głębokićj;
 Byłby nad brzegiem Renu i Aary
 Sfederowane wieszał Szwajcary!

Poeta wpadając w coraz weselszy humor zakończy rzecz krotko-
 chwilną bajeczką.

Krowa do byczka wesoło rzecze:
 Dziwne, mój synku, plemię człowiecze,
 Wszystko mi mlęko pan jeden wielki
 Wydoić w szkopek chciał do kropelki.
 Gdy choiwość rośnie w sereu niesytem,
 Ja go tak w ucho wierzgnę kopytem,
 Że mózg mu z głowy wszystek wyskoczy,
 Aż mu rzucono ziemię na oczy.

W tym czasie żył w Zurichu księgarz poeta, a zarazem malarz
 i rytownik. Z upodobaniem zapuszczał on się w góry brzegiem Li-
 manu, co rok odwiedzał pole bitwy pod Nüfels; tam utworzył pieśń,
 która niebawem przeszła w usta ludu. Oto obraz tej bitwy:

Wódz rakuski zgarnia rotę,
 Rąbcie—woła—Rakuszaniel
 Wnet z obmierzłej tej hołoty
 Noga jedna nie zostanie.
 A z Glarisu wódz w pokorze,
 Obie ręce wznosił do nieba:
 „Ty nas wesprzyj mocny Boże,
 Twój opieki nam potrzeba!“

Na to pyszny wróg odrzecze:
 „Po cóż jeńce kuć nam w pęta?
 Obosieczne starczą miecze,
 Niech przepadnie czeruń przekłęta!“

Maciej z Bulój krzyknie hasło:
 „Wiara naprzód, w imię Boga!
 Póki serce w nas nie zgasło:
 Towarzysze próżna trwoga!“

Dzielny hufiec pędzi śmiało,
 Na kark wroga w cwał naskoczy;
 Wielu męźnych legło z chwałą:
 Mrok śmiertelny skrył im oczy.
 Krwią szeroki ścieka parów,
 Brzmi w powietrzu okrzyk grozy,
 Aż wróg drobną garść Szwajcarów
 W niedostępie wparł wąwozy.
 Wtedy dzielnych hufiec mały,
 Gdy go ściga wróg w rozpędzie,
 Przez gór nagie mknie krawędzie,
 Twardym młotem wali skały;
 Miota opok bryły duże:
 Pod ich gradem wróg upada,
 Jęczy ziemia, góra górze
 Groźnym echem odpowiada.
 W uściech ludzkich mraǳ wyrazy,
 Przemówiły martwe głązy;
 Świszczą straszne śmierci słowo
 Rakuszanom po nad głowę...

Wtém przybieży trzydziestu dzielnych ze Szwycu; chorągiew
 ich powiéwa na szczycie skały: Rakuszanie przerażeni uciekają
 w popłochu.

Nagle spada błyskawicą
 Nowy oddział szwycokich męźów;
 Oczy dzielnych żarem świecą:
 Brzmi w powietrzu szczęk orężów.
 Rakuszanin zadrży z trwogi:
 Nuże! co tchu... za pas nogi!
 Pędzi szereg za szeregiem
 Na dolinę Linthu brzegiem,
 Przez szeroki sady parów:
 Mknie za nimi garść Szwajcarów.
 Nim najeżdźce z kraju zbiegą,
 Niechże łykną strzemiennego.
 Hojnie raczy Szwajcar goście:
 Na Wezeńskim oto moście,
 Pożegnalna uczta czeka.
 „Biada!“—krzykną Rakuszany—
 Zawalona trupem rzeka
 Czerwonemi pluska piany...

Rycerstwo w rozpaczy zdaje się na łaskę, sypie garściami złoto; nic to nie pomaga: następuje krwawa rzeź. Po bitwie obliczono trupy na polach Nafels, a było ich tysiące.

Osobny cykl opiewa zapasy z Burgundami też same, które dziś obchodzi lud tak uroczyście nad brzegami jeziora zurichskiego. Karol Zuchwały nastaje na wolność Szwajcarów, ci zawierają ścisłe przymerze z Rakuszanami. Zwycięstwo przechyla się na stronę sfederowanych.

Burgund ucieka od strachu bladey,
Świat chrześcijański okrył się chwałą!
Gdyby zwyciężył, jużby zagłady,
Święte Cesarstwo ujsé nie zdołało.

Z Rakuszaninem Szwajcar się spręga!
Łączą się w grodach wieley i mali;
Wraz im Burgunda grozi potęga:
Od jarzma tylko jednoś ocali!

Z zaciętych wrogów już sojusznicy,
Książę swych uraz nie pomni weale;
Szwajcar dziś strzałą w jego prawicy:
Na nim budować ma jak na skale!

Szwajcarzy walczą z niesłychaną odwagą, posuniętą aż do dzikości.

Pokonan Welszów zastęp zuchwały,
Z pola w popłochu zbiega tysiące;
Piętrzą się trupy ścięte w kawały,
Niby zsieczona trawa na łące.

Oszczędni i pomni na jutro Szwajcarzy posiekawszy trupy w miazgę, zdartą z nich odzież pozwijali w taboły i ponieśli na włóczniach.

Burgrafowie niemieccy dzielnie zrazu wzięli się do rzeczy, ale skoro niebezpieczeństwo przestało im grozić, ochłonęli z wojennego zapału. Ballada skarży się na ospałość rakuską.

Powodem zmiany było to, że książę burguncki przyrzekł księżciu rakuskiemu rękę jedynej córki i dziedziczki swojej; ale kantony szwajcarskie „które nie mogły zaślubić księżniczki“ trzymały się dzielnie i same jedne stawily czoło Welszom. Wierni tradycyjnej swojej strategii Szwajcarzy okrążyli jezioro neufchatelskie od północy, usunęli się w parowy i jak wilki zaczęli na zdobycz. Karol Zuchwały opuścił warowny obóz; po prawej ręce miał jezioro, po lewej Jura, po za sobą wysokie góry.

Szwajcarzy uderzyli na przednią straż Karola, odcięli ją od głównej armii. Strach padł na cały zastęp: kto żyw ratował się ucieczką.

Zajęknie Karol obławą gnany,
 Gdy byk z porykiem spadł na żołnierzy;
 „Piektło — rzekł — wszystkie śle nam szatany!“
 Dał znak i trąba w odwrot uderzy.

Zwycięzcy zdobyli w opuszczonym obozie Burgundów bogate łupy: oręż, rusznice, zapasy żywności, odzieży, drogocenne kolczugi i zbroje, a oprócz tego mnóstwo pereł i klejnotów, naczyń złotych i srebrnych, kosztowne makaty i gobeliny. Wielką część bogactw porzadzali do kościołów, wielką część zachowali po grodach swoich na wieczną pamiątkę. Wzbogaceni, dumni z odniesionego zwycięstwa, ściśle złączeni między sobą, Szwajcarzy znieśli najpotężniejszą armię zachodniej Europy.

Karol Zuchwały zaprzysiął krwawy odwet: Szwajcarzy czekali spokojnie i cierpliwie stając murem na miejscu. Wówczas Karol okrążył od wschodu neufchatelskie jezioro; zbiera szczątki armii nad brzegiem małego jeziora Morat. Tu stacza sławną w dziejach bitwę: związkowi rzucają się na Burgundów, mordują bez litości, spychają w głąb jeziora.

Strach Burgundy żartko pędzi,
 Jedni górą, drudzy jarem,
 To po nagich skał krawędzi,
 To kłosisłym mkną obszarem,
 To się w gęstym skryją lesie;
 Lecz jelenich brak im skoków,
 To na wody wiatr ich niesie
 W głąb rzek, jezior, i potoków:
 Ale rybich brak im skrzeli.
 Już nie wybrnąć z tej topieli!
 Szwajcar ku nim w lot dopada.
 Niby kaczek dzikich stada,
 Tłucze, wali, szaleń wściekły:
 Krwią zielone wody ściekły¹⁾.

Jezioro wyrzuca trupy żołnierzy: z ich kości Szwajcarzy wzniesli wielkie mauzoleum, które armia francuzka zburzyła w r. 1798, gdy zajęła Szwajcaryą.

Najdokładniejszy obraz tej bitwy daje nam ballada Weit Webera żołnierza poety, Tyrteusza szwajcarskiego. Przytaczamy ją tu w całości.

¹⁾ Woda w jeziorach szwajcarskich ma właściwą sobie barwę, jest zieloną; im zielon ta ciemniejszą, tém jezioro piękniejsze.

Gromem po kraju wieść się rozbieży:
 Burgund z zastępem ciągnie rycerzy,
 Brzegiem Moratu zielone pola
 Zaległy zbrojne hufce Karola,
 W rękę Szwajcarów zaszczytkły miecze:
 Noga burgundzka ztąd nie uciecze.

Już stawa szereg nieustraszony,
 Skrzydłem oparty o las zielony,
 Już lotaryński książę po przedzie
 Naszych Fryburezan do boju wiedzie:
 „Naprzód—zawoła—ludu ochoczy!
 Pierwsi Burgundom zajrzym dziś w oczy!”

Wspólną złożyli naradę wodze,
 Nam czas przed walką dłuży się srodze:
 Kiedyż się wreszcie skończy ta rada?
 Żaliż na sercu trwoga im pada?
 Już skoro słońko połyska złotem,
 Pod lazurowym swoim namiotem
 Wypija czyste kropelki rosy;
 Nam-że się lenić jeszcze do kosy?

Działa Burgunda huczą rozgłośnie,
 A w sercach naszych otucha rośnie;
 Gdzie rzuć oczyma, w prawo czy wlewo
 Padają trupy, jak w lesie drzewo.
 Trzeszczą pik drzewce, iskrzą się szpady,
 Drży Welsz jak listek od strachu błądy:
 Bojaźń rycerzy za gardziel chwyta,
 Konna drużyna pomknie z kopyta;
 Ziemia trupami w okół zasłana:
 Wśród pik i mieczów brniem po kolana.

Pieszce Burgundy nie tracą czasu,
 Jedni w zarośla, drudzy do lasu;
 Ci, choć do wody pierś ich nie skora,
 Skoczą w głębokie nurty jeziora;
 Jak dzikie kaczki igrają z falą:
 Nasi jak w kaczki wałą, a wałą...

Schwycim za wiosła; w lot nasze łodzie
 Z szumem i pluskiem pomkną po wodzie.
 Byłyż to łowy... trudu nie szkoda,
 Aż pokraśniała w jeziorze woda.

Tamci, jak kruków drapieżne chmary
 Wkoło obsiedli drzewin konary,
 Ale szwajcarskich nie ujść im sideł,
 Bo im do lotu zabrakło skrzydeł.

Dwie mile w okół ziemia szeroko
 Zaslana trupem, zlana posoką:
 Kwiaty i krzewy, zioła i trawy,
 Głęboko toną w kałuży krwawej.
 Na tryumf naszych słońce patrzyło,
 Już go nie dojrzyć za stromą skałą....
 A który z Welszów ujrzy je zrana,
 Dziękczynne modły niech śle do Pana!

Obóz Burgunda przypadł nam w zysku,
 W nim bogactw niby na targowisku,
 Zgarnia dziś złoto kmiotek bez pracy,
 Popanoszeni nawet żebracy...

Bawić się w szachy książąt zwyczajem,
 Tę grę królewską i my przyznajem;
 Wciąż Karolowi tłuczem żołnierze;
 Już go nie bronią warowne wieże;
 Srodze nas krzywdził, lecz koniec na tom,
 My też wet za wet płacim szachmatem.

Miał także w rękę szablę nie lada,
 Ten co tę piosnkę w rymy układa;
 Kosił on dzielnie przez dzionek cały,
 W noc słowa pieśni z ust mu zbiegały.
 Gdy rąbnie mieczem, trup pada świeży,
 Gdy wytnie smyczkiem piosnka wybieży;
 Śpiewa, on śpiewa ile tchu stanie,
 Lubią go kmiotki, pany i panie;
 Niechże na skrzypkach zatuje od ucha:
 Wielki czy mały grajka posłucha.

Po zwycięstwie nad Morat, Szwajcarzy podzieli nieprzyjaciół aż pod Naucy; tam ostatnia klęska Burgundów i śmierć Karola Zuchwałego uwolniła ich kraj od dalszych najazdów: wrócili obciążeni nowym łupem.

Ostatni cykl opiewa wznowione zapasy z Niemcami. Ballada starego barda gryzońskiego wiernie maluje walkę Szwajcarów przeciwko cesarzo wi Maksymilianowi z rakuskiego domu, który pamiętny starój tradycyi rodu swego, postanowił podbić Szwajcaryą.

Sfederowane kantony występują przeciw zastępom Maksymiliana.

„Szlachetny książę rakuski!—śpiewają lanskuechty.— Niech odleci cesarski orzeł, roztozcz tylko twój świetny ogon pawi, a ohłopi padną niebawem do nóg twoich.“

To rzekłszy, rzucają się na chłopów, naśladując ryk bydła. Szwajcarzy wściekli z gniewu mordują bez litości przednie strażę.

„Nieprzyjaciół—mówi ballada—docięra do Luziensteig, ale gryzońska liga odpędza szalonych śmiałków. Kto nie postradał życia, zostawił przynajmniej obuwie w bagniskach Balzers. Było to w lutym. Szwajcarzy przeprawili się w bród przez Ren. W pośrodku rzeki czekali na zapóźnionych towarzyszków. Byleby nie cofnąć się przed Szwabami, pozostali tak dwie godziny w wodzie do pasa, odpychając włóczniami ogromne bryły lodu, które prąd staczał na nich.

Wasze krzyki w Hart i Fussa
Serc szwajcarskich nie zmiękczyły,
Z naszej ziemi hejże w kłusa,
Póki starczy tohu i siły!
Dłoń omdlała, duch wasz słaby:
Co tak było krzyczóć Szwabym?

Z niesłychaną pogardą Szwabym traktowali Szwajcarów; zwali ich poprostu chłopami (*Bauern*). Szwajcarzy odpłacali wzajemnie tę nienawiść.

Jest pod Hartem rów głęboki,
Tam chrzest Szwabom wyprawiono,
Miasto wody krwią czerwoną.
Jęk ich leciał pod obłoki,
Niedźwiedź z Bernu w kumy staje
Tak szwajcarskie chcą zwyciężać.

Nazajutrz po bitwie zwycięzcy boski wyciągali z lodu rannych i trupów, obcinali im nogi, wrzucali je w gorącą wodę, aby łatwiej zciągnąć z nich buty, które wzuwali sami.

Wojna przeniosła się w strony miasta Konstancji. Nieprzyjaciół wysłał z twierdzy mały oddział przeciw Szwabom. Ballada złośliwie szydzi ze słabych sił trwożliwego wroga.

Hej Konstancjo, piękny grodzieł
Wielce mądre twoje dzieci;
Co im płynąć przeciw wodzie?
W maju łąka się nie kwieci,
W maju trawa jeszcze niska,
Ciepłe słonko nie połyska...

Słać-że hufiec w takie czasy
 Przeciw chłopstwu na zapasy!
 Jednak chłopów garstka mała
 Z rąk wydarła tobie działa.
 Rozebrała twych żołnierzy,
 Z hełmów, kolczuk i pancerzy,
 I twych synów zastęp dzielny
 Wyzwał Szwajcar w tan śmiertelny.

W dziewięć dni potem stoczono walną bitwę pod Frasteuz,
 w tejże samej dolinie Renu, gdzie wojna się zaczęła.
 Szwajcarzy znieśli ze szczętem Szwabów. Wesolo poeta opo-
 wiada zwycięstwo.

I mówili jak w gospodzie:
 Chłopie, dajże wina!
 Daj tu żywo, niech w swobodzie
 Luszczig się zaczyna!
 Chcę się upić, niechże we śnie
 Ujrzę szwabską ziemię...
 Czego trwożyć się przedwcześnie?
 Szwajcar podłe plemień!
 Szwab ich snadno trzech pokona
 Choć z szabelką małą,
 Z nimi rychło rzecz skończona,
 Czyż się bać przystało?

* * *

Spojrzy hufiec het ku górze,
Johaj, ahaj! woła;
 Pędzi buhaj bydlę duże
 Z rogami u czoła.
 Łbem szerokim w nich uderzy,
 Prze dalej a dalej,
 Aż się stoczył tłum żołnierzy,
 Na dno reńskiej fali.

W dzień sobotni rzecz się stała,
 Tegoż dnia przed zmrokiem;
 Lud w Feldkirchu ujrzy ciała,
 I śledzi je wzrokiem.
 Oto chłopskie płyną trupy!
 Ten i ów zagada,
 Wydobywa i na kupy
 Zwała je gromada.

I wytryska łza w ich oku,
 Nasi brną w tym wirze!
 Mają ostry miecz przy boku,
 A na piersiach krzyże.
 Szwabę spójrzą w sine góry,
 Ból im pierś przygniata;
 „Ha, przeklęty buhaj z Uri,
 Zmiotł naszych ze świata.“

W Dornach 22 lipca 1499 r. zakończyła się wojna szwabska. Wojsko niemieckie w mniemaniu że nieprzyjacieli daleko, rozłożyło tabor. Jedli, pili, śpiewali wesoło. Szwajcarzy zaskoczyli ich przy biesiadzie, leśne kantony przybiegły braciom w pomoc. Szwabi otoczeni dokoła, pierzchli w popłochu; bogate łupy wpadły w ręce zwycięzców.

Od tego dnia Szwajcaryja uwolniła się na zawsze od rejtarów niemieckich. Odtąd w sercu Europy istnieje naród potężny, silny jednością, bogaty tradycją, otoczony pasmem niedostępnych gór, za któremi rozwija się i kwitnie.

W obec niezwykłych jeszcze wawrzynów któremi na wszystkich krauczynach świata ucywilizowanego, zwietczono popiersia i posągi czterechsetletniego naszego jubilatą, czyliż nam podobna przemilczć o wielkim z wielkich mężów, który właśnie jest celem czci powszechnój! Któż z nas przebywających czy w kraju, czy za granicą, nie obchodził na swój sposób, rocznicy urodzin Kopernika?

Najznakomitsze obchody jak wiadomo, odbyły się w Krakowie, w Toruniu, w Warszawie, we Lwowie i w Pradze czeskiej. Wymieniliśmy Kraków przed Toruniem, nie przypadkowo lecz z umyśłu; jeżeli bowiem Kopernik urodził się w Toruniu jako dziecię, zato stara „Alma mater“ krakowska, wykarmiła go mléką wiedzy swojej, rozmogła mu potężnie ducha: ona to rzuciła blask i na Toruń, pierwotną jego kolebkę.

Rośnie pacholę, z objęcia macierzy
 Inna go macierz podejmuje godnie,
 To Alma mater, co w duchu młodzieży,
 Jasną mądrości roznieca pochodnię.

Bogaty nauce zapleciesz ty wieniec,
 Na wszystkie wieki przesławna wszechnico!
 Oto w twe progi wstępuje młodzienc,
 Z czoła mu promień bije błyskawicą.

Z ramion mu skrzydła bujają wspaniałe,
Orlich polotów sprzeczna moc nie wstrzyma;
On na kraj świata roznieśie swą chwałę:
Córo olbrzymów zrodziłaś olbrzyma!

Walka jaką oddawna wypowiedzieli nam Niemcy, co do rodowitości Kopernika, walka tlejąca dotąd w żarzewiu, dziś wybuchła z całą gwałtownością. Wyda ona i wydała już w części ważne owoce, pożyteczne nie tylko dla postępu matematyki i astronomii, ale niemniej rozświecające etnografią i historią kraju naszego z XV i XVI wieku. Poruszone bowiem zostały najżywotniejsze pytania, o wpływach miejscowych okoliczności na wyrób geniuszu. Na bujnej tylko ziemi, pod słońcem i pod rosą, wyrosnie dąb, którego nie powalą wiekowe uragany! Ta to przynajmniej historyozoficzna część podniesionych dziś rozpraw najżywiej nas zajęła.

Przy tém pytaniu, czyż nie błędniej owe zacięte a tak żywe sprzeczki o sposób w jaki wymawiać należy imię wielkiego męża? Ileżto Niemcy nie nałamali sobie głów, ile nie wyczerpali erudyoyi dla odebrania nazwisku jego rdzennęj właściwości polskiej. Dość tu przejrzeć cały szereg świeżo ukutych denominacyj, owe niezliczone odmiany: *Koppernigh*, *Koppernig*, *Coppernick*, *Koppirnick*, *Cuppernick*, *Kupernick* i t. p. a każda z tych odmian udowodniona archiwami różnych księstw, landgrafstw i marchii!

Niektórzy Niemcy szydą pogardliwie z Polaków, że śmieli ubliżyć wielkiemu człowiekowi wyprowadzając imię jego od tak nędznej rośliny jak koper! Alboż nie godniej wywieś je od metalu? Czyżto w dyalekcie niższych niemiec, miedź nie zowie się *Kupper*? Rzecz jasna jak słońce, Kopernik powstał z miedzi!

Więcej jeszcze erudycyi zużyli Niemcy dla udowodnienia czysto niemieckiej krwi w żyłach Kopernika. Bo czyżby mógł geniusz taki powstać z innęj krwi, jeśli nie z germańskiej? „Byli może w Prusiech—wołają uczeni Niemcy—i Lettowie, Bruteni a nawet i *przybłądy* Mazury; tak być mogło, ale Kopernik nie należy ani do jednych, ani do drugich, bo był ucozonym, bo był sławnym matematykiem, astronomem, ekonomistą, lekarzem i t. p.“ „Na tych krańcach oświaty i barbarzyństwa, Niemcy tylko zdolni byli wydać podobnego Tytana!“ zawołał przy uczcie grał Eulenburg.

Nie myślimy wchodzić w tego rodzaju polemikę; zapisujemy tylko fakta, dla uwydatnienia całej zaciętości, z jaką Niemcy podjęli oręż.

Do tych dawnych antagonistów, przybyli jeszcze nowi: mówimy tu o Czechach. Mamy przed sobą tylko co wydaną broszurę pana Studniczki, profesora matematyki w uniwersytecie Karola-Ferdynanda, pod tytułem: *Mikulas Kopernik na ostawu 400-lete pamatki jeho narozeni*; broszura ta wykazuje miejscowość zwaną Koprnik,

w bliskości rzeki Izery, między Krezmostem, Kosmonosami i Bakowem. Z owej to osady, miał Ulryk Kopruik zapisany w aktach czeskich roku 1399, przenieść się do Krakowa.

Tylko patrzeć, a to i Szląsk wystąpi z pretensyami. Pochop do tego dali mu sami Niemcy, wydobyli bowiem z archiwów Toruńskich z roku 1422, podpis Peter Kuppernigk aus Frankenstein. „Oto prawdziwa ojczyzna Kopernika! nasz Szląsk! *unsere Schlesien!* woła nowy Kolumb, reprezentant starój „Pressy Wiedeńskiej”, w Toruniu. Zapomniał w zwapale patriotyzmu pangermańskiego, że dowodzenie szląskiego rodowodu Kopernika, nie jest bynajmniej wodą na młyn niemiecki!

My prawdziwi współrodacy Kopernika, patrzymy na te walki, z uczuciem chluby i szczerzego zadowolenia. My spokojni, nam nikt nie odbierze tego, co się zrodziło, żyło i umarło Polakiem!

Z pomiędzy mnóstwa objawów literatury niemieckiej, wywołanych obecną uroczystością, najpociesniejszy wydał nam się dramat, pod tytułem *Copernicus*, napisany poważnym białym wierszem przez profesora Prowe, twórcę towarzystwa: *Kopernik Terein* w Toruniu. Dramat ten pięcio-aktowy obejmuje całe życie mędrca, od pierwszej młodości aż do skonu. Autor jego pan Prowe należy do zagorzałych Prusaków nowój szkoły, tém zagorzalszych że własne jego nazwisko świadczy wyraźnie o litewskiem pochodzeniu.

Dajemy treść owego dramatu, jako próbkę wyższej belletrystyki niemieckiej, wywołanej uroczystością.

Akt pierwszy odbywa się w Toruniu, w ogrodzie starego Watzelroda. (Trzymamy się w nazwiskach pisowni jaką przyjął autor). Niklas Copernicus nieobecny, przebywa bowiem w Krakowie. Obok starca widzimy żonę jego Barbarę i dwóch zięciów, kupca Copernicusa i burmistrza toruńskiego Tilmana. Zebrani wspominają szczęśliwe czasy, które niestety już dla nich przeminęły! Mówią o wielkim mistrzu krzyżackim Winrichu von Kniprode, o bezrozumnym buncie miast przeciwko zakonowi, o terażniejszych rządach Jagiellonów.

Młodzi studenci tymczasem, Sejfert wychowanek burmistrza Tilmana, Andreas Copernicus i inni, szydzą sobie z Niklasa, że zatopiony całą duszą w naukach, patrzy w gwiazdy i niebo a zapomina że żyje na ziemi.

— Szalencie! — mówi jeden z burszów — i pocóż mu tak ślęczyć? Albożto Regiomontanus nie odkrył już wszystkiego, cokolwiek było do odkrycia?

Stary Watzelrode oburza się na te niewczesne żarty. Wyso-ko on trzyma o wnuku. Wpada w proroczy jakiś zachwył. „Dopóki—woła w uniesieniu—gwiazdy przyświecać będą, dopóty Niklas Copernicus, przez usta wszystkich narodów, sławion będzie po świecie całym.

Wyrzekłszy słowa prorocze, starzec upada i kona. Tu kończy się akt pierwszy.

Drugi akt przenosi nas do Włoch. Młody bursz wędruje do Padwy z kijem w rękę i tómczkiem na plecach. Po drodze spotyka wieśniaka, wdaje się z nim w długą rozmowę.

Tym wanderburszem nie kto inny jak Niklas Copernicus. Wieśniak dziwi się dlaczego długość dnia, odmienna w Prusach i we Włoszech. Zapytuje o powód. Copernicus nie umie dać na to jasnej i zadowalającej odpowiedzi; pragnie pozostać sam: wyprawia naprzód towarzysza. Oparty o drzewo laurowe, zatapia się w myślach głęboko.

W tej chwili nadchodzą drogą od Padwy trzej nowi bursze, z wesołą piosenką na ustach. Zdumionóm okiein patrzą na zamysłonego młodzieńca. Jeden z nich deklamuje ustęp z Boskiej komedyi Dantego, o drzewie laurowém.

Copernicus jakby zbudzony ze snu, zbliża się do nieznanomych towarzyszów; wypowiada im myśli, które oddawna krążą po jego głowie.

— Ziemia—woła on—obraca się w eterze, z całym przepychem królestw i cesarstw!... z oceanem i szczytami Alp... leci w ciemną przestrzeń wszechświata. Ale cicho i mocno stoi na miejscu bóstwo słońce!

W Padwie rozchodzi się wieść o spokojnym i skromnym badaczu, o dziwnych jego pomysłach i rozległej nauce. Jedni szyszczą z niego, drudzy podnoszą go wysoko. Imie młodzieńca dochodzi do ucha Dominikusa Maryi z Nawary, mistrza wszechnicy Bonońskiej. Uczony ten mąż zatopiony w badaniach, wpadł na pomysł, że wysokość bieguna zmieniła się od czasów Ptolemeuszowych. Pragnąłby poznać młodego Copernicusa. Spotyka go wreszcie, bada, i widzi z radością, że młodzian podziela jego zdanie. Słyszemy potem rozmowę mistrza bonońskiego z kardynałem Cezarem Baronio. Przedmiotem rozmowy Niklas Copernicus, i rzucione przezeń domysły co do obrotu ciał niebieskich. Mistrz Dominikus wysławia geniusz młodziana. Kardynał Baronio gorszy się

zbyt zuchwałym polotem jego myśli, obwinia go o herezyą. Spór trwa zacięty długo, nadchodzi wreszcie Copernicus. Widząc współzucie bonońskiego mistrza wyléwa przed nim serce; odkrywa mu najgłębsze tajniki myśli własnej. W miarę jak mówi, unosi go szal; twórczy geniusz zrywa wszelkie wędzidła: słowa płyną mu z ust rozrukany potokiem. Zgorszony kardynał Baronio napomina surowo obu nowatorów.

Scena zmienia się znów. Copernicus przybył do Rzymu z Padwy. Spotyka się z bratem Andreasem, wyléwa przed nim gorycz zawiedzionego serca. Miał właśnie odczyt w obec papieża i kardynałów; napotkał twardy opór, otrzymał surową nagane. Niema co robić w Rzymie: postanawia wrócić do domu z bratem.

Trzeci akt przenosi nas znów do Torunia. Wszystko się tu zmieniło, od czasu jak młodzian opuścił rodzinne gniazdo swoje. Umarł stary dziadek Watzelrode, umarł niemniej ojciec Copernicus. Burmistrz Tilman von Allen i biskup warmiński, Lukas Watzelrode, są obecnie głowami rodziny. Biskup bierze w opiekę dwóch siostrzanów. Każdemu z nich daje kanonią w Fraueburgu. Siostrę ich Barbarę skłania do wyrzeczenia ślubów zakonnych w Kolmie.

Taki układ zgodny z tradycją domową pobożnej rodziny, o lat dwadzieścia wcześniej byłby napełnił wszystkich radością; ale pomimo racjonalizmu wytrzeźwił już umysły. Autor dramatu nie mógł w żaden sposób uczynić akatolikiem swojego bohatera, byłby to fałsz za nadto krzyczący. Uczynił go więc, jeśli nie protestantem, to przynajmniej protestującym w duchu, i dla formy tylko trzymającym się przestarzałych tradycy rodni swego. Stara matka równie jak syn postępową, oblewa łzami żałoby, owe bezpłodne zaszczyty jakich dostąpiłi dwaj synowie. Ubolewa szczególnie nad losem ulubieńca swego Niklasa. Myśl o wiecznym rozstaniu napełnia ję serce goryczą, jak gdyby Fraueburg leżał gdzieś za morzami, jak gdyby kanonia syna była jakimś odgrodzonym od świata eremem, lub niedostępną Tebaidą.

Copernicus w poufnej rozmowie z wujem Tilmanem, zwierza się z tajemnych myśli i wątpliwości swoich. Tilman zrazu odwołuje go od głoszenia teoryi nacechowanych kacerstwem, radzi poddać się naukom kościoła; przekonany w końcu przyklaskuje niezłomnej woli jaką napotyka w siostrzanie. Copernicus zamierza poświęcić życie jakomolnym rachunkom i twardej pracy. Sława nie nęci go bynajmniej, miłość nauki jedynym mu bodźcem; postanawia też nie rzucać wywodów swoich na łup cienioty i barbarzyństwa. Opuszcza dom, żegna wuja Tilmana, odbiera z rąk jego kilka wersetów z Biblii. Młody mistrz z upodobaniem rozczytuje się w Piśmie Świętym; boje tylko że odtąd przekład Biblii nie drukowany jeszcze w języku ojeów, to jest czystą niemiecką.

Następny akt odbywa się w Graudenz (Grudziądzu). Kapituła wyprawia młodego kanonika na sejm obradujący w témże mieście. Copernicus zastaje tam dwóch przyjaciół młodości: jeden z nich Auschwitz przybywa jako poseł z Elbląga, drugi Sejfert reprezentuje Toruń. Obaj występują jako filary narodowego to jest niemieckiego stronnictwa, które zamierzyło oswobodzić Prusy od panowania Jagiellonów, i utworzyć z nich samodzielne a sfederowane państwo, coś nakształt Szwajcarskiego *Bundu*. Pracują oni nad umocnieniem związku miast, za pomocą nowych idei religijnych. Kamieniem węgielnym przyszłej budowy ma być reformacya. Wiele umysłów nakłania się już do niej; sam wielki mistrz Albrecht zamysła zrzucić mniszy kaptur i biały płaszcz z krzyżem, a z dawnych symbolów, zatrzymać tylko miecz i zbroję, i na podstawie racjonalnej wiary, wznieść wrzęby racjonalnego państwa.

Daremne rady i przedstawienia dwóch zagorzałych dyssydentów. Copernicus słuchać ich nie chce. Nie odłączy się od kościoła, winien mu bowiem wdzięczność, (za intratną kanonią). Racjonalniejszy od obu przyjaciół (lecz nie od pana Prove) oświadcza wręcz, że nie widzi przyczyny dlaczegooby miał zamieniać jedne więzy na drugie? Pragnie jednakże działać na rzecz wspólnej sprawy. W tym celu stawia praktyczny wniosek: radzi aby ustanowić jedną monetę dla wszystkich miast pomorskich, a tym sposobem wrócić im zachwiany od dawna kredyt. Z dłuższej rozmowy trzech przyjaciół, nie dowiadujemy się rzeczywistej przyczyny tego zachwiania. Pan Prove nie chce wiedzieć że Krzyżacy-to ościenni zalewali fałszywą monetą pruskie miasta; dogodniej mu zwalić winę na nienawistne rządy Jagiellonów.

Auschwitz i Sejfert nie przystają na wniosek. Ani miasto Graudenz ani Thorn nie chcą obcej monety w murach swoich. Spór toczy się z wielką zaciętością. Copernicus obstaje przy wniosku: nie odstąpi on od kościoła (to jest od kanonickiej stali.) Opór jego doprowadza do wściekłości antagonistów. Auschwitz przepowiada mu że naród niemiecki odtrąci go kiedyś od łona swego.

Przepowiednia spełniła się w części. Bo i dlaczegożto, pytamy, z pomiędzy dwudziestu z górą wszechnic niemieckich, siedm tylko przysłało reprezentantów swoich na uroczystość Toruńską? Zkął to milczenie Gettyngi, Tubingi, Jeny, Heidelberga?

Ale wróćmy do Auschwitza.

— Będę ci odtąd nieprześląganym wrogiem, zawoła w wściekłym gniewie. Przy pierwszej sposobności zetnę cię na proch marny!

Copernicus przywykły patrzeć w księgi, i obliczać gwiazdy na firmamencie (i dukaty kapituły, taki przynajmniej wynik z charakte-

ru jaki nadaje mu pan Prove) Copernicus mówimy, nie pojmuje tak gorączkowego zapędu. Ciasno mu, duszno, na polu zapasów politycznych. Opuszcza sejm wołając:

— O! jakże rad powitam moją samotną ustron!

Akt piąty przedstawia ostatnie chwile siedmdziesięcioletniego starca. Czuje on wyraźnie śmierć zbliżającą się szybkim krokiem. Po raz ostatni wchodzi na wieżę, gdzie ma urządzone obserwatorium. Oczekuje śmierci z poddaniem. Dręczy go jedyna obawa, ażali myśl zawarta w jego dziele, ma z nim razem przepaść dla świata?

Kiedy starzec przemyśla smutno, pojawia się Retikus. Jemu to mistrz powierzył dzieło swoje. Wierny uczeń składa mu drukowaną księgę. Paweł III przyjął derykacją. Jasny promień po raz ostatni połyka w żrenicy konającego, i dogasa łagodnie.

Wstrzymujemy się od wszelkich uwag. Niech czytelnik sam, (nie powiemy) „dośpiewa czułą pieśń w duszy swojej“ ale zbije przewrotne rozumowania. Dodamy tylko, że pan Prove otrzymał order Orła czerwonego, po przedstawieniu dramatu w czasie uroczystości toruńskich. W braku odpowiedniego artysty, autor sam odgrywał rolę Kopernika.

Ani otrzymany krzyż, ani oklaski jakimi niemcy obsypali sztukę nie nagrodziły panu Prove bolesnego zawodu. Obojętność tak niemieckich jak włoskich delegatów, przybyłych na obchód, raniła go w najdotkliwszy sposób. Napróżno delegowany z Gdańska dowodził wymownie, że „Kopernik jest ozdobą Niemiec, że nawet dwie szkoły realne i gimnazjum gdańskie podzielają tę opinię.“ Inni uczeni w mowach swoich, albo jak Dr. Knoblauch z Halli, pomijali rzecz o narodowości jubilata, albo jak Dr. Burns z Lipska nazywali go po prostu Turuńczykiem, albo jak Dr. Galle z Wrocławia, silnie obstawali przy szlaskim jego rodowodzie, utrzymując, że wieś Kopernik, przezwana obecnie Reichenbach, w bliskości Frankenstejnu, nie myśli ustępować praw swoich. Słowo ich przebrzmiało bez oklasków. Odebrał je za wszystkich jeden tylko rektor królewiecki, który uznając wielkość Kopernika jako astronoma, większą stokroć przypisuje mu chwałę, że „był mężem opozycyi, przeciwko wiekowemu przesądowi, że zburzył narzucane z góry dogmata. Idźmy dalej—wołał—tą drogą, a za sto lat ujrzymy nowy porządek w świecie.

— Ujrzymy komunę paryzką! — przerwał jakiś głos nieproszony.

Większy zawód spotkał p. Prove ze strony Włochów. Napróżno Towarzystwo Kopernikowe, czatując na dworcu kolei żelaz-

znęj, porwało podstępnie pana Occioni delegowanego od rzymskiej *Sapienza*, który sam nie wiedział jakim sposobem znalazł się na uczcie niemieckiej, otrzymawszy mandat na posła do przeciwnego obozu; nie też dziwnego, że zakłopotany włoski professor, przemilczał o narodowości wielkiego astronoma.

Przemilczał o niej zarówno professor Palavicini delegat padewski i boloński, wzięty za Polaka przez Niemców, dla których Bolonia i Polonia brzmią prawie jednakowo.

Trudnoż było zaprawdę, aby delegowani włoscy poważyli się nazwać Niemcem Kopernika, skoro czytali na własne oczy imię jego *Nicolaus Polonus*; zapisane w archiwach szkolnych, tak w Rzymie jak i w Padwie. Świadcstwo obcych musiałyby dla nich umilknąć w obec świadectwa jakie dał sam o sobie Kopernik, mianując się Polakiem.

Fiasko Niemców było zupełne. Zwycięzcy Sadowy i Sedanu, pobici zostali w Toruniu, w tym „*starogermańskim*“ grodzie, który jeden z mówców nazwał poetycznie „wysuniętą naprzód armatą niemiecką, postawioną na czatach u Wisły.“

Z powodu rozszczeń niemieckich o narodowości Kopernika, przypomnimy tu dowcipne słowo Fryderyka Chopina. Będąc razu jednego w Berlinie w towarzystwie niemieckim, słuchał sporów toczących się w tym przedmiocie. Zniecierpliwiony w końcu: „Takim sposobem, panowie, to Jezus Chrystus rodząc się w Judzie, powinien być uważany za Turka.“ Argument młodzieuchnego wówczas artysty zamknął usta uczonym professorom.

Znany archeolog Emil Montaignu, p. t. *Impressions de Voyage et d'art*, wydaje nadzwyczaj ciekawą i nauczającą podróż po rozinaitych stronach Francji. Wszystkie ustępy dzieła jego, kreślone z drobiazgową ścisłością, odznaczają się wysokim smakiem artystycznym.

W opisie Burgundji potrafił autor o kilka miejscowości zanadto blisko obchodzących dzieje kraju naszego, abyśmy je mogli pominąć. Wiadomo czém było dla nas w wiekach średnich opactwo Kluniackie; zobaczymy jak p. Montaignu określa jego znaczenie dla całego chrześcijańskiego świata.

„Spokojna powaga miejscowości — mówi autor — zlewa się harmonijnie z historją sławnego Kluniaku. To opactwo umiało z całą

godnością przez pierwsze wieki istnienia swego, utrzymać się na wielkiem stanowisku jakie zajmowało w świecie. Założone przez Wilhelma pobożnego księcia Akwitanii, wolne od wszelkiej zależności, obdarzone takimi przywilejami, że sama nawet stolica apostolska zatwierdziwszy je raz, odebrała sobie prawo czynienia im uszczerbku, opactwo Kluniackie kwitnęło przez cztery wieki jako powszechna rzeczpospolita chrześcijańska. Tysiące monarchów rozrzuconych po świecie, uznawało zwierzchnictwo Kluniaku, rozwijało się pod jego wpływem, żyło jego życiem, jego myślą. Tu w cieniu klasztornych murów zrodziła się ta zacięta walka duchowieństwa z cesarstwem, która miała przetrwać trzy wieki i obalić dwa domy panujące. Tu żył i rozmyślał wielki Hildebrand, późniejszy Gregorz VII, pierwszy szermierz w tych wiekowych zapasach, tu zasięgał rady świętego opata Hugona, karmił się jego duchem. Tu obmyślonem było owo sławne spotkanie w Canossa, gdzie przed obliczem papieża, wystąpił Henryk IV, w koszuli, boso, zsiniały od zimna, brnący po kostki w śniegu. Tu w połowie XIII wieku, Inocenty IV jadąc do Lyonu na konsylium, odbył zjazd z królem Francyi Ludwikiem Świętym. Jak olbrzymio-rozległe musiały być mury opactwa, skoro pomieściły papieża z licznym orszakiem, króla Francyi z dworem całym, cesarza Konstantynopolu, królów Arragonu i Kastylii, a oprócz tego mnóstwo duchownych i świeckich dostojników.

Opactwo Kluniaku zawdzięcza przewagę swoją w historii, powadze i świętobliwości pierwszych opatów swoich. Byli nimi tacy szermierze chrześcijańscy jak 5-ty Oton, 5-ty Majol, 5-ty Odillon i 5-ty Hugo. Ostatni z nich przerasta głową poprzedników, ale nie 5-ty Majol urządził pierwszy opactwo, zaprowadził karność zakonną, utworzył kadry tej wielkiej milicyi, która miała rozejść się po krainach ziem chrześcijańskich, i podał jej oręż na przyszłe zapasy. 5-ty Odillon piąty opat, oprócz innych pamiętnych czynów, zaprowadził dwie niesłychanie ważne instytucye. Jemu to ludy wieków średnich zawdzięczały ów sławny *Pokój Boży*, to jest obwarowany prawem rozejmu, prawdziwe dobrodziejstwo wśród bezustannych walk feudalnych. On także postanowił pierwszy święto umarłych, dzień Zaduszny, obchodzony do dziś dnia religijnie po wszystkich krajach.

Instytucye Kluniaku—mówi Montaigu—miały trwać długie wieki, jako zrodzone z myśli świętych; ale chwila najwyższego rozkwitu opactwa, miała być krótkotrwałą. Założone w wieku X-tym, istniało wprawdzie do rewolucyi francuzkiej; lecz duch który je ożywiał, zgasł w trzy wieki po jego założeniu. Z końcem wieku XII-go, poczęło ustępować z wielkiej widowni świata. Niekiedy jeszcze Kluniak przyświecał dawną chwałą, jak w dniu gdy przyjmował Ludwika 5-go i papieża; ostatnie przecieź słowo swoje wyrzekł ze skonem Piotra wielbnego. Odtąd Benedyktyni dali się wyprzedzić braciom młodszym Cystersom, założonym przez 5-go Bernarda.

Opactwo Kluniackie straciło wówczas charakter prawdziwie zakonny, a stało się uprzywilejowanym apanagium książąt krwi królewskiej, bądź francuzkiego, bądź angielskiego domu. Od końca XII do XV-go wieku, wybory opatów odbywały się na mocy powszechnego głosowania; pozor prawazachowany był jeszcze; ale od czasu Konkordatu Franciszka I-go z Leonem X-tym, opactwo postradalo wszelką samodzielność. Same nazwiska opatów z trzech ostatnich stóleci świadczą wymownie o tém: dość przytoczyć Gwizyuszów, Kontich, Richelięgo i t. p. Jeśli Kluniak mienił się jeszcze pierwszym zakonem chrześcijańskiego świata, zawdzięczał to jedynie świetności zwierzchników swoich.

Jeden z tych opatów, kardynał de Bouillon, pozostawił w Kluniaku niezgasłą dotąd pamięć. Był on synowcem wielkiego Turenusza, a synem księcia de Bouillon, sławnego za Ludwika XIII-go ze spisków przeciwko kardynałowi Richelien. Tradycje jakie przechował o nim Kluniak, odpowiadają poniekąd tym, jakie po Radziwille „Panie kochanku“ przyrosły do murów Nieszwieza.

Pełen pańskiej fantazyi, próżny, rozmiłowany w zbytkach, opat pełnemi garściami rozsiewał złoto wkoło siebie. Przebywając w Rzymie czas jakiś, wyrzucał na utrzymanie domu 100,000 liwrów miesięcznie (500,000 franków). Równie lekkomyślny jak marnotrawny, obraził kilkakrotnie na siebie Ludwika XIV-go. Pozbawiony znacznej części dochodu, korzył się znów przed królem, a otrzymawszy przebaczenie broił po dawnemu. Związek z Eugeniuszem Sabaudzkim, zgubił go ostatecznie w opinii królewskiej: Montaignu przytacza dziwny objaw zemsty Ludwika XIV-go.

Dumny kardynał postanowił uwiecznić pamięć rodziców swoich, pomnikiem jakiego nie było we Francyi, wspanialszym od wszystkich królewskich grobowców. Plan jego prawdziwie olbrzymi. Miał on osiągnąć najwyższych sklepień ogromnego kościoła Kluniackiego. Po dwóch stronach widać dwa posągi naturalnej wielkości: jeden przedstawia protoplastę domu, sławnego Godfryda z Bouillonu króla Jerozolimy, drugi fundatora Kluniaku Wilhelma pobożnego księcia Akwitanii. Po nad monumentem ugrupowane figury alegoryczne: czas, miłosierdzie, siła i t. p. W pośrodku na sarkofagu pomieszczony posąg księcia i jego małżonki. Książę leży wsparty łokciem, w postawie głęboko zamyślonój; naprzeciw niego siedzi księżna wytwornie przystrojona; ukazuje mu werset skreślony w wielkiej księdze, którą trzyma skrzydlaty aniołek. Rozrzuczone symbole katolickie, zarówno jak ten werset, okazują że książę był Hugenotem i powrócił na łono kościoła, za namową żony Eleonory z Bergu.

Kardynał urzeczywistnił dumny pomysł. Wszystkie części grobowca, wykonane tak we Francyi jak we Włoszech, nadeszły już do Kluniaku w starannie opakowanych skrzyniach; potrzeba tylko było ułożyć z nich olbrzymią całość, kiedy spadł wyrok Ludwika XIV-go, zrodagowany przez ministra d'Aguesseau, zakazujący usta-

wienia pysznego mauzoleum, pod pozorem, że kardynał chce unieśmiertelnić pomnikiem grobowym zbyt pyszne roszczenia domu swego. Skrzyżnie pozostały zamknięte, większa ich część przepadła. Zachowały się tylko dwa posągi księcia i księżnej; wieża ozdobna blankami, i skrzydlaty aniołek. Wieżę można widzieć w Muzeum Kluny w Paryżu, posągi zarówno jak anioł zdobią dziś kaplicę Kluniacką.

„Mało kto domyśla się—mówi Montaigu—że w początkach jeszcze obecnego stolecia, istniał w małym miasteczku burgundzkim, kościół wyrównywający ogromem rozmiarów, Bazylicę ś-go Piotra w Rzymie. Pierwsze opactwo świata, miało godny siebie przybytek. Na długi czas przed tem, zaczęł Mikołaj z Sarzana powziąć myśl rzymskiej Bazyliki, dwaj mnichy z Kluniaku, zawołani architektci, nakreślili widziany we śnie plan olbrzymiego kościoła swego. Po nad dach wybiegało pięć strzelistych dzwonnicy; wewnątrz zajmowała naj-przód wielka krucha, czyli kościół katechumenów, dalej pięć naw opartych na sześćdziesięciu pilastrach, dwa transepsy tworzące krzyż arcybiskupi. Trzysta okien oświecało tę przestrzeń. Dziś z owęj olbrzymiej całości, pozostała tylko wieża ośmiokątna, w stylu czysto romańskim, i południowe skrzydło transepsu zamienione w kaplicę. Drobną ten stosunkowo szczątek, daje przecież pojęcie ogromu dawnej budowy. Kaplica łatwo mieści w sobie sześćset młodzieży, składającej kollegium i szkołę normalną w Kluniaku. Po drugiej stronie pozostała też jedna z niezliczonych kaplic, tworząca dziś odrębną budowę.

Mury starożytnego opactwa wraz z przepyszny kościołem, wysadzone były minami za czasów konsulatu, przez towarzystwo przezwane *Bandą czarną*. Ocalał tylko stary pałac Opatów, dzisiaj prywatna własność. Obecny właściciel urządził w nim bogate muzeum otwarte zawsze dla podróżnych. W obszernych salach i galeriach ciekawi oglądają przepyszne kapitale, złoty kolumn i szczątki starożytnych grobowców, ś-go Hugona i innych opatów Kluniackich.

Miasteczko dziwny przedstawia obraz. Opactwo znikło, ale gruzy jego posłużyły do zbudowania wszystkich istniejących dziś gmachów. Ratusz, sąd pokoju, kollegium, szkoła normalna, prywatne domy, nawet słowem co tylko tu istnieje, powstało z rumowisk starożytnego monasteru. Rozległe ogrody opasują miasto zielonym gajem, tu pod cieniem kilkunastowiecznych jaworów i kasztanów, płąsa swobodna dziatwa.

P. Montaigu, lubo jak wiemy z kąd inąd, dobrze obznajmiony z historią naszą, nie wspomina bynajmniej o długo upowszechnionej tradycyi, jakoby nasz Kazimierz Odnowiciel czyli mnich, przebywać miał kiedykolwiek w opactwie Kluniackim. Za to mówiąc o Dijonie, żywo kreśli postać innego Piasta, Władysława Białego, i z wielką dokładnością opisuje grobowiec jego w kościele świętej Benigny.

niegdys należącym do opactwa Benedyktynów Diżońskich. Do życiorysu księcia posłużył mu memoryał p. Amanton, akademika z Dijon, skreślony w r. 1832. Postać Władysława Białego, znana dobrze w historii naszej, dziwić się tylko wypada, czemu osobistość tak odrębna, tak typowa, a do tego—jak słusznie uważa Montaigu—tak silnie skupiająca w sobie rysy narodu, który ją wydał, osobistość osnuta pasmem dziwnie poetycznych wypadków, postawiona na widowni w czasach wielkiego przełomu w historii naszej, czemu pytamy, postać taka natchnęła jednego tylko prawdziwego poetę, nieodżałowanego Dominika Magnuszewskiego?

Nie będziemy tu powtarzać za autorem szczegółów z życia naszego Piastowicza. Memoryał z którego czerpał Montaigu, drukowany był przed kilkunastu laty w Bibliotece Warszawskiej: artykuł zaś Juliana Bartoszewicza w Encyklopedyi, wyczerpał rzecz do reszty. Cokolwiek należy do historii księcia Gniewковского, znane już najdokładniej w kraju naszym: poetom tylko i artystom wypada snuć dalszy wątek, z danych jakie posiadamy, lecz na to nie miejsce tu ani pora.

Nagrobek Władysława Białego, jakim przedstawia go rysunek zamieszczony w Bibliotece przy biografii, tworzył wielką płytę kamienną, wprawioną w posadzkę na środku kościoła. Takim jeszcze widzieliśmy go w roku 1865. Odtąd owa rzeźbiona płyta, odnowiona kosztem księcia Władysława Czartoryskiego, pomieszczoną została w ścianie kościoła, którego najcenniejszą jest ozdobą. Montaigu tak wysokie pod względem sztuki nadaje znaczenie owemu grobowcowi, że go liczy do pierwszorzędnych pomników Dijonu, gdzie są przecież sławne groby książąt Burgundzkich!

Zobaczymy jak go opisuje oko znakomitego archeologa, estetyka dopatrzyła tu zapewne nie jeden szczegół, który mógł ująć uwagi poprzednich badaczy.

„Kościół świętej Benigny—mówi autor—posiada przedmiot najwyższego znaczenia, a światły podróżnik ciekawy rzeczy nowych, powinien zwrócić się przedewszystkiem do grobu Władysława Białego. Z pomiędzy tyłu osobistości historycznych w Diżonie, ten grobowy kamień najodrębniejszy ma charakter.

„Rysunek powierzchni zaciekawia odrazu jako tajemnicza zagadka. Patrząc nań, chcielibyśmy poznać historię meża, który spoczywa pod tą płytą. W pośrodku przedstawiony jest wizerunek zmarłego. Mąż to lat dojrzałych, ponurego oblicza, na którym artysta umiał oddać głęboką pobożność, pokrywającą charakter gwałtowny i niemięty. Ręce złożone do modlitwy i nogi wsparte na dwóch łwach nadzwyczaj piękne i delikatne. Anioł przypominający kształty niewieście, unosi wieniec powyżej jego głowy. Czyliż go na niej złożony? Po obu stronach czoła, dwaj inni aniołowie trzymają w jednym ręku tarczę, w drugiej dwie strony królewskiego dyademu; ażaliż go położą na tém czole? Rzecz wątpliwa, zdają się wahać, jak gdyby

czekali na hasło. Szczegół godny uwagi, że dwie strony dyademu, w sposób w jaki przedstawiają się oczom, tworzą niby dwa wielkie ośle uszy. Zrazu można sądzić, że to prosty przypadek, lub nieuwaga artysty; ale poznawszy bliżej nadzwyczajne przygody księcia, łatwo przypuścić, że artysta miał jakąś myśl ukrytą. Ubiór książęcy tworzy tunika białowana na rękawach sześcioma rzędami galonów, obłożona futrem. Wokoło postaci tworzą jakoby ramę, łuki architektoniczne katedry lub opactwa, podzielone na sześć nisz, zakończonych w górze dzwonekami. W każdej niszy przedstawiona osobna figura. Trzy z nich wyobrażają mnichów, czwarta śmierć w habitie zakonnika, piąta mnicha z mieczem, zapewne rycerza teutońskiego; szósta postać z palmą, jakoby pielgrzyma w drodze do Jeruzalem. Wszystkie te godła są w harmonii z żywotem zmarłego, który był zarazem kandydatem do korony Piastów, jak niemniej krzyżowcem, pielgrzymem i mnichem.“

Nasz Piast zmarły jak wiadomo w Strasburgu 1 marca 1388 r. chciał aby zwłoki jego przeniesione zostały do Dijonu, gdzie przebywał jako Benedyktyn. Tu przez długie czasy—mówi Montaigu—odbywał się coroczny uniwersarz za jego duszę, zwany *uniwersarzem króla Lancelota*. Bartoszewicz utrzymuje, że nabożeństwo doroczne za Lancelota odbywa się po dziś dzień w Dijonie; również jak inne za księcia Gniewkowskiego. Trudno nam wyrokować który z dwóch uczonych jest w błędzie. Powtarzamy tylko uwagi p. Montaigu wykazujące tożsamość tych dwóch osobistości w kościele ś. Benigny.

„Biografowie Władysława—mówi dalej francuzki archeolog—nie umieli wytłumaczyć, czemu księcia z domu Piastów przezwano Lancelotem? może być że imię *Ladislav* mało używane we Francyi przerobiono mimo woli na Lancelot, ponieważ jednak ta przemiana zrodziła się w klasztorze, łatwo ztąd przypuścić że jak ów dyadem tworzący ośle uszy wryty na grobowcu, nazwa ta jest alluzją do charakteru księcia i burzliwych przygód jakie przechodził. Don Quisnot nie istniał jeszcze, ale za to Lancelot z Jeziora nadzwyczaj był popularny, dzięki poematom *okrągłego stołu*. Przewano zapewne Władysława Lancelotem, z powodu jego romantycznego charakteru. Trudno zapewne o trafniejsze porównanie, ten bowiem książę potomek królewskiego domu Piastów, należy do najsympatyczniejszych ofiar jakie stworzyła kiedykolwiek wyobraźnia ludzka. Podobnych mu postaci więcej znajdujemy w poetycznych podaniach, niżli na kartach dziejów.

„Osobistość Władysława Białego—ciągnie autor—prawdziwie odrębna i typowa. Kapryśny, romansowy, niestały, postradał lekomyślnie tron, który mu z prawa przypadął. Byłże on w rzeczy samej nieszczęśliwy? ażaliż on nie należał do tych wyjątkowych istot, które potrzebują gwałtownych wstrząśnień, silnych bodźców, potężnych wrażeń: które z wewnętrznego usposobienia, wolą żyć godzinę pełnem życiem, niżli wegetować rozsądnie całe lata? Kochał on

z zapalem młodą kobietę którą przedwcześnie stracił; miał upodobanie w nadzwyczajnych przygodach, znał cierpkie rozkosze dumy i wielkie pociechy religijnego zachwytu. Spełnił po kropli czarę idealnych uniesień. Jeżeli mimo to wszystko mamy widzieć w nim nieszczęśliwą ofiarę, powiedzmy przynajmniej, że uniknął owę prozaiczną metody co czepia się częstokroć życia nieszczęśliwych jednostek i szczęśliwych narodów.*

W obecotwartego grobu Napoleona III poważniejsi publicyści paryscy, okazali spokojną godność czyniącą im prawdziwy zaszczyt. Najpiękniejszy przykład w tym względzie dała w dzienniku Temps pani Georges Sand, którejby nikt przecież nie posądził o bonapartyzm. Słowa jej nacechowane umiarkowaniem i prawdziwym smakiem, pełne wymowy a nawet żywego współczucia, powszechną zwróciły uwagę.

„Jako człowiek w życiu prywatnym—mówi sławna autorka—posiadał on rzeczywiste zalety. Miałam sama sposobność dostrzedz w charakterze jego stronę prawdziwie szczerą i wspaniałomyślną. Jego marzenia o wielkości Francji, świadczą o umyśle chorobliwym może, ale zawsze niepospolitym.

„Francya zaprawdę nazbyt spadłaby nisko, gdyby znosiła przez dwadzieścia lat wszechwładztwo *Kretyna* pracującego wyłącznie dla siebie, potrzebaby w takim razie zwątpić o niej na wieki wieków. Wzięła ona wprawdzie ten meteor za pierwszorzędną gwiazdę; milczącego marzyciela za głębokiego mędrca. A potem widząc go upadającego pod nawalem klęsk, które do niej należało przewidzieć i uprzedzić, Francya nazwała go nikczemuikiem!

„Napoleon nie był nim! nie brakło mu zinnéj odwagi, nie sądzę nawet aby mu szło o życie.“

Słowa te niepospolitej pisarki o niepospolitym bądź co bądź mężu, równie zaszczytne są dlatego, do kogo wyrzeczone, jak i dla tój co je wyrzekła.

O takiej osobistości jak Napoleon niepodobna przemilczec nam w kronice naszej. Nie myślimy kreślić tu jego zyciorysu, ani wchodzić na pole zapasów politycznych. Trzymając się ściśle w obrębie literatury, przytoczymy tylko szereg prac naukowych, jakie wyszły w ciągu lat trzydziestu, z pod pióra tego niezmiordowanego pracownika. Nie naszą rzeczą wdawać się w ich szczegółowy rozbiór, same przecież tytuły owych ksiąg świadczą o różnostronnej nauce człowieka, którego cień nie zatrze się w historii.

Dzieła Ludwika Napoleona (oprócz historii Cezara) tworzą cztery obszernie tomy. Jestto zbiór rozpraw ekonomicznych, politycznych, strategicznych i t. d. Na czele pierwszego tomu pomieszczona głośna rozprawa pod tytułem *Ideés Napoleoniennes*, wydana w Londynie r.

1840. Ludwik Napoleon wyjaśnia w niej myśli i zamiary Napoleona I. Praca ta wyszła w chwili tryumfalnego powrotu zwłok jeńca Ś. Heleny. „Nie idzie nam tylko o popioły, potrzeba nam sprowadzić idee cesarza,“ taki epigraf kładzie autor na początku. Nie obala on wszystkich zarzutów czyuionych Napoleonowi I-mu, niektórym przyznaje zupełną słuszność, wykazuje tylko wielkie trudności z jakimi stryj jego musiał walczyć.

„Kto dojsé pragnie do celu—mówi autor—musi użyć stosownych środków: oto całe usprawiedliwienie Napoleona. Dlatego to wewnątrz kraju gruntuje religią, ustanawia porządek, każe szanować prawo, na zewnątrz zaś tworzy potężną ligę przeciw odwiecznej i nieprzeblaganéj zapaśniczej Francyi, która wikła ją w ciągłe wojny. Ale do tych koniecznych czynów polityki w których połowicznie tylko objawia się jego myśl, brakło dopełnienia: tém dopełnieniem jest pamiętnik Ś. Heleny. Dyktaturę niezbędną w obec uzbrojonej Europy, miały zastąpić rządy liberalne. Ofiarą i chwilowym przy-musem, trzeba było okupić wolność. Cesarz nie miał czasu dokonać rozpoczętego dzieła, było to błędem że wciągu dziesięciu lat chciał dopełnić zadanie lat trzydziestu. Wielkie jego powodzenia, tryumfy niesłychane naszych armij, prace dokonane w różnych stronach Cesarstwa, czyliż to wszystko nie tłumaczy go że zanadto zaufał swojej gwiazdzie, że przedsiębrał niepodobieństwa? Szedł on do celów swoich niezgięty w obec przeszkód, nie licząc nieprzyjaciół których tylekrotnie pokonał!“

Kończy autor stawiając na przyszłość własny program.

„Nie godzi nam się—mówi on—deptać po śladach republikańskiej Romy, ani też parlamentarnej Anglii; byłby to prawdziwy anachronizm, narazenie własnych instytucyj naszych uświęconych wiekową tradycją.

„Wewnątrz potrzeba nam prowadzić dalej rozpoczęte dzieło Cesarstwa, jednocząc partye, obracając wszelkie zdolności na pożytek kraju, otwierając wygnancom progi ojczyźstéj ziemi, organizując kredyt publiczny, zdobywając Paryż i wielkie miasta, zinniejszając nędzę ludu, przez dostarczanie pracy robotnikom, urządzenie dobroczynnych zakładów i towarzystw wzajemnej pomocy.

„Na zewnątrz możliwe tylko trzy polityczne systemata. Pierwszy: propagandy rowolucyjnej, ten zużyty już i zohydzony. Drugi: pokoju bądź co bądź; ten niegodny wielkiego narodu, który szedł zawsze na czele cywilizacji europejskiej. Trzeci systemat umiarkowania i godności, liberalny w miarę, łagodny i pojednawczy, a nade-wszystko bezinteresowny. Taki był, taki być powinien programat Cesarstwa pod natchnieniem idei Napoleońskich.“

Po téj rozprawie idzie druga praca napisana pod ryglami w twierdzy Ham r. 1841. Nosi ona cechę głębokiego rozmysłu. Jestto porównawczy obraz dwóch dramatów dziejowych, z dwóch stron cięś-

niny Kaletańskiej, zakończonych w Anglii przyjściem do władzy Wilhelma III r. 1688; we Francyi upadkiem Burbonów r. 1830.

Daléj następuje list do p. Chapuis. Autor odpowiada nim na zarzuty Lamartina wymierzone przeciw Cesarstwu. Oddaje hołd zdolnościom wielkiego poety, a zarazem ubolewa nad nieprzeblaganą nienawiścią, odbierającą mu wszelkie poczucie sprawiedliwości. Kończy list temi słowy:

„P. Lamartine ma łzy dla Burbonów, uniewinnia ich błędy i gwałty ministra Polignaka, a oko jego suche, słowo zaprawne goryczą na widok orłów padłych pod Waterloo i cesarza konającego na dalekiej gdzieś wyspie.“

Tom pierwszy zamyka praca z roku 1833 pod tytułem *Marzenia polityczne*. Chateaubriand przebywający wówczas w Szwajcaryi, zwrócił uwagę na tę rozprawę młodego publicysty. „Dyktatura Napoleona I—mówi tu autor—prowadziła nas do wolności, tak samo jak żelazny lemiesz krając ziemię na skiby, sposobi ją do wydania bujnych plonów.“

Drugi tom nosi ogólny tytuł *Mieszaniiny* (Mélanges). Są to zebrane artykuły w rozmaitych przedmiotach, pisane to w Szwajcaryi w zamku Arenenberg, gdzie książę przebywał z matką, to w więzieniu Ham. Z pomiędzy tych żywe budzi zajęcie, list do matki królowej Hortensyi z października 1836 r. Jestto wierny opis zuchwałego zamachu strasburskiego, wyjazdu z Francyi i podróży po Ameryce. W końcu listu czytamy słowa świadczące o wielkiej energii.

„Można żałować tego co się postradało, nie żałując tego co było uczynioném.“

W tymże zbiorze znajdujemy przekład poematu Schillera *Idealy*. „I ja téż byłem w mojej Arkadyi!“ Przekład ten dokonany w więzieniu Consiergeries w r. 1840.

Jest tu niemniej ważna rozprawa ekonomiczna, napisana w twierdzy Ham w r. 1844: *Jakim sposobem zniszczyć pauperyzm*.

Daléj idzie obszerno studyum nad fabrykacją cukru. Tu czytamy piękne słowa, wyrzeczone w imię przemysłu krajowego.

„Szanujcie mnie, bo ja wzbogacam ziemię, użyzniąm zżałowione odłogi, zajmuję ręce, które bezemnie byłyby zmuszone próżnować; ja nakoniec rozwiązuję najważniejszy problemat nowożytnych społeczeństw: organizuję i umoralniam pracę.“

W tymże tomie pomieszczony *Projekt nad prawem rekrutowania armii* (1843).

Uwagi polityczne i militarne nad Szwajcaryą, napisane w roku 1833 podczas pobytu w Arenenberg.

Zyciorys Józefa Bonapartego, skreślony zaraz po jego śmierci r. 1844.

Projekt połączenia dwóch oceanów: Atlantyckiego i Spokojnego, kanałem Nikaragua.

Trzeci tom obejmuje *Zbiór* dokumentów politycznych, od roku 1848 do 1855, z czasów prezydentury i początku Cesarstwa.

Czwarty poświęcony wyłącznie strategii.

Oprócz tego cesarz Napoleon jak wiadomo napisał *Historję Juliusza Cezara* w trzech wielkich tomach, z których dwa ogłoszone były drukiem. Obszerne z nich sprawozdanie ogłosiliśmy w swoim czasie w Bibliotece Warszawskiej.

Na polu dramatycznym w Paryżu nie się w tych czasach nowego nie pojawiło. Najważniejszym wypadkiem jest wznowione przedstawienie Marion de Lorme, jednego z pierwszych i najwyższyc cenionych dramatów Wiktora Hugo. Nie myślimy wdawać się w rozbiór sztuki, zwłaszcza że Warszawa miała sposobność poznać i ocenić to dzieło, podniesione grą znakomitych artystów naszych.

Dramat Marion de Lorme ukazał się niemniej w nowém wydaniu. Wiktor Hugo przebywający obecnie w Guernsey napisał do niego przedmowę, w której wyjaśnia powody zatrzymujące go opodal Paryża. Przytaczamy tu ustęp dziwnie smętny i poetyczny.

„Pojawienie się Marion de Lorme na scenie, datuje od 1831 r. Czterdzieści dwa lat dzieli to pierwsze przedstawienie od terazniejszego.

„Autor był młodym, dziś postarzał; był obecnym, dziś jest daleko; miał przed sobą nadzieję, dziś ma za sobą życie.

„Nieobecność jego może się wydawać uporem; nie należy tak sądzić. Ludzie których siwizna ostrzega, a przed którymi czas skraca się z każdą chwilą, tacy ludzie mają niejedno dzieło do skończenia, obowiązani zostawić testament ducha swego. Nadchodzący kres może nagle przerwać im pracę; nie wolno uronić im ani dnia, ani godziny. Ztąd surowa konieczność oddalenia i samotności! Człowiek ma obowiązki względem myśli własnej. Wreszcie każda podróż wymaga przygotowań. Wstęp w nieskończoność oczekuje nas wszystkich, a samotność i oddalenie nazwałby można rodzajem zmierzchu, który sposobi duszę do przejścia z tej wielkiej ciemności do owego wielkiego światła.

Autor pragnie wytłumaczyć nieobecność swoją tym, którzy o nim nie zapomnieli. Nie chciałby sięgnąć na siebie zarzutu niewdzięczności“.

Hauteville-House 1 lutego 1873.

Dowiadujemy się że Wiktor Hugo pracuje właśnie nad wykończeniem obszernej powieści, z czasów wielkiej rewolucyi francuskiej.

Dramat Aleksandra Dumasa *Żona Klaudyusza*, wygwizdany na pierwszych przedstawieniach, potępiony bezwarunkowo przez większość krytyków, nie ustąpił jednak z afiszu teatru *Gymnase*. W zeszcłej kronice powiedzieliśmy zdanie nasze o tym dramacie, i bynajmniej go nie cofamy. W oczach naszych jestto chybiony utwór. Kto chce zbyt wiele dowieść, nie dowiedzie nic, a częstokroć nawet wprowadzi w błąd słuchacza albo czytelnika. Pomimo tej wadliwej strony sztuki, nie rzuciliśmy nigdy kamieniem na autora. nie posadziliśmy go nigdy o systematyczną chęć rzucaenia w serca gorszącego posiewu.

Dumas gorzko uczuł zarzut niemoralności i pragnie uwolnić się z niego wszelką siłą. Dowiadujemy się że posłał rękopism sztuki swojej biskupowi Orleanu; że wkrótce potem był na obiedzie u tego pasterza znanego z surowych i nieprześląganych zasad. *Żona Klaudyusza* nie wyszła dotąd z druku. Ciekawi jesteśmy przedmowy, w której autor odpowie niewątpliwie na tysiączne pociski krytyki. Nie łatwa to będzie szermierka; pozory bowiem mówią silnie przeciw autorowi, a świat przywykł sądzić z pozorów.

Dyrekcya teatrów berlińskiego i wiedeńskiego, zgłosiły się o pozwolenie przedstawienia tak głośnej sztuki. Berlińską zbył Dumas lakonicznie, oświadczając wręcz że nie sprzeda jej dramatu swego nawet na wagę złota, wyjąwszy chyba... gdyby jako honoryum Prusy powróciły wydartą Alzację.

Dla Wiednia okazał się względniejszym. Oto list pisany do dyrekcji Carl-teatru, wyjęty z *Neue Freie Presse*.

„Sztuka moja wywołała w Paryżu jak się spodziewałem, nadzwyczaj surową krytykę; ale publiczność nasza rozdrażniona politycznymi wypadkami dwóch lat ostatnich, zaczyna wreszcie lepiej rozumieć mój dramat. Mam nadzieję że publiczność wiedeńska spokojniejsza i przynajmniej dziś wyjącejniej zajęta stroną artystyczną, przekona się, że autor sztuki nie jest owym strasliwym potworem, jakim go ogłosiło wielu z pomiędzy współrodaków.

Posyłam rękopism *Żony Klaudyusza*, poprawiony przezemnie, z prawem własności dla Wiednia, Austrii i Węgier. Nie chcę wchodzić w stosunki z Prusami tak wprost jak w sposób pośredni; dlatego to postanowiłem, że prawa jakie na was zlewam nie tyczą się publikacji dzieła.

Gotówbym raczej rzec się przedstawienia dramatu na wiedeńskim teatrze, niżli pozwolić na niemiecki jego przekład, zacząćm zostanie ogłoszony drukiem po francuzku.

Pragnę także, aby tantiemy przypadające mi z przedstawień w Węgrzech, obrócone tam były na cele dobroczynne. Mały to upominek dla Węgrów; niechaj go przyjmą jako dowód gorącego współczucia mego.“

Ernest Legouvé, najulubieńszy z akademików i popularnych mówców francuzkich, niesłychane sprawił wrażenie, nową konferencyą, na poranku dramatycznym w teatrze Gaité, gdzie przedstawiano stary dramat pana Colle, pod tytułem *Henryk IV na łowach*. Sztuka ta miała niegdyś bardzo świetne czasy, które już oddawna przeminęły. Grano ją nie tylko w Paryżu, ale i we wszystkich krajach europejskich. Warszawa cieszyła się nią za czasów Wojciecha Bugusławskiego, który wykonał piękny jej przekład, drukowany w zbiorze jego prac dramatycznych.

Nie o dramacie mówić tu będziemy, ale o towarzyszącej mu konferencyi Legouvégo. Drażliwy to był przedmiot, w obec dzisiejszych stronnictw politycznych i pretensyi hrabiego Chambord. Potrzeba też było całej zręczności mówcy, aby zeglować umiejętnie po literackich falach, nie zawadziwszy o Scyllę ni o Charybdę. Pan Legouvé wywiązał się wybornie z zadania, a wielka popularność jaką imię jego otoczone, sprawiła że nietylko rzecz przeszła bez skandalu, ale co wyżej, że dyrekcya na naleganie publiczności uprosiła go o powtórny konferencyą.

Prelegent przebiegłszy pokrótce przygody Henryka IV, zwrócił się do czasów obecnych; jał mówić o monarchii, o rzeczypospolitej, słowem o najdrażliwszych pytaniach postawionych dziś na porządku dziennym. Z niesłychanym taktem upominał, aby dzisiejszych nieważności nie przenosić na dawne czasy, i tego co zamarło w rzeczywistości, nie odzierać z poetycznego uroku. Z drugiej znów strony naganiał oszczerstwa rzucane na rzeczpospolitą, przez zaciętych reakcyonistów.

„Rzeczpospolita—mówił Legouvé—to według mnie najrozumniejsza forma rządu; ale też aby ją godnie zrealizować, potrzeba na to bystrego rozumu, ona zaś najmniej go daje. Widzimy wielką część stronnictwa republikańskiego, które w ślepej reakcyi przeciwko przeszłości, gotowe zapomnieć całkiem dobroczynnych wpływów monarchii, lub przynajmniej zmniejszyć ich wagę. Ci fanatycy idei, radziby wymazać z kronik narodu, wszystkie wieki upłynione przed końcem XVIII-tego.... Nie godzi się przecież wypierać przeszłości, jak się nie godzi wypierać terażniejszości. Kto tak czyni znieważa przyszłość! Jak tu wytłumaczyć naprzykład owo pozacieranie na drzewiach liceów naszych imion Henryka IV i Ludwika Wielkiego. Gdyby dwaj geniusze, których imionami zastąpiono tamte imiona, gdyby Kornel i Kartezjusz mogli przemówić z poza grobu, wyrzekliby do was: Niewdzięczni! wiecież wy co czynicie? Albożto Ludwik XIV i Henryk IV, że byli wielkimi królami, nie byli przeto i wielkimi ludźmi? Nie podnieśliż oni ojczyzny naszej? nie wolnoż im brać udziału w chwale imienia francuzkiego?

.....Wiecież panowie co mnie najdotkliwiej boli?—ciągnie mówca.—Jakto? a więc dziś, kiedy utraciliśmy dwa drogie kęsy naszego ciała, kiedy nieprzyjaciel wyrwał nam z pod serca naszą Alzacyą

i część Lotaryngii, dziś-że mamy sami niebaczną ręką szarpać drogą puściznę chwały naszej?"

Tak jest, bądźmy republikanami jeśli taka wola narodu, ale przede wszystkim zostanmy Francuzami? Zamiast zamykać się wyłącznie i samolubnie w uczuciu chwili obecnej, zamiast poniżać królewskość, która położyła kamień węgielny narodowości naszej; zamiast poniżać religią, która była mistrzynią naszą: czcimy ją po synowsku, jako synowie pełnoletni, lecz zawsze jako synowie! to jest sercem pełnem wdzięczności. Wdzięczność to pierwsza cnota wielkiego ludu!

Słowa te głęboko poruszyły obecnych. Mówcę obsypano oklaskami.

Akademia Francuzka straciła w tym miesiącu najstarszego z członków swoich, w osobie blisko stuletniego hr. Filipa-Pawła de Segur, generała i historyka z czasów Napoleońskich. Urodzony w roku 1780 był on uważany za nestora nie tylko akademii, lecz i wszystkich pisarzy francuzkich.

Młode lata przeżył Segur wśród upojenia chwałą i zgiełku życia obozowego. Za czasów jeszcze konsulatu, zaciągawszy się pod chorągwie dzielił trudy wielkiej armii Napoleońskiej. Walczył nasamprzód w Bawaryi przy boku generała Moreau, następnie w Szwajcaryi, jako adjutant Macdonalda. Tę ostatnią wyprawę opisał w dziele: *Campagne du General Macdonald dans les Grisons*, wydaném w roku 1802.

Przeniesiony do sztabu Napoleona, świetnie odznaczył się pod Jeną. Wzięty później w niewolę, okryty ranami, uprowadzony został do Moskwy. Odzyskał dopiero wolność przy zamianie jeńców po traktacie Tylżyckim.

Podczas kampanii hiszpańskiej, Segur należał do małej liczby Francuzów, którzy z legionistami przyjęli udział w wiekopomnych tryumfach Sommo-Sierra. Lubił wspominać starzec o tych bohater-skich wysileniach, mimo że nie pochwalał celów politycznych wielkiego wodza. Jemu to powierzono zaszczytną misyą zawiadomienia Francyi o zdobyciu sławnych wawozów.

W kampanii 1812 roku, dowodził już brygadą. Wierny do ostatka Napoleonowi, nawet w ciągu pamiętnych stu dni, obudził ku sobie wielką niechęć Burhonów. Odsunięty od życia publicznego za Restauracyi, zabrał się pilnie do opisywania wypadków wojennych, w których brał czynny udział. Historya literatury wojskowej, zawdzięcza mu ważne dzieło: *Histoire de Napoleon et de la grande Armee, pendant la guerre de 1812*, ogłoszone w kilkakrotnych wydaniach.

Monarchia lipcowa wyprowadziła znów na widownię zasłużonego generała-historyka. Mianowany parem Francyi, zajął miejsce w Izbie prawodawczej. W tymże czasie Akademia Francuzka otworzyła mu swe podwoje. Od roku 1848 zamknął się w samotności, której nie opuścił już nawet za nowego Cesarstwa, nie szukając zaszczytów, do jakich dawały mu prawo zasługi położone za Napoleona I-go.

Oprócz dzieł poświęconych wojskowości, zmarły akademik napisał jeszcze: *Histoire de la Russie et de Pierre le Grand*, jak niemniej *Histoire de Charles VIII roi de France*.

Pod tytułem: *Bohaterskie oblężenia*, pan Faucher świeżo wydał godne uwagi studia historyczne, objęte w jednym tomie. Maluje w nich autor przygody i wrażenia miast obleganych w kolei kilku wieków: Orleanu, Beauvais, Metz, Leydy, Rochelli, Wiednia, Pragi, Lille, Moguncyi, Lyonu, Genui, Saragossy, Missolunghi, Wenecyi i Strasburga. Są to wszystko krwawe epopeje, opisy klęsk i triumfów, tak mas jak pojedynczych ludzi.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Religijność i mistyka w życiu i poezjach Adama Mickiewicza.
Studjum Lucyana Siemieńskiego. 1871. Kraków.

Takie lub inne przekonania religijne w umysłach ludzkich z kądz się biorą?—Odpowiedź zwykła jest: iż „z takich lub innych nauk wpajanych w umysł dzieciuny,“ odpowiedź ta nie jest jednak zupełnie słuszną. Jakże np. były niegdyś gorliwe i silne wyznania najpierwszych Chrześcian (wyszłych z judaizmu i poganizmu), a jednak przekonania ich były wprost przeciwne tym jakie im były wpajane w umysł dzieciuny; lub znowu np. spółczesny nam Wolter był wychowawcem Jezuitów i został—Wolterem. Przekonania religijne uczniów tychże nauczycieli, dzieci tychże rodziców są zwykle różne i bywają już szczerogorliwe, już obojętne, już żadne. Przyczyna więc ostateczna tych przekonań podobnie jak wszelkich innych, leży właściwie w jakimś tajemnym źródle, w szyku duchowym, w jakimś przywileju szczególnym każdemu udzielanym. Gdy zaś tak jest i kiedy z drugiej strony

treść religijnych przekonań, to treść głównego znaczenia dla losów ludzkich, tedy niedziw iż zajmującym jest śledzić i badać jakie też były te przekonania w umysłach o których z kądinąd wiemy iż udziałem ich było bogactwo duchowe. Książka której napis przywieśliśmy ma właśnie jedno z podobnych zadań a mianowicie: badanie i ocenienie jakie też były istotne przekonania religijne najpierwszego z poetów naszych Adama Mickiewicza.

Któż z nas nie zna i pism i szczegółów życia tego poety? a kto zna nie zaprzeczy zapewne, iż przedmiot ten jest to istotnie treść do dyskusyi.

Mickiewicz był najprzód autorem Ballad i Dziadów, a w utworach tych nie tylko się był okazał pisarzem chrześcijańskim i katolicko-chrześcijańskim, lecz powoływał nawet do życia przesady gminne; w następnych utworach i czasach głośnym był z wiersza, który odznaczały cyniczne miotania się przeciwko Stwórcy (Improwizacya), przyjął udział w sekcie dwuznacznój (Towianizm) i wreszcie napisał był książkę z treści religijną wyłącznie, a która wniesioną została w Rzymie na index dzieł zakazanych.

Rzetelne religijne stanowisko tego poety jakież właściwie było?

Mickiewicz był wyznawcą chrześcijańskim i katolicko-chrześcijańskim, lecz i w katolicyzmie jak wszędzie różne są śród wyznawców i rodzaje i stopnie religijności.

Są np. śród katolickich wyznawców, (mówimy tu o *wyznawcach*) jedni którzy wszystkie dogmata i przepisy wyznają i pełnią literalnie; są inni którzy i dogmata i przepisy pojmują wespół symbolicznie, ale i uznają ich prawdę i pełnią je, i są wreszcie którzy lubo uznają w zasadzie prawdę tak jednych jak i drugih, ale je przekraczają w praktyce już z takich lub innych powodów, albo bez naruszania ram głównych, pragną modyfikacyi.

Religijność Adama Mickiewicza do tego właśnie trzeciego od-cienia religijności należała.

Charakterem téj jego religijności było, iż z jednej strony był on zawsze gorliwym i nie żenującym się wyznania swego chrześcianinem; lecz z drugiej iż przez cały ciąg swego życia oddany światu i porywany światem, przekonania i same nauczania swe religijne silnie zawsze daną chwilą światową odznaczał. Zawód jego piśmienny dzielił się jak wiadomo na dwie epoki: wiersza i prozy, w jednej i drugiej przemagającą władzą w jego umysłowości była fantazyja, podczas jednak gdy w epoce 1-ój (głównego królowania *fantazyi*) pierwiastek jego religijności przedstawiał się tylko w ciągłej walce ze światem, w drugiej (w którym miała wzrost i *rozwaga*) pierwiastek ten był powoływaniem gorliwem do nowych zwrotów.

W owéj epoce 1-ój, poetycznej, M. opiewał był głównie i przedewszystkiem *miłość*, miłość płci, kraju, Boga, ludzkości, i t. p.; pierwiastek wprawdzie w zasadzie swojej chrześcijański, ale fatalność chciała iżby w każdej z tych pieśni główna jój treść przedstawiała

się zawsze w niejakiój sprzeczności z jego sumieniem. Miłość np. którą opiewał w pierwszych swoich poezjach, balladach, romansach, Dziadach, sonetach, była to miłość osoby związanej ślubem małżeńskim z innym; w poemacie w którym idealizował miłość kraju, słał zdradę, obłudę, mordowanie chrześcian przez pogan i t. p. Że ta treść i te kreślone przedmioty były w kontraście z sumieniem autora, to okazują między innymi i same szczegóły tych utworów; autor np. swych bohaterów w Dziadach z jednej strony kreślił jako potępieni-ców czyścicowych, lecz z drugiej sam sposób kreślenia ich przewinień, ich pasy, nieokazywał wcale koloru skruchy.

Tak np. w IV części Dziadów, której najogólniejszą treścią było opiewanie i idealizowanie pocałunku cudzej narzeczonej, sposób określania historyi wzajemnych uczuć, nie był wcale wystosowany do pogodzenia nadal małżonki z małżonkiem. Poemat ten kończy wprawdzie surowa, religijna przestroga, ale w samej przestrodze tej był jeszcze szczyt kokieterji.

„Bo słuchajcie a zważcie u siebie,

(mówi tu autor)

Że wedle Bożego rozkazu,
Kto za życia choć raz *był w niebie*,
Ten po śmierci nie trafi do razu.“

W Walenrodzie znowu uważać można iż radość bohatera z wymordowania chrześcian, deptanie krzyża, zimniejszemi są poetycznie niż np. kreślenie tych chwil, kiedy Walter nawracał Aldonę i tych religijnych jej uczuć, które przechowane do śmierci, tak nieporównanie wyraziły się były jeszcze w jej *Pieśni z wieży*.

W części Dziadów której bohater szarpnął się był w swém wołaniu namiętnie przeciwko Stwórcy, do bohatera tego jego towarzysz duchowny dla którego był ze czcią, szczególną, tak mówił między innymi następnie.

„Módl się! bo straszna Pańska dotknęła cię ręką!“—słowa które miś obrażał majestat Boży, to słowa głupstwa, a słowa głupstwa to największa męka dla ust mądrych.“ Przestroga ta jednak nie zapobiegła naturalnie temu zgorzeniu jakie czyniła ta improwizacya z owém sarkaniem i wyzywaniem Boga, a której najogólniejszym wyrazem było:

„Kłamstwo! kto ciebie nazywa miłością!“

Czasem zupełnego uspokojenia i równowagi światowych i religijnych uczuć autora zdaje się być czas kompozycyi p. Tadeusza. W całej tej kompozycyi M. niepotraçał nigdzie prawie o przedmiot religijności i nie walczył z nim, a tylko w zaczęciu wezwaniem do „Panny Świętej!“ co „jasnej broni Częstochowy“ i co go „dzieckiem od śmierci ratowała cudem“ poświadcza o istnieniu i przechowywaniu się w nim pierwotnej wiary rodzinnej.

Tu też nastąpiła była w życiu M. epoka wzrostej rozwagi i jego pism prozy;—pisma te już były ze sfery historyzofii, już literatury słowiańskiej, już wprost religijnej, a autor który był nietylko wyznawcą ale i najszczerzym wielbicielem kart Ewangelii i płynącej z niej władzy kościelnej, uwielbieniem tém odznaczał też dobitnie przedmioty tych pism.

W *Historyzofii* M. losy szczególnych ludów porównywał do losów i prawie znaczenia Zbawcy. W wykładzie literatury słowiańskiej za miarę znaczenia i wartości szczególnych pism i pisarzy kładł ich przybliżanie się lub oddalanie od katolicyzmu,—po przejściu zaś zupełnym w dziejowo-mistyczną czyli messyjaniczną propagandę, w dziele ogłoszonym w języku francuzkim w dwóch tomach p. n. *Kościół urzędowy i messyanizm* (*L'Église officielle et le messianisme*), stosunek katolickiego duchowieństwa do nauki messyjanicznej określał. Książka ta, jak to już wzmiankowaliśmy wniesioną była (może dla samej przyzwoitości) na *Indeks* w Rzymie; myliły się jednak ktoby sądził iż szczegóły jej obejmowały jakąś naukę od dogmatycznej chrześcijańskiej odstepną, czyli kacerską, książka ta była tylko namiętną i nie w jednym istotnie przesadną filipiką przeciw egoizmowi duchowieństwa katolickiego i zapominaniu przez nie na messyjaniczne cele, na nutę owych surowych przestrog ewangelicznych. „Ale biada wam Doktorowie zakonni i Faryzeusze!“—jak zaś dalece autor w całym tém piśmie nie przestawał być katolikiem, dosyć tu będzie wskazać na to np. wyrażone tu w ciągu pisma zdanie: iż „dotąd najlepszą historyzofią jest „Litania do Wszystkich Świętych“ (t. j. chronologiczne wymienianie ludzi duchem najbogatszych), lub na ów wyrzut: iż „od Piusa V nie zasiadł już na Stolicy Apostolskiej żaden świątobliwy papież,“ wyraz naturalnie pod piórem katolickiego pisarza muij przyzwoity, lecz który zarazem był zupełnym hołdem dla duchowego znaczenia Piusa V. Dodajmy iż w kilka lat po wydaniu téj książki Mickiewicz osobiście upraszał w Rzymie o rozgrzeszenie, a Pius IX (jak czytamy w *Studium nad Słowackim* Cypr. Norwida) na tę prośbę miał odrzec: „przebaczam mój najdroższy synu, przebaczam, z całej duszy przebaczam,“

Taką więc była rzetelna religijność Mickiewicza i jego mistyka; przekonanie o prawdzie nauk katolickich najgłębsze, ale przez poetyczną fantazyę żywą i czynną, w każdój epoce życia w różny sposób cieniowane i cechowane.—Przedstawienie téj religijności i mistyki przez p. Siemieńskiego w piśmie obecnym z wielu względów jest podobnym do tego jakie wyraziliśmy; ma ono przytém, jak to wszystko co z pod pióra jego wychodzi odcień stosowany społeczny, i wdzięk słowa i myśli w wykładzie, jakkolwiek niekiedy zarazem (gdyż i to się zdarza pióru tego poety krytyka) i niezupełne wyczerpanie przedmiotu. Autor np. lubo wskazuje tu dowodnie, iż Mickiewicz z przekonania był katolikiem, nie odznacza jednak wyraźniej odcieni jego kato-

licyzmu i nie wzmiankuje nawet o wszystkich tych pismach (np. o owém *Église officielle*), które w życiu autora główne szczegóły mistyki jego cechowały.

Najcharakterystyczniejszą i najdobitniej przekonującą o sile religijnego ducha Mickiewicza jest ta uwaga autora, iż poeta ten zaraz pierwszą swą pieśnią podziąkał na zimno i sceptycznie usposobione pokolenie całe i że nie tylko mógł nazwać się wskrzesicielem. Co-fając się wspomnieniem do owych czasów których i sam był uczestnikiem i pozostał świadkiem, p. Siemieński tak tu mówi między innemi:

„Ton w jakim się na samym wstępie odezwał Mickiewicz był wprost przeciwny tonowi do którego tak nas powagą swoją przyzwyczaił był książę poetów (Krasicki). Uwielbiona muza rozsądku bardzo praktyczna, treściwa, żartobliwa, dworująca dowcipem, wydała się zimną jak posąg z lodu, przy tym śpiewie słowicznym wychodzącym z szerokiej piersi litewskiego barda. Kto raz był tknięty tym urokiem czuł się wewnątrz zaniepokojonym i choćby jak odganiał natrętnego ducha, duch wracał pókiś mu się nie poddał.“

Uczyniwszy autor trafną uwagę iż śpiew poety był z pewnej strony dla swych prowincyi tém, czém był niegdyś Homera dla grec-kich (t. j. w jedność wiary duchowej łączącym), tak też zarazem kreśli tę stronę wewnętrzną jego pieśni i zbudzony ku niej interes w krąg okoliczny.

„Z pól wielko i małopolskich, ze stepów ukraińnych, zwracają się usłyszły w strony niemeńskich borów i nasłuchiwały ich szeptów i szumów, czy nie wygadają więcej tych tajemnic serca i ducha jakie zdawały się tam zostawać pod strażą czarodzieja, na którego zaklęcie przemawiały groby, a duchy żywiołowe z głębi wód, drzew i kwiatów, jawiły się na wezwanie w widomej postaci; wierzenia gminne z całą swoją cudownością zmieszały się u niego z wierzeniami kościoła i za pośrednictwem tej poezyi zbliżały ku niemu serca proste potrzebujące wierzyć.“

W tej władzy i tym pociągu ogląda też autor zawartą odpowiedź tym, którzy (jak np. autor biografii Mickiewicza w dzienniku wiedeńskim *Postep*) objawiają zdanie, iż cała mistyczność w pierwszych poeziach Mickiewicza była tylko udaniem i sztuką pisarską.

„Zwykły kuglarz słowa obleczonego w szatę ludowych wierzeń, odpowiada na to autor, potrafiłżeby dokonać tej przemiany w sferze duchowych usposobień, na jaką patrzyliśmy żywemi oczyma, jaka zaszła w nas samych, gdy wiosenny deszcz tej poezyi, ciepły, odradzający, odrazu splukał nieczystości dłuższej zimy... Co więcej, z ust młodocianych ustąpił uśmiech sceptyczny i ten od Woltera zapożyczony dowcip, co krótko a węzłowato rozcinał każdą kwestyę tyczącą się wyższych przeznaczeń człowieka. Sama wyrachowana zrzeczność,

sztuka posunięta najwyżej, czyżby potrafiła tyle serc otworzyć, przetrząść je w inny świat wyobrażeń, i to tak nagle“¹⁾).

Stan duszy Mickiewicza w latach następnych autor w ogóle nazywa mistyką, objaśnia: iż ta się w nim rozwinęła z czytania pism Böhma, St. Martina i t. p. i uważa ją jako zwichnienie czasowe umysłu poety.

Co do Historyzofii, a mianowicie owęj myśli poety iż nauka katolicka o śmierci Zbawcy „poniesionej dla zbawienia rodu ludzkiego“ odnieść się może do dziejów jednostek społecznych, autor wyraża w tej rzeczy taką (mniej przychylną) uwagę: „gdyby ten rodzaj iluminizmu można nazwać mistyką, to sposób postępowania w tej pracy różnił się bardzo od procederu prawdziwych chrześcijańskich mistyków, którzy pokorę kładli za pierwszy warunek doskonałości... *Owa* mistyka śpiewaka *Dziadów*, uwinięta w kraj poezyi ma urok niezrównany, idzie przebojem w duszę zaprawna wonią orzeźwiająca, którą wciągasz pełnemi piersiami. U naśladowców jego, a miał ich nie mało, staje się cikliwą, a często niedorzeczną jak nadużycie.“

Jest wiele prawdy w tych słowach; sądzimy wszakże co do nas, iż wśród tego naszego świata harmonii, a więc nie *przypadkowości* tak w natchnieniach jak w dziejach, pochwycenie i sposób rozwinięcia owych historyzoficznych myśli (których ostatecznym wyrazem były: wiek przyszedłszy i miłość wszechludzka) za jedną z najwyższych zalet pióra Mickiewicza i nie za *poetycznego tylko* znaczenia zabawkę, poczytywać wypada.

X.

¹⁾ Wychodzenie przez Mickiewicza jawne z zasad chrześcijańskich dało, jak słusznie uważa p. Siemieński, pewne ciepło uczuć słuchaczom, a ciepło to następnie kazało im dodatnio i ze społecznym przyjmować i te tegóż pióra utwory, w których kierunek ten nie był zupełnie jasnym. Tak np. w znaniej a napisanej ówczesnie *Odzie do młodości*, lubo poeta czyniąc wezwanie do swych towarzyszy i wołając: „Razem młodzi przyjaciele!“

nie objaśniał szczegółowiej celów tego wzywania, wszakże nikt nie pomyślał zapewne wtedy, iżby wykrzyknieniem tém wzywał towarzyszy swych młodych ile młodych, np. do miejsc publicznych albo na drogi publiczne, wątpliwość zaś ta mogłaby istnieć gdyby wiadomem było, iż wychodzi z zasad materialnych końca wieku zeszłego lub im podobnych. Powoływanie do celów zgodnych z duchem religii chrześcijańskiej nietylko dlatego jest ciepłem że ukazuje jako owoc: etykę chrześcijańską, która jedynie zaręczyć jest zdolną pokój i szczęście wśród związków ludzkich, ale też nadto dlatego, iż jest to powoływanie do urzeczywistnienia tej idei, którą od samych jej początków prowadzi i rozwija jakaś wyjątkowa i tajna opieka Duchowa, przekraczająca w każdej epoce daną wszelkie rachuby ludzkie i wyrozumowywania. Jakoż i tej poezyi Mickiewicza następstwem było: nie zabłysnąć tylko i skonać, lecz owszem wpływając na pokolenie i pokolenia, i to nietylko pośród własnego kraju.

Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i elekcyja króla Henryka.
Przez Tadeusza Pilińskiego (Kraków 1872 r.).

Z pomiędzy niewielkiej liczby dzieł historycznych, wydanych w ostatnich czasach, na uwagę zasługuje powyższa praca pana Pilińskiego, który w dziełku niewielkich rozmiarów, objął bezkrólewie po Zygmuncie Auguście i elekcyą króla Henryka, a jakkolwiek praca ta dość starannie jest opracowana, to przecież znajdują się pewne usterki, szczególnie pod względem nie dość jasnego wykładu opisywanych faktów, lub też nadto pobieżnych poglądów na rzeczy większej doniosłości historycznej.

Ustęp ten z dziejów polskich XVI wieku, nieraz już zwracał na siebie uwagę historyków naszych, z tego głównie względu, iż odtąd rozpoczyna się całkiem nowy kierunek w urządzeniach państwowych Rzeczypospolitej, i wybitnie uwydatnia się forma elekcyi, mającej stać się rychło podstawą oraz najwyższym szczeblem rozwijającej się do potwornej przesady, wszechwładzy szlacheckiej. Rok więc śmierci Zygmunta Augusta, oraz bezkrólewie wrzące zapamiętaną walką stronnictw, jest to chwila niezmiernego znaczenia, jako otwierająca nową epokę w dziejowym rozwoju Polski. Współcześni widzieli już całą doniosłość owej chwili, skrętnie też zapisywali bieżące fakta, zostawwszy w ten sposób nader cenne materiały dla ostatecznego zbadania zaszłych wypadków. Autor tedy powyższego dzieła niezmiernie bogate miał źródła, tém najważniejsze, iż były to nietylko suche zapiski kronikarskie, lecz głębokie poglądy i trafne rozumowania ludzi, którzy czynny biorąc udział w sprawach bieżących, pojmowali znaczenie faktów i nowo wyradzających się instytucyj.

Nie mówiąc już o historykach obejmujących obszerniejszy zakres, a ztąd mniej szczegółowych w swych opowiadaniach, najobfitszy materiał do dziejów bezkrólewia dostarczyli autorowi, najprzód Heidenstein sekretarz królewski, którego dzieło (Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta), stanowi podstawę wszelkich późniejszych opracowań współczesnych dziejów, następnie Orzelski, którego historia (1572—1576), odznacza się od innych bogactwem szczegółów, i dokładnym wyjaśnieniem zdarzeń, w których po największej części sam autor brał udział, obaj zaś przedstawiając sprawy polityczne, rozumują o nich, rozbiegają dobrą i złą stronę wolnej elekcyi, a malując parlamentarną walkę stronnictw, trafne zostawili poglądy o zdarzeniach przesuwających się przed ich oczyma. Uzupełnieniem o obu głównych pisarzy dziejów bezkrólewia, jest Solikowski dworzanin zmarłego króla, gorliwy partyzant Karnkowskiego i partyi katolickiej, a wtajemniczony i dzielający wszelkie dążności stronnictwa, które wyniosło na tron Henryka, biorący przytém czynny

udział w spornych kwestjach, nie jedném zaś pismem (które miały postać dzisiejszych broszur politycznych), usiłujący kierować opinią powszechną, lub zjednania jęj dla celów swego stronnictwa.

Oto więc główne są źródła polskie, na których opierał się autor; również spożytkował także źródła obce, a przedewszystkiem relacye nuncyuszów, ku którym dość często się odwołuje, a które zawierają nieoceniony materyał do ówczesnych dziejów polskich. Przeglądając źródła, rozpatrzmy teraz jakiej wartości jest dzieło pana P. i czy nauka dziejów naszych, tym drobnym przyczynkiem postąpiła krok jaki naprzód.

Pogląd na panowanie Zygmunta Augusta, zawarty w pierwszym rozdziale, jest wstępem jakoby, po czém znajdujemy obszerną rozprawę o następstwie tronu w Polsce. Przedmiot to nader ciekawy i ważny, nie rozjaśniony przecież dotąd, i mimo pracowitych poszukiwań i studyów, dotychczas dokładnie określonymi nie są główne warunki obieralności, lub jak chcą inni, dziedziczności Piastów i Jagiellonów aż do śmierci Zygmunta Augusta. Pan P. także nic nam nowego w tym względie nie powiedział, powtarzając tylko przypuszczalne wnioski. Głębszych zaś poglądów w tak ważnej kwestyi i bliższego onęj rozpatrzenia nie znajdujemy tutaj; ogólnikowo tylko powiada autor, iż „dziedziczność korony za Piastów o tyle tylko była ważną, o ile wyższe duchowieństwo i możni nie mieli nic przeciwko temu następstwu;“ dalej zaś mówi, iż „dopiero po śmierci Jadwigi, Jagiełło traci wszelką podstawę panowania na prawie dziedzicznym opartą i panuje tylko z woli narodu, t. j. jak podówczas z woli magnatów.“ Dalej wreszcie powiada: „Akt wyboru jest raczję prostym tylko aktem uznania nowego króla przez magnatów, któremu to dokonaniem uznaniu wtoruje wielka masa szlachty głośnemi aklamacyami.“ Raz więc przyznaje autor iż dziedziczność Piastów zależną była od woli wyższego duchowieństwa i możnych, potem powiada iż ze śmiercią dopiero Jadwigi runęły podstawy dziedziczności, choć nie określa bliżję jakie to były owe podstawy, wreszcie cytując słowa nuncyusza Ruggieriego powiada, iż elekcyja jest prostym tylko aktem uznania nowego króla. W tych potrójnych a rozmaitych orzeczeniach, sprzecznych ze sobą, nie widzimy jasnego określenia jakiej rzeczywiście natury była władza królewska w Polsce, aż do czasów Zygmunta Augusta, czy dziedziczna, czy też obieralna? O początkach i zasadzie obieralności królów nie wspomina autor, a przecież aby dokładnie pojąć duch i znaczenie każdej instytucyi, koniecznym jest wyszukać jęj pierwiastki składowe, źródło jęj wytworzenia i dalszy już kolejny wzrost lub upadek. Tego wszystkiego nie znajdujemy, a jednak pisząc dzieje pierwszej elekcyi, koniecznym był podobny wywód historyczny obieralności królów w Polsce. I zresztą podobnym bliższem rozpatrzeniu rzeczonęj kwestyi, autor zamiast podawać dwuznaczne a niepewne zdania, byłby doszedł do wniosku, iż mimo chwilowych zбочeń, zależnych od mniej lub więcj ważnych

wypadków politycznych, zasada obieralności jako wynik dawniej gminy słowiańskiej, była że się tak wyrażę, obowiązującą przy wstąpieniu na tron każdego niemal z Piastów lub Jagiellonów, choć ściśle oznaczonej formy nie miała. Pan P. zaś choć przyznaje, iż dziedziczość Piastów zależną była od woli wyższego duchowieństwa i szlachty, to jednak dopiero od Kazimierza Wielkiego upatruje rozwój praw elekcyjnych, gdy król ten pomijając bliższych korony (według praw dziedzictwa) Piastów, naznacza swym następcą, siostrzeńcą swego Ludwika, to zaś z przyzwoleniem magnatów polskich. Za to jednak ów następca wypłacić się musi rozszerzeniem swobód.

Następnie przechodzi autor kolejny wzrost praw elekcyjnych, aż do roku 1530, w którym Zygmunt Stary przeprowadza za swego życia obiór i koronację dziesięcioletniego Zygmunta Augusta, przy czém wydany dyplom królewski, potwierdzający prawo wolnego wybierania króla, miał kiedyś posłużyć do prawnego uzasadnienia powszechnego udziału całej szlachty przy obiorze króla. Zygmunt August nie jednokrotnie usiłował ułożyć pewien porządek elekcyi (*modus Electionis*), w razie bezpotomnej swój śmierci, i próśby te ponawiał na Sejmie Warszawskim 1557 roku, na Sejmie Piotrkowskim 1558/9 i wreszcie na Sejmie Lubelskim 1569 roku, zawsze jednak bezskutecznie, a usiłowania jego rozbiły się o niechęć szlachty; to też ze śmiercią jego, Polska znalazła się w nowój fazie swoich dziejów. Dotychczas obieralność była raczej zwyczajem niż prawem, nie miała też pewnych form ściśle określonych, obecnie przeciwko bezwarunkowój elekcyi, nic na przeszkodzie nie stawało.

I tutaj rozpoczyna autor kreślić dzieje bezkrólewia, otwierającego się ze śmiercią Zygmunta Augusta. Podczas bezkrólewia tego, widzimy w Polsce wielu znakomitych mężów, występujących na scenę dziejową, a odznaczających się rozumem, zdolnościami, charakterem, lub wreszcie znakomitych przewodzców stronnictw. Tu najprzód występuje arcybiskup gnieźnieński Jakób Uchański, prymas, i wedle dawnego zwyczaju *Primus Princeps* podczas bezkrólewia. Groźny niedawno Rzymowi, bo śmiał myśleć o wytworzeniu narodowego kościoła w Polsce, obecnie gorliwy prałat, a wsparty poradą świętego teologa i polityka biskupa Karnkowskiego, naczelnik stronnictwa katolickiego, Uchański, stawia czoło dyssydenckiej partyi Jana Firleja z Dąbrowicy, wojewody krakowskiego i marszałka koronnego. Tę walkę prymasa z silnym a zuchwałym stronnictwem, korzystnie rozstrzyga przebiegła zdolność w kierownictwie spraw politycznych, legata Commendoniego. Obok tych obu naczelników stronnictw, które wkrótce podzielią się na drobniejsze jeszcze partye i obozy, przyswieceją inne współczesne znakomitości, takie jak Albrycht Łaski, wojewoda sieradzki, podkanclerzy Krasiński, młody Jan Zamoyski, mający się już odznaczyć wśród obrad sejmowych, dalej Mikołaj Radziwiłł, Jan Chodkiewicz, Opaliński, Jan Kostka, dzielny wojewoda

podolski Mikołaj Mielecki, lub wreszcie słynny z zuchwałości i dumy dom Zborowskich.

Takie to żywioły składały Rzeczpospolitą w chwili zgonu Zygmunta Augusta, i stanowiąc miały o przyszłych jej losach. Bliższa charakterystyka tych osób koniecznąby była dla łacniejszego uwydatnienia charakteru epoki całej, pan P. jednak w samej pracy o tyle tylko poświęcił im miejsca, o ile udział brali w zachodzących wypadkach, a przecież dokładne poznanie ludzi, odgrywających ważniejszą rolę w dziejach, jest niekiedy kluczem do odgadnięcia najgłębszych zawikłań i kombinacyj politycznych, w dziejach zaś polskich, więcej niż w którychkolwiek innych, bo jak słusznie powiedział jeden ze współczesnych historyków, „w Polsce wszystko stało ludźmi a nie instytucjami;“ nie darowany zatem błąd autora, iż zbierając najskrupulatniej najdrobniejsze czasem szczegóły wypadków politycznych, nie podał nam pełnej a dokładnej oceny charakterów, zdolności i dążeń ludzi, którzy się odznaczyli w ową epokę.

Na samym zaraz początku bezkrólestwa, rozpoczyna się walka obu głównych stronictw, przedstawionych na zjazdach łowickim i krakowskim, pierwszy zwołany przez arcybiskupa Uchańskiego, drugi przez Firleja, który poparty przez różnowierców, chciał wydrzeć prymasowi pierwszeństwo podczas bezkrólestwa. Zachodziła tedy kwestya, czy prymas, czy marszałek koronny przodować mają narodowi. „Zwyczaj odwieczny, acz nie pisane prawo, — powiada autor, przyznawały arcybiskupowi gnieźnieńskiemu prawo zbierania senatu po śmierci króla, zwoływania sejmu elekcyjnego i przewodniczenia jego obradom. W ubiegłych wiekach, nikt mu nigdy nie zaprzeczał godności prymasa; stare dokumenta dają mu zawsze tytuł *Regni Primas et primus princeps* i rzeczywiście przyznają mu prawo koronowania królów. Obyczaj późniejszych czasów, które z upodobaniem stosowały rzymskie nazwy do polskich stosunków, nadaje mu tytuł *Princeps Senatus*, a wrazie bezkrólestwa, robi go interrejem.“ Takie ogólnikowe orzeczenie jest niedostatecznym, i należał się tutaj dokładniejszy wywód godności prymasa, tém bardziej iż obecnie stanowiła ona punkt sporny. I zresztą mógł autor bliższe onój podać określenie, wiadomo bowiem, że już w 1360 roku, Jarosław ze Skotnik arcybiskup gnieźnieński otrzymał tytuł *Primus Princeps*, jako najstarszy w godności ze wszystkich dostojników państwa, a jeden z jego następców Michał Trąba, wyrobił sobie na Soborze Konstancyeńskim tytuł prymasa, wskutek sporu z arcybiskupem lwowskim, który ukoronował trzecią żonę Władysława Jagiełły, koronacye zaś były zdawna przywilejem arcybiskupów gnieźnieńskich. Co więc, nie długo później, w 1451 roku, znowu wskutek sporu między Oporowskim prymasem i Zbigniewem Oleśnickim kardynałem, gdy pierwszy ustąpić nie chciał pierwszeństwa biskupowi krakowskiemu, choć kardynałowi, uroczyście przyznane zostało pierwszeństwo prymasa nad kardynałem. Mylnie zatem powiedział pan P. iż zwyczaj odwie-

czny a nie pisane prawo zapewniały pierwszeństwo prymasa nad wszystkimi dostojnikami państwa.

W dalszym ciągu swojej pracy, autor szczegółowo opisuje nam owe ciągłe zjazdy i narady szlachty, poczem wielce zajmujący znajdujemy rozdział o kandydatach do tronu polskiego i ich stronnicztwach. Smutna to epoka rozpoczyna się dla Polski, gdy pretensye obce, chciwość lub duma usiłują torować sobie drogę intrygą i przewodem, a z instytucji najświetniejszej w swój zasadzie, tworzą najohydniejsze narzędzie spekulacji i wszelkiego rodzaju nadużyć. Odtąd korona polska staje się własnością więcej ofiarującego, podczas każdej elekcji zjawia się zawsze kilku pretendentów, nurtujących w narodzie dla zebrania sobie stronnictwa, i kraj podzielony na liczne partie i obozy, zużywa w tych walkach stronnicych, cały zapas sił swoich. I tutaj także w tej pierwszej elekcji, aż sześciu pretendentów obcych z chciwością na koronę polską spojiera. I tak Maxymilian Austriacki, Henryk Walezyusz, Iwan Car Moskiewski, król Jan Szwedki, Stefan X. Siedmiogrodzki i wreszcie Albert Pruski, a oprócz tych sześciu kandydatów, liczne było stronnictwo za Piastem; ten Piast jednakże, jak słusznie powiada autor, był jakąś mistyczną istotą, choć wymieniono wielu dygnitarzy godnych korony, takich jak Radziwiłł, Chodkiewicz, Firlej, Jan Kostka, Szafraniec i innych. Ale jak później zobaczymy, stronnictwo francuzkie przewziężyło wszystkie inne, może dla tego iż najdogodniejsze dla szlachty były świetne obietnice w wojsku, pieniądzach i t. d., jakie pretendent francuzki przyrzekał Polsce. Umiejętne przytém kierownictwo sprawy Henryka przez posła jego Montluca, z tego także względu tryumf odniosło, iż Montluc z właściwą sobie bystrością odkrył zaraz punkt ciężkości Rzeczypospolitej i więcej nie ledwie pracował nad pozyskaniem całej masy szlachty, jak nad podbiciem sobie magnatów. Ta uwaga pana P. jest słuszna i uzasadniona.

Sejm konwokacyjny, pierwszy tego rodzaju, zebrał się pierwszych dni stycznia 1573 roku. W rozbiorze jednakże czynności tego sejmu, uważamy, iż autor nadto mały kładzie nacisk, na ową sławną konfederacyę warszawską, spisaną naówczas, a która na wzór pokoju Augsburskiego, stanowiła ugodę religijną z dysydentami zawartą, i mimo protestacyi prymasa i całego duchowieństwa, dokonanej za namową Grazianiego, przez wszystką szlachtę i senat świecki, jednomyślnie przyjętą została. Jak powiadamy, pan P. nadto pobieżnie traktuje tak ważny przedmiot, fakt ten bowiem okazywał głęboki zmysł polityczny narodu, który, aby uniknąć owych walk i sporów religijnych, sprowadzających tak fatalne w innych krajach następstwa, „aby się z tej przyczyny między ludźmi sedycya jakowa szkodliwa nie wszczęła“ powiada owa ugoda, ogólną ogłasza tolerancyą religijną. Fakt ten podnieść należało, tymczasem nietylko nie znajdujemy tutaj rozbioru dokładnego owego aktu, ale nawet przytoczone nie są wszystkie punkta pomienionej ugody.

Ostatnie wreszcie rozdziały pracy pana P. poświęcone są elekcji króla Henryka.

Taką jest treść całego dziełka. Zastanowiwszy się jednak nad realną wartością téj pracy, i chcąc odpowiedzieć na pytanie, któreśmy sobie zadali, czy drobnym tym przyczynkiem, nauka dziejów naszych postąpiła, odpowiedzieć nam wypadnie, iż pan P., mając tak bogate i cenne źródła, nie odpowiedział zadaniu, jakie wziął na siebie. Bo jakkolwiek w kreśleniu wypadków politycznych, w zebraniu najdrobniejszych nawet szczegółów dużo pracy dołożył, to jednak nie odmalował nam dokładnie charakterystyki osób, stronnictw i instytucji, i tym sposobem nie wykazał głównych cech epoki, ujętej w tym obrazie. Praca pana P. jako dziełko podręczne, użyteczną być może, w każdym jednak razie, dzieje pierwszej elekcji wyczerpani tu nie są, a fakt tak wielkiej doniosłości historycznej, szczególnie pod względem swych następstw, zasługiwałby na poważniejsze i bardziej umiejętne opracowanie ¹⁾.

K. P.

Zawadyńce 1872.

Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, nakładem Biblioteki Kornickiej T. 1 i 2 z roku 1871 i 1872.

Obecnie ukazał się już tom 2gi Pamiętnika nauk ścisłych, a dotąd nikt u nas nie podjął trudu zdania sprawy z téj nowój, a ze wszechmiar ważnej publikacji; co tém więcej zadziwia, że niepodobna aby ona nie zwróciła na siebie uwagi naszych matematyków: niech więc wolno mi będzie podać choć pobieżny rozbiór tego pisma.

W roku 1870 d. 30 kwietnia założone zostało Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu pod opieką i staraniem hrabiego Jana Działyńskiego, któremu za to hołd ogółu należy.

¹⁾ Żałować trzeba, że szanowny autor powyższego sprawozdania nie zna dzieła *Markiza de Noailles*, które rzuca wielkie światło na ten okres dziejowy. Podajemy tu notatkę bibliograficzną o téj ważnej pracy.

Henri de Valois et la Pologne en 1572, par le Marquis de Noailles. (Tome I. Paris. Michel Lévy frères 1867, w 8-ce 2 k. niel. i 418 str. z ryciną i mapą Polski. Tome II 2 k. niel. i 502 str. z tablicą. Na końcu: Paris J. Claye imprimeur, rue St. Benoît. Tome III documents et pièces justificatives VII i 628 str., na końcu Paris imprimerie de E. Martinet).

Towarzystwo założyło sobie za cel główny, publikacye dzieł matematycznych i rozszerzenie znajomości nauk ścisłych przez wydawnictwo Pamiętnika, którego dwa tomy mamy przed sobą.

W dawniejszych czasach mieliśmy objawy ciągłe podobnej działalności, a nie mając pod ręką materyałów ograniczamy się tylko pobieżnym wspomnieniem, a najprzód w Krakowie wychodził Rocznik Towarzystwa Naukowego krakowskiego, którego istnienie najdłużej trwało i przeciągnęło się stale do obecnej chwili; w Krzemieńcu cwičenja naukowe, w Warszawie Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk, zastąpiony następnie przez Pamiętnik nauk ścisłych, a w końcu przez Bibliotekę Warszawską, w których mamy wiele artykułów matematycznych pisanych przez p. Augustyna Frączkiewicza, Jana Baranowskiego, Prażmowskiego, Jastrzębowskiego i innych: nakoniec acz krótko ukazał się Dziennik politechniczny.

W tych to publikacyach peryodycznych mamy wszędzie język matematyczny wyrobiony i zgodny z wykładami na jakich kształciły się pokolenia całe, w licznych szkołach, czterech akademiach, kursach dodatkowych, dwóch szkołach wyższych i jednej szkole politechniczej.

Tak więc u nas nauki matematyczne były zawsze uprawiane na równi z innymi naukami i chociaż mało mamy dzieł klassycznych w tych przedmiotach, czemu dziwić się nie można wzięwszy na uwagę ogromne koszta i trudy wydawnictwa, język matematyczny jednak urobił się w całej swój pełni i na tém polu odznaczyli się szczególnie jasnością, jedrnością i swietnością języka: Jędrzej Gawroński, Jan Sniadecki, Poliński i inni, a w ostatnich czasach Augustyn Frączkiewicz professor b. Uniwersytetu Warszawskiego, następnie kursów dodatkowych, pedagogicznych i Szkoły głównej.

Oni to wykształcili całe pokolenia i utworzyli język ścisły i jasny, a którego uczyć się wypada z dzieł wydanych i rozpraw szczególnych umieszczanych w wyżej wymienionych pismach.

Przybywa nam obecnie nowy Pamiętnik, którego z radością witamy.

Nim jednakże wejdziemy w szczegóły samej publikacji, musimy zastanowić się nad najważniejszą kwestyą, to jest czy pamiętnik ten odpowiada ściśle warunkom założonym sobie przez Towarzystwo. Nie będziemy wchodzili tu w roztrząsanie ustawy Towarzystwa umieszczonej na początku tomu pierwszego, lecz po przejrzaniu rozważnym dwóch tomów które mamy pod ręką, zwrócić musimy uwagę na najważniejszy dla nas przedmiot jakim jest czystość i ścisłość języka matematycznego.

Towarzystwo w art. 56 założyło sobie w ocenieniu dzieł brać pod uwagę między innymi poprawność języka, w art. 69 ma starać się o rozwój języka naukowego. Tu zaraz następują się dwie uwagi, czy Towarzystwo w wydawnictwie dzieł pod jego kierunkiem wychodzących i układu samego Pamiętnika kieruje się temi zasadami i co rozumie przez rozwój języka naukowego.

Nauki ścisłe, a między temi szczególniejsze nauki matematyczne posiadają dwa oddzielne języki: jeden który można nazwać *omownym*, drugi *symboliczny*; pierwszy jest wyrażeniem w mowie zwyczajnej praw naukowych, do którego należą orzeczenia i wyrazy czyli terminy naukowe; drugi jest wyrażeniem tychże praw w symbolach i w znakach szczególnych, które stanowią to, co zwiemy algorytmem.

Jeden i drugi język kształci się wiekami i rozwój obu idzie równoległe z postępem i rozwojem samych nauk; lecz jak nauki matematyczne odznaczają się przedewszystkiem od innych nauk ścisłością, przeto rozwój języka naukowego nie może i nie powinien polegać na tworzeniu coraz nowych wyrazów w miejsce dawniej przyjętych w nauce, gdyż na tém traci ścisłość matematyczna, jasność wykładu i zrozumiałość przedmiotu, pod karą, że dzieła takie nie będąc czytane przez publiczność muszą iść w zapomnienie, pochłaniając bezpożytecznie prace i koszta wydawnictwa.

Pod rozwojem więc języka matematycznego powinniśmy rozumieć rozwój jego równoległy i odpowiedni rozwojowi samych nauk matematycznych.

Lecz jak mamy dwa języki matematyczne, tak dwa kierunki równoległe kształcenia się każdego w swoim zakresie.

Język omowny musi zawsze być językiem narodowym i urabiać się zgodnie z duchem języka zwyczajnego i z całą oględnością chronić nam się wypada przedewszystkiem, tworzenia nowych wyrazów w miejsce już używanych i przyjętych w nauce, a w tworzeniu nowych w miarę rozwijania się różnych gałęzi matematycznych winniśmy być bardzo oględni. Nauki matematyczne szczególnie, że tak się wyrażymy, są zachowawczą natury, już sama ich ścisłość nie znosi dwuznaczności, nowości a tém więcej trywialności.

Ścisłość i szczególna jasność języka omownego, nieustępująca w niczem innym narodom, utworzonego przez Jędrzeja Gawrońskiego, Sniadeckiego i innych, sprawia że ich język powinien być punktem wyjścia w rozwoju dalszym języka naukowego, równoległe do rozwoju samych nauk i w tém znaczeniu tylko możemy pojmować cel artykułu 69 ustawy Towarzystwa.

Czy więc Towarzystwo odpowiedziało założonemu celowi zobaczmy, zestawiając różne wyrazy stanowiące język matematyczny Pamiętnika.

W tomie I rozprawie 1, p. Gosiewski używa *wymnożyć* zamiast pomnożyć, *prostościan* zamiast *pryzma*, *graniastostup*; każda bryła ograniczona płaszczyznami jest prostościanem, gdyż ma proste ściany; przeto wyraz ten nieestosowny dla graniastostupa lub przyzmy.

W rozprawie 3 u 4 p. Żmurki użyte wyrazy: *dowód na twierdzenie*, w naszym języku mówi się dowodzić czego a nie na co; tamże użyte wyrazy nowe; *względność* zamiast *związek*: względność nie jest równoważna z związkiem; *znacznik* za *znak*, *skaznik*; wskazuje on odroźnienie ilości podobnych, a sam nie nie znaczy i znacznikiem być

nie może; ilości rzetelne za rzeczywiste; okreśnik różniczkowy za znak różniczkowania.

P. Żmurko używa jeszcze wyrazów, *ilości pierwszorzędne drugo rzędne* i t. d. W tom. 2 rozprawie 2 p. Trzaska używa dla oznaczenia tychże samych ilości wyrazów *zbiorowe jedno, dwu* i t. d. *wielo wymiarowe*: ztąd ilości które nazywamy urojone zowią się tam raz drugorzędne, drugi raz dwu wymiarowe.

Ilości dwu, trzy wymiarowe p. Trzaski mieszają się z ilościami dwu trzy wymiarowemi rzeczywistemi, jakimi są powierzchnie czyli pola i objętości rzeczywiste; mamy więc tu zupełne pomieszanie pojęć. Jak nazwy pierwszo, drugo i t. d. rzędne, tak nazwy jedno dwu i t. d. wymiarowe nie są dobrze utworzone, właściwie mają one oznaczać ilości zbiorowe, wyrażające zebranie razem za pomocą znaków dodawania i odejmowania ilości nie jednorodnych czyli różno gatunkowych, można więc właściwiej je nazwać jedno, dwu i t. d. gatunkowemi lub rodzajowemi.

W téjże ostatniej rozprawie p. Trzaski mamy nowe wyrazy: *funkcya jedno wartościowa* (monodrome), jedno pochodna (monogène), doskonała (synectique); mybyśmy woleli pozostać przy wyrazach łacińskich i greckich przyjętych przez Cauchego, jak wprowadzać nowe źle rzeczy malujące. Tamże jeszcze *funkcya okresowa, okres* zamiast peryodyczna i peryód: okres w naszym języku nieznaczy peryódu, okres jest całością w sobie skończoną niepodobną do następnych całości; ztąd w historyi mamy okresy lat niezawierające jednak téjże samój ich ilości, gdy przeciwnie peryód ma znaczenie całości powtarzającej się stale i niezmiennie. Dalej w tom. 1 rozprawie 3 i 7 p. Żmurko i Trzaską używają wyrazu nowego wyznacznik (determinant); jeżeli tak będziemy tłumaczyli wszystkie wyrazy, jakże potrafimy dobrać nowe na oznaczenie rozmaitych rodzajai tychże determinant, a które Aglicy i Francuzi nazywają: *in variant, covariant, evectant, discriminant, emanant, contrevariant* i t. d. lub *Hessien, Jacobien* i t. d.

Nakoniec w pochwalonych krytykach dzieł p. Niewęgłowskiego, zamieszczonych w Pamiętniku, Towarzystwo zdaje się zgadzać na wszystkie nowe wyrazy w dziełach tych zamieszczone, a z których niektóre poniżej przytoczymy.

Widzimy tu w ogóle wyrazy źle utworzone i po kilka wyrazów na oznaczenie jednego przedmiotu; Pamiętnik więc nie zaleca się poprawnością i czystością języka omownego: zobaczymy jeszcze jak jest rozwinięty drugi język symboliczny.

Język symboliczny jest językiem wszech ogólnym i dotąd jest jeden dla wszystkich narodów; wypełnia on w części dobrze w matematyce myśl, zaprowadzenia jednego powszechnego języka, do tego stopnia, że nawet znając mało jaki język omowny, każde dzieło matematyczne może być zrozumianém z samych symbolów czyli wzorów

w tych dziełach zawartych: zmienmy symbola, a rzecz najłatwiejsza staje się naraz niezrozumiałą.

Jak dalece czystość języka symbolicznego jest potrzebną, dowodem tego są niektóre dzieła niemieckie, w których autorowie zamiast przyjętych liter łacińskich i greckich wprowadzają litery niemieckie w znanych formułach, przez co wprowadzają niejasność, tak że prawa które przez samo spojrzenie są zrozumiałe, napisane w języku symbolicznym ogólnie przyjętym, potrzebują wielkiej uwagi, aby się z nimi oswoić, gdy w nie wprowadzimy nowe litery, a odrywając uwagę od samego przedmiotu, utrudniają jego zrozumienie.

Przykład tego widzimy jeszcze w dziele p. Żmurki „Wykład matematyki na podstawie ilości o dowolnych kierunkach. Lwów II tomy 1864 r.“ gdzie autor przedstawia zasady matematyki, lecz przez wprowadzenie nowych symboli, które zwłaszcza dla początkujących są nie przystępne, a przytém użycie języka niepoprawnego, tak rzecz zaciemnił, iż nie możemy się dziwić, że ono nie weszło w użycie.

Język symboliczny przyjęty u nas oddawna i używany, jest taki jak we wszystkich krajach; jeden tu zdaje nam się popełniono błąd przez wprowadzenie symboli nowych na wyrażenie linii trygonometrycznych i łuków: *wst*, *dos*, *sty* i t. d. zamiast powszechnie używanych *sin cos tan...* i t. d. a dalej łuk *wst*, zamiast *arcsin* i t. d., tak że nasze dzieła matematyczne w języku symbolicznym odstępują od tej jego własności którą nazwaliśmy wszech ogólnością.

Zobaczmy jak się wywiązuje w tym względzie Towarzystwo: w wydawnictwie Pamiętnika w tomie I. na kart. 52 i następnych wprowadzone zostały symbole:

sin, *cos*, *tan* i t. d.

na karcie zaś 123 i następnych znajdujemy znowu symbole:

wst, *dos*, *sty* i t. d.

Towarzystwo więc przyjmuje podwójne znakowanie, czyto wypełnia warunek jasności języka i ułatwia zrozumienie rzeczy, wątpliwy; nam się zdaje, że obowiązkiem Towarzystwa i to koniecznym jest przyjęcie stałego znakowania, a obowiązkiem głównego redaktora pilnowanie, aby rozprawy ogłaszane w Pamiętniku były pisane stale jednym symbolicznym językiem. W języku omowym możemy pozostać z nazwami *wstawa*, *dostawa*, i t. d., lecz w symbolicznym powinniśmy pisać *sin*, *cos* i t. d.

W ogóle więc zarzucić zmuszeni jesteśmy Towarzystwu, brak znajomości dzieł matematycznych polskich, luźne i nieodpowiednie ścisłości matematycznej tworzenie wyrazów, niejasność języka omowego, chwiejność w używaniu symbolów matematycznych; te to wady, pominiawszy inne, mogą łatwo sprawić, że cel założony przez Towarzystwo zebrania i spożytkowania dla kraju sił naukowych, a w wydawnictwie dzieł rozpowszechnienia znajomości nauk ścisłych i za-

chęcienia uczących się do uprawy tych nauk, będzie chybiony i z tych powodów nie będzie winą naszą owa obojętność na dzieła matematyczne pisane po polsku i łatwo wytłumaczyć się daje to posługiwanie się dziełami klasycznymi w obcych językach (T. II karta 443), na które skarżą się członkowie Towarzystwa.

Dla tych wad nie tylko sam Pamiętnik ale i dzieła wydawane przez Bibliotekę Kornicką, które są jeszcze bardziej przepełnione podobnymi wadami, mogą się stać nie użytecznymi dla nas i jak wiele innych przedsięwzięć, zmarnowaniem pracy i funduszków tak szczerze udzielanych przez ludzi światłych i znakomitych, spieszących nam w pomoc, przez naszą własną wadę, ubiegania się za oryginalnością.

Wszystkie te wady przedstawiamy uczonym członkom Towarzystwa nie w celu prostej krytyki, lecz z gorącym życzeniem, aby prace ich osiągnęły zamierzony cel Towarzystwa, aby zwrócić ich światłą uwagę na błędy, które być może bezwiednie wcisnęły się, tém więcej że one są do poprawienia w dalszym ciągu publikacji, i mamy niepokonną nadzieję, że następne dzieła i sam Pamiętnik będzie staranniejsz redagowany, że język tak omowny jak symboliczny będzie stale przyjętym na podstawie jego rozwoju u nas historycznego.

Może zanadto rozszerzyliśmy się nad częścią językową Pamiętnika, lecz ona dla nas zdaje się być najważniejszą częścią téj nowej i ze wszech miar ważnej publikacji; wypada nam teraz wejść bliżej w jój szczegóły.

Tom piérwszy Pamiętnika zawiera prócz ustawy Towarzystwa umieszczonej na początku, dwie rozprawy: „O sprężystości ciał stałych jednorodnych“ i „O funkcyach jednoczesnych i jednogatunkowych.“ W piérwszej rozwija autor nowe i obszernie poglądy o naturze ciał sprężystych jednorodnych opierając się głównie na pracy mechanicznej sił wewnętrznych działających w ciele, bez użycia żadnych hipotez szczególnych o działaniu sił, wyprowadza wiele twierdzeń ważnych i wniosków zasługujących na uwagę matematyków.

Czy jednak notacya przyjęta przez autora dla sił wewnętrznych T_{11} , T_{12} , T_{13} ... jest lepszą od używanej przez Lamego, gdzie składowe normalne są oznaczone przez N_1 , N_2 , N_3 a styczne (tangenciel) przez T_1 , T_2 , T_3 ; lub przez Kirchhofa oznaczonych przez Xx , Xy , Xz , Yx , Yy , Yz ... lub jeszcze przez Cariolisa i Cauchego oznaczonych przez P_{xx} , P_{xy} , P_{xz} ... bardzo wątpimy: najlepszą z tych notacyi zdaje się być Cauchego.

Druga rozprawa odnosząca się do tegoż przedmiotu rozwija ogólnie własności *systemu funkcyj* odpowiadających zadaniu, które autor nazywa niewłaściwie *funkcjami jednoczesnemi*.

Trudno nam się tu zgodzić na ogólne uwagi autora, że biorąc za prace mechaniczną wielomian stopni wyższych nad drugi przyjmujemy do takiego ciała, które zmienia podczas swego ruchu swą naturę i wejdzimy w granicę chemizmu; albowiem, gdy ciało zmienia

swą naturę, nie może być inaczej, tylko funkcyje muszą przestawać być ciągłymi, a przez utratę ciągłości i wszystkie wywiedzione prawa na téj podstawie ciągłości muszą się zmieniać; zdaje się więc, że na téj drodze nie można dojść do praw ruchu jakie rządzą w działaniach chemicznych.

Nie mogąc tu wchodzić w bliższe szczegóły, co by nas daleko zaprowadzić musiało, zwracamy uwagę naszych matematyków na tę piękną i obszerną pracę naszego młodego geometry.

Daléj znajdujemy trzy prace mniejsze p. Trzaski. „O niektórych własnościach pewnego rodzaju funkcyi jednej zmiennéj urojonej“, „Opewném zastosowaniu wyznaczników (*determinant*) funkcyjnych“ i „O nakreśleniu do trzech kół danych leżących na powierzchni jednej kuli czwartego koła stycznego na téjże powierzchni.“

W pierwszej autor rozwiązuje zadanie podane w *Nouvelles Annales de Mathématique par Terquem et Gerono* na r. 1862 na kar. 156 o pewnej własności powierzchni rzutów, na dwie płaszczyzny współrzędnych pionowych, krzywych, nakreślonych na walcu prostym, mającym za podstawę krzywą zamkniętą, daną nakreśloną na płaszczyźnie poziomej współrzędnych, a których rzędne są związane przez funkcyą urojoną synektyczną w obrębie téj krzywej. danéj; w drugiej zastosowanie determinant funkcyjnych do oznaczenia czy między danymi funkcyami wielu zmiennych i nie zależnych zachodzą pewne związki niezależne od tych zmiennych i w jakiej one są liczbie; w trzeciej rozwiązuje analitycznie zadanie oznaczenia koła stycznego do trzech kół danych na powierzchni kuli i to rozwiązanie stosuje do zadań oznaczenia koła opisanego i wpisanego w trójkąt kulisty.

Mamy tam także dwie rozprawy p. Żmurki: jedną, dowód twierdzenia Hessego o wyznaczniku funkcyjnym“ i „przyczynę do teoryi największości i najmniejszości funkcyj wielu zmiennych“ i p. Franke „o względnościach (związkach) wykreślonych zachodzących między nutami systemów geometrycznych.“

Daléj p. Sagajły „rozbiór krytyczny dzieła p. Niewęglowskiego pod tytułem Artymetyka z teoryą przybliżeń liczebnych i geometria“ poprzedzonym historycznym poglądem na stan geometryi.

W końcu na uczczenie pamięci czterechsetnej rocznicy urodzenia Kopernika, Towarzystwo ogłasza konkurs na zadanie „Ocenienie prac matematycznych Hoene Wrońskiego z wyznaczeniem nagrody 1000 franków za najlepszą pracę w tym przedmiocie, nadesłać się mającą najpóźniej w dniu 12 lutego 1873 roku.“

W drugim tomie Pamiętnika zasługuje na szczególną uwagę praca p. Kucharzewskiego „o astronomii w Polsce“ gdzie autor w obszernéj téj pracy zebrał i ocenił wszystko co u nas na tém polu czyniono aż do ostatnich czasów. Piękna to praca mogąca służyć za materiał do głębszych studyów w tym przedmiocie i życzyłyby należało aby podobnie zebrano i oceniono wszystkie prace dotyczące się innych części matematyki.

Daléj jeszcze pan Gosiewski w rozprawie „kilka uwag o liczbie różnych wartości, jakie funkcyja może przybierać wskutku przestawień zmiennych do niej wchodzących“, rozwinął kilka twierdzeń tyczących się teoryi podstawień (substitutions).

Daléj mamy dwie prace pana Trzaski: „Kilka uwag tyczących się funkcyj wielowymiarowych“ i „Dowód pewnego twierdzenia tyczącego się funkcyj wielowymiarowych okresowych (peryodycznych)“.

W pierwszej autor daje nam poznać nowego rodzaju ilości nazwane zbiorowemi, wprowadzone do matematyki przez matematyka angielskiego Hamiltona, a których początek mamy w znakomych pracach Cauchego; i dowodzi twierdzenia następnego dla funkcyi dwu lub trzy gatunkowych: „jeżeli ilości l gatunkowe ulegają zwykłemu prawom dodawania algebraicznego, wtedy funkcyja tych ilości nie będąca stałą i mająca skończoną liczbę wartości, dla każdej wartości zmiennej niezależnej, nie może być jak l peryodyczną czyli nie może mieć jak l peryodów różnych, rozumiejąc przez peryody różne takie tylko, które nie są summami wielokrotności innych peryodów.“ W drugiej dowiódł podobnego twierdzenia ogólniejszego dla funkcyi l gatunkowych o m zmiennych nie zależnych; dla których liczba peryodów nie może przejść iloczynu $l m$.

Pan Żaliński w artykule „o nitroglicerynie i dynamicie“ przedstawia nam własności i skład nitrogliceryny ciała mocno eksplozyjnego a wyrabianego w wielkiej ilości w Paryżu podczas oblężenia w braku materyałów palnych.

Nitrogliceryna składu $C^3 H^5 Az^3 O^9$ została odkrytą przez Sobrero w 1847 roku i jest eterem azotnym gliceryny; dynamit zaś jest mieszaniną nitrogliceryny i ciała obojętnego dla uczynienia jej łatwiejszą w użyciu i mniej niebezpieczną. Dynamit posiada stosunkowo większą siłę jak proch zwyczajny i szybciej zapalny, a prócz tego nie potrzebuje być zamknięty w naczyniu dla jego rozerwania, dosyć gdy jest nad, obok lub pod przedmiotem umieszczony, aby go rozerwać. Za ciało obojętne do składu dynamitu używa się piasku lub innej materyi, najlepszą ma być glina wypalona w piecach hutniczych.

Daléj jeszcze pan Sagajło podał „krytyczny rozbiór dzieła Polkierskiego zasady rachunku różniczkowego i całkowego, T. I rachunek różniczkowy“, nieco zarozwlekły, bo zawierający jedną trzecią część T. II Pamiętnika. Nakoniec jeszcze pan Gosiewski zamieścił „przegląd krytyczny dzieła p. Niewęgłowskiego pod tytułem Trygonometrya z teoryą ilości urojonych i notami“. Pobieźny ten przegląd nie prostuje błędnych orzeczeń przez autora użytych i nie stosownych wyrazów licznie wprowadzonych w miejsce dotąd przyjętych, jakoż wszystkie definicye podstawowe umieszczone na początku dzieła w rozdziale I o funkcyach kołowych, jak np. *wstawą łuku jest liczba dodatna lub odjemna, która mierzy prostopadłą spuszczoną z jednej skrajności tego łuku na średnicę przechodzącą przez*

drugą skrajność, na które zgadza się p. Gosiewski, zawierają podwójny błąd; albowiem każdy łuk musi mieć początek i koniec, o czym autor przy mierzeniu łuków powiada, ale wprowadzając nowy wyraz w to miejsce, *skrajność*, zaciemnił rzecz, o którą idzie; a dalej liczba jest wypadkiem mierzenia pewnej długości przez inną długość wziętą za miarę, a nigdy sama nie mierzy; należało więc powiedzieć: *wstawia łuku jestto liczba dodatna lub odjemna wyrażająca stosunek prostopadłej spuszczonej z końca łuku na promień przechodzący przez początek łuku do tegoż promienia*, i tak podobnie co do innych linii trygonometrycznych.

Potrzeba było podobnież powiedzieć coś o wyrazach nowo tamże wprowadzonych, jak np. *ćwiercian* (ćwiartka), *postępnia* (postęp), *ukośnik* (kwadrat ukośny, romb), *czopek* (kołek), *za wpisane koła* (przypisane), *graniastonny* (graniastosłupowy), *pierwiastnik* (znak pierwiastkowy, radykał), *zrzutować* (rzucić), *wielownik*, *podwielownik* (wielokrotność, czynnik), *pierwiastki wielowne* (wielokrotne), *oś pierwiastna* (radykalna), *zbytek sferyczny* (przepełnienie sferyczne wyraz wprowadzony przez Śniadeckiego, odpowiedni wyrazom dopełnienie i spełnienie) i tym podobne, które utworzone niezgodnie z duchem języka, lub niewłaściwie zastosowane do przedmiotu, utrudniają czytanie dzieła, zkażdym wiele zalet posiadającego; a nawet niemilo brzmiące, jak np. w twierdzeniu 3 lub 4 § 87 u 89: „Gdy łuk jest mniejszy od *ćwiercianu*, różnica między tym łukiem, a jego wstawą jest mniejsza od *ćwierci sześciąna* łuku“, lub też § 43: „Znając rzuty linii prostej na trzech osiach prostokątnych otrzyma się jój rzut na jakakolwiek oś, *rzutując te trzy rzuty* na tę oś i robiąc summę nowych *rzutów*“.

Kończąc ten krótki nasz przegląd, w ogóle powiedzieć winniśmy, że oba tomy Pamiętnika pomimo usterek językowych, zresztą nielicznych, odznaczają się doborem artykułów, sumienném ich opracowaniem, a przytém pięknym drukiem i staranném wydaniem, co czyni je ze wszech miar godnemi czytania i rozpowszechnienia; a tém więcej że obecnie nie posiadamy peryodycznego pisma specjalnie poświęconego naukom matematycznym.

W Lublinie.

W. Witkowski.

Wespazyana z Kochowa Kochowskiego Rubus incombustus, przez Dra. Władysława Wisłockiego we Lwowie, w drukarni Zakładu Narod. Im. Ossolińskich 1872, w 8-ce 58 str.

Studia naukowe nad życiem i pracami Wespazyana Kochowskiego, napisane i wydane w Warszawie 1871 r. przez Adama Rządewskiego, zachęciły Dra. Wisłockiego do zrobienia niektórych do-

pełnień w tym względzie. Oddając zasłużoną pochwałę téj sumiennej i gruntownie skreślonej monografii, dziwi się niepomału, że p. Rzązewski z taką skrzętnością zbierając wszelkie szczegóły obchodzące Kochowskiego i nie znalazłszy nigdzie owego pisma *Rubus incombustus*, nie napotkał się przypadkowo z pielgrzymką do Częstochowy, którą jeszcze w r. 1846 wydał uczony badacz Michał Baliński i uważaną do dziś dnia za najlepszy i najdokładniejszy opis tego miejsca tak pod względem historycznym jak i archeologicznym. Pracę tę Balińskiego skrócił potem Józef Lompa p. t. Przewodnik dla odwiedzających Częstochowę i ogłosił drukiem 1860 r. w Warszawie. W obudwóch tych dziełach, a osobliwie téż w piśmie Balińskiego jest podany dokładnie tytuł owego *Rubusa* bezimiennie wydanego i nadto Baliński wydrukował list Kochowskiego pisany w Goleniowach dnia 22 października 1693 r. do prowincyała Jasnogórskiego, przy którym przyłączył i egzemplarz swego dzieła, a który najlepiej udowadnia, że sam Kochowski był jego autorem. Przytém Dr. Wiśtockci dodaje że i Helleniusz (Iwanowski) wydając w Paryżu 1852 r. pamiątkę swój pielgrzymki do Częstochowy, również nie znał wcale daleko ważniejszej i gruntowniejszej pracy Michała Balińskiego.

Dr. Wiśtockci podał nam bardzo starannie dokładną treść i wewnętrzny układ owego pisma Kochowskiego p. t. *Rubus incombustus*, którego jeden egzemplarz znajduje się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Kochowski napisał swe dziełko ni to wierszem, ni prozą zwykłą lub rymowaną, lecz jakąś mieszaniną tego wszystkiego razem. Nadto okrył je na zewnątrz szatą panegiryczną, przezco utworowi swemu odjął napozór wszelką wartość i samochcąc skazał go na zapomnienie. Styl i łacina sama odpychają każdego od czytania, tém więcej, że ów niesmaczny traktat teologiczny zadnych nie podaje szczegółów odnoszących się do samego pożaru, lub téż do historyi obrazu N. Marii P. Częstochowskiéj. Z tego wszystkiego okazuje się, że najnniejszego nie poniosła uszczerbku historya przez późniejsze poznanie tego dziełka, i dla samego autora nie przysparza wcale wyższej chluby. Kochowski gorący katolik był przytem z gruntu zabobonny, wierzył w to wszystko co kościół do wierzenia podaje, a nadto wierzył w klimaktery i w to wszystko co się łączyło z tym zabobonem. Dr. Wiśtockci wyjaśnia nam z wszelką gruntownością, jak we wszystkich pismach Kochowskiego te lata klimakteryczne ważną odgrywały rolę, przypisując woli Opatrzności ich moc i działanie i strojąc swój zabobon w pobożną szatę katolicką. Największy ten wpływ klimakterów odbił się najwyraźniej w jego *Psalmodyi polskiej*, którój opis podaje nam także Dr. Wiśtockci jako mało dotąd znanéj, a nadto dopełnia przedruku tejsze zrobionego przez Turowskiego w *Bibliotece polskiej*, gdzie opuszczony jest wiersz łaciński mieszczący się w pierwotném wydaniu na ostatniej karcie w dwie kolumny wydrukowany; mniema bowiem, że Turowski miał pod ręką bardzo zniszczony egzemplarz drukując ową psalmodyę.

W każdym razie słuszną należy się od nas wdzięczność Dr. Wiślickiemu za ten przyczynek bibliograficzny z takim trudem i mozołem dokonany. C. W.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa.* Marzec 1873 r. Myśl obchodu uroczystego czterechsetnej rocznicy urodzin Kopernika, szeroki rozgłos zyskała, nie tylko u nas ale i w postronnych krajach. Podaliśmy już szczegółowy opis obchodu tego w Warszawie, teraz wspomnieć nam należy, jak był w innych miastach polskich odbyty, a zarazem u pobratymców naszych Czechów i we Włoszech.

W *Kaliszu* organ prassy miejscowej tak nam szczegółowie opisuje: „O godzinie 10 $\frac{1}{2}$ z rana uderzyły dzwony kościołów miasta zwołując na nabożeństwo do kościoła ś. Mikołaja. W świątyni tej przystrojonej w wieńce i świerki, ustawiony był przy wejściu do presbiteryum wielki transparent z portretem Kopernika i napisem. O godzinie 11 rozpoczęła się suma celebrowana przez ks. Lipskiego, kanonika katedralnego i infułata chockiego, któremu asystowało sześciu kapłanów w bogatych kapach, przyniesionych z miejscowego kościoła P. Maryi; w liczbie tych kapłanów był Jks. kanonik Kobyliński, proboszcz Kliczkowski, którego staraniu zawdzięczaliśmy tę wielką pontyfikalność nabożeństwa. Przed sumą jak i w czasie niej odbywały się liczne msze św. przy różnych ołtarzach. W czasie sumy zajmowali dwoma rzędami całą długość presbiteryum, kapłani świeccy tak miejscowi jak i przybyli z okolicy, w liczbie około 30, oraz tutejsze konwenty OO. Franciszkanów i Reformatów. Muzyka złożona z miejscowych amatek i amatorów, oraz artystów, wykonywała w czasie nabożeństwa utwory kościelne, a prześliczny śpiew dwóch amatek harmonijnemi tony rozbrzmiewał po starożytniej świątyni. Jks. Kwiryn Służewski reformat, powiedział mowę stosowną do obchodu. Po sumie odśpiewano było przez kapłanów „Te Deum.“

„Kościół przez ciąg całego nabożeństwa tak był przepelniony pobożnymi, że literalnie, nie było w nim już miejsca: wielu nawet ze starozakonnych przyglądało się obrzędowi. W dniu tym czuć było w mieście naszym jakąś atmosferę świąteczną; w czasie nabożeństwa niektóre ze sklepów pozamykano; obrzęd skończył się po godzinie 1-jej. Uczniowie

szkół miejscowych o godzinie 11-tój z dozwolenia Kuratora Okręgu Naukowego Warszawskiego, od lekcyi uwolnionymi zostali. Przed godziną 3-cią wielka liczba powozów i osób dążyła ku b. hotelowi polskiemu, na którego sali miały się odbyć odczyty. Sala ta ustrojona w wieńce i transparent z portretem Kopernika przeniesiony z kościoła, przyjęła wielką liczbę słuchaczy. O godzinie 3^{1/2} rozpoczęły się odczyty, najprzód odą wygłoszoną przez p. Adama Chodyńskiego patrona tutejszego trybunału, następnie odczyt o Koperniku miał p. Alfons Parczewski także patron. a na zakończenie oddeklował dytyramb p. Stefan Giller professor kaliskiego gimnazjum.

„Po ukończeniu odczytów, tak oda jak i dytyramb rozdane były obecnej na odczytach publiczności. Tak się zakończył dzień poświęcony pamięci Kopernika. Wedle pierwotnego zamiaru, miał się on uwieńczyć wspólną ucztą; zamiar ten przecież zmieniono, ze względu, iż pożyteczniej będzie wydatek na wieczere ponieść się mający, a złożony przez zapisy, dołączyć do funduszu Kopernikowskiego w Warszawie na taki sam cel, na jaki ma być tamten przeznaczony. Fundusz (po k. 30 za bilet) z odczytu, oddany będzie na wpisy dla niezamożnych studentów gimnazjum kaliskiego.“

W innych miastach solennem nabożeństwem obchodzono. Czasopisma illustrowane jak *Kłosy* i *Tygodnik illustrowane*, szczegółowe podały sprawozdania o obchodzie jubileuszu Kopernikowego w Krakowie, Lwowie i Toruniu.

W Czechach, hasło po temu dało „Towarzystwo matematyków Czeskich“ mające swe siedlisko w Pradze. Za ich przykładem poszli postrojni przedstawiciele inteligencyi miejscowej i również urządzali obchody. W ten sposób się stało że na pięknej ziemi czeskiej, w jakich stu miejscowościach, obchodzono uroczystość Kopernika. Korrespondent *Gazety Warszawskiej* pisze:

„Od Pragi do jakichś tam Horzic, Roudnicy lub Plzna, wszystkie obchody nosiły na sobie charakter najwylężniejszej słowiański, a bliżej czeski; Niemcy bowiem tutejsi, mszcząc się na Czechach za nieobchodzenie w r. z. rocznicy przemieszkującego niegdyś w Pradze Keplera, całkiem się usunęli od wszelkiego udziału w uroczystościach Kopernikowych. Obchody te prowadzone przez Czechów, nie wyjmując nawet głównego w Pradze w gronie Towarzystwa Matematyków Czeskich, były w powszechności nader skromne, ale za to pełne szczerości, serdeczności i swobody, stokroć miłszj od najpompatyczniejszj krochmalnej niewoli uroczystości urzędowych, a nadewszystko były dziełem nie czyjegoś dątkowego przedsięwzięcia, lecz ogółu ukształceńszych mieszkańców danej miejscowości. Przystrojenie obranego na obchód lokalu zielenią i wizerunkiem Kopernika (zwykle do tego używano artystycznj, wielkich rozmiarów litografii Tytusa Maleszewskiego), światło i inne drobne potrzeby opędzano ze składek po kilka groszy, i w większj części obchodów to stanowiło całkowity wydatek. W pewnych miejscowościach, jak np. w Pradze, obchodowi towarzyszyły oszczędne uczyt składowe, na

których rozumie się niepodobna było uniknąć przymówek schodzących z wysokości gwiazdzistych do dzisiejszego położenia politycznego, ani tém bardziej ostrych docinków Niemcom, równających się nieraz świętnym epigrammatom Havliczka. Najważniejszą jednak chwilę każdego obchodu stanowił odczyt o życiu, pracach i zasługach Kopernika. Nie wszystkim tym odczytom przewodniczyła odpowiednia rozległość wiedzy, ale to niezawodna, że ani jednemu prelegentowi nie zbywało na uczciwej chęci, a najmniej zbywało jej tym, których ofiara była najskromniejsza. W Pradze wystąpił z odczytem uczony w całym znaczeniu i znany w literaturze matematyk, professor Studniczka; gdzieindziej miewali odczyty rozmaici nauczyciele szkół średnich i niższych; gdzieindziej jeszcze obowiązek wyliczania zasług Kopernika brali na siebie „fararze“ (proboszcze); były zaś i takie miejscowości, gdzie wójt gminy lub burmistrz miasteczka po prostu odczytywał zgromadzonym ogłoszoną w styczniu broszurę Durdika *O velikém hviezdárzi Kopernikovi*, ale odczyt koniecznie być musiał. Stowarzyszenia nauczycieli, stowarzyszenia czytelników, kluby czyli tak zwane tutaj „besedy“, nawet pensje żeńskie, nawet stowarzyszenia śpiewaków i gimnastów przykładały się w miarę środków do uświetnienia uroczystości. Muzyka, śpiew, a w kilku miejscach nawet tańce ochocze, świadczyły o radości Czechów i Czeszok z urodzenia Kopernika przed czteremastu laty. Co większa, nawet w Wiedniu i w Monachium, na uroczystościach wyprawianych przez zamieszkałych tam Polaków, Czesi z pomiędzy innych Słowian pierwsze zajmowali miejsce. Ze składek na urządzenie obchodów ukazały się w wielu miejscach pozostałości, które poprzesyłane do Towarzystwa Matematyków Czeskich utworzyły razem sumkę około 200 zlr., przeznaczoną na wydawnictwo prac matematycznych. Fajcik to napozór drobny, ale pomyślcie przy nim o niemieckiej skrzętności Czechów, a urosnie do większego znaczenia.“

— We Włoszech jak korespondent *Gazety Warszawskiej* donosi, Rzym, Padwa i Bononia, a łącznie z temi przesławnymi wszechnicami Uniwersytety w Ferrarze i Obserwatoria w Medyolanie i Florencyi, obchodziły usoczyć się jubileusz polskiego astronoma. *Dr. Artur Wołyński* dla odżywienia pamięci jego wydał własnym nakładem rozprawę p. n. „*Cenni Biografici di Nicolò Copernico dettati dab dot. Arturo Wołyński, Firenze. Tipografia Editrice Dell'Associazione 1873*“ (w 8-ce str. 48. Pracę tę poświęcił Kamilowi Flamaryonowi).

Uczony ten mąż wraz ze znakomitym rzeźbiarzem *Wiktorem Brodzkim*, przyłożyli się najwięcej do uświetnienia tego obchodu w Uniwersytecie Rzymskim. Przytoczymy tu szczegółowy opis przez pomienionego korespondenta:

Odbył on się w wielkiej sali *aula massima* gmachu, który Kopernika w 1500 roku widział w swoich ścianach. W głębi sali na podwyższeniu wznosił się postument, na którym stało popiersie naszego astronoma dłuta Wiktora Brodzkiego, znane już wam z ryciny umieszczonej w *Kalendarzu Jaworskiego*. Postument ten został ozdobnie ubrany

w kwiaty i wawrzyn przez samego rzeźbiarza, który za własne pieniądze nakupił także mnóstwo najrzadszych kwiatów, albowiem rada uniwersytecka, która za darmo popiersie miała, oświadczyła była z góry, że ani grosza na kwiaty lub na jakąkolwiek inną ozdobę nie wyda. Dzięki temu panowie Niemcy nie mieszały się także do tego obchodu, pewna ich liczba tylko była przytomna uroczystości, ale żaden Niemiec nie wyrzeźbił ani okazał dla jego pamięci tego gorącego współczucia jakie tylko wspólna krew natchnąć może. Popiersie Brodzkiego malowniczo się rysowało na ciemnych ścianach auli, oświetlone z góry promieniem padającym z wysokich średniowiecznych okien. W całym wyrazie tego oblicza było coś niewymownie młodzieńczego, natchnionego, ujmującego; zdawało się że mu mowy tylko braknie. Nad popiersiem wisiały w czarnych ramach dwa egzemplarze wielkiej fotografii współczesnego wizerunku Kopernika przechowywanego się we Florencji, a na którym imię jego i nazwisko wypisane są wielkimi głoskami. Na obrazie tym Kopernik jest nieco starszy niż w portrecie Ghirlandaja i odmienny strój nosi.

Po obu stronach postumentu stały aksamitne krzesła dla ministrów i dostojników, po prawej stronie wznosił się pulpit dla mówców, a reszta sali zajęta była przez kilkadziesiąt rzędów krzeseł z jednej i drugiej strony dla publiczności składającej się z kwiatu intelligencji włoskiej. Z przytomnych zasługują na osobliwą wzmiankę: pp. Lanza prezes rady ministrów, Scialoja minister oświecenia, de Falco minister sprawiedliwości i podkanclerzy państwa, Gadda prefekt Rzymu i senator, wielu innych senatorów i posłów, p. Correnti były minister oświecenia piszący w tej chwili obszerną historię polską, książę Caetani kawaler najwyższego orderu Anuncjaty, słynny wykładacz Danta i syn jego książę Teano z Polki Rzewuskiej urodzony, poseł do parlamentu: wszyscy uczeni, literaci i dziennikarze rzymscy, wielu cudzoziemców.

Trzech mówców z kolei zabierało głos w wielkiej sali. Najprzód przemówił minister oświecenia radując się że nadszedł nareszcie dzień, w którym wolno oddawać w tych samych murach Kopernikowi hołd publiczny. Rzekł, iż hołd ten czyni najwyższy zaszczyt nie tylko wielkiemu mężowi, którego potomność w podobny sposób uwielbia, lecz i samym jego wielbicielom, albowiem wdzięczność dla geniuszu i talentu i zapamiętanie dla nich, bywają miarą postępu i cywilizacji narodów.

Następnie odezwał się p. Serafini rektor Uniwersytetu. Oświadczył, iż obowiązek uczczenia Mikołaja Kopernika ciąży osobliwie na rzymskiej wszechnicy i na Rzymianach, albowiem bawiąc tu między innymi, nieśmiertelny ten gość odkrył prawa świata. Jakoż rząd, obywatele, professorowie, uczniowie, naród włoski, wszyscy w zawody przybiegają i kupią się w okolo popiersia wiekopomnego męża, a jednocześnie głosy włoskie, a mianowicie głos członka rzymskiego uniwersytetu profesora Occioniego, odzywają się w Toruniu. P. Serafini przypominał, że wiek Kopernika był oraz wiekiem powtórnego panowania Italii nad światem całym, nie już jak dawniej orężem i podbojem, ale pogodną wszechwładzą geniuszu i nauki. Wówczas to nad Europą całą panowali pisa-

rze tacy jak Macchiavelli, Guicciardini, Ariosto i Ficino, w sztukach zaś Leonardo da Vinci, Tycyan i Rafael. Jednocześnie z Kopernikiem geniusz włoski, równie wielki jak nieszczęśliwy Jordan Bruno rozpoczynał tę zdumiewającą rewolucję, jakiej w sto lat później miał dokonać Galileusz. Mówca dorzucił, iż odrodzone politycznie Włochy po trzech wiekach uspienia umysłowego, po długim milczeniu dziejowym zajmują teraz napowrót między narodami miejsce, które im się ze wszech miar należy i że obchód na cześć Kopernika, który jest przysposobionym synem Italii, dowodzi najwymowniej tego ocknienia się. Już obce narody biorą na nowo Italię za rozjemczynię swych sporów, a ona im odpowiada zadziwiającym przykładem szlachetności jednego ze swych książąt i czcياً wyrządzoną jednemu z największych dobroczyńców ludzkości.

Nakoniec zabrał głos p. Dominik Berti były minister oświecenia, poseł do parlamentu i professor uniwersytetu, jedna z najznakomitszych głów tegoczesnych Włoch. P. Berti jest najpierwszym włoskim badaczem dziejów Kopernika i Galileusza, tak jak jest jednym z najznakomitszych dziejopisarzy swego kraju.

Mowa jego trwała blisko godzinę i była główną ozdobą obchodu. Gdy inni mówcy unikali troskliwie wszelkiej wzmianki o narodowości Kopernika, p. Berti natychmiast Polakiem go nazwał, opisał sławę akademii krakowskiej, życie Kopernika, podróże jego i prace w Bononii, Padwie i rzymskiej *Sapiencyi*, jak zwykle uniwersytet tutejszy nazywano. Mowa p. Bertego była równie głęboka jak plastyczna. Wzbudził on niejako Kopernika z przeszłości i wyprowadził na widownię szlachetną jego postać, pełną życia, młodości, duchowego ciepła i nieśmiertelnej piękności. Opowiedział jak niepewne badania kardynała Kuzy i jasniejsze nieco pojęcie o astronomii ojca Dominika Novary, otworzyły przed jego okiem nieznanne widnokregi, ale jak on jeden rzeczywiście zgłębił i udowodnił prawa rządzące wszech światem. P. Berti przedstawił wielką trylogię twórczej idei w trzech mężach będących jakoby trzema ogniwami jednego bozkiego łańcucha silnie połączonemi między sobą, w Koperniku, Jordanie Brunie i Galileuszu. Po polskim mistrzu jako pierwszy jego apostoł zjawia się zakonnik Bruno, niesie nieznanne dotąd imię Kopernika aż na dalekie wybrzeża Anglii, księgą dlań świętą jest księga *De revolutionibus orbium coelestium*, wraca z nią do Włoch, staje się obrońcą polskiej idei, w obec władców Rzymu. Nareszcie trzeci z kolei zjawia się Galileusz ze swym *Nunzio Sidero* w rękę i ze swoim: *A przecież się rusza! eppur si muove!* Jako przeciwstawienie tych szerzycieli myśli naszój, myśli Kopernika, p. Berti malowniczo ścieniał postać głównego jój wroga i prześladowcy kardynała Bellarmina. Ogromne oklaski rozległy się w sali kiedy p. Berti zawołał, że teologia powinna nas uczyć nie ustroju i materyalnego mechanizmu nieba, ale drogi dusz naszych do niego.

Przy końcu uroczystości professor astronomii Respighi przemówił pod krużgankiem piórszego piętra, gdyż w rzymskim uniwersytecie jak w Watykanie panuje w około wewnętrznego dziedzińca dwupiętrowy

portyk. Tam to odsłonięto zapuszczoną czerwonymi adamaszkowemi firankami wielką marmurową płytę z napisem w języku łacińskim, przypominającym wielkie zasługi Kopernika. P. Respighi pięknie mówił, lubo słabym głosem. Rzekł między innymi, że Stwórca umyślnie niebo Italii taką pogodą i przejrzystością obdarzył, by się oko wiedzy zagłębiać w niem mogło i że Kopernik wpatrując się w to przeczyste rzymskie niebo, wielkie swe poczynił odkrycia.

Podczas całego obchodu w przestankach mów, muzyka municipium rzymskiego z kapitolu grała na dziedzińcu uniwersyteckim.

— Przy wzniesieniu pomnika Kopernikowi w Warszawie w dniu 11 maja 1830 roku, wieść się rozeszła że księża misyjonarze warszawscy nie chcieli nabożeństwa odprawić, jakoby z powodu potępionego jego dzieła w Rzymie. Fakt ten w swoich pamiętnikach I. U. Niemcewicz potwierdził. W nr. 50 *Gazety Polskiej* znajdujemy wyjaśnienie tego zdarzenia przez T. Dziekońskiego wówczas rektora szkoły wojewódzkiej praktyczno-pedagogicznej, które dosłownie zamieszczamy.

„Dziwna rzecz że fakt tak świeży jakim jest odkrycie posągu Kopernika, może być tak fałszywie przedstawiony. W artykule jednym z okazji 400-niej rocznicy powiedziano że *fanatyzm* księży misyjonarzy nie pozwolił na nabożeństwo z okazji odsłonięcia posągu, że z tego powodu ks. Szwejkowski nie mógł odprawić mszy św.

„Że ks. Szwejkowski nie odprawił tej mszy o którą tu mowa, to rzecz bardzo naturalna, bo go o to nikt nie prosił, nikt o nim nie myślał, nikt go wtedy nie wspominał, ale mimo to msza odprawiona była i to w kościele misyonarskim Ś. Krzyża przy udziale kk. misyjonarzy, choć ich nikt do tego nie wzywał.

„Kiedy staraniem Towarzystwa Przyjaciół Nauk posąg Kopernika ustawiony był na placu przed domem tegoż Towarzystwa, kosztem Staszica wzniesionym, tak jak po większej części i posąg, Towarzystwo postanowiło odbyć uroczystość odsłonięcia posągu. Na posiedzeniu, na którym radzono o formie tej uroczystości, długo rozprawiano czy się też uroczystość ma zacząć od nabożeństwa. Większość była zdania, że gdy posąg nie jest nagrobkiem, nie stoi na cmentarzu, nabożeństwo więc niepotrzebne, a tém bardziej poświęcenie posągu jako pomnika przeznaczzonego na uczczenie zasług w dziedzinie nauki. Po długich atoli rozprawach zgodzono się na odprawienie mszy św. i zobowiązano ks. Czarneckiego praelata kupitalny metropolitalnej i sekretarza Towarzystwa do jej odprawienia.

„W dzień uroczystości kk. misyjonarze kazali w presbiteryum ustawić krzesła dla członków Towarzystwa, jak to zwykle czyniono w diegalowe, przeznaczyli odpowiednią liczbę kleryków do assistencji w czasie mszy. Ks. Czarnecki przybył do zakrystyi o kwadrans na jedenastą, bo w pół do jedenastej był czas oznaczony na rozpoczęcie mszy. Gdy więc chwila oznaczona nadeszła, ks. Czarnecki wysłał sługę kościelnego, aby się przekonał czy już panowie przybyli, ten wróciwszy oświadczył, że wszystkie krzesła już zajęte. Na tej zasadzie ks. Czarnecki wy-

szedł ze mszą, a lubo od ołtarza spostrzegł omyłkę, odejść już nie mógł, odprawił mszę i wrócił do zakrystyi, a w tój chwili dopiéro Towarzystwo przybyło do kościoła kiedy już była godzina jedenasta. Albo więc czci- godny prezes Towarzystwa należał do większości nieżyczącej nabożeń- stwa i dlatego nie spieszył się na nie; albo co może pewniejsze, Towarzy- stwo postąpiło zgodnie z nałogiem naszym, żeby nigdy nie pilnować się oznaczonego czasu, a ks. Czarnecki przez długie lata zwierzchnik szkół przywyczajony do akuratności, nie uwzględnił tego nieszczęsnego nałogu. W każdym razie *fanatyzm* kk. misyonarzy nie miał w tём żadnego udziału.

„Ponieważ takie wyjaśnienie słyshałem wówczas z ust ks. Czar- neckiego, zdaje mi się więc, że za jego wiarogodność sumiennie zare- czyć mogę.“

— *Petersburgskie Wiadomości* donoszą, że dnia 8 (20) lutego r. b. Uniwersytet Petersburski obchodził uroczyscie przy natłoku pu- bliczności rocznicę swojego założenia. Na obchodzie tym professor *Sa- wicz* odczytał rozprawę o Koperniku.

— Ogłoszone zostały prospekta na nowe pisma następne: 1) *Ga- zeta Sądowa Warszawska*, mająca wychodzić raz na tydzień zaczynając od 24 marca (5 kwietnia) r. b. w formacie podwójnego arkusza. 2) *Przegląd Wystawy Powszechnej Wiedeńskiej w zakresie przedmio- tów rolnictwa i przemysłu rolniczego*. Pod redakcją Zygmunta Jaro- szewskiego. 3) „*Wiek, Gazeta polityczna literacka i społeczna*“, pismo, codzienne od dnia 1-go lipca r. b. pod redakcją F. H. Lewestama pro- fessora Uniwersytetu Warszawskiego. Podług wydanego prospektu bę- dzie gazetą z polskich największą w rozmiarach, obejmując tekstu pięć szpalt. Obejmować ma: *Artykuły wstępne*: o polityce zagranicznej o kwestyach społecznych i ekonomicznych, krajowych i obcych.—*Wia- domości i rozporządzenia rządowe*.—*Przeglądy ogólne bieżącej polityki*, depesze telegraficzne i wyciągi z gazet zagranicznych.—*Korrespondencje z kraju i z zagranicy*, treści politycznej, społecznej, naukowej, literackiej i artystycznej.—*Wiadomości i fakta z Warszawy*, jako tóż z różnych stron Królestwa, Cesarstwa i zagranicy.—*Artykuły literackie*, tudzież krytyczne o literaturze, teatrze i sztukach pięknych.—*Artykuły i prze- glądy dotyczące wszystkich gałęzi wiedzy*, jako to historyczne, popu- larno-prawne, tudzież lekarskie, z nauk przyrodzonych i inne. Rozpra- wy o przedmiotach społecznych, moralno-filozoficznych i obyczajowych. Rolnictwo, handel, i przemysł.—*Kronika Sądowa*.—*Felieton*, zawiera- jący poezye, powieści i dramata.—*Rozmaitości społeczne, literackie i artystyczne*.—*Ogłoszenia*.

— *Warszawski Rocznik literacki poświęcony literaturze, oświe- cie, bibliografii i księgarstwu. Rok drugi. Redaktor Stanisław Czart- nowski*. Warszawa, w drukarni A. Pajewskiego 1873 r. (w 8-ce str. 323, oprócz doniesień). Najważniejszą częścią tego wydawnictwa, jest dział bibliograficzny.

— Nakładem i drukiem S. Orgelbranda synów wyszły: „*Michała Wiszniewskiego. Myśli o ukształceniu siebie samego. Dzieło pośmiertne z portretem i życiorysem autora, skreślonym przez Ludwika Niesiołowskiego.* (Warszawa 1873 r. w 12-ce str. XXVI, 122). Składa się z XII ustępów tak pedagogicznych, filozoficznych jak i historycznych.

— *Kraków.* W dniu 11 marca r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie wydziału filozoficzno-literackiego Akademii umiejętności. Dyrektor wydziału prof. Dr. Mecherzyński wyłuszczył użyteczność nowój instytucji dla Galicyi i zachęcał jej członków do gorliwej pracy. Następnie prof. Władysław Łuszczkiewicz odczytał rozprawę: „*Malarstwo cechowe XV i XVI-go wieku, i charakterystyka jego zabytków.* Kartka z dziejów sztuki;“ poczem prof. Dr. Józef Kremer i p. Lucyan Siemieński czynili szczegółowe uwagi nad tą rozprawą, której wątpliwości rozjaśniał autor. Sekretarz wydziału Dr. Karol Estreicher przedstawił pracę p. Feliksa Michałowskiego „*Celtyckie i polskie zawiązki*“ przyslaną celem jej wydania, tudzież pracę „*Fedon czyli o nieśmiertelności duszy,*“ dyalog z oryginału greckiego na język polski przełożony przez Karola J. Petelenea. Prezes Dr. Józef Majer zawiadomił o przesłanej na ręce jego rozprawie p. Samolewicza o „*Platonie.*“ W końcu wniesiono potrzebę wzmocnienia istniejącej już za czasów „*Towarzystwa naukowego*“ komisji bibliograficznej; kilku obecnych członków oświadczyło chęć należania do niej.

„*Rienzi*“ dramat prozą Asnyka, znanego poety pod imieniem *El-y*, odczytany w kółku poufnym u dyrektora tutejszego teatru p. Kozmiana, zrobił na słuchaczach niezwykle wrażenie. Kilka scen mianowicie obudziło prawdziwy entuzjazm. Dyrekcya zajmie się niebawem wystawieniem tego dzieła, które jak znawcy zapewniają, niepospolite zajmie miejsce w naszej literaturze dramatycznej.

Pan Karol Hoffman, mąż zasłużonej autorki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, zmarłej w 1845 r., oddał do zbiorów Akademii nauk następujące pamiątki: pierścień ofiarowany jej przed wyjazdem za granicę w r. 1831, przez związek dobroczynności Warszawianek, którego była opiekunką; kałamarz jej; stary egzemplarz Żywotów Świętych Skargi, własności rodzinnej; listy niektórych osób zostających z nią w stosunkach, jak arcybiskupa Woronicza, J. U. Niemcewicza, Brodzińskiego, Goreckiego, Witwickiego, Mezzofantego (po polsku), Kniaziewicza i innych. Serce Klementyny Hoffmanowej złożone jest w katedrze krakowskiej.

W dniu 12 marca przedstawiono w teatrze Krakowskim żywe obrazy z poematu Adama Mickiewicza „*pan Tadeusz,*“ na dochód szpitala dla chorych dzieci. Artystyczną stroną przedstawienia zajmował się J. Kossak, a artysta Benda czytał odpowiednie ustępy z poematu.

Z ośmiu obrazów, największe powodzenie miały: Łowy, Kłótnia, pan Tadeusz ułanem z Zosią i Gerwazy z Protazym na przyźbie; w ogóle, te w których była większa prostota akcji. Publiczność podziwiała stroje *à l'empire* w polonezie, który zakończył przedstawienie; to też pan

podkomorzy z Zosią w zielonój jak ruta sukience, po dwakroć taniec rozpoczynał w obec wielkiego entuzjazmu zgromadzonej publiczności. Typy Soplicowskiego dworu były zręcznie ucharakteryzowane, a kostiumy z archeologiczną dobraną starannością; gra amatorów w ogóle bardzo była staranna.

— *Konkurs dramatyczny* rozstrzygnięty został. Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu. Drugą otrzymał Olizarowski za dramat: „Rognieda;“ trzecią Michał Balucki, za komedję: „Emancypowana.“ Prócz tego komitet sędziów konkursu, uznał za dobre i zasługujące na prędkie wystawienie komedję: „Zyzio“ Zofii Mellerowej; „Celina“ Władysława Koziembrodzkiego, oraz dramat Jasińskiego: „Kłątwa i prolog do Władysława Białego“ Kosielskiego.

— Wychodzi teraz w nowém trzecim wydaniu *Atlas podręczny do historii średniowiecznej i nowożytnej Spruner'a* na nowo opracowany przez D-ra Theod. Menke (Gotha J. Perthes); głównych map 90, dodatkowych 340. W tej liczbie znajduje się: mapa krajów słowiańskich w pierwszej połowie wieków średnich, Polska od początku XVIII wieku do upadku Rzeczypospolitej z siedmiu mappami dodatkowymi (w latach 1667, 1772, 1793, 1795, Księstwo Warszawskie 1808 i 1810, plan Warszawy i Pragi), Włochy 1798—1866 z 11 mappami dodatkowymi i planami bitew pod Marengo, Nowarą, Madzentą i Solferino. Cena zeszytu 1 talar 8 sgr.; dotąd wyszło zeszytów sześć, wszystkich będzie około 30-tu.

— *La Rivista Europea* (1 marca) donosi że *T. Lenartowicz* ukończył wielki poemat dramatyczny p. t. „Piekielna komedya“. Występują tu w chórze z czartami agitatorowie internacjonalu. „Wszystkie wielkie kwestye społeczne są wprowadzone na tę ogromną widowie sceniczną, a geniusz Lenartowicza skupił tu, zdaje się, całą swoją potęgę.“ Jeden ustęp podany jest w tłumaczeniu; Rivista nie wątpi, że utwór cały, skoro się w druku ukaże, zachęci niejednego Francuza, Niemca, Włocha do przyswojenia go swoim literaturom.

— *Potop i epopea babilońska* (Le Déluge et l'épopée Babylonienne). Pod tym tytułem Fr. Lenormant, autor Historji Wschodu, rozważa napis klinowy, odkryty i wytłumaczony przez młodego assyryologa James'a Smith w muzeum brytańskóm. Napis ten zawiera opis potopu i poemat mityczny o poszukiwaniu nieśmiertelności przez Izdubara. Odkrycie Smith'a sprawiło wielkie wrażenie w kołach naukowych Anglii, gdyż w opisie babilońskim znajdują się wszystkie szczegóły opowieści biblijnej, a nadto rysy dotychczas nieznanne, które wiodą do przypuszczenia, iż tradycja Mojżesza jest skróceniem tradycyi babilońskiej.

— Wschód azyatycki coraz żywszą budzi uwagę Anglików, Francuzów i Niemców. Ukazują się ciągle tłumaczenia pism religijnych i poetycznych literatury indyjskiej i chińskiej; z Kalkuty i Hong-Kong nadchodzą nowe czasopisma angielskie, które prostują upowszechnione w Europie błędne pojęcia. Zaznaczę nasamprzód, że powstaje wielka burza w obozie filologów. Dr. Gustaw *Schlegel*, konsul hol-

lenderski w Batawii na wyspie Jawa wydał „*Badania nad pierwiastkami w językach chińskich i aryjskich*“ (Sinico-Aryaca ou Recherches sur les Racines primitives dans les langues chinoises et aryennes 1872), gdzie dowodzi że wiele wyrazów niemieckich, łacińskich etc. których pochodzenia nadaremnie szukano w sanskrycie, znajdują swe pierwiastki w narzeczach ludowych chińskich (np. mlóko, Milch, lac w wyrazie mik-lik, niemiecki wyraz Fuchs, do wytłumaczenia którego tworzono fantastyczną etymologią z greckiego alopex-lopex-opex-pex-pix-pux-Fuchs, znajduje się w postaci starożytnego wyrazu chińskiego puk, albo nawet: fuk podług narzecza kantońskiego). Poprzednio jeszcze ukazało się parę dzieł podających tę samą myśl, np. Edkins'a p. t. „*Miejsce Chin w filologii*“, ale uważano je za płody chorobliwej wyobraźni. Dziś w nowém piśmie dwumiesięcznym *The China Review* p. Watters w obszernym artykule oświadcza się za wieloma spostrzeżeniami Edkinsa. Jeśli badania te rozwiną się (o czém nie wątpię) i uzasadnią się lepiej, jakież ztąd ważne wynikną wnioski co do wyobrażeń naszych o różnicy ras żółtj czyli mongolskiej i białej, a może nawet co do jedności rodzaju ludzkiego! Powtóre, do sprostowania pojęć o Buddaizmie przybywa kilka wielkich tłumaczeń i opracowań. H. Alabaster w dziele „*Koło prawa*“ (The Wheel of the Law. London Trübner 1871) podając nowy życiorys Buddy i kreśląc obecne pojęcia religijne znakomitego ministra syamskiego, zarzuca pisarzom europejskim, a szczególnie panu Barthélémy Saint Hilaire, że nigdy zapewne nie widzieli ani jednego żyjącego buddaisty, gdy twierdzą, że religia ta jest ateizmem; radzi téż zaniechać marnowania ogromnych sum na missye, gdyż przerobienie dobrego buddaisty na lichego chrześcianina kosztuje 10,000 funtów sterlingów, a nie zapewnia ani rozległego ani trwałego powodzenia. Samuel Beal przetłumaczył z pism chińskich *Kanon pism buddajskich* (A Catena of Buddhist scriptures London Trübner 1871). Chociaż wiara Buddy wkroczyła do Chin w 67 roku po nar. Chr., to jednak pierwsze wydanie dzieł kanonicznych dokonaniem zostało około 650 roku, przez cesarza Kao-tsung; ostatnie zaś powiększone wyszło w 1723 roku. Oprócz kanonu literatura chińska posiada 5586 ksiąg buddajskich tłumaczonych z sanskrytu. Znaczną liczbę tych pism przetłumaczył lub podał w skróceniu pan Beal; z nich czerpie ważne wskazówki do wyrozumienia pism indyjskich, upatruje w nich źródło kilku legend średniowiecznych europejskich, oraz wielu urządzeń chrześciańskich, np. reguł zakonnych, ubiorów kościelnych, dzwonów, świeczników, kadzenia i t. d. Przypuszcza że Budda pochodził z plemienia scytyjskiego Saków, którzy uczynili pamiętny napad na Azyą Zachodnią w 625 roku, gdyż Budda urodził się w 623 roku, przed nar. Chr. a do imienia jego dodają wyraz Sakya Buddha. Wychodząca w Paryżu *Bibliothèque Orientale*, Chefs d'oeuvre littéraires de l'Inde, de la Perse, de l'Égypte et de la Chine, podaje w tomie 2-gim pieśni tryumfalne dwu faraonów egipskich (Tutmesa III i Ramzesa II W-go.). „hymn do Ozyrysa i Ra“, w tłumaczeniu zmarłego świeżo egiptologa margrabiego de Rougé, „Żale Izdydy

i Neftys, pieśni religijne Assyryjczyków“ (p. Opperta). Dalej są wyjątki z Wed i ustępy z poezyi lirycznój Chińczyków, po części znane już poprzednio, szczególnie z pięknego wydania *klassyków chińskich* przez J. Legge (Chinese Classics); I tom Biblioteki niepotrzebnie zajęto powtórnem wydaniem Rig-Vedy p. Langlois, gdyż na ukończeniu jest nowe a dokładniejsze tłumaczenie Maxa Müllera, znanego profesora w Oxfordzie. Nareszcie, godną uwagi jest wydana w Londynie *Historja Buchary* od najdawniejszych czasów (History of Bokhara) przez Arminiusza *Vambéry*, uczonego Węgra, który w latach 1862 i 1863 odbył wielce niebezpieczną wówczas podróż do tajemniczych krajów Turkomanii, Chiwy i Buchary, owój starożytnój Baktryi, najdawniejszego państwa ludów aryjskich. Tenże *Vambéry* w Przeglądzie Pesztenskim (Budapesti Szemle) ogłosił ciekawy artykuł „Timur i dwór jego“.

— *Krótką Historja konstytucyi angielskiej* przez *Rykotta* (Breve storia della costituzione inglese di Ercole Ricotti. Torino, Ermanno Loescher) odznacza się znakomitemi zaletami. Autor korzysta z prac Blackstone'a, lorda Brougham, Coxa, lorda Grey, Fortescue, Gneista, Rankego, Richtera, Fischel'a, Guizota, Augustyna Thierry etc. Wykład jest nader jasny, popularny, nawet powabny; reformy konstytucyjne są doprowadzone aż do 1867 roku; przeprowadzoną jest bardzo ciekawa parallela pomiędzy Anglią i Włochami. Na schyłku Wieków Średnich, Włochy posiadały Istrią, Dalmacyą, wyspy Jońskie, osady na morzu Czarném i na Azyatyckich wybrzeżach; kwitnęły tam sztuki piękne, nauki, przemysł i handel; ludność była trzykroć liczniejsza jak w Anglii, która nie posiadała jeszcze żadnej kolonii i staczała walki ze Szkocją i Irlandją. Dziś Włochy liczą 25 milionów mieszkańców, Anglia 193 miliony, handel wywozowy wynosi 6½ miliardów, przywozowy 7½, razem 14 miliardów, Włochy zaś w roku 1868 miały całego obrotu zaledwo 1½ miliarda. Tę zmianę względnego położenia dwóch krajów autor przypisuje wyższości konstytucyi angielskiej. Zwracam na to dzieło uwagę Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych.

— Niewiadomy z nazwiska naturalista niemiecki ogłosił dzieło p. t. „*O zatraceniu gatunków drogą wyboru naturalnego*“ (Über die Auflösung der Arten durch natürliche Zuchtwahl. Hannover, Karl Rümpler 1872), w którym wyprowadza z nauki Darwina wnioski o przyszlności świata organicznego wbrew przeciwnie wnioskowi samego Darwina. Licznymi przykładami, czerpanymi z królestwa roślinnego i zwierzęcego stara się on udowodnić, że w walce o byt więcej zasobów posiadają nie wyższe, ale przeciwnie niższe i prostsze organizmy, gdyż te mniej są zależne od wpływów zewnętrznych. Niższe rośliny i zwierzęta zajmują też większe przestrzenie i są liczniejsze od form wyższych. Więc teza Darwina, że niższe gatunki są pozostałościami dawnych epok musi być odwrócona w znaczeniu wcale przeciwném: są to owszem przodownicy epok przyszlých. Małe różnice, oddzielające człowieka od zwierząt ssących, muszą zuikać powoli i skomplikowany nasz organizm musi zamie-

nić się na prostszy, wytrwalszy—zwierzęcia ssącego. Więc z teoryi Darwina nie godzi się wnioskować, żeby człowiek mógł wyrodzić się z małpy; przeciwnie widoczném jest, że się ludzie z czasem w małpy przerodzą.

— Wynaleziona przez *Quatrefages'a*, teorya o „Rasie Pruskiej“ (że Prusacy są z pochodzenia Finnami) wywołuje wciąż protestacye w Niemczech. Już w roku zeszłym *Magazin für die Literatur des Auslandes*, zbijając rzeczoną teoryą, usiłował zmienić jej adres i przenieść argumenty francuzkiego antropologa na naszych Żinujdzinów; ten wszakże nie przekonany, a może nie świadomy zarzutów, ponowił attak w *Revue Scientifique*, dodając przytém, że Prusacy zawdzięczają terazniejsze swoje ukształcenie przeważnie „kolonii“ francuzkich wychodźców, którzy szukali przytułku w Brandenburgii po zniesieniu edyktu Nantejskiego. Obecnie wystąpił do walki znakomity Dr. *Virchow* i ogłosił w *Czasopiśmie Etnologiczném* list otwarty „o metodzie w antropologii naukowej.“ Zbija tu p. *Quatrefages'a* dowodami lingwistyczno-historycznymi i etnologiczno-kraniologicznymi.

— Sławny fizyk angielski *John Tyndall* wygłosił w Nowym Yorku w ogromnej sali Cooper-Institutes szereg odczytów przed licznie zgromadzoną publicznością; ale *Büchner*, który przybył do Ameryki w zamiarze rozpowszechnienia z katedry pomysłów swoich o sile i materji, doznał bardzo miernego powodzenia.

— *Dictionnaire des contemporains*, redagowany niegdyś przez *Vapereau*, później p. *Leona Garnier*, został uzupełniony dodatkiem (*Supplément* I v. in 8-vo Hachette), do którego weszły biografie Francuzów i cudzoziemców, którzy stali się głośnymi w ostatnich czasach. Figurują tu członkowie rządu obrony narodowej, komuny paryskiej, zgromadzenia wersalskiego, armii i dyplomacyi pruskiej etc.

Dwaj pisarze włoscy wystąpili na zaniebdaném w ostatnich czasach polu historyzofii z obszerniejszemi pracami. Jeden, *N. Marselli* w I części ogłoszonej świeżo *Nauki historii* (*La scienza della storia*) skreślił „fazy historycznego myślenia“. Długo i starannie studyował system Hegla, ale oświadcza, że nie dał się zniemczyć. Drugi *L. Mariani* ogłosił w Wiedniu po niemiecku *Ideen zur Philosophie der Geschichte*, za którą otrzymał od uniwersytetu w Czykago patent na doktora filozofii.

— *J. Baldwin*, *Archeologia amerykańska* (*Ancient America in Notes. On American Archaeology, New-York 1872*), zawiera pierwszą całkowitą historją dawnój cywilizacyi amerykańskiej Peru, Meksyku i kraju nad rzeką Mississipi. Dołączone są ilustracye pomników, bardzo przypominających egipskie.

— *W. R. Greg*, *Zagadki życia* (*Enigmas of Life London, Trubner 1872*). Dzieło filozoficzne pisane w wysokim nastroju duchowym. Walczy pomiędzy innemi z Darwinem zbijając jego „struggle for life“, zasadę pożerania słabszych przez silniejszych.

— *Enr. Hill, Giglioli*, *Studia kraniologiczne nad szympansamami* (*studii craniologii sui cimpanzè, str. 128*). Autor odbył podróż nao-

koło świata na statku Magenta. Bada gatunek troglodytes niger i dowodzi wielkiego podobieństwa tych małp z ludźmi ras niższych. Przytacza opis plemienia Akka, karzełków mających około 1½ łokcia wzrostu, podług sprawozdania udzielonego mu przez niemieckiego podróżnika Schweinfurtha, który odkrył to plemię pomiędzy 1 i 2 stopniem szerokości północnej w Afryce w czasie podróży swojej do Monbuttu.

— *Dzieło głównego sztabu pruskiego* o wojnie francuzko-niemieckiej 1870—1871 (Der deutsch-französische Krieg redigiert von der kriegs-geschichtl. Abthg. des Grossen Generalstabes, 1 Theil. 1 Heft-26 sgr.) obejmuje dotychczas tylko okres przygotowawczy, do końca lipca.

— *W. Ihne, Historia Rzymu* (Römische Geschichte) tom trzeci do upadku Numancyi.

— *Villemain, Histoire de Gregoire VII*, precedèe d'un discours sur l'histoire de la Papauté jusqu'au IX siècle II tomy.

— Rodak nasz Władysław Nałęcz-Dybowski ogłosił drukiem rozprawę w języku niemieckim pod tytułem „*Zoantharia scleroder-mata rugosa*“ w celu pozyskania stopnia (w Uniwersytecie Dorpackim) magistra mineralogii. Jestto monografia obejmująca szczegółowy opis polipów koralowych z epoki Sylurskiej w Estlandyi, Liffandyi i na wyspie Gotland znajdujących się. Rozprawa ta składa się z dwóch części: w pierwszej autor wylicza źródła (z literatury tego działu), któremi się posiłkował w swjej pracy, i podaje szczegółowy wykaz wszystkich dotąd znanych gatunków Zoantharia rugosa; w drugiej znajdujemy ścisły opis badanych przez autora polipów z epoki sylurskiej w kraju nadbałtyckim i blizkoznacznych z niemi w innych miejscowościach.

Poważnie i sumiennie dokonana przez autora ta praca będzie stanowić niewątpliwie ważny przyczynek do paleontologii miejscowej. Pożądanem byłoby, żeby w przyszłości autor przeniósł swoją działalność naukową na pole ojczyźtej geologii i paleontologii.

† „Dnia 17 lutego (1 marca) roku bieżącego umarł w Wilnie ksiądz *Mamert z Fulsztyna Herburt*, prałat dziekan katedry wileńskiej, proboszcz olkienicki, doktor św. teologii i kawaler orderów, w 84-m roku życia. Urodził się dnia 28 kwietnia 1789 r. na Wołyniu w powiecie Kowelskim, we wsi Kaczyn, którą matka jego prawem zastawném od Cempkowskich trzymała. Ojcem jego był Józef Herburt wicesgeront kowelski, matką Marcyanna z Pacewiczów. W 1804 roku wstąpił ś. p. ksiądz Mamert do seminarjum w Olyce, ztamtąd w 1807 wysłany na dalsze studia do Łucka, zkąd w 1808 r. przeniósł się do głównego seminarjum do Wilna. W 1812 wyświęcony został na kapłana w Łucku przez Jego Ek-

scel. biskupa Cieciszewskiego; przez dwa lata następne spełniał obowiązki parafialne w Klewaniu, został podówczas magistrem filozofii w akademii Zamoyskiej, a w r. 1816 dnia 3 lutego doktorem teologii w Wilnie; mianowany kanonikiem łuckim dnia 2 marca 1819 roku. W 1822 dnia 9 czerwca objął posadę regensa głównego seminarjum w Wilnie, i za życia jeszcze swojego cieszył się widząc trzech uczniów i wychowauców swoich, piastujących najwyższe w kościele dostojenstwo arcybiskupów mohylewskich i metropolitów katolickich w Cesarstwie, jako to: Ich Eminencyi księży Hołowińskiego, Żylińskiego i Fijałkowskiego. W 1824 przez rok jeden był professorem religii w Uniwersytecie wileńskim, a w 1829 r. mianowany został kanonikiem wileńskim. Następnie jako prałat scholastyk, a od r. 1863 jako prałat dziekan zasiadał w kapitule wileńskiej. Oprócz zatrudnień stanu duchownego był czynnym członkiem wileńskiej Komissyi Archeologicznej i połączonego z nią Muzeum starożytności, jak równie téż zasiadał w dyrekcji wileńskiej Towarzystwa Dobroczynności.

Życie prywatne spokojnego i uczonego prałata poświęcone było gorliwemu spełnianiu obowiązków swojego powołania, to téż znany był i szanowany przez mieszkańców pobożnego miasta jako kapłan wzorowy i przykładny. Biegły był w starożytnej literaturze; języki łaciński, grecki i hebrajski znał doskonale. Z naukowych prac jego są tylko drukowane kazania w liczbie sześciu na rozmaite uroczystości kościelne i kazania Ś. Grzegorza biskupa Nazyanzeńskiego *O miłości ku ubogim*, przetłumaczone z greckiego i wydane wspólnie z tekstem oryginalnym w Wilnie u Marcinowskiego w 1843 r. Ale najcenniejszym owocem kilkudziesięcioletniej jego pracy był katalog archiwum kapituły wileńskiej w siedmiu tomach in folio ułożony chronologicznie, w którym treść wszystkich aktów, postanowień i dokumentów od r. 1502 do 1800 zebrał, wypisał i objaśnił. Takim inwentarzem o ile wiemy, jedna tylko kapituła wileńska dotąd poszczycić się może. Jakże jest dalsze przeznaczenie tych rękopisów? trzeba mieć nadzieję, że nie ulegną zapomnieniu w rękach światłego naszego duchowieństwa, a krzywda wielka jakaby przez to domierzona była dziejom kościoła i tak ściśle z nim spowinowacowanym dziejom krajowym, nie ściągnie na nasz wiek oświecony sprawiedliwej nagany. Jeden z najstarszych wiekiem dostojników kościoła żyć przestał, jeden z najdawniejszych mieszkańców Wilna nas opuścił na zawsze, jeden z gruntownie uczonych przestał być pożytecznym członkiem społeczeństwa. Zerwało się ogniwo łączące nas z nauczającą przeszłością; niech więc uszanowana będzie przez nas i następne pokolenia pamięć człowieka, który pielgrzymkę długiego żywota przebył bogobojnie i pożytecznie. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!''

Takie wspomnienia poświęcił Eustachy hr. Tyszkiewicz zacementu kapłanowi i zasłużonemu w nauce mężowi.

† Dnia 26 lutego r. b. w Rzymie zakończył życie **O. Hieronim Kajstewicz** przełożony generalny zakonu Zmartwychwstańców. Padł rażony piorunującą apopleksją na ulicy, koło fontanny *Trevi*, przed kościołem Ś-go Wincentego i Anastazyusza. Skonał natychmiast. Zmarły był znany jako wymowny kaznodzieja i autor wielu pism kościelnej treści. Kończył właśnie czwarty tom dziejów polskiego kościoła, gdy go śmierć spotkała.

† Dnia 4 marca r. b. w mieście Sokołowie w gubernii Lubelskiej zakończyła życie **Zofia z Wronskich** Ścisłowska. Zaczyna obywatelka i pisarka. Żyła lat sześćdziesiąt.

† Dnia 16 marca r. b. zmarł w Miłosławiu utalentowany malarz i pisarz **Leon Kapliński**. Urodził się dnia 4 maja 1826 roku, we wsi Lisowie majątności rodziców Jana i Julii z Grabowskich, gdzie spędził dziecięce swe lata, które mu do końca życia najmilszym były wspomnieniem. Po ukończeniu kursów prawnych wyjechał za granicę w 1844 roku, i wszedłszy na Uniwersytet Wrocławski poświęcał się historii i filozofii. W tych czasach poznał się z Sewerynem Mielżyńskim a znajomość ta zmieniła zupełnie dalszy kierunek jego życia. Leon Kapliński oddał się malarstwu, w roku 1850 wyjechał do Paryża, gdzie pod przewodnictwem Ary-Szeffera a następnie Roberta Fleury pracował. W 1856 roku przesłał pierwszą swą większą kompozycję: „Obrona Częstochowy“ na wystawę krakowską. Następnie prawie corocznie do „Salonu“ Wystawy Paryskiej oddawał swe prace, z których ważniejsze wymieniamy: „Wacław z miecznikiem“ z Maryi Malczeskiego „Wernychora“, „Klucznik i Wojski“, z pana Tadeusza, kilka portretów historycznych (Stefan Batory, Czarniecki, Chodkiewicz) „Szlachta i lud“, oraz inne treści historycznej; z portretów odznaczają się Jana Działyńskiego i Seweryna Mielżyńskiego. Jednocześnie przysyłał do pism krajowych Korrespondencye artystyczne i literackie, a w Krakowie wydał dwie powieści: „Nad Wisłą“ i „Zdrowi i chorzy“. Przed dwoma laty przeniósł się na stałe zamieszkanie wraz z żoną do Krakowa, zeszłego lata wyjechawszy dla pokrzepienia sił nikuących do Miłosławia, tam życie zakończył.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

V.

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnej świetności strojów nie było się można domyśleć klęsk wojny, jaka kraj z Saksonią połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu: król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy dyamentowe, szpadę z wysadzaną niemi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśniącemi dyamentów rozsą... Majestatyczna jego postać jakby odmłodzona, promieniąca, więcejby przystała zwycięzcy, niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacielem zawziętym...

Na sukniach pań błyszczały także mnogie klejnoty... a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowała. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie; August z galanterią i poszanowaniem na spotkanie jej pospieszył, muzyka zabrzmiała fanfara... Głównych aktorek dotąd nie było...



Już pan zaczynał brew olympijską marszczyć i oglądał się na Fürstemberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiałym, gdy u drzwi wchodowych, pomimo poszanowania dla osoby króla dał się słyszeć szmer tłumiony... Ludzie rozstępując się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... Fürstemberg szepnął.—Idą!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, żółtkłą, smutną twarz hr. Hoyma, który wiódł pod rękę żonę...

Nigdy może na tym dworze nawykłym do oglądania piękności, bardziej olśniewająca postać się nie ukazała.

Hr. Hoym wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowej na czele, nieulekniona, spokojna, poważna, piękna tak, iż z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwała. Król trzymał w nią od wnijscia wlepione oczy... ale się z jój wzrokiem nie spotkał... Mając być przedstawioną królowej, dała się wieść ku niej, niezdając wcale być przejętą blaskiem tego dworu, ani Apollińską pięknoscią króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłej przedstawił. Zniecierpliwienie drgnięciem odmalowało się na pańskiej twarzy...

Hoym jak skazany na śmierć winowajca wiódł żonę... Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się jego męczarnią, wcale nie tajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanej co chwila inaczej. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jój wdzięcznie ale z litością, jakby nad losem téj piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jój piersi...

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął...

Księżnej Teszen nie było jeszcze... Z innych pań nie brakło żadnej i chora nawet panna Hülchen, owa Egeria Augusta przemogła ból, aby nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwykłego zapowiedział: rozstąpili się widzowie... król zwrócił oczy... w progu stała jakby wahając się czy ma wejść, księżna Teschen.

Ubrana była cała w czerni żałobnej... August ujrawszy ją, zniecierpliwiony nieco pospieszył na spotkanie.

— Kogóż to księżna straciłaś!—zapytał szydersko—że się nam zjawiasz w tych szatach tak do zabawy niestosownych?

— Ciebie N. Panie—cicho odpowiedziała Urszula—i to nie od dziś dnia...

Oczy ciekawych zrazu zwrócone na księżnę, wprędce ku Hoymowej znowu się skierowały... Kobiety nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczać temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posągowej piękności swój... Czarne jój oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźnie przyświecały sali balowej, lecz obok nich ginęły wszystkie inne... jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty... W chwili gdy hr. Vitzthum oderwała ją od brata, zbliżył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstembergowi aby podszedł ku nim.

— Kochany hrabio—rzekł—sprawa wasza z księciem rozsądzona... wygrałeś tysiąc dukatów, Fürstemberg jutro ci je zapłacić powinien... Winszuję więc wygranój i żony. Jest ona niezaprzeczenie najpiękniejszą na naszym dworze... *Vox populi* mój wyrok potwierdzi pewnie... szczęśliwy Hoymie!

Patrząc jednak na Hoyma przyjmującego z głową spuszczoną, w pokorze to powinszowanie, trudno się było domyślić, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawał on raczej obraz upokorzonego, zgnębionego, własną winę odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie... Fürstemberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla...

— Widzę N. Panie—szepnął niedosłyszczanym głosem— że wyrok królewski i skrzypki za pana mego zapłacić muszę...

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

— Nie skarż się Fürstemberg, płac tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastreczył widzenie takiego arcydzieła natury...—rzekł król...

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegli ją już wszyscy; postrzegł to August i wedle zwyczaju, by osłodził każdemu upadek, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnie. Wielkie było zdumienie nieobcznanych z obyczajami dworu, gdy ujrzeli N. pana idącego w tę stronę. Wpraw-

niejsze oko hr. Reuss i panny Hülchen, dojrzawszy ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

— Teschen upadła!—rzekła hrabina cicho do towarzyszek—król poszedł ku niej...

Starzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu niełaski Beichlinga ściskającego kanclerza, zrozumieli także co ta czułość dla ks. Teschen znaczyć miała. August okazywał jej więcej niż kiedykolwiek przywiązania i szacunku...

— Wiesz pani—rzekł—przyglądając się jej czarnym sukniom i kwefom, jesteś dziś tak piękną mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniej warszawski, gdym cię widział zemdloną z trwogi o mnie...

— Ale Hoym! Hoym jest piękniejszą odemnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia, nieprawdaż?—ozwała się księżna ironicznie.

— Hoymowa może być sobie piękną, jak chce i najpiękniejszą—odparł August:—są rzeczy od piękności piękniejsze, to piersi w których czułe biją serca... Kochana księżno... nie rób z siebie widowiska... wróć do domu, włóż suknię niebieską w której ci tak do twarzy i czekaj na mnie z wieczerzą...

Na lice blade księżnej Urszuli wystąpił rumieniec żywy.

— Królu mój! panie mój!—zawołała zapominając się—miałażby to być prawda? August moimby pozostał...

— Proszę cię... nie wątp o mnie—dodał poważniej król—na cóżbym miał kłamać?

W istocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoym, zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem napełniła ją jakąś trwogą. Charakter energiczny tej kobiety malował się w każdym jej ruchu, wejrzeniu, skinieniu; czuł on, że przy niej część swęj potęgi u nóg Omfalii złożyćby musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię panie i mrę z żalości... Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów król miał do syta... Dlatego pośpieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jej trać i poddać się przeczuwanemu jarzmu kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przybranie głowy, krój

sukni, dobór barw, podnosiły nadzwyczajną jój piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, noskiem małym, drobnemi usty, oczyma wielkimi, czarnemi i niezmiernie wyrazistemi, z rysami delikatnemi, z bujnemi czarnemi warkoczami. Ręce, popiersie, kibić, odpowiadały twarzy, po której bladość i rumieńce żywe zmieniały się, wchodząc i znikając w mgnieniu oka...

Wystawiona na wejrzenia kilkuset osób Anna Hoym wcale niemi nie była zmieszana; w pierwszej chwili milcząca i poważna, oswoiła się wnet z dworem tym i blaskiem, który się jój wydał rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dochodził świetnością drezdeńskiemu, lecz formy w obu znalazła też same...

Księżna Teschen usłuchała natychmiast rozkazu króla, tryumfująca niemal znowu, rzuciwszy okiem omdlałym ku niemu, wysunęła się z sali. Po małej chwilce August stał u krzesła hrabiny Hoym. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna spostrzegłszy go powstała. Żądał aby usiadła... usłuchała go nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nieco ustępowali, aby mu swą ciekawością nie byli natrętni i tym razem odeszli wszyscy, a hr. Hoym także pociągnięty z lekka przez Vitzthuma, który właśnie tę chwilę dobrał, aby z nim o czém ważnym się rozprawić — odejść musiał.

— Hrabino, jesteś pierwszy raz na moim dworze—ozwał się król grzecznie pochylając ku niej—lecz jój ukazanie się prawdziwym dla niej jest tryumfem. Cieszę się tu nową gwiazdą na mojem niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

— Najjaśniejszy Panie! wśród ciemnej nocy lada ognik czasem się wyda gwiazdą, lecz po chwili zagasa. Umiem cenić łaskę W. K. M., lecz tylko łasce przypisuję te wyrazy.

— Powtarzam tylko co dokoła słyszę!—odparł August.

— A! N. Panie—śmiejąc się dodała Anna—ludzie zwykle widząc po raz pierwszy, źle widzą. Nowość bawi... to tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak jak pierwszego dnia wydaje.

Królowi zdało się iż piękna pani przymawiała mu, przypominając grzeczność okazaną ks. Teschen—zamilkł chwilę.

— Pani jesteś nazbyt skromną—rzekł.

— O! nie N. Panie — żywo przerwała Anna—do piękności nie przywiązuję wagi.

— Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę — rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jój nie odstępował.

— Po długiej samotności, którą Hoym, ten niegodziwy męczył panią, kryjąc swój skarb—mówił po chwili August—dwór się jój dziwnie wydawać musi.

— Bynajmniej—zawołała Anna—młodość moję spędziłam na mniejszym wprawdzie, lecz dającym zmniejszony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia; wszystkie one N. Panie są jedném.

— Czém?—spyta król.

— Doskonale graną komedią—odpowiedziała Hoymowa.

— A ja jakąż w niej gram rolę?

Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.

— Być może dyrektora trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.

August zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:

— Znajdujesz pani że tu jest wszystko udaniem?

— Jakżeby mogło być inaczej?—westchnęła Anna—królowie prawdy nie słyszą...

— Być może, mówił August, i dlatego szukają często i serca i ust, coby im spragnionym choć krople tego nektaru dać mogły.

— A znajdują—dokończyła Anna—tylko może usta, co zręcznie nad inne umieją łączyć truciznę.

— To mi dowodzi—odezwał się król grzecznie—iż pani nie lubisz ani dworów-wielkich, ani życia na nich.. i smuci mnie bardzo, bom sobie wiele obiecywał zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczów, trochę posępne dni naszych niebo wyjaśniła.

— Najjaśniejszy Panie—odparła żywo Anna—byłabym tu fałszywą nutą: nie umiem tak śpiewać jak inni.

Dla przerwania tego toku rozmowy, król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającymi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepij daleko znał charaktery, skłon-

ności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.

— Widzisz paui—dodał kończąc — że ta komedia dworska dla mnie niema pono tajemnic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje że mnie oszukują, że mną kierują, że mnie osłepić mogą.

— Tak bogowie patrzą na ziemię—zakończyła Hoymowa.

Król z bogów zdawał się zadowolony. Piérwszy raz gdy to mówiła wzrok jój spotkał się z wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródki uwielbienie i zapał. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.

Po téj rozmowie król odszedł zwolna. Badano go zdaleka, Fürstemberg piérwszy się znalazł na drodze.

— N. Panie, jeśli śmiem spytać teraz czy najpiękniejsza jest także...

— Najdowcipniejszą—dokończył król.—Hoymowi powiedzieć trzeba, ażeby się nie ważył żony z Drezna zabiérać. Nadzwyczaj miła... trochę jeszcze dzika, ale to przejdzie z czasem.

Hoym spoglądał zdaleka... Jemu najtrudniéj było odgadnąć myśli Anny, do którój teraz z pośpiechem nadbiegły hr. Reuss, panna Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.

Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.

— Już się kłaniają wschodzącemu słońcu—szepnął do Fürstemberga—lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrzygantki. Fürstchen spojrział zdziwiony.

— I ty się mylisz i one się mylą—rzekł August spokojnie nachylając się mu do ucha.—Hoymowa śliczną jest, od stóp do głów ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony... ale nadto energiczna i bystra i zbytby panować chciała. Kilka dni miłego z nią stosunku to dosyć... nie dobijam się o nic więcéj. Piękność mnie ęci—charakter przeraża.

Fürstemberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł dalej.

W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach po nad ściśniętym tym tłumem. Oczy jój niespokojne chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niéj, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego

w tłumie co ją otaczał. Dopiero po odejściu króla odetchnąwszy nieco swobodniej, zadumana, przyglądając się ludziom co ją otaczali... przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.

Wzrok jój zatrzymał się na twarzy bladéj długo i pobladła sama zmieszana nieco. Niepewna czy się nie myli, spojrzała znowu... znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie... Nie było wątpliwości, milczący jój wielbiciel z Laubegast przywłókł się aż tu za nią. W wyrazie jego twarzy zdawała się czytać politowanie, smutek, trwogę.

Ta głowa nieznanego niepokoiła ją sobą... co chwila biegła oczyma szukać jój, pragnąc ażeby znikła, i znajdowała jak kamienną, jak do muru przyrosłą, jakby trupa, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biędne to oblicze jakiegoś włóczęgi więcéj ją zajęło niż jaśniejące królewskie, niż nadskakujące jój dworacze—na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czuła że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczęń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata...

Był-li to oczekujący godziny wyroku kat, czy chwili skazania czekająca ofiara, Anna nie wiedziała; lecz mówił jój głos jakiś wewnętrzny, niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią, snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo tkwiła nad nią ta blada głowa, w której oczy łyskały i gasły; stawała się coraz straszniejszą, coraz bardziej przerażającą... ilekroć wzrok jój utkwiony w siebie spotkała, dreszcz po niéj przebiegał.

Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jój jękiem.

W takiém usposobieniu zastał ją kwaśny i zżółkły Hoym, który rękę podał do wyjścia. Los chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i tłumowi, po nad którym widziała owo widmo dokuczliwe... Ludzie się rozstępowali przed niemi. W chwili gdy przechodzili próg, spojrzała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany... nieznanego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego z obawą spoglądając nań, chłopak spotkawszy jój oczy, przypadł jakby nieumyślnie na jedno kolano: czuła jak chwycił kraj sukni jój i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę już go nie było.

Przed nią stała hr. Reuss i prosiła Hoymów na wieczerzę do siebie, tak uprzejmie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstemberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małym kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egeria Hülchen dojrzałych lat panna, której król słuchać lubił i rad jęj zasięgał; tu się gromadzili ci co pragnęli władzy lub chcieli się przy nięj utrzymać. Król August śmiał się z tęg kliki, ale niewidzianemi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss z domu Friesen należała do głównych postaci działających u dworu Augusta II. W jęj domu odbywały się najważniejsze narady tyczące się obalenia jednych a podniesienie drugich faworytów pana; tu przepowiadano nieochybnie łaski jakie miały spotkać piękne panie i przeczuwano najtrafnięj chwilę, gdy niestały król affekta swe miał w inną stronę obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hr. Reuss przeczuwając nową faworytę, zawsze zabiegała naprzód by jęj względy i zaufanie pozyskać; raziło go więc nadskakiwanie hrabiny widoczne, każące się domyślać iż w Annie widziała zastępczynię ks. Teschen, okazać jednak gniew i to że grę zrozumiał, ani mógł anichciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udał więc Hoym iż nic nie widzi, nie domyśla się niczego i poszedł na wieczór do Reussowęj.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopięro, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jęj przyjaciółka, Fürstemberg i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o gałgankach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechném czułość króla dla Teschen, zwiastowała pewne z nią rozstanie. Z wielu względów jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jęj stosunki z Sobieskimi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocnięj potrzebował.

W gabinecie Reuss spytała przyjaciela Fürstemberga, o rozmowę z królem, o wrażenie jakie na nim uczyniła Hoymowa.

— Znam dobrze mego pana—odezwał się Fürstemberg — a szczególniej jego usposobienia dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstręczyło chwilowo, ale piękność jęj przemawia do jego zmysłów, a zmysły zawsze nad nim biorą prędkiej czy później przewagę; lęka się jęj i tęp goręcej pragnąc będzie... a czego chce, to mieć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonną do odegrania roli łatwój kochanki; wypotrzebuje swą siłę gdy ją zdobędzie, niema wątpliwości iż król się podda.

— Sądzisz więc że jęj panowanie nadchodzi..?

— O ile go znam, myślałbym iż się ono zbliża; król w tęp chwili pragnąłby fantazyę zaspokoić, ale w związku trwałe nie wchodzić: od nięj zależćć będzie jak swą sprawę poprowadzi.

— Domyślasz się książe jęj charakteru?

— Tylko przeczuwać go można—rzekł Fürstemberg— sądzę że ani mąż, ani najbliżsi jęj nie znają, a może nawet ona sama siebie taką jaką będzie gdy okoliczności ją wyniosą. Dziś jest to kobięta dumna, szlachetna, charakter energiczny... dowcip żywy... zdolności wielkie.

— Ale daż ona wpływać na siebie i kierować?—spytała Reuss.

Książe się zamyślił.

— Wiem tylko to—rzekł— że z rozumnymi wolę mieć do czynienia niż z temi co nie wiedzą co czynią.

Stali jakiś czas milczący, Reuss dała mu znak aby wyszedł, zadumana przeszła się razy kilka po gabinecie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak, iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka, wprowadziła nareszcie do gabinetu i posadziła przy sobie.

— Kochana hrabino Anno—rzekła poważnie kładąc jęj rękę na kolanach—jeśli masz cierpliwość i pobłażanie dla staręj przyjaciółki, posłuchaj mnie i pozwól mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyży, jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dosyć znasz i dwór i czasy i siebie ażebyś się domyśliła że nie darmo chciano twójego przybycia do Drezna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kimś kochać, to jest jego naturą... bądźmy pobłażający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tęp jego słabość wybacza, źle czy dobrze, ale tak

jest i inaczej być nie może. Nam, co króla otaczamy pozostało jedno ze złego tego tyle, ile można dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zając najświetniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości... ale trzeba się spieszyć i wiedzieć co czynić.

— Kochana hrabino—rzekła Anna—ambicyi nie mam, w bogactwach się nie kocham: mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

— Niby przeciwko temu do zarzucenia nie miała—uśmiechając się mówiła Reuss—ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla którejbyś męczennicą zostać miała. Hoym jest nie miły, zużyty, rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje; kochać go niepodobieństwo: prędzej czy później odezwie się serce.

— Stłumię głos jego.

— Raz i drugi, ale przyjdą lata tęsknoty i znużenia... rzucisz się w objęcia czyjeś z rozpacz i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolój nasza; król jest miły i piękny, życie z nim może być rajem.

— Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiej miłości chwilowej, kaprysu, nie pojmuje, brzydzę się nią, odpycham! To nie dla mnie.

— Słowo kochana Hoym—rzekła Reussowa—związki te zawsze się obiecują być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one zrywają. Napróżnobyś go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niej go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy księżyna. Rękojmią trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Męża czy kochanka trzeba umieć utrzymać u nóg i związać: to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

— Biędna to miłość którą na paskach i wędzidłach utrzymać trzeba—zawołała—takię nie chcę.

Szczerosc za szczerosc, kochana hrabino—rzekła cichszym głosem—mnie nic nie potrafi ująć serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskaćby mnie można... a w chwili gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy umiłowanym; a ten co mnie kochać będzie, musi być mężem moim,

— Ależ król! król!

— Choćby i królem był!—zawołała Hoymowa.

— Przecież wiesz, iż król jest żonaty, chociaż z żoną nie żyje.

— Musiałby jój się wyprzysiądz, a mnie przysięgać—do-kończyła Anna. A! taką jak Esterle, Königsmarck, Teschen, ja nie zaspokoję się rolą.

Wstała mówiąc to i majestatycznym krokiem przeszła się po pokoju; Reussowa zamilkła: nie było już co mówić więcej.

— Uczynisz jak ci się zda i zechcesz—rzekła—ja jako dobra przyjaciółka miałam za obowiązek cię przestrzedz i dać dobrą radę; zostańmy więc dobrimi przyjaciółkami i nie mówmy o tém: dodam tylko słowo:

Stanowisko którem wzgardzasz i o którym mówisz z taką obojętnością, nie jest tak nizeczemnym i podrzędnym jak sądzisz. Królowie kłaniać ci się będą, możesz rządzić krajem i wielu złemu zapobiedz; ludzi ratować i czynić szczęśliwych... to przecież coś warto.

— Honor mi droższy nawet nad to wszystko—odezwała się Hoymowa—nie mówmy o tém.

Reussowa w milczeniu rękę jój uściśliła i w istocie nie mówiąc już więcej wyszły razem z gabinetu! Kobięty znajdujące się w salce spojrzwały na nie chcąc coś z twarzy odgadnąć. Anna była purpurową, a Reussowa jak pargamin bladą, obie jednak uśmiechały się łagodnie, jak gdyby burza przeszła i zostawiła po sobie pogodę żadną chmurką niezaćmioną.

Pod oknami mignął blask pochodni towarzyszących wieczorami powozom króla, Fürstemberg się wychylił; król to w istocie jechał znudzony do Teschen i wydawał się w blasku tych świateł smutny, jakby był skazany na najcięższą karę. Zobaczywszy w oknie a raczej domyśliwszy się przyjaciela, August dał mu znak ręką rozpaczliwy i powozy znikły na zakręcie ulicy.

VI.

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naówczas miejsce odpowiadające dzisiejszemu ministrowi skarbu, nie miał przyjaciół ani u dworu ni w kraju. Nienawidzono go szczególnie za wprowadzenie, po tylu innych uciążliwych, najuciążliwszego podatku akcyzy. Sasi bronili się o ile mogli i umieli, opierali się królowi, a król, któremu nigdy nie starczyło na nicobrachowane jego wydatki, ukrywał źle gniew jaki wzbudzał w nim ten upór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawić reszty praw i otoczyć obcemi, którzyby żadnych z nią stosunków i z krajem nie mieli.

Rady téj w części już usłuchał August II-gi i większa część jego ministrów i ulubieńców wziętą była z obcych krajów... Włosi, francuzi, niemcy z innych prowincyj grali tu główne role. Hoym, człowiek zimny, niezblagany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych dochodów dla króla, który to na Polskę, na wojsko, to na uczty i na ulubienice miliony tracił, z powodu zręczności téj w wyciskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie dowierzał, przykład Beichlinga i kilku innych czynił go ostrożnym... wypatrywał tylko chwili gdy będzie mógł naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec z pod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał zblizka, wiadano że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwiązły i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale ani gorąco do nikogo. Najlepiej ze wszystkich znała go może siostra hr. Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobywała z niego co jój było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Koenigsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miewał tylko sprzymierzeńców... Nienawidził go marszałek Pflug, niecierpieli inni: Fürstemberg był z nim źle także.

Gdy po zakładzie, kazano Hoymowi żonę przywieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden, śmiano się raczój i przedrwiwano.

Nazajutrz po balu Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincyi.

Szczególniej na Łużycach coś się tam szlachta głośno przeciwko niej opowiadała... Król żadnego oporu nie znosił. Po raporcie Hoyma... namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

— Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast. Każ krnąbrnych rozpędzić, dośledź tych co stoją na czele i w mojem imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast bez żadnej wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dalece, ani nawet pożyteczną, chciał zrazu króla przekonać iż mógłby się kimś wysłużyć i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

— Nie ma ważniejszego nic nad złamanie oporu tych pyszałków, którym się zdaje, że ja z nimi w układy wchodzić mogę... Jedź waćpan natychmiast, weź dragonów z sobą... Jeśli się poważą zgromadzać, rozpędzić sejmiki... Powiedz im by się nie zapatrywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy radę wkrótce szlacheckiej bucie...

Hoym jeszcze chciał się tłumaczyć, lecz August nie słucał, powtórzył po kilkakroć:

— Jedź natychmiast! natychmiast. Wreszcie, popatrz na zegar. Za dwie godziny powinieneś waćpan być na drodze do Budziszyna... chcę tego i tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko było po pijanemu, naówczas kto się nie lękał aby go udusił, ścisnął go, całował, a inni i popychali; August śmiał się: na trzeźwo miał jedną wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce nazajutrz po balu nadzwyczaj była podejrzana, znając króla i dwór i to co się tu działo był pewnym, że wypędzano go umyślnie aby do jakiejś intrygi nie zawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? nic. Powierzyć siostrze dozór, było to pijakowi dać klucz od piwnicy... przyjaciela nie miał, stał bezbronny... Czuł że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do pałacu, rzucił papiery o stół... rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni; otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł jak opętany do nowego żony apartamentu.

Była samą. Ciekawém okiem zmierzył pokoje, ją, najdrobniejsze otaczające przedmioty. Złość malowała się na bladój jego twarzy... Anna patrzyła nań spokojnie będąc nawykłą do scen podobnych.

— Ciesz-że się pani...—zawołał—byłem tak głupi że ja tu sprowadził, teraz robią ze mną co chcą... Zawadzam im do intryg, król mnie odprawia precz; muszę jechać za godzinę. Zostaniesz pani samą...

— I cóż to ma znaczyć? — pogardliwie odpowiedziała Hoymowa—czy straży waćpana potrzebuję dla upilnowania mojego honoru?

— Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zuchwalstwa ich i bezwstydu.—krzyknął Hoym stukając o stół pięścią.—Nie wyprawialiby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tém wszystkim czuję palce kochanego Fürstemberga, który mi dziś śmiejąc się szydersko tyjąc dukatów zapłacił, a wiem że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl, sprowadzenia tu méj jejmości.

— Hoym!—krzyknęła podnosząc się Anna, którój oczy zaiskrzyły się—dosyć tych obelg, idź... jedź... rób co chcesz... zostaw mnie w pokoju. Sama się obronić potrafię... Dość tego, powiadam ci, dosyć mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypomniiał mu nadchodzącą odjazdu godzinę.

— Nie potrzebuję panią ostrzegać, — zawołał—wiesz co ja tu czekać może, dodam tylko że bezcześci nie zniosę... Wolno Vitzthumowi i innym pobłażać, ja nie mam ich dobroduszości.

— Ani jam tak nisko upadła, panie Hoym,—przerwała Anna—jak te panie... Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżyła: jeśli życie jeszcze mi nieznośniejszém uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno...

Hoym nie odezwał się więcej. Zdawał się u progu wahać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukało do drzwi, królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu...

Z zamku śledzono chwilę gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał... posłano za nim aby pokryjomu nie ważył się

wracać... Wedle ułożonego planu hr. Reuss miała do siebie zaprosić Annę; król mógł tam przybyć niespodzianie, incognito... Vitzthumowa została zaraz wyprawioną potajemnie dla spełnienia téj misyi, ale Anna odmówiła stanowczo. Napróżno zapewniano ją, że nikt w świecie o jój bytności wiedzieć nie będzie; domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz wypowiedziała to siostrze mężowskiéj.

— Jesteś nadto domyślna i ostrożna — rozśmiała się Vitzthum, — ażebym kłamać chciała przed tobą; bychy mogło iż król ciekawy poznać cię bliżej, a wiedzący o każdym ruchu i kroku... zjawiłby się u Reussowéj. A jeżeli dla nakarmienia téj ciekawości przyjedzie tu do ciebie, do pałacu, cóż zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przyzwoiciéjże to będzie i piękniéj, gdy sam na sam z tobą spędzi kilka godzin?... Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobladła.

— Ale król nie może być tak... — zabrakło jój wyrazu — tak... natarczywym, król będzie miał wzgląd na sławę moją! to być nie może! toby było...

— Ja ci powiadam że może być wszystko... że król jest znudzony i ciekawy i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go uległością swą despotyzmu... Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowéj nie będziesz...

— Wieszże ty o tém? — spytała Anna — zkad?

— Ja nie wiem nic ale znam mego pana, — śmiejąc się dziwnie szepnęła Vitzthum — pamiętam pewien wieczór... własnego życia... — To mówiąc westchnęła...

Anna załamała ręce. — A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być potrzeba?... Znajdę sztylet i pistolety... ani żelaza, ani prochu się nie lękam...

Rozdrażnioną wielce Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie strachy obrócić.

— Powinnaś wiedzieć to — rzekła — że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobiety się nie splamił. To nie jest w jego charakterze... uprzejmy, grzeczny, natarczywy, zbyt jest pięknym i miłym by się do takich środków miał uciekać...

Po długiej rozmowie Vitzthumowa zdołała ją nakoniec nakłonić aby razem wieczorem do Reussowéj jechały. Z tą try-

umfałną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstemberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział że na chwilę pojedzie do ks. Teschen, a powracając ekwipaże do zamku odeśle z pochodniami, sam zaś lektyką, którą Fürstemberg miał kazać nagotować, incognito zanieść się każe do hrabinéj Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg téj wiece, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwéj historyi; musimy skreślić czytelnikowi, równie wierny wizerunek bohaterki naszéj, Anny hr. Hoymowéj.

Była sierotą, samą na świecie, wyszła za mąż zmuszona a przynajmniej niechętna... pożycie jéj z mężem wprędce stało się nieznośném, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każda inna w jéj miejscu radaby była skorzystać z następczącéj się swobody, świetnego losu choćby nie trwałego, który potem zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłąd chwilowy.

Ale Anna wychowaną była w surowych niegdyś zasadach, oburzało ją to lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczej jak skutkiem *miłości* króla i dla króla i... *wiekuistego z nim ślubu*....

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko... Chcieć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płochego jak August, zdawało się czystém niepodobieństwem. Anna widząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała że to jest możliwém.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jéj podobać bardzo; blask korony i potęgi dodawał mu uroku, nie dziw też że Anna miała dlań sympatyą, że jéj serce uderzyło. Pomimo iż czuła że z nimby być mogła szczęśliwą nie przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczej jak małżeństwem i przysięgą urzeczywistnić się mogło...

W tych kilkunastu godzinach jakie od balu upłynęły, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg mających na celu

zbliżenie jęj do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, ważyła i powiedziała sobie:

— Mogę być jego, lecz muszę być królową. Opór jęj Vitzthumowój był raczėj już obrachowanym niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą, mając niezmiennie postanowienie raczėj zerwać wszystko, niż stać się igraszka intrygi. Czuła się silniejszą nad nią, zwierciadło pokazywało jęj urodę i krasę młodości, w oczach króla czytała wrażenie jakie na nim uczyniła: postanowiła korzystać z tego...

— Nie spodłę się nigdy!—wołała sama do siebie—raczėj zostanę nieszczęśliwą Hoymową, niż Augusta kochanką: będę jego żoną lub mu obcą...

W tém wszystkiém było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki... Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobięta roiła... a marzenia są niebezpiecznemi towarzyszami w samotności.

Niekiedy rumieniąc się sama przed sobą przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny...

Duma i chęć panowania budziły się w nięj zwolna i duszę skłonną do poddania się im, opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina w którój miała się ukazać na wieczorze u Reussowój, Anna ubrała się jak najstaranniej, z niewymuszoną ale smakowną elegancyą. Moda wieku dozwalała jęj cudnych kształtów ręce obnażone do ramion i prześliczny tok karczku, i utoczone marmurowe odsłonić popiersie... Cera nie potrzebowała bielidła ani rózu, była świeżości wiosennej, a krew to ją obléwała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białość. Czarne krucze sploty włosów utrefione wdzięcznie podnosiły jeszcze blask płci przejrzystej i jak atłasy delikatnej. Lecz wszystko to było niczém przy oczach pełnych ognia i uroku czarodziejskiego... Oczy te, gdy się wpiły w czołowieka, mogły go doprowadzić do szału, mówiły więcėj niż ona sama kiedykolwiek usta wysłować mogła. Był w nich ten nieokreślony wdzięk tajemniczości, niezbadany, nęcący, niepokojący.

cy, który ciągnie jak wejrzenie bajecznego bazyliuszka, co jedném zabijało błyskiem.

Przejrzawszy się w zwierciadle Anna znalazła się sama tak piękną, iż się swój postaci uśmiechnęła... Ubrana była czarno, a ponsowych wstęg pęki odżywiały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa która zajechała po nią, ujrzawszy ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jęj korony nie byłoby jęj zdziwiło...

— I ty mówisz — zakrzyknęła ręce łamiąc — że chcesz w zaciszu przemęczyć się z moim bratem... a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?

— Juźciż — odparła zimno Anna — żadna kobięta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

— Ależ ty mistrzyni wielka i rady do stroju nie potrzebujesz... No, jedźmy...

Ten sam okrzyk i ciche szepty radośne przywitały ją u pani Reuss. Pięknosc jęj która na balu była juź zwyciężką, tu wydawała się promieniejącą. Wszystkie te panie co się nie wyrzekły były pretensyi do wdzięku, poczuły się teraz starami i zwiędłemi. Anna o któręj wiedziano iż ma lat 24, wyglądała na ośmnaście. Była to Dyanna starożytna z całą swą dumą dziewiczą i surowością leśnego bóstwa, co się zdala od oczów tłumu schowała...

Nikt się tak nie cieszył jak hr. Reuss, bo jęj widokom odpowiadało to najlepiej. Annę otoczono kołem, zawczasu czcząc ją jak królowę i starając się jęj łaski pozyskać. Fürstemberg poprzedzając króla na chwilę, zobaczywszy Hoymowę osłupiał.

— Znam króla — rzekł — ta kobięta zrobi z nim co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wcale jęj uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu juź szukał tęg którą chciał widzięć, ujrzawszy ją zarumienił się, pobladł, zmieszał i zapomniawszy o gospodyni, przybiegł ją najprzęd przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskięj, milionowych strat, zdrad i zawodów.

Anna przywitała go zdala ceremonialnie i chłodno, ale strój już sam mówił wiele. Chciała się podobać, to było oczywistém, i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrazenia król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i względów należnych płci pięknej. Choć niecierpiał hr. Reuss, usiadł przy niej na chwilę rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczów od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchen... potem uśmiechnął się do Vitzthumowej, na okół obdarzył wejrzeniami i galanterję wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonialnego obchodu, pani Vitzthum miała czas ująć bratową pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiejś pilnej ciekawej rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego *tête a tête*, bo jak tylko August ukazał się w progu, i zagaił kilką słowy rozmowę z Hoymową, pani Vitzthum poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprawdzie otwarte i podniesiona portiera dozwalała przechadzającym się po salonie paniom oglądać zdaleka oblicze N. pana, ale nikt nie mógł ztąd posłyszć co mówili między sobą.

August już dziś wczorajszej obawy zapomniał, widocznie był rozpłomieniony.

— Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą a zupełnie inną niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką...—zawołał nie hamując się wcale. Hoymowa się skłoniła.

— N. Pan tak znanym jesteś ze swój pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpochlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć—odezwała się Anna.

— Wymagasz pani przysięgi! na wszystkie bóstwa Olympu przysiędz jestem gotowy... Tak pięknej kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się nielitości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojej akcyzy.

Anna mimowoli się rozśmiała, pierwszy raz z pod warg różowych, wyszedł rząd białych jak perły ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całej jój fizygnomii, stała się jeszcze bardziej urocza... Dwa maleńkie dołki, jakby wycalowane ukazały się na rumianych policzkach i znikły... Twarz oblana

chwilę karminem... bladła zwolna i przechodziła w ton jakby blaskiem wewnętrznym ogrzana...

Król spojrzął na ręce, a namiętnie lubił piękne ręce całować, i ledwie się mógł powstrzymać od przyciśnięcia ich do ust. Były to arcydzieła snycerskie... W głowie mu zawracać się poczynało...

— Gdybym był tyranem—zawołał—Hoymowi-bym wrocić tu nie pozwolił, bom zazdrośny o tego Wulkanu...

— Wulkan jest téż zazdrośny—odparła Anna...

— A Venus przecież go kochać nie może? Milczenie było odpowiedzią: długo król czekał.

— Jeśli nie miłość, są inne kajdany co wiążą silniej może nad nią: łańcuchy obowiązku i przysięgi.

Król się uśmiechnął.

— Przysięgi w miłości.

— Nie N. Panie, w małżeństwie.

— Ale są małżeństwa świętokradzkie—rzekł August— a za takie uważam gdy się piękność łączy z taką nieznośną szpetotą... Bogowie naówczas złamanie przysięg rozgrzeszają.

— Ale duma ich skruszać nie dopuszcza.

— Surową pani jesteś.

— Więcej niż się może zdaje W. kr. mości.

— Przerażasz mię hrabino..!

— Was N. Panie?—uśmiechając się poczęła Anna...—nie sądziłam abyś W. Kr. mość miał się tém choć cokolwiek czuć dotkniętym... Cóż ta surowość może pana mego obchodzić?

— Więcej niż się pani zdaje—podchwycił król własne jęj powtarzając wyrazy.

— Tego zrozumieć nie mogę—szepnęła pocichu Anna.

— Jakto? więc pani nie chcesz widziéć tego, że ja od wczoraj, pierwszym jęj wejrzeniem zostałem podbity?

— Moja zdobycz—odpowiedziała Anna—zapewne nie potrwa do jutrenki... W. K. M. dzielisz tę sławę z bogami, że łatwo kochać i zapominać umiesz...

— Nie—zawołał król czule—wierzaj mi pani, potwarze to są... Cóżem winien że nigdy nie trafiłem na serce, na umysł, na piękność coby mnie stale przywiązać mogły. Nie ja niewiernym jestem... mnie zdradzają. Codzién spada z tych bogiń

jedna zasłona... codzień gaśnie urok jeden... cud staje się powszedniem zjawiskiem, anioł traci skrzydła... a w sercu zamiast miłości znajdują zalotność i chłody... Cóżem winien...?

Wierz mi pani—dodał unosząc się coraz — ja szukam do kogo bym całe życie mógł należeć, komu bym mógł zostać wiernym; gdybym znalazł to serce, tę kobietę... oddałbym się jój cały.

— Trudno temu uwierzyć—szepnęła Anna—a trudniej jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość coby W. K. M. godną była.

— Wierz mi pani—przerwał August—że ją w tej chwili w was widzę....

— Po dniu białym, niestety, inaczej bym się wydała, ani mi łaska W. K. M. zawrócić może biedną głowę, bo się jój czuję nie godną.

— Pani jesteś zachwycającą!—zawołał August—sięgając po jój rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała; król pochwywszy białą rękę pieścił ją i całował tak długo, że nareszcie, z całym poszanowaniem dla J. K. M., Anna w płomieniach stojąc by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała z lekka ją wyrwać...

August wstał cały wzruszony.

— Nie mogę się od pani oderwać—rzekł—będę zapewne musiał w pomoc niedołężnym zapałom, które jak widzę, żadnego na nię nie czynią wrażenia, wezwać moją władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją... Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jój może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokończył. Anna nie myślała się jakoś wstawiać...

Rozmowa byłaby przeciągnęła się nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, niewiadomo z jakiego powodu przyspieszwszy wieczerzę cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowej. Był to raczej podwieczorek tylko na sposób włoski, złożony ze słodczy, owoców i wina... Król najpierwszy kielich wychylił za zdrowie żony ministra... Fürstemberg baczna na N. pana zwracał uwagę...

— Teschen przypadła!—rzekł na ucho Vitzthumowej.

— I mój brat także! widzę to jasno — szepnęła piękna pani — byle bratowa rozum miała...

— Byle go nie miała nadto...—dodał Fürstemberg. Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie; król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jęj pono głowy zawrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym...

Po tęg *collazione*, od której wstawał każdy gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August zęcownie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymowę... Została nie wrywając się, była wesołą, swobodną, lecz i Fürstemberg i król wiedzili dobrze iż była zupełnie panią siebie i że świetny tryumf jaki odniosła, wcale jęj nie upoił. Pierwszy to raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobiętą, która jego miłości nie uległa tak skoro jak inne, i wcale nie zdawała się chcięc z nięj korzystać.

Ubodło go to mocno.

Przytomność i lodowaty chłód tęg kobiety zaczynały go gniewać... ale zarazem rozżarzały powziętą miłość.

W pierwszej chwili zamyślał tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy galanteryjny stosunek, któryby pod zasłoną tajemnicy nawet księżnej Teschen nie wyrugował z serca, postrzegał teraz że z tą piękną panią daleko trudnięj przyjdzie... niż zrazu rachować...

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawną; widocznie starała się na wszelki sposób króla usidlic, lecz sama staowała mu się prawie coraz zimniejszą, śmielszą i nieprzystępniejszą. Zamiast postępować jak zwykle z Jowiszowém szczęściem, przyspieszonemi kroki do celu, król August widział się coraz dalej od niego.

W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywszym i nie osłaniając swego zapału, dopraszał się kącika w sercu... pięknej pani, zupełnie już z nim oswojona Anna, odpowiedziała dobitnie:

— N. Panie, daruj mi, lecz zmuszasz do nie miłego wyznania. Jestem jedną z tych nieszczęśliwych słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli W. kr. Mość sądzisz iż olśniona urokiem, którego potęgę wyznaję, zapomnę com sobie winna, że mnie chwilowy szal owładnie i dla uroków jego przy-

szłość mi zniknie z oczów, mylisz się N. Panie: Anna Hoym nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską kochanką chwilową... Serce moje odda się całe, na zawsze, lub... nigdy...

To mówiąc wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potem król z Fürstbergiem wymknął się z mieszkania hr. Reuss, która dostrzegłszy go wybiegła za nim na wschody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hrabina Reuss poznała z wyrazu twarzy jak się rozeszli z Hoymową, udała niezmierne ubolewanie nad tém, lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę, stosunek jój z królem trudniej zawarty, stalszym być obiecywał. Miłostki krótkie, któreby ks. Teschen nie obaliły wcale, nie odpowiadały jój myśli; przez Annę spodziewała się i ona pewniejszy wpływ pozyskać.

— Kochana hrabino—szepnął król odchodząc—staraj się zmiękczyć ten posąg. Piękna jest jak Venus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król począł schodzić ze wschodów. Rozmowa z poufnym przyjacielem jak Fürstemberg w innym już była tonie.

— Kobięta jest zachwycająca—rzekł król—ale przerażająca razem, jak lód zimna...

— N. Panie trzeba czasu... Kobięty są różnych umysłów i temperamentów, cóż dziwnego że się broni...

— Broni! ale ona wyraźnie mówi, że wickuistych chce ślubów...

— Każda miłość z początku myśli że powinna być wickuistą, i każdój się ona przyrzeka...

— Z tą nie przyjdzie łatwo—dodał August.—Teschen była daleko powolniejszą.

— N. Panie, ale między niemi porównania niema...

— Niestety! to prawda... Teschen jój nie dorównywa... Poślijcie Hoymowi rozkaz aby mi się wracać nie ważył...

— Ale cóż on tam robić będzie?—roześmiał się książę.

— Niech robi co chce—przerwał król—nadewszystko niech zbiera jak najwięcej pieniędzy, bo mam przecucie ^{ze} moja nowa miłość wiele ich kosztować będzie. Taki brylant musi być koniecznie w złoto oprawny...

- Jakto? N. Panie, już miłość?
- Wścicka! FÜRSTCHEN, ró b co chcesz... Anna być musi moja...
 — A Urszula...
 — Żeń się z nią.
 — Dziękuję...
 — Ożeń z nią kogo chcesz... zrób co ci się podoba... to rzecz skończona...
 — Już! N. Panie?—zapytał książę ze źle utajoną radością.
 — Zrywam... zerwę... Hoyma ozłocę... ciebie... ją...
 — Ale zkąd tyle złota weźmiemy!
 — Na to Hoyma rozum,—odparł król—piszcie mu niech sam się o akcyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, egzekwuje, byle nie wracał.
 — Aż gdy już nie będzie miał po co!—szepnął książę—to się rozumie.

Król westchnął... weszli do pałacu, a August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślony. Ostatnia kampania nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

VII.

W ten sposób rozpoczęło się jedno z panowań kobiecych na dworze Augusta II-go, które dłużej nad inne trwać miało.

Całe miasto i dwór śledzili z niespokojnym zajęciem przebieg sprawy, której koniec łatwym był do odgadnięcia.

Nie przyszedł im jednak tak rychło jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłaniami doń kuryerami wstrzymywano coraz dłużej, nie pozwalając mu powracać.

Codzień hr. Reuss, pani Vitzthum, książę wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknej Anny; codzień pani Hoym była z nim śmielszą i poufalszą, ale August od owego wieczora u hr. Reuss nie postąpił ani na krok, nie usłyszał nic innego nad to co mu naówczas zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, a chłód jej, przytomność i panowanie nad sobą w końcu wszystkich niepokoić zaczynały. Obawiano

się aby się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie skorzystano ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym ilekroć ją badano odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wymagała jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Eberhardyna, to uroczystego zapewnienia iż król ją poślubi jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwyčajny; w innym czasie, na innym dworze, wśród mniej płochych ludzi, byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mu pierwszy raz o nim doniósł Fürstemberg, nie odpowiedział ani słowa.

— Przyznam ci się, — rzekł do niego w kilka godzin później, — żem zmęczony temi przedłużonemi konkurami: raz przecie skończyć to potrzeba....

— Zerwać? — spytał książę.

— Zobaczymy — lakonicznie odezwał się król.

Więcej nawet zwykły jego powiernik nie mógł się dowiedzieć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przynieść do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wór był ogromny, i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko... Fürstemberg nie śmiał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskliwy... Wprzecz dzień August się widział z Hoymową w Bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na przechadzkę wywiozły. Mówił z nią chodząc długo, był niezmiernie czuły; lecz pani oblewała go chłodem i gdy odjeżdżał Vitzthumowa zapewniała że na twarzy jego wprawdzie skrywanego, lecz tak strasznego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widoczném było dla wszystkich iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal codzień do ks. Teschen, która tonęła we łzach gdy jej donoszono o Hoymowej i osuszała je zobaczywszy Augusta. W tój niepewności przeszło kilka tygodni, czas który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Naostatek Hoymowi już nie pozwolono ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniej zasilął.

Właśnie tego dnia gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owemi stu tysiącami talarów w karecie, kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma...

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym sama jedna w domu chodziła zamyślona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych odwiedzin nad kobiece, zdziwiona była mocno usłyszawszy męskie głosy na wschodach, a bardziej jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwały się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przerażona tém zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni pobytu jój w Dreźnie pistolet nabity: było jój nieodstępny towarzysz.

Śmiano się z niój, bo go tam wszyscy u niój widzieli. Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okrytą. Jakkolwiek ruch ten był żywy i zdawał się niepostrzeżonym, oku króla nie uszedł.

— Nie potrzebujesz pani żadnej obrony,—zawołał—a ta którąś sobie wybrała na nicby przydatną nie była...

Anna wlepiła w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

— Słuchaj mnie pani—kończył August rzucając wór złota na ziemię z taką siłą iż pękł i dukaty rozsypały się brzęcząc po posadzce—mogę cię obsypać złotem, dostojęnstwy i tytułami...

W téj chwili przyniesione z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

— Ale mogę—dodał—to co mi się opiera, złamać jak kruszcę to żelazo. Masz pani do wyboru złoto lub żelazo, pokój i miłość lub wojnę.

Anna stała obojętnie patrząc na kupę złota i połamane żelaztwo.

— N. Panie—odezwała się po chwili—ja się nie lękam śmierci, ani pragnę złota. Możesz mnie zgnieść jak te podkowy, woli mojej nie złamiesz. Złoto jój nie roztopi. Dla czegoż nie przynosisz mi jednej rzeczy, która mnie poruszy i zwyciężyć może? twego serca?..

August podbiegł ku niój.

— Masz je oddawna!—krzyknął.

— Nie widzę tego i nie czuję—poczęła powoli Hoymowa—serce się objawia czynem: serce co kocha, nie może pragnąć zbezczęścić to co ukochało!

Nie będę taić ci królu, kocham cię! Nie mogłam się oprzeć téj miłości, ale jój nie splamię...

Król żywo poskoczył ku niój i ukląkł: Anna uciekła w drugi koniec sali.

— Posłuchaj mnie królu.

— Rozkazuj.

— Anna Hoym inaczej twoją nie będzie, jak gdy się godną twój miłości uczuje...

— Więc warunki? mów! jakie są warunki?

— Przyrzeczenie ożenienia na piśmie.

August słysząc to zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczył.

— Anno—rzekł—to dla ciebie samój niebezpieczny warunek: wierź mi.

— Nie odstąpię od niego; życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i w nadziei będę żoną twoją lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król cofnął się krok...

— Dobrze więc—rzekł—chcesz tego, mieć będziesz...

Anna krzyknęła radośnie.

— Reszta jest niczém przy tém,—odezwała się głosem w którym brzmiało szczęście. Muszę mieć rozwód z Hoymem.

— Jutro każę go w konsystorzu podpisać—pospiesznie dodał król.

— Cóż więcój?

— Z méj strony więcój nie mam nic,—przyklękając przed królem złamanym głosem odezwała się Anna—dla mnie tego dosyć...

— Ale nie dość dla króla, dla mnie,—podchwycił August porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię Anna się uwolniła.

— N. Panie—krzyknęła—wierzę twojemu słowu królewskiemu; lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy co mnie wiążą; rozwód musi być ogłoszony, przyrzeczenie twe

podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgam mu wierność i dochowam jój.

August milcząc w rękę ją pocałował.

— Czyń co ci się podoba, co cię uspokoi... jam twój niewolnik, tyś pani moja!! Dzisiaj przyjeżdża Hoym... rozstań się z nim... jutro pałac dla ciebie gotować każę; sto tysięcy talarów rocznie i całe moje dwa królestwa u nóg twoich, a z niemi ja...

Anna widząc go klęczącego u nóg, zlekka pocałowała w czoło i odskoczyła.

— Do jutra!

— Mam wyjść?—spytał August.

— Do jutra—podała mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował się ku drzwiom wzdychając. Na posadzce sali kupa złota rozrzucona została.

Téjże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do drzwi żony i zastał je zamknięte; powiedziano mu iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonej nad wolę swą i potrzebę podróży, hrabia coraz mocniej niecierpliwił się i niepokoił o żonę. Miał wprawdzie swoich zauszników, którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym jej widomym kroku i ruchu; lecz ze wzmianek o odwiedzinach i przejażdżkach, w których zawsze prawie i siostra jego pani Vitzthum udział brała, nic bardzo zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł pomimo to iż intryga zawiązana rosła i płątała się coraz silniej, grożąc jego pożyciu małżeńskiemu, ale do kogo miał się udać aby się o to upomnieć? U góry stał król, a króla lękał się Hoym nad wyraz wszelki, bo go lepiej znał nad innych. Jego pozorna słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go wcale. Los swojego dobroczyńcy Beichlinga miał ciągle na oczach. Największą rekojmią dlań był charakter żony, jój duma i miłość dobrej sławy.

Przybywając do Drezna nie wiedział o niczém więcej nad to co mu usłudni jego szpiegowie donosili; w samém mieście od ludzi dworu nie wiele się spodziewał dowiedzieć.

Godzina była spóźniona, a choć na zamku król biesiadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie kusił, pojechał więc

do domu i drzwi żony znalazłszy zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano, oblegli go urzędnicy od akcyzy, król przysłał aby się stawił do zamku, tak że niewidząc się z Anną, wyruszyć musiał.

Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król, uściskawszy (był to znak jak najgorszy). Wymawiał mu nawet że się tak długo w podróży zabawił, chociaż sam starał się o to aby była przedłużoną: udał że wcale o tém nie wiedział.

Hoym z zadziwieniem spojrział królowi w oczy.

— Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczywista — szepnęła August uderzając go po ramieniu, — chciano cię od mojego boku oddalić, ale nie lękaj się, masz téż we mnie silniejszego nad nich przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmowie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedostatek pieniędzy.

— Hoym kochany, na wszelki sposób musisz się mi ich starać, potrzebuję ogromnie wiele.

Było około południa gdy z téj audyencyi, która mu wiele dała do myślenia do domu powrócił. Zaledwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy drugie od sali się otwarły i Anna ubrana czarno, jaśniejąca pięknnością, spokojna i poważna, weszła drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niej żywo: przyjęła go chłodno i zdalaka trzymając.

— Czekałam na was panie hrabio, — rzekła głosem swobodnym — przychodzę mu podziękować za wszystko dobre, jakiegom od niego doświadczała i zapewnić że wspomnienie o tém zachowam na zawsze. Ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo nasze, na wzajemnej sympatyi nie oparte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierza do rozłączenia się; kilka lat ciężkiej próby nie pozwalają lepiej wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio.

Znasz mnie pan iż jestem otwartą i lubię postępować jawnie. J. Kr. Moś uczynił mi tem zaszczyt iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie, godzien jest bym jój nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną.

Zdradzać jednak W. pana nie mogę i nie chcę; przychodzę żądać rozwodu, który honor waszego imienia ocali. Nie możemy postępować inaczej. Jeśli rozwód z dobrej woli pan przyjmiesz, możesz być pewien mojej przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkiém; jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwić się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojej wdzięczności dla niego i pamiętać tylko że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędowego i składowego przemówienia żony swój wszystkiego się domyślił, cofnął się jak piorunem rażony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał ażeby rzeczy już w tej chwili zaszły tak daleko.

Błada jego twarz okryła się siną niemal czerwonością; chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć: Anna trzymała go ostrym wzrokiem namiejscu, dopóki niedokończyła. Hoyma oburzała i treść jęj słów, a nadewszystko zimna krew, obojętność z jaką je wymawiała.

Bawiła się sznurami swęj sukni, koronką rękawa, chusteczką którą mięła w białych palcach.

Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowiony, jeszcze wyjąknąć słowa nie umiał.

— Mościa pani,—krzyknął z namiętnością podnosząc pięść do góry—wywdzięczasz mi się łaskawie za to żem cię z zaplesniałego kąta wyciągnął... Odegrzałem żmiję... Rzucasz waćpani męża i dom uczciwy, aby pójść na łaskę i niełaskę najlekomyślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić dalej.

— Dosyć panie hrabio, wiem odrazu co mówić będziesz, ale wiem też co czynię. Staranie o mój los mnie zostawcie. Mojego postanowienia nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór... chceszli z dobrej woli przystać na rozwód czy nie? mamy zostać przyjaciółmi czy wrogami? tak czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiązłość zwała się galanterią; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla nięj ostygła: w tej chwili jednak gdy pomyślał że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie rozbijając krzesła i bijąc się o stoły. Łamał ręce, stawał w oknie patrząc bezmyślnie w ulicę, to znowu przypadał groźny do hrabinéj, która nań nieulekniona czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wie co czyni.

Stosy papierów rzucił pod nogi i deptał niemi, stół obalił. Cała ta passya, którą może chciał przerazić żonę, najmniejszego na nią nie wywarła wrażenia. Anna niemal szyderczo patrząc nań cofała się milcząca i czekała. Niemogąc wreszcie doczekać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

— Widzę że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój czy wojnę, dając więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczną: masz do wyboru albo wzrost lub upadek.

I wyszła nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle rwąc na sobie odzież, siadał, wstawał, rozpaczał i byłby tak przetrwał nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szarów.

— Co ci jest Hoym? — zawołał — co ci się stało?

— Co się stało? a! wy to lepiej z pewnością, wiecie ode mnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzuca! królowi jeszcze i téj potrzeba było. Po cóż szła za mnie? dla czego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na szyderstwo...

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

— Słuchaj Hoymie — rzekł — bardzo pojmuję że ci pięknej Anny żal być może, ale nigdy nie miałeś jej serca, a bałamuciłeś się tak, iż wątpię żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwiał. Jest to sprawa miłości własnej. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z poleceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

— Cóż N. Pan każe? — mruknął ironicznie.

— Żąda abyś dozwolił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyrzeka,—dodał Vitzthum.—W przeciwnym razie, mój kochany Hoym, bardzo mi cię żal, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Najmniejsza przykrość wyrządzona hrabinie, uważaną będzie za obrazę majestatu.

— Ale po cóż chcecie mojego zezwolenia?—wybuchnął Hoym—wszakże król i bez niego uczynić może co mu się podoba. Konsystorz jemu nie mnie będzie posłusznym. Ja tu nic nie znaczę... Zabiera mi com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

— Jest to dowód łaski króla że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widzieć w tém powinienes chęć zatrzymania cię na stanowisku.

— Bom mu potrzebny!—mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

— Kochany hrabio, namyśl się—rzekł—gdy wyjdę ztąd będzie po czasie.

Hoym znowu biegał i co spotkał wywracał, w końcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem pełnym goryczy i padł w krzesło...

— Hoym, król czeka na odpowiedź?—zapytał Vitzthum.

— Wszakże nie mogła być wątpliwą—odparł minister—szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jój, grożąc mu pałką nad głową. A więc naturalnie kochany szwagrze, zaniesiesz odpowiedź N. Panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczny, iż raczył mnie od ciężaru tej kobiety uwolnić, że zgadzam się na wszystko, zem rad, szczęśliwy, wesół i całuję pańską rękę jego. Przecież to honor niepospolity ofiarować N. Panu od ust nadgryziony owoc... cha! cha!

— Gdybyś wypił szklankę zimnój wody—szepnął Vitzthum biorąc za kapelusz,—he?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

— Wierz mi,—rzekł cicho—ty jeszcze lepiej na tém z łaski żony wychodzisz niż iuni. Powiem królowi że się zgadzasz... ochłoniesz i odbolejesz.

Vitzthum przypomnieć sobie zapewne musiał mówiąc to własną swą przygodę z siostrą Hoyma, która krótką chwilę szczyła się łaską N. Pana.

Na odpowiedź męża oczekiwał sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony w końcu kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokoiów Anny... Vitzthum miał się udać na zamek, gdy mu oznajmiono iż król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca, August poznał zaraz iż Hoym się upierać nie będzie. Piękna Anna niespokojnie biegła do pośła.

— Byłeś hrabia szczęśliwszym niż ja?

— Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może,— odparł kłaniając się Vitzthum—ale byłem cierpliwszym. Dałem się wyburzyć Hoymowi i na wszystko się zgodziłem.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

— A! przynosisz mi pan swobodę i szczęście,— zawołała—nie umiem ci odwdziżyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi.

Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie.

W pudełku była miniatura Anny, przed kilką laty zrobiona.

— A!—zawołał król—przepraszam, to za nadto dla ciebie Vitzthum; prawem królewskim konfiskuję, w zamian daję ci 20,000 talarów: tego wizerunku nikt prócz mnie mieć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję.

Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych; królewski rozkaz przyspieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscach, bo tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku, który naprędce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galeryą krytą.

Wieść o tym wypadku piorunem pierwszej chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majątności swój rodziny w Holsztynie kazała się zwać pa-

nią Cosel. August poprzysiągł jej że u cesarza Józefa wyrobi tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy od dawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dnie prawie spędzał u niej, stał się niewidzialnym... zapomniał o całym świecie.

W pierwszej chwili zaraz ks. Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zręcznością do ostatniej chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkiem. Rozwód Hoymowej, jej przeniesienie się pod zamek nie zostawiały najmniejszej wątpliwości o tém iż panowanie jej było skończone. Ze strony króla ustały wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz ks. Teschen pozostała swobodną, panią swój woli i niełaska nie dotknęła jej więcej w niczém, pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać choćby dla kardynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny, a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym.. Pomimo szpiegów jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadził dokoła pałacu księżnej, o zamiarach jej nie się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappową nienawidzącą siostrę, dobyć z niej tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale ks. Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział czy pozostanie w Dreznie, zamieszka w Hoyerswerda, lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było, życie szło trybem zwykłym, dwór tylko dawniej świetny i liczny znacznie się zmniejszył. Ci co pozostali wiernymi księżnie, posądzani byli o szpiegostwo; towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden ks. Ludwik Württembergski teraz częściej i dłużej tam przebywał.

Intrygi dworskie na chwilę skierowane na obalenie panowania ks. Teschen i wzniesienie pani Cosel, po zwycięztwie jej inny wzięły kierunek.

Fürstemberg którego król w początku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odegrającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronnictwa nieprzyjaźne zaczęły się coraz jawniej zarysowywać wśród na po-

zór sformego dworu Augusta II-go. Staraniem było dobrego króla najtroskliwszém, niedopuszczyć aby wkoło niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i o ile mógł przykładał do poróżnienia ich z sobą. Jątrzył ich na przemiany okazywanemi jednym łaskami szczególnemi, to dając się drugim dorozumiewać iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marsowo z ukosa na się spoglądających twarzy, cieszył go i ubezpieczał. Jedni w ten sposób skarżyli drugich, dowiadywał się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na uniemożliwianiu zgody.

Vitzthum o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Cosel miejsce powiernika, był jakéśmy mówili szwagrem Hoyma. Rodzina ta pochodząca z Thuryngii była już oddawna w służbie saskiej. Wielki sokolniczy hr. Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pазia, i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbywał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód ciekawych doznali, a po upadku W. kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolniczostwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Koenigsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dla tego że się go nie obawiał; nie był to wcale geniusz, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, grzeczny, łagodny, usłużny, zresztą doskonały dworak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególniej w rycerskich ćwiczeniach ulubionych królowi, celował Vitzthum, jeździł doskonale konno, strzelał, gonił do pierścienia, a gracz był tak namiętny, iż gdyby mu wolno tylko było, grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też nie złośliwym ale miłym dowcipem i wesołością. Mówiliśmy już jak szlachta saska ostrożnie ale uparcie starała się królowi z uszanowaniem opierać, gdzie szło o jęj przywileje. Vitzthum był tęj szlachty przy dworze potajemnym i zręcznym obrońcą. Poufałość jakiej mu król dozwalał, szczególniej przy ucztach i winie, dawała mu zręczność powiedzenia czasem skutecznego słowa, które uchodziło za żart, a w istocie było boleśną i gorzką prawdą.

Wyjąwszy tę straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie mieszał, od intryg stronił, ambicyi nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i po za Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniej, jeśli nie więcej niż mężczyźni rządziły. Pani Vitzthum była naówczas jeszcze bardzo świeżą i ładną... słusznego wzrostu, jak większa część pięknych saxonek arystokratycznych rodzin; oko miała szafirowe, płeć świeżą, nossek odrobinę zadarty i wesołość często zbyteczną, bo ją po śmiechu poznawano zdaleka. Śmiała się dziecinnym piskliwym śmieszkim. Pani Vitzthum jak gra bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawiała sidła, rzucała ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie, i bez niej częstoby zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie, nabywała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambycją, bo jemu na nią zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa, stali oni na stronie i napozór niżej od Fleminga, Fürstemberga, Pfluga i innych, niemniej jednak wiedzieli najskrytsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciołom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Cosel, stanęli też w takich z nią stosunkach, które obiecywały że będą podzielać jej wstręty i przyjaźni i natchnąć je potrafią jednemi i drugim.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem, dwór cały uczuł że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą jak ks. Teschen: nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jak królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłuszniejszym jej wielbicielem. W pięknej główce kobiety, którą traf zbliżył do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświetniejszym zdawno pamiętnych karnawałów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MARCIN KROMER.

PRZEZ

Cypryana Walewskiego.

II.

(1569—1579 r.).

Zygmunt August król umyślił wysłać kardynała Hozyusza w poselstwie do Rzymu, aby za pośrednictwem papieża starać się o wydobycie spadku po matce w Barze i zawezwał go na sejm do Lublina. Hozyusz stawił się i od miesiąca lutego do maja 1569 r. bawił w Lublinie¹⁾. Wówczas król zwierzył mu się ze swych zamiarów, na które Hozyusz przystał i za wspólną naradą Kromer miał przez cały ciąg nieobecności biskupa zarządzać dyecezyą. Kromer przebywając w Krakowie nie domyślał się niczego i dopiero w początkach kwietnia 1569 r. z listu odebranego prawdopodobnie od podkanclerzego Krasieńskiego wyczytał o przygotowaniu się do podróży, gdyż król zamierza go wyprawić do Warmii dla zastąpienia odjeżdżającego do Rzymu kardynała w zarządzie dyecezyi. Ta nadspodziana wiadomość mocno go zasmuciła. Używał bowiem w Krakowie błogiej spokojności i nie pragnął wcale odrywać się od swych prac naukowych dla zajęcia się tak mozolnym zarządem dyecezyą. Ze smutkiem w sercu pisał do swego przyjaciela Tyczyńskiego bawiącego wówczas w Neapolu i do kardynała Hozyusza będącego w Lublinie. pocieszając się tą myślą, że przy tak chwiejnym charakterze króla zamiar nie przyjdzie do skutku; lecz omylił się. Prawie jednocześnie odebrał listy od podkanclerzego Krasieńskiego i od Hozyusza. Pierwszy donosił mu, że z woli króla i kardynała jestznaczony koadjutorem Hozyusza i zarazem żąda od niego, iżby przybył przed

¹⁾ Eichhorn Cardinal Hosius II. 345.

S. Janem do Lublina dla otrzymania zleceń i ztąd zaraz wprost ma jechać do Warmii objąć zarząd dyecezyi, gdyż Hozyusz wyjeżdża już w końcu sierpnia do Rzymu. W końcu upomina go o zachowanie tego w tajemnicy, dopóki cały ten proces szczęśliwie się nie ukończy. Hozyusz napisał do niego dwa listy (z d. 9 i 11 maja) z Lublina. W nich zawiadamia go o traktowaniu z nim podkanclerzego kor. i nuncyusza apostolskiego z rozkazu króla, który wielce go poważa i radby czémś nagrodzić. W końcu uprasza go, aby nie stawiał trudności, lecz szedł za natchnieniem Bożém i przyrzeka mu swą pomoc, gdy jój potrzebować będzie. Jednak rzecz cała o koadyutoryi ma pozostać w tajemnicy, dopóki jój sam nie przeprowadzi w Rzymie.

Kromer jako mąż skromny i kanonik krakowski wiódł ciche i spokojne życie, zaś jako sekretarz król., były poseł na dworze cesarskim i zuany pisarz powszechnie był poważany. W odebranych przezeń listach czynione mu przedstawienia wcale go nie wabiły do siebie, lecz raczej odstręczały. Ta sama myśl spełnienia w tak burzliwych czasach obowiązków biskupa przejmowała go dreszczem. Tém więcj że Warmia otoczona zewsząd protestantami w trudniejszym znajdowała się położeniu i nadzwyczaj czynnej wymagała baczności pasterskiej w powstrzymaniu herezyi. Przytém klimat północny nieponętny odstraszał od siebie niejednego, a najbardziej przerażały go sprawy ekonomiczne biskupstwa. Hozyusz nadzwyczaj łagodny i powolny gospodarz nie znał się na potrzebach domu; ztąd dom jego był przepełniony darmożjadami, ekonomi większe ciągnęli dla siebie zyski jak pan, przez co kardynał był wiecznie goły, a oni się panoszyli ¹⁾. Kromer mając z oszczędnością dom swój urządzony nie pojmował podobnego nierządu; przeczuwał jednak, iż chcąc go ulepszyć, nie tylko dozna wiele troski i kłopotu, lecz i zniechęci wielu ku sobie. Przytém znał narodową nienawiść Prusaków ku Polakom i wiedział, że dopóki kapituła warmińska i Stany pruskie nie przyjmą jego koadytoryi, to natysięczno wystawi się z nimi kłótnie i niepokoje. Takie myśli nasuwały mu się przed oczy i te odstręczały od przyjęcia; lecz z drugiej strony sama myśl że król tego żądał, i że namawiał go podkanclerzy, wielce przywiązany do całej rodziny Kromera. Nadto nalegał i Hozyusz najserdeczniejszy jego powiernik i przyjaciel. Rady tóż jego najsilniej wpłynęły na postanowienie zkądinąd żadnego władzy i dostatków Kromera. Wszelkie powody za i przeciw wielce go zaniepokoiły. Żądał trzechdniowego namysłu dla stałej decyzji. Wprawdzie nowy urząd był trudny i przykry, tém bardziej uważał za obowiązek do spiesznego go objęcia dla poskromienia istnieje-

¹⁾ Tak opisuje zarząd domowy Hozyusza Mikołaj Kromer w liście do Marcina Kromera, d. 10 paździer. 1569 r. i 19 lipca 1570 r. w archiw. kapi-tuły D. 29, fol. 33 i D. 33, fol. 151.

jących nadużyć. Po dojrzałej rozwadze doniósł listownie d. 18 maja podkanclerzemu, że przyjmuje i następnie (26 maja) iż wybiera się do Lublina. Ucieszony tém Krasieński uwiadomił natychmiast króla o postanowieniu Kromera i wnet mu odpisał ¹⁾, iż król wielce tém uradowany wygląda niecierpliwie jego przybycia.

Hozyusz pomimo uwiadomienia Kremera musiał wyjechać z Lublina, a dla zapewnienia się pisał po raz trzeci z Pułtuska d. 25 maja z prośbą o jak najspieszniejszy przyjazd do Heilsberga, gdzie go z utęsknieniem wyglądać będzie. Kromer załatwiwszy swe sprawy w Krakowie, wyjechał w początkach czerwca do Lublina. Dla uniknięcia wszelkich pytań i dla zachowania tajemnicy oświadczył swym przyjaciołom przy odjeździe, że spieszenie powołuje go król chcąc go wyprawić za granicę; gdzie i do kogo miał być posłany, nikt o tém nie wiedział. Jedni mniemali że do Wiednia, drudzy do Hiszpanii, inni nakoniec do Szkocyi. Nawet rodzonemu bratu Mikołajowi nie oznaczył miejsca, który sądził, że pojedzie do Rzymu dla ukończenia sprawy o księstwo Baru. Naraz wszyscy zdumieni się odebrawszy wiadomość o wyjeździe Kromera do Prus, dla zastąpienia kardynała w zarządzie dyecezyi.

W Lublinie król przyjął go nader łaskawie i ofiarował mu koadyutoryę warmińską. Kromer odebrawszy papiery wyjechał d. 21 czerwca do Warmii. Z utęsknieniem oczekiwał nań Hozyusz i potrzykroć swemi listami z dnia 11, 21 i 23 czerwca wzywał o przyspieszenie przyjazdu. Potrzebował go bowiem dla porozumienia się w ważniejszych sprawach z kapitułą i dla obznajomienia go z całym zarządem dyecezyi. Przewidywał pewne starcie się z kapitułą, przeto kardynał pragnał poprzednio naradzić się z Kromerem nad dalszém działaniem. Dla lepszej powagi wzywał i nuncyusza apostolskiego do Warmii, lecz dla słabości zdrowia nie obiecywał się Hozyuszowi. Przybył nareszcie Kromer na początku lipca z wielką radością kardynała. Poczęli obadwaj radzić jak się wziąć do rzeczy. Wybór środków zbyt był trudny i pociągał za sobą kłopoty i niepokoję. Hozyusz uważał naznaczenie Kromera administratorem rzeczą zbyt prostą, przyznając sobie wybór osoby, a kapituła winna przyjąć tego, kogo on nazaczy. Zdolności zaś Kromera najnniejszój nie ulegały wątpliwości i zaraz za jego przybyciem do Heilsberga oddał mu cały zarząd. Szło tylko o zatwierdzenie wyboru przez kapitułę i przez dyecezyą. Dopóki Hozyusz przebywał w Lublinie, niedomyślano się tego; dopiéro za powrotem do Warmii rozeszła się wieść po całej dyecezyi, że kardynał wyjeżdża do Rzymu, a Kromer będzie administratorem dyecezyi; lecz niewiedziiano o koadytorii utrzymywanej

¹⁾ List Krasieńskiego do Kromera d. 2 czerwca 1569 r. w archiw. bisk. D. 28, fol. 90.

dotąd w największej tajemnicy ¹⁾). Mimo to umysły były bardzo wzburzone i różne już czynili zabiegi. Postanowiony wyjazd Hozyusza obudził powszechny żal i smutek, a chcąc ich uspokoić obiecywał wkrótce powrócić. Administracya więc Kromera rozmaicie była tłumaczoną. Wszyscy starostowie wyjąwszy jednego cieszyli się tém nadzwyczajnie; spodziewali się bowiem po Kromerze ściślejszego nadzoru, porządnego zarządu, w czém i dla siebie znajdowali wielką ulgę. Kapituła stawiała największy opór, składała się ona głównie z nieprzyjaciół kardynała, gdyż należało jego osobę traktować z wszelką czcią i poszanowaniem.

Nim jeszcze Kromer przybył do Warmii, Hozyusz polecił swemu sekretarzowi Walentemu Kuczborskiemu i członkowi kapitułyawiadomić ją urzędownie, iż na czas swego wyjazdu do Rzymu nazyacza Marcina Kromera kantora katedralnego administratorem dyecezyi i spodziewa się, że kapituła chętnie na to przystanie. Prosta pogłoska o wyjeździe kardynała wielce przeraziła wszystkich we Frauenburgu, tém więcej teraz zawiadomienie urzędowe. Powołanie przez Hozyusza Polaka nie Prusaka na administratora oburzyło osobiście trzech prałatów z kapituły, którzy najwięcej przypisywali sobie zdolności ku temu ²⁾). Najsilniej sprzeciwili się i chcieli go nie dopuścić. W chwili odebranego zawiadomienia bardzo mało było kanoników obecnych, ztąd wstrzymali się z daniem odpowiedzi aż do 18 lipca. Tymczasem Hozyusz przygotowywał się do podróży i nie zważając na zdanie kapituły zwołał duchowieństwo i rządców biskupstwa na dzień 21 lipca do Heilsberga dla przedstawienia wszystkim nowego administratora i uporządkowania zarazem spraw dyecezyi.

Kapituła postanowiła bronić swych praw przeciw tak czynnemu działaniu kardynała i nie dopuścić pogwałcenia swych swobód. Na dniu 18 lipca wyprawiła dziekana Eckharda Kempen i kanoników Kacpra Hannowa i Jana Lehmana jako swych delegatów do Heilsberga z oświadczeniem, iż przeciwną jest obiorowi Kromera na administratora. Mają przedstawić kardynałowi, że w tak burzliwych czasach należy obsadzić mężą rozsądnego. Wprawdzie Kromer jest zdolniejszy od drugich, jednak nie zgadzają się na jego wybór dla braku indygenatu pruskiego, który posiadać winien na mocy przywilejów kościoła warmińskiego, na zasadzie praw ziemskich i na mocy artykułów przez Hozyusza zaprzysiężonych ³⁾). Hozyusz po wysłucha-

¹⁾ List Kuczborskiego do Kromera d. 21 czerwca 1569, w archiw. bisk. D. 28, fol. 94.

²⁾ Ze trzech głównie było oponentów czytamy to w liście Mikołaja Kromera do brata d. 10 sierpnia 1569 r. Wprawdzie nie wymienieni z nazwiska, lecz byli bez wątpienia Eckhard Kempen dziekan i kanonicy Bartłomiej Plemieński i Michał Konarski stawając zawsze jako koźły opornio.

³⁾ Instrukcyja ich znajduje się w Katenbringka Miscell. Warmien. V.

niu delegatów wręcz im oświadczył, że ani przywileje warmińskie, ani wspomniane artykuły nie stanowią żadnej ku temu przeszkody, gdyż dla zastępcy nie konieczny jest indygenat pruski. W końcu dodał, że jeżeli nie zgodzą się na jego wybór, odda rzecz całą pod rozstrzygnięcie nuncjusza apostolskiego. Posłowie zauważywszy, iż po stronie kardynała jest dwór królewski i stany biskupstwa, ztąd próżny ich opór, umyślili ustąpić, aniżeli kłócić się z biskupem w obec wszystkich na zebraniu ¹⁾). Hozyusz uważając indygenat jako rzecz bezzasadną nie chciał dłużej zwlekać i publicznie na zebraniu ogłosił Kromera administratorem dyecezyi ²⁾), nakazał wszystkim obecnym winne dlań posłuszeństwo i swoją drogą postanowił zastąpić go od zawistnych w kapitule.

Hozyusz i Kromer donieśli o wszyskiem co się stało podkanclerzemu Krasińskiemu i nuncyuszowi Ks. Portico. Podkanclerzy zapewniał, że nowego administratora poprze swą powagą i we wszyskiem mu dopomoże. Kromer z powodu tylu zaszczytów trudności począł się wahać w swym wyborze. Obadwaj mężowie ubolewali nad postępowaniem kapituły, lecz nie sądząc ją za tak niebezpieczną, starali się przełamać jej upór. Doradzając mu cierpliwość i wytrwałość przyrzekają mu swą pomoc i w końcu oświadczają, iż dla zjednięcia sobie zaufania, to rozważny i sprężysty administrator winien poskramiać krnąbrnych w dyecezyi, a z innymi zaś obchodzić się łagodnie dla podniety upartych ³⁾). Podobne obietnice otrzymał Kromer i od innych swych przyjaciół ⁴⁾), czém uspokojony nieco swobodniej godził się ze swym losem. Hozyusz po odprawionym sejmie pruskim pojechał do Frauenburga dla pożegnania się z kapitułą i zdania zarządu. Wówczas wybuchły spory popierane obustronnie dowodami, kapituła nie zgadzając się na wykład prawa o indygenacie pruskim, otrzymała odpowiedź od kardynała, iż odda to pod rozstrzygnięcie nuncjusza i winna oczekiwać na jego wyrok. Pragnąc więc wyjednać dla siebie przychylną odpowiedź wyprawiła kanonika Bartłomieja Plemieńskiego z listem ⁵⁾ i w nim wyłuszczywszy cały powód swego sporu o indygenat, starała się poprzecć to dowodami i artykułami prawa.

¹⁾ Obacz list kapituły do nuncjusza apostolskiego d. 18 sierpnia 1569 r., u Katenbringka V. 71.

²⁾ Nuncyusz apostolski także był tegoż zdania, jak się pokazuje z jego listu pisanego do Kromera d. 2 sierpnia 1569 r. w archiw. bisk. D. 64, f. 34.

³⁾ Krasiński do Kromera d. 1 sierpnia i nuncyusz Portico do Kromera d. 2 sierpnia 1569 r., tamże D. 29, fol. 2 i D. 64, fol. 34.

⁴⁾ Listy Piotra Poznańczyka dziekana i Mikołaja Kromera w archiw. bisk. D. 28, fol. 102, D. 33, fol. 139.

⁵⁾ List kapituły do nuncjusza apostolskiego z d. 18 sierpnia 1569, tamże. C. 1, fol. 149—156.

Przycém poleciała posłowi działać zrećznie i rozsądnie i jeżeli nuncyusz rozstrzygnie na korzyść kapituły, to mu podziękować, a w przeciwnym razie odwołać się do stolicy apostołskiej.

Kardynał bez względu na stawiany opór przez kapitułę, złożył d. 18 sierpnia zarząd biskupstwa w ręce Kromera i wyjechał zaraz do Rzymu ¹⁾. Kromer odprowadził go do granicy Prus i z żalem rozstawał się ze swym przyjacielem w tém przekonaniu, że ogląda go po raz ostatni, a sam przyciśniony zostaje tak ciężkim obowiązkiem, jaki ten wielki mąż na jego barki złożył. Hozyusz przez Lubawę i Toruń pojechał do Poznania, a ztamtąd do Książa, gdzie przemieszkował Adam Konarski biskup poznański i zabawił tam do d. 3 września ²⁾. Tu zastał nuncyusza Wincentego Portico, objaśnił go o wszelkich stosunkach biskupstwa i przekonał o swój słuszności w sporze z kapitułą ³⁾. Dnia 1 września przybył i kanonik Plemieński dla przedstawienia nuncyuszowi zażaleń kapituły. Odbił on bardzo niebezpieczną podróż i już pod Książem o mało nie utonął z końmi i wozem. Z przestachem jeszcze opowiadał swe wypadki przy stole, kiedy mu przerwał biskup poznański i rzekł: „ta nieszczęśliwa właśnie podróż winna was przekonać, że niesłusznie prześladowacie tak prawego męża i do czegoż to was doprowadzi?“ Przełknięty kanonik zmiarkował się w jakim celu przyjechał i że bronić winien swobód kościoła. Wywiązała się z tego żywa rozmowa wykazująca wszystko jasno, o co spór powstał. Kromer obsypany został pochwałami, a Plemieńskiego wzięto w obroty, gdy począł wątpić o zdolnościach Kromera. Zdziwiony tém biskup poznański powiedział: „Kromer nie tylko zdolny zarządzać dyecezyą warmińską, lecz i całym państwem,“ co wszyscy goście siedzący przy stole jednozgodnie zaświadczyli. Zawstydzony Plemieński oświadczał się ze szczerą dla Kromera przyjaźnią zastaniając się tém, iż tylko z polecenia kapituły był zmuszony do odprawienia téj podróży ⁴⁾. Nadspodzianie zawiódł się w swych nadziejach, ani myśląc, że podjął się tak przykrego posłannictwa nie wdając się u nuncyusza. Wincenty Portico nie mógł potakiwać żądaniu kapituły, gdyż sam czynnie popierał na radzie królewskioj, kiedy szło o wyjazd kardynała do Rzymu i o zamianowanie Kromera

¹⁾ Dnia 21 sierpnia już był w Wartenburgu, obacz w archiw. bisk. A. 2, fol 209.

²⁾ List biskupa Konarskiego do Kromera d. 3 września 1569 r., tamże D. 29, fol. 16.

³⁾ Obacz odpowiedź nuncyuszusza daną kapitule, umieszcz. w Kutenbringka Miscell. Warm. II. 17—20.

⁴⁾ To zdarzenie opisał Stanisław Szredziński suffragan poznański w liście do Kromera z d. 2 września 1569 r., w archiw. bisk. D. 113, fol. 11.

administratorem Warmii. Niepodobna mu było działać przeciwnie, przycém ceniąc wysoko zasługi Kromera więcej mu był przychylnym niż stronie przeciwnéj. Nakoniec wysłuchawszy obiedwie strony i przekonany o słuszności kardynała, przychylił się do jego zdania; lecz wstrzymał się z ogłoszeniem wyroku. Z opowiadań Hozyusza i Plemieńskiego przeświadczony o złém usposobieniu kapituły umyślił działać zwolna na wzburzone umysły, aby przez to nie wywołać niepotrzebnych zamieszek i same przez się stosunki miały wpłynąć na ich ustalenie. Począł od nacisku samej kapituły skłaniając ją do uległości. Przyjął rolę bezstronnego sędziego i oświadczył postowi, iż dla dokładniejszego wybadania stanu rzeczy wyznaczy termin w Warszawie, a tymczasem widzi się w obowiązku wypowiedzieć mu swój pogląd na położenie całej sprawy. Jest więc zdania, że kardynał jako ordinarjus ma prawo urządzić zastępstwo w zarządzie, do czego nie przeszkadzają mu zaprzysiężone prawa, gdyż niema dowodu, że on takowe stwierdził podpisem i przezto ich ważność podaje się w wątpliwość. W ścisłym zaś pojęciu zdania o ważności, to znowu wybór zastępcy należy do biskupa, byle tylko wypadł z grona członków kapituły bez względu na indygenat pruski. W tym duchu napisał i odpowiedź kapitule, którą oddał na ręce kanonika Plemieńskiego ¹⁾. Kapituła niezadowolniona tą odpowiedzią wyszukiwała nowych wykrętów. W replice swój przestanej nuncyuszowi oświadczyła, że kardynał rzeczywiście podpisał owe artykuły co sam przyznaje, a drudzy widzieli i czytali i obowiązują go jako biskupa. Co zaś do wyboru administratora z grona kapituły, to rozumie się samo przez się, iż posiadać winien indygenat pruski, gdyż obcy są wyłączeni od wszelkich urzędów dyecezyalnych. W końcu upraszała, aby z uwagi na grożące niebezpieczeństwo religii katolickiej, były zachowane jej swobody ²⁾.

Jaką nuncyusz dał odpowiedź kapitule, nie doczytaliśmy się dotąd, to tylko wiadomo, że odwłókt naznaczony ów termin niewiedząc jak rozstrzygnąć. Najpotrzebniejsza zasada do wyroku była chwiejna, osobliwie czy Hozyusz rzeczywiście zatwierdził w mowie będące artykuły, lub nie. Zeznania w tym względzie były sprzeczne: Hozyusz zaprzeczał, a kapituła nie złożyła dowodów ³⁾. Ztąd umyślił nie wyznaczać żadnego terminu, rzecz puścić w odwłokę dla nie drażnienia umysłów, licząc na to, że kapituła przychyli się w końcu, a Kromer łagodnym swém działaniem ujmio dla siebie ich

¹⁾ Odpis tejże znajduje się w archiwum kapituły C. 1, fol. 157, obacz Eichhorn Cardinal Hosius II. 373.

²⁾ Ta replika kapituły jest w archiw. kapituły C. 1, fol. 159—167.

³⁾ Obacz Eichhorn Cardinal Hosius II. 375 uwaga 2.

serca ¹⁾. Kromer i jego przyjaciele pojmując trudność położenia trwożyli się tą upartą zawziętością kapituły we Frauenburgu ²⁾. Jednak nie tracąc odwagi mężnie pokonywał przeciwności, wiernie spełniał obowiązki pasterza i codziennie nowych zyskiwał w dyecezyi przyjaciół. Najprzód przyłączyła się do niego z całą serdecznością rodzina starego Jana Hozyusza pocieszając go w kłopotach ³⁾. Za jęj przykładem poszli inni, a nawet i członkowie kapituły z wolna przechylali się na jego stronę ⁴⁾: tak, że na jesieni 1569 r. widocznie położenie jego skłaniało się ku dobremu ⁵⁾. Zachęcony tém Kromer rozwinął wkrótce swe zdolności w zarządzie. Z objęciem zarządu występował wszędzie z podziwiającą odwagą, ku spełnieniu swych obowiązków dla utrzymania porządku tak w sprawach kościelnych, jak i ziemskich i dla ukrócenia rozruchów. Najprzód miał sprawę z Brunsberczykami do zakatwienia, którzy aczkolwiek byli uspokojeni 1564 r. przez kardynała ⁶⁾, jednak na nowo lgnęli do reformacji. Już w lipcu 1565 r. uskarżał się komendarz Paweł Möller przy odbywaniu wizyty na postępowanie mieszczan. Jan Preuck właściciel Regitten, Rosenort i dwóch młynów nie chciał płacić dziesięciny i swym przykładem zachęcał i drugich do podobnego czynu. Magistrat starego miasta powodowany chciwością, zabrał znaczną część gruntów kościelnych, a na Wielkanoc 1565 roku, bardzo wielu ze

¹⁾ Rzeczywiście najrozsądniejsze było postąpienie nuncjusza w tej sprawie. Sam nawet Hozyusz tak o nim napisał: „in causa cum Capitulo se prudenter gessit“ w liście do Kromera z dnia 3 września 1569 r. w archiw. biskup. D. 19, epp. 147.

²⁾ Listy Jana Dym. Solikowskiego 5 września, Piotra Myszkowskiego 13 września i podkanclerzego Krasińskiego dnia 26 września 1569 r. do Kromera, tamże D. 29 fol. 18, 22 i 28.

³⁾ List Jana Hozyusza do Kromera z dnia 10 września 1569 roku, tamże D. 29 fol. 20.

⁴⁾ Już pod dnia 10 października 1569 r. pisał Krasiński do Kromera: „Gaudeo, quod collegae vestri indomiti paulatim adsuescunt agnoscere functionem Pat. Vestrae Rev.“ Tamże D. 29 fol. 31.

⁵⁾ List Walontego Rozarius do Kromera d. 25 września i Mikołaja Kromera do tegoż d. 10 października 1569 r., tamże D. 29 fol. 26 i 33. Najbardziej uciószył go list Eustachego Knobelsdorfa kustosa warmińskiego z dnia 10 października 1569 roku, w którym mu donosi, że chętnie uznają go administratorem i żyją sobie oglądając go wkrótce biskupem Warmińskim; tamże D. 29 fol. 35.

⁶⁾ Obacz Eichhorn Cardinal Hosius II 160—168.

znaczniejszych mieszczan nie przystępowało do Komunii Ś. ¹⁾. Za czém i większa część mieszkańców byłaby poszła przy ciągłym wzroście różnowierców. Po śmierci archidyakona Marcina Stobbe ²⁾ mieszczanie Brunsergi pragnęli utrzymać Pawła Möllera na probostwie naznaczonego przedtém komendarzem przez kardynała. Zdawało się Hozyuszowi, że nie odpowie godnie tak trudnym obowiązkom i dla tego zamianował w jego miejsce Jędrzeja Humanna proboszcza w Secburgu zdolnego i powszechnie poważanego duchownego. Mnie- mał bowiem, iż swém trafnym działaniem i niezwykłą pobożnością nada lepszy kierunek lgnącemu do nowostek stronnictwu. Wkrótce znaleźli się niektórzy z rajców mu przeciwni i ci starali się dokuczać nowemu proboszczowi i psuć jego zamiary. Dopóki kardynał prze- bywał w Warmii intrygowali tajemnie, nie śmiejąc wystąpić otwarcie z obawy jego władzy, jaką świeżo okazał na mieszczaninie Wawrzeń- cu Hasse ³⁾. Dopiero w roku 1569 wynikło kary godne bezprawie, puszczone bezkarnie przez magistrat miasta. W dzień Bożego Cia- ła ⁴⁾ proboszcz podczas odprawianej po mieście processyi zelżony został po grubiańsku przez młodego chłopaka, za co domagał się jego uwięzienia i ukarania. Burmistrz z tém się ociągał, utrzymując, że ten chłopak jest niespełna rozumu i nie może być karany. Nastę- pnej niedzieli ten sam wyrwał proboszczowi z ręki monstrancję, po- łał ją wraz z hostyą Ś. i rzucił na ziemię ⁵⁾. I to byłoby przeszło samopas, tylko na wyraźny rozkaz kardynała został uwięziony i w kajdany okuty ⁶⁾. Po wyjeździe kardynała otwarcie wybuchło zamieszanie ⁷⁾, lecz wnet uspokojone silną ręką Kromera. Odtąd ciągle miał po oku magistrat miasta i od czasu do czasu zmuszał go do wypełniania swych obowiązków. Wypędzony przez kardynała mieszczanin Wawrzeniec Hasse powrócił znowu do Brunsergi z miejsc, gdzie silna panowała zaraza, a magistrat nie dbając czy przeto sprowadzi chorobę, patrzył na niego przez szpary mimo wy- danego zakazu. Dowiedziawszy się o tém Kromer posłał natych-

¹⁾ Porównaj skargi Pawła Möllera w wizytach kościelnych z r. 1565, w archiw. biskup. B. 3 fol. 88.

²⁾ Umarł we wrześniu 1564 r., tamże str. 115.

³⁾ Eichhorn Cardinal Hosius II 296.

⁴⁾ Było to dnia 9 czerwca, obacz Weidenbach Calendar. histor. obri- stianum Regensburg 1855 str. 92.

⁵⁾ Tak donosi proboszcz Humann kardynałowi w liście z d. 12 czer- wca i uprasza o pomoc przeciw takiej samowoli; w archiw. biskup. D. 12 fol. 112.

⁶⁾ List Walentego Kuczborskiego do Kromera d. 21 czerwca 1569 r.; tamże, D. 28 fol. 94.

⁷⁾ List Hozyusza do Kromera d. 5 listopada 1569 r., tamże D. 19 opp. 149.

miast rozkaz pod d. 11 października 1569 roku, wypędzenia bannity z miasta, a staroście Michałowi Preuckowi dopilnować magistratu, aby spełnił swą powinność.

Następnie daleko gorsze miał zajście w Elblągu. Hozyusz odebrał obadwa kościoły parafialne na starém i nowém mieście i poruczył je staraniu OO. Jezuitów; nadto sporządził spis wszystkich dóbr duchownych dokonany przez Marcina Kromera i Jana Lehmana ¹⁾. Mieszczanie często niepokoiłi Jezuitów i nie chcieli zwrócić w części już rozmarnowanego majątku kościelnego, pomimo karnych rozporządzeń królewskich. Również i magistrat ociągał się z usunięciem zakrystyana kościoła S. Mikołajaja, który przeszedł na protestantyzm i na wsze sposoby dokuczał w czynnościach OO. Jezuitom. Nawet pozostawił go w mieszkaniu i zdawało się, że chciał go nadal utrzymać. Mikołaj Koss proboszcz kościoła S. Mikołajaja, obarczony służbą na dworze królewskim dla niemożności w zadosyćuczynieniu swych obowiązków, podziękował za probostwo. Hozyusz stosując się do danej przez króla prezenty oddał zarząd obudwóch tych probostw Sewerynowi Wildschützowi, a król nakazał przyjąć go mieszczanom ²⁾. Dnia 27 sierpnia 1569 roku przybył do Elbląga Wildschütz w towarzystwie dwóch księży Piotra Passerius i Mikołajaja Galus, doręczył magistratowi swe listy i rozkaz królewski prosząc o przyjęcie. Na to otrzymał odpowiedź, iż naradzić się muszą z urzędem nowego miasta. Zwołani mieszczanie z obudwóch przedmieści byli powiększej części sami protestanci, i zapytani, czy chcą przyjąć nowo przybyłego proboszcza, dali odpowiedź przeczącą. Nadto rada miejska na wręczony rozkaz królewski okazała późniejszy, uchylający wykonanie pierwszego. Magistrat stawwszy takie przeszkody nie dopuścił proboszcza do pobierania dochodów parafialnych; jednak Wildschütz pozostał w mieście i wspólnie z Jezuitami spełniał swój obowiązek ³⁾, a Kromer wielce był tém zadowolniony.

Wątpliwe było także odebranie dóbr kościelnych. Zygmunt August na sejmie Lubelskim wydał rozkaz, lecz niczém nie poparty, został niewykonalny, przez złą wolę mieszczan i niemoc dworu. Kardynał przy wyniku roztrwonieniu dóbr nie spodziewał się odebrać ich w całości i pragnął dobrowolnej ugody. W tój myśli zaządał od króla rozkazu do mieszczan, aby stawili się przed nuncyuszem apostolskim i za pośrednictwem tegoż, a przy obecności komisarza królewskiego zgodnie się porozumieć. Król na to nie przystał, nie

¹⁾ Eichhorn Cardinal Hosius II 329.

²⁾ Rozkaz ten z dnia 22 lipca 1569 roku, znajduje się w archiw. biskup. D. 113 fol. 100.

³⁾ Obacz list Seweryna Wildschütza do Kromera d. 28 lipca 1570 r.; tamże D. 89 fol. 47.

chcąc podobnej missyi powierzać nuncyuszowi ¹⁾. Naznaczył inną kommissę do załatwienia, lecz stanęły i tu nowe przeszkody. Dwór naznaczał Fabiana Cemę wojewodę malborskiego, którego kardynał nie chciał, podejrzewając o zbyt blizkie stosunki z mieszczanami. Jan Kostka kasztelan gdański choć obustronem przychylny, wprost odmówił. W końcu uproszony od Hozyusza ²⁾ Karnkowski biskup kujawski nie mógł przed Bożem Narodzeniem przybyć do Elbląga ³⁾. Kromer przekonany, że Elblążanie nie przystaną na żadną zgodę bez wyraźnego rozkazu królewskiego, odwołał się więc z prośbą do podkanclerzego o wyjednanie powtórnego rozkazu królewskiego co do zwrotu dóbr kościelnych. Podkanclerzy radził mu wstrzymać się, dopóki ustanowiona komissya nie rozpocznie swych czynności w Gdańsku ⁴⁾. Niezadowolniony tém Kromer raz jeszcze zwrócił się do dworu nagłąc o spieszłą pomoc dla wynikłych zamieszek z Jezuitami, które mogą gorsze wywołać następstwa. Tyle tylko wskórał, że naznaczona komissya do Gdańska otrzymała polecenie po załatwieniu spraw tamże, jechać wprost do Elbląga dla wykonania rozkazu królewskiego i odebrać dobra kościelne. Jednak Kromer zapobiegając szerszycym się rozruchom pragnął przyjść do jakiegokolwiek możliwej zgody; gdy po wielu naleganiach nie mógł tego osiągnąć, umyślił odłożyć na później dla odniesienia większych korzyści.

Napozór najlepszy istniał stosunek z Albertem Fryderykiem księciem pruskim, który nie posiadał rozumu ojca i był zbyt ruchliwy. Wkrótce po objęciu rządów książę Albert rozpoczął spór z kardynałem o granice kraju i wniósł tę sprawę przed sąd królewski. Nic nie wskórawszy ⁵⁾ okazał się chętnym do zgody. Uregulowanie granic miało być dokonane przez wyznaczoną do tego kommissę; do czego nie przyszło jednak przed odjazdem kardynała. Hozyusz przed wyjazdem swym wyprawił kanonika Jana Lehmana z listem do księcia, w którym żegnając go upraszał sąsiada o spokojność; w końcu dodał, że po ukończeniu zaraz żniw przysła komisarzy do uregulowania granic. Serdeczny list Hozyusza wywarł najlepszy wpływ w Królewcu, książę w odpowiedzi swój z dnia 19 sierpnia 1569 r. życzy mu szczęśliwej podróży, dobrego powodzenia w Rzymie

¹⁾ List Samsona Worojna do Hozyusza d. 12 lipca 1569 r., tamże D. 113 fol. 75.

²⁾ List Hozyusza do Karnkowskiego d. 12 sierpnia 1569 r., obacz Carncovii epist. illustr. vir. I ep. 40.

³⁾ List Hozyusza do Kromera d. 28 sierpnia 1569 r.; tamże D. 19 opp. 145.

⁴⁾ List Krasieńskiego do Kromera d. 26 września 1569 r. w archiw biskup. D. 29 fol. 28.

⁵⁾ List Jędrzeja Nideckiego do Hozyusza dnia 3 grudnia 1568 roku tamże D. 71 fol. 65.

i spieszego nazad powrotu. Nadto przyrzekł nie naruszać spokojności sąsiedzkiej i również po żniwach wyprawić od siebie komissarzy. Przytém doniósł, że pomimo układu zawartego na sejmiku w Heiligenbeil, chłopci przybyli do miasteczka ze swemi towarami na sprzedaż, musieli w godzinę opuścić granice Warmii; także uskarżał się na zakaz w dyecezyi zabraniający sprzedawania chmielu do księztwa i żądał nieograniczonego dowozu towarów ¹⁾.

Hozyusz z treści doręczonej mu odpowiedzi przez kanonika Lehmana, d. 21 sierpnia w Wartenburgu, obawiał się wywiązania nowego sporu podczas swój nieobecności. Wymógł więc na podkanclerzym Krasińskim, że król napisze list do księcia polecając w nim serdecznie Kromera, a w razie jakiego wypadku by wspierał go jak sąsiad sąsiada. Chętnie podjął się tego podkanclerzy i przesłał żądane pismo Kromerowi dla doręczenia go księciu ²⁾ i to odniosło swój skutek. Uregulowanie granic dla wielkich mokradli nie dało się wykonać, proponował więc Kromer odłożyć to do wiosny, tylko zażądał usunięcia pozakładanych stawideł na rzece (Alle) przez mieszkańców księztwa, aby wstrzymać przechód ryb z krzywdą dla dyecezyi. Chętnie przystał na to książę z warunkiem że i mieszkańcy w Allenstein ³⁾ usuną swe stawidła ⁴⁾. Kromer wydał w tym duchu odpowiednie rozkazy do swych podwładnych i zażądał od księcia pod dniem 8 listopada, iżby na zasadzie praw sąsiedzkich miejscowych usunąć wszelkie tamy i stawidła. Książę idąc za przykładem Kromera wydał rozkaz do niestawiania nowych stawideł i uprzedził go, że chociaż za najwłaściwsze uważa usunięcie wszystkich, jednak nie może nastawać na dawne, gdyż przez wyźrzczone prawo krajowe nie wszystkie zostały dokładnie opisane w księztwie ⁵⁾. Był to czysty wybieg niemiecki.

Podobne działania poczęły wpływać na lepsze stosunki Kromera i zdawało się, że kapituła powoli skłoni się do zarządu jego. Przy odjeździe Hozyusza domyślali się niektórzy, że już wicęj nie powróci i stale zamieszka w Rzymie, ztąd i koadytorya Kromera była rzeczą konieczną do urzeczywistnienia. Kapituła największą stawiała trudność z obawy nadwężenia praw indygenatu, jednak nie śmiała

¹⁾ Odpowiedź ta znajduje się w archiw. biskup. A. 2 fol. 212.

²⁾ List króla Zygmunta Augusta pisany z Knyszyna d. 1 września 1569 r. jest wydrukowany w Bibliot. Ordyn. Krasińskich r. 1869, str. 144 i 5. List Krasińskiego do Kromera d. 4 września 1569 r. w archiw. biskup. D. 29 fol. 15.

³⁾ Po polsku Olsztynek.

⁴⁾ List księcia Alberta do Kromera d. 17 października 1569 r.; tamże A. 2 fol. 214.

⁵⁾ List księcia Alberta do Kromera d. 13 listopada 1569 r.; tamże A. 2 fol. 215.

działać otwarcie przeciw woli monarchy. Król naradzał się z podkanclerzym Krasińskim jak przeproczyć upór kapituły, który przemódz należało, gdyż to w niczém nie nadwerczało jój prawa ¹⁾. Szło tylko o to, na jakiej zasadzie przeprowadzić koadyutoryą. Hozyusz doradzał wyjednać przedewszystkiem przyzwolenie kapituły i na tój podstawie dalej działać; chciał bowiem, żeby król poufnie zawiadomił kapitułę o swém życzeniu, a ta chętnie przystanie. Lecz Zygmunt August obawiając się odmowy nie zgadzał się na to i uważał za stosowniejsze rzecz całą przedstawić stolicy apostolskiej dla zapobieżenia przed czasem wszelkim przeszkodom i utrwalenia jój na zawsze. Rozkazał więc wygotować listy do Piusa V papieża i do Hozyusza, przedstawiając Kromera na koadyutora warmińskiego ²⁾. Już na początku listopada miały być wyprawione listy do Rzymu ³⁾, lecz wstrzymano się z nimi, dopóki Hozyusz nie stanie w Rzymie. Na początku więc stycznia 1570 r. pisał podkanclerzy Krasiński do Hozyusza o wyjednanie koadyutury dla Kromera u stolicy apostolskiej. Hozyusz przekonany o potrzebie spiesznego załatwienia tój sprawy, wstrzymał ją jednak do osobistego przedstawienia, uważając przyzwolenie kapituły za konieczne. Nie sprzeciwiał się woli królewskiej i chętnie pragnął dopomóc przy doręczeniu próśby papieżowi. Dla ułatwienia w tém dworowi przestał formę napisania próśby z żądaniem, aby takową przesłał na ręce kardynałów Truchsessa lub Com-mendoniego ⁴⁾.

Tymczasem Zygmunt-August potrzebował znów usług Kromera w celu politycznym. Początkowo zamierzał król wysłać go do Hiszpanii w nadziei spieszniejszego załatwienia spadku o księstwo Baru. Bawił wprawdzie na dworze Filipa II króla hiszpańskiego Piotr Barzy kasztelan przemyski, któremu nie zbywało na zdolnościach; lecz często zapadając na zdrowiu nie mógł skutecznie wywierać swego wpływu ⁵⁾. Kromer miał go zastąpić, jako dokładnie

¹⁾ List Krasińskiego do Kromera d. 26 września 1569 r. w archiw. biskup. D. 29 fol. 28.

²⁾ List Krasińskiego do Kromera d. 22 października 1569 r. w te słowa: „Jussit regia Majestas per proximam postam scribi ad Cardinalem et Pontificem literas, ut Coadjutoria P. V. eo celerius expediatur,“ tamże D. 113 fol. 119.

³⁾ List Krasińskiego do Kromera d. 5 listopada 1569 r., gdzie mówi: „Scripsimus jam Pontifici et Cardinali nostro, ut coadiutoria P. V. eo citius expediatur“.

⁴⁾ Listy Hozyusza do Kromera z dnia 4 i 16 marca 1570 r., tamże D. 19 Epp. 154 i 156.

⁵⁾ Umarł dnia 24 października 1569 roku; oboz list Łukasza Podoskiego do Kromera dnia 19 listopada 1569 r. w archiw. biskupiem D. 23 fol. 120.

obeznany z tą sprawą na dworze cesarskim. Zygmunt-August jeszcze w czerwcu 1569 roku naznaczał go posłem, od czego nie zupełnie Kromer się wymawiał, a na jesieni miał jechać do Hiszpanii. Poprzednio wysłany Piotr Dunin Wolski do Madrytu miał odebrać wszelkie papiery od teraźniejszego posła i przechować je u siebie, dopóki następcą nie przybędzie. Kromer zaś uwiadomiony przez podkanclerzego Krasińskiego miał się tak urządzić, iżby po ukończeniu swego poselstwa w Rostoku, zaraz na wiosnę 1570 roku jechać do Hiszpanii ¹⁾. Rozkaz ten wcale nie trafiał do przekonania Kromerowi. Zbyt trudne położenie jego urzędowania nie dozwalało zadosyćczynić woli monarszej. Uważał to za niebezpieczne, a nawet przeciwne jego zobowiązaniu, jakie położył w nim kardynał powierzając mu swą dyecezyę, opuszczać w takiej chwili Warmię. Przewidywał, że podczas tak długiej jego nieobecności wynikną najgorsze zamieszania; przytém obawiał się wielkich wydatków w Hiszpanii, na które zwykła pensya poselska nie wystarczała ²⁾. Jednak na wszelkie jego przedstawienia nie zwracano uwagi, dopóki nie dowiedział się o tém Hozyusz. Podkanclerzy uwiadomił go o zamiarze króla i żądał jego przyzwolenia. Przestraszony tém kardynał stawiał swoje *veto* na wyjazd Kromera do Hiszpanii, jako zupełnie sprzeczny z interesem jego dyecezyi. Ufny tylko w dobry zarząd swego szczerego przyjaciela zdecydował się sam na podróż do Rzymu. Wysłany zaś Kromer na czas długi osierocał owczarnię, wystawiając na najniebezpieczniejsze zamieszania i ztąd obawiał się okropnych skutków. Nadto przewidywał, że nie zrozumie tego papież, jak mógł mianować koadytorem Warmii takiego, który przebywał w Hiszpanii tak odlegle od swęj dyecezyi. Ten nowy plan niweczył wszystko, o czém poprzednio naradził się z królem, z tych zatem powodów napisał podkanclerzemu, że, jeżeli wyjazd Kromera ma nastąpić, to natychmiast sam wraca do Warmii. Na takie orzeczenie przerażony podkanclerzy przedstawił szczegółowo cały bieg sprawy królowi i skłonił go do uwolnienia Kromera od poselstwa. W miejsce tegoż naznaczony Piotr Dunin Wolski miał go we wszystkiem zastąpić ³⁾.

¹⁾ Listy Krasińskiego do Kromera dnia 10 i 22 października 1569 roku; tamże D. 29 fol. 31 i D. 113 fol. 119.

²⁾ Ostrzegał go brat jego Mikołaj opisując mu drogę życia w Madrycie; listy jego dnia 25 marca i 19 lipca 1570 roku, tamże D. 33 fol. 149 i 151.

³⁾ List Hozyusza do Kromera dnia 10 grudnia 1569 roku; tamże D. 19 epp. 151 i list Krasińskiego do Kromera dnia 22 grudnia 1569 roku; tamże D. 29 fol. 49. Krasiński w liście swym pisany dnia 9 stycznia 1570 roku do kardynała Hozyusza, donosi mu o tój zmianie: obacz Bibliot. Ord. Krasińskich rok 1869 str. 227.

Zaledwie Kromer zdołał się wykręcić od tego poselstwa, już inne czekało na niego. Miał jechać do Rostoku na pośrednika w imieniu króla polskiego przy zawarciu pokoju Danii ze Szwecją. Oddawna te państwa wiodły z sobą zażartą wojnę o Infanty, gdzie zakon ciśniony od północy napróżno szukał pomocy raz u Danii, to u Szwecyi i nakoniec drogo okupioną otrzymał od Szwecyi. Dania uważając szwedzką załogę w Liwonii i Estlandyi za niebezpieczną dla siebie, rozpoczęła na nowo 1563 roku wojnę i z różnym prowadziła ją szczęściem do 1569 roku. Z czasem znaleźli się i dobrzy przyjaciele. Po stronie Danii stanęła Polska, a do Szwecyi przyłączyła się północ. Po bezskutecznym krwi rozlewie obiedwie strony zapragnęły pokoju, osobliwie po usunięciu się Eryka XIV, gdy wstąpił brat jego Jan III na tron szwedzki. Zaraz w zimie 1569 roku upraszał swego szwagra króla polskiego o pośrednictwo i o przysłanie pełnomocnika swego na odbyć się mający zjazd dnia 29 lipca. Lecz nie przyszło do zgody i wojna nowym zawrzała ogniem bez nadziei pokoju ¹⁾. Nader drażliwe było położenie króla polskiego. Był sprzymierzeńcem Danii, a na przeciwnój stronie stał szwagier. Mimoto przyjął pośrednictwo między stronami, lecz wkrótce dostrzegł wielką trudność w ułagodzeniu stron zawziętych. D. 10 lipca 1569 r. miała się odbyć w katedrze Upsalskiej koronacja Jana III. Na tę uroczystość byli wysłani delegaci z Korony: Ernest Dabiński i Justus Claudius z poleceniem, iżby zażądali od króla szwedzkiego gotowej floty na ukrócenie zuchwałych Gdańszczan i oddania Rewla koronie polskiej ²⁾. Jan III król nie mógł spełnić żadnego z tych warunków dopóki wrzała wojna; poprzednio należało zawrzeć pokój, albo też zawieszenie broni. Przewidując to dwór polski wyprawił w czerwcu pokojowca królewskiego do Danii, aby ją skłonić do pokoju. Na początku października przysłany został Jerzy Eden proboszcz z Suckau ³⁾ z listem od króla duńskiego, w którym prosił o pośredniczenie. List odczytany na radzie senatu chętnie był przyjęty i postanowiono wyprawić poselstwo do Rostoku dla ułożenia warunków pokoju. Szło teraz o to, komu to polecić, król przedstawił Marcina Kromera jako biegłego polityka i senat chętnie na to przyzwolił. Na towarzyszków byli mu przydani dwaj sekretarze królewscy: Jan Dymitr Solikowski i Piotr Kloczewski, również zrzęchni i rozważni statyści ⁴⁾.

¹⁾ Obacz Olafa Dalin Geschichte des Reiches Schweden übersetzt von J. E. Dähnert Rostock und Greifswald 1763 Thl. III Bd. I 866, Bd. II 6.

²⁾ Obacz list Walentego Rozarius do Kromera, dnia 25 września 1569 roku w arch. biskup. D. 29 fol 26.

³⁾ List Solikowskiego do Kromera dnia 10 października 1569 roku tamże D. 29 fol 86.

⁴⁾ List Piotra Dunin Wolskiego do Kromera d. 22 paździer. 1569 r.; tamże D. 22 fol. 40.

Aczkolwiek zaszczytne to było poselstwo dla Kromera, jednak nie był z niego zadowolony. Nie zważając już na zbyt wielkie koszta, nie chciał na tak długo opuszczać Warmii. Było to przeciwne życzeniu kardynała, a sam jako koadyutor uważał za niebezpieczne dla siebie, tém więcej, że zbliżenie stron walczących ku sobie było prawie niepodobne. Kromer podzielił się swemi myślami z podkanclerzym Krasińskim, który pojąwszy rzeczywiste jego położenie, upraszał króla o zwolnienie Kromera, lecz napróżno. Zygmunt August obstawał przy swym wyborze, poręczył, że kardynał przyzwoli, a na tymczasowego rządę Warmii naznaczał kanonika Walentego Kuczborskiego. Nadto przeznaczył Kromerowi miesięcznej pensyi dwieście talarów z kassy państwa, na cały przeciąg poselstwa ¹⁾. Z tych względów był zmuszonym przygotować się do podróży. Przybył dnia 1 listopada do Frauenburga dla naradzenia się z kapitułą nad urządzeniem zarządu dyecezyi i powrócił do Heilsberga oczekiwać na przyjazd swych towarzyszy. Odebrał dnia 4 listopada wiadomość od Solikowskiego, że wkrótce przybędzie do niego z Knyszyna i pragnie w jego towarzystwie odbyć dalszą podróż, a Kloczewski połączy się z nimi w Szczecinie. Spiesznie więc zajął się urządzeniem swych interesów i przygotowaniem do podróży. Dnia 14 listopada przybył Solikowski do Heilsberga i odpocząwszy nieco przy swym przyjacielu, ruszyli razem w drogę. W grudniu przybyli do Rostoku ²⁾, gdzie dowiedzieli się, że niema mowy o pokoju. Magnus książę duński przez różne chytre zabiegi pana Północy obwołany został królem Liwonii, ztąd na nowo wybuchła wojna. Posłowie polscy przekonawszy się dokładnie o wszystkiém i że pośrednictwo ich żadnego nie przyniesie pożytku, z ničem powrócili nazad do Polski.

Rok 1570.

Kromer już dnia 14 stycznia znajdował się w Szczecinie, a 31 stycznia w Heilsburgu, zmęczony i schorzały. Przeziębivszy się w drodze, ciężko zachorował i przez długi czas nie mógł wydobrzeć ³⁾. Powrót jego był prawdziwem zbawieniem dla Warmii. Najprzód dnia 13 lutego rozesłał okólnik do swych duchownych zachęcając ich do życia prawdziwie duchownego, i odzywa się w te do nich

¹⁾ List Krasińskiego do Kromera d. 9 listopada 1569 roku; tamże D. 29 fol. 47.

²⁾ Kromer pisał list z Rostoku d. 27 grudnia 1569 r. do Hozyusza; tamże D. 19 opp. 156.

³⁾ List Jerzego Ticiniusza do Kromera d. 28 marca 1570 r.; tamże D. 115 fol. 30.

słowa: „Każdy niech wpływa u siebie na poprawę nauczycieli, sług kościelnych i parafian w tém, co było wytknięte podczas ostatniej wizyty. Niech każdy wydali od siebie podejrzane kobiety, wstrzyma się od uczęszczania po karczmach i nieprzyzwoitych zabawach; nie czytaj, nie posiadaj i nie przechowuj książek heretyckich, jakie są zakazane przez św. kanony pod karą kłatwy. Pilnuj, aby ich nie było u parafian, a przeciwnie postępujących wskazuj officyałowi. Rozczytuj się pilnie w Piśmie Świętém, w dziełach Ojców kościoła i w ustawach synodalnych; podług tego prowadź swe życie, przemawiaj do ludu gorliwie i spełniaj często i kornie Najświętszą Ofiarę. Kto posiada dwa kościoły, winien mieszać w obudwóch na przemian nabożeństwo. Zamiast kazań podczas postu i Wielkanocy objaśniać ludowi pacierze, wyznanie wiary i dziesięcioro przykazania Boże. Prawić im często o ŚŚ. Sakramentach i o Ofierze Mszy Ś-ój. Każdy winien udzielać chętnie i z pokorą Sakramenta, lecz tylko swym parafianom i przybywającym z księstwa katolikom. Natrząsających się ze służby Bożej lub ze ŚŚ. Sakramentów wskazywać takowych mnie albo swemu archidyakonowi. Ekskommunikowanych weale nie rozgrzeszać, również i w wypadkach rezerwowych, wyjąwszy ludzi umierających. Do Kommunii Ś-ój dopuszczać tylko takich, którzy się spowiadali. Każdy ma utrzymywać spisy ochrzczonych i zaślubionych, napominać lud do regularnego bywania na nabożeństwach w niedziele i święta i modlić się za zdrowie kardynała, jako swego pasterza“¹⁾.

Niedługo potem wydał pod dniem 23 lutego 1570 r. sławną swą ustawę kościelną, która usuwała wszelką obojętność i nakłaniała do regularnego uczęszczania do kościołów. Mówi on w przedmowie: aczkolwiek należy uczęszczać na nabożeństwo z dobrej chęci nie z przymusu, to jednak poczytuje on sobie za obowiązek ogłosić to surowe rozporządzenie dla nakłonienia do tego gnuśnych, co dla nich będzie z pożytkiem i korzyścią. Zaleca, aby władze miejskie wpływały na starszych w bractwie, iżby ci uważali we wszystkie niedziele i święta na swoich braci, czy chodzą na nabożeństwo ze swemi żonami, służącymi i z dziećmi starszemi po lat dziesięć; zaś nad nienależącymi do bractwa przeznaczyć dwóch odpowiednich na dozorców. Ci powinni uwiadomić proboszcza po skończonem nabożeństwie i wymienić tych, co nie byli w kościele. Jeżeli nie przybył dla lenistwa, to w ciągu tygodnia musiał zapłacić stale oznaczoną karę dwa grosze i w następną niedzielę złożyć dowód proboszczowi. Jeżeli starsi z bractwa lub dozorczy nie wypełniali swych obowiązków, to płacili po pięć groszy kary, która za trzecią razą dochodziła do połowy marki. Na wsiach sołtysi byli dozorcami mając ten sam obowiązek i odpowiedzialność, jak starsi z bractwa po miastach. W każde

¹⁾ Obacz Katenbringk Miscell. Warmiens II 772—774.

dnie krzyżowe wszyscy dozorczy winni byli stawiać się przed starostą zamku albo burgrabią i w obecności proboszcza i burmistrza złożyć rachunki z pobranych kar kościelnych. Szóstą część z tego dostawali dozorczy za swą pracę, taką samą proboszcz, a cztery szóste szły na воск i inne potrzeby kościelne. Aby rozkaz ten doszedł do wiadomości wszystkich, miał być przez trzy następne niedziele lub święta publicznie ogłaszany z ambony ¹⁾. Surowo zalecił duchownym i urzędnikom zastosować się do tego rozkazu, który zdawał się pozwolić swój wpływ wywierać. Wszelkie roboty w dniu świąteczne i niedzielne surowo były zakazane pod karą, aby w całym znaczeniu je obchodzić.

Nadto Kromer za powrotem z Rostoku otrzymał pismo królewskie. Zygmunt August na sejmie lubelskim przedstawił potrzebę nowego podatku, który został nałożony i rozciągnięty na dyecezyą warmińską. W owym zaś piśmie naglił o spieszne zebranie. Była to rzecz zupełnie nowa i prawu przeciwna. Wedle przepisów prawa i przyjętego zwyczaju sejm nie mógł nakładać podatków na Prusy królewskie i na biskupstwo warmińskie bez zezwolenia ich delegatów. Jeżeli król chciał na potrzeby kraju poborów z Prus lub Warmii, to musiał doń występować prosząco. Wówczas zwoływano sejm pruski na który zjeżdżali dostojnicy, rycerstwo, szlachta i miasta. Komisarz królewski przedstawiał prośbę monarchy i namawiał do przyjęcia; poczem naradzały się stany dla wydania swój uchwały. Zgodzili się na pobór, to był prawny, jeżeli zaś nie, należało ustąpić od niego. Przytém uchwała sejmu pruskiego w niczem nie obowiązywała Warmii ²⁾, ta znowu potrzebowała przyzwolenia zjazdu dyecezyalnego. To wszystko było pominięte w obecnym wypadku. Na sejmie lubelskim nie przyzwolili na podatek ani posłowie pruscy, ani też Hozyusz kardynał, który uchylał się wyraźnie od niego, a przy odjeździe zawarował sobie, że dwór nie będzie nic wymagał od jego poddanych bez przyzwolenia jego. Ztąd Kromer odebrawszy pismo królewskie, sam w pierwszej chwili nie wiedział jak postąpić. Uważał żądanie królewskie za przeciwnie prawu; nadto istniała ogólna nędza zubożonych przez zarazę i powietrze mieszkańców, i zbyt wysokie opodatkowanie probostw i tak zagrożonych niesnaskami religijnymi. Pomimo największych chęci nie mógł tą razą dogodzić królowi. Wyrzucowawszy że dobro swych poddanych należy przełożyć nad miłość dla monarchy i dla uciśnionój ojczyzny, umyślił w tym duchu przestać swe uwagi, a król dokładnie uwiadomiony o wszystkiem, odstąpi od swego żądania. W każdym razie chwyci się prawnej drogi dla wyjednania sobie pomocy nie krzywdząc praw osób trzecich.

¹⁾ Rudnicki Constitntiones Synodorum, str. 340—350.

²⁾ Cromeri Polonia Coloniae 1578. w 4-cc, na str. 205.

W tym celu następne wygotował dnia 3 marca pismo ¹⁾ do króla: „Rozkaz W. K. M. ściągnięcia podatków skarbowych odebrałem z pokorą, lecz również i z obawą częścią dla nieprzewidzianych powodów, częścią dla łączących się z sobą trudności i niebezpieczeństw. Aczkolwiek jestem zawsze gotów spełniać chętnie rozkazy W. K. M., nie mogę jednak temu zadosyć uczynić dla nieobecności kardynała. Prusacy są nieprzychylni dla tego poboru, raz że nałożony został bez ich zezwolenia, powtóre, iż pomimo nieurodzaju w roku zeszłym złożyli podatek. Teraz przyłączyła się zaraza na bydło, a przez wojnę i wynikłe w niektórych miastach powietrze wstrzymana jest i żegluga. Najbardziej opodatkowani byli ubodzy plebani i to nawet ze szkodą religii katolickiej. Ci pobierają małą dziesięcinę: z każdego łanu po szeflu żyta i po szeflu owsa. Szefel żyta ma wartości 14 groszy. Jeżeli dadzą po 10 groszy podatku, to na ich utrzymanie nie prawie nie pozostaje. Będą głód cierpieć, z biedy rozbiegną się, a dla wielkiego braku księży i tak popada lud w coraz większą zdręczalność religijną. To ostatnie racz W. K. M. rozważyć jako pan pobożny, że upadek religijny pociąga za sobą i upadek państwa. W tak trudnych okolicznościach ściągnięcie nałożonego poboru jest niepodobne. Mamże jako obcy obłożony nienawiścią wystąpić z surowym nakazem? Niczego nie dokażę, tylko ściągnę na siebie większą zawziętość. Zwołam zjazd? ten będzie chciał tę sprawę przełożyć kardynałowi lub zjazdowi pruskiemu i wyczekiwać na odpowiedź. Mamże ich karać i fantować? Tego mi nie wolno, gdyż kardynał wydał się dla interesów królewskich. Z tych więc powodów upraszam W. K. M. wstrzymać to i poprzednio zwołać sejm pruski. Prusacy zawsze posłuszni swemu monarsze, obmyślą środki dla dogodzenia uchwale sejmowej bez ubliżenia swęj godności i bez krzywdy kościoła. Do tak śmiałego odezwania się pobudziła mnie częścią nędza poddanych, częścią moja niezachwiana wierność do tronu W. K. Mości.“

Następnego dnia napisał list do nuncjusza Wincentego Portico, odmawował mu smutny stan swoich poddanych i upraszał go aby skłonił króla do zwolnienia od podatku.

Ku jego strapieniu król przystał odmowną odpowiedź, w której z d. 10 marca oświadcza: ponieważ Prusy nie proszą o zmniejszenie podatku, ani też kardynał chociaż o nim wiedział, nie wspominał wcale o krzywdzie z tego względu dla kościołów, zatem nie cofa swego rozkazu, lecz domaga się podatków. Zmartwiony tém Kromer umyślił zwołać zjazd dla naradzenia się nad żądaniem króla i coś stanowczego uchwalić. Za porozumieniem się z kapitułą zwołał na dzień 10 kwietnia zjazd do Heilsberga, aby uchwalony na sejmie lubelskim podatek zastosować i do Warmii. Zażądał zarazem przybycia archidyakonów, którzyby poprzednio znieśli się ze swymi pleba-

¹⁾ Obaoz w archiw. bisk. A. 2, fol. 225.

nami, gdyż tyczyło się także dóbr duchownych i dziesięcin. Dla różnych przeszkód odłożony został zjazd do 19 kwietnia. W dniu oznaczonym stawili się kanonicy Jakób Zimmerman i Jan Lehman jako delegaci kapituły, przytém stan świecki i duchowny: Kromer wniósł żądanie królewskie dla narady. Całe ziemstwo stanowczo odmówiło za nim i miasta kładąc następne powody: Warmia nie jest lennością królewską, lecz papieżką, ztąd nie może być opodatkowywana; tém bardziej, że biskup mający prawo nałożyć podatek, nie głosował nań w Lublinie. Nadto złożony był królowi podatek na Ś. Marcin roku zeszłego, ztąd terazniejszy przypada zawczasie. Nader niebezpiecznym dla religii katolickiej jest okładanie podatkiem dobra kościelne, gdyż to zagraża plebanom nędzą. Przytém niepolityczny to krok osłabiać Warmię i naruszać jej swobody, gdzie grożą na kraj napacją najbliżsi sąsiedzi. Podobna uchwała była zasilnym odbiciem chwilowej niechęci i Kromer jej nie przyjął oświadczając: Stany pruskie nie przyjęły wprawdzie na sejmiku w Torunia (d. 5 kwietnia) podatku, lecz upraszały o wstrzymanie lub cofnięcie go, aż do ukończenia się sejmku warszawskiego, na który wyprawili swych delegatów i oczekiwac chcą na ich deklaracyą. Wówczas Warmia samaby pozostała i ściągnęłaby na siebie podejrzenie, że nie chce pomóc w potrzebie ojczyźnie, od której tak często potrzebuje pomocy. Tą przemową skłonił obradujących wstrzymać się, dopóki nie nadejdzie rezolucya Prusaków z sejmku warszawskiego; lecz zarazem nakazał, aby każdy należący do podatku przygotował się do złożenia go natychmiast. W końcu przyrzekł postarać się na sejmie albo o zupełne uchylenie poboru, lub o jego zmniejszenie.

Wspomnieliśmy wyżej że Hozyusz chciał tylko pośredniczyć w wyjednanu koadyutury dla Kromera i nawet przesłał formę napisania prośby. Jednak dwór polski nie zastosował się do niej i przesłał wprost listy na ręce Hozyusza, który miał osobiście złożyć stolicy apostolskiej. List królewski ¹⁾ nadszedł do Rzymu d. 15 marca i przymnożył mu nie mało kłopotu; wprawdzie podobała się Hozyuszowi treść listu oprócz tych słów na końcu: „Hozyusz obszernie to wyłoży Waszjej Świątobliwości.“ Najbardziej tém zakłopotany postanowił bez straty czasu wedle ułożonego planu rzecz całą przeprowadzić. Początkowo chciał popierać jako wyraźne żądanie królewskie, lecz zachodziła ta trudność, że Jerzy Tyczyński ajent królewski i przydany pomocnik kardynałowi był również powiernikiem kapituły warmińskiej. Przez jego ręce przechodzić musiały wszelkie prace przygotowawcze, w których więcéj mógł szkodzić jak pomagać.

¹⁾ List ten był datowany d. 20 lutego 1570 r., znajduje się w bibliotece gimnazjalnej w Brunsberdze. Obadwa listy królewskie z tejże daty pisane do papieża i kardynała Hozyusza, są wydrukowane w Bibl. Ord. Krasieńskich rok 1869, str. 288—289.

Hozyusz bijąc się z myślami i obawiając się niepomyślniej odpowiedzi dla braku zezwolenia kapituły, umyślił poufnie zasięgnąć zdania Tyczyńskiego. Nadspodzianie Tyczyński wręcz oświadczył, iż uważa za niepotrzebne zezwolenie kapituły i papież mocą swój powagi apostołskiej może naznaczyć koadyutora. Była to rzeczywiście najkrótsza i najpewniejsza droga, jednak z obawy mogących wyniknąć nieporozumień w Warmii, Hozyusz chciał wpływem papieża wymóżyć zezwolenie kapituły ¹⁾. Choroba papieża i nadchodzące święta wielkanocne odwlokły sprawę, lecz przysporzyły czasu do narady. Przedewszystkiem umyślił zwierzyć się ze wszystkiemi kardynałowi będącemu w poufałości z papieżem, i który zwykle przedstawia listy królewskie i popiera zanoszone doń prośby. Chciał do tego użyć kardynała Kommendoniego, obznajomionego ze stosunkami Polski, prąta rzadkiej wymowy i szczególnie przychylnego królowi i samemu Kromerowi. Kommendoni mu odmówił z uwagi, iż sam ma prawo przedstawić, a on poprze go silnie. Hozyusz zwrócił się do kardynała Farnese go protektora Polski w tém przekonaniu, jeżeli on przedstawi, to papież wezwawszy do narady kardynałów Truchsessa, Kommendoniego, Morona i jego samego: wszyscy bez sporu najprzychylniej oświadczą się za Kromerem. To także pewne, iż oprócz wyżej wzmiankowanych okazali się przychylnymi Hozyuszowi i inni kardynałowie jak Sabellus i Madrucci. Prawdopodobnie w maju kardynał Farnese przedstawił prośbę, a na dniu 27 maja Hozyusz miał długie posłuchanie u papieża ²⁾. Zezwolenie kapituły okazało się mniej potrzebne i byłoby rzecz opóźniło, gdyż podług konkordatu niemieckiego, a do którego odnosiła się i Warmia, kapituła w tym wypadku nie należała do wyboru biskupa. Hozyusz mianowany kardynałem ustępował z biskupstwa, które prawnie obsadzone tylko być mogło przez samego papieża ³⁾. Wprawdzie Pius IV papież zostawił przy nim zarząd dycezyi i jakby nadal był biskupem warmińskim, jednak nie ustało prawo papieskie w obsadzeniu nowego biskupa. Kto zaś miał prawo mianować biskupa, temu również służyło prawo wyboru koadyutora z prawem następstwa. Nie uważano w Rzymie za konieczne zasięgać zdania kapituły, a tém mniej żądać jej zezwolenia. Hozyusz pragnąc zabezpieczyć na przyszłość prawa kapituły warmińskiej upraszał papieża o dowód piśmienny, że przeto w niczem nie będą naruszone jej prawa, na co chętnie Pius V przystał.

¹⁾ Obacz listy Hozyusza pisane do Kromera d. 26 marca i 1 kwietnia 1570 r., w archiw. biskup. D. 19, epp. 155 i 157.

²⁾ List Jerzego Tyczyńskiego do Kromora d. 29 kwietnia i 27 maja 1570 r., w archiw. bisk. D. 115, fol. 31.

³⁾ Obacz Concordata Aschaffenburg A. 1448, w dziele E. Müncha Sammlung aller Concordata Cz. I str. 89.

Papież przekonany, że spełniając życzenia króla polskiego i kardynała Hozyusza, sprawy dyecezyi Warmińskiej wiele zyszcza na koadytoryi Kromera, wniósł ją na zebraniu konsystorza odprawioném dnia 2 czerwca 1570 roku. Chcąc uczcić zasługi Hozyusza i jego przyjaciela, papież pominął przyjęty zwyczaj wnoszenia spraw podobnych przez protektora Polski i po przeczytaniu podania przez Hozyusza ¹⁾, sam Pius V w obszernej swój mowie skreślił zgromadzonym w wymownych słowach zdolności i zasługi Kromera ²⁾ i w końcu zapytał się o ich zdanie. Kromer miał wielu przyjaciół między kardynałami, którzy z zapałem o nim mówili. Farnese, Madrucci, Sabellus, Commendon i Truchsess jeden po drugim przemawiali wynosząc zasługi męża będącego ozdobą kościoła. Jednogodnie utrzymywali, że godnie odpowie swemu powołaniu i prawdziwym będzie skarbem dla całej dyecezyi. W podobnym duchu przemawiali i inni kardynałowie ceniąc jego zasługi literackie i duchowne. Cały więc konsystorz zgodnie z wnioskiem papieża ogłosił Kromera koadytorem warmińskim z prawem następstwa. Nadto papież Pius V zażądał, iżby nowemu koadytutorowi pozostać wszelkie posiadane przez niego dochody kościelne bez ubliżenia w tém prawom kapituły warmińskiej, i nakoniec dla okazania szczególnych swych względów dla Hozyusza i Kromera ³⁾ kazał wygotować bezpłatnie bulle papieskie.

Wypadek ten wywołał wielkie zadowolenie w Rzymie. Znający zapał pasterski kardynała obawiali się, czy zechce na zawsze osiedlić się w Rzymie, jeżeli dobrze nie zabezpieczył swój owczarni. Kardynał z wielkim trudem zapobiegał wdzierającój się reformacyi, Kromera uważano wprawdzie za wybornego prałata i godnego biskupstwa, lecz nie posiadał w sobie téj siły woli i czynu w spełnianiu swój władzy. Ztąd obawiano się, aby nie wybuchnęły na nowo

¹⁾ Tyczyński je napisał, a Hozyusz poprawił; obacz list Tyczyńskiego do Kromera d. 3 czerwca 1570 roku w archiw biskup. D. 115 fol. 33.

²⁾ Wyciąg znajduje się w aktach konsystorskich Cod. Cors. 47 i tak brzmi: *Semper acerrimus exstitit fidei orthodoxae adversus haereticos propugnator verbo et scriptis etiam editis, de cujus probitate atque doctrina sua Sanctitas undequaque habet locupletissima testimonia. Unde et in illis partibus Malleus haereticorum appellatur*. Obacz Lämmer zur Kirchengeschichte des XVI und XVII Jahrhundert. Freiburg 1863 str. 138.

³⁾ Obacz listy Hozyusza do Kromera dnia 3 i 10 czerwca 1570 roku, tamże D. 19 opp. 158 i 159. Listy Tyczyńskiego do Kromera dnia 3 i 10 czerwca 1570 roku, tamże D. 115 fol. 33 i 35. Listy kardynała Ottona Truchsessa do Kromera dnia 17 czerwca 1570 roku; tamże D. 24 fol. 93. List Jędrzeja Patrycego Nideckiego do Kromera dnia 28 czerwca 1570 roku, tamże D. 10 fol. 39.

zaledwie przytłumione zamieszania i nie popsuły porządku kościelnego w dyecezyi. Hozyusz był przekonany, że Kromer podoba wszystkimu, potrafi utrzymać spokojność w dyecezyi i godnie go zastąpić. Przyjaciele jego przejęci najwyższą dlań radością pospieszyli z wynurzeniem swych życzeń kardynałowi, nowemu koadyutorowi i samęj dyecezyi ¹⁾. Najbardziej ucieszył się tém Hozyusz i następnego dnia dziękował serdecznie kardynałowi Truchsessowi za udzielone świadectwo o zasługach Kromera.

Lotem błyskawicy przybiegła wiadomość o nominacyi Kromera do Polski i do Warmii, gdzie roznaicie przyjętą była przez jego przyjaciół i nieprzyjaciół. Najprzód dowiedziano się z listów prywatnych pisanych z Rzymu i nikt nie powątpiewał, gdyż z najpewniejszego płynęła źródła. Walenty Kuczborski bawiący podówczas w Krakowie odebrał dnia 21 czerwca mnóstwo listów z Rzymu częścią pisanych do niego, częścią do Kromera, donoszących o nastąpiej w dniu 2 czerwca nominacyi. Uważał się za najpierwszego zwiastuna tój nowiny; jednak uprzedził go Jędrzej Pastrycy Nidecki również wielki przyjaciel Kromera. Dowiedział się na sejmie w Warszawie dnia 28 czerwca i natychmiast przestał tę wiadomość do Heilsberga. List jego doszedł d. 13 lipca, kiedy zaś list Kuczborskiego wraz z listami z Rzymu od Hozyusza, Tyczyńskiego, Reszki, Venturella i Erazma Działyńskiego nadszedł dopiero najjutrz ²⁾.

Kromer niezmiernie ucieszony z okazanych mu przez papieża i kardynałów dystynkcyi, które dowodziły wysokiego zaufania, jakie w nim pokładali najwyżsi dostojnicy kościoła, dodawały tém bardziej bodźca do czynnego działania. Przeświadczony jednak o czynionych przeciw niemu usiłowaniach, nie wątpił o wybuchu nowych niesnasek. Pragnął w duszy, aby kapituła okazała się przeciwną i szczerzeby jęj dziękował, gdyby go uwolniła od tój nowęj godności.

Ciągle nowe nadchodziły powinszowania, jedne serdeczniejsze od drugich, a zachęcające do nowych trudów. Kardynał Truchsess opisał mu szczegółowo całą sessyą w konsystorzu i ten zapisał papieża Piusa V z jakim popierał jego koadyutoryą; również jednogodne zdanie wszystkich kardynałów, którzy spodziewają się po uczonym i pobożnym prałacie wielkich korzyści dla kościoła war-

¹⁾ Wszystkie te powody mieszczą się w listach Zajązkowskiego, Reszki i kardynała Truchsesa pisanych do Kromera dnia 3, 4 i 17 czerwca 1570 roku; obacz w arch. biskup. D. 27 fol. 94, D. 116 fol. 3 i D. 24 fol. 93.

²⁾ List Walentego Kuczborskiego d. 21 czerwca, Hozyusz d. 3 czerwca, Tyczyński 27 maja i 3 czerwca, Reszka 4 czerwca, Venturelli d. 3 czerwca i Erazm Działyński d. 3 czerwca, wszystkie do Kromera; tamże D. 29 fol. 84, D. 19 epp. 158, D. 115 fol. 32, D. 116 fol. 3, D. 29 fol. 75.

mińskiego. W końcu przesłał życzenia dla niego i jego dyecezyi. Szybko przybiegła wiadomość i do Spiry, gdzie odbywał się sejm, na którym znajdowali się Melchior Bilia hr. Seroni nuncyusz apostolski przy dworze cesarskim, Adam Konarski biskup poznański i Łukasz Podoski posłowie polscy, wszyscy trzej wielbiciele nowego koadytora, i zaraz w czerwcu przesłali mu swe powinszowania ¹⁾. Podobne życzenia odebrał od swego przyjaciela Stanisława Kłodzińskiego z Neapolu ²⁾, i od Jana Wielickiego z Bononii ³⁾. Największa jednak liczba powinszowań znalazła się w samej Polsce; wielu było mężów wysoko ceniących Kromera, jako prawdziwą ozdobę narodu i chcących okazać mu swą przychylność. Do tych należeli: Karnkowski biskup kujawski, Walenty Kuczborski kanonik, Antoni Salertianus, Wojciech Brodziński, Walenty Rozarius i inni ⁴⁾; lecz również znaleźli się i przeciwnicy. Dzielił on zwykły los wielkich ludzi, których przy uznaniu ich zasług otacza tłum bezrozumnych, przejętych zawiścią i zazdrością, a pragnących zwalczyć swemi jadowitymi razami wymślonego oszczerstwa. Brat jego Mikołaj nie wiedział, czy mu winszować nowej godności, czy też ubolewać nad jego położeniem, znając te stosunki, które nabawiają go jeszcze tylu ciężkich zgryzot ⁵⁾. Codziennie wzrastał zastęp jego skrytych i otwartych nieprzyjaciół, tak, iż przyjaciele jego na dworze królewskim obawiali się złych skutków ⁶⁾.

Najgorzej okazało się w Warmii. Nikt nie składał powinszowań, wyjąwszy sług i urzędników i te pochodziły więcęj z konieczności swych obowiązków, jak z serca. Sama zaś kapituła gotowała się do otwartej walki. Składała się z rozmaitych żywiołów kościelnych i nie kościelnych, z gorliwych i obojętnych księży, z Polaków i Prusaków. Obojętni byli przeciwni surowemu i ściśle wypełniającemu swe obowiązki Kromerowi, z obawy iż kiedykolwiek zakłóci ich

¹⁾ List Melchiora Bilia d. 27 czerwca, list Adama Konarskiego d. 27 czerwca i Łukasza Podoskiego d. 30 czerwca do Kromera; w archiw. biskup. D. 64 fol. 36, D. 29 fol. 93, D. 23 fol. 123.

²⁾ List Kłodzińskiego do Kromera d. 9 czerwca; tamże D. 73 fol. 14.

³⁾ List Wielickiego do Kromera d. 26 czerwca; tamże D. 29 fol. 88: powinszowanie to wygląda więcęj na panegiryk wynoszący zasługi i zdolności Kromera.

⁴⁾ Wszystkie te listy znajdują się w archiw. bisk. D. 29, fol. 98—106.

⁵⁾ Mikołaj w liście do brata z d. 19 lipca pisze w te słowa: „Non deorunt tibi, mi frater, curae, sollicitudines, molestiae et variae ac graves difficultates.“

⁶⁾ List Jędrzeja Nideckiego do Kromera, z Warszawy d. 28 października, tamże D. 29, fol. 125.

błogą spokojność. Prusacy zaś nie chcieli Polaka. Dwojaki miał rodzaj swych przeciwników stawających z różnych powodów do walki. Nadto szczególnym zbiegiem okoliczności, najważniejsi członkowie kapituły nie mieszkali w Frauenburgu, przeto nie mogli udzielać swych rad Kromerowi, usuwać przykrości i zapobiegać porywczym pomysłom. Mniejszość w kapitule rozważniej traktująca te sprawy nie chciała narażać się większości. Mikołaj Koss ¹⁾ proboszcz kapituły i zdolny prałat, będąc sekretarzem królewskim przebywał na dworze i w niczem nie mógł dopomagać koadyutorowi. Eckhard von Kempen dziekan był otwartym nieprzyjacielem Kromera, sam od dawna ubiegał się o mitrę warmińską wszelkich ku temu próbując środków ²⁾. Eustachy Knobelsdorf kustosz, rodowity warmińczyk, jako dziekan przemieszkował w Wrocławiu i chociaż sprzyjał Kromerowi, mało mu bywał pomocnym ³⁾. Między kanonikami najprzychylniejsi mu byli: Walenty Kuczborski mieszkający w Krakowie i Jan Grodziecki osiadły w Brnie (Brünn), z kąd ich głosy nie dochodziły do Frauenburga. Niektórzy z członków kapituły zamieszkałych w Warmii jak dwaj bracia Kacper i Jan Hannow ⁴⁾, Jan Rosenberg i Samson Worein byli mu cichaczem przychylni i dla szczupłej swój liczby zostawali w ukryciu, aby przez otwarte wystąpienie nie podejrzewali ich Polacy o zdradę niemiecką i za złych obrońców swobód ojczystych. Bartłomiej Plemieński, Jakób Zimmerman, Jan Lehman i Michał Konarski pod przewodnictwem dziekana jako chwilowego prezesa głównymi byli przeciwnikami koadyutora, a będąc w większości narzucali swe zdanie innym.

Kromer znając to nieprzychylnie usposobienie kapituły wywołujące różne spory, nie mógł jechać na sejm i wysłał tylko ostatnich dni czerwca do Warszawy sekretarza swego Wojciecha Sperlinga z listem do króla, w którym upraszał go o zniesienie lub o zmniejsze-

¹⁾ Był proboszczem od 1564 r. do 1605 r. i tegoż roku umarł, obacz *Zeitschrift für Erinland* T. III str. 322.

²⁾ Wspomina o tém Kuczborski w liście do Kromera z d. 22 czerwca, w archiw. bisk. D. 29, fol. 85, zarzucając mu nawet świętokupstwo. Podobnie pisze Grodziecki d. 19 lipca do Kromera, tamże Ab. 2, fol. 5. Nie dla tego ubiega się aby czuwał nad owczarnią Chrystusową, lecz żeby ją strzygł i obdzierał.

³⁾ Był kustoszem od 1552 do 1571 r. i w tym roku umarł, obacz *Zeitschrift für Erinland* T. III str. 540.

⁴⁾ Obacz ich listy z powinszowaniami do Kromera pisane, tamże D. 29, fol. 84 i 85. Także Mikołaj Kromer pisze d. 19 lipca do swego brata: „Grodocius videtur magnam voluptatem percipisse ex tua hac nova dignitate.“ Zaś o Hannowach tak pisze: „Hannovios nostros esse gaudeo“ tamże D. 33, fol. 152.

nie podatku. Przytem dał mu osobne zlecenia do swych przyjaciół na dworze będących, również aby przyłożyli starania jeżeli nie o wstrzymanie całego podatku, to przynajmniej o jego zwłokę i o uwolnienie od niego dóbr duchownych i plebanów; w końcu żeby poborca był urzędnikiem warmińskim ¹⁾. Nie wiele utargowano, król w swój odpowiedzi domagał się zebrania podatków, zwolnił tylko od niego dobra duchowne i plebanów, a na poborcę wyznaczył wójta biskupiego, z uwagi że Warmia nie należy do województwa malborskiego ²⁾.

Nieświadomy jak dalej działać, zasięgnął rady kapituły, aby zgodnie z nią postąpić. Pragnął zadosyć uczynić woli królewskiej, rozpisał rozkład podatków i takowe zebrawszy odesłał do Warszawy na żądanie podkanclerzego Krasińskiego. Szło mu o podanie pomocy ojczyźnie, bez oburzenia swych poddanych, gdyż sam domagał się uszanowania dla prawa i postępowania drogą słuszności.

Wiadomość o jego nominacji przyszła tylko drogą prywatną, lecz aż nadto była pewną. Kromer początkowo bił się z myślami, czy powinien zaraz uwiadomić o tém kapitułę dla zabezpieczenia swój nowej godności od niektórych wykrętów, lub też wstrzymać do odebrania bulli papieżkich. W tej niepewności zwrócił się o radę do przychylnego sobie kanonika Kacpra Hannowa, będąc pewny, że najlepší go objaśni o usposobieniu kanoników, gdyż nadeszło do Frauenburga zawiadomienie od kardynała o koadyutorii ³⁾. Hannow w przykrém znalazł się położeniu. Pragnął z nikim nie zadzierać, trzymać się drogi pośredniej i obustronnie schlebiać. Nader zęcznie ją odpowiadać nie tytułując Kromera koadytorem, tylko wikarym, i radził mu nie rozgłaszać o swojej nowej godności, dopóki nienadejdą bulle papieżkie, tak bowiem postanowiła czekać i kapituła. Powinien zaś tak się postawić, jakby się zdawało że spełnia we wszystkim wolę papieżką, do której więcej z dobrowolnego poddania się, jak ubiegania o nową godność. Kromer usłuchał jego dobrej rady, szło mu bowiem o utrwalenie swój władzy i o wywieranie ile możności dobrego wpływu, dając do zrozumienia że nie przybył do Warmii dla chciwości i ambicyi, lecz z rozkazu papieża i króla, dwóch najwyższych władców na ziemi, których słuchać jest obowiązkiem każdego pasterza. Okazywał on czynem i słowem, iż stosownie do woli pa-

¹⁾ Poborcą do tego podatku w Warmii był naznaczony urzędnik z województwa malborskiego, obacz w archiw. bisk. A. 2, fol. 230.

²⁾ List Wojciecha Sperlinga do Kromera d. 18 lipca 1570 r., tamże D. 29, fol. 103. Zdaje się że kardynał Hozyusz listem swym z d. 13 maja dosyć energicznym, skłonił króla do zwolnienia duchownych od tego podatku; tamże D. 66, fol. 29.

³⁾ Nadeszło d. 29 lipca 1570 r., obacz Eichhorn Cardinal Hosius II 386.

pieza przyjął urząd koadytora, czém stawił kapitule wzorowy przykład zupełnej uległości nadanej przez Boga władzy, licząc na to, że rozsądniejsi naśladować go będą, a mniej rozważni poczują, z czasem swój obowiązek. Stosunek jego z kapitułą był zawsze drażliwy i wywołujący nieміte starcie. Kapituła pod pewnym względem duchownym i świeckim była po większej części niezawisłe obok biskupa stojącą korporacją. Duchownie stanowiła niezawisły pod pewnemi prawami senat, w świeckim była nieograniczoną, gdyż sama zarządzała trzema okręgami Frauenburga, Mehlsacku i Allensteinu. Ztąd Warmia była państwkiem złożoném z dwóch części z właściwemi sobie rządami, a stosunek obudwóch władz do siebie bywał zwykle sporny.

Warmia była podzielona na okręgi, które zarządzali częścią burgrabiowie, częścią starostowie zamków. Mieszczanstwem po miastach zarządzał magistrat, na czele którego byli burmistrzowie; Brunsberga miała takich trzech, inne miasta po dwóch, a Bischofsburg jednego. Najważniejszy urząd spełniał sędzia ziemski, który był sędzią najwyższym w sprawach cywilnych i kryminalnych. Dwa razy do roku objeżdżał wszystkie miasta w dyecezyi dla odbywania niższych sądów. W sprawach cywilnych wolno było odwołać się do sądu biskupa, lecz w kryminalnych nigdy. Wyjąwszy szlachty zwykle biskup rozsądzał i w sprawach cywilnych. Miał swoje własne wojsko i był naczelnym dowódcą wojsk podczas wojny: zastępował go zwykle jeden z najzdolniejszych starostów. Ekonom zarządzał gospodarstwem, zaopatrywał spiżarnię biskupa i odbierał dochody, kanclerz był pomocnikiem biskupa w sądach i miał całą kancelaryą pod sobą ¹⁾. Aczkolwiek biskupstwo było małe, potrzebowało jednak dla porządku odpowiedniej liczby urzędników. Głównie więc zważał na zdolności każdego i pilnie baczył na akuratność w urzędowaniu. W obudwóch razach działał z rozsądkiem i powagą, a z uwielbieniem dla postronnych. Podatki były małe i od dawnych czasów uregulowane. Wypadła potrzeba nakazań nowe, to zwoływano zjazd, na nim przedstawiane były powody i zapadała uchwała. Biskup z kapitułą oznaczali czas i miejsce, Kapituła posyłała nań swoich delegatów i zwykle biskup przewodniczył na zebraniu odbywaném w Heilsbergu. Do delegatów kapituły należało przedstawiać projekta pod naradę i ogłaszać decyzyc. Byli powoływani na zjazd szlachta, mieszczanie i ludzie wolni ²⁾, także ziemianie wraz z sołtysami.

¹⁾ obacz Katenbringk: Miscell, warmiens. II 697.

²⁾ Wolnymi nazywali się ludzie pewnej klasy stanowiącej przejście między szlachtą a gminem, którzy wcale nie odrabiali pańszczyzny, tylko ponosili pewne nadzwyczajne ciężary; obacz Cromeri Polonia 1578. Colouia 4-o str. 206.

Każda z tych klas posyłała najmniej po dwóch posłów z jednego okręgu. Taka to była ówczesna administracya dyecezyi. Szczęśliwym trafem miał dobrych urzędników. Sędzią ziemskim był Krzysztof Troschke i zarazem starostą grodzkim w Seeburgu od 1561 do 1589 roku ¹⁾. Ekonomem był Jan Hatten pasierb starego Jana Hozysza, niewniżej człowiek uczciwy. Burgrabiowie i starostowie owi byli to powiększej części ludzie wierni, wielce pomocni w zarządzie krajowym. Kromer utrzymywał ich w wielkiej karności swą niezłomną czynnością. Codziennie po odprawieniu mszy Ś., którą zwykle sam odprawiał lub słuchał jej, udzielał publiczne posłuchanie swym poddanym, przychodzącym do niego z prośbami. Zarówno odbierał od nich prośby, jak i skargi. Jeżeli one były przeciw urzędnikom, to surowo karał winnych bez uwagi na osobę ²⁾. Dla wszystkich służył za przykład swą bezstronną sprawiedliwością, wszędzie okazywał się więcej ojcem jak władzcą i pragnął wznowić owe odwieczne znane rządy patryarchalne.

Kromer mimo uciążliwych spraw krajowych nie ustawał w pracy dla swego duchowieństwa, któremu brakowało ksiązek najpotrzebniejszych pod rękę. Przekonany z doświadczenia, jaką przynieść mogą korzyść nauki katechizmowe, tłumaczone ciągle ludowi dla utwierdzenia go w zasadach religijnych, i gdy przy tak niskim wykształceniu duchownych, mała ich tylko część była zdolna miewać podobne nauki a większa część potrzebowała koniecznie jakiegoś przewodnika, Kromer postanowił sam ułożyć katechezę i wygotował ją w zimie 1570 r. Stanisław Karnkowski biskup kujawski zaprowadził podobną w swęj dyecezyi. Tenże mało co przedtęm wydał po polsku niektóre napomnienia, jak się mają proboszczowie i inni księża zachować przy udzielaniu Ś. Sakramentów ludowi. Karnkowski upraszał Kromera, aby przejrzał jego dziełko i poprawił. Kromer uznał je za nieodpowiednie w zwykłych wypadkach, i ułożył oddzielne, krótsze dopełniające układ Karnkowskiego. W przemowie do swęj katechezy oddaje wielkie pochwały Karnkowskiemu jako dobremu kapłanowi, dbałemu o dobro i naukę swych proboszczów, który wydał dla nich po polsku niektóre napomnienia o administrowaniu Sakramentów; Kromer zaś przydał do nich o Mszy ś. i pogrzebach, które uważał za najważniejsze jako przez lud płatne. Za przykładem Ś. Cyrylla z Jerozolimy ułożył je w kształcie dwunastu rozmów, z których dziesięć traktuje o Św. Sakramentach, jedenasta o ofierze Mszy Ś., a dwunasta o egzekwiach. Wydał ją w trzech językach: polskim, łacińskim i niemieckim dla łatwiejszego zrozumienia przez duchownych i przez świeckich, którzyby czytać chcieli. Były wydruko-

¹⁾ W tym roku złożył urząd i osiadł w swych dobrach. Po nim został Michał Prouck, obacz w archiw. biskup. A. 5 fol. 78.

²⁾ Obacz Leon historia Prussiae str. 471.

wane u Mikołaja Scharffenberga w Krakowie. Skoro pokazały się w handlu, rozerwano je z chciwością, znalazłszy treść i formę odpowiednią i dogodną. Kromer przesłał duchowieństwu z rozkazem, aby wykładali je ludowi w dniach oznaczonych na końcu przedmowy. Wykład tych rozmów tak się okazał praktycznym, iż wielu z biskupów zaprowadziło je po swoich dyecezyach, o czém przekonywamy się z listów różnych biskupów jak Protaszewicza, Karnkowskiego, Konarskiego i t. p., pisanych z podziękowaniem Kromerowi za tak użyteczną dla duchowieństwa katechezę.

Nadspodzianie nowe otrzymał zlecenie od króla. Pół roku upłynęło od chwili jego powrotu z Rostoku i wojna przez ten czas znakomite wywarła zniszczenia. Wojujące mocarstwa styrane trudami i wzajemnemi krzywdami bez widoku zwycięstwa skłaniały się znowu ku zgodzie i zezwalały na pośrednictwo Cesarza i Francyi. Zjazd był naznaczony na dzień 1 lipca 1570 r. do Szczecina, na który prócz Szwecyi i Danii wyprawili swych posłów cesarz niemiecki, król francuzki i kurfiąrszt saski. Jan III król zaprosił także swego szwagra ¹⁾ Zygmunta Augusta, który tą razą czterech wyprawił: Marcina Kromera, Jana Dymitra Solikowskiego, Stefana Lejsza i Justa Claudiusza ²⁾. Chociaż Kromer jako świeżo mianowany koadyutor mógł wymówić się najstuszniej od tego poselstwa, jednak wiedział że nie zdoła się uwolnić, gdyż głównie rachowano na jego niezmierną zabiegłość i zręczność w doprowadzeniu stron do zawarcia pokoju. Przed wyjazdem swym pojechał do Frauenburga dla dania kapitulę przykładu, że pragnie się z nią pożegnać. Mocno obruszeni kanonicy świeżo odebranem pismem Hozyusza, niechętnie go przyjęli i odgrażali się uporczywie bronić swych praw przeciw koadyutorowi. Kromer z całą powagą i godnością wysłuchał ich zażaleń i najspokojniej im oświadczył: iż najserdeczniej podziękuje swym konfratrom, jeżeli postarają się usunąć go od tego urzędu, gdyż podobne wrzawy nie rokują błogich dlań owoców, lecz tylko same troski, kłopoty i zmartwienia ³⁾. Tak pożegnał się z nimi, wmuszając w nich to poczucie nakazujące głębokie dla takiego męża poszanowanie. Objęcie nowego urzędu odłożone było do jego powrotu, gdyż nie nadeszły

¹⁾ Posel szwedzki przybył około 5-go Jana 1570 r. do Warszawy z zaprosinami. Obacz list Solikowskiego do Kromera dnia 27 czerwca 1570 r.; tamże d. 29 fol. 94.

²⁾ Tak są wymienieni w liście podkanclerzowego Krasińskiego do Kromera d. 21 października 1570 r.; tamże D. 29 fol. 117.

³⁾ Kapituła warmińska w liście do Hozyusza d. 28 września, obacz literae Cardin. Hosii ad principes p. 168, w bibliotece gimnazjalnej w Brunsberdze i list Hozyusza do Kromera d. 16 września w archiw. biskup. D. 19 epp. 161, z których okazuje się, że kapituła zbyt gorąco, a Kromer zaś spokojnie i rozsądnie postępował.

jeszcze bulle papieżkie. Kromer zaraz wyjechał i w końcu sierpnia stanął w Szczecinie ¹⁾.

Nie przybył jeszcze zapóźno. Wprawdzie rozpoczął się kongress dnia 1 lipca, jednak mało postąpił dla różnorodnych przeszkód. Nie przyjęto najprzód upoważnień posłów szwedzkich, należało postarać się o ich zmianę. Przymiennie tak silnie pokrzyżowały się interesa mocarstw, że Kromer w pierwszej chwili zwątpił o zawarciu pokoju. Nadto wojna ciągle wrzała i ta najwięcej szkodziła układom, gdyż za najmniejszym zwycięstwem strona podnosiła o tyle swe żądania, o ile upatrywała w niem swych korzyści. W końcu Litwonia była kością niezgody i cesarz bowiem wywodził do niej swe prawa. To wszystko zbyt utrudniało ułożenie warunków, przymiennie ciągnęła korespondencya z dworem cesarskim zabrała wiele czasu ²⁾ i przeto traktowanie stało w miejscu. Przy takim stanie rzeczy tak roznamiętniły się strony ostremi przymówkami na posiedzeniach, iż zdawało się że kongres spełźnie na niczém. Stanowczy jednak nacisk pośredniczących mocarstw, znużonych niewyczerpaną gadanią, które uroczyście oświadczyły: że jeżeli strony nie pojedną się dobrowolnie, to są gotowe z bronią w ręku przymusić ich do pokoju, i oni przy téj obstawie będą, która okaże się najskłonniejszą do traktowania. To najwięcej pomogło. Uspokoili się strony, ustąpiły od swych przesadzonych wymagań i przystały na podane sobie warunki. Ułożone w 22 artykułach podpisane zostały dnia 13 grudnia w Szczecinie ³⁾. Prawdopodobnie koadyutor warmiński największe położył w tém zasługi. Traktowania odbywały się sekretnie, ztąd nieznanne są ani jego mowy ani rady podawane na kongresie; jednak z wielu listów pisywanych do niego doczytać się można, że głównie uważano go za twórcę pokoju i tylko swym rozumem pojednął najzawziętszych na siebie królów ⁴⁾. Dorozumiewamy się przymiennie, że owa stanowcza decyzja pośredniczących mocarstw nastąpiła z jego porady. To tylko wiadomo, że w listopadzie prowadził najżywszą korespondencyę nie tylko z dworem polskim, lecz i z Łukaszem Po-

¹⁾ Kromer pisał już dnia 1 września list do Reszki będącego w Rzymie, w archiw. biskup. D. 116 fol. 21.

²⁾ Obacz odnoszące się do tego listy Łukasza Podoskiego, wówczas posła polskiego na dworzec cesarski, do Kromera i do kommisarzy królewskich w Szczecinie, tamże D. 23 fol. 124 i 129.

³⁾ Obacz Friedrich Raumer *Geschichte Europas III* 218. *Dalin Gesch. Schweden Thl. III Bd. II s. 15.*

⁴⁾ Obacz listy Macioja Drzewickiego i Walentego Kuczborskiego do Kromera, dnia 7 stycznia 1571 r., w archiw. biskup. D. 30 fol. 1 i 3 i listy Pawła Zajączkowskiego do Kromera dnia 3 i 17 lutego 1571 r.; tamże D. 27 fol. 38 i 39.

doskim posłem polskim, będącym podówczas na sejmie Spirskim, a przez niego i z cesarzem niemieckim ¹⁾). Uszczęśliwiony z zawarcia pokoju, obrócił drogę ze Szczecina na Poznań do Warszawy dla złożenia królowi relacyi o przebiegu traktowań.

Teraz wróćmy się do owych bulli papieżkich potwierdzających Kromera na koadyutori. Wygotowanie ich trwało bardzo długo pomimo starań wielu przyjaciół. Dla usunięcia wszelkich sprzeczności tak musiały być ułożone, iż nietykając treści i formy miały niezachwianą zasadę w wykonaniu. Przymót papież polecił tak napisać, jak je Hozyusz uzna za dobre, aby czegoś nie opuścić. Z tego powodu kancelarya papieżka musiała znosić się z Hozyuszem, która nawykła do ulubionego swego sposobu pisania, upierała się stanowczo przy przyjętych przez siebie formach ²⁾). Wynikło nieporozumienie w pojmowaniu rzeczy. Dla usunięcia niby zaprzysiężonego, a łączącego się z przyzwoleniem kapituły artykułu co do naznaczenia koadytora, Jerzy Tyczyński chciał tak określić, że w obecnym wypadku nie ścieśniał w niczem praw kapituły. Hozyusz uważał to za zbyt cne, gdyż podobnego artykułu nie zaprzysięgał. Dla dalszego zaś wniosku wspomnieć tylko wyjątkowo o owém ścieśnieniu i wyjaśnić, że papież mianując go kardynałem, odsunął chwilowo od dotychczasowych obowiązków biskupstwa Warmińskiego; lecz powierzył mu na nowo zarząd tegoż i z tego względu służy Stolicy Apostolskiej w obecnym razie prawo obsadzenia. Przez podobne omówienie z łaskawością nastąpiła zgoda na ułożoną formę prawną w bullach ³⁾). Nową zwłokę wywołał tytuł biskupi. Dla spełniania obowiązków biskupa należało Kromerowi nadać tytuł. Na wniosek Tyczyńskiego papież chciał go mianować biskupem Chryzopolitańskim in partibus infidelium; Hozyusz zaś nie chciał nazwy azyatyckiej, tylko czysto pruskiej i upraszał o nadanie mu tytułu pomezkańskiego, z warunkiem jednak dopóki nie będzie przyzwolenia Zygmunta Augusta i Kromera ⁴⁾). Papież chętnie przystał i oświadczył, że koadyutor musi koniecznie być biskupem dla pełnej władzy w zarządzie. Pius V doniósł listownie dnia 16 czerwca królowi polskiemu o potwierdzeniu wyboru Kromera na koadytora Warmińskiego i czy przystaje na nadanie mu tytułu biskupa pomezkańskiego ⁵⁾). Hozyusz zaś w liście z dnia 10 czerwca

¹⁾ List Hozyusza do Kromera d. 25 grudnia 1570 r.; tamże D. 19 opp. 152; list Łukasza Podoskiego do Kromera d. 30 listopada, tamże D. 23 fol. 129.

²⁾ List Hozyusza do Kromera dnia 26 września; tamże D. 19 opp. 162, właśnie o to uskarża się.

³⁾ Jerzy Tyczyński w listach do Kromera z dnia 17 i 24 czerwca w archiw. biskup. D. 115 fol. 37. Reszka do Kromera w listach d. 24 czerwca, 1 i 15 lipca; tamże D. 116 fol. 6—8.

⁴⁾ List Hozyusza do Kromera d. 10 czerwca; tamże D. 19 opp. 159.

⁵⁾ Theiner Monumenta Poloniae II str. 746 i 7.

do Kromera pisał o układach z papieżem i zarazem namawiał do przyjęcia godności biskupiej i proponowanego przez ten tytuł. Nadspodzianie plan ten napotkał przeszkody. Dwór polski obawiał się osobiście aby biskup katolicki nie wywołał nowych rozruchów między protestantami pruskimi, przezco znacznie pogorszył i tak zawikłane położenie kraju. Król zaś wstydząc się podobną wymówkę przedstawić stolicy apostolskiej, zamilkł i puścił rzecz w odwołkę. Także i Kromer był temu przeciwny, nie chcąc owym tytułem obruszyć mocniej na siebie prusaków i nosić tytułu biskupa takiej dyccezy, w którejby nie mieszkał, ani też nie mógł mieszkać dla braku kościoła, mieszkania biskupa i dóbr stołowych. Myśl ta jako zgodna z życzeniem dworu, skłoniła kardynała do porzucenia jej na zawsze ¹⁾. Zakłopotany Hozyusz nadspodzianą odmową swego przyjaciela, obawiał się wyrzutów ze strony papieża, że swym niepraktycznym planem znacznie wszystko opóźnił i postawił niewłaściwą przeszkodę, gdyż koadyutor Warmiński zostaje zarazem i biskupem. Umyślił raz jeszcze napisać list do Kromera. W liście swym z dniem 16 września tak mówi: „Nie pojmuję dla czego nie zgadzasz się na ten tytuł. Koadyutor winien być biskupem nie tylko dla posiadania praw jurydykcyi, lecz dla samego porządku. Wprawdzie pierwsze może spełniać i wikaryusz generalny, do czego nie trzeba i koadyutora. Cóż za powód do odmowy? czy obawa sąsiadów? Wszakże królewska część pomezanii prawie przez lat 20 miała swego administratora, dla czegożby nie mogła mieć biskupa? Co zaś do zamieszkiwania w swęj dyccezy, to sobór trydencki nie obowiązuje wcale do tego biskupów honorowych.“ W końcu dodał Hozyusz, jeżeli król nie przystaje na ten tytuł, to gotów mu odstąpić Barten i Hockerland i kontentować się samą Warmią, byle tylko Kromer był prawdziwym, a nie tytularnym biskupem. Kromer obstawał przy swoim, nie chciał pomnażać sobie liczby nieprzyjaciół i przysparzać kłopotów dla koadyutora i wolał tak pozostać pomimo niedogodności, jakie się wytwarzały ciągle dla braku biskupa w dyccezy ²⁾. Hozyusz w nadziei, że dwór polski zgodzi się w końcu na tytuł biskupa, wstrzymał wygotowanie bulli, aczkolwiek papież w początkach sierpnia podpisał sam projekt ³⁾. Gdy po upływie pewnego czasu dwór polski nie odpowiadał,

¹⁾ Kromer zgadzał się zupełnie z życzeniem dworu polskiego. Obacz list podkancl. Kraszińskiego do Kromera dnia 2 sierpnia w archiw. biskup. D. 29 fol. 107, gdzie pisze: „titulum quod non acceptavit R. D. V. probo.“ List Hozyusza do Kromera d. 16 września 1570 r.; tamże D. 19 opp. 161.

²⁾ Uskarżano się najbardziej w Warmii o niemożność wyświęcania księży. Hozyusz w liście do Kromera z dnia 3 grudnia 1570 r. i z d. 20 stycznia 1571 r.; tamże D. 19 opp. 167 i 169.

³⁾ List Tyczyńskiego do Kromera d. 5 sierpnia 1570 r. tamże D. 115 fol. 52.

a Kromer nie zgadzał się w swych listach na ów projekt; postanowiono i tak rzecz załatwić. W końcu września wygotowane bulle były oddane Jędrzejowi Nideckiemu sekretarzowi królewskiemu dla doręczenia takowych Kromerowi.

Nadeszły wreszcie do Warmii, lecz jaki wpływ wywrą, trudno było odgadnąć. Sam papież miał to na uwadze, gdy w osobnych swych listach do Uchańskiego arcybiskupa gnieźnieńskiego i do Karnkowskiego biskupa kujawskiego zalecał obronę ¹⁾. Najbardziej był niespokojny Hozyusz i obawiał się aby spory z kapitułą nie wywarły złych skutków na dyecezyą. Unikając tego, przedstawił poufnie kapitule że wzburzone początkowo umysły uspokoją się z czasem i o wiele względniejszymi będą z nadejściem bulli papieżkich. Czego spodziewał się z pewnością, miarkując po tém, że kanonicy mimo oporu uznali go administratorem i na wiosnę 1570 r. otrzymał tytuł wikarego. Kapituła jeżeli mu dała tytuł oddawna przez cały świat przyznany, to nie chciała go uznać za koadyutora i sposobita się do walki zawziętej. Wiemy do czego przyszło w Frauenburgu przy jego odjeździe do Szczecina. Tylko pełne godności znalezienie się jego zjednało mu przychylność niektórych i wnet wybuchła ostra korespondencya Hozyusza z kapitułą, głównie o niby to zaprzysiężony przez kardynała artykuł, i tak się wzburzyło wszystko, że nie było mowy o zgodzie we Frauenburgu ²⁾.

Nie lepiej było i w samej Polsce. Kromer miał wielu zawistnych, którzy częścią tajemnie, częścią otwarcie wystąpili przeciw niemu i starali się wszelkimi sposobami mu dokuczać ³⁾. Silnego i niebezpiecznego przeciwnika miał Kromer w Filipie Padniewskim biskupie krakowskim. Kromer będąc kustoszem kapituły krakowskiej opuścił samowolnie dyecezyą bez pozwolenia biskupa i objął zarząd w Warmii. Obrażony tém biskup chciał go ukarać odebraniem mu wszelkich duchownych dochodów w swój dyecezyi. Nadto Kromer dotknął go w swych listach nieznacznie i ztąd wyrodziła się zawiść. Papież wyraźnie zastrzegł dla nowego koadyutora używanie posiadanych przez niego dotąd prebend, czém przeszkodził biskupowi Padniewskiemu do wykonania swych zamiarów. Tém bardziej rozdrażniony pragnął otwarcie wystąpić na sejmie przeciw koadyutorowi Kromera, i w jakibądź sposób takową zwalić. Nuncyusz znając tęgość charakteru biskupa, obawiał się żeby rzeczywiście nie zaszkodził tém swoim wystąpieniem na sejmie i upraszał papieża o listowne skarcenie zawistnego Kromerowi nieprzyjaciela. Wnet papież

¹⁾ List Kuczborskiego do Kromera d. 6 października, w archiw. biskup. D. 29 fol. 113.

²⁾ Eichhorn Cardinal Hosius II 386.

³⁾ List Stanisława Reszki do Kromera d. 5 lipca; tamże D. 111 fol. 7.

przystał wyraźny rozkaz ¹⁾ biskupowi Padniewskiemu, wyjaśniający jego wolę i odtąd biskup zaprzestał wszczynać sporów o koadyutoryą, czém pociągnął i nieprzyjaciół Kromera do milczenia.

Przyjaciele Kromera jakimi byli: Wincenty Portico nuncyusz apostolski, Adam Konarski biskup poznański, Franciszek Krasiński podkanclerzy koronny i Jędrzej Patrycy Nidecki sekretarz królewski ²⁾, zapobiegali grożącym zewsząd intrygom. Uwiadomili kardynała Hozyusza o wzrastających codziennie niesnaskach i sam król uwodzony przez zauszników, nabiera innego o Kromerze przekonania, czemu zdrową tylko radą zapobiedz można. Przerażony kardynał umyślił wpłynąć swém zdaniem na rozdwojone umysły. Napisał list dnia 14 października do podkanclerzego koronnego, w nim przypomniał mu zawarte w maju 1569 roku układy, ubolewając tylko, że nie chciano wtedy usłuchać jego rady przez zniesienie się z kapitułą warmińską i domagał się obecnie jak najrychlej doprowadzić do skutku koadyutoryą. Nawet dostrzega, że i król tak gorąco popierający nominacyą Kromera, podbechtywany teraz przez złych ludzi, może zezwolić na jój upadek, nim do celu dojdzie ³⁾.

Wszelkie te nieprzyjazne usiłowania wielce trapiły samego Kromera i nieraz żałował, że przyjął na siebie tę godność. W liście dnia 6 listopada do Karnkowskiego biskupa pisze: poczytywałbym się za najszcześniejszego, gdybym mógł żyć w ukryciu, a tak karcić się muszę samą zgryzotą ⁴⁾. Także kardynałowi Hozyuszowi dawał do zrozumienia, że wolałby w najciaśniejszym ukryć się kącie, niż cierpieć takie upokorzenie. Hozyusz pocieszał go i uprzedzał, że te małe chmury zasępiające horyzont jego szczęścia, wkrótce przeminą i wnet zabłyśnie on w całym blasku ⁵⁾.

W trakcie tego nadeszły i bulle papieżkie, które odebrał Nidecki sekretarz królewski, dnia 20 października w Warszawie. Ucieszony chciał je natychmiast przesłać Kromerowi dla umorzenia tlejących się intryg. Zgadzał się na to i podkanclerzy, tylko zaszło pytanie, czy odesłać je do Warmii, czy do Szczecina. Przyzwany do narady nuncyusz doradzał wstrzymać się z przesłaniem, uważał za niebezpieczne odsyłać je do Warmii dla braku zaufanych przy-

¹⁾ List Nideckiego do Kromera d. 5 marca 1571 r.; tamże D. 30 fol. 15.

²⁾ Obacz listy tychże osób pisane w październiku do Kromera, w archiw. biskup. D. 29 fol. 118—125.

³⁾ List Hozyusza do Kromera, tamże D. 19 opp. 163.

⁴⁾ Karnkowski epistolae illustr. vir. L. I opp. 63.

⁵⁾ Tak pisze Hozyusz w liście dnia 6 stycznia 1571 roku: De tempestate in te coorta pridom fuit ad me perscriptum. Sed ego nunquam ita te pusillo animo esse putavi, ut ab ea tibi tantopere metueres deque fuga cogitares. Bono sis animo. Tamże D. 19 opp. 168.

jaciół. Nadto nastęrczyłyby się sposobność kapitule do uknućia nowych planów. Tegoż samego zdania był i podkanclerzy, do którego przychylił się i Nidecki, a w liście pisanym dnia 20 października do Kromera, radził mu po ukończeniu swego poselstwa w Szczecinie przybyć do Warszawy. Tu złożyć osobiście królowi relację z poselstwa, odebrać bulle i listy papieżkie, a przytem naradzić się jakich użyć kroków przy objęciu nowego urzędu ¹⁾.

Rok 1571.

Na początku tego roku przybył Kromer szczęśliwie do Warszawy. Wyświadczone dla kraju usługi wywołały powszechne uwielbienie. Król przyjął go nader łaskawie. Na udzieloném posuchaniu zdał relację ze swego poselstwa i tak sobie umiał zjednać swych przeciwników, iż wielu z nich zostało jego przyjaciółmi ²⁾. Niedługo bawiąc, już w połowie stycznia zabrawszy z sobą bulle papieżkie wyjechał do Warmii, aby wystąpić stanowczo jako koadyutor. Z tym nowym tytułem podpisał się na wszystkich świadectwach i przesłał pod dniem 15 lutego podziękowanie papieżowi za nomiucyą wraz z wyznaniem wiary, jakie złożył przed nuncyuszem w Warszawie. W liście swym wyraził, że wyniesienie swe na koadytora warmińskiego poczytywałby za najwyższy dowód łaski, gdyby tylko zawiść i niechęć wielu nie były przykrzejsze nad odniesioną chwałę. Do najgorętszej poczuwa się wdzięczności, że Wasza Świętobliwość okazała się tak skłonną do życzenia królewskiego. Raczył bowiem sam sprawę jego na konsystorzu przedstawić i wygotować bezpłatnie pomienione bulle; co najbardziej świadczy o jego prawdziwie ojcowskiem dlań dobrodziejstwie i przyrzeka na zawsze pozostać wiernym i posłusznym Stolicy Apostolskiej ³⁾. Jednocześnie pisał Kromer do kardynała Michała Bonellus synowca papieżkiego, że wolałby uwolnić się od koadytoryi, jak zawiadywać nią w tak burzliwych czasach. Jednak gdy mu powierzają, ufny w miłosierdzie Boże przyjmuje je i wdzięczny Ojcu Św. za wyświadczoną dlań łaskę. Kardynałowi zaś dziękuje za wstawiennictwo do papieża.

Najtrudniejszą obecnie sprawą było wręczenie bulli papieżkiej kapitule i instalacya na koadytora. Dla przeperarcia oporu kapi-

¹⁾ List ten jest w archiw. biskup. D. 29 fol. 125.

²⁾ Obacz listy Pawła Zajączkowskiego, Kuczborskiego i Tyczyńskiego pisane w lutym do Kromera, w archiw. biskup. D. 27 fol. 39, D. 30 fol. 8 i D. 115 fol. 76.

³⁾ Odpis tego listu znajduje się w Katenbringka Miscell. Warmiens. II p. 758. Odpowiedź zaś papieża z dnia 2 maja 1571 roku umieszczona u Theinera Monum. veter. Polon. II p. 760.

tuły należało użyć całej zręczności władzy świeckiej i duchownej. Papież ze swój strony polecił nuncyuszowi znajdować się na tej uroczystości ¹⁾, i szło tylko o wyszukanie jakiego rozsądnego a je-drznego męża na komissarza królewskiego.

Oddawna przemyślał podkanclerzy kogoby wybrać i propo-nował Jana Kostkę kasztelana gdańskiego. Zażądano opinii koadyutora i Nidecki sekretarz królewski zapytywał go się listownie, czy przystaje na Kostkę, a wraże przeciwnym o wskazanie zdolniejszego. Kromer nie spieszył się z odpowiedzią, uważając że da-leko jeszcze do aktu i odniósł się w tym względzie z zapytaniem do Hozyusza. Tenże nie pochwałał wyboru Kostki, któryby wołał wi-dzieć swego brata Piotra ²⁾ koadyutorem warmińskim, i może przez-to niedołącznie wykonać zlecenie. Wskutek tego na przedstawienie Kromera naznaczony został Jan Dymitr Solikowski, mąż znany ze swój sprężystości i rozumu. Dlaczego Wincenty Portico nuncyusz papieżki nie pojechał do Warmii mimo rozkazu papieża, niewiado-mo: sam tylko Solikowski był wysłany do Heilsberga. Tu miał na-radzić się z Kromerem i w towarzystwie jego delegatów jechać do Frauenburga, złożyć mandat królewski i być obecnym przy wręcze-niu listów papieżkich kapitule. Stosownie do instrukcyi miał oświad-czyć: że J. K. M. potrzebując na dłużej pozostawić kardynała w Rzymie, czuł się w obowiązku dla dobra dyecezyi pomyśleć o za-stępce i wybrać koadyutora z prawem następstwa. Za najgodniej-szego uznał Marcina Kromera męża znaego ze swój nauki, rozumu i pobożności, zasłużonego przez odprawienie tylu poselstw na dworach cesarzy i królów, uważanego przez pisma swe jako ozdobę na-rodu, gruntownego znawcę wszelkich spraw pruskich, jak niemniej biegłego w rzeczach krajowych, w prawie cywilnym i kościelnym, któremu mało jest równych, a nikt go nie przewyższa. Król upa-trzywszy w tym mężu prawdziwy skarb dla kościoła warmińskiego, skłonił go do przyjęcia koadyutury, a za zezwoleniem kardynała przedstawiony papieżowi, tenże z największym uwielbieniem ogłosił go na konsystorzu koadyutorem. Co najwyżsi dostojnicy już posta-nowili, tego kapituła nie odwoła nie mając zasady do odrzucenia. Chociaż Kromer nie jest rodowitym prusakiem, lecz przez tyloletnie zajmowanie się interesami pruskimi, tak się z nimi oswoił i wżył, iż poczytałby go można za prusaka. Znajdujące się wyrażenie w przywilejach urodzony, nie może Polakom tamować przystępu do urzędów w Prusach, kiedy również wszelkie urzęda w Polsce stoją otworem dla Prusaków. W końcu miał wymódz na kapitule posłuszeństwo, a w razie oporu zagrozić niełaską papieża i króla.

¹⁾ List Hozyusza do Kromera d. 20 stycznia, w archiw. biskup. D. 19 opp. 169.

²⁾ Został potem biskupem chełmińskim.

Solikowski po otrzymaniu owój instrukcyi i ustnych zleceń od króla opuścił Warszawę pierwszych dni lutego ¹⁾ i wprost podążył do Heilsberga, opatrzonej na drogę życzeniami całego dworu i nuncyusza apostolskiego w nadziei, że przeprowadzi wszystko szczęśliwie. Rozmówiwszy się dokładnie z Kromerem ułożyli jakim porządkiem wykonać dane zlecenie, i Solikowski pojechał z dwoma delegatami do Frauenburga. Sam Kromer pozostał w Brunsberdze, oczekując na przebieg całej sprawy. Dnia 19 lutego rozpoczęły się układy. Solikowski w obszernój swój mowie wyłuszczył cel swego poselstwa i zarazem wezwał delegatów Kromera do wręczenia kapitule listów papieżkich. Poczém ciż odeszli i dalsze układy prowadził sam komissarz. Dziekan Eckhard v. Kempen jako przewodniczący w kapitule odpowiedział na mowę posła i upraszał nietylko o czas do namysłu, lecz i o doręczenie jój rozkazu królewskiego i instrukcyi. Gdy Solikowski nie wszystko przedstawił jój jeszcze, zachowawszy niektóre zlecenia na później, obiecał doręczyć wtedy jak otrzyma odpowiedź kapituły na listy papieżkie. Poczém oddalił się przeprowadzony przez dwóch najmłodszych kanoników do mieszkania. Przy obiedzie trwającym aż do samego wieczora głucho było o całej sprawie. Solikowski zmiarkował po odpowiedzi dziekana i niecierpliwienu się kanoników, że przyjdzie do dość zwawych sporów, co i pokazało się w dniu następnym. Kapituła długo naradzała się przed południem nad udzieleniem odpowiedzi, a częste zadawane pytania sekretarzowi koadytora Wojciechowi Sperlingowi przekonywały o ważności zdania ²⁾. W południe dziekan dawał wielki obiad. Przed obiadem wszczęła się poważna rozmowa między Solikowskim a Janem Lehmanem kanonikiem, który chciał omamić i wywieść w pole Solikowskiego. Prawił mu o wielkim niedładzie istniejącym w dyecezyi: Solikowski na razie dostrzegłszy chytry jego wybieg, skierował rozmowę do głównego przedmiotu i od niego już nie zbaczał. Lehmann dotknął praw kościoła, wspominał o obietnicy królewskiej danój przy obiorze Hozyusza, i o przyrzeczeniu ówczesnego komissarza Boratyńskiego, z czego wywnioskował iż w ten sposób prawa ich upadną, a wolny wybór zostanie czczém mą-
midłem.

¹⁾ Jakie król dał mu zlecenie, wypisane jest wyraźnie w liście Nideckiego z dnia 3 lutego do Kromera. Listy, które Kromer odebrał przez niego od Nideckiego, Krasieńskiego, i Wincentego Portico są datowane dnia 3, 8 i 5 lutego i znajdują się w archiw. biskup. D. 30 fol., 6 i 11 D. 64 fol. 37.

²⁾ List Solikowskiego do Kromera dnia 20 lutego, tamże D. 30, fol. 12.

W końcu dodał, że papież głównie przyczynił się do tego, zamiast słusniejszą wskazać drogę. Solikowski odpowiadał mu obojętnie, lecz gdy uparcie obstawał przy swoim, z całą odrzekł mu powagą: tak łaskawego oświadczenia królewskiego lekce ważyć nie należy, a sama myśl złych czasów trwających niesnasek i zawikłań do większych doprowadzi kłopotów. Daremny ich opór i tylko im samym szkodliwy. Papież i król nie odwołają tego co postanowili, a Kromer pozostanie koadytorem pomimo ich zezwolenia. Na tém rozmowa się przerwała odłożona na później. Po obiedzie Lehmann odszedł, a zbliżyli się doń dwaj kanonicy pozornie przychylniejsi Kromerowi. Jeden z nich rozmawiał, a drugi się przysłuchiwał. Mówił dosyć przychylnie o Kromerze i że obawia się dla niego złych skutków z powodu koadytury, przyczém ostrzegwał, iż kapituła chce całą sprawę wnieść na sejm pruski i wówczas przyjąć, jeżeli się na nim zgodzą. Solikowski tłumaczył im, że powinni być zadowolnieni z Kromera jako z prawdziwego obrońcy ich swobód; na co odpowiedzieli, iż Kromer postępuje wszędzie za ostro i tém sobie zniechęca ludzi.

Następnego dnia zebrali się znowu kanonicy w kapitule, a Solikowski pozostał w mieszkaniu i postanowił nie dać się podejść, wymódz w jak najkrótszym czasie stanowczą odpowiedź i wręcz zapytał się kapituły, czy zechcą spełnić wolę królewską lub nie ¹⁾; kapituła po trzygodzinnéj naradzie objawiła swe zdanie Solikowskiemu i upraszała o radę. On odparłszy ich zarzuty radził im uznać Kromera. Rozprawiano wiele za i przeciw koadytury: z jednej strony mieli na względzie uszanowanie dla papieża, króla i kardynała, jako też przymioty i zdolności Kromera rokujące wielką pomyślność dla Warmii. Z drugiej zaś strony wyliczano przyjęty pod przysięgą obowiązek kanoników strzeżenia swobód kościoła, stosowanie się do dawnego prawa o wolnym obiorze biskupa, przytém odwoływano się do konkordatów niemieckich obowiązujących Warmię jeszcze przed poddaniem się Polsce i do synodu piotrkowskiego. Nadto przypominali o przedstawieniu czterech kandydatów przez króla, o liście Zygmunta I do biskupa Maurycego Ferbera, w którym odradzał mu przybranie sobie koadytora, również ów przywilój krajowy, iż tylko krajowcy mogą ubiegać się o tę godność, także o niechęciach Stanów pruskich i że uznanie koadytora zawisło od ogólnej zgody kapituły. Solikowski odpowiadał na wszystko z kolei, wspomniiał o zapewnieniu ich swobód przez papieża i króla, doręczył im swą instrukcyę, będąc pewny przychylnéj odpowiedzi; lecz zawiódł się i kapituła zażądała czterotygodniowej zwłoki do namysłu. Obrażony tém Solikowski odparł dosyć ostrym tonem: uważam to za proste ze mnie żarty i macie mnie za niezdolnego i niepojmującego swego stanowiska. Przerażeni ka-

¹⁾ List Solikowskiego do Kromera d. 21 lutego, w archiw. bisk. D. 9, fol. 67.

nonicy wyszli do drugiej izby i po krótkiej z sobą naradzie upraszali go, aby sam oznaczył termin na udzielenie stanowczej odpowiedzi, gdyż chcą wyprawić delegatów do Brunsbergi dla porozumienia się z Kromerem i okazywali wszelką łatwość zgody pod pewnymi warunkami ¹⁾. Solikowski oznaczył termin na dzień 2 marca.

W dniu tym zebrana kapituła dziękując Jego K. Mości za ojcowską nad nimi opiekę, uważa wybór Kromera jako męża zdolnego za trafny; jednak uprasza o najłaskawsze przebaczenie i nim go uzna, pragnie poprzednio wysłać swych delegatów do króla dla zapewnienia swych praw i swobód i poddać pod rozagę, aby się nic przeciwnego dla kościoła nie stało. Niezadowolniony tą odpowiedzią Solikowski wręcz oświadczył, że żądana zwłoka i zapowiadane do króla poselstwo żadnego nie przyniosą pożytku. Nie zdołają bowiem wyjednać innej nad tę odpowiedź i żąda od nich bezwarunkowego przyjęcia koadytora. Znowu kanonicy poczęli radzić jakby się wykręcić z tak krytycznego położenia; udawali, że ulegają komisarzowi, to zastaniali się prawem indygenatu, to chęcią wysłania delegatów do Kromera, lecz wszystkie ich wybiegi były bezskuteczne ²⁾. Solikowski coraz groźniej nastawał, uważał każdą zwłokę za bezzasadną, gdy swobody Warmii są poręczone przez papieża i króla, ztąd jasny był dowód prostej niechęci kapituły. Na tém skończyły się układy i komisarz powrócił do Warszawy.

Dwór królewski wcale nie spodziewał się takiego wypadku, gdyż nie powątpiewał, ani też nie przypuszczał, żeby kapituła w Frauenburgu oparła się roporządzeniom najwyższej władzy duchownej i świeckiej, tém bardziej, że prawo obsadzenia stolicy biskupiej w Warmii i naznaczenie koadytora należało tą razą do papieża, a kapitule nie służyło nawet prawo do współdziałania. Jeżeli pierwszy mianował koadytora, to ostatnia nie mogła odrzucać. W obecnym wypadku gdy przedstawiony przez króla polskiego został wyniesiony do tej godności, to niczém nie ścieśniał praw kapituły. Pominięte wyniesienie nie było zrobione ani na zasadzie synodu piotrkowskiego, ani praw pruskich, które nie obowiązują papieża; lecz nastąpiło wprost na zasadzie służącego mu prawa obioru i nie było powodu do skargi na króla. Ta jedna tylko uwaga mogła niepokoić kapitułę, aby się to nie zamieniło na przyszłość w zasadę uchylającą swobodom Warmii. Spodziewano się tylko po czynionych próbach, jakich wybuchów namiętności i sporów bezzasadnych, które mógł Kromer natychmiast usunąć nadaną mu władzą przez papieża i nieposłuszną kapitułę obłożyć karami kościelnymi. Z tych to względów dwór nie wątpił o szczęśliwém spełnieniu poselstwa przez Solikowskiego, licząc na znaną oddawna zrzeczność i rozsądek ko-

¹⁾ List Solikowskiego do Kromera d. 22 lutego, w archiw. bisk. D. 30, fol. 13.

²⁾ List Solikowskiego do Kromera d. 2 marca; tamże D. 30, fol. 14.

misarza i koadytora ¹⁾. Tém większe wywołał oburzenie niepomysłny powrót Solikowskiego.

Pytanie, dlaczego koadytorya prawnie ułożona nie została zaraz ogłoszoną, na to prosta nasuwała się odpowiedź: iż kapituła nie chciała się dać przekonać o naturalnym stanie rzeczy, a swym uporem okazywać niby jakąś powagę. Gdyby papieżowi nie służyło prawo obsadzenia wakującego biskupstwa w Warmii, to nie mógłby nominować i koadytora. Następnie król naznaczył rodowitego Polaka: było to wprawdzie naruszenie praw krajowych, lecz najbardziej obawiano się aby nowy koadyutor nie pomagał do coraz większych uchyleń w prawie przez sprowadzenie polskich urzędników, którzyby w krótkce zamienili w jedność i zatarli rodowość niemiecką. Kapituła uważała to sobie za obowiązkowe bronić się od podobnego nacisku i spodziewała się przy pomocy licznych nieprzyjaciół Kromera na dworze królewskim nieochybnie odnieść zwycięstwo ²⁾.

Solikowski spełnił z całą godnością obowiązki komisarza królewskiego, lecz nie miał pod ręką żadnej władzy wykonawczej; przekonany więc, że ani swą wymową ani przedstawianemi dowodami nie przeprze ich zawziętości, odjechał; Kromer zaś przeciwnie, pomimo udzielonej mu przez papieża władzy, wahał się niebezzasadnie użyć na swą korzyść kar kościelnych. Nie chciał być sam z sobą w sprzeczności objawiając przed pół rokiem kapitule, że najchętniej jęj podziękuje, jeżeli zdoła go uwolnić od obowiązków koadytora. Z tych powodów najrozsądniej postępując wolał trzymać rękę w zanadru i przyglądać się spokojnie toczącój o niego walce: walczącymi jak wiadomo byli po jednej stronie papież i król, po drugiej sama kapituła. Kromer doradzał nuncyuszowi śmiało wystąpić jako przedstawicielowi Stolicy apostolskiej, w czém poprze go dwór królewski. Mimo nieuczynania przez kapitułę urzędownic znoszono się z koadytorem; wprawdzie brakowało formy, lecz nie tamowało spełniania jego obowiązków.

Wiadomość o niepomyślném poselstwie Solikowskiego powszechne wywołała nieukontentowanie i rozmaicie tłumaczone przez obcych. Jedni dostrzegali w tém chęć dokuczenia kardynałowi Hozyuszowi i niejakięj nienawiści przeciwko Polakom ³⁾; inni ubole-

¹⁾ Połno nadzici są listy Nideckiego sekretarza królewskiego i Rosariusza do Kromera, z d. 5 i 8 marca, w archiw. bisk. D. 30, fol. 15 i 17.

²⁾ Żo kapituła rachowała bardzo na pomoc wielu osób przy dworze, pokazuje się to z listu podkanclerzego Krasińskiego do Kromera, z dnia 19 marca (w archiw. bisk. D. 30, fol. 26); wydrukowany w Bibl. Ord. Krasińskich rok 1870, str. 325—327.

³⁾ List Roszki do Kromera d. 20 kwietnia, w archiw. biskup. D. 121, fol. 147.

wali nad kapitułą, że bez najmniejszej zasady opiera się najwyższym dostojnikom władzy, przezco może utracić prawo obioru biskupa ¹⁾, i nie przewiduje następstw z powodu wynikłej niezgody ²⁾. Kromer jako przedmiot sporu znajdował się w fałszywem położeniu, jednak postanowił działać do końca z rozwagą i umiarkowaniem ³⁾. Nie obstawał przy swój installacji dla uniknienia rozdziału w kapitule, uważał tylko za konieczne pomijać możliwe przeszkody, a wszędzie dawać dowody swój nowej władzy, opierając się na powołaniu papieżkiem ⁴⁾. W tój myśli jako koadyutor wydał d. 9 marca list pasterski do duchowieństwa ⁵⁾ swój dyccezyi i z żarliwości swój przydał doń niektóre słowa napomnienia: „Podobało się Bogu, iż mianowany zostałem acz niezaskuzenie koadytorem warmińskim, na żądanie króla, za zgodą papieża, kardynała i jednogłośnego wyroku całego konsystorza św. Czuję się więc w obowiązku was moi bracia napominać, abyście wiernie i pilnie wypełniali swój urząd, wiedli do dobrego wasze gromady nauką, przykładem i chętnem udzielaniem Sakramentów. Unikajcie profanacyi, nie oddawajcie się próżniactwu i szczerze zajmujcie się brewiarzem, czczeniem Pisma Św. i Ojców kościoła. Nie czytajcie ksiąg podejrzanych lub zakazanych i również wpływajcie na lud bądź z ambony, bądź z konfesyonała, aby podobnych nie sprowadzali książek. Winnicie spełniać ofiarę Mszy Św. i Sakramenta z pokorą i nauczać lud jak się ma przy nich zachowywać. Chcąc wam dopomódz wydałem dwanaście katechez i takowe wam rozeszłę. Odczytujcie je i wykładajcie w dnie naznaczone w przedmowie pisma. Najprzód wyspowiadać i dopiero rozgrzeszonemu udzielać komunią pod postacią Ciała Pańskiego. Ci co nie komunikują się na Wielkanoc, przedstawiać mi listę takowych. Zresztą staraj się tak żyć, żebyś swój postępowaniem nie niszczył tego, co pragniesz słowem swoim zbudować. Unikaj gier, hulanki i ohydnych związków z kobietami. Módlcie się za kardynała naszego pasterza.“

1) List Walontego Kuczborskiego do Kromera d. 26 marca; tamże D. 30, fol. 27. W nim mówi: że i inne kościoły polskie nie mniej miały pewno swobody, a papież odebrał kapitulom prawo obioru, a nadał takowe królom; z czego wnosi, że karząc ich upór, tak samo postąpi i z kapitułą warmińską.

2) List Adama Konarskiego biskupa do Kromera d. 25 maja; tamże D. 30, fol. 31.

3) List Jędrzeja Nideckiego, d. 19 marca do Kromera; tamże D. 30, fol. 31.

4) List Mikołaja Kromera; d. 30 kwietnia do brata; tamże D. 33, f. 5.

5) Odpis tego listu pasterskiego jest u Katoubringka, Miscell. Warmien. II. 774—777.

Znowu d. 2 kwietnia wydał nowy ogólnik i w nim przepisy do jednakowego odbywania spowiedzi i postępowania w mieszanych językowo parafiach. Proboszczowie nie powinni (podczas Wielkiej nocy) słuchać spowiedzi obcych parafian, także nie rozgrzeszać bez upoważnienia z rezerwatów papieskich i biskupich, a jawnych pokutników odsyłać przed Wielkim Czwartkiem do oficyna zamieszkałego we Frauenburgu. W parafiach mieszanych tych ludzi, których języka proboszcz nie rozumie, odsyłać do nauczyciela szkoły lub zakrystyana i on ma odmawiać z nimi pacierze co pewien przeciąg czasu. Na końcu okólnika przydane są rezerваты papieskie i biskupie ¹⁾.

Dwór królewski uczuł się ciężko dotknięty niepowodzeniem koadytorji, gdyż na tém cierpiała powaga państwa i poszanowanie dla monarchy. Na razie postanowił okazać swą władzę kapitule, a Kromera pochwalił za taktowne jego postępowanie i działanie jako koadytora, że nie użył kar kościelnych. Nuncyusz zażądał w odpisie bulli papieżkiej, która groziła cenzurą nieposłusznój kapitule, aby w razie koniecznym wystosować do niej napomnienie, nadto przygotować się na wystuchanie przybyć mającej deputacyi i téj wyraźną udzielić odpowiedź ²⁾. Tak samo postanowił zrobić i podkanclerzy koronny, będąc pewny niezachwianej woli królewskiej, tém więcéj, że i pomoc nieprzyjaciół Kromera o wiele osłabła, jak sądzili o niej kanonicy w Frauenburgu.

Obecne położenie kapituły warmińskiej nie było do pozazdrosczenia; naraz stanęła w sporze z koadytorem, kardynałem, królem i papieżem. Z uwagi niechęci do Polaków mogła kapituła mało zważać na przychylność dwóch pierwszych, lecz nie powinna była oburzać króla i papieża, jako najwyższych władzców mogących zmusić do posłuszeństwa. Przy spokojnej rozwadze kapituła byłaby poznała swój nierozsądek i przychyliłaby się do zgody; lecz właśnie brakło jej rozważenia i przestąpiła granice umiarkowania i rozsądku, wystawiając na zgubę własną cześć i dobro kościoła. Aczkolwiek przewidywała swój upadek, jednak dla zjednania sobie stronników odwołała się kapituła do narodowych uczuć Stanów pruskich i napisała list urzędowy błagając o pomoc we własnej sprawie. Mniemała bowiem przy pomocy Stanów pruskich i nieprzyjaciół Kromera, iż za wniesieniem téj sprawy na najbliższy sejm, nieomylnie takową wygrać. O usiłowaniach kapituły wiedzieli wszyscy. Solikowski i Kromer wcześniej uprzedzili o wszystkim dwór królewski i nuncyusza apostolskiego dla spiesznego obmyślenia środków w poskromieniu na razie intryg. Kromer działając z umiarkowaniem, unikał wszelkiego podejrzenia by na siebie nie ściągnać. Krasziński podkanclerzy przyrzekał zasło-

¹⁾ Obacz Katenbringk Miscell. Warmien. II. str. 777—780.

²⁾ List nunc. apost. do Kromera d. 13 marca; w arch. bisk. D. 64, f. 38.

nić króla od zbytnej skwapliwości za przybyciem poselstwa z kapituły ¹⁾). Wyglądano na ich przybycie, a Kromer upraszał o przyjęcie posłów dla wyraźnego określenia pismem królewskim praw obioru biskupa i indygenatu pruskiego. Kapituła nie myślała wysłać poselstwa do króla, tylko ociągała się ze wszystkiem do sejmu. Kromer patrzący na to zblizka, doniósł o tém podkanclerzemu i dla przeszkodzenia temu doradzał albo przystać im palet karny, lub zawezwać przed sąd królewski. Dwór przystawał na to i miał tak postąpić. Tymczasem kapituła, jak Kromer przewidywał, nie myślała wyprawić posłów do króla, tylko zbierała sobie przychylnych na sejmiku pruskim. Tam uradzono aby odszukać listu królewskiego pisanego do kapituły przy obiorze Hozyusza, w którym przyrzekał nietykalność indygenatu, a kardynał zrzekał się obioru koadyutora. Podanie do króla podpisało: trzech wojewodów chełmiński, malborski i pomorski i także podkomorzy pomorski na dniu 10 maja podczas pogrzebu ks. Żeliszawskiego biskupa chełmińskiego, oraz listy do Hozyusza i do nuncjusza apostolskiego ²⁾, w których gorzkie wywodzili skargi za zgwałcenie ich swobód przez narzucenie koadyutora Polaka. Jednocześnie kapituła wyprawiła do króla kanoników Samsona Worejna i Bartłomieja Plemieńskiego dla odwołania rzeczonej koadytorii. Wedle danej im instrukcyi mieli popierać prawo obioru biskupa z uchwałą synodu piotrkowskiego i obietnicami króla czynionymi przy promocyi Hozyusza; nadto wyrazić swe zdziwienie, że kardynał mimo przysięgi naznaczył koadyutora bez zezwolenia kapituły w osobie Kromera. Samemu królowi poddać pod rozwagę, że utraci wpływ wszelki na obiór biskupa w Warmii, jeżeli papież rości sobie prawo do obsadzania stolicy biskupiej przez wyniesienie Hozyusza do godności kardynała. Tym sposobem może wielu biskupów porobić kardynałami ze szkodą państwa i kapituł, i przywłaszczyć sobie na zawsze prawo nominacyi. W końcu zagrozić, iż gdy Prusaków odsuwają od godności biskupiej, to nikt z możniejszej młodzieży nie wstąpi do stanu duchownego ³⁾, przez co religia katolicka upadnie w Warmii, a owładnie nią protestantyzm.

Przemądrzałe działanie kapituły liczącej na swych popleczników w nader fałszywem postawiło ją położeniu. Nuncyusz apostolski nadesłany mu list od pruskich wojewodów uznał za podrobiony

¹⁾ List Krasińskiego do Kromera d. 19 marca; tamże D. 30, fol. 26.

²⁾ Obacz Katonbringka Miscell. Warmien. T. II str. 93—109.

³⁾ Kapituła warmińska liczyła między sobą pięciu synów z mieszozan gdańskich, jak: Eokharda v. Kompen, Jana Lehmana, Jakóba Zimmermana, Kacpra i Jana Hannowów, którzy także mieli szczerę ochotę osiąść mitrę biskupią.

we Frauenburgu i zaraz chwycił się ostrzejszych środków ¹⁾. Oddawna o tém przemyślał, lecz ciężką złożony chorobą nie mógł działać; obecnie uwiadomił o wszystkim króla, podkanclerzego, papieża i Hozyusza ²⁾. W myśl tego król nie odpowiedział na list wojewodów ³⁾. Nikt nie zważał na poselstwo kapituły do króla, które jasno przekonało się o niepodobieństwie swój wygranój.

Dwór koniecznie pragnął załatwić tę sprawę przed sejmem, tylko wahał się w wyborze środków i nie chciał pierwszy zaczynać. Nuncyusz dla swój choroby zwlekał, a podkanclerzy obawiał się stanowczych środków, aby król nie popsuł swą łagodnością. Tak upłynęło kilka tygodni, a Nidecki sekretarz królewski nalegał o wezwaniu kapituły ⁴⁾. Podkanclerzy zaś obawiał się oporu wezwanych i za najwłaściwsze uważał wymierzenie kar kościelnych przez nuncyusza lub Kromera ⁵⁾. Kromer dla wiadomych powodów nie chciał występować. Im dłużej się ociągano, tém dwór królewski coraz bardziej się niepokoił i słuszuie przewidywał gwałtowne z tego względu wybuchy na sejmie, jeżeli nie załatwi przedtém téj sprawy. Nalegano na koadytora, aby niebawem jął się do wymierzenia kar kościelnych, strasząc go że swą obojętnością wywoła burzliwe krzyki na nadchodzącym sejmie ⁶⁾; lecz Kromer nie usłuchał. Nareszcie wyzdrowiał nuncyusz i niezwłocznie zajął się tą sprawą, będąc do tego zmuszony i śmiercią Knobelsdorfa kustosa warmińskiego. Obsadzenie wakującej kanonii przypadło w miesiącu przynależnym wspólnie biskupowi i kapitule. Obiór jego mógł nastąpić tylko pod prezydencją biskupa, a w obecnym razie jego koadytora. Nuncyusz obawiając się samowładnego działania kapituły, posłał jój napomnienie, iżby obiór nowego kanonika nastąpił tylko pod przewodnictwem koadytora, jeżeli pragnie uniknąć kar kościelnych za postąpienie przeciw prawu. Nadto przysłanego od kapituły w końcu czerwca swego sekretarza Macieja Hejna przyjął najnięgrzeczniej i wręcz mu oświadczył, że wtędy będzie kapitule dozwolony rekurs do papieża, jak się okaże posłuszną i uzna Kromera za koadytora. W przeciwnym razie jest

¹⁾ List Solikowskiego do Hozyusza d. 5 czerwca, w archiw. biskup. D. 30 fol. 42.

²⁾ List nuncyusza do Kromera dnia 3 czerwca, w archiw. biskup. D. 73 fol. 55.

³⁾ List Krasieńskiego do Kromera d. 26 czerwca, tamże D. 30 fol. 50.

⁴⁾ List Nideckiego do Kromera d. 1 czerwca, tamże D. 30 fol. 35.

⁵⁾ List Krasieńskiego do Kromera d. 1 czerwca, (tamże D. 30 fol. 37) jest wydrukowany w Bibl. Ord. Krasieńskich rok 1871 str. 57 i 8, i list Nideckiego do Kromera d. 11 czerwca, tamże D. 63 fol. 23.

⁶⁾ Listy Nideckiego do Kromera d. 26 czerwca i 6 lipca i list Krasieńskiego d. 26 czerwca do Kromera, tamże D. 30 fol. 49.

upoważniony przez papieża zmusić ją cenzurą kościelną do posłuszeństwa i wszelki przełamać opór ¹⁾. Temi słowy odprawiwszy d. 6 lipca sekretarza Hejna, napisał jednocześnie list do Kromera. W nim poleca mu jechać do Frauenburga, przedstawić kapitule breve papieżkie grożące karami kościelnymi i zażądać uznania swój koadyutary. Jeżeli nie pomogą środki łagodne, to użyć ostrzejszych. Dla pozyskania zaś władzy cywilnej namówił króla do niezwłocznego poparcia téj sprawy, gdyż na tém cierpi jego powaga w oczach papieża i kardynałów. Podobnie przemawiał i podkanclerzy. Nareszcie monarcha ²⁾ podpisał rozkaz do kapituły nakazujący natychmiastowe uznanie koadyutora.

Kapituła przeczuwając wiszącą nad sobą burzę postanowiła na zebraniu swém dnia 20 lipca uznać koadyutora, tylko pragnęła otrzymać poręczenie królewskie, że na przyszłość swobody jój nadwergżone nie będą. Wybrani oddawna kanonicy Samson Worejn i Bartłomiej Plemieński jako delegaci pojechali do Warszawy dla przedstawienia żądań kapituły królowi i nuncyuszowi apostołskiemu, a temi było uznanie koadyutora pod warunkiem prawnego z ich strony poręczenia swobód kapituły ³⁾. Tu nie chciano słyszeć o żadnych warunkach i nuncyusz wręcz oświadczył, iż najostrzejszych użyje środków, jeżeli o jakąkolwiek łaskę domagać się będą u króla. Kapituła widząc się zmuszona do uległości uznała w początkach sierpnia Kromera swym koadytorem, o czém urzędownie zawiadomiła króla przez swych posłów będących w Warszawie, którzy jeszcze prosili króla o akt poręczenia. Zygmunt August rozgniewany odprawił posłów z pogardą ⁴⁾ odsyłając ich do sejmu, a tak, jak zmocy z niczém powrócili do domu.

Najwięcej ucieszył się tém kardynał Hozyusz, a liczni wielbiciele Kromera dziękowali Bogu za ustaloną spokojność w jego kłopotach.

Zawiązało się jakieś traktowanie o artykuły, które Kromer wien był zaprzysiądz przed installacją. Oddawna było zwyczajem.

¹⁾ Wówczas odebrał breve papieżkie, w którym polecane było skłonić kapitułę do uznania Kromera rzuceniem klątwy, lub téż skazaniem na rekolekcyo. Datowane w Rzymie d. 16 ozerwoa 1571 r. i znajduje się w archiwum kapituły C. I. fol. 172.

²⁾ List nuncyusza Portico do Kromera d. 6 lipca i list Krasieńskiego do Kromera d. 7 lipca, w archiw. biskup. D. 30 fol. 55 i 56.

³⁾ Pokazuje się to z listów nuncyusza i Samsona Worejna pisanych w sierpniu do Kromera, tamże D. 30 fol. 65 i D. 23 fol. 10.

⁴⁾ Listy Zygmunta Augusta pisane dnia 15 sierpnia z Warszawy do Kromera i do kapituły i listy podkanclerzego Krasieńskiego pisane tegoż dnia do Kromera i kapituły są wydrukowane w Bibl. Ord. Krasieńskich rok 1871 str. 143 do 147.

że każdy kanonik przed każdym obiorem biskupa obowiązany był, w razie wybrania go przysiąc na podane warunki, które tyczyły się zarządu dyecezyi i zachowania pewnego między biskupem a kapitułą stosunku. Również zażądała kapituła i od nowego koadyutora. Kromer bądź to że uznał niektóre z nich za chytne, a prawie wszystkie za ubliżające, bądź to, że kapituła najmniej była upoważniona żądać coś podobnego, gdy on swą koadyutoryą zawdzięczał papieżowi; w ogóle zaś poczytywał za niewłaściwe, aby podwładni nakładali hamulec swemu przyszłemu naczelnikowi, odmówił przysięgi i otwarcie wypowiedział powody delegatom kapituły. Upokorzeni kanonicy pragnęli koniecznie tę sprawę załatwić i wysłali znowu Macieja Hejna sekretarza z najmożliwszymi wnioskami do ułożenia jakiejś takiej umowy ¹⁾. Kromer porobiwszy zmiany w podanych mu artykułach przyrzekł takowe zaprzysiąc i podpisać w dniu swój instalacji. Artykuły te były:

1) Wszystkie prawa i zwyczaje kościoła Warmińskiego zachowywać, i ustanowiona tylko z konieczności przez większość kapituły uchwała, może go zwolnić od tego.

2) Nikomu nie sprzedawać, ani zastawiać, ani téż rozdarowywać dóbr, dzierżaw i dochodów kościoła, nikomu nie wydzierżawiać takowych ze szkodą i z uciążeniem poddanych, bez narady i przyzwolenia kapituły.

3) Powierzony mu inwentarz w Heilsbergu przechowywać w całości.

4) Bronić siłą granic biskupstwa.

5) Obchodzić się z kapitułą dobrotliwie i po ojcowsku, wyjąwszy w razach gdzie wedle praw kościoła użyć należy zwykłej władzy. Obsadzenie zaś w więzieniu tylko za zezwoleniem kapituły.

6) Przy wyborze prałatów lub kanoników wedle przyjętego zwyczaju mieć głos jeden i ten naprzód podać.

7) Wypowiadać wojnę lub zawierać pokój tylko za naradą i przyzwoleniem kapituły.

8) Żadnych nie nakładać podatków na poddanych bez uzyskania na to konsensu kapituły.

9) Na ekonomów, urzędników, wójta, dozorców i starostów zamkowych, przedstawiać tylko katolików i urodzonych prusaków, zaś żadnych obcych bez zezwolenia kapituły.

10) Podług dawnego zwyczaju składać dwie trzecie części na budowę katedry.

11) Za każdym opuszczeniem granic Prus, winien mianować zastępcę za zgodą kapituły.

¹⁾ Tak przynajmniej wnioskuje o tych artykułach Hozyusz w liście do Kromera z dnia 8 września i 13 października 1571 r., w archiw. biskup. D. 19 epp. 173 i 174.

12) Nie ustępować biskupstwa dla przypodobania się komuś i nie naznaczać koadyutora bez zgody większości kapituły ¹⁾.

Po ułożeniu tych punktów zajęto się przygotowaniem do uroczystej installacji. Dzień 23 września był naznaczony na odprawienie jój w kościele katedralnym we Frauenburgu. Tegoż dnia zaprzyściągł Kromer na kapitułarzu owe 12 artykułów. Aktowi temu byli obecni mieszkający przy katedrze kanonicy: Eckhard v. Kempen, Jan Hannow, Jakób Zimmermann, Jan Lehmann, Samson Worejn, Bartłomiej Pieniński, Michał Konarski i Jan Rosenberg. Świadcami byli Jan Hozyusz, Krzysztof Troschke wójt biskupi, Michał Preuck burgrabia z Brunsberga, Maciej Porębski i Wojciech Sperling; a jako notaryusze stolicy apostolskiej Klemens Kalhorn i Walenty Sculteti. Wszyscy zebrali się na chórze w katedrze, Kromer był przeprowadzony do tronu biskupiego przez kanoników Hannowa i Lehmana, poczem dziekan Eckhard Kempen stojąc przy wielkim ołtarzu ogłosił go zebranemu duchowieństwu i ludowi koadytorem dycezyi. Te Deum zakończyło uroczystość w kościele ²⁾.

Po ukończeniu ceremonii kościelnych następowało wykonanie przysięgi przez poddanych, gdyż jednocześnie koadyutor zostawał władcą kraju. Podług zwyczaju wykonywali przysięgę na wierność we właściwych urzędach, szlachta, urzędnicy, mieszczanie, sołtysi, wolni, wójt, ekonom i starostowie zamkowi. Kromer powrócił d. 28 września do Heilsberga i nakazał dniem wprzódzy zawezwać wszystkich do przysięgi, kapituła wyznaczyła ze swój strony dwóch kanoników dla assistowania. Kromer tak spiesznie uwinął się, że do 15 października objechał całą dycezyą i wszędzie aktu dopełnił.

Pozorna tylko stanęła zgoda między koadytorem a kapitułą, i stosunek bywał znośny, który jednak wywoływał często niepotrzebne spory. Kapituła stawiała ciągle opór wszelkim zabiegom koadyutora, żadnej nie okazywała życzliwości, tylko dawna niechęć nurtowała coraz głębiej w umysłach kanoników, tak iż wyrodziła się z czasem w drobnych nawet sprawach zawziętość i zawiść. Kromer mitygował tylko owe stosunki, unikając okazji, a nigdy nie chciał użyć prawdziwej swój władzy dla poskromienia swych przeciwników tamujących mu wolne działanie. Długi a uparty powstał spór o kanonią po Knobelsdorfie. Eustachy Knobelsdorf kustosz warmiński umarł dnia 11 czerwca 1571 r. w Wrocławiu. Z uwagi na miejsce gdzie umarł, obsadzenie kanonii należało do papieża, zaś na czas do kapituły łącznie z biskupem lub jego koadytorem. Kapituła bez względu na to wyznaczyła termin obioru na dzień 20 lipca ³⁾, i nie-

¹⁾ Artykuły te przechowują się w archiwum biskupiem A. Nr. 4.

²⁾ Uroczystość ta szczegółowo opisana w aktach kapituły A. 2 fol. 273.

³⁾ List Krasieńskiego do Kromera d. 7 lipca, w archiw. biskup. D. 30 fol. 56 i wydrukowany w Bibl. Ord. Krasieńskich rok 1871, str. 90 i 1.

ochybnie byłaby dopełniła, gdyby nuncyusz Portico nie zagroził jój cenzurą duchowną, że obiór nastąpić tylko może pod przewodnictwem koadyutora ¹⁾. Odwlekło się to na później, lecz nie obyło się bez sporu. Wkrótce po śmierci kustosa rozeszła się wieść, iż kapituła chce obrać kanonikiem sekretarza swego Macieja Hejna. Jeszcze w lipcu dowiedziawszy się o tém w Rzymie kardynał, odmówił swego przyzwolenia. Hejn był chytry i nadużywał swój pozycyi różniąc ciągle biskupa z kapitułą. On to rozgłaszał o zaprzysiężonych niby przez Hozyusza artykułach dla silniejszego rozdrażnienia kardynała przeciw kapitule, a tę podszczywał znowu do poróżnienia Hozyusza z Kromerem. Obecnany z czynnościami urzędowymi służył za wyrocznię ²⁾ dla kapituły, i często jako jój delegat wysyłany w różnych sprawach stał się rzeczywiście duszą gnijącej w kapitule opozycji. Takiego przewrotnego człeka nie chciał ani kardynał ani koadyutor posuwać na kanonika. Ztąd wynikło rozdwojenie, jedna strona na kandydata stawiała Hejna, druga zaś wraz z biskupem stawiała Stanisława Kostkę. Wybory były naznaczone na dzień 16 października. Obaj kandydaci mieli silne poparcie. Za Hejnem była większość kapituły, za Kostką kardynał, koadyutor i Jan Kostka kasztelan gdański ojciec; Kostka posiadał ekspektatywę papieżką na kanonią warmińską, którą mu udzielił na zasadzie ustawy „execrabilis“ w formie sygnatury, a wobecnym wypadku przy pomocy kardynała Hozyusza była wykonalna. Z taką na dzień obioru przybył Paweł Kochański przysłany od kasztelana gdańskiego w imieniu jego syna. Zebrana w tym dniu kapituła składała się tylko z siedmiu członków: Kromer, Kempen, Hannow, Lehmann, Worejn, Konarski i Rosenberg. Kardynał przysłał swój głos na ręce koadyutora, a nieobecny Zimmerman na Lehmana, tak było razem dziewięć głosów. Notaryusz oznajmił cel zebrań się, że w miejsce zmarłego w Wrocławiu kustosa katedralnego należy wybrać innego kustosa i kanonika. Kromer zaś uwiadomił, że posłaniec od kasztelana gdańskiego uprasza o posłuchanie. Wpuszczony Kochański przedstawił swe zlecenie, złożył dowody prosząc o zamianowanie Stanisława Kostki kanonikiem z nadmienieniem, iż zrzecze się prawa jakie nadaje mu sygnatura papieżka. Po odejściu Kochańskiego przejrzano dowody i okazało się, że owa sygnatura różniła się od zwykłych prośb podobnych, a tém większe ściągnęła na się podejrzenie, że sam posiadacz zrzekał się służącego mu prawa. Z uwagi że papież nie chce ujmować kapitule przynależnego prawa obioru na mocy konkordatów niemieckich, i że Kochański przedstawił się jako posłaniec od kasztelana, nie jako pełnomocnik

¹⁾ List Nideckiego do Kromera d. 6 lipca, tamże D. 90 fol. 51.

²⁾ Reszka w liście swym do Kromera z d. 21 lipca, nazywa go: „Doneum oymbalum“ kapituły, tamże D. 116 fol. 27.

Stanisława Kostki; z tych więc powodów zebrani zgodzili się jednogłośnie nie zwać wcale na sygnaturę, przystąpić do wyborów nie pomijając wcale proszącego. Przed rozpoczęciem Kromer chcąc wpłynąć na obecnych dla poparcia Kostki, złożył list kardynała popierający jego wybór, a wraże przeciwnym grozi długim processem. Po odczytaniu listu nastąpił wybór na kustosza i jednomyślnie wybrany został Jan Lehmann. Wybór na kanonika poszedł inaczej. Z ośmiu głosów jawnych cztery były za Kostką, a cztery za Hejnem. Dziewiąty głos kanonika Zimmermana był zapieczętowany i po jego otwarciu padł na Hejna. Większość ucieszona zwycięstwem wychwalała naukę, zasługi i zdolność obranego i żądała jego instalacji. Oparł się temu chcący postawić na swoim koadyutor w imieniu swém i kardynała, oświadczając że nie zatwierdzi ani wyboru ani instalacji. Powołał się natychmiast na bardzo ważną zasadę kanoniczną, która na mocy C. Quum ecclesia, de elect. ¹⁾ dowodzi, że gdzie wybór kanonika zależy od biskupa i kapituły, to wówczas jest przyjęty, kiedy większość kapituły łączy się z głosem biskupa. Na to odrzekł dziekan kapituły, iż przy takich wyborach w Warmii biskup ma tylko jeden głos, jak każdy kanonik, na co sam poprzysiągł, zostając koadytorem. Następnie licząc głosy podług osób, to wybór Hejna ważny i winna odbyć się instalacja. Kromer oparł się temu, starał się przekonać kapitułę, że biskup nie stanowi na wyborach jednostki, lecz wspólnie z kapitułą dając głos tworzy jedno ciało. Gdy dla panującej zarazy w Allenstein, taceczne archiwum było niedostępne, odłożono sprawę do 15 listopada. Kochański otrzymał w tym duchu odpowiedź, dla doręczenia jej kasztelanowi, z nadmienieniem przybycia na oznaczony termin. Kromer nie przybył na zebranie 15 listopada i przysłał tylko swego sekretarza Stanisława Orzecha z listem, tłumacząc się z niemożności przybycia i wraz z kardynałem dał na nowo głos za Kostką. Przybył Kochański i złożył swe listy. Kapituła wszelkich dokładając wybiegów i wykrętów prawnych przeprowadziła podług swego życzenia i zainstallowała Hejna kanonikiem, Kochańskiemu zaś przyrzekła, iż przy następnej promocji nie odmawia Kostce swego przyzwolenia. Nieobecność koadytora najwięcej zaszkodziła wyborowi Kostki.

Hozyusz, nuncyusz Portico i Kromer uważali na zasadzie ekspertywy papieżkiej Kostkę prawnym kanonikiem i umyślili go bronić. Przedstawili rzecz całą stolicy apostolskiej i ta nakazała kapitule pod zagrożeniem kar kościelnych oddać kanonię Kostce. Kapituła uległa nakazowi i zainstallowała d. 15 listopada 1572 r. Kostkę kanonikiem i jednak wniosła do akt przed notaryuszem, że przychyliła

¹⁾ C. 31 X de elect. (I. 6).

się tylko z obawy kar kościelnych. Hejn musiał ustąpić, lecz z większą zawziętością starał się dogryzać swym przeciwnikom.

Sejm Warszawski dla koniecznego zaopatrzenia skarbu królewskiego zezwolił na pobór podatku zaregulowany także i do Warmii. Kromer chcąc uprawomocnić tę uchwałę zwołał na dzień 23 października zjazd do Heilsberga, na który przybyła szlachta, ziemianie, miast i delegaci z kapituły; po dokonanej naradzie odrzucili podatek dla ciężkich czasów, zarazy na bydło i innych przyczyn i upraszali koadytora o wstawiennictwo do króla, aby uwolnił Warmią. Natomiast zgadzali się na oddanie królowi czopowego od piwa, miodu, wina i od innych warów. Ten sam podatek był potwierdzony i na sejmiku heilsberskim d. 7 lutego 1572 roku.

Na jesieni 1571 r. powstała okropna trwoga i przestkach. Powszechny nieurodzaj groził głodem, a panująca zaraza w okolicy Seeburga przestraszała wyludnieniem całego biskupstwa i przytém niedoszłe małżeństwo króla Polskiego zdawało się zapowiadać wojnę z Austryą. Głód, zaraza i wojna były jako chłosta Boża na ukaranie grzesznego pokolenia i prawdziwą przejmowały trwogą słabe umysły. Kromer umyślił skorzystać z tego ogólnego przerażenia i wpłynąć skutecznie na lud i duchowieństwo, bo cierpienia miękczą i najtwardsze serca i na najnieurodzajniejszej ziemi głębiej zapuszcza się ziarno wydające najbujniejszy owoc. Wydał d. 7 listopada nowy list pasterski, w którym mówi: „Bóg rozgniewany za nasze grzechy nawiedził nas powszechnym nieurodzajem, zarazą i groźbą wojny. Ciężko zawiniliśmy naprzód my księża, potem naród. Księża żyją inaczej jak nauczają i tém oszukują. Napominam was w imie Pana, kto utrzymuje przy sobie podejrzone kobiety, niech je wydalą, w przeciwnym razie postąpię z nim w myśl soboru trydenckiego. Spowiadać się często, osobliwie gdy popełnicie grzech jaki ciężki. Nakłaniać z ambony lud do pokuty, karcić grzeszników, jednak bez wymienienia nazwiska i bez wyraźnego domysłu. Każdy ksiądz winien odbywać ze swoim starszym zwykłe konferencye, na których głównie odczytywać katechezę, ustawy synodalne, nasze listy pasterskie i rezerwy papięzkie i biskupie. Dwa razy w tygodniu odmawiać lub śpiewać zwykłe litanie dla ułagodzenia gniewu Bożego i nakłaniać lud do pilnego uczęszczania do kościołów, a podczas Mszy Ś-tój odmawiać modlitwy przeciwko zarazie. Módlcie się za króla, kardynała i za nas“¹⁾.

Kromer surowym był przestrzegaczem publicznych obyczajów. Nie dopuszczał rozpusty i nienawidził wagabundów. Wszędzie

¹⁾ Obacz Katenbringk Miscell. Warmiens. II str. 780—782.

wszczepiał porządek i uczciwość; karmił bezwstydnymi i zmuszał ich do przykładniejszego życia. W pierwszym zaraz roku swój koadytoryi musiał skarcić bunt kościelny. Za poduszczeniem Jerzego Schedlina z Kunzheim mieszkańcy wsi Fleminga odważyli się wypędzić swego proboszcza. Zamknęli przed nim kościół, wzbronili mu doń przystępu, zabrali klucze od skarbon i innych dopuścili się jeszcze zdrożności. Uwiadomiony o tém Kromer powołał ich przed swój sąd i na dniu 23 listopada skazał winnych na następną karę. W nadchodzącą niedzielę (t. j. d. 25 listopada) cała gromada z Fleminga ma stać na środku kościółka podczas Mszy Ś-tój i kazania, bosy i z odkrytą głową. W uroczystość Ś-go Jędrzeja tę samą karę wykonać mają sołtys, główni przestępcy i kościelni z Freudenberga. Nakoniec sołtys i kościelny Bartłomiej jako najwinniejsi ulegają tej samej karze, bądź to we Freudenbergu, bądź w Flemingu w każdą niedzielę aż do Bożego Narodzenia ¹⁾. Zaś Jerzy Schedlin miał stać się d. 2 grudnia przed sądem w Heilsbergu dla otrzymania należnej kary.

Najbardziejź zawikłane miał sprawy w Elblągu, który w sprawach duchownych podlegał biskupowi, a władza administracyjna należała do magistratu i do króla polskiego. Szło tu o odebranie zagarniętych majątków duchownych i o utrzymanie religii katolickiej w dwóch kościołach. Oddanie majątków miało wprawdzie nastąpić z polecenia króla, który doradzał dobrowolne pojednanie się, czyli zapuszczać rzecz w odwłokę. Pomimo powtarzanych przypomnień nuncjusza ²⁾, król nie myślał o użyciu ostrzejszych środków, ztąd i koadytor zwątpił zupełnie o ich odebraniu ³⁾. Gorliwiej przeto zajął się utrzymaniem religii, która wielkie napotykała trudności. Parafia w Elblągu dostateczną posiadała ilość księży do potrzeb duchownych. Przy proboszczu Sewerynie Wildschütz było kilku Jezuitów do pomocy. Magistrat nie oddawał im zagarniętych dochodów z probostwa, przeto żadnego nie mieli utrzymania. Kromer chcąc zapobiedz złemu postanowił gdzieindziej przenieść nie lubionego od władzy miejskiej i zbyt płocho myślącego jeszcze Wildschütza, a obsadzić tu męża dojrzałego. Po niejakiem namyśle wybrał proboszcza z Wartenburga, na którego zgodził się i Hozyusz ⁴⁾. Na tej zamianie traciła parafia w Wartenburgu i dlatego Wildschütz musiał nadal po-

¹⁾ Fleming była filią do kościoła w Freudenbergu.

²⁾ List nuncjusza do Kromera d. 1 kwietnia 1570 r., w archiw. bisk. D. 29, fol. 60.

³⁾ List Kromera do biskupa Karnkowskiego d. 6 listopada 1570 r., obacz Carncovii epist. illustr. vir L. I opp. 63.

⁴⁾ List Hozyusza do Kromera d. 26 marca 1570 r., w archiw. bisk. D. 19, opp. 155.

zostać. Najtrudniej szło zaopatrzenie środków na utrzymanie księży. Sama kapituła uszczuplona w swych dochodach przez wypłaty kardynałowi, nie chciała w niczem dopomagać. Skrupiło się na koadyutorem, który z własnych dochodów musiał utrzymywać Wildschütza, działając jednak w imieniu kapituły ¹⁾. Ufny w obietnice dworu królewskiego, że raz przymusi magistrat elbląski do oddania zagarniętych dochodów, zaniósł o to prośbę do króla, w czem poparli go podkanclerzy Krasieński i nuncyusz papieski, obadwaj przedstawiając królowi, że sama powaga jego nakazuje stanąć w obronie kościoła przeciw nadużyciom magistratu. Zygmunt August wysłał upominające listy do magistratu, powołując się na swoje karne palety z roku 1567 i na głojty wystawione przez króla Jezuitom, aby je szanowali i do nich się stosowali. Wyprawiony w połowie lipca komornik królewski z Warszawy otrzymał rozkaz zmusić Elblązanów do oddania ²⁾. Takie rozkazy nie poparte postrachem siły wojskowej nie odnoszą należytego pożytku, tak było i tą razą. Magistrat rozkaz odebrał, a swoje dalej robił. Na jesieni 1571 r. Kromer przeniósł Wildschütza na inne probostwo ³⁾, a jego następcą został świeżo wyświęcony ksiądz Walenty Helwing ⁴⁾ wikary brunsberski, jeden z najzdolniejszych wychowanków jezuickich. Kromer podpisał mu komendę d. 19 października do obudwóch kościołów na starém i nowém mieście, a Helwing bezzwłocznie zainstallował się d. 6 listopada w kościele Ś. Mikołaja. Odtąd zdawało się, że przyjaźniejszy zawiąże się stosunek. Sam magistrat nieco zwolnił i obiecywał pod dniem 8 grudnia dołożyć starań, aby duchowni katolicy i służba kościelna pobierają przynależne im dziesięciny. Tém zachęceni Jezuiti jęli się gorliwie i z zapętem do pracy, co właśnie najmocniej oburzyło przewodzców reformacyi. Magistrat skończył na obietnicy, a duchowni mieli wstrzymane wszelkie dochody i pozostali bez funduszów do życia.

Kromer z początkiem zarządu dyecezyą uczuł wielki brak księży: gdzie brakuje rąk czynnych, tam i robota idzie kulawo. Całe swe staranie obrócił na pomnożenie liczby duchownych i chętnie przyjmo-

¹⁾ List kapituły do Kromera d. 5 kwietnia, w archiw. biskup. D. 123, fol. 6.

²⁾ List Nidockiego do Kromera d. 15 lipca, tamże D. 39, fol. 49.

³⁾ Został plobanem w Allenstein, a 1577 r. proboszczem w Heilsbergu; obacz akta wizyt z r. 1581, w archiw. bisk. B. 2, fol. 208.

⁴⁾ Był rodem z Worunditty, przyjęty d. 25 listopada 1567 r. do seminaryum dyecezyalnego w Brunsberdze mając lat 23. Wyświęcony na księdza trzeciego dnia świąt wielkanocnych 1571 r., został wikarym przy kościele parafialnym w Brunsberdze. Już w r. 1573 już był dziekanem gutschadzkiem; obacz akta wizyt z r. 1581, w archiw. bisk. B. 2, fol. 296.

wał prawie bez wyboru młodzież do seminaryum; był tego bowiem przekonania, że wyćwiczonym w naukach Jezuitom nie trudno będzie i mniej zdolnych wykształcić na użytecznych, w czem smutnego doznał zawodu i należało trafniejszy robić między młodzieżą wybór. Nadzieja szybkiego otrzymania urzędu i łatwego pozyskania chleba zachęciła młodzież z sąsiedniego księstwa do powrotu na łono kościoła katolickiego. Pod pokrywką powołania do stanu duchownego byli przyjmowani do seminaryum, lecz w krótkim czasie okazali się czem byli rzeczywiście, to jest niepoprawnymi i gorszącymi drugich, ztąd jako nieużytecznych trzeba było wydalac¹⁾. Takie przykłady martwiły wiele Kromera, lecz tém bardziej dodawały bodźca do czynniejszego czuwania nad swoją owczarnią. Wiedział, że dobry kler najsilniej wpłynie na ulepszenia, głównie téż baczył na jego wychowanie. Dla braku szkół wyższych brakowało mu po większej części zwykłego wykształcenia. Klasztory służyły początkowo za kolonie dla przyszłych sług kościoła; lecz te odwykłe od karności i reguły, były najpierwsze, u których reformacja łatwy wstęp znalazła. Już w pierwszej połowie XVI-go wieku wyludniły się zupełnie i nie dostarczały wcale księży. Wprawdzie utrzymywał Hozyusz własnym kosztem szkołę wyższą w Heilsbergu²⁾, a niektórzy proboszczowie podjęli się zdolniejszą młodzież przygotowywać przywatnie do stanu duchownego; lecz te drobne usiłowania nie wystarczały wzrastającemu coraz bardziej brakowi księży. Przyszło do tego że większa część duchownych w Warmii składała się z przybyłych z obcych dyecezyi szukających tu utrzymania jakiego dla swój nieudolności lub braku zasługi w swój dyecezyi³⁾. Szczęśliwym trafem Hozyusz sprowadził 1564 r. Jezuitów do Warmii, wystawił dla nich 1565 r. kolegium w Brunsberdze, a na jesieni 1567 przyłączył doń seminaryum dyecezyalne⁴⁾. Wyborna ta szkoła była jeszcze zbyt świeżą, aby przy obejmowaniu władzy przez Kromera, mogła już czynnie wpływać na polepszenie kleru. Znalazł więc dużo znikczemniałego duchowieństwa, które należało koniecznie uszlachetnić.

Zadanie to wyjednało mu z czasem nazwę prawdziwego reformatora. Rozumny, bystry, pełen zapału religijnego, czynny, wszę-

¹⁾ Obacz list ks. Jakóba Astensis do Kromera z d. 26 lipca 1570 r., w archiw. bisk. D. 73, fol. 25, gdzie ostrzega koadyutora o postępках takich nawróconych.

²⁾ Eichhorn cardinal Hosius I. str. 182.

³⁾ Jak była wielka liczba duchownych przybyłych z obcych dyecezyi do Warmii, podają wizyty z r. 1565, z których jest widoczne jakie to znajdowały się wyrodki, gdy kler duchowny tak uderzająco odznaczył się przez przyłgnięcie do reformacyi; obacz Hurter Ferdinand II T. II str. 48—65.

⁴⁾ Eichhorn cardinal Hosius II str. 173—190.

dzie postępował po ojcowsku, lecz surowo. Gdziekolwiek napotkał zdrożności, póty pracował nad niemi, dopóki ich z gruntu nie wykoźnił, a przez prawdziwą pokutę starał się zaszczerpieć zarodki cnoty. Ztąd baczne zwracał oko na szkoły jako na zawiązki przyszłego pokolenia. Jakim człowiek wychowa się za młodu, takim zostaje i na starość. Starannie zasiane ziarno wyda stosownie do swej własności dobre lub złe owoce. Zatem przedewszystkiem należy czuwać kościołowi nad społecznym wychowaniem młodzieży. Przedewszystkiem pilnować trzeba rodziców, aby przykładem i nauką spełniali swe obowiązki, gdyż wychowanie w domu rodzicielskim stanowi zasadniczą część jego działalności i ulega ich wpływowi i tym sposobem tworzy się zakład wychowania dla wszystkich ludzi. Kromer wychodząc z téj zasady, zalecał duchowieństwu czuwać nad wychowaniem dzieci przez rodziców, aby kształćąc ich w pobożności wiedli do prawdziwie chrześcijańskiego życia. Szkoła pozostaje zawsze w nierozrwanym związku z domem rodziców i ona tylko dalej uprawia rozpoczęte dzieło. Nauczyciel zastępuje tu ojca, a nauczycielka matkę; ztąd szkoła rozkrzewia się łączną siłą na gruncie religijnym i tworzy rzeczywistą część rodziny kościoła. Kromer dbając o dobro szkoły nie dopuszczał złych kierowników. Wyższe wychowanie zdał na Jezuitów i rachował na ich staranność i troskliwość. Sam czynnie rozciągnął swą opiekę nad szkołami niższemi. Szkoła parafialna w Heilsbergu, którą przedtém szczególnie dozorował Hozyusz, składała się nietylko z samych krajowców, lecz i z Polaków i stanowiła wyborną szkołę przygotowawczą do wyższego zakładu w Brunsberdze ¹⁾. Nie przepominał i o innych szkółkach, do nadzoru których zachęcał miejscowych proboszczów, abyczuwali nad pilnością uczniów i nad gruntownym wykładem katechizmu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

¹⁾ List Nideckiego do Kromera d. 1 czerwca, w archiw. bisk. D. 30, fol. 30.

KILKA SŁÓW O ZAROBKU.

PRZEZ

Dra Karola Strasburgera.

Wiek nasz w porównaniu z minionym nazwaćby można wiekiem indukcji. Coraz więcej nauk opiera się na doświadczeniu, z niego starając się dla siebie wyprowadzić prawa. Tą drogą idą przedewszystkiemi nauki przyrodnicze; na nią wchodzi historia: nauki państwowe uznają, że celem ich nie może być wymyślenie jednéj formy państwowej, któraby we wszelkich warunkach i po wszystkie czasy jedynie uzasadnioną była, zgadzając się na to, że tylko ta organizacja i te instytucye dla danego państwa mogą być zbawienne, które miejscowym warunkom odpowiadają. Nauki prawne porzuciły myśl o prawie natury, jako ideale, do którego zbliżać się powinny wszelkie prawodawstwa stanowione po wszystkie czasy, przyznając, że i tu ma miejsce rozwój historyczny, że duch każdego narodu wyrabia w sobie odpowiednie warunkom miejscowym pojęcia o prawie, że te pojęcia w każdym narodzie będą różne, tak jak różne są języki.

W ekononii politycznej stosowano po największej części metodę dedukcyjną. Prawa ekonomiczne chciano wywieść z natury jednostki gospodarującej. Przy téj dedukcyi przyjmowano za podstawę, że natura ludzka się nie zmienia. Jednostka gospodarująca miała wszędzie i zawsze znać tylko pobudki egoistyczne. Jednakże abstrakcyjne to indywiduum, stanowiące punkt wyjścia przy dedukowaniu praw ekonomicznych, bynajmniej nie odpowiada jednostce konkretnéj, która podług tych praw działać miała. Prawa ekonomiczne odnajdują dla jednostki, nie pozostającój w związku z duchem żadnego narodu, i sądzą, że to prawo, którym podlega życie, w coraz nowych zjawiające się formach, nie daje się ująć w żaden szemat.

Pojęcia o sprawiedliwości, o uszanowaniu praw i godności człowieczeństwa drugiego i t. d., są różne w różnych społeczeństwach. Wprowadzenie niewolnictwa w ucywilizowanych krajach byłoby niepodobnięństwem, gdyżby to się sprzeciwiało pojęciom o godności człowieczeństwa, jakie się w tych społeczeństwach wyrobiły. Pobudki egoistyczne, które

mają być jedynymi, jakie podług dawniejszej ekonomii, zna jednostka gospodarująca, są modyfikowane przez tysiączne względy i to w bardzo rozmaity sposób stosownie do tego, w jakim społeczeństwie jednostka ta żyje. Prawa téż ekonomiczne, które odkryto, wychodząc z zasady, że jednostka gospodarująca powoduje się wyłącznie egoizmem, nie znajdują nigdzie zastosowania, a przynajmniej nie może być mowy o tém, ażeby im podlegały po wszystkie czasy wszystkie społeczeństwa.

Na zarzuty te odpowiadano już nieraz, przytaczając, że szkoła ekonomiczna, przyjmująca te prawa jako podstawę wszelkich dalszych badań, nie przeczy bynajmniej, że człowiek zna inne jeszcze pobudki oprócz egoistycznych; stronnicy jój twierdzili dalej, że ze świadomością dopełniają téj abstrakcyi, ażeby mieć pewne prawa, które w praktyce znajdują zastosowanie, ale zastosowanie zmodyfikowane; powoływano się na fizykę i mechanikę, które dla wykrycia wielu ze swych praw uciekają się do hipotezy, że ciała znajdują się w próżni, a dopiero przy zastosowaniu tych praw w praktyce starają się obliczyć wpływ warunków danych, jakie przy wynajdowaniu praw usunięto.

Znaczny zastęp ekonomistów upraszczał sobie tę kwestyą, utrzymując, że człowiek zna pobudki niesamolubne, ale że w czynnościach swych gospodarczych jest wyłącznie egoistą; drzwi więc kantoru lub fabryki miały stanowić granicę, po za którą moralność władzy swój rozciągać nie miała. Wyobrażano sobie, że ludzkość postępuje jak ów Anglik, który mając fabrykę bożyszcz indyjskich i wysyłając znaczne ich partye do Indyi, corocznie jednak z wszelką sumiennością opłacał składkę na cele missyjne.

Ale i pierwsi obrońcy praw stałych ekonomicznych, opartych na egoizmie, zapominali o tém, że prawa te nie miały bezwarunkowego zastosowania w praktyce, gdy tylko szło o jaką kwestyą praktyczną. Weźmy jakiegokolwiek zjawisko życia gospodarczego. Przypuśćmy, że idzie o wpływ bezrobocia na zarobek. Czy robotnicy mogą uzyskać wyższą zapłatę przez powszechne wstrzymanie się od pracy? Chwilowo zyskują ją, odpowiedzą zwolennicy dawniejszego kierunku ekonomicznego, ale zarobek podlega prawu ilości zaofiarowanych i żądanych, zarobek wtenczas się tylko podniesie, jeżeli żądanie pracy ze strony przedsiębiorców się zwiększy, lub jeżeli zaofiarowanie się zmniejszy; po ustaniu bezrobocia ta sama ilość robotników co i poprzednio znów zaczyna pracować; wskutek bezrobocia żądanie ze strony przedsiębiorców stale się zwiększy, a zatem, odpowiedzą nam, zarobek przez bezrobocie na dłuższy czas podnieść się nie może. Jednakże, zauważyćbyśmy mogli, prawo ilości zaofiarowanych i żądanych nie miało mieć bezwzględego zastosowania w praktyce; może tu względy czysto moralnej natury będą tak stanowcze, że zneutralizują wpływ, jaki zaofiarowanie i żądanie wywiera na zarobek. Może obawa przedsiębiorców, ażeby nowe bezrobocie nie wybuchło, może wpływ opinii publicznej, która uznała, że żądania robotników były słuszne, wpłyną na podnie-

sienie się zarobku, bez względu na to, że stosunek zaofiarowania do żądania się nie zmienił.

Wpływów tych zwolennicy niezmiennych egoistycznych praw ekonomicznych nie będą chcieli uznać, a przez to przyznają, że w głębi rzeczy nie myśleli o tém, ażeby prawa przez nich odkryte nie miały mieć bezwzględnego zastosowania w praktyce. Nam jednak spytać się będzie wolno, czy przydadzą nam się na co prawa, o których z góry wiemy, że w praktyce zastosowania nie znajdują, albo przynajmniej zastosowanie tak zmodyfikowane, że różnica między tém, co by miejsce podług teorii mieć powinno, a tém, co się w praktyce dzieje, jest większa, aniżeli zgodność.

Kiedy idzie dalej o określenie stanowiska, jakie państwo ma mając w obec gospodarstwa narodowego, zwolennicy dawnego kierunku oznaczają je, powtarzając znaną odpowiedź francuzkiego fabrykanta z czasów Colberta „laissez faire“. Zadaniem państwa jest podług nich tylko usuwanie przeszkody, na jakie jednostka gospodarująca natrafia, a których usunięcie własnymi siłami dla jednostki tój zbytby trudnem było. Państwo samo na gospodarstwo narodowe wpływać nie powinno i nie może, przytaczają dalej, gdyż wszelkie przeciwdziałanie prawom niezmiennym, naturalnym, jakim podlega gospodarstwo narodowe, jest równie płonnem jak starania państwa by pory roku się nie zmieniały podług naturalnego porządku. I w tém miejscu zauważyłbyśmy mogli, popełniają zwolennicy niezmiennych na egoizmie opartych praw ekonomicznych, niekonsekwencyą. Prawa te przecież w praktyce nie miały bezwarunkowego zastosowania, Dłaczegóż więc państwo ma się zachowywać tak, jak gdyby one rządziły gospodarstwem narodowem.

W nauce prawa porzucono, jako już wspomnieliśmy, myśl o powszechném prawie natury; nauka o niezmiennych gospodarczych prawach naturalnych ma bardzo wiele analogii z hipotezą o prawie natury.

Czy jednakże metoda indukcyjna może znaleźć zastosowanie przy poszukiwaniach ekonomicznych? Fakta same za siebie mówią. Jest wiele kwestyj ekonomicznych, które na drodze indukcyjnej rozwiązano. Ścieśniamy zakres naszego pytania: Czy przy poszukiwaniach nad teorią zarobku drogą tą postępowaćbyśmy nie mogli? Chcemy także odpowiedzieć faktem, który jednakże tylko za pierwszy krok ku rozwiązaniu tój kwestyi uważanym być może.

Zadaniem naszym będzie się przekonać, czy ze zmian rzeczywistych zarobku w danój gałęzi przemysłu, nie dadzą się wyprowadzić wnioski co do przyczyn znalezionych zmian. Poszukiwać będziemy tylko zmian w zapłacie robotnika od sztuki. Idzie nam bowiem o to, czy praca robotnika w różnych miejscach lub w różnych czasach, różnie téż była cenioną. Przy tój ocenie mamy jak gdyby dwie strony równania: z jednéj strony praca, z drugieój równoważna jój zapłata. Odkryjemy różnicę w ocenieniu pracy tylko wtenczas, jeżeli piérwsza strona równania t. j. ilość pracy przez cały ciąg porównania pozostanie tąż samą. Jeżeli mierzyć będziemy pracę przez czas jój trwania, jeżeli

więc porównywać będziemy zapłatę dnia, to po stronie pracy w ilości jej różnice zajść mogą. Dzień pracy, to nie żadna stale oznaczona ilość. Zwiedzałem w Niemczech przedsiębiornie, gdzie robotnicy codziennie osmnaście godzin pracują; w Anglii w wielu fabrykach pracują tylko dziewięć godzin. Znajdujemy ile płacą robotnikowi za dzień pracy w Niemczech, a ile w Anglii; przypuścimy, że zapłata w Anglii jest dwa razy wyższą niż w Niemczech; gdybyśmy dzień pracy uważali za miarę stałą, ściśle oznaczoną, to przyslibyśmy do wniosku, że praca w Anglii jest dwa razy wyżej cenioną niż w Niemczech. Wniosek ten oczywiście byłby fałszywym; mówiąc o zapłacie w Niemczech za dzień pracy, myśleliśmy o osmnastu godzinach, w Anglii zaś o dziewięciu godzinach, a zatem za dwa razy dłuższy czas dostaje podług naszego przypuszczenia, robotnik w Niemczech dwa razy mniejszą zapłatę niż robotnik w Anglii, a zatem gdybyśmy zapomnieli o różnicach w ilości pracy wyprodukowanej przez robotników w tych dwóch krajach, moglibyśmy powiedzieć, że praca w Anglii jest cztery razy wyżej cenioną niż w Niemczech. I ten wniosek nie będzie jednak prawdziwym, gdyż wziąć jeszcze trzeba pod uwagę, że przez ten sam czas robotnik różną ilość pracy wyprodukować może. Przypuścimy, że robotnik angielski cztery razy więcej produkuje niż niemiecki, to wniosek prawdziwy byłby, że praca w Anglii i w Niemczech jednakowo jest cenioną.

Przekonywamy się z tego, że przy poszukiwaniach zmian zarobku, za miarę porównania dnia pracy brać nie możemy, gdyż dzień pracy może zawierać różną ilość godzin pracy, a dalej i praca wyprodukowana w ciągu tego samego czasu może być bardzo różną.

Niedogodności te usuwamy, badając zmiany zapłaty od sztuki. Jeżeli mamy powiedziane, że robotnik raz za wykonanie pewnej oznaczonej pracy otrzymał 1 rs. a później za wykonanie téjże pracy w tenże sam sposób, za pomocą tych samych narzędzi, otrzymał 2 rs.; to nie będzie wątpliwości co do tego, że w drugim razie otrzymał dwa razy większą ilość pieniędzy za tę samą ilość pracy.

Zapłatę od sztuki bardzo wyjątkowo tylko uwzględniano w publikacjach statystycznych. Wnioski co do podnoszenia i obniżania się zarobku opierano na badaniu zarobku dziennego i nieraz z dziwną lekkomyślnością postępowano. Niéma bardziej przekonującego dowodu jak statystyczny, cyfry są wymowniejsze niż najlogiczniejsze wywody, ale wiedzieć zawsze potrzeba, jakim sposobem pewne cyfry otrzymano. Tak np. w urzędowych publikacjach francuzkich ¹⁾ znajdujemy zdanie, że w epoce od 1824—1855 roku zarobek we Francji się podniósł o 170/0, ale ceny żywności poszły w górę o 450/0. Do porównania zarobku użyto przeciętnej z zarobku w pewnych gałęziach

¹⁾ Statistique de la Franco. Prix et salaires à diverses époques. Série II, P. XII, str. XXIV.

przemysłu w całej Francji. Policzono więc razem zapłatę robotników zarówno paryzkich jak i wiejskich, i tak otrzymaną sumę podzielono przez liczbę robotników, których zarobek wprzód dodano. Ma się rozumieć, że zmiany tej przeciętnej nie koniecznie będą spowodowane przez zmiany w zapłacie robotników. Jeżeli ilość robotników paryzkich się podniesie, to naturalnie ogólna summa się zwiększy, gdyż będzie więcej wysokich zarobków niż dawniej, a więc i przeciętny zarobek się podniesie, chociaż w samej rzeczy w żadnym z miejsc badanych robotnik wyższej zapłaty nie otrzymał. Przy oznaczeniu podniesienia się cen żywności, wzięto poduwagę ceny chleba, mięsa, masła, jajek i drobiu. Z tego znów utworzono przeciętną. Ta przeciętna oczywiście niema żadnego znaczenia. W dalszym ciągu porównano przeciętną zarobku i przeciętną cen żywności, a więc porównano zarobek z cenami, między innymi drobiu, tak jak gdyby podniesienie się zarobku w porównaniu z cenami drobiu mogło czegokolwiek dowieść.

Przy badaniu zapłaty od sztuki, na jedną okoliczność baczną trzeba zwrócić uwagę. Sposób dokonywania pracy musiał pozostać ten sam; gdyż przypuścimy, że wiemy, iż za ścięcie morgi żyta płacono dawniej dwa razy więcej niż dzisiaj, to nie będzie to znaczyło, że tę samą pracę ceniono dawniej wyżej niż dzisiaj, jeżeli dawniej żęto żyto sierpem, a dziś do tego używają kosy.

Zwróćmy uwagę na zarobek zecerów. Zapłata jest od sztuki; jednością miary jest przestrzeń, jaką zajmuje 1000 obok siebie ustawionych czcionek litery n z alfabetu, jakim drukowane jest dzieło. Podług tej miary oznacza się przestrzeń, jaką zajął zecer ustawionymi przez siebie czcionkami. Przypuścimy więc, że zecer ustawił czcionki na przestrzeni, którąby zajęło 1,000,000 n ; gdyby zecer tylko czcionek z literą n używał, zarobiłby więc sobie 100 razy zapłatę ugodzoną za 1,000 n .

Ten sposób obliczania wynaleziony został we Francji; w Niemczech, gdzie materyał do tej pracy zbierałem, znalazł ogólne zastosowanie od 1848 roku. Przed tym czasem, jeżeli płacono od sztuki, godzono się o zapłatę od arkusza, stosownie do formatu, wielkości alfabetu i t. d.

Praca zecerska odpowiada też drugiemu postawionemu wyżej warunkowi; nie zmieniała się co do sposobu jej wykonywania. Zecer dziś tak samo czcionki ustawia jak przed laty. Maszyny zecerskie, przy których elektryczność znajduje zastosowanie, są obecnie tylko w niektórych angielskich drukarniach używane.

Zdołałem dojść zapłaty za 1000 n wstecz aż do roku 1717. Dawniejsze aniżeli z tego czasu księgi rachunkowe w Niemczech ani w Szwajcaryi nie istnieją, jak to przekonać się mogłem po daremnych poszukiwaniach we wszystkich znaczniejszych ogniskach drukarstwa w tych dwóch krajach. W archiwach rządowych, zachowujących akta cechów, znajdują się co najwyżej wskazówki co do ceny gotowych druków, nie zaś co do zapłaty zecerów. Dojście zapłaty za 1000 n przeto jeszcze

było utrudnione, że jak to wyżej wspomnieliśmy, ten sposób obliczania wprowadzony dopiero został do Niemiec w 1848 r. W księgach dawniejszych podawana jest zapłata zecera za arkusz druku z wymienieniem dzieła, do którego rachunek się odnosi. Żeby dojść jak wysoko oceniono wówczas 1000 *n*, odnajdywałem po bibliotekach dzieła w rachunkach wymienione, mierzyłem ile razy 1000 *n* mieści się w arkuszu wymienionego dzieła, przez otrzymaną liczbę dzieliłem zapłatę za arkusz, a w ten sposób dowiadywałem się, jak wysoko zecera za 1000 *n* płacono.

Ażebym nie nużyć czytelników zbyt długim szeregiem cyfr, przytoczę tylko ostateczne rezultaty ¹⁾.

Za 1000 *n* płacono zecerowi w roku:

w Jena	fenigów pruskich	
1717—1740	8 ¹ / ₃	
w Halli		
1782—1802	11 ¹ / ₂ —13 ¹ / ₃	
1803	14 ¹ / ₂	
1804—1847	15 ¹ / ₂ —18	
1848—1858	21	
1859—1864	24	
1865—1868	27, czyli uwzględniając udogodnienia wprowadzone dla zecera w tym czasie	
	1000 <i>n</i> = 31	fenig.
1869—1870	30 uwzgl. udogod.	1000 <i>n</i> = 34 ¹ / ₂ „
1871—listop. 1871	33 „ „	1000 <i>n</i> = 38 „
od listopada 1871	36 „ „	1000 <i>n</i> = 41 ¹ / ₂ „ ²⁾

Powyższy szereg cyfr pokazuje nam podnoszenie się ceny pieniężnej 1000 *n*. Lecz wartość pieniędzy przez cały ten czas nie była jednakową; za 41 ¹/₂ feniga w 1871 roku robotnik nie mógł zakupić tyle środków do utrzymania siebie i rodziny, ile zakupował za tę samą sum-

¹⁾ Szczegóły zamieściłem w niemieckim przerobieniu tej pracy w „Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik“ w zeszyocie z maja roku zeszłego.

²⁾ Cena 1000 *n* u nas jest 13 ¹/₂ kop., czyli wyższa niż w Niemczech, tak jak w ogóle robotnik z pełnym technicznym przygotowaniem płatny jest u nas lepiej niż w krajach, gdzie istnieje właściwa socyalna kwestya. Wiadomo, że obecnie wybuchło znów w Niemczech między zecerami bezrobocie w celu uzyskania wyższej zapłaty. Żądają oni podniesienia zapłaty o 200%. W chwili kiedy to piszemy, bezrobocie to jeszcze się nie skończyło; nie wiadomo, czy robotnicy tym razem zwyciężą, nie wątpliwie jednak żądania ich są zbyt wygórowane.

mę dawniej. Dlatego podamy drugi szereg cyfr, w którym zamienimy pieniądze na żyto. Robotnik nie żyje wprawdzie samém zbożem, ale jeżeli weźmiemy przeciętną cenę zboża z dłuższego szeregu lat, to usuniemy przez to w znacznej części wpływ urodzajów i nieurodzajów; zboże w żywieniu się ludności odgrywa w nie nazbyt odległych od siebie czasach mniej więcej tę samą rolę, jednakowo jest pożądaném; w przeciętnych więc cenach zboża, w których wpływy urodzaju i nieurodzaju są usunięte, wyrazi się najlepiej różnica wartości pieniędzy. Postaramy się to jeszcze jaśniej w inny sposób wytłumaczyć. Porównujemy przeciętną cenę zboża z 1782—1802 r. i z 1804—1847. Szeffel zboża w Jena kosztował przecięciowo w przeciągu tego czasu od 1782—1802 roku 1,317 talara; od 1804—1847 r. 1.736 tal. Wartość zboża dla ludności była od 1782—1802 r. mniej więcej ta sama co od 1804 do 1847; różnica zatem, jaką widzimy w cenie, pochodzi nie ztąd, że wartość rzeczywista zboża się zmieniła, ale przedewszystkiem ztąd, że pieniądze mniejszą miały wartość od 1804—1847 roku, aniżeli od 1782—1802 roku. Jeżeli teraz nam idzie o porównanie rzeczywistój, wewnętrznej wartości, jak tu pracy zecerskiej w dwóch różnych chwilach, to zamieniając pieniądze na zboże, i mówiąc że 1000 *n* od roku 1782—1802 było warte tyle szefli żyta a od roku 1804—1847 tyle, dokładniej dojdziemy różnicy wartości, aniżeli gdy znać będziemy zapłatę pieniężną.

Ażeby nie otrzymać zbyt małych cyfr, podamy wartość 1,000,000 *n* w zbożu.

Za 1,000,000 *n* otrzymywał zecer pruskich szefli żyta:

W roku 1717—1719 . . .	22,60	} 1717—1740 . . .	26,93
„ 1720—1729 . . .	26,27		
„ 1730—1740 . . .	29,37		
„ 1782—1789 . . .	29,25—33,91	} 1782—1802 .	24,26—28,12
„ 1790—1799 . . .	24,52—28,42		
„ 1800—1802 . . .	16,26—18,86		
„ 1803	23,31		
„ 1804—1809 . . .	18,37—21,33	} 1804—1847 .	24,80—28,80
„ 1810—1819 . . .	19,79—22,99		
„ 1820—1829 . . .	36,40—42,27		
„ 1830—1839 . . .	30,58—35,51		
„ 1840—1847 . . .	23,55—27,35		
„ 1848—1858 . . .	32,45		
„ 1859—1864 . . .	48,19		
„ 1865—1868 . . .	62,25		
„ 1869—1870 . . .	69,28		
„ 1871—list. 1871 . .	76,26		
„ od listop. 1871 . .	83,33		

Widzieliśmy, że zapłata za 1000 *n* głównie się podniosła, poczynać z r. 1848. Dla peryodu od tego czasu aż po dziś dzień w inny jeszcze sposób postaramy się przekonać, o ile rzeczywista wartość

1000 *n* się podniosła, a o ile zmniejszenie się wartości pieniędzy na powiększenie pieniężnej ceny 1000 *n* wpłynęło.

Przekonamy się, o ile ceny głównych potrzeb robotnika od 1848 roku się podniosły; z t \acute{e} m porównamy podniesienie się płacy zecer \acute{o} w: w ten sposób się dowiemy, czy się podniosła rzeczywista wartość pracy zecer \acute{o} w. Poszukiwania nasze odnoszą się do Jeny; obliczanie podniesienia się cen żywności opiera się na porównaniu koszt \acute{o} w wyżywienia dozorczy szpitalnego dawniej i obecnie; inne ceny są czerpane z ksiąg handlowych, z uwzględnieniem nawet o ile możności rachunk \acute{o} w dla zecer \acute{o} w. Szczegóły i tu opuszczamy.

	kosztowało w 1850	w 1860	w 1870
Wyżywienie . . .	67 t. 10 sg. 6 f.	75 t. 8 sg. 5 f.	93 t. 12 sg. 8 f.
Ubranie.	24 „ 19 „ —	27 „ 8 „ „ 6 „	26 „ 3 „ —
Bielizna.	10 „ 6 „ —	10 „ 6 „ —	10 „ 6 „ —
Obuwie.	6 „ 23 „ 2 „	9 „ 6 „ 6 „	10 „ 12 „ —
Mieszkanie ¹⁾ . . .	4 „ — —	4 „ — —	7 „ 10 „ —
Opał	4 „ 20 „ —	5 „ 25 „ —	6 „ 12 „ 6 „
Ogółem	113 „ 18 „ 8 „	131 „ 24 „ 5 „	153 „ 26 „ 2 „

Ceny głównych s \acute{r} odk \acute{o} w utrzymania robotnika podniosły się zat \acute{e} m w Jenie od 1850—1860 o 16 $\frac{0}{10}$ %, od 1860—1870 o 16,7 $\frac{0}{10}$ %. Zapłata zecer \acute{o} wa tymczasem w t \acute{e} m samym miejscu podniosła się od 1850—1860 roku o 14,3 $\frac{0}{10}$ % (za 1000 *n* w r. 1850 21 fen., w r. 1860 24 fen.) od 1860—1870 r. o 43,7 $\frac{0}{10}$ % (w miejsce 24 f. 34 $\frac{1}{2}$). Pamiętać jeszcze trzeba o t \acute{e} m, że na te tylko potrzeby robotnika zwróciliśmy uwagę, których ceny najbardziej się podniosły; wypadłoby mniej niż 16 i 16,7 $\frac{0}{10}$ %, gdybyśmy uwzględnili wszystkie jego potrzeby.

Z dotychczasowych poszukiwań naszych wypływa, że robota zecerska dziś cenion \acute{a} jest wyżej niż dawniej. Konkurencja między robotnikami przez naturę pracy nie jest bardziej ograniczon \acute{a} , ni \acute{z} w jakimkolwiek innym rzemiośle. W porównaniu nawet do dawniejszych czas \acute{o} w, konkurencja pomi \acute{e} dzy zecerami się zwiększyła. Z rozkrzewieniem się oświaty między ludem, powiększyła się liczba ludzi zdolnych do zajęcia się zecerstwem. Mniej t \acute{e} ż wymagają wykształcenia od zecera dziś ni \acute{z} dawniej, gdyż dawniej drukowano po większ \acute{o} j części tylko łacińskie książki. Podniesienie się zarobku w t \acute{e} m rzemiośle ma zat \acute{e} m ogólne znaczenie, zarobek w innych rzemioślach albo zar \acute{o} wno się podniósł albo podnieść się może.

Zwróćmy się teraz do tabeli, w któr \acute{o} j zarobek wyraziliśmy w zbo \acute{z} u. Od r. 1717—1848 zarobek prawie wcale się nie zmienił, w r. 1848 w miesi \acute{a} cu lipcu podniósł się z 23,55—27,35 na 32,45 szefli żyta.

¹⁾ Ponieważ robotnik mieszka zwykle z rodzin \acute{a} , tu nam zaś idzie o podniesienie się cen utrzymania jednego czł \acute{o} nka rodziny, wi \acute{e} c wzi \acute{e} liśmy $\frac{1}{3}$ ceny mieszkania zwykłego robotniczego.

Zarobek ma zależeć od stosunku zaofiarowania do żądania, jeżeli ilość robotników ofiarujących swą pracę pozostaje ta sama a także i żądanie ze strony przedsiębiorców się nie wzmacza, to zarobek, uczy nas dawna szkoła, podnieść się nie może.

Spróbujemy dojść, jakie było żądanie ze strony przedsiębiorców odnośnie do pracy zecerskiej w 1848 r. Ogół książek drukowanych oznaczyć się wprawdzie nie da: cała literatura mająca interes lokalny, w katalogach się nie zamieszcza. Przyjąć jednakże można, że stosunek tej literatury do zamieszczanej w katalogach w dwóch po sobie idących latach się nie zmienia, tak że gdy idzie o porównanie produkcji książek w dwóch latach, na katalogach porzastać można. Katalog księgarń Hinrichsa w Lipsku jest najdokładniejszym, obejmuje on wszystkie dzieła pojawiające się w Niemczech i znajdujące się w handlu księgarskim. Po zliczeniu arkuszy nowo wydawanych książek z uwzględnieniem formatu wypadło, że od lipca do grudnia 1847 r. nowo wydano 87669 arkuszy, od stycznia do końca czerwca 1848 r. 49646, od lipca do grudnia 1848 r. 49646.

Do r. 1848 liczba nowo pojawiających się książek była dość jednostajną. W r. 1845—11032, 1846—11297, 1847—10729. W r. 1848 nagle się zmniejsza na 9978, w 1849 r. nawet na 7789.

Przybyło za to wprawdzie gazet politycznych. W r. 1847 pojawiło się w Niemczech 24900 arkuszy, w r. 1848—52272 arkuszy gazet, a zatem o 27372 arkuszy więcej. W każdym razie po odliczeniu tej przewyżki jeszcze wypada, że 1847 r. w ogóle wydrukowano od lipca do grudnia 24337 arkuszy więcej. Rok 1848 był bardzo niepomyślnym dla drukarzy; słyszałem to od wielu starszych drukarzy, znajdujemy też jeszcze ślad w Lipskim czasopiśmie dla drukarzy i zecerów. Z Hamburga piszą tam: „W większej części drukarni w r. 1848 nie miano zajęcia.“ Po rozpoczęciu tamże pracy zawieszonj za znową robotników przez siedm tygodni, 34 z pomiędzy nich pozostało bez zajęcia i koledzy wspierać ich musieli. Drukowano więc w 1848 r. mniej niż dawniej, żądanie ze strony przedsiębiorców odnośnie do pracy zecerskiej było mniejsze, nie można przypuścić ażeby liczba robotników się zmniejszyła, w samym Hamburgu 34 zostaje bez zajęcia, mimo to zarobek właśnie w tym roku się podnosi, podczas kiedy przez 130 lat prawie się nie zmieniał. Jakże to wytłumaczyć?

Posłuchajmy, jak zgromadzenie narodowe drukarzy, uformowane w owym czasie, na posiedzeniu swóm w Moguncyi odbytem od 11 do 14 czerwca 1848 r., usprawiedliwia żądanie co do podniesienia zapłaty robotników w drukarniach: „Potężne wypadki ostatnich dni spowodowane wielką ogólną przemianą wszystkich politycznych i społecznych stosunków, wywarły też wpływ na los robotników. Stan ten tak długo cierpiący pod ciężącym na nim jarzmem zaczął czuć, że on też ma pewne prawa do rozkoszy życia, tém bardziej, że tyle obowiązków na niego wkładają. Z Zachodu wiał duch emancypacji, dojrzałości tego stanu, dostał się do większej części Europy, a nawet całego cywilizowanego

świata i ogrzał wszystkie szlachetne czujące serca; najwięksi, najszlachetniejsi mężowie terażniejszości ujeli się z zaparciem samych siebie za tak dawno uciemiezoną, pracującą klasą, dążenia teje przyjmując za własne; poznali oni, że klasa ta stanowi rdzeń i podstawę państwa opartego na zdrowych, liberalnych zasadach. Tysiące też patrzy z ufnością w przyszłość i nadzieja ich niewątpliwie nie omyli, chociażby i burze przejść miały. Ale jest też rzeczą tego stanu wywalczyć sobie na drodze legalnej prawa mu przynależne, mieć na oku swój własny interes i tak się upewnić, ażeby owoce zdobyte nie zginęły znów, ale żeby przeciwnie ogół z nich korzystał. I nasze zajęcie jedno z najpiękniejszych w ostatnich latach stało się fabryczném.

Widzieliśmy jak z każdym rokiem wzrastał dobrobyt naszych pryncypalów i patrzeliśmy na to wszyscy bez wątpienia z rozkoszą, nawet dumą, gdyż każdy sumienny robotnik mógł sobie powiedzieć: i tyś swoje cegiełkę tu dołożył. Jakąż jednakże była nasza zapłata, jakie widoki się nam otwierały, jakie korzyści dostawały się nam w udziale za trudny? Przyszłość nasza coraz się zaciemniała... Wtém zagrzmiął potężny głos wolności i odrazu podnieśli się bracia nasi w Niemczech, ażeby zrzuć z siebie tak długo cierpiane jarzmo.“ Następują żądania robotników.

O stosunku zaofiarowania do żądania nie chcieli robotnicy drukarscy nic wiedzieć i „nieugięte prawo zarobku“ tym razem „zastosowania nie znalazło.“ Postanowienia zgromadzenia mogunckiego nigdy wprawdzie przeprowadzone nie zostały, jednakże położenie zecerów znacznie się polepszyło i co dla nas jest najważniejszém, zarobek się podniósł i to podniósł się już przed temi zgromadzeniami na drodze dobrowolnej ugody pomiędzy pryncypalami i robotnikami. Droga ta była dla robotników zawsze otwartą, weszli jednak na nią dopiero gdy wypadki 1848 r. rozbudziły w nich poczucie własnej godności, zaczęli oni wyżej cenić swą pracę i wyższa jej wartość uznana została.

Podniesienie się zarobku, o jakiém dopiero co mówiliśmy, nie było spowodowane przez znienienie się stosunków zaofiarowania do żądania. Nie chcemy przez to twierdzić, że taka zmiana niema żadnego wpływu na zarobek. Zaofiarowanie i żądanie występują naprzeciw siebie przy oznaczeniu zarobku, ale nie jako ślepe siły natury walczące ze sobą; o rezultacie nie rozstrzyga tutaj, jak przy tworzeniu się bałwanów na morzu, która z sił, czy siła wiatru, czy ciężkości wody zwycięży nad falami, jakie tworzy starcie się zaofiarowania i żądania. Panuje tu raczej siła moralna jakby mitycznego Neptuna, uśmierzająca burze. Moralność, charakter narodu, wśród którego się to starcie odbywa, nadają mu bardzo różnorodną postać.

Niema żadnego fatalistycznego prawa, któreby pracy taką a nie inną wartość nadawało. Praca dla drugiego człowieka połączona jest z poświęceniem, na czas zajęcia, własnej niezależności, praca też taką będzie miała wartość, jak wysoko to poświęcenie cenioném będzie; na to ocenienie zaś wpływać będzie cała siła moralna żyjąca w narodzie.

Zaofiarowanie i żądanie zmienia się co chwila. Gdyby zarobek od stosunku zaofiarowania do żądania zależał, to także ciągle zmieniaćby się musiał, zmiany jednak zarobku są daleko rzadsze, niż zazwyczaj sądzą. Że jeden tylko przykład przytoczę: zapłata robotników strycharskich w Jenie przez 30 lat pozostała niezmienną, ta niezmiennosc zarobku zdarza się w bardzo wielu rzemiosłach. Czyż można przypuścić, że w powyższym przypadku, stosunek zaofiarowania do żądania nie zmienił się przez 30 lat. Nie podlega wątpliwości, że zdarzają się wypadki, w których zmiany zarobku li tylko przez zmiany stosunku zaofiarowania do żądania są spowodowane, tak w razie przesilenia przemysłowego przy robotach pilnych, krótki czas trwających, jak np. podczas żniwa na wsi. W rzemiosłach jednak, gdzie zajęcie przez cały rok idzie jednym trybem, widzimy zmiany spowodowane przez obniżenie się wartości pieniędzy lub przez wpływy moralnej i politycznej natury, nie spostrzegamy zaś wahania się zarobku, któreby miejsce mieć musiało, gdyby każda zmiana stosunku zaofiarowania do żądania na zarobek miała wpływ wywierać.

Powtarzamy w tym miejscu znów nasze zapytanie, na co nam się przydać mogą prawa, którym rzeczywistość kłam zadaje; o ich nieugiętości zapewniają nas jednak ich zwolennicy, gdy tylko idzie o jaką kwestyą z praktyki.

Jeżeli nam przyznanem zostanie, że wpływy moralne mogą mieć w swém następstwie podniesienie się zarobku, to będziemy w stanie podać nie tylko ujemny rezultat.

Wysokość zarobku nie zależy od fatalistycznej z żelazną nieugiętością działającej siły, ale wpływy moralne stanowe tu mają znaczenie. A zatem moralne podniesienie ludu przez wyższą oświatę ludową, przez samorząd gminny i t. d. wpłynie na podniesienie zarobku, na wyższe cenie pracy, na większe urównanie różnic majątkowych. Tylko tego cenią drudzy, kto sam szanuje swą godność. Niech lud poczuje swą godność, a praca wyższą będzie miała wartość. Sztucznie przez przywrót społeczny zmieniają się tylko osoby, ale rzecz pozostanie ta sama; kto społecznie stał wyżej, zajmie niższe stanowisko, ale tak samo jedni stać będą wyżej, drudzy niżej, póki podstawa moralna społeczeństwa się nie zmieni. W podniesieniu poziomu moralnego całego ludu leży też rozwiązanie kwestyi socyalnej.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Dzieło p. Taine, profesora estetyki w paryżkiej akademii sztuk pięknych p. t. „Notes sur l'Angleterre.—Pani Homaire de Hell z towarzystwa jeograficznego paryżkiego; dzieło jój „A travers le monde“ ustęp o literaturze rumuńskiej; poeta Alessandri.—Jubileusz Moliera obchodzony w Wiedniu.—Dykcyonarz archeologiczny p. Violet le Duc; znaczenie średnich wieków.—Zmarły egiptolog Emanuel Rougé.—Stanisław Julien, zmarły professor chińskiego języka w kolegium francuzkiém.—Nestor poetów Aleksander Manzoni.—Rozwój sztuk pięknych w Indyach, zmiany w wychowaniu kobiet.—Książę Aumale w Akademii.—Koncert Wł. Tarnowskiego dramat Karlińscy.—Zachód słońca Wiktora Hugo.

Już dwa wieki temu, jeden z wielkich myślicieli angielskich badając stosunki między Anglią a Francją pod względem żywiołów cechujących dwa sąsiednie społeczeństwa wyrzekł: iż Bóg stworzył je dla tego, aby pokazać potrzebę nadzwyczajnej różnitości w dziełach swoich. Tak było dwa wieki temu, tak jest i dzisiaj, mimo że terazniejsza Anglia nadzwyczaj się zdemokratyzowała, według zdania samychże Anglików. Tę wielką, tę nadzwyczajną różnicę dwóch narodów, z właściwym sobie talentem określił słynny professor estetyki w paryżkiej akademii sztuk pięknych p. Taine.

Imię Taina dobrze znane czytelnikom naszym. Nieraz już wspominaliśmy o tym głównym dziś przedstawicielu pozytywizmu w estetyce. Można pospierać się z nim o zasady, ale trudno zaprzeczyć mu wielkich zdolności badawczych. Okazał je szczególnie w ostatnim utworze: *Notaty o Anglii*.

Gdybyśmy chcieli wybierać wszystkie zajmujące ustępy z tego dzieła, nie starczyłoby na to miejsca w całej kronice naszej, poprzestawiamy więc na pobeżnym tylko przeglądzie.

W rozdziale p. t. „Typy“ autor wprawna, prawdziwie artystyczną ręką kreśli kilkadziesiąt wyborynych obrazków. Wszystkie te szkice czyto mężczyzn, czy kobiet, można odnieść do trzech prototypów

nacechowanych piętnem czysto narodowém. Pierwszy z nich to człowiek krępy, zsiadły, nieodrębny potomek staro-saksońskiego plemienia; drugi limfatyczny, małowówny, obojętny; trzeci znów odważny, przedsiębiorczy, gotów na największe trudy byleby dojść do celu. Biegły malarz pozwala sobie niezliczonych wariantów: tu coś doda, tam ujmie, wszędzie jednak widać typowe rysy. Nic pociesniejszego, jak ta galerya portretów, z których wiele zakrawa na karykatury, lubo są najprawdziwsze i bynajmniej nieprzesadzone. Autor nie ma wcale niechęci do Anglików, przeciwnie, nawet sam zimny realista, okazuje się dla nich bardzo względnym. Jeżeli więc w tym szeregu naszkicowanych postaci wystąpi tu i owdzie jakaś karykatura, to dlatego, że podobny wzór istnieje w żywym społeczeństwie.

Obok otyłej ochmistrzyni z czerwoną twarzą, z modremi oczyma bez blasku, jak malowany fajans, z rzędem długich wystających zębów, p. Taine okazuje nam jasnowłosą dziewicę z okiem spuszczone, lekko zarumienioną, niewinną jak Rafaelowska Madonna; dalej pannę dojrzałą, wspartą na niewzruszonych zasadach, *uroczystą pikietę*; potem *rosłą jałowicę*, otyłą, limfatyczną, o białych brwiach i rzęsach; to znowu *gąskę* z okrągłemi oczyma na wierzchu głowy. Typy mężczyzny równie wydatne, niektóre nawet piękne, jak tego ojca rodziny przemawiającego do syna: „Pracuj i weź udział w przedsiębiorstwie użytecznym dla kraju; inaczey nie godzien jesteś zwać się człowiekiem, nie masz prawa szanować sam siebie.“ Główna to maksyma angielska,—dodaje autor;—każdy rozumie ją i stara się wprowadzić ją w życie, każdy z zimną rozważą i wytrwałym uporem zabiera się do pracy, przekonany, że ma wielką powinność do spełnienia; idzie też, nie patrząc na lewo ani na prawo, nie szukając próżnych roztargnień, bo wielki cel świeci mu przed oczyma.

Pan Taine wprowadza nas do ogniska rodzin angielskich, daje poznać wychowanie kobiet. Ciekawy to i ważny ustęp w jego dziele.

Córki bogatych rodzin uczą się wszystkie po francuzku, po niemiecku, po włosku od piastunki lub bony. Język francuzki ma pierwszeństwo. Gdy dorosną czytają Danta i Manzonię, Goethego i Szyllera, Kornela, Rasina, Moliera, Chateaubrianda i niektórych nowych pisarzy. Wiele z nich uczy się po łacinie: to im posłuży w wychowaniu synów lub młodszych braci. Oddają się pilnie naukom przyrodniczym: botanice, mineralogii, geologii. Przyroda żywo je zajmuje: czyto na wsi, czyto nad morzem, czy w dalekich podróżach zbierają z upodobaniem kamyki, muszle, zasuszają rośliny. Wogóle nauka ma dla nich większy pociąg niżeli dla Francuzek. Wiele Angielek nie idzie wcale za mąż, rodzice też troskliwi o przyszłość córek dają im staranne wychowanie, aby im zapewnić cel życia.

„Znałem—mówi autor—pięć panien w jednej z wielkich, lecz niebardzo zamożnych rodzin. Starsze miały blisko po lat czterdzie-

sei; nie znalazły mężów, pomimo niepospolitej urody, bo majątek ich nie odpowiadał pańskiemu wychowaniu.“

Ojciec daje zwykle córce posag, równy dochodom starszego syna, majorata. Co więcej zmusza przyszłego zięcia do zapewnienia żonie intercyzą znacznej summy, z której ona pobierać ma procent na własne potrzeby. Oddala to częstokroć młodzież od związków małżeńskich. Zresztą Angielka nie pójdzie za mąż bez miłości, a tytuł starzej panny (spinters) wcale jej nie odstrasza. W każdej prawie rodzinie są ciocie, które umieją stać się pożytecznymi. Jedne z nich wychowują dzieci, drugie zajmują się ogrodem lub też biorą na siebie inny udział domowego zarządu; niektóre malują, albo oddają się nauce i zostają autorkami.

Liczne imiona pauien słyną w powieściowej literaturze; dosyć tu przypomnieć miss Yonge, miss Kavanagh, miss Brontë, miss Jewsbury, miss Thackeray, że pominiemy wiele innych. Wogólności kobiety ważne zajmują stanowisko w literaturze angielskiej. Panie Gaskell, Eliot, Browning, należą do pierwszorzędnych pisarzy współczesnych. Muóstwo też przekładów z niemieckiego i francuzkiego wyszło z pod pióra angielskich pauien. Wiele z nich pracuje nad oświeceniem ludu, tworzy stowarzyszenia, zakłada pisma i przeglądy, naucza wiejską dźiatwę. Córka najwyższego nawet rodu, stara się nabyć jakąś specyjalność. Popęd w tym kierunku wyszedł od rodziny panującej: królowa Wiktorya, równie jak jej córki, na każdą loteryą lub wentę dla ubogich, zwykły dawać rysunki i akwarelle wykonane własną ręką.

Wszyscy tu biorą życie na seryo. Kobiety najmłodsze nawet nie wyłamują się z pod ogólnego prawa. Pan Taine zapewnia, że nie spostrzegł dziennika mód w żadnym domu londyńskim. Gdy wyraził zdziwienie swoje w tym względzie, odebrał odpowiedź z ust przyjaciela, iż żadna angielka nie czyta podobnie błachych rzeczy. Za to w przeglądzie poświęconym wyłącznie kobietom: *Brittish women Review* znalazł poważne listy o życiu emigrantów w Australii, rozprawy o publicznem wychowaniu francuzkiem i t. p. Nie ma tu ani powieści, ani pogadanek o teatrze, tém mniej wzmianki o modach.

Autor przytacza tytuły artykułów pisanych przez kobiety w zbiorze: *Transactions of the Association for the promotion of social sciences* (Ustawy towarzystwa propagandy społecznych nauk). Miss Twining: *O wychowaniu w domach roboezych* (workhouses); Barbara Collets: *O szkołkach okręgowych dla ubożiego ludu w Anglii*; Mary Carpenter: *Zastosowanie przepisów wychowania dla niższych warstw społeczeństwa angielskiego*; Florencya Hill: *Stan obecny kolonii Mettray*; Florencya Nichtingalle: *Statystyka szpitalów*; Bessie Parkes: *Stanowisko robotnic w Anglii i Francyi*; Sarah Remond: *Niewolnictwo w Ameryce i wpływ jego na Wielką Brytanią*; Jane Crowe: *Raport towarzystwa założonego w celu dostarczania pracy kobietom*.

Powyzsze autorki nie zamężne są w większej części. Niektóre z nich pełnią obowiązki sekretarek przy różnych wydziałach stowarzyszenia, którego powyższe pismo jest organem. Jeden wydział obmyśla prace dla kobiet, drugi odwiedza workhauzy, inny pielęgnuje chore kobiety po szpitalach.

Wszystkie te artykuły nauczające i pożyteczne. Zwyczaj odwiedzania biednych, uczenia dzieci w szkołkach wydał już najpiękniejsze owoce. Młoda kobieta spotykając się oko w oko z nędzą ludzką, rozmawiając z ubogimi, uczy się zastanawiać, myśleć i rozumować: pojmuje prawdziwe zasady postępu. „Trzeba przedewszystkiem, mówi Mary Carpenter, rozwijać *wolę* w dziecku, kierować umiejętnie tą wolą, widzieć w niej głównego współdziałacza w wychowaniu. Nie można inaczej poprawić się i udoskonalić, jak przez *siebie samego*. Inicytywa, wysilenie osobiste, słowem *self government* jest tu koniecznym. Prawidło moralne nie powinno przychodzić z zewnątrz, ale wypływać z wnętrza jednostki.“

Ktokolwiek czytał powieści angielskie wić, z jak ścisłą dokładnością autorki kreślą zarysy charakterów. Nie jedna z nich lepiej zna serce ludzkie niż jaki psycholog z professyi.

„Niech sobie kto chce żartuje z uczoności angielfki, — mówi autor — niech ją nazywa pedantką, *bas-bleu*, książką chodzącą, mniej-sza o to; ale porównajmy życie próżniacze naszych pań, przepędzających lato na wsi, ich nieznośne nudy, porównajmy nasze stare panny, zajęte hodowaniem kanarków, roznoszeniem plotek z domu do domu, a pogodzimy się z uczonością angielek.“

Autor zrzuca z nich nawet zarzut pedantyzmu. Wogólności, jak mówi, piszące kobiety zachowały skromność i prostotę. Żadna nie rzuca ci w oczy autorstwa swego, nie wspomina o sobie, ani o książkach własnych. Pani N. oto, biegła helenistka z arystokracji angielskiej ma dziewięć córek, dwio guwernantki, odpowiednią liczbę służących; przez lato zamek jej przepelniony gośćmi; cały zarząd domowy spoczywa na jej głowie, a jednak daje radę tylu rozlicznym zajęciom: wszystko w domu wywija się jak z płatka; obok tych licznych zatrudnień znajduje czas na badanie starożytności greckich.

Niepodobna wyliczyć wszystkich opisów podróży, jakie tu rok rocznie wychodzą z pod pióra kobiet. Angielki lubią niesłychanie podróżować; jeżdżą bezustannie to do Rzymu, to do Kairu, lub Jerozolimy. W ciągu podróży kreślą notatki, zapisują codzienne wrażenia. Za powrotem niektóre drukują swój dziennik, inne udzielają rękopismu przyjaciółkom. Te które podróżować same nie mogą od czytują chętnie cudze wrażenia i przygody. Tym sposobem każda angielka wić co się dzieje we wszystkich częściach świata; żywo ją zajmują kopalnie oleju skalnego w Pensylwanii, bunty Taipingsów w Chinach, coroczne rzezie w Dahomey i tym podobne przedmioty.

Żona towarzyszy zwykle mężowi w dalekich podróżach po świecie, bez względu na trudy i niebezpieczeństwa. Autor cytuje panie

Livingston i Backer, które przebiegły z mężami wielką część Afryki środkowej; żonę biskupa anglikańskiego, która na wyspie Sonde o mało ze nie wpadła w zęby ludożercom. Wspomina niemniej mnóstwo wielkich pań przebywających z mężami w Indiach wschodnich, w Australii, słowem po wszystkich stronach kuli ziemskiej.

Wogólności p. Taine sympatyczniejszy kreśli obraz anielek niż anglików. Na wszystkich szczeblach społecznych w tych niezliczonych obrazkach, światło skierowane zawsze ku stronie kobiet. Niekiedy jednak spotykamy piękny typ pracowitego i przedsiębiorczego syna Albionu. Widzimy go na przykład w tym gospodarzu wiejskim (fermerze), który stojąc w pośrodku dziedzica wyznacza rolnikom dzienną pracę; oszczędny w słowa nigdy on nie podniesie głosu, nigdy nie zmarszczy brwi, a przecież każdy wyraz jego ma w sobie siłę rozkazodawczą; wszystko ożywia, wszystko wprowadza w ruch około siebie. Niemniej piękny typ kreśli autor w wielkim panu wśród włościan i robotników, lub na parlamentarnej mównicy, kiedy prostymi słowy bez kwiatów retorycznych wyklada jasno potrzeby kraju swego. Piękny on wzniosłą pięknoscią moralną, brak mu jedynie wdzięku, dodaje autor, ale wszystkiego wszystkim nie dano.

Obok wielu jasnych obrazków widzimy inne czarnemi narzucone farbami, nie wskutek złej woli, albo uprzedzenia: autor maluje to co widział. Po świetnościach Londynu rzucmy okiem na potworny Liverpool zbudowany na cuchnących bagnach, tonący w wieczystej mgłę: to niegdyś trzęsawisko pełne gadów, dziś ostoją półmilionowej ludności!

„Wybiła szósta—mówi autor.—Wracamy z części miasta, gdzie mieszkają ubodzy. Jakiż to straszny widok! W okolicach Leendsstreetu jest jakie dwadzieścia ulic poprzewieszanych wpoprzek rzędami sznurów, na których schną gałgany. Wzdłuż wschodów siedzą skulone dzieci po pięcioro lub sześcioro na każdym szczeblu. Starsze piastują na rękę niemowlęta. Cera ich blada, włosy białawe, rozczochrane jak garść konopi. Brudne, bose, odziane podartą szmatą; nie dopatrzyć ich rysów pod skorupą sadzy i kurzu. Setki takichże chłopiąt bije się z krzykiem po ulicach. Wnijdźmy do ciemnej izdebki: stara babka z obłąkanym wzrokiem siedzi skulona w kącie; matka wychudła, napół obnażona, łata brudno łachmany; zgniła woń przepęlnia powietrze jak w składzie gałganiarza: w każdym z tych domów ludzie gnieźdzą się po piwnicach wilgotnych, wyłożonych cegłą. Okropnaż to zima w takim podziemiu!

„Niekóre niemowlęta zachowały jeszcze ostatek kraszy świeżej; starsze blednieją i więdną w zabójczej atmosferze. Sere ścisła się gdy patrzymy w ich modre oczęta, połyskujące gorączkowo; na twarzy czkają białą jak kreda, na skrofuliczne rany zalepione papierem.

„Zapuszczamy się dalej ulicą; rojowisko coraz to większe. Nedorostki leżą po trotoarach, grają w czarne od brudu karty. Starsze baby chwyciającym krokiem wychodzą z szynków; woń dżynu (ja-

łowcówki) bucha od nich zdaleka. Wzrok ich osłupiały, śmiech głupowaty, cera ohydna, jakby spalona witryolem. Z pod dziurawych szmat wygląda ciało przerosłe ziemią. Łachmany ich znać podjęte ze śmietnika zachowały ślady jakiejś dawniej wytworności: na niejednej głowie ujrzyysz różowy kapelusik wielkiej pani, zmieniony dziś w bezecne czupiradło.

„Wyobraźmy sobie długą, prostą ulicę na pół ciemną, zawaloną po obu stronach kupami tych nieszczęśliwych istot. Nie byłam w części miasta Irlandczyków, brakło mi na to odwagi: jest to jak mówią najgłębsze koło Dantowskiego piekła.“

Strach przejmuje na myśl, że ta z pozoru kwitnąca i pyszna z pomysłowości swojej Anglia, ma we wnętrzu tak ohydneho raka toczącego żywceem jej ciało. Według statystycznych cyfr, wykazanych przez Taina w ciągu ostatnich lat czterech, na 18 milionów ogólnej ludności, przeszło milion jednostek, zapisanych do rozmaitych biur dobroczynnych, żyje z publicznej jałmużny.

Z liczby kilku kobiet, które Towarzystwo jeograficzne paryzkie powołało do poważnego grona swego, zmarła w roku zeszłym pani Adela Homaire de Hell znakomita autorka, najgodniejsza z pomiędzy towarzyszek zaszczytu, jaki ją spotkał. Żona słynnego podróżnika towarzyszyła mężowi w missyi naukowej powierzonej mu przez rząd około roku 1843. Przebyła z nim pięć lat pomiędzy Dunajem a górami Kaukazu i silnie przyłożyła rękę do dzieła p. t. *Stepy morza Kaspjskiego*. Ważna ta publikacya w trzech tomach z mapami drukowaną była w roku 1847. Pan Homaire de Hell wziął na siebie dzieł czysto naukowy, kreslił mapy i plany, żonie zaś powierzył obraz miejscowości, obyczaje ludu, słowem etnograficzną i malowniczą stronę dzieła.

Śmierć rozdzieliła przedwcześnie pracowitych, ożywionych jedną myślą małżonków. Pan Homaire de Hell nie miał już powrócić z podróży; umarł w Ispahanie w roku 1848. Na kilka miesięcy przed tém wyprawił żonę do Francyi dla załatwienia spraw domowych. Pani de Hell lubo dotknięta najboleśniej nie upadła jednak pod ciosem. Zabrała się pilnie do pracy i z papierów pozostałych po mężu, dwoma nowemi tomami dopełniła dawniejszedzieło o Kaukazie.

Niezmordowana pisarka należała prócz tego do kilku przeglądów poświęconych wyłącznie podróżom. Jako poetka zwróciła na siebie uwagę tomikiem poezyi p. t. *Marzenia podróżnika*.

Po śmierci męża popłynęła do Martyniki, następnie zwiedziła Rumunią. Wspomnienia z tych dwóch podróży nakreśliła w dziele p. t. *A travers le monde*, wydaném przed trzema laty.

Nie będziemy rozierać dziś tego pełnego zalet dzieła, zwrócimy tylko uwagę na krótki ustęp tyczący się Rumunii, kraju, z któ-

rym łączyło nas niegdyś tyle węzłów. Idzie nam głównie o wskazywanie ruchu literackiego, żywo objawiającego się nad Dunajem.

Pani de Hell z gorącym współczuciem wyraża się o Rumunach. Obwiniają ich—mówi—o pychę, obłudę i wielką chciwość. Zarzuty w części słuszne, ale wady ich są koniecznym następstwem długotrwałego ponizenia w jakim żyli. Przewrót społeczny, jakkolwiek położył podwaliny przyszłego porządku, nie mógł jednak przeistoczyć w jednej chwili usposobienia narodowego: potrzeba na to czasu.

Rumuni—ciągnie autorka—nadzwyczaj są pojętni; z zapalem chwytają nowe idee, szczerze kochają kraj własny; w takich warunkach odrodzeni społecznie, przyjdą wkrótce i do moralnego odrodzenia.

Pisarze, zwłaszcza poeci wzięli sobie za cel poruszyć strunę szlachetną w sercach, przypominając narodowi uczucia bohaterskie i gorącą wiarę naddziadów. Aleksandresco, Bolintinaeno, Konaki i Bazyli Alessandri rozpoczęli ten wielki ruch poetyczny, który z czasem stworzy literaturę narodową. Heliade poeta i lingwista zarazem poświęcił trzydzieści lat życia na odtworzenie języka rumuńskiego. Ta praca zajmująca go dotąd, pozwoli wkrótce autorom dramatycznym i powieściopisarzom wystąpić samodzielnie na polu literatury i w miejsce przekładów karmić naród płodami myśli czysto rodzimój.

Andrzej Watchmann uczynił też samo dla muzyki, co Heliade uczynił dla języka: zebrał w kilkudziesięciu albumach liczne pieśni ludu dotychczas nie spisane. Zamiłowani w muzyce wieśniacy młodocześcy mają niezliczoną moc ballad i pieśni, do których układają sami melodye. Rzewna tęsknota cechuje te utwory; łatwo je wytłumaczyć, gdy wspomnimy wiekowe niedole tego biednego ludu.

Pasterze karpaccy, jak starożytni bardowie zachowują wiernie tradycje przeszłości w naiwnych swoich *Moinach*. Wszystko dla nich jest źródłem natchnienia: kościół, pustelnia, las, lodozwały spadające z gór na doliny. Wyobrażnia ich karmiona samotnością, wybiega po nad obręb rzeczywistego świata, i zaludnia tak góry jak doliny mnóstwem nadzwyczajnych i fantastycznych istot.

W pieśni ich wielką rolę odgrywają *Formozy*, piękne czarodziejki, istoty tejsze samej natury, jak serbskie *Wile*, i ukraińskie *Rusalki*. W głębi rzek i krynic przebywają tu *Neluki* i *Duny*; w cieńnię puszczy niedostępnych skrzydlate *Zyny* (zmije) pilnują skarbów i porwanych księżniczek.

Lud śpiewa pieśni swoje starożytnym językiem, który od wieków przechował się pod strzechą wieśniaczą. Kiedy za czasów Fanariotów bojarowie i uczeni żyli pod wpływem literatury greckiej, ten ciemny ale dumny lud wieśniaczy mówił gminną łaciną, jakiej używali niegdyś żołnierze Trajana. W tym języku opiewali Rumuni własne niedole i wielkie czyny swych naddziadów. Wędrowni rapsodyści roznosili po kraju te poemata niewiadomych autorów, nie spisane niczyją ręką, przechodzące z ust do ust, od pokolenia do pokolenia.

Alessandri pierwszy zwrócił uwagę na te pieśni, które go dzieckiem wykołysały; jako prawdziwy poeta umiał ocenić ich rzeczywistą piękność. Postanowił zebrać z ust ludu i zachować dla przyszłości owe drogocenne zabytki, zanim czas rozprószy je lub przeistoczy. Wiele lat zeszło mu nad tą pracą. Podczas kiedy Mikolaj Balcesco rozgrzebywał gruzy starożytnych monasterów, szukając pod niemi pamiątek dawnej chwały, Alessandri przebiegał góry i doliny Rumunii, zbierał liczne legendy i podania. Nieraz — jak mówi — zabłąkał do jaskini jakiego sławnego rozbójnika, to znów zasiadał u ogniska w gronie poważnej starszyny wiejskiej; słuchał opowiadania dziadów, skłaniał ucho na pieśni młodych dziewcząt. Z tych wędrówek po górach i lasach przyniósł w sercu gorętszą miłość swej pięknej i poetycznej ziemi i większe poszanowanie dla biednego a poczciwego ludu, który ją od wieków zamieszkiwał.

Pieśni ludu zebrane przez poetę Alessandri dzielą się na trzy rodzaje: ballady, Doinas i Horas.

W balladach opiewa lud wojenne czyny książąt i bohaterów swoich. Wieśniacy karpaccy, ci prawdziwi bardowie Rumunii śpiewają te ballady na żałosną nutę, głosem przeciągłym i dziwnie wnikałym w głąb duszy.

Doiny (zapewne dumy) są to małe piosenki wyśpiewane pod wpływem miłości lub też wspomnienia chwały narodowej. Główną ich cechą stanowi tęsknota i zaduma. Poetyczny Rumun urozmaica swoją Doinę mnóstwem malowniczych obrazów i śmiałych niekiedy porównań. Pieniądze np. mieni *okiem dyablem*, śmierć obłubienicą świata, ziemię na wzór Rzymian nazywa matką (mater). Dobroć porównywa do macierzyństwa: „dobry jak łono matki“ (*bun ca simul mamci*); człowieka w gniewie do Dunaju: „staje się Dunajem“ (*se face Dunere*); o mężu wyższym mówi, że nosi gwiazdę u czoła (*cu stea in frunte*); o pięknej niewieście, że jest ułomkiem słońca (*rubta din soare*).

Pieśni *horas* tak się zowią od tańca, któremu zazwyczaj towarzyszą.

Taniec ten przypomina zupełnie *chorus* rzymski, jaki widzimy na starożytnych płaskorzeźbach. Mężczyźni i kobiety trzymając się za ręce tworzą koło, wśród którego stoją grajkowie (*lautari*). Z wolnym, jednostajnym kołysaniem tańcerze to rozszerzają koło, to je ścieśniają znowu: jeden z pomiędzy grajków śpiewa odpowiednią piosenkę zwaną *horas*.

Inny taniec *calusari* starożytniejszy i bardziej rycerski ma charakter. Lud tańczy go podczas Zielonych świątek uzbrojony w maczugi, włócznie i puklerze: są to niby przypomnienia walk starożytnych gladiatorów.

Oprócz wyżej przytoczonych lud ma jeszcze pieśni religijne zwane *kolinde* (nasze kolędy). W wigilię Bożego Narodzenia i No-

wego Roku tłumy dzieci przebiegają wsie i miasteczka śpiewając te pieśni pod oknami.

Ballady ludowe Alessandri przełożył na język francuzki, chcąc je dać poznać ucywilizowanemu światu. Widzimy w nich wyraźne ślady starożytnej mitologii. Słońce pojawia się tu jak za czasów Owidiusza w postaci młodzieńca złotowłosego, na wozie ciągniętym przez dziewięciu rumaków. *Pan* przebiega cieniste lasy w pogoni za dziewczętami. Smoki i potwory co chwila występują na scenę. Najstraszniejszy z nich *Balaurg* ma paszczę tak szeroką, że kiedy jedną część jej wspiera na ziemi, drugą dotyka nieba. Mimo to bohaterowie ziemscy na wzór Perseusza zwalczają zawsze te skrzydlate potwory.

W tychże balladach widzimy ślady zabobonów sięgających po-gańskiej starożytności. Rumun wierzy w oddziaływanie gwiazd, we wpływy dni pomyślnych i złowrogich, w wieszczby wszelkiego rodzaju. Przekonany jest, że losy każdego człowieka związane niewidzialnym łańcuchem z jego gwiazdą. Jeżeli mu grozi niedola, gwiazda pokrywa się zasłoną (*se intenuca*); w chwili skonu człowieka gwiazda odczepia się z widnokręgu i spada w niedoścignioną otchłań. Kiedy kłeska ma uderzyć w naród, ogniste znaki na niebie zwiastują katastrofę.

Lud wierzy niemniej w fatalną konieczność zbrodni uwydatnioną w podaniach o Edypie i Orestesie. „Zbrodnia—mówi stare przysłowie ludu—szuka zawsze zbrodniarza.“ Narody według niego muszą zarówno jak jednostki ulegać przeznaczeniu swemu. Wiara ta dodaje mu wytrwałości w twardych próbach, które kiedyś skończyć się muszą. Wierzy silnie w wiecznotrwałość plemienia swego. Przysłowie mówi: Rumuniu nie zaginie, *Romano no pere*.

Zachowuje się jeszcze przesąd głęboko zakorzeniony u tego ludu, powtarzany bezustannie w balladach. Rumunia wierzy, iż głód, mór, szarańcza przychodzą mu zawsze z poza Prutu. To też Prut jest dla niego rzeką przekłętą, niby Kocytem o czarnych wodach, co dzieli od *raju rumuńskiego*, jak zwykle nazywa rodzinną ziemię. Pieśń o Prucie przeklętym rozlega się po skałach i jarach Rumunii: dajemy ją w przekładzie.

D O P R U T U.

Prucie! Prucie ty przeklęty,
Oh! szeroko roztocz bieg!
Niech przez brudne twoje męty
Nie dostrzeże brzegu brzeg...

Oko z okiem się nie zbieży,
 Głos się z głosem nie śmie zrość,
 Kiedy przynknie do wybrzeży
 Twych, szarańcza smutny gość!
 Niech ją schłoną twoje prądy
 I cholery struty jad,
 Nimby na te piękne lądy
 Zarażliwy pomór padł...
 Zaczém wrogi przez twe tonie,
 Ku tym brzegom dotrą w bród;
 Niech twa paszcza ich pochłonie,
 A ty pyszny z twoich wód,
 Na burzliwej nieś ich fali,
 Do Dunaju, porzuć tam:
 Dunaj morzem pchnie ich dalej,
 Aż do zwartych piekieł bram.

Ballady Rumunów odznaczają się charakterem nadzwyczaj dramatycznym. Przytaczamy tu jedną z najdawniejszych:

K I R A.

W porcie Braiła stoi szeregiem,
 Siedm ładownych łodzi nad brzegiem
 I siedm szalup. Majtkowie młodzi
 Znoszą towary z ładownych łodzi,
 A kukurydzy i zboża kupy,
 Z żywym pogwarem sypią w szalupy.

Czyjeż te łodzie? czyjeż to żyto?
 Murzyn w dalekie bierze je strony.
 Rybiemi łuski głowę ma krytą,
 Wargi wypukłe barwy czerwonéj;
 Czarny na skórze jak węgiel cały,
 Zęby ma rzadkie: ślepie jak gały.
 Gdy zboże majtki kładą na łodzie,
 Gdzież Afrykanin? w Kiry gospodzie.
 — Kiro ty piękna, ty Kiralino!
 Ej czarodziejko, cudna jak zorza;
 Wnet łodzie moje w drogę odpłyną,
 Ja na dalekie wezmę cię morza;
 My za morzami kraj piękny mamy:
 Dam ci sukienki z srebrzystój lamy,
 Dam moc klejnotów drogich bez liku,
 I złote sprzączki dam z Irmiliku.

A Kira słucha i tak odrzeczę:
 — Co tobie w głowie czarny człowiecze,
 Czyż za jaskółką goni kruk czarny?
 Za krasnym kwiatem czyż gonią węże?
 Biegnież-to niedźwiedź za śladem sarny?
 Ciemnaż-li chmura słońca dosięże?

Zaledwie Kira rzekła to słowo,
 Murzyn z pokrytą łuskami głową,
 Dziewczę ramiony schwył krzepkimi;
 Wnet do kaiku sunie poskokiem,
 Wiosłem odepchnie kaik od ziemi:
 Jużci po morzu płyną szerokiem...

Wtém bracia Kiry, zbójce z Braiła,
 Węże Dunaju pędzą z oddali;
 — Gdzieżeś—wołają—siostrzyczko miła?
 Wpław za jej śladem pomkną po fali.
 Chyżo spienione przebrnęli wiry,
 Z kaiku w morze strąca murzyna,
 Ostremi słowy rzekną do Kiry:
 Drżąca jak listek słucha dziewczyna.

— Niegodna sestro! śmierć twoja bliska,
 Ubiedz od kary już nie w twój mocy!
 Wolisz-li umrzeć gdy słonko błyska?
 Wolisz-li umrzeć w pomroku nocy?
 — Mieścież wy litość bracia nademną;
 Ani przy słonku, ani w noc ciemną,
 Ja umrzeć nie chcę; mnie żyć potrzeba,
 Wszak jam nie winna, niech świadczą nieba!

A bracia Kiry, zbójce z Braiła,
 Węże Dunaju do dom ją wiodą,
 Nie masz bo rady, straszna ich siła!
 Cóż oni z siostrą uczynią młodą?
 Do słupa sznurem przywiążą ciało,
 W okół je płachtą obwiną białą,
 Napuszczą smołę,—owóz po chwili,
 Suchém łuczywem słup zapalili.

— Siostro niegodna! ciężkie twe winy,
 Zmyć nam potrzeba hańbę rodziny;
 Czyż za jaskółką goni kruk czarny?
 Za krasnym kwiatem gonią-li węże?
 Biegnież-to niedźwiedź za śladem sarny?
 Ciemna-li chmura słońca dosięże?

Na twoje grzechy dusza się sroma!
 Roztlim własnymi płomienią rękoma,
 Cała na popiół rozsyp się marny,
 Spalże się cała na węgiel czarny;
 W straszną murzynkę przemień się cała,
 Gdyś murzynowi serce oddała...

Do góry płomień rośnie a rośnie,
 Kira w płomieniach jęczy żałośnie;
 Ciało jej z bólu wije się srodze:
 Zabrakło technienia w piersi niebodze.
 — Bracia kochani, bracia wy moi!
 Łzamiż wam siostra serce nie rozbroi?
 Czemuż ja w mękach umierać muszę,
 Skorom nie winna? klnę się na duszę!

A płomień rośnie, objął ją wkoło,
 Sięga do ramion, sięga po czoło;
 Bieluchne ciało już się rumieni,
 W krąg ogarnięte żarem płomieni.
 Po chwili krasnym błyska szkarłatem,
 Potem na węgiel czarny się zmienia;
 Smoła żywicznym technie aromatem,
 W sercu ostatnie kołaczą drgnienia,
 Jęk jej żaloszny brzmi coraz ciszej:
 Zmilkła... już głosu nikt nie zasłyszysz...

Bracia podjęli ostatki ciała,
 Na miałki popiół roztarli w dłoni;
 Wiatr po szerokiej rozniósł je błoni:
 Tylko o Kirze pamięć została.
 Skarcili siostrę według zwyczaju
 Zbójce z Braiła, węże Dunaju!...

Zasłużony zbieracz pieśni rumuńskich Alessandri dał się nie-
 mniej poznać, jako oryginalny poeta. Pieśni jego wyszły w Paryżu
 1853 r. pod tytułem: *Doine si lacrimiore si suvenire* (Doiny, elegie,
 wspomnienia). Przyjaciel autora Woinesco część ich przełożył na
 język francuzki.

Dajemy z nich maleńką próbkę w przekładzie wykonanym
 z przekładu.

Drobnepłaszę.

Ozegoś smutny ptaszku biały,
 Powiedz, czego ci potrzeba?
 Czyż nie tryska z dróży ze skały,
 Czyż się przyćmił błękit nieba!

Czemu siedzisz zasępiony,
Czemu zmiłkły pieśni twoje?
Patrz, w dąbrowie tam zielonej
Braci ptasząt kwilą roje...

Czemu z oczu łzy twe płyną,
Zkąd ten smutek, zkąd te zale?
Czemu biedna ty ptaszyno
Twa pioseńka nie brzmi wcale?

— Ani wody brak w strumieniu,
Z skały tryska źródł bogaty;
Jak tam słodko w leśnym cieniu,
Szumi trawka, pachną kwiaty...

Drobnych ptasząt kwilą roje;
Mamże śpiewać braci śladem?
Wąż podgryza gniazdko moje,
Ou je strutym płami jadem...

Sęp drapieżny krąży górą,
Gdzież mi przed nim szukać schrony?
W gniazdko wlepił wzrok ponuro,
Wnet je w twarde schwycei szpony...

O poezjach Alessandrego ślicznie się wyraża Anastazynsz Grün, óniony powszechnie krytyk niemiecki i sam niepospolity poeta:

„Alessandri napiętnował utwory swoje charakterem czysto miejscowym. Wybiega z nich ta woń gór i dolin rodzinnych, której naśladować niepodobna. Poeta czerpał natchnienie w nieprzebranych źródłach przyrody i miłości kraju. Poznał on i ukochał starożytnie podania, drogą puścizną po naddziadach; żył ich życiem tak swobodnym w dzikości swojej. Odwiedzał pilnie czarownice zamieszkałe pod sklepieniami starych zamczysk i tajemnicze sylfy w głębi cieniistych puszczy. Unie on przemawiać cudnie wonią kwiatów, szumem wiatru, pogwarem strumieni. Zatrzymuje się u wrót ubogiej chaty, prowadzi rozmowę z dziewczęciem, opowiada dzieje niewinnego jej serca, dzieje oblane zwykle łzami. Jego Doiny tak krótkie, a tak pełne, tchną świeżą wiosenną wonią, poezyi odradzającego się narodu.“

Trudno uczyć godniej poetę, jak Grün uczył śpiewaka rumuńskiego.

Kiedy Alessandri wydobywał skarby tradycyi z pod rumowisk i z żywej piersi wieśniaczego ludu, inny niezmordowany pracownik Mikolaj Balcesco poświęcił się z zapalem badaniu starożytności narodowych. Między innymi napisał ważne dzieło: *Historią Rumunii* pod Michałem Chrobrym. Umarł na wygnaniu we Włoszech.

Zobaczymy z jaką miłością znakomity historyk mówi o swym narodzie:

„Jestże na ziemi poeta, podróżnik, uczony, któryby płynąc niższym Dunajem nie uczuł w duszy głębokiego wzruszenia na widok bogatych okolic roztaczających się od pięknej rzeki aż do podnóża Karpat! Gdzie rzuci okiem, strumienie i rzeczki; wysokie góry zamykające w łonie mnóstwo nieprzeliczonych skarbów, żyzne równiny, majestatyczne lasy. To owa ziemia, którą Turcy w malowniczej swój mowie przezwali ogrodem Stambułu.“

„Szczęśliwy kraj! pomyśli nie jeden, szczęśliwy lud obdarzony z wyroków Opatrzności tym bogatym ogrodem!“

„Ale gdzież on jest, ów dziedzic uprzywilejowany? A oto blade i chwiejące się widmo wyłazi nagle z pod ziemi i zdumiony podróżnik cofa się mimowoli z litością i pogardą. Wlepia oczy i odkrywa nakoniec w tych wychudłych rysach ślady wielkiego rodu. Gorzki uśmiech przyrośły do tych ust, wzrok pełen boleści i dumy obrócony ku niebu, jakże wymownie świadczą o wiekowych a niesłusznych cierpieniach spadkobierców tój bogatej puścizny.“

Od śmierci Balcesco upłynęło z górą lat dwadzieścia. Wiele rzeczy zmieniło się w jego ukochanej ojczyźnie, my z kolei postaramy się dać poznać czytelnikom naszym nowe, a tak pomyślne objawy z życia narodowego Rumunów, szczególnie w ich odrodzonej literaturze.

Minęła dwóchsetletnia rocznica śmierci Moliera w d. 17 lutego. Paryż obchodził ją tak jak każdego roku, bez szczególnej okazałości. Za to Ballande, dyrektor teatru *Gaité*, krząta się gorliwie nad urządzeniem wielkiej uroczystości narodowej, w której cała Francja weźmie udział.

Przypominamy sobie, jak przed kilkunastu laty jubileusz Szyl-lera wywoływał hołdy po wszystkich miastach Europy: Warszawa obchodziła go także wieczorem artystycznym. Czyżby Molier głęboki myśliciel i znawca serc ludzkich, wielki wzór, z którego dwa wieki czerpały i liczne wieki czerpać jeszcze będą, czyżby Molier nie miał wywołać u nas jakiejś sceny odegranej w teatrze, jakiejś konferencji, jakiegoś, chociażby najmniejszego poetycznego utworu? Nie sądzimy tak; Niemcy pomimo zaciętej nienawiści ku Francuzom dali nam piękny przykład.

„Na ten raz—mówi publicysta wiedeński—my Niemcy stajemy w orszaku ludów, które idą uczcić popiersie Moliera i otoczyć zielonym wieńcem to czoło wiecznie młode. Idziemy chętnie, gdyż w progu świątyni sztuki umilknąć ma nienawiść plemienna, dzieląca Francuzów i Niemców, jak umilkły fury Orestesa w progu świątyni delfickiej.“

W teatrze wiedeńskim *Burgu* dnia 17 lutego pierwsi artyści odegrali *Skapca*, jedno z arcydzieł Molierowskich. W roli Harpagona wystąpił sławny Lewiński. Po skończonej komedji podniosła

się znowu zasłona i ujrano popiersie wielkiego poety w apoteozie. Otaczali je ugrupowani artyści w stroju Skapinów, Sganazellów, Maskarillów, Alcestów, świętoszków; artystki przebrane za Doryny i Celimeny. Pan Lewiński zakończył uroczystość, odczytując piękny wiersz własnego utworu.

Nazajutrz potem znany publicysta Lauser ogłosił w odcinku stariej *Pressy* wyborowy artykuł o Moliere. Pisarz ten, austryak z rodu, jest co się zowie Niemcem z serca i przekonania. Ta okoliczność podnosi jeszcze bardziej uznanie i cześć, jakie okazał wielkiemu Francuzowi.

Wystawiając geniusz Moliera, Lauser oddaje słuszną narodziwi francuzkiemu, że umie ocenić zasługę mistrzów swoich. „Niema we Francyi robotnika—mówi on—niema prostego sługi, któryby nie powtarzał na pamięć całych ustępów z molierowskich komedyj. Wiele pojedynczych wierszy, przeszło jako przysłowia w usta ludu. Rok rocznie ukazują się nowe wydania nieśmiertelnych dzieł poety z komentarzami uczonych krytyków. Zdolni mówcy w coraz to nowych konferencyach powtarzają bez ustanku jego imię. Zaprawdę, naród, który tak umie uczeić swoje gwiazdy, tém samem czci sam siebie“.

Tłumaczy następnie Lauser, dlaczego ta gwiazda, co błyszczała niegdyś tak jasno całemu ucywilizowanemu światu pokryła się później bladym obłoczkiem, z poza którego dziś znów wypływa w pełnym blasku.

„W epoce wielkich umysłowych zapasów, kiedy literatura niemiecka zmuszoną była stawić potężny odpór tłoczącemu ją wpływowi szkoły francuzkiej, krytycy nasi skazali na śmierć bez sądu Rasina, Kornela, słowem całą literaturę ówczesną; Molier nawet nie uszedł wyroku potępiającego. Wielu z pomiędzy nas przyjęło na oślep najniesłuszniejsze zdanie Szlegla, że *talent Moliera nie wychodzi za obręb farsy*. Ci, którzy lekkomyślnie powtarzają to zdanie, zapomnieli snać, że mistrz przerastający Szlegla o głowę całą, że wielki Göthe inaczej się wyraził w tym przedmiocie. Oto słowa jego nakreślone w liście do Eckermana: „Molier tak jest wielkim, że ilekroć odczytujemy go, wpadamy w nowy podziw. Co do mnie, odczytuję co rok jego arcydzieła, tak samo jak od czasu do czasu przeglądam ryciny wykonane według wielkich mistrzów włoskich; my bowiem maluczcy nie zdolni jesteśmy tworzyć tak wielkich rzeczy. Potrzeba zwracać się bezustannie do źródła, by odświeżać w niem oczy i pamięć“.

„Wprawdzie od niejakiego czasu—dodaje Lauser—usiłowano u nas powetować niesprawiedliwość i długoletnie zapomnienie. Przekład dzieł Moliera z krytycznemi uwagami pana Baudessin, uczone rozprawy Pawła Lindau i pana Schereizer wielce się przyczyniły do rozbudzenia w Niemczech sympatyj dla wielkiego poety francuzkiego.

„Molier zbliżył się do nas jako poeta i jako człowiek. Widzimy coraz to liczniejsze koło tych, którzy biorą udział w walkach i cierpieniach jego żywota, którzy śledzą z uwielbieniem tajemnice jego sztuki, którzy umieją odczuć w każdym z jego arcydzieł tętno wielkiego serca. Molier nigdy zapewne nie żyje się tak z nami jak współplemienny Szekspir, ale właśnie dlatego, że jest najbardziej narodowym z francuzkich poetów, należy on do ludzkości całej, jak dwaj narodowi poeci Włoch i Hiszpanii Dante i Cervantes.

„Typy Moliera—ciągnie dalej krytyk—przedewszystkiem francuzkie, nie sąż-li typami wszystkich czasów i wszystkich społeczeństw? Ten np. spanoszony mieszczanin (bourgeois-gentilhomme) szczęśliwy, gdy mu professor objawia, że tworzy prozę mimo wiedzy, alboż nie zdjęty żywcem z postaci pierwszego lepszego z naszych dorobkowiczów?

„Cóż to za pyszna kolekcya owych błękitno-pończoszkowych pedantek (femmes-savantes), jaki typ kokietki ta Celimena z *Mizantropa*, jak wyborni owi pyszni doktorzy w sławnej trylogii *L'amour médecin*, *Le malade imaginaire*, *Le médecin malgré lui*? Tworczyż zniżył Moliera ogarnia wszystko, zaczawszy od prostej farsy do wysokiej komedyi, która przybiera u niego rozmiary tragiczne. Chocześnie on zwykle występki, szaleństwa, namiętności właściwe naturze ludzkiej, ale niekiedy zstępuje w tajemne otchłanie swój duszy, wydobywa z niej najsłabszą boleść, szczerze, bez względu na miłość własną. Któż nie odgadł, że *Mizantrop* pisany krwią i łzami?

„Molier nie stawia ideału kobiety na niedostępnych gdziesz wyżynach. Pragnie ją widzieć skromną, pełną dobroci i prostoty, gruntownie wykształconą; lecz daleką od próżnych przechwałek, od śmiesznej pretensjonalności, słowem stworzoną dla uszczęśliwienia domu i rodziny, nie dla błyszczenia w świecie. Głęboki myśliciel określił zdrowo powinności małżonków, rodziców i dzieci, te główne podwaliny ludzkiego społeczeństwa“.

Też same powody, które podczas przełomu romantycznego zraziły Niemców do literatury francuzkiej, oddziaływały także i na nas. Ztąd imię Moliera postradało może dla nowych pokoleń ten urok, jaki miało dla ojców naszych. Dziś, czas nam zaprawdę otrząsnąć się z przesądów i patrzeć na rzeczy trzeźwem okiem; czas przyznać się do winy, jak to uczynił niemiecki krytyk, czas powetować niesprawiedliwość i długoletnie zapomnienie.

Dziwnie to sympatyczna postać tego wielkiego poety-filozofa, tego artysty, który pobudzając tłumy do śmiechu czuł się samotnym, opuszczonym, nieszczęśliwym. Oto wierny jego wizerunek, skreślony piórem panny Poisson współczesnej mu artystki dramatycznej:

„Molier wzrost miał wysoki, postawę nadzwyczaj szlachetną. Chód jego był poważny, czoło myślące, oblicze wydatne i pełne znaczenia: nos wielki, usta szerokie, wypukłe, cera śniada, brwi

czarne, grubym zarysowane półłukiem. Umiął nadać fizyognomii swojej wyraz pełen komiki“.

Śmierć jego równie tragiczna, jak było życie całe. Umarł w pięćdziesiątym pierwszym roku jak żołnierz przy chorągwi, nie zstępując z desek teatralnych, nie wypuszczając z ręki pióra. Od lat piętnastu trawiony piersiową chorobą, w ostatnim roku czuł siły gasnące z każdym dniem: oczy mu wkłęśły, twarz pozółkła, zapadła. Boileau przerażony tą nagłą zmianą chciał go skłonić, aby opuścił teatr.

— Chory jesteś—rzekł—wyczerpujesz siły, zaprzestańże raz tych przedstawień.

— Niepodobna—odrzekł Molier—punkt honoru zatrzymuje mnie na scenie.

— Jaki punkt honoru?—zawołał Boileau. Pomazać twarz cudacznie, przyprawić sumiaste wąsy Sganarella, wystawić grzbiet na chłostę? Piękny mi punkt honoru dla takiego filozofa, jakim jesteś.

Boileau nie zrozumiał Moliera. Wielki artysta żył cały sztuką swoją, stopy jego przyrosły do desek teatralnych. Chciał pozostać do końca na stanowisku wśród grona towarzyszków.

Na dzień 17 lutego 1673 roku zapowiedziano czwarte przedstawienie „Chorego z przywidzenia” (Malade imaginaire). Molier czuł się mocno słaby.

— Widzę, że niezadługo przyjdzie mi ustąpić—rzekł do przyjaciela. Ileżto człowiek musi wycierpieć, zaczęć umrze!

Bledszy był w tym dniu niż zazwyczaj. Naprózno przyjaciel, równo jak żona Armanda, z którą się niedawno pogodził skłaniali go, aby odwołał w tym dniu widowisko.

— Co chcecie?—rzekł Molier—pięćdziesięciu biedaków łaknie chleba; kto im go da, jeśli ja grać nie będę?

Odegrał więc rolę. Z wysiłkiem dobywał ostatka głosu z chorych piersi. Kaszel przerywał mu każde słowo. Zszedł ze sceny drżący i posiniały. Sprowadzono lektykę; poniesiono go spieszenie do domu. Zaledwie że złożył głowę na poduszce napelnionej jakimś usypiającem zieleń, żyła pękła mu w piersiach. Zaczęły przybył wezwany kapłan. Molier już żyć przestał.

Umarł przy ulicy Richelieu; na tymże domu położono kamień z napisem. Naprzeciwko wzniesiono pomnik po dziś dzień istniejący. U podnóża wybucha wodotrysk; piękna to myśl zaprawdę. Geniusz Moliera nie jest ową krynica wечно żywą i nieprzebraną, z której wieki czerpać będą wzór i natchnienia?

Liczne publikacye dzisiejsze o Molierze nadzwyczaj ułatwiają drogę dla każdego, kto chciał dodać jeden kłosek do tego wienca, który w tym roku cały świat ucywilizowany składa pamięci wielkiego mistrza w sztuce dramatycznej i niemniej wielkiego filantropa.

Jezeli powieściowa i dramatyczna literatura wiele pozostawia do życzenia we Francyi, zato na polu nauk ścisłych archeologii, lingwistyki i historyi, nigdy Francya nie zbierała bogatszych jak dziś plonów. Dość tu wspomnieć dykeyonarz Littrego, którego publikacya rozpoczęta przed dziesięciu laty ukończoną, właśnie została. W tej znakomitej pracy każdy wyraz znalazł swój rodowód: jesto najdokładniejsza historia języka francuzkiego, ścisłym węzłem połączona z historią cywilizacyi francuzkiego narodu.

Do niemniej ważnych publikacyj należy archeologiczne dzieło sławnego architekta i starożytnika p. Violet le Duc p. t. *Dictionnaire du Mobilier français dès l'époque Carlovingienne à la Renaissance*. Cztery tomy tego dzieła wydane w ciągu ostatnich lat kilku zjednały autorowi dwukrotną nagrodę akademicką; pierwszy tom poświęcony właściwym sprzętom, w drugim znajdujemy opis instrumentów muzycznych, gier i zabaw, narzędzi rzemieślniczych i t. p. Trzeci i czwarty obejmuje przeglądy odzieży i stroju, wyroby ze złota i drogich kamieni; piąty i szósty, których publikacya dopiero oo rozpoczęta, poświęcone wyłącznie broni zaczepnej i odpornej. Wielkie to dzieło w całości swojej będzie najwierniejszym obrazem średniowiecznego społeczeństwa; ukaże nam zarówno wnętrze pysznego zamku, jak i skromnej chaty wieśniaczej.

Autor od lat wielu poświęcił się z niesłychanym zapałem badaniu średnich wieków. W tym celu przebiegł wszystkie miasta francuzkie, zwiedził wszystkie zameczyska i katedry. Owocem tych badań był znakomity: *Dykeyonarz rozumowany architektury francuzkiej od XI—XVI wieku*, pierwsze dzieło uczonego archeologa, wydane pomiędzy rokiem 1853 a 1868.

Zamilowany w pomnikach przeszłości Violet le Duc wziął sobie za cel zrehabilitować te wieki pomawiane tylokrotnie o barbarzyństwo; jakoż uwolnił je od zarzutu nie za pomocą samego rozumowania, ale ukazując niezaprzeczone dowody.

Mogłoby być rzeczywiście barbarzyńskim społeczeństwo, które wydało architekturę tak oryginalną, tak pełną, tak pełną twórczego ducha, że zajmuje w dziejach sztuki osobne miejsce obok architektury starożytnej; że późniejsze wieki mimo największych wysiłen nie zdołały jej sprostać. Tę samą wytworność widzimy w urządzeniu życia domowego, w ozdobie feudalnych zamków, w przepychu tak uzbrojenia jak odzieży.

Do wieku XII—mówi autor—Wschód zasilal Europę w wszelkie przedmioty zbytkowe. Po dokonanyu podboju nad starożytną Romą, plemiona germańskie uległy jej cywilizacyjnemu wpływowi. Zdobywszy wielką moc i upów, snadno przywykli do ich używania, tak że zbytki stały się niezbędną dla nich potrzebą. Gdy zbrakło im wytwornych przedmiotów, niezdolne zastąpić ich własnym przemyślen, zmuszone były udać się o pomoc do obcych. Sztuka z ziemi łacińskiej przeniosła się wtedy do Bizancyum, Aten, Teb i Koryntu.

Handel skierował się w tę stronę, a bezustanne stosunki z Konstantynopolem upowszechniły na Zachodzie smak starożytny zmodyfikowany smakiem bizantyńskim. Wielki przypływ wyrobów wschodnich za Karola Wielkiego dał pochop rękodzielnikom zachodnim do popróbowania sił własnych w rodzącym się przemyśle.

Wenecya położona na rozdrożu dwóch cywilizacji stała się wielkim targowiskiem świata, zabrała się sama do pracy i zasilala wszystkie kraje własnymi wyrobami. Długo naśladowała na oślep wzory wschodnie, aż do czasu kiedy Roger król Sycylii sprowadził rzemieślników z Grecyi do Palermo. Popęd dany przemysłowi włoskiemu odbił się na całym Zachodzie.

Była to chwila stanowczego przełomu. Artyści porzucili rutynę zużyta i zastarzałą, a poczeli tworzyć z własnego natchnienia wpatrując się pilnie w przyrodę, biorąc za wzór miejscowe rośliny i zwierzęta. Zmiana w odzieży pociągnęła za sobą zmianę w sprzętach i otoczeniu. Skłonność ogólna do zbytków dodawała bodźca rękodzielnikom. Poczeto wyrabiać sprzęty z toczonego drzewa nasadzone złotem, srebrem, słoniową kością, miedzią emaliowaną i skalnym kryształem, pokrywano je złotogłowiem z drogocennymi makatami. Rozmaitość panuje niesłychana; moda zmienia się bezustannie przez stosunki z Wschodem i Syryą. Malowidła na rękopismach ukazują nam kształty używane do dziś dnia w Indjach, Persyi i Egipcie. Rozwój bogactwa pomiędzy ludnością wielkich miast, ich upodobanie w przepychu, zawiązanie się cechowych korporacyj, wszystko to rozbudza przemysł i doprowadza go do najwyższego rozkwitu. Jedne potrzeby pociągają za sobą szereg innych. Przed XIII naprzykład wiekiem noszono suknie obszerne, lecz wyrabiane z miękkiej tkaniny; w XIII przyjęto ubior sztywiny, podobity futrem z nieugiętego aksamitu i złotogłowiu: potrzeba było rozszerzyć i krzesła stosownie do rozmiaru odzieży.

Violet le Due umiał poważnie i ściśle naukowe dzieło uczynić żywotnym i dostępnym dla wszystkich. Jestto bogata skarbnica inwentarza narodowego, niesłychanej wagi dla artystów, historyków i etnografów.

Ostatnią część poświęconą wyłącznie broni zaczepnej i odporniej poprzedził autor wstępem, w którym jasną wypowiedział myśl przewodniczącą jego pracy:

„Jeżeli—mówi—ta część naszego dzieła może dać poznać wielkie wysiłki twórczej inteligencji, jakich potrzeba było tylu pokoleniom, aby zapewnić niepodległość ojczyzny siłą oręża; jeżeli praca nasza roztli w niejednym sercu miłość wojennego rzemiosła; jeżeli doła wykazać jak po najcięższych klęskach Francya potęgą szlachetnych uczuć umiała zatrzeć nieraz własne błędy i dźwigać się z upadku: szczęśliwi będziemy spełniając słabą część zadania, cięższego dziś na każdym synu francuzkiej ziemi.“

Głos p. Violet le Duc podnoszący średniowieczne społeczeństwo nie jest bynajmniej we Francji samotnym głosem wołającego na puszczy. Z głosem tym łączy się wiele innych nie mniej poważnych. Pan Natalis Wally w przepysznym wydaniu starej kroniki: *Conquête de Constantinople*, te słowa zamieścił we wstępie:

„Ludzie, którzy zowią dotąd uporczywie średnie wieki czasami barbarzyństwa i ciemnoty są ostatnimi ofiarami zastarzałego przesądu i nieusprawiedliwionego niczém nieuctwa.“

Posłuchajmy wreszcie jak p. Guizot w *Historji Francji* opowiadanej wnukom określa stare francuzkie rycerstwo (chevalarie):

„Przenieście myśl waszą ku innym społeczeństwom: np. ku pierwotnemu społeczeństwu greckiemu, ku bohaterskim jego wiekom które Homer tak wiernie odzwierciedlił. Nic tam nie przypomina owych sprzeczności uderzających nas w obrazie wieków średnich. Nie widzimy bynajmniej, aby za czasów Homera ludzie przez niego opiewani czuli krążące w powietrzu lub w wyobraźni własnej idee wznioślejsze i czystsze nad codzienne ich sprawy. Bohaterowie Homera nie mieli poczucia swego brutalstwa, chciwości, samolubstwa i okrucieństwa swego, nie w głębi ich duszy nie przerasta czynów ich żywota. We Francji średniowiecznej przeciwnie, jeżeli spotykamy niemoralność, zbrodnie, bezład społeczny, widzimy przecież że ludzie mają w duszy i wyobraźni czyste pragnienia i najwznioślejsze popędy. Pojęcie cnoty, ideał sprawiedliwości nieskończenie przewyższa u nich to wszystko, na co patrzą własnymi oczyma, co praktykują sami. Jasny ideał krąży po nad tém burzliwem i grubijańskiem społeczeństwem.“

Słowa te wyrzeczone przez osiędziesięciokilkoletniego starca, przekazane młodemu pokoleniu jakoby testament, silnie uderzyły Francuzów. Nie są to przecież słowa zagorzałego poety, ale zimnego akademika, poważnego statysty, doświadczonego męża stanu! Któżby śmiał posądzać Guizota o uniesienia poetyczne.

Dwie katedry kolegium francuzkiego, a zarazem dwa krzesła w akademii *Nauk i Napisów*, osierocone zostały jednocześnie przez śmierć dwóch wielkich pracowników, mężów głębokiej nauki: pana de Rougé, najznakomitszego egiptologa i Stanisława Julien, najdawniejszego i najwięcej zasłużonego z synologów francuzkich.

Emanuel de Rougé uparty jak prawdziwy Breton, w szlachetny sposób skierował do nauki tę charakterystyczną cechę rodu swego, zamieniając ją w żelazną wytrwałość i niezłomną niczém wolę. Ojciec jego szlachcic starej daty, zagorzały stronnik Bourbonów, po wstąpieniu na tron Ludwika Filipa usunął się do dóbr swoich w Bretanii, w bliskości Anjou, gdzie złamany w nadziejach politycznych oddał się pilnie pracy około roli. Młody Rougé ukończywszy w uniwer-

sytecie kurs prawa i administracyi, zmuszony był towarzyszyć ojcu i pod okiem jego orać także zagon i siał grykę. Wówczas to oderwany od zgiełku świata pod wpływem ciszy wiejskiej, młodzian zabrał się gorliwie do nauki starożytnych języków, wyuczył się dokładnie po hebrajsku i po arabsku, poczem zachęcony przykładem i sławą Champoliona jał badać starożytne hieroglify egipskie. Pracował tak z górzą lat ośm nie dając nawet znaku zycia, oderwany od stosunków zewnętrznych a zamknięty z księgami i myślą własną. W czasie tym odbył pierwszą naukową podróż, odwiedził Egipt, zbadał na miejscu zwaliska Luxoru i Karnaku. Wyniki badań swoich wydał w r. 1845, wielka była ich doniosłość, przyklasnął im świat naukowy.

Niepodobna było uczonemu przebywać dłużej w zaciszu wiejskiem, przeniósł się do Paryża. Tu wystąpił jako współredaktor Przeglądu archeologicznego. W r. 1850 przedstawił akademii wyjaśnienie hieroglificznego napisu na sarkofagu starożytnym. Zdumieni członkowie akademii powołali go do grona swego. Mianowany w tymże czasie konserwatorem pomników egipskich w muzeum Luwru, ułożył rozumowany ich katalog. Później powierzono mu katedrę archeologii w kolegium francuzkiem.

Rougé utworzył we Francyi szkołę egiptologów. Z tej to szkoły wyszedł sławny Mariette-Bej, który pod opieką Kedyfa Egiptu gorącego miłośnika nauk, wydobył z pod ziemi odwieczne groby Apisów, pałace Faraonów i niezliczone pomniki świadczące o starożytnej cywilizacyi Egiptu.

Owocem wieloletnich prac p. Rougé jest *Chrestomatia egipska* z tłumaczeniem tekstów na język francuzki.

Mamy właśnie przed sobą ogromne świeżo wydane dzieło p. t. *Monde ancien-Civilisation orientale*. Tu obok tłumaczeń poezyi lirycznych Hindów, Persów, Assyryjczyków, Chińczyków, są także poezye starożytnych Egipcyan wyczytane na papyrusach i przetłumaczone przez p. Rougé. Wzięłaby nas chęćka przytoczyć jakiś ustęp z tych pieśni, co przed czterema tysiącami lat zbiegły z ust budowniczków przesławnych egipskich piramid. Świat to jednak tak inny od naszego, że lękamy się aby wyziew mumii nie odstraszył nieprzygotowanych czytelników. Francuzi, Niemcy, Anglicy szczęśliwsi w tym względzie od nas, rozmaitość bowiem ich naukowych prac pozwala im używać silnego pokarmu, jaki zbierają ze wszystkich epok na najdalszych krańcach świata!

Stanisław Julien sławny orientalista, świeżo zmarły w Paryżu 70 kilkoletnim starcem, przez lat 50 z górzą, bo od r. 1821 zajmował katedrę w kolegium francuzkiem. Urodzony w Orleanie pobierał tamże nauki. Od pierwszej młodości poświęcił się badaniu starożytnych języków, mianowicie greckiego, nadzwyczaj zaniechanego w owym czasie.

Za przybyciem do Paryża dał się poznać w uczonym świecie przekładem poematu Kolothusa (*Forwanie Heleny*) na język łaciński i francuzki. Wówczasto professor Gail wezwał go na zastępcę w wykładzie greckich klasyków. Nauczając drugich Stanisław Julien, młody, pełen zapału nie zamknął się w kole zdobytej wiedzy, ale postanowił rozszerzyć to koło i sięgnąć po nowe zdobycze naukowe. Wykładał wówczas język chiński w kolegium znakomity synolog Abel Remusat. Nauka anaryjskich języków była wtedy zupełnie nową we Francyi. Młody Julien zabrał się do niej tak gorliwie, że w ciągu roku przełamał pierwsze trudności i tyle się nauczył, iż bez obcej pomocy przedsięwziął tłumaczenie na łaciński język dzieła filozofa chińskiego *Meng-Tseu*. Dzieło to w dwóch tomach wyszło 1824—1826 nakładem Towarzystwa azjatyckiego.

Badając równocześnie starożytny i nowożytny język chiński jak niemniej język Mantchou, niezmordowany pracownik tłumaczył kolejno najważniejsze dzieła z wszelkich niemal rodzajów literatury. Dał próbkę teatru chińskiego w *Hoci-lau-ki*, czyli historii koła zakreślonego krędą, jak niemniej w *Tohao-chi-kon-elu*. Ostatnia z tych sztuk znana już była w Europie, dzięki misyonarzom; Wolter wziął z niej myśl do tragedyi *Orphelin de la Chine*.

Z powieściowej literatury chińskiej oprócz pomniejszych nowelli, Julien przetłumaczył najprzód romans p. t. *Blanche et Bleu, ou les deux couleurs-fées* (1834); później inny dwutomowy romans: *Dwie panny literatki*, i trzeci tychże rozmiarów *Yu-kiao-li* czyli *Dwie kuzynki* (1863). Czytaliśmy przed kilku laty ową powieść, tak dziwną, tak niepojętą dla naszych uczuć i wyobrażeń! Gdy czytamy poezye starożytnych Greków a nawet Hindów, zostajemy jeszcze pod wpływem właściwej nam atmosfery; tu zaś w turańskim świecie wszystko inaczej, wszystko na wywrot! Jak tu np. wyobrazić sobie te dwie kuzynki z arystokratycznego świata chińskiego, zakochane w jednymże młodzieńcu, a mimo to żyjące z sobą w najszczerszej przyjaźni? Zazdrość zupełnie im nieznana. U nas ktoby uwierzył w szczerą podobnych uczuć? Słyszac o tej harmonii serc, któzby nie powiedział z Krasickim:

. . . wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę!

a przecież taka bajka praktykuje się u Chinczyków.

Co do poezyi chińskiej, pierwszy Julien odważył się rzucić na jej przekład. Do jego czasów uważano to za rzecz całkiem niepodobną. Zmysł francuzki nie mógł przebić się w żaden sposób przez ową sić alegoryi i hyperbolicznych porównań, któremi osnuta myśl poetów państwa niebieskiego.

Obok tych prac treści czysto literackiej Stanisław Julien sięgnął w wyższe sfery, on pierwszy dał poznać Francuzom religijne i filozoficzne doktryny Chinczyków. Przetłumaczył (1835) *Kang-*

ing-Pien księgę Nagród i Kar, w której skreślona jest doktryna filozofa Tao-ssé, oraz dzieło Iao-tseu, ojca filozofii chińskiej p. t. *Tao-te-king*, księga o drodze i mądrości. W r. 1853 począł wydawać od dawna przygotowany przekład wielkiego dzieła p. t. *Historja życia i prac Hiouen-Tsang podróżnika chińskiego po Indyach*. Dzieło to w dwóch tomach z mapami niesłychanie ważne dla nauki, daje bowiem poznać historję Hindów, geograficzne położenie ich ziemi, a do tego zasady Budhyzmu. Aby tém lepiej wnikać w myśl znakomitego podróżnika, Stanisław Julien wyuczył się po sanskrycku. Odkrył wtedy prawa na których Chińczycy przerabiali wyrazy sanskryckie na swój język: bez tego odkrycia prace Chińczyków o Indyach nie byłyby dokładnie zrozumiane. Spostrzeżenia swoje wydał później pod tytułem: *Méthode pour déchiffrer les mots sanscrits dans le chinois*. Przetłumaczył także z Hiouen-Tsanga *Memoryal o krajach zachodnich* i wydał go z mapą 1857 r.

Nie poprzestając na samej literaturze i nauce znakomity synolog pragnął dać poznać wszechstronnie ten świat chiński, tak dotąd zagadkowy, otoczony murem uprzedzeń i przesądów, trudniejszym do przebycia, niżeli ich sławny mur kamienny. W tym celu przełożył kilka dzieł poświęconych przemysłowi i sztukom: *Zbiór rozpraw o hodowli jedwabników i uprawie drzew morwowych; Rozprawę o sztuce wyrabiania porcelany; Uwagi nad technologią i sztuką lekarską u Chińczyków*: wszystko to drukowane w buletynach akademii nauk.

Pracował niemniej Julien nad gramatyką i leksykografią chińską.

Patrząc na ten ogrom dzieł dokonanych, musimy pochylić głowę nie tylko przed wielkim pracownikiem, ale i przed społeczeństwem, które wydaje podobnych atletów. Francya pomawiana tylokrotnie o lekkość, nie tylko przez nienawistnych jej Prusaków, ale i przez inne ludy zbyt skore do potępiania tych, którym się w jednym kierunku nie powiodło, Francya powtarzamy, we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej: tak w historii, jak w geografii, matematyce, antropologii, etnografii, lingwistyce i archeologii, ma całe zastępy wytrwałych zapaśników, co karczą drogę prawdziwego postępu i promieniem geniuszu swego przyświecają nie tylko Francji, ale i światu całemu.

Stanisław Julien umarł otoczony czcią powszechną. Od lat czterdziestu był on członkiem Akademii napisów i konserwatorem Biblioteki Narodowej w wydziale chińskim. Ścisła przyjaźń łączyła go niegdyś z innymi, równym mu atletą, Joachimem Lelewelem. Onto przy grobie naszego wielkiego starożytnika wyrzekł pamiętne słowo: „Świat naukowy stracił w Lelewelu najznakomitszego erudyte.“

Wspominaliśmy w zeszłej kronice o blisko stuletnim akademiku zmarłym świeżo, hrabi de Ségur. Prawa starszeństwa w literackim świecie przeszły po nim na wielkiego poetę Manzonięgo, niegdyś zapaśnika romantyzmu we Włoszech. Manzoni zaczyna w tym roku 90 rok życia; mimo to nie złożył pióra, pracuje gorliwie nad historią rewolucyi francuzkiej: będzie to ważne dzieło, poeta bowiem przebywając długi czas w Paryżu, od r. 1805 znał osobiście ludzi, którzy brali czynny udział w pamiętnym przewrocie społecznym.

Piękna to i wspaniała postać tego starca. Związany niegdyś ścisłą przyjaźnią z Goetem, żyje w Medyolanie otoczony czcią powszechną, jak Goete żył niegdyś w Wejmarze. Na pierwszy rzut oka nasuwa się mimowoli niejaki podobieństwo między temi dwoma orłami poezyi. Obaj jednako umiłowali ideał, obaj usiłowali urzeczywistnić go pod rozmaitą formą: w powieści, dramacie, pieśni, a nawet na polu krytyki literackiej; obaj wykształceni na wzorach klassycznych, czciciele piękna, jakiem pojmowali je estetyczni Grecy, zrozumieli zarówno czas swój, i odrodzili poezją, wprowadzając w nią żywioł romantyczny, leżący w duchu zdemokratyzowanego społeczeństwa; obaj nakoniec stale poglądali na Francuzą, jako na żywe źródło inteligencji.

Mimo tych zbliżeń cała przepaść rozdziela dwóch wieszczów. Od czego zaczął Goete, do tego po ciężkich kolejach walk i prób, Manzoni przyszedł dojrzałym mężem. Krzyż na którym wspierał się młodzińcem autor Fausta, nim życie oderwało go od tój podstawy, nim od stóp Golgoty przeniosło go na olimpijskie wyżyny ideału, krzyż stał się niewzruszoną kotwicą dla Manzonięgo, niegdyś żarliwego wielbiciela Woltera i zwolennika encyklopedystów francuzkich.

Wieszcz włoski osierocony dziś po małżonce i po czterech dorosłych córkach, przeżywszy tych wszystkich, których ukochał, widząc wkoło siebie tylko pustki i groby, zamknął się w zaciszu domowym. Tu odosobniony od świata szuka w pracy balsamu na rany, czerpie w uczuciu religijném głęboki spokój i otuchę. Słowa które niegdyś wyrzekł na zgon przyjaciela Imbonati, stały się hasłem jego życia:

Nigdy z podłością w grzeszne nie wchodzić układy,
Ani prawdy przeczystej nie wkiłać w sieć zdrady;
Nie wyrzec nigdy słowa co ośmiela zbrodnię,
Lub cnotę na śmiech ludzki narażać niegodnie.

Pięćdziesiąt lat minęło odkąd dwie tragedye romantyczne Manzonięgo *Hrabia Carmaniola* i *Adelchi*, wytknęły nowe drogi dla włoskiego dramatu. Krytycy przywykli do klasycznych utworów Alfierięgo, jeli chłostać surowo śmiałego nowatora, który powazył się targnąć na troistą jedność szkoły aleksandryjskiej. Spory we Włoszech przybrały równie namiętny charakter, jak u nas, kiedy sławne

towarzystwo Iksów powstawało na pierwsze utwory Mickiewicza, kiedy Osiński parodyował Dziady. Jak nasz Adam, pamiętny odpowiedzią do krytyków, tak Manzoni listem francuzkim o jedności w dramacie, stawiał czoło natarczywym pociskom. Podparł go dzielnie Goete pochwalnym artykułem ogłoszonym w pismach niemieckich.

Manzoni gorący zwolennik geniuszu Napoleona I, związany z nim osobistymi stosunkami, napisał na cześć jego sławną odę p. t.: *Il cinque Maggio*. Najpiękniejszy to utwór ze wszystkich, jakie natchnął geniusz Napoleona. Poeta oddał odę do redakcyi jednego z przeglądów, ale względy polityczne nie pozwalały wówczas na wydrukowanie arcydzieła w części Włoch, zostającej pod panowaniem Austrii. Przez ośm miesięcy rękopism spoczywał w biurze cenzury; autor nie zdołał go wydobyć. Kiedy uważał go za stracony, odbiera nagle list od Goetego z powinszowaniem i przesyłką tłumaczonego poematu. Łatwo pojąć zdziwienie autora. Oda, niewiadomo jak przeszła za Alpy. Wprzód poznano ją w Niemczech, aniżeli we Włoszech, wprzód oceniono w przekładzie, niżli w języku, w jakim została utworzoną. Dzięki Goetemu rozeszła się w mgnięniu oka po świecie, i przybyła do Włoch już otoczona promieniem sławy.

Nietyle jednak powyższe dramata rozgłosiły imię Manzoniowego w Europie, jak raczej sławna jego powieść *I promessi sposi* (Narzeczeni), w której autor w skromnych ramach trzytomowego romansu, skreślił najdokładniej obraz społeczeństwa włoskiego z XVII wieku. Powieść tę tłumaczono na rozmaite języki europejskie.

Śmierć Napoleona III poruszyła głęboko starca w ostatnich czasach. Poeta znał go od młodu i stałe okazywał mu współczucie.

— Czy nie napiszesz co na skon synowca, ty, co tak uczyłeś stryja w swoim czasie?—zapytał go przyjaciel.

— Stary jestem—odrzecze Manzoni—trudno mi dziś zdobyć się na jakiś nowy utwór.

— A przecież Humboldt pisał do lat najpóźniejszych i to z młodzieńczą zawsze werwą.

— Co innego Humboldt, co innego ja—odpowie skromnie poeta.

— A Calderon?—przerwie przyjaciel—ten przecież w ośmdziesiątym drugim roku, na krótki czas przed śmiercią pisywał ogniste poezye.

— Ten ogień nikogo nie ogrzewał—odrzecze smutno Manzoni. I pozostał głuchym na wszelkie namowy.

Dziewięćdziesięcioletni poeta nie śmie już zabierać się do nowych utworów, ale wykończa cierpliwie dawno zaczęte prace.

Mówiliśmy niedawno o teatrze tureckim w Konstantynopolu; dziś rzucimy okiem dalej na Wschód, bo do podnóża Himalai. Tu

także, w społeczeństwie skryształizowanych Hindów zmysł artystyczny rozbudzać się zaczyna. Pierwszym objawem tego rozbudzenia jest teatr narodowy i szkoła muzyczna, założona świeżo w Kalkucie. Oba te zakłady, powstałe z dobrowolnych ofiar miejscowych Nabajów, rokuja piękną przyszłość. Szkoła muzyczna liczy sześćdziesięciu uczniów. Staraniem jej wyszła nadzwyczaj ciekawa publikacya: Zbiór pieśni Hindów, świadczący o wysokich zdolnościach muzycznych tego ludu. Teatr większą jeszcze pozyskał wziętość. Na siedmiu pierwszych przedstawieniach, tłum widzów zapełnił wszystkie miejsca. Repertuar składa się z klasycznych sanskryckich dramatów, tłumaczonych na dzisiejszy dyalekt, i z nowych sztuk, do których przedmiot brany z obyczajów i życia ludu. Dyrekcya poprzedza szczególnie ten rodzaj i hojnie wynagradza autorów.

Jedna z nowych komedyj, poprzedzona pantomina, wywołała powszechne oklaski. Przed laty trzydziestu wygwizdanoby ją niewątpliwie. Tytuł komedyi: *Ożenienie starca*; treścią jej bunt wieśniaków przeciwko bezrozumnemu panu, który pojmuje młodą żonę. Główną rolę odgrywa tu intrygant cyrulik indyjski Figaro, mięszający się w domowe sprawy ludu.

Bohater sztuki wplątany w związki małżeńskie, spostrzega z oburzeniem, że on bramin, pojął za żonę kobietę z najniższej kasty społecznej. Wpada w rozpacz, przeklina zawarte związki, sam nie wie jak wyjść z haniebnego położenia. Szczęściem dla niego okazuje się w końcu, że małżeństwo było po prostu mistyfikacją.

W szczególny sposób ożywiły sztukę dyalogi dwóch córek bramina zamieszkałych przy ojcu. Obie owdowiały po mężach; dom starca jedynym dla nich schronieniem; ze wstrętem patrzą też na przybycie młodej macochy.

Biedne kobiety utyskują na smutną dolę wdowy indyjskiej. Skazana na życie pokutne, musi dwa razy w miesiąc odbywać surowe posty; musi poprzestawać co dnia na jedynym i to skromnym posiłku, nosić ubogie szaty, a co najgorsza, niewolno jej zawierać nowych związków.

— Dziwniż to ci Anglicy—rzecze jedna do drugiej—zabronili nam iść na stoś po śmierci zmarłych mężów naszych; skoro usunęli jedno prawo, mogli też usunąć zakaz powtórnego małżeństwa. Lepiejby spłonąć żywcem, niżli żyć w takim poniżeniu i nędzy.

Drużyna odwołuje się do starożytnych obyczajów sanskryckich łagodniejszych dla niewiast.

— Gdyby Wszchemocny — rzecze — nie chciał, aby wdowa wchodziła w nowe związki, byłby ze śmiercią męża zamknął jej serce na uczucie nowej miłości.

Teatr składa się z samych tubylców. Młodzi mężczyźni występują w roli kobiet. Sztuka napisana dyalektem Bengalii. Dochód z każdego widowiska przeznaczony na wsparcie ubogich autorów dramatycznych.

Objawy te na polu literatury nie zdziwią nas bynajmniej, jeśli rzucimy okiem na statystyczny wykaz zakładów naukowych w Indiach, przeznaczonych wyłącznie dla kobiet. Znać przekonano się tam o tej prawdzie oddawna powtarzanej przez europejskich moralistów i filozofów, że aby wychować społeczeństwo, potrzeba koniecznie szerzyć światło pomiędzy kobietami.

Pierwszy popęd wyszedł od Anglików. Już przed pięćdziesięciu laty Towarzystwo missyi religijnej, założyło w Kalkucie ośm szkół dla dziewcząt, a zarząd nad niemi oddało paniom angielskim. W tych zakładach dwieście przeszło dziewcząt pobierało wychowanie. W roku 1826 szkoły te zostały wcielone w szkołę centralną, na którą bogaty jeden krajowiec Radjah Budanath ofiarował 20,000 rupij. Uczennice w początkach należały po większej części do niższej klasy społecznej, ale rzucone ziarno miało wkrótce zakwitnąć i najbujniejsze wydać owoce.

W roku 1849 Anglik Bethune założył wielki instytut naukowy dla bogatych pańien w Kalkucie. Złamano pierwsze lody. Postęp objawiał się tak szybko, że w zeszłym już roku liczono w Indiach dwa tysiące szkół żeńskich, w których 50,000 Indyanek pobierało wychowanie.

Wszedłszy raz na drogę postępu niepodobna się na niej zatrzymać. Liczba szkół, jakkolwiek znaczna, okazała się niedostateczną w porównaniu z ogromną rozciągłością kraju, zajmującego prawie dwie trzecie obszaru całej Europy.

Przesąd lubo zwalczony w wielkiej części, panował jeszcze silnie w najwyższej kaście indyjskiego społeczeństwa. Wpływ szkoły dostępnej dla ubogich nawet dziewcząt, nie przedzierał się w progi haremów zwanych w Indyi *Zenana*, gdzie żony i córki Nababów spędzają życie samotne i beczynne. Obyczaj tradycyjny nie pozwalał tym paniom korzystać ze szkolnego wychowania, nie żeby światło samo przez się miało im być wzbrownionem, ale że zmuszone przebywać w domu, nie mogły go szukać na zewnątrz. Potrzeba było ułatwić im koniecznie przystęp tego dobroczynnego światła. Z tej to przyczyny zawiązało się towarzystwo domowych nauczycielek, które znalazły przystęp do progów bogatych pań indyjskich i udzielają im wszelkich nauk.

Tu okazała się nowa trudność. Postępowi Nababowie, ci zwłaszcza, którzy zwiedzili Europę, o ile z jednej strony pragną wyższego wykształcenia dla żon i córek swoich, o tyle z drugiej, pragną utrzymać je przy wierze naddziadów i tradycyjnym obyczaju. Tymczasem zaś domowe nauczycielki, w których liczbie widzimy głośną w Europie miss Carpenter, należącą do rozmaitych stowarzyszeń misyjnych, i nieroztropnym prozelityzmem wzbudziły już podejrzenie ojców rodzin.

Ułatwili rzecz sami świątlejsi Hindowie, postanowili bowiem założyć szkołę nauczycielek, przygotowując do tego zawodu najzdolniejszą dziewczęta swojej narodowości.

Angielki ze swęj strony założyły w Londynie towarzystwo, w celu wysyłania do Indyj nauczycielek obowiązanych wykładać nauki bez propagandy religijnej.

Jedną z najważniejszych przeszkód, wstrzymujących postęp światła w Indjach jest obyczaj wczesnego zamęzcia, obyczaj, który z drugiej strony tłumaczyć się może wcześniejszém niż u nas dojrzewaniem. Dziewczęta pobierające nauki w szkołach, już je opuszczają w dziewiątym roku życia; zapominają téż łatwo czego się nauczyły. Aby nauki wydały prawdziwy pożytek, należałoby zmienić cały ustrój społeczny, a taka zmiana dopełnia się powoli.

Najsilniejszą rękojmnię postępu na tej drodze dają nam wzrastająca liczba tubyleców, którzy biorą gorąco do serca potrzebę odrodzenia społeczeństwa swego przez kobiety. Na czele takich mecenasów stoi mąż światły Babu-Keshub Chunder-Sen; długo przebywał on w Anglii, gdzie przypatrzył się z bliska miejscowym obyczajom. Za powrotem do kraju począł gorliwie pracować nad zaprowadzeniem pożądanęj reformy.

W miesiącu lutym roku zeszłego przemawiał on w Kalkucie wobec licznego zgromadzenia krajowców. Silnemi dowodami wykazywał konieczność radykalnych zmian w wychowaniu kobiet; radził aby domowe życie w Indjach uczynić podobném do życia rodzin angielskich. Długo, jak mówi, badał podwaliny tej pomyślności, jakiej używa Anglia, i znalazł ją w poszanowaniu domowych ognisk, z kąd szczęście rozlewa się na zewnętrzny ustrój narodu. Przyszedł w końcu do silnego przekonania, że Anglia zawdzięcza to, czém jest, wyższości kobiet swoich.

Babu-Keshub Chunder-San z zapalem upominał o założenie szkół normalnych, w których należy podnieść i rozwinąć wielkie pytanie, tyzące się niezbędnej reformy w życiu indyjskich kobiet. „Przełożone zakładu—mówił prelegent—obowiązane pilnie czuwać nad tém, jaki rodzaj nauk przedewszystkiem ma być wykładany tak w szkołach dziewcząt jak i przez domowe nauczycielki. Należałoby także ustanowić oddziały, w którychby pobierały naukę kobiety zamężne, lub starsze panny, sposobiące się do pedagogicznego zawodu.“

Wiadomo, że plemię Hindów, tych Aryów azyatyckich, odznacza się niepospolitą zdolnością. Kobiety dotąd obwarowane murem przesądów, żyjące beczynnie w swych *Zenanach*, pozbawione wszelkiego światła, tworzyły jakoby martwą gałąź na pniu społecznym. Rozbudzenie ich z téj wiekowej martwoty przyniesie znakomitą liczbę pożytecznych jednostek i popchnie naród na drogę prawdziwego postępu.

Kronikę naszą rozpoczętą nad jeziorem helweckim, kończymy w Paryżu. Ważnym dziś wypadkiem w tutejszym literackim świecie, jest przyjęcie do akademii księcia Aumale. Od dawna już dzienniki różnych barw i odcieni zajmowały się tą uroczystością, oddawna członkowie akademii układali jej program. Jedną z sessyi czwartkowych uczeni mężowie poświęcili na rozstrzygnięcie ważnego sporu, jak przemówić do księcia: *Monseigneur* czy poprosto *Monsieur*? Powiew demokratyczny, który zawiął nawet pod sklepienia pałacu Mozartego, przeważył rzecz na stronę tej ostatniej denominacyi. Książę musiał na chwilę zrzec się monseigneur'stwa, aby okupić niemię palmę akademicką.

Przybywszy do Paryża na dziesięć dni przed owem przyjęciem, nie kołatałiśmy nawet w progi znajomych nam członków Instytutu, którzy nieraz z prawdziwą uprzejmością, obdarzali nas biletami do łóż lub na amfiteatr. Wszystkie miejsca od pół roku pozamawiane były przez orleanistów, z radością rękawiczników paryzkich, spodziewających się słusznie, że dwa tysiące par rękawiczek, splekanych od gorącego oklasku, potrzebować będzie odnowienia.

Miejsca w sali akademickiej dla publiczności, nie są wcale numerowane; kto pierwszy przyjdzie, ten pomieści się jakokolwiek; na ostatnich przybyszach sprawdza się przysłowie: *Tarde venientibus ossa!* Posiedzenie rozpoczyna się o drugiej; drzwi pałacu otwarte od jedenastej z rana. W zwyczajnych wypadkach publiczność przybywa na dwie lub trzy godziny naprzód. W dniu 3-cim kwietnia było jednak inaczej. Szczęśliwi posiadacze biletów wyprawili o pierwszym brzasku zastępców swoich, którzy dwoma wyciągniętymi sznurami zajęli plac przed gmachem akademickim, sami zaś szluzowali ich w chwili, kiedy otwierano podwoje. Potrzeba było widzieć rozpromienione lice uprzywilejowanych! Z jakąż to dumą, z jakim tryumfem poglądali oni na ciekawą gawieź uliczną; gawieź, do której i my należeliśmy przez kilka minut. Patrząc na ten niesłychany zapał zwolenników orleanizmu, można było zażreć o losy Rzeczypospolitej; nikła jednak obawa na myśl, że ta garstka cisnąca się na przebój w bramy pałacu, niczóm jest wobec masy Paryżan; niczóm nawet wobec bonapartystów, których chassepoty niebezpieczniejsze może dla republiki niż orleanistowskie pióra!

Co do nas nie uprzedzamy się za żadnym stronnictwem. Tytuł *Monseigneura* nie działa na nas jak na innych w odużający sposób. Musimy jednak przyznać, że mowa księcia Aumale, którą odczytaliśmy z uwagą wypowiedziana była bardzo zręcznie, z wielkim życiem i oryginalnością tak niezwykłą w mowach akademickich. Początek jej wyborny. Nowoprzyjęty członek zrywa śmiało z oklepaną formułą, nie zaczyna od ekliwych komplementów, ale wstępny bojem przystępuje do rzeczy, jak niegdyś do szturm sławnej Smali Abdalkadera. Wszystkie też dzienniki i pisma nie wyłączając republikańskich i bonapartystowskich, rade nie rade musiały podnieść zaszczy-

tnie początek tej mowy, zowiąc go *nicakademickim*, co już dostateczną było pochwałą.

Przytaczamy dosłownie ten początek:

„W dniu 12 czerwca 1553 r. zastępy cesarskie przystępowały po raz trzeci do szturmów Therouanne, starego grodu najbitniejszych pokoleń galskich, głównego szanca naszego od północy. Nieprzyjacieli szedł naprzód rozgniewany niespodziewanym oporem.

„Na wyłomie muru w pierwszym rzędzie obleżonych stał siedmudziesięcioletni starzec z gorączkowym rumieńcem, przykro odbijającym od oblicza trawionego żółtaczką. Był to dowódca warowni, stary towarzysz króla Franciszka i Bayarda. Z włócznią w ręku czekał na wroga, gotów przyjąć go jak w dwóch poprzednich szturmach. Ilekroć z poza rozwalonych murów zajrzała mu w oczy twarz Niemca, oko jego zapalało się nagle: „Do mnie—wołał—do mnie rotmistrzu, jam tu naczelnym wodzem!“ I niebawem starzec runął na ziemię ugodzony w pierś strzałą, dotrzymując słowa królowi, do którego wyrzekł przy pożegnaniu:

„Panie, jam chory, ale skoro się dowiesz, że Therouanne wpadł w ręce wroga, powiedz śmiało, że sługa twój wyleczon z choroby, że pani żółtaczką nie miała zaszczytu powalić go na łożo.“

„Ten zapal rycerski, to poświęcenie gotowe do rozpaczliwej walki, ta prawdziwa odwaga wyrażająca się z taką prostotą, ażaliż wam nie przypominają znanych rysów? Obrońcą Therouanne był Montalembert. Szesnastu potomków jego upadło jak on przy chorągwi; poczet ich zakończył Artur Montalembert, pułkownik strzelców afrykańskich, zmarły na zarazę w czasie marokańskiej wyprawy.

„Brat jego starszy Karol Montalembert, pierwszy z rodu nie ujął w rękę miecza, lecz słowo jego było mieczem!“

Łatwiej było księciu Aumale mówić o Montalembercie rycerzu wieku XVI-go, aniżeli o tym Montalembercie, po którym zajmuje akademickie krzesło. Wiadomo bowiem, że ów szermierz nowych czasów, którego słowo było mieczem, przez lat wiele jako par Francji obracał ten oręż przeciw rządowi Ludwika Filipa. Ciężka to była próba; zrećnie jednak umiał mówca płynąć po pełnym morzu, nie zawadziwszy nigdzie o skały. Tu porusza serca słuchaczy przypominając długie lata wygnania swego i smutny powrót do kraju zalanego krwią, zsięzonego chłostą, obciążonego w granicach. Tam przypomina niedolę własną, śmierć ostatniego syna księcia de Guise, zmarłego tej zimy w Paryżu. Tu znów rzuca pochlebne słowo dla ojców swoich chrzestnych ¹⁾: starego Guizota i prezydenta Rzeczypospolitej; tam wreszcie opowiada ostatnie spotkanie z Montalembertem w zamku Rixensart w Belgii i kreśli piękny obraz starca schorzałego na ciele, a mimo to pełnego ducha i woli.

¹⁾ Zwyczaj wymaga, aby dwaj dawni członkowie Akademii wprowadzali nowego przybysza: zowią ich ojcami chrzestnymi.

— Po raz ostatni — mówi — patrzałem w oblicze sławnego męża: spoczywał na łożu tknięty nieuleczoną chorobą. Długa biała broda dodawała ozdoby szlachetnym rysom. Słowo jego jak zawsze pełne życia powstawało z oburzeniem przeciw złemu, wynosiło z zapalem wszelkie dobro, potępiało sceptycyzm jednych, lenistwo drugich w sposób zupełnie dla mnie nowy, z pobłażaniem i powagą, zespokojem chrześcijanina, który wie że godziny jego policzone i spogląda bez trwogi w zbliżającą się chwilę ostatnią. I powtarzałem słowa Bossueta, że dusza walcząca panuje ciału, które ożywia technieniem swoim.“

Z pomiędzy utworów poprzednika nowy akademik rozbiera najdłużej znakomite jego dzieło *Les moines de l'Occident* rozpoczęte w młodości, dzieło nad którym Montalembert pracował do chwili ostatniej. Przytaczamy to ocenienie:

„W pierwszej próbie, w *Żywocie Świętej Elżbiety*, napisanym w dwudziestym piątym roku życia pod wpływem głębokiego smutku, autor podnosi poezję katolicką, poezję cierpienia i boleści. W *Mnichach Zachodu* dzieło głęboko obmyślaném, stawia przed czytelnikiem obraz świata społecznie odrodzonego, historią cywilizacji, do której mógł wziąć za epigram zdanie znakomitego członka naszego grona pana Littré: „Wielkim czynikiem ocalenia społecznego w V, VI i VII wieku był kościół“. Z wysoką też inteligencją, z sądem wytrawnym w długoletnim doświadczeniu, autor spożytkował zasoby nagromadzone do tej olbrzymiej pracy. Nie zapomina on czasów obecnych; serce jego uderzy nieraz gorąco i przenośi to sympatycznym okrzykiem dla klas roboczych i cierpiących, to cudną apoteozą poświęconą Siostrze miłosierdzia. Ale tak w całości dzieła jak w szczegółach określa on przede wszystkim cywilizacyjną działalność kościoła, wyszukuje pierwotnych źródeł wolności. Ton jego poważny, wzniosły, godzien prawdziwego historyka. Wzorem jego Tytus Livius. W ślad mistrza podejmuje niekiedy legendę; przedstawia ją w charakterze symbolicznym“.

Tu mówca przytacza legendę o św. Benedykcie, jak przebiegając okolicę Subiaco napotkał jednego z braci, nowonawróconego barbarzyńcę, który siedząc po nad jeziorem załamywał ręce z boleścią i ścigał oczyma kosę wpadłą do wody. Na głos świętego, fala przyniosła narzędzie do stóp brata. „Podnieś żelazo — rzecze Benedykt — pracuj i nie upadaj w duchu! Słowa te zęcznie zastosowane do obecnego stanu Francji zakończyły świetną mowę nowego akademika.

Odpowiedź pana Cuvillier-Fleury ożywiona uczuciem dla wychowanka, którego witał w gronie nieśmiertelnych, przewyższa niewątpliwie wszystkie dawniejsze jego mowy. Oceniamy w niej szczególnie żywotne ciepło przebijające się mimowoli przez lodową skorupę formuł retorycznych, cechujących wymowę akademicką. Mówca był w rzeczy samej poruszony, kiedy przypominał księciu jak

sam będąc jeszcze młodym zajął się jego wychowaniem i prowadził je bez przerwy przez lat dwanaście, jak patrzył z chlubą na budzącą się w dziecku ową miłość pracy umysłowej, która dziś, kiedy dziecię dojrzało w przeciwnościach, roztwiera mu proggi przybytku nauk.

Cała mowa skreślona pod wpływem szlachetnego poruszenia odznacza się umiarkowaniem w sądach i dobrą wolą dla tych nawet, których akademik przywykł chlostać bronią sarkazmu. Kiedy przebiegając utwory literackie księcia Dumale, zaczawszy od broszur wojskowych napisanych za młodu w Algierze aż do *Historji Konduszów* wylicza w szeregu prac dzieło o zapasach Gallów z Cezarem (*La septième campagne des Gaules*) zmuszony mimowoli potrącić o pracę podobnej treści ówczesnego cesarza, mówi o niej z całą godnością i powagą.

„Poprzedziłeś — rzecze — w tej pracy groźnego erudyty, który władał wielkiem państwem i znajdował pod ręką bogate zasoby, jakich nauka udziela chętnie potędze. Miał on szlachetne zamiłowanie w archeologii, a szczęśliwszy od ciebie panie, szedł prosto do faktów, badając je na miejscu. Tym to sposobem zwycięzca Solferino doścignął po tobie w paśmie wieków zwycięzcę Alezyi“.

Oceniając potem ostatnią pracę księcia: *Instytucye wojskowe we Francyi* wydaną na krótko przed wojną, opowiada jak uczony marszałek Niel ówczesny minister wojny zwrócił na nią pilną uwagę; jak *wyżej jeszcze* wartość tej pracy szlachetnie została uznana i zalecaną.

Toż samo umiarkowanie, tóż samą dobrą wolę widzimy w ocenieniu prac i charakteru *Montalemberta*. Przytaczamy kilka ostatnich rzutów, któremi mówca dopełnia obrazu wykonanego biegłą ręką.

„Montalembert od młodzieńczych lat aż do śmierci był śmiałym obrońcą prawdy przed obliczem świata. Rzucił ją wbrew wszystkim bez ogródki. Słusznie powiedziano, że miał powagę od lat najmłodszych. Tacyt rozpoczynając życiorys Agrykoli, odwołuje się przeciw gwałtom do tego, co zowie sumieniem ludzkiego rodu, potęgi straszliwej, gdyby miała do posług swoich wodzów i legiony. Ma ona tymczasem obrońców w filozofach tylko i pisarzach! Otoż Montalembert był jednym z tych dzielnych zapaśników sumienia ludzkości. Zadanie to wielkie, prawdziwie! Mamy wszysocy w życiu cywilnem kodeks, który określa nasze prawa; w porządku politycznym mamy konstytucye, które rządzą nasze stosunki z państwem; w rzeczach moralnych mamy kapłanów, którzy oświecają sumienia nasze, mamy wreszcie filozofią. W prawie narodów rzecz się ma inaczej: tam wyłącznie panuje siła. Policzmy wszystko, co zaszło od lat dwustu, aż do ostatnich krzywd Francyi obciążonej w granicach, obciążonej potwornym haraczem! I gdzież to wielkie sumienie rodu ludzkiego? Nieby go nie wsparło w historii, nie nie bronilo w czasie obecnym, gdyby niekiedy nie ozwał się za niemi

samotny głos częstokroć wyszydzony i spotwarzony kilku ludzi wspaniałomyślnych!

Takim rzecznikiem prawa publicznego był od lat wielu Montalembert. Mandat dała mu jego wiara. Wolny od pychy, ufny w głoszoną prawdę, ten znakomity mówca i pisarz przedstawia się oczom naszym jakoby jeden z świadków Bożych na ziemi, w wiekiściej walce dobra przeciwko złemu“.

Mieliśmy w Paryżu prawdziwą niespodziankę: koncert naszego muzyka-poety Władysława Tarnowskiego. Mówiliśmy już o tym artyście przed dwoma laty w kronice pisaną z Wiednia. Wówczas byliśmy oczarowani znakomitą grą jego; dziś dodamy tylko, że dwa lata wytrwałej i energicznej pracy, pracy prowadzonej systematycznie, pod natchnieniem coraz wyższego a wyższego ideału, czynią go niewątpliwie najznakomitszym z uczniów Liszta. Oklaski jakie Władysław Tarnowski wyrывał z serca słuchaczy we Włoszech, były mu zapewne nową pobudką do podniesienia się w wyższą sferę harmonii; jeśli bowiem każdy wielki artysta powtarza chętnie z Kochanowskim:

Sobie śpiewam nie komu; bo któż jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi?

Każdy przecież rad jeśli znajdzie gorące serca i wytrawne umysły znawców, które zlewają się w harmonijny chór z jego uczuciem, z jego myślą, z jego ideałami!

Koncert odbył się dnia 5 kwietnia w sali Hertza i pozyskał oklask powszechny.

Nie wiemy sami co więcej podziwiać w naszym artyście, czy biegłego egzekutora, który w całym znaczeniu opanował instrument i uczynił go posłusznym woli swojej, czy też kompozytora pełnego twórczej siły. Szczególnie to zaprawdę połączenie dwóch odrębnych zdolności. O ile w wykonaniu koncertu Webera, nocturnu Fielda, utworów Liszta, Szopena i Schumana pan Tarnowski umiał najdoskonalej przejąć się duchem tych wielkich mistrzów, o tyle w własnych utworach okazał prawdziwą samodzielność wolną od wszelkich wpływów obcych.

Z podziwieniem słuchaliśmy wykonanej przez orkiestrę uwertury do dramatu *Karlińscy*, nad którym pracuje obecnie poeta. Jakaż tu znajomość instrumentacyi, jakie bogactwo pomysłów, jaka obrazowość, jaka potęga dramatyczna!

Po kraju rozbiega się głucha wieść o skonie Stefana Batorego; odgłos jej wpada w ciche mury domu Karlińskich, gdzie matka przyspiewuje do snu dziecinie. Nic słodsze nad tę pieśń młodej

matki oddaną przez wiolonczelę, harfę i klarnet. Nagle dzieczieją tony, pieśń przechodzi w pobudkę bojową, wściekła harmonia maluje boleść Karlińskiej, gdy oddaje na ofiarę niemowlę. Kobieta przecież nie upada pod ciosem; w chwili stanowczej umie się podnieść do najwyższej rezygnacji. Błogosławi dziecko... tu daje się słyszeć huk działa zapalonego ojcowską ręką. Okrzyk macierzyński odpowiada mu rozpaczliwie, ale tony przechodzą w rycerską nutę marszu.

Lubo cudzoziemcy nie zrozumieli przedmiotu, instynktem jednak przeczuli stronę dramatyczną kompozycji i obsypali uwerturę oklaskami. Wielkie niemniej sprawiła na słuchaczach wrażenie pieśń Wiktora Hugo „*Au soleil couchant*“ ułożona prawdziwie po mistrzowsku. Tu artysta oddał umiejętną instrumentacją treść zawartą w pięknej poezji, o ile tylko plastyka możliwą jest w muzyce.

Przytaczamy wiersz W. Hugo w przekładzie z zachowaniem oryginalnej miary.

Słońce się kłoni,
A tyś w pogoni
 Za chwałą!
Wszystko na ziemi
Pod stopy twemi
 Zciemniało...
Może w pomroczy
Tuman ci w oczy
 Nasłało.
Spojrzyj na strony,
Kraj otulony
 Mgłą białą;
Ruszałek chmary
Mkną przez obszary
 Nawałą...
Patrzą surówo:
Tknąłżeś je mową
 Zuchwałą?
Schroń się głęboko,
Nim cię ich oko
 Dojrzałol...
W blasku księżycy
Spojrz im na lica
 Nieśmiało;
Twój dzień się kłoni,
A tyś w pogoni
 Za chwałą!

Nicot tytuniem, Drake kartoflami,
Dla Ameryki Juljan bruszcnicami.

Oczywista rzecz, że te rymy poświęcam ceniom Krysztalewicza, Rozbickiego i wielu (niestety!) innym podobnej doniosłości rymotwórcom.

Ale wracajmy co prędzej do dalszego opisu podróży, od której nas ten ustęp nieco oddalił.

Przenocowawszy w Mysłowicach, nazajutrz pod wieczór byliśmy w Dreźnie. Nieznalazszy wolnego mieszkania w Hotel de France, gdzie dawniej kilka razy mieszkałem, ani obok w Hotel de Russie, musieliśmy zatrzymać się naprzeciw w jakimś lichym zajeździe, gdzie nam za parę pokoiów kazano zapłacić na dobę po pięć talarów, dowodząc że z powodu pięciu miliardów, które Francya musi Niemcom zapłacić, pieniądze o tyle potaniały, o ile podróżowały mieszkania; przytém był w Dreźnie jakiś jarmark i cesarz brezylijski.

Nie dano mi czasu rozlokować się i posłano po dwoje starszych dzieciek naszych, które więcej jak od roku były w Dreźnie w szkołach, gdzie się uczyły na potęgę po niemiecku, a przytém brały lekcyje prywatne angielskiego języka. Dla całej naszej rodziny bardzo się to później przydało.

Opisywać wspólną radość, kiedyśmy się po półtora-rocznym rozłączeniu, znowu do kupki zebrawi, nie potrafię. Czytelnicy jeżeli sami mają dzieci, to pojmą; jeśli nie, to nie uwierzą. Dzieatki nasze podrosły, zmężniały, potłuściały nawet;... i nie dziw: czuwał bowiem nad niemi Anioł dla dzieci, hrabina Katarzyna Szadurska: tak ją i inni w Dreźnie nazywają.

Cały wieczór i prawie noc całą przegawędziliśmy z sobą; nawet młodsze dzieci, odstąpić siostrzyczki i braciszka nie chciały. Nazajutrz wypadło nam szukać tańszego mieszkania, gdyż mieliśmy zamiar przebyć tu kilka tygodni. Wynaleźliśmy, raczój wynaleziono nam, mieszkanie w domu prywatnym; cztery przyzwoicie umeblowane pokoiki z kuchnią, za półtora talara na dobę. Rodzina nasza wówczas w pełnym komplecie, składała się z dziesięciu, cyframi 10 osób. Nie sposób było obiadować w traktierze ¹⁾; wzięliśmy więc kucharkę, która nam za talara robiła znośny obiad.

Już tu troje starszych dzieci, najstarsze miało lat 13, zaczęliśmy przyuczać do posług domowych; i dobre dzieci z największą ochotą do tego się brały i dotąd są wielką dla nas pomocą. Jak w Dreźnie, tak i teraz w Ameryce, nastawiają samowar, przynoszą węgle i drzewo, chodzą za rozmaitemi pokupkami, wymiatają pokoje, korytarz, wschody, i wszelkie inne wypełniają posługi. Nie przeszkadza im to jednak chodzić do szkół i dobrze się uczyć.

¹⁾ W Hotel de France, za dwa złote (30 kop.) można mieć bardzo przyzwoity obiad. (przyp. autora).

Drezno miało być tylko popasem w naszej dalekiej wędrówce, przeto podziękowawszy Aniołowi za opiekę nad naszymi dziećmi, odwiedziwszy znajomych, zacząłem rozsluchiwać się i rozpytywać o dalszej podróży.

Plądrując po Dreźnie, zaszedłem raz do czytelni połączonej z kawiarnią. Przeglądając gazety, są tam polskie i ruskie, natrafiłem na ogłoszenie o linii parostatków między Bremen i Baltimore. Mając projekt, wraz po przybyciu do Ameryki, udania się do Waszyngtonu i wiedząc że oba te miasta sąsiadują, zmieniłem projekt i zamiast jak wprzód w myśli ułożyłem, jechać przez Hamburg do Nowego-Yorku, postanowiłem udać się przez Bremen do Baltimory. Do tego przyłożyło się jeszcze bardziej południowe położenie Baltimory, a więc lżejsza zima i inne okoliczności, a trzeba ci wiedzieć że stan mego zdrowia o ile polepsza się podczas upałów, o tyle pogorsza się przy mrozach.

Przedsiębiorca podróż z rodziną liczną, za której wygody, zdrowie i bezpieczeństwo czułem się odpowiedzialnym; umyśliłem wprzód sam jeden pojechać do Bremy, a w razie potrzeby i do Hamburga; obeerzecz parostatki i okręta przewozowe; umówić się o warunki i dopiero wówczas powierzyć falam Atlantyku rodzinę moją i jej losy.

Zostawiwszy więc wszystkich moich w Dreźnie, sam przez Lipsk, Magdeburg, Brunzswik, Hanower, udałem się do Bremy. Wyjechałem pod wieczór z Drezna i nazajutrz o południu wypadało mi być na miejscu; przybyłem jednak do tego miasta wieczorem, a to z następnego wypadku.

Na jakiejś stacyi za Hanowerem pociąg się zatrzymał: zapytałem konduktora, na wiele minut? Zdało mi się że odpowiedział: zehn minuten, to jest 10 minut. A że byłem głodny, bo od wczorajszego obiadu nic w ustach nie miałem i przez noc trochę przeziąłem; udałem się do bufetu, aby przelknąć szklanekę gorącej kawy. Kiedym krzywiąc się pił niemiecką kawę, pociąg ruszył. Ja do drzwi: zapóźno... więc volens nolens musiałem zostać przez kilka godzin na stacyi, oczekując następnego pociągu.

Tzeba ci wiedzieć, że po niemiecku prawie nie umiem; to jest umiem tylko tyle, ile mię nauczyły harfiarki na kontraktach w Wilnie i w Mińsku, lub w kawiarniach warszawskich; potoczną więc rozmowę, szczególniej z mężczyznami, utrzymać mi nie łatwo; z trudnością zatem naczelnik stacyi zdołał mi wytłumaczyć, że wina była z mojej strony, bo konduktor zamiast *zehn* (dziesięć), musiał powiedzieć *zwey*, to jest dwie minuty.

Kiedym błąkał się po banhofie jak Marek po piekle, przeklinając w duszy konduktora, że mię oszukał i niewinne harfiarki że mię lepiej nie wyuczyły po niemiecku, nadszedł jakiś jegomość ze strzelbą i wyżłem, dostał z torby parę bekasów, dubeltów oblaných, oddał do bufetu i zaczął szwargotać z garsonem. Zrozumiałem tylko tyle, że Niemiec opowiadając w komiczny sposób moje zagapienie, nazwał mię francuzem; wówczas hanowerczyk, baron i coś więcej jeszcze, jak się później dowiedzia-

łem, zbliżył się do mnie i jak na Niemca dobrą francuzczyzną zapytał grzecznie: czy nie może mi w czem być użyteczny?

Rad że mogę się wygadać, opowiedziałem mu pomyłkę moją czy konduktora.

— Może to i nie była pomyłka — odparł baron — ci ichmość pozwalają sobie podobnych żartów z cudzoziemcami, a szczególnie z rodakami pańskimi; chociaż gdybyście mogli przedstawić świadków, którzyby to słyszeli, konduktor byłby ukarany, co najmniej straciłby miejsce. Wszakże to spóźni pana ledwo na kilka godzin, bo niedługo nadejdzie inny pociąg, który was zabierze. Ale trzeba dopełnić pewną formalność: macie bilet na pociąg, który odszedł, otóż trzeba aby naczelnik stacji poświadczył pomyłkę, bo inaczej każą drugi raz zapłacić. Daj mi pan swój bilet.

Oddałem bilet, i hanowerczyk odszedł z nim dla poświadczenia. W tym czasie garson bufetowy nakrył stół, zastawił śniadanie składające się z butelki wina, sera, dwóch cieniotkich jak papier na którym piszę, opłatków wędliny i dwóch bekasów; ale tak fatalnie przyrządzonych, że to doprawdy woła o pomstę do nieba! Wyobraź sobie kochany przyjacielu, dubelty były wypaproszone! nie obwinięta słoninką, bez grzaneczek i nie na różnie upieczone, lecz widocznie uduszone w rądeleczkul!

Nie mogąc znieść takiego widoku wyszedłem przed stację, myśląc że jeśli mi przyszło być bekasem, to wolałbym pędzić żywot na słuckich, pińskich, niż na hanowerskich błotach. Nawet w razie nagłej i niespodziewanej śmierci, na Litwie, pierwszy lepszy kuchta upiekłby mię po ludzku. Przerwał mi te myśli nad smutnym losem niemieckich bekasów baron, odnosząc bilet poświadczony i zapraszając grzecznie na śniadanie.

Za grzeczność, grzeczność; przyjąłem zaproszenie: ser był dobry, w wędlinie nie mogłem się rozsmakować, tak jej było mało, bekasa zaś spożyłem jedynie z grzeczności i głodu... ale wino było wyborne.

— Za zdrowie pana...

— Baron Fryderyk von... (nazwiska zapomniałem) — odpowiedział z ukłonem.

Wypadało i mnie zarekomendować się; a że moje nazwisko nie kończy się ani na *stz*, ani na *wicz*, więc i dalej baron brał mię za francuza. Kiedyśmy rozmawiali o możebnych skutkach wojny francuzkiej; zapytał mię z uśmiechem:

— To pan zapewne zwałeś kolumnę Vendôme?

— Gdybym był w owym czasie w Paryżu, pewnobym się do tego nie przyłożył. Ale pan baron mylisz się co do mojej narodowości: ja nie jestem francuzem.

— A!

Kiedym mu wymienił moją narodowość, baron podał mi rękę, ścisnął, dolał kieliszki i zawołał:

— Vive Varsovie! Warszawa piękne miasto; wesole, zanadto bodaj wesole; kobiety piękne, strojne, zanadto piękne i strojne. Byłem tam dawniej.

Daléj szła rozmowa, ale jéj powtórzyć nie mogę, bo... bo... list byłby za długi. To tylko powiem że hanowerczyk nie bardzo był uradowany tryumfami Wilhelma i Bismarka, chociaż pełen zapału dla Moltke'go, a bardziej jeszcze dla Roon'a. Dowodził, że z całej téj wojny, która kosztowała obudwu stronom z pół miliona ludzi, przybyło niemcom kilka tytułów, tyleż miliardów, pół miliona wojska, a, ani zdźbła szczęścia.

Kiedym mu opowiedział powód mojej podróży do Bremy; zapytał: do jakiego agenta zamierzam się udać? Dostałem gazetę i wskazałem annons.

— Przestrzegam pana—mówił baron—że wszyscy, bez wyjątku agenci dla przewozu emigrantów do Ameryki, są wierutne lotry. Mało co lepsi od handlarzy murzynów. Słusznie jednych i drugich nazywają: sprzedawcami żywego mięsa. Czyhają tylko aby obedrzeć i oszukać nie-szczęśliwych, którzy zmuszeni są jechać za ocean. Claus Kühl, do którego chcesz się udać, nie wiele lepszy od innych; wszakże lepszy. Nie zabije pana, nie okradnie, ale dobrze obedrze i jeśli nie będziesz się miał na baczności, oszuka. Gdybym miał czas wolny, przeprowadziłbym was do Bremen i poleciał Kühl'owi, ale i tak kilka słów napiszę.

Jakoż wydarł kartkę z pugilaresu i napisał kilka wierszy po niemiecku. Nie mam już téj kartki, a szkoda, bo pamiętałbym teraz nazwisko poczciwego hanowerczyka, który okazał współczucie tułaczowi, z którym pewno już się w życiu nie spotka.

Zadzwoniono, wkrótce nadszedł pociąg, i ja serdecznie pożegnawszy się z baronem, odjechałem.

W wagonie 3-jej klasy, (zwykle w téj klasie podróżowałem w Europie, w Ameryce zaś stale jeżdżę klasą 1-ą, dla téj prostej przyczyny, że 2-ej, a więc tańszych tu nie ma), zastałem pastora protestanckiego i cztery dorosłe i piękne panny: były to jego córki. Z rozmowy (pastor mówił siedmiu językami), dowiedziałem się że przed rokiem był na misyji w Indyach Wschodnich, obecnie zamierza odpłynąć z córkami do Ameryki. Kiedym go niedyskretnie zapytał o powód? oświadczył mi bez ogródki, że spodziewa się tam córki powydawać za mąż; bo w niemczech pannom *dobrze wychowanym*, a ubogim, trudno znaleźć mężów. Sam zaś zamierza pracować w winnicy Pańskiej nawracając z rozmaitych błędnych sekt chrześcijańskich i nie chrześcijańskich, na swoją (jakoby) prawdziwą religię. Dowiedziałem się także, że kiedy sam apostołował w Indyach, żona i córki zostawały w Europie. Miał to być pierwszy transport, bo, jeśli się powiedzie, ma zamiar pojechać do Europy po drugi transport córek, które dorastają i po panią pastorową. Życzyłem mu powodzenia co do córek; radząc aby dał pokój nawracaniu chrześcian, w kraju gdzie się znajdują poganie. Zabierało się na długą dysertacyą, kiedyśmy nareszcie wjechali do Bremy.

Było koło piątej w wieczór. Poszedłszy do miasta sam jeden, ujrzałem na jakimś *nie poczesnym* (litewszczyzna) zajęździe szylt: *Stadt Hamburg*. Udałem się tam: za pół talara na dobę wskazano mi malutki pokoik z łóżkiem przepelnionym piernatami. Zażądałem herbaty, ale nie mogąc się takowej doczekać, wlałem w bety i zasnąłem.

Równno ze dniem a było to w połowie września 1871 r. obudziłem się i wyszedłem na miasto, z zamiarem naprzód wstąpienia do pierwszej lepszej kawiarni, a potem odszukania agenta zajmującego się transportowaniem *żywego towaru z Europy do Ameryki*. Było po 6-iej, dzień pięknawy, a na ulicach Bremy, ani żywej duszy, domy pozamykane i mieszkańcy prawdopodobnie wylegali się w betach. Nie było innéj rady, jak błąkać po ulicach miasta *na czczo*, dopóki niemcy i ludzie się nie pobudzą.

Wyobrażam sobie czcigodny mój przyjacielu, jak się ty nademna lutujesz! Ty co nigdy na czczo z domu nie wychodzisz! Wiosną lękasz się aby cię podmucha chłodnego wiatru *na wskrós nie przejęły*; latem zastrasza cię obfita rosa lub upały; w jesieni wilgoć i mgła; a zimą mróz lub odwilż: słowem zawsze jest słuszny powód, aby nie wyjść na czczo z domu, nie przelknąwszy wprzód szklenicy kawy, lub co jeszcze zdrowiej, kielicha piolunkówki.

A ja biedny wędrowiec musiałem błądzić *na czczo* po ulicach obcego miasta; nie mając ani dokąd wejść, ani z kim się rozmówić, ani czém się posilić! Z biedy więc zacząłem sobie przypominać co téż ja wiem o tój Bremie? Prawie nic. Gdyby to Paryż, Warszawa, Wilno, nawet Smorgonie lub Pacanów, wiele dałoby się powiedzieć i napisać. Ale o Bremie!... Chyba to, że jest miastem bardzo handlowóm, że niegdyś grało ważną rolę w związku miast hanzeatyckich, miało stosunki handlowe z Wielkim Nowogrodem, dopóki Nowogród był wielkim i z Gdańskiem, dopóki Gdańsk nie był Danzigiem. W XVI wieku należało do Szwedów, których się pozbyło dopióro w roku 1731. Przez trzy lata, to jest od roku 1810 do 1813 należało do Francuzów. Przed tém zaś i potem uważało się za miasto wolne; i teraz poniekąd uważa się za takowe, chociaż ma garnizon pruski. Kto zaś Bremę założył? jak dawno? Dalibóg nie wiem. Spodziewam się że i ty kochany czytelniku nie wiesz, lecz jeśliś ciekawy, zresztą na co się to przyda? to zajrzyj do jakiejś kilkudziesięciu tomowej Encyklopedyi. Oto są moje wiadomości historyczne o Bremie. Z jeografii zdawało mi się że jest położone nad Wezerą, która o mil 15 niemieckich, mało co muięjsze od ukraińskich, wpada do morza bodaj niemieckiego. Policzywszy ze mną nowo przybyłym, Brema ma 80,001 mieszkańców. Pod jakim zaś leży stopniem długości i szerokości jeograficznój? bądź łaskaw sam wyszukać na mappie Europy, bo toby mnie wiele czasu zajęło i kosztowało, a czas u nas w Ameryce

to pieniądz. Nie pamiętam z kąd już wiedziałem, że po Liverpoolu, a przed Hamburgiem, Brema najwięcej wysyła wychodźców do Ameryki.

Wówczas także przypomniałem, że w odczytach twoich kochany przyjacielu, które od czasu do czasu, miewasz w gronie przyjaciół o *Beez-ce Heidelbergskiej*, wspominałeś, z rozczuleniem o piwnicach bremeńskich a szczególnie o owęj pod ratuszem.

Jakoś mimowolnie, instynktowo... jak ciebie kocham, nie zapytawszy się nawet stróża nocnego, ujrzałem się przed gmachem, który mi się wydał ratuszem, i był nim w istocie. Piękny gmach, choć bardzo stary, nosi bowiem na sobie wyrzeźbiony rok 1410, rzymskimi cyframi, jeśli się nie mylę MCCCCX. Płaskorzeźby na ratuszu bardzo piękne, architektura gotycka.

Dobrze te wszystkie piękności i doskonałości ratuszowe rozpatrywać, wyszedłszy po dobrém śniadanku od Stępkowskiego; nawet płaskorzeźby i architektura wyda się piękniejszą; ale nie mnie zziębniętemu i na czczo, kiedy wszędzie pozamykano: nie tylko na górze, ale i piwnice na dole! Byłem w pozycji owego Jacka, o którym powiada poeta Józef Massalski, że „posyłał zapytać w mieście, czy tój nocy północ będzie?”

Razem jakiś poczciwy zegar wieżowy, zaczął wydzwaniać godzinę: liczę siedm! i, jakby na komendę, zaczęły się otwierać drzwi i podwoje domów. W ciągu kilku minut otwarły się wszystkie... wszystkie.. prócz podwojów od piwnicy ratuszowej! Spojrzałem w inną stronę: Kawiarnia jakaś otwarta. Poskoczyłem tam prędko, o ile mi na wpół sparaliżowana noga dopuściła i zawolałem: *ein glas cofe mit kugel!* Na lepszą niemieczynę na czczo nie mogłem się zdobyć. Przyniesiono mi kufel kawy i bułkę.

Wy rodacy, którzyście podróżowali po Niemczech, wiecie co warta kawa niemiecka? Ma się ona tak do kawy polskiej, jak pieczony bekas hanowerski, do piezonego bekasa litewskiego.

Z głodu, chłodu i czczości wypilem gorącą (jedyna zaleta) kawę i zacząłem rozpytywać o drogę do her Claus Kühl.

Niemasz pojęcia przyjacielu, na ile przykrości narażony jest cudzoziemiec w kraju, którego nie zna dobrze języka? Jak więc nie słusznie żartujem i nawet przedrzeźniamy cudzoziemca, choćby to był Niemiec, który u nas i z nami rozmówić się nie może i naszą piękną mowę kaleczy.

Dokazałem jednak sztuki że mię zrozumiano i zaczęto opowiadać przez jakie *strasse* i *gasse*, *linx* i *rechts* iść mi potrzeba. Zrozumiawszy że sam nie trafię, zaproponowano mi przewodnika. Chętnie się na to zgodziłem. Garson gwizdnął w świstawkę i natychmiast zjawił się *poslaniec*. Przeszliśmy może tyle, co z S-to Jańskiej na Trembacką; przewodnik się zatrzymał, wskazał mi dom i szylł „Claus Kühl etc.” i zażądał *bezahl!* Wrazu tego każdy z nas w Niemczech natychmiast się nauczy, chociaż u nas spotykałem cudzoziemców mieszkających po lat kilka, którzy w raz „zapłać” nie rozumieli. Dałem mu złotówkę: „*Wenig!*” Ja na to:

genung. On. „*nein, noch ein.*” Niema co; dałem mu drugą, czyli razem $\frac{1}{3}$ talara. Odczepił się odemnie, a ja wszedłem do bióra.

Wyglądało ono bardzo lichy, chociaż jak wiem robią się tam interesa na setki tysięcy talarów rocznie. Przy biurku za przegrodą pisał w wielkiej księdze jakiś młody człowiek. Zapytał mnie: czego żądam? Odpowiedziałem że mam zamiar jechać do Ameryki i chce się widzieć z panem Claus Kühl.

— Zaczekaj! Patron za 16 minut przyjdzie.

Zacząłem się rozglądać: ściany były pokryte mappami i widokami miast amerykańskich, znalazłem między innymi i widok Baltimory; prawdziwy jak się później przekonałem i zacząłem go rozpatrywać. Wybiło 8, wszedł her Claus.

Byłto, a zapewno jest i teraz człowiek około czterdziestoletni, w miarę otyły, rumiany, biały, nawet dość sympatycznej fizyognomii. Pogadał chwilkę ze swoim klerkiem, rozpatrzył księgę i zwrócił się do mnie z zapytaniem: „czego żądam?” Teraz ja nawzajem go zapytałem: czy umie po francuzku? Nein. Po polsku? Nein. Po rusku? Nein. Po litewsku? Nein. Po łacinie? dodałem ze złością. Miałbym się pysznie gdyby umiał! Ale her Kühl zaczął machać rękami i powtarzać: Nein, nein, tylko po niemiecku i trochę po angielsku.

Zacząłem więc opowiadać mój interes po niemiecku. Byłaż to niemczyzna Boże odpuść. O harfiarki, harfiarki! wyuczyłyście mnie i wielu z moich rodaków niepotrzebnych rzeczy, wołałbym byście nas lepiej wyuczyły po niemiecku.

Zrozumiał wszakże her Claus, że chcę jechać do Ameryki, do miasta Baltimory i zapytał:

— *Kajute oder zwischendeken?*

— I kajutą i pod pokładem—odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Jakto i kajutą i pod pokładem? jednocześnie?

— Nieinaczéj.

— To być nie może?

— Owszem: bardzo być może. Inaczéj nie pojadę.

Spojrzał znów na mnie Kühl, jeżeli nie jak na waryata, to przynajmniej jak na doskonałego pół.. główka.

— Cóż tu dziwnego? zabieram rodzinę moją: jest nas 10 osób. I aby się nie pomylić, pokazałem mu palce obu rąk. Claus zaczął się śmiać serdecznie, ja i klerk także.

— Teraz to rozumiem: pan w kajucie, a inni pod pokładem.

— Przeciwnie panio Kül: ja z synami pod pokładem, a moje damy w kajutach.

— A! i tak można.

Zaczął więc recytować: „Kajuta do Baltimory (Maryland) będzie kosztować od osoby po sto trzydzieści pięć talarów kurant, pod pokładem po 55 tal. kurant, dzieci do 10 lat wieku płacą połowę. Na rzeczy daje się miejsca na parostatku po 20 stóp kubicznych na osobę, na dzieci

po 10, co więcej po talarze kurant od każdej stopy kubicznej. Za przewiezienie psa płaci się 30 talarów kurant. W kajutach utrzymanie królewskie, pod pokładem bardzo dobre. Pakunki trzeba przedstawić na okręt, na parę dni przed odpłynięciem; pieniądze wszystkie złotem lub talarami kurant, płacą się tu u mnie z góry.

— Dość, dość, panie Claus. Wiem o tém wszystkiém. Tylko chciałybym wprzód oglądać parostatek, na którym pan nas wyprawisz.

— A to na co? Bezpieczeństwo wszelkie. Żaden z parostatków północno-niemieckiego Lloydu, nie uległ przypadkowi (kłamał bezczelnie). To nie to, co parostatki francuzkie, lub amerykańskie.

— A jednak ja chciałybym podziwiać wprzód owe doskonałe parostatki północno-niemieckiego Lloydu, nim na który z nich posadzę moją rodzinę.

Kühl wzruszył ramionami.

— Będzie to wam kosztować górą trzy talary kurant?

— Cóż robić! Przystęp mam do pana polecenie od barona, barona von...

I podałem mu kartkę owego wczoraj poznanego barona, z którym zjadłem śniadanie, jak o tém już wspomniałem. Kühl przeczytał prędko bilet i zdziwiony zapytał:

— Pan znasz Jego Ekscelencyę ministra barona Fryderyka von...

— Znam.

— Od dawna?

— Nie od dziś (poznałem go bowiem wczoraj); ale czyż on jest ministrem?

— Był wówczas jak Hanover miał swoich ministrów.

Zegar zaczął wydzwaniać godzinę. Kühl spojrzął na zegarek i już daleko grzeczniejszym tonem przemówił.

— Ułożym się później, a teraz chodź pan zemną na śniadanie. Pokażę panu osobliwości miasta, a może pojedziem razem do Bremerhafen, tam zobaczysz okręta kursujące do Nowego-Yorku, Baltimory, Ost-Indyi i po całym świecie.

Zdziwiony, że oto już drugi Niemiec zaprasza mię na śniadanie, chętnie się zgodziłem i w kilka minut biliśmy w owęj sławnej piwnicy ratuszowej. Clausa zaś znali tam z praktyki, bo skorośmy weszli garson nie pytając się przyniósł butelkę wina i dwie pary sandwicz z szynką i z serem. Nalawszy kieliszki napisał krędą na stoliku 36,000. Co to miało znaczyć? do tej pory nie wiem, a myśląc o czóm inném zapomniałem zapytać mojego towarzysza.

Ja nie lubię reńskiego, ale to które piłem w Bremie pod starym gotyckim ratuszem, w piwnicy, było *nee plus ultra*.

Bawiliśmy się butelką z pół godziny; ja wypilem ze trzy kieliszki, Kühl resztę. W tym czasie wchodziło i wychodziło z piwnicy, kilkanaście osób. Garsony nie pytając się stawiali przed każdym butelkę

i kieliszek, niektórym dodawali buttersznytka (sandwicz). Każdy pił, jadł i niezapłaciwszy wychodził, często nawet słowa do nikogo nie przemówiwszy.

Natchniony doskonałym winem i uwielbieniem dla bremeńskiej piwnicy, zacząłem był już w myśli układać odę romantyczną na jej pochwałę. Nawet dwa pierwsze wiersze bardzo mi się udały; Gete lepszychby nie napisał. Sądz sam mój przyjacielu?

Znasz-li ten kraj, gdzie wino darmo dają?
Tu znajdują raj, którzy pieniądze nie mają.

Kiedym się biedził ze zbyteczną dwónastą sylabą drugiego wiersza, Claus wstał i zabierał się do wyjścia. Wstałem i ja, na wszelki jednak wypadek dobyteł portmonetkę.

— Nie trzeba, nie trzeba—mówił czcigodny Kühl—ja tu jestem rocznie abonowany.

— Jakto abonowany?.. W piwnicy? Jakto być może?

— Bardzo być może: płacę z góry na rok 300 talarów kurant i mam prawo co dzień między 9-tą a 10-tą z rana do jednej butelki wina, którą powinienem wypić tu na miejscu; mam nawet prawo niekiedy przyprowadzić gościa do téj butelki wina.

— A tamci panowie?

— Oni także abonowani. Biedniejsi mogą się abonować na pół butelki, ale takich mało.

— Żartujesz panie Kühl Claus?

— Claus Kühl jeśli łaska.

— Przepraszam. A jeślibyś pan nie przyszedł, spóźnił się, zachorował, odjechał, lub nareszcie umarł; cóżby się z winem stało.

— Spóźnić się nie mogę, to mi się od lat 14 nie zdarzyło; zachorować trudno, bo wino bardzo zdrowe, jeśli zaś jadę czasem do Geestmünde, to zawsze po 10, i albo wieczorem, albo nazajutrz przed 9-tą z rana powracam. Inni nie są tak akuradni i na tym cały zysk piwnicy, bo takie wino, gdyby nie abonowany kazał go podać, kosztowałyby najmniej trzy talary kurant butelka. Ale chodźmy do banchofu, bo na kwandrans przed południem pociąg odchodzi do Geestmünde, a ja chcę panu towarzyszyć, ponieważ mi jesteś polecony przez Jego Ekscelencyę barona. Wyszliśmy.

Jak was szanuję czytelnicy, jak kocham pozostało mi dzieci, tak upewniam was, że taki abonament na wino w piwnicach bremeńskich egzystuje na opisanych warunkach, i her Claus Kühl jest abonowany.

Są więc nawet w Europie cuda, o których ani się śniło naszym bi-
bułom. Po trzech kieliszkach starego reńskiego rozjaśniło się jakoś i uporządkowało w mojej zwykle ciemnej i nieporządnój mozgownicy, rozumiałem Kühla wybornie i sam stałem się po niemiecku wymowny, niby papuga, która sto lat między Elbą i Renem przeżyła. Płac na któ-

ry przed godziną obojętnie patrzałem, wydał mi się teraz bardzo pięknie. Postrzegłem jakąś wysoką statwę i zapytałem, kogo ona przedstawia?

— To Roland, na 18 stóp wysoki.

— Roland? cóż on tu robi w Bremen?

— Przedstawia wolność handlową naszego wolnego miasta.

Zrozumiałem tylko z tego, że to jest posąg bohatera z pod Ronceveaux.

— Ponieważ mamy przed sobą jeszcze z godzinę czasu, pokażę panu inne osobliwości naszego miasta: oto jest katedra zbudowana w r. 1043, a w niej sklep cudowny zwany Bleikeller, który ma taką własność, że gdyby nas tam pochowano, moglibyśmy doczekać *nie zepsuci* do Dnia Sądnego.

— A czyby nie lepiej było aby nas obojdwóch zaabonowano na wieczność w piwnicy pod ratuszem i tam pochowano?

Claus także w różowym humorze, zaczął się śmiać serdecznie. Weszliśmy do katedry; dawno już zmienionej na kościół protestancki i do owego sławnego sklepu Bleikeller.

Powietrze suche, pozornie nie różniące się od zwyczajnego, chyba tём że stęchlizny nie czuć, a jednak ma taką własność że trupy w otwartych trumnach od wieków tam leżące, nie ulegają rozkładowi; ubior tamtowieczny również się na nich zachował w całości. Widok ten dziwnie robi wrażenie i wywołuje uczucie, z którego zdać sprawy nie potrafię. Psuje wszakże ową *grobową*, że się tak wyrażę, *harmonią*, kilkanaście sztuk zwierzyny (ptastwa) nie wypaproszonej, którą tam na próbę zawieszono przeszłej wiosny i dotąd się nie popsula.

— Czy nie możnaby—powiedziałem—upiec nam z parę tych kuropatw na obiad?

— Pan żartuje: ale przed tygodniem Anglik jakiś kupił parę sztuk, kazał upiec z truflami, zjadł z wielkim apetytem, wypił butelkę wina, które pamięta wojnę 7-0 letnią i nic mu się złego nie stało.

Katedra odznacza się ogromem, jedną jej wieżę dawno już roztrzaskał piorun, a bremeńczycy dotąd nie pomyśleli o odbudowaniu; ale za to zbudowali przed kilką laty wspaniałą giełdę z kopułą i licznymi galeryami. Nad frontem cztery posągi z piaskowca przedstawiają marynarza, rolnika, górnik i wielorybnika ¹⁾. Nie odgadłbym tego, gdyby mię Kühl nie objaśnił.

Ponieważ mam zły zwyczaj, wszędzie gdzie nawet tego nie potrzeba wścibić swoje trzy grosze, zagadnąłem Clausa:—Wartoby na waszej wspaniałej giełdzie postawić jeszcze dwa posągi?

— A to jakie?

— Kupca i agenta dla przewozu biedaków zwanych emigrantami do Ameryki.

— Cha, cha, cha! pana żarty się trzymają. Mniejsza o agenta, ale o kupcu wartoby pomyśleć. Wiuszuje wam jednak dobrego humoru.

¹⁾ Proszę o prawo obywatelstwa dla tego wyrazu.

Rzadko zdarza się spotykać wędrowców w tak wesołym usposobieniu. Wino doskonałe, nie prawdaż? Dam panu parę butelek na drogę. Daję słowo honoru, że czeka was szczęście w Ameryce.

— Czy nie pójdziem o gruby zakład?

— Zakład to rzecz zupełnie inna, ja nie Anglik, ani Amerykanin. Ale można nawet pójść o zakład: ja stawię talara (kurant) przeciwko stu waszym.

Rozumie się że takiego zakładu nie przyjąłem, ale ja sam na miejscu Clausa innegobym zakładu nie przyjął.

Pomyślałem w duszy: o mój honorowy Kühlu, gdybyś zajrzał w głąb mojego serca, nie wiele znalazłbyś tam nadziei, a ani żdźbła wesołości. I przyszły mi na myśl rymy zmarłego przyjaciela:

Bo czyż kwilić niby dziecko,
Że się w losie coś popsulo?
Czyż dostojność brać turecką,
Zostać wielkim safandulą... ¹⁾

— Chodź pan teraz w inną stronę: pokażę pomnik Gustawa Adolfa i naszego astronoma Olbersa co odkrył aż *dwie* planety? Bo też takich astronomów jak niemieccy, świat nie widział! Pan pewno zaprzeczysz, ale i Kopernik był Niemiec?

— Nie tylko że nie zaprzeczę, ale wam dodam jeszcze Ptolomeusza, który na pewno był Niemcem.

Ten żart popsuł trochę humor mojego towarzysza; zamiast więc oglądać pomniki, poszliśmy do banhofu. Claus kupił dwa bilety tam i napowrót i w parę godzin wysiedliśmy w Geestmünde. Przeszedłszy po moście rzekę Geeste, znaleźliśmy się w Bremenhafen. W porcie stało na kotwicach mnóstwo rozmaitych gatunków i wielkości okrętów. Kühł zaprowadził mię najprzód na jakiś dwumasztowy, żaglowy kupiecki okręt, za tydzień odpływający do Baltimory, i natrętnie mi radził abym na nim poźgłował. Zaręczał że za sześć tygodni ²⁾ zawiezie nas do miejsca; że to nas będzie kosztować o połowę taniej, jak na pocztowym parostatku; wygody mieć będziem wyborne, wszyscy pomieścim się w kajutach, więc będziem razem.

Wszystko to, a szczególnie że będziem razem i taniość, bardzo mię zachęcało.

Gdybym był sam jeden, niezawodnie pojechałbym na Laurzo (tak się nazywał ów okręt); ale żony i dzieci nieśmiałem posadzić na mały kupiecki statek; wręcz więc odmowiłem, i prosiłem aby mi pokazał

¹⁾ Cytuję to wiersze z pamięci; zdaje się że u Syrokomli drugi wiersz brzmiał inaczej.

²⁾ Statek ten przybył do Baltimory w cztery tygodnie po nas, mocno skolatany. Był więc na morzu około 10 tygodni. Przyp. aut.

który z pocztowych parostatków północno-niemieckiego Lloyd'u. Właśnie stało dwa takich w przystani: jeden odchodził pojutrze, a drugi „Baltimore“ odpływał za trzy tygodnie do miasta tegoż nazwiska. Wszliśmy więc na drugi: wszystko tu wyglądało wspaniale: kajuty, salon, fajeczarnia urządzone były ze zbytkiem i komfortem; w saloniku przeznaczonym dla dam był wyborny fortepian; była tam nawet mała biblioteczka z dzieł angielskich i niemieckich złożona.

Zapewniwszy się, że moim damom będzie wygodnie, chciałem też dowiedzieć się, co mnie z synami czeka pod pokładem? Tu było przeciwnie: zszedłszy parę piąter w dół, znalazłem się w ciemności; cała przestrzeń przez długość i szerokość okrętu, napelniona była na górze i na dole kilką rzędami skrzyń szerokich i wązkich, które miały służyć za łóżka podwójne i pojedyncze. Do tego wszędzie było brudno; powietrze jednak wydało mi się dość czystem. Zawahałem się chwilę: nie miło mi było narazić moją godność i moich chłopaków na tak niewygodną podróż. Ale kiedy mi Claus zaręczył, że przejazd, najwięcej będzie trwał dni piętnaście (kłamał: bo przy najpomyślniejszych warunkach płynęliśmy dni osnaście); kiedy się dowiedziałem, że na parowcach tej linii, klasy 2-jej to jest pośredniej, między kajutami i pod pokładem niema; a głównie kiedym się policzył ze szczupłym naszym kapitałem, którym mogliśmy rozporządzać, nie było innej rady, jak się zdecydować.

Plondrując potem po nadbrzeżu portowém postrzegłem dwa ogromnej wielkości parowce. Zapytałem Kühla: co to za okręta?

— To steamery naszej kompanii chodzące do Indyi Wschodnich. Kosztują one do miliona talarów kurant. Takich okrętów nie wiele na świecie.

— Czy nie można obejrzeć?

— Dlaczego nie? Tylko ja mam pewne interesa do załatwienia, ale pan jeśli nie boisz się drapać tak wysoko po drabinie, to wolna wola.

Zrozumiałem że her Claus nie chce narażać swojej godnej osoby; zresztą gdyby spadł z drabiny, mogłaby zajść długa przerwa w jego abonamencie; wówczas gdy ja, nie będąc abonowany w żadnej nawet czytelnicy, nie miałem się czego lękać, więc poszedłem.

Na tym olbrzymim parowcu, wszystko było jeszcze wspaniałej, wygodniej i w daleko większych rozmiarach jak na Baltymorze. Porucznik okrętowy, bardzo grzeczny i przyzwoity człowiek, mówiący doskonale po francuzku, ofiarował się być moim przewodnikiem; oprowadził mnie po różnych kątach i zakątkach okrętu, objaśniając chętnie wszystko o com się zapytałem.

Anim się spostrzegł jak przeszło parę godzin i słońce pochyliło się ku zachodowi. Trzeba było zejść, ale w tém właśnie był sęk? Wszedłem jakoś raźnie na górę, lecz jak tu spuścić się na dół z takiej wysokości po wązkiej drabinie? Lękałem się zawrotu i tak już słabiej głowy. Postrzegł moje wahanie się ów poczciwy porucznik, zawołał jakiegoś barczystego majtka i szepnął mu kilka słów do ucha. Raptem

ujrzałem się podniesiony w górę, głos jakiś zawołał: *mach die augen zu* (zamknij oczy) i w momencie byłem na dole: jedném słowem majtek zniósł mię na rękach. Dałem mu z radości, że nie uszkodził tak drogiego ciężaru, całego talara. Patrzę aż tu i porucznik przy mnie. Zapytałem go żartem: czy obu nas zniósł ów majtek? Rozśmiał się i nawzajem zapytał mię: „co myślę z sobą robić?”

— A cóż? Trzeba mi znaleźć mojego Kühla?

— Claus Küh! Toście wpadli w jego szpony?

— Albo co?

— Nic. Tylko dobrze was obedrze; nie więcéj jednak jak każdy inny z jego kolegów. Ja wiem gdzie go znaleźć i zaraz pana tam zaprowadzę.

Na dole w jakimś hotelu, odnaleźliśmy Clausa, który widocznie po obiedzie, miał jeszcze serwetę zawiązaną u szyi, z drugim jakimś jegomościem, popijał porter przegryzając séréem. Chciałem uczęstować porucznika, ale się wymówił, że jemu jako prawie miejscowemu, wypadaloby bardziej uraczyć mnie gościa.

Gość istotnie był głodny: kazałem więc podać sobie prędko befsztyku i herbaty. Befszyk był nieszczególny, ale tak doskonałej herbaty nie zdarzyło mi się pić nawet w Moskwie. Dobyłem był portmonetkę aby się rozplącić; ale postrzegłem że porucznik skinął i kelner oświadczył mi że już zapłacono.

Dziwiła mię niezmiernie ta gościnność i grzeczność, jakiej od dwóch dni od Niemców doznawałem; ale przestałem się dziwić, skorom się dowiedział że porucznik jest rodem z Kurlandyi. Nieźle nawet mówił po rusku. Niemcy w zetknięciu się z Słowianami, przejmują wiele zalet tego plemienia; nie powiem jednak, aby Słowianie również korzystali: bodaj czy niełatwiej przystają do nich wady Niemców?

Powracając na kolój, musieliśmy przechodzić wzdłuż przez całe Bremerhafen. Noc już dawno zapadła, ale na ulicy ruch wielki: wszystkie domy jasnie oświetlone, muzyka grzmi: *tańce, hulanka, swawola, ledwie karczem nie rozwalą*: słowem istny polski jarmark, za dawnych czasów. W Bremerhafen, jak mi powiadano, tak bywa przez rok okrągły: marynarze lubią na lądzie pohulać i mają za co.

O północy byliśmy w Bremen, umówiwszy się z Clausem zejść się nazajutrz o 10 w jego biurze i skończyć interes.

Przed 9 z rana byłem w kawiarni, której okna wychodziły na plac ratuszowy i z kąd doskonale było widać wejście do piwnicy. Dzie sięć minut po 9 wszedł tam her Claus i na 10 minut przed 10 wyszedł: nie chybił więc abonamentu. Poszedłem za nim i prawie jednocześnie weszliśmy do jego bióra. Zdawało mi się że był w wesolém usposobieniu. To mi dodało otuchy, aby coś utargować z zapowiedzianej wprzód przez niego i ogłoszonej w gazetach ceny za przewóz do Ameryki; przypuściłem szturm wymowy do jego serca, uczuć, patryotyzmu nawet... Nic i nic nie pomogło. Groziłem nawet że pojedziem do Hawru i tam siądziem na francuzki parostatek, że za moim przykładem pójdzie cała

emigracja europejska do Nowego Świata... Twardy jak głaz! A kwiaty i figury retoryczne mojego niemieckiego krasomówstwa, odpadały od niego, niby groch od ściany. Zawsze za kajutę od osoby 135 talarów kurant, pod pokładem 55 takichże talarów kurant! (Tém ciąglém powtarzaniem epitetu *kurant*, ile razy była mowa o talarach, który po dwóch dniach stał się dla mnie wstrętnym, Kühl dojadł był mi do żywego. Teraz zaś powtarzając ciągle ten wyraz w liście, radbym podzielić się z czytelnikami tą... przykrością; zawsze to sprawia pewną ulgę).

Nie było rady, przystałem. Zapłaciłem Clausowi połowę umówionej summy, zobowiązując się drugą połowę zapłacić w wigilią wsiadania na okręt, i wziąłem kwit napisany przez Clerka na drukowanym blankiecie, podpisanym przez Kühla. Mój patron (bo po zawarciu umowy tak mi nazywać go należy) dał adres zajazdu „Stadt Cincinatti“ do którego radził zajechać z rodziną, wszakże umówiwszy się wprzód o cenę. Miało to być taniej i wygodniej. Poszedłem tam: za parę pokojków z wiktem i posługą umówiłem się po 20 silberów, to jest $\frac{2}{3}$ talara, (chwała Bogu że nie kurant) od dorosłej osoby i po 10 silberów od dzieci do lat 12-tu na dobę. Dano mi przytém znośny jak na niemiecki, obiad za 10 silberów. Syn gospodarza mówił nie źle po francuzku,

Załatwiwszy jako tako moje interesa bremeńskie, o południu byłem już w wagonie i, jeśli się nie mylę, przez Hanower, Brunświg, Magdeburg, Lipsk, nazajutrz rano przybyłem do Drezna. Wchodząc do mieszkania zawołałem: kość rzucona, Rubikon przebyty; wybierajcie się do Ameryki!... Ale to już należy do listów, które zamierzam niedługo napisać.

PRZEGLĄD TEATRALNY

od listopada 1871, do lutego włącznie 1873 roku.

Dramata oryginalne i tłumaczone: Marya Stuart trag. J. Słowackiego w 5 aktach.—Mazepa, tragedia J. Słowackiego w 5 aktach, przedstawiona w jednym akcie.—Epidemia, dramat Narzyniekiego w 4 aktach.—Dalilla, dramat (wznowiony) O. Feuilleta w 6 aktach.—Zubożały pan, z francuzkiego, pp. Dumanoir w 2 aktach.—Fedra, tragedia Conradiego w 5 aktach.—Robotnicy, dram. Manuela w 1 akcie.—Deborah, dramat Mosenthala w 4 aktach.—Księżna Jerzowa, dramat Dumasa syna w 3 aktach.—Otello, tragedia Szekspira, pięcio-aktowa, przedstawiona w 1 akcie (debiut p. Leszczyńskiego).—Maryon Delorme, dramat Wiktora Hugo w 5 aktach. *Komedye oryginalne i tłumaczone:* Bezinteresowni, komedia Z. Sarneckiego w 4 aktach.—Pracownicy, komedia M. Bałuckiego w 3 aktach.—Consilium facultatis, komedia w 1 akcie Al. Fredry syna.—Broń niewieścia, komedia w 1 akcie z francuzkiego.—Za i przeciw, komedia O. Feuilleta w 1 akcie.—Trzy kapelusze, komedia w 3 aktach z francuzkiego.—Robert i Bertrand, krotoczwila przerobiona z niemieckiego p. W. Anczyca w 3 aktach.—Lady Tartuffo, komedia w 5 aktach pani do Girardin.

Chętnie rzeklibyśmy się wszelkich uwag przedwstępnych, chociaż najbardziej przystających do przedmiotu, a odrazu przedstawili fakta same, najlepiej mówiące za sobą; atoli niepodobna, raz na rok odzywając się do naszych czytelników w kwestyi teatru, nie zaznaczyć dla ich pamięci i dla trwalszego śladu, stanu, w jakim po trzynastu miesiącach teatr ten zostaje. Obchodzić wszystkich musi przede-wszystkiem pytanie, czy z upływem czasu i postęp jest widoczny; czy teatr obraca się jak to bywa zazwyczaj, na śrubie rutynizmu, konieczności materyalnej i zwyczaju, stosującego się do wymagania licznój publiczności pragnącej rozrywki, czy też ulepsza się duchowo i dąży najprzód do celu, stanowiącego możebny ideał doskonałości, o jakim równie w możebnych granicach marzyć wolno? Nie chcemy tak ważnego pytania zbyć odpowiedzią zbyt pośpieszną lub zbyt surową, ale jakąkolwiekby ona była, brzmieć nie może w sposób zadawalający znawcę, lub każdego rozumiejącego, ile to taką drogą dobrego zdzia-

łać można, bez nadzwyczajnych nawet wysiłen. Bo i na czemże postęp sceny zależy? Na ustaleniu się doborowego repertuaru, z którego pojedyncze sztuki wybiera się zawsze, jako najskuteczniejszy środek przywiązania publiczności do piękna, na rozwoju oryginalnej dramatycznej literatury, zależnej najzupełniej od rozporządzeń sceny, i na wyrobieniu się młodych sił aktorskich, któreby mogły zastąpić ubywające i starzejące się, lub dublować zajęte, pobudzając już przez samą skalę porównania, do zbawiennęj emulacji. Co do pierwszego, przekonamy się z rozbioru sztuk przedstawionych, że tój potrzebie niewiele się pomogło; co do drugiego, przyznać trzeba ruch żywszy w stosunku do lat poprzednich, ale w stosunku do wielkich zasobów materyalnych teatrów warszawskich, zaniedbany i powolny; co do trzeciego nareszcie, rzeczy idą po dawnemu, czyli nieopatrnie i bez pamięci na przyszłość, która nagle zjawi się groźna i bez sposobu ratunku. Nie przestaniemy upominać i przypominać, że bez przygotowania sił młodych artystycznych, czy to przez szkołę dramatyczną, czy przez wysyłanie zdolniejszych zagranicę na wzór stypendystów, czy przez kierownictwo umiejętne w samym łonie teatru, scena warszawska ujrzy się nagle osieroconą najzupełniej, i zależną od łaski ładajakich przybyszów, na których z pewnością sztuka nic nie zyska. Rekrutować się wiecznie przybywającymi z prowincyi, których przyjmować trzeba bez dobrodziejstwa inwentarza, godzi się o tyle, o ile i między nimi znaleźć się mogą prawdziwe zdolności, ale obowiązkiem byłoby o zastęp taki młodych pracowników, starać się na miejscu, lub też w razie ich napływu z prowincyi, o danie im sposobności tu dopióro, w swobodniejszych warunkach, kształcenia się i pozbywania wad nieuniknionych w życiu koczującem i niepewnem jutra. Tymczasem u nas dzieje się zupełnie dotąd inaczej. Dyrekcyja albo nie przyjmuje wcale artystów prowincjonalnych, mierząc ich bezwzględnie lekceważeniem, albo też raz przyjąwszy, nie da im ochłonąć, lecz powierzając im bardzo ważne role, dziwi się potem z doznanego zawodu. Nadto, kiedy już zaczęliśmy od tego przedmiotu, personel warszawski jest za szczupły, co do najważniejszych ról wcale nie lub bardzo skąpo obsadzony, skutkiem czego jedną i tę samą sztukę powtarzać trzeba do znudzenia; a gdy który z artystów zachoruje, co się dosyć często zdarza, przedstawienia i tój sztuki zaniechać trzeba. Tak np. ról pierwszych kochanków nie ma komu powierzyć; p. Tatar-kiewicz siłami swemi, wszystkim podolać nie jest w stanie ¹⁾ a wreszcie nie każda rola bohaterka, talentowi jego odpowiada. Prócz tak zwanych pierwszych amantów i bohaterów, potrzebni są jeszcze drudzy *jeune seconde*, których również brak widoczny w warszawskim teatrze; a nie chcę już mówić o tém, że cały, ogromny ciężar ról pierwszorzę-

¹⁾ Co do przyjęcia p. Leszczyńskiego do ról pierwszych kochanków, nie jesteśmy na pewno nie wiemy.

dnych tragicznych, charakterystycznych, dźwiga w oddziale męzkim wyłącznie na swych barkach p. Królikowski przy pomocy p. Rapackiego. Jakże tedy w takim stanie rzeczy, przy tak szczupłej liczbie artystów, myśleć o wykonaniu dzieł Szekspira, bez których przecie żadna większa scena, praw bytu mieć nie może? Na tej ogromnej, nie dającej się usunąć przeszkodzie, złamać się musi najlepsza wola reżysery; w niej też czerpie ona wymówkę swój długiej nieczynności, swego wstępu w wyborze sztuk, co do których krytyka dawno już wyrzekła swoje zdanie. Choroba lub wyjazd jednego pana Królikowskiego, lub pani Modrzejewskiej, wstrzymuje wykonanie większych dramatów lub tragedyj, zmuszając reżyseryę do posittkowania się jednoaktowymi sztukami, z ujmą dla kilku innych artystów, zmuszonych czas trawić bezczynnie, i ze szkodą dla tylu utworów znakomych, granych na wszystkich scenach europejskich, tylko nie na warszawskiej. W braku przeto dostatecznej liczby artystów, widzimy pierwszą oczywistą przyczynę niedoborowego i niebogatego repertuaru; drugiej nie przedstawimy upatrywać, w nieumiejętnym głównym kierownictwie artystycznym. Nienarzucając rad naszych w wyborze jednego kierownika, poraz dziesiąty powtarzamy, że chętnie przyklasnęlibyśmy wybranemu komitetowi *ad hoc*, jako doświadczonemu sposobowi, praktykowanemu na wszystkich scenach, które o postęp dbają. Komitet taki biorąc na siebie odpowiedzialność, stałby zarazem na straży, dodając bodźca, wybierając nowości godne przedstawienia, wzbogacając repertuar w sztuki przedstawowe czyli takie, których nigdy żaden teatr zupełnie zrzec się nie może, i nie wpuszczając lichot, zaprzatających tylko niepotrzebnie pamięć aktorów, a odstręczających dobre chęci publiczności.

W przeszłym naszym sprawozdaniu, mówiąc o działalności teatru warszawskiego od dnia 1 stycznia do 1 listopada 1871, skarżyliśmy się, zdaje się nam słuszuje, nad małą wartością sztuk odegranych w tym czasie; przytaczając między innymi, że utwory zagraniczne wybierane były na ślepo, i z małym wyjątkiem, bez rozważenia czy pod jakimbądź względem na reprodukowanie u nas zastępują; co zaś do sztuk oryginalnych, ubolewaliśmy nad rzadkością ich pojawiania się na tutejszej scenie, mimo niezaprzeczonej coraz większej ruchliwości autorów swojskich; nareszcie co do literatury dramatycznej krajowej w ogólności, radziliśmy wznówić wiele niegranych dawno utworów Korzeniowskiego, (wiele także wcale niegranych) *Fredry ojca*, jako „Przyjaciele“, „Mąż i żona“ i inne. W obecnym sprawozdaniu zarzutu co do ostatnich punktów nie cofamy, lubo stosunek sztuk oryginalnych polepszył się trochę; odegrano bowiem dwie sztuki konkursowe: *Epidemję* Narzyskiego i *Pracowici próżniacy* Bałuckiego. Na tém miejscu, pozwolimy sobie dwa słowa niezbyt zbaczające od przedmiotu. Oto scena lwowska a mianowicie krakowska, urządziła *stały* konkurs sztuk dramatycznych, skutkiem którego przybywa nam corocznie kilka sztuk rzeczywiście lepszych,

i godnych przedstawienia. Przeciwnicy konkursu twierdzą dość absolutnie, że na obstalunek nikt nigdy dobrze nie napisał, i że niewiele pociechy urosnie ztąd dla literatury dramatycznej; praktycznie jednak przekonywamy się, że lubo nie doczekaliśmy się arcydzieł, które istotnie nie czekają terminu ani nagrody, przecież z powodzi sztuk nadsyłanych wybrano kilka lepszych, a w każdym razie konkursowym tym sposobem, wywołuje się pewną emulację, działającą jak każda emulacja, korzystnie. Dłaczegóż więc w jedném tylko mieście Warszawie, tak chętném zawsze w popieraniu spraw znacznych, w téj mierze taka zapanowała obojętność? Toż i u nas znalazłoby się kilku mecenasów literatury, którymby ta wyłożona ofiara nie zrobiła uszczerbku! Potrzeba tylko, ażeby prassa poruszyła tę kwestyę godną zastanowienia, tak jak my to dzisiaj czynimy w przekonaniu, że głos nasz nie przebrzmi bez echa u tych, którzy zwykli się zawsze powodować pobudką ogólnego dobra.

W ubiegłym sprawozdaniu podaliśmy liczbę ogólną sztuk i aktów przedstawionych w ciągu jednego roku; z cyfr tych wypadło aktów 57, czyli na komedye i dramat tłumaczony aktów 51, na komedye oryginalną aktów 6; licząc zaś przedstawień 200 wypadło $\frac{1}{4}$ aktu na jedno przedstawienie: stosunek liczebny dosyć smutny. Obecnie licząc czas od 1 listopada 1871 do 20 stycznia 1873, to jest miesięcy piętnaście, wypada ogólna cyfra aktów 61, czyli na przedstawień 256 (licząc cztery przedstawienia na tydzień w przecięciu) $4\frac{1}{3}$ aktu. Stosunek liczebny prawie ten sam, a więc równie niezbyt pocieszający. Przedstawia się on zaś tak: *dramatów oryginalnych* odegrano aktów 10; *tłumaczonych*: aktów 27, *komedyj oryginalnych*: aktów 11, *tłumaczonych*: 13. Zadovolnić tylko może większa liczba sztuk oryginalnych, niż lat poprzednich.

Idąc porządkiem zacniemy od sprawozdania, ile się da treściwego utworów oryginalnych, tak dramatów jako i komedyj. Piérwsze miejsce zająć tu powinna *Maryja Stuart*, tragedia J. Słowackiego w pięciu aktach. Odsyłając czytelników co do stanowiska Słowackiego jako dramaturga, do znakomitój pracy A. Małeckiego i krytycznego do niej komentarza St. hr. Tarnowskiego, zajmiemy się samym dramatem, którego przedmiot pobudził tylu poetów i historyków. Szyller w Maryi Stuart wybrał epokę z jój życia najpiękniejszą, wzbudzając litość, ekspijacyjną, jakby już przeto samo chciał zasłonić kartę jój żywota dawniejszą, niezawsze czystą i szlachetną, często zbrodniczą a zawsze namiętną. Wigziona i upokarzana przez tyle lat Maryja, staje na oczach widza w blasku męczeńskim, ożłoconym nadto ofiarą, niesioną dla sprawy wiary i religii. Współczucie przeto widzów, miał autor zapewnione. Zbrojny przepisana formą, w klasyczny spokój i jasność ducha, wysnuwa dzieje królowej szkockiej w szeregu obrazów ustawionych w stosunku do przeszłości perspektywicznie, aż w ostatnim akcie przechodzi do czynu dramatycznego, do rozwinięcia w najwyższej potędze katastrofy, ukazującej nie-

szczęśliwą wiedzioną na rusztowanie. O ile jednak poeta zyskał na uidealizowaniu swój bohaterki, o tyle stracił względnie do warunków dramatycznych, bo tam gdziebyśmy powinni widzieć czyny, gdziebyśmy radzi byli patrzeć na grę namiętności, słyszyny tylko opowiadane epizody, nierzadko potrącające o retoryzm. Pod tym przeto względem, nierównie szczęśliwiej wybrał nasz poeta, odmalował bowiem chwilę najtragiczniejszą i najrzeczywistszą w życiu Maryi, chwilę, która rozstrzygnęła o przyszłym jej losie, dając zarazem wyborną wskazówkę do poznania jej przeszłości. Jej namiętna, do szatu dochodząca miłość dla Bothwela, tego demona w rycerskiej postaci, idącego po trupach i zgłiszczach bez oglądania się poza siebie, stanowi znakomitą treść dla tragedii, obfitą jest w akcję, w stopniowanie i w możebność rozwinięcia charakterów, na tle ponurém ówczesnego wieku. Samo już nawet zakończenie, zostawiające w nieświadomości co do dalszych losów królowej po niecném zamordowaniu małżonka Darnleya, daje wiele do myślenia, obarczając silném wrażeniem. Historyczność wreszcie, o którą wprawdzie w rzeczach sztuki mniejsza, idzie tu ręka w rękę z inwencją poety. Szkoda wielka, że postaci dramatu tak lekko naszkicowane, tak kreślone do połowy, a nie w całej skończoności charakterów, tego jedyne go warunku, zapewniającego byt wieczny utworowi dramatycznemu. Skutkiem tego, zostajemy w niepewności co do istotnych pobudek i czynów, wielu osób dramatu. Nie wiemy naprzykład czy Marya rzeczywiście kochała Rizzia; niesprawiedliwione też psychicznie nagłe jej zakochanie się w Bothwelu, ani niezrozumiałe plany ambitne i hamletowskie monologi Bothwela. Za taką niejasnością w nakreślaniu charakterów, w ślad idzie niedramatyczność i nieestetyczność niektórych efektów scenicznych, jak np.: zabicie Rizzia w oczach królowej, jakkolwiek jest faktem najwierniej historycznym, i długa poprzedzająca przemowa Duglusa mającego zamordować Rizzia. Są atoli momenta w tym dramacie, tak naznaczone po mistrzowsku, z takiem poczuciem wrażenia tragicznego, że gdyby znakomity nasz poeta miał być czas i sposobność, kilkoma pociągami pióra rozprowadzić je psychicznie, byłby stworzył dzieło trwałe i wiecznie nęcące. Ileż bowiem prześlicznych ustępów lirycznych, nakreślonych językiem boskim, tą muzyką słowa niedoścignioną przez nikogo ile myśli wzniosłych, świeżych; ile obrazowania pełnego kolorytu, którym się tak wzbil nad innych, ten mistrz nieporównany słował! Chcąc dziś analizować chłodno utwór poczęty w piersi poety z natchnienia, szukać na nim skaz, jak gdyby to był brylant wystawiony na sprzedaż, a nie z lekka tylko oprawiony dla zachwycenia oka, olśnionego kaskadą tęczyowych promieni; przechodziłoby obowiązkiem sprawozdawcy, zmuszonego przedewszystkiem liczyć się ze Słowackim, jako z pierwszorzędnym poetą lirycznym, uprawiającym niwę dramatyczną od niechęcenia, choć z potęgą, każącą wierzyć że byłby mistrzem i na tém polu, gdyby był zechciał. Dlatego z tém samém uczuciem, lubo z uznaniem olbrzymiego postępu w dramacie, chcemy

powiedzieć słów kilka o *Mazepie*, tragedyi, z której odegrano na naszej scenie akt tylko jeden, całość zapowiadając na później. To co było główną wadą w *Maryi Stuart*, owo niewykończenie a raczej mgliste narysowanie charakterów, zastąpione zostało w tym dramacie taką zwyczajną wybitnością i plastycznością tychże, że prawie wierzyć się nie chce, iż oba te utwory z pod jednego wyszły pióra. W *Mazepie* konsekwencya i logiczność charakterów, doprowadzona do doskonałości, do prawdy czasem nawet odstraszałającej, a przeto wydającej się wyjątkową; każdy z nich ma swoją rację bytu, swoją odrębną historję, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Samego *Mazepę*, owego lekkomyślnego ale szlachetnego pазia, ukazującego się w kilku zaledwie scenach, znamy jednak doskonale, rozumiemy coby uczynić był w stanie, a czego zaniechać; albo ową gołąbkę *Amelią*, typ niewiasty polskiej, cichej i zrezygnowanej, opasanej greckim fatum niby laokonowskim węzłem, siedzącą na starym zamczysku, u boku despotycznego starego męża, walczącą z niepokonanem uczuciem i z trwogą społeczno-obyczajowego widma i z sumieniem własnem, i z tym odbiciem kryształowem czystej jej duszy;—albo *Zbigniewa*, nieśczęsnego młodziana, skazanego na męki piekielne bez winy, ginącego bez jęku, zostawiającego po sobie tak głębokie i poetyczne wzruszenie! *Zaistel Słowacki*, mimo naśladowstwa bezwiednego dramatów hiszpańskich w tym razie, złożył wielkie świadectwo, coby mógł zdziałać dla sceny, gdyby koleje życia nieubłagane, nie powołały go na inne tory. Nie myślimy się też sprzeczać co do prawdopodobieństwa charakteru wojewody, siadającego na trumnie swego syna, nieubłaganego rozdarcie serc tyłu; poecie gdy tak maluje wszystko wolno, a wreszcie poszukawszy dobrze w kartach przeszłości, znalazłoby się może niestety, smutne potwierdzenie prawdopodobieństwa.

Zostawiając szerszy i szczegółowszy rozbiór tego dramatu, na późniejszy i przyobiecany czas jego przedstawienia, dziś cieszyć się nam tylko potrzeba z wprowadzenia utworów tego poety, tak wysoko odskakujących od realizmu nowoczesnych francuzkich sztuk, i od materialnego poziomu, niwelującego uczucia i wzniosłe porywy, sprawdzającego wszystko do jednego mianownika: posiadania i użycia. Ileżby dobrego wpływu wywarły takie dzieła, ile przeobrażenia dokonały, przyzwyczajając publiczność do sfer innych nie codziennych, ale czystych i pięknych, cucących ospałą myśl i jeszcze ospalszą duszę z letargu, na jaki zdawaćby się mogło, że została skazana! Co do wykonania przez tutejsze siły artystyczne, pamiętamy że było nadspodziewanie świetnem. Artyści sami rozgrzeli się przy tym nieklamany ogniu, przy tym płomieniu wybuchającym z piersi szlachetnego poety. Nie już piérwuszorzędni jak p. *Modrzejewska* i p. *Królikowski*, którzy postawili najtrwalszy pomnik swojej chwale rolami *Amelii* i *Wojewody*, ale podrzędniejsi nawet, i ci o których talencie nieraz wątpić wypada, stanęli nagle na wysokości zadania, zdobywając sobie oklask, nigdy może jeszcze tak dobrze nie zapracowany.

A teraz zwróćmy się do innego, oryginalnego także, ale zupełnie odmiennego utworu, który niekoniecznie autor trafnie nazwał: dramatem. Chcemy mówić o „Epidemii“ Narzymskiego. Mamy tu już do czynienia z całkiem inną sferą, działalnością i z innymi celami i innym założeniem. W sztuce samój, jej sposobie pisania i tendencji, znać pisarza najnowszych czasów przystępującego realnie i praktycznie, do załagodzenia bolących a nowomodnych ran rodzinnój społeczności. Proceder pisarski prosty i stopniowany, przeto już samo może mimowoli nasuwający na myśl jakąś ważną sprawę cywilno-kryminalną, rozgrywającą się przed kratkami sądowemi, w obec asystencyi sędziów czyli w sztuce zdrowego rozsądku, adwokata czyli namiętności grającej w człowieku i będącej mu rzecznikiem w walce ze sumieniem i rozumem, prokuratora, czyli następstw koniecznych poddania się namiętności, występującej jako oskarżenie, i skazanego czyli cierpiącego z własnej winy. Ta gradacya postępująca zwolna i nieznacznie, jak rodząca się myśl złego w niezepsutym umyśle, jak choroba którą autor trafnie nazwał: „Epidemią“ pozwala obserwowującym dojrzyć i rozważyć cały jej przebieg normalny i anormalny, całą jej logiczność i konsekwencyę. W tej też logice i konsekwencyi, w tém nieschodzeniu z głównego gościńca, w tém niezboczeniu od przewodniej myśli, mieści się jedna z najgłówniejszych zalet sztuki. A druga jej wielka, większa jeszcze i godziwsza, najbardziej zasłużona, tkwi w trafném ocenieniu chwili zagrażającej ogółowi, i sumienném a dramatyczném jej oddaniu. Ktoś inny większą obdarzony żyłką satyryczną a raczej komedyopisarską, byłby z takiego tematu, dzielną arystofanesowską stworzył komedyę, trzymając się odwiecznej a trafnej recepty, że *ritendo castigant mores*; s. p. Narzymski uderzony tragicznością następstw takiej choroby jaką jest gra giełdowa, odstąpił ją poważnie, smutnie, gdziekolwiek tylko pozwalając sobie pauzy komicznej. Czy na tym wyborze lepiej wyszedł autor a raczej sztuka, nie powiemy; w każdym jednak razie wpływ niezaprzeczony wywarł, dowodem czego liczne sztuki przedstawienia na wszystkich scenach polskich, i nawet przekłady jej na obce języki.

Chcąc poznać przedmiot sam na którym się autor oparł, potrzeba się bliżej przyjrzyć stosunkom społecznym Galicyi. Wzmiankowaliśmy już nieraz, że są one ciekawe, niezbyt pocieszające, że wiele w nich ruchliwości sztucznej, niezdrowej i zapożyczonój, a mało oparcia się na gruncie rzeczywistych potrzeb i rzeczywistych zasobów. Społeczeństwo galicyjskie w swym konstytucyjnym nastroju, jest jeszcze bardzo młode; ale niestety w znaczeniu niedojrzałości, na każdym kroku mając wiele do poprawy i zgoła do budowania na nowo, nie może się przecież zebrać na energię, a nadewszystko na pracę zbiorową, skierowaną rozumnie ku jednemu jasno wytkniętemu celowi. Zład wzrasta dlań szkoda podwójna: materyalna i moralna. Nie umiając zabezpieczyć sobie dobrobytu, nie może się też podnieść na tak wysoki stopień moralny, na jakimby stanąć mu należało. Czując złe, nie

umie się zeń otrząsnąć, czując potrzebę zreorganizowania się, nie zaczyna od rzeczy małych, ale pragnąc odrazu wielkich, stoi na miejscu zamaszyste tylko robiąc poruszenia. Przeświadczenia o tém każdy nabrać może, śledząc wielorakie objawy życia téj prowincyi.

Po większej części, zastołość albo chorobliwa wybujałość, gnuśność ducha i woli, bezrobocie w wyswobodzeniu się z przesądów i zaślepień stronniczych, nigdzie może tyle co tutaj, nie będących razem programatem w pewnej mierze moralnym. Znakomite i godne podziwu wyjątki w nauce, literaturze, sztukach czy życiu publiczném, stanowią tylko dowód bogatego materiału, lecz nie wyzyskanego jakby należało. W kwestyach zaś ekonomicznych ogólnego dobrobytu, wyzyskania niezmiernych bogactw leżących w ziemi lub dających się nagromadzić dźwignią przemysłu, Galicya przypomina Hiszpanię mrącą z głodu u siebie wtedy, gdy wyprowadzała miny złota ze swych zaeuropejskich kopalni. Przemysł bowiem i rolnictwo nie podniosły się wcale, a Galicya z rozwiniętej nagle pomyślności krajów austriackich, przyswoiła sobie dwa tylko objawy pozornego, sztucznego, a w rzeczy samej zgubnego bogactwa: koleje i giełdę. Klasa zamożniejsza poczęła lokować swoje kapitały w przedsiębiorstwach kolejowych, starając się gorączkowo o koncesye, z najbliższym zamiarem wzbogacenia się rychłego i nieproporcjonalnego w stosunku do rzeczywistej pracy; większość zaś, do której zaliczyć trzeba i najuboższych jako: handlarzy *en detail*, przekupniów drobnych nawet rzuciła się w grę giełdową, szukając w tém zęcnie zreklamowaném Eldorado, zabezpieczenia fortuny. Wiedeń, to miasto gründerów, koncesyonistów, założycieli kopalń na księżycu, banków nigdy nieistniejących, prassy sprzedajnej chwalaćej tego co więćej płaci, zbytku olśniewającego oczy i rozumy, miasto świecące podejrzanym blaskiem przepychu, nęcące milionami zarobionemi w szalonej grze giełdowej, oddziało zgubnie na Galicyę, której mieszkańcy przywieźli ztąd właśnie to zamitowanie fatalne. Na kraj tak ubogi, z własnej przyczyny zwała się teraz niespodziana klęska, tém trudniejsza do odwrócenia, że działała na wyobraźnię arcy nęcąco. Wkrótce trzeba się było rozczarować: jeden telegram (było to w r. 1869) zrujnował kraj na kilkanaście milionów guldenów, nie ostudzając jednak zapалу i nadziei odegrania się przy okazji.

Taką piórwszą chwilę konsternacyi i zamieszania, rozpaczy rodzin doprowadzonych z bogactwa do nędzy, w jednym dniu a raczej w jednej godzinie, takie staczanie się na pochyłość z której krok tylko jeden do ostatecznej przepaści, zauważył autor, i w tém największa jego zasługa.

Dramat skupił w jedném przeważnie kółku szlacheckiej rodziny, której głową jest pan Karwacki. Człowiek ten uczciwie i mężnie pracował życie całe, doszedł do pięknej szlacheckiej fortunki, ma żonę, córkę i syna, których kocha, wzajemnie od nich kochany; w obywatelstwie cieszy się powszechnym szacunkiem, a życie pędzi wesoło w gro-

nie życzliwych sąsiadów. Niezadługo zaś zaokrągli rodzinę wydaniem córki za męża, za niejakiego Stawińskiego inżyniera. Młodzieniec ten pracą zdobywszy sobie stanowisko, postępowy o ile nauki do postępu prowadzą, proponuje swemu przyszłemu teściowi i sąsiadom (w pierwszej scenie aktu I), iżby z nim weszli do spółki, mającej na celu osuszenie wielkiego obszaru bagien, dających się zamienić na łąki. Interes pod każdym względem wyborny, ale p. Karwacki i sąsiad jego Przykulski i p. Drzemalski, nie wierzą w niego; pierwszy dlatego że jest konserwatystą, drugi dlatego że woli grać na giełdzie, obfitsze i pędsze przynoszącej zyski. Wkrótce wkrada się w dom Karwackiego jakiś Piezeniarski, agent giełdowców wiedeńskich, łapiący na lep niedoświadczonych i fryców. Opowiadaniem o milionach rozgrzewa wszystkich; sam Karwacki po długiém wahanii, decyduje się spróbować hazardu, jedynie dla wygrania bagatelki „na bransoletkę dla Maryni.“ Daremnie zaklina go żona i córka i Stawiński; zaraza już ogarnęła jego krew. Przenosi się z całą rodziną do Wiednia. Na nieszczęście jego późniejsze, wygrywa; wygrywa krocie, lecz cóż kiedy stracił dawny spokój, humor, zdrowie nawet. Niepokój i piekielna gorączka szulera, pragnącego coraz więcej, zatwardza mu potroszę serce, bo staje się nieczuły na błagania żony i córki, przeczuwających że gra ta najfatalniej skończyć się musi. P. Karwacki łudzi sam siebie, że jeszcze pogra dni kilka, tyle tylko, ile potrzeba do zaokrąglenia miliona, a tymczasem baron Goldschmit wielki bankier wiedeński, oplata go zdradliwą sięcią. Bankier ten umiał pozyskać sobie jego zaufanie i przyjaźń, grając zyskownie jego pieniędzmi; starał się zaś dlatego o zyski, bo pragnie ożenić się z córką p. Karwackiego, którą niby pokochał, o ile taki przeżyty i nikczemny człowiek pokochać jest w stanie. Dalsze losy rodziny Karwackiego i pani Karwackiej, bigotki i plotkarki i jej syna młodego ale wytrawnego lotra, spoczywają w ręku Goldschmita, który odąd przez swych agentów i przez tych których zręcznie jako swych agentów użyć umie, haniebną prowadzi intrygę. Widząc że p. Karwacki nie oddałby mu córki jako neoficie, usuwa najprzód Stawińskiego niezbyt mądrym sposobem, bo artykułem potwarczym gazeciarskim, potem kompromituje pannę za pośrednictwem usłużnego z przymusu Artura Kwockiego, skupuje fałszywe weksle które podpisywał syn Karwackiego pociągnięty przez Kwockiego, i dyktuje ostateczne swe warunki. Karwacki przekonany że ma do czynienia z najszlachetniejszym człowiekiem, a doprowadzony do najstraszniejszego upadku i pogńębienia oszustwem bankiera, gotów mu oddać córkę, ale Stawiński który nie przestał kochać Maryni, czuwa nad nimi, i teraz właśnie odkrywwszy wszystkie podstępne plany bankiera, zbliża się ze stanowczą pomocą. W około zaś Karwackiego grali wszyscy na giełdzie, i syn i służba i sąsiad jego Przykulski; lecz naturalnie wszyscy będąc bezwiednym narzędziem w rękach szachrajów, zgrali się do nitki, żałując po niewczasie że ulegli epidemicznej a fatalnej pokusie.

Z możliwie ścisłego przedstawienia treści, widoczném już jest jego bogactwo. Autor nic nie potrzebował tworzyć z głowy, z abstrakcyi, miał gotowe ramy pod ręką, w które już łatwo mu było oprawić charakter i intrygę. Ale niestety, jeżeli co do charakterów, kilku zwłaszcza, jak samego Karwackiego i Przykulskiego, wyrazimy się z bezwzględną pochwałą, to co do téj ostatniej uczynić tego nie możemy. Istotnie Karwacki jest typem oryginalnym i nowym, a wykończony tak troskliwie, że widz zna go ze wszystkich słabości i cnót. Nie ślamazarny a przecie miękki, nie deklamator a przecież zacny, jest człowiekiem w całym znaczeniu tego słowa, takim jakiego spotykamy w życiu, takim, jakiego radziłybyśmy zawsze oglądać na scenie. Postać zaś Przykulskiego, szlachetki głupiego, wierzącego w jedyny tylko postęp: giełdy czyli zepsucia, grającego ze ślepem szczęściem, ztąd wróźącego o europejskiej polityce i przekonanego, że rola jego do śmierci ograniczy się tylko na braniu pieniędzy, płynących chwilowo tym sztucznym sposobem, należy również do nowych, oryginalnych, wykwitłych na niwie gorączki czasów najnowszych. Już dziś te postacie wystarczą jako świadectwo niezaprzeczonej zdolności ś. p. Narzymskiego, a dodaćby tu jeszcze można córkę Karwackiego, nie bęłącą owém tkliwém niewiniątkiem, poruszającém się jako maryonетка a wyuczonym śmiać się i łzawić, ale jak samodzielna młoda kobieta, zmuszona cierpieć i myśleć. Szereg innych figur, jak Kwockiej, mimo że budzi śmiech karykaturalnością swoją, nie odznacza się przecież ani jednym szczęśliwszym lub nowszym rysem; owszem przypomina zużyte już tego rodzaju typy w oryginalnej nawet komedyi; co się zaś tyczy bankiera Goldschmita, ten uzupełnia tylko ową potężną galeryę bankierów, na których zwykło ćwiczyć się niewprawne pióro początkujących pisarzy. Są oni z góry już przeznaczeni na czarny charakter; żałowaćby jednak trzeba że ich autorowie dają gotowiuteńkich na scenę, nie troszcząc się o ich stronę psychiczną. Tak się i tu stało. Goldschmit, przedstawiciel wzbogaconych oszustów i lichwiarzy, kocha się szczerze „po swojemu“ w Maryi Karwackiej. Temu jakoś uwierzyć trudno. Tacy ludzie nietylko nie pojmują miłości, ale nawet roznamiętnić się nie są w stanie; nie mając pojęć moralnych nie mają i estetycznych, a mierząc Pana Boga i wszelkie uczucia na ważce złota, nie są w stanie zapalić się czeinkolwiek rzetelnie, ani nawet gniewem. Goldschmit przeto najfałszywiej pomyślany, a skutkiem tego i wykonywany.

Z intrygą wszakże, ma się rzecz zupełnie w odwrotnym stosunku. Wymyślona błażo na kruchych stoi podstawach, chwiejnie prowadzi się dalej, nasuwając ciągle na myśl nieprawdopodobieństwo i niemożliwość. Ów bowiem artykuł dziennikarski o który tak dalece rozgniewał się Karwacki, że przez niego zburzył szczęście zakochanej w Staugińskim córki, że zerwał zupełnie stosunki z tym, którego dotąd szanował i przyjął za zięcia, należy do bardzo niezręcznych motorów, porównać mających całą maszynę 4 aktowej sztuki. Czyż się tak dzieje w życiu?

Czy człowiek szlachetny, kochający córkę swą nalewszysztko, dla niej puszczający się na hazard w starości, nie rozmówi się choćby raz jeden z tym, od którego szczęście jego dziecka zależne? Czyż artykuł gazeciarski, napisany tak jak go tu podsunął Goldschmit, to jest obrażający *tylko* miłość własną Karwackiego, może popełnąć do takiego egoizmu ojca rodziny, iżby już przeto rozrywał szczęście córki? tém téż bardziej, gdy pewności co do tego nie miał, lecz tylko podejrzenie. Córka prosi o wyjaśnienie w obecności Stawińskiego, a ojciec przystać nie chce. I bardzo słusznie, bo autor czuł że odrazu cała rzeczby się wydała, a sztuka opierająca się na tak słabiuchnej osi, byłaby w dalszym ciągu niemożliwą. Prawda, że charaktery i sam przedmiot zasłaniają ten ważny błąd, ale całość i harmonia niepospolicie cierpią na tém. Z téj téż głównie przyczyny jak równie i z innej scenicznej, także długości monologów, dwa pierwsze akty przechodzą bez wielkiego wrazenia, potrosze i nudzą, dopiero trzeci i czwarty jeduolitością, żywością akcji, wybornemi dyalogami, humorem satyrycznym, zręcznym naprężeniem sytuacji, przypominają wszystkie zalety tak wczesnie zgasłego pisarza. Ze szczerym żalem, bo literatura dramatyczna nie mało w Narzymskim straciła, przypomina się ironia losu, wynagradzająca autora powodzeniem i zachętą wtedy dopiero, gdy ten spoczywa już w grobie, odezawszy się przed śmiercią śpiewem łubgdzim! Nie należąc do tych którzy nekrologowym stylem wielbią pogrzebanych, potrosze dlatego właśnie że już pogrzebani, nie łudziły się bynajmniej co do wielu błędów i niedostatków w rzeczonyj sztuce, ale i to niezawodna, że zgasły autor posiadał kilka warunków kardynalnych w prawdziwym komedypisarzu, jako: odwagę wypowiedzenia opinii publicznej w wielu razach; dalej dar spostrzegawczy, umiejący chwycić na gorącym uczynku, i pewną siłę przez wyrażania rzeczy po nazwisku. Na takiej podstawie któż wątpi, iżby nam wyrósł był na pociechę, zwalając uprzedzenie tych, którzy radzi widziéć talent pisarski w każdym, byle nie w spółrodaku.

Drugą nagrodę tego samego konkursu krakowskiego, otrzymał pan M. Bałucki za trzechaktową swoją komedię p. t. „Pracowici próżniacy“. Znamy już tego młodego pisarza, werbującego sobie każdym razem utworami swemi i gorących zwolenników i zażartych przeciwników, z których jedni przesadzają jego zalety, drudzy jego błędy. I jedni i drudzy oddalają się od rzeczywistości, lubo w tym ogniu pochwał i nagan, tkwi najlepsze świadectwo zdolności pisarza. Pan Bałucki dał się poznać dwiema komedjami: „Radcy pana radcy“, i Polowanie na męża“, które mimo zarzutów jakie im uczynić trzeba, ściały, zwłaszcza pierwsza, liczną publiczność, śmiejącą i bawiącą się serdecznie. Wtedy już wymagaliśmy od p. Bałuckiego surowszych, poważniejszych studyów nad społecznością, którą tak bystro obserwował umie, i pewnego zadania wyższego, które przeprowadzając ten lub ów temat, podłożyć sobie powinien. Takie postawienie sobie

zadania wyższego, czyli tak zwanego „sensu moralnego“ nie tamuje bynajmniej w niczem ani wrodzonej werwy, gdy ją kto posiada, ani satyrycznych spostrzeżeń; przeciwnie wtedy dopiero ich potrzeba i konieczność, w szlachetném okazać się świetle; dowcip bowiem bezcelowy, albo użyty jedynie dla wyśmiania dotkliwego swoich współbliznich, nigdy dłuższym bytem cieszyć się nie może. Otóż jedną z głównych wad p. Bałuckiego jest pesymizm, a skutkiem tego przesada w naganie i przesada w użyciu farb jaskrawych, co się zwie ostatecznie karykaturą. Pisarz ten doskonale widzi grzech jakiś lub śmieszność karygodną, ale tak się na nie zapatrzy, że z poza nich nie widzi już reszty człowieka, nie widzi innych przymiotów, które koniec końców każdy w pewnym stopniu posiada; ani okoliczności łagodzących, owych „słabości“, które tak doskonale stary Fredro, na szalę całości charakteru kłaść umie. Rozprawiając się przeto ze samym błędem, biorąc go na swój skalpel trafnego szyderstwa, maluje człowieka z profilu albo do połowy, przez co ten jeden błąd rośnie w takich rozmiarach, że się staje przesadą, karykaturą. Przyzna zaś każdy, że profil daje tylko wyobrażenie fizyognomii, ale nie fizygnomią samą. Gdyby pan Bałucki, który ze szczególną inwencyą, umie odszukiwać materyały do komedyi, umiając je zaraz opleść dobrym dyalogiem, żywym, dosadnym dowcipem, zechciał je poważnie obrobić, starając się zarazem o staranniejsze wykończenie szczegółów, to kto wie, czy nie powitalibyśmy w nim jednego z dzielniejszych komedyopisarzy, w pracy których nie znać mozołu myślenia, ale ową lekkość tworzenia, odznaczającą płodność i oryginalność. Komitet konkursowy, uznając niezaprzeczone przymioty p. Bałuckiego, dał mu drugą nagrodę, może jako zachętę, ażeby się w przyszłości postarał o pierwszą, do której więcej ma praw, niż wielu innych przysyłających swe wypracowania. Istotnie bowiem w „Pracowitych próźniakach“, takich odbłyśków talentu, takich chwil szczególnych i wcale udatnych bardzo wiele; lecz całość niestety nie spojona jednolicie, nie poparta studyami głębszemi, których nigdy samo natchnienie nie zastąpi. Pomysł sam: „Pracujących próźniaków“, wyborny i oryginalny. Moznaby stworzyć ogromną galerię tych ludzi, marnujących arcydzieła na sprawy błache, ludzi, przytłaszczających sobie prawa i protekcyę do zaszczytnych miejsc w hierarchi społecznej, do znaczenia powag, lub co najmniej do opinii dobrze zasłużonych, „zacnych i niez mordowanych w pracy dla innych“. Ktokolwiek nad pomysłem samym zechce się zastanowić, dostrzeże odrazu bogactwo niewyczerpane możebnych typów i sytuacji arcykomicznych, a zarazem ów cel ostateczny, bo którym nie pogardzali najpierwsi komedyopisarze; cel jasny, bo wystawicznie pod pręgierzem śmieszności pasożytów, zabierających miejsce innym, zjadających najlepsze owoce, o których zerwanie nie trudzili się nigdy w pocie czoła. Tych „pracowitych“ pewno jest wszędzie, kręcąc się koło najważniejszych i koło najdro-

bniejszych instytucyj; gdy niemogąc być prezesami towarzystw lub posłami, starają się być „opiekunami filantropijnych zakładów” lub sekretarzami trzymającymi pióro, lub dozorcami tego, coby się bez ich dozoru obeszło. Byle ich tylko widziano często i jak najczęściej, ze zmarszczoną brwią, z przybraną miną powagi; i byle o nich mówiono a przynajmniej, byle się domyślano ich znaczenia, zdolności lub poświęcenia. O to, czy rzeczywiście co robią, czy składają grosz ofiarny, czy służą wiernie i poczciwie, o to się nikt nie troszczy; każdy pozór bierze za prawdę, draperye zewnętrzne zarzecz samą. W taki sposób słyszymy nieraz o tyłu znakomitościach, które badając ściśle nie uznajemy za takie, ale uznając „fakta spełnione” schylamy głowę w pokorze, i kłaniamy się nizko tym „wielkim ludziom do małych interesów”. Próżniaków tych, ponumerowanych różnemi tytułami: radców, prezesów, viceprezesów i t. p. znał pan Bałucki widocznie niemało, a przynajmniej słyszał o toastach które ci panowie spełniać zwykli przy smacznych obiadach, o mówkach z frazesami ułożonemi kunsztownie a durzącemi ogół, i smutną mu się wydała ta komedya i te uzurpowane powagi. Bardzo słusznie! chodziło teraz tylko o zrobienie dobrego wyboru, o wysunięcie przed front śmieszności takich co istotnie bałamuca, istotnie burmistrzują, zastępując drogę zasłużonym: potrzeba było wybrać, krótko mówiąc, bezczelnych i szkodliwych. Autor tymczasem inaczej postąpił, bo wybrał figury jakieś podrzędne, bez wszelkiego stanu i powołania, takie, jakie póki świat światem, trutnic będą w każdym salonie i w każdym najmniejszym choćby kółku towarzyskiem. Lolo, gołowąsy gagatek, Saturnin, zwyczajny i pospolity plotkarz, i doktor bez praktyki, a wreszcie prezesowicz, nie kwalifikują się na typy, mające posłużyć za przykład. Ludzie ci, niepodobna iżby zaimponować mogli komuśkolwiek swoją pracą lub zasługami; gdy przeciwnie wybór takich, którzy dobiwszy się jakiegoś tytułu lub stanowiska przypadkiem lub zbiegiem szczęśliwych okoliczności, o co w życiu nie trudno, pną się na tak podejrzanej drabinie, coraz wyżej, nieuważając na godność osobistą, na użyteczność innych a na niepożyteczność swoją, byłby wytworzył komedyę wyższą, komedyę w całym znaczeniu tego słowa. Tak zaś, chwilami tylko, mamy przed sobą komedyę, bo ogólne wrażenie pozostaje to samo, jakie odnosimy z krotochwili, gdzie nam nie chodzi ani o prawdę życiową, ani o prawdopodobieństwo sytuacji i powikłań. Plan również nie obmyślony należycie, ani intryga nieprowadzona jasno, tak dalece, że w niektórych scenach widz w formalnym znajduje się chaos. Nareszcie, co najważniejsza, autor fałszywie ześrodkował pole działalności figur swój komedyi; przyznać bowiem musi, że miejsce kąpielne, gdzie wszyscy przyjeżdżają dla poratowania zdrowia lub dla zabawy, w żadnym razie nie przydaje się na arenę użytecznego działania dla dobra ogółu. Nic więc tak dalece zdrożnego, że przyjaciel prezesowicza trąbiąc głośno o jego jakichś zasługach, daje

mu składkowe obiady, a widz tak dalece przeczyć temu nie widzi potrzeby, boć i najpracowitszy będąc u wód, starałby się w jakibądź sposób rozerwać. Dlatego owo zebranie, na którym Maurycy literat z takim oburzeniem przemawia do zgromadzonych, zakrawa bardzo na patetyczność, najgorzej w tym razie ulokowaną.

Autor przeto chybił w wyborze osób odpowiednich, i w obraniu niestosowném miejsca, na którym rzecz rozegrać się powinna. Sam niejako stanął sobie na przeszkodzie, sam dobrowolnie się spętał, a jednak mimo to, w tym szkicowanym obrazie zdołał przecież w głównych rysach myśl swą przeprowadzić. Z pomiędzy bowiem licznej rzeszy osób, dwie wydobywają się na wierzch wyraziście i w całym blasku komicznej siły, właściwej p. Bałuckiemu, to jest: bankier *Propfstein*, i prezesowicz *January*. Propfstein, mimo że do niego z góry przywiązana śmieszność, bo jest dorobkowiczem powstałym z handelku i gry giełdowej, i mówi źle po polsku a chce mówić poprawnie, (nawiasem mówiąc w tém jego zastuga, lubo zarazem w komedyi, śmieszna jest usilność z jaką się dosadnie poprawiać stara), nakreślony wcale oryginalnie; daleko pod względem charakterystyki od Goldszmita w dramacie Narzymskiego wyższy. Ma przytém zuchwałość i pewność siebie a przecież złym nie jest; owszem w jego chęci asymilowania się z żywiołem w pośród którego żyje, leży dobra jego strona. Autor ustrzegł się w nim karykatury a stworzył go prawdziwie komicznym, bo mimo śmieszności, których on sam nie czuje, widzimy w nim jednak człowieka mającego i dobre swoje strony. *Prezesowicz*, przyjmujący na siebie wszelkie tytuły, jakie nań spaść mogą z nieba i z dobrej woli projektowiczów najrozmaitszych towarzystw, uważa za święty swój obowiązek inaugurować każde posiedzenie dobrym obiadem, a *entre deux vins*, braterskim toastem. Nie ma nigdy czasu, bo towarzystw wielka ciągle mnoży się liczba, a więc i posiedzeń inauguracyjnych, czyli obiadów.

Szkoda tylko że jest nijakim sam przez się, bo w takim razie wina, że tak a nie inaczej spełnia powierzone sobie funkcyje, spada nie na niego, ale na tych, którzy go obrali. Ci właśnie składają dowód że są próżniakami, i że *similia similibus gaudent*, skoro takiego reprezentanta obierają. Gdyby ten pan prezesowicz poważniejsze miał i istotne w świecie stanowisko, i dopiero na mocy tego bawił się „pracowitego“ i wielkiego męża, stałby się typem rzeczywistym, przynoszącym chwałę autorowi; tak zaś przypomina trochę, stereotypową postać marszałka powiatowego, którą uwiecznił Korzeniowski.

Niepodobna żebyśmy tu dawali treść sztuki, niezmiernie powikłanej, wciągającej w swój zakres najniepotrzebniejszy przygody i romanse innych dziesięciu osób, przygody dla wielu najzupełniej obojętne. Bo czy się literat Maurycy kocha w Jadwidze, żonie Propfsteina, a panna Zuzanna w hrabi Kolanko, lub artysta Kamil w pannie Paulinie, bardzo nudnej dziewczynie, to rzecz zupełnie obojętne. Co gorzej, że i ten hrabia i Paulina, i literat, potrzebni tu jak piąte koło u wozu.

Przeszkadzają tylko uproszczeniu akcji, saminie nęcąc niczém, ani komicznością swój egzystencyi, ani jakimbądź dowcipem. Skutkiem tego powikłania powstał labirynt sceniczny, w którymby się nie zorientował najzręczniejszy *faiseur* francuzki; tak np. bywają sceny, w których 13 osób znajduje się razem na scenie, i jedni czekają na drugich, lecz zanim ci jedni wypowiedzą słowo, drudzy tymczasem nie wiedzą co począć ze sobą. Igranie takie z trudnościami sytuacji scenicznych, których komedyopisarz z oka spuszczać nie powinien, musi być chyba zrównane wielką zręcznością, zdolną wywinąć się dyplomatycznie i bez szwanku.

Lecz zastanówmy się nad stroną przeważnie dodatnią utworów p. Bałuckiego. Najsamprzód: jest dowcip rzetelny, taki jakiego w komedyi potrzeba, doskonale chwytający osobistość zauważoną, a co lepsza, śmieszność charakterystyczną. Jedną definicyą maluje p. Bałucki czasem odrazu człowieka, co przyznać trzeba, nie każdemu dane. Dalej zdolność kopjowania ludzi żywcem, takich jakimi są; strzedz się tylko powinien samój fotografii, bo fotografia przypomina doskonale rysy twarzy i całą postać, ale nie zdolną jest oddać ducha, to główne znamię charakteru człowieka. Scen takich, w których autor, w swoim, właściwym sobie znajduje się żywo, w których się porusza ze swobodą, lekkością i werwą, jest kilka w „Pracowitych próżniakach.“ Jaka szkoda, że *tylko* kilka, gdy przy usilniejszém staraniu autora, krótko mówiąc, przy pracy i wykończeniu, o które tenże dbać niezwykle, mogłoby ich być więcej, a raczej sztuka cała mogłaby być z nich złożoną.

Jakkolwiek komedya ta nie wyrobiła sobie obywatelstwa w repertoarze, przecież daje nowe świadectwo, że literatura nasza dramatyczna podźwignąćbyłaby się w stanie, a zarazem, że p. Bałucki mógłby należeć do zastępu pisarzy, którzyby jęj w tém pomogli. Lecz czas już, ażeby działał coś więcej, nie ograniczając się na samych zapowiedziach; komu Bóg, tak jak p. Bałuckiemu, dał talent, ten nie powinien pola zasypać, ale krzątać się energicznie i dążyć zawsze naprzód. Naprzód! powinno być stanowczém hasłem.

Pewne pokrewieństwo w idei i w ostatecznej tendencyi z „Pracowitemi próżniakami;“ ma komedya w 4 aktach p. Z. Sarneckiego p. t. „*Bezinteresowni*.“ Tak bowiem jak „Pracowici próżniacy,“ dużo mówią o sobie, dużo napozór się kręcą około dobra ogólnego, a w rzeczywistości nic nie robią, mydląc tylko oczy; tak i „Bezinteresowni“ zajmują się sprawami bliźnich, instytucyj i swoich przyjaciół, napozór z poświęcenia, z wyższości ducha, z wrodzonej szlachetności, a w istocie albo nie nie robią, albo jeżeli co robią, kieruje nimi najegoistyczniejsza pobudka: własny interes. Gdy tamci zabierają tylko miejsce uczciwym i zdolniejszym, ci uzurpują je sobie również, ale są gorszymi daleko, bo już nie powoduje nimi sama jedynie próżność i miłość własna, ale korzyść, chęć wzbogacenia się lub zyskania sobie reputacyi kosztem innych. W nazwie przeto „Bezinteresownych“ położonej przez autora, mieści się krwawa ironia. A czy znamy takich bezinteresownych? I jak wielu! Popatrzmy naokoło siebie i posłuchajmy.

Oto ten spieszący przez ulicę, roztrącający znajomych i niezajomych, gdzie pędzi? Na zebranie filantropijne, dla wstydzających się, dajmy na to, pracować. A ten drugi z okiem w dół spuszczone, z założonemi w tył rękami? To mówca,—będzie dziś mówił o poprawie losu kobiet pozbawionych chleba, chociaż dobrze świadomi twierdzą, że pierwszy sam powinienby się strzedz nałogu pożyczania od wszystkich, a drugi, więcej dbać o żonę, którą zostawia w biedzie wraz z dziećmi, gdy sam grywa drugo w wista i sztos. Lecz cóż, trzeba przecież czemś u współrodaków zapracować na opinię. Czémże, kiedy się niczego innego robić nie chce? Sławą poświęcania się dla drugich, „bezinteresownością.“ Albo znowu ten 40-letni kawaler z jakim świętym oburzeniem, miota obelgi na niektóre kobiety, bolejąc nad ich upadkiem! czyni to „bezinteresownie“ z poczucia cnoty, a ten wierny, administrujący majątkiem nieobecnego przyjaciela tak znakomicie, że gdy przyjaciel powrócił, nie zostało mu się nic prócz kondolencyi administratora. Czy sądzicie, iż on się na tém wzbogacił, że obdarł ufającego mu przyjaciela, że mu przyrzekał gruszki na wierzbie, że go nie przestrzegał przed ruiną, i że teraz jeszcze pocieszając go i wskazując drogę poprawy, czyni to powodowany jakimś ubocznym interesem? Broń Boże, on się ciągle poświęcał bezinteresownie. Albo ów gryzmoła, szkalujący sławę wszystkich pisarzy w brudnym jakimś pisemku lub sporządzonym umyślnie paszkwilu, w imię ogólnego zagrożonego dobra, czy sądzicie, że mu zależy co na tém? Przenigdy! on to czyni z poczucia obowiązku, z najczystszej bezinteresowności. Zawsze w imię dobra ogólnego lub innych! nigdy nic dla siebie. Jacyż to aniołowie nie ludzie, prawda? Lecz spyta się ktoś, dla czego postępując źle i brudnie, radziby się schować pod płaszczek cnoty i dobrej opinii? Dla czego nie mają odwagi swego egoizmu? Bo mimo arcyszatana złego, królującego na świecie i mimo wielu drobnych szatanów, będących u niego na posłudze, cnota, ta cicha a tak niedościgniona, ta milcząca a tak wymowna, ta skromna a tak wspaniała, wywiera swój przemożny urok; i wszyscy, źli i najgorsi, bezwiednie uchylając przed nią czoła, chcieliby się zastonić, najdrobniejszym chociaż rąbkiem jęj szaty. Dla tego częścią z konieczności materyalnej zamaskowania złego jakie się wyrządza, częścią z konieczności i konsekwencyi moralnej, w ślad za złym czynem, wlecz się hypokryzja. Dla tego ci fałszywi poczciwcy, ci sykofanci, ci „bezinteresowni“ są świętoszkami nie Molierowskiemi, ale lubo na mniejszą skalę, nieustępującymi tamtemu.

A teraz powiedzcie czytelnicy, czy nie jestże to temat niewyczerpany, nastrożający dziesiątki charakterów żywych, i setki bardzo ciekawych sytuacji? Prawdziwie trzej ci autorowie nadzwyczaj szczęśliwie wynaleźli przedmioty, chodziłoby tylko o wywiązanie się z niego odpowiednic. Przedmiot bowiem tak bogaty i ważny, nakłada i ważne obowiązki i niepospolite trudności. Rozprawić się z całym szeregiem podobnie: „bezinteresownych“ a cisnących się gwałtem pod pióro, rzecz i nietatwa, i w zastosowaniu do utworu mającego zamknąć w so-

bie skończoną całość, niezbyt możliwa. Francuzcy pisarze, za których przykładem poszedł może p. Sarnecki, wprowadzili ten zwyczaj zbiorowych gromadnych szeregowan charakterów, i zbiorowych tytułów. Augier np. pokusił się o to w „Bezczelnych“ a jeżeli udało mu się lepiej jak wielu innym, to jedynie dla tego, że umiał się skupić tak w akcyi jak i w intrydze. Mniej się udało W. Sardou z „les bons vil-lageois“, i z „Nos intimes“ (Nasi najserdeczniejsi), ale bądź co bądź, Sardou posiada w wysokim stopniu sceniczność i zręczność rozsnuwania mimo licznych epizodycznych zbroczeń, głównego wątku intrygi. Otóż za-przeczyć nie można, że p. Sarnecki dosyć scenicznie ułożył „Bezinteresownych“ ale skrupowawszy się zanadto zbiorowym tytułem, i w wykonaniu, rozstrzelił się zanadto. Posłuchajmy treści. Pani Amelia jest panną 28 letnią i posiada dwa miliony; wkoło tych milionów, snuje się chmara najbliższych krewnych jako mieszkających w jej domu: pani Koczkodańskiej z córką Antonią, sąsiadów wiejskich: p. Leona Zawraczkiego wraz z małżonką i głupim synkiem Leonem, i p. Adolfa Czaru-radzkiego, mającego sprzymierzeńca i faktora w osobie p. Kadzińskiego. Wszyscy ci państwo, nurzają się w brudnej intrydze. Panu Adol-fowi zbankrutowanemu właścicielowi ziemskiemu, chodzi o podrepero-wanie interesów majątkiem p. Amelii, dla tego łączy się z Kadzińskim nie-przebierającym w środkach, lubo nieprzekraczającym paragrafów kodeksu kryminalnego, i z p. Koczkodańską, wptywającą pośrednio na pannę Amelię. Za to oboje mają przyrzeczoną sutą nagrodę. Najlepiej atoli radzi sam sobie p. Adolf, bo Amalia trochę sentymentalna i ma-rzycielka, pokochała go pierwszą a gotową na wszelkie ofiary miłością. Daremnie przestrzega ją kuzyn, że Adolf złym jest człowiekiem, da-remnie denuncyują go pp. Zawaraccy, chcący podstawić swego gagat-ka; daremnie zaklina ją na klęczkach stary jej sługa Jan, podsłuchują-cy bezustanku intrygantów: zakochana wierzyć nie chce tak długo, dopóki się w jej domu nie zjawia dawna kochanka Adolfa, hrabina Miłska, opuszczona przez niego bez skrupu. Ciska mu w twarz, w salo-nie, w obec wielu osób wexle (podobno fałszywe) które za niego wyku-piła. Wtedy dopiero Amalia, trafiona w serce, porzuca niegodnego. W ostatniej zaś scenie aktu czwartego, zjawia się raz jeszcze Adolf na pół pijany, oskarżając siebie samego szczerze a zarazem odkrywając brudne intrygi Antosi, jej matki i Kadzińskiego. Potem oddala się, zostawiwszy w niepewności widzów co do swego losu i losu Amali, o co mniejsza. Adolf opamiętawszy się, zakochał się naprawdę w Amalii, czego się ze słów jego domyśleć godzi.

Rozwiązanie odróżniające się wprawdzie od zwykłego połączenia ślubem w komedjach, ale niemniej nienaturalne, bo nieusprawiedli-wione rozwinięciem psychologicznym, a przeto i zniweczające zwycięży i jasny tok dwóch pierwszych aktów. Dwa bowiem dalsze niewykoń-czone i prawie oderwane od głównego planu, nudzą widza i wprawia-ją go w niedowierzanie zapowiedzianej milcząco obietnicy autora, tej mianowicie, że wychłoscze biczem satyry obłudę bezinteresowności.

Boć Adolf, ten bankrut serca i kieszeni, który się tak nagle poprawia, staje się rzeczywiście bezinteresownym, a piękna, sprytna i przebiegła Antosia, która z niepraktykowanym u młodych panienek cynizmem, odbiera dobrodziejce swój i ciotce, połowę majątku i kochanka, ażeby za niego zapłaciwszy długi pójść za mąż, nie gra w lisa, nie jest bynajmniej obłudną, ani się nie chełpi „bezinteresownością.“ A przecież dwie te osoby, główną stanowią oś intrygi. Państwo zaś Koczkodafscy zanadto są ograniczeni i rubasznie naiwni w swym podstępie, iżby się każdy i niezbyt wielki znawca ludzi, na nich poznać nie mógł, zwłaszcza wtedy, gdy co słowo powtarzają zaręczenie, że są „bezinteresowni.“ To powtarzanie bezustanne przez wszystkich obłudników w komedyi że są bezinteresowni, zanadto zdradza obawę autora, iżby kto z widzów o tém nie zapomniał, a jednak stokroć byłoby się lepiej powiedło gdyby rzecz sama mówiła za siebie, gdyby po skończeniu sztuki każdy mógł dobrze objąć sądem swoim, całą ohydę obłudnego postępowania tych eleganckich ludzi, podających sobie rękę w wyperfumowanej rękawiczce. Pan Sarnecki posiada pewne zdolności sceniczne, doświadczeni e i znajomość świata, zbyt jednak ryczałtowo rozprawia się z kreacjami, które przeschecpia z życia realnego. Tak samo jak p. Bałucki, widzi jedną tylko stronę ujemną, i w nią zapatrzony poświęca już resztę człowieka, a co gorsza do raz obranego przedmiotu z wywieszonym szyldem, jak tutaj: bezinteresowności, nakręca i charaktery i sytuacje. Chcielibyśmy w tej mierze dobrze być zrozumiani. Jeżeli naprzykład Molier stawia typ Tartuffa, to jakkolwiek rzecz samą i sytuacje grupuje tak, iżby można dokładnie obznajmić się z główną figurą świętoszka, z jego postępkami i zamiarami, jedném słowem iżby go widzieć można *en face* i z profilu, przecież dzieje się to drogą naturalną i swobodną, i nigdzie niepodobna dopatrzeć ani śladu naciągania lub nakręcania przedmiotu i osób. Intencyi swojej nie spuścił ten nieśmiertelny mistrz z oka ani na sekundę, ale widz usiłowania jego i pracy w tym kierunku wcale się nie domyśla i nie czuje; dopiero po wysłuchaniu całej komedyi, z zadowoleniem widzi odstąpionego świętoszka i podziwia zręczne jego machinacje. W tém najwyższa sztuka, żeby widz nie czuł żadnego ciężaru ani nacisku piszącego, lecz żeby z akcyj samém i z charakterów, sam sobie dośpiewał piosenkę, a raczej sens moralny. Przeciw temu właśnie zgrzeszył p. Sarnecki, uniesiony ostrością samego już przedmiotu, a związany jakieśmy rzekli, zbyt obowiązującym tytułem. Udało mu się jednak kilka charakterów niezgorzdej, przedewszystkiém pana Kadzińskiego. Brał z natury typ ten, pieczęniarza wyższego gatunku, wyzyskującego bogatych znajomych i w ogóle stosunki towarzyskie na zapełnienie swojej kieszeni. Ten Judasz towarzyski, umie skapitalizować wszystko: nieszczęście przyjaciela, uśmiech kobiety, upadek swego bliźniego, skandal jaki się gdzie zdarzy; nie bywa on nigdzie, tylko tam z kąd złoty deszcz spaść może, nie odwiedza chorych niemogących się na nic przydać, nie kłania się niższemu lub ubogim, nie podaje ręki niemającym stanowiska i znaczenia. Oto

arystokrata!... najbrudniejszy, bo się puszy w obec niższych a płaszczy przed wyższymi. Autor doskonale zcharakteryzował go na scenie w Ogrodzie saskim, gdzie przed przechodzącymi uchyla kapelusza nisko lub nieznacznie, stosownie do ich znaczenia, i możesz być pewnym, że gdy powstał z ławki kapelusz trzymając w ręku, zaszczyt ten spotyka jakiegoś milionera. Któż z nas nie zna podobnych włóczęgów moralnych, a jednak podajemy im rękę, bo... jesteśmy za leniwi i za wygodni, ażeby mieć odwagę własnych przekonań. Hrabina Mińska lubo szkicowana, ale śmiałym pociągiem pędzła; pojmujemy dobrze że taka kobieta potrafi się zryzykować na rozgłosną scenę w obec świata, bo postradawszy dobrą jego opinię, dba tylko jeszcze o tę trochę szczęścia, które taką okupiła ofiarą. Inne osoby mniej udatne, niektóre wprost nieudane i odstrasające karykaturą, nieprawdą lub nudami. *Np.* panowie: Czarnogradzki i Gromadzki;—bo, gdyby zawsze cnota tak nudną miała przybierać postać, ujrzałyby się wnet opuszczoną przez wszystkich. Państwo Zawraccy w całym komplecie przypominają dawnych znajomych, których się już kiedyś widziało tu i owdzie na scenie, zabawić mogą gawiedz ale nie myślącą publiczność. Co się zaś tyczy Antosi, ta wydaje się nam zbyt emancypowaną z wielu względów, ale można by wreszcie przystać na jej wyjątkowe usposobienie, gdyby jedno nie sprzeciwiało się drugiemu. Nie kochając albowiem nikogo, ani matki, ani ciotki, działając bez skrupułu w tej „walce o byt“ kocha się przecież w owym panu Adolfie. Zgoda i teraz, lecz dlaczego się w nim kocha? wszakże zawsze jakaś przyczyna miłości być musi: tej wcale nie znamy. Charakter panny Amelii osoby głównej, nie powiódł się autorowi zupełnie. Mówi ona czasem bardzo pięknie, nawet szczerze i z serca; lecz sentymentalizm jej zbyt nużący, a zgola w akcie IV męczącym widzów i samą artystkę. Można zgodzić się na jej żalobę, gdy wymarzony ideał obryzany błotem ukazał się jej oczom, lecz we wszystkiem jest pewna granica. Zamiast biadać dalej bez końca, powinnyby się zebrać na energię i godność osobistą, i trzeźwiej popatrzeć w swoją przyszłość. Nareszcie co do samej intrygi, mocno jej przeszkadza ciągła obecność na scenie lokaja Jana, zmiatającego kurze a właściwie podsłuchującego intrygujących. Jestto tak naiwny i niezręczny sposób rozwiązywania intrygi, że prawdziwie dziwić się trzeba p. Sarneckiemu jak go mógł użyć. Bardzo przeto słusznie oburza panią Amelią, gdy jej do nóg upada i wyjawia prawdę. To wkradanie się w tajemnice tak delikatnej natury, razi nienaturalnością i niesmakiem. P. Sarnecki wydrukował dalszy niejako ciąg tej sztuki p. t. „Kalecy“ i przedstawił na jednej ze scen prowincjonalnych dokończenie w trzeciej sztuce p. t. „Umarii.“ Mamy niepełną nadzieję, że się z tych grubych błędów poprawi, przyniósłszy kiedyś dzieło rzetelnej wartości naszej literaturze dramatycznej.

Przejdźmy teraz do lżejszych utworów, do krotchwili a raczej farsy, której mimo zatytułowania, „komedyą“ nazwać niepodobna.

Autorem jój Al. Fredro syn, o którym na tém miejscu niejednokrotnie już pisać mieliśmy sposobność. Dając ostatnie sprawozdanie o „Posażnej jedynaczce“ wspominaliśmy o zaletach tego pisarza, odznaczającego się oryginalnością i humorem lekkim, wesołym, czasami z szlachecka rubasznym, nie tracącym przezto nic a nic na wartości. Humoru tego mniej może w całości *Consilium facultatis*, mniej też może oryginalności, ale w kilku szczegółach, a mianowicie w charakterze głównym krotchwi: w panu Kacprze, tryska on obficie. Rzecz się obraca około głównej figury pana Kacpra, szlachcica wioskowego, który jé, pije i śpi przewybornie, a przecież w ciągłym zostaje mniemaniu, że zdrowie jego na schyłku, że mu bezustanku potrzeba fury lekarstw i ciągłej asystencyi doktorów. Jęczy i stęka po całych dniach, męczy żonę i córkę przekonanie, że oju rodziny istotne grozi niebezpieczeństwo, męczy sługi, pomiędzy którymi Waluś zapatrzył się na swego pana w żarłocztwie i udawaniu choroby. P. Kacper z téj głównie racyi chce mieć zięciem lekarza; dowiaduje się o tém młody inżynier dawno zakochany w córce p. Kacpra i od niéj kochany, i podejmuje się odegrać rolę lekarza. Podobnego *qui pro quo* podejmuje się i siostrzeniec p. Kacpra, który przyjechał ażeby go pogodzić ze swoim ojcem. Dwaj ci zaimprowizowani lekarze, zmuszeni są odbyć *Consilium* nad mniemanym chorym, domagającym się bezwarunkowo badania i lekarstw. Zrozumieli że dla p. Kacpra najlepszą kuracją będzie przegłodzenie go i przegłopowanie, czemu się téż pacjent z wielkim smutkiem poddaje. Rozwiązuje tę prostą i wcale niewyszukaną intrygę przybycie trzeciego ale rzeczywistego lekarza, który radzi p. Kacprowi rzec się swego uporu, i wziąć właśnie za zięcia nie lekarza jeżeli chce żyć długo; co go tak przekonywa, że natychmiast córkę oddaje inżynierowi.

Intryga prosta i skromna, niedbałości także wiele, atoli w twórze pana Kacpra o swoje życie, w jego kolosalnym apetycie, w koniecznej chęci uchodzenia za chorego, tyle tkwi komizmu, że pokrywa on najzupełniej inne szczegóły, niezajmujące wcale. Równie śmiesznym jest Waluś, małpujący w najlepszej wierze swego pana, i jęczący ciągle że jest: „*sierpiąsy*.“

Co prawda, gra p. Żółkowskiego tak jest niezwyčajnie oryginalną, tak artystycznie obrobioną, że pan Kacper pod tą czarodziejską roszczęką wychodzi prawie na *typ* niezapomniany. Trzeba widzieć p. Żółkowskiego kiedy wraca przegłodzony z zimnej kąpieli, trzęsąc się z zimna, głodu i gniewu; słysząc go jak się napiera jedzenia, choćby go zaraz apopleksya ruszyć miała, żeby zrozumieć co artysta zrobić może z najdrobniejszej roli. Fredro syn ani wie, jaki to artysta ustala w pamięci widzów sztuki jego, któreby w przeciwnym razie nie cieszyły się tak ogromnym powodzeniem. „Drzemka pana Prospera,” „Posażna jedynaczka,” „*Consilium facultatis*” stanowią trzy rodzaje charakterów dla p. Żółkowskiego, charakterów szlacheckich, a przecież jeden do drugiego całkiem niepodobnych. Podziwiać trzeba intuicyę

artystyczną tego artysty, który niebędąc nigdy w Galicji, tak znakomicie umiał pochwyć tamtejsze miejskowe typy.

* * *

Zamyślając zdać sprawę ze sztuk tłumaczonych, tak dramatów jak komedji, taki w nich widzimy bezład co do duchowego ich pokrewieństwa, takie niepodobieństwo ugrupowania według pewnych pokrewnych znamion, że z wyjątkiem Dalili i Maryon Delorme, dających się zestawić w antytezie, inne podamy sposobem najkrótszym, to jest w chronologicznym porządku. Zaczniemy przeto od „Dalili“. Oct. Feuillet w czasie gdy poraz pierwszy wystąpił z tym dramatem, dziś na naszej scenie wznowionym, sprawił wrażenie niezmiernie. Niezużyto jeszcze tak do gruntu kwestyi zdrady kobiecój, wiarołomstwa, i owój walki kryjomój a bezustannój mężczyzny z kobietą, którą tak paradoksalnie, chorobliwie i rozgłośnie przeprowadził Al. Dumas syn, dopóki się tym obosiecznym mieczem sam nie przebił. Jakkolwiek temu lat dopiero kilkanaście, ale o emancypacyi najskrajniejszej, takiej jak ją dziś głoszą emancypantki i ich przyjaciele mężcy, nie mówiono i nie pisano tak wiele. Przebrzmiały namiętnie dopominania się pani Sand, a nastąpiła cisza, której nikt przerywać nie myślał oskarżaniem rodu męzkiego o tyranję, ani oskarżeniem kobiety o nadużywanie swego stanowiska jako płci słabój celem poniżenia mężczyzny. Feuillet niemając na celu całej klasy kobiet, ogólnego występku lub błędu, wybrał za bohaterkę dramatu, kobietę wielkiego świata, panią swych kaprysów i namiętności; kobietę rządzącą się przedewszystkiem *temperamentem*, a czepiającą się silnych pięknością, geniuszem lub darem jakimś nadzwyczajnym. Wszakże Dalila zmogła Samsona legendowego siłacza, uciąwszy mu nieznacznie włosy. Dalila Feuilletowska, tak samo przetnie genialność i poryw objęcia. Nie czyni ona tego tak dalece z wyrachowania zinnego, planów złych i exterminacyjnych, ale poprostu zinstynktu, z potrzeby temperamentu, wymagającego ciągłej odmiany dla ciągłego odnawiania się i odświeżania. Tę właściwość temperamentu, rozszerzył obecnie Dumas syn do potęgi teoryi, pewnika fizyologicznego, odnosząc ją nadto do całego rodu kobiecego, w swojej broszurze *l'homme femme*, i w ostatnim niefortunnym dramacie p. t. *Zona Klaudyusza*. Kobiety takiej jak Dalila Feuilleta, na ich drodze odrębnój, ślizkiój, grożącej każdemu ich towarzyszkowi upadkiem, nie powstrzymuje żaden węzeł ludzki, rodzinny lub religijny; z chłodnym uśmiechem, z błyszczącym rozkoszą okiem, posuwają się naprzód, zdziwione, gdy kto chce do nich przemówić językiem uczucia lub oburzenia. Mimo to księżna Falconieri nie jest typem ogólnym, ale charakterystyka jej stron ujemnych, nazwać się może typową. Kładziemy na to nacisk,

ponieważ z tego punktu wyjątkowego, lubo niewyłączającego prawdy, patrzeć się trzeba na tę kreację. Feuillet w dramacie p. t. „Redemption“, przedstawił Magdalenę, aktorkę, grzesznicę ale oczyszczoną przez miłość. Była to niby forpoczta późniejszych Dam kameliowych. W „Dalili“ przedstawia jawnogrzesznicę niepoprawną, nie zależną od jakiegobądź czynnika moralnego, niepojmującą go zgoła. Kilkanaście lat temu, było to efektowną nowością, dziś czując się zmęczeni tém apostolstwem najgorszego gatunku, obojętnie patrzymy na padające ofiary. Przyznajemy, że słabi i wrażliwi, których zawsze moc będzie na tym padole, padać bęła, zdeptani nogą tych zalotnic, lecz już się nie wzruszamy ich dolą; co najwięcej odezwiemy się do autorów z nietajonym gniewem: dosyć tych złych i fatalnych przykładów, pamiętajcie że najlepsi z was, ci którzy chcieli może dać odstraszącą naukę, dali tylko ponętną pokusę lub zgubną informację; dosyć tych otchłani i ciemności, dajcie nam jasność, słońce i zdrowie! Przestańcie działać na nasze nerwy, zacznijcie sięgać w głębiny dusz naszych. I odwracamy się dziś jeżeli nie ze wstrętem, to przynajmniej obojętnie. Lecz z ukazaniem się poraz pierwszy Dalili, wrażenie było ogromne i prawie jeszcze nowe, chociaż to już było po *Antony Dumasa* i po *Maryon Delorme* W. Hugo. Wielka dama, tak fenomenalnie namiętna i z takim chłodem serca, deptająca uczucia biednego młodzieńca, który jej zaufał, była do tąd znaną w romansie zaledwie Balzaca. Swoją zaś drogą, Dalila jako robota artystyczna, jest wcale dobrą. Charaktery wykończone, oryginalne, pełne życia i jeżeli nie prawdy to prawdopodobieństwa; dowcip wykwinny, dyalog zaokrąglony i wysnuwający się naturalnie, czasami patetyczny bez przesady, czasami rzewny, prawie głęboki. Czego więc żądać? Chyba tematu innego, innego założenia i innéj konkluzji, jakieśmy to już mówili; lecz skoro inaczej być nie może, przyznajmy, że np. hrabia *Carnoli* liczyć się może do typów oryginalnie skomponowanych i po mistrzowsku wykonanych, do takich, jakimi każda literatura dramatyczna poszczycić się może. Jest on mecenasem sztuki nowoczesnego kroju, miłośnikiem entuzjastycznym, gotowym majątek cały stracić za posłuchanie pięknego głosu, przytem panem całą gębą, dyplomata, gdy trzeba, szorstkim pozornie dla tych, których kocha. Mimo że go autor umieścił na drugim planie w obec księżnej Falconieri i artysty Rosweina, przecież stać on zawsze będzie na pierwszym w wyobraźni widza. Wychowanek jego Roswein, dziecię ulicy, które on podjął ze śmieciska postyszawszy grę jego na skrzypcach, wyrasta na genialnego kompozytora, któremu do spełnienia przeznaczenia nie trzeba było, prócz... niezetknięcia się z taką księżną Falconieri. Ale niestety, tak być musiało... iżby padł złamany, w kwiecie wieku i potęgi artystycznej. Zdradziecka Dalila zerwała włos jego, włos który go łączył z nieśmiertelnością. W téj alegoryi, mieści się poniekąd historia wszystkich nerwowych uniesień i miłosnych bohemii z ostat-

nich lat pięćdziesięciu, a Roswein jest ich przedstawicielem. Nie zapominajmy, że przesilenia religijne i polityczne, pociągające za sobą społeczne i moralne, oddziaływają na ludzi zrodzonych w chwilach takiego przesilenia; opowiedział to patetycznie Alfred Musset w spowiedzi, „dziecięcia wieku.“ Nie dziwić się też, że dojrzewają oni napojeni niewiarą, czepiającą się zaciekle nitki życia, jako wszystkiego, czego człowiek pewnym jest tu na ziemi. Więc kiedy kochają, kochają namiętnie, wszystkimi siłami zmysłów, całą gwałtownością przekonania, że jedynie w tej namiętności nieśmiertelność; w tej rozkoszy, jak zeznaje bohater Mussetowski, „niebo“! Wszystkie marzenia, natchnienia, cały zasób woli i przekonań, topią w namiętności która ich w tej chwili zajmuje; „całą duszę“ jak mówią, choć to nie dusza, tylko naprężenie nerwów; więc też gdy następuje rozczarowanie z ich lub nie z ich winy, gasną jak Roswein, szczęśliwsi jeszcze od tych którzy... rozpijają się jak Musset. Tacy Rosweinowie rozczarowaliby się musieli prędzej lub później, choćby nie trafili na Dalilę, bo w ich uniesieniu nadzwyczajném, tkwi już przesyt u poczęcia; a raz rozczarowani, nie żyliby już ale wegietowali, nie poszli naprzód za gwiazdą co im zaświeciła w młodości, ale pochylili czoło w nieuleczalnym marazmie, lub... zwierzęcym cynizmie. Autor ocalił swego bohatera, trzymając się przysłowia: że kogo bogowie kochają, tego młodym zabięrają z tego świata; a jako morał i przeciwstawienie, przesunął przed oczami widzów, dwie dodatnie, wyższe postacie, z których jedną równie przedwcześnie dotknął anioł śmierci swém skrzydłem: Sartoryusza, starego nauczyciela muzyki, mistrza Rosweina, i córkę jego Martę.

Rozszalałe namiętności dziecięcia natury jakim był Roswein, byłoby uciszyło także dziecię Martę, a rady ojca jój, słodkiego filozofa a zarazem wiernego czciciela kapłaństwa sztuki, byłyby mu wskazały drogę, po której wszyscy chodzili geniusze. Stało się inaczej, lecz zjawisko dwóch tych postaci w dramacie, choć przełotne i trzeciorzędne, przecież na widzach głębokie wywiera wrażenie. Sartoryusz przestrzegał Rosweina, iżby się strzegł sztucznego zapalu, zaczerpniętego w rozkoszy lub podrażnieniach nerwowych, jeżeli nie chce stać się odstępca sztuki jako sztuki i jako czynnika cywilizacyjnego.

Wiele w tym dramacie szczerego złota, wiele prawdy, w imię których można zapomnieć o przedmiocie samym, dziś dla nas już nieciekawym. Nie gniewamy się też za wznowienie, ani nawet za przedstawienie Maryon Delorme, lubo jedynie w tym razie przez wzgląd na to, że publiczność nasza choć późno, poznaje się jednak z Wiktorem Hugo. Jaka szkoda, że wybór padł właśnie na ten dramat, niemający dziś powodzenia we własnej ojczyźnie.

Maryon Delorme jest także Dalilą *sui generis*, a przynajmniej była nią dopóki się nie zakochała po raz pierwszy w życiu; tylko że jój *dalilizm* nie miał tragicznego nastroju; owszem, przelatował

z kwiatka na kwiatek, z miłostki w miłostkę, jak motylek pyszniący się na słońcu tęczowymi skrzydełkami. Maryon Delorme była tak zwaną „kurtizaną“ głośną i historyczną jak Ludwik XIII, jak Richelieu, którzy obaj, o ile wierzyć można pamiętnikom kroniki skandalicznej, hołd wdziękom jój oddawali. I w tój roli wytrwała do końca, wytrwała długo, bo żyła podobno lat *sto trzydzieści pięć*, opłacana przez Ludwika XV roczną pensją, jako żywa kronika pamiętająca jego pradziada Henryka IV. Ale poeta i to poeta, który szturm przypuścił do frontów klasycznej twierdzy, który z licznym zastępem młodych ochotników, nową wytworzył armię i nową zbudować pragnął fortecę, zachciał inaczej. Zachciał właśnie tę kurtizaną wydobyć z mgły wieków, z pyłu zapomnienia, w jakim jój było przyzwoicie, i postawić ją na piedestale, na widoku wszystkich wiernych i niewiernych, iżby przykłękli przed nią, jak przed nowym bożyszczem, i żalowali za grzech nieświadomości. Niebyłaż to bowiem nieświadomość, przypuszczać aż dotąd, że heroiny tego rodzaju walając się całe życie w błocie i to dobrowolnie, nie z przymusu okoliczności fatalnych, nie bardzo się oczyszczają zapewnieniem że nagle pokochały czysto i *bezinteresownie*; więc że kiedy spełniają ofiarę, straszna dla kobiety uczciwej, jeszczeby o wielkości tój ofiary wątpić można! Lecz tak potrzeba było twórcy nowej szkoły romantycznej, który dla zrobienia wyłomu w klasycznej twierdzy, nie wybierał w środkach, ale gromił taranem, posługując się nadto artylerją nowego wynalazku, którą tu pokrótce opiszemy. Reformatora zastanowiły wzory hiszpańskie a mianowicie Szekspir, w którym wielbił zuchwałości poetyczne obok dziwaczności wyrażenia, rozmaitość i potęgę kontrastów, i ciągłe przeciwstawianie *dziwaczności* (grotesque) z wzniosłością. Przypadło mu to tak do gustu a raczej do jego talentu, że stworzył nowy kodeks estetyczny swemi dramatami, i szeregiem swoich przedmów, w których między innymi pisze: „Dzięki tój dziwaczności, zniknęły już wrażenia monotonne; rzuca ona raz z błaznem, mięsząc swój krzykliwy głos z najwznioślejszą, z najokropniejszą, z najbardziej marzycielską muzyką duszy.“ A w dalszym ciągu powiada: „Poeta powinien wybierać przedmioty nie piękne, ale *charakterystyczne*“

Nie krępując się żadnemi regułami, rozpoczął walkę zwyciężką „Hernaniem.“ Zwyciężką być musiała, bo odrazu obalała nudny i śmieszny konwencyonalizm, panujący aż dotąd na scenie francuskiej. Językiem dla publiczności całkiem nowym, namiętnym i gwałtownym, pięknym prawie zawsze i świetnym, poruszał ją do głębi, zadziwiał i olśniewał, odbierając resztki zdrowego sądu jakieby zaopanovać chciały. Lecz nacóżby się przydała była opozycja? Kiedy ta reforma potrzebną była naówczas i konieczną, jakkolwiek reformator nie urzeczywistnił typu romantycznego, nie oblał cechą nieśmiertelności swych utworów, i mimo swój niezaprzeczoną genialność, nie usprawiedliwił konieczności tak gwałtownego proceduru. Nie usprawiedli-

wił, bo zasady, fundamenta położone przez W. Hugo, przedewszystkiem odznaczają się piętnem potrzeby i usposobienia *chwilowego*, które jako chwilowe dziś już wystygło i ochłodło; zasady te wreszcie zbyt elastyczne i swobodne, zbyt puszczzone na fale rozbującej fantazyi, popchnęły do nadużyć i wykroczeń, sprzeciwiającym się ogólniej i odwiecznej zasadzie sztuki jako obrazu piękna; a dalej kontrast, potworność wszelaka, mająca w Szekspirze rację swoją psychologiczną, podparcie w doskonałym zrozumieniu natury ludzkiej, a ani odrobiny zamiaru oddziaływania na efekt sceniczny; w Wiktorze Hugo przeciwnie, naprzód już obmyślane charaktery i to dla wywołania efektu, dla którego poświęca prawdę absolutną, lub w celach polemicznych czyli w chęci dowiedzenia wywieszoną przez siebie tezę. Nie ukazuje też serca w całej pełni, ale tylko jego strony ostateczne, stylem często równie chaotycznym i potwornym, jak wymyślone przezeń dziwaczne kreacje. Nareszcie ideał *socyalny* nie dał mu spokoju, kołając się naprzykrzenie w każdym jego dramacie. Którykolwiek przytoczymy, wszędzie brzydota fizyczna lub moralna, odnosi tryumf. W *Ruyblasie*, królowa kocha lokaja; w „*Król się bawi*.” Triboulet przewyższa uczuciem ojcowskiém Franciszka I, w *Ernanim* bandyta rywalizuje w szlachetności z Karolem V, a nareszcie nie chcąc tu wszystkich sztuk przytaczać, w *Maryi Delorme*, zalotnica kocha Didiera najczystszą (quomodo?) miłością. Teraz dopiero pojmujemy utopje genialnego poety, które się już dawno przeżyły, i pojmujemy przyczynę, dla czego przez pięć aktów, mamy wierzyć w idealność rówieenniczki równie głośnej Nenon de Lenclos. Lecz Wiktor Hugo zawiódł się dwojako: pod względem sztuki i moralności, mimo że co do pierwszej wytworzył szkołę i naśladowców, a co do zachowania drugiej, zaklinał się szczerze i uroczyście w swoich przedmowach. Po latach dwudziestu kilku, taż sama Maryon Delorme przedstawiona na scenie paryzkiej (w m. lutym b. r.) nie tylko nie zrobiła żadnego wrażenia, ale wprost niezrozumiano jej, wcale i tylko te sceny, w których Hugo zapomniawszy o wszystkich swych systematach staje się prawdziwym poetą, (pożegnanie Didiera z Maryą) robiły prawdziwe dramatyczne wrażenie, tak jak istotnie na to zasługują. Autorowi *Maryon Delorme* potrzeba koniecznie sposobności, ażeby olśniewał swemi obrazami i dźwięczał swemi rymami. Szuka bowiem sytuacji, w którychby się mógł rozwinąć jako wirtuoz. Siła liryczna potężna, rozpasana, tkwi w osobie *Didiera*, ale nie trzeba żądać od tego wielkiego śpiewaka, umiejętności i sztuki Szekspira... Gdyby był doń podobny, byłby nas przecie zainteresował Didierem i Maryą. Tymczasem nic oni nas nie zajmują. Słuchamy z ciekawością, lecz się nie rozpalamy, bo też nic niema przygotowanego, nie usprawiedliwionego; jakimże to sposobem powstała ta miłość między nimi? Jakim sposobem mógł Didier nałożnicę znaną, uważać jako lilję czystą, ukrytą oczom wszystkich? Jakto? ani słówko, ani znak żaden nie uprzedził go o obłudzie? Na jej słowa pieszczące dał się wziąć, a stawiający się na schadzce nocnej, jeszcze wierzy w jej dziewiczość? A pamiętać trzeba, że

Didier nie jest istotą naiwną, owszem mizantropem, który dużo wojażował, dużo widział ludzi i świata, i „znenawidził wielu i pogardził.“ Didier jest śmieszny kiedy działa, wzniosły kiedy mówi. A potem gdy jest w więzieniu, jakże gardzi ciałem, jak się pociesza życiem przyszłym! jaki z niego czysty spirytualista! a przecież kocha materialnie tę Maryę. A Marya kocha niby odrodzona Didiera, tak ją przynajmniej chce przedstawić poeta, a zaczyna sztukę od sceny, w której ją w nocnej porze gach (margrabia de Sawerny) opuszcza. Nawrócona w taki sposób, nowe życie rozpoczęła! W jednej tylko scenie, w ostatnim akcie, żal nas bierze pokutującej grzesznicy, gdy na kolanach przed Didierem woła:

„Uderz mnie, pozostaw w hańbie w której jestem;
Odepchnij nogą, depcz po mnie: lecz uciekaj!“

Akcyj nigdzie i nigdy, epizodów stających na przeszkodzie pełno, i dysertacyi dla polskiego czytelnika nużących liczba potężna. Słusznie powiada G. Planche: że „Maryon Delorme zawiera w sobie najwięcej żywiołu dramatycznego,“ lecz wykonanie nie odpowiedziało założeniu. I u nas nie było inaczej, i u nas publiczność zachowywała się obojętnie, mimo dobrej bardzo gry kilku artystów; bo tém mniej wzruszać się mogła losami tak podejrzanego źródła heroiny. Ani też ją tak dalece zachwycił mógł ogólny obraz wieku Richelieugo, który poeta doskonale starał się uzewnętrznić; najbardziej jeszcze zajął akt IV, będący bardzo wierną i pysznie odmalowaną sceną historyczną, w której lubo nie ma samego Richelieugo, widz jednak doskonale z nim się zapoznaje przez opowiadanie innych osób. Naturalnie, że na obronę tak znakomitego poety jak Hugo, nie potrzebujemy dodawać, ile i w tym utworze rozsianych piękności poetycznych i ustępów porywających, bo wreszcie ciągle nam po głowie chodzi ta jego mistyczna teoria o *dziwacznosci*, dyktująca mu tak obrzydłą scenę Maryi z Laffemasem w akcie piątym. Z tego względu i z innych, skupiwszy się w naszym sprawozdaniu, odsyłamy czytelników poważnych do zapoznania się z W. Hugo w wielu innych jego dziełach. Poeta ten zasługuje na to że wszecmiar, choćby właśnie dla tego, iżby umieć oddzielić złoto od gliny, i dla jego stanowiska jako ogromnego poety lirycznego, i żeby umieć rozróżnić w nim prawdziwe klejnoty poezyi od wyszukanéj dziwaczności, zwracającej głowy młodym zwłaszcza umysłom. U nas panował a po troszę i dotąd między młodymi poetami panuje kult bałwochwalczy, któryby nazwać można „hugomania,“ naśladownictwem szkodzącém oryginalnej zdolności. Zapoznawszy się zaś z tym poetą doskonale i wszechstronnie, przestaje on być niebezpiecznym, a staje się bardzo często godnym uwielbienia.

Kiedy już tak przyszło nam mówić o dwóch kobietach, odmiennéj a raczéj wyjątkowéj indywidualności od ogółu kobiet, zaliczmy do téj kategorii hrabinę de Terremonde z dramatu p. t. *Księżna Jerzowa*, Du-

masa syna. Wprawdzie jest ona do dwóch pierwszych w wielu względach podobną, z niemi co do usposobień pokrewną, lecz co do dróg jakimi idzie, celów i przeznaczeń, nieskończenie różną. Księżna Falcognieri w Dalili w porównaniu z nią, to kobieta prawie szlachetna, a Maryon Delorme niewiniątko skromnieuchne. A trzeba wam wiedzieć jeszcze czytelnicy, że pani de Terremonde, zaliczoną jest w poczet kobiet „wyższego świata“ czyli kobiet które przecie, czemu najskrajniejszy demagog nie zaprzeczy, odbierają pewne wychowanie i wykształcenie, czyli środki podniesienia ducha i wyzolenia się ze zwierzęcości materji; dalej należy do kobiet bogatych, czyli ochronionych od pokus i sideł, jakie nędma na każdym kroku zastawia kobietom ubogim. A jednak jest to potwór tak pięknie zakonserwowany, że każde muzeum zarobiłoby na nim miliony, gdyby według naszego zdania, potwór ten nie kwalifikował się wprost do domu obłąkanych. Ta znowu hrabina de Terremonde, niknie w obec *żony Klaudyusza*, najnowszój tegoż Dumasa sztuki, która nareszcie padła z łoskotem. Lecz gdyby sztuka miała być powodzenie, trudno wynaleźć hipotezę orzekającą, jak daleko bylibyśmy zaszedli w tych badaniach *psychiczno-fizjologiczno-obyczajowych* pana Dumasa, w pierwszym peryodzie swój karyery, obrońcy kobiet walających się w błocie, w drugim zaś draakońskiego prokuratora kobiet wyższego świata. Biedny Wiktorze Hugo! Ty przynajmniej w imię ideału, który ci jako wielkiemu poczcie nie przestał nigdy świecić, oczyszczałeś ujemną stronę kobiety i podnosiłeś ją, co prawda, zbyt wysoko; lecz twój następcą zniżył ją do stanowiska dzikiego zwierzęcia! Tak jest, Dumas w broszurze swojej p. t. *L'homme-femme*, dedukuje całą teorię, a propos kobiet z *ulicy*, o dziedzictwie krwi, dziedzictwie złych i krwiożerczych instynktów, cygańskiego lub wprost dzikiego pochodzenia; dziedzictwo to czy tradycja przecieka w krew pokoleń, odzywa się czasem w dziesiątém pokoleniu, i tём właśnie, boć przecie czemuś trzeba koniecznie, tłumaczy się okrucieństwo i zwierzęcość niektórych kobiet.

Lecz zaczynajmy od głowy. Co to jest ta *Księżna Jerzowa*, jakie założenie postawił sobie autor w tym dramacie?

Księżna Jerzowa jest kobietą młodziutką, piękną, należąca do najwyższego towarzystwa, a męża swego kocha... jakby to powiedzieć: szalenie, ognście, namiętnie, nadzwyczajnie; lecz tenże zakochany jest w hrabinie de Terremonde, która każdego ze swych admiratorów na majątku rujnuje; ma bowiem zadanie jasno sformułowane: wielbić swych obdziierać. Nie tai tём się z tём bynajmniej w scenie z notaryuszem. Księżna podejrzywa zrazu męża, wnet uspokojoną zostaje jego uroczystemi zakłęciami i obietnicą poprawy. Księżna przebacza dosyć łatwo, względnie do poprzedniej zgryzoty i do powziętych postanowień. Pytała się bowiem, jaki środek daje jej prawo ażeby być wolną? Notaryusz odpowiada że żadnego, matka toż samo odpowiada, w cynicznej naiwności czerpiąc argumenta przekonujące. Niema przeto sposobu być wolną i kochać innego bez utra-

ty czci? Niéma. Więc trzeba kochać—rozumuje księżna—tego męża, którego się już poślubiło. Bardzo słusznie. W akcie następnym śmientanka towarzystwa paryskiego w salonach księżnej, bawi się rozmową o małżeństwach i mężach. Prostaczek słuchający téj rozmowy, notabene, gdyby wszystko zrozumiał, pomyślałby: „niemam czego zazdrościć salonom, jeżeli w nich takie obrzydłe prawią rzeczy.“ Wtém wchodzi hrabina de Terremonde, a książę Jerzy, który dopiero przyrzekł żonie poprawę, okrada ją na dwa miliony, potrzebne do ucieczki z ponętną hrabiną. Nikczemne to postąpienie zdradza lokaj księcia, służący naprzemian za szpiega temu co lepiej płaci. Posłużył teraz księżnej, która powtórnie przekonana o zdradzie męża, w najwyższym gniewie wypędza ze swego domu hrabinę, lubo ta z elegancją czelnością znosi obelgę, życząc tylko sobie iżby mogła kochać księcia jedną minutę na to, ażeby się zemścić dokumentnie. Oburzona księżna oświadcza hrabiemu de Terremonde że go żona oszukuje, a ten grozi każdemu śmiercią, któryby w zakres praw jego wchodził. Lecz książę Jerzy poprawia się, jest szerszy, bo w powtórnej rozmowie z żoną wręcz jój zapowiada, że ją porzuci dla tamtéj nędzniczki. Księżna wpada w szał gniewu i miłości zrozpaczonej, i teraz pragnie iżby mąż jój zginął. Atoli walczy ze sobą, zastanawia się: bada sumienie (a może tylko swą namiętność?) czy ma prawo kazać zabić swego męża?... Powody *pro i contra* dowodzą ogromnych zdolności kryminalno-prawnych téj księżnej. Nareszcie chce powstrzymać księcia, który jój rzucił pod nogi pieniądze, ażeby zapomnieć o świecie całym, i biedz tam gdzie go czeka uciecha. Wtém słysząc strzał, wchodzi hr. de Terremonde z pistoletem w rękę, mówiąc spokojnie że zabił młodzika (był to dragi konkurent pani de Terremonde) unizgającego się do jego żony.

Zastona spada.

A księżna przebaczy? a mąż się poprawi? Przebaczy, bo kochała go tak, że gdy przeszkoda materyalna znikła, kochać znowu powinna; o poprawę zaś takiego człowieka mniej sja, i tak kochanym będzie. Naszém zdaniem, trzymając się najściślej tekstu saméj sztuki, ta miłość księżnej uchodząca w oczach wielu za idealną, nie jest nią ani trochę. Wszakże księżna miała sposobność w krótkich odstępach przekonać się jakiego ma męża i wszakże pogardziła nim, bo przyrzekłszy jój poprawę, ukradł dwa miliony i chciał uciec wraz z rywalką; wszakże pytała matki co prawo dla niej zrobi? nie; pytała notaryusza o to samo, również bez skutku. Więc cóż jój pozostało, *kochać tego którym pogardza?* Nie jestże taka najlogiczniejsza konkluzja? I czy kobieta, któraby kochała nie ślepo, nie namiętnie, mogłaby się zapomnieć do tego stopnia i kochać człowieka, zasługującego na pogardę w tak wysokim stopniu? Możnaż wreszcie kochać nie szanując? możnaż tak dalece zapomnieć o własnej godności, która kobiecie dobrze wychowanej lub szlachetnej, podyktuje dalsze postępowanie, niepotrzebujące się radzić notaryuszów z całą ich kazuisty-

ką prawniczą? Dumas w przedmowie do téj komedyi, odradza pannom bywanie na jego sztukach; zakaz ten mógłby się stosować i do kobiet zameężnych, tych przedewszystkiem, które z pożycia małżeńskiego nie robią targu ani pogańskiego bezwstydu. Co nam po tych bohaterach i bohaterkach, którymi miota nie już namiętność, ale gorączka i obłąkanie? Czyż kobieta może upaść tak nisko jak hrabina de Terremonde? a jeżeli upada, nie należyż, Bogu dzięki, do wyjątków? A ci wszyscy inni czyż to ludzie obdarzeni inteligencją i uczuciem? a te rozmowy margrabin i hrabin! Tak nie rozmawiają przekupki, nieznające się na subtelności rozpusty, chyba damy „pół światka“ zgangrenowane na wskroś jadem zepsucia, toczącym je bezwiednie. Mężczyźni zaś téj komedyi, to nie ludzie obdarzeni rozumem i wolą, mający jakiebądź poczucie obowiązków i honoru, ale niewolnicy zniechęceni, niegodni lepszego losu, tylko takiego jaki im gotuje hrabina de Terremonde. Zaiste, gdyby świat ten wyższy francuzki nie był tu skarykaturowany, byłby straszniejszy od społeczeństwa z czasów Cezarów rzymskich, a zwycięzcy niemcy mieliby rację utrzymując, że we Francyi wygasło zupełnie ognisko rodzinne. Kto ma być idealny wpośród téj tłuszczy? księżna Jerzowa. Zapewne, jest najlepszą między nimi, ale daleko jęj do nazwy: „wyższej kobiety.“ Nie umie ani z odwagą zrezygnować gdy trzeba, ani cierpieć z godnością, ani powstrzymać się w porywie zemsty. Zdania jęj o społeczeństwie, rodzinie i zobopólnych prawach, pozbawione są rozsądku, a co się tyczy serca, niewiele go okazuje, posyłając męża na śmierć. I w samym uniesieniu zemsty, tak jak i w uniesieniach miłosnych, ulega obrażonej miłości własnej, bo prawdziwa miłość gdy sercem owładnie, przytłumia niezawodnie zemstę; a nadto ulega miłości swęj *namiętnęj*. Nie tai się wreszcie z tém, wszak mówi wyraźnie o swoich „nagich ramionach“ i o tém, że męża swego chce mieć wyłącznie: *dla siebie*.

Mistrzowska scenerya, tryskające dowcipem i paradoksami dyalogi, pozwalają słuchać tego dramatu z zajęciem, ale te zalety niepospolitego pisarza, nie są bynajmniej nowiną w Dumasiu synu, i o nie nam, jeżeli kiedy, to tym razem chodzi z pewnością.

Najtrudniejsze zadanie miała w téj sztuce pani Modrzejewska, grająca rolę księżnej Jerzowej. Gdyśmy ją widzieli po raz pićrwszy, zdawało się nam, że mocą swego ogromnego talentu, chce zatrzeć niektóre ostrzejsze odcienia namiętności, i posądziłyśmy ją nawet, coby jęj bynajmniej nie ubliżało, o wywieranie większego nacisku na sceny, w których księżna Jerzowa, idealniej miłość swą pojmuje. Widząc ją poraz drugi i trzeci, nabraliśmy pewności, że się wcale nie stara o przekształcenie charakteru tego według pojęć odmiennych, dozwolonych mniej więć artyście jako tłumaczowi myśli poety, ale przeciwnie że zatrzymała ze skrupulatną wiernością wskazówki autora. Nie hamując się przeto z wybuchem zmysłowym, z objawieniem praw swych jawnych do posiadania męża, broniła ich z całym zapalem polemicznym, jaki autor włożył jęj w usta. Trudności niemałe, pły-

nące z całego już nastroju gwałtownego postaci księżnej Jerzowej, pokonała z właściwą sobie wytrawnością. Sztuka też ta, jeżeli utrzymuje się na repertoarze tak długo, zawdzięcza to grze pani Modrzejowskiej, w czém pomaga sumiennie pani Palińska (hr. de Terremonde) artystka myśląca.

Zwróćmy się teraz do kobiety w świecie starożytnym, a raczej w świecie klasycznym, przedstawionej przez niemieckiego poetę Conrada w tragedji Baktowej p. t.: *Fedra*. Autor musiał się w tym wypadku zetknąć ze swym niezapomnianym poprzednikiem, w tragedji tego nazwiska, z Rasysem. Mówiąc „zetknąć,“ źleśmy się wyrazili, trzeba może powiedzieć wyraźniej i prościej, a zwłaszcza, że autor na kanwie Rassynowskiej, chciał wysnuć dramat w klasycznej formie, a z romantycznym a przynajmniej nowoczesnym połotem. Czy taka przeróbka, przetworzenie, czy jak kto nazwać chce, zastąpi nam utwór odlany ze szczerego złota, bez przymieszki obcych aliażów, czy nie lepiej chcąc dzieł klasycznych, zaczerpnąć ich w Kornelu i Rasynie, czyli u źródła, a chcąc greckiego świata, u Sofoklesa lub Eurypidesa, to inne pytanie. Bo wreszcie przeszczepianie odległych od nas epok i odległego ich ducha, uchodzi tylko geniuszom a nie średnim zdolnościom, jakie zaledwie panu Conradiemu przysnajemy. W tój kwestyi powiedział już dość stanowcze słowo W. Schlegel, w broszurze wydanej w r. 1807 p. t. „Porównanie Fedry Rasyra z Fedrą Eurypidesa“ w której okazał z właściwą sobie erudycją, że klasycyzm francuzki nie rozumiał swego narodowego ideału, i że *wspaniała prostota Greków skrzywioną została pod piórem tych pisarzy XVII w.*, że krótko mówiąc, poeci Ludwika XIV przez mieszanie cywilizacyi różnorodnych, stworzyli rodzaj *falszywy*, który nie był ani greckim, ani francuzkim. Stosuje się to najzupełniej do autora niniejszej Fedry, tak jak i orzeczenie późniejszych krytyków (Jouffroy, H. Taine) tój treści, że poeta odczuć nie może uczuć innój epoki, i że oddając je kopiuje tylko *wyrażenia* ówczesne, odtwarza kostiumy i wygrzebuje szczegóły archeologiczne, lecz nie daje prawdziwej poezyi, tylko jój naśladownictwo. Dlatego mitologia nie jest już poetyczną, bo prawdziwi poeci malują tylko uczucia swój epoki... a jednak w wieku XVII i XVIII, nie obeszło się w żadnym poemacie bez mitologicznych alegoryj, tak we francuzkiej jak i polskiej literaturze.

Rasyra w przedmowie do „Fedry“ którą szczególną ojcowską miłością umiłował, powiada między innemi: „Mogę zapewnić, że starałem się najusilniej o wydobyć cnoty na jaw, sama myśl zbrodni traktowaną jest jak sama zbrodnia... namiętności przedstawione są jedynie dla ukazania obłędu, jakiego się stają przyczyną... Takim jest właśnie cel, jaki sobie piszący dla publiczności położyć powinni, i ten też wzgląd mieli piérwsi poeci tragiczni na celu. *Teatr ich był szkołą, gdzie tak dobrze uczono cnoty, jak w szkołach filozofów!*...“ W tych kilku zdaniach, streszczona mniej więcej cała teorya sztuki klasycznej, na którą, a cóż dopiéro na jój imitacyę

zastosowaną do chwili obecnej, dziś nie zechcielibyśmy się zgodzić. Ideałem wreszcie francuzkiej sztuki XVII wieku, nie był ideał *ludzki* ale ideał *społeczny*. Autorowie klasyczni nie wprowadzali człowieka w zetknięcie z Bogiem i naturą, ale brali za przedmiot swych studyów, cnoty jego i występki społeczne, oraz kolizye między różnemi klasami społeczeństwa; epoka zaś Odrodzenia przynosząc im swoje ideały honoru i heroizmu, umiała się pogodzić ze spuścizną po Grekach i Rzymianach. Wspomnieliśmy już w tej kwestyi na inném miejscu, że Corneille jest w tym względzie typem pisarza, który mierząc zawsze wysoko, poddał się odważnie tyranii reguł, lubo znowu ograniczenie ideału, przyczyniło się do podniesienia typów przezeń stworzonych. We wszystkich swych sztukach, jak w *Horacyuszach*, *Polieuktesie*, *Cydzie*, *Hymenie*, odmalował heroizm, czyli uzewnętrzniał jedną i jedyną namiętność, i do tego abstrakcyjną. Bohaterowie jego zawsze wielcy i niezłomni, zawsze półbogowie; obowiązek i cnota ich hołdem, słabości ludzkiej tak samo nie znają jak widzą nie zna ich duszy. Są modelami wskazującymi jakimi być ludzie powinni, ale nie ludźmi, jacy żyją na świecie. Kornel i Rasyń podnoszą i wzmacniają ducha, ale nie wzruszają, Szekspir zaś wzrusza do głębi. Epoka więc klasyczna miała charakter przejściowy, a nadto narodowy, bo Kornel i Rasyń patrzyli na starożytne wzory przez pryzmat własnego ideału, co posunęli do tego stopnia, że Cyd i Bajazet np. występowali na scenie w kostiumach dworskich, a Enona mówi do Fedry: *madame*. Tyrania tych reguł tak była silną, że spętała Kornela, który przeto nie stał się poetą wszechświata, ale tylko pewnego społeczeństwa i pewnej epoki. Szekspir zaś sięga w ludzkość całą a nie w chwilowo istniejące społeczeństwa, nie boi się namiętności, która tak przestrasza Rasyń. Rasyń, niemniej spętany był powagą reguł, dlatego przymus jakiemu się poddał, mimo że naśladował Eurypidesa i w ogóle starożytnych, nie pozwolił na rozwinięcie charakterów jak należy, ani na oblanie całości odpowiednim kolorytem. Bądźmy szczerzy i przyznajmy, że cenimy wielce w utworach klasycznych formę i ową harmonię wewnętrzną, ów spokój wzniosły, ale dążenia nasze dzisiejsze, po rezultacie pracy tyłowieckowej we wszelkich dziedzinach, począwszy od religijnej a skończywszy na społecznej, popychają nas na inne tory.

Mimoto, charakter *Fedry* w Rasyń, porywa niezwykłą siłą, ogniem namiętności, wydzierającym się z pęt narzuconych; czujemy wreszcie w każdym ustępie potęgę poety, walczącego między swobodą natchnienia a konwenansem przyjętym; gdy przeciwie poeta nowoczesny, p. Conrad, niemogąc ani na chwilę zapomnieć o tym wzorze klasycznym, nie zrzekł się go, ani też nie jał się oryginalnej, własnej, na spowiciu dzisiejszych pojęć leżącej metody. Skutkiem tego odmienił charakter *Fedry* i *Hipolita*, odmieniając i idee, którą tu zrobił rozwiązaniem umyślnie tendencyjnym. W tra-

gedy albowiem starożytnój, bohaterowie działając pod naciskiem nieprzełaganego fatum, stawali się ofiarami win popełnionych przez ich przodków, albo ofiarami woli bogów; ulegając zaś mściwym bogom, skarżyli się bezwiednie nie mogąc sobie ich gniewu wytłumaczyć; tu przeciwnie autor przez usta Tezeusza i Fedry, podaje objaśnienia moralno-logiczne, będące już owocem idei nowój, a kto wie czy nie wprost chrześcijański. Tezeusz rażony gromem zdrady małżonki, powiada żałośnie zawodzącej Fedrze, że jej nieszczęścia są następstwem jej występku: porzucenia ojca Minosa i siostry Arjadny. Autor zmieniając fatalizm na ideę postępową i moralną, chciał może dowieść że już i w owym mistycznym świecie starożytnym pół-bogów i bohaterów, dniało już przecucie osobistej odpowiedzialności i kary, a nie ślepego fatalizmu. Hazardowna to nowość taka reforma, a o jej niefortunności dziś już wątpić nie można, bo *Fedra* runęła po kilku przedstawieniach, tym razem wcale sprawiedliwie. P. Conradi chciał dalej usymbolizować w postaci Fedry, poezją i natchnieniem (ostatnia scena, apostrofa do gwiazdy) nie mogące się pogodzić z nieubłaganą rzeczywistością. Manja czysto niemiecka, lubująca się w metafizyce tam nawet, gdzie jak w dramacie, o czyn dzielny, akcyę jędrną i charakter wyraziste z krwi i mięsa, chodźć powinno. *Fedra* p. Conrada, nie tylko kocha Hipolita, ale i jest kochaną arcy sentymentalnie, i Tezeusz w obec nich staje ubezwładniony, lub skazuje syna na wygnanie. O ileż prawdziwsza *Fedra* Rasyna! Namiętna, palona ogniem wstrzymywanym długo a zatłonym u płomieni przeznaczenia, czuje całą okropność swój namiętności, cierpi i milczy, dopóki nie rozchodzi się wieść o śmierci Tezeusza. Wtedy dopiero wybucha, narzuca się Hipolitowi, a gdy w tej chwili Tezeusz wraca, następstwa dalsze łatwiej pojmiemy. Bezporównania też więcej tragiczności w Rasyńskiej Fedrze, mszczącej się za niewzajemność na Hipolicie, oczerniającej niewinnego. Jest siła w jej rozluhanej namiętności i jest prawda; przypomina ona nam już kobietę w ogóle, kobietę dzisiejszą i przesłą, taką jaka się istotnie przedstawia, gdy raz wyjdzie poza zakres sobie właściwy. Charaktery w tym utworze p. Conradięgo mgliste i niejasne, np. Hipolita niewiedzącego czy kocha Aryadnę, czy Fedrę, lub Tezeusza ukutego z bladego retoryzmu. Budowa zaś dramatyczna niedołączna, z nużącemi długością monologami (akt I, scena I, akt II zaś Arjadny), a wreszcie dwa akta pierwsze choć oryginalniejsze od trzech następnych, odchodzą jednak zupełnie od głównego przedmiotu tragedyi. Widocznie, gdy autorowi niewygodną była jedna z reguł klasycznych lub dzisiejszych, np. jak tu: jedności akcyj, porzucił ją bez skrępułu. Jedyną zaletą tego dramatu, jest nastrój poetyczny i podniosłość pewnych idei, oderwanych od wstrętne realizmu, jako też piękna dykcya, dobrze oddana w przekładzie W. Anczyca.

Zróbmy znowu przeskok od kobiety greckiego świata, który z takim mozołem usiłują nam przybliżyć poeci, do wybranki z pięknej

galeryi Szekspira, tego malarza nad malarzami charakterów kobiet, w całej ich dodatniej i ujemnej szczerocie. W tym krótkim przeglądzie z iloma już poznać się nam wypadło, a jednak ani jedną taką, któraby oddziaływała uspakajająco na nasz umysł, któraby nas przyciągnęła do siebie sympatycznie. Poznaliśmy już pół i całe potwory najnowszej sztuki francuzkiej, pławiące się w zdradzie, chytryści i fałszu, jakby w naturalnym żywiole; jakimże przeto kontrastem będzie piękna, słaba, a nieszcześliwa *Desdemona!* ta kobieta *niewyjątkowa*, nie uprawiająca nas w osłupienie, zagadkowością swoich zasad i postępów, ale ze wszystkimi wadami i przymiotami, z całym zasobem kobiecości, a z przymieszką tylko gorącego nieba pod którym się zrodziła. Szekspir maluje kobiety takie, jakimi były rzeczywiście. Są one czułe, namiętne, *szczerze zawsze w namiętności i wystepku*, a przeto tak wybitne i niezapomniane! Miłość jej zrodziła się nagle, piorunnie zatłona w podziwie oryginalności murzyna; miłość wcale *nie idealna* jak niektórym się wydaje. Otello tłumacząc się przed senatem powiada wprawdzie, że się w nim zakochała Desdemona słysząc opowieść jego o czynach wojennych, że temi zapewne jak ją ojciec oskarżał, ale wyjątkowość zjawiska jakimś był człowiek obcej rasy, murzyn a wódz dzielny i... zmysły, pociągnęły ją tak silnie i nakłoniły do porzucenia ojcowskiego domu. Tak dalece jest pod tym wpływem, że nie czeka na zezwolenie ojca, na które czekałaby nadarmo, ale pozwala się wykraść i przed senatem śmiało bez zająknienia oświadcza, że sercu swemu i mężowi będzie posłuszną. Julia tak samo na balu ujrzawszy Romea, powiada mamce, że umrze gdy nie będzie wzajem kochaną.

W tragedyi téj, której dotkniemy o tyle o ile nam potrzeba do scharakteryzowania debiutu p. Leszczyńskiego w roli Otella, i to w jednym tylko akcie, wszystkie osoby rysują się jasno i potężnie w umyśle widza, który pojmuje ich pobudki i cierpienia. Genialny poeta twórczo przeobraził bladą powiastkę, z której fabuły zaczerpał, tak że każda z osób działających, ma swoje przeznaczenie i logiczną przyczynę bytu, lubo każda działa odmiennie na swój sposób. Wszystkie zejdą się u wspólnego celu straszliwej katastrofy, w każdym odezwie się natura ludzka, sprowadzając pathos tragiczne. To właśnie czyni Szekspira nieśmiertelnym, że z zapożyczonego tła wysnuwa człowieka, który mimo najdziwaczniejszych wypadków świata, jest nim przecie w całej żywotnej pełni. Ztąd pochodzi że Otello nie jest zwykłym tylko mężem, zazdrosnym aż do spełnienia zbrodni, lubo takim się już na pierwszy rzut oka w sztuce wydaje, lecz charakter jego ma głębsze podstawy i konsekwencye. Jest on murzynem czyli człowiekiem spalonym przez słońce, krwi rozgrzanej do szału, wyobraźni żywój a szorstkiej, łatwowiernym przez namiętność i przez temperament. Natura sama stworzyła go takim a nie innym: innym byćby nie mógł. Jako żołnierz i człowiek pogardzonej rasy, wycho-

wany w twardej życia szkole, nie zna słodyczy rodzinnego życia, a gdy ich nagle doznał w uścisku Desdemony, lęka się że potrwają krótko i przez to w ciągłym zostaje niepokojem, skłonny do podejrzeń. Charakter szlachetny nie ochroni, *temperament* przeważa; temu też a nie czemu innemu trzeba dalsze przypisać następstwa. *Jago* jest wprawdzie złym jego duchem i gdyby nie on, *Otello* żyłby szczęśliwy, ale i bez niego, najdrobniejsza okoliczność byłaby rozdrażniła namiętne go murzyna. I ten też *temperament* tak ściśle łączący się z charakterem, olśniły *Desdemone*.

*

*

*

Akt ostatni był polem popisu p. Leszczyńskiego, akt znacznie a niepotrzebnie skrócony. Zastanawiamy się nad debiutem dlatego, że jakcśmy na wstępie wyrazili, brak nam artysty do ról bohater-skich. P. Leszczyński posiada wiele ważnych przymiotów: najprzód postawę i giętkość, pozwalającą na ruchy swobodne; dalej rysy twarzy wyraziste, a lubo niezbyt ruchliwe lecz zdolne do oddania uczuć gwałtownych; głos donośny, mimo niewyrobień z łatwością dziś już przechodzący z szeptu w krzyk i na odwrót, a nareszcie młodość. Mimo pewnej rutyny scenicznej, tu szkodliwszej niż pomocnej, talent p. L. widoczny, odbijający w krótkich chwilach natchnienia i samodzielnego porywu; lecz brak mu jeszcze studyów poważnych, bez których niema ani obmyślenia całości harmonijnego, ani jednolitości w grze. Studium przeszkodziła zapewne, praca ciągła i dorywcza na scenach prowincjonalnych. W roli *Otella*, znać było właśnie pośpiech i zbyt raptowny odskok z jednego uczucia w drugie, a nadto naśladowictwo sławnego murzyna aktora *Ira Aldridge*, które debiutantowi bynajmniej na dobre nie wyszło. Z tém wszystkiem, ruchy śmiałe, niekonwencyjonalne, niezakreślone cyrkiem zużytego rutynisty, wibracya metaliczna głosu i zamach tragiczny a oryginalny, każą nam wróżyć nietylko o przyszłości artystycznej debiutanta, ale i o polepszeniu się personelu warszawskiej sceny.

Porzućmy na ten raz *Wenecyankę*, a pomówmy o *Żydówce*, którą *Mosenthal* nazwał *Deborą*, w czterechaktowym swym dramacie.

Domyślicie się czytelnicy, że bez kwestyi żydowskiej nie obej-dzie się i tym razem. Ileż ona nie wywołała już walk, sporów, dyskusyi, dramatów i powieści; a zawsze bez skutku! *Laube* oceniając *Mosenthala* jako dramaturga ludowego, powiada o *Deborze*, że była ona pierwszą jego sztuką, i że zawiera treściwe ziarno, leżące w potrzebie walki przeciw społecznym przesądom, a w obecnym żywiołu ludowego. „Heroiczna (niekoniecznie) żydówka walczy, w tym doskonale przeprowadzonym (?) zamiarze (słowa *Laubego*) całą wartością sztuki“. Zdawało się niektórym, że ta „sztuka żydowska“ broni żydów przeciw chrześcianom, albo judaizmu przeciw chry-

styanizmowi. Tak jednak nie jest. Autor miał może najpostępowwsze zamiary, ale wykonanie nie powiodło mu się wcale; przeciwnie, tło społeczno-obyczajowe tej sztuki, tylko na złe, stronie pokrzywdzonej wyjść musi w uczucie widza. Nienawiść bowiem i przesąd, tkwiące mimowolnie w pojęciach ogółu a zwłaszcza ludu, pozostawił autor bez wytłumaczenia, a nawet szersze jeszcze pole zostawiając dalszym przesądom. Niema tu nigdzie ani walki z przesądami, ani żadnego zwycięstwa moralnego. Debora ma być tą przedstawicielką idei żydowskiej? Co robi? włóczy się i obozuje w lesie, w którym przypadkowo poznawszy młodego wieśniaka Józefa, zakochuje się w nim z wzajemnością. Bogaty ojciec Józefa, Wawrzyniec, przeklina syna za to, że śmiał pokochać żydówkę, córę znienawidzonego plemienia. Wieśniacy również, podżegnięci przez bakałarza, gotowi przelać krew włóczęgów. Aż dotąd chwalić autora; ukazuje bowiem przesąd w całej jego ohydzie; lecz nikt tego ludu nie powstrzymuje w ślepym jego zapędzie; zaledwie pastor protestancki, w imię miłości łączącej ludzkość całą, a nie w imię najprostszej miłości bliźniego. Inni, najlepsi jak Joasia, narzeczona Józefa od dawna, Wawrzyniec, trochę tylko spokojniejsi. Debora zaś, nie wyrzeka ani jednego słowa za swą prześladowaną rasą, lub choćby za swemi prawami jako człowieka, lub za swem cierpieniem zasługującym na litość; przeciwnie, w chwili gdy pastor kładzie nad nią znak krzyża ś-go, cofa się ze wzdrygnięciem jak Mefistofeles w Fauscie uciekający przed krzyżem; i raz tylko jeden, w scenie na cmentarzu, żali się mówiąc: „wszak i mnie zrodził człowiek!“ A ujrawszy kochanka przed ołtarzem z inną, wzywa Jehowy, *boga zemsty*, obiecując Mu powrócić do przepisów plemiennych, nakazujących oddać „ząb za ząb, oko za oko“. Ta jedna scena odsunie od zawsze siebie żydówi chrześcian daleko, i wcale niepotrzebnie bał się prezes burgteatru powtarzania tej sztuki, którą z góry nazwał: „żydowską“. Z tej zemsty żydówki i jej przekleństw. chrześcianie uprzedzeni nabierają przekonania, że żydzi niepoprawni są w swęj nienawiści i w swęj odrębności, odsuwającej się z umysłu od ludów, z którymi razem mieszkają. O tyle zaś jest tryumfu dla wiary chrześciańskiej, że Debora skruszona miłością chrześciańską, miłością przebaczenia, odchodzi pogodzona i przebacząca.

Autor nie dowiódł niczego, ani tryumfu jednéj wiary nad drugą, ani tego, że lepszy jest chrześcianin od żyda, lub żyd od chrześcianina. Zresztą rozstrzyganie sporów religijnych ze sceny, zawsze się nam wydawało rzeczą dziwną, niepraktyczną, a poczęści i nieprzyzwoitą; scena powinna się zajmować stroną obyczajową która w kwestyi żydowskiej, pierwsze jak wszędzie tak i u nas, zajmuje miejsce. Wykorzenić przesąd, leżący w obyczajach a płynący z pożycia wspólnego, z tradycyi przekazywanęj z ojca na syna, ze zwyczaju wreszcie bezwiednego a lekkomyślnego; zbliżyć do siebie członków jednéj ludzkiej rodziny, zmuszonych nadto żyć w jednym

kraju i we wspólnej doli, byłoby i będzie zawsze zasługą myślących autorów. U nas kwestya żydowska jest mimo wszelkich nowatorskich deklamacyj nierozstrzygniętą, bo trzeba do niej przedewszystkiem wzajemnych, otwartych i szczerých ustępstw. Inaczej się dzieje z nią za granicą, gdzie spory religijne w ostatnich czasach, ujęte w prawicę sterowników państwa, rozgorzały tém srożej. Na pochwałę naszą atoli powiedzieć wypada, że wzajemne wewnętrzne scieranie się, przybrało już daleko łagodniejszy charakter, że nawet na polu działalności publicznej, siły różnoplemienne występują coraz zgodniej.

Debora przeto społecznego znaczenia nie ma dla nas wcale, mogłaby mieć tylko artystyczne. A i to nie wielkie; w niektórych tylko scenach estetyczne, w innych słabe lub naciągane, czego główną przyczyną brak charakterów i intryga sama, wsparta na błahym związku; stary Wawrzyniec albowiem każe dać żydówce pieniądze, jako dowód dla syna, że żydówka za pieniądze sprzeda miłość.

Wysłaniec daje pieniądze nie Deborze ale Esterze, i Józef, ów młodzieniec tak zakochany szalenie i bez pamięci, odrazu uwierzył w podłość najhanniejszą swój kochanki, i porzuca ją zelżywszy na pożegnanie. Na takiej omyłce opierają się dalsze losy osób w dramacie; w nie, temu kto zna życie, nikt nie uwierzy. W „Intrydze i miłości,” także wielkie znaczenie ma pomyłka a raczej błędne mniemanie, ale Ferdynand wierzy dla tego w wiarołomstwo Luizy, bo ona sama związana przysięgą uroczystą, nie wyznać nie chce, i przez to w błędzie go utwierdza. Tu logika ścisła, i dla tego niezmiernie tragiczna. Sama zaś postać Debory, złożona z mgły i szumnych frazesów, a jeszcze wpośród innych najlepšíj nakreślona.

Mozenthal dał dowody niemałe zdolności do obrazów ludowych, ale nie w tej sztuce, lecz w „Sonnenwendhof,” (dramacie granym i na scenach polskich) i w „Wójt z Altenbüren.”

Seryg dramatów, których w porównaniu z komedjami tłumaczonymi daleko większa liczba, zakończymy wzmianką o dwóch obrazkach dramatycznych zatytułowanych „Zubożały pan,” i „Robotnicy.” Pierwszy roboty spółkowej pp. Dumanoir i Lafargue, wprowadził w zdumienie publiczność, niepojmującą dla czego dyrekcya takie lichoty wystawia. Chodzi tu o margrabiego, mającego powabną córkę, a zakrywającego długie swe i nędzę przed światem i przed nią samą, aż się rzecz wydaje, gdy się oboje zetknęli w obcym domu, on jako strojący fortepiany, córka jako szwaczka. Rzecz ciągnie się przez śmiertelnie długie dwa akty, a nieodznaczająca się nawet pomysłem nowym, bo Scribe napisał przed laty już, tego rodzaju sztukę bardzo dobrą p. t. *Czarodziejskie ręce*. Drugi: *Robotnicy*, w jednym akcie przez Manuela, wyciska łączy płci pięknej i brzydkiej, co przedewszystkiem przypisać należy doskonałej grze artystów, zwłaszcza p. Krolikowskiego, a nie samemu utworowi, jakkolwiek autor miał cel

wyższy, moralny i patryotyczny, w przeprowadzeniu swęj idei. Zbywa przedewszystkiē tēj sztuce na prawdzie, bo robotnicy, tacy jak tutaj, w niczēm niepodobni do rzeczywistych, nawet najlepiej utresowanych spōtkami Delitschowskiemi. Tak jak tu osoby myślā, czujā i działajā, sādzićby trzeba, że to ludzie wysoko ukształceni i inteligentni i wielce moralni; jeżeli takimi sā w życiu, na cōż pisać dramat dla „robotników,“? bo taki widocznie miał poeta zamiar. Chcąc podnieść robotników z moralnego upadku, nauczyć ich żyć i pracować, wyleczyć z przesādōw, odzwyczaić od nałogōw, trzeba przedewszystkiēm umieć przemówić ich językiem i do ich usposobień, i odwzorować obrazek, wyrwany żywcem z ich sfery; inaczēj będzie to bardzo udana poetyczna robota i nie wiēcēj. Autor „Robotników“ pragnął ukazać ohydę pijaństwa, niszcżącego robotników paryzkich, fizycznie i moralnie, podkopujācego byt rodzin, i całēgo spōłeczństwa francuzkiego, czego dowodōw mieliśmy dosyć w roku 1871, ale posłużył się środkami zbyt nieprzystępnemi pojęciu robotnika. Jakże nieprawdopodobnie wydaje się kobiēta z gminu, robotnica, która uderzona nożem przez pijanego mężā, zbiegłego po tym czynie, przez lat dwadzieścia trwa w nieprzebrāganuj nienawiści, nawet wtedy gdy skruszony i poprawiony, mąż korzy się u jēj nōg, nawet wtedy, gdy postawiwszy miēdzy sobā a nim, dwudziestoletniego syna, mówi: „wybieraj, bo oto ojciec niegodziwy, który cię porzucił, a jam cię wychowała, jam dla ciebie żyła i cierpiała,“ nawet wtedy, gdy syn prosi o litość nad znędzniałym ojcem. Zemsta taka nienaturalna u kobiēty prostēj, nie rządżācej się wyrafinowanemi uczuciami, niemajācej czasu i swobody piastować lata całē zemstę w swych piersiach niby jaka romansowa heroina. Zdarzajā się wyjątki mściwości zawziętēj, ale w takim razie nie mogā być przedmiotem ogōlnym, zwłazszcza w klasie robotników.

Cōż nam z tego, że poeta pięknym językiem, pełnym głębszych myśli, ma na celu poprawę jednēj z warstw spōłecznych, kiedy ani ten język ani te myśli nieprzystępne, dla nich włāśnie. Obrazek taki powinien być mieć cechę ludowā, obrazowā, język odpowiedni i przykład stosowniejszy. Wszakże nałōg pijaństwa, można było przedstawić daleko trafniēj i naturalniejszā drogā; dla tego najpiękniejsze słowa opowiadania poprawionego Morina, ginā bez śladu, co najwiēcēj zdolne pōłechtać ucho akademika. Jaka szkoda, że przez niedobōr stosownych środkōw, cel wzniosły został chybiony! Potrzeba nieba tym biēdakom, którzy jak powiada W. Hugo, palili gmachy swych przodkōw i rabowali, „bo nie umieli czytać,“ ale wskazać do niego gościnniec prosty, w tēm sztuka najwiēcza.

Na tēm kończymy sprawozdanie z dramatōw nieoryginalnych, w których jak się czytelnik przekonać może, dobōr o wiele staranniejszy od lat poprzednich, choć jeszcze nie zadawalniający, ani nie świadcżący w niczēm o jakimbādz systemacie. O tych kilku komejdijkach i farsach przyswojonych naszēj scenie, nie wiele da się po-

wiedzieć. Jużto o takim „Robercie i Bertrandzie“ krotochwili ze śpiewami i wszelkimi szykanami, przeróbce z baletu, zamilczeć wolę; nie przynosi ona zaszczytu ani kierownictwu artystycznemu, ani tłumaczowi panu Anczycowi, którego nikt do takiej pracy nie zmuszał. O „Trzech kapeluszach“ komedyi 3 aktowej z francuzkiego, nie wiele więcej godnego uwagi powiedzieć warto. Ani dowcipu, ani sensu, ani treści jakiegobądź: szkoda tylko gry artystów i poniewierania się p. Żółkowskiego. Dobrze to zaledwie dla teatrzyków ogródkowych, głównie dla tego że pośród wrzawy kufelkowej, słyszy się zaledwo piąte przez dziesiąte. „Za i przeciw,“ bluetka O. Feuilleta, dobra jako przekąska przed przyzwoitym obiadem, rozgrywająca się między mężem i żoną, którzy sami nie wiedzą czy się kochać czy nudzić, nie zasługuje na obszerniejszą wzmiankę. Na ostatku „Broń niewieścia“ komedyja jedno-aktowa Benedixa, ani zła ani dobra, z myślą powszednią, dyalogiem gładkim, konwersacyjnym, z intrygą ciężką jak bawar niemiecki, a bez elegancyi, której niemieccy autorowie tak chętnie zazdroszą wyszydzanym Francuzom. Cała zasługa artystów, gdy z tych krzemieni iskrę wykrzesać zdołni. I wykrzesali ją z tej sztuki, bo byli to pan Rapacki i panna Popiel.

Nareszcie „Lady Tartuffe“ komedyja pięcioaktowa pani de Girardin. Autorka opierając się na niezapomnianym typie Molierowskim, poszukała wśród płci swojej, i wybrała świętoszka niby religijnego, w osobie panny Wirginii de Blossac. Mężczyźni Tartuffy obrażając się w szerszym świecie wyrządzają szkody dotkliwsze; lecz Niemniej i kobiety świętoszki, których w każdym społeczeństwie dosyć, umieją się wkraść w każde ognisko rodzinne, i podkopać je dla swych zamiarów. Zazwyczaj podwalinę takich charakterów, stanowi błąd popełniony przed laty, życie skandaliczne i wiążące się z niem rozmaitego gatunku intrygi, w posłudze jakiegóś kokieteryi, dopóki nagłe odkrycie nie zmusiło do nagłej zmiany widowni. W nowém zaś miejscu ostrożniejsze już i nauczone doświadczeniem, pokrywają zręcznie niewygasłe namiętności i dwójznacznej donośności czyny, i dlatego przybierają maskę hipokryzyi. Pani de Girardin wzięwszy myśl z wybornego tematu, zapomniała jednak o tém, że Tartuffe Molierowski należy do charakterów najgłębiej skreślonych ze wszystkich, jakie się dotąd ukazały na scenie, że przedstawia obłudnika, jego duszę, schwytaną na gorącym uczynku, bo on sam *nie odslania się nigdzie, nie powierza nikomu*. W tém największa chluba Moliera, że Tartuffe nikomu nigdy się nie zwierza, a przecież demaskuje się mimowoli w czynach, w akcyi. Przez cztery akty, widz śmieje się ciągle mimo brzydoty charakteru świętoszka, w piątym dopiero staje się jego sędzią, poznawszy najskrytsze jego pobudki i cele. Przeciwnie Lady Tartuffe, przybraną maskę religijnęj dewocyi, zrzuca czempredzją, i już przechodzi w intrygowanie brudne i zwykłe, już wprost w szal erotyczny dla pana de Renneville, którego kocha bez wzajem-

mności. A ileż się nie naspowiada, to sama przed sobą w długich monologach, to przed panem de Tourbieres, jój niewolniczym powiernikiem! Sztuka cała straciła przeto na ciekawości i stała się rzeczywiście nudną, o czém wreszcie wiedzieć można było jeszcze przed kilkunastu laty, gdy poraz piérwszy przedstawiono ją na scenie. Wreszcie, nawet w téj niekonsekwencyi, jeszcze ją autorka nie wykończyła jak należy, ale tylko zlekka szkicowała, tak że po skończeniu komedyi nie wiemy co ona chciała naprawdę, a czego nie chciała. Inne osoby téj komedyi zakrawają na marynetki, a raczój są niemi, tak iż ich nawet dobra gra artystów, wyciągnąć na słońce nie była w stanie.

Dyrckcyja pożałowała nam w tym roku z którego zdajemy sprawę, dobrój komedyi tłumaczonej, niech nam to wynagrodzi oryginalnemi a przebaczymy jój chętnie. Gdy znowu przed naszemi czytelnikami przyjdzie nam porachować się z działalnością sceny tutejszój, daj Boże iżbyśmy mogli powiedzieć, że ją widzimy zbliżającą się coraz bardziej ku owym wyżynom sztuki, na których mieści się już prawdziwa zasługa. Tego życzymy serdecznie!

Ed. Lubowski.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Uwagi nad rozprawką pana Kryńskiego p. t. Kwestya językowa etc. ¹⁾ przez Fab. Ferd. Sławińskiego.

Wiadomo powszechnie, że zasady pisowni polskiej zostały ustalone przez deputacyą ortograficzną b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk i w roku 1830 w dziele pod tytułem: „Wnioski i rozprawy o ortografii polskiej“ ogółowi podane, a jakkolwiek z powodu okoliczności przy-
padkowych wnioski te nie były przez samo Towarzystwo formalnie

¹⁾ Kwestya językowa: O bezzasadném odróżnianiu rodzaju nijakiego od męzkiego w deklinacyi przmiotników. Wydanie redakcyi „Niwy.“ Warszawa 1873 r. w 8-cc str. 60.

zatwierdzone, to jednak nabyły znaczenia uchwały pod względem naukowym prawomocnej, bo opartej na wyczerpującej dyskusji, na starannem zbadaniu materiału języka przez najznakomitsze w owym czasie powagi filologiczne. Z biegiem czasu atoli ukazywały się dzieła teoretyczne Muczkowskiego, Żochowskiego, Łazowskiego etc., które w pojedynczych punktach podważały zasady deputacyi, pisarze zaś i niektóre czasopisma pośpiesznie wprowadzali wnioski teoretyków do praktyki. Wyrodziła się ztąd nader dla języka niebezpieczna anarchia, która ogarnęła szerokie koła publiczności. Nareszcie z żądaniem reform w ortografii wystąpili mężowie wielkich zasług naukowych, badający mowę podług rozleglejszych i udoskonalonych metod filologicznych. W roku zeszłym postępując za prądem teorii, czasopismo „Niwa“ w Nr. 17 oświadczyła niespodzianie, że wprowadza u siebie poprawki w pisowni, mianowicie: prócz dawniej już dokonanej zamiany zakończenia rzeczowników cudzoziemskich spolszczonych *ya, ia* lub *ja* na *yja, ijja*, oraz nieodróżniania rodzajów w przypadku 6-ym liczby mnogiej; odrzuciła „z dniem dzisiejszym“ (20 sierpnia 1 września 1872 roku) „bezzasadne odróżnianie rodzaju nijakiego od męskiego w przypadku 6-ym i 7-ym w deklinacji przymiotników, kończąc przypadki te zawsze na *ym, im*: *dobrym* bratem, w *dobrym* bracie, *dobrym* słowem, w *dobrym* słowie“. Nadto opuściła *ł* w imiesłowach dokonanych: *zjadwszy, wyszedwszy* i t. d. Usprawiedliwić ten czyn przez rozumowanie „Niwa“ przyrzekła w swoim czasie, jakoż w numerach 18—24 ogłosiła rozprawę p. Ad. Ant. Kryńskiego „O bezzasadnym odróżnianiu rodzaju nijakiego od męskiego w deklinacji przymiotników“, która obecnie ukazała się w osobnej odbitce. Co do innych artykułów reformy, wyjaśnienie tych w szpaltach rzeczonoego pisma dotąd nie nastąpiło. Za przykładem „Niwy“ poszedł od nowego 1873 r. „Opiekun domowy“, drogą faktu, nie uprzedzając nawet swoich czytelników, a liczne odbitki i wydania obu tych pism są drukowane podług zasad, ogłoszonych w powyższóm oświadczeniu z dnia 20 sierpnia 1 września 1872 roku.

Biblioteka Warszawska, bacząc na to: 1) że w rzeczach języka który stanowi najdroższą własność klas wszystkich, od mędrców do prostaczków, zasady mowy i pisowni mogą być oznaczone tylko po najogólniejszóm i wszechstronnóm zbadaniu narzeczy ludowych oraz pomników historycznych, co w obecnej chwili dokonaniem jeszcze nie zostało, 2) że wnioski pojedynczych, chociażby najznakomitszych badaczy nie mają mocy dla ogółu obowiązującej, dopóki nie przejdą przez wyczerpującą dyskusję naukową i nie będą wyrażone w uchwale kompetentnego zgromadzenia naukowego, 3) że do pośpiechu nie nas nie nagli, ponieważ dotychczas żaden naród europejski nie posiada zupełnie racjonalnej, teoretycznie usprawiedliwionej pisowni: zachowywała zawsze i nadal zachowywać będzie pisownią deputacyi ortograficznej b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Dla ostrzeżenia zaś, o ile zbyt szybki pośpiech w takich razach może przynieść szkodę samęj

nawet teoryi, zapraszamy czytelników naszych do odczytania zamieszczonych niżej uwag nad wspomnianą już pracą p. Kryńskiego, skreślonych przez p. Fab. Ferdynanda Sławińskiego, którego wnioski są z zasadami redakcyi zgodne, a niezmiernie cierpliwość, wytrwałość i rozległość wiedzy w badaniach językowych daje rękojmię gruntowności.

W rozprawie niniejszej chcę zaprotestować: I, przeciwko wyrażeniu ogólniejszemu „bezasadne odróżnianie“ II, przeciwko ograniczającemu je dodatkowi: „rodzaju nijakiego od męzkiego w deklinacyi przymiotników“. Obok tego będę się starał wykazać zasadność odróżniania rodzajów na całym obszarze języka polskiego, tudzież potrzebę odróżniania rodzajów w deklinacyi przymiotników.

I.

Odróżniamy wyraźnie rodzaje przymiotników końcówkami w 1-ym 4-ym i 5-ym ¹⁾ przypadkach liczby pojedynczej i mnogiej, np. dobry, dobra, dobre; dobrzy, dobre. Ten fakt niepodlega żadnym wątpliwościom, wszyscy na to się zgadzamy; zatem odróżnianie rodzajów nie jest mrzonką, lub wyjątkowem jakimś zjawiskiem. Skoro ten fakt istnieje w języku, niezawodnie ma przyczynę swojego bytu głębszą, niż *wyjątkowe użycie*. Przyczyna tego odróżniania rodzajów musi tkwić w duchu języka polskiego, w jego filozofii i inaczej być nie może. Zasada odróżniania rodzajów polega na prawach płci, w samej przyrodzie istniejących, o czém świadczy historia języka polskiego już w najdawniejszych pomnikach piśmiennych. Początek odróżniania rodzajów należy do przedhistorycznych czasów mowy polskiej. Dlaczego zaś naród nie przez wszystkie przypadki przeprowadził zasadę odróżniania rodzajów? Odpowiedź na to prosta: naród zdziałał tylko tyle z biegiem wieków, ile mu starczyło ducha twórczego w obec nieprzyjaznych okoliczności i więcej nad to wymagać nie możemy. Zostawił nam wzorek odróżniania w przypadku 2-m liczby pojedynczej w wyrazie *tygodnia*. A czego naród nie dokonał, znać następnym wiekom pozostało do wykończenia wspaniałej budowy języka.

P. Kryński pisze na 8 str.: „Różnica pomiędzy rodzajami męzkim i nijakim w indoeuropejskich językach uwydatniona jest tylko w mianowniku (p. 1-ym) i bierniku (p. 4-ym); inne przypadki téj różnicy nie

¹⁾ Dla zwięzłości wykładu zamieniono nazwy przypadków: mianownik, dopełniacz, celownik, biernik, wołacz, narzędnik, miejscownik, numerami: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7-my.

mają tak w rzeczownikach jak i przymiotnikach¹⁾. To twierdzenie prostuje, gdyż właśnie różnicę pomiędzy rodzajami mają przypadki 2 i 3 l. pojed. oraz 2 l. mnogiej; bo proszę, czyż mamy w języku polskim choćby jeden przykład wśród rzeszy rzeczowników, któryby w przypadku 2-m nijakiego rodzaju liczby pojedynczej miał cechowę znamię *u*, jak to widzimy w męzkim rodzaju téjże liczby, np. dębu, stołu, Bugu, i t. d. Również przypadek 3-ci męzkiego rodzaju liczby pojedynczej ma *owi*, przypadek 2-gi liczby mnogiej *ów*, czego niema rodzaj nijaki, chyba w anomaljach. Nadto autor w przypisku pominął przypadek 5-ty. *Bezzasadne odróżnianie* rodzajów, możnaby sobie objaśnić *zasadą ich nieodróżniania*, ale to się sprzeciwia odróżnianiu niektórych przypadków. Ztądby wynikły dwie zasady z sobą sprzeczne: 1) *zasada nieodróżniania rodzajów* (autor użył na str. 14) i 2) *zasada odróżniania rodzajów*. Atoli w języku może mieć miejsce jedna zasada, nie zaś dwie w tym względzie. Ktoraż z tych zasad wypadnie odrzucić: czy *bezzasadne* odróżnianie rodzajów, czy *zasadnicze* odróżnianie?

P. Kryński nie wyświecił zasady koniecznej z ducha języka polskiego pochodzącej, całą przestrzeń odmian obejmującej; nie udowodnił proponowanej przez siebie *zasady nieodróżniania*, a tymczasem występuje z surowym oskarżeniem przeciwko ks. Koczyńskiemu, wielkiemu miłośnikowi i języka polskiego badaczowi, który miał głębokie poczucie *zasady odróżniania* rodzajów w przymiotnikach. Owocem tego poczucia było odróżnienie w przypadku 6-ym i 7-ym liczby pojedynczej, oraz w przypadku 6-ym liczby mnogiej rodzaju nijakiego od męzkiego, co wynikać musiało z zasady odróżniania w przymiotnikach tychże rodzajów w przypadkach 1, 4 i 5-ym liczby pojedynczej i odróżniania wyraźnego rodzaju żeńskiego od męzkiego. Ks. Koczyński w języku znalazł na przykładki: 6-ty i 7-my liczby pojedynczej, także na przypadek 6-ty liczby mnogiej różne końcówki charakteryzujące się samogłoskami i zużytkował je wybornie na korzyść języka. Dlaczego zaś innych przypadków o jednostajnych końcówkach nie odróżnił? Odpowiedź na to: bo nie odróżnił, bo tu był kres jego twórczej działalności na polu badań mowy ojczystej. Nic dziwnego że to odróżnienie rodzaju nijakiego od męzkiego w rzekomych przypadkach przyjął ogół piszący i do dzisiaj-szego dnia jest on wiernym przestrzegaczem tego przepisu.

Zasada odróżniania rodzajów objawia się z wybitną siłą na całym przestrzeni języka, nie zaś w zacieśnioném jój stosowaniu do pewnych przypadków lub innych szczegółików, jakimi są: spółniki lub przysłówki.

¹⁾ Może nie od rzeczy tu będzie nadmienić, że są takie języki w gromadzie indoeuropejskiej, które zgoła nie mają oddzielnego narzędnika i miejscownika, jak np. niemiecki, francuzki; przeto odwoływać się do rezultatów nauki tychże języków nie na wiele nam się przyda.

Zasada odróżniania rodzajów odcisnęła swoje znamię nawet na słowie w czasie przeszłym, gdy mówimy i piszemy: czytałem, czytałam, czytałem, czytałaś, czytałaś, czytałaś, czytałaś, czytała, czytała, czytało, czytałyśmy, czytałyście, czytałyście, czytali, czytały.

Z tego wzorca powszechnego służącego dla wszystkich słów polskich bez wyjątku, widzimy wyraziste znamiona różne nie tylko dla osób, liczb, ale i dla rodzajów, a mianowicie:

a) W pierwszej osobie *m*, w 2-jej *s*, w 3-jej *t* zatracone; w liczbie zaś mnogiej 1-a cechuje się spółgłoskami *sm*, 2-ga *śc*, 3-cia *nt* (w czasie teraźniejszym *n* przeszło w brzmienie nosowe).

Te cechowce spółgłoski nie mają wspólnego z rodzajami, owszem dla wszystkich są te same.

b) Liczba pojedyncza przez wszystkie osoby charakteryzuje się brakiem jakiegś samogłoski po cechowych spółgłoskach, liczba zaś mnoga przybiera samogłoskę po spółgłoskach cechowych: dla 1-jej osoby *y*, dla 2-jej *ie*, w 3-jej znamię liczby pada na cechę rodzajów. Nadto liczba mnoga w rodzaju męzkim znajduje cechę w zmiękczonej spółgłosce *ł*, która powstała z *l*, będącej znamieniem czasu przeszłego.

c) Ale obok tego widzimy jeszcze, iż rodzaje wyróżniły się spółkowymi samogłoskami, które łączą cechowce spółgłoski osób z tematem czasu przeszłego *czytał, czytała*: 1-jej i 2-jej osoby liczby pojedynczej samogłoska *e* jest cechą rodzaju męskiego, *a* żeńskiego, *o* nijakiego; w 3-jej osobie liczby pojedynczej *e* odpadło jako zbyteczne, rodzaje zaś żeński i nijaki zachowały swoje cechy dwu pierwszych osób. W tém odtrąceniu samogłoski jak w powyższym spółgłosce, należy upatrywać wyższe cele ekonomii językowej. We wszystkich osobach liczby mnogiej rodzaju męskiego jest samogłoska *i* tudzież zmiękczonej cechowca spółgłoska czasu przeszłego *ł* na *l*. Rodzaje zaś żeński i nijaki liczby mnogiej mają jedną wspólną samogłoskę *y*. Należy tu zwrócić uwagę czytelnika na odróżnienie rodzaju nijakiego od męskiego.

Podobnie wpływy sił życia odwzorowały zasadę odróżniania rodzajów w rzeczownikach i przymiotnikach, co nie powinno odtąd ulegać żadnej wątpliwości. Tu tylko nadmieniam, bo rozwinięcie ich należy do szczególnych rozpraw monograficznych, które mam zamiar ogłosić drukiem, jeżeli życia mnie na to wystarczy.

Rozpatrzmy się teraz w deklinacjach. Gdyby wyłącznie przypadki grały główną rolę w deklinacjach, mielibyśmy siedm' tylko końcówek na siedm' przypadków i nic więcej. W rzeczy samej tak nie jest, bo, jak wiadomo, mamy nie tylko liczbę pojedynczą, lecz i mnogą, także szczytki liczby podwójnej, o której nasi gramatycy nie zapominają, np. *wykonano się ręką, rękoma, rękami*. Tu względ przypadku zachodzi ten sam w trzech razach, ale treść ilościowa jest różna, bo mamy inno odmiany przez też przypadki rzeczowników, inne przymiotników, inne liczbowników, inne zaimków zwłaszcza *ja, ty, siebie, kto? co?* Na względy przypadków wywarły swój potężny i stanowczy wpływ rozmaite siły życia, które bliżej określają ze swój strony duch języka

polskiego. Temi siłami życia są: a) pewne części mowy, b) rodzaje, c) liczby, d) fonetyzm zależący od warunków łączenia końcówek z pierwotnikami czyli tematami. Nie wdaję się w szczegóły, bo te leżą po za obrębem niniejszej pogadanki językowej. Niech czytelnik zechce na tém miejscu przypomnieć sobie wszelkie końcówki: nasamprzód rzeczowników, następnie przymiotników.

Mamy dla dwu liczb pojedynczej i mnogiej 14 przypadków, zatem powinno być 14 różnych końcówek do wyrażenia liczb w deklinacji; nadto mamy trzy rodzaje, zatem końcówek powinno być 42, które jednocześnie wyrażają względy przypadków, liczb, rodzajów, pewnych części mowy i fonetyzmu.

Z 42-ch końcówek przeznaczonych dla rzeczowników mamy odróżnionych 19 w liczbie pojedynczej na 7 przypadków, nieodróżnionych zaś pozostaje dwie, co czyni razem 21; w liczbie mnogiej mamy odróżnionych 15 wedle przypadków, nieodróżnionych zaś 6. W ogóle odróżnionych zakończeń mamy 34, nieodróżnionych zaś 8. Ten stosunek wykrywa, że zasadą odróżniania przypadków oprócz innych względów są rodzaje.

Z 42-ch końcówek rzeczownikowych wyrażających względy rodzajów, mamy 8 końcówek nierozwiniętych należycie, co zasady odróżniania rodzajów nie obala.

Jeżeli zaś będziemy mieli na względzie przypadki, w których rodzaje są odróżniane i nie odróżniane, to stosunek ich wyrazi się jak 10 do 4.

Z 42 końcówek przymiotnikowych podług księdza Kopczyńskiego będziemy mieli odróżnionych 30, nieodróżnionych zaś 12; podług p. Kryńskiego odróżnionych 27, nieodróżnionych 15. W każdym razie przewyżka zostaje po stronie końcówek odróżnionych i reforma przez p. Kryńskiego wnoszona jeszcze nie wystarczy do zupełnego zatarcia panującej w języku różnicy rodzajów, nie da mu bezpiecznej podstawy do ugruntowania *zasady nieodróżniania*. Wedle przypadków, jeżeli choć w dwu rodzajach zachodzą różnice, stosunek ks. Kopczyńskiego odróżnionych do nieodróżnionych będzie jak 11 do 3. Ztąd wniesić trzeba, że *zasada* odróżniania rodzajów w polskim języku jest naukową, usuwającą *bezzasadne* odróżnianie rodzajów, jako twierdzenie nienaukowe, bo niewypływające z ducha języka. Więc rodzaje są jedną z sił życia języka.

Gdyby rodzajów w deklinacjach nieodróżniano, wtenczasbyśmy nie mieli tego terminu w nauce języka. Skoro zaś gramatyka rozwodzi się szeroko o rodzajach; skoro wskazuje ich znaczenie zasadnicze, ich różnice, ich ilość: powinna być tego głębsza przyczyna. Zatem zasada odróżniania przypadków musi być odmienną od zasady odróżniania rodzajów: męskiego, żeńskiego i nijakiego.

Nie przezywajmy wyjątkiem tego, co znamionuje zasadę; nie-apatrujemy *bezzasadności* tam, gdzie ona niema miejsca, gdzie twórczość przodków nie mogła wszechwładnie ogarnąć całości: język żyje, wykończenie jego form należy do czasów przyszłych.

II.

Od zasady ogólnej przejdźmy teraz do punktu szczegółowego: do odróżniania rodzaju nijakiego od męskiego w 6-ym i 7-ym przypadkach liczby pojedynczej, oraz w przypadku 6-ym liczby mnogiej. Stanowi to część morfologiczną rozprawki p. Kryńskiego.

Porównajmy najprzód końcówki (przymiotników będące przedmiotem sporu):

Podług ks. Kopczyńskiego:

<i>liczba pojedyncza</i>		<i>liczba mnoga</i>	
rodzaj męzki	rodzaj nijaki	rodzaj męzki	rodzaj nijaki
6.-ym (im)	ém	6.-ymi (imi)	émi
7.-ym (im)	ém		

Podług p. Kryńskiego:

<i>liczba pojedyncza</i>	<i>liczba mnoga</i>
na rodzaj męzki i nijaki	na wszystkie rodzaje
6. ym (im)	emi
7. ym (im)	

Z tablic tych widzimy, że spółgłoska *m* w liczbie pojedynczej i zgłoska *mi* w liczbie mnogiej są stałe niezmiennie w obu wzorach; co większa są jednakowe dla rzeczowników, przymiotników i dla pewnych zaimków; są niezmiennie przez wszystkie wieki w historii języka polskiego.

Spółgłoska *m* na pierwszy rzut oka zdaje się być znamieniem dwu na raz przypadków 6-go i 7-go; ale wiadomo, że przypadek 7-my używa się z przyinkami: *na, o, po, przy, w*, których nie może mieć przed sobą przypadek 6-y. Cechą więc przypadku 6-go liczby pojedynczej dla obu rodzajów jest *m*, dla *miejszownika* nadto jeden z przyinków. W zgłosce *mi* znajdujemy *m'* miękkie, cechę *narzędnika*, *i* zaś znamionuje jego liczbę mnogą.

Cała więc kwestya rozprawki względem końcówek sprowadza się do różnicy samogłosek *y* (*i*), *é* lub *e*, które są istotną *cechą rodzajową*, a które podniósł ks. Szylarski, poparł je ks. Kopczyński zasadniczym prawidłem, a ogół piszący dał swoją sankcyą. Zatem rozprawka pana Kryńskiego jak na osi obraca się na zamianie samogłosek *é* na *y* (*i*) w liczbie pojedynczej, oraz *y* (*i*) na *e* w liczbie mnogiej.

Nie wdaję się tutaj w ściśle naukowe wywody zamian tych samogłosek, powiorn ogólnikowo, że te zamiany są zwyczajne w języku polskim, które w blizkim czasie udowodnię w rozprawie osobnej: *O systemie zamian głosek w polskim języku.*

Roztrząsnę następujące punkty, dotyczące się znaczenia i zamian samogłosek wyżej przytoczonych:

1. Panu Kryńskiemu samogłoski cienkie *ię, ie*, ¹⁾ są nieznanne; wyłącznie rozprawia autor o samogłoskach grubych *é* lub *e*. Ta nie wiadomość staje na zawadzie przedsięwziętej reformie. Ztąd nieuchronny błąd musiał nastąpić w zamianach samogłosek. Dla łatwiejszego uwidocznienia kombinacji zamian samogłosek, wchodzących w niniejszą pogadankę, podaję je w następującym porządku:

<i>grube</i>	<i>cienkie</i>
e	ie
é	ié
y	i

Zamiany samogłosek grubych na cienkie odpowiednie i na odwrót, także grubych na grubo, lub cienkich na cienkie, są zwyczajne i obfite w polskim języku. Ale zamiany krzyżowane tych samogłosek, np. *e* lub *é* na *i*, także *ie* lub *ié* na *y* są rzadkie. Błędnie przeto p. Kryński pisze *em* zamienia się na *im*, także *imi* na *emi*. Upewniam czytelnika, że żadnego przykładu między przymiotnikami nie znajdzie się w polskim języku.

2. Pan Kryński nie wypowiedział stanowczo, co trzyma o samogłosce ścieśnionej *é*, to jest; jak ona brzmi? Na str. 9 zręcznie tę kwestyą uchylił, mówiąc: „Jest jeszcze drugi wzgląd nie mniej ważny, czysto fonetyczny, niedozwalający pochylania samogłoski *e* w zakończeniu *em*“. Ztąd poszło, że autor *ém* zamienił na *em* czyli *é* na *e*. Następnie bije przeciw *em*, czyli przeciw *e*, a wyprowadza wnioski „ze stanowiska dzisiejszych praw głosowni języka polskiego“ (8 str.). Czy konsekwentnie w tym razie autor sobie poradził?

Najprzód, nie mamy dotąd dzieła, w którémby *głosownia języka polskiego* w zadawalający sposób była opracowana; autor jój nie napisał; odnosić zaś do jakiejś idealnej, to nie rzecz, zwłaszcza w tym razie, gdy idzie o reformę stanowczą przypadków. Nie mamy dotąd dzieła, w którémby były krytycznie opracowane brzmienia pojedyncze, przez nasz lud wygłaszane w różnych miejscowościach. Wincenty Pol w dziełku: *Rzecz o dyalektach mowy polskiej*, Kraków 1869 roku na str. 16, 17, pisze o różnym wymawianiu tychże samych wyrazów i przytacza przykłady. Ja ze swojej strony przytoczę wyraz *tęż*, który w ustach Warszawianek często brzmi jak *tyż*. Rzeczą byłoby arcy-pożądaną, aby ktoś zbadał brzmienia samogłosek, przedewszystkiém przez usta ludu wygłaszane na całej przestrzeni zgłosek. W rozprawce pana Kryńskiego wyczytałem odwoływanie się do „*calego narodu*“ na

¹⁾ Ob. O prawach budowy zgłosek przez Fab. Ford. Sławińskiego, §§ 24 i 25.

str. 20, 25, 26, 45, 46, 55. To odwoływanie się uważam dziś za rzecz bardzo wątpliwą, bo nie cały naród wymawia czysto, np. głoski *cz, dź, rz, sz, ź*, bo wymowa jego nie jest umiejętnie zbadaną. Jako próbkę przytoczę z idealnej głosowni autora następujące *prawo*, bo tak nazywa na str. 17, za pomocą którego objaśnia zamianę *y (i)* na *e* w narzędniku liczby mnogiej końcówki *emi*: „Istnienie jej objaśnia się podobnym zupełnie sposobem, jak powstanie form *robimy, mówimy, słyszymy* i t. p. z pierwotnych *robimy, mówimy, słyszymy*. Przyczyną powodującą te zmiany, jest tu *prawo dysymilacji* samogłosek jednorodnych, wykryte przez najznakomitszego badacza języka polskiego ks. Fr. Malinowskiego. *Prawo* to polega na tórn fizyologiczném zjawisku, że unikamy zbiegu samogłosek *y, i* w dwu po sobie następujących końcowych zgłoskach wyrazu (w *robimy* ostatnia samogłoska *y* pozostaje, więc przedostatnia *i* zmienia się na *e*¹⁾: *rob'emy*). Obie więc te formy, tak: *wielkimi, dobrymi, mówimy, słyszymy* (obok *mówim, słyszym*), jako tóż *dobremi, wielkimi, i mówimy, słyszemy* są równie *uprawnione*²⁾ w umiejętności językowej; za pierwszymi bowiem przemawia zasada etymologiczna (pochodzenie), za ostatnimi zaś zasada fonetyczna (głosowa)! Gdyby przytoczone *prawo dysymilacji* miało swoje znaczenie istotne w języku, nie wymawialibyśmy: *czynili, czyniliśmy*, i t. p., lecz *czyniely, czynielyśmy* i t. d. W tych tu wyrazach brzmią aż cztery samogłoski jednorodne *y, i*, a mamy wyrazy w których pięć samogłosek takichże wygłaszamy, nieczując zgola tego prawa dysymilacji, np. *wymyśliliśmy, wymyśliłyśmy*. Wolno komuś niepoprawne wymawianie i pisanie wyrazów *robimy, słyszymy*, podciągać pod *prawo dysymilacji*, ale reformatorom nie wolno! Zkąd to poszło niepoprawne wymawianie i pisanie słów tych z zamianą samogłosek *y (i)* na *e (ie)* bez żadnych korzyści dla języka? Oto, z powodu częstego wymawiania słów: *budujemy, malujemy, pojmujemy, piszemy, czujemy* i t. p., których mamy stosunkowo kilka razy więcej, niżeli ze spółką *y (i)*, jak np. *widzimy, uczymy, słyszymy*, poszło bezwiedne wymawianie słów *mówiemy, słyszemy*³⁾.

¹⁾ W przytoczonym przykładzie *i* zamienia się na *ie*, nie zaś na *e*. Z tego wniesć trzeba, że autor praw budowy zgłosek nie pojmuje.

²⁾ Mnie się zdaje, że końcówki *y mi (imi)* na męzki rodzaj *emi (iemi)* na nijaki także są dostatecznie *uprawnione*; jednakże autorowi to *uprawnienie* niepodobało się.

³⁾ Te słowa łącno, jak wiadomo, odróżnić: jeżeli trzecia osoba liczby pojedynczej czasu teraźniejszego i przyszłego dokonanego ma *y (i)* to i pierwsza osoba liczby mnogiej ma *y (i)* przed *my*, np. *widzi widzimy, zrobi zrobimy, słyszy słyszymy, nauczycy nauczymy*; jeżeli zaś trzecia ma *e (ie)*, to pierwsza osoba liczby mnogiej *emy (iemy)*, np. *chce chcemy, napisze napiszemy, pije pijemy, wykopie wykopiemy, będzie będziemy*, i t. p. Jest jeszcze jedna okoliczność, która przemawia za zachowaniem samogłosek *y (i)*, których

Nałóg nie powinien mieć tak wielkiej wagi w oczach badacza języka, żeby tworzyć z wymawiania bezwiednego prawo dysymilacji. Ta mniemana dysymilacja w tym razie, bez widocznych korzyści, kazi język. Można by tu przytoczyć wiele innych przykładów bezwiednego wymawiania, zadość czyniąc analogii; tak na wzór *dokumenta* pisano: *okręta* zamiast *okręty*, *urzęda* zamiast *urzędę*. To są anomalie w języku. Autor rozprawki jednakże nie korzystał z prawa dysymilacji w czasownikach na *emy* (*iemy*) i pisze *ymy* (*imy*), poprzestając na zastosowaniu tego nowo odkrytego prawa do przypadku 6-go narzędnika przymiotników liczby mnogiej.

Powtórę, na str. 48 rozprawki, znalazłem pięć przykładów z dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Kondratowicza, Garczyńskiego, Pola, gdzie zakończenie *im*, *ym* rymuje się z *ém* ¹⁾ i to ma służyć za dowód „że wymyślonej różnicy rodzajowych zakończeń nie czujemy wcale“, coby, zdaje mi się, na jedno wyszło, iż *é* (wedle autora *e*) brzmi jak *y* (*é*). Przeciwnie, słowa te dowodzą, że *em* pisać w rymach nie można, ale *ém*, które ma brzmieć jak *ym*, w tém właśnie upatruję rażącą sprzeczność z powyższem dowodzeniem, iż *e* przed *m* nie pochyła się.

Potrzenie, autor rozprawki na 20 str. pisze: „Wieluż z nas jest w stanie odróżniać w mowie rodzaj nijaki od męskiego w narzędniku lub miejscowniku przymiotników? Jeżeli znajdzie się *jeden na stu*, któryby tak mówił, to różnicę tę może zachować li tylko przez uprzytomnienie sobie co chwila prawidła Kopczyńskiego.“ To przypuszczenie wynurza liczbę Polaków odróżniających najmniej 100000. Ta liczba jest dość poważna, bo wyraża inteligencją, której sposób wymawiania możeby przede wszystkim uwzględnić należało. Do tego dodać należy, że już to samo przypuszczenie obala powyższe twierdzenie p. Kryńskiego; „względ fonetyczny, niedozwalający pochylania samogłoski *e* w zakończeniu *em*“.

Poczwarcie, czy we wszystkich wyrazach *é* (*ie*) zostały zbadane? Przecież mówią i piszą powszechnie: *wiém*, *jém*, przez *ie* ścieśnione, do których wnoszę, iż autor należy, bo pisze *powiemy* na str. 8. Brodziński pisze *rozumiém* ²⁾. Sztochel, którego autor przytacza, jako powagę, pisze: *śmiém*, *umiém*, *rozumiém* ³⁾. Powszechnie się pisze *dobrém* piórem, znać że tu *é* nie brzmi jak *e* i sam autor nie czuje różnicy między *é* i *y* jak to wyżej wyrzekł o rymach. Ztąd wnoszę, że *é* (*ie*) może stać przed *m*. Utrzymanie *é* przed *m* stanowczo będzie wyróżniało przymio-

stosunek do samogłosek *e* (*ie*) w języku polskim jest bardzo mały. Ztąd *monotonia* mogłaby niekorzystnie oddziaływać na język. Wypadki podam oddzielnie, bom obliczył wszelkie głoski stosunki w języku używanych. Summa liter tej pracy monograficznej wynosi 10,000.

¹⁾ np.: Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim,
W jednej chwili; a życiem nie naprawi długiem.

(Pan Tad. ks. X).

²⁾ Synonimy polskie, Wilno 1844 r. str. 5.

³⁾ Gram. histor. krytycz. jęz. pol. Warszawa 1854 r. § 212.

tniki nijakiego rodzaju w przypadku 6-ym liczby pojedynczej od rzeczowników podobnych, np. *dobrém* i *dobrem*, *zlém* i *zlem*, *piękném* i *pięknem* i t. d. Jeżeli autor nie czuje różnicy w wymawianiu *ém* i *ym*, to zachodzi pytanie: czy czuje różnicę w zgłoskach *éj* i *yj*? Jeżeli nie, to trzeba by przerobić *dobrój* na *dobryj*. Jednakże autor pisze *éj*, *jěj*, nie zaś *yj*, *ij*. Własne przekonanie o samogłoskach *é* (*ié*), że są odmienne-go brzmienia od *e* (*ié*) i *y* (*i*) podałem w § 29 *Praw budowy zgłosek*.

3. Samogłoski *a* (*ia*) w deklinacjach rzeczowników w narzędniku liczby mnogiej często się wytrącają nienaruszając cechowej zgłoski *mi* tego przypadku; czyli *ami* (*iami*) przechodzą na *mi*. To dowodzi, że główną cechą narzędnika liczby mnogiej jest zgłoska *mi* np. *wołmi* zamiast *wołami*, *kołmi* zamiast *koniami*, *dziełmi* zamiast *dzieciami*. Taż zgłoska *mi* jest cechą narzędnika liczby mnogiej deklinacji przymiotników przez wszystkie rodzaje. Atoli rzeczownik w narzędniku liczby mnogiej położony wyróżnia się od przymiotników tego przypadku samogłoską spółkową.

Wprawdzie mamy jeszcze jedną końcówkę starodawną *y* (*i*) w narzędniku liczby mnogiej dla rzeczowników gdzie nie widać cechowej zgłoski *mi*; ale wtenczas dodaje się inny wyraz, który na tę cechę wskazuje, np. *temi słowy* zamiast *temi słowami*; *ze znaki*.

4. Jak korzystać mamy z pomników językowych? Przedewszystkiom pomnik powinien być zbadany pod każdym względem: gramatycznym, leksykograficznym i filologicznym:

Nasamprzód, jak wymawiały się litery pojedyncze i złożone w zgłoskach, przytóm na całej przestrzeni pomnikowej. Tu znowu baczyć należy, aby nie uczynić zmieszki między zgłoskami: *pewnemi* co do wygłoszenia, *wątpliwemi* i *trudnemi* do odgadnienia; nadto wytknąć pomyłki przepisowców. Te trzy koła koncentryczne bliżej określić, wypisując wyrazy; *Następnie* zbadać morfologiją pomnikową krytycznie. *Potém* napisać słownik, zestawiając wszystkie wyrażenia bez wyjątku, w których pewny wyraz został użyty, oznaczając stronice. *W końcu*, opracować krytycznie gramatykę na pomniku opartą, i wesprzeć ją uwagami z porównawczej ówczesnej gramatyki słowiańskiej, gdzie tego będzie potrzeba. Z tak tylko opracowanego pomnika można będzie korzystać skutecznie. Bez tego ścisłego zbadania pomników, reformy przedsiębrane nie będą miały podstawy, a zatóm i uznania w ogóle piszącym. Lubo, jak wiadomo, nie mamy dotąd zbadanych pomników pod względem językowym; atoli wiele wskazówek nagromadzili nasi badacze i słowiańscy, np. Suchecki w *Przełęczach form gramatycznych języka staropolskiego*, Żochowski, J. Przyborowski, Małecki, Boduen de Kurtenei, Nerzyng, Ławrowski, Miklosicz i wielu innych.

P. Kryński dostrzegł w historycznym rozwoju języka w końcówkach *ym* (*im*), *ém* (*iém*) *ymi* (*imi*), *emi* (*iemi*), niejakiś zmiany, które dotyczą się samogłosek *y* (*i*), *é* (*ié*) nie zaś cechowych znamion tych przypadków, bo spółgłoska *m* i zgłoska *mi* pozostały przez wieki niezmiennymi, nienaruszonymi. Tu mi się nawija pytanie: czy autor rozprawki

dokładnie zbadał znaczenie samogłosek w przytaczanych pomnikach? Zostawiam czytelnikowi ostateczne słowo do wyrzeczenia w tym względzie, ja zaś podam wypadki własnych postrzeżeń. Za przykład wezmę *Biblię królowej Zofii* wydaną przez Antoniego Małeckiego we Lwowie 1871 r., a którą p. Kryński przytacza na str. 12.

Jak w tym pomniku pisano dzisiejsze *é* lub *ie*, także *e*, *ie*, w narzędniku liczby pojedynczej? Zestawiam obok wyrazy z tój Biblii XV wieku i dzisiejsze:

a) W Biblii kr. Zofii:

Dziś pisze się:

	str.		str.
dopyro	25	dopiero (P. Kryń.	3,6)
pyrwey	12,14,28	} pierwszy	} 4,25,26
pyrwszego	26		
pyrwego	33		
pyrzwey	41		
pirzwey	43		
			7
			7,13
			2,6,10,12,26
		(w rozprawce autora.)	
napyrwey	37		
pyrwy	42		
pirwi	54		
pyrworodni	29		
pyrzworodny	42		
pyrzworodzeni	42		
pirworodzonego	46		
czyrzpacz	27	} czerpać	} (Linde)
naczyrpnó	28		
naczyrpnóla	28		
czyrzpyal	35,44	cierpiał.	
wirzch	52	} wierzch.	
s wyrzchu	32,43		
s wyrzch	52		
czyrwone	53	czerwony (Linde).	
gydzi	27	} idzie, przyjdzie.	
przydze	30		
cztyrzy	27	cztery	
cztyrdzeszczy	41	czterdzieści.	

Z tych przykładów widzimy, że *y*, *z*, w pomniku odpowiada czasem dzisiejszym samogłoskom *é*, *ie*, a nawet *e*.

b) potem 6, 10, 11, 12, 13)	}	potém, (p. Kryú. pisze potym)
(piętnaście razy na tej stro-		
nicy użyto), 14,15,16,17,		
18,19,23, (do 53 strony)	}	inaczej nie znalazłem);
owszem 50		
myędzy wszem stwo-		owszem, (tak pisze nawet <i>Niwa</i>).
orzonym 4		

W miejscowniku liczby pojedynczej przymiotniki stale się piszą z końcówką *em* (*iem*).

e) Narzędnik liczby pojedynczej w deklinacji rzeczowników:

pod stworzonym, 1
przed obliczym 4,5,17,22,36,37,41;
s uszyłem (usilem) 4
s pokolenym 11,18
pod drzewem } 19,27
pod drzewem }
nad sbozym (zbożem) 27,50
spywanym 35
s poszeżnanym 38,43
kwylenym 44
kamyenym 49

Dziś stale piszemy w narzędniku liczby pojedynczej rzeczowników *em* (*iem*); ale i w pomniku wiele znajduje się wyrazów z końcówką *em* (*iem*).

Ten zbiorek wyrazów ostrzega, z jaką ostrożnością trzeba czytać pomnik i jak oględnie wnioski wyprowadzać z zebranych przykładów. Przymiotniki w tym przypadku są pisane z końcówką *ym* (*im*); raz tylko znalazłem *wszem* (4 str.), zwykle zaś *wszym*. Czy można litery *y*, *i* w pomniku brać wszędzie za dzisiejsze *y*, *i*? Przykłady przytoczone ostrzegają że nie.

d) Narzędnik liczby mnogiej przymiotników:

nade wszemy 9,12,26,27,35
przede wszymy 27

W ogólności przymiotniki się piszą w tym pomniku z końcówkami *ymy*, *imy*.

Dziś kiedy pomniki leżą odłogiem, kiedy język ludowy nie zbada-ny, kiedy niemamy wielorakich słowników, dokładnej gramatyki, pytamy czy czas potemu, ażeby przystępować do tak stanowczych przeróbek, zwłaszcza morfologicznych, jakie przedsięwzięła „Niwa”? Nie zapominajmy, że formy są jednym z najważniejszych czynników, które się składają na indywidualność języka. Zbadajmy język, a nie pożałujemy tego.

5. Co się tyczy XVI wieku pod względem kwestyi językowej, ten został zogniskowany mniej więcej w słowniku Knapskiego. Tu przyto-

czę niektóre wyrazy, dotyczące się rozprawki, ze słownika: „*Gregorii Cnapi e societate Jesu Thesaurus polono latino graecus*,” 1621.

całkiem	58
owszem	654
przy dalszem	560
po kiem mówić	718
za kiem co mówić	718
po niem siedział	718
piszę o kiem	704
pod kiem bydz	730
polegam na kiem	762
potem, potym	795
stoię przy tém	1110
pod czym	730
potykam się z kiem	799
piszący po kiem mówiącem	703
za kiem idący	1354
za kiem idę	1354
za kiem mówię	1354
tydzień, tygodniowy	1167
wielkiem czynię	1250
obdarzam kogo czym	560
obietwie co dobrom słowem cnotliwym	565
obięcadłowem porządkiem spi- sować	565
iednem ze dwu sposobow	569
pisanie po drugim czytającem abo powiadającem	701
pisarskie naczynie, ktorem litery piszą rozmaite	701
swem rozumem	1093
pod iednem prawem	730
szupinka na ziarnie nieobitym pod iednem planetą kto się z kiem urodził	1127
potykam się w czym	730
sumnięniem swem przekonany wiele na tym	799
krotkimi znaki piszący	1083
piszę tajemnymi znaki	1248
przed drugimi stawiam	701
	704
	836.

Ztąd wniesć należy że w XVI wieku spójki *y (z)*, *é (ie)* nie były usta-
lone w rzekomych przypadkach deklinacyi przymiotników. Czyż w czasie

upadku literatury miały one się ustalić? Na [żaden sposób tego przypuszczać nie można. Nic przeto dziwnego że ks. Szylarski i Kopczyński z odrodzeniem oświaty użytkowali wybornie spółki *y (i)*, *é (ie)* na korzyść języka, kierując się poczuciem istotnym *zasady odróżniania* rodzajów w deklinacji przymiotników. Powiedziałem na korzyść języka użytkowali, bo filozofia mowy poucza, że język wykształconiejszy uwydatnia się wspanialszą rzeźbą praw, skomplikowańszymi systematami wchodzącymi w jego ustrój. Mniej wykształcone języki nie odwzorowują się różnaitością rzeźby praw, są prostsze i jednostajniejsze w swojej budowie. Dla tych przyczyn nienależy form wyrazowych sprowadzać do jednego poziomu.

6. Co trzymają powagi przytoczone w rozprawce p. Kryńskiego o samogłoskach ścieśnionych *é (ie)* w ogóle i w końcówkach *ém (iém)?* Jak piszą przymiotniki w przypadku 6-ym *narzędniku* i 7-ym *miejsco-*
wniku liczby pojedynczej oraz w narzędniku liczby mnogiej? Oto co o nich pisze autor rozprawki na str. 41: „Oprócz Mrozińskiego, który niedorzeczność przepisu Kopczyńskiego umiejętnie wykazał, zwracali również na nią uwagę celniejsi nasi gramatycy, jak np. Muczkowski i inni, a odrzucili błąd ten stanowczo w swych dziełach: Suchecki we wszystkich pracach swoich gramatycznych, Żochowski, Sztochel, Łukomski, Trzaskowski;... z pisarzów zaś Krasicki, Naruszewicz, Lelewel, Siemieński“ i t. d.

Przytoczę z tych kilka powag rozprawki, ażeby czytelnik sam się przekonał:

a) Mroziński w *Odpowiedzi na recenzję*, Warsz. 1824, na str. 276 pisze: „Całą uwagę zwracamy w mechanizmie naszego języka na spółgłoski, samogłoski zaś są w języku naszym częścią prawie martwą. Samogłoski są brzmienia martwe. Do samogłosek nie przywiązujemy prawie pomysłów, czasem tylko względy przez nie wyrażamy. W języku naszym samogłoska położona zamiast innej samogłoski, jest rzeczą bardzo pospolitą.“

Zdaje mi się że te słowa nie potrzebują żadnych objaśnień: Czy napiszemy *e (ie)*, *é (ié)*, lub *y (i)* w końcówkach *em (iém)*, *ém (iém)*, *ym (im)* *ymi (imi)*, *emi (iemi)*, to rzecz będzie obojętna. W rozprawce p. K. właśnie o zamianę samogłosek, nie zaś spółgłosek idzie. Niech czytelnik rozstrzygnie: czy Mroziński ze swoim rozumieniem samogłosek powinien był znaleźć miejsce, jako powaga, w rozprawce?

b) Trzaskowski w dziełku: *Pisownia polska*, Rzeszów, 1862, na str. 15 pisze o samogłoskach co następuje: „*e, a, ó, é*, w mowie już dawno na *e, o, u, i*, przeszły. Świadomość etymologicznego znaczenia głosek *ó, é*, już dawno w narodzie znikła.“ Nadto dodać powinienem, że Trzaskowski w narzędniku liczby mnogiej pisze przymiotniki przez wszystkie rodzaje z końcówką *ymi (imi)*, np. „dotychczas nazywano je (spółgłoski) słabymi i mocnymi; twardymi i miękkimi (Gram. jęz. pol. Sambor. 1861, str. 14). Autor zaś kwestyi językowej wsparty na powadze Trzaskowskiego, dowiódł w przypadku 6-ym liczby mnogiej na

wszystkie rodzaje *emi*. Jakto się stało? Trzaskowski w *Pisowni polskiej* na oba rodzaje: męzki i nijaki, używa w przypadku 7-ym liczby pojedynczej przymiotników końcówki *ém (iém)*, np. w łacińskim i niemieckim języku; w piśmie naszym“ (str. 4). Może nie ten Trzaskowski? zdumiony zapytałem siebie. Ale p. Kryński bliżej Trzaskowskiego nieokreślił, ja zaś innego gramatyka pod tym nazwiskiem nie znam.

c) Suchecki w dziełku: *Budowa języka polskiego* Praga czeska, 1866, na str. 4 pisze: „*é* wymawia się jak *y* lub *i*“ Nic więc dziwnego że Suchecki pisze *y* zamiast *é*; w przypadku 6-ym zaś liczby mnogiej przymiotników pisze *ymi (imi)*, nie *emi (iemi)*, np. „znakami rycerskimi zwanymi“ (str 76), „pomiędzy mianami pospolitymi“ (str 53). Niech czytelnik sądzi, czy Suchecki mógł być powagą w tej kwestyi lub nie, gdy uczy że *é* brzmi jak *y (i)*?

Nie widzę potrzeby sprawdzania innych powag gramatycznych wyżej przytoczonych przez autora, dosyć tych trzech do wniosku, że rozprawka p. Kryńskiego nie jest ściśle naukową.

7. Pozostało mi jeszcze nadmienić o znaczeniu wyjątków, które wyczytałem w rozprawce p. Kryńskiego ¹⁾.

a) Wyjątek pierwszy: „Jak wiadomo zachowywane jest (prawił ks. Kopczyńskiego) przez dzisiejszych piszących prawie ogólnie. Mówimy *prawie*, gdyż wyznając prawdę, bardzo nieliczny tu stanowi *wyjątek krytycznie* w tej materji *myśląca cząstka* ogółu, *która obok jasnego rzeczy widzenia...*“ (str. 4).

Rozprawka autora, jeżeli nie mylę się, jest wyjątkiem z ogółu dzieł pozbawionych myśli w materji językowej.

b) Wyjątek drugi: „Jedyny znany dotychczas *wyjątek* od tej *zasady nierozróżniania* rodzajów i *przypadków* (?), stanowi Stanisława Koszuckiego przekład Cycerona *O powinnościach*, 1575, gdzie tłumacz stale jeszcze odróżnia przypadki, pisząc w narzędniku *ym*, w miejscowniku *em* dla obu rodzajów, jakto miało miejsce w wieku XIV i XV. Jestto tylko *zjawisko wyjątkowe*; poczucie dawniej różnicy między przypadkami już w języku XVI wieku *całkiem* zamarło“ (str. 14).

Autor w tym wyjątku rozciągnął *zasadę nieodróżniania rodzajów* do przypadków. O jakich tu przypadkach autor myślał, niewiém. Przypadek 7-my od 6-go stale się wyróżnia przyimkami: *na, w, o, po, przy* i bez nich się nie używa.

c) Wyjątek trzeci: „Różnica pomiędzy rodzajami męzkim jest *tylko* uwydatniona w mianowniku i bierniku“ (str. 8). Jestto wyjątek od zasady nieodróżniania rodzajów.

Dziwnie się to złożyło w tej rozprawce *kwestyi językowej*: raz, że *wyjątek (a)* ma siłę i pomiata ogółem; drugi raz, że *wyjątek (b)* jest zjawiskiem bez znaczenia, bez siły. Te dwa wyjątki mają się do siebie

¹⁾ Po bliższe szczegóły o wyjątkach odsyłam ciekawego czytelnika do dziełka: *O prawach budowy zgłosek* § 5.

w odwrotnym stosunku. Co myśleć o rozprawce, w której się wykląda, iż wyjątek nie stanowi pravidła i że wyjątek stanowi pravidło? Wyjątki zawsze zadawać będą pravidłom kłam, iż są oparte na niedostatecznie zbadanych podstawach, z których niby wzięły się.

Kończąc rzecz niniejszą o języku, podaję ostateczne wypadki, w obronie których jałem się pióra :

1) Stoję przy zasadzie odróżniania rodzajów nie tylko w deklinacjach rzeczowników, przymiotników, zaimków, ale i w konjugacjach, gdzie tego zachodzi potrzeba.

2) Samogłoski spółkowe *y* (*î*), *é* (*iê*), *e* (*ie*), wybornie będą służyły do odróżnienia rodzaju nijakiego od męzkiego w przypadku 6-ym i 7-ym liczby pojedynczej, także w przypadku 6-ym liczby mnogiej przymiotników. Dla łączniejszego uwidocznienia form, zestawiam końcówki przymiotników dla dwu rodzajów i trzech przypadków:

<i>liczba pojedyncza</i>		<i>liczba mnoga</i>	
rodzaj męzki	rodzaj nijaki	rodzaj męzki	rodzaj nijaki
6.-ym (im)	ém (iém)	6.-ymi (imi)	emi (iemi)
7.-ym (im)	w-ém (iém)		

Warszawa, 7 lutego 1873 r.

Historja prawa karnego ruskiego. Tom I część 2-ga 1873 roku.

Senator Romuuld Hube, rozpoczęte w roku 1870 wydanie pracy nad historją prawodawstwa karnego ruskiego pod tytułem: *Historja prawa karnego ruskiego*, doprowadził w r. 1872 do zamierzonego kresu, wydając część drugą,

Praca rzeczona stanowi tom piérwszy z zapowiedzianego przedstawienia historji praw karnych innych narodów słowiańskich.

Część I wydanego tomu poświęconą jest zbadaniu historycznego rozwoju prawa karnego rossyjskiego od czasów najdawniejszych aż do końca panowania cesarza Aleksandra I; część 2 obejmuje czasy dwóch następných panowań; kończy się zaś rzutem oka na rozwój prawodawst karnych europejskich i porównaniem onego z rozwojem praw karnych ruskich, wiążąc tym sposobem szczegół z ogólnym obrazem wysileń narodów europejskich, dla rozwiązania coraz ważniejszych zadań społecznych.

Co do metody wykładu, chodziło głównie autorowi (jak to sam objaśnia) o wydobyte na jaw myśli przewodniój; szczegóły drugorzędne o tyle są uwzględnione, o ile posługują do wyjaśnienia zadania głównego. Praca o której mowa, czerpana ze źródeł autentycznych, dzieli się na peryody, czyli przestwory czasu, na jakie się rozpada historia polityczna

Rosyi. Jako ogólny rezultat swych poszukiwań, autor wynuża przekonanie, że prawo karne rossyjskie, obok właściwości, jakimi jest napiętnowane, szło w ogóle tą samą drogą kształcenia, co inne prawa europejskie, a co więcej, że w biegu swym wyprzedzało inne.

M.

Prawda o Masce żelaznej (La vérité sur le Masque de Fer, d'après des documents inédits par Th. Jung, officier d'état major. Plon 1873).

Tajemniczy więzień z czasów Ludwika XIV, zawsze milczący, zawsze w masce przed ludźmi ukazujący się, budził ciekawość już u współczesnych; ciekawość tę jeszcze bardziej zaostrzył Wolter w 1745 r. gdy rzucił domysł, że więźniem była osoba bardzo do Ludwika XIV zbliżona. Wielu pisarzy starało się tę zagadkę rozwiązać. Jedni przypuszczali że to był hr. Vermandois syn Lud. XIV, inni że brat jego, inni że Fouquet minister finansów, inni znów że książę Mannouth brat Jakóba II angielskiego; nareszcie niedawno jeszcze p. Topin dowodził że maska żelazna przykrywała rysy mantuńskiego ministra Mattioli, pochwyconego za intrygi przeciwko Francyi. Obecnie tajemnica ostatecznie rozproszoną została przez p. Jung'a, który nie pożałował pracy na wyszukanie w archiwach mnóstwa dokumentów i listów wszechwładnego podówczas ministra Louvois, doniesień Cinq-Mars'a, któremu tenże minister powierzył dozór nad więźniem; nadto autor zbadał dzieje wszystkich współczesnych więźniów stanu w Pignerol, Exiles, na wyspie Saint-Marguerite, postępując krok w krok za służbowemi nominacyami Cinq-Mars'a i nareszcie na liście więźniów Bastylli znalazł zakłętę nazwisko, wpisane ręką „porucznika królewskiego“ du Junca. Nazwisko to brzmi: Marchiel; powinno jednak być pisane: Marcheulle. Ale cóż to nazwisko oznacza? Oto figuruje ono w licznym szeregu spiskujących na życie Ludwika XIV Francuzów i cudzoziemców. Po żelaznej dyktaturze Richelieu'go, po stłumieniu zbrojnego rokoszu Frondy, arystokracja francuzka rzuciła się do spiskowania przeciwko groźnej władzy królewskiej. Osoby wysoko położone, jak np. hrabina de Soissons siostrzenica Mazariniego i matka Eugoniusza księcia Sabaudzkiego, księżna de Bouillon, marszałek de Luxembourg, nawet kochanka króla markiza de Montespan, brały udział w knowaniach przeciwko ministrom i samemu Ludwikowi. Plany spiskowców ujawniały się częściowo w processach kawalera de Rohan, strasznej trucicielki margrabiny de Brinvilliers i t. p. Podrzedni agenci byli okrutnie karani przez wysadzone umyślnie komisyje zwane „izbami ognistemi“ (chambres ardentes), ale wielkich panów oddalano tylko od dworu lub wyprawiano na wygnanie. W 1672 r. w Holandyi związało się nowe sprzysiężenie pod przywództwem wykształconego, wytwornego, rozrzućnego kawalera de Harnoises vel Kiffëubach, pochodzącego z ro-

dziny Marcheuille. On to jest maską żelazną. Miał dziesięciu spółników i w marcu 1673 r. wyruszył do Francji żeby plan swój wykonać. Nie wiedział atoli że od pół roku o planie tym otrzymał doniesienie (od prezydenta Stanów Zelandyi) Louvois, który nie omieszkał otoczyć spiskowców szpiegami. Na promie w czasie przeprawy przez Somnę pod Peronną, kawaler Harmoisais został aresztowany, do Bastylii przewieziony i odtąd nazwisko jego nigdy już wymawianém nie było. Zwano go: „człowiekiem wiadomym,“ „więźniem z pod Peronny.“ „dawnym więźniem.“ Komendant cytadeli Pignerol, Cinq-Mars mając sobie powierzony dozór nad więźniem, prznosił go zawsze w zamkniętój lektyce do rozmaitych miast, w których sprawował urząd gubernatora, aż nareszcie otrzymał posadę gubernatora Bastylii. Tu Marcheuille umarł w 1703 r. Przez lat trzydzieści zachowywał grobowe milczenie, gdyż towarzyszący mu żołnierze mieli rozkaz strzelania przy pierwszym wymówionym wyrazie; jedzenie i bieliznę przynosił mu sam Cinq-Mars lub jego pomocnik, czasem tylko, ale bardzo rzadko wyprowadzano go na mszę do kaplicy; wtedy wkładano mu maskę na twarz, ale maska ta była z czarnego aksamitu, nie zaś z żelaza. Jakkolwiek surowym wydaje się ten regulamin, nie należy go przecież uważać za wyjątkowy. P. Jung przytacza kilka przykładów podobnego przechowywania więźniów *au secret le plus absolu*. Owszem los kawalera Harmoisais był w pojęciach owoczesnych ułaskawieniem. Książę Kondensz, hrabia Beauvois i inni wielcy panowie wynogli na ministrze, że więźnia śmiercią nie ukarze, a za to przyrzekli zaniechać intrygi rozpoczętój już przeciwko temuż ministrowi i ojcu jego kanclerzowi Le Tellier. Dzieło p. Jung'a czyta się mozolnie, ale dostarcza wielu rysów do poznania odwrotnój strony „wieku Ludwika XIV.“

K.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Maj 1873.* *Gazeta Sądowa Warszawska* rozpoczęła swe istnienie w miesiącu zeszłym podług zapowiedzianego ogłoszenia. Ma ona być łącznikiem wymiany myśli dla prawników, a współcześnie czynić zadosyć potrzebom całego społeczeństwa pod względem popularyzowania nauki i pojęć prawnych. O ile się wywiąże ze swego zadania, przyszłość to wykaże. W dotychczasowych numerach usiłowania redakcyi zdążają do obranego celu.

Pismo to wielkąby usługę uczyniło praktyce sądowej, gdyby w dziale postanowień rządowych podjęło ogłoszenie kolejne wszelkich praw i rozporządzeń od czasu zniesienia Dziennika Praw wydanych, a przynajmniej treść ich chronologicznie podało.

— Wydawnictwo dzieł Józefa Korzeniowskiego, doszło do dziesiątego tomu; w tej liczbie miały się pomieścić wszystkie prace zgasłego pisarza. Okazuje się teraz, że potrzeba będzie dodać najmniej dwa jeszcze tomy. Prenumeratorowie *Kłosów* i *Tygodnika Powieści i Romansów*, tomy te otrzymają bezpłatnie, stosownie do ogłoszenia prospektu, jak to obecnie w nr. 408 pomienionych „Kłosów“ czytamy. W spisie dołączonym nie widzimy mistrzowskich tłumaczeń Szekspira wierszem rymowym: spodziewamy się że wydawca tak troskliwy w zgromadzeniu najdrobniejszych prac J. Korzeniowskiego i tych nie pominie, ażeby edycja była zupełna.

— *Józef Grajner*, redaktor przez lat kilka *Zorzy* ogłosił prenumeratę na: „Skarbczyk Powieści i Opowiadań“, który ma wyjść w ciągu roku bieżącego. Są to utwory oryginalne i tłumaczone. Prenumerata na ten zbiór wynosi rs. 3 kop. 60 w Warszawie, a na prowincję do Cesarstwa i za granicę rs. 4 kop. 40.

— *Pan Postny* w artykule p. t. *Staroświecczyzna nie podmalowana*, przedstawia ciekawy obraz dzisiejszego zwrotu krytyki w belletrystyce rosyjskiej. Zarzuty bezbarwności i braku żywiołu artystycznego, powszechnie jej czynione przez krytykę dziennikarską, z jednoczesnym wynoszeniem do apologii pisarzy z r. 1840—1850, odpięra wykazaniem, że właśnie utworów Turgieniewa, Pisemskiego i Gonczarowa, koryfuszów belletrystyki owego okresu, nie można kosztem prac nowszych, nazywać *perłami* i *brylantami* artystyczności i że to, co *dzisiaj jest*, jest stokroć cenniejszym od tego, co *było*.

Romanse dawnej epoki obrachowywano na efekta zewnętrzne, nadzwyczajności, nie dotykając subtelności psychicznych. W życiu ówczesnego społeczeństwa mało żywiołów znajdował autor do rozwijania podobnego tematu, ztąd to uciekać się musiał do efektów sztucznych i teatralności, szukając ich we własnej fantazyi.

Dzisiejsza belletrystyka przeciwnie, wykluczając pierwiastek fantazyjny, a ograniczając się do fotografowania powszedniej prozy życia mieszczańskiego, wpada w kłiwą monotoność, i zasługuje na słusznie czyniony jej zarzut bezbarwności. Gdyby fantazyja dawnych belletrystów odpowiadała choć w części warunkom fantazyi twórczej, utwory ich miałyby wyższość nad utworami tegoczesnemi, w których już nie ma żadnej fantazyi.

Ale twórczość dzisiejszych romansopisarzy różni się obyć może bez tego środka; malując bowiem życie kółka mieszczańskiego, z drobnostkami jego ciasnych interesów, trzeba mieć tylko dozę obserwacji, a ta zastąpi fantazyę. (*Dzieło* za listopad 1872 r.).

— W Krakowie wyszło tłumaczenie poematu J. Słowackiego „*Ojciec Zadżumionych*“ na język niemiecki przez Stahlbergera. W dniu 19

kwietnia przedstawiono na miejscowym teatrze dramat oryginalny „Cola Renzi“ znanego poety El . . . y: (Asnyka).

— Z drukarni L. Paszkowskiego wyszło dzieło: *Zabytki sztuk pięknych Krakowa i pomniki architektury od XI do XVIII wieku, ze stanowiska historii sztuki objaśnił Władysław Łuszczkiewicz*. (1872 r. w 8-ce str. 96). Widzimy z tytułu, że to jest początek obszerniejszej publikacji. Autor objął tu systematyczny wykaz zabytków budownictwa Krakowa, na podstawie dziejów sztuki. Drugi tom obejmować będzie zabytki malarstwa i rzeźby Krakowa od XIV do XVIII stulecia, a w dalszych, zebranie zabytków sztuki w zastosowaniu do rękodzieł.

— We Lwowie w miesiącu marcu r. b. zawartą została i podpisana w obec rektora tamtejszego uniwersytetu p. Małeckiego, umowa między panami Koźmianem i Łosiem o *zobopólność spraw dotyczących teatrów Krakowskiego i Lwowskiego*; to jest, że obie te instytucje porozumiewać się będą z sobą nietylko dla nieszkodzenia sobie choćby mimowolnego, ale nadto dla popierania się wzajemnie. Piękny i szlachetny ten objaw zamiłowania sztuki krajowej, godzien uznania. Z niego można wróżyć jak najpomyślniejszego rozwoju dla obu teatrów.

W témże mieście niedawno otwarta została szkoła ogrodniczo-sadownicza, urządzona przy ogrodzie Towarzystwa tejże nazwy. Zadaniem jój jest kształcenie ogrodników dworskich, na których Galicyi zbywa, a obywatelstwo tamtejsze na brak ich bardzo utyskuje.

— Wydawnictwo Albumu Kopernika zawiadamia, że wysyłka jego prenumeratom nastąpi nieco później, gdy będzie przygotowana taka ilość egzemplarzy, ilu jest prenumeratów. Wydawnictwo liczyło najwyżej na 1,000 przedpłacicieli, a rzadkiem u nas, lecz nader chwalebniem zjawiskiem, znalazło się ich drugie tyle; ztąd też wynika zwłoka w przesyłce. Wydawcy albumu i medalu, cel pamiątkowy, nie zaś korzyść materialną mieli na względzie; skutkiem jednak nieprzewidzianego dokładnie kosztu publikacji w stosunku do ilości, wystawili się na stratę. Jeden egzemplarz albumu liczono po 2½ talara, a okazało się, że kosztować będzie 3½ talara; jeden medal liczono na 1 talar, gdy tymczasem wybicie jego kosztuje w rzeczywistości 1½ talara; książka wreszcie kosztuje 1 talar; samo tedy wydawnictwo za jeden egzemplarz albumu, książki i medalu płaci netto talarów 6 czyli całkowitą cenę prenumeracyjną, rabata zaś księgarskie i inne rozmaite wydatki ponieść musi z własnych funduszków. Okoliczność ta przecie nie wpływa pod żadnym względem na cenę ustanowioną prenumeratom, którzy do zapłaconych przez siebie talarów 6 lub rs. 6 kop. 75 za egzemplarz, nic już dopłacać nie będą.

— Kamień węgielny na budowę teatru polskiego w Poznaniu został położony w dniu 8 kwietnia r. b. Odpowiedni dokument włożony w blaszaną puszkę, do którego dodano numer *Dziennika Poznańskiego* i *Kuryera Poznańskiego* z dnia pomienionego, umieszczonym został w trzecim filarze od strony wschodniój.

— „*Początki unii lubelskiej przez D-ra Augusta Mosbacha*, Poznań, nakładem księgarni I. K. Zupańskiego. (W 8-ce str. 169). Autor rozpoczyna swe opowiadanie od czasów Jadwigi i Jagielly, a kończy ze śmiercią Zygmunta I-go. Rozwija usiłowania dla ustalenia unii i znajdowane w ciągu lat tylu przeszkody. Ostateczne ukończenie stanowcze w tej kwestyi za panowania Zygmunta Augusta w roku 1569 w Lublinie, p. Mosbach zostawia do następnej części swęj pracy, którą następnie wydać zamierza.

— Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego w Poznaniu wyszło dzieło: „*Kopernik w Italii czyli dokumenta italskie do monografii Kopernika, zebrał Dr. Artur Wołyński* (1873 r. w 8-ce str. 288). Bogaty to jest zasób wiadomości, troskliwie zebranych przez autora, do monografii naszego astronoma.

— Z powodu przedstawienia „*Halki*“ na scenie miejskiego teatru poznańskiego, sprawozdawcy dzienników niemieckich oddają wielkie pochwały temu arcydziełu Moniuszki. „*Muzyka Halki*, mówi „*Posen. Ztg.*“ jest piękną i na wskroś przenikniętą charakterem melodyj słowiańskich. Już w samej uwerturze charakter ten uwydatnia się wyraźnie: to rozbrzmiewa w niej radość wyrwijąca się ku niebu, to znowu jęknie smutek grobowy. Tenże sam podwójny nastrój panuje i w całej operze: wesola nuta piosnek, wspaniałych mazurków i tańców góralskich, miesza się tam ustawicznie z posępnym tonem śpiewów pełnych nieskończonej melodyi. Dość tu wspomnieć o dziwnie melodyjnej piosnce Jontka „*Szumią jodły na gór szczycie*“, i o piosnce Halki „*Gdyby jasnym słonkiem*“; oprócz tego zasługuje jeszcze na szczególniejszą uwagę: chór górali w trzecim i sekstet w czwartym akcie. Orkiestra pod kierownictwem p. Krzyszkowskiego wywiązała się znakomicie ze swego zadania, co się zaś tyczy wokalnój strony przedstawienia, przyjętą ona była z wielkim zapalem przez publiczność. Główną rolę wykonała panna Mecherzyńska, jedna z uczennic Moniuszki, pan Koziółowski odznaczał się lirycznym tenorem nadzwyczajnie miłego dźwięku. Należy tu także nadmienić, że i dla wzroku przedstawienie *Halki* dostarczyło wiele przyjemnych wrażeń, a mianowicie: mazur tańczony przez cztery pary, wywołał grzmiące oklaski“.

— Józef Ignacy Kraszewski otrzymał na imieniny w darze od pań z Ks. Poznańskiego wspaniały dywan z godłami prac i talentów solenizanta. Dywan podzielony jest na cztery pola. Dwa z nich zawierają: głowę Minerwy, lirę, paletę, globus, gorejącą lampę, urnę, papier, pióro, książki, z których jedna oznaczona jest liczbą 321—ilością wydanych przez Kraszewskiego tomów. Trzecie pole mieści ul z ulatującymi nad nim pszczołami; czwarte otwartą księgę z napisem: „*Nulla dies sine linea*“ (żadnego dnia bez pracy). Pomiedzy godłami rzucono bukiety nieśmiertelników, wśród których wryta złotem cyfra solenizanta. Wszystko to oplata wieniec z bluszczu, cały zaś obraz ujęty w rysunek przedstawiający ramę rzeźbioną. Do tego daru dołączony był list opatrzony sześćdziesięciu przeszło podpisami.

— Dramat Edmunda Chojeckiego (Charles Edmond) p. t. *L'Aieule*, przedstawiany przed 10-ciu laty w paryżkim teatrze Ambigu, wznowionym został teraz w Odeonie, gdzie doznał niesłychanego powodzenia. Krytyk Sarcey tak się wyraził o tój sztuce: „Trzeba przyznać, że gdyby ją napisał p. Dumas, toby się p. Dumas zdobył nareszcie na nieśmiertelność“.

— W numerze ostatnim z miesiąca lutego r. b. Przeglądu Czeskiego „Osweta,“ znajdujemy studjum nad Polską przed stu laty.

— Znany historyk średnich wieków *Jerzy Vaitz*, wydał dwa tomy tak zwanych: „Recessów Hanzy.“ Jest to ściślej powiedziawszy, podjęta na wielką skalę publikacya, całego archiwum, wszystkich miast Hanzeatyckich, publikacya, do której dostarczyły materyałów i pomocy północne Niemcy, Gdańsk, Toruń, Skandynawia, Hollandya, i wiele innych. Pierwsze dwa tomy ogłoszone dotąd sięgają aż do roku 1370. Zalecamy to dzieło badaczom naszym Piastowój przeszłości. Jeżeli dzieło takie jak „Historya handlu Gdańskiego za czasów zakonu,“ zawiera ciekawe i nieznanne rzeczy tak do naszej obyczajowój, jak i politycznej historyi, zawierają je stokroć obficie wydane przez J. Vaitza „Recessa Hanzy.“

Rzym, kwiecień 1873 r.

— Rzym od lat czterech jakem go widział, nie wiele się zmienił. Zaczynają w nim dosyć rozwalać, lecz nie budują tyle ileby wypadało, żeby mu nadać cechę stolicy wielkiego państwa. Wiadomo, że Rzym dzisiejszy leży w nizinie; zabudowany ciasno i nieregularnie, powietrze ma nie zdrowe. Jak temu zaradzić? Wynieść Rzym na wzgórze przyległe? Zapewne, powietrze będzie czystsze, ulice przestronniejsze, lecz czyliż można przenieść kościoły, pałace i pomniki? To przecież Rzym stanowi. Próby jakie dotąd zrobiono, mało dają nadziei. Taka np. *Via nazionale* jest bulwar szeroki. Na części dotąd wykończonój stanęło trochę ogromnych pięciopiętrowych gmachów, istnych koszar. Że je nie wywołała wewnętrzna potrzeba, organiczny rozwój miasta, najlepiej widać ztąd, że sklepy na dole są bardzo nędzne. Wszystkie piękne magazyny są na *Corso* i t. d. a to ulice zaledwie średniej szerokości, z wąziutkimi, a czasami i bez trotuarów. Lecz i to wyjątki. Ogół Rzymu jest taki, że *Daniłowiczowska* ulica byłaby wzorem niedościgłym regularności, a *Krzywe Koło*, jedną z porządniejszych ulic.

Słuchałem w Rzymie dosć odczytów, w uniwersytecie (*Sapienza*) Panów *Berti*, *Ciampi*, *Bonghi*, *Boselli*; dwóch pierwszych poznałem. *Berti* ma wykład taki, że go ideałem dobrego profesora nazwać można. Trafiłem na lekcye najbardziej interesujące, bo mówił o reformatorach włoskich w XVI wieku. Byli więc na scenie *Occhino*, *Vergerius*, *Sonino* i t. d. wszyscy z krajem naszym mający związek. Po za obrębem uniwersytetu słyszałem dwa, ale trzygodzinne wykłady ojca *Secchi*, niezawodnie jednego z najpierwszych dzisiejszych astronomów i fizyków, o słońcu i gwiazdach. Mówił po francuzku, przy natłoku słuchaczy, pomimo ceny dosć wysokiój, 15 fr. za dwa odczyty, na cele dobroczynne.

— Juliusz Rodenberg w „*Podróżach po Anglii*“ (Studienreisen in England. Bilder aus der Vergangenheit u. Gegenwart) kreśli po mistrzowski „Londyn Szekspirowski,“ z jego ulicami, placami, szynkowniami i sceną, na której występował wielki dramaturg. Równie może ciekawym jest szkic „kawiarni i klubów londyńskich,“ które są nader ważnym czynnikiem życia społecznego i politycznego Anglii! Piérwsza kawiarnia „Sultańska“ otwartą została w 1638 r., piérwszy klub Lloyd osiedlił się w gmachu giełdowym w 1774 r. Dziś każdy człowiek „porządny“ (respectable) musi należeć do jakiegoś klubu, którego adres wypisuje na swojej karcie wizytowej. Ludzie mniej zamożni przyjmują tu wizyty i listy, mają do swego rozporządzenia osobne salony, gabinety, papier listowy, pokoje do gier rozmaitych, kąpiele, a w klubie torysowskim znajdują się nawet pokoje sypialne dla szlachty wiejskiej (country gentlemen).

— W Berlinie (w salach Gewerbschule) otwartą została *Akademia filozofii nowożytnéj*, staraniem Dra Herrig'a. Program piérwszego półroczka obejmuje 28 przedmiotów, pomiędzy innymi: Encyklopedyą filologii nowożytnéj, Gargantua, Rabelais'go, Bestiaire Filippa de Thau, Gramatykę prowansalską wraz z poetami, epopeję prowansalską Girartz de Rossilho, porównawczą naukę głosowni i odmian w języku anglo-saksońskim, pisarzy wieku Augustowego w literaturze angielskiej, Juliusza Cezara, Szekspira, Boską komedya Dantego, Don Quijote Cerwantesa.

— *Rozwój urzędzeń wojskowych u Rzymian* (die Entwicklung der römischen Heerorganisation und der Stand der Armee unter dem ersten Kaiser) przez dr. Babucke jest zebraniem rysów, dostarczonych przez historyków specjalnych, w jeden obrazkunstownie złożony, a przez porównania z urzędzeniami obecnymi żywo oświetlony. Autor obliczył, że cały kontyngens za cesarstwa wynosił $\frac{1}{2}$ od sta w stosunku do całej ludności. Dziś stosunek ten podwoił się, chociaż przestrzeń zajmowana przez państwa nowożytne jest daleko mniejsza od posiadłości Rzymu.

— Wyszła w 4-ém wydaniu po angielsku, oraz w tłumaczeniu niemieckim „*Historya Konstytucyi Angielskiej*, dziś i przed 50 laty,“ przed lorda John'a Russel. Dzieło to było wydane po raz piérwszy w 1821 r. i wtedy już zjednało sławę autorowi. Dziś sędziwy mąż stanu mógł z dumą zapisać w epilogu, że wytykane niegdyś wady konstytucyi zostały naprawione przez prawodawstwo częstokroć za jego wpływem. Złożył w tój księdze owoce długoletniego doświadczenia nabytego w zawoździe politycznym na ławce ministrów, lub na czele stronnictw w parlamencie.

— F. Chabas w „*Studyach nad starożytną historyą*“ (Etudes sur l'antiquité historique) wynajduje ślady stosunków a raczej starć ludów europejskich z Egipcyanami aż w XIV wieku przed Chr. Dla historyi greckiej i rzymskiej wskazówki te będą miały ważne znaczenie. Autor przytacza napisy egipskie (hieroglificzne) z Karnaku i z Medinet Haby, w których odczytał imiona Pelazgów, Teukrów, Sikulów, Acheów, Etrusków, Lykijów, „ludów północy i wielkiego morza.“ Tłumaczy tóż znaczenie

postaci na malowidłach ściennych. Jedno z takich malowideł, mianowicie bitwa morska czyli raczej rzeczna (na Nilu) jest, zdaje się odwzorowana w muzeum egipskiem w Berlinie, wszakże Lepsiusz widział w jeńcach tylko ludy azyatyckie, afrykańskie i „brodatych Lipijczyków“ (Kön. Muzeum, Taf. XIV). Dla historyków praca p. Chabas'a jest wielce ważna i ciekawa.

— *Geiger*, „*Pochodzenie ludzkiej mowy i rozumu*“ (Ursprung der menschlichen Sprache u. Vernunft). Jestto pismo pośmiertne. Autor posiadał obszerne wiadomości nie tylko lingwistyki ale też na polu filozofii, historii i nauk przyrodniczych. Był materyalistą, usiłował wyjaśnić rozwój człowieka z działań organizinu zwierzęcego. Język miał się zrodzić pierwój nim się rozum objawiać począł. Najważniejszą rolę odegrywa zmysł wzroku, malowanie, pismo obrazowe.

— *Alfons de Candolle*, syn powszechnie znanego botanika i kontynuator prac swojego ojca w dziele p. t. „*Historia nauk i uczonych*“ w dwu ostatnich wiekach (Hist. des sciences et des savants depuis deux siècles), zrobił próbę zastosowania Darwinowskiej zasady wyboru naturalnego, (natural selection) do ludzi, a przedewszystkiem do dziedziczenia zdolności umysłowych w rodzinach uczonych. Układa wykaz statystyczny z listy korespondentów trzech akademii: Paryżkiej, Berlińskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Jest tu wiele ciekawych szczegółów i spostrzeżeń; przygotowuje się już podobno drugie wydanie.

— *Żywoty czterech wielkich chrześcian Francuzów* (Les vies de quatre grands chretiens français) przez Guizot'a. Tom I zawiera życiorysy ś. Ludwika i Kalwina, w tomie II-gim obejmie życie Duplessis-Mornay i ś. Wincentego à Paulo. „Urodziłem się protestantem—pisze autor—a doświadczenie życia i badanie historii utwierdziły mię w wierze ojców moich, ale też nauczyły mię cenić i czcić wiarę i życie chrześciańskie w każdej postaci, pod wszelkiem mianem, gdziekolwiek je napotkam.“ W istocie ś. Ludwik i Kalwin, król arcy-chrześciański i herezjarcha, są scharakteryzowani i osądzeni z jednakowym bezstronnym spokojem.

— *Le Comte* przez *G. Celorio* astronoma w Medyolanie, z 6-ma tablicami. Mówi tu pomiędzy innemi o kometach Donati, Encke, Biela, o massie i liczbie komet. o zyciu na nich, o powstawaniu ich, o związku ich z gwiazdami spadającymi, o teoriach Keplera, Kartezjusza, Hewelke, Newton'a, Hook'a, Mairan'a Eulera, Tyndala.

— *Wspomnienia z czasów Restauracyi* (Souvenirs de ma jeunesse au temps de la Restauration) przez hr. de Carné z Akademii Fr. zawierają charakterystykę wielu znakomitości, pomiędzy innemi: V. Hugo, Lacordaire'a, Lammenais'go, Augusta Comte'a.

— *Gwiazdy Spadające* (Le Stelle Cadenti, Milano Treves, L. 1,50) trzy odczyty popularne *Schiaparellego*; dziełko to łączy jasność i wdzięk wykładu z głębokością sądu. Oprócz opisu deszczów gwiazdowych i prądów meteorycznych wyłożone są tu prawa, za pomoca których

zjawiska te mogą być wytłumaczone i rozmaite hipotezy co do spotykania się prądów meteorycznych z ziemią. Dołączone są dwie tablice. Radziłyśmy ujrzeć w polskim przekładzie pracę tak ciekawą dla czytającego ogółu, a tak znakomitem piórem skreśloną.

† W Kijowie dnia 3 marca r. b. zakończył życie **Gustaw Belke**, znany badacz przyrody, członek Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Z prac zmarłego, pismo nasze drukowało ważną rozprawę: *Rys historii naturalnej Kamieńca Podolskiego*. Oddzielnie wydał: *Historią naturalną zwierząt ssących, obejmującą opisy ich rodzajów, gatunków i odmian, czyli Mastologią*. Wilno, 1849 rok, w trzech tomach. Wraz z Aleksandrem Kremerem przetłumaczył z języka francuzkiego: *Historią nauk przyrodzonych* podług wykładu Cuvier'a, uzupełnioną przez Madelen'a de St. Azy, pięć tomów, w Wilnie, 1855 r., którą wzbogacił dodatkami odnoszącymi się do piśmiennictwa polskiego.

† Dnia 27 marca r. b., w Paryżu zakończył życie utalentowany **Wojciech Święcki**, znany nasz rzeźbiarz w 47 roku życia.

Oprócz kilku grobowców znakomitym ludziom na Powązkach postawionych, jak Komorowskiego, (śpiewaka Kaliny) i Elsnera i kilku rzeźb na budowach, jak figury na Resursie Obywatelskiej i postaci przedstawiającej zadumanie na balkonie domu narożnego na ulicy Wilczej i Marszałkowskiej; wykonał niemało popiersi, medalionów i posązków mniejszych rozmiarów.

Najgłówniejszą zasługą zmarłego artysty i tytułem do pamięci i wdzięczności jest to, iż on pierwszy wybiegłszy po za tory sztywnego i chłodnego klasycyzmu, wskazał drogę po której rzeźba idąc może sobie zdobyć prawo życia, uznanie i obudzić zamiłowanie w szerszym kole miłośników sztuki.

Jego posąжки królów i znakomitych ludzi odlewane w gipsie, miały kiedyś wielkie w Warszawie powodzenie, za nimi też poszedł cały szereg małych popiersi i medalionów brązowych, znakomitych ludzi, odlewanych w zakładzie Mintera.

Od lat kilku bawiąc zagranicą naprzemian w Paryżu i Londynie, próbował szczęścia i za morzami, pragnąc przenieść do Brazylii swą umiejętność rzeźbiarską i ruchliwość produkcyjną:—niepowodzenia w tój ostatniej wyprawie znacznie go złamały na duchu a podkopały na zdrowiu.

Główną cechą charakterystyczną jego zdolności i umiejętności rzeźbiarskiej była łatwość w chwytaniu i odtwarzaniu wyrazu twarzy i postaci. Z epoki najbardziej rozwiniętej działalności Święc-

kiego w Warszawie, znajduje się w ręku prywatnego miłośnika sztuki cały szereg małych posążków portretowych współczesnych, pełnych wybornego wyrazu i życia.

† Dnia 3 kwietnia r. b. umarł we Lwowie **Ludwik Zieliński**, redaktor *Lwowianina*, pisma treści krajowych wiadomości zillustracyami. Zbiórcały tego czasopisma wynosi tomów dziesięć od r. 1835—1842. Ogłosił drukiem nadto: melodramat „*Gonzales z Kordowy*“ powieści „*Panowanie Władysława Hermana*“ i *Karol XII król szwedzki*“ (1841—1842) „*Pamiętki historyczne krajowe*“ 1841 r. „*Zbiór pism różnych autorów*“. *Zbiór różnych użytecznych wiadomości*“.

† Dnia 22 Kwietnia r. b. zakończył życie ś. p. **Maksymilian Eyszkowski** b. dyrektor gimnazjum realnego w Warszawie. Urodzony w Galicyi 1810 roku, nauki wyższe skończył w uniwersytecie Lwowskim. Opiekun młodzieży i jej przyjaciel, umiał sobie zjednać powszechny szacunek i miłość: Na polu literatury znanym jest z wydanych prac: 1) *Wypisy z pisarzy polskich zawierające po większej części przedmioty realne*, w czterech tomach, Warszawa 1849—1851 r. które były do użytku szkolnego przeznaczone. 2) *Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego*. Warszawa 1855 roku.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

ANNA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

St. M.

OSOBY:

HRABINA HELENA.

EDWARD jój syn.

ANNA MOSTOWSKA ich krewna.

PANI WOJŚLAWSKA przyjaciółka hrabiny.

HRABIA ILDEFONS brat pani Wojsławskiej.

HRABIA MIŁOSŁAWSKI wuj i opiekun Anny.

STANISŁAW ORŁOWSKI rządcą dóbr hrabiny.

REJENT i goście u hrabiny.

ANDRZÉJ służący hrabiego Miłosławskiego.

JAN służący hrabiny.

Chłopcy pokojowi.—Żydzi i chłopci.—Tłum.

Rzecz dzieje się na wsi w majątku hrabiny.

AKT I.

SCENA I.

(Salon wspaniale urządzony. HR. HELENA I STANISŁAW *się* dążą *naprzeciw* *siebie*).

HRABINA.

Przerażasz pan mój umysł, takimi rachuby,
Jak Jeremiasz wygłaszasz wciąż prorocstwo zguby;
Zawsze, zawsze od ciebie słyszę jedno słowa.



STANISŁAW.

Tak jest, pani hrabino, chcę by moja mowa
 Zdołała cię powstrzymać nad przepaści brzegiem;
 Wpadliśmy w prąd straszliwy, lecim z jego biegiem:
 Jeszcze chwila, zginiemy. Hrabina dokładnie
 W tych rachunkach dopatry, jaki los wypadnie.
 Nie czcza to gadanina, lecz dwa a dwa cztery,
 Chcę zostać nieugięty, niezbląganie szczery;
 Więc powtarzam raz jeszcze: w podobnym stosunku,
 Za rok jeden nie będzie żadnego ratunku.

HRABINA.

Więc ratuj nas zawczasu, panie Stanisławie,
 Ja biędna tracę głowę, w szalonej obawie,
 Niepokojach o przyszłość, męcę się i biedzę;
 Położenia naszego zatraciłam wiedzę,
 Opuszczona kobieta! Ach tobie, mój panie,
 Powierzam przyszłość całą, całe zaufanie.

STANISŁAW.

A syn pani hrabiny, jego wezwać trzeba:
 Wszak dawno pełnoletni? Komużto? na nieba,
 Jak nie jemu, ratować dziedziczne swe mienie;
 Obowiązek go woła, woła go sumienie.
 Nie w zabawach czas tracić, paryskie wietrznice
 Stroić groszem ostatnim!... Wstyd mi płonio lice
 Gdy wspomnę jego sprawy!

HRABINA.

On w tych dniach przybędzie,
 Ale cóż tu poradzi? Jak ratować będzie?
 On nie zna się na niczém. Zastanów się panie.

STANISŁAW.

Tak, zapewne. Wyborne dostał wychowanie;
 Nie zrodzony we Francyi, zrodzony Polakiem
 Na Francuza chowany. Czemże jest? próżniakiem,
 Marnotrawcą; lecz innym, jakże on być może?

HRABINA.

Zbyt ostro pan go sądzisz, ale o mój Boże!
 Ja kobieta nie mogłam zdrowo o tém sądzić,
 A robiąc tak jak inne, nie chciałam pobłądzić.

STANISŁAW.

Hrabia Edward nie winien, nie zna prawie kraju,
 Ludzi tutejszych, życia; tęskni jak do rajy

Do Paryża, gdzie wszystko uśmiechem go nęci:
Z jezuitów zakładu nie wychodzą święci.

HRABINA.

Nie tego ja czekałam, po twém sercu, głowie.

STANISŁAW.

Daruj pani hrabina, tę cierpkość w mój mowie;
Raz trzeba w oczy zajrzeć, jakkolwiek jest wstrętna
Owój prawdzie. Rzecz dla mnie to nie obojętna.
(*po chwili*).

Jedna jeszcze rozumna, jest możebna rada!
Przyjmuję cały ciężar jaki na mnie spada,
Choć nie mam obowiązku...

HRABINA.

Ja dobrze pojmuję
Że kłopotać się z nami, pan nie potrzebuje;
Z twą zdatnością, rozumem, znaną uczciwością,
Wiem żeś pan poszukiwany przez innych z chciwością;
Wiem że ci ofiarują korzyści znaczniejsze,
Stanowisko odmienne, pole obszerniejsze...

STANISŁAW.

Statu quo być nie może; więc kładę warunek
Odrzekać dóbr połowę, pomniejszyć stosunek
Wydatków...

HRABINA.

Co? sprzedawać? za nic w świecie panie;
Nie możebne w téj chwili jest pańskie żądanie.

STANISŁAW.

Nie widzę innéj rady.—Nie mamy kredytu,
A procenta bajeczne nie czynią zaszczytu
Opinii naszéj. Podatki i ludziom zasługi,
Ordynaryo zaległe. Co dzień szereg długi
Biednych spłakanych kobiet, drzwi moje nachodzi;
Nie, znosić tego dłużéj, nawet się niegodził

HRABINA.

Więc cóż robić wypada? O Boże! o Boże!

STANISŁAW.

Jedno słowo hrabiny, zbawić tylko może:
Mam kupców w pogotowiu.

HRABINA.

Nie mogę,—nie mogę!

STANISŁAW.

Pani, gdy ujrzysz w domu dymiącą pożogę,
Czy wahasz się dom zwalić? My tak dziś stoimy.

HRABINA.

I z panów biedakami naraz się zrobimy.

STANISŁAW (*gorzko*).

Nędzne państwo z teatru, w papierkach ze szychu;
Wolałbym spokój w domu, choćby gdzie na strychu,
Jak to państwo fałszywel

HRABINA.

Gdyby tylko o mnie
Chodziło; wolałabym żyć w ukryciu skromnie:
Pomyśl pan, ja mam syna.

STANISŁAW.

Kto wie czy dla niego
W tym zwrocie los nie niesie środka zbawiennego;
Z pieszczochów wstają męże, gdy nędza dokuczy:
Gdy kto musi pracować, to się i nauczy.

HRABINA (*biorąc jego rękę*).

Pan naszym przyjacielem. W tobie ufność całą
Położyłam jak w bracie. Powiadam za mało:
Jak w ojcu, opiekunie. Lecz nie tylko włości,
Panu chętnie powierzam i serca skrytości.
Panu opowiem względy, dla których nie mogę
Na wskazaną przez ciebie wstąpić teraz drogę.
Zechciej pan mię rozumieć, właściwie ocenić:
Edward, powinien, panie, spiesznie się ożenić.
Czyż sprzedaż majątku mam drogę zagrodzić
Do szczęścia mego syna?

STANISŁAW (*do siebie*).

Lepiej ludzi zwodzić!
Zaprawdę, to loika, to pańskość szlachetna!

HRABINA.

I to w chwili téj właśnie, gdy karyera świetna
Sama się doń uśmiecha; gdy się tylko schylić
Potrzeba, by skarb podnieść.

STANISŁAW.

Musiąłem się mylić
W rachubie, bez tych planów. Tak, posagiem żony
Może łatwo majątek zostać oczyszczony:
Rzecz inna, wcale inna.

HRABINA.

Niech mi pan da słowo
 Że nie powiesz nikomu. Mamy rzecz gotową...
 Przyrzekasz pan milczenie?

STANISŁAW.

Jeśli się wydaje
 Potrzebném, będę milczał: na to słowo daję.

HRABINA.

Andzia ma kapitały złożone na banku...

STANISŁAW.

A,— a,— a,—

HRABINA.

Ona skargi, słysząc bezustanku,
 W szlachetnej wspaniałości sama ofiaruje
 Kapitały potrzebne; ależ pan pojmuje
 Kiedy jest małoletnią, za nic dobre chęci:
 Opiekuni jój chytry, zawiścią przejęci,
 Na summy podniesienie nigdy nie przystaną.
 Myślisz pan że hipotek naszych nie przejrzano?
 Jedna jest tylko rada, i niepróżna mrzonka:
 Wyratować nas może Edwarda małżonka.
 Musimy chłopca skłonić: on trochę swawolny
 Nie zechciał, powtarzając, że woli być wolny;
 Lecz gdy ujrzy panienkę w samotrzask popadnie.

STANISŁAW (*gorzko*).

Tak, rzecz dotąd się składa, wybornie, paradnie;
 Lecz czy serce dziewczyny tak łatwo przystanie?

HRABINA.

Nie kłopotczyny się o to! To Edzia zadanie.
 Zresztą o cóż się lękać? Chłopak wcale ładny,
 Paryżanin wytworny, wesoły, układny:
 Takim, serca dziewczątek nie chcą się opierać.
 Przytém, nie zna młodzieży, w kimże ma wybierać?
 Siedzieliśmy uparcie; te wieczne kłopoty
 Nie dały do wyjazdu środków, ni ochoty;
 Do stolicy przez zimę całą się zbierałam,
 Lecz przy ciągłych zmartwieniach w domu pozostałam.
 Andzia nie zna nikogo.

STANISŁAW (*do siebie*).

Przedziwna szczerościł

Czémże ja byłem dla niej?

HRABINA.

Trochę cierpliwości
Mój panie, a nasz projekt przywiedziem do skutku,
Pozbędziem się na zawsze kłopotów i smutku.

STANISŁAW (z ironią).

Interes jasny, czysty; (do siebie)
Frymarki na serca!
Biedna, biedna dziewczyno! Rozpustnik, szyderca,
Maż być twoim małżonkiem? (głośno)
Statu quo zostaje
Aż do powrotu syna....

HRABINA.

Teraz pan przyznaje
Że nie mogłam przystawać na sprzedaż majątku?
I dzieło ułożone psué w samym początku;
Choć Andzia nie jest chciwą, wcale — a, broń Boże!
Lecz ludzie, opiekuni, ktoś powiedzieć może
Że na posag dziewczyny stawialiśmy sidła.
Kiedy ona przeciwnie...

STANISŁAW (do siebie).

Intrygo obrzydła,
Jak umiesz siebie barwić!

HRABINA.

Kiedy ona z chęci
I z własnego pociągu dla nas się poświęci.

STANISŁAW.

Lecz w takim razie, pani raczy mię uwolnić
Od mego obowiązku.

HRABINA.

O! nie puszczę pana.
Ja nie chcę... Ja nie mogę pana zadowolnić. (z przymileniem)
Musisz pan zostać z nami.

STANISŁAW (stanowczo).

Nie, pani hrabino,
Jestem powodowany zbyt ważną przyczyną:
Idzie o przyszość... honor...

HRABINA.

A więc chciój się zwierzyć,
O co chodzi?

STANISŁAW (poważnie).

Ja proszę na słowo mi wierzyć.

S C E N A II.

Ciż.—HR. ILDEFONS.

ILDEFONS.

Vous avez une conférence avec votre intendant,
 Bien, nie będę przeszkadzał; bien, mais en attendant
 Przejrzę nowe dzienniki. (*bierze paczkę z poczty.*)

HRABINA (*szybko*).

Nie szkodzi—nie szkodzi.

(*do Stanisława*).

Później.

(*do Ildefonsa*).

Bo do mnie zawsze w porę pan przychodzi.

ILDEFONS.

Ces paroles m'enchantent, comtesse, sorties de votre bouche
 Zachwycają,—ma foi! Ach, mais Vous êtes toute rouge,
 Konferencya szła żywo.

HRABINA.

Te wiejskie kłopoty

Zatruwają nam życie; i nie jednéj cnoty
 Z konieczności nauczą.

ILDEFONS.

C'est juste, nie cierpię wsi,
 Oui, oui, je n'aime que la ville,—oui, la ville, toute ma vie,
 Na wsi siedziałem tylko dla niektórych osób
 Pour Vous, par exemple teraz.

Jeden tylko sposób

Zajęcia na wsi, konie;—mam pasyę do koni.
 Ale a propos panie, czy pan był u Doni?
 Biedna szlachetna Donia nóżkę skaleczyła.

HRABINA (*z współczuciem*).

Biedna klaczka, jak pragnę by się wyleczyła!
 Czy widziałeś pan ranę? panie Stanisławie,

ILDEFONS.

Ach, merci, zajmujesz się mą Donią łaskawie.

HRABINA.

Car elle est superbe, Donia moja faworytkal (*do Stanisława*).
 Proszę, zajmij się pan nią.

STANISŁAW (*skłaniając się, do siebie*).

O kobieto płytkal

Dla konia współczuć tyle, a przykre obrazy
 Pokrzywdzonych, nie budzą w twém sercu odrazy.
 Otóż to wychowanie świetne, salonowe,
 Wyrabia z żywych kobiet figurki woskowe.
 Kiedy czynu potrzeba, rozumu do rady:
 One tylko umieją głosić jeremiady!

ILDEFONS.

Nazwa ruska angielski Vous étonne chère comtesse,
 Jest pamiątką naiwnój, precudnój sielanki;
 I wspomnieniem woskowej rusałki—kochanki
 Si coquette et innocente, passionnée et honteuse.

HRABINA (*do Stanisława*).

Tém więcój ją polecam troskliwości pana.

STANISŁAW (*obojętnie*).

Nie warto się tém troskać, tak maleńka rana.

HRABINA.

Ze wsi jednak wyniosłeś pan miłe wspomnienia,
 A więc niesprawiedliwe były oskarżenia!
 Pan Stanisław przeciwnie, z zachwytem wychwala
 Rozkosze życia na wsi i tak się zapala
 Do swojego zawodu, że choć przedstawiono
 (Kiedy jego zdolności, wartość oceniono)
 Korzystniejsze warunki, lecz w innój gałęzi,
 On odrzuca i na wsi swe talenta więzi.

STANISŁAW.

Dziwny przesąd jest dotąd, a dla kraju zgubny,
 Choć zawód gospodarza ma być niby chlubny;
 Chwytają go się ludzie bez żadnych zdolności
 I często bez nauki, szczególnych skłonności.
 Cóż dziwnego że nędza wciąż do nich zagłada
 I że do zgarbionego podobni wielbłąda,
 W apaty, bezmyślności pędzą ciężkie życie,
 Lub się też pocieszają gdzieś za domem skrycie.

ILDEFONS.

Jedna na wsi przyjemność, to koni hodowla:
 Na to tylko się godzę; jeszcze i budowla...

STANISŁAW.

Nie w naszym kraju, panie, kapitał zbyt drogi
 Na zabawki podobne.

ILDEFONS.

Więc czémże na bogi,
 Skrócić nudy piekielne, o przekłete nudy!

STANISŁAW.

Najlepsze znam lekarstwo: to praca i trudy,
A przytém książek trochę, pisma peryodyczne
Wystarczyć mi potrafią.

ILDEFONS.

To zdanie prześliczne!
A nasz ludek kochany, leniwy, zuchwały,
Czy i dla niego pańskie nie stygną zapały?

STANISŁAW.

Lud nasz jest szorstki, ciemny, ale w głębi świeci
Takie zdrowie moralne, które fałsz nie szpeci,
Nie błyszczy dyalektyką; lecz chętny do czynu
Zresztą: doskonałości pragnący od gwinu
Jesteśmyż doskonalsi? Gdyby nam za pracę,
Jedyne utrzymanie, zatrzymano płacę,
Czyż znieśliibyśmy krzywdę z podobną pokorą?
Jak chłopka której nieraz mąż, dzieci kilkoro
Jeść wołają...

HRABINA.

O panie!

STANISŁAW (*gorąco*).

Czyż mniej samolubstwa,
Mniej próżności jest u nas? Czy nawet mniej głupstwa?
Gardząc i potępiając, jesteścież przykładem
Zacności? Czyliż mogą iść ślepo za śladem
Przez nas wytkniętym? Panie!

ILDEFONS.

Nie wiem jakim cudem
Zostałeś entuzyastą zetknąwszy się z ludem?

STANISŁAW.

Bo szedłem z sercem brata, szedłem z pobłażeniem.

ILDEFONS (*do hrabiny*).

Je ne le conçois pas. Różnimy się zdaniem.
Gospodarstwo na własném, pojąłbym, że może,
Przy szczególnych skłonnościach, szczególnym humorze
Być znośném, ale cudze... Impossible pardonner!
Widzę nasze pojęcia, zbytnie oddalone.

S C E N A III.

Ciż i P. WOJSŁAWSKA.

HRABINA (*zblizając się do niej z uprzejmością*).

Ach kochana Wandeczka tutaj nas szukała?
Czemu tak rano dzisiaj? Czyś nie dobrze spała?

P. WOJSŁAWSKA.

Często wzruszenia serca sen nam odbierają,
Choć nie przykre czuwanie, gdy myśli bujają
Po obrazach przeszłości, niby zapomnianych,
A w duszy tak głęboko, czule zapisanych.

HRABINA.

Vous êtes si bonne Vanda, i dla mnie pamiętne
Chwile wspomnień przeszłości.

P. WOJSŁAWSKA.

Komuż obojętne?

Nie prawdaż Ildéfonsie, tu chwile spędzone?
Jakżeż od tego czasu, wszystko odmienione?
Ty masz syna dużego, Helenko, na nieba!
Aby w niego uwierzyć, widzieć go potrzeba.
Ty tak młoda, tak świeża, si belle n'est ce pas mon cher?
Lecz któż to lepiej widzi que lui, mon pauvre frère!

S C E N A IV.

Ciż, ANNA (*wchodzi, z lekka kiwnęła głową głównej grupie i zbliża się do Stanisława*).

ANNA (*do Stanisława*).

To pięknie! bardzo pięknie! A lekcyi godzina?
Pan taki akuratny spóźniać się zaczyna.

ILDEFONS (*spiesznie porzucił panie podając rękę Annie*).

Bon jour belle nymphe, dzień dobry!

ANNA.

Dzień dobry! (*do Stanisława*)
Mój panie,

Proszę się wytłumaczyć, bo powiem kazanie.

STANISŁAW.

Sądziłem, pani czasu braknie w obec gości...

ANNA.

Złe pan wyobrazenie miał o mój pilności:
Goście dla cioci, a ja...

ILDEFONS.

O co rzecz się toczy?

Mais vous êtes impertinente, ludziom mówić w oczy!
Qui Vous a dit *do cioci*? O gdyby usteczka
Nie słodził uśmiech psotny, okrutne słóweczka
Zraniłyby śmiertelnie. Niewdzięczna istoto!

ANNA (*śmiejąc się*).

Nie byłam oskarżoną jeszcze nigdy o to,
O niewdzięczność: mój Boże!
(*Do Stanisława*). Jakże z lekcyą naszą?

ILDEFONS.

Cóż państwo mię lekcyami jak dzieciaka straszą?

STANISŁAW.

Jeśli pani rozkaże mogę zaraz służyć.

ANNA.

Nie każe, ale prosi. *(do Ildefonsa).*

Nie chcąc pana nużyć...

Uciekam...

ILDEFONS.

Ależ pani...

Oh! Un moment encore,

Ty mnie nużyć aniele, moi, qui Vous adore!

*(Anna wybiega ze śmiechem, za nią idzie Stanisław; Ildefons stoi chwilę zdekoncertowany, potem zbliża się do starszych pań).*HRABINA *(z przekąsem).*

Młoda nimfa uciekła, niewdzięczna filutka,

Comment donc la trouvez-vous?

ILDEFONS.

Prześliczna, milutka;

Lecz niechże drogie panie wytłumaczyć raczą,

Co lekcy z ekonomem... czy ze rządcą znaczą? *(złośliwie):*

Czy postęp tu się rozrosł w tak potwórną mierze,

Że pauna agronomii chyba lekcy bierze!

HRABINA.

Jestto człowiek z talentem, niezmiernie wymowny.

ILDEFONS *(złośliwie):*

Widzę że w oczach pańskich jest wielce szacowny!

HRABINA.

Jest z porządnej familii, z dobrąm wychowaniem,
(Oprócz kilku uprzedzeń), z wcale zdrowym zdaniem.

Chętnie prawdę każdemu na oczy wytyka,

Z Andzi tak się wyśmiewał... to jest z jój języka;

Tak pięknie deklamował Mickiewicza wiersze,

Że obudził w dziewczynie pragnienia najszczerze

Studyowania języka... i literatury;

Że na wsi w samotności żyjąc wśród natury,

Nieraz nudy dokuczają, zmęczają do szaleństwa;

Nie widząc w takich lekcyach nic niebezpieczeństwa,

Pozwoliłam, niech młodzi w poczęg się bawią:

Przyjdźcie państwo za chwilę—śniadanie zastawiają.

(Wychodzi).

S C E N A V.

ILDEFONS—P. WOJSŁAWSKA.

P. WOJSŁAWSKA.

Pięknieś mi się popisał, szalony człowieku!
 Dziewczynie pleść androny, tobie, w twoim wieku:
 Myślałam że ze wstydu, z złości spłonę cała!
 Gdybyś widział jak *ona* na ciebie patrzała;
 Je vous assure dla ciebie *ona* bardzo słaba...

ILDEFONS.

Daj pokój, je Vous en prie, taka stara baba!

P. WOJSŁAWSKA.

Ildefonsie! Mój bracie! Co tobie? Co tobie?
 Zbliź się tylko do lustra, przyrzyj twój osobie.

ILDEFONS (*prostując się w lustrze*).

Eh bien! nie tak źle jeszcze, podobny-m do ludzi.

P. WOJSŁAWSKA.

Zwiądła, zmarszczona cera ekliwość tylko budzi;
 Z pustą kieszenią, bracie, z pięćdziesięciu laty
 Nie myśl o pannie młodej, pięknej i bogatej,
 Jeśli nie chcesz się zrobić ludzi pośmiewiskiem!

ILDEFONS.

Położenie me w świecie i z moją nazwiskiem...

P. WOJSŁAWSKA.

O nie łudz się biédaku! Umyślnie dlatego
 Przebywałam w tym domu od czasu pewnego,
 Aby grunt pod nogami na pewno wybać,
 By potem plany nasze bez szwanku układać.
 Ty Andzię wybij z głowy: ona przeznaczona
 Dla Edwarda. Helena, oto twoja żona.
 Najpierw nie taka stara, coś przeszło czterdzieści,
 Summ jć na hipotece kilkakroć się mieści;
 Może zrobić zapisy pod pewnym naciskiem,
 Z dawnych wspomnień przeszłości, tyś jć sercu bliżkiem;
 Ze nie jest samowolną, można ją zafukać,
 A przytém łatwowierną: łatwo ją oszukać.
 Ildefonsie dla ciebie to żona jedyna!
 Znajdziesz u niej przytułek. Nie młoda dziewczyna...

(Ildefons wzdycha).

Bój się Boga! Mić rozum, odepnij pokusy.

ILDEFONS (*pieszczotliwie*).

Stworzona na pieścoty, figle i całusy;

Prześliczna, zręczna w ruchach, podobna do łani!
Achl...

P. WOJSŁAWSKA.

Niema téj dystynkcyi, miny wielkiej pani
Jak Helena.

ILDEFONS.

Dzieciństwo! Skóra się otrząsa!

P. WOJSŁAWSKA.

Patrzcie, stary na taką karyerę się dąsa!
Szczęście samo idące, rzuca bez zasady:
Zle wyjdiesz, jeśli mojej nie posłuchasz rady!

ILDEFONS.

Ecoute, a ten ekonom, coś mi podejrzany,
Trochę nadto łaskawie przez nią traktowany,
Nie wnijdzie on nam w drogę?

P. WOJSŁAWSKA.

Właśnie co mnie trwoży.

Byłby to cios okropny! Straszliwy sąd Boży!
Człowiek młody, przystojny i wiele ma sprytu;
Dziewczynie nie potrzeba więcej do zachwytu.
Niepodobna by mogła siebie tak poniżyć,
I aby on śmiał do niej w ten sposób się zbliżyć;
Badałam ją potrosze, lecz zręczna niezmiernie,
Tak mi się wykrycała zgrabnie, filuternie,
Że nie mogłam dopatrzeć, co tam w sercu na dnie,
Lecz po trochu się dojdzie, po trochu odgadnie;
W samą porę przybyłam, by pozrywać sieci:
Helena nie przezorna, sama w przepaść leci.
Jakże można pozwalać? Co jest niesłychanem!
Na tête à tête tak długie, panienki z młodzianem!

ILDEFONS.

Te lekcyc jój zanadto przypadły do smaku.

P. WOJSŁAWSKA.

Trzeba o niebezpiecznym tym pomyśleć ptaku.
Helena nie przezorna!

ILDEFONS.

To prawie ślepotą!

P. WOJSŁAWSKA.

Dla ciebie pożądana taka w żonie cnota:
Nie ujrzy nigdy dalej jak koniuszeczek nosa.

ILDEFONS (*śmiejąc się*).

Ty za to przejrzysz zdala, w tyle i z ukosa.
Nie lubię ja pod twoją zostawać kontrolą,
I nieraz mi już w życiu, byłaś w oku solą.

P. WOJSŁAWSKA.

Tymczasem, chciój posłuchać, bądź umiarkowany,
Raz przestań motylkować, braciszku kochany!
Potrzeba nam przytułku, straciłeś me mienie,
Dziś pamiętać i o mnie zniewala sumienie.
A z Heleną jedynie, powiadam otwarcie
Mogę zgodzić się w domu, mieć u niej oparcie.

(*Ildefons milczy, — po chwili*):

Tymczasem Ildefonsie, przędźmy tam do sali,
Podejrzanej nauce przyjrzeć się z oddali.

(*Wychodzą*).

S C E N A VI.

STANISŁAW (*wchodzi zamysłony głęboko*).

Z natłoku myśli, czuję prawie zawrót głowy...
Potrzeba mi wystąpić w okres życia nowy.
A jestem nagabnięty, nieprzygotowany.
Dwie mam drogi przed sobą... lub zwalczać Tytany!
Lub złamać własną istność! Gorące pragnienia,
Wszystkie słodkie nadzieje i wszystkie marzenia,
Dziwna, jak cała istność człowieka
Mogła zawisnąć od téj dziewczyny!
Jak cień sunąłem w jój ślad z daleka
Żyjąc rozkoszą jednéj godziny.
Jedna godzina, raju otwarcie,
Ona tak blisko mój mowy słucho;
Patrzyłem na nią, długo, uparcie
Zlewałem z duchem mojego ducha.
Czerpałem zdroje szczęścia, pociechy,
Albo z rozpaczny padł bez pamięci,
Jeżelim spotkał słodkie uśmiechy.
Albo dopatrzył cienia niechęci...

ANNA (*wchodząc*).

Panie Stanisławie,

Gdzie pan dziś myślą jesteś? Pewno nie w Lubawie:
Lekcyja ni to ni owo, zerwałeś się, zbiegłeś,
Wypracowania mego nawet nie spostrzegłeś.
A ja się wysadziłam, chciałam pana zdumieć:
Co panu jest? Doprawdy nie mogę zrozumieć.

STANISŁAW (*cofając się*).

Pani, lepiej nie pytaj...

ANNA (*przekornie*).

Właśnie będę pytać,
Aby na odpowiedzi zręcznie pana schwytać.

(*z przymileniem*).

To pięknie, mówić do mnie: nie pytaj: to pięknie,

STANISŁAW.

Może się pani zrazi, a może przełęknie...
Są prawdy, które lepiej, by wiecznie więzione
Tu... pieczęcią milczenia... by wiecznie tajone
Poszły z nami do grobu! Dobra, droga pani!

ANNA.

Dziwne wzruszenie pana moje serce rani.
Opowiedz mi, co panu? Chcę przybiedz z pociechą:
Każda twa boleść znajdzie w mojej duszy echo.

STANISŁAW.

Ja muszę ztąd odjechać..., boli mię rozstanie...

ANNA (*żywo*).

Dokąd, dokąd odjeżdżać? Na długo mój panie?

STANISŁAW.

Na długo: bez powrotu.

ANNA (*zakrywając twarz rękami*).

O Boże! O Boże!

(*po chwili*).

O nie, pan nie odjedzie; nie, to być nie może.
Lecz co panu się stało? O! proszę, bądź szczerzy..!

STANISŁAW.

Po co tak do mnie mówić? Pani zapomina,
Żem sługa twojej ciotki, żem nie z równej sfery..!

ANNA (*śmiejąc się*).

Nic nie rozumiem wcale, bredzić pan zaczyna;
Nie słucham o wyjeździe: nic z tego i kwita.

STANISŁAW.

Pani, jak płocho dziecię śmieje się i bawi,
A we mnie serce pęka i z bólu się krwawi.

ANNA (*patrząc mu w oczy*).

Więc czemuż tajemnica dotąd nie odkryta?

Tak prosiłam gorąco... A teraz gdy widzę,
Że pan cierpisz, doprawdy, za mój śmiech się wstydzę.

(podaje mu rękę).

Przepraszam, o przepraszam.

Mimo własnej woli
Musisz pan opowiedzieć co ciebie dziś boli,

(w pół z płaczem).

Lub będę, będę zaraz jak mazgaj płakała.

STANISŁAW.

O pan! Tyś zastępną sama rozerwała...
Gdy w przyjaźni siostrzaną darzysz mię ufnością,
Ja ciebie ukochałem gorącą miłością!
A więc muszę opuścić na zawsze te progi.
Może zdala zapomnę...

ANNA.

Nie, nie, Boże drogi!
Na myśl wiecznej rozłąki serce u mnie pęka.

STANISŁAW.

Choć dzieli nas przeznaczeń tak potężna ręka,
Gdy zechcesz, mogę wszystkie zapory pozrywać!
Tak, nie mogę utaić, i nie chcę ukrywać:
Mamy przed sobą walki. Isę przeciw prądowi
Musimy wypowiedzieć wojnę przesądowi!
Zwyciężyć twój rodziny pogląd na świat ciasny,
Jój dziwne uprzedzenia i interes własny.
Gdy zabraknie odwagi, będziesz mi zlorzeczyć:

ANNA.

O nie mów tak, mój panie! Bo muszę zaprzeczyć:
Nie widzę między nami takiego rozdziału.

STANISŁAW *(całując jój rękę).*

Twe słowa mię unoszą, przywodzą do szafu!
Ach! nie wiem w jaki sposób składać za nie dzięki!
Więc oddajesz mi serce? Nie odmawiasz rękę?

ANNA.

Ja nie wiem co mię czeka! Czy ja dobrze robię,
Lecz jam twoja na wieki! Chyba tylko w grobie
Zdołają nas rozłączyć.

STANISŁAW.

Pani ma kochana!
Nie śmiałem o tém marzyć, nawet dzisiaj z rana.

Lękam się niebezpieczeństw dla twego stroju:
 Czemuż tobie nie daję z miłością pokoju?
 Dlaczego w szczęsne życie ciężki bój przynoszę.
 O! ta myśl zdoła zatruć téj chwili rozkosze!
 Łagodne, wdzięczne dziecię, do szczęścia stworzone!
 Przemennie pierwszym życia cierniem ugodzone!

ANNA.

Nie mów tak, jam szczęśliwa, jak nigdy nie byłam;
 Oh! ja o panu nieraz, nieraz już marzyłam.
 Nie zdając sobie sprawy, z tęsknotą tajemną
 Ściagałam myślą obraz... Tyś zawsze był ze mną!

STANISŁAW (*obejmując ją*).

Oby Bóg twoją przyszłość szczęściem uweselił!
 Oby nas los okrutny nigdy nie rozdzielił!
 Byśmy zawsze złączyli... Na wieki.. (*odsuwając się*) Niestety!
 Nie rychło Anno droga staniemy u metyl!
 Tyś bogata!.. Nic nie mam, tylko własną pracę;
 Przedkowie twoi mieli dobra i pałace,
 A moi w skromnym dworku małe mieli włości.
 W oczach świata zbyt wielkie są to nierówności!
 Oh! góry nieprzebyte...

ANNA.

Zbyt się trwożysz panie;
 Ciocia dobra, kocha mię: na wszystko przystanie.

STANISŁAW.

Nie lędz się o najmilsza! Walczyć bądź gotowa!
 Wszak onaby wołała mieć z ciebie synową.
 Mdła pieśzcotliwość zniknie, rzeczywistość twarda
 Występuje w arenę.

ANNA.

Ja żoną Edwarda
 Nigdy, nigdy nie będę; nikt zmusić nie może,
 Ażebym dobrowolnie pchała w serce noże.
 Żadną mię nie zawiodą siłą do ołtarza!
 Jakiż twój umysł złąkły straszne widma stwarza!

HRABINA (*wpadając na scenę*).

Mój syn przyjechał, Edward: co za niespodzianka!
 (*wybiega*).

STANISŁAW (*do Anny*).

Otóż z wieścią szczęśliwą, szczęśliwa posłanka!

Achl to mi niespodzianka! Burza się gromadzi,
Ten człowiek nam z pewnością nieszczęście sprowadzi.
Czuję w nim przeciwnika.

ANNA.

Proszę, bądź spokojny!

STANISŁAW (*ponuro*).

Bądź spokojnym, gdy przepaść leży pod nogami!
Bądź spokojnym, gdy gromy huczą nad głowami!
(*Milczy z załamanemi rękami*).

S C E N A VII.

Ciż.—P. WOJSŁAWSKA.

Jakiż ten twój kuzynek miły i przystojny!
Nie pójdziesz go przywitać?

ANNA.

Pewno nie wypada.

P. WOJSŁAWSKA.

Owszem, owszem: Helenka będzie bardzo rada.

ANNA. (*patrząc na Stanisława*).

Achl! Niemasz nic pilnego; lepiej później: potem.

P. WOJSŁAWSKA.

Nie byłabym sądzika; przy twém sercu złotém,
Zkąd oziębłość dla syna drogiego Helenki?

STANISŁAW (*do siebie*).

Otóż pierwsze ataki do serca panienki
Będą bić w czułą strunę, w tkliwe przywiązanie.
Komedia rozpoczęła! Jakie rozwiązanie?

P. WOJSŁAWSKA (*cicho do Anny*).

Po cóż on tutaj siedzi? Jaka jego sprawa?
Comediez le donc ma chère.

ANNA (*żywo*).

Co? Ja nie mam prawa...

P. WOJSŁAWSKA (*półgłosem*).

Nie płać się w rodzinę, delikatność każe.
W scenach czulszych, bywają wstrętne obcych twarze.
(*Widząc że Stanisław bierze gazety, rusza ramionami*).

Voyer-vous donc ce que c'est, spoufalić un tel,
Rzecz pójdzie coraz dalej; voyez c'est naturel;

Potém gotów cię uczcić jeszcze swą miłością;
Nie gniewaj się: ostrzegam z całą życzliwością.

(do siebie).

Wyraźne pomieszanie, nie wiem co ma znaczyć,
Czylি niém oburzenie, czy miłość tłumaczyć.

ANNA (do siebie).

Ach! zaczynam pojmwować, co mnie dalej czeka!

P. WOJSŁAWSKA.

Uprzejmość dla takiego jest zgubną człowieka,
Próżno w głowie mu psuje i pokój zamąca.

(do siebie).

Coraz więcej wzruszona, prawie cała drżąca.

(głośno, biorąc jęj rękę).

Z Edwardem nie potrzebna za to twa ostrożność.

STANISŁAW (do siebie).

Jak chytrze chwyta nitki dostojna wielmożność!

P. WOJSŁAWSKA.

Helena ciebie kocha jak swą córkę własną;
Puis, vous êtes donc cousins. Andziu, a więc jasno,
Nie trzeba być lękliwą jak dzika wieśniaczka,
Która nim słówko rzecze, wprzódy spieczce raczka;
Lecz co tobie kochanko? Tak jesteś wzruszoną,
Milczącą tak uparcie, dziwnie rozstrojoną?

SCENA VIII.

Ciż. — HRABINA rozpłomieniona prowadzi za rękę EDWARDA, później
ILDEFONS.

HRABINA.

Nie wiem, czy droga Andzia sobie przypomina
Wesołego Edwardka, twojego kuzyna?

ANNA (podając mu rękę)

Pamiętam, choć inaczej pan wtedy wyglądał.

HRABINA.

Pan, pan; onby inaczej cię przywitać żądał.

EDWARD.

Wszak w Polsce pokrewieństwo sięga dość daleko?

P. WOJSŁAWSKA.

Wzrosliście jak rodzeństwo, pod jedną opieką.

EDWARD (*chce ją w twarz pocałować, gdy Anna się cofa, całuje jej rękę*).
Nie lękaj się kuzynko! Elle est un peu sauvage.

P. WOJSŁAWSKA.

To właściwe, mój hrabio, na wsi, à son age.

EDWARD (*do Ildefonsa*).

Polki słynne z pruderyj; nic nad Paryżanki!

P. WOJSŁAWSKA.

Dzień po dniu spotykają szczęsne niespodzianki:
Wczoraj brat mój przyjechał.

HRABINA.

To za długie chwile
Przykrości, nudów, zsyła Bóg pociechy tyle!

ILDEFONS.

A cóż Paryż, kochanka zapewne w żalobie?
Nie jedno oczka płaczą.

EDWARD (*z uśmiechem*).

Nie podchlebiam sobie.

ILDEFONS.

Lecz ja wiem jak to bywa.

EDWARD.

Pan po sobie sądzi,
Szczęśliwy jeszcze panie, kto się tak urządzi
Że po nim płaczą ludzie. Gdzie Bogiem pieniądze,
Miłość płatna, za złotem wszystkie dyszą żądze,
Tam ży chyba nie znają.

ANNA.

Ach to obraz piekła!
O takiego Paryża, o, jabym uciekła.
Jak można w nim przepędzać, przeżyć tyle czasu?

ILDEFONS.

Wiele, jako w stolicy tam zgiełku, chałasu,
Na tartar nie wygląda jednak Paryż wcale,
Ma foi, non, chère comtesse. Croyez, co za bałę!
Ahl j'étais hors de moi, na widok tych strojów,
Tych kaskad dyamentów, wytwornych pokojów,
Tych sylfid pływających z niewymowną gracyą...

P. WOJSŁAWSKA.

Jednak te wszystkie cuda, tak, Andzia ma racyą
Nie są bez stron ujemnych; obrzydliwa szpetność,
I ohyda, nurtują tę pozorną świetność.

Sam to nieraz mówiłeś do mnie w oburzeniu:
Dlaczego dziś wychwalasz w takim uniesieniu?

ILDEFONS.

Tak, zapewne...

EDWARD.

W tém piekle żyłbym wieki całe,
Tam życie w pełni kipi, wielkie i wspaniałe;
Tam w ciągłym nowych wrażeń, wypadków natłoku
Można przeżyć, doświadczyć więcej w jednym roku,
Niż na wsi wegetując nawet długie lata;
Tam ognisko, tam serce jest całego świata!
Tam uczysz się poznawać, zgłębiać na wskroś ludzi
Tam cię sentymentalność, poezya nie złudzi.
Rzeczywistość panuje, rzeczywistość naga!
Ta, do pojęcia prawdy życia dopomaga!

ANNA (*patrzac na Stanisława*).

Panegiryk głoszony z niezwykłą wymową
Nie przekonał mię wszakże; owszem, każde słowo
Budziło oburzenie i uczucie wstrętu.
I wątpię aby można wśród tego odmetu
Odnaleźć prawdę życia, perłę wśród śmieciska,
Tam gdzie wszystko pozorem, wszystko fałszem błyska;
Gdzie się żyje z dnia na dzień jakby na wystawie:
Czyliż nie mam słuszności, panie Stanisławie?

STANISŁAW.

Zapewne, jestto szukać harmonii w chaosie,
Lub nad prawdą rozmyślać w gorejącym stosie!

HRABINA (*pomięszana*).

A, przepraszam... przedstawić pana zapomniałam:
Pan Orłowski, o którym tyle ci pisałam...

(*Młodzi ludzie kłaniają się sobie obojętnie*).

ILDEFONS (*cicho do siostry*)

Vois-ta ma chère, la chose, serdecznie mię bawi
Wkrótce nam swych lokai hrabina przedstawi.

P. WOJŚLAWSKA (*do brata*).

Mnie nie bawi, przeciwnie, nikt nie wyobrazi
Combien cette scène ridicule przygniata mię, razi,
Jaka słabość Heleny! Oto w jednym słowie
Ten nieznośny zuchwalec przewrócił im w głowie.

(*Zasłona spada*).

AKT II.

Salon wielki, wspaniały, przy zastawionym suto stole siedzą: najpierw Pani Wojsławska z jednej strony, obok niej hrabia Miłosławski; z drugiej Anna, z nią Edward; naprzeciw hrabina, obok Ildefons i Stanisław.

S c e n a I.

HRABINA.

Chciałabym Cycerona posiadać wymowę,
By wyrazić mą wdzięczność, za dowody nowo
Łaskawości twój hrabio. Dziś twe imieniny
Wolisz je z nami spędzić, niżli wśród rodziny:
Myśmy na tyle względów, nie nie zasłużyli.

HRABIA.

Tak dawno nie widziałem pani i pupilli.

ANNA.

Ja doprawdy, wujaszku, bez ciebie tęskniłam,
Nieraz za Chojnicowem myślami goniałam:
Wierz mi dobry wujaszku.

HRABINA.

Czemuż hrabio drogi
Nie uprzedziłeś pierwój, że raczysz me progi
Zaszczycić swą bytnością; bo inne przyjęcie
Znalazłbyś i gościnność.

HRABIA.

Co masz za pojęcie
Dziwne hrabino o mnie; wszak wiesz, że prostota
Skromność są mi najmiłsze: może jestto cnota,
A może wy dziwactwem to we mnie zowiecie.
Odrębne mam pojęcia o życiu, o świecie:
Mam do zbyteków, świecideł, wstręt niepokonany.

P. WOJSŁAWSKA.

Hrabia z surowych zasad daleko jest znany:
Hrabia chowasz pieniądze na wznioślejsze cele.

HRABINA.

Pan hrabia w okolicy, tu stoisz na czele,
Każdy o tobie mówi ze czcią, uwielbieniem!
Jakżem rada, że syn mój za piérwszém wstąpieniem
Do kraju, poznał pana, wzór obywatela!
Słońce, które promieñmi chojnie nas obdziela!

HRABIA.

Przesadzacie się panie w pochlebstwach, grzecznościach,
Pan Edward po paryzkich, lekkich znajomościach
W twardeńm obejściu naszym nie może smakować;
Nam potrzeba oszczędzać, uczyć się, pracować;
Paryzkie zbytki młodzież psują, bałamuca:
Nudzą się i marnieją gdy do kraju wrócą.

HRABINA.

Właśnie, poznanie takich jak pan hrabia ludzi,
Zamiłowanie w pracy pewno w nim obudzi.
Gdybyś nie był łaskawie, nas hrabio uprzedził,
Mój syn w tych dniach z pewnością byłby cię odwiedził.
Przez długie lata życie tak mi się składało,
Że smutkiem, przykrościami tylko obdarzało;
Lecz za to teraz niebo! jakże chojnie darzył!
Tyle drogich ujrzałam wkoło siebie twarzy.

P. WOJSŁAWSKA (*do Anny*).

O droga Andziu, słuchaj, mogę ci zaręczyć,
Ty jednęś zdołasz słówkiem to szczęście uwieńczyć:
Iy tylko jedna Andziu.

EDWARD.

Ty możesz kuzynko,
Lecz czemu na mnie patrzysz z taką kwaśną minką.

ANNA (*niechętnie*)

Nie lubię allegoryi.

P. WOJSŁAWSKA.

Będzie szczerą mową,
Zechciój tylko dosłuchać ostatniego słowa.

EDWARD.

Więc mam mówić otwarcie?

ANNA (*kwaśno*)

Nie jestem ciekawą.

EDWARD.

Dlaczego jesteś dla mnie, tyle nie łaskawą?

HRABIA (*podnosząc toast*).

Bodajby się spełniły hrabino, życzenia
Twojego serca, a którym nie dam dziś imienia!

(*Wszyscy piją przywytwarzając prócz Anny*)

EDWARD (*do Anny*)

Czemu nie powiesz amen?

ANNA (*przykładając do ust kielich*).

Owszem, piję zdrowie.

EDWARD.

O co innego chodzi... Niech kuzynka powie,
Dlaczego dla méj matki taka dziś niechętna?

ANNA.

O nie, nie, dobroć cioci zawsze mi pamiętna.
Względem niej nie chciałabym, nigdy, nic przewinić.

P. WOJŚLAWSKA.

Cependant ma bien-aimée, nie chcesz nic uczynić
Coby mogło Helenie być teraz przyjemne,
A swoją oziębłością rzucasz płamy ciemne
Na słońce jej radości.

ILDEFONS (*wstając z kielichem*)

Pozwolicie panie,
Że na mnie... ja zabieram na siebie zadanie,
W imieniu tego grona, hrabiemu wieszować
I wyrazić uczucia szacunku, przyjaźni
Któremi tu przejęci...

EDWARD (*śmiejąc się*).

Mówże pan wyraźniej.

ILDEFONS (*kończąc*)

Choć mowa niezbyt płynna, chciój hrabio darować,
Pozwól, niech za pomyślność ten toast wychylę.

(*Wszyscy piją*).

ANNA.

Oby Pan Bóg wujaszku, dał ci szczęścia tyle,
Ile pragnę dla ciebie.

HRABIA.

Dziękuję ci dziecię,
Ja również powodzenia życzę ci na świecie.

ANNA (*smutnie*).

Nieśmiem w spełnieniu życzeń już nadziei żywić,
Losby mię nie potrafił łatwo uszczęśliwić:
Jestem wymagającą.

HRABINA.

Ty wymagającą?
Doprawdy, nie wiem o tém.

P. WOJŚLAWSKA.

Andzia jest marzącą:

Takim główkom szalonym, gwiazdki się zachciwa,
A najbardziej owocu z edeńskiego drzewa.

EDWARD.

Marzycielstwo wysmiane w wieku dziewiętnastym:
Dziś panienki realne, już w roczku piętnastym,
Czternastym, trzynastym.

HIRABIA.

Chwała jegomości!
Piękneś w Paryżu zrobił widzę znajomości.
Bez marzeń, wnet do życia brakłoby zasobu,
Marzym o przyszłym życiu wstępując do grobu.
One czynią że ziemię rzucamy z weselem:
Któż z nas nie był i nie jest dotąd marzycielem?

EDWARD (*do Ildefonsa*).

Ta Polska, kraj odmienny, wszystko tu dziwaczne!

ILDEFONS.

Ależ bo paradoksa wyrzucasz rozpaczne!

EDWARD (*szydlerczo*).

Więc pan marzysz? Doprawdy, z tém ci nie do twarzy.

STANISŁAW (*patrząc na Annę*).

Są istoty, których los łaskami nie darzy,
Którym szczęście się wcale, lub rzadko uśmiecha:
Dla tych senne marzenia to cała pociecha.

EDWARD.

Wolę inne pociechy, lecz z rzeczywistości,
Dobrą pieczeń naprzykład.

ILDEFONS.

Ty jesteś kość z kości

Prawy syn twego ojca...

EDWARD (*cynicznie*).

Czyś pan wątpił o tém?

ILDEFONS.

On téż wszystko wyszydził i pomieszał z błotem.

EDWARD (*do Anny z udaną sentymentalnością*).

Chciałbym wiedzieć kuzynko, o czém się marzyło?

ANNA (*udając śmiech z wewnętrznym gniewem*)

Aby najmniej młodzieży takich jak ty był!

EDWARD (*trochę zmieszany*).

To komplement nie lada!! To grzeczna osoba
I cóż się tak kuzynce we mnie nie podoba?
Czyż nie umiem dość zręcznie, dowcipnie cię bawić?
Powiedz kuzynko, bym mógł prędko się poprawić.

ANNA (*tlumiac łzy*)

O, właśnie mnie twój dowcip wiedzie do rozpaczyl...

EDWARD.

Tak? Lecz ty masz łzy w oczach? Andziu co to znaczy?
(*Anna wstaje i odchodzi*).

HRABINA.

Drażnisz ją dowcipkami.

P. WOJSŁAWSKA (*cicho do Edwarda*).

Ona kocha pana,
Lecz trochę rozmarzona, rozegzaltowana,
Nie znosi twych żarcików. Dziewczętom właściwa
Sentymentalność panie.

EDWARD.

To Polka prawdziwa:
Francuzki lubią dowcip, wesołe żarciki;
(*ciszéj*)
Nie cieszą się, wyznają, te śmieszne wybryki!

P. WOJSŁAWSKA.

To budzących się uczuć, właściwe symptoma,
Miłość jak nimfa z piany, czysta, nieświadoma
Budzi się w jéj serduszku.

EDWARD.

Dziwnie się objawia
Ta miłość, którą pani prześlicznie wystawia,
To dąsem, to przekorą, a nareszcie łzami.
Nie; w końcubym zwaryował, widzę, między wami.
(*Wszyscy wstają od stołu, p. Wojsławska podaje rękę hrabiemu, hrabina Ildesonsowi, młodzi idą za nimi, lokaje zostają*).

S C E N A II.

JAN, ANDRZÉJ i kilku ze służby.

JAN (*siadając przy stole*).

Siądźno, panie Andrzeju, teraz na nas pora:
(*do chłopców*)
Podajcieuo sztufadę, i resztki indora;

Buteleczki nie próżne, użyjem do sytu:
Bogu dzięki że państwu brakło apetytu.

ANDRZEJ.

Jakto? I nikt nie przyjdzie tego tu pochować?

JAN.

A niechże Bóg zachowa! No, proszę skosztować.

ANDRZEJ.

Ho, ho, to uwas panie jest inny porządek!
A to się mnie podoba, to mi jest rozsądek!
To już wiész przecie bratku, że u hrabiów służysz.

JAN.

U was czy nie tak samo?

ANDRZEJ.

Panie Janie, bzdurzysz!
Pies niéma co wylizać, wszystko pochowają,
Resztki obiadu, wina, do kupy zlewają.

JAN.

To haniebnie, jak widzę jest u was do czarta!

ANDRZEJ.

Możesz myśleć co taka panie służba warta.
Prawda, że płacą dobrze i na zawołanie.

JAN.

Z tém to u nas przeciwnie. Czy boskie skaranie?
Gdy prosisz o zasługi nigdy grosza niéma.

ANDRZEJ.

No, państwo niby szumne, tak się to nadyma,
A kieszenie golutkie. U nas bo inaczej,
Człek niczego nie liźnie, ani się uraczy,
Ale chleba dostatek! Nie zgorzój, nie zgorzój,
Żona, dzieci w wygodach, dobytek się mnoży.

JAN (*wzdychając*).

U nas pozał się Boże! (*wskazując na galony*).

Człowiek złotem świeci,

Za to żona bez sukni i w łachmanach dzieci.

Mam ci rewers to prawda, lecz kiedy dostanę,

Mnie zda się że to państwo (*dmucha*) w puch będzie rozwiane!

ANDRZEJ.

Nie kłopotcz się braciszku, toć pańskie ostatki
Są lepsze niż szlachcica, zwyczajne dostatki!
Stare przysłowie uczy.

JAN.

Daj Boże! Daj Boże!

ANDRZEJ.

Odbierzesz swą należność jak Bóg dopomoże,
Bo ja coś kombinuję i pewno nie zbłądzę;
Edward poślubi Andzię i będą pieniądze!

JAN (*podnosząc kielich*).

Wypić panie kochany na szczęście się godził
Niech twe słowa się sprawdzą! Wiwat państwo młodzi!

ANDRZEJ.

Wiwat należność twoja! Kupisz folwark bratku,
Będziesz sobie szlachcicem, hrabią na ostatku:
Ja do śmierci już będę w liberyi chodził,
Bo mi z tém najdogodniej, bom się do nićj zrodził.
Panisko nasze nie złe, choć każe pracować,
Sam utyka i nie da nikomu próżnować.

JAN.

Co mi w żaden się sposób nie chce w głowie zmieścić,
Jako hrabia tak wielki może się bezcześcić
Pracą, po ekonomsku. Może rano wstaje?

ANDRZEJ.

Jakże? Starszylacheckie u nas obyczaje,
Śniadanie jest o siódmój.

JAN.

No proszę, no proszę,
Ja sam o tój godzinie ledwo się podnoszę.
O południu śniadanie, obiad o tój porze,
Tak bywa na hrabiowskim każdym wielkim dworze.
Wytłumacz mi przyczynę mój panie Andrzeju,
Przecież w głowie hrabiemu nie braknie oleju,
Nie z chudych też pachółków, ale jest pan z panów:
Czemuż żyje opacznie? Tylko się zastanów!

ANDRZEJ.

Dużoby o tém gadać; hrabia rzecz wykłada,
Jako czasy są inne, pracować wypada
Każdemu, czy bogaty, czyli tóż ubogi,
Że świat cały na takie teraz wchodzi drogi;
Że tylko w jednej Polsce równe jest próżniactwo,
A z tego bięda, głupstwo i wszelkie łajdactwo.

JAN.

Toć może jest w tém słuszość. Wszak wielcy panowie
 Wychodzą na biédaków; niechże mi kto powie,
 Co znaczą tacy państwo jak ci co tu siedzą,
 Naszą biédną hrabinę do reszty objedzą.
 Piękne mieli majątki, a dziś wieczna biéda,
 On ostatnią klacz swoją jako słyszę sprzeda.

ANDRZEJ.

Nasz hrabia ją kupuje.

JAN.

Tak, tak, tak słyszałem,
 Otóż co mu zostało po bogactwie całém!
 Z tém wszystkiém dziwnie jakoś, kiedy taki hrabia
 Żyje jak szlachcic prosty co to się dorabia.

S C E N A III.

Zmiana; mały buduar wytworny.

ILDEFONS. — P. WOJSŁAWSKA.

ILDEFONS.

Voyez vous, ne l'ai je pas dit, wszystko idzie sprzecznie;
 Ona nie chce Edwarda, ścina go bajecznie.

P. WOJSŁAWSKA.

Lecz kocha Stanisława, to rzecz niewątpliwa!
 Jak powiedzieć Helenie, ona tak szczęśliwa,
 Tak radosna buduje swe zamki na lodzie;
 Jak powiedzieć o przykrój, dotkliwej przygodzie?

ILDEFONS.

Bagatelle! Ma chère Vanda, ot może go lubić,
 Une sympathie, lecz nie to, by chciała zaślubić;
 Un beau garçon ma foil..

P. WOJSŁAWSKA.

Nie pozwolim na to,
 Nigdy! Póki ja żyję! Nie! Nawet sam Kato
 Nie był tak niezblagany, twardy, nieugięty,
 Jak ja, gdy przyjdzie walczyć dla idei świętej;
 Serce pęka, gdy patrzę jak arystokracja
 Nasza co dzień upada.

ILDEFONS.

Jest racja.

P. WOJSŁAWSKA.

Jest racya?

A któż winien jak nie wy? Tak zobojętniali
 W najświętszych obowiązkach, chłodni i ospali
 Nie czujecie, że w sprawie dziedzicznej a wielkiej,
 Solidarności trzeba! Użyć broni wszelkiej;
 Nie wahać się przed żadną, powiadam przed żadną!
 Chociażby się wydała z pozoru szkaradną!
 Lecz wam dzisiaj petite crevés, próżno mówić o tém!
 Wy gonicie za fraszką, uciechą i złotem,
 Obojętni na resztę! Nie lepsza Helena!
 Zelektrykuje ciebie może jedna scena;
 Wpadłam na ślad rendez-vous. Ujrzym zalecanki,
 Ukryjmy się starannie ot tu za firanki.

(Pociąga brata i ukrywają się).

S C E N A IV.

ANNA.—STANISŁAW.

ANNA *(rzuca się na kanapkę przyciskając czoło).*

Ach! jak jestem znużoną, jak mię bolą skronie!

STANISŁAW *(stając przed nią).*

Czemuż ja cię nie mogę utulić na łonie?
 Otoczyć cię najmiłsza, po mężku opieką,
 Wstyd rozpala mi lica, drży łyza pod powieką.
 Radbym wypchnąć natrętów! Potargać intrygi
 Nędzników, co z pochlebstwy biegną na wyścigi!

ANNA.

Ciszéj! Na Boga ciszéj! Ściany mają uszy.

STANISŁAW.

Więc dobrze, niech słuchają! Niech je grom rozkruszy!
 Niech rozsypią się w gruzy, ukażą nas światu!
 Dostyc skrytych tajemnic! Dostyc udawania!
 Nie zawiodą daleko ni łyzy, ni wzdychania.
 Trzeba dłoń zranić kolcem, aby dostać kwiatu!
 Potrzeba bój rozpocząć! Czy czujesz dość siły?

ANNA.

Twe słowa się boleśnie w mém sercu odbiły,
 Do kroku stanowczego potrzeba rozwagi...

STANISŁAW.

Wątku, słaba dziewczyno, ty nie masz odwagi
 Powiedzieć tym bogaczom, że chcesz najemnika!...
 Arystokratom wyznać że ważysz swe losy
 Związać z losem prostego jak ja śmiertelnika!

ANNA (*z bólem*).

O, nie mów tak mój drogi! świadkiem mi niebiosy,
 Że nie słusznie posądzasz mię o takie winy.
 Nie wstydę się wyboru. Lecz... Boże jedyny!
 Jak z tymi, których kocham przykro bój zaczynać!
 Wszystkic najdroższe z dawna porozrywać związki
 I podeptać wdzięczności winne obowiązki.
 Ona matką mi była, nie chciéj zapominać!

STANISŁAW (*gorzko*).

A więc idź za Edwarda! Jam w rodzinne koło
 Wplątał się nie potrzebnie! Słuszna na mnie kara!
 Bom opłótt wieńcem z ciernia twe niewinne czoło,
 Masz słusność, nie dobrana wcale jest z nas para!
 (*roztkliwiając się*).

O Anno, błogom marzył! Dzięki za marzenie!
 Za chwil kilka pamiętnych, za to upojenie
 Będę cię całe życie kochał, błogosławił,
 Bom poznał co to szczęście, choć serce zakrwawił!

ANNA (*uroczyście wznosząc rękę*).

Przysięgam ci na Boga co patrzy z wysoka,
 Że miłość ma dla ciebie wieczna i głęboka
 Starga wszystkie zapory... I twoją jedynic
 Żoną zostanę... twoją...

STANISŁAW.

Wyrzekłaś nie bacznie!
 Słowo przysięgi, luba, tak lekko wypłynic,
 Lecz obarcza sumienie, wkrótce ciężyc zacznie.
 Pozałujesz być może, a tam, tam już w górze,
 Te słowa trwaléj wryte niżli na marmurze.

ANNA.

Ach! podobna nieufność smuci mię, obraża.
 Czyż nie czynię ofiary ze wszystkich świętości?
 Przysięgę chcę powtórzyć u stopni ołtarza,
 Jak ją dzisiaj ślubuję w serca głębokości!

STANISŁAW (*biorąc jéj rękę*).

Więc pójdźmy tak złączeni wyznać miłość naszą!
 Ty powiesz: Postuchajcie! Oto mój wybrany!
 Za nie nie złamię wiary w sercu ślubowaném;
 Łzy wasze mię nie zmiękczą, groźby nie ustraszą!
 Więc chodźmy, chodźmy droga!

ANNA (*zakrywając twarz rękami*).

Jeszcze później nieco...

Tu w głowie się przewraca... w oczach gwiazdki świecą...

STANISŁAW (*patrzy na nią chwilę, potem mówi*).

O nie! Ja przewiduję, my nie dojdziem celu,
Przy anielskich przymiotach i przy cnotach wielu
Jednej ci nie dostaje: odwagi do czynu.
Mdła jesteś jak gałązka w twych włosach jaśminu,
Spieszczono cię, zmiękczone w pańskim wychowaniu,
Nie podolasz trudnemu na dzisiaj zadaniu!

S C E N A V.

Ciż—EDWARD (*wpada, staje zdumiony*).

EDWARD.

A co? co? co to znaczy? Państwo tu oboje?
Tête-à-tête! Lecz nie nudna samotność we dwoje.
(*złościwie*).

Co, nie prawdaż kuzynko?

ANNA (*seryo*).

Proszę mię zostawić

W pokoju, bardzo proszę.

EDWARD (*złościwie*).

Więc wolicie się sami moi państwo bawić?
Chciałbym jednak posłuchać o czém gawędzicie.
(*Chwila milczenia*).

Andziu, mam prawo przestrzedz, że nie przyzwolicie
Z młodym człowiekiem samój zostawać tak długo,
Jakkolwiek jest on niższym jakby twoim sługą.
(*Podaje jej rękę i chce uprowadzić*).

Służę ci.

STANISŁAW (*blagalnie*).

Zostać chwilkę proszę, bądź łaskawą!

EDWARD (*z oburzeniem*).

Jak śmiesz pan o to prosić? I z kądże masz prawo?

STANISŁAW (*z mocą*).

Prawo jakie nadaje nam miłość kobiety.

EDWARD.

Co to jest? Co pan mówisz!

STANISŁAW (*dobitnie*).

Powiedziałem jasno,
Że miłość ukochanej kobiety....

EDWARD (*z oburzeniem i złością*).

Niestety!
Nazbyt jasno! Ze zgrozy niechaj słońca zgasną!
Niech ukryją sromotę, hańbę w naszym domu!

(*do Anny*).

Ty milczysz? Nie pojmujesz zniewagi ogromu?
O! powiedz mu, że podły, bezczelny, że głupi!

STANISŁAW (*trząc cały*).

Panie, taką obrazę chyba krew okupi...

EDWARD (*wściekle tupiąc nogą*).

Ktoś ty? Śmiesz o krwi mówić! Ja jak psa wypędzę!...

ANNA (*zbliża się do Stanisława i bierze go za obie ręce*).

Więc wypędź i mnie także! bo w świętej przysiędze
Przyrzekłam jemu miłość.

(*Edward załamuje ręce, z za firanek wybiegają Ildefons i pani Wojsławska*).

P. WOJSŁAWSKA.

Coś rzekła? Szalona!

Czyż mogę ci pozwolić lecieć prosto w zgubę?
O, zwróć się z nad przepaści, bo jest niezmiernona;
Biedna ciotka widziała w tobie szczęście, chlubę,
I w sercu swém żywiła szczęśliwe zamiary:
Ty za to jój gotujesz boleści bez miary!

ILDEFONS.

Pani nie znasz ważności fałszywego kroku,
Nadzwyczajność ma tyle dla ciebie uroku,
Że dla niej święcisz szczęście własne i rodziny.

P. WOJSŁAWSKA.

Achl do czego prowadzą szaleństwa dziewczyny?

ANNA (*stanowczo trzymając ciągle ręce Stanisława*)

Przyrzekłam jemu wiarę, wyrzeczone słowa
Serce me do ostatka, do zgonu dochowa:
Nie silcie się odmawiać.

P. WOJSŁAWSKA.

Ty nie wiesz gdzie mierzysz!
Nie wiesz jak strasznym gromom Helenę uderzysz.

Zastanów się... czas jeszcze... O dziecko kochane!
Chcesz rzucać drogi życia kwiatami usłane,
Puszczać się na rozdroża. Chcesz podeptać szczęście:
Nigdy przystać nie mogę na takie zamięście!

HRABINA (*srowadzona przez Edwarda*).
Andziu! Andziu! Na Boga! Cóż ja usłyszałam?

ANNA (*przyklękając przed nią*).
O przebac ciociu boleść jaką ci zadałam!
Proszę, błagam, nie chciój mię od czynu odwodzić,
(*składając ręce*).
Niezmienne o cioteczko me postanowienia!
Nie chciój drogi jedynę mi do szczęścia grodzić?

HRABINA.
Jak mam przystać na twoje szalone zachcenia?
O Andziu! ty jak dziecko chcesz się ogniem bawić!

P. WOJŚLAWSKA.
Czyż można szalonemu w ręku miecz zostawić?

ANNA.
Ja nie jestem szaloną, lecz chcę być szczęśliwą!
Jemu serce oddałam, i on tylko może
Rozerwać nas na wieki łączące ogniwo!
(*wznosząc ręce do góry*).
Lub ty śmiercią rozdzieliłś chyba Wielki Boże!

EDWARD.
Waryactwo bezrozumne! Nad wszelkie pojęcie!

HRABINA.
O Andziu, nie bądź głuchą na łzy, na zakłęcie!
O ukochane dziecię mić litość nademną!
(*chwieje się*).
Mdło mi... umieram... Boże! jak mi w oczach ciemno.
(*p. Wojsławska i Anna chwytają ją i podtrzymują*).

P. WOJŚLAWSKA.
Twoje dziecko niewdzięczna!
ILDEFONS (*biorąc hrabinę w pól*).

Na wolne powietrze!
(*Wynosi ją, za nią idą p. Wojsławska i Anna*).

EDWARD (*do Stanisława*).
Taki widok nędzniku, niech cię na proch zetrze!

Widzisz, chytrość podstępna dokąd nas zawiodła!
Zachciałeś jój posagu!

STANISŁAW (z bolesném oburzeniem).

O jakże myśl podła

Powstała w twojej głowie! W chwili uroczystej!
Sam chciałeś ją poślubić... lecz nie mówmy o tém,
Bo nie chcę się powalać twego serca błotem!
Przysięgam, od téj zbrodni jam jak anioł czysty!
Kochałem duszę piękną, anielskie oblicze,
Umysł wzniosły któremu gdym skrzydła odpełtał,
Zawiodł mię jako Danta w niebo, Beatrycze;
Będę rajskie rozkosze na wieki pamiętał...
Choć...

EDWARD.

Poezyą złudziłeś, zmaniłeś dziewczynę,
Jako wąż się wśliznąłeś zdradziecko w rodzinę,
By potargać jój szczęście, by pokój zamącić,
By dziecko z przeznaczonój kolei wytrącić!
Lecz nic z tego nie będzie! Ona małoletnią,

(złościwie)

Nie może rządzić sobą. Nigdy nie uświetnią
Naszéj familii związki takiego rodzaju.

STANISŁAW.

Odpłacać obelgami ja nie mam zwyczaju
Jak wy, co wychowaniem piękném się chełpicie!
Dla zmazania obrazu chętnie oddam życie!
Dziś do sadu hrabiego ja się odwoływam....

EDWARD.

Dobrze, dobrze, odchodzę, na sąd go przyzywam.

STANISŁAW.

Jemu honor powierzam i przyszłości losy.

EDWARD.

Dobrze, więc niechaj jego rozstrzygają głosy! (odchodzi).

S C E N A VI.

STANISŁAW (sam).

Teraz próbę odbędziesz ty najszczerze złoto!
Stary hrabio zwieńczony już aureolą,
Ze swoją demokracją, stoicką prostotą!
Ty orle nad małostki świata uniesiony,
Czyż cię na widok słońca oczy nie zabolą?
Czy powiesz zacny panie, że jestem szalony,

Śmiertelnik wznosząc oczy na magnatów córę!
 Biedak na chleb powszedni pracujący sługa,
 Skazany całe życie jak bydlę do pluga,
 Zem śmiał swoje pragnienia podnosić tak w górę.
 Ona mię opuściła, i nic przy rozstaniu
 Nie rzekła, tak struchlała, jakby gołębnica
 Przez jastrzębi ścigana. Zjawienie—dziewica
 Jako cień znikająca przy słońca powstaniu.

S C E N A VII.

Tenże. Hrabia MIŁOSŁAWSKI i EDWARD.

HRABIA.

Z boleścią wysłuchałem zaszłe tutaj dzieje.
 Odwołujesz się do mnie, jak słyszę młodzianie;
 Sądzić teraz wyznaję, dość trudne zadanie,
 Gdy ten miota się z gniewu, ta z boleści mdleje.
 Jakiż sąd wydać mogę?

STANISŁAW.

Sąd nie będzie trudny,
 Gdy pan hrabia odrzuci stronność uprzedzenia.

EDWARD.

Strzeż się hrabio, ten człowiek w mowie jest uludny!

HRABIA.

Chcę sądzić wedle prawdy i wedle sumienia.

(do Stanisława).

Dlaczegoż jak człek prawy nie szedłeś otwarcie?
 Czemuś działał w skrytości przed opiekunami?
 Stawiałeś los dziewczyny na szalonej karcie,
 A jednak w tajemnicy przed światem, przed nami.

STANISŁAW.

Pan hrabia jesteś stronnym! Czyż słuszne wyrzuty?

EDWARD.

Słuszne, słowo honoru!

HRABIA *(do Edwarda).*

Nie mięszaj się wcale!
 Język twój strasznym gniewem, zawiścią zatruty,
 Za czarno rzecz maluje w zbytecznym zapale!

(Do Stanisława).

Nie słuszne, utrzymujesz, me zarzuty były?

STANISŁAW.

Jeśli hrabio zawinił, to zbytkiem pokory.
 Nie marzyłem by moje chęci się ziściły.
 Widząc że tutaj bóstwem próżność i pozory,
 Czyż mogłem ja wystąpić w konkurentów rządzie?
 Ukrywałem mą miłość bom chciał milczeć wiecznie.
 Nie wiedząc że me serce wzajemność zdobędzie!

HRABIA.

Pierwszy zarzut odbiłeś dobrze, dostatecznie.
 Ale czując nierówność, po coż po nią sięgasz?
 W rodzinie miłość bratnią i zgodę rozprzęgasz!

STANISŁAW (*śmiało*).

W obec Boga, sumienia, niemasz nierówności!
 Czyż warto się poświęcać dla takiej miłości
 Bratniej, co za podmuchem lada się rozwiewa?
 Znane mi do oporu tajemne pobudki:
 Oto interes własny, wyznam bez ogródki,
 W płaszczyk rodowej dumy chytrze się odziewa;
 Wszak zawsze tak bywało od początku świata?

HRABIA.

Wybornego znalazłeś w sobie adwokata!
 Dzielny chłopiec jest z ciebie i arcy wymowny!
 Gdyby na mnie zawisło, dałbym ci dziewczynę;
 Lecz inaczej wystąpić mam słuszną przyczynę:
 Oddaj się zatem lepiej na sąd polubowny.

STANISŁAW (*rzucając mu się w objęcia*)

Panu jak ojcu, ślepo me losy powierzam.

EDWARD.

Hrabio, oczom i uszom własnym nie dowierzam.
 Jakże można tak hrabio?...

HRABIA (*trzymając rękę Stanisława*).

Prosiłem Edwardzie,
 Byś nie mięszał się w sprawę. Zbyt jesteś gorący,
 Ludzi i ich uczucia nadto masz w pogardzie;
 Twój głos zamiast łagodzić staje się drażniący:
 Nie potrzeba słów wiele, rzecz sama przemawia,
 Bo wszakżeż Anna swoją miłość wam wyjawia?
 Wiem, światby mię potępił, wyrzucił przez wieki,
 Gdyby za mąż w ten sposób szła z pod mej opieki.

Lecz moja nad nią władza za lat trzy ustaje;
 Gdy będzie pełnoletnią, nikt nie może wzbronić,
 Ni ją przed jakimkolwiek małżeństwem zastonić:
 Niech więc wtedy postąpi jak jój się wydaje.

SCENA VIII.

Ciz. Pani WOJSŁAWSKA.

P. WOJSŁAWSKA.

Ledwie przyszła do siebie. O Boże! Okropność!
 Poradź hrabio, co każe nam działać roztropność;
 To zuchwałstwo! Bezczelność jest oburzająca!

HRABIA.

Lecz po cóż z armatami chodzić na zającą?

P. WOJSŁAWSKA.

Co? Co pan hrabia mówi?

HRABIA.

Chciałem ostrzedz panią,
 Że zbyt wiele chałasu robisz z małej rzeczy:
 Złe słowa gorzej jeszcze niżli sztylet ranią.

P. WOJSŁAWSKA.

Nie o małą rzecz chodzi, hrabia nie zaprzeczy.

HRABIA.

Ja zdanie twoje pani, považam wysoce,
 Lecz alarm, proszę wierzyć nic tu nie poradzi;
 Prędkiej porozumienie, do celu sprowadzi.
 Radzę czekać trzy lata: jeśli po tój zwłoce
 Anna zostanie stałą, niezmienną w zamiarze,
 Wtedy pobłogostawim zakochanej parze.

STANISŁAW (*całując jego rękę*).

Jam posłuszny jak ojcu, choć długie trzy lata
 Dla mnie będą wiekami.

P. WOJSŁAWSKA.

Tak pan Andzię swata?

Nie tę partyę jój matka zapewne marzyła.
 Biędna, biędna kobięto! Gdybyś dziś ożyła!

EDWARD (*zacierając ręce*).

Więc rzeczy załatwione. Kiedyż zaręczyny?

P. WOJSŁAWSKA (*patetycznie*).

Cóż rzekną panie hrabio, przodkowie rodziny,

Czyż w grobach nie zapłaczą?

HRABIA.

A to jest zabawne!

Pani wierzysz, że w niebie są różnice stanu:
Jakiż katechizm głosi, takie brednie sławne?

P. WOJSŁAWSKA (*po namyśle*).

Jeden jednak warunek ja dokładam panu:
Przez trzy lata nie zgłosisz się do niej ni razu.

STANISŁAW.

Niepodobna posłuchać pańskiego rozkazu!

P. WOJSŁAWSKA.

Jeśli miłość prawdziwą, szczerze przywiązanie
Zyskałeś pan; nie słusznie obawiasz się próby.
Nie na dnie i miesiące składaliście śluby,
Ale na życie całe.

STANISŁAW.

Niechaj się tak stanie!

Trzy lata będę czekał, milczał, i...

P. WOJSŁAWSKA.

Więc zgodzi!

HRABIA.

Dzisiaj Andzia do małżeństwa trochę jest za młoda,
Za trzy lata to pora.

STANISŁAW.

Lecz sprawa honoru

Czeka jeszcze na sądy.

HRABIA.

Według mego zdania

Edward winien przeprosić...

EDWARD (*ponuro*).

Niech mię nikt nie skłania

Do przeprosin lub usłępstw.

HRABIA.

Chciałbyś więc z uporu

Sprawę krwawo zakończyć? Później wrócim do niej,
A tymczasem zrobimy zawieszenie broni.

P. WOJSŁAWSKA.

Jeszcze jeden panowie przyjmijcie warunek,
Niech tajemnym zostanie zawarty stosunek

Do lat trzech. Czy dobrze? Co?

STANISŁAW.

I na to zezwalam.

Proszę Annie powiedzieć że jestem spokojny,
Że z ufną wiarą w przyszłość ja się ztąd oddalam,
Błogosławiąc za szczęście los na dzisiaj chojny!

(*P. Wojsławska i Edward odchodzą*).

HRABIA.

Dzielnyś chłopcze! Dalipan! Z całej duszy życzę,
By niebo uiszcilo serc gorących chęci;
Wierzaj, że mi zostaną na zawsze w pamięci
Słowa pełne zapалу i zacne oblicze.
Chciałbym nawet dopomódz, pragnąłbym pocieszyć:
Po tém co zaszło tutaj, nie możesz zostawać
W roli jakąś zajmował. By dzieło przyspieszyć,
Aby ludziom zgorszeniem, zgrozą się nie stawać,
Odmienne stanowisko potrzeba wyrobić:
Inne znaczenie w świecie sobie przysposobić.
Ja chętnie dopomogę pieniędzmi, wpływami...
Jednak rządząc zaślubić (mówiąc między nami),
Nie wypada dziedzicze sławnego imienia:
W świecie jeszcze panują różne uprzedzenia!

STANISŁAW.

Pokochała mię takim, niech takim zaślubi:
Kto probuje dróg nowych, ten stare pogubi.

(*z mocą*).

Niel żadnego ustępstwa ludzkim uprzedzeniom:
Ja nie będę się nigdy różnym bogom kłaniał,
Ni jak trzcina za wiatru kierunkiem się słaniał;
Służąc pysze światowej, kapryśnym zachceniom!
Bo chcę żywym przykładem i własną ofiarą,
Zburzyć głupich przesądów budowę prastarą!
Chcę być jedną kropelką w ponownym potopie,
Jednym tonem harmonii w niebie zanuconej;
Jeśli piersi roztrącę, w falach się roztopię,
Pójdę jednakże dalej słodko pocieszony,
Bom spełnił com powinien. Nie hańbi mię pracal
Nie poniża ubóstwo! Jeślim godzien Anny
Równy sercem, umysłem. Niech tęsknotę skraca
Zajęcie obowiązku i trud nieustanny.
Same czcze deklamacye w niczém nie pomogą,
Aby zdeptać łeb hydrze trzeba stąpić nogą!

HIRABIA.

Dobrze, dobrze mój chłopcze, jestem z tobą w zgodzie;
Nie chciałem cię wstrzymywać w szlachetnym zawodzie,
Chciałem tylko dopomódz w przyjsciu do własności.

STANISŁAW.

Kłam-bym zadał zasadom i własnej godności;
Niech świat widzi że można każde stanowisko
Podnieść własną wartością. W tém leży hart mężkil
Kto się zaprze sam siebie, ten upada nizko,
Niosąc dary bałwanom jak mędrzec ateński!
Smutną cechą i błędem dzisiejszego wieku
Jest owa połowiczność i chwiejność w zasadzie;
Ona sprawia że dobre dążenia w człowieku
Służą, jak świetny kostium w teatru parady,
Który się według woli, zdejmuje lub kładzie.

(Zasłona spada).

(Dokończenie nastąpi).

PORANEK FILOZOFII GRECKIEJ.

Pytagorejczycy.—Eleaci.—Heraklit.—Demokryt.—Stosunek ich do fil. nowoczesnej.

PRZEZ

Tadeusza Korzóna.

Nie będę mówił o pierwszych porywach myśli filozoficznej, jakie napotykaemy u Homera, Hezyoda, Muzeusza, owych wieszczów, twórców religii greckiej; pominię nawet Talesa i Siedmiu Mędrców, po których pozostały tylko urywkowe uwagi moralne, etyczne: chcę przyjrzeć się zadumanym obliczom tych filozofów, których głos wyraźnie do uszu naszych dochodzi, których słowa własnymi mogą czytać oczyma.

Przedwstępnie jednak, dla powzięcia nici przewodniej, przytoczę, co wygłosił o Bogu tajemniczy Orfeusz, zamknąwszy „drzwi przed profanami:“

„Jeden jest, spłodzony sam z siebie, i od jednego wszystko pochodzi; przez to wszystko sam on przenika, a nie widzi go żaden śmiertelnik... I nie masz nikogo prócz wielkiego króla, którego jednak sam nie widzę, bo dokoła otaczają go chmury. Wszyscy śmiertelnicy mają w oczach śmiertelne źrenice, bezsilne do oglądania rządcy wszech rzeczy Zeusa... Ujrzy go chyba potomstwo starożytnego plemienia Chaldeów, ponieważ poznało bieg gwiazd i ruchy nieba koło ziemi“...¹⁾ Obojętną dla mnie jest rzeczą, czy te ustępy pochodzą wprost od Orfeusza, czy też dotknęła ich ręka zbieracza (Onomakryta w VI wieku), gdy sam Onomakryt był Grekiem dawniej daty, gdy nadto doszły nas myty o Kronosie i Oceanie, więc są one jasną formułą przebijającą się od najdawniejszych czasów dążności do szukania jedyne go stwórcy ziemi i świata, jedyne go Bóstwa. Ośmielę się postąpić jeszcze o jeden krok dalej i powiem, że te same ustępy są śladem najdawniejszej pierwotnej wiary w jednego Boga, że późniejsze niezliczone bóstwa mytologii greko-italskiej są tylko przymiotami rozczłonkowanej pierwotnej jedynej idei²⁾.

¹⁾ Mullach: *Fragmenta Philosophorum Graecorum* Ed. Firmin Didot. Parisiis 1860. Orphica w urywku 1-ym wiersze 8—10, 13—16 i w urywku 2-im wiersze 23—26.

²⁾ Wniosek ten powzięty pod wrażeniem, jakiego się doznaje czytając filozofów greckich, jest zgodny z wnioskami *Mytologii Porównawczej* co do pierwotnej religii rodzaju ludzkiego. Z radością też znalazłem tę samą myśl i dostateczną liczbę dowodów w świeżo ogłoszonym dziele: M. E. Filloul, *Histoire re du Sidole de Périoles*, Paris 1873, tom I str. 15—21, tom II, 357—362.

Ta przedwstępna uwaga przyda się nam przy rozglądaniu się w pomysłach filozofów, w tym poczcie bogów, pół-bogów, demonów, których Grek ustawiał pomiędzy sobą a niebem, a którzy mogliby przerażać i gmatwać wychowanego na pojęciach jednobożnych czytelnika.

I.

Radbym pierwszy hołd złożyć Pytagorasowi (ur. 580 r.), ale ta wielka postać jest otoczona tyloma wątpliwościami krytyki niemieckiej, że osmię się napomknąć tylko o paru pomysłach nie ulegających zaprzeczeniu. „Liczbie wszystko przystoi. Liczba boska występuje z niepokalanego ukrycia jedności i postępuje ku przenaświętszej czwórce, która rodzi macierz powszechną, wszystko mieszczącą, szanowną, wszystkiemu kres stanowiącą, niezmienną, niestrudzoną dziesiątkę.“

Cóż znaczą te liczby? Jakież są ich zastosowania?

Od samego Pytagorasa dowiedzieć się nie możemy, tylko od jego zwolenników, trzymając się najczęściej powtarzanych wyrażen, dotrzemy do zasadniczego pojęcia.

Oto w „Świętej Przemowie,“ przypisywanej samemu Pytagorasowi, jako liczba liczb wszystkich uwielbiany jest Bóg. Początkiem wszystkich liczb jest *jedynka*, *monada* a główną wiązką, „przedziałem“—dziesiątek (dekada), bo żeby dojść do 20, 30, 100 a chociażby milionów, musimy wciąż doliczać 1, 2, 3, 4 do nowego dziesiątka. Wszakże ten sam dziesiątek otrzymujemy już przez dodanie czterech pierwszych liczb ($1+2+3+4=10$).

Więc podstawą, zasadą, siłą dziesiątka jest owa *czwórka*, czy też liczba czwórkowa, *tetraktys*. Niepodobna dowiedzieć się czy sam Pytagoras rozwinął wszystkie przymioty tej liczby, np. że w równej zostaje odległości od pierwotnej jedynki i od poważnej wielce siódemki, (która w zakresie dekady jest liczbą „dziewiczą“ bo nie przyczynia się do utworzenia żadnej innej liczby, a zarazem nie mającą matki, bo sama nie zawiera w sobie żadnej z liczb poprzednich, oprócz jedności); że wyraża sobą ciało, bryłę, kiedy 1 jest tylko punktem bez wymiarów, 2 linią, a 3 trójkątem, płaszczyzną; że posiadamy cztery władze do sądzienia o wszystkich rzeczach: rozum, uniejętność, mniemanie i czucie; że, zawierając się pomiędzy jednością, która wszystko rodzi i siódemką, która matki nie posiada, tetraktys zawiera w sobie potęgi tego wszystkiego co rodzi i zrodzonym bywa, że jest przyczyną i twórcą świata. To tylko zdaje mi się być pewnym, że Pytagoras *mówił* o tej liczbie

Podobny pomysł tylko mniej wyraźnie sformułowany i w postaci przykładu przytoczony znajduje się u Hegla: „Ludy wschodnie starały się zaradzić (brakowi zupełności w orzeczeniach) dodając do wyrazu Bóg mnóstwo *imion*, aż imiona te stały się niezliczone“ (Encykl. d. Phil. § 29).

i że wielkie jój nadał znaczenie, ponieważ urywki i komentarze uporczywie wspominają o „tym, który nam liczbę czwórkową przekazał”¹⁾.

Bóg, bogowie, demony, wszechświat, ludzie, ich cnoty, występki, wszystkie zjawiska i wszystkie przedmioty zostały w liczbę, w stosunek ujęte. Bóg jest liczbą liczb; wszechświat składa się z dziesięciu sfer, które na podobieństwo strun wydają przecudną acz niedosłyszaną dla ucha ludzkiego harmonią; harmonią też jest dusza ludzka; z harmonii tonów tworzy się muzyka i t. p. Przez lat blisko tysiąc liczni wielbiciele Pytagorasa snuli obszerny system kosmogoniczny, metafizyczny, etyczny a wśród mnóstwa pomysłów często mylnych, mglistych, mistycznych, ale zawsze wzniosłych, niepodobna dowiedzieć się, które mianowicie mistrzowi przypisać należy. Nieufna krytyka uczonych XIX wieku może zaprzeczać podróży jego po Fenicyi, 12-letniemu pobytowi w Babilonie²⁾, może podawać w wątpliwanie nawet podróż jego do Egiptu, z kąd wszakże pochodzić musi głoszona przez Pytagorasa nauka o przechodzeniu dusz (metempsychoza); nie zdoła jednak zatrzeć w umysłach naszych wrażenia, że potężną a płodną musiała być myśl tego męża, skoro tylu filozofów pracowało nad rozwijaniem jego tematów i zadań, że szlachetnym być musiał jego charakter, skoro zwolennicy, rzeklibyśmy, wyznawcy jego nauki, używali powszechnie zaszczytnego poważania za życie cnotliwe, skoro pozostawili nam długi szereg przepisów wzniosłej moralności. Za szkic etyki pytagorejskiej niech posłużą następane przytoczenia: „Czcij najprzód bogów nieśmiertelnych, szanuj przysięgi, potem uczcij sławnych bohaterów i demonów ziemskich uczciwem postępowaniem. Nie popełniaj nic ohydneho ani pospołu z kimkolwiek ani też sam pojedynczo, a bardziej niż innych bój się samego siebie.... A nie dopuszczaj snu do znużonych oczu, zanim nie rozważysz po kolei czynów dnia tego: w czém zgrzeszyłem? com zrobił? com zaniedbał z rzeczy, które zrobić należało?”³⁾. Zale-

1) Sextus Empiricus (adv. Mathem. VII, 94, adv. Anthm. IV, 2) w „Złotym Wierszu Pytagorejozyków w. 47—48, w Komentarzu Hieroklesa XX; same ustępy i wskazówki źródłowe można znaleźć w zbiorze Mullacha: *Fragmenta Philosophorum Graecorum* d. Didot, Parisii 1860, str. 196, 200, 464—5. O „Świętej Przemowie“ wspomina Diog. Laert. lib. VIII, c. I, 7 i przytacza jój początek („młodzieńcy to wszystko w spokoju ducha szanujcie”). Nie przekroczyłem zdaje się granic, zakreślonych przez zbyt może nieufnego Uebervoga (*Grundriss der Gesch. d. Philos.* Berl. 1867 str. 47), bo nie przypisując „złotego wiersza“ samemu Pytagorasowi, korzystał z podań pytagorejskich miałem prawo.

2) Grote (*Hist. Grecyi* w tłum. niem. Meissnera. Lipsk. 1851, T. II, str. 626) nie zaprzecza im bynajmniej.

3) *Aureum Carmen Pythagoreorum*, wiersze 1—4, 11—12, 40—43 w zbiorze Mullacha str. 193, 195. Ostatni wiersz (w czém zgrzeszyłem etc.) znajduje się jeszcze i u Diog. Laert. VIII, c. I. 22, jako zabytek po samym Pytagorasie.

cał też Pytagoras, aby przychodzący z ofiarą przystępowali do bogów w szatach nie kosztownych, lecz chędogich i czystych, a przestrzegali, iżby nie tylko ciało było wolnem od wszelkiej zmy, ale też duch był nieskalany ¹⁾.”

Czyż takie przepisy etyczne nie sięgają do głębi ludzkiego sumienia?

Oto inne ustępy, w których wytknięte są cele życia: „Zasada życia jest taka, ażeby życie ludzkie było jak najświętsze i najsprawiedliwsze.“ „Skoro opuściwszy ciało wstąpisz do wolnego eteru, będziesz nieśmiertelnym bogiem, niepodlegającym już potem zepsuciu i śmierci ²⁾.”

Stosunek do bliźnich zbliża się do pojęć chrześcijańskich: „Szukaj ludzi przygnębionych ciężką niedolą, nieszczęśliwych, którzy nie widzą i nie styszą, że dobre jest blisko: nie wielu bowiem umie wydość się z biedy. Tych, którzy krzywdę wyrządzili nie karz, dosyć bowiem są własną złośliwością udęczeni ³⁾.”

Trudno jest wyrokować o politycznych pojęciach Pytagorasa, o zakazie jedzenia bobu przez wstręt do głosowania na zgromadzeniach ludowych w miastach demokratycznych; trudno wyrozumieć, o ile słuszną była nienawiść, z jaką ścigało go stronnictwo „Kylńczyków“, czy widoki samolubne popychały sektę do ubiegania się o władzę w miastach italskich i sycylijskich? Duch, jaki ożywił mistrza odbił się zapewne w takich podaniach i maksymach uczniów: „Pytagoras spytany, jak należy postępować względem niewdzięcznej ojczyzny? odpowiedział: jak względem matki. Król powinien nastrojać sprawy publiczne za pomocą praw, niby lirę. Prawa zaś powinny być wryte nie na drzwiach i domach, lecz w umysłach obywateli ⁴⁾.”

Jakkolwiek zachodzi wątpliwość, czy zdaniem Pytagorejczyków liczby i stosunki były rzeczami samemi, czy tylko treścią tych rzeczy; jakkolwiek pokładane na badaniu liczb nadzieje okazały się w wielu razach zawodnemi, bo nie uchroniły od błędnych pojęć o wszechświecie: to jednak system cały imponował majestatem, podzegał myśl, uszlachetniał serce, podnosił charakter. To też w odnowionej postaci utrzymywał się jeszcze w V wieku po nar. Chrystusa, a Hierokles

1) Z Diodora Sycylijskiego: fragm. 66 u Mullacha, 503.

2) Stobaeus Floril V, 69 i Carmen aureum. 70—71.

3) Carm. aur. 54—57, Anton. et Maxim. serm. de ira p. 330;

(u Mullacha str. 503).

4) Stobaeus Flor. XXXI, X, 25 XLVIII 61—62, XLIII, 95. (u Mullacha str. 503, 532, 534). Grote protestuje przeciwko mniomaniu Nieubr'a i innych znakomitości, jakoby Pytagoras przybywał do Krotony w celach politycznych. Jako przybysz nie mógł nawet brać udziału w sprawach publicznych (II, 629—637).

(ur. około 412 r.) wykładał go w szkole Aleksandryjskiej w obec panującej już wiary chrześcijańskiej.

II.

Przenieśmy się teraz myślą, o lat mniej więcej sześćdziesiąt po śmierci Pytagorasa (um. około 510) ku połowie V wieku do Aten i stańmy na progu przesławnego wieku Peryklesa. Chwała zwycięstw nad Persami, wzrost pomyślności ekonomicznej, wykwintność obyczajów i wschodząca już plejada znakomitych mówców, poetów, artystów, wdzięk religijnych obchodów, wszystko to ściągało do Aten rzesze ciekawych Greków z rozmaitych stron świata owoczesnego, ze wszystkich miast, które się rozsiały po brzegach morza Śródziemnego. Świetnie obchodzono tu „Panatenee,“ uroczystość pamiątkową zjednoczenia gromad dawnych w jedną gminę ateńską, święto założenia rządów ludowych, demokracji, przez Tezeusza. Szczególnie pamiętni się stały Wielkie Panatenee 446 roku. W obec największych znakomitości swojego czasu „ojciec historii“ Herodot czytał ustępy swego wiekopomnego dzieła, które zjednały mu oklaski słuchaczy, 10 talentów nagrody ze skarbu publicznego i uwielbienie młodego Tucydyesa. Na tę zapewne uroczystość przybył z italskiej Elei siwizną ubielony, powszechną czią otaczany, pięknego oblicza, orlego polotu myśli mędrzec—Parmenides ¹⁾. Towarzyszył mu uczeń i żarliwy wielbiciel 40-letni Zeno z nowym dziełem filozoficznym. Zamieszkali na przedmieściu na placu zwanym Kerameikos, gdzie grzebano poległych w boju żołnierzy, w domu Pitodora. Tu spotkał się z wielkim mistrzem młody Sokrates, jeszcze podówczas nieznaną snycerz. Kilkogodzinna rozmowa wyrzyła się głęboko w pamięci młodzieńca. Wspominał o niej przez całe życie.

W ciżbie świątecznej znajdowali się może inni spółcześni filozofowie: Anaxagoras z Klazomeny, nauczyciel Peryklesa, Protagoras nauczyciel jego synów, Dyogenes Apolloniata, Archelaos z Miletu, ale społeczność nie wystarcza do postawienia faktu, gdy wyraźnego świadectwa historycznego nie posiadamy. Zresztą do uświetnienia tej chwili wystarczy spotkanie takich dwóch filozofów jak Parmenides

¹⁾ Pobyt Parmenidesa w Atenach na obchodzie Panatenuw, opisany przez Platona (Parmenides w rozmowie wstępnej) znajduje wiarę u krytyków niemieckich np. *Ueberweg*, *Grundr. d. Gesch. d. Philos.* str. 59, *Mullacha* przy *Fragmentach Praefatio de Parm.* str. 109. Data jednak może być obliczoną tylko w przybliżeniu. Obierając rok 446 poszedłem za zdaniem p. *Filleul*, *Histoire du siècle de Périclès* tom I, str. 311.

i Sokrates. Poznajmyż bliżej dostojnego starca. Żebyśmy jednak głębiej wejrzeć mogli do myśli jego, musimy cofnąć się wstecz do lat młodości, do nauki nauczyciela jego Xenofanesa (ur. około 578 r.).

Uchodząc przed Persami, którzy zburzywszy państwo Krezusa, rozbiegli się po całej Azji Mniejszej i zdobywali nadbrzeżne kolonie greckie, 25-letni Xenofanes opuścił rodzinne miasto Kolofon i ruszył na długą wędrówkę, najprzód do Hellady, a potem do dalszych greckich państw¹⁾. Chodził zapewne z lirą w rękę, bo obyczajem ówczesnych rapsodów śpiewał swe rymy na igrzyskach i wszelkich uroczystościach, które gromadziły znaczną liczbę słuchaczy. Nie schlebiał im jednak, nie bawił, owszem karciał surowo lekkomyślność tłumu i skażenie obyczajów.

„Jeżeli ktoś pozyska tryumf szybkością nóg, lub w pięciorakich zapasach nad brzegami Pizy w owęj Olimpii, gdzie stoi świątynia Jowisza, ten zwykle nabywa większego szacunku w mniemaniu współobywateli, i otrzymuje pierwsze miejsca na igrzyskach, i pobiera utrzymanie ze skarbu publicznego, i obdarzany bywa jeszcze cennym podarunkiem. A to wszystko dostanie i taki, który prześcignął innych na rydwanie, chociaż jest niższy wartością odemnie: albowiem mądrość nasza więcej waży, niżeli siła ludzi i koni... albowiem, jeżeli miasto posiada dobrego szermierza, nie będą przeto sprawy publiczne dobrami kierowane prawami. Nie wielką uciechę odnosi ztąd miasto, jeżeli ktoś odniesie zwycięztwo w zapasach nad brzegami Pizy, bo nie takimi rzeczami bogacą się skarbcze miejskie: „Już bowiem umyte są posadzki, czyste są ręce biesiadników i puławy; jeden wkłada uplecione wieńce, drugi przyrządza wonne olejki w czarze; zastawiono stągiew pełną uciechy; jest już i wino w obfitości słodkie, przyrządzone w amforach, zięjące zapach przyjemny... ściany brzmią śpiewem i hulaszczem weselem. Wszakże mężom poważnym przystoi nasamprzód uczcić bogów zbożnemi słowy i czystemi głosami, tyle zaś tylko wypada używać napojów, iżbyś mógł wrócić do domu bez przewodnika, chyba że jesteś starcem zgrzybiałym. A na pochwałę zasługuje taki, który przy uczci opowiada rzeczy pożyteczne o cuocie, o ile mu starczy pamięci i chęci. Nie opowiadajmy o bojach Tytanów lub Gigantów, lub o czynach Centaurów, nie powtarzajmy tych baśni, zmyślonych w dawniej przeszłości; ani owych kłótni i plotek bezcelowych, ale czcimy bogów zawsze należnym uszanowaniem²⁾.”

1) Sardes zostało zdobyte zapewne w 554 r., miasta greckie nie mogły być podbite przed 553 (Rawlinson, *The five great monarchies* III, 376, przyp. 20 oraz str. 384). Więc Xenofanes urodził się około 578.

2) Fragm. 19 i 21. Urywki autentycznie cytowane będą zawsze podług zbioru Mullacha.

Nie dziwi nas po odczytaniu podobnych ustępów, że Xenofanes nie zdobył sobie miejsca w poczcie znanych i sławionych greckich poetów. Prócz bowiem formy miarowej (którą niestety! w tłumaczeniu niniejszém zatarliśmy), nie znajdujemy tu ani uroczych rojeń wyobraźni, ani wybuchów gorącego uczucia, ani nawet zwinnych pocisków dowcipu, ironii, właściwej satyrykom. Przedmioty są przedstawiane dokładnie, trzeźwo, w rzeczywistych prozaicznych zarysach, a tymczasem z każdego ustępu wygląda myśl badawcza, śmiała, burząca wszystkie ideały, jakie wypiastowali wieszczowie. Wszakto jednocześnie w Atenach, które Xenofanes zwiedzał, zbierano pieśni Homera i hymny Orfeuszowe, a kapłani skazali zbieracza, redaktora ich (Onomakryta) na wygnanie za jakieś dodatki, czy zmiany. Nie zważając na usposobienie słuchaczy, nie oglądając się na niebezpieczeństwa, Xenofanes śpiewa dalej mową Homera potępienie dla utworów Homerowej fantazyi: „Homer i Hezyod przypisali bogom to wszystko, co się u ludzi uważa za wstyd i hańbę; głosili że bogowie czynią mnóstwo niegodziwości, że okradają się wzajemnie, cudzołożą, oszukują.“ „Gdyby woły i lwy miały ręce, lub potrafiły malować i rękoma robić to, co ludzie robić umieją: wtedy woły i konie malowałyby bogów podobnych do koni lub wołów, a każde zwierzę kształtowałoby postacie podobne do ich własnego ciała“ ¹⁾.

Wędrowny filozof nie wiele zapewne doznawał uprzejmości od ludzi, a pomyślności w życiu. Bodaj do marzeń rzadko ziszczanych odnieść należy ustęp idylliczny: „Dobrze jest w zimie gwarzyć przy ognisku, leżąc na miękkim łożu, najadłszy się, popijając smaczne wino i przeżuując groch: do jakiego należysz rodu? ile lat sobie liczysz? moją pocziwczę? ile lat miałeś kiedy Medowie napadli? Po większej części czytamy wyrzuty i skargi; czasem broni się widocznie od napaści („niesłusznym jest to wymaganie człowieka bezbożnego od człowieka bogobojnego“), a i w późnej starości powiada ze smutkiem: „oto upłynęło już 67 lat, odkąd wędruję po Helladzie obarczony myślami i troską“ ²⁾.

Miał wszakże chwilę błęgiego zadowolenia, chwilę szczęścia, znanego tylko ludziom nauki i myśli. Długo rozmyślając nad pomysłami mędrców społecznych i dawnych, przez całe życie spierając się ze współziomkami o wiarę, o bogów, o cele życia, doszedł nareszcie do wniosków własnych i złożył własny system filozoficzny. Ta epoka twórcza zaświtała dla niego niewątpliwie w Elei, bo starożytni mieścili go na czele szkoły Eleatów ³⁾. Tu zapewne znalazł już pilnych słuchaczy i miłujących go uczniów; tutaj tylko mógł z nauk jego korzy-

¹⁾ Fr. 7, 6.

²⁾ Fr. 17, 25, 24.

³⁾ „Pokolenie filozofów elejskich od Xenofanosa“ (Sophistes, Platona).

stać Parmenides. Z mieszkańcami Elei łączyły go żywsze, niż gdzieindziej sympatyę, przybyli bowiem niedawno z jego stron ojczystych z Fokei, uchodząc jak on niegdyś przed Persami, rzuciwszy przekleństwo na spółobywateli, którzy woleli pozostać pod władzą najezdźnika. Wygnaniec znalazł zapewne serdeczne u wygnańców przyjęcie, serdecznie też śpiewał hymn przy założeniu téj osady pod włoskiem niebem, na lukańskim wybrzeżu, która miała zastąpić mury dawnéj utraconéj ojczyzny.

Oto jest jego nauka, a raczój kilka zarysów systematu, gdyż ze wszystkich pism jego posiadamy zaledwo 27 autentycznych urywków :

„Jeden jest Bóg najwyższy z bogów i ludzi, niepodobny od śmiertelników ani z ciała, ani z duszy.“ Cały On jest wzrokiem, cały pojęciem i cały słuchem.“ „Lecz porusza wszystko siłą ducha bez trudu...“ „Nieruchomość zaś zawsze pozostaje w jednym niezmiennym stanie, a nie widzimy żeby coś przenosiło się samo w inne miejsce“¹⁾.

Nieświadomy historii czytelnik powie może: „cóż w tém bardzo mądrego? Wartożto było kłócić się z ludźmi przez całe życie, żeby tak prostą rzecz powiedzieć, na jaką teraz żak szkolny zdobyć się potrafi?“ Ba, w tém właśnie tajemnica postępu ludzkości, że darmo, bez wysilenia potomkowie otrzymują wyobrażenia, idee, dogodności i narzędzia, które się przodkom udało zdobyć trudem krwawym, wyteżoną pracą umysłu. Od stu lat już pracowali mędrzy Jońscy nad wyjaśnieniem zagadki wszechświata i stworzenia. Tales, Anaximander, Anaximenes, próbowali wyprowadzić całą przyrodę z wody, z jakiegoś apeironu, z powietrza, ale każdy z tych pierwiastków jest bezduszną materją, a przynajmniej niezgrabnym zlepkiem martwéj materji i twórczój siły. Dlatego systematy piérwszych Jońskich „fizyologów“ noszą miano Hylozoizmu, czyli nierozczłonkowanój jeszcze jedności. Spójrzycież teraz na Boga Xenofanowego. Wszak to jest duch zupełnie wyzwolony z więzów materji. Pojęcie takie w owym czasie (VI w. przed Chr.) było niesłychaną nowiną w całej Europie, może nawet na całym świecie, jeśli zakwestyonowanych obecnie pojęć religijnych Wschodu nie będziemy wprowadzali do filozofii.

Materją Xenofanes nie gardził, owszém własném badaniem starał się uzupełnić wiadomości „filozofów.“ Zastanawiał się nad przyczynami, dlaczego na górach syrakusańskich i w łomach marmurowych Parosu znajdują się skamieniałe ryby. O pojęciach jego przyrodniczych możemy powziąć wyobrażenie z następnych urywków: „Wszystko z ziemi pochodzi i wszystko rozkłada się w ziemię“ „Albowiem powstałiśmy z ziemi i wody.“ „Morze jest źródłem wszystkiój wody.“ „Powierzchnia ziemi, ta oto którą pod nogami widzimy graniczy z eterem; dolne zaś części ciągną się w nieskończoność.“ To co nazywamy

¹⁾ Fr. 1, 2, 3, 4.

ęcą, jest obłok purpurowej, różowej lub bladawej barwy.“ Gwiazdy uważał za ogniste obłoki.

Z tych urywków domyślać się możemy, iż widnokrąg jego przyrodniczy był nader szczupły, a wyobrażenia bardziej od rzeczywistości odbiegały niż pomysły Pytagorasa. Nie domyślał się niczego prócz nieskończonej płaszczyzny ziemskiej, słońca, powietrza, czyli jak sam nazywa: „eteru“ bez granic, po którym przemykają ogniste obłoki ¹⁾. Wynagrodził tę ułomność wiedzy przyrodniczej wzniosłością duchowej strony systematu. Bóg jego zdaje się być pojęty rozległej, głębiej i jaśniejszej niż „liczba nad liczbami“ lub „liczba czwórkowa“ pytagorejczyków. Przypomnienie pojęcia jego noszą cechy czysto greckiego ducha, nietkniętego wpływem spekulacji orientalnych. Wspomina z przekąsem o Pytagorasie, że nie pozwalał bić psa, ponieważ w skomlaniu jego poznał głos przerodzonego po śmierci przyjaciela. Nie znał jednak nauki Krotońskiego mistrza, chociaż Elea znajdowała się w blizkiem z Krotoną sąsiedztwie; Pytagoras zapewne już nie żył w czasie pobytu Xenofanesa w italskiej Wielkiej Grecji, a przym i on, i jego uczniowie udzielali swęj wiedzy tylko wtajemniczonym.

Wielce ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, jakim sposobem łączył Xenofanes swego Boga najwyższego i duchowego ze światem materji. W tym punkcie atoli nie posiadamy żadnych wskazówek do rozwiązania, lub nawet domyslnęj odpowiedzi na to pytanie. Pozostanmy więc przy naczelnęj jego idei, że „jeden jest Bóg nad bogami i ludźmi;“ to będzie gwiazdą przewodnią całej szkoły Eleatów.

Dodajmy jeszcze dla uzupełnienia charakterystyki Xenofanesa ustęp jeden, świadczący o istnie filozoficznęj przenikliwości umysłu jego i godnęj naśladowania sumiennosci: „To mi się zdawało być do prawdy podobnem.“ „Nie było nigdy i z pewnością nie będzie człowieka, któryby wiedział to wszystko co mówię o bogach i wszechświecie, bo chociażby ktoś głosił najprawdziwsze i najdokładniejsze rzeczy, sam jednak nie zna ich z pewnością: wszędzie przeważa tylko proste mniemanie“ ²⁾. Po odczytaniu tych słów, obliczywszy się z własną wiedzą, czyż nie rozgrzeszymy go za błędne pojęcie o nieskończonej massie ziemskiej i nieograniczonem powietrzu.

Takięto nauki słuchoł młody Parmenides (ur. około 519 r.) a trafiła mu snadź do przekonania, bo miał jeszcze dwóch pytagorejczyków za nauczycieli, a jednak nie przejął ich spekulacji arytmetycz-

¹⁾ Wprawdzie wspomina Diog. Laert lib. IX, c. II, 19, jakoby Xenofanes mówił o czterech żywiołach i niezliczonych światach, ale ta wzmianka zostaje w zbyt rażącej sprzeczności z autentycznymi urywkami, żebyśmy ją przyjąć mogli. Zresztą Diogenes wiedział o Xenofanesie bardzo mało.

²⁾ Fr. 15, 14.

nój. Tylko na moralności i postępowaniu jego odbił się wpływ sekty Krotoński. Nie marzy nigdy o gawędce zimowej na miękkim łożu z puhaem w ręce; przeciwnie z pozostałej po nim tradycji, z przysłówia „żyć jak Parmenides“ wnieść musimy, że niezbyt sobie folgował, że raczej obrał sobie drogę surowych obowiązków i ciernistych poświęceń.

Jak Xenofanes, tak i on nie przyznawał nicomyślności mniemaniom uczonych i mędrców o wszechświecie. Zakres wiadomości jego jest już obszerniejszy; widocznie dowiadywał się i słyszał wiele teorii owoczesnych badaczy przyrody, a jednak systematyzując je w swoim wykładzie, zawarł w osobnej księdze, której dał napis ogólny: „O domniemaniach“ (ta pros doxan). Tu powiada że „myśliciele postanowili dać nazwę dwom formom—z których żadna nie może być brana pojedynczo, ale w tém się myślą—i formy te odróżniają dwojako, nadając ciałom rozmaite cechy: jedną z nich jest ogień eteryczny, łagodny, subtelny, we wszystkich częściach w sobie samym podobny, od drugiej formy odmienny; drugą zaś przeciwną, lecz w sobie również jednostajną jest noc ciemna, ciało gęste i ciężkie. „Gdy więc wszystko otrzymało nazwę dnia lub nocy... wtedy stanął wszechświat ze światła i mroku ciemnego.“ „Pomniejsze zaś światy składają się z ognia mniej czystego. Wśrodku pomiędzy niemi znajduje się bogini, która wszystkiemi rządzi, sprawczyni bolesnych porodów i związków małżeńskich, pobudzająca kobietę by za mężczyzną tęskniła i odwrotnie wabiąca mężczyznę ku kobiecie.“ „Utworzyła ona najpierwszego z bogów „Erosa“ (Miłość). „Poznasz téż naturę eteru; poznasz jakie są znaki w eterze; poznasz tajemnicze trudy okrągłego słońca o jasnym obliczu; poznasz z kąd to wszystko powstało; dowiesz się o naturze i obrotach okrągłego księżycy; zbadasz całe opasujące niebo, i z kąd powstało. i jakim sposobem skrępowała je wszechwładna konieczność, by granice gwiazd były przestrzegane ściśle.“ Potém jeszcze raz obiecuje Parmenides wytłumaczyć „w jaki sposób istnieć zaczęły: ziemia, słońce, księżyc, eter powszechny, droga mléczna, najwyższy olinp i roje gwiazd gorejących“¹⁾. Z przyrzeczenia tego wywiązał się niewątpliwie²⁾, my wszakże nic dowiedzieć się a nawet domyślić się nie możemy, gdyż kilkanaście pozostałych wierszy nie mogą nam podać żadnej wskazówki.

Innym wcale głosem przemawia w księdze, której dał napis: „O prawdzie.“ Tu dopióro występuje z całą mocą głębokiego przekonania, odsłania wnętrze własnej swój myśli. „A więc ja powiem, ty zaś słuchaj pilnie mowy mojej o jedynych drogach wiodących do poszukiwania wiedzy. Jedna z nich, mianowicie: że Byt istnieje, a Nie-Byt nie istnieje.

1) Wiersze 113—119, 122—4, 126—131, 132, 133—9, 140—4.

2) Świadczy o tém wyraźnie Plutarch dodając, że Parmenides mówił wiele nawet o stworzeniu ludzi (adv. Colotem, XVII, Ethicorum Pars III).

je, jest łatwa, albowiem towarzyszy tu prawda; druga że byt nie istnieje a więc niebytu istnieje—zaprawdę, powiadam, nie możliwą jest dla ciebie do uwierzenia. Boć niebytu duchem nie pojdziesz, ogarnąć nie zdołasz, słowem nie wypowiesz. „A myśleć i być jest jedno i to samo.“ „Niebytu jest nicością, to ci rozkazuję rozważyć w myśli. Od takiej drogi badania nasamprzód odwróć swój umysł, a i od owej również jakoby ludzie błakali się ciemni w niepewności mniemając że byt i nie byt jest jedno, bo w piersiach wyznawców takiej zasady gniczdy się zwątpienie, które popycha ich umysł raz w tę, to znowu w inną stronę.“

„Są liczne wskazówki, że byt jest nie poczęty i nieśmiertelny, powszechny, jednostajny, niewzruszony i wieczny; nie powstał niegdyś, nie powstanie kiedyś, bo teraz jest wszystkiem, jednością nieprzerwaną. Spytasz, jakież jest jego początek? z kąd i jakim sposobem rozmażał się? Nie pozwolę ci ani mówić, ani myśleć, że powstał z nic-bytu.“

„Jest też nieruchomość (materya?) skrepowana potężnymi więzami, zależna od początku i końca... pozostaje ona zawsze w jednym stanie, utrzymuje się sama przez się własnym ciężarem... ponieważ nieubłagana konieczność ścisła ją i krępuje więzami czasu.“ „To wszystko, co nazywamy wszechświatem, co, zdaniem śmiertelników, rodzi się i ginie, bytuje i znika w niebycie, co zmienia miejsce i świetne przeobraża barwy—to wszystko tak jest więzami przeznaczenia złączone, że się stało jednością i nieruchomością. Chociaż każda istota ma swój kres ograniczony, lecz Byt podobny jest do okrągłej kuli, której wszystkie części znajdują się w równym od środka oddaleniu.“

„A niech cię nie łudzi zwykła droga rozmaitych nauk, że trzeba badać ślepymi oczyma, głuchemi uszami, albo językiem, lecz rozumem osądz dowodzenie dwustronne, jakie ci przedłożyłem.“ „Albowiem, czem kierowanie dla zginanych rozmaicie członków, tém jest rozum dla każdego człowieka; świadomość właśnie jest istotą ciała u ludzi pojedynczych i wszystkich razem; to co przeważa, co włada, jest to myśl“¹⁾.

Otóż i wszystko czego dowiedzieć się możemy z własnych słów Parmenidesa o jego prawdzie. Odnajdujemy tu Xenofanowe odróżnianie zmiennego świata zjawisk od wiekuistej, niezmiennej, jedynej, twórczej zasady. Ale różnica jest też nie mała. Parmenides nie spiera się z Homerem i Hezyodem o bogów; najwyższy Bóg Xenofanosa zamienia się na abstrakcyjną ideę bytu; filozofia bierze rozbrat z teogonią i o własnych siłach szuka dróg poznania; wieszczą domyślność i twórczość ustępuje miejsca myśleniu. Za to myśl wzbija się do niezmierniej i nieograniczonej potęgi: myśl jest treścią człowieka, jest samym przedmiotem (wiersz 94), jest nareszcie treścią wszechbytu.

¹⁾ Wiersze: 33—40, 44—8, 58—65, 82—87, 93—101, 102—4, 54—7, 146—9.

Księga „O prawdzie“ jest pierwszą apoteozą myśli, rozumu. Oczy są ślepe, uszy są głuche, więc sama myśl tylko może wyjaśnić tajemnicę wszechbytu i wszechświata. Potrzeba więc jak najdokładniej poznać to drogocenne narzędzie, żeby nióm władać można było potężnie. Zapewne w ustnych swych wykładach Parmenides zaszkicował już metodę logiki i metafizyki, bo uczeń i gorący zwolennik jego, Zenon Eleata, był twórcą syllogizmu, jak powiadał Arystoteles, a samemu nawet Parmenidesowi niektórzy pisarze przypisywali jedną ze znanych famigłówek logicznych (Achilles z żółwiem). Sama idea bytu jest pierwszą podstawą, kamieniem węgielnym, na którym logika i metafizyka budują ginach swoich wywodów. Wszakże sama ta idea mieści w sobie świat już stworzony, spokojny, a nie podaje bynajmniej wskazówek, przez jakie ruchy i przemiany świat przechodził. Tego pytania o tworzeniu, czyli, jak Niemcy powiadają „stawianiu się“ (das Werden) Parmenides nie poruszał wcale „Prawdzie.“

Ale głosząc wszechwładztwo rozumu i myśli, czy Parmenides przypisywał ten przymiot własnemu rozumowi? Czy mniemał, że własna myśl jego jest już wszechmądrą, wszechwiedną? O, bynajmniej! Jego umysł dowiedział się prawdy z łaski Bóstwa, z objawienia. Wyznanie to zawarł w przedmowie do swego dzieła, zdobnej w prawdziwie poetyczne obrazy. Ręce konie ciągnęły wóz jego po sławnej drodze, po której bogini prowadzi móżdżek uczonych. Przewodniczyły mu nimfy światłości, Heliady, bo nimfy nocne pozostały doma. Usunęły one z czoł swoich zastony. Przybyli nareszcie do bram dzielących drogi światła i nocy. Klucze przechowuje Sprawiedliwość. Ta otworzyła na oścież obie połowy, ujęta słodkimi prośbami nimf przewodniczek i oto bogini powitała Parmenidesa łaskawie, ujęła go za prawicę i temi doń odezwała się słowa: „Witaj młodzieńcze, przybywający do nas w towarzystwie boskiego orszaku. Ponieważ do wejścia na tę drogę (tak dalece odbiegającą od ścieżek, deptanych śmiertelnymi stopy) pobudził cię nie jakiś naganny traf, lecz zamięłowanie sprawiedliwości i prawdy. A trzeba ci poznać wszystko: i szczerego ducha przekonywającej prawdy i mniemania śmiertelników, które niegodne są prawdziwej wiary. I tego jeszcze się nauczysz, jakim sposobem w każdym mniemaniu, badając sumiennie, można wszystko do gruntu rozpoznać“ ¹⁾.

Jeżeli więc przymioty najwyższego Boga Xenofanowego: wiekuistość, niezmienność, nieskończoność etc., Parmenides skupił w abstrakcyjnej nazwie bytu; jeżeli widocznie odrzucał zbyt materyalne typy bogów ludowych: to jednak bóstwo uznawał i po nad wszelką spekulacją filozoficzną, wywyższył, mieszcząc w nióm pierwotne źródło wiedzy i prawdy.

¹⁾ Wiersze: 1 — 32 w skróceniu.

W pismach jego, oprócz rozwiniętej znakomicie spekulacji rozumowej, dostrzegamy poczucie estetyczne nie tylko w formie miarowej, wierszowanej, ale i w obrazowaniu przedmowy, w żywym uczuciowym stosunku do czytelnika. Nie znajdujemy zdań etycznych, moralnych. O sercu jego, o moralnych instynktach moglibyśmy chyba wnioskować z ustępu, w którym powiada, że bogini nasamprzód stworzyła Miłość, Erosa. Szczęściem posiadamy wiarogodne podanie, że ułożył prawodawstwo dla swojego rodzinnego miasta (Elei, Welii, Hyeli) i że obywatele co rok składali przysięgę, iż wiernie tych praw Parmenidesowych przestrzegać będą¹⁾. Ten jeden fakt starczy nam za długie traktaty. Żeby prawa napisać, trzeba znać życie, trzeba mieć mądrość praktyczną, trzeba piastować w duszy instynkta sprawiedliwości, miłości i cnoty, bo tylko przy takich warunkach można zaszczerpieć prawodawcze ustawy w sumieniach obywateli, można ich zniewolić do ponawiania corocznej przysięgi. Nie będzie więc bezzasadnym wniosek, że Parmenides był nie tylko znakomitym myślicielem, ale i znakomitym, wszechstronnym, wielkim człowiekiem. Za takiego mieli go uczniowie Zenon i Melissos, takim być mienił go pokrewny duchem Plato; uznania swego nie odmawiał mu i Arystoteles.

III.

Wróćmy teraz na Jońskie wybrzeża, z kąd wyszli niegdyś Pytagoras Samiejczyk i Xenofanes Kolofonczyk. Przyniesiona przez nich nauka szybko uduchowniła się na europejskiej ziemi, a ze zmysłowych pojęć teogonicznych, z elementarnych kombinacji matematycznych urosła spekulacja abstrakcyjna istnie filozoficzna szkoła pytagorejskiej i Parmenidesa. Wieści o tym przewrocie umysłowym dochodziły zapewne niezwłocznie do Azji Mniejszej, gdzie od czasów Homera panowały materialne pomysły o pochodzeniu ziemi z oceanu, lub o pochodzeniu wszechświata z wody, powietrza etc. Pomysły takie już nie wystarczały; głębsze umysły potrzebowały dokładniejszego i podnioślejszego systematu. Ta potrzeba popchnęła do rozmyślań Heraklita (Herakleitos).

Był to Efezyjczyk, bardzo znakomitego rodu, potomek założyciela miasta, a więc niewątpliwie aż z bogami przez przodka swego Ko-

¹⁾ Diogenes Laërtius lib. IX, cap. III 23, Plutarch adv. Colotem XLIX, w tłumaczeniu Xylandra, wydanie Frankfurcie 1619 w t. III str. 367.: „Parmenides ojczyznę swoją przyozdobił najlepszymi prawami, obywatele corocznie zmuszali urzędników do składania przysięgi, że ustawy jego zachowywać będą.“

drusa spokrewniony ¹⁾. Otrzymawał w dziedzictwie godność „króla ofiarniczego,” godność patriarchy-arcykapłana, ale odstąpił ją bratu, żeby się poświęcić całkowicie rozmyślaniom filozoficznym. Powiadają, że się udał w odludne góry i żywił się tam ziołami. Daty urodzenia i śmierci są nieznane; z pewnością tylko zawnioskować możemy, że rozmyślania swoje snuł w pierwszej połowie V wieku, bo wspomina o Pytagorasie i Xenofanesie (14,15), a nie zna Parmenidesa. Żył więc zapewne jednocześnie z naczelnym mistrzem szkoły Eleatów, przeciwnie ten ostatni znał zdaje się naukę Heraklita, a może nawet zbijał niektóre twierdzenia, jak dowodzą niektórzy uczeni. (Steinhart, Bernays).

I Heraklit zwątpił o zmysłach: „Oczy i uszy są złymi świadkami dla ludzi mających dusze barbarzyńskie“ Widział nieskończoną zmienność zjawisk w przyrodzie: „Wchodzimy do jednej i tej samej rzeki, a płynie coraz inna woda.“ „Wchodzimy do tych samych rzek i nie wchodzimy, jesteśmy w nich i nie jesteśmy.“ „Więc dwa razy niepodobna być w jednej i tej samej rzece—tak samo niepodobna dotknąć ciała ludzkiego po dwakroć, żeby było w jednakowym stanie; szybkość przemian rozkłada i znowu zbiera je napowrót, a zbiera nie kiedyś później, w drugiej chwili, lecz jednocześnie powstaje i niknie, przybiera i usuwa się.“ „Jeden i ten sam jest człowiek żyjący i zmarły, czuwający i śpiący, młody i stary, ponieważ wszystko to zmienia się z kolei.“ „W naszym życiu i w naszej śmierci zawiera się śmierć i życie“ ²⁾.

Czémże jest świat i z kąd powstał?

„Ten świat nie był stworzony przez żadnego boga lub człowieka, lecz zawsze był, jest i będzie ogniem nieśmiertelnym, w miarę rozplamieniającym się i gasnącym.“ „Wszystkiem rządzi piorun.“ „Szeroko rozpostarty ogień wszystko oddziela i ściąga.“ „Śmierć ognia jest narodzeniem powietrza, a śmierć powietrza jest narodzeniem wody.“ „Tak więc wszystko zmienia się w ogień i ogień we wszystko, jak ze złota robią się pieniądze i z pieniędzy złoto.“ „Bogowie śmiertelni i ludzie nieśmiertelni; tamtych życie jest dla tych śmiercią, a śmierć tamtych jest dla tych życia.“ „Śmiercią zwierząt jest przemiana ich w wodę, woda znów znika przemieniając się w ziemię; z ziemi zaś robi się woda, a z wody duch“ ³⁾. Z pól i wód szczególnie z morza wznosi się para, która jeżeli się zapali w okolicy słońca, wtedy wyda światłość dzienną; w przeciwnym razie wyda

¹⁾ Niewątpliwie, powiadam, ponieważ wszystkie rody szlachetne, a przedowszystkióm założycieli miast, oraz rody królewskie (basileus'ów) posiadały mitologiczne swe genealogio. Patrz Fillenl, Hist. du Siècle de Périclès I, 32—37.

²⁾ Fr. 23, 22, 83, 21, 46, 60.

³⁾ Fr. 27, 50, 51, 31, 49, 59.

z siebie noc. Tak odbywa się ciągła przemiana we wszechświecie dwiema drogami: ku górze i ku dołowi ¹⁾. „A droga górna i dolna jest jedna.“ „Słońce... zawsze i nieustannie odnawia się“ ²⁾. Pomijam inne poglądy fizykalne o słońcu, księżycu, gwiazdach, znane nie z autentycznych urywków, lecz wmiankowane tylko przez starożytnych pisarzy; przytoczę teraz ustępy, w których występują duchowe lub moralne czynniki wszechświata.

„Trzeba wiedzieć, że jest wojna powszechna, że na miejscu sprawiedliwości rodzi się niezgoda... i niknie.“ „Wojna jest rodzicielką wszystkiego i rządcą wszystkiego, tworzy po części bogów, po części ludzi i to sprawia, że jedni są niewolnikami a drudzy wolnymi.“ „Najbardziej zaś oczywistą jest harmonia... w której Bóg ukrył pomieszane różnice i sprzeczności.“ „Nie wiedzą, że niezgoda jest zgodną: jest zmienną harmonią liry i łuku.“ „Bo zmienna harmonia świata jest takąż sama jak harmonia w lirze i w łuku, która się może natężyć i słabiec.“ „Słońce nie przekroczy granic swoich: gdyby zgrzeszyło, pochwytyłyby je Erynni, pomocnice sprawiedliwości“ ³⁾.

A teraz przejrzyjmy, co mówi o bogach, ludziach, o duszy, rozumie.

„Najpiękniejsza mała jest brzydka w porównaniu z rodzajem ludzkim.“ „A człowiek najmędrszy wygląda jak mała w porównaniu z doskonałością Boga.“ Jest jedna mądrość, rozum wie, że jest taką potęgą obdarzona, iż wszystkiem całkowicie rządzi.“ „Ludzie nieświadomi są owego rozumu, który istnieje... chociaż bowiem wszystko dzieje się zgodnie z owym rozumem, jednakże zdają się być niedoświadczeni... Inni zaś ludzie nie wiedzą, co czynią w czuwaniu, więc zapominają i o tém co robili w czasie snu.“ „Dla tego wszystkim należy iść za powszechnością; chociaż rozum jest wspólny, lecz gawieź żyje w ten sposób jak gdyby każdy był obdarzony jakimś własnym rozumem.“ „Dla człowieka rozum jest bóstwem.“ „Duch suchy jest najmędrszy i najlepszy.“ „Gdzie ziemia jest sucha, tam i duch jest najmędrszy i najlepszy.“ Człowiek pijany słania się, prowadzi go chłopak nieletni, ponieważ ma duszę mokrą, a nie wie dokąd idzie.“ „Suche światło jest najmędrszym duchem.“ „A ten duch... jest suchy i najlepszy, który przebiega przez ciało jak błyskawica przez chmury.“ „Człowiek głupi zasłyszal coś od Boga jak dziecię od męża.“ „Słuchacze powinni usłuchać nie mnie, lecz rozumu, że wszystko powstaje z jedności.“ „Błądzili ludzie w poznawaniu rzeczy znakomitych tak samo jak Homer, który był najmędrszym ze wszystkich Greków. Oszukali go bowiem temi słowy chłopcy którzy pęchły zabijali: „Cośny widzieli

1) Diog-Laert lib. IX, o. I, 9, 11, 8.

2) Fr. 32, 33.

3) Fr. 89, 44, 40, 93, 38, 34.

i wzięli, tośmy zostawili, a zabieramy to, czegośmy ani widzieli ani brali“¹⁾. Najwszechstronniejszy zaś pogląd na świat duchowy zawiera się w następnym (96-m) urywku: „Ludzie nie umieją dojrzyć w widocznych rzeczach tajemnic. Ponieważ nie umieją posługiwać się umiejętnością właściwą ludzkiej naturze. Duch bogów nauczył mądrych co mają czynić, a nieoświeconych w czém naśladować mają dzieła tamtych... Prawa bowiem i przyroda wedle których wszystko się dzieje na świecie, nie zgadzają się z tém co się zawiera w świadomości ludzkiej. Bo ludzie sami ustanowili sobie prawo, nie znając tego o czém stanowili. Przyrodę zaś oparli na pewnym porządku wszyscy bogowie. A zatem, co ludzie ustanowili, nigdy nie zostaje względem siebie w takim samym stosunku, czy to będzie słuszne czy nie słuszne. To zaś co bogowie ustanowili, to zawsze jest słuszne. O tyle więc różni się słuszność od niesłuszności.“

Oto jest cały system Heraklita o ile odbudować go można z autentycznych urywków. Starożytni przewali go „Ciemnym“ nowsi historycy filozofii spierali się długo o podstawy jego nauki. Czy chciał pogodzić byt i niebyt Eleatów za pomocą pytagorejskiej harmonii, czy szedł w ślady Jońskich „fizyologów“ jako „hylozoista“?

Są w nim w istocie sprzeczności trudne do pogodzenia: duch powstaje z wody (59), najmędrszą jest dusza sucha (72), a woda, ziemia, powietrze, zwierzęta, ludzie, wszystko to razem powstaje z ognia; są bogowie mędrsi i piękniejsi od ludzi, ale o pochodzeniu ich nie wiemy ani słówka, chociaż Heraklit był dla nich wielką cześcią przejęty i księgę swoją, jak świadczy Dyogenes Laerteński, złożył w świątyni Dyany. Nareszcie wątpiwszy o zmysłach, całą swą wiarę pokłada w rozumie, mówi o rozumie spólnym, o mądrości nadludzkiej, powszechnej, ale komuż przypisać mamy te przymioty? Czy tylko bogom, czy pierwotnemu ogniewi, czy i wodzie, powietrzu, zwierzętom?

Proponuję następne wyjaśnienie.

Że o duszy ludzkiej Heraklit miał bardzo materialne wyobrażenie, że widział w niej tylko parę wodną, to nie ulega wątpliwości. Wzmianka Dyogenesa Laerteńskiego o powstawaniu światła z pary zgromadzonej i zapalającej się w okolicy słońca²⁾ najściślej zgadza się ze słowami samego Heraklita o suchej duszy i suchym świetle. Podobne dusze muszą być u bogów, bo ci przemieniają się w ludzi po śmierci i odwrotnie ludzie zmarli stają się bogami. Sądzę, że ogień Heraklitowy jako pierwiastek zasadniczy, jako źródło przyrody i bogów musiał zawierać w sobie wszystkie materialne i duchowe potęgi, musiał być Bogiem pierwotnych wier indo-europejskich, aryjskich.

Przypomnijmy sobie że Heraklit był dziedzicem godności arcykapłańskiej, był „królem ofiarniczym“ jako potomek założyciela Efezu.

¹⁾ Fr. 42, 43, 55, 1, 58, 68, 72, 71, 70, 73, 74, 78, 92, 95.

²⁾ Diog-Laert. L. IX, c. I, nr. 11.

Mając w genealogii swęj bogów, mógłże nie wierzyć, że bogowie przemieniają się w ludzi i ludzie w bogów? Jako syn pierwotny patriarchy niewątpliwie miał już sobie powierzone zaklęcia i tajemnice, przekazywane z ojca na syna od najdawniejszych czasów, stanowiące cały urok arcy-kapłana w obec rodu i plemienia. Owóż największą tajemnicą ołtarza był święty ogień *hestia*, bóstwo domowego ogniska a zarazem demon czyli geniusz całego plemienia ¹⁾.

Tak więc Heraklit wyjawiał i rozgłosił odziedziczoną po przodkach tajemnicę religijną; ale nadał jęj wykład obszerniejszy, rozciągnął ją do wszechświata całego, podniósł do zasady powszechnej i jedynęj. Ogień więc jego nie może być pierwiastkiem czysto materyalnym, mieści się w nim cały świat ducha i cała twórcza potęga.

Chociaż ta hipoteza o naturze ognia Heraklitowego podnosi znacznie jego niejasno sformułowane pojęcie, to jednak zaprzeczyć niepodobna, że ogół systematu nosi charakter przeważnie materyalny. Nie zaprzecza to bynajmniej teologicznemu pochodzeniu nauki, bo i teologia grecka była wielce materyalna, szczególnie pod niebem azyatyckim. Pojęcia ducha o rozumie, mądrości, sprawiedliwości nie mogą się mierzyć z pojęciami Xenofanesa lub Parmenida. Za to w świecie materyi Heraklit przewyższa Eleatów bogactwem pomysłów i wniosków. Matematyczną lub akustyczną harmonią pytagorejczyków przekształcił na obszerną teorią nieskończonej przemiany, nieustannych przeobrażeń materyi z ognia, w powietrze, wodę, ziemię, ba nawet wody w ducha i na odwrót ducha w wodę, za pomocą nieustannych prądów ku górze i ku dołowi. Z materyi wysnuł pojęcie praw w przyrodzie i prawa te przeniósł na ludzi (96). Te dwa pomysły stanowią najcharakterystyczniejszą i zdaje się oryginalną stronę jego filozofii.

Jako człowiek, jako obywatel kraju, Heraklit nie zdobył sobie tęg pięknej sławy, którą ziomkowie otoczyli Parmenidesa lub nawet Pytagorasa. Przejęty na wskroś instynktami arystokratycznymi, nie rozumiał i nienawidził rozwijających się w Grecyi rządów gminowładnych. Szczególnie, kiedy Efezyjczycywie skazali na wygnanie przyjaciela jego (Hermodora), Heraklit wybuchnął gwałtownym gniewem i odstąpił wewnątrz zbyt namiętnej, jak na filozofa, duszy: „Wszyscy Efezyjczycywie w wieku dojrzałym zasługują, żeby ich śmiercią ukarano, nieletni zaś, żeby ich z miasta wydalono, ponieważ wyganiając z ojczyzny najznakomitszego obywatela Hermodora, powiadali: Niech nikt z nas nie celuje przed innymi; jeśli zaś taki się znajdzie, niech pędzi życie gdzieindziej z innymi“ (57). Przepisów moralnych można znaleźć zaledwo parę i to sprzecznych, niejasnych; zalecał czuwanie nad sobą, zachwa-

¹⁾ Znaczenie ognia w ustroju religijnym i społecznym Grecyi uwydatnił Filleul w przytaczaném już dziele, a dowody zebrane przez niego na str. I, 15—18 i II, 357—362 wystarczają do mojęj tezy.

łał bardzo napis wyryty na świątyni Delfickiej: „Poznaj samego siebie“ (84), ale zasady tej nie rozwinął tak jak w kilkadziesiąt lat później Sokrates. Efezyjcykowie prosili go żeby im prawa napisał: prośbę ich odrzucił. Starożytni świadczą, że ile razy spotkał się z kimkolwiek, zawsze płakał nad ludźmi. Widocznie w piersi jego nie było miłości, a w duchu spokój nie zagosił.

IV.

Nie zaspokoili Greków dotychczasowe systematy. Ciekawi, a chciwi wiedzy dowiadywali się od mędrców swoich, że jest jedna jakaś przyczyna wszechrzeczy: Bóg, liczba, idea bytu, świat zmienny, jakieś materye, woda, powietrze, ogień, nareszcie jakieś nieustanne przeobrażania się, jakaś harmonia obok rozterki powszechniej; ale trzebaż wyraźniej i ściślej połączyć te przyczyny pierwotne ze światem widocznym, złąć w jedno chociażby pojęcie Eleatów o bycie jedynym, abstrakcyjnym, bezcielesnym z pojęciem Heraklitowem, o kołowaniu materyi, wymyślić jakiś proces tworzenia. Sprobował tej sztuki Empedokles obdarzony intelligencją wielce różnostronną i bogatą, ale skutkiem wielostronności mniej zdolną do skupienia się w jednej zasadzie. Chodził po „miastach kwitnących“ Sycylii w przepasce kapłańskiej lub wieńcu godowym; gromadzili się wkoło niego mężowie i niewiasty „bez liku“ i pytali: o sposoby zarobkowania, o przepowiednie, o radę na choroby i dolegliwe boleści; a na te wszystkie zapytania Empedokles nie odmawiał odpowiedzi i nie wahał się nadawać sobie tytułu nieśmiertelnego boga“ w obec „nieodłącznych śmiertelników“ (w. 400—410). Badał rośliny, minerały, studyował medycynę, dopytywał się o filozofów, zapewne i z hierofantami był w ściśłej zażyłości, skoro się proctw podejmował; odznaczał się wymową i uchodził za pierwszego wynalazcę retoryki, a w dodatku miał niepospolity talent poetycki. Forma jego ksiąg o przyrodzie i jego „pieśni Lustralnej“ jest tak wdzięczna, że brała mię pokusa wpisać tu kilka wyjątków. Ale stają temu na przeszkodzie surowe przepisy Teorii prozy. Tłumiąc przeto chętkę niewczesną, zaznaczę tylko że Empedokles wszystkich swoich poprzedników chciał pogodzić: wzięł i ogień, i wodę, i powietrze, i ziemię za elementa, z których świat się składa, a te elementa wprawił w ruch za pomocą Miłości i Nienawiści. Wygodził też Pytagorejczykom, przyjmując zasadę przechodzenia dusz (metempsychozy).

Większy krok na tej drodze uczynił Klazomeńczyk Anaksagoras, zamieszkały w Atenach, przyjaciel Peryklesa. Cały świat materyi, sprowadził on do jednostajnych „homeomeryj“, czyli nasion, które miesząc się w rozmaity sposób tworzą rozmaite przedmioty. Ale sprawcą mieszanin jest duch czyli rozum beznamiętny, najsubtelniej-

sza, prosta substancja (nus) ¹⁾. Wielką doniosłość tego pomysłu ocenił Arystoteles powiadając, że Anaksagoras wyglądał jak trzeźwy pomiędzy pijanymi. Wszakże w wykładach swoich starał się tłumaczyć zjawiska, przedewszystkiém za pomocą procesów mechanicznych, o duchu zaś owym bardzo rzadko wspominał; to też Plato powiadał, że właściwie w systemacie jego „nus“ nie miał nic do czynienia.

Odtąd główny prąd filozofii greckiej toruje sobie drogę ku duchowej krainie, żeby zbadać to „nus“ tajemnicze. Sofiści w szkołach swoich wykładają fizykę, geometryę, astronomię, filozofów dawniejszych i system własny; ale najważniejszą stronę stanowi rozbiór myśli, układ mowy, dowodzenie, dyalektyka i retoryka. Nareszcie Sokrates, za młodu uczeń Anaksagorasa, uznał że dochodzenie początków świata i istoty rzeczy jest marną igraszką myśli i skierował badanie filozoficzne na „siebie samego i na rzeczy, które bezpośrednio obchodzą człowieka.“ Badano więc proces myślenia, obowiązki człowieka, zasady życia społecznego, cel naszej ziemskiej wędrówki, jedném słowem pracowano przeważnie nad Logiką i Etyką.

Jednakże i druga ulubieńsza połowa nauki Anaksagorasa nie zaginęła. Ani straszna ironia Sokratesa, ani porywające marzenia Platona nie rozproszyły całego uroku, jakim nęcił myślicieli świat materji. Jednocześnie występuje Demokryt. Żył on mniej więcej od 540 aż do r. 360 przed nar. Chrystusa, więc w czasie najświetniejszego rozkwitu akademii; ale z natury systematu swego, zdaniem wielu historyków filozofii łączy się z mędrkami pierwszego okresu. Służy więc mi prawo scharakteryzowania téj ciekawej postaci.

V.

Nie ulega wątpliwości, że Demokryt z Abdery (miasta na brzegu Tranzyi położonego) odziedziczył po ojcu ogromną fortunę, podobno aż 100 talentów, i że jęj użył na długie podróże po obcych krajach. Zwiedził kraje Perskie w Azji, bawił pięć lat w Egipcie; powiadają nawet, że dotarł do Etyopii, Arabii, Hindostanu, gdzie miał rozprawić z gimnosofistami. Jest w tém podaniu dużo zmyślenia przynajmniej co do Hindostanu, o którym żaden Grek nie nie wiedział przed wyprawą Aleksandra Macedońskiego; przytém sama natura umysłu jego nie zachęcała go bynajmniej do rozpraw z gimnosofistami. Zresztą jakie kraje zwiedził jest dla nas rzeczą obojętną; poprzestańmy na stwierdzeniu faktu, że dużo widział, umiał i pisał. Posiadamy tytuły 60-ciu

¹⁾ „Pierwszy on po nad materją, którą nazywano *ύλην* wywyższył ducha powiadając na początku dzieła w miłej i wspólniejszej przemowie: „Wszystko było w zamieszaniu: przyszedł potem duch i to wszystko urządził;“ dla tego duch został nazwany *Νοῦς*.“ Diog. Laërt., lib. II, o. III, 6.

dzieł; nie wszystkie może były obszerne i wyczerpujące, ale sam wykaz przedmiotów obejmuje nader rozległy zakres wiadomości. Znajdujemy tu pisma moralne, zaczynając od filozofii Pytagorasa, fizyczne, z których najznakomitszym było „Mikros Diakosmos,” matematyczne, w liczbie których mieściła się meteorologia (Uranografia) i geografia, techniczne, o wierszach, Homerze, śpiewie, malarstwie i t. d. Na starość wrócił do rodzinnej Abdery, ale już bez funduszu; utrzymywał go brat aż do bardzo późnej starości, umarł bowiem podobno w 90 czy 100 czy 109 r. życia. Pisał wprawnie, stylem jasnym, potoczystym, który zyskał pochwały Cycerona i Plutarcha.

Trzeba najprzód powziąć wyobrażenie o zakresie i stopniu wiedzy w dziedzinie przyrodoznawstwa; w tym celu przytoczymy kilka przykładów z dzieł specjalnych Demokryta.

Z astronomii: „Dnia czwartego Plejady zachodzą, najraniiej: wiatry zimowe, a po większej części zimno i gołoledź; powstaje zwykle wiatr; drzewa zaczynają szybko zrzucać liście. Październik. Dnia 8-go wschodzący „Kłos“ (Spica) wzbudza burzę. Czas na siebę. Grudzień, dnia 14 o godzinie 14. Kózka zachodzi rano. Grzmoty, pioruny, deszcz, wiatr.“ Z księgi o rolnictwie: „zima będzie taką, jak był dzień 24 listopada.“ W obszernym ustępie bada naturę wód biegnących i stojących, zależność roślinności od wód i gór. Obecność większej lub mniejszej ilości części mineralnych w wodzie tłumaczy tym sposobem, „że słońce przyciąga zawsze z wody to wszystko, co jest cieńszego i lżejszego,“ a nie wszystkie wody są jednakowo na działanie słońca wystawione. Rzeki i żyły wodne porównywa z żyłami w ciele człowieka. Opisuje wiele roślin. Dalej znajdujemy opis wzorowej hodowli pszczół u Juby, króla Libijskiego i ciekawe curiosum o zajęcach: „Także zając czasami bywa samcem, a czasem staje się samicą i raz płodzi jako samiec, drugi raz rodzi jako samica.“ W księdze o zwierzętach znajdujemy, że „same tylko lwy rodzą się z otwartemi oczyma, jak gdyby od samego już urodzenia zamyślały gniewać się i złościć.“ Ryby żywią się wodą nie słońcą, lecz słodką, która się obok słońcy znajduje. Tłumaczy przyczynę dlaczego świńa i pies są tak płodne, powiada że w krajach południowych częściej zdarzają się poronienia płodu, skutkiem rozszerzania się ciał od upału. Tłumaczy dlaczego rogi odrastają u jeleni i wołów ¹⁾.

Postępujemy teraz do człowieka. „Demokryt spytany, jakimby sposobem ludzie mogli używać najdłuższego życia, nie podlegając żadnym chorobom odpowiedział: Jeżeli części zewnętrzne będą smarowali oliwą, a wewnętrzne miodem.“ Fizjologia zmysłów przedstawia się w następnej postaci: „Opisuje szczegółowo, że widzimy przez wpadanie obrazów (do oka); wszakże obraz nie wpada odrazu do źrenicy, lecz tworzy się z powietrza ściągane przez to, co ogląda i co jest oglądane, zawierające się pomiędzy okiem i przedmiotem; albowiem

¹⁾ Fr. Astronomica, Fr. Libri de Agricult., Mull. str. 368, 9, 372 — 377.

z każdego przedmiotu wychodzi jakiś płyn; następnie to powietrze zsiadłe i bezbarwne wpada do oczu wilgotnych w kształcie obrazu, tak że gęstości nie przybierze lecz przez ciecz przeniknie. Wrażenie dzieje się tym sposobem, jakbyś odciskał coś na wosku. Słuch zaś określa podobnie do innych filozofów: powietrze, wpadając do próżni, sprawia ruch, lecz (to właśnie sam już Demokryt wyrzekł), powietrze rozchodzi się jednakowo po całym ciele, a najbardziej przez uszy, ponieważ tu przechodzi przez największą ilość próżni, a nie zostaje wcale; Gdy dojdzie do wnętrza, wnet się rozplywa; głos bowiem jestto ścięśnione i gwałtownie wchodzące powietrze. Najostrzej słyszemy, gdy błona zewnętrzna jest gęsta, żyły są próżne, jak najsuchsze, dobrze przewiercone tak od strony tułowu, jak od strony głowy i uszu, gdy kości są mocne, mózg dobrze przemięszany, a to co go otacza, jest jak najsuchsze, Wtedy bowiem wchodzi głos pełny, postępuje przez rozległą próżnię, wolną od wilgoci, dobrze prześwidrowaną i wijąc się po ciele równomiernie szybko rozlewa się a nie tłumi się ¹⁾.”

Z tych ustępów wnieść można bez żadnej wątpliwości, że wiedza Demokryta o przyrodzie była bardzo ubogą i błędną nie tylko w porównaniu ze stanem nauk przyrodniczych dzisiejszym, nie tylko w porównaniu z wiedzą uczonych szkoły Aleksandryjskiej, ale nawet z wiedzą Arystotelesa. Obaczymy czyli ta niedostateczność wiadomości powstrzymała go od budowania systemu najsmielszego, najzuchwalszego, na jaki zdobyła się filozofia starożytna.

Żeby mieć klucz do należytego wyrozumienia urywków, musimy zacerpnąć parę wskazówek z Arystotelesa i Dyogenesa Laerteńskiego.

Wszystkie istoty i twory przyrody składają się z cząstek niepodzielnych, pomiędzy którymi znajduje się pewna przestrzeń próżna. Zawartość ich jest zawsze jedna i ta sama, ale wielkość rozmaita; różnią się nadto kształtem i uporządkowaniem ²⁾. Cząsteczkom tym Demokryt nadał miano atomów. Ze skupienia rozmaitych atomów tworzy się słońce, księżyc, ogień, woda, powietrze, ziemia i wszystkie istoty ³⁾.

Teraz będę już mówił wyrazami urywków, skracając je tam gdzie myśl zrozumiała będzie bez rozwijania i opuszczając obrażające wstydliwość naszą ustępy.

„Istnieje zarówno Coś jak Nic (den i meden). Wszystko spoczywało w posiadaniu siły, ale bezczynnej. Pewne rzeczy wydzielają się z ogólnej masy rozmaitych atomów przez wirowanie, gdy nie wyjaśnia z jakiej przyczyny i jakim sposobem, więc mniema, zdaje się, iż rzeczy tworzą się przypadkowo, trafem (tak wnioskuje Symplicyusz).“ Demo-

¹⁾ Fragm. de Agricult. 12, Physica 13, 14, 16, 17.

²⁾ Aristot. Physic lib. III, c. IV, C., lib. IV c. VI, 3, Metaph. lib. I, c. IV, 7.

³⁾ Diog. Laert. lib. IX, c. VII, 44.

kryt podzielał zdaje się mniemanie dawnych fizyków, że podobieństwa szukają się wzajemnie, powiadał bowiem: „Istoty żyjące łączą się wespół z istotami żyjącymi tegoż rodzaju, gołębice z gołębiami, żurawie z żurawiami; to samo stosuje się do innych zwierząt. To samo powiedzieć należy o tworcach nie żyjących, jak to spostrzegamy na przesiewanych przez sito nasionach i na rozrzuconych po wybrzeżu kamkach, gdy przy wstrząsaniu sita soczewica mieści się obok soczewicy, żyto obok żyta, pszenica obok pszenicy, a z uderzających o brzegi fal wyrzucają się podłużne kamyki na to samo miejsce gdzie leżą podłużne, okrągłe tam gdzie są okrągłe, jak gdyby podobieństwo w nich zawierające się, posiadało jakąś siłę skupiania. Ciężar zaś i lekkość odróżnia Demokryt wielkością. Jeśli bowiem cokolwiek odróżnia się, to istota ciężaru mieści się w wielkości; z przedmiotów zaś mieszanych lżejszym będzie ten, który zawiera w sobie więcej próżni, cięższym ten, który mniej posiada takowej. Podobnie o szorstkości i miękkości; szorstka rzecz jest gęsta, a miękka rzadka. Więc szorstkość i miękkość, ciężar i lekkość różni się rozkładem lub wstrzyknięciem do wnętrza przestrzeni próżnych. Dla tego żelazo jest twardsze, ołów zaś cięższy. Ponieważ żelazo nie jest złożone jednostajnie i zawiera wiele miejsc próżnych, a w wielu miejscach jest bardziej zgęszczone. Ołów zaś, zawierając mniej próżni, ma skład jednostajny i we wszystkich częściach jednakowo rzadki ¹⁾.“

Za pomocą teorii atomistycznej Demokryt tłumaczył naturę czucia zmysłowego w ten sposób: „Każdemu smakowi przypisał kształt właściwy: słodcy składa się z okrągłych i wielkich atomów, kwas z atomów znacznej wielkości, szorstkich, kanciastych, nie okrągłych; smak ostry z mas kształtu ostrego, z kątami, krzywiznami, cienkich i okrągłości pozbawionych; cierpkość okrągła, cienka, kątowata i zakrzywiona; smak słony jest kątowaty, z wielkich atomów złożony, kręcony, jednakowo mi kostkami odznaczający się; gorycz okrągła, lekka, niejednostajna, małej wielkości, nareszcie smak tłusty jest cienki, okrągły i mały.“ Wykłada jeszcze jakie działanie (fizyologiczne) wywiera każdy smak na ciało, jak je ogrzewa, jak się po nim rozlewa i z rozmaitemi częściami się łączy. „O barwie (kolorze) Demokryt wyrzekł, iż sama w sobie jest niczem, ponieważ pierwiastki jej, pełnia i próżnia, nie posiadają żadnej własności, a to, co się z tych pierwiastków układa, nabiera barwy od kształtu i rozmieszczenia czyli od porządku figury i położenia: tym sposobem tworzą się wrażenia (percepcye) wzroku. Barw zaś przez wzrok spostrzeganych mamy cztery rozmaite rodzaje: białą, czarną, czerwoną, zieloną.“ „Białość jest też lekka, ponieważ co nie jest chropawe, co nie rzuca cienia, co przenika się bez trudności, to jest zupełnie czyste. Czyste przedmioty muszą być należycie przewiercone i przezroczyste. Więc przedmioty twarde koloru białego z takich składają się kształtów, jakie ma wewnętrzna

¹⁾ Fragm. Physica 8, 7, 8, 2, 21, 22.

skorupa muszli.“ „Czarny zaś przeciwnie składa się z chropawych, nierównych i niepodobnych do siebie.“ „Czerwoność składa się z tych samych (atomów) co i gorąco, tylko z większych. ... Wskazówką zaś takiego składu barwy czarwoniej jest to, że przy rozgrzaniu czerwieniny się, oraz że wszystkie inne rzeczy rozpalają się przy ogniu dopóki mają pozór ognisty.“ „Kształtu barwy zielonej nie wykłada, powiada tylko że się składa z części zsiadłych i z próżni.“ „... Wszystkie inne powstają z pomieszania tamtych (prostych) jak np. złocisty lub miedziany i tym podobne z białego i czerwonego.“ „Szkarłatny składa się z białego, czarnego i czerwonego, z tych większą część stanowi czerwony, mniejszą czarny, biały zaś pośrednią.“ „O zapachu .. wyrzekł chyba to, że powstaje przez wpływ subtelniejszej materii z grubszych“ ¹⁾).

Zwróćmy w tym miejscu uwagę na metodę rozumowania, na drogi, któremi chodzi umysł Demokryta. Jestto najczystsza albo indukcya, albo analogia. Spostrzeżenia swoje nad wodami, roślinami, zwierzętami, szczególnie rybami uogólnia aż do zasady (fałszywój), że słonce przyciąga części cieńsze i lżejsze, że w wodzie morskiej znajduje się obok wody słonej słodka; z odcisków na wosku i innych zapewne nieznanym nam spostrzeżeń przez podobieństwo (znowu mylnie) wnioskuje o wciskaniu się obrazów do wnętrza ciała, które stanowią zasadę wzroku; z wrażeń jakie ciało czuje po zażyciu pewnych płynów, wnioskuje, że smak zależy od okrągłych, kątowatych, chropawych lub gładkich atomów spożywanój substancji; spostrzeżenia nad lśniąca muszla i cieniem rzucanym przez przedmioty chropawe, uogólnia indukcyjnie do teorii 4-ch barw prostych (znowu mylnie). Teorie jego specjalne w obec dzisiejszego stanu nauk upadają wszystkie bez wyjątku. Dlaczego? Bo fakta były niedokładnie zbadane, więc i wnioski musiały wypaść mylnie. Ale zarazem widzimy tu namacalnie wszystkie niebezpieczeństwa metody, której wniosek, konkluzya przekracza zakres motywów, która biorąc mniejszą lub większą ilość faktów, chce na nich opierać prawo powszechne. Wyborna do podbudzania myśli, do tworzenia hipotez, a nawet pomniejszych teorii staje się coraz niebezpieczniejszą, w miarę postępowania ku zasadom ogólniejszym, ku prawom powszechnym, które powinny rządzić całym ogółem zjawisk niezliczonych, po części niepojętych, w całości niepodobnych do ogarnienia, dopóki się nie zastosuje do nich dedukcyi.

A Demokryt tymczasem odważył się uogólnić swój szczupły zasób spostrzeżeń aż do pojęcia atomów, które miało ogarnąć całą przyrodę materialną, owszem cały nawet wszechświat materii i ducha. Dalszy rozwój systematu jest wielce nauczający.

„...Czyż nie wiemy że dusza czuje się dobrze i zdrowo po użyciu ruchu, jeśli zaś kto rozgrzeje się lub zziębnie, powiada, że zmącił so-

¹⁾ Fragm. Phys. 25, 30, 32, 33, 35, 36, 37, 38, 40.

bie umysł; dlatego starożytni najsłuszniej rozumieli, że to jest właśnie obłąkaniem umysłu. Ztąd okazuje się, że podług Demokryta zdrowy rozum składa się z mieszaniny cielesnej, co zresztą z samej zasady musiał uznać ten, który mniema że dusza jest ciałem.“ „Zdaje się że szedł za zdaniem tych, którzy mniemają że zdrowy rozum zasadza się na przemianie ¹⁾.

Dowiadujemy się jeszcze wyraźniej za pośrednictwem Dyogenesa Laerteńskiego ²⁾, że dusza składa się z takich samych lekkich, okrągłych atomów jak słońce i księżyc. „Poznania zaś są dwa rodzaje: rzetelne (gnome gnezye) i ciemne (skotye); ciemnym poznaniem jest wzrok, słuch, powonienie, smak dotykanie; rzetelnym zaś takie, które od tamtego odrywa się (rzetelne ceni wyżej od ciemnego, ale i to rzetelne nie wielką w oczach jego ma wartość, ponieważ) my w rzeczy samej nie prawdziwie nie pojmujemy, lecz to tylko pochwytyjemy co się zmienia skutkiem położenia ciała lub tego co nas uderza, co nam się opiera. Że nie pojmujemy wcale jaką jest lub nie jest rzecz każda, mówitem to już w wielu miejscach... Chociażby było coś oczywistego wątpić należy czy wiemy, co to jest... Bo domniemaniem tylko i zwyczajem jest słodycz lub gorycz, gorąco i zimno, domniemaniem jest barwa, w istocie zaś wszystko to jest niepodzielne i beztreściowe. To więc co bierzemy i uważamy za rzeczy zmysłowe, nie jest niemi rzeczywiście.“ „W istocie nic nie wiemy, bo prawda ukryta jest w głębi“ ³⁾.

Zajrzyjmy do jego pojęć religijnych: „Dawni ludzie widząc co się dzieje w górze, mianowicie: grzmoty, pioruny, błyskawice, zbliżanie się gwiazd, zaćmienia słońca i księżyca, czuli strach i pomyśleli że sprawcami tego wszystkiego są bogowie.“ O Jowiszu powiedział: „Jest człowiekiem, wszyscy to wiemy.“ „Do ludzi przystępują jakieś mary; z tych jedne są dobroczynne, drugie szkodliwe; życzy sobie (Demokryt) ażeby jemu przytrafiły się dobre widziadła. Są one wielkie, olbrzymie; giną z trudnością, a jednak nie są wolne od zaguby. Nadto wskazują ludziom przyszłość, gdy widzialnemi się stają i głos wydają. Ztąd starożytni powzięli mniemanie, że dostrzeżone te widziadła są bogami, gdy tymczasem oprócz nich niema żadnego boga, któryby nie ginął“ ⁴⁾.

Zdawałoby się że z takim zwątpieniem w duszy, z takim wstrętem do idei ducha, którą rozwijali jednocześnie Sokrates i Plato, Demokryt nie powinienby mieć chęci do udzielania ludziom rad moralności. Tymczasem znajdujemy bardzo obszerne dzieło etyczne, w którym traktuje o spokoju duszy, o miarkowaniu namiętności i życiu spr-

¹⁾ Są to słowa Teofrasta, który jest głównym źródłem dla poznania systematu Demokryta.

²⁾ Diog. Laert. lib IX, c. VII, 44.

³⁾ Fragm. Phys. 19, 20, 1, 5.

⁴⁾ Ibid. 4, 9, 3.

wiedliwém, o pracy, występkach, nauce, życzliwości, o kobietach, małżeństwie, prawach, społeczeństwie etc. Ilość urywków jest tak znaczna, że niepodobna mi tu przytoczyć ich w całości; poprzestać muszę na ogólniej charakterystyce i kilku najważniejszych przykładach.

Na czele jest zapisany cel życia: szczęśliwość. „Szczęśliwość ducha lub nieszczęśliwość mieści się nie w trzodach lub złocie; duch jest przybytkiem bóstwa... Rodzi się zaś ona (szczęśliwość) z odróżniania i oddalania namiętności i to właśnie nazywa (Demokryt) najwyższą doskonałością i największym dla ludzi pożytkiem.“ Dalej znajdujemy tu spostrzeżenia praktyczne, pochodzące widocznie od człowieka doświadczonego, z życiem obytego, czasem błyskającego dowcipem: np. sądzę, że nie jest przez nikogo kochanym ten tylko, który sam nikogo nie kocha.“ „Przykro jest słuchać niższego.“ „Ten człowiek, zdaje mi się, nie jest do mówienia zdolny, ale jest całkiem niezdolny do milczenia.“ „Niktórzy rozkazują miastom, a służą swoim żonom.“ Zaleca poszanowanie dla praw, pracę, ale z wycieczką, miarkowanie namiętności, ponieważ „z niepowściągniętych rodzi się przykrość;“ ceni wolność mowy, ale ostrzega że „upatrzenie stosownej chwili jest połączone z niebezpieczeństwem;“ rozum i naukę stawia wysoko. „Wypada ludziom troszczyć się więcej o ducha niżeli o ciało.“ „Piękność ciała jeżeli pod nią niema rozumu, jest pięknością zwierząt“¹⁾.

Górującą po nad wszystkimi przepisami zasadą jest własna osobista przyjemność i pożytek. Objawia się to w poglądzie Demokryta na rodzinę i na pobudki postępowania człowieka względem bliźniego.

Już to kobietę widocznie nie lubił: „Kobięta jest o wiele skłonniejsza do chytrości i złośliwości niż mężczyzna.“ „Niech kobięta nie popuszcza języka, bo to jest rzecz niebezpieczna.“ „Nie pochwalam płodzenia dzieci, bo z posiadaniem dzieci widzę połączone liczne i wielkie niebezpieczeństwa, mnóstwo utrapień, a szczęścia mało i to jeszcze wąskiego, słabego.“

„Roztropność każe zabezpieczyć się od przyszłej krzywdy; niedołęztwem jest nie pomścić się za krzywdę domierzoną.“ „Jeżeli czynisz dobrodziejstwo, oglądajże się czy czasem nie człowiekowi obłudnemu, który ci złem za dobre odplaci.“ „Wrogiem jest nie tylko ten kto krzywdę domierza, lecz i ten również, który domierzyją zamyśla.“ „Nie wypada, ażeby dobrzy czynili coś z zaniedbaniem własnych interesów, bo na témby własne ucierpiały.“

„Nie należy pozwalać sobie nic przyjemnego aby zarazem nie było pożyteczne.“ „Granicą rzeczy pożytecznych i niepożytecznych jest wesołość i nieprzyjemność.“ „Najlepiej jest dla człowieka pędzić życie w usposobieniu jak najweselszém, a jak najmniej smutném“

1) Fragm. moralia 1, 161, 192, 178, 19, 124, 128, 129.

„Każdy kraj stoi dla mędrca otworem, ponieważ dla silnego umysłu cały świat jest ojczyzną“¹⁾).

Poprzestaję na tém. Cały system zarysowany jest we wszystkich szczegółach, jakich dostarczają zebrane starannie urywki. Stanowił epokę w rozwoju przyrodznawstwa, ale był zarazem krokiem wstecznym w rozwoju spekulacji filozoficznej, obalił bowiem z takim trudem zdobyte pojęcia idei abstrakcyjnej, rozumu najwyższego, ducha, a nawet harmonii powszechnej wcielanej w postaci akkordów muzykalnych, zgody, miłości i t. p. Na tém smutném rumowisku stanęła tylko teoria atomów i jakichś mechanicznych ruchów. A tak wielkie straty nie zostały bynajmniej powetowane ogromem korzyści, nowa bowiem teoria nie wytłumaczyła przyczyny: dlaczego atomy zaczęły się skupiać w rozmaite ciała? z kąd powstało pierwotne wirowanie atomów? Przyciąganie pomiędzy przedmiotami podobnymi (ziarnkami zboża lub kamykami na morskiem wybrzeżu!) mogłoby stosować się tylko do chwili późniejszej, kiedy podobne przedmioty już istniały, ale z kądże się wzięły?

Jakie wrażenie sprawiały teorie naukowe a szczególnie etyczne Demokryta na umysłach społecznych, trudno orzec z pewnością. Zdaje się że drażniły, dochodzą nas bowiem wbrew sobie zaprzeczające podania. Jedni powiadają że się ciągle śmiał, że nazywano go nawet „filozofem-śmieszkiem“, że widziano w nim waryata i posłano do niego nawet Hippokratesa; drudzy twierdzą, że po powrocie do Abdery i po wydaniu dzieła Mikros Diakosmos używał wielkiej czci u mieszkańców, że mu stawiano posągi za życia. Wiadomo tylko, że Plato chciał spalić wszystkie jego pisma, ale mu ten krok odradzono, ponieważ bardzo już były upowszechnione. Arystoteles wspomina o Demokrycie z poważaniem, chociaż ostatecznych wniosków ani wyłączonej metody jego nie przyjął. Pewnym też jest, że pomimo zalet stylu i płodności pisarskiej, nie zdobył sobie takiego na społeczeństwo wpływu, jakim cieszyli się Sokrates, Plato, Arystoteles i inni, mniej nawet sławni filozofowie, których imiona stały się godłem szkół rozmaitych. Znajdujemy jednak wzmiankę o jednym uczniu Demokryta, Hermipposie, który przekazał system swojego mistrza Epikurowi.

Przepraszam, mógłby ktoś uczuć do mnie żal za przemilczenie kilku wyrażen Demokryta. Nie umieściłem ich we właściwém miejscu z powodu trudnej do usunięcia sprzeczności. Jest jeden frazes, który każe domyślać się zasady praw przyrodzonych: „Nic się nie dzieje na oślep, lecz wszystko podlega przyczynie i konieczności“²⁾. Temu pojęciu atoli zaprzecza wniosek Symplicyusza³⁾, z którym niepodobna

1) Fr. moralia 175, 177, 185, 201, 172, 110, 213, 249, 8, 2, 225.

2) Stobaeus Ecl. phys. p. 160; u Mullacha str. 365.

3) Symplic. ad Arist. phys., fol. 736; u Mullacha str. 358.

jest nie zgodzić się, wyciągnięty ze słów Demokryta, że rozmaite atomy wydzielają się z ogólnej powszechności przez wirowanie: „jakim sposobem i z jakiej przyczyny? nie powiada, więc zdaje się iż rzeczy tworzą się przypadkowo i trafem.”

Pominałem téż kilka ustępów z etyki, w których wspomina o bogach (107, 13) i dyktuje surowe przepisy życia. Chociaż możnaby je z pewnym wysileniem nawiązać do głównych, przewodnich zasad Demokryta, podejrzewam jednak, że do niego nie należały. Do etyki wcielono 86 „złotych zdań“ niejakiego Demokratesa, wydanych po raz pierwszy w r. 1638 z pergaminów Biblioteki Barberyńskiej. Uczeni uznali wprawdzie tego Demokratesa za jedną z Demokrytem osobę, ale obecnie niektórzy historycy filozofii znowu o téj tożsamości zwątpili ¹⁾.

VI.

Taką to była pierwsza doba filozofii Hellenów. Nastąpiła po niej druga, świetniejsza pod względem siły, głębokości, roztoku rozumowania, bogatsza w zasoby wiedzy, ale mniej twórcza i śmiała w pomysłach uniwersalnych. Najjaśniejszym blaskiem świecą dwa imiona: Platona, który zbudował wzniosły gmach idei i Arystotelesa, który stworzył najrozleglejsze metody naukowego badania, a w pismach swoich ogarnął nauki przyrodnicze, logikę, psychologią, etykę i metafizykę, czyli jak sam nazwał: „pierwszą filozofią.“ Posługując się wskazanymi przezeń metodami rozwinęła się wspaniała nauka, wzbogaciła świat odkryciami Archimedesza, Hipparcha, Ptolemeusza, pracami Euklidesa, grammatyków aleksandryjskich etc. Filozofia zaś zacieśniła swój zakres i ograniczyła się wyłącznie prawie etyką: widzimy zrozpaczoną, ale szlachetną Stoę, wstępującą w ślady Sokratesa, i łechcącą zmysły „moralność“ Epikura, zwolennika systematu Demokrytowego.

Wtém na placach Efezu, Koryntu, Aten ukazuje się Paweł; do Aleksandryi, Rzymu, do wszystkich miast Azji, Afryki, Europy dążą apostołowie Chrystyjanizmu. Nie znali oni astronomii, geometrii, retoryki, nic nie słyszeli o ideach Platona, o syllogizmie i indukcji Arystotelesa; ale wymawiali jedno słowo, które wywierało wpływ czarodziejski na skołatane umysły i sumienia: „Pokój wam.“

Filozofia grecka porwała się do walki, sprobowała wskrzesić najbardziej urocze wspomnienia, uzbroiła zastępy Nowych Pytagorejczyków i Neo-Platoników, ale już w V wieku musiała zamilknąć, lub pójść na służbę do Ojców chrześcijańskiej Ekklezyi.

Dziś znowu słyszemy gwar rozpraw filozoficznych, a w nim najdonośniej górują głosy przyrodnawców, złote obietnice zwolenników

¹⁾ Erdmann, Gesch. d. philos. I, 54.

metody indukcyjnej i zapamiętałych czcicieli rozumu. Atoli wśród największych tryumfów badania, widzimy od czasu do czasu wybuchy zwątpienia i „bezbieżnej“ rozpacz. Strasznie brzmią w uszach naszych słowa jednego poety: „Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło,“ ale jeszcze straszniejszem jest znaczenie wygłoszonej niedawno Nicości, buddajskiej Nirwany—za całą przyszłość dla rodzaju ludzkiego—i Nicdoli, od której niepodobna wyzwolić się nawet przez samobójstwo, za całe przeznaczenie dla człowieka w tém tu ziemskim życiu ¹⁾.

Dzieje Filozofii nowożytnej są długie i skomplikowane. Myśliciele Europy, zaczynając swą pracę, mieli już wyborny kurs przygotowany z dzieł starożytniej Grecji. Wykładać rozmaite systematy, określać dokładnie ich treści nie mam zamiaru, ale odwołując się do osobistych wiadomości czytelnika, poruszę tylko najwyższe, szczytowe koncepcje myśli nowożytniej.

Gdybyśmy zaczęli naprzykład od Dekarta, a spytali go o punkt wyjścia. Odpowiedź jego jest bardzo wyraźna: „Cogito, ergo sum, myślę, więc jestem.“ Te same słowa czytaliście u Parmenidesa z małą zmianą szyku gramatycznego: „być i myśleć to jedno.“

Chcecie wiedzieć z kąd wziął Lajbnic pojęcie i wyraz: „monada?“ Poszukajcie u Pytagorejczyków.

Z tych samych źródeł możecie powziąć wyjaśnienia do algebraicznych wywodów Spinozy.

Indukcya Bekona Werulamskiego i ogólny charakter dzieł jego da się wybornie powiązać z Demokrytem, lepiej nawet jak z Arystotelesem. U tegoż Demokryta znajdują się główne cechy „Teorii pojmowania“ Locke'a.

Hobbesa „wojnę wszystkich ze wszystkimi“ znajdziecie u Heraklita i Empedoklesa, tylko w koiarzni ze zgodą, miłością, bo Grek nie był zdolnym do takiego pesymizmu, do jakiego dochodzić mogą synowie Północy.

Niezrozumiałym mógł wydać się komuś najulubieńszy pomysł Eleatów, „że Byt istnieje.“ Otwórzcież logikę Hegla, a znajdziecie ten sam wyraz (Die Lehre vom Sein) w napisie nad pierwszą podstawową częścią logiki, z której następnie rozwija się teoria istoty i pojęcia (Die Lehre vom Wesen, die Lehre vom Begriff). Ostatnią i najwyższą formą pojęcia jest idea absolutna, której przeczucie widzieliśmy w jednym najwyższym Bogu Xenofanasa. Nawet metoda dyalektyczna Hegla datuje się od Parmenidesa i ucznia jego Zenona.

¹⁾ Mamy na myśli Schopenhauera, a szczególnie Hartmann'a Philosophie des Unbewussten, Filozofia Zasady Bezwiadnej. Czemuż nie „Niwiadomój“ der Unbekannten?

Jeżeli mamy zawrzeć całą dążność Comte'a w jego własnych słowach, że „najwyższym szczyblem, do którego dążyć będzie filozofia pozytywna, jest możność pojęcia rozmaitych zjawisk w postaci objawów jedyne go ogólnego faktu, jakim jest na przykład fakt powszechnego ciężenia ¹⁾,” toć znajdziemy u Demokryta wirowanie atomów i przyciąganie podobieństw. Wszyscy inni filozofowie, w tej liczbie i powoływani przez Comte'a Arystoteles, szukali zasad, nie „faktu“ (fait).

Nareszcie w rozwoju obecnym nauk przyrodniczych spotykamy się znowu z dobrze już nam znanymi pomysłami Hellenów. Nie śmiąc sam zabierać głosu w tej materii, wyręczę się świadectwem Drapera zapisaném w „Dziejach rozwoju umysłowego Europy.“ Zamykając wykład nauki Xenofanesa porzypomina, że też same wnioski filozoficzne zostały powtórzone za naszych czasów i przytacza słowa Newton'a: „A więc jest On (Bóg) cały jednaki, cały jest okiem, cały uchem, cały mózgiem, cały ramieniem etc.“ W ustępie „Nowoczesny Pytagoreizm w chemii“ znajdujemy te słowa: „Nie masz żadnej substancji ani prostej, ani złożonej, organicznej lub nieorganicznej, któraby nie posiadała wyrażającej ją liczby. Nawet formy pierwowzorowe jak np. człowiek, lub jakieś inne podobnie złożonej budowy mogą posiadać liczbę wzoru, a ta jest summą liczb wyrażających części składowe... Jak w starożytnej teorii filozoficznej, tak samo i w dzisiejszej nauce liczba jest nieodmiennie połączona z nazwą rzeczy wszelkich możliwych rodzajów.“ W wykładzie systematu Demokryta, mówiąc o jego teorii atomistycznej wnioskuje: „Teorya chemii taka, jaką jest dzisiaj, zawiera w istocie poglądy jego.“ Zdaje mi się że i w fizyce atom odgrywa ważną rolę, a chociaż o wartości filozoficznej tego pojęcia wyraził powątpiewanie jeden z najpoważniejszych naturalistów niemieckich ²⁾, to jednak o nowém pojęciu któreby atom Demokrytowy zastąpić mogło, nie slyszeliśmy dotychczas. Nareszcie w ogólnym obrazie wyników wiedzy przyrodniczej, w rozdziale XXIII, który zapewne główną ozdobę całego dzieła stanowi, Draper skupia wnioski geologii i wszystkich nauk biologicznych w jedném pojęciu nieskończonych przeobrażeń życia we wszechświecie. Odwróćcież teraz kart kilka i odczytajcie powtórnie system Heraklita. Czyż pojęcie wypadkowe nie jest takie samo? Czyż mamy gardzić iloczynem dlatego tylko, że z innych jest mnożników złożony?

Jeśli więc czytać będziecie teorye falowania eteru, jeśli posłyszycie od p. Szpillera ³⁾ że Bogiem jest eter i t. p., nie spieszcie się podziwiać nowości pomysłu: przeczytajcie najprzód greckich staruszków.

1) Cours de Philos. Positive. 2-ème edit. Paris 1864, tom I, str. 10.

2) Du Boys Reymond na zjeździe przyrodznawców i lekarzy w Lipsku 1872 r., w mowie: Ueber die Grenzen des Naturerkennens.

3) Philipp Spiller—Gott im Lichte der Naturwissenschaften Studien über Gott, Welt, Unsterblichkeit. Berlin. 1872.

Skończyłem. Porównywając skreślone tu systematy Greków, które stanowią prawdziwe abecadło filozoficzne, z rozmaitemi prądami filozofii społecznej, mógłbym ułożyć kilka zagadnień wcale niełatwych do rozwiązania. Wolę jednak pozostawić tę pracę samemu czytelnikowi. Atoli dla skrócenia drogi wnioskowania, dla ułatwienia pielgrzymki po labiryncie myśli, przydadzą się może następujące pytania:

1) Zkąd przyszedł do głowy Parmenidesowi, Heraklitowi, ba nawet Demokrytowi pomysł: idei, bytu, przeobrażenia materii, atomu i t. p.? Czyż tylko drogą indukcji, albo dedukcji, tylko

... z ksiąg, albo z opowiadań,
Albo z rozwiązania zadań,
Albo z czarnoksięskich badań?

2) Czy w pierwszym podlocie myśl filozoficzna nie okoliła całego widnokregu, na którym narzędzia swoje rozum ustawiać może?

3) Czy poruszając najwyższe zagadnienia, lub poszukując zasad dla życia nie należy powoływać na pomoc rozumowi wszystkich władz, całej pełni i potęgi ducha, lub „siły“ (jak chcecie?).

Wszakże i przy pomocy tych pytań następczone przez filozofów greckich zagadnienia będą zapewne rozwiązywane przynajmniej dwoma sposobami. Jakkolwiek łaskawy czytelnik zechce sformułować odpowiedź, zastrzegam, że nie miałem bynajmniej na myśli budzić nieufności i niechęci do filozofii. Przeciwnie, jestem przejęty najgłębszą czią i szczerem zamiłowaniem do tej mistrzyni wiedzy ludzkiej, owszem cieszyłbym się nawet, żeby mogła rozszerzyć i wzmocnić swój wpływ na rozwój nauk, nie idąc na służbę do specjalistów, których teorie i hipotezy nie zawsze mogą być uogólniane i podnoszone do wysokości powszechnych idei.

HRABINA KOSEL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom I.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Nie zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawnych i oryginalnych figurach, których jedynym powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do N. Pana.

Codzień z rana, z tak zwanego naówczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowem nazywa, przejeżdżał na koniu w najpociesniejszém ubraniu, znany od uliczników do ministrów, wszystkim mieszkańcom, kuglarz a trefniś pański Józef Fröhlich, który się tytułował nadwornym J. K. Mości artystą figlarzem. August w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Traurig*. Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugich śmieszył i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Błażeńskim (Narrenhaus), udawał

się na służbę, zdolną była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały, okrągły, rumiany, nosił się w rodzaju fraczka hanswurstowskiego, a takich fraków miał z łaski króla różnego koloru dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny śpiczasty z piórem kapelusz, z tyłu zaś nakształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne srebrne naczynie, mające kształt kluczowi podobny, które w istocie za dobry puhar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncyj. Był to podarek króla, a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnej uczty pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś byłby znużył może jednostajną wesołością swoją, gdyby z obrachowanym artyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kontrastu w osobie niejakiego kammerkuryera barona Schmiedel, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało conceptów, min i siły, na podstawkę byli trefnisie podrzędni, tak zwany Saumagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzyma Cojanus'a, dwanaście par karłów ze sławnym Hante na czele i Trammem, murzynów, albinosów... a dalecy będziemy od poznania nawet tej maluczkiej części dworu, która ku poufałej pańskiej zabawie służyła.

Sławny Kyan dowcipniś nie inną też tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszej uczcie jak król go szacował. Fröhlich był przy swój wesołości człowiekiem roztropnym i wcale nie złym. Powoli sobie grosza ciułał, żył oszczędnie, śmiał się może pocichu z tych co się z niego głośno śmieli i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wiele parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojej jace i kapeluszu udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do błazeńskiej kamienicy rzadko kiedy kto zapukał, bo i gospodarz w niej był gościem. Dziwnie się więc wydało panie Locie, dojrzałej jejmościance zostającej na usługach Fröhlicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było weszło, ktoś począł dobijać się do drzwi!

Nadworny kuglarz nastawił ucha; nie był jeszcze ubrany, koń nie gotów, a sądził że przez jaki osobliwszy kaprys król do rana się zahulawszy przysyłał po niego. Lote wyjrzawszy przez szybę we drzwiach nabrała tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską: w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głów oczyma Lote, spytała czegoby chciał.

— Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem — odparł przybyły.

— Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Że się różne poselstwa tajemnicze trafiały, Lote nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznanego na górę, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznanemu i natychmiast wchodząc w swą rolę w wielkich krygach i przesadnych ukłonach, powitał go jako Ekscelencyę. Nic mniej do Ekscelencyi nad tego biédaka podobnym być nie mogło: blady, zbiédzony młody człowiek stał w progu dusząc kapelusz w rękach.

— Czém mogę służyć Waszój Ekscelencyi? — zapytał w półzgięty Fröhlich.

— A, panie Fröhlich — odezwał się cichym głosem przybyły — nie żartujcie sobie z biédaka... dla mnie wy prędkiej będziecie Ekscelencyą niż ja dla was.

— He? He? — spytał Fröhlich — ja dla was; czy król was przysyła? nie!

— Nic, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam na sam!

— O audyencyą? he? — podchwycił pusząc się Fröhlich — *donnerwetter!* czy przez sen, sam o tém niewiedząc nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cyt!) wszystko być może. Ministrowie się tak gryzą, iż ich w końcu niestanie, a naówczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojęństw. A ja sobie ministerstwo skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówił, na twarzy przybyłego mimo wesołego wyzwania, ani promyk jaśniejszy nie błysnął: stał chmurny i milczący.

— Chwila rozmowy sam na sam? ze mną?.. akorduję...

W całym domu niema nikogo oprócz Loty, która gotuje śniadanie i Hausknechta który konia drapie.

Siadł w krześle, rozparł się i począł udawać dygnitarza przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nierozśmieszony wcale.

— Panie Fröhlich—rzekł—zdziwisz się mocno gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnej.

— A toś się o drzwi omylił!

— Nie—rzekł nieznajomy—wcale nie... widuję waćpana co dzień na dworze, z twarzy jego wyczytałem żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

— Kochanie! pewnie chcesz pieniędzy pożyczyć—przerwał Fröhlich trzepiąc rękami—ale cię uprzedzam że z tego nie będzie. Wszystkiem szafuję: radą, śmiechem, ukłonem, grzbietem, czém chcesz; ale pieniędzmi! No nie mam. Król goły, jakże ty chcesz żebym ja pieniądze miał?

— Ani mi się śniło prosić was o to.

— A!—oddychając rzekł Fröhlich—to czegoż u licha możesz odemnie żądać? Żebym cię sztuki jakiej nauczył? Naprzykład jak się z jednego jajka stopięćdziesiąt łokci wstążki wyciąga...?

— I to nie—odparł przybyły.

— Szukasz mojej protekcyi?—spytał Fröhlich.

— Byćby to mogło—smutnie rzekł nieznajomy—gdy kto innej niema.

— To się choć do błazna udaje!—rozśmiał się stary. Ale dalipan, Schmiedel jako baron i kammerkuryer lepijby ci przystań; widzę z barwy że należysz do dworu? ale akcent masz obcy. W tém niema nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na sa-skim dworze z latarką szukać przyjdzie.

Któżes ty?

— Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.

— Polak, więc szlachcic, to się rozumie—rzekł Fröhlich—siadajże, szanuję szlachectwo... a żem ja mieszczanin, będę stał.

— Nie żartuj panie Fröhlich.

— Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem, gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi: mów szanowny Polaku co ci to jest? choryś? jam nie doktor.

Jakaś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać nie mógł, ten humor Fröhlicha widocznie go nękał.

— Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedzieć.

— Kilka? chętnie.

— Dostałem się na ten dwór wypadkiem... słyszałeś pan o mnie pewnie. Trafiło mi się nieszcześciem łamać podkowy, giąć puhary i ścinać koniom łby na wzór N. Pana... kazano mi za to wisić przy dworze.

— Już wiem, wiem; przypominam — rozśmiał się Fröhlich — nie zazdroszczę ci, kochany panie: jakże?

— Zaklika...

— Kochany panie „Unglücku“ — kończył Fröhlich... — Ale któż był tak... prostodusznym, by ci mógł radzić mierzyć się z królem... Trzeba być bardzo... domyśl się, by sobie tak smutną obrać rolę.

— Od czasu jak wiszę u dworu... życie mi obrzydło... ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki... nikogo...

— A wiesz że i za opiekuna i za przyjaciela mnie chcieć wybrać, to równie szczęśliwa myśl, jak łamać podkowy! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła... nie skruszyłbym słomy ze strachu abym nie obudził zazdrości: pięknie się wykierowałeś...

— Stało się — rzekł Zaklika — niemam tu nikogo.

— I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi... Nie chciałbym być w twój skórce...

— Właśnie że mi w niej niewygodnie, myślałem że choć Fröhlich się nademną ulituje...

Stary trefniś wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył ręce na piersiach... potem przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu puls macać... jakby był doktorem...

— Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało... — rzekł cicho.

— Byłoby to mogło! — uśmiechając się odezwał Zaklika... Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nałogu...

— O cóż ciidzie? — spytał.

— O to aby mnie ze służby dworskiej N. Pan uwolnić raczył...

— O to najłatwiej—rzekł Fröhlich pocichu—zrób głupstwo jakie, postawią rusztowanie na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny...

— Na to jeszcze czas—odparł Zaklika...

— Cóż myślisz robić gdy cię uwolnią? powleciesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

— Nie, zostanę tu?

— Czy ci jaka Drezdenka wpadła w oko?—Zaklika mocno się zarumienił...

— Nie.—rzekł—mogę dawać lekcyę fechtów i konnej jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska zaciągnąć..

— Czy mrzesz głodem na dworze?

— Nie, mamy wszystkiego do syta...

— Czy ci nie płacą?

— Owszem...

— Dlaczegoż ci źle...

Zaklika się zmięszał. Niemam tu co robić, jestem niepotrzebny...

— Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój a szukasz biedy...

— Może—odparł krótko Zaklika—ale się wszystko znudzi..

— Szczególniej gdy komu dobrze i niema nic do roboty,—dokończył Fröhlich... Jednakże ja w tém wszystkiem nie widzę jakbym ci mógł być pomocnym?

— Najłatwiej... stoję często przy drzwiach pomiędzy pańskim dworem; lada konceptem zwrócić możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę, król miewa różne fantazyę.

— A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał powiesić?—spytał trefniś.

— Waćpanbyś mnie obronił...

Fröhlich przeszedł się po pokoju włożywszy spiczasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce w kieszenie.

— Donnerwetter! —zawołał—zaczynam się dorozumiewać poraz pierwszy, że ja tu jestem potęgą, kiedy się ludzie zgłaszają po moję protekcyę. Waćpan mi otworzyłeś oczy! Przez samą wdzięczność cośbym rad uczynić dla niego..

Któż wie... mówią że Kyan zostanie komendantem Königsteinu, ja mogę być przynajmniej kaznodzieją nadwornym lub radcą w konsystorzu!! Zaczynam nabierać ambicyi...

I upadłszy w krzesło Fröhlich śmiać się począł... popatrzał z politowaniem na Zaklikę...

— Świat przewrócony! donnerwetter! szlachcie polski oddaje się w protekcję trefnisia... a Szwedzi którzy żyją śledziami biją Sasów...

Plasnął w ręce... Na to hasło wpadła Lotte, stając w progu z polówką winną na talerzu...

Fröhlich dał komicznie znak Zaklice aby zamilkł i skłonił mu się jak minister, który audyencyę zamyka... Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika smutny spuścił się ze wschodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisia, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znużony swą rolą komparsa na dworze... snuło mu się po głowie, że swobodny mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowej, która nagle zmieniła się w panią Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta... Śnił niezrażony niczém, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu... téj, w której czarne oczy patrzeć było dlań największém szczęściem...

Tak dziwaczne miłości jak ta która Zaklikę opanowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzeć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadném większém szczęściu nad to... Chciał być jój stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą;.. domyślał się że musiała mieć nieprzyjaciół... lękał się o nią, pragnął zyskać jój zaufanie i całego siebie, choćby życie oddać na jój usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu... powolny na pozór, ale upartej woli a niezłomnej. Śmiał się sam ze swój miłości dla téj, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegast, gdy ukryty mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jój myśli, teraz mu się rajem wydawały. W Dreźnie twarz pięknej królowej rzadko miał szczęście dojrzeć na chwilę... Widywał ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć: tego wszystkiego było mu mało. Roik

że się tam kiedyś musi dostać do jęj domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne, ostatnie pragnienie... Dla dostąpienia go byłby nie tylko trefnisiowi się pokłonił, ale daleko większe zniósł upokorzenie...

Miłość dla tęj idealnęj piękności, biędnego chłopca, nie zresztą nie ma w sobie tak dziwnego; daleko osobliwszém mogłoby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała zdaleka, Cosel z całą swą dumą, ze świeżą miłością dla pięknego Augusta w szczęściu które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: Co tęż z tym dziwakiem z Laubegastu się stało? Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jęj strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poją ambrozyą życia, jest bardzo niezwyčajném uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą: była namiętną, energiczną, zuchwałą, ale serce jęj nie łatwo się litością poruszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę aby na nią popatrzeć, przypominał się jęj mimowolnie. Pochlebialo to jęj piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którém nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się ktoby sądził, że rozmiłowany August II-gi dla pięknęj Cosel, wyrzekł się swych nocnych uczt z przyjaciół. Z wielu rachub i względów były one dlań potrzebą i nałogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siało często królewskie słowo niezgode, która była panowania narzędziem; a zręczne badanie dobywało z rozweselonych wyznań, na któreby się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych nie jeden skrywany grzeszek król wyciągnął. Dnia tego znowu wieczorem była hulaczka na zamku. August był teraz w najlepszym humorze, myślał o tēm jak swe bóstwo otoczyć olympem wspaniałości, zbytku, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, któręmi dobry król otarł łzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym był potrzebny, gdyż na wszystko i nadewszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wyciśnięcia ich z zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano co nigdy dawniej nie płaciło, ściągano grosz cudownemi wymysły, król nagradzał hojnie tych co mu dostarczali.

Lecz najgenialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc było trzeba do środków gwałtownych i azardowych. Upadek W. kanclerza do którego i polityczne przyczyniły się pobudki, w znacznej części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych zebranych przezeń bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję milionowego po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu darowanym ks. Teschen, na kilku wioskach i na pół milionie talarów, które ich był królowi niegdyś pożyczył, a tych mu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtora milionowej fortuny kanclerza rozdzielili między siebie jego nieprzyjaciele, Fürstemberg, Pflug, może Flemming. Król co się wiele spodziewał nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi summ bajecznych jakich jego fantazje wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będące chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August jak inni panujący na alchemią chorował. Nie powątpiewano bynajmniej, że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszców na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył jak wszyscy marzyciele w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on i wielu innych karmili w Augustcie II-im myśl tę, że znajdą człowieka co mu będzie w garnuszku smażył miliony, tak nieodbitcie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodziły chwile zapału do alchemii, w których nie mówiono o niczym prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstemberg, do której król sam przychodził, mieli je inni miłośnicy wielkiego dzieła.

Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędracach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadali.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniędzy dostarczać umiał, gdyby Fürstemberg nie mówił Augustowi że znajdzie człowieka, który mu złoto będzie robił, i robi go daleko więcej niż kanclerz mógł z kraju wy-cisnąć.

Tym mędrcom na którego Fürstemberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlina, którego początkowa historia dość jest ciemną, ale późniejsza najlepiej dowodzi, że złota wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustem. Na lat kilka przed temi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptecce w Berlinie fabrykacją tynktury czyli jak chcą inni, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiącego się Laskarysem i archimandrytą monasteru greckiego w Mitylenie... Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saxonii, Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieniędzy: schwycono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstemberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkiem dziełem, a król najmocniej wierzył iż lada dzień złoto się z tygla posypie.

Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i łaskami, ale trzymano go pod strażą. Uplywały lata, wywrócono z pomocą téj nadziei tynktury Beichlinga... tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkuryusz i różne ingrediencye dla zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha; król August spowiadał się, siadał nad tygłem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies stłukł merkuryusz przysłany przez Böttigera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany jak w więzieniu u Fürstemberga na zamku, potem w fortecy na Königsteinie, gdzie o mało nie oszalał, i znowu potem na zamku... przy wszelkich wygodach... a no, złota nie robił. Cała ta historia nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku... Ten więziony adept, tynktura, tygłe w których ma się wytopić złoto na woj-

ny i maskarady, król godzinami pracujący „po spowiedzi“ z Fürstembgiem nad tynkturą... a potem odpoczywający u ks. Teschen—są to nieoszacowane rysy obrazu wieku...

Böttiger korrespondował z królem, i król oświadczał się dlań z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla 40,000 talarów!

Gdy Cosel na tron po ks. Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie na tarasie, otoczonej ogródkiem... zajętego ostatecznym wykończeniem formuły złotodajnej. Oczekiwanie było wielkie, nikt ani wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje... Szczególna rzecz, zastrzegął on sobie ażeby nie spożytkowano źle jego wynalazku, aby „pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny i tego rodzaju dzieła nieprawości... Powiadał że posiadajacemu *arcanum*, niegodziło się służyć panu, któryby był publicznym jawnogrzesznikiem i małżeńską łamał wiarę lub niepotrzebnie krew rozléwał“.....

Zdaje się że tym sposobem obwarowując robienie samo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakimby się z niepowodzenia uniewinnił...

W dniu tym w którym Zaklika oddał się pod protekcją Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczonym był „nadworny kuglarz“ do zabawiania towarzystwa... Leżało mu na sercu by młodzieńcowi usłużyć, który w nim wiarę pokładał... łamał nad tém głowę, ale nie był w swój roli. Umiął dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł że mu w tém zręczności brakło... Król przyjmował u pani Cosel, Fürstemberga, Vitzthuma i kilku zwykłych towarzyszków wieczornych. Pani Reuss, Vitzthum i Hülchen składały dwór nowój pani.

Po wieczery Fröhlich musiał pokazywać sztuki... Śmiało się do rozpuku... Między innemi udawał alchemika, który miał robić złoto i przyniósł w tyglu trochę śmiecia. Z tego król August się nie rozśmiał i owszem pochmurną stała się twarz jego. Cosel już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpytywać pocichu. Nie rad się król przyznawał do tój ta-

jemniczej słabości, chociaż, naówczas podzielali ją z nim najuczciwsi ludzie wieku.

— Fröhlichowi—szepnął król—wolno się śmiać nawet ze mnie... a więc i z rzeczy tak poważnej jak tajemnica robienia złota. Ten który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jej nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych... Udało mu się wymknąć na ziemie cesarskie i ledwieśmy go ztamtąd wydobyć potrafili... Przekona się w końcu, że posłusznym być musi... trzymamy go pod silną strażą...

— N. panie—rzekł Fröhlich—dopóki przy nim niema tak silnego człowieka, któryby każdego czasu mógł go pochwycić i któregooby się obawiać musiał, niema też pewności że nie zbiegnie. N. pan sam być był dlań najlepszym stróżem lub człowiek coby miał równą siłę Herkulesową... ale takiego drugiego na świecie niema...

— Mylisz się Fröhlich—rzekł August—był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny...

— Nigdy o nim nie słyszał!

W ten sposób August przypomniał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczów był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono...

Biedny Rajmuś korzystał z tej zręczności, by króla prosić o uwolnienie od służby... August potrząsał głową.

— Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny—zawołał—mam skarb który chcę twój sile i poczciwości powierzyć; pójdziesz na dwór pani Cosel... będziesz czuwał nad jej bezpieczeństwem... jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jej nie spadł.

Zaklika uszom nie wierzył... zarumienił się, zamilkł i pokłonił, nie pytając więcéj. Los usłużył mu lepiej niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła zobaczywszy go w liczbie ludzi swojego dworu... Zrazu oburzyło ją to... ale dowiedziawszy się że był przysłanym przez króla, zmilczała. Król tegoż wieczora wytłumaczył dlaczego przysłał jej Zaklikę... Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegaście, ale nie powiedziała jej królowi... i Zaklika pozostał na swém miejscu.

Fröhlich zobaczywszy go w kilka dni potém tłumaczył się przed nim, iż mu się nie udało dotąd uwolnić go ze służby...

— Na miłość Boga! panie Fröblich—zawołał Zaklika—
ja już zostaję gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć.

IX.

Któżby się w pośród tych wszystkich płochych zabaw i sieci intryg domyśleć mógł nawet odegrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłostki króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiniej (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta... sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czém utrzymać.

Wśród szałów i hulanek walił się ów gmach dwóch państw, których grzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły... Saksonia wycieńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszém...

Pomiędzy dwiema bitwami, wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szałach zapomnienia swych strat i upokorzeń...

Przy muzyce balowej dawano instrukcyje tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się napróżno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa, nie objawiała się najgłówniej w kręconych żelaza sztabach i łamanych podkowach, największą siłę okazywał pewnie mogąc podołać nieszczęściom, które nań spadały, intrygom, ucztom, płochym miłostkom i zamętowi jaki go otaczał... Z pola bitwy powracał do Cosel, od Cosel uciekał do gabinetu gdzie się tajne krzyżowały depesze, nocą uczutowano, balowano wieczorem... Aby długie lata życia takiemu bez chwili spoczynku starczyć duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakimi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednej na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Cosel, które miało trwać krótko, zaniosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawszy od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jej stosowało się do tego... Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo ją nie odstraszało...

Wprędce uniała poznać charakter Augusta i dojrzeć sieci snujących się intryg dokoła; ze spokojem umysłu i wesołością niezachwianą niczem, bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawném wkrótce było dla wszystkich, iż z Cosel wojować nikt nie mógł, ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli płochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Cosel umiała przyspieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać... Piękność jej szczęściem zdawała się spotęgowaną. Napróżno oczy zazdrosnych kobiet śledziły w niej zmiany, znużenia, przekwitu; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku kazał wznieść pałac dla hrabiniej. Byłoto cudo i arcydzieło... Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje... chłodne na lato, ciepłe, wesołe i słoneczne na zimę... Piérwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabiów, koronek co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwały się jego podwoje, a Cosel okryta brylantami, zwycięzka, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem pocichu zwała. Płochy August choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Cosel był najmocniej zakochany... Czarem płonęły jej oczy, a cudzoziemcy co ją na szczycie chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Cosel rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiązywała stosunki; lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci, zazdrości, obawy w ludziach, którzy

wszechmocy jęj trwożyć się mieli prawo.. Chwila działania przeciw tęg, którą wprowadzono na tron, lęając się spokojnęg i łagodnęg ks. Teschen, nie wybiła jeszcze..

Każdy dzień nowym był dla nięj tryumfem... Napróžno duchowieństwo zgorszone tęg jawnęm króla przywiązaniem poczęło, z namowy niektórych dworaków, grzmięc z kazalnie przeciwko pięknęg Betsabe.. Gerber sławny naówezas kaznodzieja jednego dnia odmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczął w kościele, w którym przebrzmiewało jęj imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście tylko o Cosel Betsabe.. Wieczorem doniesiono królewskięg ulubienicy o napaści kaznodziei. August przychodząc do nięj wesół, zastał ją we łzach..

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo—zawołał chwytając ją za ręce..

— Sprawiedliwości, królu!—zaczęła łkając i zanosząc się od płaczu—mówisz że mnie kochasz... Gdybym miała twe serce, bronilibyś nieszczęśliwęg... Publicznie obelgami mnie obrzucają..

— Cóż się to stało?—począł król niespokojny.

— Żądam ukarania Gerbera! trzeba przykładu przeciwko zuchwalstwu które nic, nawet korony poszanować nie umie. Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mnie jako Betsabe..

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! jam prawdziwą żoną twoją—panie mój! wołała Anna obejmując go—ukarz go, uczyn przykład..

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Cosel.

— Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę—rzekł—w któręg mu wszystko co chce mówić wolno: ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zszedłszy z ambony szepnął jedno słowo, byłby ukaranym niechybnie.. Tam, miejsce go broni..

Gerber pozostał nie poskromionym, jednakże więćj historyi o Betsabe nie powtarzał..

Wśród największych klęsk jakiemi były odznaczone te lata, rozwijała się owa miłość królewska.. Dziki Karol XII, z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana,

żołnierz surowy i bezlitośny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pułków gromady Sasów, dawały się bić i rozpierzchały... W Polsce, mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich... słabł urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętymi usty myślał tylko jakby kość swą całą z niebezpiecznej gry wycofać... Dawna kochanka pana, hr. Königsmark wysłana w potajemnym poselstwie nie dokazać nie mogła... Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał... Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II... Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Cosel milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągać nie chcieli... a Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom...

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać...

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze... Trwało to jednak krótko, Cosel się uśmiechała... wesołość wracała na pańskie oblicze...

Wieczorem cztery części świata tańczyły kadrylle w pałacu czterech pór roku... August z Cosel Azyą przedstawiali... Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie prędko bardzo podejrzanymi się jęj stały, potem nienawistnymi. Hr. Reuss, Hülchen, nawet zręczna Vitzthum... dostały odprawę... Cosel nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich...

Strach ogarniał dwór cały...

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani. Vitzthum który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata biegingy niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie... Fortuna której zmiany spodziewano się co chwila... która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju... Szwed zwyciężał, gnał, pędził, i groził już zrzuceniem z tronu...

August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem... Pocichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr... wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonii Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się straszliwy.

Po przegranej pod Frauenstadt, zjawiały się luźne gromady rozpierchłych zbiegów, które chwymano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków... Nieład opanował wszystko... Dnia 1 września Szwedzi pokazali się w Saksonii... August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Szląsk, do Czech, ale już było za późno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mienia... Bronić się nie było podobna, musiano karmić... Szwedzi rozleli się po całym kraju, garstka pozostałych wojsk Augusta ścigana, uchodziła aż pod Würzburg. Drezno gdzie dowodził Sinzendorf, twierdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski Stanisław Leszczyński przybył do Saksonii. Z Drezna pouchodziło co żyło... królowa do rodziny w Beyreuth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a później do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypłynął cały i stał się pustynią, wywieziono towary, i sam ich transport bezki złota kosztował. Dopiero zapewnienie Karola XII, dozwoliło jarmark Święto-Michalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niego kontrybucją wycisnąć. Szlachta chcąc się od niej uwolnić, przedstawiała królowi szwedzkiemu, że oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojnę, innych ciężarów nie była obowiązana ponosić.

-- A gdzieżeście byli z waszemi rycerskimi końmi? spytał Karol XII; gdyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby tu nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i hulać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj walczyć, siedzą w domu... Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucyi; możecie ją sobie wziąć z kąd chcecie... ale inni będą wolni...

Po rzeczeniu się zupełnem korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat altranstadzki... 1706

roku a tymczasem w Polsce się jeszcze bito... i August nie przyznawał się do tego co podpisał... Udawał że wysłani dla zawarcia układów, Inhof i Pflingsten przekroczyli dane im pełnomocnictwo i ratując honor swój zasadził ich do więzienia...

August który w istocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzcęć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono, upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich... August sam czuł że dźwignąć się będzie trudno i głużył w sobie wspomnienie tego hańbiącego ratunku...

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostali tutaj...

Tryumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranej pod Kaliszem ożywiony nadzieją że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszonym był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonii...

Pani Cosel która zrazu towarzyszyła królowi, w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go aby jęj dozwolił przebrać się po męzku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Cosel, chce choć jedną ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklice który na krok nie odstępował swęj pani, powierzył król odprowadzenie jęj do Drezna... Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapalem zakochanego spełniał więcój własne swe natchnienia niż rozkazy. Cosel rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy chwyciła władzę w białe rączki i silna królewską miłością, rządzić się poczęła jak królowa, wbrew Fürstembergom, namiestnikom i wszystkim którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo... Pomnożyło to liczbę jęj nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jęj, August nie przestał być sobą, miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce... Tracił królestwa ale zdobywał serca...

Panowanie hrabinęj Cosel urozmaicało się epizodami, wśród szcęgku broni odegrywanemi. Namiętność do nięj żyła

jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od niej oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biędny, zwyciężony, teraz więcój niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Cosel była straszną, sprzyjali chętnie wszystkiemu co go dla niej oziębiać mogło...

Odsunięty przez nią, Fürstemberg, hr. Reuss i cała klika nieprzyjaciół, szukała już środków jakby władzę Cosel podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jęj o tém odpowiadała niedowierzającym uśmiechem... Węzeł który ją łączył z królem wzmocniło przyjscie na świat dwóch córek... Dumna pani... mówiła sobie iż drugiej jęj podobnej August znaleźć nie może, ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdrygnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozowań pod gołym niebem...

A jednak, już w czasie pobytu w Warszawie, serce jęj mówiło nie nadaremnie że została zdradzoną. Król wykradając się przed nią zawiązał był stosunek z córką francuzkiej kupcowej, do której sklepiku na wino uczęszczali oficerowie... Anna groziła dowiedziawszy się o tém królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali; król śmiał się, całował jęj rączki i przebłagać potrafił. W istocie mimo tych zalotów, kochał ją, ze wszystkich ulubienic tronu była najmilsza, ona jedna bawić go nieustannie umiała... z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna Cosel pocieszała się tém jedynie, że otoczona własnym dworem wielbicieli, na których jęj nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstembergowi... Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniej życia Cosel, nie zinniejszyły zbytków... Utrzymywano po królewsku hrabingę, pieszczono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstemberg jeździł otoczony gwardyą, śpiewacy i kapela włoska kosztowały tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonią... i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę pół-boga.

Wśród szczęku oręża, podpisawszy traktat, hańbą swą August II... powrócił do stolicy... a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się do pałacu hrabiny Cosel...

U drzwi jej apartamentu zastał wiernego Zaklikę, który sparty na poręczy krzesła, w głębokiej zadumie był zatopiony... Ujrawszy króla Rajmuś się porwał wstrzymując Augusta. — N. Panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjscia na świat... — Zlekka odepchnąwszy go król wszedł... W pokojach głęboka panowała cisza... U drzwi sypialni usłyszał płacz dziecięcia August.

Cosel biała jak marmur, wysilona cierpieniem, niemogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce... wskazując mu dziecko, które staruszka trzymała na ręku... król wziął je i pocałował, zowiąc swoim... Potém przystąpił do łoża i usiadł... czoło kryjąc w rękach...

— Anno—rzekł—świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz... Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego.

— Augustcie—z płaczem odezwała się Anna ręce łamiąc—biédnego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę...

— A! potrzebuję téj pociechy—dodał król ponuro...—nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięzcy niekzemnie kłania się świat cały... on tu panuje nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żalach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie, chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się zewsząd wojskowi dowódcy i urzędnicy... W korytarzu wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstemberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę, przerażonych klęskami które na Saksonię spadały... Otoczono go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak boleści i znużenia, król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdradzały nieszczęścia jakiego doznawał... Egoizm w nim głuszył wszystko... dopóki sam czuł się całym, nie bolało go nic... nie rumienił się niczem...

Dnia 15 grudnia 1706 przybył August do Drezna... nazajutrz zniknął... Samo-trzecz z Pflugiem i jednym sługą, był już konno w Lipsku... trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien że jasnością oblicza i wielkością swą na nieczłaganym szwedzie wyrobi lepsze pokoju warunki.

Dowiedziawszy się iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu... Dwaj królowie rozminęli się w drodze... August przybywszy do Günthersdorf, gdzie stał hr. Piper, dowiedział się że w Altrandstad (o pół godziny drogi), króla szwedzkiego nie było...

Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz surowego postrzyżonego Karola XII, ufryzowanemu Augustowi...

Spotkali się dwaj monarchowie na wschodach... Nigdy może dwa charaktery z sobą sprzeczne, wyraziścięj się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina... Sas na dworaka Ludwika XIV. Zajadli wrogowie przywitali się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczęły się ceremonie, kto ma wnijsć przodem... kłaniali się oba długo, Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk... a potem rozmowa w oknie, która trwała godzinę, której nikt nie słyszał, z której August II wyszedł bładny i zmęczony...

Dzień ten spędzony z Karolem XII zaciężył na życiu króla... nie wspominał o nim nigdy... Nazajutrz milezący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII, etykietalnie krótką oddał mu wizytę... W traktacie jednak nie pono się nie zmieniło...

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla, dusiła go ta szwedów przytomność na saskiej ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą... Pomiędzy Altranstadem, Moritzburgiem, Lipskiem, starając się o ratyfikacją traktatu spędził August dni upokorzenia.

Król saski w złocistej sukni à la française, w *allonge*, peruce utrefionej starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową, w sukiennym mundurze granatowym ze stalowymi guzami, w butach za kolana i łosiowych spodniach... Spotykali się wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów... Te obrabiał Piper i Cedernhiölm... Karol XII, między innymi

zapewniał króla saskiego, że od lat sześciu prawie, długich butów swych nie zrzucił, nie miał czasu... August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie przyjął nigdy, August choć mu spartańska polewka szweda nie smakowała, zasiadał z nim i męczył się, bo u stołu szweda nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu... a obiad trwał godzinę...

Po podpisaniu traktatu... parę miesięcy królowie się wcale nie widywali z sobą. Karol XII, jednak wychodząc z Saksonii nie myślał... Znudzony w końcu August II, mówią że spotykając nawet szweda w Lipsku, udawał iż go nie widzi...

Miał biedny król wistocie wiele na głowie, nielicząc tej nieprzyjacielskiej załogi... Musiał polować i kochać i płatać intrygi dworaków, aby o swój biedzie zapomnieć...

Dwór był zawsze równie świetny... Karol XII nieustannie odbywał mustry swoich żołnierzy. August II wydawał bale... Truł mu tylko spokój i rozkoszne sny niecznośny Fürstemberg, ówczesny, przypadkowy namiestnik w Dreźnie...

O tym nieprzyjacielu terazniejszym Anny Cosel, kilka słów dopowiedzieć musimy... Wśród dworu Augusta złożonego z cudzoziemców i Niemców z różnych krajów, dlatego by wpływ saskiej szlachty usunąć, Fürstemberg w istocie zrazu obco się wydawał. Przybył tu z cesarstwa, był katolikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wielce charakterem, ani nadzwyczajnymi zdolnościami; lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywy i dar wmawiania królowi największych niedorzeczności. Fürstemberg grał tu rolę magnata i arystokraty... a zajmował się najpilniej walką skrytą z nieprzyjaciołmi i wiązaniem intryg coraz nowych. Wierny hr. Reuss był jój narzędziem... Dom jego i towarzystwo służyło Fürstembergowi... Ani się spostrzegł zrazu przeznaczony na odpięcie szlachty saskiej książę, jak sam się jój dał związać. Schwycili go Friesenowie przez hr. Reuss i zaprzęgli do swojego wozu...

Cosel po swém wyniesieniu wprędce uwolniła się z więzów Vitzthumowój, pani Reuss i jój kółka; zdawało jój się że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za na-

rzędzie im służyć... Oziębienie i zerwanie stosunków było hasłem do wypowiedzenia podziemnej wojny...

W czasie niebytności króla, szpiegowano każdy krok Anny, powtarzano każde jej słowo, tłumaczono każdą czynność, aby się tém później posłużyć przeciw niej.. u króla... Pora działania jeszcze nie była przyszła... Fürstemberg czekał... i wstrzymywał innych... Powrót króla był tryumfem Cosel...

W czasie gdy jeszcze z łóżka nie wstawała... a chciała mieć ciągle Augusta przy sobie... jednego rana oznajmiono królowi, iż pilne depesze przyszły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjść, Cosel prosiła aby ministra Bose wpuszczono z niemi do jej sypialni. Nie w tém nie było nadzwyczajnego... despotycznej woli jej, wyrażającej się gwałtownie, król ulegał... Wpuszczono pana Bose.

Z trzech tego imienia na dworze Augusta znanych wysokich urzędników, wchodzący z ceremonialnemi nader i niezmiernie niskimi ukłonami Bose, był najstarszym... a jak mówiono, najmądrzejszym...

Zaczął od uczczenia majestatu zgiąwszy się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzieć, a ta nie należała do najwykwintniejszych. Taką samą czią powitał piękną chorą, która cała w puchach i koronkach zagrzebana, wyglądała jak blada na śniegu różyczka...

Pod pachą niósł Bose papiéry...

Cichuteńko szepnął królowi—pilne, z Warszawy...

Oba z nim ustąpili ku jednemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapyony. Cosel nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz z Warszawy i badała z dala twarz króla, aby z niej wyczytać co znalazł w tych papiérach. Bose z uszanowaniem, w dwu chudych, kościstych palcach wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał Najjaśniejszemu kopertę po kopercie.. Zrazu szła jedna po drugiej poważne z wielkimi pieczęciami... Cosel nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce...

Wtém Bose coś szepnął i wręczył królowi list mały, niezgrabny, podejrzany... król rozerwał kopertę, rzucił nań

okiem, uśmiechnął się i zarumienił: mimowolnie wzrok jego pobiegł na Cosel...

Anna usiadła niespokojna .

— Co to za list?—spytała...

— List, w sprawach kraju; cóż chcesz...—rzekł król.

— Proszę mi go pokazać?—krzyknęła chora.

— Niepotrzeba!—rzekł zimno król czytając dalej.

Twarz Cosel zapłonęła... zapominając o przytomności szanownego staruszka, który się cofnął jak piorunem rażony zakrywając oczy... Anna w koszuli skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta... Król się zmieszał, spojrzał na radcę, ten stał w pokornej postawie człowieka który nie wie co począć z sobą ..

Cosel pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przeczucie nie omyliło jęj: list był od Henrietty Duval, którą król, oszukując Cosel, poznał w Warszawie, i donosił Augustowi o narodzeniu córki, która później być miała sławną ową hrabiną Orzelską... Biedna matka kończyła pytając króla, co każe uczynić z dziećciem.

— Niech je wrzuci do wody! niech je utopi!—krzyknęła Cosel—tak jakbym ja ją utopiła gdybym mogła!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowemi pokłony, widząc że nie w porę przyszedł cofał się ku drzwiom.

— Cosel, na Boga! uspokój się!—rzekł król—przystępując do łóżka...

— Jakto? ty, któremu ja poświęciłam wszystko, którego jestem żoną, tak, żoną, która ciebie jednego kocham.. śmiesz mnie zwodzić, zdradzać..

Nie piérwszy to był wybuch zazdrości Anny, która odgrażała się za każdym kroka bałamuctwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u uóg jęj o przebaczenie prosił i poprawę przyobiecał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rękach napróżno...

— Cóż chcesz żebym uczynił?—zawołał.

— Jeśli słowem jedném odpowiesz téj niegodziwój, jeśli dasz znak życia i zajęcia nią—krzyknęła Cosel z wzrastającą popędliwością—biorę pocztę, jadę do Warszawy, zabiję matkę

i córkę, przysięgam. Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie iż się nie odezwie, że zapomni, i własnemu losowi zostawi swych kaprysów ofiary...

Tak naostatek skończyła się ta scena, o której Bose nikomu nie wspomniał... bo nikt nad niego nie lękał się więcej narazić niepotrzebnie wszechmocnej pani... Jego polityka zależała na tém by chodzić cicho i takimi drogami, na którychby go nikt dośledzić i dostrzedz nie mógł. Ludzi wielu miało go za prostodusznego staruszka... mówił mało, i udawał że nie wie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

NAUKOWA, LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Lekeye Wilhelma Guizota o Małgorzacie, królowej Nawary.—Poeta Klemens Marot.—Wiersze i powieści Małgorzaty, Heptameron.—Amedeusz Thierry.—Wstęp do Św. Hieronima.—Słowa o Thierryem profesora Drapeyron.—Dzielo Zellera: „Origines de l'Allemagne et de l'empire germanique”.—Zapasy Rzymu z Germanami.—„Deutschland und Frankreich“ von Ludwig Brunier.—Chasseloup-Laubat, zmarły prezes towarzystwa jeograficznego w Paryżu.—Professor prawa Ortolan.—Saint-Marc Girardin.—Kurs literatury dramatycznej; wykład bajek Lafontaine.—Artur Boissieu —„Andrea,” komodya Wiktora Sardou.—List Occioniego, delegata rzymskiego na jubileusz Kopernika.—Koncert Alberta Sowińskiego w Paryżu.—Słownik muzyków polskich.—Ostatnie utwory muzyczne Rossiniogo.—Sąd Liszta o Napoleonie III.—Wystawa Moliera.

Podczas ostatniej wycieczki naszej do Paryża, professor Kolegium Francuzkiego Wilhelm Guizot przechodząc literaturę XVI wieku, poświęcił kilka lekoyi Małgorzacie z Welezyuszów królowej Nawary i współczesnemu jój poecie Marotowi. Chętnie uczęszczaliśmy na te lekeye, postać bowiem królowej Małgorzaty prawdziwie nas zajmuje. Kilka lat temu bowiem w Pau, stołecznym niegdyś jój grodzie, spędzaliśmy całe godziny w zamku, na którego ścianach

przetrwały dotąd popiersia i godła królowej, w ogrodzie wydeptanym jej stopą. Chętnie też pójdziemy za śladem pana Guizot i cząstkę kroniki naszej poświęcimy słynnej w swym czasie autorce Hep-tameronu.

Wspaniale ta postać rysuje się na tle XVI wieku, zwanego wiekiem odrodzenia, kiedy królowie na wzór włoskich Medyceuszów czynili dwory swoje ogniskiem światła, z kąd promienie rozchodziły się po ich krajach. Dostyc tu wspomnieć dwór Zygmunta Starego i Bony, który tak samo przyświecał u stóp Karpat, jak dwór Franciszka I nad Sekwaną, jak dwór królowej Nawary w Bearnie u podnóża Pyryneów.

Małgorzata urodzona w 1492 r. wychowała się w czasach nadzwyczajnych przewrotów: kiedy ludy uralskie osłabione nad Wołgą ześrodkowały swoje siły nad Bosforem i wstrząsnęły Europę od wschodu, uciekający Byzantyni roznieśli na dalekie jej krańce zdobycze wiedzy starożytnych Greków; kiedy ludy zachodniej Europy, jakby pchane owym naciskiem hord turańskich szukały nowych ziem do rozwinięcia działalności swojej i znalazły je w Ameryce; kiedy Kopernik nie poprzestając na odkryciu świata nowego na ziemi, sięgnął dalej jeszcze niż Kolumb, i zdobył dla myśli ludzkiej nowe rozleglejsze horyzonty! kiedy na ostatek Luter i Kalwin wystąpili przeciw kościołowi, a coraz więcej rozpowszechniająca się sztuka drukarska ułatwiała zamianę myśli i ostrzyła nowy oręż do nowych zapasów.

Pod takimi to wpływami wychowana Małgorzata stała się nieodrodną córką wieku swego. Wcześniej osierocona po ojcu księciu Angoulême, lata dzieciinne przepędziła z matką i bratem Franciszkiem w zamku Amboise nad Loarą, gdzie więził ich niejako Karol VIII nienawistny całej rodzinie. Z wstąpieniem dopiero na tron Ludwika XII, mając lat dwanaście przybyła na dwór królewski. Tu kształciła się pod okiem najuczeńszych mężów ówczesnych. Zapal jej do nauki tak był wielki, zdolności tak nadzwyczajne, że w piętnastym roku, jak mówi Brantome, oprócz żywych języków umiała po łacinie, po grecku, po hebrajsku, że z mistrzem swoim Paradisem czytywała w oryginale biblię i Sofoklesa. Umysł jej chciwy wiedzy, wszystko pragnął ogarnąć; z równym upodobaniem uczyła się zasad poezji, jak zaciekała w głębokie badania filozoficzne i teologiczne.

Miała lat szesnaście, kiedy dwór rakuski zażądał jej ręki dla ośmioletniego arcy-księcia, sławnego później cesarza Karola V. Małżeństwo nie doszło z powodu zbytnej różnicy wieku. Pragnął ją później poślubić król angielski Henryk VIII; odmówiono mu z powodu, aby związki te nie wplątały Francji w wojnę z Anglią. Tym sposobem Małgorzata uszła losu Anny Boleyny, Joanny Grey i kilku innych nieszczęśliwych małżonek Henryka.

Wydano ją za księcia d'Alençon, człowieka pospolitego umysłu, niższego od niej pod każdym względem. Małgorzata czuła się nie-szczęśliwą w niedoehranym związku; świadczą o tém listy jej do Brissoneta, biskupa Meaux: księżna wylewa w nich całą gorycz, przepelniającą jej duszę. Oto jeden z tych listów przechowanych w narodowej bibliotece paryskiej.

„Czas zimny, serce moje zmrożone. Jako owca zabłąkana w miejscu obcém, zgłodniała paszy, podnosi głowę z parowu, aby odetchnąć i błagać pasterza o słodki pokarm, tak ja błagam Ojczyznę zmiłowania twego. Zstąp z wysokości góry i rzuć wzrokiem litości na ślepą owieczkę, najciemniejszą z trzody twojej“.

Podpisywała listy: „gorzej, niżeli umarła!! Kiedy biskup gromił ją o to, utrzymując, że chrześciance nie godzi się mienié umarłą, była podpisywać: „gorzej, niżeli chora“.

„Oddała serce Bogu—mówi Brantome—małżonek wcale go nie posiadał. Przybrała wtędy za godło kwiat *souci* (nagietek) zwrócony do słońca z dewizą: *non inferiori secutus*, na znak, że wszystkie uczucia, myśli i chęci zwraca do Boga, tego słońca świecącego ludzkości“.

Umarł Ludwik XII w roku 1515: zasiadł po nim na tronie młody hrabia d'Angoulême pod imieniem Franciszka I. Wówczasto rozpoczęły się dla Małgorzaty chwile dworskiej świetności i czynnego udziału w rozbudzeniu oświaty narodowej.

Dwór Franciszka zajaśniał od razu najżywszym blaskiem. Pod opieką młodego króla ocknęła się literatura, zakwitły sztuki piękne; słowem duch odrodzenia powiał żywotnie od Włoch na Francją. Król zażądał obrazów od Rafała, ozdobił Louvre sławnym Archaniołem i Przenajświętszą Rodziną; wezwał na dwór Andrea del Sarto i Leonarda da Vinci; przywołał uczonych i poetów; naj-sławniejszym architektom i rzeźbiarzom powierzył zbudowanie zamku Fontainebleau.

Księżna d'Alençon ożywiła dwór niezrównanym wdziękiem i rozumem. Pełna poświęcenia dla brata, starsza od niego udzielała mu we wszystkich światłej rady; biegła w łacinie przyjmowała zagraniczne poselstwa. Uczeni i poeci zwali ją swoim mecenasem i poświęcali jej najznakomitsze utwory. Łatwo pojąć że młoda i piękna księżna musiała być celem powszechnego uwielbienia; biografowie jednak przyznają jej wielką powagę i prawdziwy takt w postępowaniu. Jeżeli potwarz czepiła się jej pamięci, wypłynęło to jedynie z niewiadomości niektórych pisarzy późniejszych, którzy poplątali jej imię z imieniem innej Małgorzaty, siostry naszego Walezyusza, a żony Henryka IV, sławniej z wybryków królowej Margot.

Niezbywało wprawdzie na zalotnikach pięknej siostrze Franciszka; umiała ona jednak odprawiać ich dowcipnym żartem, lub złośliwym niekiedy wierszykiem. Z pomiędzy wielu innych znany

jój wiersz do hr. Lavaux, który pisywał do niej strzeliste panegyryki i groził, że umrze z miłości, jeśli nie poruszy jój serca. Oto odpowiedź Małgorzaty:

Cokolwiek mówisz w rozpaczliwym szale,
O życie twoje nie trwożę się wcale;
Gdyby wam z takiej umierać choroby,
Puste byłyby cmentarze i groby.
Jeśli cię jednak zabije kochanie,
Jeśli naprawdę masz umrzeć mój panie,
Uczucie twoje modlitwą zapłacę
I powiem w końcu: *requiescat in pace!*

Inne tkliwsze uczucie obudziła księżna w sławnym Klemensie Marocie, najznakomitszym z poetów, którzy poprzedzili Ronsarda. Marot był dworzaninem Małgorzaty; korzystając ze służącego mu przywileju pisywał do niej rzewne wiersze. W tych jednak gorących wyznaniach widzimy, że poeta czcił ją z daleka jak bóstwo, jak ideał. Skargi zakochanego czynią jój prawdziwy zaszczyt: mówi, że niewinnością myśli przeszła nawet sławną Lukrecyą. Jakoż wszyscy ówczesni kronikarze oddają cześć jój nieskażonym obyczajom zowiąc ją przeczystą perłą Walezyuszów.

O to jój obraz skreślony przez Marota:

Jestem ja sługą dziwnego potworu,
Jakiego dotąd nie zaznał świat zgoła:
Kształt ma niewieści przecudnego wzoru,
W sercu hart męzki, a głowę anioła.

W innój pieśni poeta mówi o wspólnych upodobaniach z Małgorzatą:

Oboje ważym ludzi pełnych cnoty,
Oboje równo cenim cześć i prawo;
Do próżnych plotek nie żywim ochoty,
Raczej nam wyższą zajmować się sprawą.
Z jednakim wstrętem uchodzim na stronę
Z miejsc, kędy ślęczą nudziarze okrutni,
Milsze nam księgi i dzieła uczono,
Milsze nam pieśni i cudny dźwięk lutni;
Cóż więcęj powiem? wyrzeknę-li słowo?
Gdyśmy we wszystkim podobni oboje,
Kiedy ja płonę i sercem i głową:
Czemuż, ach czemuż twarde serce twoje?

Oto inny jeszcze wiersz Marota poświęcony księżnej w dniu nowego roku: zachowana w nim miara, właściwa starym wierszom francuzkim.

Rok ten nowy mimo przygód wielu
 Rozpoczynam w szczęściu i weselu,
 Bóg mi łaski sownie użycza,
 Dał mi poznać, piękność jój oblicza,
 Co urokiem wdzięk innych zaciera;
 Wzrok jój skromny, jój mowa tak szczerą,
 Rozum bystry, uczony, co więcej,
 Słodki urok dobroci dziecięcój.
 Czy to milczy, lub gwarzy coś mile,
 Czemuż umysł nadaremno siłę,
 Bym jój czary skreślił na papierze
 Jak w mém sercu żyją wiecznie świeże.
 W gnieździe królów zrodzona wspaniałóm,
 Drogie dary padły jój udziałem;
 Niebo szczerą obdarza ją dłońią:
 Ku niej serca z miłością się kłonią.

O i czemuż ród mój nie książęcy?
 Nieś jój służbę miałbym prawa więcej!
 Po co wielkość? często wzgórek mały
 Ozdobniejszy od spiętrzonej skały;
 Krzaczek róży wszak woń słodsza niesie,
 Niż stuletnie owe dęby w lesie;
 Mały strumyk przepłynąć bez szkody,
 Gdy rzek wielkich pochłona cię wody!
 Wszak niebianka, mówią piewce starzy,
 Sercem nieraz śmiertelnika darzy:
 Łzy Atisa Cybellę zwalczyły,
 Endymion Dyannie był miły,
 Z Adoniszem Wenera szaleie
 Lecz co stare spominać tu dzieje?
 Komuż miłość księżniczki nie znana
 Co na ustach sennego Alana
 Położyła usteczka swe młode,
 Za pieśń wieszczą tak słodką nagrodę!

Mnie nie dano rycerskim być mężem,
 Chodzić w zbroi, szermierzyć orężem;
 Ni okręta na morskie pchać wały
 Za Heleną w pogoni zuchwałój.
 Jeśli kopii me ręce nie skruszą,
 Jam zwycięzki mąż wolą i duszą;
 Imię moje brzmi w kraju rozgłośnie,
 Moźnych książąt wnet chwałę przerośnie,
 W polu walki choć miejsce ich szersze,
 Lecz świat bardziej podziwia me wiersze.

Mają złoto—pieśń panem mnie czyni,
 Takich skarbów nie znaleźć w ich skrzyni!
 Mają władzę—ja mocą słów dzielną
 Mojej pani dam cześć nieśmiertelną!
 Słynąc będzie na wieki jej chwała,
 Że mnie uprzędz w swe jarzmo zdołała.

Pierwszy dziesiątek lat panowania Franciszka upłynął wśród wytwornego blasku i najświetniejszej chwały, ale chmura zaciężyła nagle nad Francją. Dwaj bohaterowie tych czasów, jakby ziemia za ciasną była dla nich, zawistném z dawna mierzyli się okiem: nastąpiło krwawe starcie we Włoszech. Franciszek pokonany przez Karola V, ujęty w niewolę pod Pawią, napisał do matki ów sławny list: „Wszystko przepadło, prócz życia i honoru.” Kwiat rycerstwa francuzkiego padł, skoszony na polach Lombardyi, lub dzielił z królem więzy: armia poszła w rozsypkę.

Łatwo pojąć boleść Małgorzaty, boleść tém większą, iż głównym sprawcą klęski był własny jój mąż, który przez nieudolność nie pośpieszył w pomoc królowi. Książę d'Alonçon uciekł przez Alpy do Lyonu; pośpieszyła do niego żona. Słowa wyrzutu skonały na jój ustach, w obec złamanego chorobą, blizkiego skonu męża. Wkrótce zamknęła mu oczy własną ręką. Śmierć rozcięła jój związki po szesnaście leciech pożycia.

Okropne to były czasy dla Francyi; czasy, które miały się powtórzyć w trzy i pół wieku, potem w niesłychanej klęsce Sedauu. Rzecz dziwna! w życiorysie królowój Nawary, Roberta Emmet, wydanym przed ostatnią wojną, czytamy wyrazy nacechowane wieszczóm niby przecuciem, przytaczamy je tu dosłownie:

„Snadno pojąć przerażenie ogólne. Francya strącona ze szczytu pomyślności na samo dno otchłani, przeżyła jeden z tych strasznych zwrotów losu, nagłych, niespodziewanych, wydarzających się niekiedy w naszej świetnej a smętnej historii, której przyszłe tajemnice znane są tylko Bogu. Rzekłbyś, że to tragedia stworzona geniuszem szekspirowskim.“

Po takim wstępie autor kreśli obraz, niestety, jakże zbliżony do tego, na który patrzeliśmy przed dwoma laty. Podobieństwo przeraża i pociesza zarazem. Nie pierwszy to i nie ostatni raz Francya wyszła zwyciężko z takiej próby; nie pierwszy i ostatni raz utraciła wszystko prócz życia i honoru!

„Na wieść o uwięzieniu króla—mówi autor—postrach padł na kraj cały. W wielkich miastach, szczególnie w Paryżu, krzyczano przeciw zdradzie, zbrojono się na gwałt, wybierano wodzów, sypano warowane wały. Rozprzężenie było powszechne. W tak trudnych okolicznościach całe brzemie władzy spoczywało na barkach regentki. Szał porwał głowy, bezład zapanował we wszystkich warstwach spo-

łeczeństwa. Wszystko się burzyło, kipiało zemstą zacząwszy od szlachty aż do prostego ludu.“

Naród nie lubił regentki; była nią Ludwika z Sabaudyi, matka królewska. Ta spostrzegłszy ogólną niechęć, wezwała do rady córkę swoją księżną d'Alençon. Imię Małgorzaty otoczone powszechną miłością, zażegnało burzę w mgnieniu oka. Brantôme świadczy, że Francya w tém straszném przejściu jój wyłącznie zawdzięcza ocalenie.

Karol V, pyszny z odniesionych tryumfów, uwięził jeńca swego do Madrytu. Małgorzata pośpieszyła za nim pełna otuchy, że wydobędzie brata z rąk zwycięzcy. Opatrzona w list żelazny, puściła się w daleką i niebezpieczną drogę przez skaliste wąwozy Pyronejów. Ciężka to była i długa podróż w owe czasy, to też poświęcenie siostry obudziło powszechny podziw. Przechowano dotąd list Erazma z Rotterdamu pisany w Bazylei: słynny mędrzec przesyła nieznanj sobie księżnie wyrazy najgłębszej czci, wysławiając jój nieporównane bohaterstwo.

Pozostało mnóstwo listów Małgorzaty, pisanych z drogi do matki, do brata i przyjaciół. Krośliła je na wszystkich przestankach, kiedy muły jój spoczywały. W zbiorze jój wierszy, są także strofy układane w czasie mozolnej podróży pod wpływem dręczącego niepokoju, zwłaszcza gdy doszła ją wieść o chorobie Franciszka.

Staęła nakoniec w Madrycie. Karol V otoczony dworem, przyjął ją w progach Alkazaru. Poprowadzono księżną do brata; jakąż była jój boleść, kiedy go zastała bez zmysłów w gorączkowej malignie. Franciszek nie poznał wcale siostry. Tkliwa jój opieka wkrótce przywróciła mu zdrowie.

Wówczasto Małgorzata rozpoczęła owe sławne w dziejach układy z cesarzem, w których okazała zręczność i roztropność nie ustępującą w niczém przezorności tak wytrawnego polityka, jakim był Karol V. Listy jój do brata pisywane to z Valladolid, to z Alkali, kędy przebywał kolejno dwór cesarski, świadczą o niezmqdowanych jój zabiegach. Ona to doprowadziła do skutku małżeństwo Franciszka z Eleonorą siostrą Karola, ona powiozła tajemnie do kraju akt abdykacyi, mocą którego Franciszek zrzekął się tronu na rzecz syna, opiekę zaś nad nim powierzał własnej matce. Cesarz uwiadomiony o tym akcie wrócił wolność jeńcowi za ogromnym okupem 1,200,000 czerwonych złotych, summy, jak na owe czasy ogromnej, dalekiej przecież od dzisiejszych miliardów.

Jeśli trudną była podróż do Madrytu, stokroć trudniejszym był powrót. Karol V zatrzymywał podstępnie Małgorzatę na dworze swoim, łudząc ją obietnicami, aby czas oznaczony listem żelaznym ubiegł, zaczem zdoła przebyć Hiszpanią. Rozstawieni gońcy cesarscy mieli rozkaz uwięzić księżną natychmiast po upłynionym terminie. Odgadła to śmiała kobieta: nieustraszona niczém przyspiesza na gwałt podróż, siada na koń przed świtem, w dniu każdym zbiega

przestrzeń jaką w trzech dniach przebiec zaledwie można. Niebezpieczeństwo pomnaża w trójnasób jej siły. Dopada wreszcie wioski Sales w Pyrenejach; stawia stopę na ziemi francuzkiej. Po raz pierwszy od miesiąca oddycha pełną piersią. Parę godzin zwłoki, a byłoby zapóźno. Drżącą ręką porywa papier, pisze list do Karola: rzuca mu w oczy gorzki żart; winszuje mu, że nadzwyczajnym poświęceniem ocaliła go od hańby, jaką gotów był sięgnąć na siebie słuchając poszeptu zemsty i nienawiści.

Wkrótce potem nowa przyszłość otworzyła się przed tą niepospolitą kobietą. Poślubiła Henryka z Bearnu, króla Nawary, tytularnego raczej niż rzeczywistego, Hiszpania bowiem wydarła mu zapirnejskie posiadłości. Henryk pełen rycerskiego ducha związany przyjaźnią z królem Francyi, walczył przy jego boku we Włoszech, jak on wpadł pod Pawią w pęta Karola V. Szczęśliwszy jednak od Franciszka, mniej zapewne strzeżony, uciekł z turmy i wrócił do Francyi.

Ślub odbył się w Saint-Germain wkrótce po powrocie króla z Madrytu. Zabrzmiały chórem pieśni poetów na cześć zaślubionej parze. Odtąd dwór francuzki stracił najpiękniejszą perłę, ale życie z Małgorzatą przeniosło się do Pau, rozkosznej stolicy Bearnu u podnóża Pyrenejów. Podczas gdy Henryk zajmował się gorliwie urządzeniem opuszczonego kraju, królowa Nawary przy pomocy biegłych architektów włoskich odbudowała gotycki zamek w panującym smaku *renaissance*, otoczyła go pysznym ogrodem na wzgórzu po nad Gawą, z kądem widok ogarnia najpiękniejszą dolinę, zakończoną łańcuchem gór o śnieżystych wierzchołkach.

Uroczę to miejsce stało się wkrótce ogniskiem sztuk i nauk. Uczeni, poeci i artyści garnęli się tłumnie w progi królowej. Nowy parnas, jak dwór jej nazwano nie ustępował w niczem świetnej rezydencji Franciszka I w Fontainebleau. Małgorzata przezwana dziejącą muzą panowała na owym parnasisie. Otwórzmy tylko pamiętniki współczesnych: sekretarza jej Masona, Sainth-Martha i innych, a ujrzymy piękną jej postać, otoczoną prawdziwym powabem, rozsiewającą życie wkoło siebie. Ubrana zawsze z prostotą, nie szukała blasku w wytwornych złotogłowiach. Czarna suknia była jej najmiłszą; to upodobanie określiła nawet czterowierszem:

Niekiedy czarny kolor nosimy ze smakiem,
Częściej on udręczenia i żałoby znakiem;
A kto zawsze ubranym chce być jak należy,
Niechajże sobie w czarnej podoba odzieży.

Wszystkie portrety przedstawiają królową w sukni czarnej aksamitnej, pod szyję, w kryzie koronkowej, podniesionej wysoko, w małym korneciku na utrefionych włosach. Rysy jej delikatne,

pociągłe, więcój miłe niż piękne; oczy tylko pełne niepojętego blasku: usta świeże, uśmiech łagodny, kibić udatna i wspaniała.

Umysł jej nigdy nie spoczywał; ręka zawsze też była czynną. Pochylona nad krośnami wyszywając szpalery na ściany komnat, dyktowała listy albo wiersze. Ilekroć była sama dobywała z kieszeni książeczkę i zapisywała w niej własne myśli. Kiedy ją otaczało świetne grono, dowcipną rozmową ożywiała wszystkich, wprowadzając w ruch najleniwsze nawet umysły. Na żądanie jej poeci improwizowali wiersze, lutniści dobywali z strun nowe dźwięki. Sama zarówno biegła w obu sztukach, tworzyła strofy wraz z melodyą. Z wielkiem upodobaniem przebiegając konno doliny Bearnu gromadziła wkoło siebie górali pyrenejskich, słuchała ich pieśni, zapisywała je pilnie. Zbiory te przechowano dotąd w bibliotece narodowej w Paryżu.

Nie sama tylko sztuka zajmowała królowę Małgorzatę. Nieodrodna córka wieku swego pragnęła ona wszystko zbadać, wszystko przeniknąć do gruntu. Niczem nie odstraszał się umysł tej szczególnej kobiety. Nieraz otoczona kołem uczonych, podejmowała najtrudniejsze zagadnienia filozoficzne i religijne. Było z kim rozprawić na świetnym dworze bearneńskim. Zamek w Pau stał otworem dla tłumy nowatorów przesładowanych w Europie za wiarę. Każdy znajdował w nim bezpieczną ostoję; między innymi sam Kalwin w siermiędze wieśniaczej uciekł tu przed nienawiścią sorbonistów.

Najsilniejszy wpływ na umysł królowej wywarł uczony teolog Russel. Ten lubo nie odstąpił od kościoła, zachwiał się jednak i począł przechylać ko nowinom genewskim. Onto skłonił Małgorzatę do czytania biblii. Chciwa wiedzy rzuciła się na Pismo Święte. Francuzki przekład biblii, jedyny jaki istniał podówczas, pełen wyrazów zastarzałych i nieokrzęsanych, przedstawiał nioktóre ustępy w uaiwny sposób. Potrzeba było wielkiego namaszczenia ducha i głębokiej pokory chrześcijańskiej aby odróżnić boże ziarno od chropawej plewy, jaka je pokrywała. Małgorzata nie miała tej pokory. Pochwyciła stronę śmieszłą, nie treści lecz przekładu, i ułożyła kilka mysteryów z Pisma Świętego, przeplatanych niewczesném dowcipkowaniem. Te mysterya odgrywano na zamkowym teatrze z wielką uoiczą dworzau a szczególniej z tryumfem nowatorów.

Małgorzata waleczyła potężnie sama z sobą. Krzepki jej umysł nie zdołał utrzymać się w pośrodku, trzeba mu było przechylić się stauowczo w jedną lub drugą stronę. Duch poetyczny, tradycye młodych lat, wiara wyssana z mlekiem, ciągnęły ją na stronę panującego kościoła, gdy tymczasem burzliwy popęd wieku, niepohamowana chciwość wiedzy usiłująca rozedrzyć wszelką zasłonę; wroszcie pycha rozumu, porywały ją ku nowościom. Przemogła jednak tradycya; prawnuczka Ludwika świętego została przy wierze naddziadów. Świadczą o tém wszyscy ówczesni kronikarze tak katolicycy

jak niemniej protestancy: pierwsi uniewinniają chwilowy jój obłęd, drudzy potępiają surowo o słabość ducha. Z tych ostatnich Teodor Beze mówi, że królowa Nawary przyómiła swoją młodzieńczą sławę łatwowiernością okazaną w późniejszych latach.

Owoce tej wewnętrznej walki było dzieło Małgorzaty pod tytułem: *Zwierciadło duszy grzesznej*. Učení Sorbońscy pilnie rozpatrzyli tę księgę, i nie znaleźli w niej nic do zarzucenia. Że jednak parlament paryzki postanowił, jako żadna książka religijna nie może być puszczoną w obieg bez potwierdzenia teologicznego fakultetu, a że Małgorzata nie zastosowała się do prawa, *Zwierciadło* zatem policzono do ksiąg podejrzanych.

Wkrótce i Russel duchowy przewodnik królowej, powołanym został do tłumaczenia się w obec teologów sorbońskich. Oświadczył on jako chciał tylko oczyścić dom boży, lecz nie myślał nigdy podkopywać jego posad. Sorbona uniewinniła go z zarzutów, pozwoliła nawet przyjąć w Bearnie biskupstwo Oloronu. Skutkiem tego Kalwin napisał do nowego pasterza gwałtowny list, drukowany przy jego dziełach.

Dni Małgorzaty rozpoczęte tak świetnie, miały się zakończyć w łzach i goryczy. Z kilkorga dzieci, jakie miała w powtórny związek, została jój tylko córka Joanna, jedyna dziedziczka Bearnu. Widoki polityczne sprawiły, że król Franciszek odebrał to dziecię do strze, a wychowywał na dworze francuzkim; że małą jeszcze, wydał Joannę za księcia Kliwii, powtórnie zaś wbrew woli matki skłoniono ją do związków z Bourbonem.

Królowa Nawary przywiązana szczerze do brata, gotowa była ponieść dla niego najcięższą nawet ofiarę. Śmierć Franciszka zadała jój sercu cios ostatni. Złamana boleścią oderwała się zupełnie od świata; czterdzieści dni żałoby przebyła w klasztorze na modlitwie. Oto smutne zwrotki nakreślone w ciszy klasztornej:

Nieszczęśliwa! w méj niedoli
Czyż wypowiem, co mnie boli?
O przyszłości nie nie tuszę,
Rozpacz szarpie moją duszę;
Myśl pograża w ton głęboką,
Nie osycha z łez me oko;
Nic nie widzieć mi przed niemi,
Ni na niebie, ni na ziemi...
Z ust westchnienie się wyrывa,
Piers z boleści ledwie żywa,
Jój nie ulży jęk ni skarga!
Ciało moje smutek targa:
Tak zgryzoty je zwalczyły,
Że do życia brak mi siły!

W innej pieśni tak znów oplakuje sieroctwo swoje:

Nie mam ojca, ani matki,
Ani siostry, ani brata,
Smutne moich dni ostatki,
Niczem dla mnie urok świata;
Bez przyjaciół, bez rodziny,
Niczem dla mnie złoto, chwała:
W Bogu dziś mój skarb jedyny,
W Nim otucha moja cała!

Czuła Małgorzata że dni jęj policzone. Przeczucie to bardziej jeszcze odrywało ją od ziemi. Oto ostatnie jęj wiersze nakreślone krótko przed skonem:

Równie gorąco pragnę ja krzyża,
Jak wzrok od niego zwracałam z trwogą,
Duch się mój kornie przed nim uniaza;
Dziś mnie ustraszyć męki nie mogą,
Bo krzyż me serce do Boga zbliża,
On mi jedyną tarczą i drogą,
Dobra mi ziemskie starczyć nie mogą:
Wszystko mi niczem—wszystko, prócz krzyża!

Wkrótce potém umarła Małgorzata w pięćdziesiątym siódmym roku życia. Król Nawary pogrzebał w Pau jęj ciało. Nad grobem królowej-poetki zabrzmiały pieśni wieszczów; najslawniejszy z nich tren Ronsarda. Marot o wiele lat poprzedził ją do grobu.

Poetyczne utwory Małgorzaty aczkolwiek pełne rzewnego uczucia, przebrzmiały, zgluszone dźwiękami późniejszych poetów, których szereg rozpoczyna sławny Ronsard. Chwałę literacką zawdzięcza głównie królowa nieporównanym listom, znaczny ich zbiór należy do najważniejszych pomników historycznych tój epoki. „W owych listach odbija wzniosły i szlachetny umysł Małgorzaty, maluje się wernie serce jęj pełne zacnych i prawych uczuć“ tak je ocenia Sainte-Beuve.

Sławne są niemniej powieści królowej Nawary: pisała je w dojrziałym wieku mając już lat pięćdziesiąt. Zamierzała osiągnąć ich liczbę do dziesięciu i wydać p. t. *Dekameron*, na wzór włoskich powieści Bokacyusza, ale śmierć zaskoczyła ją w ciągu pracy. Że było wszystkich siedm, dano im tytuł *Heptameron*.

Powieści te były przedmiotem niezliczonych krytyk i komentarzów. Wydawano je wielokrotnie, dopełniano rozmaitemi dodatkami, ganiono lub wysławiano nad miarę. Dzisiejsza krytyka widzi w nich drogi zabytek literatury XVI wieku, wierne zwierciadło ówczesnych obyczajów. Główną ich zaletą łatwość, prostota, wielkie

bogactwo wyobraźni, cel moralny, myśl zdrowa. Ujemną ich stronę stanowią wyrażenia zbyt śmiałe, określające rzecz bez ogródki, rażące wytworny smak dzisiejszy. Autorka tak samo jak współczesny jej Rabelais przedstawia zło w całej ohydzie bez tych delikatnych, często kłamliwych osłon, jakimi obecni powieściopisarze pokrywają rany toczące społeczeństwo. Obyczajem wieku swego, woli ona raczej obrazić ucho czytelnika nieprzyzwoitém słowem, niż skazić myśl jego podając mu truoiżną w pięknej, kunsztownie wyrzeźbionej czaszy. Królowa Nawary przemawia językiem prostym, jakiego znać używano na dworze Franciszka I, językiem, który nie przeszedł jeszcze przez wpływ ogłady wersalskiej; każdą rzecz nazywa po imieniu; zawstydzi może niejedną czytelniczkę, lecz nie zgorszy jej przewrotném rozumowaniem, nie otumani jej umysłu, nie obłąka jej serca.

Umarł niedawno w Paryżu znakomity historyk Amadeusz Thierry, brat sławnego Augustyna, genialnego autora historii Merowingów. Śmierć jego tém dotkliwsza dla Francyi, że ten wielki pracownik w ostatnich właśnie czasach życia okazał największą działalność. Z pierwszego rzutu oka na te foliały jakie rzucał w świat niemal rok rocznie, kto go nie znał z prac dawniejszych, ławoby go wziął za młodego pisarza usiłującego zdobyć jakoby szturmem opinią publiczną. Rozczytawszy się jednak w tych żywotach ś. Hieronima i Jana Chryzostoma, w owych opowieściach z dziejów rzymskich na Wschodzie, widzimy że to utwory głębokiego erudyty, co długie lata przeżył z bohaterami swymi, co poznał do gruntu czasy, ludzi, miejsca, wśród których żyli i działali.

O *świętym Janie Chryzostomie* powiemy szczegółowo później. Dziś pragnąc uczcić zmarłego historyka dajemy ustęp z jednej z najważniejszych jego prac. Jesteśmy pewni, że sam autor potwierdziłby nasz wybór. Powtarzając w treści przedmowę do życia świętego Hieronima, pragniemy nie tylko wykazać główne cechy talentu Thierryego, ale co więcej dać poznać, jak ten mistrz rozumiał wielkie znaczenie biografii. Wybierał on olbrzymów i umiał podnieść się do ich wysokości. Jako pisarz sumienny wyznawał z prostotą, że sądzi te wspaniałe świeczniki kościoła sądem ludzkim, zostawiając rzeczy wiary uznaniu właściwszym od niego sędziów. Jakże to budująca prostota w męzu tak prawdziwie uczonym!

Posłuchajmy samego autora.

„W starożytném chrześcijaństwie żadne imię żywszym nie świeci blaskiem nad imię świętego Hieronima, żaden z Ojców kościoła nie liczy tylu jak on historyków, żaden nie był przedmiotem tylu krytyk i komentarzy, zaczawszy od średnich wieków aż do dni naszych. Zbierałem kłosa na tém szerokiém polu, korzystałem ze światła tych, którzy mnie na niem poprzedzili.

„Święty Hieronim jest nie tylko bohaterem księgi mojej, lecz poniekąd rzeczywistym jej twórcą. Ta księga to obraz jego myśli, jego badań i boleści, jego prześladowań i tryumfów zapisywanych przezeń dzień po dniu w całej szczeroci pierwszego poruszenia; to rys życia jego przyjaciół i przeciwników, niekiedy spowiedź pobożnych jego penitentek, słowem to historia IV wieku. Hieronim bowiem najściślej z nim zespolony wszystko widział, wszystko opowiada; uczestniczył w wielkich zapasach czasu swego, był ich duszą, ich chwałą. Oto wątek jaki usiłowałem wysnuć z jego ksiąg, a uczynić treścią mej pracy.

„Trudno schwycić i przedstawić w jednym obrazie postać ś-go Hieronima, przyczyną tego wszechstronność. Historycy też rozdzielili tę postać między siebie, stosownie do właściwej dążności swych umysłów. Jeden bada w nim głównie pisarza, gorącego polemistę wymową równego Cynceronowi; drugi szuka przede wszystkim teologa, którego wyroki są dla kościoła prawem; trzeci ocenia uczonego tłumacza, który umiał wprowadzić do mowy łacińskiej piękności ksiąg hebrajskich i uporządkował ewangelie tak, jak je dziś widzimy; czwarty przedstawia w nim ascetę pełnego zapału, krzewiciela zakonów na Zachodzie. Każdy z tych tak różnych objawów geniuszu Hieronima wywołał szereg prac, częstokroć doskonałych, które z samej natury rzeczy musiały być jednostronne.

„Wielkość świętego Hieronima okazuje się przede wszystkim w jego nieustannej działalności. Jęj to zawzięczość on przewagę nad współczesnymi i uieśmiertelną chwałą w dziejach. Hieronim więcej działał niż pisał; same nawet pisma jego pędzą gwałownie do czynów. Wciąż walczy, wciąż powołuje do zapasu, kieruje obrotami, czy to przebywa w Rzymie w bogatych pałacach patrycyuszów, czy w pustelnicy grocie betleemskiej. Jeśli w pismach tego Ojca kościoła znajdujemy wieczne zwierciadło czasu, to dlatego, że on sam stanowi jego część najżywotniejszą, *pars magna*. Bardziej niż ktokolwiek ze współczesnych Hieronim jest mężem IV wieku, niepodobna go zrozumieć nie zgłębiwszy do gruntu opinii, potrzeb, namiętności, przesądów tej epoki. Księgi jego pisane jednym pociągiem pióra, improwizowane niejako pod naciskiem bieżących okoliczności, mają przed sobą cel blizki, wyraźnie określony. Wspomina nieraz jak u drzwi pustelni goniec czeka na list, który on pisze naprędcie do przyjaciół z Rzymu i Akwilei, lub do jednego z kościołów galskich, bądź w celu odwołania fałszywej nauki, bądź dla usprawiedliwienia się z zarzutu. Brak mu czasu aby wygładził te stronicze; oglądzone straciłyby może pierwotną siłę i żywotność. Hieronim wylewa na papier myśli i słowa, w miarę jak pełnym potokiem napływają mu pod pióro; i pismo jego przebiega po świecie i staje się niby dziejowem zdarzeniem, którego nie zagłuszają ani burze wstrząśnionego społeczeństwa, ani spory cesarzy, ani wojny domowe, ani najazdy obcych, ani grom wiszący nad Rzymem.

„Kto chce wykazać w całym świecie postać św. Hieronima, zrozumieć jego uniesienia, jego gniew, musi zbadać tajemnice tych czasów. Idźmy więc w ślad za nim w szeregi tego duchowieństwa rzymskiego, którego zepsucie karci tak straszną chłostą; idźmy pod te pyszne sklepienia, z kądem powołuje do ubóstwa i pokory dumne córki Marceliuszów, Fabiuszów i Scypionów; idźmy na pustynię Palestyny i Egiptu, kędy je wpływ jego pociąga, do Betleem na koniec, gdzie przybiegają tłumnie z Zachodu, aby posłyszeć jego słowo i umrzeć dla świata.

„Niepodobna zrozumieć tego nadzwyczajnego ruchu, jaki budzi Hieronim wkoło siebie, nie zbadawszy owego społeczeństwa pośredniczącego między pogaństwem a chrześcijaństwem, między starożytnością a wiekami średnimi; tego wytwornego świata rzymskiego zatopionego w zbytkach i rozmiękczeniu, który zwraca oczy do Ziemi Świętej podniecony już to gorącą pobożnością, już to chwilowym kaprysem mody. Rozwijają się tu charaktery osób, nadzwyczaj ważne dla historii. Dokumenta chrześcijańskie do połowy IV wieku wykazują nam tylko powolny i tajemny postęp chrześcijaństwa pomiędzy ubogim ludem. Kiedy niekiedy zaledwie błysnie jakieś znakomite imię wśród tego tłumu wyzwoleńców, niewolników, żołnierzy; tłum ciemnego ale pełnego męstwa, który w prostej a gorącej wierze swojej wydał całe zastępy męczenników. Nie wiedzieliśmy jakimi drogami religia Chrystusa wniknęła później pomiędzy wysoki patrycyat rzymski, w świat wiedzy, bogactwa i pychy. Tę stronę obrazu dopełniają pisma Hieronima świętego.

„Jakąż różnorodność charakterów stawiają nam przed oczy jego listy, jego rozprawy polemiczne; Hieronim bowiem pisarz przedewszystkiem podmiotowy, na każdej stronicy stawia sam siebie, przyjaciół i nieprzyjaciół swoich! Z tych zarysów wykonanych jego ręką, jedne mogłyby śmiało stanąć obok najdoskonalszych obrazków Teofrasta, inne ledwie naszkicowane, ale tak pełne rzeczywistości, że zdają się oddychać i poruszać. Kiedy Hieronim chłocze występki swego czasu, ma on werwę Juwenalisa, z którym często go porównywano: obrazy jego wówczas ponure i straszne! Nic okropniejszego nad postać Rufina Grunniusza obłudnika i skąpca rozpasanego na zbytki, który wzbogaca się jałmużną przeznaczoną ubogim, *ucztuje głodem biednych*. Kiedy Hieronim maluje przyjaciół, kiedy kreśli uroczę okolice Betleem, technie pełnym wdziękiem Teokryta. Naprawdę szukalibyśmy w starożytności tak trafnego sądu o kobietach wielkiego świata, podobnego ocenienia ich uczuć, ich obyczajów, ich domowego życia, nawet stroju. Paola, Eustachium, Marcella, Fabiola, przewyborne to typy; kto je poznał, nigdy ich nie zapomni: Hieronim co chwila zapoznaje nas z niemi.

„Obok tych galeryi portretów postawmy krajobrazy. Ten Ojciec kościoła wielkim był podróżnikiem. Przebiegł on cały prawie świat znany za jego czasów. Od niego pochodzą słowa odróżniające tak wybornie światłego podróżnika od bezmyślnego turysty.

Discendi studio peregrinationes institutae sunt; miłość nauki stworzyła podróże. Hieronim stosował spostrzeżenia ze swych wędrówek nie tylko do wiary, głównego celu swego, ale niemniej do filozofii, do historii, nawet do poezji. Wykazywał pożytek jaki może odnieść z nich religia. Taksano—mówi on—jak rozumiemy lepiej historyków greckich, kiedyśmy zwiedzili Ateny, a trzecią księgę Eueidy, kiedyśmy przez Leukad przebyli z Trojady do Sycylii, następnie do ujścia Tybru, tak samo czytamy jaśniej w Piśmie Świętym, kiedyśmy zdeptali Judeę, zbadali pamiątki jej starożytnych grodów, poznali jeograficzne jej położenie.

„Biograf Hieronima powinien zatem towarzyszyć mu w podróżach do Grecyi, Syrii, Rzymu, Konstantynopolu, Egiptu i Palestyny, aby odnieść do tych miejsc uwagi głębokiego badacza, który ma być częstokroć jednym rzutem pióra, jednym klasycznym porównaniem, wziętym z historii albo z bajki. Co do Palestyny gdzie przebywał trzydzieści pięć lat, a którą przebiegał często w towarzystwie uczonych rabinów Tyberyady i Lyddy w celu naukowym, ta rzecz można, należy do niego. Potrzebne nam dziś jego dzieło aby zrozumieć starożytną Judeę, jak jemu potrzebne były oba testamenty i akta apostołów, aby zrozumieć Judeę Hebrzejów i Chrześcian. Księgi św. Hieronima muszą towarzyszyć podróżnikowi, który chce zwiedzić z pożytkiem Ziemię Świętą.

„Księgi te są szczególnie niewyczerpanym źródłem dla historii dogmatów i spraw kościelnych. Będąc zawsze wiernym i posłusznym synem kościoła rzymskiego, Hieronim ocenia i wielbi kościoły wschodnie, z których światło chrześcijańskie rozeszło się po świecie całym. Zna ich tradycje, po ich wątku dochodzi do kolebki wiary: do Jeruzalem, Antyochii, Cezarei. Wiadome mu dokładnie ich doktryny, ich spory. Słuchał Apolinariusza w Laodycei, Dydyma w Aleksandryi, Grzegorza Nanzyanęńskiego w Konstantynopolu; oddaje na pożytek zachodnich współbraci obfite plony swego żniwa, opierając na nauce ortodoksyj kościoła rzymskiego.

„Liczył Hieronim do przeciwników dwóch najstrawniejszych herezjarchów tej epoki: Apolinariusza dawnego mistrza swego, którego powołał przed sobór rzymski w roku 382 i Bretona Pelazgiusza, który przybył do Betleem wyzwać go w zapasy i drogo przypłacił tę zwyciężalność.

„Zarliwy obrońca dogmatu, nie poprzestał Hieronim na walkach przeciwko żywym, wywoływał on z cizy grobowej herezjarchów dawniejszych. Jak patriarcha Jakób, co na tejże samej ziemi judzkiej walczył niegdyś z niebieskimi potęgami, wziął on się za bary z wielkim duchem Orygenesem, wytoczył mu proces i pamięć jego skazał na potępienie.

„Takim przedstawia się oczom moim Hieronim według świadectwa jego ksiąg, takim usiłowałem odtworzyć go w różnych przejawach, w jakich ta wielka osobistość występuje w historii. Pragną-

łem odmalować w nim człowieka światowego, pisarza, mędrca, niezmordowanego atletę wiary katolickiej. Badając głównie jego listy mogłem wmięszać do opowieści mojej zarisy życia wewnętrznego a nawet te drobne szczegóły, które odtrąca zwykle poważna historia, ponętna przecież dla ogółu dzisiejszych czytelników.

„W dziele mojem starałem się głównie przedstawić Hieronima w stosunku do społeczeństwa IV wieku. Bodajbym umiał zarówno, podążyć za nim w eteryczne sfery zagadnień religijnych, gdzieś podniesion do najwyższej chwały przez kościół, otrzymał palmę geniuszu połączonego z wiarą! Wykazać prawdę jedynym było celem moim. Bodajbym mógł uczynić zajmującym to dzieło! Bodajbym nadewszystko zachęcił drugich do uczczenia i ukochania bohatera mego, jak go sam wielbię i miłuję.“

W chwili gdy to piszemy dochodzi nas artykuł o Thierryem znanego historyka, profesora Drapeyron, którego dzieło o Herakliusz rozbieraliśmy w kronice przed dwoma laty. Drapeyrou nie kreśli biografii mistrza swego, ale zapisuje niektóre szczegóły, tyczące się zwłaszcza jego prac ostatnich i ostatnich chwil życia.

„W dniu 3 kwietnia 1866 roku, mówi Drapeyron, ujrzałem po raz pierwszy Amadeusza Thierry w Sorbonie na doroczném zebraniu Towarzystwa uczonych z prowincyi. Thierry przydywał w oddziale historycznym. Trudno wypowiedzieć z jakim zadowoleniem dopełniał obowiązku. Okiem pełnem miłości patrzył na to młode pokolenie uczonych, tak pracowite, tak mu szerze oddane. Lubo wychowaniec czasów, w których patryotyzm objawiał się w ścisłym centralizmie, pojmował Thierry całą pożyteczność nowego kierunku, zrozumiał że centralizacya już nie na dobie, że wyrób prowincjonalizmów, oparty na historycznym badaniu potrzeb miejscowych, otwiera nową a prawdziwą drogę postępu. Zajmowały go szczególnie pytania tyczące się etnografii i etymologii celtyckiej. Słuchał odczytów młodych uczonych z natężoną uwagą; podnosił znaczenie ich prac, przyklaskiwał gorąco, udzielał doświadczonej rady. Ja także odczytałem przed nim rozprawę o Burgundyi w czasach Merowingów. Zapewnił mnie z wielkim podziwem moim, że przynoszę ważne dopełnienie do poglądów bratajego Augustyna, na dzieje Neustryi i Austrazyi. Zachęcony tém odwiedziłem go w domu. Przedstawiłem mu, że jego *Historya Attyli* podała mi myśl do napisania życiorysu cesarza Herakliusza. Odpowiedział że i w tём jeszcze spotkałem się z Augustynem Thierry, który widział w Herakliusz osobistość nadzwyczajną w dziejach, odtąd polubił mnie i w imię Herakliusza prosił ministra Duruy o przeniesienie mnie na profesora do stolicy.“

Głos Thierrego potężny był za cesarstwa. Na jego wstawienie Drapeyron otrzymał katedrę w Paryżu. Odtąd młody professor stał się powiernikiem, niemal współpracownikiem mistrza. Wtajemniczony w jego prace, zobaczmy co o nich mówi:

„Historya Galii zaczęta od lat wielu, wydana częściowo nie była ukończoną. Amadeusz Thierry nie spuszczał jej z oka, ale natknął po drodze wielkie postacie, które go pociągnęły. Pole badań rozszerzyło się przed nim, jego pogląd spotężniał, przyszedł do dojrzałości. W początkach zawodu, na wzór sławnego dzieła brata o *Zdobyciu Anglii przez Normandów*, napisał historyą Galii (1828). Praca to znakomita, zebrana mozolnie z tekstów rozsianych w stu kronikarzach, zestawionych umiejętnie w jedną całość. Później między rokiem 1830 a 1838 skreślił *Obraz państwa Rzymskiego*, wierniejszy od dzieła Monteskiusza: *Grandeur et décadance des Romaine*. Praca ta otworzyła mu progi akademii nauk moralnych i politycznych, w 1841 roku. Wówczasto rozpoczyna się trzeci jego zwrot: nazwiemy go fazą psychologiczną. Tu historyk nie poprzestaje już na odgrzebaniu faktów za pomocą krytyki historycznej i na połączeniu ich w jeden łańcuch siłą rozumowania; pragnie on zajrzeć w głąb duszy bohaterów swoich, pochwyć niejako pierwsze pobudki ich działań. *Historya Attylli* (1854) cechuje nowy krok na tej drodze. Żyjący jeszcze Augustyn z uniesieniem przyklasnął bratu. Amadeusz Thierry wydał wkrótce potem ów szereg nieporównanych obrazów: Eutropiusza, Stilikona, Alarika, Odoakra, Teodoryka a nakoniec św. Hieronima, obraz najcudniejszy ze wszystkich przed zjawieniem się św. Jana Chryzostoma.

„Pragnął Thierry dokonać historyi Gallów — ciągnie Drapeyron. — Przeglądaliśmy razem zasoby do tej pracy, fragmenta, częścią drukowane, częścią w rękopismach. Przestraszyłem się na widok kapitału z wolna nagromadzonego. Amadeusz Thierry tworzył pomalę; potrzeba mu było żyć się wprzód z osobami, zaczęłam ośmielić się pokazać ich w działaniu. W chwilach natchnienia przechadzał się samotnie po ogrodzie Luksemburskim, układał w myśli całe ustępy. Wróciwszy do domu dyktował je sekretarzom, od których wymagał niesłychanej cierpliwości i uwagi. Następnie poprawiał kilkakrotnie rękopis z drobiazgową ścisłością.“

Określiwszy Thierryego jako pisarza, Drapeyron opowiada wkrótce przygody i cierpienia jego lat ostatnich, smutne przeczucia jakie go dręczyły od zwycięstwa Prus pod Sadową. Przeczucia sprawdziły się niestety! Ulegając namowie rodziny i przyjaciół Thierry opuścił Paryż i udał się na północ kraju, tam przebył czasy pruskiej wojny. Klęski Reichshoffen i Sedanu złamały go boleśnie. Jeden z synów zamknięty w Metz z armią Bazaina dostał się do niewoli, drugi pozostał w Paryżu. Mimo to starzec pracował wytrwale. Owocem tych dni żałoby i udręczenia były znakomite rozprawy o Nestoryuszu i Eustychesie drukowane w *Przeglądzie Dwóch Świątów*. Z nichto wzięliśmy obraz Pulcheryi i Atheneizy do jednej z kronik naszych. Któżby czytając owe pełne życia rozprawy przepuścić mógł, że kreślone ręką siedemdziesięcioletniego starca i to w warunkach tak okropnych!

Drapeyron przebył oblężenie w Paryżu. Po zawartém armistium otrzymał list Thierrego w tych słowach:

„Pisz do mnie drogi panie! Powiedz mi jak przebyłeś te smutne dni bombardowania. Spodziewam się, że cię nie spotkała żadna szczególna przygoda: rana, ani zbyt ciężki niedostatek. Mój Boże, ileż to nędzy! jakże my nieobecni ozuliśmy ją z wami razem! O cóż się mam pytać?... chyba tylko o wieści załoby! My oddaleni z Paryża podczas tych klęsk niesłychanych, podobni jesteśmy do Epimenida szukającego na pobojuwisku, kto umarł? kto żyw jeszcze? kto legł? kto pozostał na nogach? Widzisz to wszystko, rzecz okropna!.. I my też mieliśmy bitwy na północy i wkoło nas krew toczyła się potokiem.“

Tęskno mu było do prac nagle przerwanych.

Powrócił nakoniec w dniu 18 marca, w dniu pierwszych gwałtów komuny! Ostrzeżony o niebezpieczeństwie wyjechał w kilka dni, nie zdążył nawet widzieć się z Drapeyronem. Napisał do niego zaraz po upadku komuny. Oto list z 1 czerwca.

„Nie umiem wypowiedzieć, drogi panie, jaką radość sprawiło mi twoje pismo. Sądziłem, że cię już nie ma, aż tu dowiaduję się razem, żeś wyszedł cało z tylu klęsk i żeś mnie nie zapomniał. Zadrzałem czytając twój opis, jak słuchałeś na własne uszy strzałów, które ci groziły na wschodach Panteonu! Skończyło się wreszcie. Pochwalić za to Boga, ludzie sami nie byliby tak rychło zaradzili!

„Rozpocznę z rozkoszą, moje literackie prace w Paryżu, jeśli w pośród tylu gruzów i zwalisk znajdzie się kącik do pracy umysłowej. Wreszcie gdybym je miał rozpocząć tylko sam dla siebie, znajduję w nich lekarstwo na straszne cierpienia, jakie czekają mnie wzbudzonym Paryżu, *lekarstwo duszy*, jak brzmi napis biblioteki Aleksandryjskiej.“

Drapeyron opisuje spotkanie się z Thierryem po dziewięciomiesięcznym rozłączeniu. Powrócił zdrów i krzepki. Zajął się gorliwie drukiem Nestoriusza i Eutychesa. Wydanie św. Jana Chryzostoma, zatrzymane w skutek wojny, było najważniejszém zdarzeniem w świecie literackim roku 1872.

W szczególny sposób zajmowała Thierrego sprawa publicznego wychowania; doczekał się zupełnej w nióm reformy. Śledził pilnie budzący się ruch historyczny we Francyi, przyklaskiwał mu całym sercem. Znakomite badania pana Geffroi silnie go uderzyły. Niemniej zajęły go *Teorye o najazdach* p. Tustel de Coulandes, a szczególnież znakomita *Historya Niemiec* Zellera. Ostatnią pociechą jakiej doznał, było postanowienie ministra oświecenia, że kolegium w Blois, gdzie pobierał nauki z bratem, miało otrzymać nazwę kolegium *Augustyna Thierry*. Obrany honorowym prezesem bankietu

udał się do rodzinnego miasta. Prezydował z warunkiem, że żaden toast polityczny nie będzie podniesiony.

Z miłością uczeń opisuje ostatnie chwile ukochanego mistrza. W zimie począł niedomagać na zdrowiu, mimo to pracował bez przerwy, wykończył dwa artykuły o literaturze Gallo-Rzymskiej w V wieku.

„W początkach marca—mówi Drapeyron—prowadził w obec mnie długą rozprawę etnologiczną z Opertem; 15-go mówiłem z nim po raz ostatni; wspominał drogich mu przyjaciół: gdym odchodził, życzył mi szczęścia i powodzenia. Następných dni coraz bardziej upadając na siłach zajął się uporządkowaniem interesów. W tych ciężkich chwilach przejścia pobożność jego okazała się tkliwą, pełną prostoty. Na krotko przed śmiercią pieścił wnuka, szeptał o Alzacyi!”

Śmierć Thierrego poruszyła silnie umysły. Patrząc na tego niezmordowanego zapaśnika, na coraz nowe plony jego pracy, przypominano o późnym jego wieku i wrócono mu jeszcze długą przyszłość. Akademia francuzka żywo uczuła stratę, tém żywiej, że do żalu łączyło się słuszne upokorzenie. Godziłoż się uczonemu gronu nie wezwać między siebie najznakomitszego pisarza wieku, nieporównanego stylistę, kiedy tyłu innych zasiadło fotel, dzięki tylko ich politycznym opiniom!

Na pogrzebie Thierrego wystąpiła cała inteligencya; ogromny kościół Saint-Sulpice ledwie że pomieścił tych wszystkich, którzy pragnęli mu oddać cześć ostatnią. I my byliśmy na tym wspaniałym pogrzebie, i my odprowadziliśmy na omentarz Mont-Parnasse zwłoki zasłużonego męża. Widzieliśmy wkoło trumny cały uczony świat paryski zacząwszy od akademików strojnych w palmy i członków wszystkich wydziałów instytutu, do professorów i przedstawicieli dziennikarstwa.

Sławny autor Krucyat, Mignet najstarszy z grona akademików dowiedziawszy się o śmierci Thierrego wyrzekł z boleścią: „Francya straciła człowieka, którego mogła z najwyższą chlubą stawić przed oczy Niemcom“. Słowa te znalazły oddźwięk w sercach; wszyscy też bez względu na różnicę politycznych przekonań, połączyli się w wspólnym żalu opłakując jeden z najwspanialszych świeczników, roznoszących na świat chwałę Francyi.

Wspomnieliśmy *Historję Niemiec Zellera*, której ukazanie się napełniło radością serce dogorywającego już Amedeusza Thierrego. Dzieło to, owoc długoletniej pracy zasłużonego profesora szkoły politechnicznej, niegdyś rektora uniwersytetu strassburgskiego, waznem jest zjawiskiem w dziedzinie historycznej literatury. Pod tytułem *Origines de l'Allemagne et de l'empire germanique*, autor bada początki starożytnych Niemiec, kreśli wiekowe zapasy

Germanów z Rzymem. Piérwszy tom obejmujący czasy starożytne kończy się na śmierci Karola Wielkiego. Dalsze tomy niewydane dotąd, ukazał się z kolei.

Autor zadaje sobie nadzwyczaj ważne pytanie historyozoficzne, czy słuszną jest upowszechniona opinia, że barbarzyńcy mogą odrodzić ludy ucywilizowane, ale pogrążone w zepsuciu? Stanowczo on temu zaprzecza; nowość jego wywodów godną jest szczególnej uwagi.

Zbyt długo—utrzymuje Zeller—Francya opierała się na antitezach Tacyty i Salviana, którzy w obec spróchniałej cywilizacyi rzymskiej poducili enoty barbarzyńców; zbyt długo wierzyła samymże Niemcom, jakoby w IV wieku odrodzili skażone społeczeństwo gallo-rzymskie przynosząc mu zasady wolności.

I cóż—pyta autor—mogli wnieść zaborecy germańscy w ziemię Rzymu z początku wieków średnich? To tylko dajemy drugim, co posiadamy sami. Otóż barbarzyńcy wszędzie i zawsze przynosili ucywilizowanym ludom mordy jedynie i zwaliska. Zepsucie zagniezdziło się w Rzymie pomiędzy II a IV wiekiem, trudno tu temu przeczyć! Panowała w nim choiwość, przedajność, zła wiara. A czémże to byli barbarzyńcy w tych czasach? o cóż walczyli z Rzymem, jeśli nie o grabież? wydzielali mu ziemie, łupili złoto, porywali niewiasty; a kiedy obciążeni złotem zdobytóm we krwi i pozogach wracali do swych leśnych ustępów, mordowali się wzajem o tenże łup, jak świadczą Nibelungi. Byli zupełnie łupieżce pomiędzy Rzymianami, ale czémże były wszystkie ludy germańskie, jeśli nie jedną zgrają łupieżników! Grecy znali dobrze Teutonów: Herodian zowie ich *φιλαργύροι*, przyjaciołmi srebra, a Tacyt sam powiada: *cupidine praedae adversa tolerabant*, nadzieja łupów wszystko im daje przetrwać.

Autor stawia naprzeciw siebie dwa światy: rzymski i germański. Porównywa je pod względem religii, ustroju społecznego, pojęć moralnych, obyczajów.

Cywilizacya rzymska—twierdzi on—zachowała ślady starożytnego barbarzyństwa. Słusznie Ojcowie kościoła gromili zapasy gladyatorów w cyrku; prześladowanie chrześcian splamiło purpurę najlepszych nawet cesarów. A i cóż to widzimy w Germanii? Fanatyzm religijny obléwa krwią ołtarze Odina, lub miecz utkwiony w ziemię ostrzem, przedstawiający boga wojen. Mordują tu nie tylko zbrodniarzy i jeńców wojennych, ale własnych krewnych i druhów, nawet żony i dzieci! Jeńcy ponoszą najstraszniejsze męczarnie. Żołnierze Varrusa przybijani gwoźdźmi do drzew przez Cherusków; Turyngowie w VI nawet wieku zawieszają Franków za uda, branki tratują kołami wozów swoich. Krwawe ofiary praktykują się w północnych Niemczech w IX jeszcze wieku, wedle świadectwa chrześciańskich misyjonarzy. Mieliz prawo Germanie

wyrzucać Rzymianom cyrkowe igrzyska, skoro cała Germania była olbrzymim cyrkiem, kędy mordowano całe narody? kędy Swewi otoczyli szeroką pustynią swoje obozowiska? kędy Lygowie pomazani czarno od stóp do głów, niby widma piekielne rzucali się nocą na nieprzyjaciół? kędy z Brahterów wymordowanych bratnim mieczem, imię ledwie pozostało w historii?

Byli — ciągnie autor — niewolnicy i w społeczeństwie rzymskiem, ale od czasu Antoninów niewolnictwo słabnie i znika. Prawo Justyniana zadaje mu cios ostatni. Germanom — że to zawdzięcza Zachód obalenie niewolnictwa i przeistoczenie go w poddaństwo? Istniał tam już *kolonat* (stan kmiecy). Ale co zawdzięcza im Zachód, to ów stan służebnictwa, w którym poddany odarty z opieki praw, przestał być człowiekiem i obywatelem, jak był nim *colonus* (kmięcz), a stał się łupem chciwości i okrucieństwa pana! Tacyt w kilku słowach określa poddaństwo w starożytnej Germanii: „Często zabijają niewolników nie za karę, ale w pierwszym popędzie gniewu, jak się zabija nieprzyjaciela, z tą różnicą, że bezkarnie“ to jest bez obawy odwetu.

Ukazuje z kolei Zeller, czém była rodzina germańska obok rzymskiej. Miała ta ostatnia stronę wadliwą, ale przynajmniej wychowywała dzieci starannie, otaczała je gronem pedagogów i mistrzów, wysyłała pilnie do szkoły. Cóż się działo za Renem? Tam dzieci i panów i poddanych rosły samopas na śmietniku pomiędzy bydłem, pozbawione wszelkiej opieki; ojcowie nie troszczyli się o ich przyszłość. Synowie też odpłacali ojcom równą miarą; w niektórych pokoleniach zabijano bezsilnych starców.

Tacyt podnosi wiarę małżeńską Germanek, chwali je, że nie umieją pisać, a przez to samo nie wyprawiają miłosnych poselstw. Złośliwa to jak widać przymówka do pań rzymskich. Wierne były Germanki — mówi Zeller — bo mąż miał prawo zabić żonę. Mimo to historia zachowała mnóstwo zdarzeń wcale nie budujących; sam Tacyt przytacza ich wiele, Grzegorz z Tours jeszcze więcej. Arminiusz bohater Cherusków porwa współzawodnikowi swemu Segestowi jego córkę Thusnildę. Straszniejsza pamięć Rosamundy u Gepidów i Longobardów. Porwana przez Alboina, zabójcę jej ojca i braci, spełnia najkrwawsze mordy i zbrodnie. Równie ohydne typy Brunchildy i Fredegundy w historii, Kriemhildy w Nibelungach! Jakże tu pogodzić germańską czystość obyczajów z wielożenstwem ksiąząt, zapisanóm u Tacyty, któremu chrześcijaństwo bardzo długo nie zdołało położyć tamy?

Żaden rys charakterystyczny nie uchodzi pilnój uwagi badacza. Germanie — mówi Zeller — jak wszystkie ludy pierwotne, rozumieli cnotę gościnności, ale więcej domagali jej się od obcych, niż spełniali ją sami. Wykazuje ich samochwalstwo, chytryść, obłudę; przypomina jak nasyłali kupców do rzymskich miast nad

Dunajem, polecając im badać wewnętrzny stan państwa. Germanin nie przepominał nigdy urazy, krył ją głęboko w sercu, karmił się nienawiścią, czekał cierpliwie na chwilę pomsty, udając najprzyjaźniejsze uczucia. Kiedy zguba Varrusa była już postanowioną, wodzowie germańscy otaczali go kłamliwą cześcią i poszanowaniem, zapewniali o uległości kraju, nakłaniali zdradziecko, aby rozpuścił legiony.

Historyk nie zarzuca Teutonom, że byli barbarzyńcami w tej odległej epoce, że w pojęciach moralnych i ludzkościowych nie dorównali ucywilizowanym Latynom. Chce tylko wykazać dowodami, czém byli ci *enotliwi* Germanie w stosunku do zepsutego Rzymu. Kreśli więc obraz obu społeczeństw w czasach ostatniej walki. Idąc w ślad za nim, przypatrzmy się owej cywilizacji wyrobionej przez Rzymian, zdruzgotanej taranami dzikich Germanów.

Stały pokój, *pax romana*, panuje od Wielkiej Brytanii do Eufratu, od Dunaju po piaszczystą Saharę. Na tych szerokich przestrzeniach ustały wzajemne zapasy ludów. Kartagina żyje w zgodzie z Numidyą; Latyni nie walczą z Samnitami, ani Edwanie z Sekwanami, ani Peloponez z Atyką, ani Tracya z Macedonią; zaniechał sporów Żyd z Chananejczykiem i Egipcyanin z Arabem. Wojny domowe w dwóch pierwszych wiekach cesarstwa nie zdolały zniweczyć wielkich dobrodziejstw tego powszechnego pokoju, pod którego opieką okręta kupieckie przebiegały swobodnie ocean, morze Śródziemne i Euxyn. Jeśli widnokrąg zachodzi chmurą w III i IV wieku, to dlatego, że barbarzyńcy weiskają się coraz głębiej w łono cesarstwa. Pokój ten zburzyli Germanie. Rozpasani Gotowie, Turyngi, Wandale, Longobardy rzucają się na Rzym, zalewają go rzekami krwi, zaścielają kupami rumowisk. Żyzna dolina Dunaju staje się głuchą pustynią, równiny Chalons straszniem cmentarzyskiem, gdzie wśród bezednych orgii zwycięzcy piją wino czaszką pomordowanych nieprzyjaciół. Od czterech wieków Rzym walczył tylko w obronie ludów, które podbił orężem: Gallów, Hiszpanów, Pelazgów, Syryjczyków i Afrykan. Cała polityka jego polegała na tém, aby z tych wszystkich ludów utworzyć jeden naród, sprządz go braterskimi ogniwami, *fraterna vincla*; przypuścić do własnych przywilejów, rozciągnąć państwo po krańcach znanego świata. Barbarzyńcy sprowadzili wojny, w których walczone tylko o łup, o narzucenie jarzma na karki innym ludom.

Rzym pracował nad porównaniem narodów w prawach obywatelskich. Przykładał ostatnią rękę do tych praw, opiekuńczych dla dziecka i niewiasty, dla wyzwolenca i niewolnika. Zaprowadzał swobody municypalne, owe *libertas romana*, o które dopominały się później miasta nawet Germanii chrześcijańskiej. Barbarzyńcy z głębi puszczy swoich wnieśli arystokracją, stokroć groźniejszą niż patrycyat staréj Romy, bo opartą na zupełniem upoddaniu zwyczajonej ludności. Rzym do ostatnich czasów budował drogi, ko-

pał kanały, stawiał mosty na wielkich rzekach, wznosił bazyliki, amfiteatry, łuki tryumfalne. Trewiza po trzykroć spalona, po trzykroć powstała z popiołów. Świat rzymski, aczkolwiek szarpany, pod grozą najazdu rzucał jeszcze nowe idee, tworzył nową literaturę. Po Demostenesach i Cyceronach nastąpili Hieronimy i Chryzostomy wielcy głosiciele myśli nowych. Rzym przed chwilą upadku swego doszedł do najwyższego rozwoju mądrości ziemskiej. Stoicyzm jego stał się ludzkim, epikureizm moralnym, filozofia nieomal chrześcijańską. Nakoniec ugruntował chrześcijaństwo, chrześcijaństwo zgodny z pierwotną myślą, jaka mu przewodniczyła, to jest religię pokoju i miłości, nie zaś ów chrześcijaństwo *zodymizowany*, spaczony w rękę barbarzyńców, który miał wtrącić ludy w straszny odmet wojen religijnych.

Jakież zabytki przynosiła Germania w dziedzinę religii, filozofii, moralności i literatury? Oto krwawo bałwochwalstwo Teutonów, owe ofiary z ludzi, które przetrwały w Austrazji do czasów Theodeberta, owe pieśni barbarzyńskie zebrane później w Nibelungach, apoteozę cheiwości, łupieztwa i mordy, żywotny wyraz odwiecznego okrucieństwa Germanów.

Zeller przebiega pokolei prawodawstwo, obyczaje, religią, pieśni narodowe, dążności zwycięzców; oblicza najściślej wszystkie cegły, jakie teutonizm wniósł do budowy nowych społeczeństw zachodnich. Jakże to małeńki przyczynek w obec tych potężnych żywiołów cywilizacyjnych, co jeszcze tlały pod gruzami świata łacińskiego!

Po najazdach tworzy się między Renem a Pyrynejami jakiś słaby związek społeczny, który nie jest już Galią, a nie jest jeszcze Francją, związek nadzwyczaj barbarzyński, pod przewodnictwem Klowisów, Chilperyków, Martellów. Kielkuje tu przecież bogaty posiew dla przyszłości; Frankowie jedni z pomiędzy ludów gotowi podjąć miecz wypadający z rąk bezsilnego cesarstwa łacińskiego i prowadzić niejako cywilizacyjne jego posłannictwo. I oto Gallia ostatnia ze zdobytych prowincyj rzymskich, najbardziej z nich rzymska, pod wodzami z rodu Teutonów i gallo-rzymskimi biskupami, odziedzicza materialną potęgę Rzymu. W samymże nawet Rzymie wzrasta potęga całkiem duchowa, która wnet rozciągnie przez Alpy stanowczy wpływ na Germanię: to papieztwo. Zadaniem Gallii podbić materialnie Teutonów; zadaniem papieztwa pod następcami Grzegorza Wielkiego nadać moralny kierunek krucyacie noworzymskiej. Żołnierz i misjonarz występują do zapasu: Karol Martel i św. Bonifacy rozpoczynają walkę z Germanią pogańską. Wkrótce przyjdzie mąż, wojownik i apostoł zarazem i poskromi dzikich Saksów i ugnie im głowy, po których potoczą się źródła chrztu! Tym mężem Karol Wielki.

Autor badając początki Germanii odróżnia w niej kraje niemieckie zachodnio-południowe, od Niemiec wschodnio-północnych.

Przyczynę tej różnicy widzi nietylko w warunkach południowej przyrody usposabiającej do pieśni i sztuk pięknych, przyszlą kolébkę meistersingerów i artystów; widzi ją nietylko w odmiennych plemionach pomieszanych w Szwabii, Bawaryi, Tyrolu z żywiołem galskim, w Prusach i Pomeranii ze krwią słowiańską i fińską. Różnica ta—mówi Zeller—wypływa przedewszystkiém z tradycyj historycznych. Niemcy zachodnie rozsiadłe po miastach rzymskich nad Renem i Dunajem, od Kolonii do Ratysbony żyjąc w ciągłych stosunkach z narodami Welskimi, przyjmując z pierwszej ręki w kolei wieków chrześcijaństwo, nauki średniowieczne, odrodzenie XVI wieku, idee demokratyczne XIX, tworzą Niemce romańskie, zupełnie odrębne od Niemiec prusko-wendyjskich.

Z pomiędzy germańskich ludów, Zeller szczególnie wyróżnia szereg Franków. Długo osiedleni przy ujściu Renu u zlewu Gallii z Germanią, w miejscu gdzie Rzym graniczył z Teutonami, chrześcijaństwo z odynizmem, gdzie tradycje nawet dwóch plemion odżyły w jednych legendach, Frankowie musieli zachować odrębny charakter. Napół Gale, napół Latynie, napół chrześcijanie, łatwo porozumieli się z biskupami i miastami wilkiój armorykańskiej federacji.

Na tém kończy autor tom pierwszy. Dalsze poświęcone będą wyłącznie historyi Cesarstwa niemieckiego.

Na poważne i rozumowane dzieła Francuzów o Niemcach odpowiadają Niemcy pamfletami: liczba ich niezliczona, rozmiary niekiedy bardzo wielkie. Do rzędu ich należy nowa książka w 8-ce, złożona z 500 blisko stronnic, p. t. *Deutschland und Frankreich von Ludwig Brunier*. Cała ta elukubracya ma na celu zestawienie wad francuzkich z cnotami germańskimi.

Autor powołuje na świadectwo pisarzy różnych epok i narodowości: na czele ich stawia Woltera, Chateaubrianda, Emmersona. Na okładce czytamy epigraf wzięty z Carlyla najzaciętszego wroga Francuzów. „Szlachetne, spokojne i głęboko myślące ludy niemieckie zlewają się nakoniec w jeden naród i odziedziczają panowanie nad kontynentem po Francyi próżnej, nadętej, krzykliwej, szamocącej się i drażliwej aż do śmieszności. To zdaniem mojem najważniejszy wypadek współczesny.“ Poniżej słowa Emmersona: „Uważam Niemców jako lud najgłębszy i naznakomitszy na ziemi.“ Obszerna książka jest tylko rozwinięciem tych aforyzmów.

W początku zaraz autor gromi Europę, że nie dosyć gorąco objawiała sympatyę Prusom podczas ostatniej wojny. Najsrożej powstaje na ludy szczepu germańskiego: Szwajcaryą, Holandya, Danią, Szwecyą, Norwegią, a nawet Anglią: nie wystarcza mu jak widać epigram lorda Carlyle.

Pierwsza część dzieła jest olbrzymim panegirkiem na cześć Niemiec. „Zbadajmy teraz nieprzyjaciela naszego, *sans parti pris* — wyraża się po francuzku p. Brunier—porówuajmy go z nami, a zobaczymy, który z dwóch narodów ma prawo stanąć w pierwszym rzędzie?”

I wykazuje od nocy Bartłomiejowej aż do komuny wszystkie krwawe daty w dziejach narodu francuzkiego, świadczy się słowami Woltera, że Francuzi są ludem najokrutniejszym w Europie.

Idzie potem zarzut próżności. Najważniejszym tu argumentem jest znane przysłowie, że każdy żołnierz francuzki nosi w tornistrze łaskę marszałkowską, przysłowie świadczące raczej o równości praw, poparte zresztą licznymi dowodami z czasów Napoleona I, kiedy prosty żołnierz jak Murat znalazł w tornistrze nie łaskę, ale berłol

Trzecim zarzutem chciwość. I jakież to dowody chciwości wydobywa autor z dziejów i obyczajów narodu? Oto że pani Dubarry łupiła skarb Ludwika XV, że panna Georges artystka dramatyczna lubiła do zbytku pieniądze, że sławna Rachel na łożu śmierci oglądała swoje dyamenty.

Czwarty zarzut: nieuctwo. Wiktor Hugo urodzony w Besançon mieni się być Lotaryngczykiem!

Pomijamy zarzuty kłamstwa, obłudy i t. p.

W końcu przytacza autor wiersz Alzatozyka opiewający radość oswobodzonej prowincyi:

„Odwrociła się karta. Wasze czasy przeszły na zawsze. My Niemcy jesteśmy znów panami w domu własnym!

„A ty miotło niemiecka oczyść-że co żywo ten dom, wymieć z niemieckiej ziemi całą czeredę francuzką!“

Śmierć rozpasła się nad Francją; w naukowym zwłaszcza świecie poczyniła straszne wyłomy. Cztery stronnictwa polityczne dzielące naród, zarówno zostały dotknięte, każde z nich straciło jeden z najsilniejszych filarów swoich: bonapartyści w dawnym ministrze marynarki Chasseloup-Laubat, orleaniści w sławnym profesorze, członku akademii panu Saint-Marc-Girardin, stronnicy umiarkowanej rzeczypospolitej w wielkim prawniku Ortolanie, legitymiści nakoniec w redaktorze *Gazette de France* Arturze Boissieu.

Każdy niemal z tych zmarłych wycisnął silne piętno osobistości własnej nie tylko w historii Francji, lecz niemniej w dziejach ogólnej cywilizacji świata.

W Chasseloup-Laubat marynarka francuzka i wojskowość postradały męża, który umiał w całym znaczeniu stosować teorię naukową do potrzeb praktycznych. Słyszeliśmy sami z ust Henri Martin, że śmierć jego prawdziwą jest dziś klęską, wykonał bowiem wyborny plan reorganizacji wojska i pracował właśnie

nad jego wprowadzeniem. Wspominamy to ocenienie jednego z naczelników demokracji, gdyż określa wymownie piękną stronę geniuszu francuzkiego. Wobec grobu milkną tu wszelkie niechęci stronnice, pozostali przypominają o wszystkiém, pamiętają tylko zasługi zmarłego ziomka.

Chasseloup-Laubat przyczynił się znakomicie do postępu nauk geograficznych i etnograficznych mądrém popieraniem dalekich wypraw w różne kończyny mało znanego świata. Był on długo i pozostał do śmierci prezesem Towarzystwa geograficznego w Paryżu.

Professor Ortolan przez lat czterdzieści z górą wykładał z katedry sorbońskiej porównawcze prawo kryminalne. Wychował on kilka pokoleń prawników i uczonych. Sam spis jego dzieł poświęconych prawnictwu, których koroną *Objasnienie historyczne kodeksu Justyniana*, zajęłoby całą stronicę. Rzecz godna uwagi że uczony doktor był zarazem poetą. Jeżeli jego poezye drukowane p. t. *Enfantines* nie zjednały mu równój sławy jak badanie Pandektów, tłumaczą one przecież tę wielką świeżość umysłu i wyobraźni, która pozyskała mu nie tylko szacunek jako dla głębokiego erudyty, lecz zarazem gorącą miłość uczniów.

Zmarły Saint-Marc-Girardin powinien zająć wszystkich, jako znakomity professor literatury francuzkiej w Sorbonie i autor wielu dzieł krytycznych, a co więcej jako jeden z tych mężów gorącego serca, o których powiedział niedawno Cuvillier-Fleury kreśląc obraz Montalemberta, że występują jako boży świadkowie w obronie oierpiących na ziemi. Występował Sain-Marc-Girardin w obronie Greków, to też liczni Grecy przebywający w Paryżu uczcili przy pogrzebie jego pamięć; przewodniczył im znany autor grecki pan Raugabe.

O pracach literackich Girardina powiemy obszerniej w innym czasie, dziś poprzestaniemy na kilku słowach. Najwyżej ceniony jego kurs literatury dramatycznej. Professor wziął sobie za cel wykazać najściślejszy związek pomiędzy wytwornym smakiem a zdrową myślą moralną. Nie podnosił on owych cnót bohaterskich, do których polega życia częstokroć za ciasne: najwyższa moralność według niego polega na pełnieniu obowiązków w życiu codziennem, domowém. Pamiętamy, że professor rozbiierał sztukę dramatyczną z katedry w czasach przewrotu pojęć, kiedy pod wpływem zbudzonego romantyzmu jeły występować tak w literaturze jak na deskach teatralnych postacie Werterów, Antonych, Manfredów, Ruy-Blasów, słowem całe zastępy geniuszów niezrozumianych z piętnem fatalizmu na czele, depezących pyszną stopą rodzinne i społeczne węzły. Potrzeba było przeciwdziałać. Girardin stanął w obronie znieważonego ogniska; przypomi-

nał młodym słuchaczom, że na prostych drożynach żywota najszaniej napotkać szczęście.

Snuje on bez ustanku swój wątek; wydobywa go z najdawniejszych pomników geniuszu ludzkiego. Kiedy rozbiera tkliwe pożegnanie Hektora z Andromachą, cóż go tam uderza najsilniej? Oto, że bohater trojański zaleca żonie aby wyznaczyła robotę niewolnicom, podała im kądział i wrzecziono i pilnie czuwała nad niemi. „Praca pod domowym dachem—mówi professor—to jedyna osłoda w troskach, ona tylko zdoła ukoić duszę! Od czasów Homera człowiek nie wymyślił lepszej pociechy.“

Z trwogą poglądał uczony krytyk na zwrot ówczesnej literatury, którą słusznie Michał Grabowski określił nazwą szalonej. Przerazonony powodzią materyalizmu Girardin pochwycił sztandar idealnego piękna i trzymał go krzepką ręką wbrew panującym uprzedzeniom. Trzeba było w rzeczy samej wielkiej odwagi, aby wobec młodzieży goniącej chciwie za nowością wyzywać w zapasy Wiktora Hugo, Balzaka i tylu innych. Professor szedł śmiało za głosem przekonania: nie poniżył się nigdy do schlebiania słuchaczom. Młodzież szanowała go i szczerym poklaskiem płaciła szczerę słowo.

Za przedmiot ostatnich kursów swoich wziął Girardin bajki Lafontaine'a. Z tych małych dramacików wysnuwał on złotą, nie prawd filozoficznych i moralnych. Rozbierał chętnie owe bajki nie tylko w Sorbonie, lecz i na popularnych konferencyach. Słyszeliśmy jedną z nich i nie zapomniamy jej nigdy. Jakież to perły wymowy rzucił prelegent zachwyconym słuchaczom, jak genialnie porównywał Lafontaine'a z Bossuetem odkrywając tajemnicę ich wielkości w prostocie, w tych *oklepanych prawdach* (lieux communs), którą obaj głosili, podnosząc je twórczym duchem do najwyższego ideału.

Między innymi powtórzył mówca znaną powszechnie bajkę o tym starcu, który sadził w ogrodzie drzewa wobec zarozumiałych młokosów nie pojmujących znaczenia próżnej według nich pracy. Przytaczamy cudną konkluzją.

„Szczęśliwe rodziny, szczęśliwe społeczeństwa, w których starcy rozumieją i szanują przyszłość, w których młodzież umie zrozumieć i uszanować przeszłość! Nie pytajcie mnie szydlerczo kto natchnie starcom poszanowanie przyszłości, kto nauczy młodzież szanować czasy przeszłe? Są zaprawdę w łonie najuboższych rodzin, w cieniu najskromniejszych chatek święte domowe ołtarze przypominające nam bez ustanku owe pobożne prawdy: jednym z nich łóż pradiada, drugim kołyska niemowlęcia; miejsce gdzie człowiek zakończy długi zawód i miejsce gdzie go rozpoczyna. Szczęśliwe, powtarzam, społeczeństwa, szczęśliwe rodziny, w których łóż chorego pradiada otoczone poszanowaniem, tkliwą opieką i boleścią! szczęśliwe rodziny, w których kolébka otoczona pieczołowitým staraniem! Tym to sposobem obecność tak krót-

ka dla każdego z nas rozciąga się z jednej strony w przeszłość, przez uszanowanie tradycji, z drugiej znów sięga w przyszłość, dzięki miłości starców ku młodzieży. I któryż młodzian na widok starca nie ogarnie myślą zbiegłych lat najeżonych ciężkimi życia próbami? I któryż starzec na widok młodziana nie spojrzy z uczuciem w przeszłe czasy, gdy go już na ziemi nie będzie, czasy dla których wychować ma duszę powierzone mu od Boga! Młodzi czy starzy mielibyśmy kochać wyłącznie teraźniejszość? ten punkt niedostrzeżony w wielkiej otchłani lat, jak ją zowie Bossuet! Z trzech działów czasu miałyby dwa dostępne tylko myśli ludzkiej przepomniane być przez nas, przeszłość, pókiśmy młodzi, gdyż nie braliśmy w niej udziału, przyszłość kiedyśmy starzy, bo w niej żyć nie będziemy? Jakże wspaniała, jak wysoko moralna postać owego starca, który z nałogu i upodobania pracuje dla pożytku, dla przyjemności drugich.

„Wielkie to zaprawdę szczęście przy schyłku dni naszych sadzić drzewa, pod których cieniem nasze wnuki rozmawiać o nas będą. Ale chcąc sadzić drzewa, potrzeba mieć własną piędź ziemi, a nie wszyscy ją mają. Otóż więc my pisarze, my przedewszystkiém starzy profesorowie sadzimy też na swój sposób drzewa dla przyszłości. W braku ziemi szczepimy je w dusze i w umysł uczniów naszych, ożywieni błogą myślą, że kiedy nas nie będzie, piękne owoce dojrzeją na tych drzewach, szczęśliwi, że pracujemy dla przyszłości! Człowiek najwyzszy uczuciem wówczas, gdy nie myśli o sobie.“

Obok tych głów pokrytych białym szronem położył w grobie młodą jeszcze głowę Artur Boissieu, znany w gronie dziennikarzy paryżskich redaktor *Gazety Francuskiej*. Był to jeden z najzdolniejszych krytyków dzisiejszych. Artykuły jego tygodniowe pod tytułem *Listy Przechodnia* (*Lettres d'un passant*), utrzymywały głównie wziętość pisma; słusznie stawiano je obok poniedziałkowych sprawozdań Juliusza Janin w *Debatach*. Pozostawił w nich autor wierny obraz literatury ostatnich lat dziesięciu, skreślony z wytwornym smakiem, a co więcej z wiarą w przyszłość, z myślą zdrową i samodzielną. Boissieu należał do grona tych szermierzy, jakich Francya liczy dotąd, którzy z zapałem podjęli sztandar idealnego piękna i odpierali potężnie powódź materyalizmu.

Aby dać poznać talent Artura Boissieu wybieramy z licznych szkiców skreślonych jego ostrém lubo delikatném piórem, obrazek Wiktora Sardou głośnego autora dramatycznego.

„Wytrwałej pracy Sardou zawdzięcza wziętość swoje. Od młodu czuł on powołanie do sztuki i jak Owidiusz, który pierwsze słowa splecił wierszem, Sardou od dziecka pisał komedye. Upadek na pierwszym kroku bynajmniej go nie zraża. Wygwizdany w Odeonie przez młodych kosów łacińskiego przedmieścia przebiegł za rzekę; tu wypchnięty z teatru Dejaset spadł szczęśliwie na deski *Gymnase*. Otdąd

każdy rok był dlań nowym tryumfem, każdy dzień znaczył w kominię białą kredą. Otrzymał krzyż legii honorowej, obsypano go garściami złota; wziętość jego rośnie coraz to bardziej, a jeżeli jako autor dramatyczny nie dopełnia ciężących na nim obowiązków, dopomina się niemniej o swe prawa.

„Sardou odziedziczył spadek po Scribem i prowadzi pomyślnie handel. Ma on liczną klientelę chciwą nowości, pisze na obstalunek, nie uchybi nigdy terminu, próbuje wszelkich rodzajów, prócz nudnego rodzaju. Zarówno jak poprzednik bierze przedmiot gdziekolwiek napotka, podejmuje perły z cudzych śmietników, dołącza zdobyty łup do własnej chudoby; na tej mieszaninie wyciska znak fabrykanta i pieczęć handlowego domu. Pracownik niezmordowany, istna machina dramatyczna, zna wartość czasu, nie kradnie go sam sobie. Musi utworzyć rok w rok tyle wodwilów i komedyi, ile ich spotrzebują teatru ku zabawie chciwej wrażeń gawiedzi. Dowcipny i płodny zna w najwyższym stopniu sztukę wydobywania efektów, zręcznie porusza sceniczne sprężyny, wie jaką dawką rozdzielić interes na pięć aktów dramatu, tak samo jak wprawny homeopata wie z ilu atomów złożył leczące proszki. Lada drobnostka ma u niego znaczenie, umie położyć ją w właściwem miejscu. Z dziwną zręcznością snuje sieć pajęczą swych intryg i łapie w nią słuchaczy istnie jak pajak muchy. Jestto człowiek swojego czasu, pracuje sam dla siebie. Słowem to kramarz, co sprzedaje uciechę; drogo ją sprzedaje, lecz nie brak mu nigdy towaru, nie brak także i kupców.“

Niepodobna lepiej określić Wiktora Sardou, koryfeusza dzisiejszej szkoły dramatycznej, która tylko patrzeć, zniknie jak bańka mydlana, nie zostawiając po sobie nic, prócz kilku kropel brudnych mętów.

Artur Boissieu był także poetą, ale pochłonięty sprawami dziennikarstwa nie miał czasu do pieśni. Z małej liczby rzuconych tu i owdzie zwrotek przytaczamy w przekładzie jego wiersz poświęcony zmarłemu przyjacielom.

W dzień zaduszny.

Drodzy umarli! dzień waszego święta
Cichą żałobę rodzi w duszy mój;
Płaczą was oczy i serce pamięta,
Niech łzy popłyną, po nich sercu lżej...

Słodko wasz obraz przyświeca w mój myśli,
Widzę was jeszcze jak za dawnych dni,
Śmierć nasze węzły zaciska tém ściślej:
Zmarły o żywym w cichój trumnie śni!

Mój ścieżki pustej niemi towarzysze
 Pomnę was wszystkich, po imieniu znam;
 Wołam... ach! próżno i kiedyż zasłyszę
 Głos ukochany z za cmentarnych bram?

Sen-że to złudny? dzwoni-ż mi z daleka
 Szmer tajemniczy waszych słodkich słów?
 Nowa mnie radość po za grobem czeka:
 Na łonie śmierci uapotkam was znów!

Uleczę ku wam na skrzydłach z płomieni
 O wierni moi, za grobowy próg;
 Tam gdzie potyska w lazurów przestrzeni
 Miłość i prawda i światło i Bóg...

Gdzie nie roztacza noc czarnej zasłony,
 Gdzie nie dosięgną gromy ziemskich burz;
 Gdzie czeladź boża składa ciche plony,
 Gdy swego żniwa dokonała już...

Obok sądu zmarłego krytyka o Wiktorynie Sardou, postawimy *Andree* ostatni utwór komedyo-pisarza, odegrany przed miesiącem w Gymnase. Szukę tę napisał autor na żądanie artystki amerykańskiej, grano ją z powodzeniem w Nowym-Yorku, zkład powróciła do Paryża. W przeciwnym stosunku do piwa angielskiego, które jak wiadomo poprawia się na morzu, Andrea straciła wiele na deskach paryzkich. Jeśli bowiem na drugiej półkuli świata mógł Sardou sprzedać perły pozbierane z cudzych śmietników za wyrób własnej myśli, trudniejsza była sprawa z Francuzami, którzy acz posądżani przez Niemców o nieuctwo, wyborną mają pamięć.

Sztuka ułożona zrzęcznie, interes do końca utrzymany, przyznają to krytycy; ale chłoszczą bez litości autora, co krok wytykają plagiat. „My starsi—mówi jeden z nich (Gaucher)—bawimy się wybornie na komedyi. Każda scena przywodzi nam wspomnienie z młodych lat, co rusz, witamy dawną jakąś znajomość. Tu dyalog wzięty żywcem z Clairvilla, tam sparafrazowany ustęp ze Scribego. Żałujemy że kurtyna zapada, możnaby tu jeszcze potrącić o Medec Eurypidesa, albo o Tłusty Wtorek zapomnianego wodwilisty. Ale potrzebaż nam wskazywać autorowi nowe źródła kompilacyi? trafi on do nich bez nas!”

I kończy złośliwy krytyk zaimprovizowanym czterowierszem:

Après Rabagas
 Hélas!
 Mais après Andrea
 Hola!

Przytaczamy treść owej sztuki, która ściąga publiczność paryżką, bo rzeczywiście zabawna, ale która mimo to poruszyła ostre pióra krytyków w imię sumienia literackiego.

Rzecz dzieje się w Austrii, w Wiedniu. Andrea jest żoną hr. Töplitz: kocha męża, wierzy w niewzruszoną moc jego uczuć. Przychodzi rozczarowanie. Wierna małżonka dowiaduje się przypadkiem, że mąż zakochany w sławnej baletniczce Stelli.

— To potwarz!—woła z gniewem—muszę sprawdzić rzecz na własne oczy.

I przebiera się, dostaje za kulisy, złotem kluczem otwiera łożę współzawodniczek; tam ukryta za draperyą słyszy rozmowę czulej pary. Słowa niewiernego świadczą, że dotąd nie skruszył serca bożyszczka. Tancerka waha się jeszcze, przyrzeka nakoniec wzajemność. Przed świtem wyruszą oboje Dunajem z Wiednia do Bukaresztu.

Andrea musi przeszkodzić tej ucieczce. Rozpacz doradza jej co ma czynić. Prosto z teatru biegnie do dyrektora policyi, błaga o pomoc i opiekę.

— Jakaż zbrodnia hrabiego?—zapyta dyrektor—w czymże przekroczył prawo?

— Zbrodnia! przekroczenie! co pan mówisz?—woła kobieta—mój mąż najzaciejszy człowiek w świecie!

— A więc nie mam broni przeciwko niemu.

— On tylko szalony, nie więcej!—rzecze Andrea.

— Szalony!—powtórzy dyrektor— a więc z tytułu bezpieczeństwa możnaby go zatrzymać, zacząłbym się rzecz wyjaśni. Tymczasem tancerka popłynie sama.

Żona waha się, przystaje wreszcie, nie widząc innego ratunku.

Stanęła umowa. Andrea powróci do domu, gdzie hrabia pojawi się niewątpliwie przed wyjazdem. Tam użyje wszelkich pojęć niewieściach aby zatrzymać męża. Jeśli to nie pomoże, jeśli niewdzięcznik wyrwie się od jej boku, rozstawieni ajenci policyi schwycą go i powiozą do domu obłąkanych.

Rzecz rozwija się według programu. Hrabia rozkochany w tancerce patrzy na wdzięki własnej żony; odtrąca ją z niechęcią, wybiega na ulicę, wpada w objęcia policyi.

Następny akt przedstawia celę w domu waryatów. Hrabia nie rozumie co się stało. Chce wyłamać drzwi... ilekroć przystąpi do nich, zimna tusza upada mu na głowę. Mimo to ucieka zostawiwszy na swoim miejscu pierwszego lepszego waryata. Wraca do żony, błaga o litość, otrzymuje przebaczenie. Komedya kończy się z zadowoleniem wszystkich, oprócz poważnej krytyki, któraby chciała widzieć w teatrze coś więcej niż zabawę chwilową i z westchnieniem przypomina czasy Moliera.

W kwietniowej kronice wspominając jubileusz toruński mówiliśmy o wykradzeniu pana Occioni delegata rzymskiego przez Prusaków. Pokazuje się, że w tém wykradzeniu, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, osoba wykradziona przyjęła gwałt z jak najlepszą wolą. Dowodem na to list samego Occioniego drukowany w marcowym numerze włoskiego przeglądu: *Nuova antologia di Scienze, Lettere ed Arti*.

Delegat kończy sprawozdanie swoje takim manifestem do Włochów i do Niemców:

„Łatwo zrozumie czytelnik, jak wiele wagi musi mieć dla nas Włochów ta uroczystość Kopernika: jak bardzo upowszechnia ona i ścieśnia związki, które w skutek zdarzeń politycznych i intelektualnych łączą nas z narodem niemieckim. Jeden cel mamy przed sobą, oba więc nasze kraje powinny iść zgodnie ku niemu. W Niemczech wszyscy o tém wiedzą doskonale; tymczasem we Włoszech są jeszcze tacy, lubo ich nie wiele, którzy rozmaicie tę rzecz uważają.“

Słyszmy o procesie wytoczonym przez prokuratorę pruską księdzu Jażdżewskiemu za jego kazanie podczas uroczystości Kopernika. Nigdzie zapewne prokuratora nie znajdzie silniejszego podparcia swój skargi, jak w owém sprawozdaniu Occioniego. Uczony doktor ostro występuje przeciw kaznodziei; oburza się szczególnież tém, że ksiądz Jażdżewski widzi w Koperniku nie tylko astronoma, obywatela ziemi swojej, ale i gorącego obrońcę religii. Przypomina Occioni wyrazy Keplera o Koperniku: *animo liber*, jak gdyby wolność człowieka nie dała się pogodzić z głęboką pobożnością, co właśnie uderza w naszemu nieśmiertelnym astronomie.

Do miłych wspomnień jakie unieśliśmy z Paryża należy koncert zasłużonego naszego artysty Alberta Sowińskiego. Znane tu i cenione powszechnie kompozycje tego mistrza pełne męskiej siły, harmonii i wdzięku. Szczególną obudził uwagę i najsympatyczniejsze wywołał oklaski kwintet wykonany przez samego autora z współudziałem dwóch biegłych skrzypków i słynnego wiolonczelisty pana Lebouc.

Choralne towarzystwo Odeonu oddało z niezwykłą energią sławny chór Santisa *Après la bataille*.

Dwie młode Alzatki panny Waldteufel odśpiewały przesliczny duet Chopina *La fille de l'onde* i smętną pieśń *La melancolia*, a panna Nyon zachwyciła słuchaczy mazurkiem: *Jaskółeczka wędrowna*, utworu p. Sowińskiego.

Sprawozdawcy muzyczni liczą ten koncert do najświetniejszych w tym roku.

Niez mordowany ten pracownik zamierza wydać wkrótce Słownik muzyków polskich w języku ojczystym. Będzie to wzbogaco-

ny dopełnieniami przekład dawniejszej jego publikacji: *Les musicens polonais et slaves*.

Dodajemy tu jeszcze jedną wiadomość ze świata muzycznego: Bogaty Anglik zakupił od wdowy Rossiniego zbiór ostatnich utworów mistrza; są to po większej części drobne urywki: liczba ich dochodzi stu pięćdziesięciu.

Długo pani Rossini opierała się naleganiom wydawców, aż nakoniec baron Grant, sławny meloman zamieszkały w Londynie potrafił zniewolić ją w imię powszechnego pożytku. Wyda on własnym nakładem te utwory, a dochód ze sprzedaży ma obrócić na konkursową nagrodę za najlepszą kompozycyą: rozporządzać nią będzie muzyczna akademja londyńska.

Oto tytuły niektórych utworów pozostałych po wielkim mistrzu. Wybieramy najoryginalniejsze.

Miłość w Pekinie czyli Gamma chińska.—*Próbka dawniejszej metody, próbka moich czasów i przyszłości.*—*Urywek w rodzaju Offenbacha.*—*Pesaresse, wspomnienie rodzinnego miasta Pesaro.*—*Regaty weneckie, melodye poświęcone Wenecyi,* gdzie Rossini otrzymał pierwszy tryumf.—*Noc kolendowa, pożegnanie życia, walc żalobny, słowo do Paganiniego,* ułożone na skrzypce.

W dwóch albumach zebrane najdziwaczniejsze tytuły, świadczące o swobodnej fantazyi starca. *Quatres Mendians* (bakalie deserowe). 1) *Figi: otóż jestem pani!* 2) *Migdały: północ bije, dobranoc pani.* 3) *Orzechy: do mojej suczki.* 4) *Rodzynki: do mojej papugi.* *Przekąski: korniszony, masło, rzodkiew, krewetki.*—*Ostatnie wspomnienie ofiarowane żonie.*—*Moje ranne higieniczne preludjum.*—*Bolero tatarskie.*—*Walc z olejem ricynowym.*—*Komiczna przejażdżka.*—*Train de plaisir i t. p.*

Najznakomitszą z pozostałych kompozycyj ma być *Memento homo*, utwór religijny wysokiego znaczenia.

Sądy wielkich artystów wychodzące nawet za obręb sztuki, nie mogą być obojętne dla ogółu. Przytaczamy tu ciekawy w swoim rodzaju list muzyka węgierskiego Liszta, pisany do księżnej Sayn-Witgenstein.

„Feszt 10 stycznia 1873 r.

Napoleon umarł! Wielka to dusza, potężny umysł, wytrawna znajomość życia, słodki, szlachetny charakter i nieszczęśliwe przeznaczenie! Był on cesarzem skrepowanym z zakneblowanemi usty, ale przez to samo powinowatym owego boskiego Cezara, który przedstawiał w sobie idealne wcielenie potęgi ziemskiej.

W roku 1864 Napoleon rozmawiając ze mną dosyć długo, wyrzekł: „Czasami myślę, że mam więcej niż sto lat“. Odpowiedziałem na to: „Bo też Najjaśniejszy Panie ty jesteś stuleciem!“ W istocie sądziłem wówczas i dziś jeszcze mam to przekonanie, iż rządy Napoleona najlepiej odpowiadały potrzebom i postępowi naszych czasów. Zostawił on po sobie wzniosłe przykłady, wykonał wielkie dzieła, lub spełnić je zamierzał. Ufaskawienia zupełniejsze niż pod każdym innym panowaniem, obrona sprawy kościoła w Rzymie i w różnych krajach, odnowienie Paryża i wielu innych znakomitych miast Francyi, wojna włoska, wielka wystawa paryska i rozpowszechnienie wystaw częściowych, gorliwa straż nad sprawami narodu i opieka nad losem klas roboczych, hojność i zachęta udzielana uczonym i artystom: są to czyny dziejowe, którym cesarz dał początek, i które skuteczniał mimo wielkich trudności, jakie stawały mu ciągle po drodze. Nie zaemią tych czynów nieszczęścia, bodaj najstraszniejsze, owszem nadejdzie kiedyś dzień sprawiedliwości, w którym Francya dopomni się o trumnę Napoleona III i postawi ją z chlubą obok trumny I Napoleona. Można rzec bez pochlebstwa, że cesarz przez całe życie swoje ćwiczył się w wysokich cnotach, jakimi są: dobroczynność, dobroć, hojność, szlachetność, sprawiedliwość i wspaniałomyślność.

Do pięknych rysów tego charakteru można było zaliczyć stałą i tkliwą wdzięczność dla osób, które mu kiedykolwiek wyświadczyły usługę. Z całą pokorą pragnę go w tym względzie naśladować i zaczynam od niego samego, błogosławiąc jego pamięci i zasyłając modły do Boga o litość nad tym, który usiłował ludy z ich ran wyleczyć.“

Oddawna zapowiedziana *wystawa Moliera* otworzoną została 15 maja w salach Opery Włoskiej. Przedsiębiorca p. Ballaude zgromadził z niesłychaną gorliwością wszystko, cokolwiek ma choćby najmniejszą styczność z tym olbrzymem poezyi dramatycznej. Właściciele drogich pamiątek pouadsyłali je z całego kraju: utworzyła się z nich zajmująca i piękna całość.

Wkoło głównej galeryi pomieszczono za szkłem ogromną serją wszystkich wydań Molierowskiego teatru, zaczawszy od najdawniejszego wydania paryzkiego z r. 1666, do przepysznej edycji wykonanej w Lyonie na wielką wystawę r. 1867 z rycinami Hillemachera. Niektóre z tych wydań liczą się dziś do białych kruków. Amatorowie szczególnie oceniają edycyą Broncarta z Lièges MDCCIII.

Autografy Moliera należą do wielkich osobliwości; pozostało zaledwie kilka. Do liczby ich przybył jeden odkryty kilka tygodni temu w archiwum miasta Montpellier. Jestto pokwitowanie Moliera z odebranych 6000 fr. Drogocenny ten świstek nie ukazał się na

wystawie: uczony archiwista p. Pigardière, który go odkrył, nie chciał wypuścić z rąk droгоценnego skarbu. Ileżto p. Ballande poruszył sprężyn, ile wyrzucił strzelistych słów, ile skreślił ich na papierze! Wszystkie te słowa odbiły się jak grad o twarde serce archeologa! Jakiż powód tej zaciętości? Jużciż nie obawa aby autograf mógł być uronionym. Pan Ballande zasługuje na ufność, skoro księgarz i starożytnik Didot powierzył mu egzemplarz Tartufa ofiarowany niegdyś przez Moliera Ludwikowi XIV, skoro inny archeolog p. Double, przysłał na wystawę sławny egzemplarz dzieł Molierowskich *Princeps Edition*, za którą zapłacił 25000 fr.

Zkądże więc taka zaciętość szczęśliwego Kolumba, który w starych archiwach odgrzebał Molierowskie pokwitowanie? Oto że on sam chce na swoją rękę uczcić sławnego jubilata, zdobiąc nieznaném dotąd facsimilem Przegląd bibliograficzny: *Revue des Bibliophiles du Midi*.

Inne za to autografy pięknie figurują na wystawie. Jeden z nich składa się z trzech wierszy nakreślonych ręką Moliera na odwrotnej stronie obrazu malarza Bourdon. Napis zawarty w tych słowach: „Dany mi przez mego przyjaciela Sebastjana Bourdon, nadwornego malarza królewskiego i dyrektora akademii malarskiej. Paryż dwudziestego czwartego b. m. tysiąc sześćset siedmdziesiątego I. B. P. Moliere.“ Jaki bieżący miesiąc, nie wiadomo. Pismo piękne, czyste, łatwe do wyczytania.

Obraz Bourdona poszedł na ten raz w poniewierkę. Niewidzialny służy tylko za ramy do droгоценnego napisu. Jedna sława zabija drugą. Prawda że Francya miała innych Bourdonów, lecz nie zdobyła się na drugiego Moliera.

Inny autograf mięści się na okładce *Andromedy* Kornela. Na pierwszej kartce Moliere nakreślił własną ręką obok drukowanych osób tragedji nazwiska aktorów, którym powierzył role. On sam przedstawiał syna Jowiszowego Perseusza.

Do ciekawych zabytków należy kontrakt, podpisany przez *towarzystwo komedyantów przświewnego teatru* (Illustre Theatre), pod dyrekcją Moliera z roku 1643—1644.

Ważny niemniej list niewiadomój ręki do księdza Boyvin, zawierający ciekawe szczegóły o pogrzebie Moliera. Powiedziano w nim, że czterej księża nieśli na barkach trumnę drewnianą, pokrytą całunem cechu tapicerów; „sześcioro dzieci błękitno przebranych niosło w rękę sześć świec w sześciu srebrnych świecznikach, a kilku sług płonące pochodnie z białego wosku. Ciało wzięte przy ulicy Riche-lieu zamiesione było na cmentarz Ś-go Józefa i pochowane pod krzyżem. Rozdano ubogim do 1200 fr.“

Powszechną zwraca uwagę makata gobelinowa, przedstawiająca sielankowe miłośki *Gumbolda i Macci*. Ta makata była własnością Moliera. Biograf jego Soulier znalazł jej opis w inwentarzu pozostałości, sprzedanych po śmierci wielkiego poety. W sławnym

swoim *Skąpcu* Moliere wspomina ją w liczbie rupieci zastawionych u starego lichwiarza.

Innego rodzaju pamiątka mieści się w małym pudełeczku ze szklaną pokrywką; wkoło położony napis: „Wapno wydobyte z kości I. B. Poquelin Moliere. Dane Aleksandrowi Lenoir konserwatorowi muzeum monet francuzkich przez chemika Darset, 16 go thermidora roku VIII.“ Jestto szczypta szarego proszku. Kto wydobyl to wapno, nie wiadomo.

Z pomiędzy niezliczonych portretów odznaczają się dwa współczesne: jeden przypisywany wspomnianemu wyżej Sebastyanowi Bourdon należał on do malarza Ingesa, który przekazał go z całą kolekcją rodzinnemu miastu Montauban; drugi portret pędzla Miguarda rozpowszechniony był w licznych odbiciach na miedzi, stali, drzewie i kamieniu.

Inauguracja wystawy odbyła się z wielką uroczystością w obec nieprzeliczonych tłumów. Zagał to zebranie znany Sarcey: obasypano go oklaskami. W następujących trzech konferencyach mówca skreślił życiorys Moliere wraz z krytycznym rozbiorem jego nieśmiertelnych utworów. Zdamy z nich sprawę w następującej korespondencyi.

L I S T Z J A W Y

Dra Adama hr. Sierakowskiego.

Ogólne uwagi nad Jawą.—Zwykły sposób życia.—Ubiór.—Ludzie.—Urzednicy holendersey.—Plantatorowie europejscy.—Armia.—Jawanie.—Życie społeczne i towarzyskie.—Kreoli.—Zarząd kraju.—Ogólny charakter zarządu.—Przyroda i sposób podróżowania.—Obecny stan Jawy.

Dnia 2 grudnia 1872 r. Na statku parowym kompanii „Jardine” zwanym *Historian*, blisko wysp Andamańskich.

„... Od pięciu dni płynę już na morzu spokojném i miłém; statek mój jest kolos ładujący 3,000 ton, używany zwykle do transportu opium do portów chińskich. Chłód jest taki, że w jesiennych ubraniach chodzimy, co nam jest źródłem ciągłych rozkoszy, po nieco duszném ciepłe jawańskiem. Dziwną rzecz, mimo tak ciągłe a nagłe przejścia, nikt z nas nie dostał kataru. Na statku tym prywatnym wiele nam lepiej jak na owych pocztowych angielskich, któremi dotąd płynąłem. Zamiast w dusznej kabinie, śpię sobie na pysznej kanapie w salonie jadalnym. Jest nas tylko sześciu pasażerów, sami Anglicy; kuchnia prosta, ale zdrowa i obfitość wszystkiego (prawda, że i cena po temu: z Singaporu do Calcutty zapłaciłem 158 dolarów za ośm dni żeglowania); na pokładzie blisko 50 najrozmaitszych mamy papug i pełno cudnych ptaszków. Żałuję, że nie jadę wprost do Europy, to bym je ze sobą zabrał. Majtkowie wieczorami śpiewają—słowem rozkoszne to życie na statku.

W piątek rano będę w Calkucie i zamtąd po 10—14 dniach pobytu a może i wcześniej w podróż mą indyjską się puszcę, która jeśli być może, będzie jeszcze wygodniejszą jak podróż po Jawie. Korzystając z wolniejszego czasu na statku, list uzupełniam krótkim poglądem o Jawie.

Zwykły sposób życia. Z rana między 6-tą a 7-mą kawa z mlékkiem. W godzinę potem „ontbijt” czyli zimna przekąska z jajami, szynką i herbatą. Około 1½ drugie śniadanie („rijst tafel” table de riz), ryż z pieprznemi szaleniem przyprawami (sambal), kura, beafsteak z kartoflami, ryba i owoce; kawy się nie pije bo zaraz po tém jedzeniu idzie się spać aż do godziny 3-jej lub 4-jej (siesta). Około 4-jej pije się czystą herbatę, o 7½ zazwyczaj obiad, poprzedzony rozmaitemi koniakami i nieuniknionemi „pijt” czyli „Bitter” strasznie gorzkimi kroplami, które się do kieliszka wody wlewają. Po obiedzie zaraz kawa ale z mlékkiem, bo inaczej zbyt mocnaby była, gdyż tylko ekstrakt zimnej kawy z trochę ciepłej tu się pije, ale długo w kraju mieszkający ludzie kawy po obiedzie wcale nie piją. Ja, ile razy ją piłem, aż do późnej nocy oka zmrużyć nie mogłem. Około 11-jej idzie się spać. Godzina wizyt: między 6-tą a 7-mą wieczór.

Obiady zapraszane bywają zwykle o 7-jej wieczór, a po obiedzie jest zwyczaj, jeszcze z dwie godzin siedzieć u swych gospodarzy i grać w karty lub tańczyć przy klawikorcie. Recepcye poobiednie w Batawii rozpoczynają się zwykle o pół do 9-jej wieczorem.

Kuchnia w całej Jawie przez Jawanów wyłącznie robiona, jest nie zła; ryż zawsze dobry, masło w puszkach z Australii sprowadzane zwykle złe; mléko nigdy tłuste nie jest, bywa napół zmieszane z mlékkiem kokosowém; kartofle do wszystkich prawie potraw; słodkie potrawy zawsze dobre, a komput z ananasów wyborny. Jedzenie w hotelach znośne, bo zwykle czysto podane, ale strasznie monotonne i pieprzne, a mała różnica jest między jedzeniem w pierwszym hotelu w Batawii, a małym hoteliku w głębi kraju. Wina są wszędzie złe nad wszelki wyraz; koniakami i innymi przyprawianemi, obrzydliwe. W Hotel des Indes w Batawii trzeba dać 6 flor. za butelkę smacznego niefalszowanego czerwonego wina. *Cygara:* tylko Manilla, które w ostatnich latach bardzo się pogorszyły; trochę lepsze Manilla płacą się blisko 70 flor. za tysiąc (1 flor. = 17½ sgr.); małe Londresiki z Manilly kosztują blisko 100 flor. tysiąc. Cygaretki z jawańskiego tytoniu nie złe i bardzo tanie, są one obwiniete albo w liść wygotowany barwny (z nieprzyjemną wonią), albo w liść palmy cukrowej „areng” (trochę trapią w gardle). Rośnie wprawdzie na Jawie wyborny tytoń, ale cygara z niego robią się tylko w Europie i dla Europy.

Mężczyźni z rana chodzą w nocnym ubraniu, kaftanie kusym i szerokich spodniach; w dzień noszą się całkiem biało, a na zaproszone wieczory w większych miastach przychodzą we fraku i białych rękawiczkach. Damy z rana także w białych *kabajach* i szerokim kolorowym *sarongu* (coś pośredniego między spodniami a spódnicą) i boso w pantoflach chodzą; dopiero do obiadu się stroją. Strój krajowców Jawanów jest piękny, strój Jawanek (sarong i kabaja) jest

brzydki; uderza brak żywych kolorów w owych strojach: brunatno-szaro, niebieskawo się ubierają.

Urzednicy holenderscy grzeczni, trochę pobłażliwi dla przekroczeń swych podwładnych. Chorują ogólnie na passyę protegowania biednych nibyto i prześladowanych Jawanów, od domniemanych napadzi panów plantatorów europejskich Jawę zamieszkujących. Myślą się tém przypodobać partyi *liberalów* w Holandyi, którzy bez znajomości kraju i rzeczy, bawią się w deklamacye, że Jawanie są uciskani. *Prezenta* nie często przyjmują, chyba od Chińczyków przy wydzierzawianiu *opium*. Wykształcenie ich dostateczne, czasem nawet naukowe. Rezydenci i asystenci, i chcący zrobić karierę kontrolerowie, mówią prawie wszyscy po francuzku. Każdy wykształcony Holender mówi po francuzku, rzadko który po niemiecku.

Plantatorowie europejscy: zwykle więcej wykształceni od urzędników i wszyscy mniej lub więcej czytani: *Revue de deux Mondes*, i gazety holenderskie wszędzie czytane. Główna ich wada jest pewna zawisć do matki ojczyzny, jako pochłaniającej egoistycznie dochody z Jawy i niechęć, że nie mogą równie trząść urzędnikami rządu, jak trząsą osobami „des chefs indigènes.“ Są gościnni.

Armia: blisko 25,000 na Jawie; stek wszystkich krajów awanturników. To téż oficerowie są bez *szyku*, w towarzystwie piérwszej roli nie grają. Te 25,000 ludzi wystarcza na cały ogrom posiadłości holenderskich: sama Jawa ma przeszło 13 mil. mieszkańców.

Jawanie: spokojni, flegmatyczni, potulni, uniżeni, sprytni i zwykle trochę fałszywi, którą to niecnotę i panowie „*signio*“ (metysi) po nich odziedziczyli. Są jak na Wschód bardzo czyści, wolno pracują ale dość regularnie i zgrabnie. Nieporównani są kowale, ztąd po jawańsku „*pandéh*“ oznacza „kował“ i zarazem „zgrabny.“ Sfukani, zaraz głupieją: trzeba ich słodyczą i cierpliwością prowadzić.

Życie społeczne i towarzyskie, nudne i monotonne, co leży w krwi Holendra, który jest zresztą poczciwy, serdeczny, wnet staje się *ami-cochon* i mówi „*jéj*“ i „*jo*“ co znaczy *ty*, do znajomego od wczoraj. Panny w kraju urodzone są milczące i tylko jedno umieją: ślicznie tańczyć. *Kreolowie* zwą się ludzie z rodziców europejskich na Jawie urodzeni. *Metisi* (mieszanej krwi) ogólnie są nielubiani i tylko wyjątkowo umieją sobie zdobyć lepsze w towarzystwie stanowisko. Jest ich zaś pełno w kraju, bo każdy prawie nie żonaty kolonista na Jawie żyje w konkubinacie z Jawanką; dzieci później często uprawnia.

Na czele stoi gubernator generalny na 5 lat mianowany, otoczony „*radą indyjską*“ z piérwszych urzędników wyspy złożoną, a mającą głos *doradczy* tylko. Gubernator jest pod rozkazami ministra kolonialnego w Hadze, zmieniającego się co chwila, co nie jest wcale korzystnym dla Jawy. Jawa jest podzielona na prowincye czyli rezyden-

eye, z których każda ma zwykle $\frac{3}{4}$ miliona ludności. Na czele takiej prowincyi stoi rezydent mający pod sobą assyistentów, rezydentów, w każdym dystrykcie swój prowincyi. Ci ostatni mają znowuż pod sobą *kontrolerów* nadzorujących *kultury* i rozkładających podatki, których ściąganie jest poruczone krajowcom. Nadzór policyi mają także rezydenci i kontrolerowie, ale wykonanie policyjnych rozkazów i poszukiwań poruczone znowuż krajowcom. Sądowictwo jest także w ręku rządu, który wyznacza tak zwanych „Landarów“ czyli radców ziemskich, którzy przesyłają sądom piérwszej instancyi, złożonym z samych krajowców sędziów. W głównych miastach Jawy są sądy apelacyjne, a w Batawii sąd Najwyższy; sąd ten jest czysto europejskiego składu. W sprawach cywilnych Europejczycy, Chińczycy i Arabowie w miastach osiedli, podlegają temu samemu prawu, t. j. kodeksowi cywilnemu holenderskiemu: Jawanie zaś koranowi i prawom miejscowym. Wymówiłem powyżej słowo *kultury*: ono w sobie reasumuje całą politykę finansową Jawy. Jawa, długie lata nie przynosiła, a dług jawański doszedł był już wielu milionów, gdy w r. 1824 gubernator Jawy v. d. *Bosch*, zaprowadzeniem systemu *kultur rządowych przy pańszczyznianej robocie* położył kamień węgielny owych wielkich dochodów z Jawy, które w latach ostatnich przecięciowo 30—40 milionów florenów netto wynosiły. Rząd objąwszy kraj po muzułmańskich sułtanach, przyjął także od nich własność wszystkich gruntów, których posiadacze chwilowi niczém nie są, ani byli, jak dożywnymi i dziedzicznymi dzierżawcami rządu, z wyjątkiem wszelako *Preangru* prowincyi, w której od dawna już własność indywidualna istniała. Otóż *Bosch* korzystając z tego stanu rzeczy nakazał mieszkańcom Jawy, uprawiać na pewnych gruntach kawę, na innych cukier lub indygo i za darmo, z obowiązkiem sprzedawania rządowi produktów owych upraw, za najprzód oznaczoną bardzo niską cenę. Rząd potem też produkta za potrójną i poczwórną cenę w Europie sprzedawał. Jakoż zaraz zaczęły się sypać miliony, ale że robota pańszczyzniana nigdy robocie wolnej nie wyrówna, więc powoli rząd od wielu tych kultur odstąpił; tego roku zaprzestał uprawy trzciny cukrowej i teraz tylko jedna pozostaje, t. j. *kultura kawy*. Od udania się jój lub nie, zależy stan finansów kolonii. Tego roku piękne są widoki; kawa się obrodziła i dobrze płaci w Europie. Rząd *pikul* kawy (125—133 f. wedle okolicy) kupiony od Jawanów za cenę stale wyznaczoną 13 flor., za 43 flor. do Europy sprzedaje. W tém zysk widoczny. W Europie ten system zowią barbarzyński, ale trzeba mieć na względzie stosunki miejscowe. Ludność Jawy jest ogromna a robota pańszczyzniana nie ciężka, bo jeden dzień na pięć w tygodniu. Przyćém rolnik jawański nie jest do gleby przywiązany jak był dawniej chłop u nas, ale może jeśli mu robota zbyt ciężką jest, opuścić swą wieś i w inne przenieść się strony, lub się jako wolny robotnik najmować; nikt niema prawa mu to wzbronić. Ale wypadki takie są bardzo rzadkie, gdyż Jawańczyk kocha swój

kampong i ma, póki w nim pozostaje, zapewniony byt przy małej pracy.

Patryarchalny despotyzm nad Jawanami rozciągnięty: na żadnego pod ciężką karą *kija* podnieść nie wolno, ale wszyscy w skutek silnie scentralizowanej władzy administracyjnej, są pod ścisłym dozorem. Owa władza jest niestychanie małą numerycznie; czasem jak w *Borneo* jeden rezydent i dwóch kontrolerów, całą prowincją 500,000 ludzi trzęsie. Siła téj władzy polega na tém, że nigdy sama nie działa, tylko zawsze wysuwa najprzód narzędzia swoje i istniejącą obok niej, a podwładną jój zupełnie, administrację z krajowców złożoną, która całe *odiosum negotii* na siebie przejmuje, jakoto: wykonanie policyi, egzekucję podatków i t. p. Przy takim systemie, można małą liczbą urzędników się obejść i choć się tym nie wielu wielkie daje pensye, rząd zawsze jeszcze dużo oszczędza. Rząd holenderski jest trochę skąpy na wielkie wydatki, a rozrzutny w małych, jakoto w pensyach niektórych urzędników, dyetach i t. p. I tak skąpi od tak dawna z założeniem portu w Batawii i uczciwych doków do reparacji okrętów, skąpi się z zakładaniem na własne *risico*. Dotąd tylko dwie koleje zaledwie 30 mil razem na Jawie wybudowano i to środkami prywatnemi i wolnym robotnikiem (z Batawii do *Buitenzorg* i z *Samczang* do *Surakarty* i *Dyokiokarty*). Przez skąpstwo nie zniósł dotąd ceł w Batawii, a robiąc Batawiał portem wolnym, byłby już dawno zabił całkiem angielskie *Singapore*. Już przez ogłoszenie *Makassar* portem wolnym, znaczną część handlu kolonialnego od *Singapore* odciągnął, ale to nie dosyć.

Główne wszelako „ale“ tutejszej administracji, jest jój chwiejność i zmiennosc, wskutek ciągle się zmieniających ministrów holenderskich, i niemożność gubernatora generalnego Jawy decydowania w ważniejszych kwestyach, bez zezwolenia ministra kolonii w *Hadze*. Zdobi zaś zarząd jawański, tolerancya religijna ogromna, idąca nawet trochę zadaleko, bo niedozwala *missyonarzom* europejskim działać na Jawanów w głębi kraju zamieszkałym, obawy żeby Jawanie nie wzięli tego za narzucenie im znienawidzonej religii. O ile takie postępowanie rządu, jest może niemoralne, o tyle ma niezaprzeczenie praktyczną stronę. Chcieć lud nawracać do religii, dostępnej tylko oświeconym umysłom, zanim ten lud w szkole nauczył się logicznie myśleć, jest niedorzeczném. Cóż nam pomogą owe setki nawróconych w *Indyach*, którzy za trzy rupie zostawszy chrześcianami, gotowi każdego czasu za pięć rupii przejść do innej religii? którzy nadto z katolicyzmu, tylko pojmują cześć świętych obrazów, i tak samo się *Matce Boskiej* kłaniają, jak dawniej *Buddzie*! W *Chinach* prozelityzm *missyonarski* spowodował rzecz w *Tien-cin*, a w *Indyach* angielskich *przechrzty* chrześcianscy mają tak złą reputacyę, że ich nikt nie chce do swój służby brać. I nic dziwnego, ludzie bez wykształcenia, zmieniający swą religię, nie pojmując ani rozumiejąc nowęj, którą wyznają, mogą być, tylko interesem materialnym powodowani,

lub blichtrem nowości przynęcenii. W Indjach angielskich jest wprawdzie milion katolików (w obec 50,000 protestantów krajowców), ale cóż mi to za katolicy, którzy np. w Punah, podczas processyi Noworocznej (Moharram) muzulmanów, *en corps*, z ogromnym krzyżem na czele idą za processyą muzulmańską! Przekonywam się teraz, że missye chrześcijańskie są tylko potrzebne w wielkich miastach portowych na wschodzie, gdzie pod wpływem europejczyków utworzyło się mieszczaństwo niechrześcian dotąd, ale do tyła wykształcone, że może pojąć dobrodziejstwa chrześcijaństwa. Każdy grosz zaś za zmarnowany uważam, wydany na nawrócenie Kafrów i Indyan w głębi kraju zamieszkałych.

Zaletą holenderskiego rządu jest równouprawnienie Holendrów z innemi europejczykami *w handlu*, wszelako nie wrazie nabywania gruntów *na własność* do plantacyi. Łatwość wszelka, brania gruntów plantacyjnych w dwudziestoletnią dzierżawę, dla wszelkiej narodowości europejczyków; równouprawnienie *Metysów* z Holendrami z Europy przybyłemi, lub w Jawie z białych rodziców urodzonymi (tak zwanymi *Kreolami*). Fitz Verploeg, rezydent prowincyi Baglen, i P. rezydent w Samarang są Metysi. Przynosi zaszczyt i to rządowi kolonialnemu, że mimo oczywistą niekorzyść materyalną, szanując „*la foi des traités*“ utrzymuje jakoby w niepodległości cesarstwo *Solo* i sułtanat w *Djokjokarcie*.

Natomiast, rząd nierozsądnie wydaje pieniądze na fortecę Willem I, przy Ambarawie, wśród bagna położoną. Projekt założenia teraz fortecy w Tjilatjap, nad zatoką Żółwiów, jest wiele do-rzeczniejszy; bo w razie napaści Jawy, przez jakie wojsko europejskie, Holendrzy mogliby się zaraz cofać w głąb kraju, i nieprzyjaciela partyzantką niszczyć. W Tjilatjap mieliby wtedy wyborny punkt oparcia, położony nad południowém wybrzeżem Jawy, dla wielkich okrętów nieprzyjacielskich mało dostępny. Przeciwno Jawanom zaś, utrzymywać drugą fortecę w głębi kraju, jest poprostu śmiesznością. *Jawanie* nie są to Arabowie; raz tylko jeden zbuntowali się pod *Diepo-Negoro*, i wtedy kilkuset Holendrów wnet zażegnało burzę. Podczas owego powstania, gdy *Jawanie* miasta Samarang zagrażali i wysłana przeciw nim, naprędce sformowana milicya miejska, drapaką dała, jeden tylko był oficer holenderski, poniesiony przez konia swego, mimo woli w środek nieprzyjaciół się dostawszy, instynktownie z dawnego przyzwyczajenia do rozkazywania... krzyknął: *na bok!* Głupi *Jawanie* rozstąpili się z dawnego przyzwyczajenia do słuchania i porzucili go!

Wielkim, niedarowanym błędem rządu holenderskiego jest, że więcéj nie łożą na zakładnie szkół. Zaledwie dla europejczyków są dostateczne zakłady i to tylko w jednej Batawii; synowie plantatorów w grubéj niewiadomości się wychowują, jeśli rodzice nie są

dość zamożni, by ich posłać do Batawii, lub Surabai. Jawańskich szkół dotąd bardzo mało.

Przyroda zachwycająca bujnością; góry w kształcie ostrokregów, pysznie się przedstawiają. Ziemia wszędzie niesłychanej urodzajności, cukier, kawę, tytuń, indygo i ryż niezmordowanie rodząca. Ale jest rozlana, nad całą wyspą, barwa pewnej „*przepysznej monotoności*”; wszędzie wulkany mniej lub więcej wygasłe, jak głowy cukru sterczące; między niemi doliny lub wzgórza bardzo żyzne, pokryte nieuniknionemi „*sawa*” czyli ryżownicami. Jedno miasto drugiemu podobne; aglomerat chałup („*kampong*”) w bambusie, bananach i kokosowych palmach ukrytych. W środku, zawsze plac duży: tam widać z jednej strony piękny pałac krajowca rejenta, a naprzeciwko skromną willę holenderskiego rezydenta. W środku placu, kilka świętych drzew „*waringi*”. *Notabene*: Holendry, całą arystokrację jawańską zostawili przy cieniu dawnego jej znaczenia, biorąc wyłącznie z jej grona urzędników, by skorzystać z wrodzonej Jawanom czci ku klassem wyższym ich społeczności.

Podróżowanie po Jawie jest łatwe i wygodne, z zupełnym bezpieczeństwem; życie na Jawie jest tanie: tylko poczty są nader drogie. Końmi pocztowymi rządowemi jeżdżąc, płaci się po 1½ flor. za *paal* (1½ kilometra), a pocztą prywatną płaci się po 1 flor. za *paal*.

Plantatorowie zamożni, bo wszystkie ich produkty w Europie znacznie podrożały. Rząd dla handlu wielkie porobił ustępstwa zmniejszeniem ceł wchodowych i wychodowych, i zniesieniem taryf ceł różniczkowych. Ubogich na Jawie prawie nie ma: nikt tu nie zebrze. Europejczycy koloniści mogą tu fortuny zbijać, ale muszą wnieść *kapitał obrotowy* i więcej niż w Europie pracować.

WYJĄTEK Z LISTU ¹⁾.

Nottingham, d. 9 maja 1873 r.

W ogólnym prądzie postępu na drodze przemysłu, ten naród bardziej na przód wybiega, który powołuje wszystkie warstwy społeczeństwa, do korzyści z powstałego ztąd dobrobytu. Niewątpliwie iż produkt surowy stanowi bogactwo tego kraju, w którym się pojawia, jednakże największe zyski sprowadza przerabianie tegoż materiału aż do ostatecznej formy; cóż więc w tém bogactwie odgrywa najważniejszą rolę? Oto robotnik, na téj więc warstwie narodu leży dobrobyt ludów; czy jednakże klasa ta, swą mozolną pracą sprowadzając dostatki, doznaje odpowiednie dla siebie uznanie, jako to: dostateczne utrzymanie i prawa polityczne?... nie wszędzie.

Pod tym względem robotnik angielski stoi wyżej od wielu innych; a wydobywszy się z pod jarzma kapitalistów, gdyż jak sam się wyraża w swój ulubionej piosnce: „Brittans never shall bee slaves ²⁾“,“ pojmuje więcej godność swoją w ogólném równouprawnieniu, a wynagradzany dostatecznie, otacza się także i większemi wygodami. Przedewszystkiem ważną rzeczą są mieszkania, urządzone w ten sposób, iż jedna rodzina nie ma styczności z drugą; posiadając każda osobny wchód do swego domu wprost z ulicy, gdyż domy budowane są w ten sposób, iż każdy lokal składa się z dwóch pokoi na dole, dwóch na 1-ém piętrze (wejście wewnątrz tegoż lokalu) a czasem i z dwóch na 2-ióm piętrze z małym wewnątrz, osobnym podwórkiem i takimże ogródkiem od ulicy. Mieszkania takowe w tém są dogodne, iż zapobiegają swarom sąsiedzkim, a powtórę po-

¹⁾ Jest to wyjątek z listu ucznia Uniwersytetu Warszawskiego wydziału matematycznego, który obrał sobie za wyłączny zawód budowę maszyn. W Warszawie pracował u ślusarza i został czeladnikiem, następnie pracował w tutejszych zakładach, a teraz stara się o dalsze wykształcenie w Anglii, gdzie zostaje w Nottingham w fabryce John B. Whitehall's machin etc. Tam dopiero widzi skutki zbawienne z pomocy zapewnionej klasie rzemieślniczej i przemysłowi.

²⁾ Bryton nigdy nie będzie niewolnikiem.

zwalają utrzymać większy porządek, chociażby przy drobnych dzieciach, ponieważ zwykle pokoje sypialne są urządzone na górze, powietrze jest świeże, a do każdego lokalu przeprowadzony kran od wodociągu, jako też gaz, wiele udogadniają; tudzież utrzymane w nadzwyczaj wielkiej czystości, wrodzonej kobietom angielskim robią miłym spoczynkiem po pracy. Wyradza się więc z tego większe zamiłowanie domu własnego, zajęcie się rodziną, a jako następstwo tego, ciągle myśl nad sposobem powiększenia dochodów, przy ogólnej drożyznie produktów spożywczych, która nie jednego pchnęła na znakomite tory.

Użycie napojów spirytualnych nie jest nazbyt upowszechnione, a jakkolwiek istnieją towarzystwa wstrzemięźliwości, zgromadzające członków swoich dwa lub trzy razy tygodniowo wieczorami dla słuchania odczytów, z kwestyi bieżących, mianych kolejno przez jednego z pomiędzy grona owego stowarzyszenia; jednakże zdaje się, że na to najwięcej wpływa niezmierna drożyzna trunków gorących, stosunkowo do ilości ludności, mało produkowanych, obłożonych zaś wielkiem cłem przy sprwadzaniu z zagranicy, tudzież kary pieniężne od 30 złotych, stosownie do zatrudnienia, za spotkanie pijanego na ulicy.

Życie robotnika angielskiego nie jest zamkniętém w obrębie tylko swego warsztatu, powołanym i on jest do życia publicznego, z tego względu iż wszyscy mieszkańcy miast, nie wyłączając i wdów, opłacający dzierżawy domu swego począwszy od 8 funt. szterlingów rocznie, posiadają prawo głosowania przy ogólnym wyborze na posady publiczne; jako to: rządców miasta, których jest 12-stu z trzyletnim terminem swego urzędowania, ci zaś już z pomiędzy siebie wybierają *mera* na 1-en rok, ten zaś sam nominuje sędziów miasta tak zwanych Magistrates, do załatwiania spraw mniejszej wagi z mocą karania do półrocznego więzienia, gdyż sprawy ważniejsze odkładają się do półrocznych terminów, w którymto czasie zjeżdża sędzia z Londynu i rozstrzyga w towarzystwie 12-stu członków przydanych mu do pomocy z obywateli miejscowych. Posady takowe są dostępne dla każdego mieszkańca bez względu na zajmowane stanowisko, aby tylko posiadał przychylność ludu i odpowiednie umysłowe rozwinięcie. Takim więc sposobem, merem miasta Nottinghamu liczącego z przedmieściami około 150,000 ludności, w tym roku jest majster stolarski *Foster*, doliczając do tego obiór radców szkół, jak również członków parlamentu i t. d. Klasa więc rzemieślnicza jako przeważnie reprezentująca miasta, ma wielki wpływ na to; a że wszystko począwszy od najdrobniejszych spraw, przy wolnej prassie zamieszczane bywa w gazetach miejscowych, interesującą więc jest rzeczą każdego, śledzić bieg interesów ogólnych, odczuwając niemal we wszystkiém swój wpływ.

Czytanie więc gazet pomiędzy klasą roboczą jest znacznie upowszechnione, tém bardziej, że cena ich umiarkowana, pena za numer wielkiego rozmiaru, drobnym drukiem zapełnionego. Do zajęcia umysłowego klasy roboczej wiele się przyczynia spokojność o trwałość swego zatrudnienia, tudzież odpowiednie utrzymanie. Zwiedzając kopalnię

węgla kamiennego w Annesley (w Nottinghamshire) zatrudniająca do 800 robotników, z których każdy przecięciowo ma dochodu 6,000 złotych pol. rocznie, znalazłem niemal w każdym domu prawie eleganckie urządzenie, gazety i pisma peryodyczne illustrowane jak *Qviver* lub *London Raeder*; lecz najważniejszym warunkiem jest zmniejszona liczba godzin pracy po fabrykach, pozostawiająca wiele czasu wolnego a mianowicie ogranicza się do 54 godzin na tydzień rozłożonych w ten sposób, iż każdodziennie od 6-tój rano do 5-tój po południu, a w sobotę tylko do 1-ój po południu, wyłączając z tego $\frac{1}{2}$ godziny na śniadanie i jedną god. na obiad.

Co zaś do dzieci, te pod prawem przymusu muszą uczęszczać do lat 13-stu do szkół, wszelako z powodu trudnego utrzymania, jednej osobie nieraz licznój rodziny, wyszło w roku zeszłym prawo z parlamentu zwane *factory-act*, na mocy którego począwszy od lat dziesięciu, dzieci mogą uczęszczać do fabryk ale tylko od południa, rano zaś być w szkole. Prawo to jest nader ściśle wykonywane, gdyż często są wysyłani inspektorowie do zwiedzania fabryk, w celu przekonania się czy prawo to nie jest nadużywaniem. Postanowienie to szczególnieź ostro jest zastosowaniem do dziewcząt, których Anglia tysiące zatrudnia nie obciążając zbyteczną pracą mogącą wpływ szkodliwy wywierać na ich zdrowie, a wynagradzając dosyć sownie, stawia w możności niezależnego bytu i wielkiej pomocy w rodzinie; myśl więc ta że kobieta może i powinna być uczestniczką w dźwignięciu ogólnego dobra, z całą energią jest wprowadzona, odrywając zarazem od próżniactwa i nieszczęsnych ztąd następstw. Że jednakże z ciągłej styczności kobiet i mężczyzn po fabrykach, mogłyby się wydarzyć nadużycia, prawo więc nader silnie broni spraw kobiety—a mężczyzna który dla jakichkolwiek bądź celów, przyrzekł się żenić z dziewczyną, w razie nie dotrzymania słowa, zmuszony bywa do zapłacenia wymaganiej przez kobietę summy, począwszy od 200 funtów n. aż do 1,000 jako wynagrodzenie szkody, za uczyniony zawód. Wypadków takich bardzo wiele można czytać po tutejszych gazetach.

Do regularnego życia robotników tutejszych przyczynia się także wiele płaca tygodniowa, gdyż odbierając peryodycznie w niewielkiej na raz ilości, nie narażony bywa na przykre następstwa jakie się widzieć dają u innych robotników z powodu braku funduszków przy końcu dwutygodniowej lub miesięcznej wypłaty; z tego więc względu i on stosuje swoje wypłaty do tego, jako mieszkanie dosyć porządne począwszy od 3 szylingów tygodniowo, lub szkołę od dzieci po 2 lub 3 peny od głowy.

Wielką dogodnością dla klasy niezamożnej jest *Bank składowy* (*Savings bank*) w Londynie, a posiadający swe biura w całym kraju przy każdej stacyi pocztowej, przyjmujący małe kwoty począwszy od jednego szylinga, płacąc procent $2\frac{1}{2}$ od sta; jak również *Banki pożyczkowe* do 10 funtów szterlingów, przy stopie 6 od sta i rozkładając wypłaty w ratach tygodniowych, przez ciąg jednego roku. Chcąc otrzymać takową pożyczkę, potrzeba tylko przedstawić poręczenie dwóch osób posiadających *li tylko* jakiegokolwiek stałe zajęcie w takowem mieście.

Banki zaliczkowe półroczne dla fabrykantów, urządzone w ten sposób, iż stosownie do posiadanego zakładu, udzielają pożyczki począwszy od 100 funtów szterlingów w częściowych ilościach co tydzień, stosownie do żądania fabrykanta—który znowu w razie nabiegu funduszów, składa częściami do owego banku, co pół roku zaś są obrachunki, dla zrealizowania pożyczki.

Do rozgałęziania handlu i przemysłu wiele przyczyniają się *pożyczki bezprocentowe miejskie*, z funduszków pozostawionych przez różne osoby na ten cel, po wielu miastach jak: Northampton, Leicester, Warwick i innych. Zapis takowy w Nottingham uczyniony był pierwotnie przez Tomasza White ¹⁾, w r. 1552 w ilości 1,300 funt., który z biegiem czasu powiększony przez ofiary innych osób, wzrósł do summy 13,500. Pożyczka taka w ilości 200 funtów służy tylko młodym ludziom urodzonym w tém mieście, i jest bardzo dogodną, gdyż w ciągu 9 lat może być spłaconą i to bez żadnego procentu.

Jakkolwiek więc summa taka nie jest wielką, wszelako w ręku człowieka który całe swe siły i umysł wyteżę nad powiększeniem swęj działalności w obranym zawodzie, jest dostatecznym początkiem przy tak ułatwionych stosunkach handlowych, jak tego mamy dowody na wielu fabrykach zatrudniających obecnie po paręset rąk. Koniecznym więc następstwem jest rywalizacya handlu czy fabryki co do dobroci, wykwinności i tanioci produkowanych przedmiotów; ztąd więc owe tyśiączne wynalazki zaopatrujące niemal cały świat, a sprowadzające błogosławione skutki, na twórców jakoteż i wykonawców owych myśli.

Karol Brosch.

L I S T

ADAMA MICKIEWICZA. ²⁾

Petersburg 1828, sty. 25.

Odczytałem właśnie miłe pismo Pana Dobrodz. i tłumaczenie sonetów, które w części dawniej mnie znajomo nie mało pochlebilo mojęj miłości własnej autorskiej, wdzięczen już byłem tłumaczowi; wprzód nim

¹⁾ Poczernięte z dzieła pod tyt.: „History and Directory of Nottinghamshire“ wydanego w roku 1864.

²⁾ Podajemy tu kopię tego listu z oryginału będącego w posiadaniu p. Eugeniusza Rdułtowskiego. List to wysokięj wartości, albowiem pokazuje jak był dbałym i troskliwym Mickiewicz, nie tylko o czystość ojczystego języku, ale o gładkość i potoczność stylu, odpowiednio naturze naszęj mowy. Listu tego niema w *korrespondencyi* Mickiewicza, wydanęj w dwóch tomach 1870—1872 r.

się dowiedziałem że jest moim rodakiem i dobrym znajomym. Zapewne przychylność dla autora sonetów skłoniła pana do zajęcia się tłumaczeniem, wtenczas kiedybyś mógł o własnych siłach dążyć ku sławie literackiej, a przynajmniej obrać lepszego przewodnika. Pozostaje mi tylko dziękować za grzeczność i pracę w nadziei, że nią dalej w swobodnych chwilach wiejskiego życia zająć się zechcesz. Zapytujesz mię o zdanie i krytykę, natarczywy Przeclawski nie dał czasu odczytać powtórnie i pomyśleć. Ale chociażbym zasiadł z całą powagą redaktora *Edemburskiego Revue*, niebym mądrego wyrzec nie zdołał. Umiejętność tylko język angielski, ile potrzeba do zrozumienia myśli. Właściwość i delikatność wyrażen, tok i harmonia wiersza, wszystko to ginie przed uchem i pojęciem ładowego mieszkańca. Trzeba koniecznie zasięgnąć rady jakiego Goddama, który jadł bifstyk pod *koroną i kotwicą*. Słychać że tutejsi reprezentanci *John Bulla* dopytać radzi tłumaczeniu wyjąwszy p. *Cooper* (tylko nie Amerykanina). Owoż p. *Cooper* (nie wiem jak się pisze) w długiej rozprawie akademickiej u pani *Rondeleu* (musisz pan znać i miejsce i osoby) dowodził używając więcej parantezów niżeli ja na tej stronie listku, dowodził tedy że sonety są złym rodzajem, że je należy inaczej wierszować i rymować etc. Zostawiam panu ten spór rozstrzygnąć jako lepiej znającemu i język i prawidła wersyfikacji angielskiej. Możesz z uwag Kupera skorzystać. Już nie skorzysta z nich na nieszczęście Lord Byron, który według tylekroć wzmiankowanego Kupera, jest bardzo mizernym pisarzem.

Zstępując z wyższej sfery akademickiej do nas samych, znajdujemy z Przeclawskimi niektóre miejsca w tłumaczeniu nieco od oryginału różniące się, już co do myśli, już co do ich następstwa. Takowe miejsca podkreśliły i zapiszemy swoje uwagi, to jest jedyna krytyka na jaką sumiennie odważyć się możemy, krytyka prawdziwie *чиловнича*, albo sekretarska, kończąca się na porównaniu z oryginałem i zapisaniu *za zgodność*. Resztę i sądowi i talentowi pana zostawiamy.

Ucieszyłem się nowiną że zjedziesz wkrótce do Petersburga; jeżeli dłużej zabawisz w stolicy, może obaczmy się jeszcze, gdyż ja zmuszony jestem wracać do Moskwy, zkąd po kilku tygodniach mam nadzieję przybyć do kolonii tylejszój ¹⁾ na czas dłuższy.

Adresować do mnie listy najlepiej na ręce szanownego stołnaczalnika Przeclawskiego, który będzie wiedział gdzie je wyprawić.

Jestem Pana Dobrodzieja
życzliwym sługą

Adam Mickiewicz.

Mam jeszcze chwilkę czasu i ośmielę się choć nie proszony kilka zapisać uwag nad przysłanym mnie polskim wierszykiem. Znajduję

¹⁾ Zapewne omyłka pisma zamiast: tutejszej. P. R.

w nim piękne myśli, które każą żałować że pan mało w polskim języku pracujesz i dla tego styl nie jest wolny od uchybień.

Zagubne wiry, epitet najprzód nie polski, bo trzeba mówić zgubne, które jest lepsze bo krótsze, a w poezji między dwoma wyrazami równego znaczenia i mocy, prawie matematycznie powiedzieć można, że krótszy jest lepszy. 2) *Zgubny* tu nie bardzo potrzebny i nie większa idei *wiru*. — *Pod senną salą* jest nowe i przesliczne. *Wnętrze łona* wyrażenie nie delikatne i twarde, koniecznie tu trzeba położyć *serce* lub *duszę*. *Pozerczy płomień*, epitet dość pospolity. W ogólności wiele epitetów jeśli nie zbyt wybornych nadają mowie ciężkość i wymus.

Niezatarte uczucie. *Niezatarte* źle, nie właściwie mówimy zatrzeć w pamięci, bo przypuszczamy że się w pamięci coś pisze, ale *uczucie* mówi się nie *zagasłe* lub co lepszego pan poszukaj. *Cień zabójczy*, epitet mnie się nie podoba, może być i dobry. *Wesołość w żal zamienia, pogorsza cierpienia*, cały wiersz prozaiczny. *I zda się ciężyć będzie na nas i w mogile*, piękna myśl i wiersz, tylko żeby na nas było *nam* lub coś krótszego od na nas.

W godzinach szczęścia przedstawia: przedstawia nie po polsku. Ostatnie wiersze ładne przypominają jakiś pasaż Moora. Kończę uwagę czyby nie można całego wiersza ścisnąć na jedynasto-zgłoskowy, toby mu dodało mocy.

Daruj surowość może zbytnią krytyki, styl jest częścią ważną i tylko trudem się nabywa. Zresztą niektóre uwagi może mogą być nie słuszne, pisałem co się zdawało.

Tout a vous

A. M.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Henryk Brodaty ustęp z dziejów epoki Piastowskiej napisał St. Smolka. Lwów 1872 r. 106 str.

Z dziedzin Piastowskich najwcześniej od ogólnej całości polskiej oderwał się Szląsk i powoli uległ niemal zupełnemu wynarodowieniu. Żywiol narodowy poniósł w tym razie ciężką pod wielu względami stra-

tę. Była to pierwiastkowo szczeropolska ziemia, hojnie od natury uposażona, obfitująca w liczne bogactwa, które z czasem na jaw wydobyte sprawiły, że Szlązk był i jest uważany za perłę w koronie pruskiej. Za Bolesławów w XI i XII wieku, w dość ściślejszej spójni trzymały się wszystkie ziemie w rękach panującego domu Piastów będące; ale podział Krzywoustego nadwątlił łączną całości siłę. Wzmogły się inne o organizmie państwowym oraz o naczelną sile pojęcia, zmęźniały dążności indywidualne i składowe części jednego ciała wyosobniać się poczęły. Prawie wszystko dzielnice powoli wróciły znowu pod jedno berło, tylko Szlązk, raz na różne i odmienne wprowadzony tory, przechylił się ku innej stronie i bezpowrotnie utonął w powodzi obcego żywiołu. Wprawdzie w ciągu kilku wieków nie zrzekała się korona polska swoich praw do Szlązka i niejednokrotnie o nich znać dawała; ale te prawa coraz więcej na swą siłę traciły, w miarę jak ta część ziemi pod napływem obcej ludności swoją postać czystopolską zacieśniała. Syn Bolesława Krzywoustego wyzuty ze swą posiadłości schronił się na dwór niemiecki. Dzieci jego w 1163 roku wróciły znowu do posiadania ojcowizny. Długi w Niemczech pobyt, związki rodowe z książętami niemieckimi jak Niemcei niemieckich cesarzów wpływ około przywrócenia im utraconej dzielnicy, nie zbyt korzystnie podziały na pojęcia, charakter i politykę najstarszej gałęzi Piastowskiego rodu. Szlązcy książęta już niemal w osobie pierwszego swego na Szlązku przedstawiciela, Bolesława Wysokiego, siebie i ziemię swoją wynarodowiali.

Właściwie zaś początek w tym względzie, ale początek na szerokiej rozwinięty podstawie, zrobił Henryk Brodaty (1201—1238). Co Otton W. rozpoczął w słowiańskich krajach nad Elbą, co dalej w tym duchu prowadził Henryk Lew na ziemi Obotrytów i Lutyków, co Albrecht Niedźwiedź czynił nad Hawelą, to nad Odrą w Szlązku Henryk Brodaty tą samą poszedł drogą. Była to kolonizacja niemiecka. Wprawdzie niesłowiańscy książęta wprowadzali żywioł obcy przemocą, gwałtem, tępili z umysłu wśród krwawego żniwa miejscową ludność; tómsię zaś nie splamił Henryk Brodaty, ale dzieło jego też same co książąt niemieckich sprowadziło następstwa: kraje nad Elbą i Odrą stały się bujną niwą dla niemieckich przybyszów. Nie mógł zaiste Henryk Brodaty tómsamém nioprzyjaznym, co księżę Saski być ożywiony uczuciem, ale dawszy sam początek zachęcił i swoich następców do podobnej polityki, która ostatecznie Szlązk wynarodowiła. Ściągani liczni osadnicy w znacznej mierze wpłynęli na ulepszenie uprawy ziemi, podnieśli stan jej bogactwa, ożywili przemysł, handel; lecz w tak wielkiej byli sprowadzani liczbie, że miejscowa ludność przemódz ich nie mogła, z czasem osłabła jeszcze więcej, straciwszy swoje rodzinne urządzenia, swoje prawa i swój język i Szlązk polską przestał być prowincją, zwłaszcza kiedy z pod panowania Piastowskiego rodu pod czeskie dostał się w XIV wieku berło. Kolonizacyjna dzia-

łałość Henryka, lubo dość wydatny w jego polityce rys stanowi, nie przedstawia bynajmniej całkowitego obrazu. Nie tą wyłącznie miarą mierzyć można jego dziejowe znaczenie. Henryk Brodaty jako przedstawiciel najstarszej gałęzi z Piastowskiej rodziny, bezustannie żywy przyjmuje udział we wszystkich sprawach politycznych dotyczących dzielnic, które ulegały władzy młodszych synów Bolesława Krzywoustego, ztąd też należy ściśle do polskich dziejów i w obec nich zajmuje miejsce jako jeden ze znamienitszych książąt XIII wieku. Z oterwanych wiadomości, jakie nam kroniki przekazały, niepodobna utworzyć sobie pełnego obrazu czynów i działalności Henryka; dopiero z okresu pod koniec jego życia, gdy się kronikarskie mnożą szczegóły, uwydatnia się ta osobistość. Za ledwie kilka ważniejszych zdarzeń aż do roku 1227 dotyczących stosunku z wielkopolskimi książętami rzuca niejaki światło, zresztą w całym ciągu 36 lat jego panowania wszędzie tylko odbłysek w miejsce jasnego dnia spostrzegać się daje. Jednym z najciemniejszych punktów jest stosunek Henryka Brodatego do Władysława Odonicza i udział w wypadkach 1227 r., kiedy Leszek Biały zdradziecko w Gąsawie zabitym został. Śmierć Leszka, który małoletniego po sobie zostawił następcę, opróżniła na czas pewien krakowską i sandomierską dzielnicę i otworzyła zarazem Henrykowi drogę do szeroko na sprawy książąt polskich wpływu. Wybrany na opiekuna, krakowską zajął ziemię, mógł się słusznie seniorem mianować, kiedy jako najstarszej gałęzi przedstawiciel w naczelnym grodzie w Krakowie zasiadł. Nie wiemy, czemu zawdzięcza Henryk swoje wyniesienie się, czy tylko przypadkowi, że wdowa po Leszku Grzymisława na opiekuna go wezwała, czyli też swojej znacznej sile. Prócz Szlązka i Dolnych Łużyc bowiem także i Wielkopolską władał dzielnicą, a opierając się następnie na Krakowie, panował nad znacznym obszarem i wielkim rozkazywał siłom. Wszędzie we wszystkich ważniejszych sprawach książąt polskich przyjmuje udział, bądź jako pośrednik, bądź jako sędzia i pan zwierzchni. Nic z tej jednak gałęzi Piastowskiego rodu wyszedł ten, co znów w jedno ciało połączył porozrywane części.

Henryk Brodaty, znany także jako mąż Ś. Jadwigi, stanowi przedmiot monografii historycznej p. Smolki. Rzecz jest przedstawiona wyczerpująco na tle, jakie wyżej w ogólnych nakreśliłszy zarysach, każda strona działalności i stosunków Henryka Br. politycznych, kościelnych i rodzinnych, uwydatniona została w miarę źródła ku temu służących. Takich prac jak obecna p. Smolki potrzeba więcej, jestto jedyna droga do zrozumienia dziejów tyle ciemnego, tyle odrębnych właściwości mającego wieku XIII. Z pojedynczych części kiedyś złoży się ogólny a dokładniejszy niż dotychczasowy wizerunek osób i wypadków z okresu podziałowej Polski. Staranność z jaką swą mozaikową pracę ułożył autor jest godną wszelkiego uznania. Widać zamiłowanie istotne do poszukiwań sumiennych, do docieków mozolnych, prawda historyczna tylko na tym zyskuje. W wykładzie i w wyrozumieniu świadectw historycznych trafność i bystrość sądu, nieraz bardzo korzystnie mówią o młodym au-

torze. Krytyka jego kierowana dążnością do odszukania prawdy, zresztą nie pokonywa trudności. Rzecz cała przedstawiona jest nie bez talentu. Z takiój siły, ukazującej się w nielicznym szeregu badaczy naszej przeszłości, szczerze się radujemy. Poniżej umieszczone zostały sprostowania niektórych zapatrywań, nadesłane redakcyi przez autora monografii. Już w części to poprawki nasze własne uwagi zbyt czynnymi uczyniły. Tém nie mniej niech nam wolno będzie jeszcze dodać od siebie, że niekiedy krytyka p. Smolki nie zadowolni badacza. Na str. 29 oraz w przypisku 9-m jest mowa o Kaliszu, którego podobno Henryk ustąpił Odoniczom, gdy ten wygnany przez stryja Władysława Laskonogiego uciekł się pod jego opiekę. Autor twierdzi że słowo: *castrum de Calis* oznacza jakiś inny a niewłaściwy, znany nam Kalisz. Wprawdzie miejsce to przedstawia pewne trudności, ale autor ich nie usunął, gdy stworzył nowe *castrum de Calis*, o którym w dyplomatach żadnej nie spotykamy wzmianki. Nie obalił przeto zdania Roepella a swego także nie poparł przekonującymi dowodami. W drugim znowu miejscu (str. 33) spostrzegamy nieco słabą interpretacyą, tyczącą się aktu z r. 1222, w którym występuje Henryk Brodaty. Jestto ów znany akt, którym Konrad Mazowiecki podczas wyprawy krzyżowców przeciwko pogañskim Prusom, zrzeka się pewnej części ziemi Chełmińskiej na rzecz Krystyna biskupa pruskiego. P. Smolka nie przypuszcza, iżby w ziemi Chełmińskiej miał Henryk Brodaty jakiegokolwiek posiadłości, co do dziesięcin z których miał się bliżej porozumieć z Krystynem biskupem. W obec tych trudności mieni się krytyka jego bezsilną. Należało jednak zwrócić uwagę na to, co w pierwszej części dyplomu się mieści, a co niewątpliwie w związku pozostaje z temi nieokreślonemi posiadłościami. Mowa jest zdaje się o tóm, że Henryk Brodaty ma wziąć w posiadanie zamek chełmiński i część ziemi chełmińskiej, co do dziesięcin więc miała stanąć oddzielna z biskupem Krystynem umowa. *Omnes proventus ipsius terrae cum episcopo prusae dimiliabit. Insuper decimum... excepto duce Silesie H.* Więc oczywiście miano na myśli Henryka Brodatego, on przeto był domniemanym panem na zamku i w części ziemi chełmińskiej. Ale następnie układy prawdopodobnie inny wzięły obrót.

A. P.

Posyłam Szanownój Redakcyi kilka uwag uzupełniających mą pracę o Henryku Brodatym, aby spłacić należny dług prawdzie historycznej lub sprostować niektóre zdania wyrzeczone w ostatnich czasach, a odnoszące się do przedmiotu méj rozprawy.

Do rozjaśnienia ciemnych i zawiłanych stosunków po śmierci Leszka Białego, służą dwa świadectwa, na które nikt dotychczas jeszcze należytej uwagi nie zwrócił: dwa dokumenta Władysława Laskonogiego z r. 1228, wydrukowane w Wiszniewskiego Hist. lit. pol. II. 472—473 i pewien ustęp latopisu wołyńsko-halickiego. Oba wspomniane doku-

menta wystawione są „in colloquio in Coena“ wobec arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupów krakowskiego i poznańskiego, opata tynieckiego, kilku innych kleryków, wojewodów krakowskiego i sandomierskiego, kasztelana wiślickiego i in. W pierwszym dokumencie oświadczą Wł. L., że wskutek umowy z Leszkiem przysięgą niegdyś zatwierdzonej, adoptuje syna jego Bolesława, przyrzeka mu opiekę i obronę ziem odziedziczonych po ojcu. Dalszy ciąg dokumentu jest ciekawym źródłem co do stanowiska możnowładztwa w stosunku do władzy książęcej. Władysław przyrzeka panom (barones et nobiles) ziem przybranego syna łagodnie rządzić, nie dopuszczać się nadużyć, zachowywać ustawy „secundum episcopi et baronum consilium“ nie naruszać przywilejów kościoła. Drugi dokument odnosi się właśnie do tego ostatniego punktu, zawiera uwolnienie kościoła od ciężarów prawa polskiego. Obydwa dokumenta nie mają daty dnia, która właśnie w tym wypadku byłaby bardzo pożądana.

Według kroniki Boguchwała (Mon. Pol. hist. 555): post mortem Lestconis Conradus Maz. Dux, nepotem suum Boleslaum cum suis ducibus Crac. et Sand. in sui curam suscepit. Słowa „post mortem L.“ nie znaczą tutaj jednak bezpośrednio po śmierci L. Kronika Boguchwała ma w samodzielnej swej części stanowczo charakter prowincjonalny, wielkopolski; małopolskich wypadków dotyka tylko z lekka przy sposobności. I tak właśnie po opisie śmierci Leszka wplata dłuższy epizod o stosunkach małopolskich (rozdz. 61 i 62), w którym skreśla wypadki późniejsze z lat 1233 i 1234, pomijając zdarzenia lat 1228 i 1229. Po tym epizodzie powraca znów do stosunków wielkopolskich w r. 1228, ciągnąc dalej wątek urwany na roku 1227 (Por. Henr. Brod. str. 50 uw. 66). Drugie źródło historyograficzne, Chr. pol. sil., (Mon. Germ. hist. XIX. 564, 567), wspomina tylko o tém, że Konrad dążył do opanowania ziem Bolesława, wskutek czego matka jego Grzymisława oddała się w opiekę Henrykowi Brodatemu; nastąpiło to w lecie 1228 (Henr. Br. str. 40 uw. 46). Na wiosnę tegoż roku (w każdym razie jeszcze w maju) rządziła Grzymisława w ziemi krakowskiej i sandomierskiej; w marcu widzimy ją na zjeździe z Konradem i jego synami. Zdaje mi się, że te fakta dają się pogodzić z owymi dokumentami Laskonogiego; on mógł być opiekunem małego Bolesława, że zaś bawił w swej własnej dzielnicy, gdzie w skutek zatargów z Odoniczem (Boguchw. rozdz. 63) obecność jego była w istocie bardzo potrzebną, w spuściznie Leszkowej mogła Grzymisława rządy sprawować. Z pewnością tylko twierdzić można, że dokumenta Laskonogiego wystawione zostały przed sierpniem, gdyż wtedy był już Henryk Brodaty panem Krakowa.

Zachodzi pytanie, jakie stanowisko wobec tego zajął Konrad, który jako stryj Bolesława do opieki mógł sobie rościć prawo i później tak uparcie przy nióm obstawał? w jaki sposób przyszło do tego, że Grzymisława Henryka Brodatego na pomoc wezwała i dzielnicę krakowską mu odstąpiła? Odpowiada na to Chron. pol. sil. l. c. Lestcone interempto, Conradus monarchiam occupare nitebatur, a do objaśnienia tego suche-

go ogólnika służy nieużytkowany jeszcze ustęp wołyńskiego latopisu. (Полн. Собр. русс. лѣт. II. 168).

Wspomina on o zabójstwie Leszka a zaraz przy tém dodaje, że Konrad po śmierci brata „pokochał wielce“ (прія въ великую любовь) kniaziów Romanowiczów Daniela i Wasylka i „prosił ich, żeby mu przyszli na pomoc i poszli mu na pomoc na Władysława Starego.“ Władysławem Starym nazywa tu latopis Laskonogiego dla odróżnienia od drugiego księcia wielkopolskiego, Władysława Odonicza. Kniaziowie ruscy wkroczyli z Konradem do Wielkopolski, przeszli Wartę ¹⁾ i nazajutrz stanęli pod Kaliszem, który postanowili oblegać. Polacy niechętnie szli na wojnę domową i nie chcieli się bić; Konrad „poniżał“ ich w skutek tego a „lubił“ ruskie posiłki, które tymczasem pustosząc, zapuszczały się aż do Śląska (и несколько селъ Воротиславскихъ залша). Pierwszy napad był bezowocnym, wkrótce jednak odkryto słabe miejsce, w którém oblężony gród nie mógłby się być oprzeć powtórnemu napadowi. Za pośrednictwem Pakosława i Mszczuja, których Konrad na żądanie oblężonych w celu układow wysłał i kniazia Daniela, który im towarzyszył, poddał się Kalisz Konradowi; poczem Polacy z Rusinami przysięgli sobie wzajemnie przyjaźń, a ruscy kniaziowie powrócili z posiłkami do domu. Dalszy przebieg tój wyprawy Konrada na Laskonogiego nie jest nam znany; niewątpliwą jednak rzeczą wydaje mi się, że zatargi te wynikły bezpośrednio ze stanowiska, jakie Laskonogi zajął w obec spuścizny Leszkowej. Rok tój wyprawy nie jest w latopisie z wszelką pewnością oznaczony. W tekście Полн. Собр. znajduje się rok ery bizantyńskiej 6737 t. j. 1229. Pominąwszy okoliczność, że daty tego letopisu w ogóle bardzo często są zupełnie mylne ²⁾, rok 1229 już z tego powodu ostać się nie może, że dwa inne rękopisy mają w tém miejscu słowa въ тоже лѣто, odnoszą zatem wydarzenia te do wyżj podanego roku 6736 (1228), co zupełnie na wiarę zasługuje. Bezpośrednio bowiem przed opisem tój wyprawy, po słowach mss. X i Ч „въ тоже лѣто“ zapisuje letopis wiadomość o śmierci Leszka, która nastąpiła 23 listopada 1227, a zatem według ery bizantyńskiej, rozpoczynającj rok z 1 września, w r. 6736. Pewną jest rzeczą, że wyprawy tój nie można odnieść do roku 1227, gdyż musiałaby przypaść w miesiącu grudniu. W dwóch zaś miejscach wspomina letopis wyraźnie o ulewnym deszczu, z tego powodu zatem należy przenieść tę wyprawę eo najrychlej na wiosnę r. 1228. Według letopisu wysłał Konrad do oblężonych Mszczuja i Pakosława; w każdym razie musieli to być znamienici dostojnicy z jego otoczenia. Pierwszy jest może identycznym z owym Mszczujem (Mści-

¹⁾ Już dawniej uczynił tę uwagę reoconzent wydawnictwa Полн. Собр. w Bibl. Warsz., że rzeką tą była Warta (Ветры w dwóch rękopisach) a nie Wieprz, jak w tekście tój publikacyi wydrukowano.

²⁾ Por. Szaraniowicz. Die Hypatios-Chronik. Lemberg, 1872, str. 7.

wojem), który był później wojewodą łęczyckim (Por. Henr. Br. str. 45 uw. 54). O Pakosławie wspomina letopis jakoby o znajomej osobistości, zdaje się, że to był ten sam, którego nieco wyżej, pod tym samym rokiem, nazywa wojewodą (str. 167). W takim razie mógłby to być tylko wojewoda Sandomierski ¹⁾, co przemawiałoby za t^om, że Konrad już w czasie t^ej wyprawy zajął był dziedzictwo Bolesława, Sandomierz. Z zagonów posiłków ruskich do ziemi szląskiej wnosić należy, że już wtedy między Konradem a Henrykiem Brodatym stosunki były naprężone; wyprawa ta jednak nastąpiła bezwątpienia przed sierpniem 1228, gdyż wtedy już był Henryk głównym nieprzyjacielem Konrada a Laskonogi usunął się był widocznie zupełnie od udziału w tych sprawach, zapewne w skutek nieustannych zatargów z Odoniczem. Fakt ów więc pozwala tylko przypuszczać, że już z samego początku Henryk stał po stronie Grzymisławy i Laskonogiego a przeciw Konradowi; wszak w ogóle, jak już raz na to zwróciłem uwagę (Henr. Br. 48) był Henryk w latach późniejszych stanowczo sprzymierzeńcem Laskonogiego a nieprzyjacielem jego wroga Odonicza. Łatwo pojąć, że kiedy Laskonogi, zagrożony podwójnie przez Konrada i Odonicza nie mógł wypełniać obowiązków względem przybranego syna Bolesława, matka tegoż Grzymisława musiała się udać o pomoc do sprzymierzonego Henryka, choćby nawet za cenę odstąpienia ziemi Krakowskiej.

W listopadowym zeszycie Przeglądu Polskiego (1872) zarzucił mi recenzent, że pominąłem „prawodawcze usiłowania Henryka, które uwzględnić należało, jak np. zuiesienie niemoralnego i ohydneho prawa virginale i viduale.“ Wiadomość o czynnościach prawodawczych Henryka znaleźć można rzeczywiście w bardzo wielu podręcznikach historyi polskiej, do którego dostały się za pośrednictwem wielu rąk z Długosza; wiadomo, że Lelewel na podstawie owego ustępu w Długoszu doszedł do bardzo daleko sięgających konkluzyj; zdawało mi się jednak, że mogłem całą tę sprawę pominąć milczeniem, skoro Helcel uczenie i krytycznie całą tę wiadomość jako fikcyą Długoszową przedstawił (Starodawno prawa pol. pomn. I str. CIII—CXIV), a te wywody jego nawet Lelewela w końcu do wyznania skłoniły, że „za Henrykiem obstawać nie będzie“ (Polska wiek śr. 2 wyd. III, 534). Zarzut recenzenta Przegl. pol., tak stanowczo wypowiedziany, spowodował mię jednak do bliższego zbadania t^ej sprawy, którego rezultaty tu przekładam. Gdyby wiadomość ta w istocie tylko w Długoszu się znajdowała, nie możnaby nic zarzucić wywodom Helcla; nie mógł jednak wiedzieć uczony ten badacz, że prócz

¹⁾ Ob. dokument Grzymisławy z r. 1228 Rzyszcz i Mucz. C. D. P. I. 32. Wojewodą mazowieckim i kujawskim był w r. 1228 Arnold, później Bogusza, ob. R^opoll Gesch. Pol. 14 Boilage.

Długosza posiada ją także rocznik, wydany po raz pierwszy w r. 1858 przez J. Fiedlera w piśmie: Slav. Bibliothek II 141—150 p. n. Chronicon Poloniae, powtórnie przez W. Arndta w Mon. Germ. hist. SS. XIX 536—540 z niestosownym tytułem Annales silesiaci compilati. Rocznik ten, w tej formie, w jakiej go dzisiaj znamy z rękopismu z XV wieku, spisany został w drugiej połowie XV wieku, w każdym razie po roku 1457, gdyż znajdują się w nim ustępy z kroniki Zakonu Krzyżackiego Blumenaua, w tym roku ukończon¹⁾. Jest to bez wątpienia kompilacja z XV w., obejmująca różnorodne wiadomości z lat 965—1249. Zdaje mi się, że łatwo odróżnić się w niej dają trzy części składowe. Pierwsza część zawiera luźne zapiski annalistyczne o 13 latach z okresu 995—1194. Nie trudno wykazać ich dosłowną zgodność z innemi polskimi rocznikami²⁾. Przedostatni zapisek w tej pierwszej części odnosi się do roku 1072, bezpośrednio po nim przeskakuje kompilator do znanego, we wszystkich rocznikach zapisanego roku śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, żeby po krótkiej wzmiance o obydwóch jego synach wpleść obszerny wyciąg z kroniki Blumenaua o Konradzie i o przywołaniu Zakonu Niemieckiego do Prus. W trzeciej części następują annalistyczne zapiski z lat 1226—1249, (przynajmniej z wyjątkiem pierwszego) zupełnie oryginalne, nie znajdujące się w innych rocznikach. Widać w nich, tak jak i w pierwszej części niejakie ślady ręki kompilatora; tak, pod r. 1241, gdzie jest mowa o Bolesławie Wstydlwym, nazywa go synem Henryka szląskiego, mieszając go zapewne z Bolesławem Łysym; w dacie kanonizacji św. Stanisława zasła omyłka, może w skutek niedbałości odpisywacza (49 zamiast 53). W ogóle jednak są te zapiski wcale wiarygodne: tak, pod r. 1248 skreśla zupełnie samodzielnie zatargi książąt szląskich, tak, jak je Boguchwał w rozdz. 88 (pod r. 1249) przedstawia. Ciekawą jest rzeczą, że fakta tylko w tym roczniku zapisane, znajdujemy także w Długoszu, który w tym samym mniej więcej czasie swe dzieło pisał. Niepodobna przypuścić, że ten kompilator miał już Długosza przed sobą; odwrotny stosunek także nie jest prawdopodobnym³⁾. Nie-

¹⁾ Script. rer. pruss. IV. 43, uwaga wydawcy Toeppena.

²⁾ Do wiadomości z lat 965, 967, 975, 990, 1000, 1007 (R. Kam. 1019) por. rocznik kamieniecki; z r. 1016 roczn. świętokrzyżki, 1034 roczn. świętokrz. i kapitulny, 1046 roczn. krakowski a poniekąd i Traski. Co do roku 1072 zasła omyłka prawdopodobnie przez wypuszczenie słów „efficitur, qui,” gdyż r. 1072 przypada ordynacja św. Stanisława na biskupa, a nie za bójstwo, por. r. kamieniecki, kapitulny i Traski. Nie ma w innych znanych rocznikach tylko wiadomości o r. 1031.

³⁾ Por. Girgensohn Krit. Untersuchungen t**h**. d. VII Buch von Długosch. Göttingen. 1872. str. 51 sq. Prócz uwagi Girgensohna, że w takim razie kompilacja ta okazywałaby więcej kongruencji z Długoszem, przemawia przeciw temu wzgląd, że dzieło Długoszowe bezpośrednio po napisaniu nie było bardzo rozpowszechnion^ém. Zresztą według rocznika rodzi się np. Bol. Wstydl. r. 1226, zgodnie z innemi rocznikami, według Długosza zaś w roku 1221 (L. VI. col. 627).

wątpliwóm wydaje mi się, że obie kompilacye miały tutaj wspólne źródło, że zatem trzecia część składowa t. z. *Ann. Siles. comp.* jest fragmentem jakiegoś zaginionego rocznika, który kompilator z innemi wcześniejszemi zapiskami annalistycznymi razem spisał, spajając je wyciągiem z kroniki Blumenaua, ciekawym zwłaszcza w jego czasach, w obecnym stosunku między Polską a Prusami Zachodniemi. Tak więc musi się nam ustęp Długosza o prawodawczych czynnościach Henryka Brodatego w innym zupełnie świetle przedstawić. Zupełnie zgodnym nie jest on z odpowiednim ustępem t. z. *Ann. Sil. comp.*:

Ann. Sil. comp. M. G. H. XIX. 539.

Długosz a. 1237. L. VI. col. 660.

Post obitum ducis Leczkonis Henricus dictus cum barba, dux Slesie contra voluntatem ducis Conradi fratris Leczkonis, Cracoviam intrat ac obtinet et castrum in Pregnia inceptit edificare et Cracoviam cum omnibus redditibus, proventibus et pertinentiis ad usum suum retinens, habito quidem consilio episcopi et baronum, rempublicam provide ordinavit, leges quibus humana audacia coerceretur, instituit,

malificos et calumniosos homines exterminavit,

libertatem ecclesie confirmavit, eo quoque regnante quasi per decennium terra polonica crevit rerum incremento.

Dux itaque Henr. curator suus (Bolesł. Wstydl.) munitionem rupis, que dicitur Skala in Przeginia, eis (Bolesławowi i Grzymisławie) concedit ad habitandum etc. . Ubi collocati fere quinquennio delituerunt, ipse vero Henricus—cum omnibus proventibus redditibusque Cracoviam ad usum suum retinens, habito communi consilio episcopi et baronum, rempublicam provide ordinavit, leges, quibus humana audacia coerceretur instituit et *conscriptis*, viros industrios et providos prefecit beneficiis et magistratibus, pestiferum genus hominum, videlicet maleficos et calumniatores exterminavit, leges concussionis elisit, videlicet pomoene, viduale et virginale, et si quae sunt similia, perosos extirpavit. Libertatem insuper ecclesie confirmavit, sicque in eo statu terra posita, eoque regnante, quasi per decennium crevit rerum incrementum et profecit etc.

Tekst Długosza jest znacznie obszerniejszy. Konkretny fakt, zniesienie owych trzech ciężarów nie jest podobno dowolnym, zmyślnym dodatkiem Długosza, wiadomość o nim znajdowała się może w wspólnym źródle obydwóch kompilacyj. Dodatek „conscriptis“ może być łatwo tylko stylistycznóm upiększeniem. Można więc na podstawie tego wywodu rewindykować dla Henryka Brodatego zasługę wewnętrznej organizacyjnej pracy, nie wchodząc w sprzeczność z głównym rezultatem Helcla, który słusznie zbyt daleko sięgające konkluzye Lelewela zbija.

Po wyjściu „Henryka Brodatego“ ukazała się w czasopiśmie „Zeitschrift für geschichte und Alterthum Schlesiens“ XI, 2. 399—415 rozprawka prof. Grünhagena o Bolesławie Wysokim, odnosząca się do tego samego przedmiotu, który w I rozdziale mej rozprawy opracowałem. Według niej sprostować muszę przedewszystkiemu zapatrywanie dawniejsze względem osadzenia Władysławowiców na ziemi szląckiej. Oparłszy się na wywodach prof. Biermanna, według których tylko Szlązk średni i dolny przed wiekiem XIV miał nazwę ziemi szląckiej, wnosiłem z najdawniejszych źródeł w tym względzie (kroniki Wincentego i roczników), że Władysławowice pierwotnie r. 1163 tylko dzisiejszy Szlązk średni i dolny otrzymali, a że ziemia opolska (Szlązk Górny) po r. 1177 im się dostała; chcąc pogodzić sprzeczności pomiędzy wcześniejszemi a późniejszymi źródłami, poświęciłem długi ekskurs temu przedmiotowi, który sam przez się na to nie zasługiwał. Słusznie jednak twierdzi Grünhagen, że wyrażenie Wincentego „*sacra* Silencii provincia“ oznacza całą wrocławską czyli szląską dyecezyą; tak więc otrzymali Władysławowice już w r. 1163 cały Szlązk dzisiejszy z wyjątkiem Oświęcimia i Bytomia, t. j. ziemi należącey do dyecezyi krakowskiej, którą Mieszko po r. 1177 od Kazimierza Sprawiedliwego otrzymał (quaedam oppida Winc. M. P. II. II, 397). Co do kilku jednak innych punktów nie mogę się zgodzić na rezultaty rozprawki Grünhagena.

Przedewszystkiem zaprotestować należy przeciw słowom (l. c. 402): „Schlesien war und blieb ein polnisches Herzogthum bis zum Anfange des XIII Jahrhunderts, oder noch bestimmter bezeichnet, bis zur Thronbesteigung Heinrichs I 1201, zu welcher Zeit die ganze Senioratsverfassung in Polen in Verfall kam.“ Henryk Brodaty uważał się bez wątpienia stanowczo za polskiego udzielnego księcia, tak jak Laskonogi lub Odonicz, jak to się w całych dziejach jego ściśle związanych z dziejami całej ówczesnej Polski objawia. Dopiero po rychłej śmierci jego syna, po podziale Szlązka między młodych, zniemczonych wnuków Brodatego, przybiera ziemia szlązka znamiona odrębnej całości, różnój pod wieloma względami od innych dzielnic Polski.

Badając stosunek między Bolesławem Wysokim a synem jego najstarszym Jarosławem, przywraca Grünhagen wiarogodność podaniu o wyprawie Bolesława do Włoch. Opiera się tu na podrobionym dokumencie Bolesława z roku 1201 ¹⁾, w którym czytamy: „cum apud avunculum meum Heinricum V imperatorem cum exercitu in expeditione in Lombardia per trennium consistere“. Słusznie twierdzi Grünhagen, że powodem fałszerstwa dokumentu była tylko praktyczna część jego, że zaś fałszerz nie miał powodu pisać nieprawdy w ogólnych wzmiankach o faktach historycznych, które się w tym dokumencie znajdują; pytanie tylko zachodzi, czy prawda była tu znaną temu fałszerzowi.

¹⁾ Boczek Codeks diplom. Morav. II 9.

Pismo falsyfikatu ma być to samo, co i w podrobionym fundacyjnym dokumencie klasztoru lubiańskiego, w każdym więc razie dokument ten pochodzi z pierwszej połowy XIII wieku; nie ma jednak powodu przypuszczać, że go podrobiono niebawem po śmierci Cypryana biskupa (jednego ze świadków 1207), tém bardziej, że posiadłości przyznane w nim klasztorowi lubiańskiemu, nie są wymienione w konfirmacyjnym dokumencie papieża Innocentego III z roku 1216. Bardzo jest prawdopodobnym, że falsyfiikat ten powstał w czasach, kiedy sporządzający go mnich lubiański nie miał zgoła wiadomości dokładnych o faktach, o których nadmienia ¹⁾; niemożna go więc uważać za wiarogodne źródłowe świadectwo. Pominąwszy okoliczność, że Henryk VI nigdy wojennej wyprawy przeciw Lombardyi nie przedsięwziął i że nigdy jednym ciągiem przez trzy lata we Włoszech nie bawił ²⁾, trudno w ogóle przypuścić, że Bolesław na schyłku życia, będąc zagrożonym przez niespokojnych sąsiadów ³⁾, z uprzejmości dla cesarza, wybrał się na trzyletnią wojenną wyprawę w strony tak odległe. O tej lombardzkiej wyprawie opowiada obszernie także Chron, pol. sil. l. c. 563 i 566; według tej kroniki (pisanój około r. 1300) przedsięwziął ją Bolesław, kiedy go syn jego Jarosław i brat Mieszko z dzielnicy szlązkiej wygnali. Wygnanie Bolesława kończy się powrotem jego z Lombardyi, przyczém Kazimierz Sprawiedliwy godzi zwaśnionych Władysławowiców i przywodzi do skutku nowy podział ich dziedzictwa. Są to więc widocznie te same zdarzenia, o których opowiada Wincenty (Mon. Pol. h. II 397), a które zaszły niebawem po objęciu ziemi krakowskiej przez Kazimierza w r. 1177. Wydaje mi się więc rzeczą niewątpliwą, że autor Chron. pol. sil. splótł je w mętny sposób z podaniem o lombardzkiej wyprawie Bolesława i o walkach jego z olbrzymem pod Medyolanem. W „Henryku Brodatym“ (str. 18 uw. 19) zwróciłem uwagę na elementa tego podania. Utworzyło się ono zapewne ze wspomnień o udziale Bolesława Wysokiego w wyprawie Fryderyka I (Henr. Br. str. 11) przed objęciem rządów nad Szlązkiem i z tradycyi o walkach Alberta, hrabiego na Tyrolu i Andechs z jakimś olbrzymim człowiekiem przy oblężeniu Medyolanu 1158; tradycya ta łatwo przeniesić się mogła do Szlązka z żoną Henryka Brodatego, hrabianką Andechs. Pod wpływem tej tradycyi dostały się zapewne i do owego falsyfikatu wzmianki o trzyletniej wyprawie lombardzkiej szlązkiego księcia, którą stanowczo za prostą baśń uważać należy.

Na podstawie tego falsyfikatu wyjaśnia także Grünhagen, w jaki sposób ziemia opolska przeszła w posiadanie książąt Górniego Szlązka.

1) Wszak Henryk VI jest według niego wujem Bolesława Wysokiego! Sądząc, że z takim dokumentem nie śmianooby wystąpić przed Henrykiem Brodatym, który musiał przecież znać koligacyo ojca.

2) Od lata 1194—1195, od lipca 1196—28 września 1197.

3) Por. Henr. Br. 19.

Opiérając się na słowach: „eo (Jarosław) autem defuncto et potestate terrae (Opola) ad me reversa“, twierdzi, że po śmierci Jarosława Bolesław zajął ziemię opolską, że po jego śmierci, która w kilka miesięcy potem nastąpiła, Mieszko, brat jego, zdobył ją i wydarł Henrykowi Brodatemu, wskutek czego nastąpił w roku 1202 znany nam z konfirmacyi papieżkiej układ między obydwoma tymi książętami; Henryk zapłacił stryjowi 10,000 grzywien srebra a obaj książęta zobowiązali się zadowolnić dotychczasowemi posiadłościami i nie napadać wzajemnie ziem swoich (Henr. Br. 26). Grünhagen sądzi, że dopiero w tym układzie Henryk Brodaty Opole Mieszkowi odstąpił; co mi się bardzo nieprawdopodobnym wydaje, gdyż w takim razie rzecz tak ważna byłaby w dokumencie konfirmacyjnym dokładnie a nie tak ogólnikowo wyrażona. Opole znajdowało się było właśnie od niedawna (od śmierci Jarosława, 22 marca 1201) w posiadaniu Mieszka, Henryk zaś zagrożony dalej sięgającymi pretensyami stryja, okupił pożądaną zgodę i zrzeczenie się tych pretensyj sumą 1000 grzywien srebra.

Göttigen, 6 marca 1873 r.

Stanisław Smolka.

Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki, oraz ich zastosowań. Napisana i wydana przez Dr. Teofila Żebrowskiego, w Krakowie, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1873. w 8-ce, 3 k. niel. i 617 stron i 4 tablic podobizn.

Aczkolwiek prace bibliograficzne są mozolne i napozór drobnostkowo, jednak powoli znajdują dla siebie niezmordowanych pracowników, którzy bądź nad całym jej ogromem, bądź też nad jej częściami, poświęcają swe wolne chwile do wyświetlenia innióż znanych gałęzi statystyki literackiej. Rzeczywiście nauk bibliografii uważać powinniśmy jako obraz statystyczny całego ruchu naukowego. Porządnie i dokładnie zrobiony taki obraz, przedstawiłby nam jasno i wyraziście cały przebieg tworzenia się, wzrostu, rozradzania, a poniekąd i upadku każdej gałęzi nauk we wszystkich wiekach czyli okresach, jakie mamy sobie podane przez historyków literatury. Im więcej rozpatrujemy się w naszej literaturze, tórn bardziej przekonujemy się jak trudno nam zrobić krok stanowczy w historii literatury, nie mając pod ręką dokładnego inwentarza tego okresu, w jakim pracować zamierzamy. Ileżto jeszcze mamy nieznanych dzieł ważnych i ciekawych, o których tylko wiemy z posłuchu, lub jakiejś małej wzmianki nieznacznie w drobném rzuconej piśmie. Wytrwałemi tylko zabiegami uczonych naszych bibliografów, jakimi są z żyjących: Karol Estrejcher, Fr. Max. Sobieszczański, Żegota Pauli, Józef Przyborowski, Teofil Żebrowski, Wład. Wisłocki i t. p., wiele dzieł od zatraty i zaguby ochronili i ocalili, a jednak jeszcze wiele do odgrzebania pozostaje.

Obecnie głównymi pomocami do nauki bibliografii są dzieła Janockiego, Bentkowskiego, Ossolińskiego, Jochera, który obejmuje tylko trzy działy: literaturę starożytną, nauki razem wzięte i teologią; Gustawa Belkiego i Aleksandra Kremera Bibliografia nauk przyrodzonych w roku 1853 wydana; Kraszewskiego Spis druków wileńskich w historii miasta Wilna Tom IV; Wacława Aleksandra Maciejowskiego Piśmiennictwo polskie w trzech tomach, Wiszniewskiego Historia literatury polskiej; — Józefa Majera Literatura fizyografii ziemi polskiej w r. 1862 wydana, i wychodząca obecnie Bibliografia XIX wieku Karola Estrejchera członka akademii nauk i dyrektora biblioteki w Krakowie.

Do tych szczupłych prac dokonanych przybywa nam nowa gałązka upleciona z działu matematyki i fizyki. Nieskończona należy nam się wdzięczność tak hojnemu wydawcy hr. Działyńskiemu za jój wydanie, jak i p. Żebrowskiemu, który żywot swój poświęcił na zebranie owego działu i następnie na sumienne skatalogowanie tegoż. Podobną pracę mozolną ocenić tylko taki potrafi, co sam przechodził i próbował sił swoich na zebraniu jakichkolwiek danych potrzebnych mu do wypełnienia któregoś bądź działu naukowego. Z tym większym powitać winniśmy zapałem pracę p. Żebrowskiego, która odznacza się starannem i szczegółowem obrobieniem zamierzonej przez siebie pracy. P. Żebrowski głównie w opisach swych ograniczył się na przejrzaniu biblioteki Uniwersytetu Krakowskiego i swojej własnej i tylko gdzieniegdzie napotykamy odnośniki do biblioteki Ossolińskich, Sieniawskiej lub Tow. Nauk. Krakowskiego. Z rezultatu tego okazało się, że zbiory te wielu jeszcze dzieł nie posiadają, ztąd też i inwentarz przez p. Żebrowskiego zrobiony nie zupełnie wypełnił się i w wielu miejscach okazał się niekompletny. Pisząc niniejsze uwagi nie zamierzamy wcale szczegółowo wytykać wszelkie braki i prostować niedokładności, bo podobne dopełnienie rzeczonój bibliografii zanadto rozszerzyłoby ramy tego pisma i z tego powodu głównie zastanowimy się tylko nad drukami wyliczonymi pod wiekiem XVI i XVII.

P. Żebrowski w układzie swógo dzieła przyjął zasadę chronologiczną, podzielił na wieki poczynając od wieku XIII, a mianowicie od r. 1250 i dosięgnął ją do r. 1830 włącznie. Układ ten zdawałby się nam bardzo praktyczny i dogodny, lecz nie podzielamy zdania z autorem, który poinieźszał nam razem rękopisma z drukami. Należało przedewszystkiem wyosobnić spis rękopisów, tómbardziej gdy te powiększój części są własnością jednej tylko biblioteki, to jest Uniwersytetu Krakowskiego, przytém oddzielić kalendarze i te w ścisłym chronologicznym porządku zesummować. Na takich wyłączeniach bylibyśmy wiele zyskali mając wybitniejszy obraz statystyczny rozwoju nauk ścisłych i kalendarzy z każdego wieku z osobna.

Wiek XIII, XIV i XV głównie przedstawione są nam w rękopisach, lecz na szczególną zasługuje tu uwagę starannie zebrana wiadomość o życiu i pismach Kopernika, pomieszczona od nr. 383 do 575

włącznie, która dokładnie wyświetla nam obraz bibliograficzny podjętych prac ku wyświetleniu zasług nieśmiertelnej pamięci naszego rodaka.

Niedokładności jakie przy pobieżném przejrzeniu dzieła nasunęły się nam pod oczy, poniżej wypisujemy, pilnując się numerów na boku książki położonych. I tak dodać należy: do nr. 356: Rudimentorum cosmographicarum *Joan. Honteri* coronensis libri III cum tabulis geographicis elegantissimis. De variarum rerum nomenclaturis per classes liber I. MDLXXIII w 8-ce, 30 k. niel. wierszem. Daléj przydane circuli sphaerae cum V zonis (pod tém drzeworyt przedstawia glob.) w 8-ce, 14 k. n. Są to same mappy, na jednéj z nich napisano: Tigurinae MDXLVI.

Do nr. 359: Ephemeris *Joannis Caffman* bonarum artium magistri canonici sandomirien. nec non minoris collegii artistarum studii Cracovien. collegiati, Ad annum Dni millesimum quingentesimum trigesimum secundum, pro longitudine meridiani Cracovien., per tabulas (ut vocant) resolutas, in communem usum omnium astronomie studiosorum supputata (pod tém drzeworyt: berła akademii) w 8-ce, 16 k. niel. druk gocki. Na odwrot. str. tyt. przypisał prozą łac. Janowi Borek Dr. prawa kanonicznego, kustoszowi sandomir. i kanonikowi krak., poznańskiemu i wrocławskiemu Jan Caffman NN. ww. magister i t. d. dat. w koll. mniejszém Akad. Krak. d. 17 paździer. 1531 r. Na drugiéj karcie odwr. drzeworyt przedstawia zaćmienie słońca i tablice, w których szczegółowo określa każdodziennie bieg słońca, księżyca i t. p. począm idą nowe tytuły: Ephemeris A. Christi 1533. Stoefflerini w 8-ce, 14 k. n. Ephemeris A. Chr. 1534. Stoefflerini w 8-ce, 14 k. n. Ephemeris A. Christi 1535, Stoefflerini w 8-ce, 14 k. n., Ephemeris A. Chr. 1536 Stoefflerini w 8-ce, 14 k. n. druk gocki bez wyrażenia miejsca druku; jest w bibl. Ordyn. Zamojskich.

Po nr. 582. Wypisanie komety widzianój w Krakowie i okolicznie lata bożego 1556, która nastąpiła we wtorek po niedzieli Suchój. Tesz drugiey kthora nastąpiła po Kwietnienyndzieli, przez mistrza *Piotra Proboszczo-wica*, astrologa nauki krakowskiéj w Krakowie: u dziedziców Marka Szarffenbergera w 8-ce, 8 k. n. druk gocki.

Do nr. 617. Autor mówiąc o dziele Alberta starszego margrabi brandeburskiego pominął wydanie tego dzieła w Paryżu 1858 pod tytułem: Alberti Marchionis Brandeburgensis Ducis prusiac libri de arte militari mandato Sereni Regis Poloniae Sigismundi Augusti scripti. Nunc primum e codice authentico principis palatini Adami Czartoryski cura et sumptibus bibliothecae polonicae editi Lutetiae parisiorum typis L. Martinet 1858, folio 2 k. n. VII i LXXII str.

Do nr. 671. *Kwiatkowski Marcin* wszystkikiey lifflandzkikiey ziemié jako przedtym sama w sobie była, krótkie a pożyteczne opisanie w Królewcu roku p. 1567 w 4-a. 12 k. n. druk gocki.

Do nr. 715. Quaestiones musicae in usum Scholae Northusianae per *Jo. Spangenbergium* Herdessianum collectae Cracoviae w 8-ce mn. 26 k. n. bez roku i nazwiska drukarza. Wydanie drugie, Cracoviae 1546 apud viduam Floriani Unglerii w 8-ce mn. 26 kart niel.

Po nr. 735. Kalendarz świąt dorocznych z wyborem czasów na rok pański 1602 po przestępnym wtóry przez *Bernarda z Krakowa* ww. nn. mistrza i filoz. dokt. pilno sprawiony. Po świąt niebieskich zaćmienia w roku tym troje się trafi: ale że nam niewidome będzie dlatego figury tu nie masz, na końcu kalendarza o tém szerzej, w Krakowie u Symona Kempiniusa w 16 ce, 17 k. n., lecz brak końca, druk gocki.

Taki sam kalendarz na rok p. 1603, w Krakowie u Wojciecha Kobylińskiego w 16-ce, 40 k. n. przypis Mikołajowi z Podhajec Wolskiemu marszałkowi nadwornemu J. K. M.

Kalendarz na rok p. 1604, tamże w 16-ce, 40 k. n.

Almanach auf das Jahr Christi 1605 durch *Bernhardum Cracker* der freyen künste magistrum, und philos. doct. zu Krackaw, gestellet auf den Meridian der kayserlichen Stadt Breslaw, gedruckt zu Breslaw durch Georgium Bawmann... w 16-ce, 28 k. n. Po kalendarzu następuje z osobnym tytułem: *Judicium astrologicum*.

Dziennik świąt dorocznych z ewangeliami niedzielnymi, z wyboru czasów etc. roku p. 1612.... przez *Bernarda Krakowianina*.... w Krakowie u Wojciecha Kobylińskiego w 16-ce, 40 k. n., druk gocki.

Do nr. 771. *Frejtag Adam*, tytułensam co w wydaniu 1-ém z dodaniem: *letzte edition verbessert* (pod tém rycina: plan twierdzy na blasze ryty) zu Leyden bey Bonawentura und Abraham Elzeviers A. 1642, folio 4 k. n. i 194 stron, przytóm 35 tablic rytych na blasze z podpisem na dwóch z nich W. Hond. fecit i 8 tablic drukowanych.

Po nr. 776. *Prognosticon astrologicum* albo rozsądek z gwiazd niebieskich na rok p. 1635, na horizon Księżtwa pruskiego i Korony polskiej, a osobliwie miasta Torunia z pilnością napisany przez *Adama Freitaga* filozofii i med. doktora, miasta Torunia medyka, w 16-ce; są tylko 4 kartki, brak środka, przypis burgrabiemu, burmistrzom i radzie miasta Torunia.

Po nr. 782. Kalendarz świąt rocznych.... na rok p. 1606.... przez *M. Macieja Bielawskiego* nn. ww. i filoz. dokt. i prof. z pilnością napisany.... w Krakowie, w druk. u wdowy Jakóba Siebeneychera w 16-ce, 48 k. n.

Do nr. 814 książki Juliusza Frontina senatora rzymskiego o fortelach wojennych (pod tém trzy wiersze łac.) księgi czworo, przez urodzonego *Jakóba Cieleckiego*, z łacińskiego języka na polskie przełożone. Teraz nowo wydane roku 1609. Cum gratia et privilegio S. R. M. w Poznaniu w 4-ce, 86 k. n. druk gocki. Na końcu: w Poznaniu r. p. 1609, tłumacz przypisał prozą Władysławowi królewiczowi polskiemu.

Do nr. 815. *Kalendarium ad annum Dni MDCI embolismalem Gabrielis Joannicii* philos. medicinaeque doct. in Acad. Cracov. prof. regii.... Cracoviae typis Andreae Petricovii w 16-ce, 50 k. n.

Kalendarz na rok pański 1608.... *Gabriela Joannicego* doktora medyka i matematyka.... (pod tém drzeworyt przedstawia zaćmienie słońca).... w Krakowie u Jana Szeligi w 16-ce, 48 k. n., druk gocki.

Kalendarz na rok p. 1609.... (pod tém drzeworyt: zaćmienie księżyca) w Krakowie u Jana Szeligi w 16-ce, 48 k. n., druk gocki.

Do nr. 826. Opisanie porządku stawowego i t. d. od *Stanisława Strojnowskiego*.... teraz nowo w druk wydane r. p. 1609 w Krakowie Bazyli Skalski drukował w 4-ce, 51 k. n., druk gocki. Przypisał autor prozą Jędrzejowi hr. z Tęczyna, kasztelanowi Wiślickiemu i Zbigniewowi z Brzezia Lanckorońskiemu, dan z Kujawek dnia 20 januarii 1609 r., poczem idzie przemowa autora do syna swego starszego Mikołaja Strojnowskiego. Przedruk, tytuł ten sam: teraz znowu z pilnością przedrukowane w Krakowie w drukarni Franciszka Cezarego r. p. 1636 w 4-ce, 32 k. n. z drzeworytami w tekście, druk gocki. Drukarz przypisał Aleksandrowi z Brzezia Brzeskiemu dziekanowi włocławskiemu.

Po nr. 826. Kalendarz świąt rocznych na rok p. 1607... przez *Gerzego Lemke* filoz. matem. i LL. pract. pilnie napisany (pod tém drzeworyt przedstawia dwa zaćmienia)... w Krakowie, w druk. Wojciecha Kobylińskiego w 16 ce, 48 k. n., lecz brak końca, druk gocki.

Kalendarz... na rok p. 1613... *Jerzego Lemki* pisarza miasta Lublina na meridian miasta Lublina wydany.... w Krakowie, w druk. Andrzeja Piotrkowczyka w 16-ce, 48 k. n. egz. defektowy. Po kalendarzu jest nowy tytuł: rozsądek z przestrożą na obwieszczenie przypadków rozmaitych w r. 1613 i t. d. druk gocki.

Kalendarz na rok p. 1610... *Jana Zyngi* nn. ww. i filoz. doktora (pod tém drzeworyt przedstawia zaćmienie)... w Krakowie, w drukarni Wojciecha Kobylińskiego w 16-ce, 48 k. n. brak końca, druk gocki. Na końcu jest praktyka gospodarska pospolita.

Kalendarz na rok p. 1611 *Jana Zyngi* nn. ww. i filoz. doktora w Krakowie, w druk. Wojciecha Kobylińskiego w 16-ce, 48 k. n. niecałe, po prognostyku: O przypadkach państw koronie podległych. Druk gocki.

Kalendarz świąt dorocznych na rok p. 1614.... przez *Mikołaja Zychiniusza* Lanczyc. mistrza w nn. ww. i filoz. doktora akad. krak. z pilnością napisany.... w Krakowie, w druk. Mikołaja Loba w 16-ce, 44 k. n. niecałe, druk gocki. Na końcu drzeworyt z napisem: którym członkom które znamie panuje.

Po nr. 830. Kalendarz świąt rocznych.. na rok p. 1615.... przez *Jana Brościusa* z Kurzelowa nn. ww. i filoz. doktora, sł. akad. krak. astrologa z pilnością napisany.... w Krakowie, w druk. Andrzeja Piotrkowczyka w 16-ce, 44 k. n. niecałe, druk gocki.

Do nr. 854. wydanie drugie ma tytuł: Pobudka narodów chrześcijańskich na podniesienie wojny przeciwko nieprzyjacielowi Krzyża św., przez *Mikołaja Chabielskiego* z Chabielic więźnia tureckiego przed lat kilkadziesiąt do druku wydana, a teraz powtórę przedrukowana r. p. MDCLXXV w 4-ce, 34 k. n. druk gocki, przypisał autor Zygmuntowi III królowi. Na karcie 23-ój jako w dalszym ciągu jest nowy tytuł: Sposób rządu koronnego i gotowości: Obrona Rzeczypospolitej jakaby miała być, wydany przez Mikołaja Chabielskiego....

Po nr. 854. Kalendarz na rok p. 1616, *Chrzysztofa Nikloszowskiego* nn. ww. mistrza i filoz. dokt. pilno napisany (pod tém drzeworyt zaćmie-

nia księżycy)... w Krakowie, u Symona Kempiniego w 16-ce, 48 k. n. druk gocki, po kalendarzu ma osobny tytuł: *Judicium astrologicum*.

Kalendarz na rok p. 1619... przez *Krzysztofa Nykloszowskiego* filoz. i med. dokt. pisany (pod tém drzeworyt zaćmienia księżycy) w Krakowie, w 16-ce, brak końca, druk gocki.

Kalendarz świąt rocznych... na rok p. 1620... przez M. Wawrzyńca Świczkowica z Skawiny nn. ww. i filoz. wsł. akad. krak. dokt. i prof. pilnie napisany... w Krakowie, w druk. Sebastjana Fabrowica w 16-ce, 48 k. n. druk gocki.

Do nr. 865, wydanie drugie ma tytuł ten sam do wyrazu: spisana. W pierwszym wydaniu siła drukarz albo niedbalstwem, albo złem czytaniem egzemplarza popuszczał i poodmieniał co się teraz poprawiło, w Krakowie u dziedziców Jakóba Sybenejchera w 4-ce, 11 kart. niel. druk gocki.

Wydanie 3-ie tytuł ten sam jak w wydaniu 1-ém do wyrazu potrzebna. Przytóm oddawanie pieczęci i buławy koronnej J. K. M. na sejmie blisko przeszłym po zmarłej ręce przez JMP. wojewodę kijowskiego w Poznaniu, w druk. Jana Rossowskiego roku 1621 w 4-ce, 12 k. n. druk gocki. Na odwr. str. tyt. przedmowę do czytelnika podpisał *Theophil Szemberg*.

Następnie przedrukowane w *Otia domestica* Kaźm. Niesiołowskiego w 4-ce, od karty 129 do 158 i w pismach Stanisława Żółkiewskiego wydanych przez Aug. Bielowskiego we Lwowie 1862 w 8-ce, od str. 568 do 583 podług tekstu wydrukowanego w *Przyjacielu ludu*, Lesno 1842 r. Rok VIII. str. 198, 212, 220 i 238.

Do nr. 867. *Della congregazione et scola di bombardieri regii novamente fondata nella citta di Varsavia dal Serenissimo et invitissimo Sigismondo III re di Polonia l' Anno MDCXXII. Autore Andrea Dell'aqua Venetiano Ingegniere militare dell' Illustrissimo Signor Tomaso Zamoschi palatino di Chiovia etc. con l' Licenza de i Superiori, Stampata in lingua italiana et Polacha, nella Stamperia di Zamoscia Simon Nisolio stampatore w 4-ce wielkiej 26 k. n. i portret owalny autora na blasze ryty z napisem wkolo: Andrzej Dell'aqua patria Venetus, aetatis suae XXXVIII. Poczóm nowy tytuł polski:*

O zgromadzeniu i szkole puszkarczów króla Jego Mości teraz nowo od Najjaśniejszego i niezwycięzonego Zygmunta III króla polskiego, w Warszawie roku pańskiego MDCXXIII postanowionej, przez autora Andrzeja Dell'aqua weneta spraw wojennych inżyniera JWP. Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego, starosty knyszyńskiego, Goniądz. etc. za dozwołeniem starszych włoskim językiem i polskim wydane, w Zamościu w druk. akademii drukował Symon Nizolius w 4-ce wielkiej 22 k. n. na odwr. str. tyt. herb państwa z herben Wazów. Autor przypisał prozą Zygmunтови III, poczóm idzie druga dedykacya do Senatu polskiego. Obadwa druki polski i włoski niczóm nie różnią się od siebie. Cała ta ustawa składa się z jedenastu rozdziałów podzielonych na artykuły. Egzemplarz jest w Bibl. Ord. Krasieńskich.

Nr. 909 powtórzony został pod Nr. 1021.

Nr. 942 ma tytuł: *Universa meteorologia publice asserta in alma Acad. Vilnen. Soc. J. Illmo Dno Casimiro Leoni Sapieha Marsalco Curiae M. D. Lith. Slonimensi, Volpensi, Lubosanensi, etc. Gubernatori etc. maecenati amplissimo a Joanne Poczapowsky equite lithuano dicata anno 1643 w 8-ce 60 kar. niel. syg. H. 4.*

Do Nr. 945. *Zawackiego* Pamięć robót są, znane trzy wydania, tu wymienione jest tylko wydanie drugie.

Po Nr. 994. Kalendarz świąt różnych... na rok p. 1651... przez *M. Matcusza Orlińskiego* w Akademii Krakowskiej filoz. d. i prof. ku dobremu pospolitemu z pilnością napisany... w Krakowie w druk. Fran. Cezarego w 16, 40 kar. niel., druk gocki. Po kalendarzu tytuł osobny: prognosticon abo przestroga i t. d. Przypisane prozą Jerzemu Lubomirskiemu marszałkowi W. kor.

Po Nr. 1008. Kalendarz z praktyką na rok p. 1651... *M. Damiiana Pajckiego* filoz. i nauki lekarskiej dokt. na meridian miasta Krakowa z pilnością wyrachowany... w Krak. w druk. Fran. Cezarego w 16, 48 kart niel., druk gocki. Po kalendarzu tytuł osobny: Dioptra perspectiva abo praktyka z przestrogą i t. d.; przypis Bogusławowi Radziwiłłowi koniuszemu W. W. X. Lit.

Kalendarz na rok p. 1651... przez *Adama Rozgę* Candidata astronomiae w sł. Akad. Krak. z pilnością wyrachowany... w Krakowie w druk. St. Lenczewskiego Bertutowica w 16, 40 k. niel., druk gocki; po kalendarzu tytuł osobny: Przestroga zobrotów niebieskich i t. d.

Po Nr. 1024. Kalendarz świąt rocznych... na rok p. 1651... przez *M. Sebastiana Stryjewicza* nn. ww. i filoz. dokt. w Akademii Krak. astronomii ordynaryusza z pilnością napisany, w Krakowie w drukarni Fran. Cezarego w 16, 40 k. niel., druk gocki; po kalendarzu tytuł osobny: Prognosticon abo przestroga i t. d.; przypis Stanisławowi z Popowa Witowskiemu kaszt. sandomirskiemu i t. d.

Po Nr. 1025. Kalendarz na rok p. 1651... przez *Macieja Kaźm. Tretera* w sł. Akad. Krak. filoz. d. i prof. ku pospolitemu dobru napisany... w Krak. w druk. Stanisława Lenczewskiego Bertutowica w 16, 40 k. niel., druk gocki. Po kalendarzu tytuł osobny: przestroga z obrotów niebieskich, przypis Hieronimowi Bonarowi.

Do Nr. 1034. Wydanie drugie ma tytuł: *Ambrosii Mellilambii* Sendschreiben an einem vornehmen Cavallier betreffend die Schwedische und Polnische Waffen etc. Anno 1659 w 12, 29 kart niel. bez m. d. druku.

Do Nr. 1040. Wydanie I, tytuł ten sam, wyszło w Rouen chez Caillouë 1640 w 4. Wydanie II, Rouen chez Jacques Caillouë dans la cour du palais MDCLX w 4-ce, 4 kart niel. i 112 str. z ryciną barki kozackiej i w tekście są drzeworyty. Przypisał Janowi Kazimierzowi królowi Wilhelm Beauplan.

Do Nr. 1051. Wydanie I: Potrzebne consideratie około porządku wojennego i t. d. wyszło w Krakowie 1660 w 4. Wydanie II ma tytuł: *Andrzeja Maksym. Fredra* kaszt. lwowskiego potrzebne consideratie

około porządku wojennego i pospolitego ruszenia, przez Franciszka Glinkę z Rafałowa do druku podane, a teraz z przydatkiem sporządzenia o ekonomii wojennej i sposobu, jakoby wojska Rzeczypospolitej mogły być w dobrym porządku zatrzymane, powtórnie przedrukowane w Słucku roku p. 1675 w 4-ce, 106 str., druk gocki.

Wyd. 3-cie: a potrzeci raz z rozkazu i nakładem JO. księcia Karola Radziwiłła wojewody wileńskiego przedrukowane w Warszawie 1789 w druk. JKról. mości i Rzeczpos. u XX. Schol. Piarum, w 8-ce, 8 kart niel. i 232 str.

Do Nr. 1057. Kalendarz świąt rocznych... na rok p. 1655... przez *Jana Kazimierza Brozeng* nn. ww. mistrza, filoz. dokt. w Akademii Poznańskiej, matematyki prof. i seminaryum prefekta z pilnością ku dobremu pospolitemu na merydyan poznański napisany, w Poznaniu u wdowy i dziedziców Wojc. Regulusa, w 16, egz. defekt, druk gocki.

Do Nr. 1102. Hemerologeion albo kalendarz świąt rocznych... na rok p. 1651... przez *M. Mikołaja Żorawskiego* filoz. i medyc. dokt. Najjaśniejszych ś. p. Władysława IV a teraz.. *Jana Kazimierza królów...* matematyka ku dobremu pospolitemu wyrachowany, w Krak. w druk. Fran. Cezarego, w 16, 40 kart niel., druk gocki; po kalendarzu osobny tytuł: Prognosticon albo przestroga i t. d.

Hemerologeion albo nowy i stary kalendarz... na rok p. 1659... przez *Mikołaja Żorawskiego* doktora lekarskiej nauki i terażniejszych królów polskich matematyka... w Krak. u wdowy i dziedziców Franc. Cezarego w 4, 14 k. niel., lecz brak końca, druk gocki.

Do Nr. 1104. Wydanie drugie ma tytuł: Stanisłai de Lubienietski equitis poloni theatrum Cometicum duabus partibus constans I. Quorum prior continet epistolas et communicationes variorum per Europam... virorum... 2 posterior exhibit historiam universalem omnium Cometarum a tempore diluvii... *Lugduni Batavorum ex officina Petri van der Meersche bibliopolae A. 1681, folio, 13 kart niel. i 966 stron* spisu 2 k. niel., 59 tablic rytych i portret autora. Tom drugi ma tytuł osobny także 1681, folio, 6 kart niel., 464 str. i 27 tablic rytych, na końcu jest przydane: Theatri cometici exitus de significat. cometarum etc. tytuł ryty na miedzi, folio 2 k. niel. i 78 str., omyłek 2 k. niel. z portretem *Jana Ernesta a Rautenstein* radcy tajnego księcia Neoburgskiego i posła do króla polskiego.

Do Nr. 1131 i 1132. P. Żebrawski powtórzył błąd Browna, zamiast Jędrzeja winno być Tomasza Młodzianowskiego.

Po Nr. 1136. Rzymski i ruski kalendarz na rok. p. 1681... przez *Stanisława Niewieskiego* nn. ww. i filoz. dokt. fizyki w Akademii Zamojskiej prof., astronoma i geometrę wyrachowany. W Zamościu drukował *Krzysztof Palecki* 1680 r., w 4-ce, 15 k. niel. lecz defekt; takie same kalendarze wyszły na rok 1688, 1690, 1692 drukowane w Zamościu, w 4-ce, mają każdy po 20 kart nieliczbowanych.

Także te same kalendarze na rok 1693, 1694, 1695, 1697, 1698, 1699 i 1700, w Zamościu, w 4-ce, każdy ma 16 kart niel.

Do Nr. 1139, i nast. Wszystkie wydania ekonomiki ziemiańskiej Jakóba Kazim. Haura są dokładnie opisane w bibliografii rolniczej zamieszczonej w Encyklopedyi rolniczej. Warszawa 1872 tom I na str. 127 i podług tego dopełnić i sprostować należy.

Do Nr. 1153. Buratini Tytus Liwius Misura universale i t. d. tytuł dobrze podany wydane w Wilnie 1675 w druk. OO. Franciszkanów, folio 26 kart Niel. i 4 tablice rycin na miedzi rytach.

Do Nr. 1163. P. Żebrawski powtórzył błąd za Bandtkiem Hist. druk w król. pol. tom II i zamiast *Niesiecki* powinno być *Niewieski*.

Po Nr. 1192. Polski i ruski kalendarz na rok 1696... przez Tomasza Ormińskiego med. dokt. i w Akademii Zamojskiej profesora, w Krakowie w druk. Franc. Cezarego, w 4-ce; takie same kalendarze Ormińskiego wychodziły na rok 1697, do roku 1709, włącznie w Zamościu w drukarni akademii w 4-ce. Zaś od roku 1711 do 1714 włącznie wydawał w Krakowie w druk. Franc. Cezarego w 4-ce.

Po Nr. 1214. Nowy i stary kalendarz... na rok p. 1698 przez M. Michała Andrzeja Kochańskiego w przesł. Akademii Krakowskiej nn. ww. filoz. dokt. i prof., skutkiem i porządkiem wyrachowany i do druku podany, w Krak. w druk. Franciszka Cezarego w 4-ce, 18 kart Niel. Obok kalendarza jest: kontynuacja historii pruskiej i poczyna się tu od rozdziału XIII-go.

Nr. 1211 powtórzony został pod Nr. 1229.

Do Nr. 1346. Zacharyasz Theszmarowicz; rok w anagramacie omyłony: zamiast 1733, powinno być 1683 r. Dowód na to, że w roku 1672 został doktorem filozofii, a w r. 1695 potwierdzony został doktorem ob. prawa w Uniw. Krak. będąc już poprzednio mianowany w Pradze Czeskiej, i prawdopodobnie już w r. 1733 nie żył.

Do Nr. 1496. P. Żebrawski powtórzył błąd za Brownem i zamiast Helviusa poprawić należy na Helwinga i porównać z Nr. 1409.

Oto są ważniejsze sprostowania i dopełnienia, które przedstawiły się nam przy przeglądzie dzieła. Mamy także do zarzucenia panu Żebrawskiemu, że niejednokrotnie odbiega od ścisłości bibliograficznej pomijając opisy formatu i objętości, jak np. pod Nr. 284, 308, 342, 343, 668, 1033, 1073, i t. p. pomimo, że miał te książki w ręku.

Przytóm i na to zwracamy uwagę, że pierwszy kalendarz warszawski jest dopiero wymieniony pod rokiem 1771, kiedy mieliśmy pod ręką wydawane przez jezuitów od 1738 roku, i te bez przerwy wychodziły. Późem od 1752 roku zaczął ciągle wychodzić i kalendarzyk polityczny pod tytułem *Kolenda warszawska* przez XX. Pijarów wydawana. Także i kalendarze Duńczewskiego, które w czworakim kształcie wychodziły, znanych jest nam przeszło sto egzemplarzy z lat jego wydawnictwa, gdy w spisie pana Żebrawskiego jest ich tylko czterdzieści trzy wymienionych.

Na końcu dzieła przydany jest spis wszystkich nazwisk nadzwyczaj starannie i pracowicie ułożony, jednak nie zupełnie zgadzamy się na jego drobnostkowość, i tak np. Mikołaj z Szadka jest pod 14 rozmaitemi na-

zwami wymieniony bez odsyłaczy, co dla mniej umiejętnego wielce utrudnia poszukiwanie. Tu nazwany: Sadvovianus Nicol., Sadvoviensis Nicol., Sadecius Nicol., de Sadekk Nicol., z Sadka Mikołaj, Sadvovianus Nicol., Shadvovianus Nicol., de Shade Mikołaj, von Schadeck Nicol., de Schadek Nicol., Schadvoviensis Nicolaus, Schadvovius Nicol., z Ssadku Nikulass, i z Szadka Mikołaj.

Ostatnie dwa wieki nie mniej potrzebują znacznego dopełnienia, wiele w nich wykrywa się rzeczy opuszczonych i zupełnie pominiętych, a niektóre z wymienionych domagają się odpowiednich sprostowań. Jednak praca ta znakomita p. Żebrowskiego zasługuje na szczególne uznanie i wdzięczność, mianowicie z tego względu, że pierwszy ją zbierać bibliografią nauk niegdyś dosyć obszernie uprawianych, a dla pracujących nad historią literatury najmniej z jej źródłami obznajmionych. Dziś gdy te pierwsze założone zostały podwaliny, daleko już łatwiej będzie dla następnych pracowników porobić dopełnienia i nowe wykryć nam skarby, choćby tylko między kalendarzami, w których bardzo wiele i to nadspodzianie napotykanym szczegółów odnoszących się do samej historii, do życia ówczesnego i obyczajów, mnóstwo wierszy okolicznościowych, częstokroć dowcipnych i przysłowiów narodowych, z których dziś już nie jedne zaginęły, chociaż ich nam tyle uczeni nasi jak Wójcicki i Lipiński od zagłady uratowali.

Cypryan Walewski.

Cenni biografici di Nicolo Copernico dettati dal Dott. Arturo Wolynski. Firenze 1873 str. 48.

Był to pomysł bardzo trafny naszego rodaka p. Wołyńskiego, że dał Włochom możność poznania, w prawdziwszém świetle przedstawionych dziejów życia polskiego astronoma. Flamarion napisał tak powabnym piórem życiorys Kopernika dla francuzkiej publiczności. Niemcy mogli korzystać z pracy niemieckiej R. wydanej w przeszłym roku w Wrocławiu. Trzy więc literatury najważniejsze w Europie zaopatrzone zostały w dzieła, które powinny oddziaływać przeciwko uroszczeniom niemieckim, wszędzie niemal rozpowszechnionym. Panu Wołyńskiemu poważamy się dziękować na tém miejscu za tę skromną, w dobrym celu podjętą pracę. Autor, pisząc biograficzne o Koperniku zarysy, miał wyłącznie na oku publiczność swoją, to jest tę, która miała go czytać po włosku. Wprowadzono więc do życiorysowego obrazu wiele takich objaśniających szczegółów, które dla obcego czytelnika były potrzebne, dla polskiego zaś zbytecznymi wydać się mogą. W krótkiej a zwięzłej formie opowiedziano wszystko, cokolwiek do Kopernika, jego pochodzenia, jego kształcenia, dzieł oraz późniejszych ich losów należy. Są to powszechnie już znane szczegóły, pomieszczone w pracach Krzyżanowskiego, Szulca,

Bartoszewicza, Romera i innych. Między licznymi dziełami i artykułami, które przytacza autor jako źródła do dziejów życia Kopernika, nie spostrzegliśmy wzmianki o Dominiku Szulcu. Praca ta lubo nie jest wolna od pewnych błędów, należy jednak dziś jeszcze do najpiękniejszych i najstaranniejszych w tym przedmiocie. Nie wypadło ję z tego względu pomijać w spisie 37 prac różnych innych autorów. P. Wołyński wyróżnia się kilku drobnymi szczegółami od przyjętych powszechnie zdań w rzeczach odnoszących się do życia Kopernika. Szlązką wieś "Kopernik" uważa za pierwotną siedzibę rodziny Koperników. Wtedy gdy inni mniemają, że pradziad astronoma przeniósł się wprost ze Szlązka do Krakowa, p. Wołyński przenosi wprzód Koperników do wsi Łaskowic pod Pabianicami, należącęj do kapituły krakowskieј i ztąd dopięro miał przybyć do Krakowa pradziad Mikołaja Kopernika. Jestto domysł bez wyraźnego na to świadectwa. Nie powtarza autor za wielu innemi błędnego zdania, jakoby Kopernik był uczniem Brudzewskiego w Krakowie, bo nowsze wykazały dochodzenia, że Wojciech z Brudzewa podczas studyów Kopernika w akademii krakowskieј nie wykładał już astronomii. Starannie opracowaną tu także spotykamy wzmiankę o Dominiku Novara i o stosunku do Kopernika. Mniemało wielu dotychczas, że Kopernik słuchał w Bononii wykładu astronomii u Novary, tymczasem więcj zgodne z prawdą są słowa Retyka, że Kopernik *non tam discipulus quam adjutor et testis observationum doct. viri D. Mariae erat*. Prostuje autor nadto mylne zdanie co do stanowiska Kopernika w akademii w Rzymie, dowodząc że był tylko czas krótki nadzwyczajnym w Rzymie professorem.

Przytacza w końcu zyciorysu autor dowody, przemawiające za polskością Kopernika. Rzecz ta jest zwięzłe, ściśle i przekonywająco (co dla Włochów było potrzebne bardzo) napisana. Między innemi dowodami, które i dla nas nie są pozbawione zajęcia, jest jeden nowy, lubo zdaniem naszym niezbyt silny. Jestto dowód fizyognomiczny. Autor dał pod koniec swego dziełka trzy wizerunki: ojca astronoma, Mikołaja Kopernika i Wojciecha Kopernika, obecnie jeszcze żyjącego potomka Koperników pod Pabianicami. Podobieństwo w rysach twarzy, dopatrywane między temi trzema osobami, ma służyć jako dowód wspólnego pochodzenia z jednego pnia polskiego. Jestto pomysł trafny niewątpliwie, ale dowód ztąd płynący nie zupełnie przekonywa, bo mu brak ściśtości. Powątpiewamy, ażali w Krakowie znajdująca się kopia z portretu ojca astronoma jest zupełnie dokładna a nadto, czy są jakie wiadomości o wiarygodności samego portretu. Nim pod tym względem nie będzie osiągnięta niewzruszona pewność, wszelkie zestawienia i podobieństwa fizyognomiczne zawsze niedowierzanie budzić będą, zwłaszcza że istotne nie są tak widoczne. W każdym razie myśl nowa, przynajmnieј w sprawie o narodowość Kopernika.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Warszawa. Maj, 1873. *Macaulaya Dzieje Anglii* w przekładzie polskim pod kierunkiem A. Pawińskiego, ukazał się tom 2-gi w nader staranué m i ozdobué m wydaniu.

— Józef Kaufman wydał: „*Przewodnik po Wiedniu dla osób udających się na powszechną Wystawę Wiedeńską, 1873 r.*“ (w 24-o str. 54) z nowym planem Wiednia kolorowanym.

— Z drukarni J. Jaworskiego wyszedł: „*Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego*“, wydawany pod redakcją dra. Feliksa Nawrockiego, przy współudziale d-rów: Włodzimierza Brodowskiego, Henryka Dobrzyckiego (w Mieni), Bolesława Gepnera, Henryka Hoyera, Juliana Kosińskiego, Stanisława Kościńskiego, Karola Pawlikowskiego, Romualda Płaskowskiego, Szymona Portnera, Jakóba Rogowicza, Adolfa Rothe, Piotra Seifmana, Stanisława Świetlickiego, Bronisława Taczanowskiego i Mag. Farmacyi Emila Wernera. Zeszyt I. 1873.

— Encyklopedyi Rolnictwa pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i Przysiańskiego: tom pierwszy obejmujący dziesięć zeszytów już ukończonym został: Zeszyt jedenasty rozpoczynający tom 2-gi od litery *Dar*, wyszedł z pod prassy.

— Książdz Piotr Wincenty Podlewski, znany z wielu prac treści religijnej i pedagogicznej wysokości wartości, wydał w r. b. z Drukarni J. Noskowskiego dzieło p. n. *Człowiek postępowy moralnie, duchowo i religijnie.* (W 8-cc, str. 115, XVII).

— W Poznaniu u J. K. Żupańskiego wyszło dzieło p. n. *Fryderyk Chopin i jego utwory muzyczne. Przyczynek do życiorysu i oceny kompozyty artysty napisał M. A. Szulc.* (1873 r. str. VIII, 293).

„Książka profesora Szulca (pisze J. I. Kraszewski) jest pierwszą wyczerpującą pracą o życiu i dziełach wielkiego poety tonów, nie tylko u nas ale i w literaturze europejskiej. To co mu poświęcili Liszt, Lenz, Schuman i inni, ledwie się wzmianką i zarysem nazwać może. Przewyborna ta, czytająca się z zajęciem niezmierném do końca praca szanownego profesora, daje nam zbiór wszelkich wiadomości i sądów

o Chopinie jak najtroskliwiej zgromadzonych a przytém sądy własne, rozbiory, postrzeżenia, oceny, które książkę tę wyżej daleko nad skromną kompilacją, jak autor sam ją zowie, podnoszą.“

— *Kraków.* W dniu 6 maja r. b. Arcyksiążę Karol Ludwik przybył po 9 tój wieczorem. Na dworcu kolei oczekiwali dostojnego gościa: hr. Alfred Potocki zastępca protektora akademii, minister Ziemiakowski, marszałek krajowy książę Leon Sapieha, prezes akademii dr. Majer, prezydent miasta dr. Dietl, i wyżsi wojskowi i urzędnicy. Orszak cały ruszył powozami przez oświetloną rotundę i bramę *Floryańską*, w rynek do *Spiskiego* pałacu przy huku dział zamkowych. Miasto całe zajaśniało iluminacją rzesistą. Nazajutrz 7-go uroczystość otwarcia akademii rozwinęła się solenném nabożeństwem w kościele Archiprezbiterjalnym P. Maryi. O godzinie 11½ powitał ksiądz biskup Gałęcki, administrator diecezji krakowskiej, przybywającego arcyksięcia Karola Ludwika u głównych wrót kościoła. Poczem biskup z licznym zastępem świeckiego i zakonnego duchowieństwa otwierał orszak, którym pośród stojącemi we dwa rzędy cechami miasta postępował Arcyksiążę, wiedziony przez sześciu obywateli krakowskich, w świetnych strojach narodowych, niosących nad nim baldachim. Arcyksiążę zajął przygotowany dla siebie kłęcznik w środku nawy przed wielkim ołtarzem, wysłanym kobiercami. W kościele zgromadzeni byli członkowie Akademii, b. minister hr. Alfred Potocki, namiestnik hr. Gołuchowski, minister Ziemiakowski, marszałek sejmu ks. Sapieha, szambelan i delegat namiestnictwa p. Bobowski i inni naczelnicy władz miejscowych, członkowie Rady miejskiej i licznie zgromadzona publiczność, która przepełniła świątynię. Porządek utrzymywała straż ochotnicza ogniowa. Mszę św. celebrował ks. biskup Gałęcki, podczas której towarzystwo „Muza“ odśpiewało Mszę Cherubiniego.

Z kościoła Arcyksiążę z całym orszakiem towarzyszących mu osób przybył o godzinie 12-ój do sali Akademii, wprowadzony przez prezesa d-ra Majera. Sala była już napełniona członkami Akademii, dostojnikami, oraz publicznością obojęd płci. Znaczna część obecnych była w strojach narodowych; panie w pięknych toaletach porannych. Arcyksiążę jak i towarzyszący mu goście przybrani byli w galowe mundury i w insygnia orderowe. Arcyksiążę stanawszy przed starożytnym srebrnym stołem, przy którym ustawione było dla niego krzesło, przemówił następnie donośnym głosem:

„Panowie! Z przyjemnością widzę was tutaj po raz piwszy zgromadzonych, aby publicznie otworzyć czynność instytucji, którą N. Pan raczył w łasce swój i pieczy o umiejętność założyć w tej części ojczyzny. Moje zadowolenie jest tórn głębsze, skoro jako protektor akademii pomyśle, że spełnicie wasze wielkie zadanie, jakie wam przeznaczył dostojny założyciel. Niechajże więc otwartą będzie instytucja, którą serdecznie witam.“

Mowy tej słuchali obecni stojąc i powitali ją okrzykiem na cześć N. Pana.

W odpowiedzi prezes akademii dr. Józef Majer wyraził w języku niemieckim wdzięczność N. Panu za urzeczywistnienie dawnego pragnienia w kraju naszym, za udzieloną nie tylko łaskę w założeniu instytucji, ale powierzenia jej w opiekę dostojnemu swemu bratu. Przytém wyraził zapewnienie, że akademia umiejętności wszelkich dołoży usiłowań, aby odpowiadając zadaniu, w czynach przekonała N. Pana o uczuciach, jakimi jest przejęta za doznane dobrodziejstwo a tym sposobem z prawdziwym okazała się pożytkiem dla państwa i kraju naszego.

Znów potrójne: „Niech żyje!” zakończyło tę odpowiedź.

Po odpowiedzi tej prezes Majer odczytał w języku polskim o zadaniu akademii w powszechności, z historycznym poglądem stowarzyszeń naukowych w Polsce od najdawniejszych czasów, aż do utworzenia akademii, której inauguracyi dziś w imieniu N. Pana dostojny brat jego dopełnia, a prof. Szujski jako sekretarz akademii, odczytał rozprawę pod tytułem: „O stosunku Akademii Krakowskiej do kraju i do ruchu naukowego w powszechności,” przerywaną częstemi oklaskami i głośnemi oznakami, iż słuchacze podzielają trafne uwagi i sądy autora. Wreszcie odczytał sekretarz wykaz kandydatów na członków miejscowych, zamiejscowych i zagranicznych Akademii oraz jej korrespondentów w myśl statutu Akademii.

Arcyksiążę udał się jeszcze na chwilę do ubocznej sali, gdzie podpisał protokół dzisiejszego posiedzenia, a po nim podpisali go dostojnicy towarzyszący mu i członkowie Akademii, a następnie obejrzał pobieżnie zbiory Akademii.

O godzinie 2-ój po południu Arcyksiążę Karol Ludwik udał się do Biblioteki wraz z Namiestnikiem hr. Gołuchowskim i ministrem Ziemiałkowskim. Powitany przy wejściu przez Rektora Uniwersytetu dr. Fiericha, którego przemowie towarzyszyły okrzyki professorów i licznie zebranych słuchaczy, zwiedzał dostojny gość wszystkie sale i oglądał znakomitsze pamiątki bardzo szczegółowo. Oprowadzał przybyłych bibliotekarz p. Estreicher, któremu kilkakrotnie dziękował Arcyksiążę, podziwiając piękność budynku i zabytków.

Przed wyjściem Arcyksiążę zapisał się na osobnej przygotowanej karcie po polsku. Przy sposobności tego uroczystego przyjęcia, hr. Gołuchowski wręczył Rektorowi Fierichowi dyplom ofiarowania Uniwersytetowi, Matejki „Kopernika“ przez grono obywateli, do którego również Namiestnik należał. Namiestnik hr. Gołuchowski i minister Ziemiałkowski proszeni przez bibliotekarza, zapisali również swe imiona w księdze odwiedzin. Arcyksiążę rozmawiał z kilkoma professorami, a wśród okrzyków młodzieży oboczną w krążgankach opuścił bibliotekę.

Przed odejściem ofiarował Rektor Uniwersytetu Arcyksięciu zbiór drzeworytów polskich i kodeks Uniwersytecki po łacinie w wspaniałej oprawie.

Dyplom doręczony przez hr. Gołuchowskiego był w tych słowach:

„Do przesławionego senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czterechsetna rocznica urodzin Kopernika natchnęła znakomitego naszego mistrza Matejkę i wyszedł z pod jego pędzla obraz przedstawiający najuroczystszą chwilę, w której ten geniusz odgadł myśl przewodnią Twórcy w układzie wszechświata.

„Najgodniejsze umieszczenie tego arcydzieła jest w starych murach Uniwersytetu, gdzie się kształcił Kopernik. Tą myślą powodowani, ofiarujemy ten obraz Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, żeby był wieczną pamiątką naszej czci dla tego wielkiego męża i ziomka, pamiątką zasług tej szkoły, która od pięciu wieków tyle znakomitości narodowi i ludzkości przysporzyła.

Oby ten wizerunek Kopernika był zachętą dla kształcących i kształconych, przypominał tę odwieczną prawdę, że silna wiara połączona z najobszerniejszą wiedzą, jest jedynym warunkiem dojścia do nieśmiertelności.

Niech ten duch ożywia zawsze tę drogą nam *Alma mater* a mieć będziemy i w przyszłości takich mężów, jak ś-ty Jan Kanty, Długosz, Kopernik i Sobieski.

Kraków, d. 7-go maja 1873 r.

Niniejszy akt darowizny podpisuję we własnym i w imieniu niższej wypisanych osób.

Agenor hrabia Gołuchowski
Namiestnik.

Tegoż dnia przy otwarciu Akademii, sekretarz jój Józef Szujski odczytał listę kandydatów na członków i korespondentów Akademii.

„Ostatnią dzisiaj czynnością, której w myśl statutu Akademii ¹⁾ dopełnić mamy, jest ogłoszenie kandydatów na członków wszelkiej kategorii, przez wydziały akademickie zarządowi przedstawionych.

Są oni następujący:

¹⁾ „§ 18. Kandydatów na członków wszelkich kategorii wybierają odpowiednio wydziały w sposób następujący: Dwóch członków czynnych przedstawia ich piśmiennie; dyrektor zawiadania o tém wydział na najbliższym posiedzeniu, ten zaś dokonywa wyboru na ostatniem zebraniu przed publicznem posiedzeniem Akademii. Do ważności wyboru potrzebna jest obecność przynajmniej 8 członków czynnych i większość głosów tajnych przynajmniej $\frac{3}{4}$. Wyboru stanowczego dokonywa cała Akademia. W tym celu o przedstawionych przez wydziały kandydatach zawiadania zarząd Akademię na posiedzeniu publicznem, ta zaś dopełnia wyboru na prywatnem w ciągu roku drugiego. Do wyboru potrzeba 24 członków czynnych i $\frac{2}{3}$ głosów tajnych. Do wyboru członka zagranicznego jakiegobądź kategorii, potrzeba zezwolenia N. Pana.“

I. *Z kategorii czynnych.*

A) krajowi:

a) Z wydziału dla filologii, historii, i sztuki: Dzeduszycki hr. Maurycy, Łuszczkiewicz Wład., Pietruszewicz ks. Antoni, Tarnowski hr. Stanisław, Węclewski Zygmunt.

b) Z wydziału historyczno-filozoficznego: Bojarski Aleksander, Burzyński Piotr, Heyzmann Ulryk, Stadnicki hr. Kazimierz, Zielonacki Józefat, Zoll Fryderyk.

e) Z wydziału matematyczno - przyrodniczego: Alth Aloizy, Czarniański Emil, Karliński Franciszek, Piotrowski Gustaw, Nowicki Maksymilian, Strzelecki Feliks.

B. P o z a k r a j o w i :

a) Z wydziału dla fil., hist., lit. i sztuki: Jirecek Józef Excel., Miclosic Franciszek.

b) Z wydziału hist. fil. Palacki Franciszek.

c) Z wydziału mat. przyr.: Rokitański Karol, Hyrtl Józef.

C. Z a g r a n i c z n i .

a) Z wydz. dla fil., hist., lit. i szt.: Koźmian Stanisław w Dreźnie, Kraszewski J. I. tamże, Malinowski ks. Ign., Mann Maurycy, Przyborowski Józef, Tyszyński Aleksander.

b) Z wydz. hist. filoz.: Cieszkowski hr. Aug., Hube Romuald, Libelt Karol, Maciejowski W. A., Morawski Teod., Roepell Ryszard, Stawiski Edmund, Theiner Augustyn, Wołowski Ludwik.

e) Z wydz. matem. przyr.: Domejko Ignacy, Frączkiewicz Augustyn, Szokalski Wiktor.

II. *Z kategorii korespondentów.*

a) Z wydz. dla fil., hist., lit. i szt.: Chodźko Aleksander, Kaszewski Kazimierz, Kolberg Oskar, Nehring Wł., Odyniec A. E., Podczaszyński Bolesław, Spasowicz Wł., Wójcicki K. Wł.

b) Z wydz. hist. fil.: Hoffman Karol, Kalinka ks. Walery, Kętrzyński Wojciech, Lisko Ksawery, Lubomirski ks. Tad., Noailles Henr. margr., Pawiński Adolf, Struve Henryk, Wegner Leon, Zaleski Bronisław, Zieliński Feliks.

e) Z wydz. mat. przyr.: Brodowski Włodzimierz, Girsztowt Polikarp, Hoyer Henryk, Strassburger Edward, Skiba Edw., Tetmajer Józef, Zajączkowski Władysław.

— Gabinet mineralogiczny wszechnicy krakowskiej liczy obecnie 14,000 okazów minerałów, a oprócz tego znaczną ilość skamieniałości i odcisków; w skutek czego właśnie teraz przysposobiona została druga sala, także dwu piętrowa na minerały, a dawna przeznaczona została

wyłącznie na pomieszczenie skamieniałości. Między ostatnimi znajduje się nawet dla niezauwców ciekawa, dobrze zachowana olbrzymia głowa słonia przedpotopowego z dwoma długimi zębami, znaleziona w Wiśniczu pod Rzeszowem; dalej są tam olbrzymie morskie jaszczurki i t. p. Warstwy kródowe w okolicach Krakowa zawierają prawdziwe skarby licznych gatunków, przez uczonych bardzo poszukiwanych zwierzątek zwanych „Foraminifera“, których badaniem zajmuje się obecnie pod kierownictwem prof. dra. Alta, w wielkich rozmiarach asystent mineralogii p. Zareczny i młody mineralog p. Olszewski.

— Wiktorya ze Świderskich Laskowska zmarła w dniu 14 kwietnia r. b. w Krakowie, wdowa po b. prezesie sądu szlacheckiego (forum nobilium) w Tarnowie, przeznaczyła cały swój majątek na stypendya dla uczącej się młodzieży. Majątek składa się z dóbr Liplasa i Bilczyc w powiecie Wielickim, wartości 70 do 80,000 złr., a oprócz tego w papierach publicznych i ruchomościach około 30,000 złr. Kapitały w papierach wartościowych, gotówkę i ruchomości przeznaczyła dla krewnych, klasztorów, kościołów, ubogich i t. p.

— Ludwik Esepregi przełożył na język węgierski trzechaktową komedię Fredry syna p. t. *Mentor*, graną po raz pierwszy w marcu 1871 r. we Lwowie, następnie w Krakowie i Warszawie, oraz zamieszczoną w tomie II warszawskiego wydania *Komedyj Jana Al. hr. Fredry*. Tłumaczenie tego utworu przedsięwzięto w celu wystawienia go na teatrze narodowym w Peszcie.

— Z polecenia Tytusa Ricordi'ego wydawcy w Medyolanie, maestro Pouchielli, kompozytor opery „I Promessi Sposi“, która zeszłego roku z wielkiem powodzeniem była w Medyolanie wykonana, ma napisać muzykę do poematu Mickiewicza *Konrad Wallenrod*. Przerobienie poematu tego na libretto powierzone zostało Ghialanzoni'emu; będzie w niem cały przebieg dramatu wiernie oddany oprócz kilku epizodów, które dla wymagań scenicznych muszą być zmienione; w każdym razie epoka, obyczaje i ważniejsze sytuacje wzniesłego poematu, wystarczą Ghialanzoniemu do utworzenia wspaniałego melodramatu, Pouchielli zaś rosztę dokona. Tak pisze *Gazeta Muzykalna Medyolańska*.

Przy tój sposobności, godzi się nam przypomnieć, że ś. p. Ignacy Dobrzyński do tegoż poematu napisał muzykę, która była wykonaną w Salach Redutowych przy Teatrze Wielkim w Warszawie.

— Pomiedzy mnóstwem wojskowych i cywilnych urzędników, ozdobionych orderami austriackimi z powodu wyjścia za żonę arcyksiężniczki Gizelli, znajdują się dwaj ludzie, którzy otrzymanym przez siebie orderom przydadzą ozdoby. Są to: ksiądz Jan Dzierżon proboszcz katolicki na Szlązku pruskim, oraz Aleksander hr. Fredro, autor „Zemsty za mur graniczny.“

— Zarząd centralny poznańskiego Towarzystwa Gospodarskiego, aby zapewnić egzystencją szkoły rolniczej w Żabikowie, postanowił zabezpieczyć jej stałe fundusze i uorganizować ją na prawach korporacyjnych i dlatego komisji złożonej z pp. Arndta, Dziembowskiego, M. Łyskowskiego i Dra Zyg. Wilkońskiego, polecił zająć się utworzeniem Towarzystwa akcyjnego. Kapitał zakładowy zamierzonej spółki akcyjnej ustanowiony został na 100,000 tal. w 2,000 sztuk akcji po 50 tal., płatnych w 5 ratach po 10 tal. każda. Szkoła ma nosić nazwę: Szkoła rolniczo-przemysłowa imienia Haliny.

— W bibliotece ratuszowej w Toruniu znalazł Dr. Kętrzyński rękopis z wieku XVII, w którym pomiędzy innymi dokumentami dotyczącymi klasztoru w Oliwie, znajduje się kopia listu księcia pomorskiego Swantobora do swoich pułkowników, oznajmującego im, że Polacy wpadli do ziemi pomorskiej. List ten pisany w języku słowiańskim i zdaje się, że oryginał pochodzi z pierwszej połowy XII wieku. P. Dr. Kętrzyński sporządził sobie odpis owęj kopii, którą oddać zamierza jednemu z poznańskich filologów do użytku.

— W Rzymie powzięto myśl założenia *Muzeum Kopernika* przy miejscowym uniwersytecie, mające obejmować same tylko odnośne do tego astronoma przedmioty. J. I. Kraszewski, wezwany został przez ministra oświecenia we Włoszech, aby udzielił swój pomocy i rozległych stosunków, dla wykonania tej myśli.

— W Wiel. Ks. Poznańskim, w Chojnicach, przy budowaniu nowego domu niedaleko rynku, znaleziono w ziemi broństarą, polskie szable, miecze, koncerze, pugiwały, halabardy, groty i t. p. Rękojeści są w części bardzo misternie sporządzone. Niektóre jednak przedmioty tak były zardzewiałe, że się za dotknięciem rozpadały. Ponieważ znaleziono tam jeszcze kowadła, młotki, cęgi i t. p., można przeto wnioskować, że w miejscu tym znajdowała się kiedyś platurnia. Broń wydobytą przypuszczalnie pochodzi z r. 1445.

— Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu przyznało nagrodę konkursową 1,000 fran. Józefowi Szujskiemu za jego *Scriptores rerum polonicarum*, jako najlepsze dzieło historyczne jakie wyszło w ciągu roku; na temat bowiem wyznaczony przez Towarzystwo nie nadeszła żadna praca.

— *Stefan Damalewicz historyk, przełożony Kanoników Laterańskich w Kaliszu. Żywot skreślony przez Adama Chodłyńskiego.* Poznań 1872 r. (w 12 str. 127). Jestto najdokładniejszy życiorys a zarazem i spis prac tego zasłużonego historyka kościelnego.

— Bibliografii tomu drugiego zeszyt drugi wyszedł z druku i zakończyła całą literę I a rozpoczyna K. Obszerny tu ustęp obejmuje spis alfabetyczny pracowicie ułożony, dla użytku mających dzieło

A. B. Jochera. Jestto pomoc niemała, ażeby w tym lesie erudycyi, żadaną wiadomość wynaleźć.

— W Odessie księgarz *Biely* sprzedaje polskie dzieła: druga to już księgarnia, w której nasze książki są w tém mieście do nabycia.

— *Odkrycie czasu i prawdziwego przeznaczenia czterech piramid pod Dżyze, a szczególnie wielkiej piramidy* (Découverte de l'âge et de la véritable destination des quatre pyramides de Gizeh etc. I tom str. 324) przez *A. Dufeu*, członka Instytutu Egipskiego i Towarzystwa badań historycznych w Paryżu. Autor dowodzi najprzód, iż wyraz „piramida“ nie pochodzi bynajmniej z języków greckiego, arabskiego lub hebrajskiego, nie znaczy „sklep zmarłego“ lub „jasność słońca“ lub „wysokość“ jak mniemano dawniej; lecz należy do języka koptyjskiego czyli staro-egipskiego, że właściwe brzmienie jego jest „*pi-ri-mil*“ a znaczy: „dziesiąty“. Staranne zbadanie budowy czterech piramid wykazało, że wymiary podstawy, wysokości pionowej, wysokość ukośnych kantów, oraz wewnętrznych komnat „grobowcowych“ wyrażają rozmaite liczby astronomiczne i geodezyczne w połączeniu z liczbami tajemniczymi 3, 4, i 5, używanymi przez egipskich budowniczych. Miarą zasadniczą u Egipcyan był łokieć; ich rok składał się z 365 dni (zamiast miary dzisiejszej gregoryańskiej 365 dni 5 godzin 48' 48"); gdy ten rok ich cywilny nie zgadzał się z rokiem rzeczywistym astronomicznym, więc kapłani szukali takiej epoki, kiedy nastąpić może zgodność pomiędzy niebem a ziemią. Wynaleźli też chwilę ową: świetna gwiazda Syryusz (Sotys, Wielki Pies) wracała na dawne miejsce po 1460 latach, okrążywszy całą sferę niebieską. Było „okres Psi“ czyli „wielki rok Boży“ a składał się z czterech „łokci“ astronomicznych zawierających po 365 lat egipskich. Nadto Egipcyanie śledzili bacnie przyrost osadu czyli raczej wznoszenia się gruntu skutkiem corocznych wylewów Nilu; mierzyli to zaś okresami 360-letnimi, ponieważ dzielili koło na 360 stopni, a wiedzieli podobno że ziemia jest kulistą, że jej powierzchnię należy mierzyć stopniami. Te wiadomości są już wystarczające do zrozumienia budowy „wielkiej“ piramidy Cheopsa. Zbudowaną ona została w 808 lat po wstąpieniu na tron pierwszego króla egipskiego Menesa i komnata „królewska“ umieszczona jest w ten sposób, że jej wysokość od podłogi do pułapu wynosi 11,222 łokci egipskich; pan Dufeu dowcipnym rachunkiem dowodzi, że w téjliczbie zawiera się okres 808 lat powiększony o pięć razy. Podobnie 202 szczeble na zewnętrznych bokach wskazują te same 808 lat podzielonych przez tajemniczą cyfrę 4. Wysokość pionowa 262 łokcie wyrażała czwartą część czasu, jaki upłynął od początku okresu Syryuszowego (na 60 lat przed Menesem). Nareszcie długość każdego boku w podstawie służyła za normę jednéj stadyi (licząc po 500 na stopień szerokości), a więc wskazywała zarazem długość stopnia ziemskiego i obwód równika. Cały ten rachunek znajduje się na sarkofagu granitowym, ustawionym

wewnątrz piramidy; nie była to wcale trumna, lecz „łokieć święty“, podobny do tych, które, podług raportu pana Jabłońskiego, ustawiano w świątyniach, a które służyły do mierzenia wysokości Nilu, dawcy urodzajów. Tym sposobem piramidy były pomnikami historii a przynajmniej chronologii egipskiej, oraz pomnikami zdobyczy naukowych Egiptu. Pan Dufeu dowodzi jeszcze, że Egipcyanie znali nie tylko kulistość ale i spłaszczenie ziemi przy biegunach, a nawet, że znali Amerykę Północną. Co do okresu Syryuszowego, wszelkie wątpliwości usunięte już zostały przez Lepsiusza, data 808 roku da się też pogodzić z jego listą (Cheops panuje od 3095 do 3032 przed Chr. czyli 799—862 ery egipskiej, patrz jego Königsbuch i Chronologie str. 166—180); teoria jego zasadnicza da się pogodzić z dawniejszą teorią o przeznaczeniu piramid na grobowce królewskie, ale ostatnie wnioski pana Dufeu zapewne nie tak łatwo znajdą u uczonych wiarę.

— We Włoszech objawia się wielki ruch na polu językoznawstwa, który zwraca uwagę filologów niemieckich. I dla naszych będzie zapewne nauczającym, gdyż rozwija się głównie na polu dyalektów czyli narzeczy, które w gramatyce polskiej nie mogły być uwzględnione, gdyż dotychczas przez nikogo nie były badane. Jako wzór badań podobnych może posłużyć szacowne pismo *G. I. Ascoli* p. t. *Archivio glottologico italiano* (Roma. Loescher 1873). Tom I zawiera „Studia ludyńskie“ (Saggi ladini), obejmujące cały obszar narzeczy „od źródła Renu aż do morza Adryatyckiego“ (szwajcarskie, friuńskie, lombardzkie, weneckie etc.). „Niemniej wysoko cenione są przez specjalistów prace pana *Flechia*, ogłaszane w Pamiętnikach Akademii Turyńskiej i w Przeglądzie Müllera-Pezzi. Nadto we Florencyi organizuje się obecnie *Towarzystwo dyalektologiczne włoskie* (Società Dialettologica Italiana), które obiera sobie za przedmiot następująco prace: 1) Bibliografią wszelkich ksiąg zawierających dyalekta, lub rozważających je, 2) słowniki nazw miejscowości, rzek, uroczysk etc., z którychto nazw mogą być czerpane najcenniejsze wskazówki filologiczne i historyczne, 3) historia szczegółowa i ogólna dyalektów, 4) grammatyka ich szczególna i porównawcza, 5) zebranie stosownej biblioteki, 6) wydawanie czasopisma poświęconego literaturze ludowej i dokumentom dyalektowym. Organem Towarzystwa będzie zapewne wyżej wspomniane już „Archiwum“ pana Askoli. Założyciele na pierwszóm zebraniu (dnia 20 kwietnia) postanowili zaprosić na stałych kierowników nowej instytucji tychże pp. Askoli i Flechia.

— Niezmordowany orientalista *Fr. Lenormant*, którego nowe prace wymienialiśmy niedawno (w zeszytach kwietniowym), wydaje teraz wielkie sześć-tomowe dzieło p. t. *Szkic upowszechnienia alfabetu fenickiego w świecie starożytnym* (Essai sur la propagation de l'alphabet phénicien etc. Paris, Maisonneuve). W wydanym już I tomie znajdują się badania nad historią pism i alfabetów (najdawniejszóm

pismem jest ideograficzne). Dla paleografii dzieło to będzie zapewne stanowiło skarb nader szacowny.

— Klasycznej *Historji literatury hiszpańskiej* amerykańskiego pisarza *G. Tieknor'a* wyszedł w tłumaczeniu francuzkiem tom III i ostatni (Hachette). Dawniej już wyszły tłumaczenia niemieckie i hiszpańskie. Szczególnie ważne jej działy stanowią badania początków języka hiszpańskiego, wykład poezji rycerskiej i liczne nieznanne dawniej pomniki.

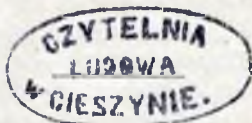
— *Udział wyższych zakładów naukowych niemieckich w wojnie z Francją* przez *Ludw. Bauer* stud. jur.—dzieło ofiarowane Uniwersytetowi w Mnichowie na obchód jubileuszowy. Dowiadujemy się z niego że z 13,765 uczniów wpisanych na letni semestr 1870 roku, poszło na wojnę 2,745; z tych poległo 248 najwięcej z uniwersytetu Lipskiego (63). Z 1505 professorów stanęło pod bronią 15, z tych poległo 4—ch, 253—ch niosło pomoc rannym.

— *Aleksander Humboldt*, biografia naukowa w trzech tomach (Lipsk, Brockhaus) ułożona przez jedenastu uczonych siłami zbiorowemi przedstawia wszystkie prace i zasługi naukowe znakomitego uczonego.

— *Historja miasta Rzymu w wiekach średnich V—XVI* przez *Gregorovius'a*, praca szesnastoletnia, w 8 tomach jest już ukończona (Stuttgart, Cotta).

— *Historja prassy angielskiej* (Gesch. der engl. Presse von Julius Duboc. Hannover C. Rümpler 1873) podług dzieła I. Grant'a Newspaper Press. W szkicach żywych, ciekawych znajdujemy tu opis głównych gazet angielskich, ich historją, urządzenie redakcyi, drukarni, reporterstwa i t. d. Poprzedza krótka historia gazet najdawniejszych, z której dowiadujemy się, że chociaż podczas wyprawy hiszpańskiej armady 1588 roku, lord Burleigh kazał wydawać i rozsyłać po rozmaitych prowincjach kartki z prawdziwemi wiadomościami, ale ta pierwsza gazeta, znana pod tytułem „Merkurego angielskiego“ jest dla nas mytem. Właściwiej za pierwszą gazetę uważać należy „Weekly News“, wydawaną od 1622 roku przez Buttera. Dziś naturalnie pierwsze miejsce zajmuje Times. W drukarni jego nowa machina Waltera odbija 22—24,000 arkuszy na godzinę; na tydzień zużywa się 70 tonn papieru i 2 tonny czernidla. Stale płatnych współpracowników jest około 400. Za nadsyłane od obcych wiadomości płaci się honorarium w stosunku 3½ pensów od wiersza, ale reporterowie, korektorowie i t. p. pobierają zwykle przeszło 5 gwinei tygodniowo; korespondenci zaś mogą rozrządzać nieograniczonemi funduszami na zdobycie jakiejś ważnej nowiny. Imiona redaktorów i autorów artykułów naczelnych są zachowywane w największej tajemnicy. Z dziejów Timesa pamiętnym jest szczególnie wykrycie wielkiego oszustwa przez korespondenta paryzkiego O'Reilly. Całe stowarzyszenie miało w dniu

umówionym przedstawić w rozmaitych bankach europejskich fałszywe weksle Domu Glyn Halifax et Co. na milionowe summy. Przez ogłoszenie nazwisk i planu Times ocalił zagrożone banki od straty, ale otrzymał pozew do sądu od jednego z wymienionych w artykule oszustów. Prócz dawniej poniesionych kosztów redakcja wydała na zbieranie dowodów jeszcze 50,000 f. st. (przeszło 30,000 rs.). Pamięć o tej zasłudze przechowuje się na dwu tablicach przybitych w redakcyi i na giełdzie.



† Dnia 8 maja r. b. zmarł w Krakowie Dr. *Jan Radwański* licząc lat 56. Wyrwały pracownik w badaniach lingwistycznych, położył też zasługi i w rozświecaniu wielu szczegółów tak do dziejów jak i życia domowego z przeszłości dawniej. Od powstania *Czasu* miał zajęcie w administracyi tego pisma. Zaczny człowiek: sam obarczony rodziną, a nieposiadający dostatecznych funduszków, umiał zawsze wspierać drugich.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca *Józef Berger*.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

Z R. 1873.

Monografie historyczne.

	stron.
Ordynacya Ostrogska. Przez S. Konopackiego.	95
Marcin Kromer. Przez Cypryana Walewskiego.	254

Filozofia.

Filozofia zasady bezwiednej. (Nowy filozoficzny pesymizm). Przedsta- wił Dr. fil. Henryk Goldberg.	117
Poranek filozofii greckiej. Pytagorejczycy.—Eleaci.—Heraklit.—De- mokryt. Stosunek ich do filozofii nowoczesnej. Przez Tadeusza Korzona	474

Antropologia.

Szósty międzynarodowy kongres antropologii przedhistorycznej w Bru- kselli 1872 r. Przez J. Hodi.	82
--	----

Przemysł krajowy.

Rys statystyczny przemysłu Królestwa Polskiego. Przez Dominika Bociarskiego.	1
---	---

Dramat.

Anna. Dramat w czterech aktach wierszom. Przez St. M. . . . 433

Powieść.

Hrabina Kosel. Powieść historyczna. Przez J. I. Kraszewskiego. 56, 217, 504

Sztuki piękne.

Przegląd teatralny od listopada 1871, do lutego włącznie 1873 roku.
Przez Edwarda Lubowskiego. 368

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystości narodowe w Szwajcaryi. — Obchód zwycięstwa nad Burgundami, w dniu 3 marca. — Cztery cykle literatury ludowej: 1 Epopea głodu, 2 Cykl Wilhelma Tella; 3 Tryumf nad Karolem Zuchwałym; 4 Ostatnie zapasy ze Szwabami. — Jubileusz Toruński. — Dramat *Copernicus* D-ra Prove. — Dzieło Emila Montaigu: *Impresions de Voyage et d'art*. — Opactwo Kluniackie. — Grób Władysława Białego w Dijonie. — Zdanie pani Georges Sand o Napoleonie III. — Prace naukowo-literackie zmarłego Cesarza. — Przedmowa Wiktora Hugo do ostatniego wydania *Marion de Lorme*. — Układy Aleksandra Dumasa z Dyrekcyami teatrów berlińskiego i wiedeńskiego, o dramat *Żona Klaudyusza*. — Konferencya akademika Legouvé na poranku dramatycznym, przy odegraniu sztuki: *Henryk IV na łowach*. — Zmarły członek Akademii Francuzkiej, generał hr. Segur. — *Les siècles Héroïques* przez Paul Foucher. 146

Dzieło p. Tuine, profesora estetyki w paryżkiej akademii sztuk pięknych p. t. „Notes sur l'Angleterre. — Pani Homaire de Hell z towarzystwa jeograficznego paryżkiego; dzieło jej „A travers le monde“ ustęp o literaturze rumuńskiej; poeta Alessandri. — Jubileusz Moliera obchodzony w Wiedniu. — Dykcyonarz archeologiczny p. Violet le Duc; znaczenie średnich wieków. — Zmarły egiptolog Emanuel Rougé. — Stanisław Julien, zmarły profesor chińskiego języka w kollegium francuzkiém. — Nestor poetów Aleksander Manzoni. — Rozwój sztuk pięknych w Indyach, zmiany w wychowaniu kobiet. — Książę Aumale w Akademii. — Koncert Wł. Tarnowskiego, dramat Karlińscy. — Zachód słońca Wiktora Hugo. 319

Lekeye Wilhelma Guizota o Małgorzacie, królowej Nawary. — Poeta Klemens Marot. — Wierszo i powieści Małgorzaty, Heptameron. —

Amedeusz Thierry. — Wstęp do Św. Hieronima. — Słowa o Thierryem profesora Drapeyron. — Dzieło Zellera: „Origines de l'Allemagne et de l'empire germanique”. — Zapasy Rzymu z Germanami. — „Deutschland und Frankreich“ von Ludwig Brunier. — Chasseloup-Laubat, zmarły prezes Towarzystwa geograficznego w Paryżu. — Professor prawa Ortolan. — Saint-Marc Girardin. — Kurs literatury dramatycznej; wykład bajek Lafontaine. — Artur Boissieu — „Andrea,” komedia Wiktora Sardou. — List Occioniego, delegata rzymskiego na jubileusz Kopernika. — Koncert Alberta Sowińskiego w Paryżu. — Słownik muzyków polskich. — Ostatnie utwory muzyczne Rossiniego. — Sąd Liszta o Napoleonie III. — Wystawa Moliera.	528
--	-----

Korrespondencya.

Listy z Ameryki do przyjaciół w Europie. Przez J. Horaina.	353
List z Jawy Dra Adama hr. Sierakowskiego.	564
Wyjątek z listu Karola Brosch	571
List Adama Mickiewicza.	574

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne

Religijność i mistyka w życiu i poezjach Adama Mickiewicza. Studium Lucyana Siemieńskiego. Kraków 1871. Przez A. Tyszyńskiego.	181
Bezkrólewio po Zygmuncie Augustoie i elekcya króla Henryka. Przez Tadeusza Pilińskiego. Kraków 1872. Przez Kazimierza Pułaskiego.	187
Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, nakładem biblioteki kórnickiej T. I—II. Przez W. Witkowskiego.	192
Wespazjana z Kochowa Kochowskiego <i>Rubus imcombustus</i> . Przez Dra. Władysława Wisłockiego. Lwów 1872. Przez Cypryana Walewskiego.	200
Uwagi nad rozprawką pana Kryńskiego p. t.: „Kwestya językowa etc.” Przez Fab. Ferd. Sławińskiego.	406
Historya prawa Karnego ruskiego. T. I część 2, 1873. Przez M.	422
Prawda o Masce żelaznej (La vérité sur le Masque de Fer, d'après des documents inédits par Th. Jung, officier d'état major. Plon 1873). Przez K..	423

	stron.
Henryk Brodaty, ustęp z dziejów epoki Piastowskiej napisał St. Smolka. Przez A. P.	576
Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki, oraz ich zastosowań. Napisana i wydana przez Dra Teofila Żebraw- skiego w Krakowie. 1873. Przez Cypryana Walewskiego . . .	587
Cenni biografici di Nicolo Copernico dettati dal Dott. Arturo Wolynski. Firenze 1873. Przez A. P.	596
Wiadomości literackie.	214, 431, 598
Nekrologia.	214, 431, 608

